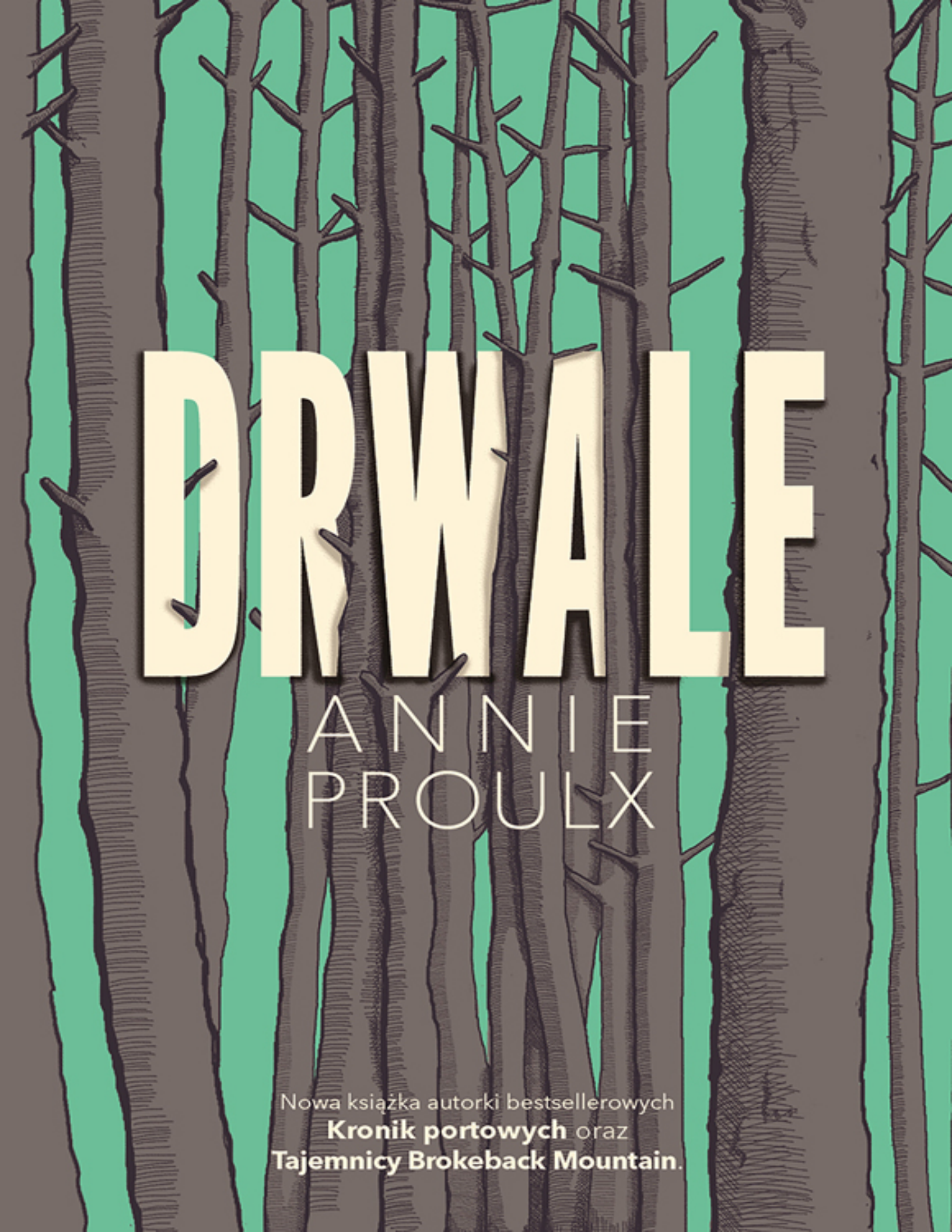
DRWALE
ANNIE
PROULX
Nowa książka autorki bestsellerowych
Kronik portowych oraz
Tajemnicy Brokeback Mountain.

DRWALE

ANNIE PROULX

CZWARTA STRONA

Tytuł oryginału: *Barkskins*
Copyright © Annie Proulx, 2016
Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie Sp. z o.o., 2017
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadzący: Patryk Mierzwa
Redakcja: Hanna Trubicka
Korekta: Magdalena Wójcik
Projekt okładki: Urszula Pągowska
Konwersja: Grzegorz Kalisiak

ISBN 978-83-7976-754-0

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Pamięci mojej szkolnej nauczycielki, Elizabeth Ring, historyczki stanu Maine, uczonej i pedagoga, która wzbudziła we mnie trwające całe życie zainteresowanie zmianą historyczną i zmieniającymi się, odmiennymi perspektywami przeszłości i teraźniejszości.

Pamięci mojej siostry Joyce Proulx Kostyn; pamięci pisarza Ivana Doiga; pamięci biologa dzikiej przyrody Ronalda Lockwooda.

I dla przeróżnych korowaczy – drwali, ekologów, pilarzy, rzeźbiarzy, ważniaków, hodowców roślin, studentów, naukowców, zjadaczy liści, fotografów, praktykujących *shinrin yoku*, interpretatorów zdjęć Ziemi z kosmosu, klimatologów, cieśli, piknikowiczów, leśników, liczących słoje i całej reszty.

„Dlaczego wszystko nie miałoby być przeważnie absurdalne, daremne i przelotne? Wszystko takie jest, my sami tacy jesteśmy i dajemy sobie radę ze wszystkim".

George Santayana

„W starożytności każde drzewo, każde źródło, każdy strumień i każde wzgórze miało swojego *genius loci*, swojego opiekuńczego

ducha. Duchy te były znane ludziom, choć nie były do nich podobne: centaury, fauny i syreny ukazują ich niejednoznaczność. Przed ścięciem drzewa, rozkopaniem góry czy postawieniem tamy na strumieniu należało przebłagać duchy odpowiedzialne za okolicę i składać im ofiary. Niszcząc pogański animizm, chrześcijaństwo umożliwiło eksploatację przyrody z poczuciem obojętności na uczucia flory i fauny".

Lynn White, Jr.

The Historical Roots of Our Ecological Crisis

Podziękowania

Nie jestem w stanie podziękować wszystkim osobom, które pomogły mi sugestiami i zasobami przy pracy nad *Drwalami*, ale oto niektórzy z nich:

Fragmenty dwóch rozdziałów książki ukazały się w nieco zmienionej formie w „Brick” i „The New Yorker”.

Pisanie tej książki było finansowane w jednej części przez Ford Fellowship i United States Artists, a w drugiej przez mojego wydawcę Scribnera. Część książki powstała podczas rezydentury w International House of Literature Passa Porta (Bruksela), będącej częścią programu „Rezydentury we Flandrii i Brukseli”, stworzonego przez stowarzyszenie literackie Het beschrijf oraz ministerstwo kultury Flamandzkiej Wspólnoty Belgijskiej. Specjalne podziękowania dla Ilke Froyen i pracowników Passa Porta oraz ich wspaniałej księgarni. Dziękuję Isolde Bouten, która po raz pierwszy nauczyła mnie mówić, słuchać i pisać po niderlandzku. Jestem wdzięczna mojemu wydawcy Erikowi Visserowi z De Geus oraz mojej redaktorce Nele Hendrickx za zachętę i obserwację mojego słownikowego holenderskiego.

W Nowej Zelandii

Pisarka Jenny i muzyk Laughton Pattrickowie, moi przyjaciele i przewodnicy, miłośnicy kędziornika i uosobienie *joie de vivre*, zabrali mnie do gęstego Wilton's Bush (znanego również jako Otari) – rezerwatu leśnego w Wellington – żeby obejrzeć *rimu*, *totara*, *kahikatea*, *rewarewa* i olbrzymkowce: wilgotny leśny świat z zamierzchłej przeszłości. Pomocą służyło mi New Zealand National Maritime Museum Library and Archives. Betty Nelly, kustosz, i Andrea Hemmins, kierowniczka zbiorów w Kauri Museum w Matakohe, Northland przyjęły mnie serdecznie i ogromnie mi pomogły. Mogłam liczyć na pomoc Rity Havell, bibliotekarki researcherki w Alexander Turnbull Library w Wellington. Karren Beanland z Michael King Writers' Centre pomogła mi uzyskać informacje i niezbędne kontakty. Jednym z tych kontaktów była Liz Allen, członkini zarządu Centre, która poświęciła kilka dni ze swojego wypełnionego zajęciami tygodnia, żeby zawieźć mnie do Hokianga i odwiedzić wraz ze mną muzea soplicy kauri i jeden z niewielu istniejących nadal lasów araukarii na Wyspie Północnej. W Hokianga Betty Nelly z oszałamiającego Kauri Museum zorganizowała nocny wypad do lasu, by pokazać mi wielkie drzewa w świetle księżyca. Naszym przewodnikiem był Kyle Tuwhekaea Ranga Chapman, który wzbogacił napięcie dramatyczne grą na flecie, czuryndze, śpiewem, bajkami i

upiornymi klątwami rzucanymi na gronostaje i oposy żywiące się kiwi.

W Nowej Szkocji

Składam serdeczne podziękowania Rogerowi Lewisowi, badaczowi Mikmaków, archeologowi, etnologowi, wspaniałemu gawędziarzowi i zastępcy kustosza Nova Scotia Science and Natural History Museum za przeczytanie pierwszej wersji powieści i wyjaśnienie znaczenia rzek dla ludów Mikmaw. Dziękuję również mojej siostrze Robercie Roberts za spędzenie ze mną tygodnia w Nowej Szkocji.

W Stanach Zjednoczonych

Zachęta i wsparcie mojej agentki Liz Darhansoff i redaktorki Nan Graham przetrwały mimo kilku opóźnień. Cheryl Oakes, bibliotekarka w Forest History Society, pomogła mi w odnalezieniu trudnych do wyszukania artykułów i odnośników, a Cort Conley z Idaho Commission on the Arts pomógł mi przy książkach o ścinaniu drzew na Zachodzie. W Vermoncie dr John P. Lawrence pomógł mi opracować szczegóły medyczne dotyczące niektórych postaci. Malarz David Bradley z Santa Fe przedstawił mi raporty o walce rdzennych ludów leśnych, wypieranych ze

swoich ziem na skutek takich działań jak ścinanie drzew, hodowla bydła, uprawy palm oleistych i kopalnictwo. Znalazłam wiele rzadkich książek dzięki niezliczonym księgarzom, przedstawiającym swoją ofertę na American Book Exchange oraz, rzecz jasna, w niezbędnym Internecie. Wyszukiwarka Google pomogła mi wydobyć na powierzchnię wiele zapomnianych osób i wydarzeń. Coe Library na Uniwersytecie Wyoming była moim punktem startowym w wyszukiwaniu wielu rzadkich lub trudnych do zdobycia książek. Dziękuję także Morgan Lang za pomoc techniczną przy pracy nad dużym manuskryptem.

I

FORÊT, HACHE, FAMILLE

1693–1716

1

Trépagny

1693

O zmroku przepłynęli obok krwawego wybrzeża Tadoussac, Kébec i Trois Rivières, a przed świtem zacumowali przy odległej osadzie nad brzegiem rzeki. Protoplasta, René Sel, o sztywnych kruczoczarnych włosach i skośnych oczach – *yeux bridés*, jako że w zamierzchłych czasach morderczy Hunowie dobrali się do jego antenatek – usłyszał, jak ktoś mówi „Wobik". Komary pokrywały im ręce i twarze jak futro. Mężczyzna o żółtych brwiach skierował ich do pociemniałego od deszczu domu. Błoto, deszcze, gryzące owady i zapach wierzb – takie były ich pierwsze wrażenia z Nowej Francji. A zaraz potem ujrzeli nieprzyjazną puszczę – ciemny ogromny las.

Nowo przybyli, stojąc w deszczu i czekając, aż się ich wywoła, żeby się podpisali w wielkim rejestrze, spostrzegli nagle ściśniętych pod rozłożystym świerkiem farmerów. Farmerzy przyglądali się przybyłym i wymieniali uwagi.

Gdy go wywołano, René nie tylko postawił krzyżyk w rejestrze, ale gęsim piórem dopisał także literę „R”, robiąc przy tym dużego kleksa. Nauczył się pisać „R” w dzieciństwie od starego księdza, który mu tłumaczył, że to pierwsza litera imienia René. Ale ksiądz umarł zimą z wycieńczenia, zanim zdążył nauczyć go reszty liter.

Ten z żółtymi brwiami spojrzał na to „R”.

– Uczony, co? – zakpił, a potem ryknął: – Monsieur Claude Trépagny!

Nowy pan René, muskularny, utykający mężczyzna machnął do niego ręką. Trzymał w niej gruby niczym maczuga kij. Na wełnianej czapce gromadziły się krople deszczu. Gęste brwi nie przesłaniały gniewnych oczu tak jasnych i pobłyskujących, że zdradliwie wskazywały na żywe usposobienie właściciela.

– Musimy trochę zaczekać – zwrócił się do René.

Mokre niebo ciążyło ku ziemi. Czekali. Ten z żółtymi brwiami – urzędnik, do którego nowy pan zwracał się per Monsieur Bouchard – znów ryknął:

– Monsieur Trépagny!

Nowy pan wybrał tym razem znajomego: Charlesa Duqueta, chudego *engagé* z żaglowca, słabeusza z ruder Paryża, który podczas rejsu składał się często wpół, jak złamany patyk, w jakimś kącie pod pokładem. A więc, pomyślał René, Monsieur Trépagny wziął sobie dwóch służących. Może jest bogaty, choć jego przemoczona opończa *drouguet* była w strzępach.

Monsieur Trépagny pokuśtykał błotnistą ścieżką ku kurtynie z czarnej mgły. Nie tyle szedł, ile miotał się na dwóch różnych nogach: jednej gibkiej, a drugiej sztywnej.

– *Allons-y* – mruknął.

Zagłębili się w ponurą okolicę, gęsty liściasty las przetykany sosnowymi zagajnikami. René nie śmiał pytać, jaką służbę przyjdzie mu pełnić. Po latach męskiej pracy przy rąbaniu drzew w górach Morvan nie chciał służyć w domu.

Po kilku godzinach próchnica z mokrych liści ustąpiła miejsca sosnowej ściółce. Powietrze pachniało aromatycznie. Leżące na ziemi igły tłumiły ich kroki, splecione ze sobą gałęzie wygłuszały ciężkie sapanie. Rosły tu olbrzymie drzewa o rozmiarach nie widywanych w starym kraju od setek lat, zimozielone drzewa wyższe od katedr, sięgające chmur świerki i choiny. Przeogromne drzewa liściaste rosły w pewnej odległości od siebie, ale nad ich głowami uginające się od liści gałęzie splatały się, tworząc nieprawdziwe niebo, mroczne i dzikie. Achille, starszy brat René, podziwiałby te drzewa z Nowej Francji. Pod koniec dnia szli wzdłuż stoku zarośniętego lśniącymi białymi pniami. „To – powiedział Monsieur Trépagny – *bouleau blanc*, a *sauvages* wznoszą z nich domostwa, z kory zaś budują czółna". René nie mógł w to uwierzyć.

Wielkie drzewa znów przypomniały mu o Achille'u, *flotteure'u*, który spędził całe krótkie życie, wchodząc i wychodząc z zimnej rzeki Yonne, spławiając drewno w dół jej biegu. Achille był silny,

wytrzymywał chłód rzeki i pracował do czasu, aż jeden z bali ze złamaną, zaostrzoną przez tarcie jak włócznia gałęzią przekłuł mu pęcherz i porwał go z biegiem rzeki, niczym kawał nadzianego na patyk mięsa. René miał na sobie bieliznę i wełniane pludry brata oraz jego krótki kubrak. A na nogach saboty Achille'a, choć od chodzenia boso przez całe życie miał stopy tak twarde jak krowie kopyta i zahartowane francuskim chłodem. W tym nowym świecie dowie się, że istnieją chłody innego rzędu.

Engagés, oszołomiony narkotycznym odziaływaniem gęstego lasu, potknął się o rozłożyste korzenie świerku. Zaatakowały ich *bébite*, maleńkie, prawie niewidoczne, kłujące jak gorące igły meszki, kąsające bezboleśnie, by powoli wstrzyknąć trucizny, a także niezliczone roje komarów, których przejmujące bzyczenie było głosem lasu. Gdy stanęli nad bagnem, Monsieur Trépagny kazał im posmarować błotem wszystkie odkryte części ciała, zwłaszcza za uszami i na ciemieniu. Owady wplątywały się we włosy i przekłuwały cienką skórę na czaszce. „Z tej przyczyny – mówił Monsieur Trépagny – trzeba nosić *tuque* w tym przeklętym kraju". Zdaniem René bardziej przydatny byłby rycerski hełm. Monsieur Trépagny dodał, że *sauvages* sporządzają ochronny balsam z oleju ze świerkowych igieł i zwierzęcego tłuszczu, ale on go nie ma. Błoto wystarczy. Szli przez mroczny las, wspinając się na porośnięte mchem pagórki, schylając się pod gałęziami zwieszającymi się jak żałobne draperie. *Engagés* łapały skurcze w nogi, osłabione długim oceanicznym rejsem.

– Jak duży jest ten las? – zapytał Duquet drżącym jękliwym głosem. Był niewiele większy od dziecka.

– Ten las jest całym światem. Nieskończonym. Obraca się wokół siebie jak wąż połykający własny ogon, przez co nie ma początku ani końca. Nikt nie doszedł jeszcze do jego skraju.

Monsieur Trépagny przystanął. Odłupał kijem suche świerkowe gałązki u podstawy drzewa. Wyjął spod opończy hubę i skrzesał ogień. Przykucnęli wokół, wyciągając nad płomieniem zsiniałe z zimna dłonie. Pan rozwinął szmatkę, w której niósł mięso łosia, ukroił po kawałku dla każdego z nich. Wygłodniały René, który marzył o kawałku chleba, wgryzł się w mięso, rozrywając je zębami. Wokół ich uszu bzyczały szare komary. Duquet spoglądał na pozostałych przez szparki w spuchniętych powiekach; nie był w stanie żuć, więc tylko ssał mięso. Pod wspaniałomyślnością Monsieur Trépagny'ego wyczuwali pogardę.

Maszerowali przez bezład wiatrołomów – pni zwalonych przez jakąś straszliwą wichurę. Monsieur Trépagny nie szedł żadnym wytyczonym szlakiem, choć raz po raz zadzierał głowę. René zauważył, że kieruje się nacięciami na niektórych drzewach – znakami wyrytymi w korze jakieś dziesięć stóp nad ziemią. Później dowiedział się, że drzewa znakowano zimą, a ten, który to robił, maszerował wysoko nad ziemią w rakietach śnieżnych, niczym jakiś nieważki czarodziej.

Las miał wiele wrąbków jak koronka pod nastawą na ołtarzu. Posępna ciemność przejaśniała się na polanach. Ich uwagę

zwracały nieznane rośliny i osobliwe kwiaty, żałobne świerki i choiny, jasnozielone bufki przyrostów na końcach sosnowych gałęzi, srebrzyste, miotające witkami wierzby, miętowa zieleń młodych brzóz – znaleźli się w miejscu, gdzie nawet promienie słońca były zielone. Gdy zbliżali się do następnej polany, usłyszeli coś klekoczącego bezładnie jak patyki. Były to zszarzałe, przywiązane do drzewa kości, którymi poruszał wiatr. Monsieur Trépagny wytłumaczył, że *sauvages* często wieszają na drzewach szkielety upolowanych zwierząt, złożywszy uprzednio dziękczynienie ich duchom. Prowadził ich wokół bobrowych stawów strzeżonych przez niemal nieprzebyte olchowe zarośla, ostrzegając ich przy tym, że wąskie ścieżyny są szlakami łosi. Szli przez tereny podmokłe. W kałużach pieniła się herbaciana deszczówka. Dygoczące torfowce przetykane dzbanecznikami chlupotały na każdym kroku. Młodzi Francuzi nawet nie wyobrażali sobie, że może istnieć tak dzika i wilgotna kraina, tak *très boisé*. Duquet zahaczyła kurtką o gałąź olchy, aż się rozdarła, a on zaklął siarczyście przyciszonym głosem. Ale Monsieur Trépagny usłyszał to doskonale i oznajmił, że nigdy nie wolno przeklinać drzew, a zwłaszcza olch, które mają moce lecznicze. Pili ze strumieni, przeprawiali się przez płytkie bystrzyny, wyginające się jak ostrza bułatów ze stali damasceńskiej. Och, ileż to jeszcze potrwa, mruczał pod nosem Duquet, przykładając dłoń do policzka.

Znów znaleźli się w rzadszym lesie, przez który szło się łatwiej pod drzewami. *Sauvages* wypalili leśne podszycie, poinformował ich nowy pan pogardliwym tonem. Późnym popołudniem Monsieur Trépagny zawołał nagle: „*Porc-épic*!" i rzucił z wymachem laską. Ta obróciła się raz w powietrzu i trafiła prosto w nos kolczastego ursona. Zwierzę osunęło się z drzewa niczym spadająca gwiazda, ciągnąc za sobą ogon z kropelek krwi. Monsieur Trépagny rozpalił ognisko, a gdy płomienie przygasły, zamieniając gałęzie w fioletowe węgle, powiesił nad nimi oprawionego gryzonia. Resztki kolców śmierdziały nad ogniem, ale gdy zdjął z rusztu usmażone zwierzę, mięso pod czarną skórką było całkiem dobre. Z jednej z wielu kieszeni Monsieur Trépagny wyjął woreczek soli i dał im po szczypcie. Niezjedzone mięso zawinął w tłustą szmatkę.

Dołożył do ogniska, okrył się opończą i legł pod drzewem. Przymknął zapalczywe oczy i zasnął. René miał skurcze w nogach. Zimno, szum sosen na wietrze, bzyczenie komarów i pohukiwania sów nie pozwalały mu zasnąć. Mówił cicho do Charlesa Duqueta, który nie odpowiadał. Potem umilkł. Coś prawie go obudziło nocą.

Poranek zaczął się od rozdmuchania ogniska. Była już późna wiosna, ale powietrze było chłodniejsze niż podczas chłodów we Francji. Szary brzask stawał się coraz jaśniejszy. Monsieur Trépagny, żując resztki mięsa, kopnął Duqueta i ryknął:

– *Levé*!

René zerwał się, zanim Monsieur Trépagny zdążył go kopnąć. Spojrzał wymownie na mięso w dłoni pana, który oderwał kawałek i rzucił w jego stronę, a potem oderwał następny i rzucił go Duquetowi, tak jak się rzuca resztki psu. Potem ruszył przed siebie niestrudzonym, acz chwiejnym krokiem, kierując się nacięciami na drzewach. Nowi służący widzieli wokół siebie mrok, a za sobą migoczące złudnie, dopalające się ognisko.

Dzień był chłodny, choć suchy. Monsieur Trépagny kłusował, pociągając nogą, wzdłuż niewidocznego szlaku, a koło południa znów zaczęło padać. *Engagés* był odrętwiały ze zmęczenia, gdy dotarli nad szumiącą wodę, czarną, aczkolwiek przejrzystą jak ciemny czert rzekę. Po drugiej stronie ujrzeli polanę wypełnioną stosami pociętego na bale drewna, a dalej wszechobecny, napierający las. Z niewidocznego komina snuł się dym. Nie dostrzegli domu, tylko góry drewna i szopy.

Monsieur Trépagny zawołał głośno. Zza najbliższej sterty drewna wyłoniła się kobieta w tunice ze skóry łosia, ozdobionej wijącym się wzorem.

– *Kwe*! – odkrzyknęła kobieta i odwróciła się. René Sel i Charles Duquet spojrzeli po sobie. Indianka. *Une sauvage*!

Weszli za Monsieur Trépagnym do lodowatej wody. René poślizgnął się na otoczaku i o mało nie upadł, znów przypominając sobie Achille'a i zimny nurt Yonne. Wokół nich wirowały ryby, inne śmigały bokiem, a było ich tak dużo, że rzeka wyglądała jak żywa. Na błotnistym brzegu minęli ogrodzony, zarośnięty

chwastami ogródek, a Monsieur Trépagny zaczął śpiewać: „*Mari, Mari, dame jolie*…”. *Engagés* milczał, miał tak spierzchnięte wargi, jakby powietrze paliło, a oczy tak zapuchnięte, że nie mógł ich otworzyć.

Za sągami drewna ujrzeli dom Monsieur Trépagny’ego, po raz pierwszy zobaczyli drewnianą budowlę w stylu *pièces-sur-pièces*, stromy czterospadowy dach ze znanymi z Francji okapami w kształcie dzwonu. Cały dom wzniesiono z drewna, z wyjątkiem okien przeszklonych drogimi francuskimi szybami. Pod lasem stał *wikuom*, chata z kory, w której, jak się dowiedzieli następnego dnia, chroniła się na noc z dziećmi indiańska kobieta.

Monsieur Trépagny zaprowadził ich do obory. W środku śmierdziało gnijącymi ziemniakami, sianem i krowim łajnem. Zza przepierzenia dobiegał głośny oddech zwierzęcia. Ujrzeli czarne palenisko i kowadło. Monsieur Trépagny, zakochany widać w własnym głosie, śpiewał dalej, rozpalając ogień. Potem ich zostawił. Słyszeli coraz cichszą pieśń: „*Ah! Bonjour donc, franc cavalier*…”. Znów zaczęło padać. René i Duquet siedzieli w półmroku dogasającego ognia. W oborze nie było okien, a gdy Duquet otworzył drzwi, żeby wpuścić trochę światła, zaatakowały ich chmary meszek i komarów. Więc siedzieli po ciemku. Pierwszy odezwał się Duquet. Skarżył się na *mal de dents*, ból zębów, i obiecywał, że ucieknie stąd przy pierwszej okazji powrotu do Francji. René milczał.

Po jakimś czasie otworzyły się drzwi. Do obory weszła *sauvage* z dwójką dzieci, wszyscy coś nieśli. Kobieta odezwała się:

– *Bien, bien*.

I podała im sukmany z bobrów. Dotknęła palcem piersi i powiedziała:

– Mali.

Jak większość Mikmaków nie umiała wymawiać „r". Gdy René się przedstawił, powtórzyła jego imię jako „Lené". Większe dziecko postawiło przed nimi drewnianą miskę z parującą kaszką kukurydzianą. Odeszli. René i Duquet jedli kaszkę z miski palcami. Owinęli się w bobrowe sukmany i zasnęli.

Było jeszcze ciemno, gdy Monsieur Trépagny szarpnął drzwi obórki i krzyknął głośno:

– *Allons-y*!

Zza przepierzenia dobiegał odgłos mleka strzykającego na dno drewnianego wiadra. Pan rzucił im po kawałku wędzonego jesiotra i zdjął ze ściany stalową siekierę, a każdemu z nich podał po toporku z krótkim styliskiem. Ostrze toporka René było wyszczerbione. Wstawał siąpiący deszczem poranek, a Trépagny poprowadził ich obok poletka kukurydzy na małą polanę. Zatoczył ramieniem łuk i zawołał ironicznie:

– *Le grand défrichement.*

Ta mała przecinka była jego zdaniem wielkim zrębem. Potem zabrał się do umiejętnego rąbania drzewa. Polecił im wziąć się za

to samo. Powiedział, że dziś natną bali na budowę ich kwatery, która będzie przybudówką do jego *domus*. Nie chce, żeby mieszkali w oborze. René zamachnął się toporem o krótkim stylisku i poczuł szarpnięcie od oporu stawianego przez drzewo, wziął drugi zamach, rozpoczynając trwający przez całe życie trud karczowania lasów Nowej Francji. Duquet siekł drzewo toporkiem, z pogryzionych powiek spływała mu żółta ropa. Okrzesali gałęzie ze ściętych drzew, przetoczyli je i przeciągnęli na krawędź polany. Odłożyli gałęzie na bok, by pociąć je później na bale.

Topór był tępy. Ścięcie jednego niedużego drzewa zabrało René tyle czasu, co ścięcie trzech większych drzew przez Monsieur Trépagny'ego, który zabierał się już do czwartego. Musi być jakiś sposób, żeby naostrzyć ten wyszczerbiony żeleziec, od którego odpadła ćwiartka, myślał René. Naostrzy siekierę. Mimo wątpliwości znalazł rzeczny kamień i zaczął ostrzyć narzędzie kolistymi ruchami. Niewiele zdziałał, więc znów zabrał się do rąbania. Monsieur Trépagny podniósł niepotrzebny kamień i wyrzucił go do lasu. Wyjął topór z rąk René i machnął nim.

– Do ostrzenia – powiedział – używamy piaskowca, *grès*.

Pokazał, jak się ostrzy. René chciał go zatem zapytać, gdzie trzyma osełkę, ale groźne spojrzenie Monsieur Trépagny'ego zamknęło mu usta.

Widząc, jak Duquet struga, zamiast ścinać drzewo, Monsieur Trépagny wykrzywił usta. Spojrzał na spuchnięty policzek

Duqueta.

– Otwórz gębę – polecił i ostukał zepsuty ząb czubkiem noża. Mruknął, że wyrwie go przed końcem dnia. Duquet jęknął ze strachu.

Gdy słońce stanęło w zenicie, kobieta *sauvage* przyniosła garnek parującej kukurydzy. René rzadko jadał w południe. Monsieur Trépagny nabrał odrobinę kukurydzy drewienkiem. W środku garnka pływało coś kremowego. René sięgnął drewienkiem po ten gęsty aromatyczny sos.

– Ach! – zachwycił się i nabrał więcej.

Monsieur Trépagny oznajmił zwięźle, że to *cacamos* – szpik łosia. Duquet uszczknął nieco jedzenia i oparł się o drzewo, oddychając ciężko.

O zmroku opuścili przecinkę. Monsieur Trépagny przerzucał z łomotem i chrzęstem kowalskie narzędzia, aż znalazł żelazne szczypce. Duquet usiadł na pieńku i otworzył usta, a pan chwycił ząb obcęgami i szarpnął. Rzucił żółty kieł na ziemię. Duquet pluł krwią i ropą, miał przeciętą od szczypiec dolną wargę.

– *Allons-y* – rzucił Monsieur Trépagny, ruszając w stronę domu. René widział, jak podniósł ząb Duqueta i schował go do kieszeni.

Weszli do jedynej składającej się na dom izby. Ich męski odór wtopił się w ludzki smród lasów północnych. Ospowata Indianka, Mari, zauważyła, że René wzdryga się na ten zapach, i dorzuciła do ognia gałąź aromatycznego jałowca. Dzieciaki wzniecały w

izbie harmider, przywołując się po imieniu: Elphège, Jean-Baptiste, Theotiste. Ale wszystkie wyglądały tak samo, podobnie jak ich matka z plemienia Mikmaków i René od razu o nich zapomniał. Mari posługiwała się językiem Mikmaków i łamaną francuszczyzną, do której wtrącała w dziwnym rytmie portugalskie słowa. Imiona dzieci były francuskie.

Przyniosła im garnek nieposolonej potrawki z gęsiny z cebulą i ziołami. Mięso odchodziło od kości, ale Duquet zdołał zjeść tylko trochę sosu. Spodek z solą kamienną stał przed Trépagnym, który nabierał sól kciukiem i dwoma palcami.

– Mari nie używa *sel*. Mikmakowie mówią, że sól psuje smak jedzenia. Więc noś *sel* przy sobie René Sel, chyba że do jedzenia wystarczy ci słone nazwisko, ha, ha.

Potem Mari podała gorące kukurydziane placki. Monsieur Trépagny polał je sobie bursztynowym syropem, René zrobił to samo. Syrop miał słodki przydymiony smak, lepszy od miodu, a René nie mógł uwierzyć, że pochodzi, jak powiedział pan, z drzewa. Wyczerpany Duquet zwiesił głowę. Indianka podeszła do kredensu i zaczęła coś mieszać. Podała to Duquetowi. Monsieur Trépagny powiedział, że to pewnie mikstura z zielonych olchowych bazi, a ponieważ Duquet przeklął olchy, niech nie liczy, że lekarstwo zadziała. Mari pokręciła głową.

– Liść wierzby, kola wierzby, doble lekalstwo Mali.

Duquet wypił je i spał tej nocy.

Karczowali bór dzień za dniem, aż spuchły im dłonie, pokryły się bąblami, stwardniały. Rąbali jednym rytmem mimo tępych siekier. Monsieur Trépagny przyglądał się pracującemu René.

– Trzymałeś już w ręku siekierę. Jesteś drwalem.

René opowiedział mu o lasach w górach Morvan, gdzie wraz z Achille'em rąbał drzewa. Ale tamto życie dobiegło końca i odpływało w przeszłość.

– Ach… – westchnął Monsieur Trépagny. Następnego ranka odebrał od nich tępe toporki i poszedł gdzieś w las, zostawiając ich samych.

– No więc… – René zwrócił się do Duqueta – …co to za pan, ten Monsieur Trépagny, bogaty czy biedny?

Duquet roześmiał się gorzko.

– Myślałem, że ty i pan Trépagny pozjadaliście wszystkie rozumy świata. Nie wiesz, że Trépagny to *seigneur*, a my jesteśmy *censitaires* albo *habitants*, jeśli łaska. Jest *seigneur*, ale chce być szlachcicem w tym nowym kraju. Wydzierżawi nam ziemię, a przez trzy lata będziemy mu płacić pracą i płodami ziemi, rzepą i rzodkwią, które będziemy uprawiać.

– Gdzie będziemy uprawiać?

– Zmyślne pytanie. Pracujemy dla niego, ale nawet się nie zająknął o ziemi. Monsieur Trépagny to szczwany lis. Król mógłby mu odebrać seniorat, gdyby się o tym dowiedział. Nic nie

zrozumiałeś z papierów, które podpisywałeś? Tam we Francji stało wszystko czarno na białym.

– Myślałem, że tam pisali tylko o pańszczyźnie. Nic nie pamiętam o ziemi. Czy to znaczy, że zostaniemy farmerami? Właścicielami ziemi?

– *Ouai*, oraczami i osadnikami, i nie właścicielami, ale dzierżawcami ziemi, karczującymi las i sadzącymi rzepę. Gdyby ludzie we Francji dowiedzieli się, że dają tu ziemię za darmo, zjechaliby całymi tysiącami. Ale ja nie chcę zostać chłopem. Nie wiem, po co ty tutaj przyjechałeś, ale ja chcę coś osiągnąć. Pieniądze są w handlu futrami.

– Ja też nie jestem chłopem. Jestem drwalem. Ale bardzo chciałbym dostać trochę ziemi.

– A ja chciałbym wiedzieć, do czego jest mu potrzebny mój ząb. Wszystko widziałem.

– Ja też to widziałem.

– Tu dzieje się coś niedobrego. Ten człowiek ma mroczną duszę.

Monsieur Trépagny wrócił po kilku godzinach z dwoma żelaznymi siekierami, dobrze znaną René *La Tène* o prostym stylisku. Siekiery były nowe, a żeleźce dobrze naostrzone. Pan przyniósł też nowe osełki. René wyczuwał siłę w siekierze, jej niezaspokojony jeszcze głód, by przedrzeć się przez wszystko, co stanie jej na drodze, pryskając drzewnym sokiem, miotając białymi drzazgami jak odłamkami porcelany. Znalazł ostry kamień i wyżłobił nim na

stylisku literę „R”. Gdy to robił, puszcza tego świata cofnęła się, a rozległa niewidzialna sieć włókien, łączących życie ludzkie ze zwierzęcym, drzewa z ciałem i kości z trawą, zadrżała, bo każde drzewo padało, zrywając jedno po drugim włókna całej sieci.

Po tygodniach rąbania, ociosywania konarów, korowania i przeciągania bali na polanę Monsieur Trépagny’ego za pomocą dwóch wołów, po tygodniach cięcia, karbowania, dłutowania wpustów i czopów pod czujnym okiem pana, dopasowywania ich do siebie, wypełniania szpar rzecznym błotem, przybudówka była niemal gotowa.

– Powinniśmy budować własne domy na wydzierżawionej ziemi, a nie wspólne przybudówki przy jego *ménage* – utyskiwał Duquet, mrugając zaczerwienionymi oczami.

Ale rąbali drzewa i układali je w stosy, paląc starsze bale. W powietrzu bez przerwy unosił się dym – zapach Nowej Francji. Nierówną ziemię żłobiły rozszczepione kopyta wołów, jakby na błotnistym podłożu tańczyły na balu hordy diabłów. Drzewa padały, ich cień zastępowało prażące słońce, mchy i paprocie więdły.

– Dlaczego – zapytał kiedyś René – nie sprzedajecie, panie, tych pięknych prostych drzew do Francji na maszty do statków?

Monsieur Trépagny roześmiał się gniewnie. Nienawidził tych głupich pytań René.

– Bo ci idioci wolą drewno znad Bałtyku. Nie mają pojęcia, co tu jest. Są nieporuszeni. Zaniedbują bogactwa Nowej Francji, z

wyjątkiem futer. – Klepnął się w udo. – Już sto lat temu de Champlain, który odkrył Nową Francję, błagał ich, żeby wykorzystali to najmocniejsze drewno, ryby i gęste futra, skórę i setki innych cennych darów. Czy go słuchali? Nie. Zupełnie nie. Wszystkie te cenne zasoby idą na marne, z wyjątkiem futer. Po Champlainie byli i inni, którym nie brakowało pomysłów, ale panowie we Francji nie są nimi zainteresowani. Ci, co mieli pomysły, poszli do Anglików, a nasiona, które tam zasiali, przyniosą krwawe żniwo. Anglicy wysyłają tysiące ludzi do kolonii, a Francja ma inne zmartwienia.

Wilgotna, pełna robactwa wiosna była w rozkwicie, każde drzewo biło w niebo fontanną tlenu, a pod policzkiem Duqueta zaognił się następny ropny wrzód. Monsieur Trépagny wyrwał zepsuty ząb i zagroził, że wyrwie mu wszystkie, żeby Duquet nie marnował czasu na brewerie. Rzucił się na Duqueta z obcęgami, ale chłopak uciekł, kręcąc gwałtownie głową, plując krwią i mamrocząc coś pod nosem. Monsieur Trépagny schował drugi ząb do kieszeni, odwrócił się i odezwał uprzejmym pańskim głosem:

– Rozłupię ci czaszkę.

Duquet skurczył się i nie odpowiedział.

Kilka dni później Duquet poszedł z siekierą do lasu, żeby się załatwić. Gdy zniknął w gęstwinie, René zapytał pana Trépagny'ego, czy jest ich *seigneur*.

– A jeśli tak, to co?

– Wówczas, panie, Duquet i ja powinniśmy wydzierżawić ziemię, czyż nie? Duquet pytał mnie o to.

– Z czasem tak się stanie, ale nie wcześniej, niż upłyną trzy lata, nie wcześniej, niż skończymy *domus* i przybędą tu moi bracia i na pewno nie wcześniej, niż oczyścimy pole pod kukurydzę. Co jest naszym najpilniejszym zadaniem, więc weź się do roboty. Dostaniesz ziemię na koniec służby. – Wbił ostrze siekiery w świerk.

Duquet nie wracał. Mijały godziny. Monsieur Trépagny śmiał się coraz głośniej. Stwierdził, że Duquet poszedł szukać ziemi. Z mściwym zadowoleniem opisywał grozę błąkania się po lesie, topienia w lodowatej rzece, rozszarpywania przez wilki, tratowania przez łosie i przegryzienia na pół przez bestie o szablastych zębach. Wymieniał rozsierdzone duchy lasu Mikmaków: *chepichcaama*, włochatego *kookwesa*, śnieżnego olbrzyma *chenoo* i niewidzialne stwory, przegryzające drzewa szczękami. Włosy stanęły dęba René, który w skrytości ducha uznał, że Monsieur Trépagny za bardzo ukochał świat dzikich.

Następnego dnia z głębi lasu dobiegło ich jękliwe zawodzenie. Utykający na co dzień Monsieur Trépagny wyprostował się nagle i oznajmił, że tym razem nie wyje żaden duch Mikmaków, ale błąkający się po tych lasach *loup-garou*, wilkołak, który przybył za osadnikami z Francji. René przez całe życie słyszał opowieści o tym diable w wilczej skórze, ale nigdy go nie widział, pomyślał więc, że to Duquet przywołuje ich błagalnie. Już chciał mu

odpowiedzieć, gdy Monsieur Trépagny ryknął, by zamknął usta, jeśli nie chce sprowadzić im *loup-garou* na kark. Znów usłyszeli zawodzenie i nawoływanie – coś, co brzmiało jak *maman*. Monsieur Trépagny oznajmił, że przywoływanie matki jak zgubione w lesie dziecko to dobrze znana sztuczka wilkołaka i że nie będą już tego dnia pracować, żeby odgłosy rąbania nie zwabiły bestii.

– *Vite*! – krzyknął Monsieur Trépagny i wrócili biegiem do domu.

2

KARCZOWISKA

1693

Po zniknięciu Duqueta – „pożartego przez *loup-garou*”, jak mawiał Monsieur Trépagny, oblizując się obleśnie – *seigneur* stał się rozmowniejszy na swój nieprzyjemny sposób i rąbiąc, opowiadał różne wersje historii swego życia, choć większość jego słów i tak zagłuszały odgłosy siekiery. Miał wprawne oko i potrafił wypatrzyć miejsca, w których małe drzewa stały mniej więcej w rzędzie: nacinał je, a potem rąbał wielkie drzewo, które upadając, kładło posłusznie wszystkie mniejsze. Mówił, że jego ród wywodzi się z Pirenejów, a innym znów razem umieszczał go na północy, w Lille, nie zaniedbując też Paryża jako swojej rodowej siedziby. Opisywał swą nienawiść do wieśniaków, ich kłamliwości, zawiści i dewocji. Nienawidził jezuitów. Powiedział, że przypłynął do Nowej Francji wraz z braćmi i stryjem Jeanem, żeby zająć się handlem futrami, lecz on wkrótce zmienił zdanie.

– Dawniej nasz ród wycierpiał we Francji wiele krzywd. Ten diabelski papieski kościół nazywał nas heretykami i torturował.

Uważali, że nas podbili, ale mylili się. Przechowaliśmy naszą wiarę, ustrzegliśmy ją, trzymaliśmy się jej potajemnie przez wieki, a tu, w Nowej Francji, znów będziemy silni.

Wychwalał nowy kraj, mówił, że prześcignie starą Francję bogactwem i potęgą.

– Nowy świat stanie się większy niż ta nieczuła stara Francja ze swoimi zwietrzałymi ideami. Niedługo Nowa Francja sięgnie aż do Florydy i po wielkie rzeki na zachodzie. Frontenac[1] to przewidział.

René zastanawiał się nad tym i zgadzał się z panem. Nowa Francja była bezcenna, jeśli tylko uda się utrzymać z dala od niej Anglię. Ale nieczęsto myślał o takich sprawach, traktując siebie jako pył niesiony wiatrem i lecąc tam, dokąd pchała go ta wielka potęga.

– Co – zapytał kiedyś Monsieur Trépagny – jest najważniejsze? Po Bogu, rzecz jasna.

René chciał odpowiedzieć, że ziemia, a po niej nasiona. Mógłby jeszcze dodać, że skradzione zęby, ale ostatecznie nic nie odpowiedział.

– Krew! – ryknął Monsieur Trépagny. – Twój ród! Twoi krewni.

– Wszyscy pomarli – odrzekł René, ale Monsieur Trépagny nie zwrócił na to uwagi i dalej ciągnął swoją opowieść. – Wyprawiłam się wraz z braćmi – mówił – w górę tajemniczej rzeki Saguenay.

– Żeby handlować futrem z Huronami. Później z Odaawami. Budować wśród nich zaufanie. Unikaliśmy Irokezów, którzy

kochają Anglików i od dzieciństwa wprawiają się w znoszeniu największych tortur. Lubią też torturować innych. Braciom spodobało się wędrowne życie i dalej wiosłują po rzekach. Ja wolę życie osiadłe.

– Irokezi – ciągnął – nie są już tak straszni jak w dawnych czasach. Wszyscy Indianie oszaleli na punkcie mosiężnych kotłów. Im większy taki kociołek, tym lepszy. Odlewano dla nich tak wielkie kotły, że nie dało się ich ruszyć z miejsca, a właściciele takich garów musieli osiąść. Gdy kupili sobie mosiężny albo żeliwny kocioł, przestawali włóczyć się po lasach i rzekach. Zakładali wioski wokół kotłów. Wszystko to pięknie i ślicznie, tylko ktoś musiał im dostarczyć te kotły, ktoś musiał się napocić i przeprawić się z nimi przez niebezpieczne szlaki handlowe. – Wskazał palcem swoją pierś. – To było poniżej mojej godności. – I zamachnął się siekierą na drzewo.

– Handel futrami przeniósł się na północ i zachód – mówił, jakby opowiadając drzewu o swoim rozczarowaniu. – Przewóz. Sześć-osiem mil po skałach z dwoma belami futer, ważącymi tyle co krowa. Potem z powrotem do łódki i kolejne pakunki albo te przeklęte kotły. Na końcu trzeba przenieść łódkę. Nie uwierzyłbyś, jakie olbrzymie ciężary nosili ci ludzie. Montferant, jak mówili, przenosił po pięćset ciężarów każdego dnia od wczesnego poranka do nocy.

Trépagny uszkodził sobie prawe kolano przez noszenie tych przeklętych kotłów. Ból nadal dawał mu się we znaki.

– Jednakże kompania futrzarska z mocy prawa udzielonego jej przez króla przyznała mu tytuł *seigneur* i wyznaczyła do zbierania *habitants*, którzy zaludnią Nową Francję. Kładziemy fundamenty pod nowe wielkie miasto w tej dziczy.

René zadał mu pytanie, które męczyło go od czasu pierwszej przeprawy przez lasy:

– Po co rąbiemy lasy, gdy jest wśród nich tyle pięknych polan? Dlaczego ludzie nie stawiają domów na polanach albo na łąkach, przez które przechodziliśmy? Czy tak nie byłoby łatwiej?

Monsieur Trépagny wpadł w oburzenie.

– Łatwiej! Owszem, łatwiej, ale jesteśmy tu po to, żeby karczować las, podporządkować sobie tę złowrogą puszczę.

Umilkł na dłuższy czas, zastanawiając się nad czymś, a potem znów się odezwał:

– Tu, w Nowej Francji, ziemię dzieli się w wyjątkowy sposób. Można otrzymać posiadłość biegnącą od rzeki w głąb lasu, zapewniającą każdemu osadnikowi żyzną uprawną glebę, wzniesienie na wypadek powodzi i drewno na opał. I grzyby! To godziwa parcelacja, a nie byłaby taka, gdyby każdy zajął sobie polanę wedle upodobania, *bon gré mal gré*.

René spodziewał się, że wykład dobiegł końca, ale pan mówił dalej:

– Trzeba przekształcić tę ziemię, żeby na niej żyć. W dawnych czasach ludzie żyli jak zwierzęta, mieli pazury, długie zęby i nie mówili, tylko warczeli na siebie. – Wydał z siebie warczący odgłos.

Zrąbując drzewa, René nie zastanawiał się nad tą czynnością, ale nad ruchem, nad unoszeniem siekiery, spinaniem ramion i barków, pośladków i ud, nad obrotem bioder, rozluźnianiem i napinaniem kolan, a potem wymachem w dół w jakiś nieznany cień – jakby tańczył w lesie. Za pomocą *babiche* przywiązał pod obuchem kamień, żeby wyważyć siekierę, co zwiększało dokładność uderzeń.

Monsieur Trépagny rozpoczął jednostajnym głosem kazanie o konieczności, wręcz obowiązku ścinania drzew, o oczyszczeniu ziemi nie tylko dla siebie, ale i dla przyszłych pokoleń i tego, co znajdzie się kiedyś na tym miejscu.

– Któregoś dnia – mówił, wskazując posępny bór – ludzie będą uprawiać tutaj kapustę. Bycie człowiekiem oznacza ścinanie lasu. Nie widzę tu drzew – ciągnął – widzę kapustę. I winnice.

Oznajmił, że jego stryj, Jean Trépagny – *dit* „Chamailleur" ze względu na swoje swarliwe usposobienie, w skrócie „Chama" – zajmie miejsce Duqueta. Jest stary, ale silny, silniejszy od Duqueta. Wkrótce do nich dołączy. Bracia Monsieur Trépagny'ego też niedługo tu zjadą. Wreszcie. Dodał, że czas rąbania drzew dobiega tymczasem końca. *Bebites* tną bez opamiętania, wilgotne upały są niebezpieczne, a drzewa po brzegi wypełnione sokami. I tak było w istocie: piekielne chmary kąsających owadów towarzyszyły im we dnie i w nocy.

– Zima. Zima to najodpowiedniejsza pora do cięcia lasu. Dzisiaj wykopiemy i spalimy pnie.

Nadeszła również pora, jak zaznaczył, by René zajął się wypełnianiem innych obowiązków.

– Pracujesz dla mnie przez trzy dni w tygodniu. Twoja praca będzie polegała i na tym – tłumaczył Monsieur Trépagny – że będziesz dostarczał ryby na mój stół.

Pilniejsze prace obejmowały zaoranie ogródków dla Mari. Dwa woły, Roi i Reine, ciągnęły obrażone stary pług pana. Dzikie końskie muchy o zielonych łebkach piły ich krew. Monsieur Trépagny smarował woły błotem z rzeki, które twardniało w grube, kruszące się strupy, ale i tak nie pomagało na chmary komarów. Mari, indiańska kobieta, moczyła modrzewiową korę w wodzie źródlanej i dwa razy dziennie przemywała roztworem zaognione oczy zwierząt. A długimi popołudniami uprawiała, wzdychając ciężko, znienawidzony ogród. Któregoś dnia tego lata odesłała swoich dwóch małych synów do miejsca o nazwie Odanak, gdzie schronili się pozostali z jej ludu.

– Łapać gęsi ich poduczą. Wnyki ich poduczą. Dobre ludzie tam polują. Tu tylko ogród i rąbanie drzewa uczą.

Monsieur Trépagny stwierdził kwaśno, że poduczą ich nade wszystko buntu i wojny z osadnikami.

Pamiętając o swych obowiązkach, René wybrał się nad rzekę. Monsieur Trépagny dał mu nóż, haczyki, woskowany lniany sznurek i duży kosz na ryby. Ryby w rzece były duże i silne, linka

zrywała się kilka razy, przez co stracił cenne haczyki. Połów nie zadowolił Mari.

– Mało lyba – stwierdziła. – Lené niedobly lybak. Moje ludzie lobią jaz, łapią dużo lyba. Wiele dużo lyba.

Żeby odwrócić jej uwagę, wskazał parzącą pokrzywę w ogrodzie.

– Mamy ich we Francji całe mnóstwo – powiedział.

– Tak. Zła loślina lośnie tam, gdzie białe stąpają. Te „Kto To Nadchodzi", *Wenuj*.

Mari kazała mu zostawić ryby, sama je oczyści. Zakopała wnętrzności w ogrodzie, a gdy René zapytał ją, czy tak robią Indianie, spojrzała na niego wymownie i odpowiedziała, że to powszechna praktyka wszystkich głupców, którzy zakładają ogrody, zamiast zbierać bogactwa natury.

– Węgorze! – zawołała. – Łap węgorze. Węgorze nas lubią. My rzeczny lud.

Splotła dla niego trzy pułapki na węgorze i dała mu resztki ryby na przynętę, a potem poszła z nim nad rzekę i pokazała miejsca, w których powinien łowić. Od tamtej pory niemal każdego dnia przynosił jej tłuste węgorze. Powiedziała mu, że Mikmakowie znają wiele sposobów łapania węgorzy, ale dla niego najlepsze są pułapki. Gdy jej synowie wrócą z osady Abenaków, Odanak, pokażą mu te inne sposoby.

Na początku lipca sosny wypuszczały kłęby pyłków, żółte smugi cytrynowego dymu snuły się przez las, mieszając się z dymem

płonącego drewna. Pewnego ranka z chmury pyłu unoszącej się nad zachodnim szlakiem, który – z tego, co słyszał René – ciągnął się do końca świata, wyłonił się chwiejnym krokiem jakiś starzec, uginający się pod niesionym na plecach tobołkiem i strzelający na prawo i lewo gniewnymi oczkami. Nad wąskimi ustami wisiał niczym owcza wełna na gałęzi szary wąs. Oczy starca były oczami Monsieur Trépagny'ego, czarnymi, białymi i pobłyskującymi. „Chamailleur" spojrzał na przygotowującego się do wyjścia na połów René i zaczął od razu:

– *Salaud*! Dlaczego nie zajmujesz się pracą, ty sukinsynu!

– Zajmuję. Do moich obowiązków należy łowienie ryb na pański stół.

– Co! Na co ci sznurek i haczyk? Musisz mieć sieć! Każ kobiecie spleść sieć. Albo kosz pułapkę. Możesz też nadziewać ryby na oścień. To najlepsze sposoby.

– Dla mnie najlepsza jest linka i haczyk.

– Głupi i uparty! *Oui, stupide et obstin*é! Ja wiem, co jest najlepsze, a ty nie. Dobrze, że tu przyszedłem. Widzę, że trzeba nauczyć cię moresu. Mój synowiec jest zbyt łagodny.

Uparty René poszedł łowić ryby na spleciony lniany sznurek i haczyk. Ale myślał o sieci. Sieć byłaby lepsza, bo w rzece pływało tyle ryb, że mógłby złowić ich wiele za jednym zamachem. A jeśli chodzi o nieznośne kazania Mari o tym, jak Mikmakowie wznoszą różnego rodzaju jazy, jak polują nocami na *esturgeon* za pomocą pochodni i ościeni, wpuszczał jej słowa jednym uchem, a

wypuszczał drugim. Używał jednak pułapek na węgorze, które dla niego splotła, ale tylko dlatego, że węgorze nie są rybami.

Szukając ziemi, którą mógłby objąć po zakończeniu pańszczyzny, odkrył przypadkowo tajemnicę Monsieur Trépagny'ego. Zaszedł daleko w górę rzeki. Po niedawnych deszczach rzeka zamieniła się w rwący i ryczący na kamieniach potok. Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie objąć ziemię niezbyt blisko rzeki, najlepiej tam, gdzie bije jakieś źródełko lub płynie nieduży strumyczek. Przeszedł przez stary wiatrołom, gdzie pośród przewróconych drzew wyrastały miliony młodych pędów i to tak blisko siebie jak witki miotły. Dwukrotnie usłyszał głośne trzaski, a w końcu dojrzał buszującą w poszyciu plamę czarnego futra. Wczesnym popołudniem dotarł do szerokiego, choć zarośniętego szlaku, biegnącego ze wschodu na zachód i zaczął się zastanawiać, czy szlak ten łączy się jakoś ze ścieżką prowadzącą na polanę Monsieur Trépagny'ego na wschodzie. Ale miał przed sobą niemal całe popołudnie, więc postanowił skręcić na zachód. Wypatrzył na ziemi stare koleiny, które mógł zostawić tylko wóz. Więc to nie był indiański szlak. Ciekawość kazała mu podążać dalej.

Po paru godzinach szlak rozwidlił się. Poszedł śladem kolein. Ta droga była zupełnie inna od zwykłych leśnych ścieżek. Wzdłuż szlaku starannie wykarczowano drzewa, tworząc coś w rodzaju *allée*, a ziemię na drodze wysypano startymi na miał białymi muszelkami. *Allée* biegła prosto ciemnym tunelem z drzew, a u

jego końca widoczny był stożek światła. René widywał takie aleje we Francji, gdzie prowadziły do wspaniałych pałaców wielkich panów, choć oczywiście nigdy nie szedł taką aleją. A tu, w lasach Nowej Francji, odkrył najmroczniejszą i najniewygodniejszą dla stóp aleję na świecie. Drzewa przy niej wyglądały jak okrutne druciane szczotki, a rozdeptywane przez dzikie zwierzęta muszle raniły w stopy. Koniec alei zalewało światło jak otchłań u kresu pochyłej ziemi.

W świetle tym ujrzał zarys pobielonego kamiennego domostwa, niemal *chateau* – pałacu przeniesionego przez wichurę z Francji i rzuconego na ziemię wśród lasu. Domyślił się, że to *domus* Monsieur Trépagny'ego, środek jego tajemniczego świata. Domostwo miało trzy ogromne kominy, szyby w oknach, dach z pięknego niebieskiego łupku i łupkowy chodniczek, okalający dom i prowadzący do odgrodzonej części posiadłości. Ogrodzenie było wysokie, z ozdobnych żeliwnych prętów. Wszystko, z wyjątkiem kamienia, musiało przypłynąć tu z Francji. To pewne. I musiało kosztować fortunę, dwie fortuny albo królewski okup. I było dowodem szaleństwa Monsieur Trépagny'ego, w którego głowie lęgły się dawne heretyckie myśli o klanie i zamku, o nim samym jako królu fantastycznego świata.

Mocno zaniepokojony René wrócił na główny szlak i powędrował z powrotem na wschód. Robiło się ciemno. W lesie noc zapadała szybko, nawet przy najdłuższych dniach. Tak jak się domyślał, szlak kończył się na wschodzie na polanie Monsieur

Trépagny'ego. Poszedł prosto do chaty, którą dzielił teraz z Chamą. Stary spał zawinięty w bobrowe futro Duqueta, chrapiąc i mamrocząc przez sen.

Trwało lato. To Chama, który rządził się i klął, decydował, gdzie mają rąbać. Ścinali drzewa i wyciągali z ziemi pnie, wznosząc z nich najeżone korzeniami ogrodzenie. René łowił ryby i słuchał, jak Mari opowiada Theotiste'owi, Elphège'owi i Jeanowi-Baptiste'owi legendy Mikmaków o zupie z kości bobra, o ubraniu z tęczy i małych ludziach *wigguladumooch*. Chłonął indiańskie przekazy, przyglądał się Monsieur Trépagny'emu i zastanawiał się nad tym tajemnym domostwem, które – jak się dowiedział później – *seigneur* nazwał Le Triomphe. Trépagny pożądał tej *particule* i mógłby nazywać się Claude Trépagny du Triomphe.

Letnie upały skończyły się nagle. Pewnej nocy chłodne powietrze przygnało nowy zapach: zapach lodu, zwierzęcej sierści, płonących lasów i krwi upolowanych.

---

[1] Louis de Buade de Frontenac – gubernator Nowej Francji w latach 1672–1698 [przyp. tłum.].

3

Renardette

1694

Wszechobecne klony płonęły na tle czarnych świerków. Niebo wypełniały rzeki ptaków podczas wielkiej jesiennej wędrówki: szlamników amerykańskich, całych narodów jastrzębi, niezliczonych lasówek czarnogłowych – *paruline rayée* – przypominających małych ludzi w czarnych beretach o bladych twarzach z wąsami; a także żurawi, poświerek, gągołów, nurów, wróbli, tyranek, lasówek i gęsi. Pierwsza zamieć nadeszła którejś nocy w październiku. Świat spłaszczył się, śnieg szumiał w igłach świerków, a słońce wyglądało jak namalowane techniką *grisaille*. Las zamknął się w sobie, jakby wstrzymując oddech.

Synowie Mari, Elphège i Theotiste, przynieśli z Odanak pułapki i wnyki, gwizdki i wabiki na zwierzynę. Mari bardzo ceniła sobie te prezenty, ale Monsieur Trépagny uznał je za śmieci i wrzucił należącą do Theotiste'a pułapkę na bobra do ognia. René dostrzegł, jak twarz chłopca tężeje, jak dzieciak opuszcza oczy,

żeby tylko nie patrzeć na *seigneura*. Przez chwilę widział w nim prawdziwego bezlitosnego Indianina.

W grudniu w lesie zapanowała kamienna cisza, choć niskie chmury przyniosły nowy zapach: lodowatej czystości, która jest istotą północnych lasów. Pierwszy rok René w Nowym Świecie dobiegł końca.

Zwały śniegu tworzyły zaspy i oblepiały drzewa tak grubą warstwą, że gdy wzmagał się wiatr, schodziły z nich lawiny. René przekonał się, że nigdy wcześniej nie doświadczył tak wielkiego chłodu ani nie widział prawdziwej czerni. Spod polarnych lodów spływały gwałtowne mrozy. Budził się w ciemności, słysząc trzaski pękających drzew, i otwierał drzwi, za którymi wznosiła się niemal namacalna ściana mrozu, a jego pierwszy oddech na dworze kończył się atakiem kaszlu. Trzęsąc się z zimna, zapalał świecę i klękał, by rozpalić ogień, a przy każdym jego oddechu na ziemię spadały kryształki lodu.

Przy śniadaniu Monsieur Trépagny oznajmił, że jest za zimno na rąbanie lasu.

– W takie mroźne dni pękają ostrza siekier, a płuca palą przy każdym oddechu. I wykasłuje się krew. A potem się umiera. Za parę dni zrobi się cieplej.

Gdy René wspomniał, że słyszał, jak pękają drzewa, *seigneur* odrzekł, że przy takim mrozie nawet skały rozrywają się na pół. Smarując kromkę chleba lodowatym szpikiem łosia, dodał:

– Którejś zimy szedłem przez las po ataku mrozu i zobaczyłem cztery jelenie, zamarznięte na kość, tak jak stały.

– Ach, ach – westchnął Chama. – Pewnego razu na północy było ciepło i przyjemnie przez dziesięć dni, a potem w okamgnieniu zerwał się wiatr tak mroźny jak ostrze topora i ściął fale na rzece w lodowate zapory. Modliliśmy się, żeby nas oszczędził.

Podczas tych mroźnych dni najmłodszy syn Mari, Jean-Baptiste – który od urodzenia cierpiał na uporczywy kaszel – poważnie się rozchorował. Kaszel nasilał się i brzmiał jak niski ryk. A chłopiec dyszał i leżał wyczerpany.

Księżyc wyglądał jak plasterek białej rzepy, a cienie przybierały najczarniejszą barwę. Na śniegu rysowały się ostre kształty drzew, a czerń cieni wydawała się tak głęboka, jakby były szczelinami wiodącymi do podziemnego świata. Dni stały się krótkie, a słońce opatulały poszarpane burzowe chmury. Śnieg miał jaskrawy odcień i wiał jak wyrzucana z trzewi krew. Mroczny iglasty ocean połykał wieczorną zorzę. René był przerażony intensywnością mrozu nawet w słabym słońcu, przerażał go także świszczący udręczony oddech Jeana-Baptiste'a, dobiegający z posłania przy ogniu, jego coraz ciche nawoływania matki, a wreszcie wszechogarniająca cisza. Monsieur Trépagny oznajmił lodowatym tonem:

– Wszyscy spłacają dług przyrodzie.

Siarczysty arktyczny mróz trzymał przez tydzień, potem zelżał, choć świat nadal był jaskrawo nieruchomy. Mari zaniosła ciałko syna do misji w Wobik, gdzie z wiosną je pochowają. Mężczyźni znów weszli do lasu. Przeprawili się przez zamarzniętą rzekę. René nauczył się chodzić na śnieżnych rakietach po skutym lodem świecie. Rąbanie drzew stało się łatwiejsze. Mając nieskończony zapas drewna, palili nieustannie ogniska przy wyrębie. Elphège, który wyrósł w Odanak, pomagał im przy odciąganiu gałęzi i pracował obok René.

– A więc – René zwrócił się do chłopca – uczyłeś się polować.

– *Oui*. Jest wiele sposobów upolowania każdej zwierzyny. Wiele różnych sposobów w zależności od pory roku. Spójrz tam! – Wskazał palcem na zachód, na lasy, których jeszcze nie zaczęli rąbać. – Widzisz tamtą zaspę?

– Owszem – odrzekł René.

– I co jeszcze?

– Nic. Tylko zaspę.

– Jeśli podejdziesz bliżej, zobaczysz więcej.

Zbliżyli się razem do zwału śniegu. Elphège wskazał nieduży otwór w zaspie, otoczony pierzastą szadzią.

– Widzisz? To zamarznięty oddech niedźwiedzia.

Wytłumaczył René szczegółowo, jak można zabić niedźwiedzia i wyciągnąć go z gawry w wykrocie. Potem zaczął opowiadać o wabieniu gęsi do głębokich rowów, z których nie mogą odfrunąć, powiedział, jak odczytać wiek tropów łosia, po czym poznać płeć

zwierzęcia, jego wielkość, a nawet stan zdrowia. René był zdumiony wiedzą chłopca. Elphège był indiańskim myśliwym i jak mówił Trépagny, znał się dobrze na tropieniu i podstępach.

W wolne od pracy dni René poznawał las, co sprawiało mu przyjemność. Czasem zapuszczał się do wiatrołomów przy zachodnim szlaku, gdzie leżały teraz zupełnie fantastyczne śnieżne zaspy. Nie zbliżał się jednak do wykwintnego domostwa Monsieur Trépagny'ego.

Kilka dni po powrocie Mari z misji skutą lodem rzeką przybył na śnieżnych rakietach Monsieur Bouchard, królewski urzędnik i dowódca pospolitego ruszenia.

– Co was tu sprowadza, kapitanie Bouchard? Taki kawał drogi – przywitał go Monsieur Trépagny. – Szarwark czy musztra pospolitego ruszenia? A może Irokezi ruszyli?

– Nie, panie. Poczta. List do was z Francji, który przypłynął statkiem. Wygląda na pilną wiadomość z tymi czerwonymi pieczęciami i herbem. Więc go wam przyniosłem.

Ruszyli w stronę domu.

– Droga rzeką jest krótsza o połowę od drogi przez las – oznajmił Monsieur Bouchard, gdy wspinali się stokiem pod dom. – Dziwne, że nie pływacie łodzią przy lepszej pogodzie.

– Walka z prądem jest bardziej męcząca od chodzenia.

Monsieur Trépagny przyjrzał się listowi, a jego ziemista cera nagle spurpurowiała. Odłożył nieotwarty list na półkę przy

drzwiach. Mężczyźni usiedli przy stole, pijąc gorącą wodę z odrobiną whiskey.

– Smutna historia przydarzyła się nam w Wobik – zagaił Monsieur Bouchard. – François Poignet… Znacie go, panie?

– Z widzenia. Wysoki, z bielmem na jednym oku? Farmer?

– Ten sam. Dobry człowiek. Podczas ostatnich mrozów poszedł do lasu, żeby karczować dalej. Zeszłego lata żona zmarła mu w połogu i został sam z dziesięcioletnią córką, Léonardette. Więc podczas tego karczowania siekiera odbiła się od zamarzniętego drzewa jak od granitowej skały i trafiła go w lewą nogę, którą przecięła do kości.

Monsieur Trépagny cmoknął.

– Chciał wrócić do domu. Zostawił za sobą krwawy ślad. Może nawet wołał o pomoc. Ale nikt go nie słyszał. Wykrwawił się na śmierć i zamarzł. Kiedy go znaleźliśmy, leżał na marach z własnej zamarzniętej krwi, bardziej lodowatej od siekiery.

– To okrutna kraina – stwierdził Monsieur Trépagny.

– Przyszedłem tu nie tylko z powodu listu. Przyszedłem także, żeby zapytać, czy nie wzięlibyście, panie, do siebie córki Poigneta? Jest młoda, ale silna. I wiecie, panie, że w tym kraju bez kobiet dziewczyna to dobry nabytek. – Bouchard mrugnął porozumiewawczo do *seigneura*.

– Ach – westchnął Monsieur Trépagny. – Teraz rozumiem, dlaczego wyprawiliście się w taką długą drogę. Ale czemu ktoś od was, z Wobik, nie weźmie dziewczyny? Czemu nie weźmie jej Père

Perrault? Czemu ja mam ją wziąć? Coś jest nie tak z tym dzieckiem?

Monsieur Bouchard wzniósł oczy ku okopconej powale i pokręcił głową.

– To prawda, że nie jest zbyt urodziwa.

Zapadła długa cisza.

– Pod jakim względem nie jest urodziwa?

– No cóż, to nic wielkiego, panie, ma tylko *tache de vin*, znamię na szyi.

– A jak wygląda to *tache de vin*, że tak odstrasza mieszkańców Wobik i ich pobożnego kapłana?

– Wygląda w samej rzeczy jak… no… ech… – Monsieur Bouchard spocił się od panującego w izbie ciepła i trudnego poselstwa, jakie mu przyszło sprawować. – No więc wygląda jak sam diabeł… z rogami. Pomyślałem, panie, że wasza wiara nie przeszkodzi wam… – Ucichł i spojrzał tęsknie ku drzwiom.

– Moja wiara? Myślicie, że moja wiara nie przeszkodzi mi przyjąć dziewczyny z piętnem Złego na szyi?

– Mówi się, panie… mówi się… że czcicie nie Boga, ale diabła.

– To wierutna bzdura, mój panie! Brzydzę się diabłem nie mniej od was. Źle was poinformowano. Uważam natomiast, że wasz rzymskokatolicki bóg jest diabłem, demiurgiem. Wystarczy przeczytać Stary Testament, żeby przekonać się o jego okrucieństwie. Tak postępuje Demon! To wy czcicie diabła! – Jego zmrużone oczy pobłyskiwały jak odłamki lodu.

– Nie przeczę, panie, że źle mnie poinformowano, ale moim obowiązkiem jest zadbać o to dziecko i powierzyć je czyjejś pieczy. Ludzie w wiosce… – Powoływanie się na zdanie innych było jego ostatnią kartą przetargową.

– Nie, panie. Nie mówcie mi o wieśniakach!

– Owszem, panie, jak sobie życzycie, ale ludzie w wiosce gadają bez przerwy. Mówili, że widzieli was w latającej łodzi z samym diabłem i jego bezbożną świtą, jak lecieliście przez chmury, rechocząc okrutnie. – Wyrzucił to z siebie za jednym zamachem.

– Brednie! – wykrzyknął Monsieur Trépagny. – Ciekawe, kto mnie w tych chmurach wypatrzył? Jakaś wiedźma? Rzucająca fałszywe oskarżenia? – Podszedł bliżej do urzędnika.

– Nie wolno mi wymieniać niczyich nazwisk. – Monsieur Bouchard nabrał pewności siebie urzędowego obrońcy uciśnionych.

– Więc ważcie słowa, Monsieur Bouchard!

Stary urzędnik wyprostował się.

– I wy ważcie słowa, Monsieur Claude Trépagny du Triomphe. Mnie nic nie obchodzą latające łodzie i pakty z samym diabłem. Podobnie jak i wy. Mam tylko obowiązek znalezienia domu dla tej dziewczyny. – Przerwał, a po chwili dodał sprytnie: – Ona zna się na warzeniu wybornego piwa. Nauczyła się tego od matki.

Mari przyniosła do stołu dzban gorącej wody i odezwała się z opuszczonymi oczami:

– Wezmę dziewczynę. Nie lubić warzyć piwo.

– Zuch kobieta! – zawołał Monsieur Bouchard. – Zaraz wam ją przyślę. Czeka w dole rzeki.

Zerwał się od stołu i dwoma susami dopadł do drzwi, powiewając długą opończą.

– Kapitanie Bouchard! Zaczekajcie! – zawołał Trépagny ku zamykającym się drzwiom. Obrócił się i rąbnął na odlew Mari, która upadła na kolana, a potem wypadł na dwór z siekierą w ręku.

Chuda smutna dziewczynka wspinała się powoli po zaśnieżonym stoku, idąc od strony rzeki. Była drobna, miała proste włosy i podkrążone, małe brązowe oczka. Szła skurczona, jakby obawiając się razów, które na nią spadną. Miała natomiast szczupłe i zwinne palce. Mari podeszła do niej wolno, poklepała ją po ramieniu, włożyła jej w dłoń drewnianą łyżkę i posadziła ją do mieszania gęstej kukurydzianej kaszy. Gdy Monsieur Trépagny wrócił znad rzeki, pociągnął dziewczynę ku drzwiom, by obejrzeć diabelskie znamię. Ujrzał na jej karku mały czerwony trójkąt wielkości paznokcia, a nad nim dwa mniejsze trójkąty wielkości komara.

– Ha! – zawołał. – To nie jest diabeł! Ci głupi wieśniacy widzą to, co chcą zobaczyć. Co za idioci! To lis. Będziemy cię nazywać „Renardette”.

Renardette dalej chodziła skulona, ale rzeczywiście wykazała się dużymi umiejętnościami w warzeniu piwa. Zaczęła od wyszorowania warzelni i wszystkich kamionkowych naczyń. Zapytała o nasiona chmielu, a gdy je dostała, posadziła je wśród pni. Sama zbierała chmielowe szyszki i warzyła doskonałe piwo. Nikt nie pił go więcej od samej Renardette. René wolał *vin rouge*, ale sprowadzane z Francji wino było kosztowne. Gdy sady osadników zaczną rodzić jabłka, będą pili *cidre*. To wielka przyjemność.

4

GOŚCIE Z PÓŁNOCY

1696–1698

Podczas trzeciej zimy, którą René spędzał w Nowej Francji, Monsieur Trépagny zaczął zachowywać się bardzo dziwnie. Znikał na całe tygodnie, a gdy wracał, był opryskliwy i władczy, nawet wobec Chamy.

Na początku maja, gdy w lesie wciąż zalegał śnieg, Monsieur Trépagny oznajmił, że wyjeżdża na rok, może dwa, gdyż ma pilne interesy w Kébec i Francji. Powiedział René, że codzienną pracą pokieruje Chama. Wyznaczył nieprawdopodobnie wielki obszar, ponad pięć mórg (blisko pięć angielskich akrów) do wykarczowania. We Francji, myślał René, lasy podlegają prawu i zwyczajom, tu nie było żadnego leśnego prawa, poza wolą *seigneura*. Prawo Trépagny'ego do wykarczowania tak wielkiego obszaru zdumiało René, który wyczuwał w tym bezprawie.

Trépagny trzepnął się rękawicami po udzie i dosiadł wierzchowca. Wydał ostatnie polecenie:

– Mari, nie zaniedbuj ogrodu.

Mari nie odpowiedziała, choć zadrżały jej dłonie. René wiedział, że nie lubi uprawiać ziemi, co uważała za francuski wymysł. W ogrodzie czuła się jak w pułapce. Zaniedbywała uprawy przy każdej sposobności i wraz z Renardette wyprawiała się do lasu, żeby zbierać lecznicze zioła. Znała leczniczą moc wielu rodzajów kory z drzew. W drewnianym pudełeczku przechowywała spleśniałą korę, którą przykładała na rany. Z niektórych grzybów sporządzała balsamy.

„Ma się rozumieć! – szydził Monsieur Trépagny, jakby popełniała przestępstwo. – Wszyscy Indianie to znachorzy i aptekarze. Tylko oni znają tajemne właściwości wielu roślin. Nie słyszałeś, że wyleczyli zdychającą na szkorbut załogę Champlaina wywarem z igieł choiny? Poczekaj, usłyszysz to wiele razy!”

Ale Monsieur Trépagny odjechał, a Chama puszył się jak kogut. I jak kogut gapił się wilgotnymi ślepiami na jedyne w zagrodzie kurki. René słyszał nocami, jak stary wyślizguje się potajemnie spod bobrowego futra i stąpa z chrzęstem po zamarzniętym śniegu na dworze. Wracał najczęściej biegiem po kilku minutach i zatrzaskiwał drzwi.

Upłynęły dwa lata z okładem, nim Monsieur Trépagny wrócił do lasu na pięknym gniadoszu. Zeskoczył z konia niczym muszkieter. Miał na sobie obcisły kubrak w kolorze groszku i jedwabne ciemnozielone pantalony, związane w kolanach wstążkami. Szeroki pas zapinało się na trzy srebrzyste klamry, a długie buty

zachwycały czerwonymi obcasami. Najwspanialszy był jednak wielki kapelusz z sześcioma ufarbowanymi na czerwono strusimi piórami przy rondzie. Pachniał perfumami tak słodkimi, że Elphège'a zemdliło i kichnął siarczyście, posyłając smarki na lamowany mankiet kubraka. Monsieur Trépagny natychmiast wymierzył mu policzek, po którym nieszczęśnik padł na ziemię, więc kopnął go jeszcze pod żebra. Mari rzuciła się na syna, by osłonić go własnym ciałem, ale i ona została skopana. Po tym powitaniu Monsieur Trépagny dosiadł rumaka i odjechał na zachód, by – jak przypuszczał René – ucztować w wielkim domu.

Następnego wieczoru Mari podała na obiad węgorza w sosie i gęsty rybny pudding z suszonego łososia. Monsieur Trépagny wpadł we wściekłość. Węgorze to pożywienie dzikich, krzyczał i zażyczył sobie czegoś smaczniejszego, co przystoi jeść panu. Monsieur Trépagny na ich oczach zmieniał się w szlachcica, o czym świadczył jego nowy strój i niechęć do węgorzy, za którymi zawsze przepadał. Raz po raz wyrażał swoją pogardę wobec Indian, których nazywał leniwymi i ignoranckimi barbarzyńcami. Rzucił Mari monetę na stół i kazał jej się wynosić wraz z synami do następnego poranka, gdyż – jak oznajmił – za dwa tygodnie poślubi francuską damę. Za tę monetę Mari może wrócić na wschód do swoich pobratymców, u których będzie mogła jeść tyle węgorzy, ile tylko zechce. Mari siedziała nieruchomo, bez słowa, jakby niczego nie czuła i chciała być posłuszna.

Opuścili dom przed południem. Mari spakowała swój niewielki dobytek do wiklinowego kosza, a każdy z chłopców niósł własny tobołek. Renardette poradziła Mari przyciszonym głosem, żeby nie wracała do Wobik, gdzie ludzie bardzo źle traktują kobiety. Mari zerknęła na Chamę, który ostrzył noże, nadstawiając ucha.

– Tu źle zostać. Chodź z nami. Do misji, gdzie bezpiecznie.

Zeszli na podwórko, na którym na rozstawionych nogach stał jako kolos Monsieur Trépagny. Niespodziewanie zwrócił się do René.

– Na co się gapisz? Idź z nimi! A w Wobik każ Philippe'owi Bosse przywieźć mi wozem kufry. Są już na pewno w domu Monsieur Boucharda. I wracaj najpóźniej za pięć dni.

René przeniósł Theotiste'a przez rzekę, Elphège wlókł się za nimi. Mari podała rękę bojaźliwej Renardette i przeprawiła się wraz z nią na drugi brzeg, jakby na dnie rzeki ułożono dla niej chodnik. Ruszyli zarośniętym szlakiem na wschód do Wobik.

– Czy w Wobik są twoi krewni? – zapytał René, zwracając się do Mari, choć znał odpowiedź.

– Nie. Nie w Wobik – odpowiedziała przyciszonym głosem.

– Więc gdzie?

Milczała przez długi czas. Gdy zatrzymali się w południe, żeby zaparzyć herbatę, odpowiedziała mu:

– *Sipekne'katik*. Rzeczni ludzie. My. Przez całe życie ta rzeka albo inna. *Mi'kma'ki* nasz dom. Dobre rzeki. Dobre jedzenie.

Węgorze, ryby. Dobre zioła. Lepsze. Tu źle. – Podała chłopcom placki kukurydziane posmarowane *cacamos*.

– Skąd się wzięłaś w domu Monsieur Trépagny'ego? – zapytał, ale nie odpowiedziała, więc maszerowali w milczeniu aż do południa następnego dnia, gdy dotarli do Wobik. Mari zatrzymała się na krawędzi osady przy ścieżce do misyjnego kościoła.

– Tu – powiedziała. – Spowiedź. Msza. Czytanie, pisanie, mówienie po francusku z Père Perreault. – Podała mu dwa kukurydziane placki na drogę powrotną.

– Ty czytasz i piszesz? – zapytał zdumiony i nieco zazdrosny René. Mari nigdy się tym nie chwaliła, a on niczego nie zauważył.

– *Bientôt* – odpowiedziała. – Wkrótce. – Zabrała milczących synów i skręciła ścieżką do misji i plebanii. Tylko Elphège odwrócił głowę, by spojrzeć na René.

René wbił wzrok w ziemię, a gdy wypatrzył kwiat obuwika, zerwał go i przypiął drzazgą do koszuli, delektując się piżmowym zapachem.

Poszedł prosto do domu Monsieur Boucharda. Sto metrów dalej lśniła i prężyła się w słońcu rzeka. Na brzegu leżały dwa duże czółna, a pod świerkami obóz rozbijała grupa mężczyzn i kilka indiańskich kobiet. Byli to handlujący futrami traperzy z *pays d'en haut*, zmierzający do Tadoussac albo Kébec. Wyglądali groźnie, mieli potężne barki, piersi, szyje i ramiona, mocne nogi, wszyscy byli brodaci, smagli od dymu ognisk, a na tłustych

włosach nosili czapki z frędzlami. Uwagę René zwrócił muskularny młodzieniec, uginający się pod dwoma belami futer. Jego twarz była znajoma. Ale odwrócił się i zniknął w cieniu drzew.

– Ach, Monsieur Sel – powitał go Monsieur Bouchard z serdecznym uśmiechem, unosząc z zadowoleniem żółte brwi na widok młodego drwala z lasu. René poinformował go, że Monsieur Trépagny przechrzcił Léonardette na Renardette, bo uznał, że jej znamię przypomina lisią mordę, że odesłał z lasu Mari wraz z synami oraz że życzy sobie, aby przywieziono mu do domu kufry.

– No, tak. Tak właśnie postępują szlachetni panowie, gdy na horyzoncie pojawi się zamożna dama z koneksjami. Owszem, Philippe Bosse może zawieźć mu kufry, za co elegancki Monsieur Trépagny du Triomphe z pewnością sowicie go wynagrodzi, skoro żeni się z bogatą Melissande de Mouton-Noir. Zajmę się tym po południu, żeby mógł nadal udawać szlachcica. Z pewnością chce, żeby kufry trafiły do tego dużego domu, który nazywa „dworem”?

– Nic mi o tym nie mówił.

René rozejrzał się po izbie. I zauważył biblioteczkę z książkami ze złotymi literami na grzbietach. Rozpoznał tylko „R”.

– Philippe znajdzie go i zapyta. A ty pewnie już karczujesz swoją ziemię? Zbudowałeś sobie dom? Znalazłeś kobietę, z którą się ożenisz?

– Monsieur Trépagny jeszcze nie przyznał mi ziemi. – René stracił rachubę lat na służbie.

– Doprawdy? – Monsieur Bouchard wyjął z szuflady gruby rejestr i przerzucił strony. – No cóż, moim zdaniem już dawno minęła na to pora. Pracujesz u niego od pięciu lat i czterech miesięcy. Jest ci winien zapłatę. Napiszę do niego list i wyślę przez Philippe'a. Ale znalazłeś już ziemię, na której chciałbyś osiąść?

– Widziałem kilka dobrych miejsc na zachód od posiadłości Monsieur Trépagny'ego. Jedno z nich to stara indiańska polana jakąś milę od rzeki, ale blisko strumienia, który płynie przez całe lato i jesień. Inne to las z czystym źródłem bijącym spod żółtej brzeziny. To ładny kawałek mieszanego lasu.

Monsieur Bouchard zerknął na zwiędnięty kwiatek przy koszuli René.

– Ach, butonierka! Pewnie nie słyszałeś, ale do Kébec przybył młody doktor, który bada indiańską farmakognozję. Każdego dnia przypływa tu coraz więcej utalentowanych ludzi. A tobie, chłopcze, należy się już ziemia.

Długie zdania i słowa wypowiadane przez Monsieur Boucharda wprawiały René w konsternację, ale kiwał potakująco głową, jakby wiedział, co może znaczyć ta „farmakognozja".

– Oczywiście najlepiej jest wybrać zalesiony grunt i wykarczować drzewa. Im więcej ich zetniemy, tym szybciej pojawią się tu piękne farmy i następni osadnicy. Ale pamiętaj, żeby nie wycinać tej żółtej brzeziny. Jak ją wytniesz, wyschnie twoje źródełko. Możesz tam paść krowy. – Westchnął. – Monsieur

Trépagny nadal będzie panem tych ziem. Jak to mówią: „nie ma bezpańskiej ziemi”. Ma duże posiadłości. A jak urośnie ci zboże, będziesz je woził do jego młyna, żeby je zemleć na mąkę z Nowej Francji.

– On chyba nie ma młyna.

– Ale postawi młyn, zapewniam cię. To jeden z obowiązków *seigneura* wobec *habitants*. Prawdopodobnie przekona następnych ludzi, żeby się u niego osiedlali. – Odłożył rejestr i uśmiechnął się zdawkowo.

– Panie… – odezwał się René. – Czy mogę o coś zapytać?

– O co? – Oblicze urzędnika spoważniało.

– Mari, ta indiańska kobieta, powiedziała mi, że uczy się czytać i pisać u księdza w misji. Czy to prawda?

– Père Perreault próbuje uczyć Indian liter, czytania i pisania. Do czego im to jest potrzebne, oprócz studiowania Pisma, nie wiem. Ale tak postępuje wielu Francuzów, a zwłaszcza traperów: dobrze żyją z tuziemcami. Nie wszyscy, rzecz jasna. Większość farmerów i osadników nie lubi *les sauvages*.

– Czy on mógłby…?

– Co? Nauczyć ciebie liter? Musisz koniecznie go o to zapytać, ale jestem pewny, że musiałbyś zamieszkać w misji. Gdybyś osiadł bliżej Wobik, z pewnością nie byłoby z tym problemu, wszystkiego by cię nauczył. Tu mieszka już dwadzieścia rodzin. Więc zastanów się, czy nie lepiej wybrać ziemię gdzieś bliżej, zamiast dwa dni

drogi stąd przez puszczę. – Podnosił i opuszczał konspiracyjnie jasne brwi.

René odrzekł, że rozważy wszystkie za i przeciw. Ale Monsieur Bouchard wiedział, że tego nie zrobi. Miał uparte oblicze człowieka o umysłowości jakby wyciosanej z kamienia, człowieka, który woli żyć w dzikiej puszczy, nieskończonym lesie, który zdumiewa i przeraża.

W drodze powrotnej René miał o czym myśleć: o Mari – Indiance, która potrafiła zapewne czytać i pisać; o tym, że i on mógłby posiąść arkana tej sztuki; ale nade wszystko o tym, że jest już wolny i Monsieur Trépagny winien nadać mu ziemię. Misja i zamieszkanie blisko osady były prawdziwą pokusą, czuł jednak, że jego miejsce jest w lesie. Bo Wobik, ten błotnisty wykarczowany brzeg rzeki, na którym wzniesiono osadę, za bardzo przypominał mu Francję.

W pewnej odległości od miejsca, w którym Monsieur Trépagny zabił przed laty ursona, René miał jakieś przeczucie. Zwolnił kroku, stawiał stopy najciszej jak umiał i nadstawiał ucha. Nic. Poszedł dalej, ale przeczucie jakiegoś zagrożenia nie opuszczało go. Cztery lata przerażających opowieści Monsieur Trépagny'ego o lesie, zapamiętane indiańskie legendy o okolicy nadwerężyły jego francuską racjonalność. Zaczął wierzyć w *wittiku* i jego kamratów, tak jak wierzył w diabła i anioły. Szedł dalej, czując, że ma obnażony i wystawiony na atak kark, napinając do granic

wszystkie zmysły. Irokezi znajdowali się daleko na południe i zachód, choć słyszał, że zdarzało im się zapuszczać w lasy północy i masakrować jak niewidzialne duchy osadników. Zastanawiał się, jakie zwierzę może tropić człowieka: niedźwiedź, puma, wilki? Z tych istot największą magiczną moc przypisywano niedźwiedziom. Więc może to niedźwiedź wącha pozostawione przez niego ślady, choć to bardzo wątpliwe. O tej porze roku niedźwiedzie opychają się jagodami i tłustymi ćmami – jedzą i jedzą. Zatrzymał się, wypatrując wskazujących drogę nacięć na drzewach – bo z czasem nacięcia te blakły i szarzały, stając się trudno widoczne o zmroku – gdy usłyszał trzask łamanej w ponurym lesie gałązki.

W tej samej chwili pomiędzy konarami i igłami drzew pokazały się i zniknęły gęby demonów. Poczuł w trzewiach strach przed Irokezami i zadawanymi przez nich niewypowiedzianymi mękami. Nigdy nie wróci na polanę Monsieur Trépagny'ego, nigdy nie odbierze swojej ziemi.

Nieco dalej od szlaku wypatrzył modrzewiowy młodniak. Może zdoła się ukryć między drzewami, bo nikt, nawet opętani Irokezi, nie jest w stanie pokonać tylu tak ciasno rosnących i kłujących drzew. Zaszył się w młodniaku.

Ciągle czuł za sobą czyjąś obecność, pogrzebał w kieszeni, gdzie znalazł kawałek kukurydzianego placka, a jednocześnie zwietrzył zapach dymu. Ogniska Irokezów.

Bał się rozpalić ogień, więc zwinął się w kłębek pod modrzewiami i spędził noc na nasłuchiwaniu – drżąc przy tym z

zimna – czy ktoś się zbliża. Widział w ciemności blade kwiaty dziwidła i świecące po zmroku grzyby. Te tlące się, niewidzialne za dnia ślady wyznaczały szlaki demonów.

O pierwszym brzasku znalazł się na ledwo widocznej leśnej ścieżce i maszerował szybko. Nieustannie narastało w nim przeczucie, że jest tropiony, więc ruszył niemal pędem, będąc pewny, że słyszy za sobą ciężki oddech Irokezów. Potem przystanął. Ucieczka mu nie pomoże. Ukrył się za świerkiem rosnącym kilka metrów od ścieżki i czekał. Niech pojawią się ci Irokezi. Stawi im czoło, zniesie tortury i umrze jak inni. Taka jest kolej rzeczy, gdy żyje się w Nowej Francji.

Po niezbyt długiej chwili usłyszał nie tylko trzask łamanych gałęzi, ale i głos, dwa głosy, mówiące śpiewną francuszczyzną:

– …znajdziesz wiele irokeskich trupów… *plusiers corps iroquois*…

Potem śmiech. Francuzi! Ujrzał między drzewami idących i wyszedł na ścieżkę. Stał napięty i gotowy do podjęcia walki. Ujrzeli go.

– A! Czeka na nas!

Byli niscy i muskularni, mieli czarne brody, szerokie ramiona, mocne ręce, gęste czarne brwi i czerwone usta: *hommes du nord*, traperzy, ludzie z północy. Poznał ich po dużych oczach – oczach Monsieur Trépagny'ego – z czarnymi źrenicami i pobłyskującymi białkami. Nosili się na modłę wędrownych handlarzy futrami: jeden miał długą czerwoną czapkę, a drugi chustę przewiązaną na

głowie; obaj mieli irchowe pludry i indiańskie przepaski na biodrach, jakby nie dbali o kąsające komary i muchy. Do tego jaskrawe szarfy przewiązane w pasie i wełniane koszule. Byli pijani i trzymali w rękach butelki z napitkiem, którym raczyli się po drodze. Byli to z dawna oczekiwani bracia Monsieur Trépagny'ego, którzy wraz z innymi traperami przybyli do Wobik.

Przedstawili się. Toussaint miał brodę do piersi, a Fernand tylko krótką szczecinę na policzkach. *Oui, Tabernacle!* Tak, na święte tabernakulum, zdążają na wesele Claude'a, i tak, szli śladem René, wypatrując jednocześnie nacięć na drzewach. Wkrótce nadejdą też ich towarzysze, bo nikt nie przepuści wesela w tym pustym i posępnym kraju. Jeden z ich towarzyszy zostanie w Wobik i będzie pilnował futer, bo choć zna drogę, nie przyjdzie na wesele, gdyż pała niechęcią do Claude'a Trépagny'ego. Podali butelkę René, który wkrótce się upił, a dwaj bracia rozochocili się jeszcze bardziej, chwaląc się swoim swobodnym, niczym nieskrępowanym życiem i śpiewając niekończące się piosenki. Toussaint chełpił się tym, że zna ich ponad czterdzieści, a Fernand przebił go znajomością aż pięćdziesięciu piosenek, które miał zamiar zaśpiewać po kolei, począwszy od *Petit Rocher*. Zaczął dobrze, ale umilkł po siódmej zwrotce i spojrzał na René.

– Myślisz sobie pewnie, że nie robimy nic innego, tylko włóczymy się po lesie, śpiewając piosenki? Nic z tego! Prowadzimy, jak powiadają, twarde życie, mocno kochamy, mocno śpimy i pożeramy łosiom nosy!

Toussaint wcisnął mu w rękę kawałek mięsa, mówiąc, że to nie jest nos łosia, tylko pemikan. Mięso było ostre, nieco stęchłe, tu i ówdzie porastały je włosy i pokrywały kulki tłuszczu – żółte jak kurze łapki. Przeżuwało się je długo, od czego puchło w ustach. Napił się whiskey, żeby spłukać pemikan.

René przypomniał sobie, co powiedzieli o swoim towarzyszu, który został w Wobik przy belach z futrami, i przypomniał sobie mężczyznę, chowającego się w cieniu świerków nad rzeką, i nagle już wiedział, kto to jest.

– Ten, który został w Wobik, ma zepsute zęby?

– Zepsute zęby? Nie! *Chalice*! W ogóle nie ma zębów! Żywi się kukurydzianą papką i bulionem. Nie może żuć pemikanu i byłby dla nas ciężarem, gdyby nie to, że sam warzy sobie posiłki.

– Czy nie nazywa się Duquet albo coś w tym rodzaju?

– Duquet. Skąd wiesz?

– Przypłynął ze mną statkiem jako *engagé* na służbę u tego samego pana, waszego brata Monsieur Claude'a Trépagny'ego. Któregoś dnia uciekł do lasu. Wasz brat myśli, że pożarł go *loup garou*.

– Ha! Nie został pożarty, a jeśli, to tylko trochę, z wierzchu. Zna się na rzeczy. Zna ważnych kupców handlujących futrami, nawet Anglików. Chwali się, że będzie bardzo bogaty.

René nie zwierzył im się, co myśli o powodach, dla których Duquet unika Monsieur Trépagny'ego.

Spotkanie trzech braci i ich stryja, Chamy, miało hałaśliwy, a przy tym sentymentalny przebieg. Wszyscy się popłakali, ściskali, przeklinali, pili whiskey, poklepywali po plecach, przypatrywali sobie nawzajem, znów zalewali łzami i gadali. Przybyłym braciom nie podobał się zrąb. Żyli w taki sposób, mówili, by nie zostawiać blizn na lesie, by nie obdzierać go ze skóry. Pływali po rzekach, a gdy ich czółno znikało w dole strumienia, lasy pozostawały takie, jakie były od zawsze – milczące i nieskończone.

– Stryju, musicie znów popłynąć z nami w góry, do *pays d'en haut*. Znów się zabawimy!

Ale Chama uśmiechnął się tylko ze smutkiem. Cierpiał na lumbago, a z każdym mijającym rokiem wykrzywiał się coraz bardziej. Nie mógłby już prowadzić twardego życia wędrowca, tak twardego, jak opisywali je nielitościwi bracia: wiosłowania po dwadzieścia albo i trzydzieści godzin bez przerwy. Wymieniali bohaterów, których pochłonęła woda, płakali, wspominając przyjaciela, który złamał sobie nogę tak nieszczęśliwie, że z przekłutego ciała wystawała kość. Zanurzyli go w lodowatej wodzie po szyję, żeby umarł.

– Nie tak znowu dawno temu, krócej niż zajmuje zaśpiewanie całej piosenki *J'ai trop grand' peur des loups*, którą kazał nam śpiewać. To była jego ulubiona pieśń: *Bardzo boję się wilków*. Śpiewał z nami zwrotka po zwrotce i szczękał zębami, aż zwolniło mu serce i przeszedł na drugą stronę.

Zaczęli opowiadać historie innych *coureurs de bois*, leśnych włóczęgów, których spotkała przedwczesna śmierć.

– …albo weźmy takiego Médarda Baie, który cierpiał na bolesne skurcze trzewi i zmarł na bobrową chorobę.

– Bo nażarł się tej trującej rośliny, którą z uwielbieniem zajadają bobry, a i Indianie, jak słyszę. Ale dla Francuza to śmierć.

Do ślubu zostały cztery dni. Panna młoda wyruszyła z Kébec i spodziewano się jej nie wcześniej niż po trzecim wschodzie słońca. Wraz z nią jechał ksiądz, nie Père Perreault, ale wyżej postawiony hierarcha z Kébec. Sakrament małżeństwa zostanie udzielony w wielkim domostwie Monsieur Trépagny'ego, który obecnie, mając na sobie lekko ubrudzone, wykwintne paryskie odzienie, nadzorował dwóch Mikmaków, ładujących wóz rzeczami potrzebnymi w eleganckiej siedzibie. W wielkich kominkach rozpalono ogień, by osuszyć wilgoć, podłogi zarzucono sianem. Ci sami Indianie postawili pod sosnami pod nadzorem Chamy długi jadalny stół. Wszystko było gotowe, oprócz dań na weselną ucztę.

– *Mon dieu*! – zawołał Monsieur Trépagny. Zapomniał na śmierć o kucharce, a przecież odesłał Mari i dopiero teraz zdał sobie sprawę z wielkiego problemu.

– Jakiego problemu? – ryknął Toussaint. – Nakarmisz gości pemikanem! My codziennie raczymy nim dwudziestu ludzi i nikt się nie skarży.

Monsieur Trépagny zwrócił się do René:

– *Vite*! *Vite*. Wrócisz biegiem do Wobik i sprowadzisz Mari. Prosto tutaj. Niech zabierze wszystko, co będzie jej potrzebne do weselnej uczty. A my tymczasem upolujemy zwierzynę i nałapiemy ryb. *Vite*!

Mari i Renardette siedziały przed misją, skubiąc drób. Mari ze stoickim spokojem wysłuchała żądania Monsieur Trépagny'ego i dalej skubała pierze, które rzucała na ziemię. Lekki wiatr podrywał i obracał piórka. Mijały minuty, a Mari wciąż milczała.

– Więc pójdziesz ze mną? Będę niósł wszystko, co ze sobą weźmiesz. Monsieur Trépagny kazał ci to dać… – pokazał jej lśniącą monetę. – I dał jeszcze jedną na zakupy na weselną ucztę. – Pokazał jej drugą.

– Elphège ustrzelił z łuku dobrą kaczkę – powiedziała, obracając ptaka tłustą piersią do przodu. René zerknął na Elphège'a, który skromnie opuścił głowę.

– Bardzo dorodna kaczka – oznajmił René. – Najdorodniejsza w całej Nowej Francji. Może Monsieur Trépagny zapłaci i za nią?

– Kaczka jest dla *maman* – odrzekł Elphège, a potem, zawstydzony jeszcze bardziej rozmową, uciekł za budynek misji.

Renardette stała z boku, rozgrzebując kolistymi ruchami pięty leżący na ziemi piasek.

– W domu Monsieur zostawiłam dobre piwo.

René pojął, że Mari woli zostać w misji i upiec kaczkę Elphège'a. Ale Indianka wstała i weszła do misji, a on poszedł za nią.

Włożyła oskubaną kaczkę do koszyka. Zdjęła z haczyka kubrak i powiedziała:

– Père Perreaulta nie ma. Nie wie. List napisać muszę.

Zdjęła z półki kałamarz i pióro, znalazła skrawek papieru, usiadła przy stole i postawiła na papierze rządek znaków.

– Co napisałaś? – zapytał zaciekawiony René.

– To pióro mówi: „Gotuję przez trzy słońca". To napisałam.

Widział na własne oczy, że Mari umie pisać, choć wydało mu się, że litery przypominają wijące się robaki, a nie jego wspaniałe „R".

W drodze powrotnej Mari zapuszczała się kilka razy do lasu, żeby zebrać dziką cebulę, grzyby i zielone zioła. Nad rzeką szukała dosyć długo jakiejś rośliny, a gdy ją znalazła – wysoką, o pierzastych liściach – oderwała od niej torebki z nasionami i schowała je do oddzielnej sakiewki. Gdy znaleźli się na polanie Monsieur Trépagny'ego, okazało się, że jego bracia upolowali sześć saren, a Chama złowił wielkiego jesiotra, z którego wyjmował ikrę i wkładał ją do wiadra. Mari nie odezwała się ani słowem do żadnego z nich, poszła prosto do starego domu i zaczęła wyciągać garnki i kotły, które należało przewieźć do domu weselnego. Z kredensu wyjęła suche jagody i orzechy. Znalazła gliniany półmisek do ciasta, zaniedbany podczas jej nieobecności.

Wyskrobała z niego resztki, dodała do tego mąki i wody, przykryła i zaniosła na wóz. Nasiona, które zebrała nad rzeką, odłożyła na najwyższą półkę w kredensie. Rozmawiała z Monsieur Trépagnym tak cicho, że tylko on słyszał, co mówiła.

– Jutro pieczenie chleba. Jutro całe gotowanie. Potem do misji.

– Hę? – mruknął Monsieur Trépagny. – Zobaczymy.

5

WESELE

1698

Pannę młodą, jej służącą oraz księdza miał przywieźć na ślub Philippe Bosse w świeżo pomalowanym z tej okazji powozie. Bracia pana młodego oraz ich towarzysze traperzy pili i urządzali sobie zapasy pod sosnami. Monsieur Trépagny chodził w tę i z powrotem, wbiegał do rezydencji, żeby coś poprawić, a potem znów wybiegał i zaglądał Mari do garnków, by na końcu wbić wzrok w ciemną *allée*. Elphège rozpalił matce ognisko do gotowania i pieczenia: długi parów, nad którym obracały się na rożnach udźce dziczyzny i smażył się wielki jesiotr przybity do cedrowej deski. Mari biegała od parowu do mniejszego ogniska, nad którym gotowała warzywa i zioła. W jednym garnku warzył się kukurydziany pudding z syropem klonowym i suszonymi jabłkami – przysmak pana młodego, którym ten objadał się bez opamiętania. Pudding bulgotał na wolnym ogniu, a Mari posypywała go nasionami, które zebrała nad rzeką.

Weselni goście z Wobik zjawiali się parami i grupami i siadali w cieniu drzew, delektując się pysznym piwem Renardette, rozmawiając i podziwiając wspaniałą rezydencję Monsieur Trépagny'ego. Zaglądali do wielkiej sypialni, obwieszonej sprowadzonymi zza morza gobelinami i dotykali z zaciekawieniem puchowych poduch stwardniałymi od pracy palcami.

– Jak w starej Francji…

– *Dieu*, aż za bardzo…

Usłyszeli pannę młodą o wiele wcześniej, niźli ją ujrzeli.

– Słyszycie? – zapytał Elphège. Towarzystwo umilkło i nadstawiło ucha. Nagle z lasu wypadły trzy jelenie i rozbiegły się w różne strony. Teraz wszyscy usłyszeli odległy szczebiot, który nasilał się stopniowo, aż stał się spiętym, żeńskim, przepełnionym emocjami sopranem.

– Nie zgadzam się! Oszust! Szalbierz! Wszędzie pełno dzikich! Ani grama cywilizacji! Sami chłopi! Same drzewa! Zostałam obełgana! Mój stryj został obełgany! Ktoś za to zapłaci! Odmawiam! Natychmiast wracam do Paryża! *Je vais retourner à Paris*!

A minęło jeszcze dobre dziesięć minut, zanim obłożony futrem powóz Philippe Bosse'a ukazał się w alei.

Toussaint zwrócił się do Fernanda:

– Jest tak brzydka, że musi być bardzo bardzo bogata.

Panna młoda miała purpurowe oblicze, a barwę tę wzmocnił jeszcze francuski róż nałożony w dużych ilościach na policzki.

Spod peruki wystawały pomarańczowe kosmyki włosów. Służąca pani wyglądała tak, jakby miała sztylet za podwiązką. Burtę powozu ściskał kościstą dłonią sprowadzony ksiądz, Père Beaulieu, o kamiennej twarzy. Panna młoda skierowała spojrzenie na Monsieur Trépagny'ego.

– Pan Trépagny! – zawołała. – Wytłumaczysz mi się panie z tego obrzydlistwa! – Machnęła lekceważąco dłonią w stronę rezydencji. – Co za stodoła! *C'est un vrai taudis*! Wytłumacz mi, panie, jakim cudem ta rudera stała się „wspaniałą wiejską rezydencją", a ta głusza „wielkim bogatym miastem", którego zalety zachwalałeś mojemu opiekunowi?

Wyskoczyła z powozu z gibkością inuickiego myśliwego, aż traperzy zaklaskali w dłonie. Obdarzyła ich pełnym wzgardy spojrzeniem i pomaszerowała prosto do domu z pokojówką. Monsieur Trépagny i Père Beaulieu poszli za nimi.

Philippe Bosse skarżył się przyciszonym głosem towarzystwu:

– Tłumaczyłem jej: „Madame, zobowiązałem się zawieźć panią do wspaniałej rezydencji Monsieur Trépagny'ego w tym pięknym lesie i dotrzymam słowa. Co stanie się dalej, zależy od pani narzeczonego".

Wszyscy spodziewali się, że panna młoda, jej groźnie wyglądająca służąca i kościsty ksiądz wybiegną z domu, wskoczą do powozu i potoczą się z powrotem do Francji. Ale nic takiego się nie stało. Weselni goście słuchali natomiast kłótni, prowadzonej zapalczywym i wściekłym, ganiącym i sarkastycznym głosem

panny młodej, przymilnym, przepraszającym i błagalnym głosem Monsieur Trépagny'ego, między którymi dał się słyszeć tonujący emocje, uspokajający pomruk księdza. Na takiej kłótni upłynęła blisko godzina, po której głos panny młodej złagodniał, a pana młodego wzniósł się wyżej.

Toussaint, Fernand i Chama, a także René, słyszeli już wcześniej takie przemowy:

– Bujny las… nieskończone hektary ziemi… żyznej ziemi… ryb tyle, że można by nimi nakarmić cały świat… potężne rzeki… piękne miasta przyszłości… *domus*.

Zapadał zmrok. Chama, Elphège i Philippe Bosse rozpalili ognisko, a traperzy napoczęli beczułkę whiskey. Czekali.

– Jakby na to nie patrzeć, czeka nas uczta! – odezwał się Toussaint, patrząc łakomie na pieczyste. Ruszył wraz z towarzyszami do stołu, na którym Mari postawiła kociołek z węgorzami w sosie, tłustą kaczkę polaną drogą cukrową polewą, talerze z kukurydzianymi plackami, *cacamos* łosia, upieczone udźce dziczyzny z chrupiącą skórką oraz rozmaite kasze i sosy. Wzdłuż stołu podawano sobie butelki z wiśniówką. Lecz nim ktokolwiek tknął smakowite potrawy, rozległ się okrzyk. Monsieur Trépagny stanął w kamiennym progu domostwa, a za nim Melissande de Mouton-Noir z twarzą czerwoną i pofałdowaną od płonącego wszędzie ognia. Monsieur Trépagny rozłożył szeroko ręce, jakby miał zamiar zerwać się do lotu, po czym oznajmił:

– Proszę o uwagę! Zapraszam gości w moje skromne progi.

Rozległ się szmer radości i oczekiwania.

W salonie goście usiedli na nieheblowanych jeszcze ławach, wpatrując się w parkiet, ozdobny dzwon i baśniowy żyrandol, którego kryształy rozpraszały płomienie świec na tysiące iskier, nadających wszystkiemu majestatyczny, katedralny wygląd. Kobiety z Wobik spoglądały zazdrośnie na żeliwny kominowy żuraw, utrzymujący garnki w trzech różnych pozycjach, w zależności od potrzeb.

Po ceremonii zaślubin rozpoczęło się wesele. Elphège rozpalił ogniska, których płomienie rozświetlały całą okolicę. Goście podchodzili do stołu, traperzy biegli doń pędem, by jak najszybciej nadziać i pociąć porcję pieczystego. Mieszkańcy Wobik kosztowali mięs z opanowaniem właściwym lepszemu towarzystwu. Monsieur Trépagny podawał butelki o różnych kształtach: czerwone wino, rum, brandy, whiskey, a nawet szampan, prawdziwy francuski szampan. Dwóch traperów miało ze sobą skrzypce, na których zaczęli grać, a pozostali klaskali do rytmu i śpiewali. Głośna muzyka i tupanie tancerzy, którym powiewały jaskrawe szarfy, nie pozostawiały złudzeń co do plebejskości zgromadzonych. Nawet panna młoda o czerwonym obliczu ruszyła w tany, a Monsieur Trépagny dokonywał cudów tanecznej gibkości. Rzępolenie skrzypiec odbijało się echem od ściany lasu, płosząc wszystkie złe duchy, które zakopywały się w ziemi, czekając, aż weselna uczta dobiegnie końca. Pod krzakiem stał

przykryty ściereczką kukurydziany pudding, posypany obficie nasionami jadowitego szaleju – pożegnalny prezent Mari dla pana młodego. Indianka czekała na odpowiednią chwilę, żeby go podać.

Niebo już jaśniało, gdy ostatni tancerze zawijali się w koce pod świerkami. Tylko traperzy nie spali, siedzieli wokół ogniska i podawali sobie którąś z niezliczonych butelek. René wypytywał ich o Duqueta.

Duquet, jak mówili, był sprytny. Miał wysoko postawionych przyjaciół w kompanii handlowej. Znał ważnych ludzi. Handlował na boku, zatrzymując dla siebie wszystkie futra kun. Zabierał na północ zakazaną wodę ognistą i upijał Indian, żeby handlować z nimi w najkorzystniejszy dla siebie sposób.

– Duquet jest silny, bardzo silny, najsilniejszy z nas. I potrafi wszystko znieść i wytrwać.

Bycie silnym oznaczało tutaj największe uznanie, a Duquet stawał się legendą północy.

René myślał, że *seigneur* zległ już z panną młodą i ze zdziwieniem przekonał się, że Monsieur Trépagny stoi po drugiej stronie ogniska i słucha. Płomienie bladły w świetle poranka.

– Ten Duquet – odezwał się, mówiąc najpierw cicho, a potem coraz głośniej i szybciej, przewracając przy tym oczami. – Ten Duquet! Czy to ten sam Duquet, który podpisał ze mną kontrakt na służbę przez trzy lata? – Głos *seigneura* wzniósł się do ryku. – Czy to ten DUQUET, który uciekł ode mnie jak wściekły pies? To o TYM Duquecie mówicie? – Spojrzał gniewnie na braci.

Toussaint nie odpowiedział, zwiesił tylko głowę ze zmierzwioną pobrudzoną brodą, natomiast Fernand przewrócił groźnymi oczami Trépagnych i odrzekł:

– *Ouai*. O tym samym. Powiedział nam, że jesteś okrutnikiem.

– Ach… – sapnął Monsieur Trépagny. – Jeszcze nie zaznał mojego okrucieństwa. Wracacie do Wobik? Pójdę z wami. Ściągnę tu tego psa. Odsłuży swoje trzy lata i przekonamy się, kto jest okrutnikiem.

– Bracie – odezwał się Toussaint – lepiej będzie, jeśli dasz spokój Duquetowi. To niebezpieczny człowiek.

Monsieur Trépagny, oburzony tą herezją, wrzasnął do Elphège'a:

– SIODŁAJ MI KONIA!

– Wasz pudding, panie – zagadnęła go Mari, podnosząc zimny garnek. René zauważył wściekłe spojrzenie *seigneura*, który popędził do domu.

Nie było go przez kilka minut, musiał wyjaśnić świeżo poślubionej małżonce swój pośpieszny wyjazd. To wystarczyło, żeby Toussaint i Fernand pobiegli nad rzekę i wskoczyli do łodzi brata. Chwycili za wiosła i machali nimi jak opętani, wykonując ze czterdzieści pięć uderzeń na minutę. Popłynęli w dół rzeki do Wobik. Koń Monsieur Trépagny'ego okazał się wolniejszy od łodzi i kiedy pan wpadł galopem do osady, było już późne popołudnie, a po zdradzieckich braciach i Duquecie nie zostało ani śladu.

Skradzione czółno leżało wyciągnięte na brzegu, a na zastrzale burty wisiało futro kuny – szyderczy podpis Duqueta.

Wyczerpany i wściekły pan młody usiadł na ganku domu Monsieur Boucharda i czekał na powrót królewskiego urzędnika z wesela, a gdy ten wrócił, Monsieur Trépagny nakazał ścigać urzędowo Duqueta jako zbiega.

– Nie spocznę, póki go nie dorwę, a potem dopilnuję, żeby cierpiał.

Monsieur Bouchard był poruszony pragnieniem zemsty Trépagny'ego, które przypominało mu opowieści ze starych ballad, ale nie miał pojęcia, jak mógłby wykonać nakaz ścigania zbiega, o czym usłużnie poinformował *seigneura*.

– Dorwę go – rzucił Trépagny przez zaciśnięte zęby.

Mari wyrzuciła niezjedzony pudding do żarzącego się ogniska, nad którym rozszedł się najpierw miły zapach, a potem nieprzyjemny odór palących się nasion i cukru. Wróciła do starego domu. Szara sójka, przyglądająca się wszystkiemu z gałęzi, odczekała dzień, póki nie wystygł popiół, a potem zaczęła dziobać z zapałem spaloną grudę. Po kilku dniach Chama znalazł martwego ptaka ze skręconymi w żeglarski węzeł pazurkami – niecodzienny widok.

Monsieur Trépagny wrócił do domostwa w lesie i przez kilka tygodni chodził zasępiony, przygotowując jednocześnie wyprawę w celu pojmania Duqueta. Zaszła w nim jakaś zmiana, która opóźniała wyjazd. Coraz częściej zostawiał nową żonę samą i

spędzał coraz więcej czasu w starym domu z Mari, której zabronił wracać do misji. Na polecenie pana Mari gotowała smaczne posiłki i każdego wieczoru Monsieur Trépagny przebierał się wytwornie i zawoził obiad żonie. Wśród dań nie było kukurydzianego puddingu. Mąż i żona spożywali w milczeniu obiad w eleganckiej jadalni, służąca sprzątała ze stołu, Monsieur Trépagny wypijał kieliszek koniaku, po czym rzucał: „Dobrej nocy, Madame" i wracał do Mari. Nic się nie zmieniło. Mari i jej dzieci jak zawsze rozmawiali i śmiali się cicho, a ich upodobanie dla własnego towarzystwa irytowało pana, który syczał często: „*Silence*!". René często zastanawiał się, o czym Mari rozmawia tak długo z dziećmi, dlaczego wykonuje wtedy takie dziwne gesty i otwiera szeroko oczy. Wiele miesięcy później dowiedział się, że Indianka opowiada dzieciom stare legendy Mikmaków, a podczas tych bajań stroi sobie żarty i wymyśla językowe szarady, z których słynął jej lud. Trépagny nie miał o tym pojęcia, uważał, że dzieci śmieją się z niego, dlatego uciszał je rozgniewany.

Pewnego ranka, gdy René i Chama rąbali drzewa w lesie, pojawiła się przy nich hiszpańska służąca pani Trépagny i podeszła do starego. Podała mu list i oznajmiła, że Madame Trépagny życzy sobie, żeby zaniósł to pismo do królewskiego urzędnika w Wobik. Chama parsknął i pokręcił głową, ale gdy pokazała mu złotą monetę, odebrał list i schował go za pazuchę.

Jego bobrowe posłanie było puste przez dwie noce, wrócił o zmroku trzeciego dnia, niosąc na plecach porwane czółno

synowca, co służyło za wytłumaczenie jego wyprawy do Wobik.

– Co się dzieje? – zapytał starca René.

– Nic dobrego. Monsieur Bouchard zbladł jak ściana po przeczytaniu listu. Oznajmił, że przybędzie tu jutro z księdzem i porozmawia z panią i moim synowcem. To jakaś kłopotliwa sprawa.

6

INDIAŃSKA KOBIETA

1698

Monsieur Bouchard i Père Perreault pojawili się na polanie, jadąc we dwójkę na starym pociągowym koniu urzędnika. René, który niósł kosz z rybami, wyprostował się i zamarł. Goście minęli oborę i nie zatrzymując się, pojechali do małżeńskiej rezydencji Monsieur Trépagny'ego. On sam pracował akurat w starej kuźni, a ujrzawszy przyjezdnych, otworzył drzwi i wybiegł na dwór.

– A dokąd to Bóg prowadzi, Monsieur Bouchard? A ksiądz co tu robi?

Urzędnik obrócił się w siodle, zsiadł z konia i spiorunował wzrokiem Monsieur Trépagny'ego. Père Perreault również zeskoczył z siodła, trzymając w ręku wodze.

Pierwszy odezwał się Monsieur Bouchard.

– Przykro mi, panie, widzieć was tutaj, a nie w waszym wspaniałym domostwie u boku poślubionej żony, Madame Trépagny. Odebrałem list od pani, która skarży się, że nadal cudzołożycie z indiańską kobietą, Mari, i rzadko widuje się was w

małżeńskiej rezydencji, w której rozlokowała się prawomocnie wasza żona i gdzie powinniście, panie, bawić.

Père Perreault odezwał się surowym tonem:

– Wasza żona, panie, chce wrócić do domu stryja we Francji i żąda zwrotu sowitego posagu, który odebraliście, łamiąc sakrament małżeństwa. Zgrzeszyliście, panie, a wasza żona ma święte prawo domagać się zadośćuczynienia. Jej stryj jest potężnym i wpływowym szlachcicem. Zajął się tą sprawą i musicie liczyć się z konsekwencjami dla waszego senioralnego statusu. Proszę was, panie, abyście towarzyszyli nam do waszego domu, gdzie żona oczekuje zadośćuczynienia za przykre i obraźliwe położenie, w jakim się znalazła.

Monsieur Trépagny wzniósł ramiona, jakby gotował się do bójki, ale poszedł posłusznie za przybyłymi prowadzącym na zachód mrocznym szlakiem.

Dzień mijał powoli. René opowiedział Chamie i Mari, co widział i słyszał. Wydało mu się, że na obliczu Indianki błąka się lekki uśmieszek. Gdy Mari weszła do domu, Chama stwierdził:

– Mój synowiec powinien był wprawić się po tego Duqueta. Powinien sypiać z bogatą żoną. Tam, gdzie pojawia się Indianka, zawsze są kłopoty. Trudno, żeby Francuzka przymykała na to oczy!

Zapadła noc, a wciąż nie nadchodziły wieści z rezydencji. Chama interpretował to tak:

– Claude będzie ją błagał, obieca jej wszystko, czego sobie zażyczy, bo nie chce stracić majątku i pozycji. Znam go.

Wczesnym rankiem, gdy René i Chama wychodzili do pracy, z rezydencji wrócili wszyscy trzej mężczyźni w doskonałych humorach.

– Powiedzcie mu od razu, panie – zaczął Père Perreault. – Teraz!

Wszyscy wbili wzrok w René.

– Co? O co chodzi? – zapytał skonsternowany drwal. Nie zdążył jeszcze porozmawiać z Monsieur Trépagnym o przydziale ziemi i bał się teraz, że *seigneur* znalazł sposób, by wyłgać się z obowiązku.

– Ożenisz się z Mari – oznajmił Trépagny. – Natychmiast. Père Perreault udzieli wam ślubu.

– Nie! – krzyknął René. A potem przyciszył głos, bo nie chciał, żeby Mari go usłyszała: – Ona jest stara. I nie chcę się z nią żenić.

Marzył o żonie, ale żona ta miała przypłynąć z Francji statkiem z osadnikami, miała być królewską dziewczyną, jedną z *les filles de roi*. Czarującą i nieśmiałą młódką o błękitnych oczach.

– A poza tym, panie, wy i Mari…

– To wynikało z senioralnych praw pana tej ziemi – odezwał się łagodnie Père Perreault. – Przywilej szlachcica.

– Jednak nie – upierał się René.

– Jeszcze nie poznałeś powodu – odezwał się przyjaznym tonem Monsieur Trépagny. – Mari pomoże ci zbudować własny dom na

ziemi, którą ci przyznam, a będę bardzo hojny. Dostaniesz dwa razy więcej ziemi, niźli się należy. Będziesz miał dobrych służących do pomocy, tych indiańskich chłopców Elphège'a i Theotiste'a oraz służącą Renardette. Mari dobrze gotuje. Ogrzeje cię zimą. Umie leczyć choroby. Jest cenna. Czego jeszcze można chcieć?

Sama Mari stała w progu, słuchając tej rozmowy z kamienną twarzą. Père Perreault skinął, by się zbliżyła. René miał w głowie gonitwę myśli. Oprócz powodów podanych przez Monsieur Trépagny'ego, miał jeszcze jeden, własny: u boku Mari nauczy się czytać i pisać, albo – co lepsze – zda się na nią w czytaniu i pisaniu. Niebieskooka *fille de roi* z jego marzeń rozpłynęła się w powietrzu. I znów ogarnął go wir wydarzeń, z którego nie umiał się wydobyć. Bo cóż można poradzić na decyzje potężniejszych od niego? Skinął głową, raz: tak, ożeni się z Mari, Indianką. Więc sprawa była załatwiona.

W każdym żywocie zdarzają się wypadki, które nadają kształt dalszej egzystencji. Po nich wszystko staje się inne, a przeszłość blednie. Jednym z takich wypadków była dla René śmierć brata, Achille'a, którego kochał nad życie i którego potem straszliwie mu brakowało. Zdecydował się popłynąć do Nowej Francji, by zapomnieć o stracie, nie zdając sobie sprawy, że ból nosi w sobie. Drugim takim wypadkiem było małżeństwo z Mari, do którego został zmuszony.

Monsieur Trépagny sporządził urzędowe nadanie ziemi dla René, oddając mu stary *domus*, kuźnię i ogrody oraz oborę, ale bez krowy, a oprócz tego wykarczowaną, upragnioną przez René, polanę na zachodzie i ziemię z czystym źródełkiem, bijącym spod żółtej brzeziny. René za jednym zamachem stał się majętnym człowiekiem. Père Perreault i królewski urzędnik Monsieur Bouchard wyjechali tuż po krótkiej ślubnej ceremonii i złożeniu podpisu przez Trépagny'ego na nadaniu dla René.

Po ich wyjeździe Monsieur Trépagny odezwał się do Mari z właściwym dla siebie sarkazmem:

– Madame Sel, ugotuj nam obiad, jak zwykłaś to zawsze czynić, a Chama przyniesie posiłek mojej pani i mnie. Od jutra będzie nam gotowała jej służąca, dopóki nie znajdziemy nowej kucharki i sługi. Na targu w Kébec kupimy jakąś Pauniskę, a do tego czarnucha albo dwóch.

Odszedł bez pożegnania na zachód.

Od wielu dni na ścianie wisiało i kruszało sześć słonek. Upolowane ptaki skruszały niemal do rozkładu i właśnie takie ptactwo uwielbiał jeść Monsieur Trépagny. Mari upiekła słonki, włożyła je do dużego kosza, dodała do tego zimny udziec sarny i cztery kawałki ugotowanego na parze jesiotra. René uznał, że *seigneur* nie zasługuje na tak wyborną ucztę. Chama, któremu wpadła w oko hiszpańska służąca, złożył to wszystko na wozie, zaprzągł do niego wołu, a krowę przywiązał z tyłu. Na weselny obiad Mari ugotowała dla nich węgorze, które podlała sosem z

kwaśnej trawy. Rano upiekła chleb, który posmarowała ostatnią osełką masła – muszą się z nim pożegnać, bo krowy już nie będzie.

Krzątająca się przy ogniu i wokół stołu Mari w irchowej tunice wyglądała tak jak zawsze, ale podała René najtłustszego węgorza i musnęła lekko jego dłoń. Gdy chłopcy poszli spać do *wikoumu*, rozłożyła posłanie przed paleniskiem i zdjęła skórzane odzienie. Stała naga przy ogniu – pierwsza goła kobieta, którą widział René; i nie była to wcale jakaś stara indiańska szmata, którą mu rzucono, ale silna, pysznie zbudowana niewiasta. Położyła się na posłaniu i czekała.

René rozebrał się, czując nagle własny tłusty zapach. Położył się obok Mari, która przysunęła się do niego. Jedwabista miękkość jej ciepłej skóry wstrząsnęła nim do głębi. Tak oszałamiającego podniecenia nie doświadczył od czasu, gdy przestał sypiać przytulony do Achille'a, z którym zwykł szeptać na ucho i próbować wszystkiego, co wypadało im próbować. Jędrność ciała Mari, jej twarde mięśnie, zapach chleba, węgorzy i gorzkich ziół doprowadzały go do szaleństwa. Nie była Achille'em, ale myślał o bracie, obłapiając ją.

Rano Mari powiedziała:

– Ty dobry.

Wstała, włożyła sukienkę z wyblakłym indiańskim wzorem i rozpaliła ogień.

René pojął wstrząśnięty, że pod obojętnością kobiety kryła się wiedza i cicha zgoda na wszystko, co niesie życie – postawa, która przypominała mu jego własną, gdyż myślał o sobie jak o bezwolnym piórku niesionym przez wiatr. Mari znała odpowiedzi na najtrudniejsze pytania, bo obdarzeni wielką wyobraźnią Mikmakowie obserwowali świat od wielu pokoleń. Przez kolejne miesiące i lata uczył się od niej. Jego związek z Indianką stał się małżeństwem intelektów i ciał.

Mieli odmienne zdania co do natury lasu. Dla Mari las był żywą istotą, tak żywotną jak rzeki, pełną leczniczych darów, pożywienia, schronienia, narzędzi, które odkrywano i zapamiętywano. Ludzie od zawsze żyli w zgodzie z lasem i byli mu za to wdzięczni. Uważała, że niekończący się wyrąb drzew dla idiotycznego celu „oczyszczania ziemi" był zły. Ale to, myślał René, jest kobieca gadanina. Bór rósł wokół – olbrzymi i nieskończony. Zadaniem mężczyzn jest podporządkowanie sobie tej bujności i poskromienie ziemi, na której rośnie las – nieprzydatnej, póki się go nie wykarczuje i nie obsadzi pszenicą i ziemniakami. Wydawało się, że oboje są na łasce jakichś zewnętrznych sił, którym nie mogą się przeciwstawić, zarówno w sprawach małżeńskich, jak i związanych z wyrębem.

W stojącej dalej na zachód rezydencji sprawy znów przybrały niekorzystny obrót. Panosząca się żona, ciosająca Monsieur Trépagny'emu kołki na głowie i myśląca tylko o powrocie do Paryża, znużyła *seigneura* tak bardzo, że zaczął przeklinać

stworzony przez siebie świat. I znów zamiast myśleć o domu, zaczął pałać żądzą zemsty. Gdyby Duquet był szlachcicem, odszukałby go i wyzwał na pojedynek. Od ucieczki bezzębnego czynszownika minęły już lata, a on wciąż obiecywał sobie, że wyruszy w pościg przy następnej pełni księżyca. Weźmie ze sobą, obiecywał, Elphège'a jako giermka. Tym razem jego decyzję przyśpieszyło zapewne wezwanie Boucharda do publicznych robót przy budowie nowej drogi – tego uciążliwego obowiązku nie mógł uniknąć nikt, nawet ktoś z *particule* w nazwisku.

Mari płakała nocami. Mówiła, że Monsieur Trépagny może sobie ścigać Duqueta nawet do końca życia, ale Elphège nie ma powodu tego robić.

Przed wyjazdem *seigneur* zakopał pod kamiennym progiem posiadłości nieduże metalowe puzderko, mamrocząc przy tym jakieś zaklęcia. Widziała to z górnego okna w korytarzu hiszpańska służąca. Trépagny i Elphège wyruszyli w drogę pod jasną tarczą księżyca i nie słyszano o nich ani o Duquecie, ani o brodatych braciach pana aż do drugiej wiosny.

7

BÛCHERON

1704–1716

Dwa lata mijały powoli, a każdy dzień wypełniony był ciężką pracą. Przez całe drugie lato, myślał René, Mari była bardziej milcząca niż zazwyczaj.

– Odezwij się, Mari! Co się stało? Musisz mi powiedzieć. Chodzi o Elphège'a? Myślisz o nim bez przerwy? – zasypał ją pewnej nocy pytaniami, gdy położyli spać małego Achille'a i nowo narodzone bliźniaczki Noë i Zoë.

Kiwnęła głową, a potem ją opuściła. Zapadła głęboka cisza, tak głęboka, że słyszeli machającą skrzydełkami, lecącą do ognia ćmę i syk płomienia, który ją pochłonął.

– Kobieto, odpowiedz mi! – Chwycił ją za ręce, by podkreślić, że chce ją zrozumieć.

I usłyszał długą smutną historię. Bardzo się bała, że straci Elphège'a. Wspominała czasy własnego dzieciństwa, gdy jej lud mieszkał, jak mówiła, nad brzegiem morza na wschodzie. Któregoś dnia obozowali nad oceanem i ujrzeli żaglowiec z białymi

żaglami. Przybysze przedstawili się jako *les Français*. Lud Mari nauczył *Wenuj* zbierać skorupiaki i jagody, dzielił się z nimi pożywieniem. Jednym z Francuzów był Père Perreault – ojciec Poduszka, jak go nazywała. Wszystko układało się dobrze, aż pewnego dnia przybysze oznajmili, że wracają do Francji i zabiorą ze sobą kilku Mikmaków. Nikt nie chciał z nimi popłynąć, ale *Wenuj* uśmiechali się rozbrajająco, a potem, bez ostrzeżenia, włochaci żeglarze porwali siedmioro ludzi i zawieźli ich łodzią na statek. Była wśród nich Mari. Podniesiono kotwicę i statek odpłynął, nim Indianie na brzegu zdali sobie sprawę z tego, co zaszło. Gdy się zorientowali, biegali wzdłuż brzegu wymachując ramionami i krzycząc, ale żaglowiec odpłynął.

– Wiele dni, wiele dni my chorzy. A potem wpływamy do Flancji.

– Do Francji? Byłaś we Francji?

– Tak. W Paliżu, jechała na wozie, wielki huk! Płakali my. Złe jedzenie, spanie w skrzyni. Długo, bałdzo długo. Blat choly. Kaszle, dusi. *Wenuj* go zabiela. Umiela blat. Umiela *maman*. Ja chola. Na mnie wielkie, piekące, bolące miejsce. Wszystkie umielają. Tylko ja, sama. Z dzieckiem. Znów na statek. Ojciec Poduszka mówi płyniemy do domu. Długo. Ocean zły. *Bébé* umiela. Potem nasza dobla ziemia. Lud Mikmak biega. Śmieje.

Ale radość z ich powrotu nie trwała długo. Przez kilka następnych miesięcy wymarło niemal całe plemię.

Choroba *Wenuj*. Mikmak umiera.

– Choloba ta sama szpeci twarz. – Pokazała ślady po ospie na policzkach i mówiła dalej. Choroba gnijących twarzy zdziesiątkowała wiele plemion, a maleńka indiańska wioska stała się studnią cierpienia.

Zrozumiał, że Mari i inni Mikmakowie zostali porwani na francuski statek i zawiezieni wbrew woli do Paryża, gdzie większość umarła. Mari zachorowała na ospę, ale przeżyła i przetrwała długą drogę powrotną do ojczyzny. Ale przywiozła chorobę ze sobą i przez to wymarło jej plemię.

Wtedy, mówiła, ojciec Poduszka zabrał ją do Kébec. Wyszła za mąż za Louisa, dobrego Mikmaka, ślubu udzielono im w misji. Elphège i Theotiste byli jego synami. I Jean-Baptiste.

– Duży wojownik, ale umiela. Jedno dziecko umiela. Ale Elphège, Theotiste, Jean-Baptiste nie umiela wtedy. Ja do Wobik z ojcem Poduszką. Do misji, co znasz.

Trépagny znalazł ją w misji i najął jako gospodynię, ale wkrótce zaczął się jej narzucać. Tak to było w Nowej Francji.

– Żadne dziecko nie jego. Nie ma lekalstwa na *bébé*. Nie znam. Ty, Lené, lobisz dobrze *bébés*. A telaz Elphège! Mówię: „Wlacaj, Elphège, wlacaj!”

Być może ją usłyszał. Śniegi topniały, wokół drzew tworzyły się ciemne kręgi, a po rozmokłej ziemi płynęły niezliczone strumyczki łączące się w strumienie i potoki. Na polanie pojawił się, kuśtykając, jakiś człowiek.

Poznała go od razu.

– Elphège! – Podbiegła do niego i pomogła mu wejść do domu. Chłopak był wycieńczony, pokryty bliznami i siniakami. Miał spuchniętą prawą kostkę. Nie odzywał się. Oboje pomogli mu wejść do domu i położyli go na posłaniu. Mari rozpaliła ogień i sporządziła napar na sen, podgrzała pożywny bulion z łosia. Przyniosła ze spiżarni białe cedrowe szyszki, rozgniotła je w moździerzu, dodała do nich korzeń i liście paproci, a wszystko to przyłożyła jako opatrunek do spuchniętej kostki. René przyglądał się na półprzytomnemu chłopcu.

– Gdzie jest *seigneur*? Gdzie jest Monsieur Trépagny? – zapytał łagodnie, ale Elphège nie był w stanie mu odpowiedzieć, jeszcze nie.

Mari zaczęła zadawać synowi pytania, na które mógł kiwać lub kręcić głową, więc dowiedzieli się, że Monsieur Trépagny nie żyje, ale jak zginął i kiedy, Elphège odpowiedzieć nie zdołał. Leżał bez słowa, śpiąc i majacząc na przemian, przez dziewięć dni, a potem nagle odzyskał siły. Po miesiącu rąbał już drzewa z René. Milczał i rzadko się uśmiechał, wbijał najczęściej wzrok w ziemię, jakby widok świata był dlań zbyt dolegliwy.

Chama już z nimi nie pracował. Wyjechał do Kébec z panią Trépagny i hiszpańską służącą. Żona pana znów zamierzała wrócić do Francji. Wielkie rozczarowanie rodziną Trépagnych przeżyła hiszpańska służąca. Przed wyjazdem wykopała leżące pod progiem metalowe puzderko, ukryte przez męża pani. Mimo

rdzy na pokrywie otworzyła je z łatwością, ale w środku były tylko ludzkie zęby i pukiel włosów.

Nawet Chama chciał wrócić do starego kraju, aby uprawiać cebulę w ziemi wolnej od korzeni. Rodzina uznała, że Monsieur Trépagny nie żyje. Wyjechali nocą w świetle księżyca, a gdy Mari usłyszała dobiegające z daleka muczenie niewydojonej krowy, poszła do rezydencji i zabrała krowę.

– Dom. Wszystkie drzwi otwarte – powiedziała do René. – Zaraz zamieszka tam lud *porc-épic*.

I rzeczywiście, jeżozwierze bardzo szybko zajmowały opuszczone ludzkie siedziby.

Stryj Melissande de Mouton-Noir, żony Trépagny'ego, napisał do niej kilka listów. Monsieur Bouchard odkładał je w rogu blatu biurka, jakby adresatka mogła się u niego pojawić i odebrać korespondencję. Wreszcie nadszedł niespokojny list zaadresowany bezpośrednio do Boucharda, w którym stryj domagał się wieści o damie, która nie odpowiada na jego zatroskane epistoły. Monsieur Bouchardowi przypadł w udziale nieprzyjemny obowiązek poinformowania pana Mouton-Noir, a wraz z nim namiestnika w Kébec, że żaglowiec, którym pani Trépagny odpłynęła do Francji, rozbił się na skałach kilka mil w dole rzeki od Wobik i cała załoga oraz wszyscy pasażerowie zginęli. Udawał zdumienie, że wiadomość o tej katastrofie nie dotarła do Kébec, gdyż wydarzenie to miało miejsce już jakiś czas temu.

Wiele miesięcy po powrocie do domu milczący dotąd Elphège przemówił nagle przy wieczornym posiłku, schrypniętym z przejęcia głosem. Oznajmił, że pewnego dnia zemści się na Irokezach i ich angielskich panach. Później, tej samej zimy, podczas odpoczynku po długim poranku spędzonym przy obrączkowaniu drzew Elphège opowiedział René, jak irokeskie kobiety usunęły z nóg Monsieur Trépagny'ego wszystkie ścięgna, a potem go zaszyły, zaszyły każdy otwór w jego ciele: uczy, oczy, nozdrza, odbyt i członek, a po dwóch czy trzech dniach Monsieur Trépagny spuchł jak balon i pękł.

– Nie mów o tym *maman* – nakazał René. – Będzie jej przykro.

W głębi ducha uważał, że Mari nie może być przykro, ale nie potrafił zdobyć się na opowiedzenie jej, w jakich męczarniach, zwłaszcza w najczulszych miejscach, konał Trépagny.

Rok później René powiosłował do Wobik wraz z Theotiste'em, który był już na tyle duży, by służyć w pospolitym ruszeniu i wysłuchiwać pouczeń kapitana Boucharda o podstępnej indiańskiej sztuce wojennej, którą Theotiste poznał dobrze wśród wojowników w Odanak – lepiej niż Bouchard sobie wyobrażał. Chłopiec chciał zobaczyć Kébec i Trois Rivières, dokąd wyruszy płynącym w dół rzeki statkiem. Potem, jak mówił, przyłączy się do zbieraniny ludów: Mikmaków, Abenaków, Sokoków, Kowasaków, Penobskotów, Androskogginsów, Mississaugów i dziesiątków innych plemiennych ocaleńców w Odanak, nazywanym przez

Francuzów St. François. René żałował, że Theotiste chce odejść, gdyż wszędzie brakowało ludzi do pracy, a ci, którzy byli, bardzo się cenili. Wiedział, że może liczyć tylko na siebie.

Gdy odpłynął statek z Theotiste'em, zaszedł do dobrze znanej kancelarii kapitana Boucharda. Starzejący się królewski urzędnik miał dla niego wieści.

– Bardzo dobry doktor z Francji, który mieszka w Kébec, gdzie cieszy się wielkim uznaniem, zainteresował się roślinami z naszych lasów. Ten doktor zna się nie tylko na uczonej paryskiej medycynie, ale zbiera wiedzę dzikich o leczeniu. Napisał do mnie list, w którym pyta, czy mógłby spotkać się z Mari. Chce zebrać lecznicze zioła, które tu rosną, jeśli Mari pokaże mu, jakie i gdzie. Z przyjemnością jej zapłaci. Nie wiem ile, bo tylko o tym wspomniał.

– Jak on się nazywa? – zapytał René. – Przyjedzie do nas?

Kapitan Bouchard zajrzał do listu.

– Michel Sarrazine. Słyszałem, że to dobry człowiek. Pisze, że przyjedzie do Mari. Jej sława w leczeniu chorych i rannych musiała, sam rozumiesz, dotrzeć do Kébec. Nie jesteśmy tu, w Wobik, tak godni pożałowania, jak niektórym się wydaje. Choć Mari to tylko Indianka.

Doktor okazał się niedużym mężczyzną o wysokim czole. Nie nosił peruki, ciemne włosy przerzedzały mu się na ciemieniu i skroniach, ale opadały do ramion. Miał pełne czerwone usta i dołki w policzkach, gdy się uśmiechał. Monsieur Bouchard

zastanawiał się, dlaczego nie nosi peruki, i próbował wciągnąć go do rozmowy o książkach i ideach, by wysondować jego zapatrywania. Czy był konserwatystą do szpiku kości, czy raczej pionierem wolnomyślicielstwa, badającym nowe leki? Lecz doktor Sarrazine odpowiedział uprzejmie, że ma niewiele czasu i chciałby spotkać się z Mari najrychlej jak to możliwe. Miał na ramieniu płócienną torbę z notesem, kartonowymi usztywniaczami i rolką bibuły. Dla Mari przywiózł paczuszkę francuskich igieł. Monsieur Bouchard pożyczył mu jedynego konia i przyglądał się ze smutkiem, jak doktor odjeżdża na zachód. Sarrazine wrócił po dziesięciu dniach, podśpiewując z uśmiechem na twarzy. Jego płócienna torba pękała w szwach od okazów dzikich roślin, z których część wyśle do Jardin des Plantes. Bouchard wciąż marzył o uczonej pogawędce, ale odprowadził doktora na płynący do Kébec statek. Na pokładzie doktor odwrócił się, uśmiechnął ujmująco i zasalutował. Bouchard odwzajemnił gest i wrócił do kancelarii.

Mijały gęste od dymu lata, królewskie roboty publiczne doprowadziły do poszerzenia szlaku wiodącego na zachód. Do lasu napływało coraz więcej osadników. Każdego ranka bliskie i dalekie odgłosy rąbania drzew płoszyły dzięcioły, które najpierw wyobrażały sobie stada rywali, a potem, nie mając przewagi liczebnej, odfruwały w spokojniejsze rejony. Drzewa jęczały i padały, a ludzie sadzili kukurydzę między pniami. Jelenie i łosie uciekały, a za nimi ruszały na północ stada wilków. Las na swój

sposób pożerał René, swojego nieprzyjaciela. Zawsze przed nim wyrastał. René nie miał siły przestać go rąbać, a on wyrastał z wigorem na nowo, wypuszczając bezczelnie niezliczone pędy z pni po ściętych drzewach i z wciąż żywych korzeni, jakby nic sobie nie robił z nieustannych wymachów siekiery. Na horyzoncie wciąż było coraz więcej drzew. A René Sel cierpiał, widząc, że wymachy siekierą nic nie znaczą wobec nieskończoności leśnej kopuły zwieńczającej ziemię.

Którejś wiosny Mari rozchorowała się. Nie skarżyła się za wiele, lecz była zbyt wyczerpana, by zajmować się gospodarstwem. Wychudła, a spod skóry okrągłej niegdyś i miłej twarzy wystawały kości czaszki. Miewała halucynacje i zapominała wszystko, co się do niej mówiło, zapominała dzieci, zapominała René i trzeba było przywiązywać ją do krzesła, żeby nie utopiła się w rzece. Renardette zajmowała się nią przez rok, ale pewnego przejrzystego majowego poranka Mari odpowiedziała na wołanie dawno zmarłych sióstr, które pohukiwały na nią jak sowy.

– Siostly mówią „przyjdź”.

Dołączyła do nich po dwóch godzinach.

René nie mógł tego pojąć. Wszyscy wiedzieli, że Mikmakowie żyją bardzo długo i zachowują siły aż do końca. A Mari nie była stara. To była bolesna strata.

– Teraz wypada – zwróciła się do René Renardette po upływie tygodnia – żebyśmy wzięli ślub.

René pokręcił głową, zabrał siekierę i poszedł na zrąb. Renardette, choć dopiero wchodziła w dorosłość, była już spuchnięta od piwa, apodyktyczna i choleryczna, i zawsze dąsała się na wyimaginowane zniewagi. Tej zniewagi nie zapomni.

Koniec przychodzi na wszystkich, nawet na drwali. René przez całe życie pracował jako *défricheur*, *un bûcheron*, czyli jak napisano w starej księdze: „drwal, leśnik, właściciel lasu, właściciel siekiery, rębacz drzew, pilarz, rębajło. Rąbie siekierą, zrąbuje drzewa, tnie je, obcina korony, koruje, tnie na bierwiona, układa w sągi". Przez całe życie ciężko pracował, słony pot zalewał mu oczy, kąsały go insekty w upalnych lasach, jego stwardniałe dłonie cierpiały na przykurcz od styliska siekiery, miał siniaki i krwawe rany, czuł w nozdrzach nieustanny dym od wypalania drzew, a w kościach ból niekończącej się pracy: nieporęcznej piły, podstępnych korzeni, żeleźców, łamiących się trzonków przy szpadlach, nieustannego podnoszenia wielkich i ciężkich kłód drzew.

To Achille, jego syn, znalazł go martwego: klęczał w lesie, z dłońmi splecionymi na stylisku siekiery, której żeleźce było zatopione w cedrze. Czterdziestoletni René zginął od ciosu toporem w szyję. Ostry nóż do skalpowania przeciął mu skórę równolegle do brwi, a potem wokół ciemienia i potylicy. Zdarto mu

skalp, zabrano go, by można go było wykupić. Do końca pozostał wytrwałym drwalem, jego życie i ciało miały kształt siekiery. Podobnie jak życie jego synów i wnuków, którzy przyszli po nim.

II

„...BEZRADNIE WPATRUJĄ SIĘ W JEGO TROPY”

Zhang Ji (768–830)[2]

1693–1727

---

[2] Zhang Ji, “The Song of the Savage Tiger”, *Love and Protest*, ed. and trans. John Scott, Harper & Row, 1972, 76.

8

Forgeron

1694

Duquet uciekł od Trépagny'ego, ale co dalej? Ściskał w ręku kij, bolały go wszystkie zęby, kaszlał, kłuło go w boku, ale szedł wzdłuż rzeki na zachód, aż do zmroku. Zanim się rozwidniło, znów wyruszył w drogę, połykając kawałki ryby, którą ukrył poprzedniego dnia za pazuchą. Pił wodę z rzeki i szedł dalej. Wspiął się na wysoki brzeg na wypadek, gdyby Trépagny i ten półgłówek Sel chcieli go dogonić. Wyżej szło się trudniej, bo ziemia była pocięta parowami. Widział pod sobą bystrzyny, drzewa zanurzone do połowy w rzece, bijące mokrymi koronami o wodę. Głód zmusił go do zejścia nad rzekę, gdzie zdjął koszulę, związał ją przy szyi i rękawach i zanurzył w wodzie pod prąd, czekając, aż jakaś ryba wpadnie w pułapkę. Poszczęściło mu się i mógł się najeść, wysysał sok z surowego mięsa jak pająk. Po ośmiu dniach dotarł – podrapany i brudny, zagubiony w głuszy, lecz prowadzony jakąś niesprecyzowaną potrzebą – nad brzeg innej rzeki, która wpadała do pierwszej z północy. Od północnego zachodu ciągnęły

się tereny zamieszkiwane przez bobry i Indian, którzy je chwytali i sprzedawali ich futra handlarzom, transportującym je w dół rzeki. Ruszył w daleką drogę.

Trzeciego tygodnia wędrówki Duquet obudził się i otworzył lewe oko – prawego otworzyć nie zdołał, bo było zaropiałe. Wędrując, często padał wyczerpany na ziemię i spał z twarzą w liściach. Nie czuł już bólu ropiejących zębów. Otoczony chmarami komarów, wciągnął rześkie powietrze do płuc, pachnące zmurszałym drewnem. Na dłoniach i rękach też miał ropiejące rany. Pod krzakiem świdośliwy znalazł kawałki kości, żeber z resztkami ciemnego mięsa. Gdy podniósł kość do ust, z lasu wypadła jakaś dzika bestia z zębami i pazurami. Wyrwała mu kość i uciekła. Był osłabiony z upływu krwi, bestia go pogryzła, gryzły go także czarne końskie muchy i komary. Nie wiedział już, gdzie jest rzeka. Szukał jej wszędzie, ale rzeka zniknęła. Przez cały dzień kopał rękoma w ziemi, żeby sprawdzić, czy się tam nie ukryła. Przekonał się, że znacznie łatwiej jest się czołgać, niż stać i podnosić nogi. Więc czołgał się, łkając, wyrzucając z siebie jakieś niezrozumiałe sylaby. Padało z ciemnoszarej, jakby nieogolonej chmury. Jego horyzont zamykały świerki, przypominające wyszczerbione zęby piły. Schwytał małą kaczkę – ostatnią z kolumny kaczek, maszerujących ku… wodzie! Znów znalazł rzekę. Czuł, że umiera, ale to nie miało znaczenia. Najpierw dotrze na północ, do handlujących futrami traperów, a potem umrze. Gdy czołgał się wzdłuż odnalezionej rzeki, znajdował małe żaby i znów

schwytał kaczkę, którą zjadł od razu, zasłaniając się przed ostrym dziobem i bolesnymi uderzeniami skrzydeł jej matki. Brzeg rzeki był błotnisty, przez co łatwiej się w nim czołgało.

Myśliwi Ottawa otoczyli to stworzenie. Obserwowali je od dwóch dni, jak pełzało cal po calu wzdłuż brzegu małego stawu, zasypiając w błocie pod olchami, a potem znów pełzając na czworaka.

– Chory – powiedział jeden z Ottawów.

Cofnęli się.

– Ranny – rzucił drugi.

Słysząc ich głosy, Duquet ukląkł. Spojrzał na nich lewym okiem. Na policzku miał odciski olchowych gałęzi. Wystawił pokryte błotem dłonie na kształt pazurów i zasyczał. Powiedział coś niezrozumiałego.

– Chce się na nas rzucić – powiedział myśliwy. Reszta wybuchła śmiechem, co rozwścieczyło Duqueta.

– To Francuz – dodał drugi myśliwy.

– Nie możemy go zabrać. Francuzi roznoszą choroby.

– Ten jest śmiertelnie chory. I tak nie mógłby z nami iść.

– Zostawmy go.

Cofnęli się i zniknęli.

Kilka dni później w indiańskim obozowisku nad rzeką zjawili się francuscy handlarze futrami.

– Chcemy skóry – powiedział stary handlarz. – Spójrzcie, co dla was mamy! Topory, siekiery, igły! I mamy dla was muszkiety! I kule, i proch!

Reszta Francuzów rozkładała towary na dnie czółna.

– *Oui, oui* – odpowiedział pośrednik, a myśliwi przynieśli bobrowe pelisy, wytarte i najlepszej jakości, zebrane na północy. Bobrowych futer było niewiele, ale dużo futer kun i rysi. Nim kupcy odpłynęli, myśliwi Ottawa wspomnieli im ze śmiechem o Francuzie czołgającym się wokół małego stawu.

Kupcy odnaleźli Duqueta. Był pokryty zaschniętym błotem, które musieli odłupać, żeby się do niego dostać. Zanieśli go nad rzekę i zamoczyli w wodzie, aż wyłonił się cały z glinianej zbroi. Wątpili, czy przeżyje, ale zajęła się nim towarzysząca kupcom Indianka. Kurując go, poczuła wstrętny smród z jego ust. W torbie z lekarstwami miała drewniany kijek ze skórzaną pętelką na końcu. Za pomocą tego narzędzia wyrwała gnijące zęby, przepłukała mu usta odkażającym płynem i podała narkotyk na sen.

– Nie umrze – powiedziała.

Wędrowcy włożyli go do starego czółna i popłynęli do odległej wioski Odżibwejów na północnym zachodzie.

Nadeszła wiosna, rzeki były niemal wolne od lodu, który skuwał je tylko o poranku, a ciepłe popołudnia cieszyły wonnymi zapachami i spokojem. Wokół nich latało powoli niewiele komarów z

opuszczonymi nóżkami. W obozowisku Odżibwejów, gdzie rzeka wpadała do małego jeziora, Duquet odpoczywał oparty o pień i przyglądał się, jak Indianie budują czółna, co było bardzo skomplikowaną pracą, wymagającą zaangażowania całej wioski. Pomagali im w tym nawet wędrowcy, którzy wraz z młodszymi Odżibwejami wyprawiali się do lasu, żeby zbierać duże, długie na dwadzieścia stóp kawałki brzozowej kory. Przynosili je do wioski i zanurzali ostrożnie w rzece, żeby zachowały giętkość, przytrzymując je na miejscu kamieniami. Inni szli na bagna i kładli białe cedry, zaobrączkowane przed rokiem, rozłupując sezonowane drewno wzdłuż. Kobiety chodziły do lasu każdego dnia, żeby zbierać świerkowe korzenie i żywicę. Siadywały blisko Duqueta, odzierając korzenie ze skóry i tnąc je wzdłuż.

Indianie zbudowali pięć czółen dla siebie i następne pięć dla wędrowców, a Duquet dochodził do siebie. Wstawał i chodził sztywno, pochłaniając olbrzymie porcje miękkiego – ze względu na pokaleczone dziąsła – pożywienia. Polepszył mu się wzrok i słuch, czuł przypływ siły w rękach, a gdy skończono budować czółna, *guide* – nadgorliwy imbecyl o pokrytej bliznami od oparzeń twarzy – kazał mu zająć miejsce w *milieux* i wiosłować, póki nie padnie. Lekkie czółno śmigało zwinnie pośród kamieni lodowatego potoku. Przez wiele dni bolały go łopatki, nadgarstki i ręce, aż w końcu ciało przyzwyczaiło się do krótkich, niestrudzonych wymachów wiosłem i każdego dnia wiosłował coraz dłużej. Szyja,

barki i ramiona Duqueta zmężniały od potężnych mięśni. Zawsze był niski i drobny, ale teraz wyglądał jak traper, a w ramionach był niemal tak szeroki, jak wysoki pod względem wzrostu. Nauczył się czytać w wodzie, rozumieć prądy, poznawać wiry i bystrzyny, słuchać starszych wędrowców, których wiedza o gwałtownych i niebezpiecznych wodach brała się z najgorszych doświadczeń. Wieczorami opowiadał swoją historię o ubogim chłopcu z ulic Paryża, który przybył do Nowej Francji, by zarobić fortunę.

Forgeron – muskularny mężczyzna o za długich do łodzi nogach, Holender, który stał się przypadkowo Francuzem, żeglarz i rybak, geodeta, gdy była praca, i nieszczęśliwy wędrowiec, gdy jej nie było – rozmawiał cicho z Duquetem.

– Nie masz pojęcia o życiu *coureur de bois*. Życie leśnego włóczęgi nie służy gromadzeniu bogactwa. My i Indianie wykonujemy najniebezpieczniejszą robotę, a pieniądze i tak trafiają do kompanii handlowej. Jesteśmy głupcami.

W ostatnich latach, ciągnął Forgeron, handel futrami stał się niespokojnym i niebezpiecznym zajęciem. *Coureur de bois* już nie handluje futrami bezpośrednio z myśliwymi, bo Indianie też mają swoich specjalistów, pośredników, którzy zajmują się tym wszystkim. Dobre indiańskie plemiona są spychane przez wrogie plemiona, bo bobrów jest coraz mniej.

Gdy Duquet poznawał tajniki handlu futrami, przekonywał się, że Forgeron miał rację. Wiosłowanie w *milieux* nie jest sposobem

na zgromadzenie bogactwa. Najlepsze, co może z tego przyjść, to krótkie życie spędzone na mozole, na zasypianiu nad brzegiem rzeki, na wpatrywaniu się pomiędzy drzewami w wąski pasek ciemności, usiany gwiazdami jak rozsypaną solą.

Niektórzy traperzy byli uzbrojeni w ładowane od przodu skałkówki, ale większość miała muszkiety Charleville używane przez francuskich piechurów. Dla Duqueta ładowanie broni było niezmiernie mozolnym zajęciem – nie mając zębów, nie mógł odgryzać końcówki naboju, ale musiał rozrywać ładunek palcami. Więc zamiast tego wybrał jako swoją broń indiański tomahawk i ćwiczył się niestrudzenie w rzutach, aż umiał ściąć tomahawkiem ogon lecącego ptaka, podnieść ptaka z ziemi, wypatroszyć i upiec, zanim któryś z towarzyszy załadował muszkiet.

Duquet stał się twardy. Widział, jak z okolic rojących się od indiańskich pułapek znikają bobry: Indianie wybijali je do ostatniego, bo bardzo zależało im na europejskich narzędziach i wodzie ognistej, bo byli ponaglani przez zachłannych kupców. Siedliska bobrów oddalały się coraz bardziej na północ i zachód. Mimo to nie brakowało białych, którzy się wzbogacali. Nie byli zbiegłymi, związanymi umową czynszownikami bez pieniędzy. Duquet zabrał się więc za wyciskanie, ile tylko się da, ze swojej niskiej pozycji w handlu futrami i poprzysiągł sobie, że będzie się rozglądał za bardziej intratnymi zajęciami. Przypłynął do Nowej Francji z nadzieją na szybkie wzbogacenie się i powrót do Paryża, ale teraz zastanawiał się, czy nie związać swojej przyszłości z

olbrzymią krainą, porośniętą nieskończonym lasem i poprzecinaną rwącymi rzekami. Czy ta kraina nie jest jego miejscem na świecie? Tak, a on wyciśnie z niej coś wartościowego. Zastanawiał się głęboko nad sobą, co nie zdarzało się często, i zauważył, że jego charakter zniechęca do niego ludzi. Zmienił więc nastawienie, zaczął się uśmiechać, stał się otwarty, rozmowny, a w tawernie stawiał wszystkim jak leci. Ostrzył pazury, bo w głębi duszy był czatującym na zdobycz tygrysem i jeśli będzie musiał rozrywać i masakrować innych w drodze do bogactwa, uczyni to.

Zaczął od handlowania na boku futrami, oferował tani rum naiwnym czerwonoskórym i ukrywał swój pokątny handel przed innymi, czasem chowając gdzieś futra i wracając po nie później. Targował się bez litości z Indianami, uśmiechając się niewinnie do ich dzikich gąb i przyjmował ciężkie bele z futrami za tani perkal czy kubek chrzczonej whiskey, co przynosiło niebotyczne zyski.

Po roku miał już dosyć handlarzy, którzy go ocalili.

– Forgeron – zwrócił się pewnego dnia do przyjaciela, gdy szli w górę handlowym szlakiem. – Nie podobają mi się ci ludzie, a zwłaszcza ten *guide*. Mam zamiar poszukać sobie innej partii. Pójdziesz ze mną?

– Czemu nie? – odrzekł Forgeron. – Jedna łódka nie różni się od drugiej. *Guide* to nieprzyjemny jegomość, może przez to, co przeszedł, jak Irokezi wrzucili go do ognia.

– Ciekawe czemu nie skończyli go piec i nie zżarli?

– Może kiedyś sam ich o to zapytasz.

Pracowali zgodnie, choć Forgeron ściągał burze i wiatry. Ale miał pewien wzgląd na dziki las. Często rozmawiał o nim z Duquetem – o lesie i jego niezmierzonym bogactwie.

– Gdyby ktoś potrafił wydobyć z tego lasu kłody, wokół nas rośnie sto tysięcy fortun, o jakich nikomu się nie śniło od czasów Babilonu. Jedyny problem to transport drewna do tych, co go potrzebują.

Duquet kiwał głową i spoglądał na drzewa coraz zachłanniej.

Znaleźli sobie nową wesołą kompanię *coureurs de bois*, wśród których byli swobodni bracia Trépagny, zupełnie niepodobni do wyniosłego *seigneura*. Byli zuchwali i wyli głośniej od wilków. Duquet musiał mocno się napocić przy wiośle, by dorównać im na niektórych rwących potokach, po jakich pływali, wciskając się między skalne półki i spływając chyżymi wodospadami, jak choćby w jednym z najbardziej wyjątkowych miejsc między dwoma wielkimi, pochylonymi ku sobie klifami, między którymi był przesmyk węższy od strumyka, a niebo przypominało szparkę między skalnymi krawędziami. Gdy wypłynęli z wąskiego kanionu, rzeka zamieniła się w huczącą bystrzynę. Trzeba było z niej wyjść i wspiąć się na górę indiańskim szlakiem po skale nie szerszej niż na stopę, niosąc przy tym łódkę na głowie i podtrzymując ją omdlewającymi i drżącymi z wysiłku rękami.

Gdy dotarli na szczyt wzgórza, mogli spojrzeć na pieniące się poniżej wody.

– *Tabernac* – zaklął Toussaint Trépagny. – Wciskałem się w tę skałę tak mocno, że został na niej ślad mojego przyrodzenia!

Tego dnia nieśli łódki na głowach przez wiele mil.

Którejś nocy leżący pod odwróconą łódką Forgeron mruknął, że ma zamiar odejść.

– Mam za długie nogi do tej roboty – oznajmił.

To prawda, miał też długie ramiona, którymi świetnie wiosłował, ale nogi musiał podciągać pod siebie i siadać na nich, co było trudne do zniesienia przez wiele godzin wiosłowania, a gdy wychodził na brzeg, często nie mógł się wyprostować, tak mocno zesztywniałe i odrętwiałe miał mięśnie. Często jęczał nocami z bólu i masował uda i łydki. Większość wędrowców miała krótkie nogi i silne ramiona. Nogi nie nadawały się do łódki.

Forgeron odszedł, mówiąc, że rozejrzy się za pracą geodety, a Duquet odszedł z nim, ciągnąc ze sobą Trépagnych. Wrócili nad Rzekę Świętego Wawrzyńca, a po miesiącu Forgeron znalazł pracę przy wytyczaniu posiadłości na wschód od Ville-Marie.

– Nasze drogi znów się skrzyżują – powiedział Forgeron – ale już nie w łódce.

Duquet skupował futra z braćmi Trépagny przez dwa następne lata, a wszyscy trzej cieszyli się złą sławą, rozpijając Indian rumem i whiskey. Czerwonoskórzy oddawali im futra za bezcen – za straszliwe, wzbudzane przez spirytus wizje.

9

KWARTYNY DE PIBRAKA

(GUY DU FAUR, SEIGNEUR DE PIBRAC)

1699

Powodziło mu się doskonale po złym roku, przez który osadnicy wypatrywali z utęsknieniem statków z towarami z Francji i przez który drżeli ze strachu przed Irokezami, którzy przed niecałą dekadą najechali i wyrżnęli mieszkańców Lachine, co mogli zrobić ponownie. Mimo toczących się walk[3] w dół rzeki płynęły olbrzymie ładunki bobrowych futer i płynęłyby dalej, gdyby francuscy kapelusznicy i kuśnierze ich potrzebowali, ale magazyny pękały już w szwach od skór gryzoni. Duquet znów przekonał się o słabości handlu, wynikającej z nadprodukcji lub niedoboru. Bobry znikały, bo za dużo ich wybito, bo chorowały lub z innego nieznanego powodu. Mogli je też chować dla siebie Indianie.

Przyglądał się temu i zastanawiał. Uznał opowieści o ogromnych zyskach z handlu futrami za bajki. A on chciał wielkiego i trwałego bogactwa, bogactwa, które przetrwa i sto lat. Chciał zgromadzić majątek, który zostawi synom. Chciał, by jego nazwisko widniało na budynkach. Był zaskoczony, odkrywszy w sobie pragnienie posiadania dzieci, założenia rodu. Nazwisko Duquet nie będzie już przekleństwem, ale zaszczytem. Ale pragnienie to nie było proste w realizacji, choćby ze względu na brzydotę jego bezzębnych, zapadniętych warg. Znalezienie ładnej żony może okazać się niemożliwe. Chyba że będzie miał pieniądze.

Jego żywy umysł bez przerwy rozważał kwestię, jakie bogactwo naturalne nowego świata jest nieograniczone i tak wartościowe, że da się zbić na nim majątek? Odrzucił faunę: bobry, ryby, foki, dziką zwierzynę i ptaki – przedstawiciele fauny zbyt szybko znikali i ulegali kaprysom rynku. Nieustannie dochodził do jednego i tego samego wniosku: jest tylko jeden towar, którego brakuje w Europie – las. Wiedział, jak wszyscy, że angielscy koloniści z południa dorabiali się majątków, ścinając sosny na maszty dla angielskiej marynarki. Czy Francuzi nie mogą postąpić tak samo? Pamiętał słowa Forgerona. Bór jest niewyobrażalnie wielki i sam z siebie odrasta. Dostarcza drewna do budowy statków i domów, do ich ogrzewania. Zyski nigdy się nie skończą. Owszem, istnieje wiele problemów związanych z transportem i rynkami, ale ta gałąź gospodarki nie była jeszcze wyeksploatowana, mogła się rozwijać i dominować. W Francji

wielu ludzi zajmowało się handlem surowcami leśnymi, ale w Nowej Francji i angielskich koloniach na południu jeszcze nie. A więc, myślał, przez następne kilka lat zarobi tyle pieniędzy, ile tylko się da na handlu futrami, przygotuje się pod każdym względem i przerzuci na drewno, gdy będzie gotów. Nie zarzuci całkiem lukratywnego traperstwa – śmierdzącego, skomplikowanego interesu stawiających wnyki Indian i zysków dla białych kupców, mających koneksje na rynku.

Naszkicował zwięźle swój plan braciom Trépagny i powiedział, że z chęcią przyjmie ich na wspólników, gdy przerzuci się z futer na drewno. Był zaskoczony ich brakiem entuzjazmu. Płomienie z wieczornego ogniska odbijały się pomarańczowo w ich oczach.

– Może… – powiedział Toussaint.

– Zobaczy się… – dodał Fernand.

Obaj odwracali głowy i patrzyli ku drzewom.

– Dobra, na tym poprzestańmy. – Duquet przeszedł do innego tematu i powiedział, że jest pewna wielka przeszkoda, którą musi pokonać. Nie umie czytać i pisać, a musi posiąść te umiejętności, jeśli nie chce zostać oszwabiony w handlu z podstępnymi kupcami. Nie zna ani jednej litery, więc nawet ten kretyn Sel ma nad nim przewagę.

– Świat nie ma litości dla tych, co nie czytają. Wiem coś o tym, bo często mnie ograbiano – stwierdził Toussaint. – Jeśli chcesz się nauczyć czytać, potrzebny ci jest nauczyciel w czarnej sukience. Wszyscy jezuici piszą bez przerwy i czytają na głos i po cichu, aż

dostają zeza. Porwijmy i zabierzmy z nami jakiegoś jezuitę. Będzie mógł nawracać Indian, gdy będziemy handlować, a w spokojniejszych chwilach nauczy cię wszystkiego, czego chcesz.

Więc porwali Père Naufragé'a, jednego z misjonarzy, zmierzających do Huronów.

Przez kilka dni obserwowali małą grupkę misjonarzy i ich indiańskich przewodników.

– Widzisz – szeptał Toussaint zza drzewa. – Jest ich czterech. Wybierz takiego, który ci się podoba. Porwiemy go, gdy pójdzie za potrzebą do lasu.

Duquet przyglądał się każdemu z ojczulków. Jeden z nich wydawał się bystrzejszy i żywotniejszy od innych. Wstawał jako pierwszy, gdy świeciło słońce, rozpalał ogień za pomocą nowinek technologicznych, takich jak powiększające szkło, żwawo pakował i rozpakowywał rzeczy i poświęcał najmniej czasu na modlitwę.

Gdy w końcu zagłębił się w las i zadarł czarną sukienkę, naskoczyli na niego jak dzicy. Toussaint zakneblował mu usta, Fernand związał z przodu ręce, a Duquet pociągnął go w głąb lasu do ich obozowiska.

– Jesteście Francuzami! – wykrzyknął misjonarz, gdy Duquet wyjął mu knebel z ust. – Myślałem, że porwali mnie Indianie. Dlaczego oddzieliliście mnie od mych braci? Podróżujemy z misją do Huronów.

Duquet wyjaśnił mu, że Huroni mogą zaczekać. A Père Naufragé zostanie z nimi, póki nie nauczy Duqueta czytać i pisać. Będzie dobrze traktowany, o ile nie zechce uciec.

– Bo wtedy zostanie ojciec męczennikiem w rękach Irokezów.

Père Naufragé oznajmił, że nie ma nic przeciwko temu, by zostać męczennikiem, ba, chce nim zostać bardziej, niż uczyć alfabetu jakichś tępych *coureurs de bois*.

– Ostrzegam was, drogo zapłacicie za to porwanie! Mam wpływowych przyjaciół!

Duquet przedstawił jezuicie otwierające się przed nim możliwości nawracania dzikich, gdy będą przemierzać krainę i handlować z nimi futrami.

– To, o co prosicie, jest niemożliwe! Wszystkie moje lekcjonarze zostały w obozie misjonarzy. – Roześmiał się triumfalnie.

– To żaden problem – odrzekł Fernand. Otworzył swoją traperską torbę i poszperał w niej na dnie. Z mściwym uśmiechem wyciągnął z niej poplamioną i podniszczoną księgę i rzucił nią w zakonnika.

– *Icitte*! Masz swój lekcjonarz, klecho! *Les Quatrains de Pibrac*. Prezent od mojej matki, z którym nigdy się nie rozstawałem. „Najpierw czcij Boga, potem ojca i matkę", *Dieu tout premier, puis Pere et Mere honoré* – zacytował. – U Pibraka jest wszystko! Bóg mi świadkiem, że uczynisz więcej dobra, ucząc nas czytać, niż nawracając tysiąc Huronów!

Père Naufragé dał się ugłaskać, a przyzwyczajony do posłuszeństwa, kiwnął głową, choć uparł się przy codziennej modlitwie, cotygodniowej mszy i czasie przeznaczonym specjalnie na dysputy teologiczne, których temat wybierze sam.

Twarz jezuity przypominała sztylet – była chuda i ostra. Wystające kości policzkowe pokrywała oliwkowa skóra, a falujące włosy miały kruczoczarną barwę jak u Hiszpana. Ha, pomyślał Duquet, przypomina Maura. Lecz gdy ksiądz się uśmiechał – a zrobił to po raz pierwszy dopiero trzeciego dnia – jego oblicze ulegało przemianie. Miał szeroki uśmiech, który przecinał twarz na dwie niepowiązane ze sobą części. Ostre zęby jezuity – *mon dieu*, myślał Duquet, ileż on ma tych zębów! – lśniły nienaturalną bielą.

Duquet uczył się bardzo szybko. Przepisywał litery i cyfry – arytmetyka szybko stała się częścią programu nauczania – na setkach kawałków brzozowej kory. Jego ręce – umięśnione od lat wiosłowania – nabywały nowych umiejętności do koordynowania ruchów potrzebnych w kaligrafii, mimo to gryzmolił jak kura pazurem. Ale to nieważne, bo pismo dało się odczytać. Jezuita wtopił się w ich gromadkę i przymykał oko na handel whiskey i niepokojącą chciwość wychowanków. Był zafascynowany pamięcią Duqueta, który przyswajał wszystko – niemczyznę, grekę, łacinę i angielski – co wypowiadał ksiądz, nawet jego modlitwy. Po pierwszym roku nauki Pibrac wrócił do torby Fernanda, gdyż był coraz bardziej zniszczony, ale Duquet znał całą zawartość księgi

na pamięć i umiał wygłosić kwartynę na każdą życiową okoliczność, gdyby chciał posługiwać się wiernie cytatami. Ale wolał gardzić Pibrakiem.

Po upływie dwóch lat, na początku wiosny, Père Naufragé, noszący się teraz jak traper, gdyż jego sutanna od dawna była w strzępach, musiał się z nimi rozstać, czego zresztą nie chciał.

– Już czas na ojca – powiedział z uśmiechem Duquet. – Jak mówi Pibrac: „Bóg kieruje krokami ludzi". Odstawimy ojca do Huronów, gdyż ja muszę popłynąć w interesach do Francji.

– Przydałby ci się jeszcze jeden rok nauki, synu, do opanowania łaciny, która jest najważniejszym językiem ludzi interesu, a takim przecież chcesz zostać.

Ale Duquet tylko wykrzywił usta. Myślał już o czymś innym.

Po sześciu dniach podróży skrajem płonących lasów i pól dotarli do misji Huronów. Fernand rozkasłał się i powiedział:

– Zawsze jak jestem na terytorium Huronów, wszystko płonie!

Duquet stał z boku, gdy bracia Trépagny ściskali księdza i życzyli mu szczęścia. Patrzyli za nim, gdy szedł na polanę. Zniknął w kłębach dymu.

[3] Chodzi o cztery wojny kolonialne Anglików z Francuzami i Indianami, toczące się w latach 1689–1763 [przyp. tłum.].

10

CAŁY ŚWIAT CHCE PŁYNĄĆ DO CHIN

1702

Duquet już nie potrafił skupić się na futrach. Raz po raz wracał myślami do zawiłych problemów handlu drewnem. Przede wszystkim, drzewa – najlepsze drzewa nie zawsze rosną przy rzecznych portach. I kto będzie kupował kłody, gdy każdy może ściąć tyle, ile mu trzeba? Ale deski to coś zupełnie innego: to gotowy materiał budowlany. Trzeba iść w tę stronę. Zatem w pierwszej kolejności należy wybudować napędzany wodą tartak albo chociaż doły do cięcia tarcicy z narzędziami.

Zaczął zwracać uwagę na przedmioty wykonane z drewna. Z drewna było wszystko! A drewno rosło wokół w niewyczarpanych ilościach i w najlepszym gatunku. Czy francuska królewska marynarka wojenna da się przekonać do kupowania drewna z Nowej Francji? Anglia, jak słyszał, bardzo potrzebowała zapasów, bo niekończąca się wojna zakłócała transporty bałtyckiego drewna[4]. Choć Anglia była wrogiem Francji, handel z Anglikami mógł przynieść wielkie zyski, choć należy go prowadzić przez

pośredników. A co z Hiszpanią i Portugalią? Rozważał w głowie wszystkie możliwości.

Rozmawiał sam ze sobą, bo drewno nie interesowało Trépagnych.

– Jakie drewno jest najbardziej pożądane? Dębina, rzecz jasna, ale dęby są rzadkie i rosną tylko w niektórych miejscach. Dlaczego nie rosną wszędzie jak sosny czy świerki, tego nie wiem.

Czy Anglicy mogą budować statki z sośniny? Choininy? Buczyny? Jak ma przetransportować najbardziej poszukiwane drewno na maszty z lasu na statki? No właśnie! Potrzebuje statku i kapitana, jeśli ma dostarczyć drewno do tak odległej krainy jak Francja!

Myśląc o rzadko występujących drzewach, przypomniał sobie o futrach, swoim obecnym powołaniu. Dlaczego ma handlować tylko bobrami, jak wszyscy? Są przecież ludzie, którzy chcą innych futer: z norek, gronostajów, wydr, piżmaków, lisów, cętkowanych rysi i kun. Postanowił, że zbierze zgromadzone przez sezon rzadkie futra i zawiezie cały ich transport do Francji. Zaczął natychmiast, nagabując Indian i domagając się od nich wszystkich futer, będąc swoim własnym pośrednikiem. Podczas ostatniego wieczoru z Trépagnymi, siedząc przy ognisku i pijąc ostrą whiskey przeznaczoną dla Indian (ostrą od pieprzu pequin z Karaibów, który dowodził jej mocy), oznajmił, że we Francji znajdzie sobie żonę i każe jej rodzić dzieci. Bracia Trépagny

odpowiedzieli mu żartem podczas pożegnalnej uczty, żeby i im przywiózł żony.

W marcu Duquet popłynął do Francji na statku dowodzonym przez kapitana Honoré Deyona, siwowłosego pomarszczonego mężczyznę z syfilitycznym szankrem nad górną wargą. Gdy kapitan zaprosił go na obiad, Duquet skorzystał z okazji i zapytał, jak można znaleźć statek płynący do Chin.

– Wiem, że pływają tam statki z Europy – odrzekł, podrapał się palcem wskazującym po szankrze i westchnął. – Cały świat chce płynąć do Chin – dodał. – Powiadają, że to niezmiernie bogaty kraj, gdzie jest wiele interesujących i pięknych rzeczy. W drodze powrotnej można zatrzymać się na wyspach i kupić najlepszą kawę. Powszechnie wiadomo, że zyski z herbaty i jedwabiu są ogromne, z kawy również, ośmielę się zauważyć. Ale handel z Chinami nie jest łatwy. By uzyskać nań pozwolenie, trzeba tam popłynąć z oficjalną delegacją i zabrać ze sobą kosztowne prezenty dla cesarza i mandarynów. Uważają, że takie dary są im należne. A nie interesują się za bardzo naszymi towarami, tylko srebrem. Mówią, że mają u siebie wszystko, czego im trzeba. Nie wiem, czym chcecie z nimi handlować, panie, ale działający w pojedynkę kupiec, jeśli takim jesteście, nic tam nie zdziała. To zbyt trudne.

– Zajmuję się handlem najlepszymi futrami – przedstawił się Duquet. – Zgoda, być może nie zdołam tam dotrzeć w pojedynkę,

ale powiedzcie mi, panie, jak w takim razie docierają tam inni? Kto prowadzi handel z Chinami? Kto wysyła tam statki?

– Pierwsi byli Portugalczycy. Teraz pływają tam Holendrzy i Anglicy, a nawet Francuzi, wszyscy chcą handlować na Wschodzie. Ale Holendrzy pływają tam regularnie. Założyli nawet *Vereenigde Oost-Indische Compagnie*, Holenderską Kompanię Wschodnioindyjską, największy interes na świecie, który kontroluje wszystko. Może znajdziesz, panie, jakiegoś holenderskiego kapitana, który weźmie cię ze sobą. Słyszałem, że pływa tam paru niezależnych od V.O.C. armatorów. Takich ludzi musicie szukać, panie. Ale ja ich nie znam.

Napił się rumu i delikatnie podrapał wrzód nad wargą długim paznokciem małego palca.

– A poza tym – mruknął – wątpię, panie, czy mówicie po chińsku.

– Tyle, o ile – odrzekł Duquet. Nauczy się najważniejszych słów, gdy tylko je usłyszy.

W La Rochelle ogarnęły Duqueta nieprzyjemne wspomnienia. Zapamiętany z dzieciństwa smród ubóstwa kazał mu niemal zgarbić się, skulić w sobie i przemykać pod ścianami domów, tak jak przed laty. Cierpiał wtedy nieustanny głód, miał odmrożone kończyny. Ojca zapamiętał tylko dlatego, że ten tłukł i przeklinał go nieustannie, aż w końcu zniknął na koślawych nogach.

W oczy piekł go tłusty dym z palonych na ulicach ognisk i wspominał z rozmarzeniem czyste rzeki Kébeku i rześkie leśne powietrze. Dzięki tym oczyszczającym wspomnieniom doszedł do siebie. Był jednak zawstydzony tym, że jego strój i osoba prezentują się podle na francuskich ulicach.

W Nowe Francji Duquet i bracia Trépagny posługiwali się zręcznie wojennymi tomahawkami, lecz na ulicach La Rochelle nikt nie nosił tomahawków. Zaszedł więc do płatnerza i sprawił sobie walońską szpadę, pasującą do obu dłoni i giętką. Właśnie takie noszono na ulicach. Była to broń szlachciców. Pewnego dnia, przysiągł sobie, zamówi u krawca piękny strój i gęstą perukę.

Między rue des Petits-Bacs a rue Admyrauld codziennie zbierali się kupcy, poznał tam bladego handlarza wełną o tłustych drżących dłoniach. Gdy Duquet wspomniał mimochodem o Chinach, kupiec odrzekł, że jego kuzyn przez trzy lata służył na holenderskim statku, pływającym między Hoorn a Guangzhou.

– Opowiadał, że rejs trwa bardzo długo, a Chiny są okropne. – Oddał Duquetowi butelkę z koniakiem. – Wszystko śmierdzi! A jedzenie! *Affreux*! Do miast nie wpuszczają obcokrajowców, każą im gnić w wyznaczonych i strasznie zapuszczonych dzielnicach. Kuzyn mój modlił się o jak najrychlejszy powrót do domu. Nie chcieli odebrać ładunku ze statku, a oni przywieźli im konie. Kapitan usłyszał gdzieś, że w Chinach brakuje koni. Ale pośrednik w Kantonie powiedział im, że Chiny mają już własne,

sprowadzone z północy konie. Więc cała ta wyprawa poszła na marne. Kapitan był tak wściekły, że w drodze powrotnej kazał wyrzucić wszystkie bezwartościowe konie za burtę. Płynęły za statkiem długi czas…

– Och, jakie to straszne – odrzekł Duquet, planując jednocześnie w myślach wyprawę do Amsterdamu i Hoorn. Ileż to razy Forgeron powtarzał mu, że mieszkańcy Niderlandów mają smykałkę do interesów!

– Trzymaj się z daleka od statków Kompanii Wschodnioindyjskiej. Obowiązują na nich twarde reguły, a kapitanowie podpisują krwią zobowiązania do ich przestrzegania. To straszna, chciwa firma, która przez wiele lat zwalczała wszystkich konkurentów. Tylko statki Kompanii mogły przepływać przez zabójczą Cieśninę Magellana. Teraz, gdy odkryto drogę wokół Przylądka Horn, władza Holendrów dobiegła końca, ale stare animozje trwają. Musisz ostrożnie wybierać kapitana.

---

[4] Mowa o III wojnie północnej między pomiędzy Królestwem Danii i Norwegii, Rosją, Saksonią, Prusami i Hanowerem (od 1715) oraz Polską (od 1704) z jednej strony a Szwecją z drugiej. Wojna toczyła się w latach 1700–1721 [przyp. tłum.].

11

HOLENDERSKI KAPITAN

1703

Każdy kapitan statku, z którym rozmawiał, okazywał się nad wyraz podejrzliwy, gdyż szlaki handlowe i zamorska wymiana były domeną szpiegów, a Duqueta brano nieodmiennie za szpiega francuskiego. Dopiero szczegółowy opis lasów Kébeku i trudów handlu futrami – oraz krótki pokaz futerka kuny, które nosił ze sobą na wszelki wypadek, niczym dowód tożsamości – dowodziły jego niewinności i braku zainteresowania tajemnicami szlaków handlowych.

W „Skałach i Mieliznach”, żeglarskiej tawernie przy nabrzeżu, spotkał grupę wesołych żeglarzy, którzy okazali się kapitanami statków. Porozumiewali się wieloma językami, głównie niemieckim, francuskim, portugalskim, flamandzkim i holenderskim, i zakładali się między sobą. Jeden z nich, nazywany kapitanem Verdwijnenem – blady osobnik o dużym nosie i pokrytych bliznami policzkach, w niedopasowanej peruce, spod której wystawały kosmyki niesfornych włosów – zwrócił

uwagę Duqueta z powodu nieustannej gestykulacji i sangwinicznego usposobienia. Duquet zbliżył się do grupki i znalazł się niemal między żeglarzami, chwytając pojedyncze słowa z ożywionej rozmowy. Po pewnym czasie Verdwijnen przeprosił towarzystwo, twierdząc, że musi wracać na statek. Duquet wyszedł za nim na ciemną ulicę. Kapitan obrócił się nagle i przystawił sztylet do piersi Francuza.

– Rozbójnik! – krzyknął na całe gardło Verdwijnen. – Na pomoc! Kradzież! Napad! Morderstwo!

– Kapitanie Verdwijnen – odezwał się Duquet. – Nie jestem rozbójnikiem, jestem przyjacielem. Jestem kupcem, handluję futrami z Nowej Francji i chcę prosić was, panie, o przysługę. – Skłonił się nisko i niezdarnie. Przedstawił się jako przedsiębiorca, mówiąc łagodnie i przekonująco, tłumacząc i uspokajając, pokazując kapitanowi futra, które nosił ze sobą jak przekupień. Powiedział, że chce zapłacić za rejs statkiem, mając za sobą dobre transakcje handlowe w Montrealu i chcąc sprzedać najlepsze skóry na Wschodzie. Co więcej, jest gotów zaopatrzyć kapitana podczas rejsu w skrzynki najlepszej jałowcówki z Schiedam, trunku najwyższej jakości z zieloną naklejką, ukazującą duże żółte oko – oko wściekłego lwa – trunku o niebo lepszego od pomyj, które pił w „Skałach i Mieliznach". Ma przy sobie w kieszeni flaszkę tej jałowcówki – wypowiedziawszy te słowa, odchylił połę kubraka, by pokazać kapitanowi zielonkawożółte oko. Holender rozchmurzył się nieco i nakazał Duquetowi iść za

sobą na statek, „Gulden Steenarend”, „Złoty Orzeł”, na którym będzie im wygodniej rozmawiać. Duquet stwierdził ze zdziwieniem, że „Złoty Orzeł” to uzbrojona trzymasztowa fregata, na której zmieściłoby się ponad stu ludzi. Pokład działowy pomalowano na czerwono, żeby ukryć plamy krwi.

– Na Morzu Południowochińskim grasuje wielu piratów – tłumaczył kapitan. Wypił w tawernie wiele kieliszków jałowcówki, ale wysławiał się jasno i zdecydowanie.

Przyznał, że w istocie nie ufa obcokrajowcom, głównie Francuzom i Anglikom, z których większość to szpiedzy. Gdyby zabrał Duqueta na pokład, mógłby stracić pracę. Gdyby rzecz jasna dowiedział się o tym niemiecki armator fregaty, a na pewno się dowie. Spiorunował Duqueta wzrokiem i zacisnął pięści.

– To, o co mnie prosicie, panie, to poważna sprawa, której nie mogę się podjąć. Czegoś takiego nigdy nie robiono. I nie powinno się tego robić. *Nooit*, nigdy. – Na jego twarzy odmalowały się dziwne grymasy i srogie miny.

Duquet odezwał się z pokorą:

– Interesuje mnie tylko znalezienie rynku na moje futra. I jestem bardzo wdzięczny, drogi kapitanie, że wyświadczacie mi ten honor i omawiacie ze mną tę sprawę. – Wykrzywił usta w uśmiechu, mrugnął porozumiewawczo i wyjął spod kurty butelkę, którą odkorkował i podał kapitanowi. – Może zechcecie porozmawiać ze mną o szczegółach – dodał łagodnie – jeśli nie jestem wam niemiły. – Uznał, że kapitan należy do ludzi, którzy

uczynią wiele za kieliszek alkoholu – zupełnie jak Indianie na północy.

Kajuta kapitana była bardzo obszerna i roztaczał się z niej wspaniały widok na port. Przy mahoniowym, zasłanym mapami stole stało jedno krzesło. Kapitan wskazał Duquetowi wąską przyśrubowaną do podłogi ławę, pod którą leżał olbrzymi mastyf, warczący na Duqueta. Kapitan usiadł na krześle, dzierżąc w dłoni kieliszek pełen najlepszej jałowcówki. Wskazał kieliszek brodą.

– Dobra. My, Holendrzy, musimy pić lub umrzeć, jak pan zapewne wiesz. – Wypił trunek. – Tak przynajmniej gadają.

Duquet położył na stole z mapami kilka futer. Pies spojrzał na nie z zainteresowaniem.

– Zawsze z radością kupuję futra i zabieram je do Amsterdamu – stwierdził kapitan.

– Zachowam to w pamięci. Z tego, co wiem, można na nich dobrze zarobić w Chinach. I chcę tam założyć placówkę handlową.

Kapitan Outger Verdwijnen zmrużył oczy. Niewykluczone, że Duquet wie więcej o interesach, niż można by sądzić. Lub też jest szpiegiem – co za niepokojąca myśl! Lecz po godzinie wspólnego picia, gdy kapitan poznał Duqueta nieco lepiej, porzucił tę złowrogą myśl. A dowiedziawszy się, że Duquet chce przysłać mu na pokład dziesięć skrzynek zielonozłotych butelek, oznajmił, że rozważy proponowany przez gościa rejs.

– Moglibyśmy wypłynąć za dwa tygodnie. Jest już marzec, trochę późno jak na taką wyprawę. Żeby dopłynąć do Indii i Chin,

musimy chwycić w żagle południowo-zachodnie monsuny, wiejące od czerwca do września. Więc bądź pan gotów wypłynąć w wyznaczonym przeze mnie dniu. Pokażę wam waszą kwaterę, którą będziecie dzielić z Mijnheerem Toppuntem.

Poprowadził Duqueta do żałośnie małej, cuchnącej kabiny, w której stało wiadro. Jego koja była szeroką deską. Na drugiej leżały szare koce i wielka skórzana torba. Na podłodze walały się żeglarskie buty i grube rękawice – wszystko to składało się na obecność Mijnheera Toppunta.

Następnego dnia Duquet zamówił w porcie trzy tuziny *jenever* z zieloną etykietą i kazał dostarczyć butelki na pokład fregaty. U portowego dostawcy zaopatrzył się w hamak, mocne szorstkie ubrania i impregnowaną pelerynę, która ponoć nie przepuszczała deszczu, a także w oprawny w skórę notes, pióra, kałamarz z atramentem, drogą lunetę i worek brązowego cukru.

Tydzień przed wypłynięciem wezwał go kapitan Verdwijnen.

– Monsieur Duquet – odezwał się – wybieram się do kawiarni, by omówić ubezpieczenie. Może zechcecie mi towarzyszyć, bo wasz interes wymaga zawierania cennych kontaktów?

Duquet przystał na to z ochotą. Cóż za pomyślny zbieg okoliczności!

Maszerowali przez dwadzieścia minut do umówionej kawiarni i weszli do dużej izby, w której przy stołach zasłanych papierami i księgami głównymi siedziało wielu mężczyzn. Niektórzy coś pisali, inni rozmawiali, wystawiając do przodu głowy. Z tyłu izby

pięciu mężczyzn w perukach śmiało się głośno, słuchając listu odczytywanego przez szóstego. Z przodu kobieta podawała służącym naczynia z gorącym napojem, a kapitan Verdwijnen zawołał do niej, że chce dwie kawy – *deux cafés* – i poprowadził Duqueta na tyły, gdzie stali roześmiani mężczyźni: morscy agenci ubezpieczeniowi. Gdy się do nich zbliżyli, śmiech ustał, a ku przybyszom zwróciły się poważne i skupione twarze.

– Ach, kapitan Verdwijnen! Niewątpliwie w sprawie ubezpieczenia. Czy ten szlachcic z panem to armator?

Kapitan Verdwijnen roześmiał się głośno.

– Nie, nie, to nie armator. To Monsieur Duquet z Nowej Francji, skąd wysyła drewno. Obecnie handluje futrami. Chciał poznać panów, żeby w przyszłości móc zasięgnąć ich rady.

Służący przyniósł kawę. Duquet zerknął podejrzliwie na czarny złowrogi napój. Był parzący i gorzki, niczym najgorsza trucizna, ale wypił. Po kwadransie do głowy przyszły mu nowe pomysły i zapamiętał twarze przed sobą nowo wyostrzonymi zmysłami.

Gdy się rozglądał wokół, dostrzegł mniej więcej trzydziestopięcioletniego mężczyznę, którego nieruchome oblicze było jak odlane z metalu. Wyzierały z niego obsydianowe oczy, które mierzyły każdego niczym przeciwnika. Zacięte usta sugerowały podłość. Upierścienione palce wystające z karmazynowych rękawów podkreślały ogólne wyrachowanie.

Spojrzenie mężczyzny uniosło się znad rachunków i wbiło w Duqueta. Natychmiast poczuli do siebie wzajemną antypatię.

– Kim jest ten człowiek? – zapytał Duquet kapitana przyciszonym głosem.

– To kupiec z Lubeki, handluje, jak słyszałem, woskiem i rudami metali, tutaj i w Brugii. Ależ ma spojrzenie! Jakby was znał, panie!

– Nie zna mnie i nigdy nie pozna – mruknął Duquet, ale to wejrzenie sugerowało, że nieznajomy zna takich jak Duquet na wylot: był to wzrok drapieżcy, który zwęszył innego na swoim terytorium.

12

„Gulden Steenarend”

1703

Załoga statku mówiła po hiszpańsku, francusku, flamandzku, grecku, niemiecku i genueńsku i byli wśród niej młodzi Malajowie, mieszkańcy Wysp Kanaryjskich i londyńskiej Isle of Dogs. Duquet uznał, że wszyscy wyglądają groźnie, zupełnie inaczej niż twardzi, lecz dobroduszni traperzy z Nowej Francji.

Kapitan Outger Verdwijnen był panem życia i śmierci – w tamtych czasach nawigacji zliczeniowej i niespokojnych domysłów co do rzeczywistej pozycji statku, cieszył się sławą dokładnego nawigatora, co Duquet przypisywał jego nieustannym studiom nad mapami, na których wykreślał położenie. Kapitan twierdził natomiast, że mapy niewiele mówią o nieustannie zmieniającej się pozycji południkowej – *bête noir* morskiego handlu. Potrafił jednak rozpoznać ciepły i czarny prąd Kuro Siwo i często trafiał do portu docelowego z przybliżeniem czterdziestu mil, co w tamtych czasach było oznaką mistrzostwa w nawigacyjnym fachu.

Dobroduszność kapitana wyparowała na pokładzie „Gulden Steenarend", choć nadal zachowywał się serdecznie wobec Duqueta, najczęściej wieczorami przy kieliszku zielonożółtej jałowcówki. Opowiadał żywo o żaglowcach i towarach, o krótkim ludzkim życiu i micie stuletnich fregat, o piratach i straszliwych morskich sztormach. Mówił o zdradzieckiej Cieśninie Sundajskiej, równikowym pasie morskiej ciszy, który wyprowadzał z równowagi każdego żeglarza, o Prądzie Gwinejskim, który jest pułapką, oraz o południowo-wschodnich pasatach, które źle wróżą każdej morskiej wyprawie.

Gdy wypłynęli na ciepłe wody oceanu, Duquet zauważył statki – trzy albo cztery – które płynęły za nimi. Wspomniał o tym kapitanowi Verdwijnenowi, który tylko pokiwał głową i odpowiedział wieloznacznie: „Moi przyjaciele, *vrienden*", po czym uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Fregata cuchnęła przeraźliwie, choć kapitan Verdwijnen był dumny z mosiężnych urynałów i zamkniętych latryn dla oficerów z odpływami prowadzącymi do morza. Załoga siadała na rzędzie desek z otworami na dziobie, klnąc na czym świat stoi, gdy lodowate fale podmywały piekące od soli marynarskie tyłki.

– Nauczyliśmy się od Portugalczyków, że to najlepszy sposób na uniknięcie tego, co nazywają *bicho do cu*, bolesnego zakażenia odbytu, tak piekącego i dotkliwego, że w dawnych czasach żeglarze wpadali w szał z udręki – tłumaczył kapitan.

Oficerowie w oczach Duqueta wyglądali na zmęczonych życiem w porównaniu z młodą załogą, choć gdy podzielił się tym spostrzeżeniem z kapitanem, ten roześmiał się i powiedział, że pozory mylą, bo marynarze, choć silni, są zżerani przez choroby weneryczne, szaleństwo i przyrodzoną głupotę. Oficerowie natomiast nie wyglądają najświeżej, lecz każdy z nich wiele potrafi i ma pożyteczne doświadczenie.

Dzielący kabinę z Duquetem François Toppunt miał chude ospowate oblicze i cienkie ręce, co sprawiało, że wyglądał na słabeusza, choć był niezwykle żywotny. Nosił się elegancko w przeciwieństwie do załogi, chodzącej w usmolonych, czerwonych, szorstkich i szerokich pludrach z wysokim stanem oraz w wełnianych czapeczkach, robionych przez marynarzy na drutach. Był gibki niczym nauczyciel tańca i błyskawicznie podejmował decyzje. Uważał, że urodził się w Bourgogne i w młodym wieku trafił do Amsterdamu. Gdy jego rodzice zmarli na zarazę, przysposobił go zegarmistrz Willem Toppunt i jego bezdzietna żona.

Duquet i Toppunt byli do siebie podobni. Obaj poruszali się szybko i szybko decydowali, obaj z radością rozmawiali ze sobą po francusku, choć Toppunt używał tego języka nie bez trudu i wtrącał do niego niderlandzkie słowa i frazy. Miał, podobnie jak wielu żeglarzy, słabość do cudów natury, które zbierał podczas rejsów. Opowiedział Duquetowi o swoim gabinecie osobliwości, w którym miał zęby pająka i wypchanego rajskiego ptaka, to

przedziwne stworzenie, które przychodzi na świat bez stóp. Powiedział też Duquetowi, że mastyf kapitana wdrapuje się na reje i szczeka ostrzegawczo na widok piratów.

Kilka dni po wejściu na pokład Duquet zwierzył się Françoisowi Toppuntowi, że pragnie zamówić nowe odzienie i perukę, tak by wszystko było gotowe po jego powrocie z Chin.

– Będziesz musiał zapłacić z góry – odrzekł Toppunt – ale znam dobrego krawca w Paryżu i perukarza przy tej samej ulicy. Zostało nam jeszcze pięć dni do wyjścia w morze, przekonamy kapitana, by udzielił nam urlopu, pojedziemy dyliżansem pocztowym do Paryża i odwiedzimy tych rzemieślników, bo i ja potrzebuję peruki na specjalne okazje.

Podskakujący na wybojach dyliżans rozpuścił im niemal wątroby, a Duquet korzystał z każdej okazji, by wysiąść z ekwipażu i biec obok. W Paryżu znaleźli gospodę blisko ulicy krawców i perukarzy.

Wschód słońca przyniósł pogodny błękitny dzień, a wiatr oczyścił ulice z nieprzyjemnych zapachów. Pogoda idealnie nadawała się do spacerów, więc Duquet i Toppunt przechadzali się po ulicach. Toppunt wskazał popularną kawiarnię. Weszli do środka, a Duquet znów zaryzykował kawę. Toppunt zamoczył wargi w czekoladzie z cukrem i doszedł do wniosku, że jest wyborna. Mimo smolistego posmaku, kawa znów dodała

Duquetowi wigoru i wyostrzyła mu zmysły. Toppunt powiedział, że to jedna z wielu zalet smolistego płynu.

– Pomaga również na dolegliwości – oznajmił siwowłosy posługacz z kawiarni, włączając się do rozmowy. – To ulubiony napój kupców i przedsiębiorców, pozwalający podliczać duże sumy w głowie przez wiele godzin.

U krawca Duquet wybrał błękitny aksamit na szustokor i zgodził się na cięte na skos spodnie do kolan. Służalczy krawiec zachwalał cienki angielski materiał, dodając, że jest on obecnie najmodniejszy. Ale Duquet wybrał niebieski atłas w prążek, choć nie zdołał oprzeć się propozycji krawca, by zaszedł po sąsiedzku do szewca, u którego obstalował lekkie pantofle z modnym zaokrąglonym czubkiem.

Perukarz, człek z drżącymi rękoma za sprawą jakiejś febry lub z nadmiaru kawy, doradzał najmodniejszy wzór: mniejszy, spłaszczony na ciemieniu, ze „skrzydłami gołębicy" na skroniach, zamiast sięgającej ramion peruki, jaką obaj chcieli zamówić. Podkreślał wygodę i swobodę noszenia tupeciku. Toppunt zgodził się natychmiast, ale Duquet – który dobrze wiedział, jak wyglądają ludzie zamożni – zamówił długą perukę z drogimi loczkami i lokami.

– Wszystko będzie gotowe na wasz powrót, moi drodzy, drodzy panowie – powiedział perukarz – ale pod warunkiem, że zapłacicie mi teraz, gdyż ci, którzy wyruszają na Daleki Wschód,

muszą liczyć się z morskimi katastrofami, piratami, zarazą i szkorbutem. Jeśli zginiecie, drodzy panowie, wasi spadkobiercy odbiorą ode mnie peruki.

Droga powrotna do La Rochelle okazała się jeszcze kłopotliwsza: jeden z koni pocztowych padł na szlaku, a podczas wyboistego objazdu złamali oś. Wynajęli juczne wierzchowce i zdążyli do portu kilka godzin przed wyjściem fregaty w morze. Kapitan Verdwijnen miał zły humor i oskarżył Toppunta o zaniedbywanie obowiązków.

– Macie u mnie, panie, czarną krechę – oznajmił kapitan. – Wkrótce przekonacie się o moim niezadowoleniu.

Duquet nie miał pojęcia, co może spotkać Toppunta, ale kapitan był wiecznie niezadowolony z postawy mata.

Statek wypłynął na wody kanału La Manche, minął Brest, Portugalię, po czym skręcił na zachód, by opłynąć wybrzuszenie Afryki, unikając przy tym równikowego pasa ciszy w strefie zmiennych wiatrów. Płynęli na zachód, póki kapitan Verdwijnen nie ogłosił, że wyczuwa zapach Brazylii, skręcili wówczas na południowy wschód ku Przylądkowi Dobrej Nadziei, trzymając się z daleka od Prądu Południowoafrykańskiego, a następnie popłynęli na wschód, aż chwycili w żagle południowo-zachodni monsun, który poniesie ich do zdradzieckiej Cieśniny Sundajskiej i dalej do Chin.

Duquet nie lubił morza. Jego żywiołem były rzeki – zmieniające się nieustannie, potężne, zmuszające do wiecznego kwestionowania ich ciągłości. W porównaniu z rzekami ocean był nużącym zbiorowiskiem rozkołysanych fal, tracących czasem kształt i rozdzielających się w zamęt. Przetrwał sztormy i grzmiące bałwany i miał nadzieję nigdy nie ujrzeć wielkiej jak góra matki wszystkich fal, o której mówili żeglarze, nie chciał też nigdy usłyszeć potwornego wycia cyklonów.

Kapitan Verdwijnen hołdował spartańskiej diecie i jadał sam w kajucie, żywiąc się gotowaną wieprzowiną, piwem, chlebem i serem. Przy stole oficerskim, wzbogacanym o świeżo złowione delfiny czy zupę z ośmiornicy, rozmowy przy obiedzie prowadzono w rozmaitych językach, a pokazywanie palcem chleba lub wina okazywało się bardziej skuteczne od proszenia. Duquet zrozumiał, skąd wzięła się gestykulacja i dziwne grymasy na obliczu kapitana Verdwijnena – był to uniwersalny język znaków. Kucharz Li Wen był wracającym do Chin Chińczykiem, wyjaśnił kapitan, po latach nauki w Amsterdamie.

– Czego się uczył? – zapytał z nagłym zainteresowaniem Duquet.

– Holenderskiej medycyny, jak sądzę. Jest, zdaje się, kimś ważnym w Chinach, ale na tyle skromnym, by odpracowywać rejs w kuchni.

– Więc jest lekarzem?

– Podczas tego rejsu jest felczerem, opatruje zranienia. I kucharzem.

– Ale w Chinach jest lekarzem?

– Koronerem.

– A kim jest koroner?

– To doktor, który bada ciała po śmierci, żeby sprawdzić, czy śmierć nadeszła z przyczyn naturalnych czy z innych powodów. Wolę Li Wena od większości okrętowych cyrulików, którzy słyną z pijaństwa i rozpusty. Koroner to ważna osobistość w Chinach, gdzie zawiść i rywalizacja dorównują tym, które panują na francuskim dworze królewskim. W Chinach trucizny kupuje się w sklepie.

Duquet przydybał w końcu chińskiego koronera i zwrócił się do niego łamanym językiem niderlandzkim, prosząc o naukę pożytecznych chińskich fraz. Pokazał mu monetę, na co Li Wen zrobił przerażoną minę. I odpowiedział płynnie po francusku:

– Niemożliwe. Chiński dwór zakazuje obcym uczyć się chińskiego. Zabronione.

Mimo to koroner zaszczycił Duqueta recytacją chińskiej poezji, którą tłumaczył, wyjaśniając przy tym znaczenie słów. „Nie ma – powiedział – zakazu recytowania chińskiej poezji". Duquet natychmiast rozpoznał siebie w tygrysie z wiersza Zhang Ji o potężnym drapieżniku, przemierzającym górskie lasy i tak przerażającym, że całe wsie sztywniały ze strachu, wypatrując jego śladów na śniegu. Ja także, myślał Duquet, zagarnę cały las.

Pewnego wieczoru przy poobiednim kieliszku jałowcówki kapitan Verdwijnen przyjrzał się uważnie Duquetowi i oznajmił, że w Guangzhou, Kantonie, będzie mógł zamówić sobie nowe zęby z kości słoniowej, dopasowane do jego szczęki. Takie uzębienie nada mu wygląd przystojnego łotra. Zęby takie rzeźbi rzemieślnik, który wykonuje też członki z kości słoniowej dla żon żeglarzy. Jego praca jest droga, ale warta każdych pieniędzy. Unosząc rękę, jakby coś sobie przypomniał, dodał, że w pośredniczącym w interesach Hongu wszystko to się zaaranżuje i sprzeda również futra Duqueta. Pogłaskał wyjątkowo ładną skórę rysia, którą Duquet przyniósł do kabiny.

– Miałem dać ją w prezencie cesarzowi Chin – stwierdził Duquet – ale daję to futro wam, panie. – Podał kapitanowi skórę, dodając, że spodoba się żonie kapitana, szczególnie jeśli będzie jej towarzyszył przyrząd z kości słoniowej.

– Ha, ha, ha – roześmiał się kapitan Verdwijnen, odkorkowując zębami następną butelkę jałowcówki. – Dobrze robisz. Żaden obcokrajowiec nie uzyskał jeszcze audiencji u cesarza Chin.

Zbliżał się koniec października, gdy fregata i towarzyszące jej statki wpłynęły na Morze Chińskie. Pogoda dopisywała im wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki, ale monsuny okazały się słabe i kapryśne. Zawinęli na krótko do portu przy Przylądku Dobrej Nadziei, ale nie zabawili tam długo, gdyż w porcie znajdowała się placówka VOC, wypatrująca niezależnych przedsiębiorców. Po

wschodniej stronie Afryki wiały niesprzyjające wiatry. Przez cztery dni trwały sztormy – niebo drżało, morze, zdaniem Duqueta, dusiło się sobą i było bardzo gwałtowne, ale tej opinii nie podzielali inni żeglarze. Na horyzoncie dwukrotnie pojawiły się groźnie wyglądające żagle. Kapitan Verdwijnen stwierdził, że to piraci, gdyż wypatrzył przez lunetę ich złowrogie flagi. Duquet zapytał niewinnie, kiedy wyczulony na piratów mastyf wdrapie się na reje, lecz opamiętał się, słysząc gromki rechot załogi.

Przysłuchując się rozmowom oficerów w mesie, Duquet wyrobił sobie zdanie o żegludze po oceanach świata, na których statki są jakby zawieszone we mgle, nie mając pojęcia o innych żeglujących w pobliżu jednostkach. A każda z nich wiozła najcenniejsze na świecie towary.

– A cóż to są za towary? – zapytał któregoś wieczoru przy stole. Żeglarze zaczęli wymieniać znane im ładunki, przewożone drogą morską. Początkowo wymieniali je z politowaniem, ale później zaczęli się przekrzykiwać i przerzucać towarami.

– Kosze trufli! Wielbłądzia wełna! Cisowe bełty! Proch! Papugi! Srebro z Potosí, tak, srebro wydobywane przez umierających! Tytoń! Piżmo! Ochra! Indygo! Brazylijskie orzechy orzesznicy! Nie zapominajcie o marzanie barwierskiej! Papier! Pieprz! Cynamon! Wszystkie szlachetne przyprawy! Perkal! Bawełna! Farbowany jedwab! Brabanckie koronki! Biskajskie siekiery! Orzeszki piniowe z araukarii! Konie i słonie! Pierścienie z koralem! Laka! Wełna! Runo! Płótno! Muszelki kauri, żeby kupować niewolników!

Kora! Koźle skóry! Beczki syrahu! Woły! Instrumenty muzyczne! Narzędzia lekarskie! Arabskie nożyczki! Kamienie szlachetne! Kartacze! Metale szlachetne! Zboże! Kukurydza! Ryż! Kość słoniowa! Domino! Sól! Herbata! Tureckie pantofle z zadartymi noskami…

Wielu z nich służyło dawniej na statkach VOC i z przyjemnością wspominali dawne wyprawy po cenne ładunki. Twierdzili, że najsprytniejszymi kupcami na statkach zawsze są cyrulicy.

– Nieważne, gdzie handlują, na Przylądku Dobrej Nadziei czy w Batawii, zawsze handlują z zyskiem!

– Na świecie jest wszystko, jeśli się tylko wie, gdzie i jak to dostać – stwierdził filozoficznie Toppunt, sięgając po chleb. A cyrulicy to wiedzą.

Ale większość tych opowieści kończyła się usatysfakcjonowanym stwierdzeniem, że cyrulicy nie dożywają czasów, w których mogliby czerpać zadowolenie z zysków, zwłaszcza jeśli płyną do Batawii, gdzie życie białego trwa krótko. W tym cuchnącym porcie przeżywa niewielu Europejczyków.

– A ci medycy chcąc nie chcąc, muszą leczyć chorych i często padają ofiarą chorób, które chcą wyleczyć. – W ten sposób rozmowa odbiegła od towarów przewożonych statkami i przeszła na czyhające na wschodzie niebezpieczeństwa.

13

OGRÓD ROZKOSZNYCH ZŁUDZEŃ

1704

Kapitan Verdwijnen tłumaczył Duquetowi skomplikowany chiński system handlowy. Wszystkie zapasy statku – mówił – należy uzupełniać u licencjonowanych kupców. Wszystko jest licencjonowane.

– Kapitanowie statków mogą handlować tylko z licencjonowanymi chińskimi kupcami, porozumiewać się tylko przy pomocy licencjonowanych tłumaczy, muszą wnieść ponad sześćdziesiąt przeróżnych opłat i poddać ładunek inspekcji, jeśli chcą tam handlować. Co więcej, wszyscy obcokrajowcy muszą przebywać na obszarze faktorii i nie wolno im wchodzić do miasta.

Gdy wpływali do Guangzhou, Duquet stał na pokładzie, wpatrując się w bardzo długi rząd magazynów i spichlerzy, tworzących dzielnicę obcych kupców. Powiewające flagi różnych kupieckich krajów nadawały wszystkiemu pozór miasta. Zszedł na ląd wprost w hałaśliwą krzątaninę Chin.

Zatrzymali się w budowli przeznaczonej dla holenderskich kupców. Kapitan Verdwijnen wrócił do dawnych zwyczajów, włączając w nie Duqueta: rano przygotowywał dzbanek kawy, paląc ziarna w rondelku, mieląc je młynkiem i wrzucając kawę do wrzątku. Potem liczył do pięćdziesięciu i pozwalał fusom opaść.

Miał jeszcze jedną słabość, którą podpatrzył w kawiarniach Amsterdamu: palił fajkę. Palenie fajki również było rytuałem. Wyjmował skórzany kapciuch, w którym trzymał liście tytoniu. Wybierał jeden, który wpadł mu w oko i ciął go na coraz drobniejsze kawałki. Napełniał nimi fajkę. Zapalał w kominku drzazgę i wciągał w płuca dym, po czym wydmuchiwał powoli przez zaciśnięte usta, wydając przy tym odgłos jak wschodni wiatr. Po tym wszystkim był gotów rozpocząć handel i prowadził Duqueta do pana Wuqua, kupca z handlowego Hongu, zabierając ze sobą dwie ciężkie torby.

Pan Wuqua był bogato ubranym mężczyzną o cerze koloru świeżego masła, z wąskim czarnym wąsem. Między kapitanem Verdwijnenem a kupcem usiadł licencjonowany tłumacz. Duquet zajął miejsce z boku, przyglądając się przekładanym płynnie przez tłumacza – najpierw po mandaryńsku, potem po holendersku – targom. Kapitan Verdwijnen chciał kupić specjalne rodzaje herbaty, jedwab w różnych kolorach, porcelanę z malowidłami scen ogrodowych, lakowe szkatułki i egzotyczne, lecz niezbyt wymagające rośliny, jako że rejs powrotny trwa długo. Pan Wuqua proponował herbaty z najrozmaitszych odległych okolic: herbaty

wiązane, pakowane w skrzynie, brykietowane w dowolnych ilościach i po kuszących cenach. Kapitan Verdwijnen opuścił ręce i opadł na krześle, jakby go postrzelono. Oddychając głęboko, złożył rękę na sercu i zaprotestował przeciwko upiornie wysokim cenom. Otworzył jedną z ciężkich toreb. W półmroku zalśniły sztabki srebra. Podał mniejszą cenę. Teraz pan Wuqua zbladł i pomachał wachlarzem z kości słoniowej. Przedstawił inne wyliczenie: tę samą cenę za większą ilość herbaty gorszego gatunku, mniej różnokolorowego jedwabiu, skromniej malowaną porcelanę i lepiej znane rośliny. Kłócili się i żaden nie chciał ustąpić. Po dłuższej chwili milczenia pan Wuqua zaproponował, by wyszli do ogrodu.

Ogród Rozkosznych Złudzeń wzbudził coś w Duquecie jakby za pociągnięciem sznurka. Nie wiedział, że takie miejsca istnieją. Szli wolno ścieżką wyłożoną mozaiką z maleńkich kamyków. Wzór na mozaice nazywał się, według pana Wuqua, „Kwiat śliwy na spękanym lodzie". Przy każdym zakręcie rosły kwitnące krzewy, tworzące koliste bramy. Ujrzeli Wieżę Sięgającą Chmur i układające się koronkowo w kształcie góry kamienie z Jeziora Tai. Z najwyższej szczeliny wypływał nie szerszy niż na trzy palce wodospad, który wpadał do stawu poniżej. Po drodze do pawilonu, noszącego nazwę Malowanej Łodzi na Wiosennym Śniegu, minęli rzędy drzewek morelowych. Na końcu stały czarne głazy niczym postaci w opończach. Ogród ten należał do kupca i rosły w nim symbolizujące bogactwo peonie, bladoróżowe o karminowych

wnętrzach. Duquet stał na wygiętym mostku i wpatrywał się w szemrzącą na kamieniach wodę.

– Wiele razy widziałem w Nowej Francji wodę płynącą po skałach i nigdy nie uznawałem jej za coś godnego uwagi. Ta woda jest inna.

Pan Wuqua skinął głową.

– Z całą pewnością jest inna. W waszych lasach nieustannie płyną czyste strumienie. W mieście ceni się ogrody. Chcę wam pokazać dwa splątane jałowce, rosnące tu bez wątpienia od początku świata: to tajemnica tego ogrodu. Nikt ich nie może zobaczyć.

Poszli za kupcem wzdłuż krawędzi ogrodu i przeszli przez most z jednego masywnego głazu. Duquet podniósł wzrok znad niebezpiecznej ścieżki i ujrzał dwa stare jałowce, powykrzywiane od stuleci zalegających na nich śniegów.

– Widzicie – odezwał się pan Wuqua. – Skały, woda i rośliny, ogród namysłu i harmonii między niewidzialnymi pierwiastkami czasu. – Był zaskoczony, że ten barbarzyńca, prymitywny przybysz, raduje oczy jego ogrodem. Duquet z całą pewnością nie miał zadatków na estetę, ale kryła się w nim jakaś nieodparta siła, właściwa ludziom o żelaznej woli lub wielkim bogactwie. Nie spoglądał na ogród sam w sobie, przyglądał mu się jakby z wysoka, widząc siebie, spacerującego po mozaikowych ścieżkach. Obecność w tak dziwnym miejscu była ze wszech miar godna zapamiętania. I wzbudzała w nim trudne do opisania wrażenia.

Weszli do pawilonu nad brzegiem stawu. Służba podała herbatę. Białe kwiatki pachniały piżmowo, a blade płynne piękno ogrodu uspokoiło kupców. Duquet przyglądał się, jak pozostali podnoszą półprzezroczyste miseczki z herbatą, wdychają jej aromat, sączą trunek, wzdychają i znów sączą. Postąpił tak samo.

Po jakimś czasie pan Wuqua i kapitan Verdwijnen wstali, ukłonili się sobie, ukłonili się tłumaczowi i Duquetowi, po czym wrócili do kancelarii, gdzie prowadzono interesy. Targowali się teraz łagodnie, przedstawiając oferty jak dary i nie zgadzając się na nie w kwiecistych długich przemowach, które brzmiały jak zgoda. Duquet przyglądał się wszystkiemu uważnie i zapamiętywał całą procedurę. Dzień toczył się dalej, a ciepłe powietrze zgęstniało. W końcu pan Wuqua wstał, powiedział coś szybko do tłumacza i wyszedł z izby. Kapitan Verdwijnen oznajmił, że wszyscy, z tłumaczem włącznie, zostali zaproszeni na bankiet do jednej z rezydencji kupca na obrzeżach faktorii.

Wrócili do siebie, umyli się i przebrali. Mieli godzinę do przyjścia służących pana Wuqui. Duquet wyjął jałowcówkę.

– Dostaliście, panie, dobrą cenę na towary, które chcecie kupić? – zapytał kapitana.

– Jeszcze nie, jeszcze nie. Dopiero zaczęliśmy. Będziemy kontynuować jutro i pewnie pojutrze i następnego dnia. Pośpiech nie jest wskazany. Zyski i straty rozważa się i kontempluje powoli, w grę wchodzi prestiż, honor i wiele więcej.

Duquet zazdrościł kapitanowi, który tak umiejętnie rozdawał karty.

Verdwijnen zapalił długą glinianą fajkę i wydmuchnął dym.

– Zastanawiacie się, panie, kiedy dojdziemy do waszych futer, nieprawdaż? – Machał stopą.

– Owszem – odparł Duquet. – Zastanawiałem się nad tym.

– Dojdziemy. Nie ma pośpiechu. Tak czy inaczej, nie odpłyniemy stąd, póki nie zakończymy targów, a wypłyniemy pewnie w przyszłym roku, gdy zawieją korzystne wiatry. Niechże pan korzysta z pobytu w Chinach! Co sądzicie, panie, o ogrodzie?

– Cóż, bardzo… bardzo… przyjemny.

– Ja także lubię piękne ogrody i dzieła sztuki.

Duquet miał okazję przekonać się o tym osobiście, gdy pewnej nocy na statku kapitan Verdwijnen obudził go z głębokiego snu.

– Wstańcie, panie! Pokażę wam coś zdumiewającego! Wstawajcie!

Kazał mu iść za sobą na pokład, by podziwiać cud. Bosy, zaspany, potykający się o koszulę nocną Duquet stanął przy relingu i spojrzał w dół. Woda pieniąca się wokół dziobu statku opalizowała, a za rufą ciągnął się roziskrzony ogon jak u komety.

– Widzicie! Spójrzcie tu! – wołał kapitan Verdwijnen, pokazując fosforyzującą wodę i machając rękoma. Wzdłuż burt płynęły delfiny, które rzucały iskrami przy każdym skręcie czy wynurzeniu tej ryby. Marynarz wciągał na pokład wiadro płynnego światła. Kapitan Verdwijnen zanurzył w nim ręce i

podniósł je do góry – palce i dłonie lśniły od spływającej po nich wody. Grzbiet fali zapłonął ogniem i pociemniał. Fregata sunęła przez morze ognia. Duquet ziewnął i mruknąwszy: „Zdumiewające”, wrócił pod pokład.

Zanim wsiedli do lektyk, tłumacz oznajmił, że pan Wuqua odnotował z przyjemnością, iż wizyta w ogrodzie sprawiła radość zagranicznym gościom, i z tej przyczyny zaproszenie na obiad obejmuje również spacer po jego prywatnym Ogrodzie Cynobrowych Ważek. Lecz nim przybyli na miejsce i znaleźli się wraz z gospodarzem pod szemrzącymi koronami drzew, zrobiło się ciemno, a noc była bezksiężycowa. Ścieżkę oświetlały odległe filujące płomyki oraz papierowe kule z uwięzionymi w nich świetlikami, rzucającymi zielonkawą poświatę. Nigdzie natomiast nie było widać ważek – ani cynobrowych, ani bursztynowych, ani niebieskich czy innych. Ale pan Wuqua ujął ich za ręce i poprowadził w najgłębszy mrok.

– Stoimy pod największym w tym mieście drzewem ginko. Mój ogród należał niegdyś do starożytnej świątyni, a to drzewo *yinkuo* było stare już w tamtych czasach. Mówią, że rosło już, zanim urodził się Budda. Nie jest podobne do innych drzew. Gdyż to jedno z pierwszych drzew rosnących na ziemi.

Zerwał po ciemku dwa listki i podał jeden Duquetowi, a drugi kapitanowi Verdwijnenowi.

– Musicie mnie odwiedzić za dnia, ujrzycie wtedy ważki – powiedział pan Wuqua i poprowadził ich do pawilonu z ozdobnymi przesuwanymi drzwiami. Dwa tuziny latarni oświetlały gości i błyszczące srebrne miseczki z winem. Duquet spojrzał na liść ginko, który trzymał w dłoni. Bardzo przypominał listki niekropnia, które widywał tysiące razy w lasach na północy. W pawilonie grała muzyka w stylu Xianjing, a śpiewaczka wysilała wysoki zduszony głos. Tłumacz oznajmił, że główne danie obiadu, podawane po wielu przekąskach, nosi nazwę „Budda przeskakuje przez mur". Danie to smakowało Duquetowi, a kapitan Verdwijnen, marzący o śledziu i salcesonie, próbował je ostrożnie.

Gdy wracali do faktorii, kapitan odezwał się w te słowa:

– Założę się, że po tym przeskakującym przez mur wywarze rozchorujecie się, panie, o ile pierwej nie umrzecie.

– Warto było – odrzekł Duquet.

Minęły tygodnie, zanim pan Wuqua zdecydował się rozważyć ofertę Duqueta. Spodziewał się zapewne zamówień na porcelanę, herbatę, wyroby z laku lub jedwab i miał wrażenie, że Duquet przywiózł ze sobą srebro. Więc gdy Francuz wyjmował wspaniałe futra i potrząsał nimi po kolei, aż leciały z nich iskry, na obliczu pana Wuqui – nauczonym, by nie okazywać zaskoczenia – odmalowało się zdumienie. Ujął futro śnieżnego polarnego lisa i pogłaskał je, przyjrzał się norkom i kunom, białym jak lód gronostajom i dwóm grubym pelisom z wydr. Na widok

aksamitnoczarnego, przetykanego srebrem futra – najbardziej pożądanego na świecie – pan Wuqua aż wstrzymał oddech.

– Bardzo ładne. Bardzo, bardzo ładne. Nieczęsto widujemy tu futra takiej urody i jakości. Futra przywożą nam Rosjanie, więc nie są tu całkiem nieznane. A w Guangzhou jest za ciepło na noszenie futer, lecz dwór na północy… Co sobie winszujecie, panie, za te futra?

Duquet nie wymienił żadnego z luksusowych chińskich towarów, lecz podał cenę – bardzo wysoką – w srebrze. Pan Wuqua udał omdlenie, głowa opadła mu na bok, lecz przyglądał się uważnie Francuzowi przymkniętymi skośnymi oczyma. Po chwili doszedł do siebie i zaoferował niewielką sumę w srebrze, a do tego kilka bel jedwabiu i belę herbaty.

Duquet padł na podłogę w ataku piskliwego, spazmatycznego, pełnego niedowierzania śmiechu. Padając, zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko. Wstał, był pewny, że stracił twarz w negocjacjach i że ranek, a może nawet cała wyprawa, pójdą na marne. Podnosił się powoli i zajął miejsce na krześle, przyglądając się panu Wuqui.

Na twarzy kupca odmalował się osobliwy wyraz. Zdumienia? Pogardy? Ale pan Wuqua skinął głową – leciuteńko, w wyrazie wykalkulowanego podziwu i zgody na zachowanie Duqueta, uznane za możliwe do przyjęcia, a nawet za czarujące jako wybieg. Wrócili do poprawnych manier i stosownych zachowań. Dzień mijał na dalszych targach. Znów wyszli do ogrodu na

herbatę i zgodzili się spotkać za dwa dni. Po upływie miesiąca targów Duquet zgodził się przyjąć zawrotną sumę w srebrze za swoje futra. Zysk okazał się oszałamiający.

– Jeśli wrócicie do nas, panie, w przyszłości – mówił pan Wuqua – z futrami podobnej jakości i tak rozmaitymi, wzbudzą one jeszcze większą namiętność.

Służący dolał im herbaty. Pan Wuqua upił łyk, zapatrzył się w dal i zapytał od niechcenia:

– A czy w lasach Nowej Francji macie to?

Wyciągnął z obfitego rękawa dziwny powyginany korzeń, przypominający zgarbionego starca o trzech nogach. Duquet widział taki korzeń wcześniej w rękach Indianki, która uratowała mu życie.

– Owszem, panie, mamy.

– Ha. Więc jeśli przywieziecie mi ładunek tego korzenia, zapłacę wam tyle, ile za futra. A może nawet więcej, w zależności od wielkości i jakości ładunku.

– Doskonale. Mam też wyborne drewno na piękne meble – odrzekł Duquet, trzęsąc się w środku z radości, gdyż wiedział, że udało mu się rozpocząć nadzwyczaj korzystne przedsięwzięcie handlowe.

– Rzadkie gatunki drewna są intratne. Osobliwie drzewo sandałowe. Nader ceni się tu wszystkie pachnące gatunki drewna.

Duquet za jednym handlowym pociągnięciem stał się zamożnym człowiekiem, a po kolejnym rejsie lub dwóch, myślał,

jeśli kapitan Verdwijnen zgodzi się go zabrać, będzie mógł rozpocząć swój własny leśny interes. Rozmowa o drewnie zachęciła go do zadania pytania:

– Czcigodny panie Wuqua, jako że obcokrajowcy nie mogą opuszczać faktorii, często zastanawiałem się nad lasami w Chinach. Przekonałem się, że mieszkańcy Chin cenią sobie ogrody, oddające istotę lasu, oraz góry, lecz w miniaturze. A jak wygląda prawdziwy chiński las? Żywię przekonanie, że lasy są wieczne i nigdy nie znikną, bo odrastają same z siebie, choć z drugiej strony widziałem we Francji… przerzedzone lasy. Zauważyłem też, że lasy się cofają, choćby w Nowej Francji… niewiele, odrobinę, tam, gdzie powstają ludzkie osady. Jak daleko może cofnąć się las, zanim odrośnie?

Pan Wuqua przyglądał się uważnie Duquetowi, jakby chcąc rozstrzygnąć, czy ten ma jakieś złe zamiary wobec chińskich lasów. Zerknął na tłumacza. Zawahał się.

– Wolno mi tylko rzec, że Chiny są bardzo duże i bardzo stare, i mieszka w nich wielu ludzi. Nic ponad to powiedzieć nie mogę. Może następnym razem?

Duquet pojął, że rozmowa dobiegła końca, więc wstał, ukłonił się i wyszedł.

Tego wieczoru przyszła do niego młoda Chinka. Oznajmiła łamanym językiem niderlandzkim, że przysyła ją pan Wuqua. Wracała każdego wieczoru.

Po upływie kilku następnych miesięcy Duquet zatęsknił za domem. Czekanie na zmianę kierunku monsunów było bardzo irytujące. Lecz któregoś dnia pan Wuqua wezwał go do swej kancelarii. Dzień był chłodny, wczesnowiosenny, na dworze wiał silny wiatr, który osypywał dziedziniec płatkami kwiatów śliwy. U boku pana Wuqui pojawił się inny tłumacz.

– Życzyłeś sobie, panie, porozmawiać o naszych lasach – mówił przyciszonym głosem pan Wuqua, pośpiesznie i zerkając niecierpliwie na tłumacza. – Chcąc przygotować się do tej rozmowy, spotkałem się ze znającym się na rzeczy uczonym starcem. Powiedział mi, że nasz czcigodny mędrzec Mencjusz pisał o ludziach karczujących lasy pod uprawy, wypalających trawy i zioła, ścinających nieustannie drzewa, dzielących ziemię między siebie i orzących ją. Już w czasach Mencjusza w Chinach żyło wielu ludzi i byli oni ubodzy. A człowiek musi jeść albo umrze. Potrzebuje podpałki, żeby ugotować ryż. Musi się ogrzać. Więc ścina drzewa. – Promień słońca dotknął czubka czarnego jedwabnego pantofla pana Wuqui. – Jesteśmy krajem rolniczym. Rozumiecie więc, panie, że parcelacja gruntu stanowi podstawę naszej gospodarki i rządów.

– Zatem lasów ubywa?

– Trudno orzec, gdy ludzie sadzą lasy i drzewa: bambus, sosnę, dąb i inne cenne gatunki na lakę i żywicę. Musisz pamiętać, panie, że jeśli ubywa lasów, przybywa upraw, pożywienia, pieniędzy i ludzi, a także zadowolenia.

Duquet skinął głową, choć nie wiedział, skąd bierze się zadowolenie w tej recepturze.

– Ale lasy ścinamy też z innych powodów, panie, niż powiększanie ziem ornych. Czy słyszałeś, panie, o czterech skarbach mędrca?

– Nie, obawiam się, że nie.

– Chiny to kraj mędrców, poetów i kaligrafów – oznajmił pan Wuqua. – A ich cztery skarby to pędzelek, papier, tusz i kamień pisarski, konieczny w kaligrafii. Tusz robi się z sadzy powstającej podczas spalania sosen. Wiele sosen musi spłonąć, by zaspokoić potrzeby chińskich mędrców. – Promień słońca przesunął się na szaty pana Wuqui i spoczął na hafcie jaskrawym paskiem. – A gdy wybucha wojna, drewno jest potrzebne do kucia metalu. Potrzebują go też garncarze i ceglarze, żaden rzemieślnik nie może się obejść bez drewna! Tam, gdzie nie ma lasów, chłopi zbierają trawę, suszą ją i zwijają na podpałkę. W innych miejscach palą zwierzęcym nawozem. – Ściszył głos. – Słowem, brakuje drewna…

– Więc lasy Francji i Chin nie są wieczne! – odezwał się niepocieszony Duquet. – A doszły mnie słuchy, że i w górach Italii nie ma już drzew.

– Być może, panie. Gdyż nic nie jest wieczne. Nic. Nawet lasy i góry.

– Skąd zatem ogrody na cześć lasów i puszczy?

– Nie zapomnieliśmy o lasach, wycinając drzewa. Zakładamy ogrody, by przeżywać przyjemne złudzenie puszczy.

– Ja, czcigodny panie – powiedział Duquet – gardzę ponurym i dzikim borem, choć uznaję las za źródło bogactwa i wygód. Ale nigdy nie założyłbym ogrodu z myślą o lesie.

– Ma się rozumieć, mój panie. Nie znasz doktryny *Tian Ren He Yi*, harmonii między człowiekiem a przyrodą. Nie czujesz tej harmonii. Nie potrafi jej odczuć żaden Europejczyk. Nie zdołam ci wyjaśnić znaczenia tej myśli, gdyż każdy musi pojąć ją sam, ale myśl ta jest wszystkim.

Duquet uznał, że lasy Chin, Francji i Włoch musiały być liche od samego początku. Głęboko wierzył, że jedyne w swoim rodzaju bory Nowego Świata wszystko przetrwają. Po cóż innego przybywali ludzie na ten nietknięty ląd? By cieszyć się wprost oszałamiającą obfitością jego dziewiczych zasobów.

Duquet odwiedził rzeźbiącego w kości słoniowej snycerza, który zrobił woskowy odlew jego bezzębnych dziąseł i zabrał się do pracy nad uzębieniem. Praca ta trwała kilka dobrych miesięcy, lecz w końcu nadszedł dzień, w którym snycerz pokazał mu, jak się zakłada protezy dużych białych zębów, połączonych zawiasami z cienkiego złotego drutu. Duquet po raz pierwszy od lat spojrzał w lustro, a choć zęby wydały mu się monstrualne i niewygodne, stał się dzięki nim znośniejszym dla oka mężczyzną. Snycerz

powiedział mu, że przyzwyczai się do niewygody, lecz musi pamiętać, że zęby są tylko na pokaz, a nie do gryzienia.

– Musisz je, panie, myć codziennie szczotką i wycierać białą ściereczką.

Pokazał też na migi Duquetowi, że z czasem zęby zżółkną, jeśli będzie wystawiał je na słońce. Nic na to nie można poradzić, kość słoniowa taką ma naturę. Może powinien zamówić drugą parę zębów na zapas? Owszem, skinął głową Duquet. Zastanawiał się, czy nie dałoby się zrobić takich samych zębów z ceramiki, ale potem doszedł do wniosku, że nie chciałby mieć w ustach skorup i odłamków.

Późnym popołudniem, gdy codzienny handel dobiegał końca, Duquet siadał z kapitanem Verdwijnenem na dziedzińcu, by wypić kieliszek *jenever*. Przyzwyczaili się obaj do siebie. Duquet między panegirykami na cześć lasów Nowej Francji wtrącił kilka razy uwagę, że chciałby najszybciej jak się da wrócić do Chin, ale kapitan Verdwijnen unikał tego tematu.

– Jak wam się podoba, panie, ten śliczny lakowy stoliczek, który kupiłem dla Margit? Ten stary łotr Wuqua targował się tak, jakbym chciał kupić od niego bezcenny ogród z ważkami. W pewnym momencie spadł z krzesła, turlał się po podłodze i śmiał jak oszalały! Zupełnie stracił rozum i twarz. Ale ostatecznie sprzedał mi ten stoliczek za dobrą cenę.

– Ha! – roześmiał się Duquet. Pan Wuqua, ten stary łotr, nauczył się od niego nowej sztuczki.

Do obiadu często zasiadali z nimi przyjaciele kapitana Verdwijnena, Piet Roos i Jan Goossen, kapitanowie żaglowców. Oblicze Pieta przypominało bladą tablicę z dwoma okrągłymi otworami na oczy koloru brązowego cukru. Włosy kapitana miały barwę skóry i były przez to niemal niewidzialne. Nosił się z francuska w czarnych jedwabnych *culottes* i szustokorze ozdobionym pianką koronek przy szyi. Z kolei Jan chodził z wielką szablą u pasa w chłopskich barchanowych pludrach. Ci dwaj tak różni mężczyźni wydali się Duquetowi znajomi, więc w końcu zapytał o nich kapitana.

– Oczywiście, że ich znacie, panie! Widzieliście ich w La Rochelle w „Skale i Mieliźnie" – przyciszył głos do szeptu. – Mówiłem wam, że to moi wspólnicy, moi *vrienden*. Piet to mój szwagier, a Jan jest moim kuzynem. Chyba nie sądziliście panie, że w pojedynkę byłbym w stanie przeciwstawić się Vereenigde Oost-Indische Compagnie i ponieść wszystkie koszty rejsu!

– Chcę wejść z wami do spółki i handlować futrami. A w przyszłości drewnem. Zarobimy fortunę, gwarantuję wam!

Zapadła długa cisza, po której kapitan Outger Verdwijnen powiedział powoli:

– Wiecie, panie, że Kompania Wschodnioindyjska przez wiele lat ściśle nadzorowała holenderski handel z Indiami, Chinami,

Japonią i Wyspami Korzennymi. Żaden działający na własną rękę kupiec nie mógł robić tam interesów, czy choćby przepłynąć przez Cieśninę Magellana.

– Ale ludziom nie można tego zabronić! Próbują i odnoszą sukces! – wykrzyknął Duquet.

– Gdybyście próbowali i przyłapano by was, panie, zarekwirowaliby wasze towary, zajęli statek, a sami ponieślibyście surową karę z rąk VOC. Taki los spotkał Willema Schoutena, który odkrył przylądek Horn. Teraz kompania jest słabsza, ale nadal czujna. Moi *vrienden* i ja założyliśmy tajną spółkę, by wejść na indyjsko-chińskie szlaki handlowe, a kiedyś popłynąć do Japonii. Połączyliśmy kapitał i żeglujemy razem. To nasza czwarta wyprawa i wszystko idzie dobrze. Piet i Jan mają własne żaglowce, ja natomiast dowodzę fregatą Herr Grinza, ale mam nadzieję, że na tym rejsie zarobię tyle, by sprawić sobie mały zwinny *fluyt*. Nie jestem pewny, czy w naszej spółce jest miejsce dla handlarza drewnem. Być może jest, ale nie mam pewności. Obawiam się, że pod pokładem fluity nie zmieści się duży ładunek drewna. Nasze Indie Zachodnie potrzebują drewna, ale ja wolę handlować z Chinami. Na waszym miejscu, panie, przyjrzałbym się wymianie handlowej z Indiami.

Ale Duquet z uporem i determinacją znów przywołał lasy Nowej Francji. Holender przerwał mu obcesowo.

– Jesteście, panie, bardzo młodzi – powiedział – więc pozwólcie, że ktoś, kto widział kawałek świata, udzieli wam pomocnej rady.

Mówicie o Nowej Francji w taki sposób, jakby ten ląd do was należał.

– Należy. Nasze fortuny splotły się ze sobą. A Nowa Francja to cały nieznany świat, pobłogosławiony nieprzebytymi borami i potężnymi rzekami. Świat ten zdobył mój szacunek.

– Pozwólcie zatem, że wam przypomnę, iż Nowa Francja nie jest suwerennym królestwem, ale kolonią europejskiego mocarstwa. Znam z długoletnich obserwacji polityczne machinacje wielkich mocarstw i dlatego, panie, doradzam wam ostrożność. Królowie kolonialnych potęg nie znają swoich kolonii i zamorskich osad. Nigdy w nich nie byli, podobnie jak ich ministrowie. Kolonie dla nich to kolorowe plamy na mapie, pionki do przestawiania na szachownicy okrutnych wojen, źródła dochodów. Nic innego ich nie interesuje. Pozwolę sobie zauważyć, panie, że nie macie pojęcia o europejskich wrogach Francji, a Anglii w szczególności. I może zdarzyć się tak, że Francja sprzeda albo pozbędzie się Nowej Francji, jeśli tylko przyniesie to jej jakąś korzyść.

– To nigdy się nie zdarzy.

– Ma się rozumieć. Słyszałem jednak, że Francja, wasza metropolia, nie pała specjalną miłością do Nowej Francji, że statki z dostawami często się spóźniają, że nie zachęca poddanych do osiedlania się w tym północnym kraju, woląc mieć ich w domu, że pomoc i ulgi dla kolonistów są dla niej wymysłem i nie chce otworzyć rynku na towary wytwarzane przez jakby nie było własne dziecię.

– To chwilowe niedogodności – odrzekł Duquet, którego bolała prawda.

– Przekonacie się, panie, jak bardzo chwilowe i przypomnicie sobie tę rozmowę, gdy Francja rozpocznie wojnę z którymś z mocarstw, a przegrawszy ją, będzie musiała się czegoś wyzbyć. Jak długo, waszym zdaniem, Nowa Francja pozostanie nienaruszona?

Podczas długich miesięcy oczekiwania na sprzyjające wiatry kapitan Verdwijnen rozkazał rozładować fregatę i wyciągnąć na pobliską plażę, aby ją oczyścić. Stu Chińczyków wyjmowało pokryte nieczystościami kamienie balastu z zęzy i układało je na brzegu morza, czyściło zęzę, usuwało śmierdzące liny z pokrywy zęzy i umieszczało tam nowe. Wysypali zęzę czystym piaskiem, nim umieścili w niej na powrót oczyszczony przez fale balast, po czym usunęli z dna, stępki i burt skorupiaki i glony (gdyż dno fregaty nie było obite miedzianą blachą), uszczelnili poszycie i pomalowali fregatę z zewnątrz i wewnątrz. Następnie znów zwodowano „Gulden Steenarenda” i przez wiele dni długie kolejki tragarzy podawały sobie z rąk do rąk pudła i skrzynie, które trafiały do ładowni. Zaopatrzony na nowo statek wyglądał jak spod igły, w ładowniach spoczywały luksusowe chińskie towary i pięćdziesiąt kwitnących egzotycznych roślin. Wypłynęli do Zatoki Bengalskiej ze skrzyniami cytryn i mango, by marynarze nie cierpieli na szkorbut.

W Indiach kapitan Verdwijnen wymienił część porcelany i jedwabiu na owoce i warzywa, przyprawy, zwłaszcza goździki i pieprz, oraz skrzynię opium z Patny, stosowanego w celach leczniczych w Amsterdamie. Duquet, choć wciąż myślał o lesie, odnotował to wszystko w pamięci.

– Taka trójstronna wymiana handlowa mogłaby obejmować i handlarza drewnem, czyż nie?

– Owszem, choć w moim przypadku zyski byłyby większe, gdyby kupił opium w drodze do Chin, gdzie jest duże zapotrzebowanie na ten lek. Ale brakło nam czasu. Tak czy inaczej, wielu zagranicznych kupców wykorzystuje popyt. Więc dlaczego i ja nie miałbym tego robić? Chyba że nie pytaliście mnie, panie, o opium?

– Ależ tak! Właśnie o to pytałem!

Miał trzydzieści trzy lata i był na najlepszej drodze do fortuny.

14

RYZYKO

1706

W drodze powrotnej niektórzy marynarze odmawiali picia zapobiegającego szkorbutowi soku z cytryny, a gdy nikt nie patrzył wyrzucali mango za burtę (tak jak wcześniej pomarańcze i chińską kapustę *bok choy*). Tym, których przyłapano, dawano do wyboru zjedzenie dwóch cytryn lub dziesięć batów. Większość wybierała baty, gdyż marynarze uważali, że najodpowiedniejszym dla nich pożywieniem jest solone mięso, suchary i sery tak twarde i skamieniałe, że można je było rąbać siekierą. Nienawidzili cytryn. Kapitan Verdwijnen uśmiechał się tylko pod wąsem i rzucał, że ma wielką nadzieję, iż szkorbut przysporzy im wielu radosnych doznań. Nie upłynęło wiele czasu, a gardzący cytrynami marynarze zaczynali chodzić sztywnym krokiem, zostawiali krwawe ślady na sucharach i zwijali się z bólu brzucha. Pewnego dnia na pokładzie wybuchł gromki śmiech. Toppunt, chcąc poznać przyczynę tej wesołości, znalazł jednego z marynarzy, gapiącego się jak cielę w rację sucharów. Nieszczęśnik

chciał je ugryźć, od czego polała się krew, gdyż trzy jego zęby zostały w sucharze.

Rejs zdawał się nie mieć końca, ale kapitan Verdwijnen postanowił zawinąć do jeszcze jednego portu.

Fregata rzuciła kotwicę w Ghanie i zabrała do ładowni trzydziestu niewolników, których wciśnięto pod pokład razem ze skrzyniami porcelany, egzotycznymi roślinami i opium z Patny. W ładowni nie było już ani skrawka wolnej przestrzeni. Stłoczeni niewolnicy dobrali się do opium, co było dla nich wybawieniem i znacznie ulżyło ich cierpieniom. Zjedli także egzotyczne rośliny razem z kwiatami, liśćmi, łodygami, korzeniami i ziemią. Stratę odkryto dopiero u wybrzeży Francji.

Otrząsnąwszy się ze wzburzenia, kapitan Verdwijnen nalał sobie kieliszek jałowcówki i zwrócił się do Duqueta:

– A więc, mój przyjacielu, jak oszacujesz teraz wartość tych niewolników?

Duquet dobrze się zastanowił przed udzieleniem odpowiedzi. Cała ta sprawa miała jakiś komiczny wymiar, ale radość z cudzego nieszczęścia zachował dla siebie.

– Dla ciebie, panie, muszą przedstawiać ogromną wartość, gdy doda się to, co zapłaciłeś za samych niewolników, do ceny roślin i opium. Stają się wówczas bezcenni, w każdym razie kosztują znacznie więcej, niż wynosi rynkowa cena za niewolnika.

– Święta racja – odrzekł Verdwijnen. – Ale, ale. To wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane, gdyż ani egzotyczne rośliny,

ani opium nie mają stałej, wszędzie obowiązującej ceny. Ileż pieniędzy mógłbym dostać za opium, które jest drogim i poszukiwanym lekarstwem! A kto mi zagwarantuje, że cena za te rośliny nie poszybuje w górę jak ceny tulipanów w czasach mojego dziada? Czy do wartości niewolników nie należałoby zatem doliczyć szacunków przyszłych zysków? A co z kupcem niewolników? Ujrzy tylko Murzyna, a nie opium i rzadkie orchidee zeżarte przez tę istotę. Dla niego cenę wyznaczy rynek niewolników. – Rozważał to przez chwilę. – Tak czy inaczej, niewolnicy, opium i rośliny należą do mnie. To wszystko.

– Ale ubezpieczyłeś panie statek przed rejsem! W kawiarni w La Rochelle.

– To zbyt skomplikowane. Ma się rozumieć, że fregata Herr Grinza została ubezpieczona u agentów w kawiarni od straty, piractwa, katastrofy morskiej, a także utraty ładunku jedwabiu i herbaty, ale reszta… nie. Natomiast Piet, Jan i ja ubezpieczamy się wzajemnie przez nasze *partenrederijen*, więc ryzyko rozkłada się po równo na każdego z nas. Pier i Jan są właścicielami statków, tylko ja pływam u armatora Herr Grinza. Niemniej jednak moi wspólnicy podzielą moje straty, a ja ich zyski.

Duquet kiwnął głową. Fregata płynęła powoli po spokojnych wodach, na których układały się pokotem glony, niczym wzór na tweedowej wełnie. Duquet współczuł kapitanowi Outgerowi Verdwijnenowi, który zarobi bardzo niewiele na tym długim i niebezpiecznym rejsie – naprawdę mało, wziąwszy pod uwagę jego

talent kupiecki i umiejętności dyplomatyczne. Wszakże ryzyko jest wkalkulowane w interesy. Holender roześmiał się gorzko i powiedział:

– Taki rejs jest zawsze ryzykowny. Równie dobrze mogliśmy stracić statek i ładunek, mogliśmy stracić życie, mogli nas porwać piraci i sprzedać w niewolę. Więc lepiej dostrzec dobrą stronę całego przedsięwzięcia. Uniknęliśmy cyklonów i piratów. Wciąż mam stoliczek z laki dla Margit i wciąż mam niewolników. Coś za nich dostanę, więc w ostatecznym rozrachunku straciłem tylko opium i egzotyczne rośliny. My, Holendrzy, nie boimy się ryzykować. Jeśli interesy i przedsiębiorczość mają przynosić owoce, trzeba liczyć się z ryzykiem, które jest jak pestka. – Wyprostował nogi i uśmiechnął się. – Poza tym poczyniłem pewne zakłady w kawiarni przed wyjściem w morze: postawiłem pieniądze na to, że statek się nie rozbije i nie wpadniemy w ręce piratów, i że wrócę cały i żywy, i o wiele mądrzejszy. Oto mój zysk.

Wrócili więc do Francji, gdzie „Gulden Steenarend” zawinął do portu na trzy tygodnie. Duquet nie mógł się doczekać, kiedy ujrzy stroje, w których zaprezentuje się światu jako ważna i majętna osobistość.

15

WŁOSY

Zjechali do Paryża późno, robiło się coraz ciemniej, więc nie poszli do krawca, ale postanowili we dwóch – Toppunt i Duquet – spędzić noc w gospodzie.

Krawiec, widząc ich, nie krył zaskoczenia. Duquet – z pomocą Julesa, krawieckiego pomocnika – zabrał się do przymierzania strojów za haftowanym parawanem, nasłuchując jednocześnie rozmowy Toppunta z mistrzem igły.

– Słyszeliśmy, że przepadło mnóstwo statków w sztormach i przez piratów, więc myślałem, że i wasz, panie, nie zawinie do portu.

– Nie tym razem – odrzekł Toppunt. – To prawda, okrutnie siekły nas tajfuny, a u wschodnich wybrzeży Afryki, bardzo zdradzieckich, o mało nie wpadliśmy na skały. Bo trzeba wam wiedzieć, że ocean to nie tylko woda, ale i lądy, które ją zamykają.

– Oceany panują nad wszystkimi.

– Ale nie nad naszym kapitanem! To wytrawny żeglarz i w przeciwieństwie do innych człek bardzo dobroduszny,

nadzwyczajny! Płynąłem z nim po raz czwarty i wyznam wam, panie, że nie chcę już pływać z innym.

– A jeśli zginie? – zapytał podstępnie krawiec. – Wtedy też popłyniecie z nim w ostatni rejs?

– Ha, ha! – zaśmiał się Toppunt. – Zobaczymy! Zobaczymy, do jakiego portu przeznaczenia zechce wówczas zawinąć.

Duquet, cały w błękitach, wyszedł za parawanu i obrócił się, by sprawdzić, czy wszystko dobrze leży.

– Na Boga! – zawołał Toppunt. – Nawet książę mógłby ci pozazdrościć!

Krawiec podniósł z podziwem ręce i przyjrzał się nogom Duqueta.

– Macie, panie, tak mocne łydki, że nie trzeba ich będzie wypychać. Takie nogi to skarb!

Po tych pochlebstwach krawiec zaczął się domagać dodatkowej zapłaty.

– Za przechowanie strojów. Bardzo o nie dbałem, strzepywałem pył z ramion, wietrzyłem i chroniłem przed kotem.

Duquet wyjął najdrobniejszą monetę i obrócił ją na stole.

Warsztat perukarza był jeszcze zamknięty, ale załomotali głośno do drzwi i obudzili właściciela o ostrym zakatarzonym nosie. Kasłał bez przerwy.

– To puder od peruk, wiecie, panowie. Szkodzi. Zmieniłem niedawno puder na taki z rosnących na skałach porostów i ten nie

drażni mnie tak bardzo w gardło. Słyszałem, że używają tego pudru do odstraszania i trucia wilków, więc możecie być spokojni, panowie: wilki nigdy wam peruki nie porwą!

Przyniósł obie peruki. Ta, którą zamówił Toppunt, była czarna, lśniąca i bardzo elegancka. Peruka Duqueta okazała się ogromna i ciężka, miała kasztanową barwę i mnóstwo długich loczków, opadających na plecy i ramiona.

– Czy przypudrować? – zapytał perukarz, kaszląc przy tym boleśnie.

– Nie, nie – odrzekł Duquet, przeglądając się w pomazanym lustrze. Nowy strój błyskał niebieskawo, jeszcze lśniły wykonane z kości słoniowej zęby, a wszystko to wraz z drogą peruką nadawało mu wygląd szlachcica, czy jak powiedział niezbyt pochlebnie Toppunt, wygląd *schijn-heera*, prawie szlachcica.

Opuścili ulicę rzemieślników i poszli coś zjeść. Toppunt słyszał o pewnym kucharzu z Bourgogne, mistrzu w swoim fachu. Gospoda, w której pracował ów kucharz, znajdowała się przy odległej ulicy, a im dłużej szli, tym goręcej robiło się Duquetowi: gotował mu się mózg, a barki piekły jak przypalane węglami. Od ciężkiej peruki bolał go kark. A słońce piekło jak rozgrzany do czerwoności piec. Przepychali się po zatłoczonych ulicach i wpadających do nich zaułkach. Zbliżał się do nich jakiś człowiek, niosący dużą przykrytą tacę na barku. Otarł się o Duqueta i zdarł mu z głowy drogą perukę. Duquet obrócił się na pięcie – mężczyzna z tacą uciekał, a na tacy leżało dziecko w łachmanach,

ściskające nową perukę. Nie było im łatwo uciekać, złodziej zataczał się pod ciężarem tacy.

– *Au voleur! Au voleur!* – krzyknęli Duquet i Toppunt. Jakiś przechodzień podstawił złodziejowi nogę, a ten wraz z dzieckiem na tacy wpadł w błoto. Dzieciak uciekł z nieprawdopodobną chyżością, ale przechodzień chwycił za kark dorosłego. Wokół zebrał się tłum, który go obezwładnił.

– Ześlą go na galery – mruknął Toppunt. – Razem z hugenotami.

Duquet, dotknięty do żywego, odzyskał olbrzymią perukę, która kosztowała majątek. Teraz wydawała się dwa razy większa, a gdy wziął ją w rękę, była ciężka niczym ubłocony materac. Gdy ją trzepał, stwierdził, że splątała się z inną peruką, którą dzieciak musiał ukraść wcześniej i ukryć pod przykryciem.

– Całkiem dobra – rzucił Toppunt, przyglądając się ze znawstwem drugiej peruce. – Można ją sprzedać.

Ale gdy przyjrzał się jej uważniej, wykrzywił się z niesmakiem:

– Roi się od wszy i gnid. – Podniósł perukę wysoko. – Ale możesz ją odkazić i oczyścić. To cenna rzecz.

Gdy przyglądali się włochatym nakryciom głowy, przechodzień, który trzymał złodzieja, wyciągnął w ich stronę szyję i rozluźnił uścisk. Łotr jakby tylko na to czekał – wyrwał się i zniknął w bezimiennym tłumie. Pościg był bezcelowy.

Duquet miał już dosyć peruk, jak na jeden dzień. Schował własną perukę pod pachę i ruszył szybkim krokiem przed siebie.

Toppunt gonił go z zawszoną peruką w ręku, krzycząc:

– Zwolnij, zwolnij!

Gdy doszli do gospody, obaj śmiali się z tego, co ich spotkało. Duquet zaproponował, żeby wrócili do perukarza i zapytali go, ile zapłaci za zawszoną perukę. Może wystarczy im na obiad. Zamawiali potrawy tak lekkomyślnie, jakby rzeczywiście ktoś inny miał za to płacić, a do tego bez przerwy pili dobre francuskie wino.

W końcu najedzeni i mocno podpici, zjedli na deser słodką tartę, po której żaden z nich nie mógł się ruszyć.

– Musimy napić się kawy – zasugerował Toppunt. Oberżysta wskazał im kawiarnię dwie ulice dalej. Potoczyli się w tamtą stronę i minęli kawiarnię dwa razy, zanim ją zauważyli i weszli do środka.

Odzyskawszy zdolność poruszania się i jasność umysłu, wrócili do warsztatu perukarza ze skradzioną peruką, którą niósł Toppunt. Perukarz rozpoznał w niej dzieło własnych rąk, zamówione przez arystokratę. Obiecał, że zwróci perukę właścicielowi, ale Duquet zażądał nagrody, podając kwotę, którą zapłacili za wystawny obiad. Perukarz, krzywiąc się i utyskując, wypłacił nagrodę, skarżąc się, że klient da mu niewiele więcej za skradzioną i odzyskaną rzecz.

Gdy wyszli na ulicę, Toppunt stwierdził, że perukarz odnowi i oczyści odzyskaną perukę, a gdy pojawi się u niego ów klient, któremu ją skradziono, obieca mu, że sprawi mu taką samą,

podobną do pierwszej jak dwie krople wody, za co weźmie od niego dodatkową opłatę, licząc sobie jak za nową.

– Szczerze mówiąc – dodał Toppunt – jestem święcie przekonany, że złodzieje peruk są zatrudniani przez perukarzy.

Po upływie tygodnia Duquet w swym eleganckim stroju, z zębami z kości słoniowej w ustach i w ciężkiej peruce na głowie, zasiadł do stołu na powitalnym obiedzie wydanym w domu kapitana Verdwijnena. Towarzystwo przy stole składało się z kapitana i jego żony, Margit, kapitanów Pieta Roosa i Jana Goosena wraz z żonami oraz z dwóch niemal dorosłych córek Pieta, Josiny i Kornelii. W holu Duquet zauważył stół kupiony przez kapitana dla Margit w Guangzhou.

Gdy Margit mierzyła go wzrokiem, Duquet przekonał się, że prawym okiem patrzy nań uprzejmie, a lewym – w którym kryła się antypatia – dokonuje jego rozbioru: ściąga z niego elegancki strój, odrzuca precz perukę, wyjmuje mu zęby w ust i widzi przed sobą zachłannego pieczeniarza. Duquet zjadł tylko zupę i nieco potrawki, gdyż wstydził się wyjmować w towarzystwie zęby. Nie nadawały się do rozdrabniania niczego innego, poza budyniem.

Chcąc uniknąć surowego spojrzenia Madame Verdwijnen, przez cały obiad zerkał raz po raz na młodą Kornelię. Była podobna do ojca i całkiem ładna, choć z pewnością nie należała do piękności. Miała tak jasnoniebieskie oczy, że wydawały się białe, a do tego dosyć szeroki nos. Włożyła ciemnobrązową jedwabną

suknię z prawie przezroczystym żabotem, a na głowę lniany haftowany czepek. Duquet postanowił, że Kornelia zostanie jego żoną. Na samą myśl o tym, że ktoś mógłby się sprzeciwić lub dać mu zwyczajnie kosza, naprężył się w nim jak do skoku jego wewnętrzny tygrys.

Podczas pobytu w Amsterdamie poznał w cieszącej się dużym wzięciem kawiarni pewnego Anglika i zarazem mieszkańca kolonii w Bostonie, Bentona Dreda-Peacocka, który nosił się najeleganciej w strojach w najlepszym gatunku, choć miał oblicze jakby ulepione z okruchów suchego chleba. Większość osadników w koloniach wywodziła się nizin społecznych, ale Dred-Peacock sprawiał wrażenie majętnego dżentelmena. Podczas rozmowy Duquet dowiedział się, że Dred-Peacock prowadzi bliskie interesy z nowo mianowanym królewskim dostawcą masztów dla marynarki, niejakim Jonathanem Bridgerem. Peacock wiedział całkiem sporo o handlu drewnem w koloniach i dał Duquetowi jasno do zrozumienia, że w interesach popiera kolonistów, a nie koronę. Sam Dred-Peacock ujrzał w Duquecie człowieka gotowego wycisnąć pieniądze nawet z kamienia, jeśli nic innego nie znajdzie się pod ręką. Pieniądze oznaczają władzę, a z Duqueta emanowało pragnienie i jednego, i drugiego. Należał do ludzi, których inni chcą znać, nawet jeśli nim gardzą.

Duquet wywnioskował z rozmowy, że wielu kolonistów zagorzale sprzeciwia się angielskiemu panowaniu i ściąganiu

powszechnych podatków, przeznaczanych (niesłusznie, zdaniem Dred-Peacocka) na finansowanie licznych lekkomyślnych wojen prowadzonych przez Anglię. Koloniści myśleli z największą niechęcią o restrykcyjnej polityce Królewskiej Izby Handlowej, która wprowadziła surowe prawa dotyczące wyrębu gęstych, przeważających w koloniach lasów. Prawa te narzucały kwoty i procedury zaopatrywania Królewskiej Marynarki Wojennej w potrzebne do budowy statków zapasy: masztów, bukszprytów i rei, nie mówiąc już o paku i smole. Mieszkańcy kolonii byli wściekli na Akty Nawigacyjne i Handlowe[5], które ściskały niczym imadła kolonialny handel. A ów Bridger wpadał w wielki gniew z powodu zakazu handlu ziemią i ścinania drzew na maszty. Wszelako, dodał Dred-Peacock, „człowiek ten bardzo chce się odznaczyć i nie jest od tego, by nie nadstawiać ucha na ostrożne podszepty". Dred-Peacock znał także Elishę Cooke'a, a ci dwaj, wspólnie z Bridgerem, mieli wielki wpływ na sprawy w koloniach.

Oddech Peacocka stał się ciężki od oparów czarnego rumu, a szepcząc Duquetowi na ucho, rozglądał się wokół, czy ktoś nie podsłuchuje.

– Jak powiada doktor Cooke, powinniśmy mieć zagwarantowane prawo handlu z całym światem, jeśli potrafimy wytwarzać towary i drewno, uprawiać konopie. Ale Akty Nawigacyjne krępują nas na każdym kroku.

Duquet zaproponował, by przeszli do bardziej zacisznego stołu na tyłach kawiarni, i zamówił karafkę rumu. Przy następnych

kieliszkach dowiedział się, że koloniści z Nowej Anglii omijają tysiąc i jeden ograniczeń i zakazów na przeróżne, bardzo sprytne sposoby, zazwyczaj w zmowie z urzędnikami królewskimi i właścicielami tartaków. Dred-Peacock, który doszedł do wniosku, że znajomość z tym prostakiem może w przyszłości przynieść mu wymierne korzyści, przysunął się bliżej. Zawsze chodziło mu tylko o pieniądze.

– Podstawowym wymogiem przy zdobywaniu aktów własności na wielkie połacie sosny wejmutki jest skupowanie starych nadań praw miejskich. Trzeba nawiązywać i podtrzymywać kontakty z wpływowymi politycznie osobistościami. Ja tak uczyniłem. Wrogiem jest Królewski Mierniczy, stary ramol z Londynu, który robi wiele hałasu o certyfikaty i pozwolenia dla handlarzy drewnem. To tchórz, który boi się przypłynąć do kolonii, bo mógłby mu się przydarzyć nieszczęśliwy wypadek. Więc przysyła swoich siepaczy, najpodlejszych z ludzi.

– Dowiem się więcej o skupowaniu tych nadań miejskich – oznajmił Duquet.

Wyposażony w listy polecające oraz obietnicę Peacocka, że spotka się z nim po powrocie do kolonii, Duquet wypłynął do Bostonu, rozważając po drodze wielką i ważną przewagę brytyjskich kolonii nad francuskimi, jaką były niezamarzające zimą porty. Rzekę Świętego Wawrzyńca lód skuwał na sześć do ośmiu miesięcy w roku.

Wynajął sobie nieduży dom w stolicy kolonii i przez następny rok uczył się angielskiego i kultywował znajomości z ludźmi, którzy mogli być mu pomocni, a których przedstawił mu Dred-Peacock. Duquet nie ufał mu do końca, choć człowiek ten znał się na lasach i umiał się po nich poruszać szybko i sprawnie jak mało kto. Wczesną wiosną Duquet zaniemógł, okazało się, że to cholera, ale stopniowo odzyskał zdrowie. Umyślił sobie, że popłynie raz jeszcze do Chin, a po powrocie skupi stare roszczenia do ziemi w Maine i istniejące tylko na papierze miasta. Ale najpierw musiał jechać na północ.

---

[5] Ustawy regulujące prawo morskie i handel zamorski, wprowadzane w Wielkiej Brytanii od 1651 r. Zezwalały na wwóz towarów do Anglii jedynie na statkach angielskich lub pływających pod banderą wytwórcy towaru. Akt nawigacyjny z 1660 r. zezwalał na handel z koloniami tylko na statkach angielskich. Na mocy *Staples Act* z 1765 r. Anglia stała się jedynym eksporterem towarów do kolonii, co wykluczało bezpośredni handel z Francją, Hiszpanią i Holandią [przyp. tłum.].

16

„NIEGODZIWY, ZAPRZEDANY ZŁU POSŁANIEC…”

(PIBRAC)

Wróciwszy do Nowej Francji, Duquet wciągnął na siebie skóry, włożył mokasyny na nogi i wyruszył na poszukiwania braci Trépagnych. Wszędzie, gdzie się ruszył, widział pełne pniaków przecinki, piece do wypalania węgla drzewnego i chaty osadników ścinających klony na węgiel. Anglicy potrzebowali węgla drzewnego do wyrobu szkła i prochu, więc dobrze za niego płacili. Nigdzie nie mógł trafić na Toussainta i Fernanda, ale powodem mogła być nowa wojna. Cała Nowa Francja, terytoria Indian i kolonie angielskie na południu aż roiły się od szpiegów, a walczące ze sobą strony nieustannie organizowały zasadzki. Duquet chciał wykorzystać braci podczas sezonu handlu futrami. Będą unikać walk.

Zrobiło się chłodniej, w lasach zaczęły padać deszcze i wszędzie unosił się zapach kompostu i grzybów. Rzeka przybrała i szumiała głośno. Gdy spojrzał w niebo, wydało mu się, że patrzy na witraż z grubego szkła. W końcu odnalazł braci przy niszczeniu bobrowych żeremi nieopodal starej chaty nad Rivière des Fourres. Utytłani w błocie Toussaint i Fernand z przyjemnością oderwali się od żeremi i powitali wracającego po długiej nieobecności przyjaciela, obaj cieszyli się dobrym zdrowiem, choć w brodzie Fernanda pojawiły się siwe pasemka, a Toussaint stękał, prostując plecy.

– Mówią na to wojna królowej Anny[6], ale to ciąg dalszy naszych starych zmagań i antypatii – oznajmił Toussaint. – Winię za to Indian. Jednego dnia są wrogami, następnego walczysz z nimi ramię w ramię, a trzeciego wycofują się i stają z boku z szerokimi uśmiechami, jak Irokezi.

– Chyba nie łudzicie się, że wróciłem po to, żeby bić się z Indianami albo Anglikami? – rzucił kwaśno Duquet.

– Wielu czuje się związanych z Nową Francją – odpowiedział Toussaint.

– Ja czuję się związany z futrami.

Toussaint nalał wody do osmolonego kociołka, a gdy woda zawrzała, Duquet pokazał im z wielkim namaszczeniem, jak się parzy herbatę. Sączyli ją, robiąc głupie miny. Powiedział im, że rozsmakują się w niej, bo herbata to towar luksusowy w Europie. Dodał, że żałuje, że nie przywiózł im kawy, ale kawa jest niezwykle droga, a poza tym mogłaby im nie smakować, bo jest

bardzo gorzka. Rum jest lepszy. W smaku. Przeprosił ich za to, że przywiózł im niewiele pieniędzy za futra i wymyślił na poczekaniu bajkę o napaści piratów i stracie większości zysków. Z tej przyczyny, dodał, zależy mu na jak najszybszym rozpoczęciu handlu i nadrobieniu strat całego przedsięwzięcia. Gładko przeszedł do pytania o to, co się u nich działo. Bracia wymienili znaczące spojrzenia.

Toussaint odrzekł oschle, że pili już kawę w Ville-Marie, a Duquet nie jest jedynym człowiekiem, który widział świat. Przez ostatnie lata pływali po Missisipi z Pierre'em LeMoyne'em[7], trzecim synem Charlesa z fortu Ville-Marie, który przybył do Nowej Francji jako związany umową wyrobnik i dorobił się majątku.

– Niektórzy ludzie mówią, że w całej kolonii powinny stanąć francuskie forty.

Duquet wyczuł, słuchając tych słów, że w Toussaincie aż się gotuje, żeby przyłączyć się do budowy fortów i walki z Anglikami, i że obaj bracia nie uwierzyli w jego bajkę o piratach. Ale co mogą zrobić? Pić rum, nic więcej.

– Popłynęliśmy z LeMoyne'em, żeby znaleźć ujście rzeki. *Sacrebleu*! Klnę się na Boga, to ci dopiero rzeka! A u jej ujścia bagna i plątanina kanałów jak labirynt! LeMoyne pływał po nich łódką z Indianami i żołnierzami. A my zostaliśmy w indiańskiej wiosce niedaleko starego fortu La Salle.

Dalej opowieść brata podjął Fernand. Mówił szybko, opowiadając o Indianach z tej wioski, pochodzących z polującego na bizony plemienia znad drugiego oceanu na zachodzie.

– Na ich ziemiach nie ma tych zwierząt. Myśliwi znad oceanu na zachodzie mieli ze sobą mnóstwo futer na handel. Handlują tymi futrami z Indianami z północy, mieszkającymi w świecie lodu.

Toussaint otworzył belę i pokazał osiem gęstych futer morskiego kałana i cztery futra lisa polarnego.

– Ach! – zachwycił się Duquet, głaszcząc zmysłowo kałany. Przerzucił futro przez kolano i wsunął palce w ciepłą, pieszczącą sierść. Ciekła mu ślina.

– Mówili, że Indianie z północy mają tyle kałanów, że wykładają skórami ulice w wioskach. Mówili też, że Indianie z północy polowali z Rosjanami i wszyscy się pochorowali. – Wyciągnął rękę po futro, które trzymał Duquet, i schował je do beli.

– Czy ci Indianie z północy od Rosjan chętnie handlowali z Indianami znad oceanu na zachodzie?

Fernand westchnął głęboko.

– Początkowo tak, ale potem się zmienili. Gdy Indianie znad oceanu spotkali się z nimi, Rosjan już nie było, poumierali, a Indianie z północy padali jak kawki. Byli chorzy i nie chcieli handlować. Na szczęście ci znad oceanu jakoś ich przekonali.

– Strzałami? Włóczniami?

Ale Fernand grzebał już w drugiej beli futer. Toussaint chrząkał znacząco i marszczył groźnie brwi w stronę brata, ale Fernand, który zawsze lubił się przechwalać, zwrócił się do Duqueta:

– To prawda. Spójrz na to.

Wyciągnął z beli zwiniętą skórę i rozwinął ją. Futro zajaśniało głębokim złotem przeciętym czarnymi pasami.

– To tygrys – pochwalił się Fernand. – Od Rosjan. – Głaskał futro w pasy. – To dlatego chorzy Indianie z północy nie chcieli handlować.

Toussaint odwrócił się.

– A gdzie łeb? – zapytał Duquet. – Głowa jest bardzo cenna.

– Rosjanie nie mieli łba. Pewnie go zjedli. Trzeba się jakoś chronić w tym życiu, nieprawdaż?

– Owszem – odrzekł Duquet, patrząc, jak Toussaint wyrywa tygrysią skórę bratu i na powrót ją zwija. Nie oddadzą tej skóry tak łatwo. Przestali być wspólnikami, jak kiedyś. A Duquet przestał już kochać, jak niegdyś, Nową Francję. Późną nocą, gdy spali zawinięci w skóry bizonów, słyszał, jak Toussaint strofuje brata cichym, lecz szorstkim głosem.

///

Tym razem Duquet nie miał już cierpliwości do braci Trépagnych. Zwracał uwagę na ich ograniczone słownictwo i powtarzane w

kółko historie, ale zmusił się, żeby wytrwać z nimi podczas krótkiego, gorączkowego sezonu zbierania futer. Dał znać pośrednikom, że zależy mu na futrach dzikich kotów. Dwa najlepsze, jakie dostał, odłożył na prezent dla Kornelii. Przed wyjazdem z Amsterdamu poinformował Pieta o swoich zamiarach wobec jego córki, a choć kapitan zacisnął wargi i pokręcił odmownie głową, Duquet był pewny, że wyrazi zgodę, gdy usłyszy o jego coraz większym majątku. Dziewczyna miała zdrowe zęby i wyglądała apetycznie z szerokimi biodrami, choć wszystko w niej nie było do końca takie, jak powinno, bo bezbarwne oczy wydawały się za małe, nos za szeroki, a policzki zbyt pulchne. Ale Duquet nie myślał o Kornelii, chciał wżenić się w przymierze trzech holenderskich kapitanów i ich koneksje handlowe. Kornelia miała tylko urodzić mu synów, potrzebnych do stworzenia rodzinnego imperium. Nie chodziło mu wyłącznie o majątek, spoglądał znacznie dalej.

Sezon dobiegł końca i gdy nadeszła pora na rejs Duqueta do La Rochelle i dalej do Chin, Toussaint wymamrotał, że obaj bracia zatrzymają swój udział w futrach, chyba że Duquet zapłaci im za nie tyle, ile zażądają.

– Znamy już różnych kupców – dodał Toussaint. Przez cały sezon obozował z bratem z dala od Duqueta, a za dnia obaj prawie z nim nie rozmawiali.

– Nie możemy czekać latami na twój powrót, najpewniej z pustymi rękami, jeśli znów napadną cię piraci. Potrzebujemy gotówkę – powiedział Fernand. – Chcemy przyłączyć się do Pierre'a LeMoyne'a. Jest teraz we Francji i przygotowuje ekspedycję na Karaiby. – Mówiąc, wbijał oczy w ziemię, bojąc się spojrzenia Duqueta, ale tygrys w jego wnętrzu na szczęście drzemał. Bracia nie mieli pojęcia, co można kupić w Chinach za futra, i nigdy się o tym nie dowiedzą. Duquet wiedział już, jak prowadzi się negocjacje i po dwóch dniach targowania się z mówiącym w imieniu obu braci Toussaintem, dobił z nim bardzo korzystnego targu, choć nie udało mu się wydobyć od braci skóry tygrysa ani polarnych lisów, których nie chcieli oddać.

– Nie wątpię, że czeka was na Karaibach wiele przygód, w sam raz dla dwóch *coureurs de bois* – zwrócił się do nich, nie ukrywając sarkazmu.

Toussaint odwzajemnił mu się równie zgryźliwie:

– Z tego, co wiem, Holenderskie Indie Wschodnie to najlepszy rynek do wywózki drewna, a na pewno położony bliżej niż Francja i Chiny.

Duquet domyślał się, że bracia liczą, iż odnowi propozycję spółki w handlu drewnem – chcieli mieć przyjemność złożenia odmowy. Nie odezwał się. Musieli się rozstać.

Wstał przed północą i rozpłynął się jak mgła. Po wielu godzinach bracia odkryli, że wraz z nim zniknęła skóra tygrysa, lisy i kałany. Fernand klął i krzyczał, że u Pibraka nie ma

kwartyny na opisanie tej potworności, na szczęście ocalała gotówka.

– Wznieśmy toast za tego człowieka, którego bezzębne, pełne zgrabnych frazesów usta skrywają podłość i jad.

Otworzyli butelkę *jenever* i wypili za krzyżyk na drogę dla Duqueta.

– Może wolałbyś kawę? – zadrwił Toussaint.

– O, nie, jest za gorzka dla takiego prostaka jak ja – odrzekł Fernand.

---

[6] Taką nazwę nosił toczący się w koloniach amerykańskich w latach 1702-1713 konflikt między Anglią i Francją (oraz Indianami), będący częścią trwającej w Europie wojny o sukcesję hiszpańską (1701-1714) [przyp. tłum.].

[7] Założyciel i pierwszy gubernator kolonii francuskiej w Luizjanie [przyp. tłum.].

17

„NA KONIA — BICZ”

(PIBRAC)[8]

Nie chciał marnować czasu na sen, kręciło mu się w głowie, a w środku płonęło w nim pragnienie, by jak najszybciej zabrać się do tego, co należy. Wszystko układało się po jego myśli. Pierwsze światło dnia jaśniało w jego oczach jak garść drzazg dorzuconych do ognia, a gdy się odziewał, rozpierała go energia i niepohamowana ambicja. Gardził ludźmi śpiącymi do południa – nieudolnymi próżniakami, którzy nigdy do niczego nie dojdą.

W forcie Ville-Marie, zanim odnalazł braci Trépagnych, wynajął *bûcherons*, którzy znajdą i zetną biały i czerwony cedr, jodłę balsamiczną oraz wonny sumak. Wynajął też innych, którzy potną drzewa na deski, wyheblują je i przytną na mniejsze deszczułki. Żeby zachować ich naturalny zapach, kazał je zapakować do brzozowych, pozbawionych zapachu skrzyń.

Indianki zebrały dla niego żeń-szeń, turówkę wonną i inne zioła i bulwy.

Wynajął statek, *Hendrik*, który miał go zawieźć wraz z pachnącym drewnem, magicznymi korzeniami i futrami do La Rochelle, gdzie spotka się z kapitanem Verdwijnenem. Dowódcą *Hendrika* był Gabriel Deyon, syn kapitana Deyona, z którym przed wielu laty płynął po raz pierwszy do Francji. Powiedział mu, że ojciec przepadł z załogą i statkiem w zdradzieckiej Cieśninie Magellana, której wąskie przejście wybrał, zamiast opływać przylądek Horn.

– Człowiek nie zna dnia ani godziny – odrzekł pobożnie Duquet. Choć uważał, że zna.

Statek Deyona zawijał do każdej osady wzdłuż rzeki. O zmroku rzucił kotwicę na wysokości Wobik i Duquet zszedł na ląd, żeby przekonać się, jakie zaszły tam zmiany podczas jego nieobecności.

Przecierał oczy ze zdumienia. Gdzie się podział las? Wszystko wyglądało inaczej. Osada rozrosła się o pięćdziesiąt domostw, młyn, napędzany wodą tartak i duże wspólne pastwisko dla owiec. Bór cofnął się, a w jego miejsce pojawiły się pierwsze pola, na których zboże rosło jeszcze między pniakami. Błotnisty trakt na zachód stał się równym gościńcem. Poczuł panikę, bo jeśli kilku ludzi z siekierami jest w stanie wyrąbać w takim tempie tak wielkie połacie lasu, to czy las nie jest zagrożony tak samo jak bór? Nie, las wracał ze zdwojoną żywotnością, odrastał ze ściętych pniaków, rozrzuconych nasion, wysyłał pod ziemią korzenie, z

których strzelały nowe drzewa. Te lasy nie mogą zniknąć. W Nowej Francji będą zawsze olbrzymie i będą trwały wiecznie.

Jedno się nie zmieniło: Monsieur Bouchard nadal pobierał opłaty za rejsy po rzece i witał przybyszy z otwartymi ramionami.

Stary urzędnik trzymał się krzepko, choć cały posiwiał. Nie poznał jednak Duqueta. Ten poprosił go, aby otworzył rejestr na stronie, na której przed wieloma laty odcisnął kciuk. Wskazał miejsce.

– O, tu. To mój znak analfabety. – Kilka linijek wyżej dostrzegł żałosne kaligraficzne „R" René Sela i zapytał, czy Sel wciąż żyje.

– *Certainement*. Zajął stary dom Monsieur Trépagny'ego, gdzie mieszka wygodnie z żoną i dziećmi. Słyszałeś pewnie, że Claude Trépagny zginął przedwcześnie, gdy wyprawił się w pościg za tobą, chcąc cię ukarać jako zbiega?

– Nie słyszałem. Claude Trépagny był mściwym i niemiłosiernym panem, a ja miałem prawo odejść z powodu tego *maltraitement*. Bardzo źle mnie traktował.

– Są tacy, co mówią, że nasłałeś na niego Irokezów.

– Bzdura! Jeśli Irokezi go zabili, mieli widać swoje powody.

Zmienił temat rozmowy i wrócił do René Sela, choć jego losy zupełnie go nie obchodziły.

– Więc powiadacie, panie, że René Sel ma ziemię i został rolnikiem?

– Nie, pozostał drwalem, ale trzyma w lesie parę krów i owiec. Choć w pobliżu jego siedziby jest już kilka farm. A René rąbie drewno na opał i produkuje potaż. A między Wobik a domem Sela powstało z sześć gospodarstw. Jak widzisz, dokonaliśmy tu wielkiego postępu w wyrębie puszczy. I jedyną osobą, która nad tym lamentuje, jest ta dzikuska Mari, żona René. Stała się ważna, bo umie leczyć chorych. Opłakuje jakieś leśne wykroty, w których rosły jej ziółka, ale już nie rosną dzięki przedsiębiorczości osadników. Coraz głośniej wygaduje przeciwko białym. I nie da się jej wyleczyć z tej dzikiej mściwości, z którą przyszła na świat. Jej indiańscy synowie przenieśli się do St. Francis, gdzie gromadzą się zbuntowani Indianie z różnych plemion.

– Mari! – zawołał z niedowierzaniem Duquet. – Ożenił się z Mari? Przecież ona jest znacznie od niego starsza! Popełnił mezalians.

– Nie. Trépagny zmusił go do tego ślubu przed laty, żeby nie stracić bogatej Francuzki, którą wziął sobie za żonę. W końcu i tak wszystko stracił, z życiem włącznie.

– Jego bracia o tym nie wiedzą? – zapytał Duquet.

– Ależ wiedzą! Sam im o tym powiedziałem po wszystkim. Z mocy prawa należy im się w spadku przynajmniej ta wielka kamienna rezydencja Claude'a, ale jej nie chcą. To dobroduszni wędrowni ludzie i uznali, że dom powinien trafić w ręce takiego, komu wystarczy rąbanie drewna. Przypuszczam, że obaj już nie żyją, pewnie zabili ich Indianie albo się potopili.

– Bez wątpienia – skłamał Duquet. – Jeśli nie popłynęli na Karaiby chłostać niewolników.

Na tym zakończył rozmowę i wrócił na statek. W Wobik było mu za ciasno i chciał jak najprędzej odpłynąć. Przedtem tęsknił za powrotem w północne lasy, ale tu nie mógł się doczekać powrotu do błyszczącego w słońcu La Rochelle, Paryża, Amsterdamu, a nawet Kantonu, jak nazywano w Ameryce Guangzhou. Nowa Francja nie miała mu nic do zaoferowania, oprócz drewna.

– Twarda sztuka – mruknął pod nosem Monsieur Bouchard po odejściu Duqueta. – Zhardział. Bardzo zhardział.

---

[8] W istocie przysłowie to jest przypisywane Salomonowi i pochodzi z Księgi Przysłów (26,3), a w całości brzmi: „Na konia – bicz, na osła – wędzidło, a kij na plecy głupiego” [przyp. tłum.].

18

SPOTKANIE

Gdy statek wpłynął do Zatoki Biskajskiej, w pierwszych promieniach słońca błysnęły wapienne klify La Rochelle. Duquet poczuł w nozdrzach zapach solonego dorsza i dym z nadmorskiej wiechliny, którą palili biedacy. Mimo wczesnej pory na nabrzeżu tłoczyli się szukający zatrudnienia rybacy i marynarze. Kiedyś pracowali na wybrzeżach Nowej Fundlandii, ale obecnie stało się to niemożliwe, gdyż na wyspę spoglądali łakomie Anglicy, koloniści z Nowej Anglii, a nawet Hiszpanie i Holendrzy. Statki rybackie z La Rochelle łowiły teraz na obfitującej w ryby ławicy Grand Banks u południowych wybrzeży Nowej Fundlandii, gdzie *poissons* są większe, tłustsze i lepsze w smaku niż te przy brzegu, i skąd jest bliżej do Francji.

Czekając w La Rochelle na statek kapitana Verdwijnena, Duquet zaniósł dwie skrzynie z wyjątkowymi deszczułkami do kantoru Claude'a Citrona, handlującego rzadkim drewnem kupca, który przed laty wyraził zainteresowanie surowcem na artystyczne meble. Citron postarzał się, ale stracił zapał do mówienia o drewnie.

– Ach! – powitał Duqueta, jakby ten wyszedł od niego poprzedniego dnia, a nie przed laty – spójrzmy, co przywieźliście mi, panie, z Nowej Francji. Same rarytasy, jestem pewny!

Duquet postawił na stole skrzynie z pachnącym cedrem i balsamiczną jodłą, a także z kilkoma deszczułkami mazerowanego klonu. Wytłumaczył, że zabiera to rzadkie drewno do Chin. Citron pogłaskał aksamitne deszczułki, powąchał je, podstawił pod światło.

– Wiecie, panie, że sprzedaję drewno szacownym stolarzom i snycerzom, poszukującym materiałów w najlepszym gatunku. Wieziecie wasze pachnące deszczułki do Chin? Tu też najdziecie na nie popyt, choć domyślam się, że zysk w Chinach będzie większy. Weźcie jednak pod uwagę koszt frachtu oraz to, że wszystko możecie stracić, jeśli nie przez piratów, to przez sztormy. Rozważcie to sobie spokojnie.

To prawda, Duquet mógł nieźle zarobić, sprzedając rzadkie drewno Citronowi, ale niebezpieczny rejs do Chin opłacał się nie ze względu na drewno, ale z powodu futer i niebotyczne zysków z opium. Popłynę tam po raz ostatni, pomyślał. Po zerwaniu z braćmi Trépagny handel futrami już nie wchodził w grę. Był już majętnym człowiekiem, a choć był silny i zdrowy, czuł w kościach upływ czasu. I chciał o wiele więcej. Od tej pory skoncentruje się tylko na drewnie.

Ustalił cenę za dwie skrzynie pachnącego drewna, pożegnał się z Citronem i wrócił na nabrzeże. Przechodził obok cukierni, z

której wypływały zapachy kandyzowanych owoców i czekolady, a potem minął niewielkie targowisko, na którym leżały wielkie soczyste sałaty i wczesna cebula dymka. To niewiarygodne, jak pod względem zapachu La Rochelle różniło się na korzyść od Bostonu.

Zatrzymał się w gospodzie „Botte de Mer", o dosyć dziwnej nazwie, ale z łóżkami w osobnych pokojach i nadzwyczajnym, ciągle zmienianym menu. Uznany i pomysłowy kucharz każdego dnia przyrządzał nową siekaninę, cassoulet i potrawkę ze słodkiego pieczywa z posiekanym bażantem lub kurą, a do tego ryby, grzyby, a wszystko niezwykle smaczne i posolone miejscową solą. Najbardziej soczyste były jego cassoulet. Ale w gospodzie stało tylko sześć niedużych stołów, a każdego wieczoru wydawano obiad dwa razy. Gdy ktoś miał pecha i zjawił się późno, odchodził jak niepyszny. Duquet nie miał zamiaru wyrzec się uczty i czekał z niecierpliwością na wieczorny posiłek, ale najpierw musiał schować próbki drewna.

Gdy ruszył schodami na górę, ktoś zawołał go cichym, dobrze znanym głosem:

– Duquet! Czy to ty?

– *Dieu*! Forgeron! Myślałem, że zostałeś w *Nouvelle France*.

Szczupły, śniady Forgeron stanął przed nim.

– Spędziłem tam wiele czasu, ale od dwóch lat mierzę lasy w Maine. Nie uwierzyłbyś, jaka tam rośnie sosna wejmutka! – Uśmiechnął się. – Dobrze wyglądasz. Widać, że ci się powodzi.

– Ty też dobrze wyglądasz, Forgeron, zdrowo i krzepko. I z nieba mi spadłeś! Często myślałem o tobie i o lasach w Maine.

– A ja często chciałem ci opowiedzieć o tym, ile można zarobić na drewnie z Maine. Byłeś tam?

– Przejazdem. Ale powiadam ci, że wrócę tam, jak tylko przypłynę z Chin, dokąd wybieram się po raz ostatni. Zjedzmy razem obiad, porozmawiamy o tym, co się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania. Co sprowadza cię do La Rochelle?

– Byłem w Londynie, gdzie widziałem się z pewnym Anglikiem, który zdobył kontrakt na drewno na maszty z królewskich ziem w Maine. Chce, żebym zmierzył ten obszar i umówił się z robotnikami na rżnięcie masztów. Ten Anglik ma spory zapas masztów, które obrobił przed kilku laty, przechowuje je w posiadłości w Indiach Zachodnich. Nie mógł ich sprzedać z niezrozumiałych dla mnie powodów, a maszty spróchniały i już do niczego się nie nadają. Nie mógł zapłacić robotnikom i ciągają go teraz po sądach. Więc nie palę się, żeby przyjąć jego propozycję.

Podano im cassoulet z cielęciny, kurczaka i czerwonej fasoli, a do tego bochenek jeszcze ciepłego chleba wielki jak byczy łeb. Pili smacznego burgunda, a gdy się skończył, Forgeron podniósł rękę i zamówił więcej.

– Mam propozycję – odezwał się po chwili Duquet. – Odnówmy naszą przyjaźń i zawrzyjmy spółkę. Nie będzie mnie przez dwa lata, ale ty mógłbyś dla mnie pomierzyć lasy w Maine i wykupić miejskie nadania w imieniu Duquet et Fils.

– Co? Masz synów? Ożeniłeś się?

– Ależ skąd! Ale wkrótce to zrobię, spokojna głowa. – I opowiedział Forgeronowi o Kornelii i swoim zamiarze stworzenia drzewnego przedsiębiorstwa, w którym Forgeron mógłby zostać udziałowcem.

– Nie wiem, gdzie powinna być siedziba tej firmy: czy w Amsterdamie, czy w Nowej Francji? A może w angielskich koloniach? I czy powinienem zabrać Kornelię do Nowego Świata?

– Radzę ci wybierz Boston, gdzie jest duży otwarty port i gdzie bez przerwy wpływają i wypływają statki z Londynu. Pocztowy gościniec łączy miasto z innymi koloniami, wydają tam gazety, a poczta łączy Boston z Nowym Jorkiem i innymi miastami w Connecticut. I co najważniejsze, Boston jest blisko sosnowych lasów Maine, więc to najkorzystniejsza lokalizacja.

– Byłem bliski podjęcia takiej decyzji, a twoje zdanie rozstrzyga sprawę. Forgeron, jeśli zechcesz ze mną pracować, uczynię cię bogatym.

– A może na odwrót?

Roześmiali się i uścisnęli sobie ręce.

19

„EXITUS IN DUBIO EST”

Kapitanowie Piet Roos i Verdwijnen spotkali się w ulubionej kawiarni w Amsterdamie, żeby omówić przyszłość Kornelii.

– Nie podoba mi się ten człowiek – oznajmił Piet. – Ma dobre maniery, owszem, ale pod spodem jest zimny i wyrachowany. I własne interesy zajmują go bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Zadziera tę szpetną głowę w taki sposób, że każdy, kto z nim przestaje, musi się liczyć z porażką. Często się uśmiecha, to prawda, ale choć wykrzywia usta, w oczach ma lód. Wiem, że nie kocha Kornelii. Bez przerwy mówi tylko o swoich życzeniach, planach, podróżach i pieniądzach! Jakby z całego bogactwa życia interesowała go tylko osobista korzyść.

– Owszem, zgadzam się z tobą, to prymitywny i męski typ, choć widziałem na własne oczy, jak zachwycał się chińskim ogrodem, a do tego jest już majętny i na najlepszej drodze, by osiągnąć wielkie bogactwo.

– Tak, ja też nie gardzę pieniędzmi, ale zupełnie inaczej od Duqueta. On grzeszy chciwością. Nic innego się nie liczy.

Kapitan Verdwijnen ujął glinianą fajkę. Wyprostował się, rozsypał na stole liście tytoniu i zaczął je ciąć na drobne kawałki.

– Ma głowę na karku do interesów i, jak twierdzisz, chęć do panoszenia się. Ale nie można mu odmówić pracowitości. Jeśli Kornelia za niego wyjdzie, Duquet zapewni naszej rodzinie dostęp do pieniędzy i kredytów. Zawsze możesz podpisać z nim intercyzę, w której możesz się domagać, na przykład, że zgadzasz się na małżeństwo pod warunkiem, że Kornelia i jej dzieci, a dzieci będą na pewno, pozostanie w Amsterdamie, póki dzieci nie osiągną pewnego wieku, powiedzmy czternastu lat. Duquet będzie prowadził interesy w Nowej Francji i, z tego, co słyszę, również w koloniach angielskich w taki czy inny sposób, więc kiedy interesy mu pozwolą, przypłynie do Amsterdamu, żeby spotkać się z żoną i dziećmi, a pewnie też ze wspólnikami. Nie waham się wejść z nim do spółki. Moim zdaniem powinieneś powiedzieć mu jasno, że bez spełnienia pewnych żądań, małżeństwo z Kornelią nie dojdzie do skutku, a on się zgodzi, przekonasz się, a nawet ucieszy z tego, bo nie ma w tym człowieku nic, co wskazywałoby, że pragnie zostać ojcem rodziny i sadzać sobie dzieci na kolanie. Wiem natomiast, że czuje się samotny.

– Ale należy do ludzi, którzy nie potrafią żyć inaczej, jak tylko w pojedynkę. Urodził się do tego. I nie podoba mi się myśl, że będzie dosiadał Kornelii, niczym jakiejś Indianki. – Piet Roos przerwał na długą chwilę. – Mogę robić z nim interesy, ale nie chcę go za zięcia.

– Czujesz to, co każdy ojciec wobec zamążpójścia córki. Ale wystarczy, żebyś miał go na oku. Bo w gruncie rzeczy i pominąwszy jego chciwość, ten człowiek jest głupcem. Jest dosyć tępy, brakuje mu subtelności i często kieruje się impulsami. Odczuwa wielkie niedostatki z powodu niskiego pochodzenia i braku wykształcenia, wie, że musi radzić sobie sam. Ale można nim manipulować. Żywi szacunek dla starszych ludzi, takich jak my. Będzie cię słuchał. W życiu spotyka się różnych dziwaków. Ale trzeba ich słuchać i starać się zrozumieć. Nie wolno odwracać się do nich plecami.

Piet Roos parsknął, niemal przekonany.

– Mam przeczucie, że to niebezpieczne.

– Nawet wróbel, mój drogi Piet, ma ostry dziób. Jeśli zażądasz, żeby Kornelia i dzieci zostały w Amsterdamie, będziesz miał nad nim kontrolę: przez dzieci. Nie masz synów, a krzepki wnuk czy dwaj bardzo ci się przydadzą. A jeśli spłodzi córki, będziesz mógł dalej aranżować korzystne mariaże. Możesz też sprecyzować korzystne dla siebie gwarancje w interesach. Masz trzy statki pływające między Chinami a Japonią, a on nie ma żadnego i bardzo chciałby je dostać. Ma za to pieniądze i będzie miał jeszcze więcej. I zarobi je dla nas. Jestem pewny. Więc okaż ojcowską dobrą wolę. Ale bądź przy tym czujny!

///

Transatlantyckie zaloty Duqueta ciągnęły się przez kolejny rok, lecz Duquet zalecał się nie do Kornelii, lecz do jej ojca. Był wytrwały. Dostanie ją. W roku 1711 przypłynął do Amsterdamu i spędził wiele dni z Pietem Roosem, który z wielką pilnością przestudiował jego księgi, słuchał o jego planach i zadawał mu podchwytliwe pytania, rozważając odpowiedzi przed wyrażeniem zgody na ślub.

– Jeśli dobrze was zrozumiałem, panie, proponujecie spółkę w interesach w handlu z Chinami. A do spółki tej wejdą Charles Duquet, Piet Roos i Outger Verdwijnen.

– Owszem – odparł Duquet, trzęsąc się w środku na brzmienie trzech powiązanych nazwisk.

– No, cóż, w tej kwestii powinniśmy dojść do porozumienia. Ale małżeństwo to, by tak rzec, delikatniejsza sprawa. Ja i moja żona nie chcemy rozstawać się z Kornelią. To nasze ostatnie, najmłodsze dziecko, ulubienica matki.

Duquet uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie odmawiam wam z góry jej ręki, panie, proponuję wszakże pewne warunki. Chcemy, żeby Kornelia została w Amsterdamie.

Zapadła długa cisza. Piet zwijał i rozwijał koniuszek papieru, na którym pisał.

– Podaruję córce dom, który do mnie należy, przy sąsiedniej ulicy, bardzo wygodny, blisko domu rodziców i siostry.

Duquet poruszył się niespokojnie. Dom, dom Kornelii, jego dom.

– Co więcej, życzymy sobie, aby dzieci zrodzone z tego małżeństwa dorastały pod opieką matki w Amsterdamie. Rodzina otoczy opieką zarówno Kornelię, jak i jej potomstwo. Wy też może mieszkać w naszym mieście, panie, ale jeśli wolicie zostać w Nowej Francji, nie będę wam robił przeszkód, bo wiem, że będzie tu wracać nie tylko w interesach, ale i do rodziny.

Spojrzał uważniej na Duqueta, który siedział z kamienną twarzą i lekko rozchylonymi ustami. Wpatrywał się w arras wiszący na ścianie za plecami Pieta. Widział tylko jego krawędź – jastrzębia rzucającego się na czaplę. Czapla leżała na plecach, wyciągając pazury, żeby się obronić. Ale jastrząb był zajadły i nieomylny. Niżej widniał napis: *Exitus in dubio est*[9], który Piet, widząc konsternację na twarzy Duqueta, przetłumaczył z łaciny:

– Wynik jest wątpliwy.

W tej walce Duquet stał po stronie jastrzębia. Piet przeszedł do sedna:

– Szlaki morskie, o których mówimy, są dobrze znane i często uczęszczane. Jeśli sobie życzycie, panie, oddam wam do dyspozycji statek wraz z załogą, abyście mogli przeprawiać się przez Atlantyk. Jak wam się to widzi?

Duquet kiwnął głową – właśnie czegoś takiego potrzebował.

– Tak, tak, zgadzam się, panie, i dziękuję wam. Marzyłem o takim rozwiązaniu. – Zdał sobie sprawę, że najlepiej będzie trzymać holenderską żonę w Amsterdamie i znaleźć się jak najdalej od kobiecych manipulacji i waporów, zachowując przy

tym związki krwi z Pietem Roosem i kapitanem Verdwijnenem. Wiedział, że gdziekolwiek się znajdzie, zawsze pozostanie obcym. To była cena, którą musiał zapłacić. I zapłaci ją.

Małżeństwo celebrowano weselem i piciem, ciągnącym się przez wiele dni. Kapitan Verdwijnen podarował młodej parze wspaniały komplet srebrnych *vorks*, nowych sztućców, służących do nadziewania potraw. Margit wbiła lewe oko w oglądającego widelce Duqueta. Choć chwalił głośno tę jadalnianą nowinkę, w skrytości ducha wiedział, że prezent ten jest przytykiem i wyrzutem wobec jego niezbyt wykwintnych manier przy stole. Bardziej spodobał mu się elegancki młynek do kawy. I wspaniały gobelin od teścia. Minął tydzień, zanim Kornelia odezwała się choćby jednym słowem, a to, co powiedziała, pozostało tylko między nią a mężem.

Przez osiemnaście miesięcy spłodził z Kornelią córkę i poronionego przedwcześnie, martwego syna. Duquet myślał nieustannie o tym martwym chłopcu, a na każdym kroku widywał silne i zdrowe dzieciaki. Mężczyznom w jego wieku często towarzyszyły krzepkie niedorostki, wychowywane zgodnie z wolą i powołaniem ojców. Irytował go zwłaszcza niejaki William Wentworth, człowiek o coraz większym znaczeniu w New Hampshire, którego żona rodziła synów w takim tempie, w jakim z pnia cedru wycina się gonty. Mając dziewięciu synów, czegóż

człowiek ów nie mógłby dokonać? Duquet, który tak bardzo potrzebował synów, wspomniał o tym pewnego wieczoru kapitanowi Verdwijnenowi.

– Śpieszy ci się z tymi synami, jak ze wszystkim innym – odrzekł kapitan. Jeśli nie możesz zaczekać, aż Bóg ześle ci syna, idź do *Weeshuis*, sierocińca, gdzie przysposobisz sobie tylu synów, ilu miał król Priam. W samej rzeczy, Kornelia zasiada w radzie dobroczynnej, która zajmuje się *Weeshuis*. Porozmawiaj z nią. – Zapalił fajkę i spojrzał na Duqueta. – I pozwól jej wybrać chłopców, wówczas bardziej ich pokocha. Przypilnuje ich wykształcenia, a tym sam nauczysz ich, jak prowadzi się interesy i pływa po morzach.

Rada kapitana bardzo ucieszyła Duqueta, zaiste mógł przecież adoptować synów, a choć pomysł oddania tej sprawy w ręce Kornelii nie przypadł mu do gustu, potrafił docenić dyplomatyczny zamysł, kryjący się za tą propozycją.

Kornelia zasiadała nie w radzie dobroczynnej *Weeshuis*, lecz w radzie domu opieki nad starszymi niewiastami, ale spodobała się jej myśl o dobrym uczynku wobec sierot. Powiedziała, że z przyjemnością wybierze kilku chłopców z *Weeshuis*, aby Duquet mógł ich ocenić i ostatecznie zaaprobować. I w taki sposób w roku 1713 Jan i Nicolaus, obaj dziewięcioletni, stali się synami Duqueta i natychmiast rozpoczęli naukę oraz kurs dobrych manier, które – jak miała nadzieję Kornelia – choć w części trafią

przez synów do męża. Duquet, przed przyjęciem synów, przygotował na tę okoliczność mowę:

– Wielu chłopców dałoby sobie rękę uciąć za możliwości, które się przed wami otwierają. Stajecie przed szansą pomocy w budowie wielkiego majątku, jednego z największych na świecie, dzięki czemu na zawsze opuścicie rynsztoki. Bo i ja wychowałem się w rynsztoku, choć nikt nie podał mi ręki i nie zabrał mnie do sierocińca. Mimo to, jak widzicie, podniosłem się z błota.

Jak to bywa niekiedy po adopcji dzieci, pod koniec tego samego roku Kornelia powiła zdrowego tłustego syna, któremu dali na imię Outger po ojcu chrzestnym, kapitanie Verdwijnenie. Duquet był uszczęśliwiony jak nigdy dotąd, ale nie mógł już dłużej odkładać powrotu do Bostonu i Nowej Francji. Po drodze do La Rochelle oświeciła go pewna myśl: dlaczego ma poprzestać na trzech synach? Czy w La Rochelle nie znajdzie na ulicy jakiegoś biednego, a obiecującego chłopca – chłopca w łachmanach, takiego, jakim sam niegdyś był, marzącego tylko o tym, żeby wydobyć się z ubóstwa i podłego losu? Zajmie się tym osobiście i zabierze tego chłopca do Nowej Francji, żeby nauczyć go tego i owego o lasach Nowego Świata.

Napisał do Kornelii i Pieta Roosa, żeby poinformować ich o nowym członku rodziny, sprytnym jedenastolatku, Bernardzie, przebywającym z Duquetem w Nowej Francji. Przywiezie go do Amsterdamu, gdy popłynie do domu – prawdopodobnie jesienią –

aby Bernard poznał matkę, braci i siostrę, oraz odebrał stosowne wykształcenie.

– Widzisz – powiedział kapitan Verdwijnen, zwracając się do Pieta Roosa. – Poruszyliśmy w nim serce.

Piet Roos nie odpowiedział.

---

[9] Sentencja z *Metamorfoz* Owidiusza, odnosząca się do śmierci Kajneusa (zmienioną w mężczyznę Kajnis), wbitego w ziemię przez centaury i ulatującego w niebo jako orzeł. Sentencja ta znalazła się na pierwszym banknocie trzydolarowym, wprowadzonym do obiegu w Zjednoczonych Koloniach przez Kongres Kontynentalny w lipcu roku 1776, nad wizerunkiem orła atakującego żurawia [przyp. tłum.].

20

GRZECH ŚMIERTELNY

Po powrocie do Nowej Francji, którą coraz częściej nazywano za Irokezami Kanadą, Duquet rzucił się w wir pracy: studiował, mierzył, wścibiał nos, obserwował i liczył. Odesłał Bernarda, chłopca z La Rochelle, do Kornelii, żeby nabrał ogłady i wykształcenia. Każdej jesieni wysyłał dwadzieścia wozów gałęzi i trocin na rynki Kébeku i Paryża, gdzie sprzedawano je na opał. Wynajmował statki, jeśli miał pewność, że w drodze powrotnej zabiorą na pokład herbatę, kawę, tekstylia, przyprawy lub porcelanę. Gdy nie miał pewności, że statki wrócą z zyskownym towarem, pozwalał paryżanom marznąć. Wynajmowanie statków od Pieta Roosa nie nastręczało mu trudności, ale potrzebował własnej flotylli. Jeśli tylko znajdzie odpowiednich szkutników w Nowej Francji, zyska fortunę. Zainteresowani tym przedsiębiorcy z Kébeku negocjowali w tej sprawie z francuską administracją, ale rozmowy spełzły na niczym.

– Sami widzicie – zwrócił się do Dreda-Peacocka podczas jednego z licznych spotkań w Bostonie – sprawa jest tak beznadziejna, że muszę otworzyć własną stocznię.

Dred-Peacock wspomniał o innych możliwościach – o stoczniach w Bostonie, Portsmouth nad rzeką Piscataqua, a nawet o rozrastających się portach w Maine.

– W którymś z tych portów zbudują wam statek z miejscowego drewna i za niską cenę. Nie wiecie, że koloniści budują własne statki, żeby transportować wielkie masztowe sosny do Londynu? To teraz już wiecie.

Mimo to odkładał decyzję. A rozmowa zeszła z budowy własnych statków na sprzedaż drewna do stoczni. Duquet upierał się przy angielskich klientach.

Dred-Peacock wzruszył ramionami i obiecał, że pozna go z angielskim szkutnikiem, działającym w nowej, ale prężnej stoczni nad rzeką Clyde w Szkocji, która połączyła się z Anglią aktem unii z roku 1707.

– Spójrzcie na mapę, panie – powiedział Dred-Peacock, zniecierpliwiony zwłoką Duqueta. – Ta stocznia jest położona najbliżej kolonii, płynie się z niej tutaj najkrótszą drogą. Nad Clyde odnoszą już pierwsze sukcesy, ale potrzebują dobrego drewna. I będą za nie płacić. Takiej szansy nie wolno nam zmarnować.

Duquet zaryzykował, a Dred-Peacock miał swój udział w zyskach, które zwiększały się z roku na rok. W Nowej Francji istniały precedensy w prowadzeniu interesów z wrogiem – Brulé, Radisson, des Groseilliers nadali wcześniej ton – ale układy z Anglikami i Szkotami były początkowo trzymane w tajemnicy i

okazały się skomplikowane, wymagające, a nawet niebezpieczne. Na budowę jednego okrętu wojennego z siedemdziesięcioma czterema działami potrzeba było ponad dwadzieścia hektarów dębu, więc w dębowych ostojach wzdłuż rzek Nowej Francji lasy zaczęły padać zgodnie z wolą Duqueta. Ale i tak miał wrażenie, że oddalenie Kébeku od największych ośrodków finansowych świata podcina mu skrzydła.

Dred-Peacock nigdy nie spotykał się z Duquetem w Kébeku, to Duquet musiał wyprawiać się do Bostonu. Siadywali wówczas nad dokumentami i rachunkami w „Czerwonej Butelce", ulubionej gospodzie przy nabrzeżu, a Dred-Peacock udzielał Duquetowi rad:

– Najwyższa pora, Duquet, żebyś przeniósł przedsiębiorstwo do Bostonu, do kolonii. – Zamówił następny półmisek ostryg.

– Och, zastanawiam się nad tym – odparł Duquet, mieszając piwo w metalowym kuflu, aż piana podeszła pod brzeg, jakby to rozstrzygało sprawę. – Często się nad tym zastanawiam. I nie wiem, co począć, panie.

Zauważył, że na południu rośnie więcej dębów, a wielkie łąki i przecinki sprawiają, że osadnictwo i transport są łatwiejsze. Zatoka Massachusetts tętniła życiem. Jej okolice były najlepszym miejscem do prowadzenia interesów. Mimo to…

Dred-Peacock zerknął z przyganą na wylewającą się z kufla pianę. Duquet był nieokrzesanym gburem, nieumiejącym cieszyć oczu czymkolwiek i z pewnością niepotrafiącym niczego docenić.

Dred-Peacocka interesowała w nim jedynie zupełnie fantastyczna umiejętność pomnażania pieniędzy.

– Niech mnie diabli porwą, panie, najwyższa pora, żebyście zaczęli działać! Skończcie się zastanawiać i działajcie! Każdego dnia setki plugawego pospólstwa wyruszają w głąb lasów i zagarniają ziemię. W Maine rośnie sosna wejmutka na maszty. Wiecie, jak wielki jest na nie popyt, jeśli tylko zdołacie wyekspediować drewno na statku, płynącym do Szkocji, Anglii czy nawet Hiszpanii i Portugalii.

Podano im ostrygi – trzy wielkie soczyste i lśniące małże wielkości ludzkiej dłoni.

Duquet kiwał głową, choć miał nietęgą minę. A Dred-Peacock ciągnął dalej donośnym, drżącym z emocji głosem:

– Tam, gdzie jest popyt i pieniądze, przedsiębiorca nie może zwlekać. A wszystko pójdzie wam jak z płatka, jeśli przeniesiecie się do Bostonu z tego zawszonego Kwibeku. Z moją pomocą nie zginiecie! – Wziął pierwszą ostrygę.

Ale Duquet nie był przekonany. W Nowej Francji znał wielu ważnych ludzi, a poza tym nie lubił angielskiego. Dred-Peacock nalegał:

– Z tego, co wiem, w Nowej Francji jest wielu takich, którzy uważają, że Anglia zwycięży: mają słuch zajęcy! Niewykluczone, że te kolonie się zjednoczą, przepędzą Anglików i podbiją Nową Francję. Działy się bardziej nieprzewidziane rzeczy. I powiem wam jeszcze, że ci przeklęci szkoccy szkutnicy są tak wygłodniali

dobrego drewna z Ameryki, że wielu przenosi się do kolonii, żeby być bliżej dostawców.

Duquet prowadził spółkę z dwoma Holendrami, wszyscy trzej byli armatorami statków należących do Roosa, Verdwijnena i Duqueta, lecz pływających pod brytyjską banderą między Portsmouth, Bostonem i licznymi stoczniami nad rzeką Clyde. Często powtarzali sobie, że muszą lawirować niczym na napiętej linie, ale ryzyko się opłaciło i pieniądze pływały w morzu jak ławice sardynek. Wystarczyło zarzucić sieci. I podzielić się z Dred-Peacockiem.

Przez następny rok Duquet każdej niedzieli wysyłał do synów listy pełne szczegółowych opisów prowadzonych przezeń interesów oraz dobrych rad, a dzięki pomocy Dred-Peacocka zaczął kupować połacie lasów w Maine. Dred-Peacock okazał się geniuszem kruczków prawnych w zdobywaniu nadań odległych „miast", a geodeta Jacques Forgeron, stary przyjaciel Duqueta z czasów wędrowania po lasach Nowej Francji, wyszukiwał dlań najlepsze połacie puszczy. Duquet uczył się od niego fachowego spojrzenia na leśny materiał. Dla postronnych Forgeron był nieprzystępnym człowiekiem, przywiązanym nadmiernie do swych geodezyjnych łańcuchów. Ale potrafił jak nikt korzystać z nich w walce, obracając łańcuch nad głową i wypuszczając z ręki w upatrzony cel. Duquet dobrze wiedział, że przyjaciel użył kiedyś takiego łańcucha w Starym Świecie, po czym musiał się schronić w Nowej

Francji. Takich jak Forgeron było pewnie wielu, ale geodeta zbywał to wzruszeniem ramion. Stary kraj już się nie liczył. Forgeron był teraz wspólnikiem w przedsiębiorstwie Duquet et Fils, a nawet przyjacielem, jeśli interesy mogą wiązać w taki sposób ludzi pozbawionych przyjaciół.

Pewnego październikowego popołudnia Duquet i Forgeron dobili czółnem do piaszczystego brzegu rzeki w Maine, przy którym rósł należący do nich bór sosny wejmutki, ponad osiem tysięcy hektarów kupionych po dwanaście centów za akr. Wzdłuż brzegu rzeki zamarzała woda. Ciepłe jesienne światło rozpalało pomarańczowo i żółto liście drzew. Ich czarne cienie padały na ziemię niczym przewrócone posągi. Dwaj mężczyźni bez słowa zaczęli zbierać drewno na ognisko. Forgeron podniósł rękę.

– Posłuchaj! – szepnął.

Niedaleko od nich ktoś rąbał drzewo. Ruszyli w tamtą stronę.

Wściekły Duquet dostrzegł między drzewami nieznanych mężczyzn w czarnych jak smoła pludrach, rąbiących jego sosny. Inni odrąbywali konary od ściętych drzew, a jeszcze inni piłowali je. Dwaj mężczyźni z siekierami dzielili ścięte pnie na kłody. Duquet był pewny, że w pobliżu jest jakaś pilarnia w leśnym wykrocie. Po wyłupiastych oczach i ziemistej cerze poznał, że to angielscy koloniści. Choć przedsiębiorstwo Duquet et Fils rąbało wielkie drzewa, gdzie tylko się dało, tolerowanie czegoś takiego na własnej ziemi było niedopuszczalne!

– *Ho la*! – zawołał Duquet, a potem dodał w swojej nieskładnej angielszczyźnie: – Jakim prawem stajecie na mojej ziemi rąbać las? – Był tak rozgniewany, że głos wiązł mu w gardle. Forgeron szedł obok niego, machając lekko łańcuchem.

Przestraszeni drwale spojrzeli na nich badawczo, a potem rzucili się na skos ku rzece, zabierając ze sobą narzędzia. Na brzegu musiały czekać na nich *bateaux*. Ale jeden z nich z zabandażowanym udem nie mógł biec tak szybko.

Duquet nie zawahał się. Wyciągnął zza pasa indiański tomahawk i rzucił nim w uciekającego, trafiając go w lewą łydkę. Zbieg przewrócił się, wzywając na pomoc towarzyszy cienkim dziecięcym głosikiem. Jeden z nich odwrócił się i spojrzał nienawistnie na Duqueta, krzyknął coś do leżącego. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund, ale Duquet pojął, jak bardzo tamten go znienawidził. Miał piegowate zacięte oblicze okolone rudymi włosami i brodą, żółte zwierzęce oczy, którymi go świdrował. Odwrócił się i uciekł szybko ku rzece.

– Przypływają z osad nad brzegiem morza – rzucił Forgeron i rzucili się w pościg.

Związali rannego jeńca – czternastoletniego zaledwie chłopca – przyciągnęli go do sosny i przywiązali w norze między wystającymi korzeniami.

– Ty, chłopak, *garçon*, gadaj albo obetnę ci palce. A potem jaja. Kim jesteś? Co to za ludzie z tobą? Jak tu się znalazłeś?

Chłopiec zacisnął mocno usta – z bólu lub uporu. Duquet chwycił go za rękę i rozłożył mu lewą dłoń na szerokim wybrzuszonym korzeniu. Jednym cięciem toporka pozbawił go małego palca i części serdecznego.

– Gadaj albo obetnę ci więcej. Skrócę cię o głowę.

Krwawe przesłuchanie Duqueta przyniosło efekt: dowiedzieli się, że złodzieje z Maine są najmowani przez właściciela tartaku, niejakiego McBogle'a, który działa na polecenie Elishy Cooke'a. Duquet od lat słyszał o Cooke'u – wszyscy mówili, że głośno sprzeciwia się władzy korony angielskiej. Ale ten McBogle był kimś nowym. Choć Duquet z trudem opanowywał wściekłość, uznał, że zarówno Elisha Cook, jak i McBogle mogą okazać się przydatni, więc zapamiętał ich nazwiska. Wypyta o nich Dred-Peacocka.

– Po co kradniecie sosny? – zapytał chłopaka.

– Chcieliśmy ściąć tylko kilka drzew. Żeby ludzie geodety nie widzieli.

– Pokaż te rany.

Gdy chłopak podniósł okaleczoną dłoń, Duquet rzucił gniewnie:

– Nie, nie to. To tylko skaleczenia. Na nodze.

Czuł z daleka smród zakażenia. Chłopak odwinął bandaż na nodze zdrową ręką i pokazał im głęboką, gnijącą ranę. Wyglądała paskudnie. A sine zakażenie biegło aż do krocza.

– Co się stało? – zapytał.

– Wuj Robert ściął wielką sosnę. Ułamana gałąź przebiła mi nogę.

Ta rana była groźna. Inaczej niż czyste przecięcie tomahawkiem na łydce, choć to było blisko ścięgna. A odrąbane palce to furda. Zanieśli chłopaka do obozu złodziei drewna oddalonego o pół mili w dół rzeki. Na ziemi walały się łachmany i garnki, a na drzewie wisiał upolowany jeleń. Położyli go przy tlącym się ognisku.

– Zostaniemy tu – Duquet zwrócił się do Forgerona. – Złodzieje rozbili nam obóz.

Starał się mówić spokojnie, ale wciąż czuł niepohamowany gniew. Po tych wszystkich niesprawiedliwościach, których doświadczył, po wszystkim, co zrobił – po przypłynięciu do Nowego Świata, ucieczce od Trépagny'ego, niełatwym życiu *voyageura*, znalezieniu sposobu na dorobienie się majątku na lesie, po nauce czytania, pisania i liczenia, po podróży do Chin i zawarciu tylu przydatnych w interesach znajomości – to robactwo z Maine ośmiela się kraść mu drewno!

Forgeron przypłynął czółnem do obozowiska, a Duquet znalazł wykrot, w którym złodzieje chcieli piłować kłody. Byli tu zaledwie od paru dni, ale przygotowywali się na dłuższy pobyt. Poznał to po ułożonym sągu równo przyciętego i pozbawionego gałęzi drewna. Zastanawiał się, czy nie chcieli tu przypadkiem zbudować fortu. Mówiło się, że Anglicy chcą budować forty nad wszystkimi rzekami.

– Zaznaczmy, że to drewno jest nasze – powiedział Duquet i wraz z Forgeronem zajął sąg, nacinając dwa głębokie karby na każdej kłodzie. Zastanawiali się, jak przetransportować to drewno. I doszli do wniosku, że najlepszym sposobem będzie spławienie go na tratwie do najbliższego tartaku. Duquet został w obozowisku, żeby strzec lasu przed złodziejami, a Forgeron popłynął do Portsmouth najmować flisaków.

O zmroku zrobiło się chłodniej. Na niebie zawisły chmury koloru ciemnych winogron, a z nich przez godzinę lał deszcz, potem temperatura spadła jak w zimie. Duquet obudził się zmarznięty o świcie. Nie było wiatru, ale każda gałązka i konar były pokryte kłującym szronem. W oddali słyszał nawołujące się wilki, a ich wycie trwało aż do poranka. Wilki musiały wyczuć świeżą krew i smród zakażenia chłopaka, chciały podejść bliżej. Duquet wstał i dorzucił bierwion do ognia. Chłopak miał zamknięte oczy, twarz rozgorączkowaną i opuchniętą, na policzkach mokre plamy od topiącego się szronu. Duquet doszedł do wniosku, że chłopak umrze po jeszcze jednej takiej nocy. Jeśli doczeka zmroku.

Obudził go szybko i zasypał pytaniami: jak się nazywa, z jakiej pochodzi osady, gdzie stoi jego dom i ilu tam mieszka ludzi. Ale chłopiec poprosił schrypniętym głosem o wodę – której Duquet nie chciał mu dać – a potem umilkł. Ale nadal żył. Resztę krótkiego dnia Duquet poświęcił na szacowanie kubików ściętych sosen.

Wcześnie zrobiło się ciemno, nadciągała burza, a między sosnami zacinał lodowaty deszcz ze śniegiem. Zanim zapadły ciemności, Duquet podszedł do jeńca. Chłopak leżał na plecach, prawa noga napuchła mu od zakażenia, a spod bandaża wypływała żółta ropa. Odrzucił nogę na bok, jakby chciał się od niej odłączyć. Nic nie dało się już zrobić, można było tylko czekać, aż umrze podczas zimnej nocy. Chłopak otworzył oczy i spojrzał na coś za rzeką. Duquet powędrował za jego spojrzeniem, spodziewając się ujrzeć Indian albo wracających złodziei. Ale na drugim brzegu rosły tylko sosny, choć między nimi mignął jakiś żółty kształt. Na gałęzi usiadła wielka szara sowa. Przyglądała się im. Miała małe, blisko osadzone, świdrujące oczy.

– Pomóż mi – odezwał się chłopak po angielsku. – Pomóż. Mi.

A w Duquecie coś się rozprężyło gwałtownie jak wrzucona do ognia szyszka. Eksplodował ślepą niepohamowaną furią.

– Mnie nikt nie pomógł! – wrzasnął. – Sam do wszystkiego doszedłem! Wytrwałem! Walczyłem z potężnymi ludźmi. Cierpiałem sam jeden w puszczy. Godziłem się z tym, że umrę. Nikt mi nie pomógł!

Chłopak przeniósł rozgorączkowany wzrok na unoszące się ramię Duqueta, oczy zamknęły się dopiero wtedy, gdy tomahawk rozpłatał mózg. Duquet wbił toporek w ziemię, żeby go oczyścić.

W padającym śniegu rozmontował w wykrocie rusztowanie pilarzy, wrzucił chłopaka do dołu i przykrył go rusztowaniem, które podpalił. Wschodził pękaty księżyc. Po kilku godzinach, gdy

zgasły płomienie, poszedł zasypać rozmrożony dół, lecz zanim rzucił do środka pierwszą łopatę ziemi, spojrzał w dół i zobaczył zwęgloną kość ramienia, wyciągniętą ku niemu jakby w prośbie o pomoc.

– *Foutu*! Załatwione!

Zasypał dół.

Forgeron przybył po czterech dniach z sześcioma flisakami, którzy zaczęli budować tratwę ze ściętych sosen. Po rannym chłopaku nie było ani śladu, a choć Forgeron otwierał usta, żeby o niego zapytać, ugryzł się w język i powiedział tylko, że przez wojnę trudno znaleźć odpowiednich robotników.

21

NIEPEWNY GRUNT

Duquet dokonał następnej zmiany i stał się innym człowiekiem. W Bostonie zamiast Duquet et Fils, powstała firma Duke i Synowie, bo Duquet nazywał się teraz Charles Duke. W Nowej Francji została część przedsiębiorstwa i część udziałów. Siadywał z Dred-Peacockiem w oberży „Sosnowy Pies", całkiem przyjemnej gospodzie z rzeźbionym na tablicy psem; spotykali się tu najczęściej, odkąd „Czerwona Butelka" spłonęła w pożarze, który strawił połowę nabrzeża i kilka statków.

– Słyszeliście o tym jegomościu McBogle'u? – zapytał Duke, rozrywając palcami kawałek pasztetu.

Dred-Peacock, w peruce i todze, podniósł wzrok znad parującej kawy.

– Nie znam go osobiście, ale słyszałem o nim wiele niepochlebnych opinii. W Maine aż roi się od różnych podejrzanych typów: gości z tartaków, geodetów, drwali, wypalaczy potażu i terpentyny, osadników. Każdy chce coś wyciągnąć z tych otwartych dla wszystkich lasów.

– Myślą tak jak ja – odrzekł Duke – więc nie mogę ich winić. Ale choć kochają broń ponad wszelkie pojmowanie i potrafią się bronić, lasy są niebezpieczne nie tylko przez wrogów, z którymi toczymy wojnę, ale także z powodu ludzi Królewskiego Mierniczego. Ale to tylko ludzie.

– Osadnicy są twardzi, to oczywiste, ale są też inni, jeszcze twardsi, głównie w New Hampshire. To ci Szkoci, którzy przybyli niedawno z Ulsteru w Irlandii.

– Ale to też śmiertelnicy.

– Niezupełnie. Są inni. Bardzo dziwni, okrutni, żyją w klanach i są dumni, gotowi mścić się za każdą wyimaginowaną ujmę. Dużo piją i są nieludzko twardzi. Te skurwysyny sypiają na dworze w deszczu, zamiast w domach. Znają ten kraj nie gorzej od przeklętych Indian i żyją jak chcą pod swoim własnym sztandarem. Niestraszne im ani zimno, ani upały, znoszą ból jak Indianie ze stoickim spokojem i bez jednego słowa, a nawet się bólem delektują. Górskie szczyty i rzeki to ich gościńce, a lasy są ich schronieniem. Zamieszkują najdalsze okolice. A nienawiść między Francuzami i Anglikami jest głównie ich zasługą. – Przerwał, upił łyk kawy i spojrzał w oczy Duke'a.

– Dud McBogle, jego bracia i synowie wywodzą się z tych ludzi.

Duke odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

– Nasłuchałem się wielu bajek, a ta o McBogle'u i jego ludziach jest najprzedniejsza! Na pewno pożera dzieci na deser i chodzi w

rudym futrze zapinanym na ludzkie kości. A co powiecie, jakbym zaproponował, żeby dopuścić go do spółki?

Dred-Peacock nic nie odpowiedział.

Trwająca wojna i buszujące wszędzie niedobitki Indian zepchnęły osadników z Maine nad morze, gdzie powstało kilka niedużych stoczni. Charles Duke odkrył dla siebie zatokę Penobscot, gdzie do Atlantyku wpływała wielka rzeka i gdzie wzniósł dla siebie duży dom. Uważał się za pierwszego białego w tej okolicy, gardząc mówiącymi po francusku *métisami* – spłodzonymi przez żyjących tu niegdyś grzesznych księży cudzołożących z Indiankami. W okolicach zatoki – nazwanych Norumbega przez nieznanego odkrywcę – stało ponoć, jak twierdzili łatwowierni, bajkowe miasto całe w złocie i klejnotach, jak Kinkenadon czy L'Isle Imaginaire. To właśnie tutaj wąsaty Henry Hudson ściął pierwszą w Nowym Świecie sosnę na maszt. Już choćby z tej przyczyny Duke'owi tu się podobało.

Jego domostwo z bali przypominało bardziej fort niż drewnianą chatę. Połowa parteru została przeznaczona na kantor, w którym prowadził interesy. Stał tam olbrzymi stół z pojedynczego pnia o szerokości czterech stóp. Nadeszła pora, żeby do Nowego Świata sprowadzić synów, którzy stali się już młodzieńcami. Nadeszła pora, żeby zaprząc ich do pracy, choć mały Outger nie dorósł jeszcze do opuszczenia matki.

Synowie z Amsterdamu, Jan i Nicolaus Duke, mówili płynnie po holendersku, francusku i angielsku, a trochę gorzej po niemiecku, fryzyjsku i portugalsku. Jan okazał się wybitnie zdolny w arytmetyce i znał się na arkanach księgowości. Spoglądał śmiało w przyszłość jak flisacy na bystrej rzece. Nicolaus był potężnie zbudowany, silny i miał w sobie bezwzględność tak potrzebną do prowadzenia interesów. Wraz z Bernardem znał się na żegludze, gdyż obaj pływali do Chin na statkach Pieta Roosa. Jan i Nicolaus zajmą się kupcami, kontraktami i przewozami. Francuski syn, Bernard, płynął właśnie z Bałtyku, gdzie uczył się wytwarzania paku i smoły, i gdzie nauczył się trochę szwedzkiego i dosyć duńskiego, żeby móc się porozumiewać w tych językach. Stanie na czele stoczni. A Charles Duke, ojciec, będzie dalej nawiązywał kontakty handlowe, skupował papierowe nadania praw miejskich, umawiał się z drwalami i tartakami przy głównych rzekach i nadzorował rozrastające się imperium. Więc nadeszła pora, żeby przygarnąć synów. Choć ci nie interesowali go pod żadnym innym względem, jak tylko uznania dla własnego powodzenia. Byli synami, których potrzebował. Napisał do Kornelii po angielsku.

Beste Deer Wif!
Nadzieje mam że to piszmo odnajdzie cie oraz dzieci w dobrem zdrowju chciałem piszać czy dni temu nazad ale żem znalaz Kałamaż tak pusty że nie dało sie zaczerpnoć z niego

żadnych Słów a w Kreden sie Niczego nie było i dopiro wczoray nadejszła czwiartka atramętu wienc chwytam Pióro w renke by piszać że już Pora aby Synowie nad któremi sprawowałaś Opieke i ich Krztauciuaś zaczeli tu Interesy ze mno w Bostonie i na bszegu Mejn oraz w Nowej Francyi napisze do kaszdego jednego z jejich z twardem Postanowieniem. Jestem pewny że z Twojo Pomoco pomoco Fater i Unkul powiodom sie jejich Przedsiewziencia gdyż so zdolni jak tylko załuje żem tak daleko i bez pszyjaciuł tutej i przyjade mam nadzieje za czy miesionce. Modle sie byś miała dobre Toważysfo do mego powrotu.
Charles Duke, Penobscot Bay Cost of Mane
marzyc 3. 1717

Umieścił synów w Bostonie, ale raz na miesiąc przyjeżdżali do domu nad zatoką Penobscot, by omawiać z ojcem w kantorze interesy, rozłożywszy na olbrzymim sosnowym stole dokumenty i księgi.

Nie pomylił się co do synów. Już po kilku miesiącach przedstawili mu własne wrażenia i pomysły. Jan o pociągłej szczupłej twarzy i zawsze zmrużonych, jakby zapatrzonych w przyszłość piwnych oczach, widział zapewne najdalej, ale przyrodni bracia omawiali ze sobą wszystkie sprawy, zanim zwrócili się z jakąś do ojca.

– Ojcze – pewnego dnia Jan zwrócił się do Duke'a. – Zauważyliśmy, że na wybrzeżu Nowej Anglii osiada coraz więcej angielskich i szkockich cieśli okrętowych. Uważamy, że byłoby wskazane rozpocząć budowę statków. Nie musielibyśmy wówczas wywozić tyle drewna: masztów, bukszprytów i rei do angielskich i europejskich portów. To szansa dla nas.

– Owszem – odrzekł Duke. – Często myślałem, że budowa statków byłaby dla nas dobra, często, bardzo często, ale wahałem się. Teraz mam już pewność.

– Do tego – dodał Bernard, który zaskoczył i braci, i ojca, gdy wrócił z krajów bałtyckich z dużą żoną o końskiej urodzie, Birgit – pak i smoła. Mamy tu, rzecz jasna, sosny na pak, ale najlepsze drzewa rosną w Karolinach. I są tam niewolnicy. Proponuję, żebyśmy kupili i prowadzili plantację sosen na pak w Karolinie.

– Tak się stanie – odrzekł uszczęśliwiony ojciec.

22

ZNIKNIĘCIE

Pewnego dnia Dred-Peacock pojawił się w Bostonie w składach Duke'a – przepastnej budowli niedaleko portu, przepełnionej aromatem sosny, dębu, futer i korzeni.

– Myślę, że powinniście wiedzieć, panie, że człek, którego wspomnieliście w rozmowie ze mną jakiś czas temu, często o was wypytuje. Chce wiedzieć, ile macie tartaków, jak duża jest wasza fortuna, jakie macie statki, połacie lasu i miasta. On sam ma już pięć albo sześć tartaków w dorzeczu Penobscot i w New Hampshire. Wygląda na poważnego rywala.

– Kogo macie na myśli? Elishę Cooke'a? – zapytał Duke.

– Jego przeklętego siepacza, McBogle'a.

– W istocie – odrzekł Duke. – Donoszą mi o tym niekiedy. Zadaje pytania, ale się nie pokazuje. A jakie jest wasze zdanie o tym wszystkim?

– Uważam, tak jak wy, że trzeba go kupić. Cieszy się sławą niebezpiecznego człowieka. Wątpię, czy zdołamy kupić go, wykładając pieniądze na stół, ale spółka to inna sprawa. McBogle pozostaje w przyjaznych stosunkach nie tylko z Elishą Cookiem i

Wentworthami, ale też z wieloma sędziami i ludźmi interesu tutaj i w New Hampshire. Brakuje mu wszakże naszych znajomości po drugiej stronie Atlantyku. – To Dred-Peacock kultywował bezcenne znajomości w Anglii i Europie.

– Więc trzeba z nim porozmawiać i przekonać się, co da się załatwić. Gdzie go znajdziemy?

– To może być trudne. McBogle ma coś, co nazywają „burzowym tartakiem", który działa tylko wtedy, gdy woda w rzece Moosegut przybierze od deszczu, a obok ma dom. Trzyma się z daleka od wszystkich w tym odległym miejscu. Jeśli się do niego wybierzemy, musimy zabrać ze sobą ludzi, gdyż, jak słyszałem, trzyma przy sobie sporą bandę zbójów. Mógłbym wybrać się z wami do McBogle'a, ale dopiero za tydzień, nie wcześniej.

– *Bien* – odpowiedział Duke. – Wspaniale.

Przed upływem godziny w Bostonie zjawił się Forgeron, który kierował drwalami, wycinającymi sosny w należących do Duke'a miasteczkach. Na jego szczupłej twarzy widać było czerwone otarcie. Wahał się, jakby nie chciał być złym posłańcem. Ale gdy otworzył usta, wyrzucił z siebie słowa jak karty na stół:

– Wyrąbali nasze najlepsze drzewa. Znaleźliśmy tylko pniaki, z których sączył się jeszcze sok.

– Kto? – zapytał Duke.

– *Ne sais pas*, nie wiem. Ale ludzie mówią, że w zeszłym tygodniu McBogle wysłał dwa duże ładunki masztów do

Hiszpanii. Musiał sporo na tym zarobić. Słynie z drzewnego piractwa.

– Mam zamiar porozmawiać z tym człowiekiem za tydzień. Przekonamy się, co da się załatwić. Chcemy z nim współpracować.

– Nie da się łatwo przekonać.

– Ani ja. Dred-Peacock pojedzie z nami w poniedziałek. Ty też musisz. – Należało coś przedsięwziąć w związku z tym McBogle'em i zrobią to. – Pojedziemy tam siłą, bo nie wiemy, ilu ludzi ma McBogle.

Przez ostatni rok Duke zaczął tracić wzrok, raz nic nie widział, raz tylko błyski światła, a najczęściej widywał przed oczami drobiny, latające jak ptaki po niebie. Nie powiedział o tym Forgeronowi, zapytał go tylko:

– Co ci się stało w twarz, że masz takie czerwone otarcia?

Forgeron wzruszył ramionami.

Od początku wszystko szło nie tak, jak powinno. Dwa dni później do portu w Bostonie zawinął statek pocztowy z dwoma wielkimi workami listów. Spora część pism trafiła do Dreda-Peacocka, a był tam też list, w którym informowano go, że jego starszy brat i bratanek stracili życie podczas pożaru, oraz że on, Dred-Peacock, dziedziczy rodzinny tytuł i wielką posiadłość (ze spalonym wschodnim skrzydłem), a także dwa tysiące akrów ziemi w Dred Yew w Wiltshire. Nie minęła minuta, gdy Dred-Peacock przestał

myśleć o kolonialnych swobodach i prawach, gdy machnął ręką na samostanowienie Nowej Anglii.

– Muszę wyjechać – poinformował Duke'a. – To mój obowiązek wobec rodziny i dziedzictwa: wielki cis[10] znalazł się teraz pod moją opieką. Nie mogę zrzec się tytułu i odpowiedzialności. Wypływam natychmiast. – Duke wyczuł wyniosłość w jego głosie. – Napiszę do was, panie, gdy załatwię swoje sprawy. Wierzę, że będziemy kontynuować nasze interesy.

– Owszem – odrzekł Duke. – Ja też w to wierzę.

Wystarczy dobrze podrapać takiego czy innego kolonistę z Nowej Anglii, a pod spodem zawsze wyziera Anglik jak próchno spod kory.

– Nie rozumiem tylko, co do tego wszystkiego ma „wielki cis"? Porzucasz pan piękny i bogaty kraj dla jakiegoś cherlawego drzewa?

– To nieśmiertelne drzewo, rosnące od stuleci. Rośnie na naszych ziemiach od niepamiętnych czasów, jeszcze przed Chrystusem, gdy ludzie czcili cisy i dęby. Wy tego nie pojmiecie, panie.

Cóż Duke mógł na to odpowiedzieć. Nic. Liczyła się jedynie ciągłość ich interesów.

Jakby tego było mało, nadeszła wieść, że Forgeron leży rozłożony zapaleniem skóry i ropniem w gardle. Duke postanowił jednak nie zwlekać. Sam odnajdzie McBogle'a.

Kazał nalać sobie do manierki mocnej czarnej kawy. Będzie ją pił oszczędnie, nawet zimną, bo w lasach pełnych niedobitków Francuzów i Indian lepiej nie rozpalać ognisk. Popłynął szkunerem do ujścia Penobscot i rozpoczął samotną wyprawę.

Była wiosna, rzeką spływały brudne kry, a między nimi tysiące kłód drewna. Na brzegach stali flisacy, wyławiający z rzeki kłody oznaczone ich znakiem. Praca trwała nawet w nocy przy świetle olbrzymich ognisk, a zwinni jak koty mężczyźni biegali po falującym dywanie kłód, by chwycić własność na hak i przyciągnąć ją do brzegu. W czymś takim nie dało się pływać łodzią. Duke nakazał swoim drwalom, by wstrzymali się ze spławianiem drewna, póki rzeka nie oczyści się z płynącego nią lasu. Teraz wyruszył pieszo w górę rzeki. I zauważył, że dwaj flisacy odwracają się od wyławianych kłód i ruszają na skos w głąb lasu. Myślą, że ich nie zauważył?

Czasem szedł po niewyraźnym indiańskim szlaku, wypatrując punktów orientacyjnych niemal zawsze zasłoniętych przez nierówne korony iglaków, częściej przedzierał się przez poręby lub wiatrołomy. Drwale ścinali drzewa wzdłuż rzeki, a milę dalej w głąb lądu zaczynała się prawdziwa *terre sauvage*, emanująca niczym ocean dziką wspaniałością. Konary drzew wyginały się nad milczącą ziemią jak czarne sklepienie grobowca.

Przez cały dzień przemierzał jesienne pogorzelisko: widział zwęglone pnie mniejszych drzew z poczerniałymi gałęziami, skłębionymi wokół własnych korzeni niczym powysuwane

szuflady; tlące się kłody, których nic nie zdoła ugasić. Płomienie tylko liznęły wielkie drzewa, które stały niewzruszone. Śnieg zamienił popioły w czarną maź. Na stromych stokach największą przeszkodę stanowiły zwalone przez wiatr potwory. Jeśli ich gałęzie splatały się z sąsiednimi drzewami, ciągnęły je za sobą na ziemię. Często musiał przeczołgiwać się pod przeszkodami. Nie można ich było obejść, bo drogę blokowały inne leżące pnie. Przestał liczyć strumienie i bagna. Korony drzew lśniły, migotały między nimi skrzydła setek tysięcy lecących na północ ptaków. Widział sowy śnieżne szybujące bezgłośnie między drzewami – tej zimy wiele z nich przyleciało do Maine, a wraz z nadejściem wiosny wracały w chłodniejsze rejony. Oczy męczyły mu się od wypatrywania połamanych cedrów i błyskających wodą bagien. Przez całe popołudnie miał wrażenie, że jest obserwowany, a o zmroku zobaczył szarą sowę, która sfrunęła na ułamaną gałąź i świdrowała go bezlitośnie wzrokiem. Ze wszystkich ptaków tego nienawidził najbardziej.

Po sześciu dniach wędrówki wrócił nad Penobscot, idąc wzdłuż potoku Moosegut. Tartak McBogle'a nie może być daleko. Nasłuchiwał szumu wodospadów. Poczuł tartak pod stopami, zanim go zobaczył: metalowy chrzęst i poszept kół zębatych i trybów, dudnienie przekładni. Nadeszła wiosna, pomyślał, i wkrótce cały bór będzie rozbrzmiewał chrzęstem pił, gdy tylko spłyną wody. Męczyły go oczy, błyskały w nich gałęzie i igły drzew. Nagle ujrzał tartak – potężną budowlę z bali, mieszczącą ciężkie

mechaniczne piły. A nad tartakiem w oślepiającym słońcu stał sam Dud McBogle.

Poznał go od razu. To był ten sam rudowłosy i rudobrody złodziej drewna, który dawno temu zatrzymał się i wołał coś do rannego chłopaka. Duke poczuł, że ogarnia go czerwona niebezpieczna chmura. Zalewała go krew. Błyskały ostre zęby mechanicznych pił. Sam wszedł w zastawioną pułapkę i naraził się na śmiertelne niebezpieczeństwo. *Exitus in dubio est*.

– Spodziewałem się ciebie – powitał go Dud McBogle. – Wróciłem tam. Wróciłem tam i rozkopałem dół, w którym spaliłeś mojego chłopaka.

Dwaj flisacy znad rzeki wyszli z lasu i stanęli po obu stronach Duke'a. Wydarzyło się to, co nie mogło się wydarzyć.

– Jeszcze nie! – wymamrotał Duke. – Jeszcze nie skończyłem…

Przepadł, mając pięćdziesiąt trzy lata i dopiero co zdobyty majątek.

---

[10] Cis – ang. *yew* [przyp. tłum.].

III

TE LASY BYŁY KIEDYŚ NASZE

1724–1767

23

PSY I ŁOTRY

Siedział przez godzinę na niewygodnej, sękatej, sosnowej ławce, nim sekretarz gubernatora zaprosił go gestem do wejścia. Louis-Joseph Crème jako młody misjonarz pełnił pierwszą posługę w Nowej Francji. Później wysłano go do Port Royal w Akadii, w prawdziwe dzikie ostępy, gdzie wśród Mikmaków zaczął spisywać ich bogate słownictwo na określenie struktur geologicznych, pogody, pór roku, roślin, zwierząt, mitologicznych stworzeń, rzek i pływów. Przekonał się, że lud ten jest tak blisko związany z przyrodą, że jego język jest odzwierciedleniem tej bliskości, bez której ani lud, ani język żyć nie mogą. Mikmakowie wierzyli, że wyrośli z tych lasów tak, jak drzewa wyrastają z ziemi, a wiosną pojawiają się na niej nowe głazy. Kluczowe słowo dla tej wiary – *weji-sqalia'timk* – samo zasługiwało na cały słownik.

Teraz, gdy już wyłysiał i zaczął cierpieć na artretyzm, choć miał dopiero czterdzieści lat, stał przed gubernatorem i drżał, czując zbliżającą się chorobę. Sypianie na ziemi nie przysporzyło mu zdrowia. Nie pochodził stąd, nie wyrósł tu, więc ziemia nie była dlań litościwa.

Gubernator okazał się wyniosłym snobem, *un bêcheur* z dziurką w brodzie i tłustym podgardlem. Sprawiał wrażenie człowieka, który w sąsiednim pokoju kołysał się w jedwabnym hamaku, aż nadeszła pora wyjścia i sprawowania urzędu. Spoglądał na ścianę, omijając twarz i oczy rozmówcy.

– Z pewnością nie muszę wam przypominać, ojcze, że nad Zatoką Hudsona cisną z północy Anglicy, cisną też od morza, ściskają Akadię i cisną na wschód z doliny Ohio. W Nowej Francji roi się od szpiegów, zwiadowców, Anglików i włóczęgów z Nowej Anglii. Angielskie i bostońskie kutry pustoszą przybrzeżne łowiska.

Misjonarz odniósł wrażenie, że każde zdanie wypowiadane przez tego człowieka ma jakieś tajne ukryte znaczenie, którego pojąć nie jest w stanie.

– Wasza ekscelencjo, od Mikmaków nieustannie wymaga się walki za Francję, choć w tych czasach pozostało wśród nich niewielu wojowników. Byli niegdyś bardzo żywotnym plemieniem, licznym jak włosy na głowie. Dziś zostało im zaledwie kilkuset wojowników. Wymierając, tracą wrażliwość, a ich wiedza przepada na zawsze. – Miał nadzieję, że sam nie przepadnie jak oni. Kręciło mu się w głowie.

– Wrażliwość! Ci Indianie są mistrzami wymyślnego okrucieństwa! Wspomnę wam tylko, ojcze, o pewnym młodym rybaku pojmanym na łodzi. Dzikie kobiety, jeszcze bardziej nieludzkie od mężczyzn, torturowały go ogniem i nożem.

Przypalały mu stopy, nogi, genitalia. Pocięły go, a krew lała się z niego strumieniami jak podczas kwietniowej powodzi, a potem wsadziły mu przypalone stopy do żelaznego kotła z wrzątkiem. Więc niech mi ksiądz nie mówi o „wrażliwości" dzikich. Waszym zadaniem jest dbanie o zbawienie ich dusz. I wpojenie im miłości i szacunku dla *le Roi notre prince*, króla naszego władcy. I nakłonienie ich do walki z Anglikami. Na tym polega wasz święty obowiązek. – Mówił jak człowiek przekonany z mocy urzędu o swojej racji.

Père Crème wiedział, że władza świecka ma swoje ograniczenia, przejawiające się niekiedy, gdy spojrzeć na niedawne dzieje, w sposób bardzo gwałtowny.

– Staram się go wypełniać z pokorą na każdym kroku – odrzekł, czując, że chłód w kościach ustępuje gorączce. – A rybak, o którym ekscelencja wspomniał, był Anglikiem i protestanckim heretykiem.

– Nie o to chodzi. Chodzi bowiem o to, że wy, księże, traktujecie Indian z wyjątkową atencją. A to zwykli ludzie, w dodatku niezbyt posłuszni i wiarygodni. Musimy ich wykorzystywać jako wojowników, gdy nasze terytoria, gdy nasz wielki fort, który wznosimy w Louisbourgu, najeżdżane są przez Anglików. Fort stanie się bramą do naszych północnoamerykańskich posiadłości. Wiecie, jak ważna jest Akadia dla Nowej Francji. Francja musi ją odebrać. I zachować dostęp do morza. – Splatał i rozplatał palce.

Père Crème powstrzymał się przed wygłoszeniem uwagi, że wznoszony właśnie fort nie będzie w stanie zapewnić kolonii dostępu do morza. To leży w gestii francuskiej floty. Powiedział natomiast:

– Wasza ekscelencjo, Indianie cierpią. Mają uczucia. Kochają swoją ziemię, którą im odbieramy, i kochają dzieci, które psujemy towarami i przymusem. Uważają, że Francja nie przywiązuje do nich wagi. A to od zawsze był ich ląd, zaludniany przez niezliczone, żyjące w spokoju pokolenia.

– W rzeczy samej, wydaje mi się, Père Crème, że brakuje wam patriotyzmu i zapału w walce o dobro Francji.

– Nie, nie. Wyrażam swoje miłosierdzie. Ci ludzie stracili tak wiele i tak wielu.

Dlaczego ten człowiek nie jest w stanie pojąć, że Mikmakowie pragną tylko żyć w spokoju tak, jak żyli przez pokolenia, co z każdym mijającym dniem staje się niemożliwe.

– A ilu straciła Francja, księże! Lepiej pomyślcie o Francuzach, zamiast ronić łzy nad tymi libertyńskimi poganami, psami i łotrami! To nie są chrześcijanie, co powinniście jako człowiek powołany przez Boga zauważyć!

Audiencja dobiegła końca, Père Crème ruszył chwiejnym krokiem ku drzwiom. Zesztywniała mu szyja. Modlił się w duchu za gubernatora, by ten stał się pobożniejszy i miłosierniejszy. Albo, co najlepsze, żeby trafił go szlag i już nigdy nie wstał.

Wycofał to niegodne chrześcijanina życzenie i przeprosił za nie Boga.

Kilka dni później zaadresował kolejny list do siostry Marguerite, jeden z wieluset listów, których nigdy nie wysłał, bo nie miał siostry. Ale pisanie do wyimaginowanej przyjaciółki przynosiło mu ulgę i pomagało w uporządkowaniu chaotycznych niekiedy myśli.

Droga moja siostro, Marguerite!

Wyobrażał ją sobie przez chwilę, szczupłą i bladą, jak siedzi na zielonym fotelu i otwiera list srebrnym nożykiem. Na szyi ma złoty medalion z kosmykiem włosów brata lub z miniaturą oblicza ich matki, którego Père Crème nie umiał przywołać z zamglonej pamięci.

Nie prowadzą tak uporządkowanych Żywotów, jak my. Ich czas odliczają okresy obfitości Zwierząt, Owoców i Ryb, czyli Sezony Polowań i dojrzewania Jagód. Jedną z ich najciekawszych cech jest traktowanie przez nich Drzew, Roślin, wszystkich Ryb, Łosi, Niedźwiedzi i innych, jako Równych sobie. Wiele z ich podań opowiada o Kobietach wychodzących za mąż za Wydry lub Ptaki, o Mężczyznach zmieniających się w Niedźwiedzie, a potem znów w ludzi. W lesie rozmawiają z Ropuchami i Żukami jak ze znajomymi. Czasem mam wrażenie, że to j a uczę się od nich.

Przerwał pisanie na długą chwilę, po czym znów chwycił pióro, mając nieodparte wrażenie, że źle opisuje sedno rzeczy.

Drzewa są dla nich Osobami. Na próżno tłumaczę im, że Bóg stworzył Drzewa dla pożytku Ludzi, aby wznosili z nich Domy i Statki. Na próżno tłumaczę im, żeby porzucili myślistwo, zakładali Ogrody, uprawiali Zboże i Warzywa, uporządkowali swoje Dni. Nie chcą nawet o tym słyszeć. Z tej przyczyny wielu Francuzów uważa, że są leniwi, gdyż nie uprawiają Ziemi.

Opowiedzieli mi, że kiedyś, dawno temu…

24

Auguste

Dzieci Mari – Elphège, Theotiste, Achille, Noë i Zoë – usiłowały odnaleźć się w świecie tak różnym od tego, który znali z opowieści matki o przeszłości Mikmaków. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna i trudna.

– *Dîner*! – zawołała Noë, nie wychodząc na dwór i rozstawiając hałaśliwie na stole stare drewniane półmiski i łyżki. Nikt jej nie odpowiedział, nawet Zoë, która zawsze miała coś do powiedzenia. Noë podeszła do wejścia i nadstawiła ucha. Wiejący od morza wiatr zmienił lekko kierunek, ale niósł z oddali cichnący tupot kroków na skałach. Nosili teraz buty, zamiast mokasynów, więc odgłos stąpania niósł się daleko. Noë wiedziała, co to może oznaczać, ale nie dała po sobie poznać, że wie. Wyszła na ścieżkę. Auguste chwycił ją za spódnicę. Ujrzała ich daleko na wybrzeżu, jak szli po nagiej skale. Gdyby tylko Elphège i Theotiste! Ale nie, szli wszyscy: Achille, Theotiste, Elphège i Rouge Emil, trzej bracia i ich stryjeczny brat, a za nimi, chcąc dotrzymać im kroku, goniła ich prawie biegiem drobna Zoë. Niepokój i złość mieszały się w niej jak zupa z pokrzyw i grysu. Krzyknęła za nimi:

– A idźcie sobie!

Wzięła Auguste'a na ręce, żeby zapamiętał ten widok.

– To oni – powiedziała przez zaciśnięte zęby. Podniosła mały kamyk i wcisnęła go w rączkę chłopca.

– Rzuć w nich! – powiedziała. – Rzuć w tych nicponi, biorących nogi za pas! – Mówiła coraz głośniej. – Idźcie sobie prosto do piekła, przeklęci bracia i siostry. – Zwróciła się do chłopca: – Rzuć w nich, rzuć w nich kamieniem! Rzuć kamieniem w tych, których już nie ujrzymy!

Wiedziała, że to nieprawda, że zachowuje się jak pijana Renardette, gdy wpadała w szał. Nie miała pojęcia, dlaczego mówi i zachowuje się jak ktoś, kim gardziła, i dlaczego to się powtarza. Nie postępuje jak Mikmak. I dlaczego w ogóle przypomniała sobie o Renardette, która dawno odeszła w przeszłość?

Chłopczyk rzucił kamień, który upadł na ścieżkę. Toczył się po niej, a chłopiec zauważył, że Zoë, najmniejsza z idących, odwraca się za siebie i macha do niego wyciągniętą ręką. Ten, który szedł na czele, też się odwrócił i wyrzucił rękę do góry – Noë aż zazgrzytała zębami na ten salut Achille'a. Mężczyźni powinni iść na polowanie na łosia, ale wciągnęli buty, więc szli do pracy do francuskiego drwala.

– Chodź, mój mały. Zjemy obiad, tylko ty i ja.

Ich dom był *wikuomem*, a choć Mikmakowie siadają na ziemi, żeby nie tracić z nią ożywczego kontaktu, stał w nim niski stół z jednej deski z nogami przybitymi od góry gwoździami. Zanim

potrawka pachnąca kaczką, czosnkiem, dzikim ryżem i ziołami wystygła w kociołku, odsunęła się zasłona w drzwiach i do środka wsunęła się Zoë.

– Nie jest tak, jak myślisz – zaczęła, zanim Noë zdążyła się odezwać. – Będą znów rąbać drzewa nad St. John. Rouge Emil usłyszał od Klapki Na Oku, że mają przyjść. Tylko na zimę. Elphège kazał ci powiedzieć, że pieniądze są w jego dobrym mokasynie. Kup za nie co trzeba, powiedział. Wrócą wiosną, jak spuszczą drzewa rzeką. Wrócą bogatsi, może. Ale nie Achille. Idzie polować na łosie.

Noë kiwnęła głową. Jeśli Zoë zostaje, to wszystko w porządku, a gdy Achille wróci z polowania za jakieś dziesięć dni, przetrwają zimę. Najbardziej bała się zostać sama. Przez całe życie bała się zostać sama, gdy wszyscy inni odejdą. Napełniła miskę potrawką dla Zoë i postawiła ją przed siostrą. Gdy po potrawce nie zostało śladu, Noë nałożyła siostrze dokładkę.

– Nie chcieli odejść, pamiętając, co się wcześniej stało. Ale będzie z nami ojciec Rouge Emila, żeby to się nie powtórzyło. Niedługo przyjdzie, jak myślę. Jak inni zobaczą, że nasi bracia odchodzą, mogliby pomyśleć, że zostajemy same.

– Że ja zostałam sama, bo widzieli, jak odchodzisz.

Zoë wzruszyła ramionami i zrobiła głupią minę.

– Może. A może widzieli, jak wracam.

Nieco później w wejściu stanął ojciec Rouge Emila, Cache Emil. Rzucił na ziemię coś dużego i twardego, owiniętego w

zakrwawione płótno.

– *Moinawa* – powiedział. – Mięso z niedźwiedzia.

Spojrzał na kociołek z potrawką. Noë napełniła dla niego miskę.

– Dobre.

Powiedział im, że zastrzelił niedźwiedzia, gdy polowali z Achille'em przed kilkoma tygodniami. Oprócz mięsa przyniósł ze sobą koce i skałkówkę. Będzie spał w małym *wikuomie*, zajmowanym zazwyczaj przez Theotiste'a i Elphège'a.

– Jestem z wami. Żaden mężczyzna tu nie przyjdzie.

Trzy lata wcześniej bracia powędrowali do La Hève, do tartaku, żeby dowiedzieć się o pracę, ale mężczyzna z klapką na oku powiedział im, że wystarczy mu miejscowych Indian, więc mają sobie pójść. Ale kuzyn, Rouge Emil, był uparty. Stanął przy sągu drewna.

– Masz pracę dla dobrych drwali przy ścinaniu sosen?

Wszyscy wiedzieli, że masztowe sosny na ziemiach Mikmaków są o wiele lepsze od tych, które rosną wzdłuż Rzeki Świętego Wawrzyńca, bo tamte sosny są gruboziarniste i łatwiej pękają. Klapka Na Oku kiwnął głową.

– Jest lato, ale dla dobrych drwali praca zawsze się znajdzie. Pokażcie, co umiecie.

Przyniósł z tartaku cztery siekiery, a potem napełnił fajkę.

– Widzicie te dwie jodły przed skałami? Powalcie je.

Mówił z pogardą w głosie, bo wiedział, że Indianie są leniwi i głupi. Klapka Na Oku nie zdążył wypalić fajki, gdy dwie jodły leżały obok siebie na ziemi, bez korony i bez gałęzi. Zmienił zdanie o Indianach.

Kiwnął głową, więc cięli masztowe sosny nad rzeką St. John, mimo letniego upału i gryzących owadów. Po kilku dniach pokrył ich czarny pak, zbroja drwala. Gdy przybyli nad rzekę, sosny kwitły, a każde olbrzymie drzewo wyrzucało tyle pyłku, że na niebie pojawiły się całe jego tumany, aż inni drwale, a nawet marynarze na morzu zastanawiali się, co to za jasnożółta chmura, opadająca na ziemię.

Tamtego lata, gdy bracia wymachiwali daleko siekierami, zaledwie czternastoletnią Noë zgwałciło przy zbieraniu dzikiej cebuli dwóch francuskich chłopaków z osady. Jeden z nich – syn rybaka, Dieudonné – wracał do niej wielokrotnie, żeby sobie ulżyć. Nie mogła przed nim uciec. Czaił się w poszyciu niedaleko *wikuomu*. Był tylko chłopcem, synem rybaka, o czerwonym spierzchniętym obliczu i strzelających na wszystkie strony oczach, jakby się bał, że ksiądz na niego patrzy. Był silny od wciągania sieci i wiosłowania. Początkowo nienawidziła go, ale po paru tygodniach zaczął okazywać jej czułość, a choć był od niej o dwa lata młodszy, stała się dla niego milsza. Obiecał jej, że się z nią ożeni i powie o tym ojcu zaraz, kiedy dorośnie.

Gdy bracia wrócili znad rzeki, jej stan był już dobrze widoczny. Nikt nic o tym nie powiedział. Ale następnego dnia Elphège patrzył na nią bez słowa przez bardzo długą chwilę. Czekał. Więc opowiedziała mu o wszystkim, co się wydarzyło. Tylko że wtedy Dieudonné był już od wielu tygodni martwy, razem z ojcem, wujami i wieloma innymi Akadyjczykami, których łodzie wpadły w straszliwy sztorm, który – gdy ucichł – wyrzucił rybackie kutry na brzeg. Myślała o Dieudonnie w stalowym uścisku morza – takim, jak ten, w którym ona się znalazła. Owocem życia zaginionego na morzu chłopca był mały Auguste.

Gdy w dzieciństwie mieszkali w lesie – myślała Noë – żadne z nich nie przypuszczało, że przywędrują aż tutaj, nad brzeg oceanu, daleko od domu René i Mari. Ale zostali tu. Nie przypuszczała też, że będzie miała dziecko, ale urodziła Auguste'a. A wszystko to wydarzyło się dlatego, że Theotiste i Elphège sprowadzili ich do Mikmaki – ziemi wspomnień.

25

POCZUCIE WŁASNOŚCI

Ta wielka zmiana wydarzyła się za sprawą Renardette, która sprawiła, że ich życie stało się inne od życia zwykłych obcych. Przez lata w lesie wokół starego domu René czyhali wszyscy pijacy z Wobik, nawołując Renardette. Jeden z nich, „Démon” Meillard przychodził tak często, że Renardette szła z nim do lasu. W dniu śmierci René Renardette popędziła do Wobik do Meillarda, wdowca, którego pragnienie dorównywało jej własnemu.

Achille, Noë i Zoë zostali sami w domu na coraz większej przecince. Achille łowił ryby i polował, ścinał drewno na opał, tak jak robił to René, i wytwarzał potaż. Sprzedawał go wędrownemu kupcowi, który zajeżdżał do nich wozem raz albo dwa razy w miesiącu, gdy było ciepło. Noë i Zoë zbierały jagody, pierwiosnki, pastorały paproci wiosną, orzechy, byliny tataraku, stopkowce, sasafras i korę z wielu drzew na lekarstwa, o których uczyła ich matka. Robiły syrop klonowy. Miały ogródek, ale był mały i zarośnięty chwastami, bo odziedziczyły po Mari niechęć do upraw. W krzakach wierzbówki kiprzycy rosło czasem parę dyń. Noë

wyplatała dosyć pokraczne kosze, które Achille sprzedawał kupcowi potażu. Zoë doiła i pasła krowę. Mieli dwie krowy, ale jedna zdechła miesiąc po śmierci René, może z żalu albo współczucia, żeby ojciec miał na tamtym świecie znajomego ducha krowy.

Ich życie uprzykrzały tylko niezapowiedziane wizyty wiecznie pijanej i zniszczonej przez alkohol Renardette i jej kochanka. Początkowo nie mieli pojęcia, dlaczego ci dwoje wracają do starego domu René, ale wracali często, ciągnąc ze sobą gąsiory trunku, który wmuszali Achille'eowi. Renardette wtaczała się do domu i oglądała każdą łyżkę, każdy drewniany kubek. Często brała do ręki garnek albo jakąś szmatę i krzyczała:

– To jest moje!

Noë musiała jej wyrywać te rzeczy.

– Nic w tym domu nie należy do ciebie. Nic tu po tobie!

– Ten dom należy do mnie – wrzeszczała Renardette. – René mi go zapisał. Powiedział: „Renardette, jak umrę, ty weźmiesz dom".

– To nieprawda! – protestowała Zoë.

– Idź sobie stąd! – wyganiała ją miotłą Noë.

Achille doszedł do wniosku, że ci pijacy chcą dostać dom i ziemię René, i są gotowi ich pozabijać, byle dopiąć swego. Nie chciał z nimi pić z gąsiora, wiedząc, że może stracić zmysły, co pozwoliłoby tym pijakom pozarzynać ich wszystkich i zwalić winę

na łowców skalpów. Powoli zaczynało mu świtać w głowie, że to oni zabili René.

Wieść o dwojgu pijakach prześladujących rodzeństwo i planujących zabójstwo Achille'a i bliźniaczek, żeby przejąć ich spadek, dotarła na wschód do uszu Elphège'a i Theotiste'a. Słyszeli o roszczeniach Renardette, że dom należy do niej.

– To biali i uważają, że może im się powieść – powiedział Elphège do brata.

– I pewnie im się powiedzie.

Elphège'a niepokoiła myśl o spadku. Czy René miał prawo dać im w spadku ten dom? Czy dom nie należał do Trépagny'ego? To wszystko było francuskie – francuskie pomysły, francuski styl życia. Angielski styl życia, angielskie słowa, francuskie słowa. Życie najeźdźców.

Starsi bracia mieszkali od kilku lat w Odanak, indiańskiej wiosce Abenaków, Mikmaków i innych plemion, walczących dla Francuzów i najeżdżających osady w Nowej Anglii, żeby brać sprzedawanych później jeńców. Kiedyś plemiona te walczyły ze sobą, teraz – w obliczu zalewu ich ziem przez białych osadników – pojednały się i połączyły.

Theotiste ożenił się w Odanak i spłodził syna, który zmarł na odrę w trzecim roku życia, dwa dni po matce, którą zabrała ta sama straszliwa choroba. Elphège nic nie mówił o kobietach, a

nawet stronił od nich, bo już dawno zakochał się w najmłodszej żonie Sosepa, starszego *sagmaw*.

Pewnego dnia Theotiste przyszedł do brata. Elphège siedział nad rzeką, strugając rękojeść zakrzywionego noża.

– Bracie – powitał Elphège'a. – Często myślę o naszym młodszym bracie i siostrach: Achille'u, Noë i Zoë. Uważam, że powinniśmy ich tu sprowadzić.

– Ho – odrzekł Elphège. – Sprowadzić? Zamieszkać z nimi tutaj jak z krewnymi? W Odanak? Czy tylko po nich pójść?

– Nie. Chcę, żebyśmy byli razem. Chcę, żeby oni byli z nami, gdziekolwiek pójdziemy. Należą do naszego plemienia. Chcę odejść z Odanak.

Elphège nie odpowiedział. A po długiej chwili milczenia Theotiste dodał:

– Może to nie jest najlepszy pomysł.

Elphège spojrzał na brata.

– Zawsze masz dobre pomysły, bracie. Muszę to tylko przemyśleć.

Po pewnym czasie oznajmił:

– To dobry pomysł, żebyśmy poszli do domu naszej matki.

Theotiste odpowiedział mu:

– Tutaj jesteśmy tylko jakimiś Indianami. Tam będziemy Mikmakami.

Elphège milczał długo. Nie lubił rozmawiać jak biali.

– René był dobrym człowiekiem – stwierdził w końcu.

– To prawda. Pamiętasz tamtą zimę, gdy daliśmy mu węża i pokazaliśmy, jak się bawić wężami na śniegu? Nie chciał przestać do samego zmroku.

– Tak. Trépagny wrzucił naszego węża do ognia.

– Nieważne. To był tylko kij. Mama wystrugała René lepszego węża. Ślizgał się po śniegu daleko. Dobrze pamiętam. – Spojrzał na rzekę. – Dzieci jednej matki powinny trzymać się razem. Płynie w nas ta sama krew.

Elphège kiwnął głową i pochylił się nad rękojeścią.

Po kilku dniach Theotiste znów przyszedł do brata i powiedział:

– Na początku powinniśmy przyprowadzić ich tutaj do Odanak. A potem wrócić z nimi do krainy naszej matki i zamieszkać tam. Tu w Odanak są Mikmakowie gotowi z nami pójść. Sosep też chce wrócić. Znajdziemy sobie żony. Byłem szczęśliwy, mając żonę u boku.

– Tak, kobietę Mikmak. Ale jeśli nasz brat i siostry pójdą z nami, będą musieli porzucić dom René.

– To tylko dom białego człowieka.

– Nasza matka zawsze myślała o krainie dzieciństwa. Nazywała ją „krainą szczęścia". Tam jest nasze miejsce, bardziej niż w Odanak. Ale Sosep mówi, że tam bardzo się zmieniło i jest niespokojnie.

– Będzie dobrze. Śniłem, że będzie dobrze.

Elphège zgodził się z bratem i powiedział:

– Chodźmy więc.

Dotarli do Wobik, które bardzo się rozrosło. Wszędzie były drogi, skręcające to tu, to tam. Las, który niegdyś otulał osadę, oddalił się teraz o ponad kilometr od najodleglejszego domu.

Sypiali w lesie. Którejś nocy Elphège obudził się przed świtem i spojrzał na składające już skrzydła gwiazdy płomiennego ptaka. Ta pora – *wopik* – gdy ciemność przechodzi w szarówkę, nadaje kształt nocnym drżącym marom, które przybierają trwalsze dzienne postaci. Theotiste wstał i wyciągnął długie ramiona nad głowę.

– To będzie dobry dzień – oznajmił, jak zawsze z nadzieją.

Z otworu w dachu domu René snuł się dym. Theotiste wszedł do środka. Noë gotowała kukurydzianą kaszkę i gdy ujrzała go w drzwiach, wypuściła łyżkę z ręki.

– Bracie! Przestraszyłeś mnie! Wiesz, jak zginął nasz ojciec, myślałam, że to…

Zoë nadeszła z obory z wiadrem mleka od krowy. Aż pisnęła z radości, obejmując najpierw Theotiste'a, a potem Elphège'a. Jej krzyki sprowadziły Achille'a znad rzeki, gdzie naprawiał pułapki na węgorze.

Był tak przystojnym młodzieńcem, że nie dało się nań za długo patrzeć. Wyrósł, był szczupły i gibki, miał idealną postać. Wiatr rozwiewał mu lśniące włosy, ciemne oczy spoglądały przyjaźnie, z

lekkim rozbawieniem. Usta, jak usta matki, podwijały się na koniuszkach, a wszyscy, który znali Mari, natychmiast sobie o niej przypominali, widząc uśmiech syna.

Bliźniaczki, jeszcze dziewczynki, przypominały bardziej René, miały sztywne czarne włosy i skośne oczy. Zajmowały się tym, czym zajmują się wszystkie kobiety: mełły, składały, zbierały, sięgały, podawały i odbierały, pieściły, wrzucały dobre rzeczy do misek i częstowały braci przysmakami.

Starsi bracia rozejrzeli się wokół, przyglądając się pamiątkom z dzieciństwa: staremu stołowi, pociętemu przez nich nożem. Theotiste pamiętał, że mama smarowała nacięcia mokrą skórą. Przyglądali się starym drewnianym talerzom, które wyszły spod ręki René – Theotiste wygładził je drobnoziarnistym kamieniem. Stary *wikuom* Mari zapadł się w ziemię, ale pamiętali, jak sypiali w nim w dzieciństwie, pamiętali promienie słońca przeciskające się przez najmniejsze dziurki.

– Bracia – odezwał się Achille. – Muszę zająć się kociołkiem z potażem. Chodźcie ze mną. Porozmawiamy.

Wyszli na dwór i przeszli do wytwórni potażu. Achille zamieszał w kociołku patykiem.

– Dostajemy za to pieniądze. I za drewno na opał, które ścinam.

Pieniądze! – pomyślał z przyganą Theotiste, ale nic nie powiedział. Rozmawiali z Achille'em przez cały dzień, aż do nocy.

– Gdy Renardette odeszła – powiedział braciom Achille – spaliliśmy jej przeklętą gorzelnię. Ale ludzie i tak przychodzą z lasu po piwo… i po nią.

Theotiste wypatrzył coś wysoko na ścianie. Coś błyszczącego jak oko węża, pomyślał.

– Żadne z was nie ożeniło się ani nie wyszło za mąż – stwierdził Elphège.

– Ach – westchnął Achille. – Dziewczyny z Wobik nie są Mikmakami. Czy nie powinienem wziąć za żonę kobiety z Mikmaków?

Theotiste kiwnął głową.

– Wszyscy powinniśmy. Nawet Elphège.

– Ho – przytaknął Elphège.

– Ani Zoë, ani ja nie widziałyśmy tu odpowiedniego dla nas mężczyzny – wtrąciła Noë. – Mieszkamy same w lesie, a jedyni mężczyźni, którzy tu przychodzą, są źli.

– Więc to miejsce nie jest dla was dobre – oznajmił Theotiste.

– Nie, nie. Nie jest dobre, choć w dzieciństwie było inaczej. Ale co mielibyśmy zrobić?

– Chcemy, żebyście poszli z nami – powiedział Elphège, jakby sam wpadł na ten pomysł. – Theotiste i ja jesteśmy najstarsi, ale płynie w nas ta sama krew i zawsze będziemy się wami opiekowali. – To była długa przemowa jak na Elphège'a.

Theotiste odezwał się z powagą kogoś, kto wszystko wie:

– Chcemy odnaleźć krainę naszej matki. Nawet jeśli bardzo się zmieniła, znajdziemy dla siebie miejsce wśród naszego ludu. Mikmakowie ciągle tam mieszkają, może mamy tam krewnych. Rozmawiałem o tym wiele razy z Mikmakami z Odanak. Część z nich chce iść z nami.

Achille kiwnął głową.

– Jakiś czas temu miałem wizję: wiem, że musimy to zrobić – powiedział bardzo cicho Theotiste. – Najpierw przyszliśmy po was, teraz wszyscy pójdziemy do Mikmaków. Widziałem to wszystko jasno i wyraźnie, i tak pięknie, jak opowiadała o tym mama.

– Ale co zrobimy z domem ojca? – zapytał Achille, wskazując dłonią obejście, rzekę, rośliny, kociołek z potażem – dzieło swoich rąk.

Elphège pomyślał ze smutkiem, że Achille jest bardziej Francuzem niż Mikmakiem.

– Jeśli chcesz postąpić tak jak biały, sprzedaj to wszystko – odrzekł Elphège. – A jeśli nie jesteś taki jak oni, zostaw to i chodź z nami. Co o tym myślisz?

Wszyscy wiedzieli, co myśli Achille. Włożył w ten dom i to obejście tyle pracy, tyle wysiłku, tyle rąbania i palenia, że trudno mu było tak zwyczajnie odejść. Popiół – jak im się wydawało – był dla niego czymś cennym. Miał poczucie własności. Elphège zastanawiał się, czy wszyscy Mikmakowie nie zamieniają się w Francuzów, pragnących pieniędzy, wygód i towarów. Niewielu

ludzi potrafi tego się wyrzec – wyrzec się wygody – a Achille, Zoë i Noë byli *métisami*, w połowie Francuzami, w połowie Mikmakami.

Theotiste kiwnął głową.

– Powinieneś to sprzedać. Czy ten stary kapitan jeszcze żyje? Bouchard?

– W zeszłym tygodniu jeszcze żył – odpowiedział Achille. – Jest bardzo stary, ale silny. Tak, on nam podpowie.

– Więc idź do niego i zapytaj, jak rozporządzić tą ziemią, tą smutną zniszczoną ziemią. Może coś podpowie.

Następnego ranka Achille i Theotiste popłynęli do Wobik czółnem René, ale nie odpłynęli dalej niż trzy kilometry od domu, gdy coś świsnęło im nad głowami.

– *Vite*! Na brzeg! – syknął Achille przez zaciśnięte zęby i skręcił łodzią pod płaczące wierzby. Czółno przedzierało się przez gałęzie, lecz zanim dotarli do brzegu, wyskoczyli z niej, ciągnąc łódź za sobą.

– W lesie roi się od łowców skalpów. Zostawmy tutaj czółno, pójdziemy pieszo, ale ostrożnie.

Theotiste dotknął ramienia brata, zgadzając się z nim i powędrowali razem, klucząc między drzewami.

– Co chcecie zrobić? Sprzedać dom René? – zapytał kapitan Bouchard. – Owszem, to możliwe. Jest nawet taki człowiek, Jean Mague, rolnik z Francji, który szuka posiadłości z

wykarczowanym lasem i domem. Nie chce marnować najlepszych lat życia na rąbanie drzew. Myślę, że zapłaci wam sprawiedliwie. Niedługo tu przyjdzie.

Jean Mague, dodał Bouchard, ma dwóch braci, trzech dorosłych synów, ich żony i dwóch bratanków z żonami, słowem, ma z kim uprawiać ziemię. Wszyscy są silni i zdrowi, i potrafią się obchodzić z bronią. Nie skończył mówić, gdy w progu stanął Jean Mague we własnej osobie – człowiek o zaciśniętych wargach i długich jak tyczki *wikoumu* ramionach i nogach.

Mague z zaciekawieniem wysłuchał propozycji sprzedaży gospodarstwa René Sela i zastanawiał się głośno, jakim cudem tyle ziemi trafiło w ręce Indian. Spodobała mu się myśl o mocnym francuskim domu, kociołku do potażu i wykarczowanej ziemi. Mierzył Achille'a i Theotiste'a wyzywającym wzrokiem, ale zgodził się wrócić z nimi do obejścia René.

– Coś wam powiem – rzekł, gdy dowiedział się o śmierci René. – Łowcy skalpów nigdy nie ośmielą się zaczepić mojej rodziny.

A ponieważ był tym, kim był, żałował w duchu, że nie zabrał ze sobą paciorków i taniej whiskey na handel. Miał za to przy sobie broń i szedł za braćmi.

Nim wrócili do domu, Theotiste pobiegł przodem. Znalazł zapamiętane miejsce, wykopał coś i ukrył to w koszu na plecach, a potem pobiegł do domu, żeby powiedzieć Elphège'owi i siostrom, że nadchodzi kupiec. Noë poszła pośpiesznie na tyły domu i odszukała niewielką szkatułkę z brzozowej kory, udekorowaną

kolorowymi piórkami. Szkatułka ta była pamiątką po Mari i miała ogromne znaczenie dla Noë. Theotiste sięgnął wysoko na półkę – tam, gdzie coś mu błyskało. Trafił dłonią na starego śnieżnego węża René. Wyszli na dwór. Achille rozmawiał z Jeanem Mague'em, który rozglądał się po obejściu zmrużonymi podejrzliwie oczami, żeby pokazać, że nikt go tu nie oszuka. Chodził wyprostowany po gospodarstwie długimi pewnym krokami, jakby to wszystko już należało do niego.

– Damy mu potaż, który uwarzyłem? – Achille zwrócił się do Elphège'a przyciszonym głosem.

– Tak.

Zanim zaczęli rozmawiać o cenie, przeszkodziło im przybycie Renardette, która przyjechała wraz z Démonem Meillardem na jednym karym koniu. Byli trzeźwi i ponurzy. Démon, o czerwonej od rumu twarzy w kształcie laskowego orzecha, ozdobionej czarną brodą w miejsce brakującego podbródka, rozmawiał tylko z Jeanem Mague'em, któremu powiedział, że poprzedni właściciel, René Sel, mający notarialny tytuł do tej posiadłości, zapisał ją w spadku swojej przybranej córce, Renardette. René i Renardette, oznajmił poufałym tonem, byli oboje Francuzami. Właścicielką tej posiadłości jest Renardette, a nie ci metysi, którzy zajęli ją bezprawnie, bo twierdzą, że są dziećmi René. To bezczelne kłamstwo. Czy jakiś Indianin zna swoich rodziców? Żaden!

Démon rozmawiał tylko z Jeanem Mague'em.

– Renardette sprzeda wam tę posiadłość. Zapiszemy wszystko w rejestrze kapitana Boucharda i transakcja odbędzie się zgodnie z prawem. Tak się prowadzi interesy wśród białych. Ci Indianie nie mają żadnych dowodów i roszczeń, nic nie mają, są nikim. Nikim.

Achille szeptał coś do Theotiste'a:

– Czy w rejestrze nie jest zapisane, że dom należał do René, który ożenił się z naszą matką Mari wedle praw białego człowieka?

Theotiste odpowiedział mu równie cicho:

– Pewnie było, ale gdy o to zapytałem, kapitan Bouchard zniknął gdzieś z rejestrem, a gdy wrócił, powiedział, że nic o tym nie ma. Widziałem resztki wyrwanej strony.

Jean Mague, Démon i Renardette Meillard stanęli z boku pod drzewami i dobili targu. Uścisnęli sobie ręce, a potem odwrócili się do Elphège'a, Theotiste'a, Achille'a, Zoë i Noë.

Odezwał się Jean Mague:

– Zgodziłem się kupić posiadłość od właścicieli. Musicie stąd odejść.

Podniósł do oka załadowany muszkiet.

Achille zesztywniał z wściekłości, ale Elphège dotknął jego ramienia i powiedział przyciszonym głosem:

– Bracie, to tylko dom białego. Nie chcesz żyć przywiązany do kociołka z potażem. Chodźmy stąd. Będziemy polować i walczyć. Nie będziemy palić drzew na brudny popiół.

Achille odpowiedział mu ze ściśniętym gardłem, czując, jak burzy się w nim krew:

– To pewne, że Bouchard powiedział im, że wyrwał zapis z rejestru. Był przyjazny wobec ojca, bo ojciec był białym *Wenuj*. Był i pozostał fałszywy wobec naszej matki i nas samych.

– To już nieważne. Masz przed sobą wiele dobrych lat polowań. To nasze życie.

Achille stał nieruchomo przez długą chwilę, a potem oznajmił:

– Pójdziemy z wami do krainy naszej matki.

– Tak. Ale najpierw wrócimy do Odanak.

26

Mikmakowie

W Odanak Zoë, Noë i Achille czuli się nieswojo, nie byli przyzwyczajeni do takiego rozgardiaszu. W wiosce stały *wikuomy*, a nawet chaty z bali i wszędzie roiło się od pracujących ludzi: gotujących, wyprawiających skóry, budujących czółna, farbujących w kociołku odzież. Dwaj mężczyźni grali w *waltes* – kości, prawdziwe kości wyrzucane z drewnianej miseczki. Jen, kobieta Mikmak o okrągłej twarzy, opiekująca się trójką dzieci, spojrzała na Zoë i Noë, i ich brudne sukienki białych dziewcząt.

– Usiądźcie, zjedzcie – powiedziała. – Jesteście dobrymi silnymi dziewczynami, które wrócą na ziemie Mikmaków.

Zoë i Noë, od lat spragnione kobiecego towarzystwa, poczuły się lepiej. Noë zabrała ze sobą trzy wyplecione przez siebie kosze, które podarowała kobietom, ale jej praca nie wzbudziła zachwytu. W Odanak mieszkali ludzie wyplatający tradycyjne kosze, które kobiety przyniosły, żeby jej pokazać: owalny kosz z brzozowej kory zszytej korzeniem jodły i ozdobiony tyloma misternymi wzorami, że nie dało się ich objąć spojrzeniem. Noë dotknęła kosza z dekoracyjną krawędzią z artystycznie skręconego korzenia

jastrzębca. Niektóre kosze były maleńkie, splecione z trawy, inne okazałe z farbowanymi na czerwono lub zielono pasemkami korzeni.

– Chciałabym umieć splatać takie kosze – powiedziała Noë z żalem w głosie, odsuwając od siebie nogą własne wyroby.

– Pokażemy ci jak – odpowiedziała jej młoda przysadzista kobieta o stwardniałych dłoniach i przywołała historię leniwej Ai'ip, która rozszczepiała i skręcała korzenie wokół palców, aż wyszedł jej z tego jakimś cudem kosz.

– Nikt nie wiedział, jak nazwać to coś, co splotła, więc mówiono na to „to coś z korzeni".

– Wokół wszystko jest nowe – odpowiedziała Zoë. – A my nic nie wiemy. – Miały dopiero dziesięć lat.

Theotiste, Elphège i Achille chcieli od razu wyruszyć na ziemię Mikmaków, ale Sosep, stary traper i *sagmaw*, wziął ich na bok i przemówił im do rozsądku.

– Pójdę z wami, ale teraz pora nie jest dobra, bo zbliża się zima. Zimą nie ma tam co jeść. Ludzie wędrują w górę rzeki. Musimy poczekać do wiosny.

Achille aż się palił, żeby wyruszyć w drogę.

– Co to znaczy, że nie ma co jeść w Mikmak? Mari, nasza matka, mówiła nam, że wszystkiego jest tam w bród, że są ryby, homary, małże i ostrygi, tysięczne stada ptaków i soczyste rośliny.

Sosep roześmiał się na te słowa.

– Mikmak to letnia siedziba. Zimą jest tam bardzo ciężko, jeśli nie ma się zapasów z dziesięciu łosi i szesnastu niedźwiedzi.

Selowie czekali w Odanak przez cztery cykle księżyca. Theotiste, Elphège i Achille polowali i łowili ryby, rozmawiali z mężczyznami o najlepszej drodze do Mikmak. Kobiety pomagały Noë i Zoë suszyć i wędzić dziczyznę i węgorze na podróż. Noë postanowiła, że nauczy się wyplatania koszy, i pracowała z takim zapałem, że aż puchły jej palce.

Ich myśli zaprzątała zbliżająca się wyprawa do krainy matki. Wiedzieli od Mari, jakie nazwy noszą niektóre leżące tam miejsca: Dziki Ziemniak, Terytorium Garbarzy czy Mglista Ziemia. Pozbywali się wspomnień ze spędzonego w lesie dzieciństwa. Czy wiosna kiedyś nadejdzie?

Theotiste powiedział kiedyś Zoë, że duch Mari będzie na nich czekał w drzewach i leśnych roślinach, może w skałach, rybach i zwierzętach. Połączą się z nim.

– Szkoda, że nie zabraliśmy kości mamy – zmartwiła się Zoë.

Theotiste kiwnął głową.

– Ja je zabrałem – powiedział.

– To wspaniale! – Po chwili dodała: – Żałuję, że nie zabrałam małego koszyka na ścianę, który splotła dla René na grzebyk…

– Noë splecie nowy koszyk. Na nowe grzebienie.

Gdy w końcu zebrali się do ruszenia w drogę, towarzyszyła im przyjaciółka zmarłej żony Theotiste'a oraz stary Sosep, cieszący się sławą doskonałego myśliwego i trapera, zmienną sławą

sagmaw i przebrzmiałą sławą wodza. Miał poważną, pokrytą bliznami twarz. Do tego duże żółte zęby i czarne zmrużone oczy, bo zawodził go już wzrok.

– Dobrze, że poczekaliście. Choć i teraz pewnie jest za wcześnie. Ale pójdziemy przed siebie. Przez krainę Mikmaków wiedzie mój traperski szlak, o ile ci Francuzi nie postawili na nim tych swoich mieszkalnych skrzyń. Chcę tam wrócić. Wcześniej chciałem się przekonać, jak wygląda życie w Odanak, ale nawet tutaj są biali. Najgorszy jest ten ksiądz, ojciec Lacet… – Wykrzywił się podstępnie jak ów ksiądz i zatarł ręce. – Wierci dziury w miseczkach do *waltes*, żeby wypływała z nich woda i nie dało się wróżyć z kości. Pomogę wam. Znam najlepsze miejsca waszego ojca do zastawiania wnyków, jego brat zdradził mi tę tajemnicę.

– B r a t! – wykrzyknął Theotiste. – Mamy stryja! Żyje?

– Ma się całkiem dobrze. Nazywa się Cache Emil. Pokaże wam te miejsca i inne. Tylko że teraz biali chcą mieć wszystko, zagarniają całą ziemię bez litości i czczej gadaniny. Zagarniają.

Wiadomość o stryju była dla Theotiste'a i Elphège'a prawdziwym wstrząsem. Od dawna uważali, że ich nieżyjący ojciec, którego nie mogli pamiętać, nie miał żadnych żyjących krewnych. Wyczarowany stryj był dowodem na to, że podjęli słuszną decyzję.

Sosep mówił dalej:

– Będziemy szli przez ostatnie śniegi. Musimy sporządzić rakiety śnieżne, bo nie zabraliście ze sobą takich rakiet stamtąd, skąd przyszliście.

Usiadł z Elphège'em, Theotiste'em i Achille'em do sporządzania jesionowych ram, a kobiety: przyjaciółka zmarłej żony Theotiste'a, Zoë i Noë oplatały je skórą karibu, niczym ciasną siatką, podtrzymującą ciężar noszących rakiety ludzi.

Ruszyli w stronę oceanu, którego Selowie jeszcze nie widzieli, chyba że w wyobraźni. Droga była ciężka i – jak im się wydawało – okrężna. Jedli suszone mięso i kukurydzę z worków, bo o tej porze roku dzikie zwierzęta wciąż żyły głęboko w lasach, a rośliny jeszcze nie przebiły się przez resztki śniegu. Każdego ranka brzegi strumieni skuwał lód. Ale drugiego tygodnia wędrówki Theotiste upolował dwa tłuste bobry.

Zima wróciła nagle z śnieżną zamiecią, pędzącą na oślep masą bieli, usypującą zaspy wokół pni drzew albo zasypującą drzewa w całości. Gdy śnieżyca ustała, noc zamieniła się w dzień, było jasno od odbijającego się w śniegu światła księżyca, ale zrobiło się bardzo zimno. Przez następne tygodnie zatrzymywali się dwa razy, żeby zbudować tymczasowe *wikuomy* i ukryć się w nich przed śniegiem.

– Wiosna się spóźnia – oznajmił Sosep. – Jeśli śniegi nie ustaną, będziemy musieli sporządzić tobogan.

– Może ustaną… – mruknął Theotiste.

– Może słońce jutro nie wzejdzie – odpowiedział mu markotnie Sosep.

– Jestem głodna – poskarżyła się Nöe.

Sosep roześmiał się cicho.

– Każdy Mikmak mężnie znosi głód i nie umiera.

I znów przyszło im przeczekiwać śniegi w tymczasowych *wikuomach*, a Noë i Zoë zadręczały Theotiste'a i Elphège'a, żeby opowiadali im raz po raz za mamą o Mikmakach. Nie mogły się nasłuchać o jagodowych łąkach, o czarnym bzie z opadającymi baldachami, o świdośliwach, czeremsze, soczystych rakach, pieczonych bobrach, najtłustszych węgorzach, a nawet oleistych morsach. Wszystko to było częścią dostatniego życia Mikmaków: wystarczyło wyjść z *wikoumu*, żeby upolować tłustego indyka. Elphège zastanawiał się później, czy mama nie popełniła błędu, nabijając im głowy opowieściami o lecie Mikmaków, które było zupełnie inne od tego, co zastali po przybyciu na miejsce. Inni mówili im o złym duchu Kluskapie, nawiedzającym żyjących dostatnio Mikmaków.

– Posłuchajcie – odezwał się Sosep. – To zła pora na powrót do naszej krainy nie tylko z powodu spóźnionej wiosny. Czy nie słyszeliście, że francuski król oddał nasze ziemie Anglikom?

Theotiste spojrzał na niego zaskoczony.

– Jak to możliwe? Przecież ta ziemia nie należy do króla Francji, więc nie może jej nikomu oddawać. To nasza ziemia.

– To wydarzyło się kilka zim temu. Musieliście o tym słyszeć w Odanak.

– Myślałem, że to czcza gadanina. Słyszałem, że Anglicy zajęli Port Royal. Ale wy ciągle mówicie „nasza ziemia”…

– Owszem, ziemia należy do nas, ale najeżdżają ją zarówno Francuzi, jak i Anglicy. Francuzi widzą w nas wojowników, którzy będą walczyć po ich stronie, a nasze kobiety nadają się tylko do gwałcenia przez nich. Księża widzą w nas zdobycz dla swojego Boga, taką, jaką dla nas są bobrowe skóry. Francuzi wykorzystują nas, żeby się bronić. Nie rozumieją, że jesteśmy sprzymierzeńcami ich króla, a nie poddanymi. Nie musimy mu służyć. Dlatego obdarowuje nas prezentami: żeby zjednać sobie naszą przychylność. A teraz Anglicy zagarniają coraz więcej ziemi francuskiego króla, który nie miał do niej praw. – Przerwał i uniósł głowę. – A Anglicy nie dają prezentów.

– Ale Mikmakowie wracają do siebie. Tak jak my. I słyszałem, że Francuzi i Mikmakowie żenią się między sobą. Tak jak nasz ojciec René, który ożenił się z naszą matką Mari.

– Tak, to prawda. To nie jest złe, bo zostało nas niewielu. Zostało też mało bobrów, więc musimy się z kimś żenić, ha, ha! Ale obawiam się, że Anglicy zaraz zaczną stawiać domy na naszych terenach łowieckich.

– Słyszałem, że francuskie rodziny osiedlają się obok Mikmaków i są nastawione przyjaźnie.

– Tak może być, ale Francuzi od dawna starają się uchodzić za naszych przyjaciół… do pewnego stopnia. Ale Anglikom wydaje się, że są panami wszystkiego. Nadchodzą ich osadnicy. Angielski król płaci duże pieniądze za skalpy Mikmaków. Więc prowadzimy wojnę z Anglikami. Wielu Mikmaków walczy w czółnach. Jesteśmy dobrymi wojownikami i zdobywamy wiele angielskich łodzi. Ale jest nas niewielu. I zapadamy na ich choroby.

Dotarli do krainy Mikmaków pod koniec marca, gdy wiatr niósł słaby powiew wiosny. Zaczęły się przeloty ptaków. W wąskim potoku widzieli ławice rybek płynące pod prąd. Sosep pokazał im wiele francuskich gospodarstw nad brzegiem morza. Mówił o lasach i ich pełnych życia obrzeżach, żywiących Mikmaków przez pokolenia jagodami i jadalnymi korzeniami. Teraz, przestrzegł ich, obrzeża lasów są zaorane, zamienione w pola kukurydzy i rzepy. Ci francuscy Akadyjczycy osuszyli słone bagna i zbierają z nich siano dla zwierząt, które hodują. Większe dzikie zwierzęta – łosie, karibu i niedźwiedzie – uciekły stąd. Przetrzebiono bobry, bo ich skóra nadaje się do wyrobu wielu rzeczy. Tak, bóbr stał się dla białego pieniądzem i brakuje skór, żeby kłaść je na grobach.

– Mimo to – przerwał mu Theotiste – możemy sprzedawać białym mięso za kukurydzę i dynie. Akadyjczycy lubią przecież dziczyznę. Tak jak my lubimy chleb. A niebo i ziemia są takie same jak zawsze, bo ani *Plets-mun*, ani Anglicy nie mają takiej

władzy, żeby zrównać góry z ziemią, osuszyć morze czy pożreć niebo. Czy nie możemy żyć obok siebie w pokoju?

– Nie mamy wyboru – odrzekł Sosep, wydymając wargi.

Wkrótce na niebie pojawiło się zatrzęsienie ptaków, a w zatoce tyle ryb, że woda aż się od nich kłębiła. Wystarczyło dla wszystkich.

Mimo przestróg i narzekań starego, że wszystko jest zrujnowane, Selowie byli wniebowzięci rozpościerającą się przed nimi obfitością krainy Mikmaków. Wielka zatoka z potężnymi pływami, ujściami słodkowodnych rzek i wyspami, sam ocean-żywiciel, zapewniały im wszystko, czego potrzebowali. Wpatrywali się w rozbijające się o brzeg fale, otwierali ze zdziwienia usta podczas odpływu, odkrywającego przybrzeżne błotne równiny z maleńkimi otworkami, z których wydobywał się syk zakopanych w błocie krewetek. Równie fascynujący był szybki powrót oceanu, zalewającego wszystko podstępnie słonymi falami.

Musieli się nauczyć tej nowej krainy, jej czerwonych klifów, zmieniających się pływów, sezonów na śledzie i alozy, pogody i burz, jakich do tej pory nie znali. Początkowo ocean wydawał się wszechpotężny, ale przekonali się, że bogactwo Mikmaków kryje się w rzekach. Musieli nauczyć się nazw nieznanych ryb. W oceanie, z dala od brzegu, pływały wielkie wieloryby, morświny i delfiny. Na brzegach wylegiwały się foki, a homary były tak duże jak niejedna kobieta. Mężczyźni Selowie, myśliwi i traperzy, szybko poznawali nowy sposób życia.

Przekonali się, że głupi Akadyjczycy uprawiali dzień po dniu swoje grządki i z tego powodu czuli się lepsi. Miejscowi Mikmakowie, którzy przetrwali, mieszkali na obrzeżach starych terenów łowieckich z daleka od francuskich osad.

– Nie mamy nawet *wikuomów*. Nie mamy gdzie się schronić – skarżyła się Noë, która marzyła o czymś trwałym, jak *wikuom* czy nawet dom. Ale taki dom, jakie budują biali, był nie do przyjęcia. Dobrze wiedziała. W Odanak stało kilka takich pudełek, ale tu nimi gardzono. Nie chciała podzielić losu młodego łowcy, który przed kilkoma laty trafił do osady białych i ujrzał w niej Anglików pijących brązową wodę ze spodka. Spodek był piękny i miał granatowy brzeg. Jakimś cudem młody łowca zdobył taki spodek i przyniósł go do Mikmaków. Jego sąsiedzi wpadli w oburzenie i gniew, gdy ujrzeli, jak pije wodę ze spodka. Zabili go jak zdrajcę i rozbili ohydny przedmiot o kamień.

– Ale teraz – powiedziała stara Loze – dwie rodziny mają spodki i nikt ich za to nie zabija. Wszystko się zmienia.

27

KREWNI

Sosep przyprowadził uroczyście Cache Emila, stryja Elphège i Theotiste'a. Był on wysokim, potężnie zbudowanym starszym mężczyzną o szerokich ramionach i pobrużdżonej, jakby wyciosanej krzemieniem twarzy. Położył dłonie na barkach Elphège'a.

– Tak – powiedział – znam was, jesteście synami mojego brata. Moje życie nie było łatwe, znaczyły je straty i smutek, ale dziś czuję tak wielką radość, że brakuje mi słów.

Uściskał Elphège'a, a po nim Theotiste'a, po policzkach spływały mu łzy. Dla obu braci Cache Emil stał się w tej chwili środkiem świata. Tęsknili za ojcem, nawet o tym nie wiedząc. Cache Emil miał syna, Rouge Emila. Ich stryjecznego brata, krewniaka.

– A ty – Cache Emil zwrócił się do czternastoletniego Achille'a – jesteś synem Mali, żony mojego brata Lolana. Witam cię. Gdy Rouge Emil wróci z polowania, urządzimy ucztę. A teraz chodź ze mną, Elphège, pokażę ci miejsca, w których mój brat, a twój ojciec, łowił zwierzynę na futra i mięso. I łowiska u ujścia rzeki,

gdzie stawiał jazy. Porozmawiamy z Sosepem o najlepszych wnykach dla Theotiste'a… i Achille'a.

Sosep uroczyście wyznaczył Elphège'owi tereny łowieckie po ojcu i obiecał Theotiste'owi i Achille'owi obfite tereny obok swoich własnych. Żaden ksiądz czegoś takiego nie potrafi!

Ale Rouge Emil, słysząc o tym, wykrzywił się. Ani jego ojciec, ani Sosep nie byli w stanie zrozumieć, że stary zwyczaj wyznaczania terytoriów łowieckich i rybackich już nie obowiązuje Mikmaków. Bo teraz obowiązywały prawa białych i ich podział ziem. A dzieli ziemię pod domy, ogródki i pastwiska.

Achille szanował Cache Emila, ale zbliżył się ze starym Sosepem – nie z Sosepem *sagmaw*, ale z Sosepem myśliwym i łowcą. Achille od dzieciństwa wprawiał się w sztuce łowieckiej. René był drwalem, który polował tylko wtedy, gdy zaszła taka konieczność. Teraz Achille poczuł w sobie zew krwi. Odnalazł w tym nowym dla siebie świecie zupełnie nową tożsamość. Wolał polować i tropić zwierzynę w lasach, pozwalając innym zajmować się rzekami i oceanem.

Na powitalnej uczcie Theotiste, który uważał alkohol za siedlisko złych duchów, zauważył, że Cache Emil wypił tylko mały kubek tego świństwa, natomiast Rouge Emil wychylał kubek za kubkiem.

– Nie napijesz się, bracie? – zapytał go Rouge Emil, ale Theotiste odwrócił głowę.

– Zawsze gardziłem whiskey białego człowieka – odrzekł cicho.

Rouge Emil pił tak długo, aż zawładnęły nim złe duchy trunku i padł na ziemię bez zmysłów.

Po kilku dniach pojawiło się u nich wielu Mikmaków, którzy pomogli im wznieść duży *wikuom* – tak duży, by pomieścili się w nim wszyscy. *Wikuom* stał na krawędzi lasu i wychodził na morze, a na brzeg prowadziła od niego ścieżka. Pochowali tu kości Mari. Achille, po długim tropieniu, upolował bobra i położył jego skórę na grobie, jak wymagała tradycja. Ale po kilku dniach skóra zniknęła. Ktoś ją ukradł, żeby sprzedać.

Achille i Theotiste obiecali, że zbudują później małe *wikuomy* w odpowiednich miejscach, a tymczasem wszyscy będą mieszkać razem, bo tak będzie lepiej. Zoë roześmiała się radośnie, widząc krawcowe Mikmaków zszywające ich dom, tak jak się szyje sukienkę. W wejściu kobiety powiesiły skórę łosia i pomalowały ją w czarne, fioletowe i czerwone wzory.

– Siostro, nigdy nie mieliśmy piękniejszego wejścia do domu – powiedział rozradowany Elphège.

Wnętrze *wikoumu* było wyłożone czerwonymi matami, a w środku, w kamiennym kręgu, znajdowało się palenisko. W środku panowała cisza. W środku była ich przystań.

– Piękny *wikuom* – pochwalił Cache Emil. – Francuzi chełpią się wysokimi domami w kraju, z którego pochodzą, ale po co komu taki wielki dom? Ludzie nie są tacy wysocy. Chyba że odwiedzają ich olbrzymy. Tych ich domów, jak mówią, nie da się przenosić.

Więc jeśli te ich domy i wsie są tak piękne, jak ciągle powtarzają, dlaczego z nich uciekają, zostawiają przyjaciół i żony, i płyną tutaj? To muszą być wyrzutki swojego ludu, głupie, włochate i chciwe.

Stara Loze, która była w Odanak, nadzorowała szycie.

– Wszystko się zmieniło – powtórzyła jak zwykle. – Nasi ojcowie wybili wszystkie bobry, żeby sprzedać je białym, bobry się rozgniewały i odeszły z tej krainy, a teraz trapią nas choroby. – Wskazała brodą Alit Spota, na którego szyi i dłoniach ropiały niegojące się wrzody. Wielu starych łowców bobrów cierpiało z powodu takich wrzodów; potem choroba wnikała w głąb ciała i umierali, kaszląc krwią.

– Ale dobrze wiecie – powiedziała – że zaraz po węgorzu mięso bobra najlepiej służy Mikmakom. Wybiliśmy nasze pożywienie, żeby sprzedać białym futra. Teraz ci ludzie, którzy przybyli z daleka, wypychają nas z wybrzeża, spychają nas w głąb lądu, gdzie pełno kąsających owadów. Tu, nad oceanem, wiatr uczy owady posłuchu.

Dodała z zazdrością, że w którejś wiosce Mikmakowie wybili krowy osadników, ale nadeszło francuskie wojsko i pojmało myśliwych.

– Powinni pojmać krowy.

Powiedziała, że w dzieciństwie pokazano jej miejsce, w którym rośnie grzechocząca roślina – *mededeskooï* – magiczna roślina, lecząca wiele chorób i spełniająca życzenia. Trudno ją było znaleźć

nawet w dawnych czasach. Loze zawsze kończyła opowieści słowami: „tak było kiedyś”. Tak, tamto życie odeszło.

Kiedy się ociepliło, Loze poszła z Selami nad morze podczas odpływu i pokazała im, jak się wykopuje małże. Stopy grzęzły im w gęstym błocie, a przed nimi biegały ptaki, ostrzegające się nawzajem. Loze powiedziała Noë, że z ślimaków trąbików uzyskuje się piękną fioletową farbę, którą bardzo lubią Mikmakowie.

– Kiedyś ci pokażę, jak to się robi – obiecała staruszka i kazała im zbierać glony, którymi doprawią pieczone na gorących kamieniach małże.

Minęło lato i jesień. Nadeszła pora, żeby ocieplić *wikuomy* skórami i wzmocnić grubymi tyczkami. Nury ostrzegały się przed nadciagającymi burzami, co było znakiem dla beznogiego ducha Koolpujota, że ma zesłać zimowe wichury. Coraz większe zimno i coraz głębsze śniegi ułatwiały polowania myśliwym. Achille zabrał rakiety śnieżne i poszedł do lasu na wiele dni, przez wiele nocy sypiał na dworze. W styczniu wraz z Rouge Emilem polował na foki na lodzie. Ale wolał polować z Sosepem, do którego zwracał się *Nikskamich* – dziadku. Nie palił fajki, bo otępiała zmysły. I wzdrygał się na samą myśl o tym, że niegdyś całymi dniami stał nad cuchnącym kociołkiem z potażem. Choć styczeń i luty są najlepszymi miesiącami do polowań na łosie – psy bowiem zaganiają zwierzęta na głęboki śnieg, w którym zakopują się,

stając się łatwym celem dla myśliwych na śnieżnych rakietach – Achille polował na nie o każdej porze roku. Przed letnią wyprawą na łowy wziął gorącą kąpiel, a potem natarł całe ciało ziemią i liśćmi, żeby zabić ludzki zapach. Inaczej niż pozostali myśliwi, korzystał z psów do tropienia łosi tylko zimą, bo sam wyczuwał te zwierzęta z dużej odległości i znał ich zwyczaje i reakcje. Stary Sosep powiedział Cache Emilowi, że Achille jest takim myśliwym, jaki pojawia się raz na kilka pokoleń, że jest jak *megumoowesoo*, jeden z tych szczęśliwych Mikmaków, którym Kluskap udziela największych talentów. Do samego Achille'a zwrócił się lekkim tonem:

– Teraz musisz się ożenić i wziąć sobie kobietę, której będziesz znosił upolowane mięsiwo. Musisz nauczyć się grać na flecie, żeby przywabić żonę.

Wiosną Achille i Rouge Emil popłynęli na wyspę, na której gniazdowały *Apagtuey*, alki olbrzymie. Upolowali po dwie, bo mięso tych ptaków było smaczne, a z ich gardzieli wytwarzano najlepsze kołczany na strzały. Ale gdy popłynęli na tę samą wyspę po roku, po ptakach nie było ani śladu, zostały same pióra i kości, bo wcześniej przypłynęli tu angielscy wielorybnicy z Bostonu.

Z czasem ludzie zaczęli szeptać, że Achille nie dba o dziewczyny Mikmaków, bo ożenił się z *team*, łoszą, bo jak inaczej wytłumaczyć, że tak dobrze zna zwyczaje tych zwierząt? Achille wyprawiał się w głąb lądu, a któregoś razu zapuścił się daleko na północny wschód. Gdy wrócił z długiej wyprawy, wziął na bok

Elphège'a i powiedział mu, że ten Bouchard już nigdy nie zdradzi żadnego Mikmaka, bo stracił język, który wypadł mu z ust na ziemię.

Elphège pokiwał głową i powiedział:

– Słusznie uczyniłeś, mój bracie.

W krainie Mikmaków było więcej ptactwa niż w lasach Nowej Francji, a gdy zaczynały się coroczne przeloty, liczba ptaków – tak wielka jak liczba płatków śniegu w zamieci – oszołomiła ich. Czuli zapach gorących ptasich ciał, wzmożony milionami machających skrzydeł. Wydawało się, że przylatywały tu ptaki z całej ziemi, zwłaszcza brodźce, których było tak dużo, że zasłaniały całe morskie wybrzeże niczym olbrzymia, rozedrgana, szara kołdra. Żywiły się krewetkami i zalewały niebo od południa jak spienione fale. Wtedy jedli ptaki pieczone, gotowane, smażone i duszone. Leśne gołębie, które znali z Kébec, sprowadzały ciemności na świat. Przylatywały też ptaki drapieżne: rybołowy o przenikliwym wzroku, orły, jastrzębie i sokoły. Stary Sosep powtarzał, że niedługo w Mikmak będzie tylu białych, co ptaków. Ci, co go słuchali, zadrżeli. *Sagmaw* żył rozpięty między dwoma światami: przepowiadał morskie bałwany białych, płynących na niezliczonych statkach, lecz mówił i żył tak, jakby światem wciąż rządziły stare zwyczaje i tradycja.

Pewnej nocy podczas przelotu ptaków Theotiste, Elphège i inni wypłynęli nocą czółnami. Położyli się nieruchomo na dnie łodzi i

pozwolili im wpłynąć jak kłody drewna w stado śpiących kaczek. Wtedy Cache Emil i stary Sosep zapalili brzozowe pochodnie i podnieśli je w ciemności wysoko nad głowami. Kaczki obudziły się, zakwakały i zerwały się do lotu wokół pochodni, wówczas młodzi strącali je w locie tyczkami. W ten sposób jednej nocy zapełnili tłustymi kaczkami pięć czółen.

– Teraz, bracia – zawołał Elphège – przekonacie się, jak dobrze jadamy! Nie musimy wyprawiać się daleko w pojedynkę, żeby upolować starego żylastego łosia, polujemy razem i za jednym zamachem łowimy pięć czółen najsmaczniejszych tłustych kaczek.

Theotiste i Elphège siedzieli w rozmytym przez mgły słońcu, strugając styliska do siekier, bo nowi biali osadnicy zjeżdżający do Mikmak nie myśleli o niczym innym, jak tylko o rąbaniu drzew na nowe przysadziste i pudełkowate chaty. Struganie w kółko jednego i tego samego kształtu z drewna nie było niczym ciekawym, ale zostawili myślistwo Achille'owi, który poruszał się tak cicho i podstępnie, że potrafił podejść do jarząbka siedzącego na wydrążonym pniu i machającego skrzydłami, i zarzucić mu na szyję skórzaną pętlę na końcu długiej tyczki. Ale struganie stylisk do siekier przynosiło pieniądze, a pieniądze były obecnie potrzebne na zakup wielu rzeczy, których nie znano w dawnych czasach. Kupowali u białych metalowe garnki i kuchenne sprzęty, gwoździe, drut, narzędzia i broń.

Gdy tak siedzieli i strugali jesionowe styliska, ze stoku zeszła grupa mężczyzn i kobiet. Jedna z kobiet – Talis – przystanęła. Była wysoka, miała roześmiane oczy ze zmarszczkami w kącikach i równe białe zęby.

– Odłóżcie te kije i chodźcie z nami naprawiać jaz.

– Dlaczego nie… – odpowiedział Theotiste, wstając i odkładając trzonek, który zaczął strugać. – Pójdę z tobą.

Rzeki w krainie Mikmak nie były samotnymi ciekami, ale pasemkami wielkiej sieci płynącej wody, która wytyczała granice lądu i mieszała się z morzem podczas przypływów i odpływów. Każdy maleńki strumyk, każda rycząca bystrzyna, każda strużka i rwący potok, wodospad i rozlewisko, miały własne zwyczaje i sposoby, a Mikmakowie musieli je znać. Theotiste i Elphège zaczynali się uczyć tego wodnego świata.

– Głowa mnie boli od tej uczoności o rybach – skarżył się Elphège.

– Owszem – odpowiedział mu starzec o długich płatkach uszu. – Póki istnieją Mikmakowie, istnieje wiedza o rybach.

Francuski król przysłał pieniądze, żeby wybudować drogi w głąb lądu (gdzie chcą zepchnąć Mikmaków, mówił Sosep). Teraz, jeśli czas pozwalał, wielu mężczyzn, w tym Theotiste i Elphège, zatrudniało się dorywczo jako mierniczy u geodetów lub jako robotnicy przy nowych drogach, za co płacono im gotówką. Wyrąb lasu jest kolejną rzeczą, którą należy zrobić, mówili przybysze.

Gdy korpus białych drwali postawił tartak i zaczęto rąbać drzewa w głębi lasu, znalazło się więcej pracy za pieniądze, które można było wydać w handlowej faktorii. Stary misjonarz, Père Crème, zachęcał Indian do rezygnacji na pewien czas z łowów i namawiał ich do zajęcia się pracą w tartaku. Za zarobione pieniądze – mówił – kupią sobie soloną wieprzowinę i mąkę. Choć wszyscy brzydzili się soloną wieprzowiną, z mąki robiło się chleb, a Mikmakowie rozsmakowali się w chlebie. Elphège, Theotiste i Achille pracowali niegdyś z René przy karczowaniu lasu i umieli posługiwać się siekierą, więc zatrudnili się w francuskim tartaku Duquet et Fils. Rouge Emil nie miał takiej wprawy w rąbaniu, ale poszedł z nimi. Tak nie postępowali Mikmakowie, ale to było konieczne.

Père Crème od początku nie był zadowolony z przybyszów z Odanak. Niepokoił go powrót starego Josepha, Mikmaka, na którego mówiono Sosep. A prawdziwym nieszczęściem była rodzina Selów! Wszyscy oni mówili po francusku, a Indian nie powinno uczyć się tego języka. Dwaj starsi bracia umieli czytać i pisać łacińskim alfabetem, co było poważnym błędem jakiegoś misjonarza sprzed lat. Wskutek tego ci dwaj mogli wyrządzić wiele szkód i wzniecić niepokoje. I opierali się uprawie ziemi, woleli pracować w lasach, nad rzekami lub imać się dorywczych robót przez część roku, żeby jesienią i zimą polować. Père Crème pisał:

Kochana Siostro Marguerite!

Choć mam wiele Współczucia dla Indian, przysparzają mi nieustannie zgryzot. Kością niezgody między nami jest ich Niezgoda na Fakt, że Ziemia należy do Człowieka, który, jak powiada Pismo, czyni ją sobie poddaną. Indianie łowią Ryby (czym zajmuje się każdy Próżniak) i wędrują po Lesie, zbierając Rośliny i Zwierzęta na Pokarm, ale gdy pojawia się Biały Człowiek i rąbie groźny, wdzierający się wszędzie Las, buduje Dom dla Rodziny i Schronienie dla Zwierząt, Indianie skarżą się, że odbiera im Ziemię, której nigdy nie uczynili sobie poddaną, a wręcz przeciwnie, pozwolili jej zarastać coraz bardziej i bardziej Drzewami. Nie potrafią pojąć, że Biały Człowiek, walczący i zmagający się z Lasem, spełnia Boską Wolę, aby oczyścić i poddać sobie Ziemię na własność. Narażając się na indiańskie Ataki, pracując w Mozole, cierpiąc oddalenie od Ojczyzny, aby zająć Miejsce w Puszczy, Francuzi mają moralne, nadane przez Boga Prawo do tej Ziemi, która jest ich Przeznaczeniem.

Sosepowi także nie podobało się to, co widział. Natychmiast zauważył wiele niekorzystnych zmian. Jeden z francuskich osadników, Philippe Null, odziedziczył pewną kwotę pieniędzy po stryju z Francji i za ten spadek kupił trzy krowy, byka i dwa konie. Olbrzymie zwierzęta pasły się, gdzie chciały i przed

upływem tygodnia wyjadły wszystkie pożywne i lecznicze rośliny w odległości dnia drogi od wioski.

– Musiały być bardzo chore – powiedziała stara Loze – bo zjadły zioła na ból głowy, na kaszel, wypadanie macicy, gorączkę, złamania i ból gardła.

Sosep stwierdził, że krowy, po zarżnięciu i ugotowaniu, choć nie tak smaczne jak łoś czy karibu, w kotle wyglądają tak samo. Ale należałoby to zrobić po cichu.

Inni Akadyjczycy, spoglądając zazdrośnie na zwierzęta domowe Nulla, sprowadzili świnie. Nie było im potrzebne żadne pastwisko ani zagroda, świnie tuczyły się, ryjąc w lesie i szybko nauczyły się wykopywać małże. Kobiety Mikmaków nie miały z nimi szans, bo świnie pojawiały się na mokrych piaskach, gdy tylko zaczynał się odpływ – ryły i żarły. Doszło do tragicznej straty, gdy wieprz zaatakował i zabił małe indiańskie dziecko, które zostało za kobietami, naśladując je w zbieraniu małży. Ciało dziecka, gdy je znaleziono, było napoczęte przez świnie.

Znalezienie powszechnych niegdyś zwierząt i roślin zajmowało wiele godzin, a nawet dni. Pleniły się natomiast nieznane wcześniej chwasty: malwy, szczaw, parzące pokrzywy, mlecze, ptasi rdest, psiząb i zarastająca wszystko koniczyna. Któregoś wieczoru Sosep napełnił fajkę ze szczypców homara suszonym dzikim tytoniem i odezwał się:

– Dzielimy naszą ziemię z *Wenuj*, który bierze sobie coraz więcej i więcej. Widzicie, jak ich bestie zabierają nam pożywienie,

jak ich łodzie i sieci łowią nasze ryby. Sprowadzili na tę ziemię rośliny, które zabijają nasze. Większość z nich nie życzy nam źle, ale jest ich wielu, a nas mało. Będą jak wielka fala, która nas zaleje. – W jego niskim głosie pojawiły się zapalczywość i siła ducha.

– Wszystkie te lasy należały niegdyś do nas – ciągnął. – Chodziliśmy wszędzie tam, gdzie nam się podobało, bez najmniejszych przeszkód. Ale te czasy odeszły w przeszłość. Chcę wam powiedzieć, że my, Mikmakowie, jeśli mamy przetrwać, musimy nieustannie pamiętać, jak żyli nasi przodkowie. Nam przyszło żyć w dwóch światach, ale musimy ocalić świat Mikmaków, w którym ludzie, zwierzęta, ptaki, rośliny są jednością i pomagają sobie nawzajem. Musimy zachować ten świat w naszych myślach i żyć zgodnie z nim. Musimy odnowić i czcić jego wizję, bo tylko ona pomoże nam stawić czoło tej potędze, która nas otacza. Inaczej sczeźniemy.

Noë spojrzała pytająco na Zoë.

– Czy to znaczy, że mamy wyrzec się metalowych garnków i gotować jedzenie na gorących kamieniach w wyżłobionych drewnianych naczyniach, jak opowiadała Loze?

Sosep nie usłyszał tego pytania i mówił dalej:

– Gdybyśmy nie skrzywdzili tylu zwierząt, zwierzęta te walczyłyby z nami przeciwko obcym. Zwłaszcza bobry. Ale już ich nie ma. Wiem, że niektórzy z was kochają Francuzów, co jest nie

do uniknięcia, jeśli nie mamy wymrzeć, ale pamiętajcie, że jesteście Mikmakami, pamiętajcie.

Achille obiecał sobie, że będzie żył jak Mikmak, wyobrażając sobie, że wszystko jest dobrze, jak niegdyś. Znajdzie sobie żonę i powie dzieciom, że muszą wyobrazić sobie, że żyją w świecie Mikmaków, choć ten przestaje istnieć. Muszą pamiętać o dawnym życiu, a nie tym, które przyszło im wieść.

Stary Sosep wiedział, że wielu Mikmaków chce żyć tak, jak akadyjscy Francuzi, chce nosić ich odzież, pływać ich mocnymi łodziami, jeść ich warzywa i pieczoną wieprzowinę, używać metalowych narzędzi, szklanych ozdób, beli materiałów, pić ich upajające trunki, wywieszać ich jaskrawe flagi, że pragnie ich rozgrzanych gołych ciał, tak bladych… Język Mikmaków był już pełen francuskich słów, zagościły w nim również pozostałości portugalskiego i baskijskiego – spadek po pierwszych białych przybyszach, którzy przypłynęli do tych brzegów. On sam, dawny *sagmaw*, łączący ten świat ze światem duchów, uległ księżom, którzy go zastąpili, podobnie jak wszystkich mądrych starców.

28

TAJEMNICA ZIELONYCH LIŚCI

Mijały lata, liczba białych osadników, głównie z La Rochelle, zwiększała się i podwajała. Ludzie ci wiedzieli, jak osusza się ziemię, stawiali groble i kopali rowy, uwijali się jak diabły w ukropie przy przekształcaniu wielkich zielonych zalewisk w pola uprawne, a tam, gdzie był las, rąbali drzewa. Stawiali nieporuszone domostwa w rzędach wzdłuż błotnistych ulic, na których tarzały się świnie i po których chodził drób. Opatulali się grubą wełnianą odzieżą, tak żeby nie dało się wyczuć ich niesionego wiatrem zapachu. Mikmakowie tolerowali ich, a nawet zaprzyjaźniali się z nimi, choć nie rozumieli zapału przybyszów w gromadzeniu zapasów – małży, jagód, ryb, bierwion, skór łosia – które sprzedawali lub wymieniali na następne krowy i konie, kury i świnie.

Młodzi z rodziny Selów brali śluby: Noë wyszła za Zephirina Desautelsa, akadyjskiego rybaka, kuzyna zaginionego chłopca, który spłodził Auguste'a. Zoë wyszła za Paula, starszego Mikmaka, którego lewę ramię w dzieciństwie zgruchotał szarżujący łoś, co uniemożliwiało mu polowanie. Paul doskonale

łowił węgorze i w ich *wikuomie* nigdy nie brakowało jedzenia. Achille ożenił się z Isobel, pięknością z plemienia Mikmaków, o zgrabnych silnych palcach, którymi wyplatała nowy rodzaj koszy, nie z korzeni, ale z cienkich cedrowych i jesionowych łub, i zawsze trzymała w dłoni taką łubę, na którą mówiono *ligpete'gnapi*. Elphège oświadczył się Delimie, wdowie po mężczyźnie, którego zabito w zasadzce, Theotiste wziął za żonę Anne-Marie, przyjaciółkę zmarłej żony. Zamieszkali z dala od białych osadników, choć mężczyźni coraz częściej chodzili ścinać sosny podczas zimowych wyrębów.

Achille był dumny ze swoich łowieckich umiejętności i wyobrażał sobie, że nie ma takiego zwierzęcia, którego nie potrafiłby zrozumieć i zabić.

– Na ziemi, bądźmy szczerzy – spierał się z nim Rouge Emil – bo nie polujesz na morzu. Nie umiesz łowić ryb! – rzucił i roześmiał się.

Ta uwaga zabolała Achille'a i przypomniał sobie opowieści z dawnych czasów, gdy Mikmakowie w łódkach z kory wyprawiali się na wieloryby. Wszyscy mówili, że łodzie Mikmaków najlepiej sprawdzają się na rzekach i przy morskim brzegu, na głębszych wodach pływa się w nich niebezpiecznie i nie da się odeprzeć w nich ataku groźnych ryb. Achille nie mógł uwierzyć, że ryby atakują rybackie czółna i uznawał to za opowieści dla dzieci. Powiedział, że wypłynie czółnem na zatokę i będzie samotnie łowił ryby, co też uczynił dwa razy i złowił sięgające mu prawie do pasa

dorsze. Łowił ryby ościeniem, dobrym i na Anglików, jak mówił. Ale godzina spędzona na morzu zmieniła jego zdanie o rybach.

Przekonał dwóch przyjaciół, Bartha Nocouta i Alita Spota, żeby popłynęli z nim w swoich czółnach. Odpłynęli tak daleko, że ludzie na brzegu stali się mali jak palce dłoni. Achille dostrzegł kątem oka jakiś kształt unoszący się nad wodą. Połów był dobry, żartowali i śmiali się wesoło. Nagle łódką Achille'a coś szarpnęło. Zajrzał w głąb morza, ale nic nie wypatrzył. Ale po kilku chwilach łódka Nocouta uniosła się nad wodą jak na fali, a z morza wyłoniła się olbrzymia czarno-biała orka, niosąca czółno na grzbiecie. Wieloryb zanurzył się w wodzie, łódka Nocouta przechyliła się i zakołysała, ale nie przewróciła do góry dnem.

– Nie wiosłujcie! – zawołał Nocout, którego ojciec opowiadał mu o groźnych rybach. – Chwyćcie ościenie! Jak wróci, ciśnijcie mocno!

Czekali w napięciu przez długie minuty, a potem ujrzeli płetwę grzbietową oddaloną o dziesięć długości łodzi od Nocouta. Wyłoniła się z morza jak olbrzymi pień sosny i zanurzyła powoli w głębinach. Chwycili ościenie. Orka płynęła na powierzchnię pod czółnem Achille'a, który dojrzał biały błyszczący owal za niewidocznym okiem. Z całej siły wbił oścień w wyłaniający się z morza śliski bok. Orka skoczyła i upadła na bok, nurkując w oceanie, wyrywając oścień z rąk Achille'a i zabierając go ze sobą. Lecz zanim zniknęła, przemówiła do Achille'a dobrze znanym głosem:

– Ty nie jesteś – powiedziała niskim głosem Sosepa. I już jej nie było.

– Może odpłynie – zawołał Nocout. – Módlmy się, żeby nie było innych.

Czekali przerażeni w bezruchu. Po pewnym czasie Nocout odezwał się cicho:

– Wiosłujmy na brzeg.

Płynęli ostrożnie, rozglądając się wokół za wielką płetwą grzbietową i wypatrując w wodzie pod sobą czarno-białego olbrzyma.

– Chroniły nas duchy – krzyknął zdyszany Nocout, gdy dopłynęli na płyciznę.

– Słyszałeś ich słowa? – zapytał Achille.

– Czułem ich obecność.

Tego wieczoru Nocout i Spot wiele razy opowiadali o spotkaniu z orką. Ojciec Nocouta pokręcił głową i powiedział, że w dawnych czasach, gdy Mikmakowie wypływali w morze w swoich kruchych łupinach, kładli na dziobie i na rufie świeżo okrzesane gałęzie z liśćmi.

– Gdy te groźne ryby poczują zapach liści, biorą łódkę za wyspę i boją się, że ugrzęzną na mieliźnie. Więc odpływają. Mieliście szczęście, że była tylko jedna. Gdyby było ich więcej, przewróciłyby łódki i wrzuciły was do wody. Orki zjadły wielu łowców. Wiedzą, jak się przewraca łodzie, bo to samo robią pod krą. Zrzucają z niej foki i wyłapują je w wodzie. Pewnie biorą ludzi za foki.

Ojciec Nocouta przyniósł kosz, w którym trzymał różne pamiątki, i wyjął z niego pojedynczy ząb wielkości ludzkiej dłoni.

– Mają sto takich zębów – powiedział i podał ząb innym do obejrzenia.

Achille przekonał się, że był głupcem. Spojrzał przez płonące ognisko na Sosepa. Chciał go zapytać, co orka miała na myśli, mówiąc: „Ty nie jesteś" głosem starego. Czy naprawdę przemówiła? I co znaczyły te słowa? Stary przypatrywał mu się uważnie, a gdy ich spojrzenia się spotkały, Sosep uniósł brwi. Ale Achille nie był w stanie o nic go zapytać.

29

PIECZONY ŁEB ŁOSIA

Sosep zmarł nagle po ciężkim dniu polowania na łosie. Siedział przy ognisku z kawałkiem mięsa w ręku. Achille widział, jak zasypia. To najlepsza śmierć dla starego myśliwego, zmęczonego udanym polowaniem, grzejącego się przy ogniu, jedzącego upolowanego łosia – myślał Achille. Sosep od dawna układał pieśń o swojej śmierci, długą opowieść o swych łowieckich wyczynach, wędrówkach, dzieciach i cudach, których doświadczył za życia, jak wtedy, gdy w bitwie wróg zamienił się w niedźwiedzia. Ale odszedł bez słowa do świata umarłych i nie zdążył zaśpiewać pieśni.

Achille zszedł nad morze i rozejrzał się wokół. Ani jednej fali, szary ocean pod szarym niebem. Ale niebo jakby zniknęło, jakby nigdy go nie było, a Sosep pływał gdzieś tam w głębinach. Na morzu kołysała się łagodnie śpiąca mewa.

– Dziadku – zawołał Achille – życzę ci szczęśliwej podróży pod powierzchnią oceanu, choć powiedziałeś mi: „Ty nie jesteś”.

Donośny głos Achille’a zbudził mewę, która wzniosła się nie bez trudu w powietrze.

Przeżył już trzydzieści trzy zimy i wchodził w wiek średni. Ponieważ zwierzyny było coraz mniej, znikał na wiele dni, żeby coś upolować. W przedziwny sposób stracił szacunek na duchów zwierząt. Jego żona, Isobel, tylko wzdychała ciężko, gdy odchodził.

– Dlaczego nie możesz pracować w lesie, przy rąbaniu *lo'gs*, jak inni?

– Będę rąbał *lo'gs* po dobrym polowaniu, gdy będziemy mieli dużo jedzenia.

Jego dzieci i żona nosiły francuskie odzienie jak Achille. W okolicy aż roiło się od plotek o przybyciu chmary angielskich osadników, którzy „znów" przywłaszczą sobie ziemię. „Ty nie jesteś", powtarzał w głowie Achille. Nie mógł zapomnieć tych słów.

Nikt nie wiedział, czy trwa jakaś wojna, a jeśli tak, to z kim? Z Bostonu przypłynęli na uzbrojonych okrętach żądni krwi Anglicy, którzy zabijali wszystkich jak popadnie. Anglicy chowali swoich w ziemi, a Mikmaków wrzucali do ognia. *Aloosool*, czarna odra, zabiła tylu, że nie było komu ich chować, a w jednej z osad musieli wrzucić ciała do stawu, żeby nie pożarły ich świnie białych.

Mikmakowie sprzeciwiali się nieustannej ingerencji akadyjskich sąsiadów, ale często zawierali z nimi małżeństwa, uczyli ich swojego języka i wierzeń, przejmując też ich styl życia, wchodząc coraz głębiej w podwójne życie, w którym rzeczywistość wewnętrzna walczyła ze światem zewnętrznym, balansując szaleńczo na krawędzi. Sami Akadyjczycy, poważni i tradycyjni rolnicy, osuszający namiętnie bagna, chcieli żyć na swój sposób i

niechętnie zapatrywali się na księżowskie wezwania do chwycenia za broń przeciwko Anglikom. Père Crème miał niekiedy wrażenie, że na jego oczach rodzi się nowy gatunek człowieka, po trosze akadyjski, a po trosze indiański. Potem angielski król wezwał angielskich ochotników, służących wcześniej w wojsku lub marynarce, żeby zajęli wolne ziemie w Nowej Szkocji. Przypływali tam tysiącami.

Achille, znów czując wiosenny zew wyprawy na północ, obmyślił polowanie na dwa albo trzy księżyce ze swoim najstarszym synem Kuntawem – nazwanym na część potężnego kamienia z miedzianymi cętkami – oraz z Auguste'em, niebieskookim i rudowłosym, jak zamorscy przybysze *Alman'tiew*. Wiele lat wcześniej, gdy Kuntaw przeżył trzy zimy i wyglądało na to, że przetrwa, ojciec sporządził dlań mały łuk i małe tępo zakończone strzały.

– Teraz będziesz polował – powiedział.

Chłopiec naśladował Auguste'a, który był starszy i wiedział już, jak zabijać ptaki i żaby. Założył strzałę, napiął cięciwę i puścił. Strzała nie doleciała dalej niż koniec jego cienia. Ale pod koniec lata miał już na swoim koncie sukcesy. Raz, w odległości tyczki do *wikoumu*, wypatrzył w trawie konika polnego na źdźble trawy. Zmrużył oczy, wycelował i strzelił. Konik polny wyskoczył w powietrze, spadł na ziemię i leżał na boku z wyciągniętymi nóżkami. Kuntaw podniósł zdobycz i pobiegł do Achille'a.

Gratulowano mu tak wylewnie, jakby upolował łosia. Konik polny spoczął na brzozowej korze. Wydano ucztę i odtańczono taniec konika polnego. W ten sposób powitano w rodzinie nowego myśliwego.

Kuntaw miał już jedenaście wiosen i spoglądał tęsknie na pewną dziewczynę o imieniu Malaann. Chciał ją wziąć za żonę, ale to nie mogło się stać, dopóki nie upoluje pierwszego łosia. Auguste, który upolował pierwszego łosia przed dwoma zimami, podpowiadał złośliwie Kuntawowi, żeby zasadził się na gigantycznego konika polnego. Achille zebrał chłopców bliżej i obiecał im, że wyruszą z nim do krainy małych drzew na dalekiej północy, do tajgi, gdzie rośnie czarny świerk, ogołocony z gałęzi od strony, z której wieje wiatr, pochyły, ustępujący miejsca falistej tundrze pełnej jezior i głazów, krainie ptaków, ciągnącej się aż po horyzont.

– Po ośmiu czy dziesięciu dniach wędrówki znajdziemy się w lesie *masgwi*, brzóz i świerków. Rozbijemy tam obozowisko, żeby polować i łowić ryby, wędzić mięso, zbudować łódź. Dalej na północ nie ma już brzóz. A gdy znajdziemy dobre łowisko, będziemy polować.

Każdy z nich przygotował kosz z najpotrzebniejszymi rzeczami. Achille zabrał krzemień i czarne grzyby do rozpalania ognia, ale – jak powiedział – zabiorą też ogień ze sobą. Rankiem w dniu wyjścia na polowanie wyjął trzy rozżarzone węgle z domowego

ogniska i zamknął je w wyłożonych gliną skorupach małży, po czym związał mocno skórzaną sznurówką.

– Dzięki temu szybko rozpalimy ogień – powiedział. – I każdego ranka wędrówki zabierzemy ze sobą węgle. Każdy z nas będzie niósł jeden. A polować będziemy łukiem i strzałami. Zabierzcie też włócznie. Nie weźmiemy broni palnej białych. Jesteśmy Mikmakami.

Przyglądała się temu Jenny, jedna z córek Noë. Pewnego wieczoru w *wikuomie* szepnęła do przyjaciółki:

– Wiesz, że świnie białych wyjadają nasze małże?

– Wiem. Przewodzi im stara maciora.

– Tak. A ja mam plan…

Sięgnęła za siebie i podniosła skórzaną torbę pełną pustych skorup. Szepnęła coś na ucho do przyjaciółki i obie się roześmiały.

– Pomogę ci – obiecała przyjaciółka.

Wstały, zanim rozpoczął się odpływ. Z żarzącego się nocą ogniska wyjęły węgle i włożyły je do skorup małży. Zlepiły je gliną, żeby wyglądały normalnie. Ułożyły skorupy kusząco tuż nad linią wody, a potem przysypały je piaskiem. Czekały na wysokim brzegu. Świnia wykopała nosem pierwszą skorupę, rozgryzła ją i połknęła gorący węgiel. Przypatrujące się temu dziewczyny aż podskoczyły z radości, gdy świnia zakwiczała przeraźliwie. Tarzały się w piasku ze śmiechu, a stara maciora pędziła do wioski, wydając nieziemskie piski. Pozostałe nad morzem wieprze wyryły rozżarzone małże i po krótkiej chwili cała akadyjska

wioska aż trzęsła się od świńskich kwików. Dla obu dziewcząt było to cudowny dzień.

Wyprawa łowiecka dobrze się rozpoczęła. Auguste i Kuntaw byli pod wrażeniem nowych okolic, lecz najbardziej ekscytowała ich myśl, że będą polować jak myśliwi Mikmaków w dawno minionych czasach. Trzeciego dnia Auguste ustrzelił płynącego bobra, po czym wskoczył do wody po zdobycz i strzałę. Zanim wrócił na brzeg, z wody wynurzył się inny bóbr, którego ustrzelił Kuntaw. August wyniósł obie zdobycze z wody. Tego wieczoru zjedli obfity posiłek. Achille zrywał po drodze liście wierzby i *kinnikinnick*, i przywiązywał ich końce do kosza na plecach, żeby dojrzewały, gdy szli. Wieczorami palili je w fajkach i opowiadali stare historie.

Nowe okolice odświeżyły im spojrzenie, a wszystko było przepojone duchem *mntu*. Obozowali nad wodą pełną wygłodniałych jeziorowych palii, wystarczyło więc kilka chwil, żeby złowić sześć ryb. Widzieli niedźwiedzie przy spróchniałych kłodach drewna, zauważyli małe stworzonka mieszkające w pokrytych dziurkami suszkach i żywiące się nimi sowy. Tego świata *Wenuj* nigdy nie widział, nawet jeśli zdołał go już przemierzyć.

Po nocnym deszczu cały świat pokryły błyszczące kroplami wody pajęczynki. Gęsta mgła tłumiła kroki i trzaski, gdy szli poprzez zarośla. Był to idealny ranek na polowanie, a po nim przyszło wiele takich ranków. Kuntaw przekonał się, że ojciec jest

bardzo silny i doskonale rozumie niewidzialne siły spajające całą naturę w jedno – zwierzęta, duchy, ludzi, ryby, drzewa, ocean, zimę i chmury.

– Zostało nam niewiele jedzenia – oznajmił Achille, podając chłopcom dwie małe słonki. – Dziś będziemy polować trochę dalej na wschód.

Przez cały ranek szli w stronę słońca, odpoczywając w południe nad małym jeziorem, gdy zdobycz pojawiła się sama. Z gęstego sosnowego zagajnika na trawiasty brzeg wytoczył się lśniący czarny niedźwiedź. Był tak tłusty, że brzuch zwisał mu przy każdym kroku. Pierwszy strzelił Achille, potem jednocześnie Kuntaw i Auguste, na końcu znów Achille. Niedźwiedź znieruchomiał.

– Jak go zabierzemy do obozowiska? – zapytał Auguste. – Jest za wielki!

– Ho, zobaczysz. Chodźcie – powiedział Achille. – Najpierw go wypatroszymy dla wilków.

Wycięli wnętrzności z wielkiego zwierzęcia, a Achille przeciągnął niedźwiedzia nad wysoki brzeg.

– Patrzcie, pokażę wam.

Wyjął z kosza na plecach mocny sznur ze ścięgien, który zawsze nosił przy sobie. Przywiązał nim przednie łapy niedźwiedzia do tylnych. Zeskoczył z wysokiego brzegu, stanął do niedźwiedzia tyłem i przełożył ręce pod pachami zdobyczy, pochylił się i zarzucił ją sobie na plecy, po czym ostrożnie się wyprostował.

Niedźwiedź wisiał teraz na ramionach Achille'a jak olbrzymi plecak. Achille sam zaniósł go do obozu, zostawiając na ziemi głębokie odciski stóp.

– Widzicie, jakie są głębokie, gdy człowiek niesie ciężar? – zwrócił się do chłopców. – Czasem niesie zapasy, czasem belę futer, a czasem niedźwiedzia.

Minął cały księżyc, zanim doszli do końca brzeziny. Zatrzymali się przed wieczorem na brzegu niewielkiego jeziora. Achille rozejrzał się.

– *Masgwi*, brzoza papierowa. A na niej huba na podpałkę. Z kory tej brzozy zrobimy dwa czółna – powiedział – choć księżyc jeszcze odpowiednio nie urósł. Auguste, który zabrał ze sobą zakrzywiony nóż, wystruga wiosła.

Rozbili obozowisko w zamierającym świetle dnia. Auguste, który potrafił wszystko nazwać, nazwał to miejsce Łodzią.

Auguste zabrał się do łatania podeszew swoich mokasynów, a Kuntaw i Achille wyruszyli w porannej szarówce na wschodni brzeg jeziora. Szron trzaskał im pod stopami. Z odległości angielskiej mili dojrzeli na drugim końcu jeziora kropkę w kształcie łosia. Podkradli się ostrożnie, a Kuntaw ujrzał przed sobą na płyciźnie młodą łoszę. Piła, a wschodzące słońce rozświetlało krople wody ściekające jej z pyska. Opuścili brzeg jeziora, żeby ich nie dojrzała, i ukryli się w głębi lasu, okrążając łoszę, stawiając kroki ostrożnie i bardzo powoli. Nim się do niej

zbliżyli, łosza uniosła łeb i spojrzała w ich stronę. Usłyszała ich. Kuntaw był zdumiony jej wyostrzonym słuchem, wyławiającym każdy najodleglejszy szelest. Wypuściła z nozdrzy kłąb pary, który zawisł w rześkim porannym powietrzu, potem następny, a Achille pomyślał, że ta para jest jak życie człowieka i zwierzęcia – trwa przez chwilę i zaraz już jej nie ma. Kuntaw był tak przejęty, że w ogóle nie myślał. Bolały go zaciśnięte szczęki.

– Zaczekaj – powiedział bezgłośnie Achille. – Niech się upewni, że nikogo tu nie ma.

Po długiej chwili łosza zbliżyła się do nich, rozchlapując wodę.

– Będzie się pasła na brzegu. Podejdzie do ciebie – Achille pokazał to synowi na migi.

Zbliżyła się, słyszeli, jak wyrywa z dna jeziora wodne rośliny. Gdy wspięła się na brzeg, Achille skinął głową, a Kuntaw uniósł łuk, naciągnął cięciwę i wypuścił strzałę. Łosza zakrwawiła się i padła.

– Teraz jesteś mężczyzną – powiedział Achille. – Pokażę ci, jak zabrać tego łosia do obozowiska.

Obwiązał sznurem ze ścięgien szyję łoszy, wszedł do wody i razem z synem pociągnął zwierzę wzdłuż brzegu.

Auguste powitał ich słowami:

– Teraz, Kuntaw, będę cię nazywał myśliwym, zamiast pogromcą koników polnych.

Wyciągnęli ciężkie zwierzę na wysoki brzeg i oprawili je. Kuntaw i Auguste zanieśli nad ognisko łeb łoszy, a Achille poszedł

za nimi z sercem, wątrobą, garścią tłuszczu i najlepszymi kawałkami mięsa.

– Teraz – polecił synowi Achille – rozdmuchaj ogień i przypiecz nad nim kawałki wątroby, a kawałki serca upiecz w tłuszczu łosia. I rozgrzej małe kamyki. Oprawię łeb do pieczenia.

Kawałki wątroby zjedli prawie na surowo. Achille rozpłatał czaszkę łosia, wyjął oczy i przepłukał głowę w jeziorze, a Kuntaw włożył do ognia płaski kamień. Gdy kamień się rozgrzał, położył na nim tłuszcz, a do środka włożył kawałki serca łoszy. Achille napełnił do połowy wodą największe brzozowe naczynie, jakie mieli i wrzucił do niego rozgrzane kamyki. Woda zawrzała, a on włożył do niej łeb łoszy. Łeb był za duży, więc musiał obracać go na drugą stronę. Gotował go tak przez kilka godzin, a czekając na efekt, ucztowali, jedząc usmażone w tłuszczu kawałki serca. Po wielu godzinach gotowania łba, Achille oderwał żuchwę od parującej głowy. Wyciągał pozostałe kości, a Kuntaw i Auguste wykopali głęboki dół i rozpalili w nim wielki ogień. Nadal posilali się kawałkami serca i dokładali do ogniska, a Achille zebrał potrzebne zioła. Zgarnął połowę rozżarzonych węgli, owinął głowę łoszy liśćmi pałki, dzikiej cebuli i innymi aromatycznymi ziołami i włożył łeb do dołu, narzucił nań węgli i przykrył ziemią.

Gdy skończyli, spomiędzy drzew wyłoniło się dwóch Kri. Powiedzieli, że obozują wraz z rodzinami po drugiej stronie jeziora, łowiąc ryby. Achille zaprosił ich wszystkich na następny ranek na ucztę z łba łoszy.

– Słyszałem o tym przysmaku – powiedział jeden z Kri – ale nigdy go nie próbowałem.

– Jutro rano zjesz coś najlepszego w życiu – odrzekł Achille.

Kri nadeszli następnego ranka, niosąc wszystkie tobołki i suszone tęczowe pstrągi, gdyż tego dnia wyruszali nad następne rybne jezioro. Były wśród nich dwie całkiem ładne dziewczyny i kilku hałaśliwych malców. Achille wyłożył upieczony łeb na dużym kawałku brzozowej kory i wszyscy pochylili się nad tym przysmakiem, by wciągać w nozdrza kuszący aromat. Kuntaw i Auguste usiedli obok dziewczyn Kri i jedli z nimi. Przez następne dni budowali czółna i zjadali powoli łosia, a Kri powędrowali nad inne jezioro.

– Jezioro Łosiego Łba – wymyślił na poczekaniu Auguste.

Achille, Kuntaw i Auguste, obładowani wędzonym mięsem łosia, popłynęli labiryntem wodnych szlaków, przegrodzonych gdzieniegdzie żeremiami, przez które musieli przenosić kosze i czółna lądem. Brzozy stawały się coraz rzadsze, ustępowały miejsca białemu świerkowi. W końcu zabrakło nawet świerków i znaleźli się w krainie małych patyków, karłowatych czarnych świerków i brzóz, a przed nimi roztaczała się nieskończona tundra. Cały ten olbrzymi obszar porastała puszysta arktyczna wełnianka. Auguste nazwał to miejsce Stąpaniem w Bieli. Rósł tu także starzec błotny o włochatych łodygach, a jego kwiaty odbijały żółto nisko wiszące słońce, lśniąc tysiącami nieziemską poświatą.

W tej północnej krainie zgromadziły się miliony ptaków, które przelatywały wcześniej przez ziemię Mikmaków, były tu i kaczki, i gęsi, nury, pardwy, kruki, sowy i wydrzyki ostrosterne. Przez tundrę przemieszczały się stada karibu. Wszędzie widziało się spękane skorupki jaj i niezliczone niedojrzałe jagody. Czasem widywali też daleko niedźwiedzie grizzly. Cały obszar tundry drżał w falach ciepła. Na horyzoncie majaczyły wielkie szare skały, pokryte pomarańczowymi, czarnymi, zielonymi i ochrowymi porostami. Podczas niektórych dni panowało nieznośne gorąco, a gryzące muchy mocno dawały im się we znaki.

– Po prawdzie, ojcze – odezwał się Kuntaw – ta kraina należy do nienasyconych much. Nikt tu nie zamieszka, oprócz ptaków.

– Ale stąpamy po niej i żyjemy – odpowiedział Achille. – Inna rzecz, że gdybyśmy się nie natarli popiołem i tłuszczem, nie przetrwalibyśmy długo.

Gdy wychodzili na brzeg, wokół ich stóp wzbierała czarna woda, a ziemia była grząska. Czółna płynęły wijącymi się szlakami wodnymi, a po każdym zakręcie odsłaniały się przed nimi nowe dziwne widoki. W końcu wczesny mróz, od którego czerwieniały witki wierzb, kazał im zawrócić. W ten sposób dobiegło kresu lato wielkich łowów, które zachowają w pamięci do końca życia, razem z wściekłością i żalem, których nic nie zdoła uleczyć.

Achille zabrał ze sobą ćwiartkę łosia na ucztę z okazji powrotu do domu. Gdy zbliżali się do rodzinnej wioski i rodzinnego *wikoumu*, słyszeli odgłosy rąbania drzew i nawoływania w obcym języku. A potem natknęli się na dwustu angielskich osadników, rąbiących bór i stawiających dom z bali tam, gdzie stał *wikuom* Achille'a. Nikt z nich nie mówił po francusku. Strzegło ich trzydziestu angielskich żołnierzy. Resztki *wikoumu* Achille'a tliły się na ziemi.

– Gdzie jest moja żona? Gdzie moje dzieci? – pytał Achille, rozglądając się wokół gniewnym wzrokiem, a żołnierze wymierzyli do niego z muszkietów. Sześciu wybiegło przed szereg i wyrwało Achille'owi mięso łosia, kopali je po ziemi. Któryś z żołnierzy wypalił, kula otarła się o skroń Achille'a, żłobiąc w niej bruzdę. Nie czuł bólu, czuł gorąco własnej krwi, spływającej po szyi. Przewracając się na ziemię, dostrzegł kątem oka stertę rzeczy, które stały niegdyś w *wikuomie*, a pod tą stertą dłoń i poczerniałe przedramię, spaloną skórę, skręcone od ognia mięśnie. Znał dobrze tę dłoń, bo pieścił ją wiele razy i widział, jak przygotowuje jedzenie. Isobel. Jego żona.

Cała pamięć Achille'a opróżniła się i zapełniła na nowo smrodem spalonej kory *wikoumu*, posłań z niedźwiedzich futer, czułej dłoni zamienionej w przypieczone mięso, bladej jak u trupa twarzy żołnierza, okolonej tłustymi czarnymi włosami, jękiem ścinanych świerków i śmiechem Anglików.

Kuntaw chwycił go za rękę, ciągnął z nierozważną siłą wywołaną strachem.

– Ojcze, wstań! – krzyczał chłopiec. On też dostrzegł obciętą i spaloną rękę matki. – Musimy uciekać! Pozabijają nas!

Achille wiedział, że to prawda, ale pragnął śmierci. Kuntaw i Auguste wyciągali go z lasu, nad ich głowami świszczały kule. Dociągnęli go do *wikoumu* Elphège'a. W taki sposób Elphège dowiedział się, że Anglicy zabili żonę i młodsze dzieci Achille'a, i spalili ich ciała w *wikuomie*. Gdy żona Elphège'a chciała opatrzyć mu ranę, odepchnął ją – wolał cierpieć. Kuntaw płakał, a Achille wyszedł, zataczając się, na dwór. Milczał, ale stawiał mocno kroki. Był odrętwiały, bezładny, próbował uporządkować myśli, przywołując najprostsze widoki, pogodę, chmury, żeby pozbyć się tego, co zapamiętał. Wszystko na nic. Tamta scena wypaliła mu się w głowie na zawsze i już zawsze będzie stał przed swoim spalonym domem. Wszystko roztrzaskane. Wrócił do *wikuomu* i usiadł bez słowa obok brata. Dzień dobiegał końca, zmrok rozmył kształty we wnętrzu *wikuomu* i dopiero wtedy Achille się odezwał schrypniętym przez ściśnięte gardło głosem:

– Anglicy zabili mi żonę i dzieci – powiedział. – Są ich setki. I uzbrojeni żołnierze. Tak jak mówił Sosep.

Bracia siedzieli w milczeniu. Achille zadrżał, serce i wnętrzności ściskał mu ból. Odezwał się drżącym, nienaturalnym głosem:

– Ta kraina, Mikmak, jest obfita i piękna, i z powodu tej obfitości odbiorą ją nam, tak jak powiedział Sosep. Już nie będę polował. Moje życie dobiegło końca. Już nie jestem. Odejdę z ziemi matki. Pójdę na południe. Będę rąbał drzewa w Maine. Splądruję ich ziemię.

– Nie zwrócą na to uwagi. Myślą, że plądrowanie ziemi jest słuszne.

– Masz rację, ale i tak to zrobię.

– Bracie – powiedział Elphège – ruszymy za tobą, jeśli przyjdzie więcej Anglików.

– Przyjdą.

– Ojcze! Ja idę z tobą! – powiedział z przekonaniem Kuntaw. Auguste, który siedział przed *wikuomem*, usłyszał te słowa i krzyknął, że idzie z nimi.

Minęło kilka dni, pochowano zabitych, odprawiono żałobę, odbyto poważne rozmowy i dopiero wtedy Achille wyruszył w drogę z szeroką pręgą nad lewym uchem, na które nic nie słyszał, oprócz jednostajnego wycia. Kazał synowi i Auguste'owi zostać u Elphège'a, póki po nich nie przyśle. Bo najpierw musi znaleźć bezpieczne schronienie. Musi zostać sam, żeby pochować pamięć o tym, co go spotkało. Elphège pomoże Kuntawowi i Auguste'owi. Nikt nie może pomóc Achille'owi.

30

UTRATA DRZEW

Achille powędrował na sporne tereny między Maine, New Hampshire a Nowym Brunszwikiem. Poznał Georgesa Fraude'a, Francuza w średnim wieku z łysym plackiem na potylicy, spod którego opadały falami gęste siwe włosy.

– Dwa dni drogi na południe stąd pracują moi drwale. Dobrze im płacę. Mam też paru Indian, wszyscy mieszkacie w jednym obozowisku. Od razu. – Wciągnął smarki do gardła i splunął na ziemię. – Trzeba pracować szybko. W tych czasach przy każdej wycince stoi tartak. Będziemy rąbać sosny przez całą zimę. – Znów splunął i podciągnął opadające pludry. – Kiedy puszczą lody, chcę spławiać drewno.

Achille podpisał kontrakt.

Drwale rąbali sosny na setkach wycinek. Padały wielkie drzewa. Na karczowiskach wyrastały nowe drzewa, ale ponieważ bór rzedł, jeden gatunek drzew zastępowały na wycinkach inne. Las zmieniał się niepostrzeżenie. Nadal żył, ale nie był już taki jak kiedyś. Nikt tego nie zauważał. Las oznaczał bogactwo i był zarówno wrogiem, jak i źródłem majątku. Z lasem było tak jak z

Mikmakami, myślał Achille: biali osadnicy wykorzystali ich, a potem wycięli.

Szli we czwórkę do obozowiska, wszyscy byli Mikmakami. Na ziemi leżał lekki śnieg. Idąc, słyszeli nawoływania *kookoogwes*. René mówił na te ptaki *chouette*, a Anglicy zmienili to na *saw-whet*. Najmłodszy z nich, Perrine, pracował za pieniądze po raz pierwszy. Nie ma więcej niż osiemnaście zim, myślał Achille. Opiekował się nim jego stryj, Toosh, też z Cape Breton.

Późnym popołudniem odnaleźli szefa obozowiska Fraude'a, niejakiego Aloisa LaGrange'a. Człowiek ten wyglądał jak kloc drewna z samych mięśni, miał pociętą nożem twarz i rzadkie bokobrody. Spojrzał na nich podejrzliwie i pokazał ręką obóz.

Trafili na pełne pniaków karczowisko, stały na nim dwie pozbawione okien chaty z kłód, zbudowane przez drwali. Na dachu pierwszej tkwił komin z konarów, a w jednej izbie w środku znajdowało się palenisko. Achille pochylił głowę, przechodząc pod nadprożem, zrobiło mu się słabo od nieznośnego smrodu białych.

– Wolę spać z wilkami niż z białymi – oznajmił Toosh. Zbudują własny *wikuom* i będą trzymali się razem.

Przed zmrokiem wycięli tyczki na ramę i zdarli płaty kory ze świerków. Wznieśli konstrukcję *wikuomu* w kształcie litery „A" z dala od śmierdzących nor białych. Podparli skośne boki tyczkami. To było ich schronienie. Za kilka tygodni przykryje je izolująca warstwa śniegu.

Ujrzawszy ich nową kwaterę, Alois LaGrange ucieszył się:

– *Bien*! Mniej zachodu z rozdzielaniem zwaśnionych. – Miał na myśli nieuniknione bójki i stracone dni pracy. – Mam dwóch innych Indian, Passamakwodów, lepiej, żeby z wami mieszkali.

W ten sposób, dodał, wszystkie kury znajdą się w jednym kurniku. Achille kiwnął głową. Passamakwodzi są algonkińskimi krewnymi Mikmaków.

W obozowisku mieszkały trzy grupy drwali: ludzie z Maine, Francuzi z Kanady i Indianie. Ludzie z Maine gromadzili się wokół paleniska w chacie, wrzucali różne rzeczy do jednej olbrzymiej patelni, po czym klnąc i dmuchając na poparzone palce, jedli razem prosto z gorącej blachy. Francuzi zakopywali na noc w tym samym palenisku żeliwny holenderski kociołek, wypełniony fasolą. Gdy mieli wieprzowinę, dodawali ją do fasoli. Fasola ładnie pachniała, więc gdy ludzie z Maine nie mogli już tego wytrzymać, kradli żeliwny kociołek, wynosili go do lasu i zjadali zawartość. Pusty żeliwny kociołek znajdowano o milę od obozu, blisko wycinki, na której pracowali. Dochodziło do bójki na siekiery, kamienie, noże. Kiedyś zginął w niej jeden człowiek, ale głodni Francuzi odzyskiwali kocioł. Po bójce zakończonej śmiercią ludzie z Maine odeszli z obozowiska. Z Bangor nadeszła nowa brygada, zaopatrzona w holenderski kociołek i buszel suszonej fasoli.

Indianie przygotowywali posiłki na dworze, na ognisku rozpalanym po zawietrznej *wikuomu*, żeby ognia nie rozwiewał

wiatr. Nie mieli żeliwnych kociołków, ale Passamakwodzi podzielili się ze wszystkimi naczyniami z kory, w których gotowano wodę na herbatę ze świerku. Passamakwodzi mieli w woreczkach chińską herbatę, ale Mikmakowie woleli czubki świerków i brzozową korę. Za dnia, przy rąbaniu drzew, Achille wypatrywał zwierzyny, a czasem odkładał siekierę na godzinę czy dwie i tropił na szczytach wzgórz. Gdy wytropił pod śniegiem legowisko niedźwiedzia, zapolowali na niego w wolną niedzielę. Zamrożone mięso wystarczyło im na miesiąc, a futro rozłożyli na ziemi w *wikuomie*, żeby na nim siadać. Żaden z nich nie znał angielskiego, ale Achille zaczął się uczyć tej trudnej do wymówienia mowy.

Miał kilka siekier, w tym starą, która należała do René. Wiele lat pracy stępiło żeleźce, które coraz trudniej było naostrzyć. Chciał kupić sobie amerykańską siekierę z ciężkim styliskiem, a jeśli wystarczy mu pieniędzy, to dobry topór do ociosywania z wygiętym trzonkiem. Planował te zakupy, gdy Fraude zapłaci mu za zimową pracę. Wspominał ojca i jego niezrównany styl rąbania drzew. Stał wśród wielkich sosen i brakowało mu René, marzył o tym, żeby ścinać z nim drzewa. Każdy drwal rąbie na swój sposób, a René robił to szybkimi, niezbyt mocnymi wymachami ostrej siekiery. Dzięki temu mógł pracować przez wiele godzin i nie czuć zmęczenia. Achille jako chłopiec nie potrafił dotrzymać ojcu kroku.

Z południa nadciągała wiosna. Pewnego ranka na zasapanym koniu nadjechał Georges Fraude, który oznajmił, że natychmiast mają się zająć spławianiem kłód rzeką. Lody puszczały, wystarczy jeden ciepły dzień, a zaczną się roztopy i powodzie. Na wyciągnięcie z lasu czekały setki kłód.

– Zostawcie je! Musicie spławić to, co leży w wodzie! – Pośpiech Fraude'a był zastanawiający i Achille zwrócił na to uwagę w rozmowie z pomocnikiem drwala.

Odpowiedział mu francuski drwal, Leon LaFleche:

– Nie wiedziałeś, że jesteśmy w Nowej Anglii i przez całą zimę rąbaliśmy sosny na maszty, czego robić nie wolno?

– Nic o tym nie wiem. Myślałem, że jesteśmy w tym tam… jak to się mówi… Brunświku.

Leon roześmiał się.

– Właśnie dlatego Fraude'owi tak się śpieszy. Właściciel tego lasu wysłał już pewnie ludzi, żeby zaaresztowali kłody, a Fraude musiał o tym usłyszeć. Właściciele zawsze wiedzą, gdzie rąbiemy, i pozwalają nam na to. Potem w ostatniej chwili aresztują drewno, zanim zepchniemy je do rzeki.

A więc na tym polegała cała sztuczka! Na zepchnięciu drewna do wody! Strumień skręcał na północ do Nowego Brunszwiku, gdzie przy tartakach czekali ludzie Fraude'a. Wyławiali drewno i przerabiali sosnowe maszty angielskiego króla na deski z Nowego Brunszwiku. Fraude darł się bez opamiętania, ponaglając ludzi do szybszej pracy przy toczeniu kłód. Lecz nim do cieku trafiło

trzydzieści kłód, z lasu wypadła banda drwali i zbirów z Bangoru, uzbrojonych w styliska od siekier i łańcuchy. Wybuchła walka. Wojowniczy woźnice wolich zaprzęgów napadli radośnie na drwali Fraude'a. Ludzie z Maine niczego tak nie uwielbiali jak bójek. Drwali było niewielu, a właściciel lasu zgarnął z oberży dziesiątki pijaków, obiecując im sowitą zapłatę za wspaniałą bijatykę. Ci z drwali Fraude'a, którzy umieli pływać, wskoczyli do wody i przedarli się na drugi brzeg.

Właściciel lasu zaaresztował kłody. Fraude nikomu nie zapłacił. Większość Mikmaków ruszyła na północ, ale Achille, który chciał sprowadzić Kuntawa i Auguste'a, nie mógł wrócić do Elphège'a z pustymi rękami. Powędrował więc na południe w poszukiwaniu pracy.

31

CHODŹ ZA MNĄ

Elphège miał już sześćdziesiąt sześć wiosen, prawie nie widział, ale przy ładnej pogodzie siadywał na dworze. Zapach jesieni, szmer woskowych, ocierających się o siebie liści spadających na ziemię, przypominały mu o jaskrawych kolorach tej pory roku. Liście opadły, pierwsze zimowe wichury zmiotły je do wykrotów, a deszcz i świeży śnieg spłaszczyły je na kompost. A potem w lasach zapadła cisza.

Zimą siedział skulony obok ognia, pogrążony w myślach o kolorach i mgłach, polowaniach i wędrówkach, o tym straszliwym dniu sprzed sześciu lat, gdy policzki paliły mu piekące łzy, a on, klęcząc, miał przed sobą bezgłowe ciało Theotiste'a. Brat, choć miał już pięćdziesiąt dziewięć wiosen, został wojownikiem. W sierpniu 1749 roku, gdy Cornwallis, nie zważając na prawa do ziemi Mikmaków, ogłosił Halifax angielską kolonią, czereda Theotiste'a zaatakowała angielskich drwali. Theotiste uciekł biorącym odwet żołnierzom, ale zginął po tygodniu z ręki nieznanego mordercy, który obciął mu głowę jak łowca skalpów.

Elphège układał teraz swoją ostatnią pieśń – pieśń śmierci. Mieszkała z nim córka Noë, Febe, która po śmierci matki zajęła się jej bratem. Czasem zastanawiali się we dwoje, co się stało z Achille'em, najmłodszym z braci, który przed wielu laty wyruszył do Maine rąbać drzewa.

– Kuntaw – powiedziała Febe – Kuntaw go znajdzie.

Kuntaw, po trudnym małżeństwie z Malaan, zostawił żonę i syna Tonny'ego i poszedł na południe szukać ojca.

– Jeśli przeżyje – mruknął Elphège. – Jeśli przeżyje. Wiele złego może mu się przydarzyć, bo Kuntaw jest zawzięty.

– Nie tak zawzięty jak Auguste.

Auguste spędzał dużo czasu wśród Anglików. Łamał angielskie prawa, pił whiskey, trafiał do więzienia, obrywał, ale pozostawał zawzięty. Anglicy nazywali go Indiańskim Postrachem, czym się szczycił.

– Kiedyś cię zabiją – ostrzegał go Elphège.

– Nie. To ja pozabijam ich – mówił Auguste.

To prawda, co jakiś czas znajdowano utopionego w jeziorze za miastem Anglika, co jakiś czas morze wyrzucało na brzeg angielskiego trupa, którego obrzmiałe od wody ciało było pocięte nożem. Dzieci wchodziły do lasu i nigdy z niego nie wracały, ich kości i rozłupane czaszki znajdowano po latach. Nikt nie wiedział, kto za to odpowiada, a Elphège wolał o to nie pytać.

Bawiło go to, że wraz z wiekiem zaczęto uważać go za mędrca, a nawet *sagmaw*. Wielu przychodziło do niego pytać, jak powinni

postąpić, gdy angielska kobieta oblała wrzątkiem małego żebrzącego o chleb Mikmaka. Inni prosili nawet o magiczne zaklęcia. Największą przykrość sprawiał mu widok wygłodzonych, kręcących się wokół Anglików Mikmaków, żebrzących o pracę lub chleb. Na świecie zostało już niewielu Mikmaków, a każdy z nich cierpiał z powodu chorób, głodu i smutku. Umierali hurtowo, bo chcieli umrzeć.

Mijały lata, a Achille nie zdołał wrócić na północ do swoich. Trzymał się od wszystkich z daleka. Cieszył się uznaniem jako dobry drwal. Zbiry z obozowisk nie zaczepiały go. Bo gdy musiał walczyć, walczył bezwzględnie i ze złowrogim chłodem. Pewien człowiek, który zaszedł go od tyłu w lesie i chciał zdzielić go pałką w potylicę, tryskał krwią z kikuta obciętej ręki, który uderzył w ziemię, zanim człowiek ten zdążył się zamachnąć. Inny, który podkradał się w nocy z płonącą głownią, żeby spalić *wikuom* Achille'a, skończył osmalony na czarno i nikt nigdy się nie dowiedział, jak do tego doszło, że spalony trup doszedł do progu chaty drwali. Nowo przybyłych do obozowiska ostrzegano, żeby nie wchodzili w drogę złowrogiemu Indianinowi, który stał się ucieleśnieniem spragnionych krwi dzikich, masakrujących pierwszych osadników.

Kuntaw usłyszał te opowieści, podążając od obozu do obozu na południe, gdy zostawił Malaan i Tonny'ego w krainie Mikmaków. Najął się jako pomocnik drwala w Duquet et Fils. Znalezienie

sosnowych lasów na zboczach dolin, którymi płynęły rzeki, stało się niemal niemożliwe, więc pomocnicy drwali pracowali latem, wznosząc zapory na najwęższych strumykach. A lasy były niebezpieczne. Choć Cornwallis poddał się Amerykanom, walki, zasadzki i potyczki trwały nadal. Ludzie mieli ochotę do wyrzynania się nawzajem.

W obozowiskach drwali w Maine było wielu Indian, a do Kuntawa dochodziły słuchy o Indianinie nazywanym Sheely. Przypuszczał, że owym Sheelym może być jego ojciec, Achille. Ten Sheely był dobrym myśliwym i drwalem. Kuntaw dowiedział się, że Sheely pracuje w stanie Jork i ścina sosny nad rzeką Raquette. Postanowił pójść tam wiosną. Droga, jak mu się wydawało, zabierze dwa tygodnie. Może wstąpi do brygady Achille'a? Ojciec bardzo by się zdziwił! Może wrócą razem do krainy Mikmaków, spławiwszy kłody do Montrealu. Będą mieli zapłatę i mogą popłynąć dalej statkiem handlowym, póki rzeka na to pozwoli.

Wiosna roku 1758 nadeszła nadzwyczajnie szybko: jednego dnia śnieg był zamarznięty i szło się po nim wygodnie, a następnego wszędzie leżała breja i błoto. Las bulgotał i ciurkał. Kuntaw szedł powoli, a gdy dotarł nad rzekę, Francuzi toczący kłody do czarnego potoku, powiedzieli mu, że Sheeley popłynął z pierwszymi spławionymi balami.

– Ty, Indianin, szukaj go w Montrealu – radzili, śmiejąc się pod nosem. – Albo w Nouveau Brunswick. Albo na Terre-Neuve. Albo w *l'enfer*!

Nagle ta pogoń za ojcem wydała mu się głupia. Odwrócił się na pięcie i poszedł z powrotem do Maine. Było dość czasu, żeby nająć się do roboty przy wiosennym spływie. Odnalezienie Achille'a nie było mu pisane.

Miesiąc później znalazł się na zachodnim brzegu zatoki Penobscot w Catawamkeag, gdzie brygady ładowały drewno na statki. W okolicy działało kilka stoczni, stawały domy białych, stał już jeden wielki dom z bali, a dalej znajdowała się osada niedobitków Penobscotów. Szedł ulicą wzdłuż zatoki, podążając za pięcioma czy sześcioma drwalami, zmierzającymi do oberży, w której pili flisacy, budzący się następnego dnia bez grosza przy duszy i z dziurą w pamięci.

Kuntaw czuł się tu doskonale. Był silny, miał zahartowane muskularne ciało. Poczuł ulgę, wyrzekłszy się poszukiwań ojca. Może kiedyś się odnajdą, a tymczasem on nacieszy się życiem i krzepą. Szedł żwawym krokiem, rozglądając się na prawo i lewo, chłonąc nowe widoki. Po sześciu miesiącach w lesie nawet tak licha osada jak Catawamkeag przypominała metropolię.

– Ty! – zawołał po angielsku wysoki schrypnięty głos. – Do ciebie mówię, Indianin!

Odwrócił się i spojrzał za siebie. Na kasztanowym koniu siedziała młoda kobieta, która wskazywała go palcem. Domyślił się, całkiem słusznie, że ma nie więcej niż osiemnaście wiosen – jest prawie dwa razy młodsza od niego.

– Podejdź tu – poleciła stanowczo.

Zawahał się, lecz w końcu wzruszył ramionami i podszedł do konia. To było piękne i na pewno kosztowne zwierzę, zupełnie niepodobne do pociągowych perszeronów, ściągających ścięte kłody na pomosty nad rzekami. Przystanął parę metrów od konia i spojrzał na dziewczynę. Była elegancka, miała na sobie czarną, obszytą czerwono pelerynę. Coś w jej smagłej twarzy powiedziało mu, że płynie w niej indiańska krew.

– Chcesz trochę zarobić? – zapytała, popychając konia bliżej. Uniosła głowę, wciągając w nozdrza jego zapach: dymu, mięsa i sosnowego paku.

Wzruszył ramionami.

– Co trzeba zrobić?

– Porąbać drewno, oczywiście. – Wysławiała się bardzo starannie. – Masz siekierę. Wiesz chyba, jak się rąbie drewno na opał?

Kiwnął głową.

– Wiem.

– Potrzebuję cię, Indianinie. Chodź za mną.

Beatrix Duquet zawróciła konia i z wdziękiem ruszyła stępa w stronę wielkiego domu. Musiał przyśpieszyć kroku, żeby za nią nadążyć. Widząc jej długie rozkołysane włosy, białe obcasy bucików, był oczarowany, a zachwyt ten obmywał go jak ciepły deszcz. Więc w swojej trzydziestej wiośnie Kuntaw rozpoczął

najdziwniejszą część życia, wytaczając się nagle z sękatego lasu na rozświetlony gościniec.

Czy dzieci i wnuki René Sela nie były takie jak on? Czy nie spadały jak liście na płynącą rzekę, która porywała je i niosła z nurtem?

IV

PRZECIĘTY WĄŻ

1756–1766

32

POGRZEB

W dniu pogrzebu starego Forgerona – a był to niezwykle ciepły dzień, jak na połowę listopada w Bostonie – niebo zakrywały częściowo niezbyt gęste chmury. W kościoła w pierwszych ławkach siedziało kilkunastu starszych dżentelmenów, opłakujących geodetę, dzięki któremu dorobili się majątku na lasach. W końcu trzej bracia Duke – Jan, Nicolaus i Bernard – oraz ich księgowy Henk Steen wynieśli jasną sosnową trumnę, wypolerowaną i polakierowaną na niemal szklany połysk. Był to bardzo elegancki i stosowny sarkofag dla człowieka, który przez niemal czterdzieści lat życia mierzył *Pinus strobus*. Jan modlił się w duchu, żeby Bernard się nie potknął i nie upadł. Powinien tu być Outger, najmłodszy z braci, ale odmówił przyjazdu z domu nad zatoką Penobscot, odmówił oddania wielkiego stołu z pojedynczej deski z największej sosny, jaką kiedykolwiek ściął Duquet. Stół ten powinien znaleźć się w Bostonie w sali zgromadzeń rady.

– Potrzebny mi jest do pracy – upierał się zawzięcie Outger.

– A jakaż to praca? – zapytał Bernard, wbijając oczy w sufit. Uznawał Outgera za imbecyla. Pojawiały się pogłoski, że często

odwiedzają go Indianie. Niczego nie można mu było powierzyć, oprócz corocznych dywidend. Mimo to powinien tu być.

Kazanie w kościele wlokło się przez dwie godziny, ale na cmentarzu wszystko poszło raz-dwa. Wzmagający się wiatr marszczył mlecznobiałe chmury na niebie. Nicolaus przestępował z nogi na nogę w wypastowanych, błyszczących jak nowe podkowy butach. Wiatr zmienił kierunek na północny i przepędził resztki ciepła. Bracia spojrzeli porozumiewawczo na siebie. Pogodowa klątwa Forgerona! Raptowny chłód ponaglał pastora. Opuścili trumnę do ciemnego dołu i rozległy się ostatnie słowa: „Niechaj spoczywa w pokoju".

Bracia i chudy jak szkielet Henk Steen – jeden z wielu holenderskich protegowanych i jedna z wielu holenderskich sierot, które przez lata znalazły zatrudnienie w Duke i Synowie – wyszli z cmentarza. Najzdrowsi z żałobników przeszli jedną grupą do domu Nicolausa Duke'a, maszerując środkiem ulicy, gdzie nie było wybojów.

– Chodź z nami, Henk – Nicolaus zapraszał trzymającego się nieco na uboczu księgowego. – Razem pożegnamy starego.

Pośród braci Nicolaus był najlepszym dyplomatą. Nauczył się sztuki przekonywania i perswazji od swego dziada Pieta Roosa, z którym pływał do Chin i Japonii. Ciemne niegdyś włosy Nicolausa – gdy nie nosił peruki – były już mocno przyprószone siwizną, a jego twarz i szyja opuchły od tłuszczu, choć nadal poruszał się bez trudu, inaczej niż Jan i Bernard.

Ciepłe popołudnie sprawiło, że żaden z nich nie włożył grubszego odzienia. Przeszli szybko obok zalesionej parceli – dużego ogrodu ściętego zeszłotygodniowym mrozem – a ich oczom ukazało się ciepłe światło świec w oknach domu Nicolausa. Przez pofalowaną szybę widzieli krzątającą się żonę pana domu, Mercy, żonę Bernarda, Birgit, oraz młode pauniskie niewolnice, biegające z tę i z powrotem z wazami i dzbanami. Bernard sprowadził Paunisów, indiańskich niewolników, z Ville-Marie.

W drzwiach do salonu, gościnnie otwartych, stała witająca przybyłych Mercy. Na środku pokoju leżał orientalny dywan, na którym stał długi stół ze srebrną zastawą, sztućcami i kieliszkami na giętych nóżkach. W kominku płonęły aromatyczne bierwiona – Steen uznał, że pali się w nim sandałowcem, drzazgami z orientalnych zdobyczy Charlesa Duqueta. Salon rozświetlały woskowe świece w mosiężnych lichtarzach, a ich migotliwe płomyki odbijały się w wielkim tremo między oknami. Steen spojrzał na tuzin wyścielanych krzeseł z czarnego orzecha – tak wiele, taki tu dostatek!

– Proszę wchodzić, szanowni goście, wchodźcie, drodzy panowie – zapraszała Mercy, kierując ich ku ciepłemu wnętrzu. Miała na sobie szarą jedwabną *sequel*, marszczoną w ramionach, pod spodem czerwony stanik i spódnicę, a do tego długą, schludną perukę. Często cierpiała na bolesne migreny, które odsyłały ją do sypialni, więc modliła się w duchu, żeby atak nie przydarzył się tego wieczoru. Jej dzieci – Patience, Piet i Sedley – mieszkały w

pobliżu, a obaj synowie pracowali już w rodzinnym interesie. Patience wyszła za szkutnika, Jeremiaha Deckbolta.

Henk Steen ociągał się w holu, przypatrując się bogatemu wnętrzu i garderobom gości. Czuł się tutaj nieswojo i tęsknił za maleńkim zimnym pokoikiem, który zajmował, ale Nicolaus włożył mu do ręki metalowy kufel parującego cydru, doprawionego rumem. Mercy wskazała mu zimne mięso w kawałkach oraz słynny, przyrządzany przez Birgit sos chrzanowy – tak piekący, jak mówiła, że sam diabeł by go nie przełknął. „Trudno uznać to za zachętę do spróbowania", mruknął pod nosem Steen i cofnął rękę. Poczęstował się marcepanowym ciasteczkiem. Bierwiona na kominku trzaskały i rozmawiały ze sobą. Tak, pomyślał Steen, Nicolaus Duke żyje na wysokiej stopie. Bo dlaczegóż by nie, jeśli sprzedaż drewna Duke i Synowie wzrasta, a tartaki przerabiają je na deski, klepki do baryłek i beczek, boazerię, gont, maszty, reje i bukszpryty, a z resztek wznosi się groble. Wszyscy bracia Duke wiedli dostatnie życie, z wyjątkiem tego dziwaka Outgera, który zamknął się w domu ojca nad zatoką Penobscot i którego Steen nigdy nie widział, choć wyobrażał go sobie na podobieństwo kraba pustelnika, ściskającego w garści tarninową laskę. Marcepanowe ciasteczko stanęło mu w gardle, zastanawiał się nawet, czy nie wybiec na dwór…

Mercy rozglądała się po salonie, żeby sprawdzić, czy wszyscy dostali kieliszek, krzesło, czy mają towarzysza do rozmowy. Mówiąc szczerze, żałowała, że nie pojawiło się inne towarzystwo. Sami starcy z udziałami w lasach! Bardzo chciała gościć u siebie (i być przyjmowana przez) bogate bostońskie rody powiązane z marynarką handlową, a nie armatorów kutrów rybackich, którzy w czasach jej rodziców uważali się za *crème de la crème*. Zastąpiły ich rody zajmujące się marynarką handlową, wznoszące w mieście najwspanialsze domy. Mercy często plotkowała o nich zazdrośnie z żoną Jana, Sarą. Żaden z Duke'ów nie gościł nigdy na ich kolacjach czy wieczorkach. Mercy zwierzyła się Nicolausowi, że marzy o wydaniu wielkiego przyjęcia, na które mogłaby zaprosić te szacowne rody, na co Nicolaus odpowiedział:

– Lepiej nie, moja droga. Nie chcesz chyba, żeby traktowano nas jak parweniuszy. – Co za ohydne słowo!

Bernard i jego tyczkowata, duńska czy norweska, żona, Birgit, stali w rogu, rozmawiając z Joabem Hitchbonem, który był nawet starszy od zmarłego Forgerona. Birgit mówiła ze swoim dziwnym akcentem, uśmiechała się i kiwała głową.

Jakimż wstrząsem okazał się dla wszystkich powrót Bernarda z Birgit z któregoś z bałtyckich czy skandynawskich krajów – nikt nie wiedział za dobrze, z którego. Birgit wyznała kiedyś Mercy, że urodziła się nieopodal wielkiego dębu *Kongeegen* w Danii. Wstrząs był tym większy, że Bernard wyrósł na bardzo przystojnego młodzieńca o falujących włosach i kobaltowo niebieskich oczach.

Jego oblicze sprawiało wrażenie nieustannie uśmiechniętego, a wrażenie to wzmagał pieprzyk na lewym policzku. Kornelia, przybrana matka braci, wyobrażała sobie, że Bernard jest owocem romansu francuskiego arystokraty ze śliczną krawcową. Nadal był przystojny, choć już wyłysiał, a ostro zarysowaną żuchwę zastąpiły obwisłe policzki. I okulał. Nikt nie pojmował, co zafascynowało go w Birgit, ale ich małżeństwo, choć bezdzietne, trwało już blisko trzydzieści lat. Birgit prowadziła porządny i zasobny dom. Dużo czasu spędzała w kuchni, nie chcąc zostawiać gotowania niewolnicom. Mimo krynolin samodzielnie mieszała, przypalała i piekła. Jej słodkie budynie cieszyły się wielkim wzięciem.

Sara, jedynaczka bogatego importera melasy i cukru Jamesa Pickeringa, była prawdziwą pięknością o ciemnych lśniących włosach i obezwładniających kasztanowych oczach. Zamieniła krynoliny na sztywne halki, które wydymały spódnice wokół kostek, ukazując różowe jedwabne pończochy, co było niespotykane wśród kobiet po pięćdziesiątce. Jej najstarszy syn, George Pickering Duke, wrócił właśnie ze studiów prawniczych w Inns Court w Londynie. George przez lata bronił się przed podjęciem tych studiów, czując powołanie do żeglugi – nie jako oficer, ale zwykły majtek – i odkrywania obcych lądów.

– George – tłumaczył synowi Jan – nasze interesy wymagają tego, aby zasiadł wśród nas wykształcony prawnik. Zapewnisz sobie dochody, a w późniejszych latach będziesz mógł zwiedzać

świat wygodniej niż przy szorowaniu pokładu. Zapytaj Bernarda, jak wygląda takie życie.

George rzeczywiście zapytał wuja Bernarda o życie na morzu, a wuj z przyjemnością zmroził mu krew w żyłach opowieściami o tajfunach, topielcach za burtą, równikowej ciszy, niekończącej się harówce, hałaśliwych portach oraz kapryśnych i okrutnych kapitanach. George Pickering Duke dał się przekonać wujowi i sięgnął po przygody w książkach.

Bernard rozmawiał teraz z Joabem Hitchbonem, a obok stał młody Piet.

– Stary Forgeron byłby uradowany, widząc rano tak dobrą pogodę.

Hitchbone siorbał śmietankę ubitą z żółtkami i winem.

– A jak wam idzie produkcja paku? Nadal podróżujecie do sosnowych lasów w Karolinach?

Bernard skrzywił się.

– Już nie. Zawsze wolałem prowadzić interesy w Quebec. Nadal prowadzimy wyręby na północy. A jeśli chodzi o Karolinę… – Bernard dotknął ramienia bratanka – …młody Piet wziął na siebie ten obowiązek. Zatrudnia dwustu czarnych niewolników, a jego pak i smoła są najwyższej jakości. To udane przedsięwzięcie, mimo restrykcyjnych angielskich praw.

– Za kilka dni wracam na plantację – oznajmił Piet, ale starsi mężczyźni nie zwrócili uwagi na jego słowa.

– Forgeron… – zamyślił się Hitchbone – …był dobrym człowiekiem, ale miewał, jak wiecie, osobliwe pomysły. Żywił i francuskie, i angielskie przekonania, a to wybuchowa mieszanina!

Bernard uniósł brwi.

– Może nie wiecie, panie, ale Forgeron urodził się w Ostendzie, a nie we Francji. To on namówił naszego ojca do interesów z Niderlandami. Ojciec zawsze powtarzał, że Holendrzy mają wrodzony talent do kształtowania terenów. To wyjątkowy talent, mówił, który kształtuje takich mierniczych lasów jak Forgeron.

Ale stary Hitchbone obstawał przy swoim:

– Gardził marnotrawstwem przy wyrębie: tymi, którzy zabierają same powalone pnie i palą resztę. Był oszczędny w gospodarowaniu.

– Och, prawdą jest, że wzbudzał kontrowersje – zgodził się Bernard. – Dobrze pamiętam jego nauki. Uważał, że ludzie, stając w obliczu jakiejkolwiek obfitości, czują potrzebę zagarnięcia wszystkiego, a następnie zniszczenia i zrujnowania tego, czego użyć nie mogą.

Stary Hitchbone zerknął na Bernarda.

– Ha! To tak, jakbyśmy rzucili się na stół gospodarza, pochłonęli wszystkie przysmaki, a całą zastawę wrzucili do pieca?

– Ufam, że niewielu z nas czuje taką potrzebę – odrzekł Bernard.

– To tylko przykład pomysłów Forgerona! Ja natomiast wolę pamiętać, że w Biblii napisane jest: „I Bóg im rzekł: Rośćcie i

mnóżcie się, i napełniajcie ziemię, a czyńcie ją sobie poddaną: i panujcie nad rybami morskiemi, i nad ptastwem powietrznem, i nade wszemi zwierzęty, które się ruchają na ziemi, i nad wszelkim zielem rodzącym nasienie na ziemi, i wszystkimi drzewami, które same w sobie mają nasienie rodzaju swego, aby wam były na pokarm”[11]. Tu, w Nowej Anglii, ma się rozumieć, jest taka obfitość dzikiej przyrody, że jej zasoby są niewyczerpane, już to ryby, już to futra, ziemia czy lasy.

Bernard nie poprawiał błędnego cytatu Hitchbone’a, który słynął z tego, że naginał Pismo do własnych potrzeb.

– Jeśli mamy tu taką obfitość wszystkiego, jak mówicie, panie, to jak wytłumaczycie brak drewna na opał w Bostonie i jego nieustannie wzrastającą cenę? To akurat nikogo nie martwi w Duke i Synowie, ale sprawia, że ludzie uciekają z miasta.

Stary Hitchbone nie chciał dać się wciągnąć w rozmowy o polityce, przyglądał się resztkom słodkiej śmietanki w miseczce.

– To wina Indian – oznajmił wreszcie. – Indianie to nasz problem. Nie używają ziemi, jak należy, łażą tylko w tę i z powrotem i polują. A Pismo mówi wprost, żeby używać ziemi. A tutaj jest jej tyle, że każdy może robić na niej, co mu się żywnie podoba i ruszać dalej. A Indian nie da się przekonać do właściwego używania ziemi: do karczowania, uprawiania, obsadzania i zbierania. Do hodowania na niej zwierząt. Do wydobywania z niej kopalin. Do czerpania drewna. Mówiąc

krótko, to dzicy, nieznający cywilizacji ludzie. I wrogowie chrześcijan.

Bernard pochylił głowę, nie chcąc wdać się w polemikę, choć dawno doszedł do wniosku, że wojna króla Filipa[12] nie była kaprysem Indian. Walczyli jak wściekłe psy, żeby ocalić i zachować swoją ziemię, ale przegrali. Dlaczego polowanie i zbieranie jagód nie jest „używaniem" ziemi? Zachował te wątpliwości dla siebie.

– No cóż, drogi panie, Forgeron skalpował Indian dla nagrody, ale miał indiańskich przyjaciół. Nie raz i nie dwa powtarzał, że do upadku Nowej Francji przyczynił się handel futrami, który przyciągał najlepszych i najzdolniejszych mężczyzn z kolonii, przez co upadły przedsiębiorczość i rozwój.

– Coś w tym pewnie jest – przyznał stary Hitchbone. – Choć, jeśli mi wolno zauważyć, ich największym nieszczęściem była przewaga papistów. I małe zaludnienie, choć mnożyli się jak króliki.

Bernard nie zwrócił na to uwagi i mówił dalej:

– Był od zawsze człowiekiem przeciwieństw. Domagał się, żeby Duquet et Fils nie rezygnowali z handlu futrami, dlatego wciąż go prowadzimy na niedużą skalę. Uważał, że po zwycięstwach wojskowych handel się ożywi.

– Mówią, że w dolinie rzeki Ohio aż się roi od bobrów. Jeśli Anglicy zdobędą Nową Francję, bo te zwycięstwa wojskowe macie na myśli, panie, handel futrami może znów przynosić dochód.

– Owszem, Forgeron miał własne zdanie w wielu sprawach, co sprawiało, że niezbyt go lubiano w towarzystwie. Ludzie nie czuli się przy nim pewnie i to nie tylko dlatego, że ściągał pioruny i wichry. Ale nikt inny poza nim nie znał tak dobrze lasu i Indian, i nikt tak jak on nie umiał ich sobie podporządkować. Przeto w tej postaci najlepiej uwidoczniła się podwójna natura człowieka.

– I bardzo na tym skorzystał – podsumował Hitchbone, który sam skorzystał na tym nie mniej od Forgerona.

– Ojciec tylko raz wpadł we wściekłość z jego powodu. Rozmawiali o Wentworthach i Forgeron miał czelność powiedzieć ojcu, że on, ojciec, nigdy nie znajdzie się w annałach kupieckiej arystokracji, bo Wentworthowie mają koneksje na dworze i wiedzą, jak poruszać się w najwyższych kręgach. Na Boga, nigdy nie widziałem ojca w takiej furii jak wtedy!

Hitchbone uśmiechnął się pod nosem i wrócił do tematu Wentworthów:

– Pamiętam, co wasz ojciec zwykł mówić o starym Wentworcie: „W stosownym czasie powinie mu się noga". Księga Powtórzonego Prawa.

Bernard roześmiał się.

– Jeszcze mu się nie powinęła. A to przebiegły i pozbawiony skrupułów człowiek.

– Forgeron zgromadził znaczny majątek, ale, co zawsze mnie dziwiło, żył jak dziki Indianin, żywiąc się dziczyzną i kukurydzą.

No i umarł samotny… – przyciszył głos. – Zastanawiam się, kto po nim dziedziczy…

Bernard uniósł brwi. Zignorował tę ostatnią kwestię. Wszyscy zgromadzeni w salonie umierali bez wątpienia z ciekawości, komu Forgeron zapisał spadek – nie pościel, nie kury nioski i nie krzesła – ale udziały w lasach.

– Może nie był samotny. Słyszałem, że miał tuzin indiańskich nałożnic. Przynieść wam jeszcze śmietany?

– Moi drodzy panowie – odezwała się Birgit, podchodząc do rozmawiających – słodka śmietana z żółtkiem już się prawie skończyła, ale poczęstujcie się ciastem z klonowym kremem. Piet, drogi chłopcze, chodź ze mną, zamiast stać tu jak kołek przy tych szepczących sobie na ucho dżentelmenach. Chcę cię komuś przedstawić.

Joab Hitchbone po raz któryś z rzędu doszedł do wniosku, że żona Bernarda ma wyjątkowo miły i łagodny głos – głos niewinnego dziewczęcia, a nie twardej matrony, którą w istocie była.

Gdy indiańskie niewolnice posprzątały ze stołu, panie ruszyły za Mercy do saloniku, w którym stały orientalne krzesełka w kształcie zwierząt oraz cztery czy pięć małych stoliczków, rozrzuconych między nimi jak sadzawki. Panie usiadły przed kominkiem, pijąc chińską herbatę i plotkując ze śmiechem, że papista, Duc de Richelieu[13], zaprosił na obiad gości w dezabilu.

– A do tego, jak słyszałam – opowiadała Birgit – po swoim wiosennym „triumfie”, jeśli wolno tak to nazwać, nad Anglikami pod Port Mahon, jego kucharz wymyślił przepyszny sos z oliwy z oliwek i żółtek. Książę nazwał ów sos *mahonnaise*.

Panie wymieniały się żarcikami o gościach w dezabilu i przybranych sosem potrawach.

– Stół był dziś przepiękny, droga Mercy – pochwaliła bratową Birgit.

– Phi! Nie mogę się równać z twoimi wybornymi zastawami. Te błękitne talerze ze złotym obramowaniem!

– Jesteś zbyt uprzejma, moja droga. Ale skoro już o tych talerzach mowa, to cztery z nich zbiły się w drobny mak podczas tego zeszłorocznego, niespodziewanego trzęsienia ziemi. A my sami o mało nie powypadaliśmy z łóżek! Powiedziałam wtedy Bernardowi, że jeśli tak wyglądają uroki Nowej Anglii, wolałabym mieszkać w kraterze Chimborazo! Do tej pory nie rozumiem, jak to się stało, że wstrząsy z Cape Ann zniszczyły pół Bostonu.

Mercy westchnęła i odpowiedziała:

– Obawiam się, że przyjdzie nam ponieść jeszcze więcej kar, jeśli ludzka nieprawość nie przestanie gniewać Wszechmogącego.

Przyjęcie trwało w najlepsze, gdy Mercy uniosła dłoń do skroni i ciężko westchnęła. W końcu zdecydowała się powiedzieć głośno to, o czym wszyscy wiedzieli:

– Moje drogie, wydarzyło się to, czego się obawiałam.

Kazała niewolnicy przynieść zimną wodę i proszek.

– Muszę udać się na spoczynek – oznajmiła i wycofała się do pokoiku na tyłach, gdzie pachniało korzeniem kosaćca i gdzie zazwyczaj dochodziła do siebie. Wcześniej pożegnała się cicho ze wszystkimi.

– Biedna Mercy – szepnęła Sarah. – Te migreny to prawdziwy krzyż Pański. Wielka szkoda, że rozbolała ją głowa po tak udanym wieczorze.

– I tylu przygotowaniach! Mamie doprawdy brakuje sił na to wszystko – oznajmiła Patience, wskazując salon i zastawę.

Goście, uznając migrenę gospodyni za sygnał do wyjścia, opuszczali dom pojedynczo i parami. Nicolaus ściskał im dłonie, przepraszał w imieniu żony i zapraszał wychodzących do ponownych odwiedzin przy bardziej sprzyjającej okazji. Księgowy Henk Steen ukłonił się, uśmiechnął nieśmiało i ukłonił ponownie, cofając się ku wyjściu. Nicolaus spodziewał się niemal, że dygnie jak panienka.

– Pokój temu domowi i jego słodkiej śmietance – mamrotał pod nosem Joab Hitchbone, schodząc niepewnie po schodach.

---

[11] Parafraza według: *Biblia, to jest Księgi Starego i Nowego Testamentu*, tłum. x. Jakub Wujek.

[12] Konflikt zbrojny Indian Północnoamerykańskich pod dowództwem Metacoma (nazywanego „królem Filipem”) z angielskimi kolonistami, trwający w latach 1675-1676 i kończący dobre relacje kolonistów z rdzenną ludnością Ameryki [przyp. tłum.].

[13] Armand de Vignerot du Plessis, książę de Richelieu – marszałek Francji i dyplomata [przyp. tłum.].

33

INTERESUJĄCA SPRAWA

Niemal wszyscy goście spoza rodziny odeszli, z wyjątkiem Jamesa Pickeringa – teścia Jana o wydatnej klatce piersiowej, słynnego niegdyś przemytnika melasy – oraz sędziego Louisa Bluzzarda. Sędzia nosił zbyt obcisłe spodnie, podkreślające jego męskie przymioty, co było dosyć niesmaczne, zważywszy na jego wiek.

– Panie sędzio, pokażcie moim braciom ten obrazek – zwrócił się do Bluzzarda Jan, stukając paznokciami w kieliszek rumu. Jan był tym z braci, który negocjował i podpisywał umowy i kontrakty z kupcami. Opracowywał złożone plany transportu. Miał również za zadanie łagodzić wszelkie spory wynikające z działalności spółki Duke i Synowie, po części dlatego, że miał beznamiętny charakter osoby, która o nic nie dba, co często brano za obiektywizm. Prywatnie Jan posłałby pod topór wszystkich rojalistów.

Sędzia podał do najbliższych rąk mocno podniszczony numer „Pennsylvania Gazette” z poprzedniego roku. Na jednej ze stron widniała ilustracja, ukazująca przeciętego na wiele części węża.

Każda z części węża nosiła nazwę jeden z angielskich kolonii. Pod nimi widniało motto: PRZYSTĄP LUB ZDYCHAJ.

– W tych czasach wszystko można wyczytać w gazetach – mruknął George, przewracając oczami.

– Ha! – zawołał Nicolaus. – To ten jegomość Franklin! Znałem jego brata Jamesa. Ich ród słynie z buntowniczych zapędów. Ben jest znów w Bostonie albo w Connecticut, ale zaręczam wam, że ten zjednoczony kolonialny wąż nigdy nie ożyje. Mieszka tu zbyt wielu Anglików do szpiku kości, choć urodzili się w koloniach. A poza tym kolonie tytoniowe bardzo się różnią od kolonii leśnych i rybackich.

Spółka Duke i Synowie przez dziesięciolecia balansowała z powodzeniem między przywiązaniem do Francji a ambicjami nowych, urodzonych w Ameryce udziałowców. Teraz jednak pogłębiały się różnice zdań.

Młody Piet poważył się na komentarz:

– Leśne ustawodawstwo korony, które nam narzucono, wbiło klin między kolonistów a Anglię, czyż nie? – Starsi dżentelmeni nie zwrócili uwagi na ten komunał.

James Pickering wypiął pierś w jedwabnej fioletowej kamizelce i przemówił:

– Przypomnę wam, drodzy przyjaciele, że przed stuleciem nasze miasto dało schronienie dwóm królobójczym sędziom[14]. Wszędzie wokół znajdzie się lojalistów, ale serca mieszkańców kolonii pragną niepodległości i brzydzą się monarchią i jej

poplecznikami. To nic nowego. Ustawodawstwem leśnym brzydzą się wszyscy amerykańscy ludzie interesu, czyż nie? – Odwrócił się i splunął z wdziękiem do ognia.

– Ta skomplikowana sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej z dnia na dzień – oznajmił Jan. – Louis, powiedz panom to, co od ciebie usłyszałem.

– A, tak. Właśnie miałem zamiar to zrobić. Otóż angielskie plany najazdu zwiększają ryzyko wywłaszczenia waszych dóbr leśnych w Quebeku. Jeśli odbiorą Quebec, odbiorą wam wasze lasy. – Sędzia zerknął ukradkowo na Bernarda. Uważał, że za bardzo sprzyja francuskiej Kanadzie.

– Niewykluczone – odrzekł Bernard. – Ale pamiętajcie, że w Nowej Francji jest liczne pospolite ruszenie. Tamtejsi ludzie są dobrze przeszkoleni wojskowo i mają wsparcie Indian. Gubernator generalny Pierre de Rigaud de Vaudreuil jest, jak słyszę, inteligentny i zna swój kraj. Słyszałem też, że ten Montcalm[15] walczy w europejskim stylu: oblężenia, sztywne linie frontu, zupełnie inaczej niż Braddock[16]. Ale w Nowej Francji pospolite ruszenie umie kryć się w lasach, zupełnie jak Indianie.

– Podobnie jest teraz tutaj – mruknął sędzia z lekkim niesmakiem. – Ci francuscy mieszańcy nie są chlubnym wyjątkiem w uzdolnieniach wojskowych. Ale strzeżcie się, panie, gdyż w Bostonie jest wiele domów, w których wasze sądy zabrzmią jak zdrada stanu.

Bernard zignorował ten przytyk.

– Mówi się, że Montcalm i Vaudreuil nie znoszą się nawzajem i otwarcie to okazują. – Westchnął. – Gdy Francuzi pokonali i zabili Braddocka, wydawało mi się, że będzie z tym koniec…

Sędzia pokręcił głową i wydał z siebie szczekliwy śmiech. Spojrzał wyzywająco na Bernarda.

– Jestem odmiennego zdania. Głęboko wierzę, że Anglia zdobędzie Nową Francję za pomocą sił kolonialnych, choćby to miało trwać całą wieczność! Bitwa nad Jeziorem George z września zeszłego roku dowodzi dzielności tych sił. – Mówił zaczepnym tonem.

Jan uznał, że to najlepsza pora, żeby zadać pytanie:

– George, studiowałeś prawo, więc co sądzisz o tej skomplikowanej sytuacji? Komu powinniśmy sprzyjać jako Duke i Synowie? Francji czy Anglii?

– Gdybyż to było takie proste! – zadumał się Bernard.

– Podczas moich studiów prawniczych kwestie tego rodzaju nie były omawiane, wszakże dyskutowaliśmy je w niewielkim gronie przybyszów z kolonii. – George wypiął lekko pierś.

– I do czego doszliście? – Bernard przypuszczał, że studiujący w samym sercu Londynu prawo młodzi przybysze z kolonii opowiedzieli się nieugięcie za wieczną lojalnością wobec Anglii.

– Doszliśmy do wniosku, że w kategoriach prawa i ustawodawstwa kolonie oddalają się coraz bardziej od Anglii. Zwrot ten rozpoczął się od roku 1686, gdy korona, zatroskana naszą niezależnością, naszym bogactwem i umiejętnościami,

przysłała tu gubernatora Androsa, który odwołał nasz kolonialny statut.

No cóż, pomyślał z radością Bernard, a więc jednak nieposłuszeństwo!

Nicolaus pokiwał głową.

– To był niewybaczalny błąd ze strony korony po dwóch pokoleniach rządzących się tu samodzielnie. Ale pozbycie się Androsa nie polepszyło sytuacji.

George odważnie wiosłował dalej:

– A cóż mamy dzisiaj? Mamy Anglików na wszystkich najważniejszych urzędach, podejmujących decyzje, które dotykają nas, kolonistów! Ci Anglicy rzadko mają pojęcie o tutejszych warunkach, nie mają i nie chcą mieć żadnego doświadczenia. Jedyne, co potrafią, to rządzić rozkazami opartymi na ignorancji i własnej korzyści. A jedyne, co się dla nich liczy, to pieniądze, jakie wycisną z kolonii do własnej sakiewki.

– Podobnie dzieje się z Francuzami w Nowej Francji – dodał Bernard mile zaskoczony żarliwym tonem dosyć ospałego dotąd George'a. – Być może na tym polega nieszczęście wszystkich kolonii.

– Jeśli nieugięty opór nie ustanie… znam pewien prawny precedens ważny z punktu widzenia Duke i Synowie, gdyż dotyczy wycinki lasu. – George poczuł się ważny.

– Zastanawiam się, czy o nim słyszałem. – Nicolaus zmrużył oczy. – Czy nie jest to sprawa Dregga sprzed jakichś dziesięciu

lat?

– Nie. Mam na myśli sprawę Frosta, nieco wcześniejszą od Dregga. Podczas naszych dyskusji w zamkniętym gronie studentów prawa z kolonii uznaliśmy tę sprawę za ważną. Omawialiśmy ją tylko raz na zajęciach, gdyż prawnicy z Inns Court widzą w niej dowód podstępnego i bezczelnego charakteru kolonistów.

Bernard spojrzał uważniej na George'a.

– Czy zaspokoisz naszą ciekawość? Czego dotyczyła ta „sprawa"?

– Na pierwszy rzut oka, wuju Bernardzie, sprawę tę można uznać za kolejny przykład powszechnej w sądach Massachusetts tendencji orzekania na korzyść kolonialnych właścicieli tartaków, oskarżanych o naruszanie prywatnej własności i ścinanie wszystkiego, co im wpadnie w ręce.

– Owszem – zgodził się Nicolaus. – Liberalne sądy były jednym z powodów, dla których nasz ojciec upatrzył sobie ten region. I przetrwaliśmy wielu Królewskich Mierniczych Lasów Jego Wysokości, tych przeklętych łajdaków wchodzących nam w drogę od ponad sześćdziesięciu pięciu lat! To ze wszech miar słuszne i zbawienne, że ciąga się ich po sądach! – Zachichotał cicho.

– A czym różnił się wspomniany przez ciebie spór sądowy od innych?

George spojrzał na sędziego Bluzzarda.

Sędzia dolał sobie rumu do kieliszka.

– Wszystko zaczęło się, jak większość naszych problemów, w Londynie: przypomnijcie sobie panowie wielkie nadania ziemskie dla Masona i Gorgesa![17]

Upił łyk rumu z kieliszka.

– Ale do rzeczy: w roku 1730 korona przyznała licencję na produkcję masztów niejakiemu Ralphowi Gulstonowi, tureckiemu kupcowi, smagłemu dżentelmenowi, który handlował z Lewantem. Licencja ta zezwalała mu na wejście na ziemie w Maine, należące do korony w roku 1691, *id est*, ziemie publiczne, i cięcie sosen na maszty dla Królewskiej Marynarki Wojennej. – Skinął głową George'owi.

George zarysował sprawę wtargnięcia na cudzą ziemię, opierającą się na status quo z roku 1691, gdy inkryminowane ziemie należały do korony.

– Gulston po pewnej zwłoce najął drwala z kolonii, Williama Leightona, żeby ściął dla niego sosny. Leighton rąbał drzewa na maszty i ściągał je przez całą zimę 1743 roku. Nikt się nie sprzeciwiał. Wszelako przez lata, które upłynęły od roku 1691 tytuł do ziemi przeszedł w ręce Amerykanina, Johna Frosta z Berwick w Maine. Niemniej jednak, Królewski Mierniczy Generalny nie przyjął tego do wiadomości. Wiosną roku 1735 John Frost, wymachując prawowitym tytułem, pozwał Leightona o naruszenie własności.

– Wydaje mi się, że wiem, jak to się skończyło – oznajmił Bernard – ale mów dalej.

– Tak. Sąd, czemu trudno się dziwić, orzekł na korzyść Frosta.

– Na Boga, przypominam sobie tę wrzawę! – wtrącił Jan. – Leighton, jak dureń, zapłacił odszkodowanie, czyż nie?

– Owszem – odpowiedział George. – Ale… – zawiesił głos i uniósł rękę, jakby miał zamiar przedstawić kluczowy dowód w sprawie – …po drugiej stronie Atlantyku czuwał Gulston, który, gdy tylko o wszystkim usłyszał, wprawił w ruch młyńskie koła. Miał dostęp do króla. I po pewnym czasie do Bostonu przywieziono królewski rozkaz.

Sędzia Bluzzard, szczerząc zęby jak wilk, podjął teraz opowieść.

– Posiedzenie sądu w sprawie nowego wniosku odbyło się dopiero w czerwcu 1738 roku. Wszyscy byli zdumieni, gdy sąd orzekł, że nie jest władny wypełnić królewskiego rozkazu. Sąd uznał, że jego władza ogranicza się do praw i orzeczeń dotyczących wydarzeń, które miały miejsce wyłącznie w granicach prowincji. Stwierdził tym samym, że nie ma mocy egzekwowania „obcych wyroków", jak był to łaskaw określić. Co równało się, mówiąc wprost, deklaracji niepodporządkowania się królewskim rozkazom. Rozumiecie, panowie? Sąd oznajmił, inaczej mówiąc, że „król jest obcokrajowcem i nie ma z nami nic wspólnego". Był to triumf niepodległego amerykańskiego ducha!

– Ależ panie sędzio! – zawołał Jan, jakby chciał przestrzec Bluzzarda przed obcymi agentami, którzy mogli usłyszeć tę uwagę.

Bernard zamknął dyskusję, sprowadzając wszystkich na ziemię prostym pytaniem, po której stronie powinni się opowiedzieć, po stronie Anglii czy Francji?

– Musimy zapytać siebie, jak postąpiłby ojciec?

– Odpowiedź nie jest trudna. Opuściwszy Nową Francję, związał swoje losy z Anglią.

– Ale nie brał pod uwagę narastającego niezadowolenia kolonii w relacjach między sobą oraz w relacjach z Anglią, co ilustruje pocięty wąż Franklina. Dziś mamy do czynienia z zupełnie inną sytuacją.

– Zgadzam się – stwierdził Jan. – Narasta pomruk niezadowolenia i wezwania do zjednoczenia kolonii przeciw Anglii. Lekceważymy już Anglię w produkcji drewna i budowie statków, że o przemycie i melasie nie wspomnę. Ale przyjmowane nieustannie i wymierzone w nas prawa i podatki zagrażają żywotnym interesom całego regionu. Gdybyśmy nie byli angielskim tworem, powodziłoby się nam o wiele lepiej.

Bernard uśmiechnął się.

– Jako ludzie interesu powinniśmy utrzymywać dobre stosunki ze wszystkimi stronami, czyż nie? Z Francuzami, Anglikami, kolonistami zarówno z północy, jak i z południa, a nawet z Wentworthami!

– Taa… – mruknął Jan. – Musimy zachować serdeczne stosunki ze wszystkimi, w tym z Anglikami i sprawdzać jak najczęściej, skąd wieje wiatr. I pilnować nowego ustawodawstwa!

Koronie bardzo zależy na wzięciu nas w okowy, a nam na zrzuceniu ich.

– Słusznie, słusznie – zawołał Pickering. Podano sobie butelkę rumu.

Bernard wyszedł po niebieską opończę żony.

– Już pora – powiedział łagodnie i oboje wyszli.

Młody Piet zarzucał na ramiona własną opończę, gdy podszedł do niego kuzyn George. Odezwał się sotto voce:

– Kuzynie, chciałbym się z tobą spotkać. Za trzy dni wyjeżdżam do Karoliny. Chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi, jako że pewnego dnia będziemy razem pracować dla dobra spółki. Mam wrażenie, że my dwaj oraz Sedley stanowimy świeżą krew w rodzinie. Znasz oberżę „Wilcza Nora”?

George miał dwadzieścia sześć lat, a Piet był o rok młodszy.

– Doskonale. Wolisz „Wilczą Norę”, a nie „Tawernę Niedźwiedź” czy „Nadętego Indyka”?

– Tak. Tam jest ciszej, nie ma pijackich swarów. Spotkajmy się tam jutro wieczorem.

Wymienili uściski dłoni i młody Piet wyszedł na świeże nocne powietrze, przesycone zapachem dymu niezbyt odległych iglastych lasów.

[14] Mowa o pułkowniku Edwardzie Whalleyu i pułkowniku Williamie Goffie, dwóch sędziach, którzy w roku 1649 podpisali wyrok śmierci na króla Karola I i po restauracji monarchii pod berłem Karola II schronili się w kolonii New Haven [przyp. tłum.].

[15] Louis-Joseph de Montcalm – głównodowodzący wojsk francuskich w Ameryce Północnej podczas wojny siedmioletniej. Zginął w roku 1759 w bitwie pod Quebec [przyp. tłum.].

[16] Generał Edward Braddock – głównodowodzący wojsk angielskich w trzynastu koloniach amerykańskich. Zginął w roku 1755 w walce z Francuzami o dolinę rzeki Ohio [przyp. tłum.].

[17] Nadanie króla Jakuba I z roku 1622 dla Ferdinanda Gorgesa i Johna Masona za pośrednictwem spółki akcyjnej Plymouth Council for New England, obejmujące prowincję Maine, podzieloną następnie wzdłuż rzeki Piscataqua na Maine (Gorges) i New Hampshire (Mason) [przyp. tłum.].

34

COŚ W KUFRZE

„Wilcza Nora” była spokojną i miłą gospodą z sześcioma niedużymi stołami i dużym kominkiem po jednej stronie sali. Tamtego wieczoru gospoda świeciła pustkami, jeśli nie liczyć oberżysty, zajętego przelewaniem trunku z beczółki do butelek. Dwaj kuzyni usiedli przy najmniejszym stole pod kominkiem. Obaj zamówili grzany rum z przyprawami, bo na dworze było zimno i bezwietrznie, co zapowiadało duży mróz. Piet wyciągnął dłonie w stronę przygasającego ognia.

– Lubię duże kominki. W Europie i Anglii irytują mnie te ich oszczędne paleniska na drzazgi, a wszystko wielkości miski na zupę. Tylko tutaj odpędzamy chłód odpowiednio dużym płomieniem. A do tego kominka trzeba dorzucić parę polan.

Słysząc to, oberżysta odrzekł:

– Mieliśmy rano wrzucić tu wielką kłodę, ale zatrzymano mojego pomocnika… Na szczęście już wrócił. – Podniósł dłoń na znak, że muszą chwilę poczekać. Po kilku minutach do gospody weszło czterech mężczyzn. Jeden z nich wyglądał jak olbrzym o

żółtosiwej czuprynie, a wszyscy pachnieli świeżym powietrzem i korą drzew. Oberżysta podszedł do ich stołu.

– Zechciejcie, panowie, przesiąść się do innego stołu, żeby was nie pobrudzili. Robert Kemball, który zna się na paleniu w tym kominku jak nikt inny, niedawno wrócił. – To pewnie ten olbrzym, pomyślał Piet.

Otwarto drzwi, zrobił się zimny przeciąg, a do środka wtoczyli się ci czterej, uginający się pod ciężarem wielkiej bukowej kłody, długiej na osiem stóp i szerokiej na dwie. Położyli ją na wielkim kominku, stękając przy tym, kołysząc się i upychając pień, którego nieznośny ciężar przeklinali pod nosem. Oberżysta pomagał im łomem, spychając kłodę na tył kominka. Na buk rzucili dobrze rozrośniętą koronę choiny, a oberżysta przysypał wszystko popiołem, żeby się wolniej paliło. Chłopiec przyniósł drzazgi smołowej sosny, a po minucie czy dwóch gospodę wypełniło ciepło i roztańczony blask. Oberżysta poczęstował pomocników kieliszkiem rumu, wynagrodził monetą, a Roberta Kemballa poklepał po plecach jak wołu po zadzie. Spojrzał na Pieta i George'a, pytając niemo, czy wrócą na dawne miejsce. Ale teraz przy kominku było już za gorąco, więc zostali przy swoim stole.

– Ach – westchnął George Pickering Duke, wychylając kubek grogu i ocierając zaczerwienione usta. Piet, sękaty jak konary drzewa, kiwnął głową i uśmiechnął się. Milczeli przez dłuższą chwilę, delektując się ciepłem kominka i trunku.

– Szkoda, że nie spotykaliśmy się w takich okolicznościach wcześniej – powiedział George, który rzadko widywał kuzynów. – Ani my, ani ja z Sedleyem. Ale niedługo obaj będziemy decydować o dobru spółki i o tym, co należy robić, a czego robić nie należy.

– Tak, powinniśmy spotykać się częściej. Oczywiście ja często muszę wyjeżdżać do Karoliny…

– No właśnie. Mnie też nie ma, ale przy każdej nadarzającej się okazji wracam do Bostonu.

Zapadła cisza, podczas której nie czuli się skrępowani. George odchrząknął.

– Zakładam, wracając do naszej wczorajszej dyskusji, że opowiadasz się po stronie kolonistów, a nie Anglii ani Francji?

– Owszem. A stryj Bernard poparłby Nową Francję, a nie samą Francję. Choć mieszka już tak długo w Bostonie, że wziąłby stronę kolonii.

– Tak, wiele z tego, co słyszymy, to czcze domysły.

– Istotnie. Wiele wieści, podejrzewam, rozpowszechnia się po to, żeby celowo wprowadzić nas w błąd.

George rozprostował nogi i po chwili wrócił do rozmowy.

– Chciałbym zadać ci, drogi kuzynie, osobiste pytanie.

– Tak?

– Czy widziałeś kiedykolwiek naszego stryja Outgera?

– No, tak! Ale tylko jeden raz. Tego samego dnia, gdy i ty go widziałeś.

– Ja? Ja nigdy go nie widziałem. Stryj Outger pozostaje dla mnie tajemnicą i zupełnie nieznaną osobistością.

– Nie, nie. Musiałeś go widzieć. Na pewno pamiętasz ten dzień, gdy sprawiliśmy przyjemność ptakom. Była wiosna, a my mieliśmy po siedem albo osiem lat. Nie więcej.

– Tak, doskonale pamiętam te ptaki, a tamten dzień na zawsze utkwił mi w pamięci. Ale stryj Outger…?

– Nie pamiętasz tego drobnego chudego człowieczka, który nakrywał prześcieradłami stół i polecił nam, żebyśmy dali mu spokój?

– Owszem, pamiętam. Pamiętam jego emfazę i to, jak rozpościerał te prześcieradła niczym żagle. Ale to nie mógł być…

– To był stryj Outger. Mówi się, że ma wielu przyjaciół za granicą, ludzi nauki, z którymi prowadzi korespondencję i wysyła im okazy pożytecznych roślin i chwastów.

– Ten stary pomyleniec! Nasz niesławny stryj Outger? Wysyła chwasty ludziom nauki?

– Ten sam. Ludzie nauki z Europy nie znają chwastów w Nowej Anglii.

– Ach, więc to był stryj Outger… Jestem zdruzgotany. – Zamówił kolejne dwa kubki rumowego grogu. – Pamiętam tylko ptaki i to, co znaleźliśmy w tym starym kufrze.

Oberżysta przyniósł gorący trunek, kuzyni podnieśli kubki i wspominali przeszłość.

Rodzice zamknęli się z „pomylonym stryjem” w – jak ją nazywano – „sali posiedzeń”. A chłopcy buszowali po domu i wspięli się wąskimi trzeszczącymi schodami na strych. Jedyne światło na górze wpadało przez maleńkie brudne okienko. W jednym kącie strychu leżała zeschnięta sowa, na widok której poczuli przyjemne dreszcze. Skórzany kufer stał pod niską ścianą i jakby na nich czekał. Majstrowali przy pordzewiałym wrzeciądzu, starając się odgadnąć, co jest w środku, a potem odskoczyli gwałtownie, gdy pokrywa uniosła się z łoskotem, obsypując ich kurzem i sowimi piórkami. Odczekali aż pył opadnie. George podszedł odważnie do kufra jako pierwszy i zajrzał do środka. Wrzasnął przeraźliwie i rzucił się ku schodom.

– To żyje!

Mały Piet biegł za nim krok w krok.

– Co? Co tam jest? Wilk?

– Może wilk! Może Indian! Tam jest coś strasznego! I włochatego. Spojrzało na mnie i poruszyło się!

Potrzebowali dużo czasu, żeby zdecydować się na ponowne wejście na strych. Wszędzie panowała cisza. Kufer był otwarty, sowa leżała w kącie.

Podeszli do kufra i zajrzeli do środka. To coś – poskręcane i skołtunione – nie ruszało się za bardzo, ale wyglądało jak żywe. Piet włożył ostrożnie rękę do środka i dotknął tego czegoś, po czym odskoczył.

– Włochate! – zawołał. – Obrzydliwe.

Nadeszła kolej na George'a. Dotknął włochatego potwora, a nawet – by udowodnić swą odwagę – chwycił go w garść na sekundę, a potem cofnął rękę. Wiedzieli już obaj, co to jest, ale woleli udawać, że mają przed sobą diabelski pomiot. Piet pchnął brudne strychowe okienko i uniósł je, żeby wpuścić światło.

W końcu podnieśli to coś za włosy. Po raz pierwszy od ponad trzydziestu lat peruka Duqueta ujrzała światło dzienne. Rzucili ją na sowę, owinęli niczym całunem i nosili po całym strychu, rzucając ją z rąk do rąk, choć była bardzo ciężka. Wreszcie George podciągnął perukę do okienka i wypchnął ja na dwór. Spadła na ziemię z poświstem puszczającej wiatry krowy.

– George'u Pickeringu! Młody Piecie! – zawołała z dołu Patience. – Co wy wyprawiacie na tym strychu? Hałasujecie głośniej od pospolitego ruszenia! Natychmiast schodźcie do ogrodu!

Na dworze ich zdobycz nie prezentowała się ani groźnie, ani interesująco. Piet przyniósł skórzany sznurek ze stajni i przywiązali perukę do kija. Biegali z nią po ogrodzie, a włochata zdobycz zaczepiała się o gałęzie. Gdy matka Pieta, Mercy, zawołała ich na podwieczorek i szarlotkę, zostawili perukę w krzakach. Później dorośli znów przeszli do „sali konferencyjnej", żeby konferować dalej, a kuzyni wybiegli na dwór. Co za widok! Ptaki wydziobywały kłaki z peruki!

– Uwiją z niej gniazda! – zawołał Piet.

– Sprawiliśmy im prezent! – dodał George.

Przyglądali się temu przez długi czas, a gdy odjeżdżali po południu powozem, ptaki nadal zlatywały się do ogrodu. Podczas tej dziecięcej przygody zawarli ze sobą przyjaźń.

///

– Tak – zadumał się George, który nic nie wiedział o dziadku, Charlesie Duquecie – to był pamiętny dzień pod znakiem peruki pomylonego stryja Outgera. Gdyby nas wtedy zobaczył, na pewno wpadłby w szał.

Młody Piet wstał i kierowany jakimś męskim instynktem podszedł niepotrzebnie do kominka, żeby pogrzebać w ogniu. Buchnęły iskry do komina, gospodę zalała fala ciepła.

– Tak to się robi – mruknął pod nosem George, czując gorąco na policzkach. – A co z twoim bratem, Sedleyem? Nie pojawił się na pogrzebie.

– Nie, Eugenia jest na ostatnich nogach, a doktor Perry zalecił jej leżenie w łóżku. Sedley uznał, że powinien przy niej zostać, bo jest bardzo delikatna… i może tego nie przeżyć.

George przypomniał sobie czytaną niegdyś w Londynie niepochlebną opinię o kobietach z kolonii amerykańskich, napisaną przez niejakiego pana Warda: „Kobiety te, jak wczesne owoce, szybko dojrzewają i szybko więdną”.

Piet mówił dalej:

– A poza tym Sedley nigdy nie lubił starego Forgerona, więc ojciec mu wybaczył. – Usiadł przy stole i zajrzał do kubka z grogiem: wciąż było w nim pełno. – Czyś był w Londynie od czasu studiów?

– Nie, choć bardzo lubię podróże. Wiesz, że chciałem wyruszyć na morze, ale ojciec nalegał, żebym studiował prawo. Nasi ojcowie myślą tylko o interesach. Interes jest najważniejszy i jeszcze raz interes!

Cała rodzina wiedziała, że George uwielbia morskie opowieści, historie o katastrofach morskich i rozbitkach, o statkach, które przepadły na morzu podczas gwałtownych sztormów, o dzikich z włóczniami na odległych wyspach, polujących na żeglarzy i pożerających ich żywcem i wielkich falach zatapiających całe flotylle. Gdy księgarz z Londynu przysłał mu egzemplarz *Przypadków Robinsona Kruzoe* Daniela Defoe, George rozkochał się w tej książce i czytał ją raz za razem przez wiele tygodni.

– Cieszę się, że lubisz podróżować, bo pewnie niedługo przyjdzie nam wyjechać razem. Ojciec odebrał niedawno list od stryja Outgera, o którym zupełnie zapomniałeś. Stryj zamierza popłynąć do Amsterdamu w przyszłym roku, żeby spotkać się z matką oraz siostrą, Doortje. Ojciec mówi, że powinniśmy popłynąć tam wszyscy, jako że babcia Kornelia jest już bardzo stara i ciągle niedomaga. A my, kuzynie, nigdy nie poznaliśmy Auntie Doortje.

Rozmawiali jeszcze długo o toczących się wojnach, majorze Rogersie i jego bandzie zbójów[18], odkładając chwilę wyjścia z

oberży. Ale zrobiło się późno. Piet zerknął na elegancki zegarek przy kamizelce.

– Marzę, żeby doszło do zjednoczenia kolonii. Bo teraz mamy do czynienia tylko z zawiścią i rywalizacją. W spółce Duke i Synowie wiele należałoby zmienić, począwszy od kłopotliwej sytuacji w Karolinie Północnej. Mam nadzieję, że będziemy się spotykać i omawiać metody zwiększenia dochodów firmy. Oczywiście, gdy ty i Sedley znajdziecie po temu sposobność.

– Powinniśmy też omówić naszą pozycję towarzyską i metody jej ulepszenia. Bo obecnie wszyscy nas lekceważą, przez co trudno jest znaleźć odpowiednią partię, w dodatku z koneksjami!

Piet wstał, zapłacił oberżyście, zarzucił ciężką opończę i ruszył ku drzwiom.

– Idziesz? – odwrócił się do George'a.

– Tak, ale nie dalej niż do kościoła. Świeże powietrze dobrze nam zrobi i wywieje nam z głów opary rumu.

Wyszli przed „Wilczą Norę". Na dworze płonęły i drżały gwiazdy, jakby cały nieboskłon grał niczym trącana struna.

– Zimno! – poskarżył się Piet.

– Bardzo zimno – zgodził się George. – Bardzo, bardzo zimno. – Wciągnęli w płuca kłujące, pachnące sosną powietrze. Za tym usianym meteorytami niebem kryła się jakaś nieprzejednana, a nawet złowroga siła.

[18] Rogers' Rangers – angielski oddział zwiadowczy, walczący w wojnie siedmioletniej, a następnie w amerykańskiej wojnie o niepodległość po stronie Anglii (mimo że Rogers oferował swoje usługi Waszyngtonowi, nie zostały one przyjęte) [przyp. tłum.].

35

ETDIDU

Pięćdziesięciopięcioletni Bernard Duke miał dwa duże zmartwienia. Nieustannie się nimi trapił. Pierwszym z nich był jego następca. W całej rodzinie nie było nikogo, kto byłby w stanie wziąć na swe barki odpowiedzialność za wyszukiwanie na olbrzymich połaciach lasów należących do Duke i Synowie odpowiednich leśnych parceli porośniętych cennym, nadającym się do tartaków surowcem. On sam nauczył się tego od Charlesa Duqueta przed jego tajemniczym zniknięciem, a potem od starego Forgerona, lecz żaden z synowców w najmniejszym stopniu nie interesował się oceną drewna, przeliczaniem kubików i sągów.

Syn Nicolausa, Sedley, wybrał się z nim kilka razy do lasu. Lecz już przy objaśnianiu różnicy między miarami długości a objętości oczy Sedleya zasnuwała mgła, a obliczenie kubików drewna ze strzelistego osiemdziesięciostopowego pnia było poza jego możliwościami. Gdy szli przez zalesione parcele, a Bernard sporządzał notatki i obliczenia, by przejść do następnej działki, Sedley ciągnął się za nim od niechcenia.

– Stryju, czy nie lepiej wynająć mierniczego, który powie nam, czy nasze drzewa są warte ścinania?

– Prowadzimy interes – stwierdził Bernard w południe, siadając na pieńku, jedząc czerstwy chleb i popijając go gorącą herbatą, a następnie zapalając fajkę. – Musimy wiedzieć, jakie mamy drewno i ile kubików desek możemy z niego wyprodukować. Znalezienie dobrego mierniczego nie jest łatwe. To wymagająca praca i często pojawiają się w niej błędne szacunki, a nawet zwykły fałsz. Ludzie, których zatrudnialiśmy, posługiwali się niekiedy sfałszowanymi mapami i składali fałszywe raporty, żeby oszczędzić sobie trudu. Przysięgali na Boga, że wszystkie drzewa są zdrowe, a potem okazywało się, że ścinaliśmy zmurszałe albo wydrążone pnie.

Zaciągnął się dymem z fajki, potem wystukał popiół z główki i napełnił ją ponownie.

– Żarzy się już za gorąco – powiedział. – Muszę sprawić sobie nową fajkę. – Wyjął płonącą drzazgę z ogniska i zapalił tytoń. – Ci mierniczy przyjmowali łapówki od Wentworthów i innych, żeby fałszować szacunki naszego drzewostanu i, na przykład, uznawać wszystkie drzewa za zdrowe. Któregoś razu w lesie pojawili się nasi drwale z siekierami i przekonali się, że złodzieje drewna wykarczowali całą parcelę, na której zostało tysiąc gołych pieńków. Pieńki były już zmurszałe, z czego wynika, że mierniczy na oczy ich nie widział. Inny mierniczy przysłał nam raport o gęsto zalesionym „miasteczku”, do którego mieliśmy prawa. Na

miejscu okazało się, że są tam same popioły. – Wykrzywił się, wystukał wypaloną do połowy fajkę i schował ją do kieszeni.

Siedzący na sąsiednim pieńku Sedley poruszył stopami i odgonił komary. Wpatrywał się w smużkę dymu unoszącą się nad wyrzuconym z fajki popiołem. Wykład trwał dalej:

– Doświadczony leśnik potrzebuje ponad tygodnia, żeby oszacować wartość drewna na zaledwie pięciuset akrach. Uczciwy mierniczy to kluczowa postać w naszym interesie. Ten obowiązek musi wziąć na siebie któryś z członków rodziny. Inaczej będą was oszukiwać, gdy mnie zabraknie.

Ale Sedley nie dał się złapać na tę przynętę.

– Obawiam się, stryju, że będziemy musieli podjąć starania o znalezienie kogoś spoza rodziny, kto będzie dla nas uczciwie pracował za przyzwoite wynagrodzenie. Zadbamy o niego. Ja interesuję się poszerzeniem naszych interesów. Chciałbym wyjść, choć nie od razu, poza drzewa i drewno.

– Uważasz, że przyszłość leży w produkcji potażu? – zapytał pogardliwie Bernard, jakby Sedley powiedział mu, że zamierza uprawiać sałatę. Wstał. – Chodź, wrócimy do gospody przed zmrokiem, jeśli od razu wyruszymy w drogę.

Za ich plecami niewypalony tytoń z fajki żarzył się w sosnowej ściółce. Ściółka zajęła się, buchnął płomień.

Następnego dnia w Bostonie Bernard zauważył daleko dym i doszedł do wniosku, że palą się lasy Duke i Synowie. Ale na pożar

lasu nic nie można poradzić. Lasy płoną zgodnie z wolą bożą. Koniec lata zawsze przynosił pożary.

Poczuł się staro. Nie miał już czasu do stracenia. Będzie musiał rozejrzeć się za mierniczym spoza rodziny. Wypyta wśród prowadzących tartaki – ci ludzie potrafią liczyć kubiki desek, jak spojrzą na kłodę. Tyle że szacowanie surowca w rosnącym drzewie jest o wiele trudniejsze. Ale może znajdzie się gdzieś jakiś bystry chłopak, który będzie chciał się uczyć. Może się znajdzie…

Drugie zmartwienie było nierozwiązywalne i zależało od boskiej woli. Jeśli wystarczy mu sił, zdoła sobie poradzić. Lecz jeśli umrze, wszystko znajdzie się w rękach losu.

W roku 1758 Francuzi tracili terytoria zamorskie w Afryce i Ameryce na rzecz Anglii. Była to niebezpieczna pora na żeglowanie po morzach, ale czy kiedykolwiek żegluga stanowiła bezpieczne przedsięwzięcie? Sześciu Duke'ów – Bernard, Nicolaus, Jan, Outger, Piet i George Pickering – wypływało w morze na nowej holenderskiej fregacie handlowej „Bladwesp", wiozącej ładunek Duke i Synowie (drewno na tamy) z Bostonu do Amsterdamu. Bernard chciał zawinąć do La Rochelle, gdzie miał interes do załatwienia, ale ze względu na wojnę nie wchodziło to w grę. Poszczęści im się, jeśli bez szkody prześlizgną się wzdłuż wybrzeży Francji i dopłyną do Amsterdamu. Sedley musiał zostać w Bostonie, gdyż Eugenia, która powiła syna, bardzo niedomagała. Doktor Perry uważał, że nie przeżyje. Dziecko było

silne, wyglądało na to, że odebrało matce wszystkie siły witalne. Eugenia zażyczyła sobie gasnącym szeptem, aby dano mu na imię James. Sedley obiecał to żonie, ale czuł już nienawiść do morderczego potomka.

Bernard nie miał zamiaru bawić długo w Europie. Chciał wrócić do Bostonu po upływie miesiąca. Pozostali mogą zostać, jak długo chcą. W istocie, George Pickering przebąkiwał o podróży po Europie – z wyjątkiem Francji ze względu na wojnę – do czego zachęcali go i Jan, i Bernard. Natomiast Nicolaus sprzeciwił się prośbie Pieta, który chciał towarzyszyć kuzynowi. George Pickering nie cierpiał z tego powodu: wolał podróżować samotnie, gdyż miał zamiar używać życia – ladacznic i alkoholu – i wolał nie mieć świadków, choćby najsympatyczniejszych. Żałował, że nie zdoła pojechać do Francji, w której, jak zawsze słyszał, panowało największe zdeprawowanie.

– Ty, Piet, masz obowiązki na plantacji paku – powiedział Nicolaus. – Nie możesz wyjechać w tak długą podróż. Myślałem, że wyślemy Henka Steena do nadzorowania plantacji na czas twojej nieobecności, ale urządził nam scenę. Powiedział, że się zupełnie do tego nie nadaje. Ma niewątpliwie skrupuły moralne co do niewolnictwa. Po powrocie zamierzam zastąpić Steena kimś twardszym. A on niech sobie wyprawia te swoje moralne brewerie gdzie indziej.

Do wyjścia z portu pozostał jeden dzień, a Outger jeszcze nie przybył. Rejs bez Outgera w ogóle się nie odbędzie, gdyż to on był pomysłodawcą całego przedsięwzięcia. Bernard prowadził negocjacje z kapitanem Strikiem, srogim starym Holendrem, który nie lubił pasażerów na pokładzie bez względu na to, ile płacili. Zawsze życzył im śmierci na morzu i wyrzucenia za burtę. Teraz powiedział, że wyjdzie w morze z Outgerem czy bez, o naznaczonej godzinie. Dostał już pieniądze od pasażerów, a jeśli któryś z nich ma zamiar się spóźniać, to pójdzie do Amsterdamu piechotą. Zachichotał świszcząco.

Piet i George Pickering wisieli na relingu, wypatrując niepunktualnego stryja. Ich cierpliwość została nagrodzona. Piet zbiegł na dół do kajuty Bernarda, który pisał coś w oprawionym w czerwony safian rejestrze.

– Stryju! Przyjechał! Powozem! A za nim trzy fury kufrów i skrzyń!

Bernard wyszedł z synowcem na pokład i ujrzał Outgera. Był podobny do Charlesa Duqueta, choć nie tak postawny i z mniejszą żuchwą. Spod harcapu wystawały mu rzadkie jasne włosy, ale wzrok miał przenikliwy jak ojciec. Był szczupły i blady, jak osoba rzadko wychodząca na dwór.

Outger nie zwrócił uwagi na Bernarda i udał się szybkim krokiem prosto do kajuty kapitana, gdzie gardłował przez kwadrans. Gdy wyszedł, zeszło za nim po trapie sześciu

marynarzy, którzy wnieśli na pokład kufry i skrzynie. Zaniesiono je następnie do dodatkowej, wynajętej przez Outgera kajuty. Na nabrzeże zajechał czwarty wóz, wiozący masywną skrzynię. Wniesienie jej na pokład wymagało siły dwunastu żeglarzy, którzy nie zdołali znieść skrzyni niżej i zostawili ją na pokładzie przykrytą brezentem i przewiązaną. Marynarze podśmiewywali się pod nosem, gryząc monety od Outgera, a potem wrócili do obowiązków. Outger dopiero teraz przyjrzał się uważniej Bernardowi, a to, co ujrzał, nie sprawiło mu najwyraźniej satysfakcji, gdyż miał przed sobą tęgiego, starzejącego się, nieco kulejącego mężczyznę.

– *Welkom, broeder* – powitał go Bernard. Outger zacisnął usta.

– Pamiętaj z łaski swojej, Bernardzie, że nie jesteśmy braćmi. Moi rodzice przysposobili ciebie i pozostałych, ale między nami nie ma, podkreślam, żadnego pokrewieństwa.

– Nigdy o tym nie zapominam, podobnie jak i o tym, że byliśmy bliżsi twojemu ojcu od ciebie.

Outger roześmiał się, co zaskoczyło nieco Bernarda.

– Tak, tak i nie ma czego zazdrościć, gdyż człowiek ten był barbarzyńcą.

– A oprócz tego doskonałym człowiekiem interesu ku naszej obopólnej korzyści: twojej i mojej. Wielką stratą dla Duke i Synowie było jego zniknięcie.

– Spodziewam się. I z pewnością, wbrew temu, co się wam wydaje, nie zniknął, tylko poszedł do lasu i umarł, zapewne z

powodu panującej wówczas ospy. To logiczne, jak mniemam.

– Być może.

– Tak. A skoro już daliśmy upust żółci, spróbujmy zachowywać się przyzwoicie, jako że musimy spędzić w swoim towarzystwie następne sześć tygodni.

– Sprawi mi to niesłychaną przyjemność. I cieszę się, że cię widzę. – Zachowywali się jak dwa teriery, obwąchujące się i okrążające nieufnie.

– Podobnie jak ja, widząc ciebie, choć przypuszczam, że w to wątpisz. Ale powiedz mi z łaski swojej, kim są te wytrzeszczające oczy małpy? – Wskazał w stronę relingu.

– Ten z zegarkiem na dewizce to młody Piet, jeden z synów Nicolausa. Piet nadzoruje naszą plantację paku w Karolinie. A ten drugi to George Pickering Duke, syn Jana. Niedawno wrócił z Londynu, gdzie studiował prawo w Inns Court. Brakuje Sedleya, brata Pieta. Został niedawno ojcem i towarzyszy rodzinie w Bostonie. – Wziął głęboki oddech i odwrócił się do synowców. – Panowie, to jest Outger Duquet, o którym słyszeliście.

Słyszeli również, jak przed chwilą Outger wyrzekł się pokrewieństwa z Bernardem, więc nie byli pewni, jak powinni się do niego zwracać. Outger dostrzegł ich pomieszanie i powiedział:

– Możecie zwracać się do mnie „stryju”, o ile będzie to zwrot grzecznościowy, a nie roszczenie wobec nieistniejącego pokrewieństwa. – Mówił tak, jakby był księciem krwi.

– Dziękuję, stryju – odezwał się Piet, a George wybąkał to samo.

– Spotkamy się zatem przy kapitańskim stole – rzucił wyniośle Outger i oddalił się porządkować swój sakwojaż.

Obiad upływał w stosunkowo przyjemnej atmosferze, nawet kapitan Strik zdobył się na lekki uśmiech, który gościł raz po raz na jego antypatycznym obliczu. Gdy zapytano go o zagrożenia ze strony francuskich okrętów wojennych, odrzekł:

– Nie dalej jak tego ranka doszła do mnie wieść, że Anglicy zagarnęli ponad dwieście francuskich okrętów. Francuzi martwią się o handel z Indiami Zachodnimi i Nową Szkocją. Wątpię, aby ich okręty chciały marnować czas na uganianie się za holenderskim statkiem handlowym.

Po puddingu podano dobre porto, a starsi mężczyźni wyjęli kapciuchy. Kapciuch stryja Outgera był żółty i miał przerażające pazury.

– To łapka albatrosa. Wyciągnięto z niej kości i dobrze wyprawiono skórę. Z albatrosa da się wykroić wiele użytecznych rzeczy: z dziobów, na przykład, wytwarza się doskonałe spinacze do papierów, żeby nie latały. A mięso jest tak smakowite jak bażant.

– A gdzie udało ci się schwytać albatrosa? – zapytał Jan.

Outger wskazał ręką na wschód.

Jan zasypał go pytaniami:

– Jak długo zamierzasz bawić w Amsterdamie?

– Ani chwili dłużej, niż będzie trzeba. Spędzę kilka dni z matką i siostrą, Doortje. Potem jadę do Lejdy, gdzie na uniwersytecie spotykam się z przyrodnikami. Od dziesięcioleci prowadzę korespondencję z tymi uczonymi mężami, a choć mam wrażenie, że dobrze ich znam, nigdy nie poznaliśmy się osobiście. – Wypił kieliszek porto. – Oni też by mnie nie poznali, gdyby nas sobie teraz przedstawiono. Gdyż na wszelki wypadek koresponduję z nimi pod fałszywym nazwiskiem. – Dodał, że owo fałszywe nazwisko powstało w taki sposób, że zapisał cały alfabet w kręgu i wybrał te litery, które znalazły się naprzeciw jego nazwiska. Chcąc zabezpieczyć się dodatkowo, odwrócił porządek liter i w ten sposób uzyskał sekretne nazwisko korespondencyjne: Etdidu.

– Bardzo sprytne – pochwalił Nicolaus, chcąc go udobruchać. I powstrzymał się przed zadaniem Outgerowi nasuwającego się pytania, skąd taka pilna potrzeba zachowania anonimowości. Bernard czuł po trosze ulgę, a po trosze niepokój, potwierdziwszy swój sąd o Outgerze. Człek ten, zamknięty przez dekady w domu Charlesa Duqueta nad zatoką Penobscot, zamienił się w patentowanego szaleńca, szyfrującego własne nazwisko, zbierającego bezużyteczne chwasty i Bóg wie, co jeszcze.

– A czym konkretnie się zajmujesz, jeśli wolno spytać? – zwrócił się do Outgera.

– Interesuje mnie wiele spraw. Flora Nowego Świata. Indiańskie artefakty i opisy ich przedziwnych rytuałów. Zmiany

pogody nad zatoką Penobscot. Zagadki matematyczne. Oraz mój wynalazek, stojący obecnie na pokładzie statku za łaskawym pozwoleniem kapitana Strika.

Kapitan skinął głową.

– Mój wynalazek, o którym wolałbym nie rozmawiać. Poza tym, zajmuje mnie jeszcze wiele innych rzeczy.

Outger, pykając jak obłąkany fajkę, nałożył sobie ostatnią łyżkę groszku i gotowanego ziemniaka.

– Wygląda na to, że zostaniesz w Europie przez kilka miesięcy, jeśli nie lat. – Bernard przyglądał się, jak Outger nurza ziemniak w zielonej papce.

– Przynajmniej rok. Zamieszkam w Amsterdamie bądź Lejdzie, w zależności od tego, gdzie będzie dla mnie zdrowiej. Niewykluczone, że zamieszkam z Doortje, gdyż jej listy wskazują, że dzieli ze mną zainteresowanie historią naturalną. Mogę też zamieszkać wśród uczonych w Lejdzie, jeśli mój wynalazek spotka się z ich uznaniem. Jednakowoż jestem boleśnie świadom faktu, że mogą mnie uznać za beznadziejnego ignoranta z kolonii i życzyć mi dobrej drogi. Choć nie przypuszczam… Wiem o wielu rzeczach, o których nawet im się nie śniło. Więc przekonamy się, prawda? – Wydmuchnął gwałtownie dym z fajki wraz z kilkoma ziarnami groszku.

Jan miał nadzieję, że Outger zostanie w Niderlandach do końca swych dni. Wówczas spółka Duke i Synowie wejdzie w posiadanie wielkiego sosnowego stołu z domu w Penobscot.

Ale Nicolaus, który spędził dużo czasu wśród zatrudnianych przez firmę drwali, widział w Outgerze wiele podobieństw do tych niezrównoważonych osobników, spędzających życie w odosobnieniu w lesie. Lasy odbierały im powoli rozum, czyniąc z nich „borowych dziadów", jak ktoś ich kiedyś nazwał. Podskakiwali przy każdym głośniejszym hałasie, odbierali zapłatę, by po godzinie wrócić do kantoru i domagać się pieniędzy za wykonaną pracę – byli skonsternowani, gdy Henk Steen pokazywał im ich własne „krzyżyki" lub podpisy w rejestrze. Ale Nicolaus ich rozumiał. Bo wypłata okazywała się czymś zwyczajnym, pozbawionym odpowiedniego ceremoniału, czymś, co nie przynosiło ulgi po samotnej i niebezpiecznej pracy. Więc często zapraszał wyczerpanych nerwowo korowaczy do pobliskiej tawerny na kieliszek czegoś mocniejszego. Namawiał ich, żeby podzielili się z nim opowieściami o niebezpieczeństwach czyhających w lesie: o powykrzywianych pniach, które obracały się i spadały nie tam, gdzie powinny, o chorobach i wszelkich przypadłościach, o spadających niespodziewanie konarach, braku jedzenia, wrogach wśród drwali. Po godzinie takich zwierzeń ludziom tym wracała otucha. Podobnie jest – myślał – z Outgerem. Weźmie go na stronę i skłoni do opowieści o wynalazku i trudnościach, jakie napotkał podczas tworzenia tego czegoś – czymkolwiek to jest.

Etdidu najczęściej rozchmurzał się przy obiedzie. Jadał łapczywie, jak pies, garbiąc się nad talerzem i przełykając wielkie

kęsy, aby dalej prowadzić rozmowę. Musiał dominować w każdej konwersacji, czerpiąc jak z rękawa zadziwiające opowieści, relacjonowane tak, jakby przeżył je osobiście, co było niemożliwością – myślał Bernard – o ile Outger nie posiadł mocy wszechobecności. Trudno było niekiedy ogarnąć wszystkie wątki tych historii, wyłaniających się z powiązanych ze sobą zdań, okraszonych angielskimi, francuskimi i niderlandzkimi porzekadłami oraz słowami z jakiegoś algonkińskiego języka. Wskutek tego krasomówstwa reszta stołowników musiała zachowywać milczenie.

Mówił o huraganach uderzających w kościoły papistów, o mandragorze, krwawych deszczach, cmentarnych kryptach, w których nieznane siły przesuwały trumny i wyrzucały z nich zmarłych. Znał ptaki budujące gniazda z lasek cynamonu i inne, które używały w tym celu wnętrzności morskich lwów. Opisywał lodowe miasta pływające po Oceanie Arktycznym, nagłe śmierci wśród wysoko postawionych i osoby opuszczające nocą swoje ciała, zamieniające się w komary i niepokojące sąsiadów. Na dowód tego ostatniego przytoczył historię pewnego paryskiego piekarza, który pod postacią komara ssał krew pewnej ślicznej *mademoiselle*, a trzepnięty za tę bezczelność, skonał na parapecie potwornie zdeformowany i zmiażdżony już w ludzkiej postaci.

Bernarda irytowała ta nieustanna paplanina Outgera.

– Chyba nie każesz nam wierzyć, że osobiście odwiedziłeś wyspę Cagayan Sulu i uczestniczyłeś w uczcie ludożerczych

wampirów?

– *Non, non*, osobiście nie. Ale mój dobry znajomy E. Skertchley z Dublina przysłał mi opis ceremonii, w której uczestniczył. Gdy czytałem jego list, czułem, jak przerażenie paraliżuje mi członki.

– Ja też to odczuwam. Wybaczcie mi, panowie, ale muszę udać się na spoczynek, póki do reszty nie stracę władz umysłowych.

George Pickering i Piet byli zachwyceni i oczarowani. Jeśli w każdej rodzinie zdarza się pomylony stryj, palma pierwszeństwa należała się Outgerowi. Najbardziej spodobała im się historia o komarze. Rzucała całkiem nowe światło na te szkodliwe owady. Bo kto wie, czy to nie Dżyngis-chan przecina nam skórę swą kłujką?

Kapitan Strik wysyłał codziennie – od świtu aż do zmroku – obserwatorów do bocianiego gniazda z zadaniem wypatrywania francuskich żagli na horyzoncie. Francuskie okręty rozwijały większą szybkość od wypełnionego ładunkiem statku handlowego i kapitan często spożywał wieczorami obiad na pokładzie, dopóki nie upewnił się, że biała plamka na horyzoncie nie stanowi zagrożenia. W trzecim tygodniu rejsu zaczęło zbierać się na sztorm: pojawiły się fale, które kapitan nazywał „sforą psów, biegnącą przed panem", morze stało się cięższe, niebo przesłoniły chmury, a wiatr jęczał w żaglach. George Pickering przechadzał się po pokładzie, wciągając w płuca słoną bryzę i wychylając się przez reling nad spienione morze. Marynarze mieli olbrzymie zniekształcone dłonie, a ich spieczone oblicza były barwy

zardzewiałego metalu. Odkąd tylko wypłynęli w morze George zasypywał załogę gradem pytań, upodobał sobie zwłaszcza niejakiego Wigglesworth, muskularnego łotra z brodą jak pole pszenicy. Dwa dni przed wyjściem z portu widzieli go w tawernie, tańczącego żeglarskiego trepaka. Bernard zauważył, że Wigglesworth unika George'a Pickeringa, który zawsze domagał się od niego śpiewania szant, nie pojmując, że żeglarskie pieśni służą wyłącznie do pracy, takiej jak ciągnięcie fałów, pompowanie wody czy wypełnianie innych rozkazów oficerów. Kapitan Strik dziwił się niepomiernie ciekawości młodzieńca, ale przygryzał tylko wargę i milczał.

Outger codziennie sprawdzał sznury, którymi przywiązano jego wynalazek do pokładu.

– „Zdrowa jest i spętana, i zgrabnie rozkłada kolana" – mamrotał pod nosem. Gdy powtórzył to przy obiedzie przy stole przed rozpoczęciem następnej opowieści, kapitan tylko pokręcił głową.

A Outger/Etdidu mówił tak:

– Mój dobry znajomy, kapitan Pearfowle z Islandii, umknął raz białemu szkwałowi w najosobliwszy sposób. Jego okręt znajdował się niedaleko skalistego wybrzeża Przylądka Obrzezania, gdy sztorm rzucił ich blisko wyszczerbionych skał. Miał na pokładzie osiemnaście wielkich kotwic i dziewięć beczek, po jednej dla każdego członka załogi oraz siebie. Groziło im zatonięcie, ale kapitan kazał wyrzucić kotwice i odszpuntować beczki. Ukrył się

w beczce i rozkazał, aby każdy marynarz zrobił to samo. Okręt zatonął, a oni wraz z nim, ale w odwróconych beczkach było dość powietrza, żeby przeczekać sztorm.

Kapitan Strik słuchał tego z coraz większym niezadowoleniem.

– I co dalej? – zapytał groźnie.

– No cóż, wybili dziurę w burcie, wydostali się z okrętu, wylali z niego wodę i popłynęli dalej.

– *Stilte*! Dosyć! Ta bajka z forkasztelu wyczerpała moją cierpliwość, panie! Nie mam zamiaru słuchać więcej tych bredni! Przez resztę rejsu zechce pan spożywać obiady w swojej kabinie!

Miał już dosyć Outgera Duqueta i jego niedorzeczności. I miał zamiar porozmawiać z George'em Pickeringiem. Ci dwaj, jak żadni inni, wzmogli nienawiść Strika do pasażerów.

Jeśli burza kapitana Luthera Pearfowle'a była tylko czczym tworem wyobraźni, to sztorm, który uderzył w „Bladwesp" okazał się dojmująco rzeczywisty. Olbrzymie fale unosiły się i spadały na statek z przerażającym łoskotem. Gołe maszty jęczały, a olinowanie wyło. Na horyzoncie wzniósł się czarny potwór, który rzucił się na nich i przygniótł „Bladwesp" straszliwym ciężarem: stenga fokmasztu złamała się w plątaninie olinowania i rozdartego płótna. Rozległ się zgrzyt, statek zakołysał się i przechylił się na burtę. Kapitan Strik, zwinny jak węgorz, osobiście wyślizgnął się na pokład z toporem w ręku: przeciął liny podtrzymujące wynalazek Outgera i ukrył się pod pokładem. Uwolniony od wielkiego ciężaru „Bladwesp" zadrżał, prostując się,

a skrzynia runęła w reling, przebiła go i wpadła do morza jak kamień. Dziób statku uniósł się do góry, a uszkodzony i przeciekający „Bladwesp” popłynął dalej.

Cieśle okrętowi przez dwa dni pracowali przy przełamanym maszcie, usuwając drzazgi stengi i zastępując ją nową, którą mieli w zapasie.

Outger zamknął się w swojej kabinie. Całymi godzinami pomstował na kapitana, odsądzając go od czci i wiary. Wyłonił się z kajuty następnego dnia, posępny i rozchełstany, z płonącym wzrokiem na zbolałym obliczu, z zaciśniętymi jak szpony palcami.

Nicolaus, obawiając się o kapitana Strika, próbował załagodzić sytuację.

– Jest mi naprawdę przykro z powodu straty twojego wynalazku – powiedział.

Outger/Etdidu spiorunował go przekrwionymi oczyma.

– Nie wiem, o czym mówisz. Nie ma żadnego wynalazku. Nigdy nie było. Skrzynia była pusta, by wzbudzać ciekawość głupców.

– Ale ciężar!

– *Steenen*. Kamienie. Granit z Nowej Anglii. – Etdidu odwrócił się na pięcie.

Kapitan Strik, wchodząc do portu, lubił wyglądać elegancko, więc na tydzień przed przybiciem do Amsterdamu rozkazał marynarzom zmienić wszystkie żagle, co nie było łatwe, wymagało wielkiej koncentracji i trwającego dwa dni wysiłku. George Pickering stał z otwartymi ustami, przyglądając się trzem

marynarzom na nokach, odwiązujących stare żagle od rei od stengi w dół. Jednym z marynarzy wysoko na noku był Wigglesworth, tancerz z tawerny, którego George Pickering podziwiał. Więc krzyknął do niego z pokładu:

– Wigglesworth! Zaśpiewaj nam szantę! Wigglesworth!

Marynarz, słysząc swoje nazwisko, odwrócił głowę, gdy nagły podmuch wiatru wydął żagiel, zrywając podtrzymujące go chwilowo cienkie sznurki. Żagiel wyrwał się z rąk Wigglesworthа, a konwulsyjne szarpnięcie strąciło marynarza z noka i posłało go koziołkującego na dół.

– O Chryste! – krzyknął przerażony George Pickering. Wigglesworth chwycił się kurczowo, puścił, uderzył w reję, odbił się i wpadł do morza. Chłopak podbiegł do burty. Wigglesworth pływał twarzą do góry w rozpływającej się po powierzchni wody kałuży krwi. Zanim George zdążył się zastanowić, co czynić w tej sytuacji, dwaj marynarze wyrzucili liny za burtę i spuścili się po nich do wody. Związali węzeł ratowniczy na piersi rannego.

– Ciągnąć! – zawołał ratownik. – Ciągnąć!

Kapitan Strik wyszedł z kajuty z nawleczoną na igłę nicią, nożyczkami i czystą szmatką. Wyciął zakrwawione włosy wokół rany, odkaził skroń Wigglewortha i szybko zszył ranę. Polecił dwóm marynarzom, żeby zanieśli go do hamaku i mieli go na oku.

– Wyjdzie z tego. Ma twardy łeb. Co najwyżej wszystko mu się w tym łbie poplącze. Zobaczymy, jak sobie poradzi. – Wygłosiwszy tę diagnozę, odwrócił się do George'a Pickeringa. – Zabraniam

zwracania się do członków załogi przez resztę rejsu. I lepiej zniknij, chłopcze, z pokładu, bo może dojść do wypadku. Dla załogi jesteś jak Jonasz.

– Zazdroszczą mi przyjaźni z Wigglesworthem – bąknął z uśmiechem George Pickering.

– Sprawy mają się tak, że to sam Wigglesworth wystawi cię najchętniej za burtę, panie GEORGE'U PICKERINGU Duke'u.

36

CHMURY

Nim wypłynęli z Bostonu, Bernard postarał się o to, żeby w amsterdamskim porcie czekał na nich powóz, gdyż nie był pewny, czy Kornela i Doortje mają stajnię i ekwipaż. Outger poczynił przygotowania na własną rękę. Majętny kupiec, do którego wysyłał przez lata skrzynie sasafrasu, zaoferował mu własną berlinkę, konie i woźnicę.

Gdy schodzili z pokładu „Bladwesp", był rześki, błękitny, styczniowy ranek. Powóz Outgera czekał na końcu nabrzeża. Podróżni przyglądali mu się z podziwem. Berlinka była pięknym ekwipażem, pociągniętym ciemnoniebieską emalią, z przeszklonymi drzwiami i monogramem kupca wijącym się na nich jak złociste węże. Całość trzymała się na stalowych sprężynach, co było szczytem wygody w podróży. Woźnica miał jasnożółtą liberię, a z oddali, jak powiedział Bernard, przypomina kanarka, siedzącego na dzióbku granatowego czajnika. Outger polecił marynarzom załadować swoje kufry i skrzynie na czekającą platformę i już po chwili bułany zaprzęg powiózł go w dal.

Amsterdam rozrósł się tak bardzo, że Jan, Bernard i Nicolaus byli prawdziwie zdumieni: wszędzie krzątali się ludzie, w porcie cumowały statki z całego świata, a po ulicach – na których dorastali – chodził ludzki tłum mówiący dwudziestoma językami. Jan stwierdził, że prawie nie rozumie języka ulicy, ale i tak poczuł ukłucie bolesnej nostalgii. Rozprostowali nogi, idąc pieszo do gospody, gdzie wynajęli praczkę do uprania odzieży w czystej wodzie. Jan przechadzał się ulicami, Nicolaus kupił starą księgę *De civilitate morum puerilium* Erazma z Rotterdamu, rzecz o wychowaniu dzieci, przydatna wszelako dorosłym, zwłaszcza w nieokrzesanej Nowej Anglii, gdzie siła i bezczelność górowały nad dystyngowaną uprzejmością. Otworzył księgę i od razu dowiedział się, że wściekłe spojrzenie świadczy o gwałtownym charakterze, a wpatrywanie się w kogoś jest afrontem. Outger – przyszło mu do głowy – na przemian rzucał wściekłe spojrzenia lub wpatrywał się w rozmówców w zależności od nastroju.

Gdy wrócili do gospody, posłaniec przyniósł list do Bernarda od Doortje, która prosiła, aby rano zechcieli zjawić się w starym domu Pieta Roosa, w którym mieszkała obecnie Kornelia. Sama Doortje zajmuje teraz dom rodziców, a towarzyszy jej służąca, Mieke. Spotka się z nimi u matki i zostawia ich z Bogiem. W postscriptum dodała: „Outger bawi u mnie”.

Amsterdam napęczniał jak herbatnik w mleku, ale Bernard dobrze pamiętał zgniły smród znad kanałów, mokre kocie łby na

ulicach i wiecznie zasnute chmurami niebo. Po wielu latach spędzonych w mrocznej i gęstej puszczy na szczycie świata, gdzie drzewa opierają się mizernym wysiłkom ludzi, o mało nie wybuchł śmiechem, widząc ogłowione wierzby. On i jego przybrani bracia bardzo się zmienili, świat również uległ zmianie. Miał wrażenie, że nigdzie nie przynależy: ani tu, ani tam. Następnego dnia, gdy znalazł się w swoim pokoju w domu Kornelii, ucieszył się, widząc zapamiętaną jak przez mgłę scenę myśliwską z łowczym, unoszącym róg do ust. Obraz ten przywołał dawno zapomniane radości, a to, że nadal sprawiał mu przyjemność, było dobrym znakiem.

Jeśli chodzi o Jana, powrót do ojczyzny poruszył go głęboko: światła, długa linia horyzontu i opalizujące subtelnie chmury – chmury! Zapragnął nagle rzucić dotychczasowe życie i zostać w ojczyźnie na zawsze – na tych kilka lat, które mu jeszcze zostały, gdyż liczył już pięćdziesiąt cztery wiosny. Nie marzył o spotkaniu z Kornelią ani Doortje, chciał tylko patrzeć w chmury. Ich zmieniające się kształty i ulotne mutacje odzwierciedlały zagadkowo to, co czuł w środku.

///

Następnego ranka powędrowali do starego domu Pieta Roosa. Pierwszą rzeczą, jaką Jan ujrzał w wejściowym holu, był obraz nieskończonego nieboskłonu nad horyzontem, wypełnionego

chmurami niczym rozwijającą się koronką: chmury te wciągały w siebie od spodu ciemności oceanu. Dlaczego nie zwrócił uwagi na ten obraz, gdy był młody? Jakże inaczej mogłoby potoczyć się jego życie? Jednak nie… gdyby nie ocalono go z sierocińca *Weeshuis*, skończyłby jako czeladnik u kowala albo kominiarza. Choć może…

Nicolaus także wzruszał się wspomnieniami, które wracały do niego niczym wstęgi zmieniającego się światła. Z radością przyglądał się mostom – o tylu kształtach i tak różnej długości! – kamiennym i drewnianym: te ostatnie zbudowano zapewne z surowca pochodzącego z lasów Duke i Synowie. Łukowate mosty idealnie rozpraszały światło, co z jakiegoś powodu sprawiało mu wielką radość. Przypomniał sobie mroźną zimę i ślizgawki pod mostami. Przechodząc przez „nikły most" – *Magere Brug* – nad rzeką Amstel, uśmiechał się do siebie jak pomylony.

Outger był już w domu. Musiał być pierwszy – był prawdziwym synem i czuł wdzięczność wobec matki, gdy ta nazwała go „swoim drogim chłopcem" i ścisnęła mu pochwalnie dłonie. Usiadł na podłodze i oparł głowę na kolanach matki – scenę taką widział na obrazie – i zalewał ją (ocenzurowanymi) opowieściami o swym życiu w angielskiej kolonii. Życia tego postanowił się wyrzec.

– Mógłbym zamieszkać z Doortje, droga mamo, jeśli nie masz tu dla mnie miejsca. Potrzebuję kilku pokoi i dużego stołu do pracy.

Doortje spojrzała na Outgera, potem na gipsowe cherubiny na suficie, a potem znów na Outgera. Kornelia była nieco

zaniepokojona. Zaczęła wspominać dzieciństwo syna i wielkie zmiany, jakie się dokonały na świecie, odkąd wyjechał. Ani słowem nie wspomniała Charlesa Duqueta. Ale gdy przybyli pozostali synowie, odsunęła od siebie Outgera i przestała mu poświęcać uwagę – tak mu się przynajmniej wydawało. Przyszli razem: wysocy silni mężczyźni, którzy wypełnili pokój, a każdy z nich chciał się dostać do niej.

Wiek i otyłość zmieniły Kornelię. Jej spokojna gładka twarz i szeroki nos wydawały się teraz niemal płaskie, a jedno oko znajdowało się wyżej od drugiego. Brwi były niemal niewidoczne, a bladobłękitne oczy wyglądały tak, jakby straciła wzrok. Na głowie pokrytej cienkimi rzadkimi włosami miała lniany czepek. Włożyła szarą jedwabną suknię, a jako że dzień był chłodny, narzuciła na nią opończę z soboli. Synowie zbliżali się jeden po drugim, pochylali i całowali matkę. Wnukowie – George Pickering Duke i młody Piet – ucałowali dłoń babki. Bardzo chciała obdarzyć uczuciem tych młodych ludzi – synów jej przysposobionych synów.

Ascetyczne oblicze Doortje było podobne do twarzy ojca i brata, ale z wiekiem córka Duqueta nabrała obfitych kształtów. Miała na sobie, jak matka, szarą suknię z delikatnej wełenki. Strzelała małymi oczkami w prawo i w lewo, przyswajając sobie każdy szczegół wyglądu tego towarzystwa z kolonii i uśmiechając się przy tym niemal z politowaniem. Bernard doszedł do wniosku, że jest inteligentna, a przez to wybuchowa.

Kornelia wydała obiad z okazji przyjazdu synów i w domu zjawiło się wielu krewnych, którzy wypełnili pokoje śmiechem i rozmowami, wypytując przyjezdnych o życie i jego wymagania w Nowej Anglii. Zanim zasiedli do stołu, podano napoje i przysmaki. Jan nie jadł śledzi z Morza Północnego od dzieciństwa, a nie ma nic lepszego na świecie! Bernard popijał dobrą jałowcówkę i zajadał wędzonego węgorza. Na obiad podano *waterzooi*, gęsty gulasz z ryb słodkowodnych.

Bernard zwrócił uwagę na kuzynów. Pamiętał Jaapa Akkermana jako małego ciemnowłosego chłopca, iskającego swojego łaciatego psa. Teraz był to mężczyzna w sile wieku o pociągłej twarzy z ciężkimi bladymi powiekami. Handlował trawą morską, potem solą, a teraz, jak powiedział, znów wrócił do morskiej trawy, która doskonale nadaje się do pakowania kruchych przedmiotów.

– *Zeegras* ma wiele zalet. Wiesz, że w dawnych czasach uszczelniano nią tamy?

– Nie wiedziałem – odpowiedział Bernard. Nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób morska trawa zapobiega wdzieraniu się w głąb lądu morza, ale do końca posiłku poznał już wszystkie szczegóły zarówno *waterzooi*, jak i morskiej trawy.

Męczyło go słuchanie opowieści Outgera przy każdym posiłku. Doortje wytrzymała przez dwa wieczory, po czym powiedziała matce:

– Zjem obiad w domu. Jestem tam potrzebna.

Kilka lat wcześniej Doortje wyszła za mąż za uczonego antykwariusza Roelofa Vogela, który zmarł, nim ich syn, Lenart, skończył trzy lata. Doortje oznajmiła matce, że Lenart podupadł na zdrowiu. A jeśli chodzi o mieszkanie z Outgerem pod jednym dachem – wykluczone!

Tego dnia po obiedzie Kornelia oznajmiła, że chce zamówić rodzinny portret, gdyż tak rzadko widuje potomków. W jej sypialni wisi podobizna Pieta Roosa, którą malarz przeniesie jako *paterfamilias* na nowy obraz. Piet będzie stał w centrum, a oni wszyscy poniżej. Dwóch służących zniosło portret Roosa na dół.

– Oto i on – ucieszyła się Kornelia. – Mój ojciec. To prawda, że w dzisiejszych czasach nie ma już tak wybitnych malarzy, jak w minionym stuleciu, ale Cornelis Ploos van Amstel doskonale maluje portrety. Natychmiast po niego poślę.

Następnego ranka pojawił się mistrz: wysoki jegomość o aroganckim wejrzeniu na rumianej twarzy. Podziękował za kawę i ciastka i wysłuchał zamówienia Kornelii, życzącej sobie umieścić portret ojca na obrazie. Ploos van Amstel przeszedł się po pokoju, przyglądając się umeblowaniu, a następnie wybrał dwa krzesła – największe, bogato zdobione i złocone – po czym kazał służącym ustawić je obok siebie przed wyblakłym gobelinem. Postawił portret Pieta na jednym krześle, a Kornelię usadził na drugim. Po Charlesie Duquecie nie zachował się żaden wizerunek, z wyjątkiem oblicz Outgera i Doortje. Jego życie odeszło w

niepamięć, zapomnieli o nim nawet ci, których brał za najbliższą rodzinę.

Ploos van Amstel ustawił pozostałych wokół Kornelii i kazał im coś zrobić z dłońmi. Doortje złożyła je skromnie. Bernard wyjął z kieszeni mały scyzoryk i zaczął czyścić paznokcie. George Pickering Duke spędził poranek na przeglądaniu straganów z książkami i wrócił do domu ze zdobyczą: starym quarto *Gedenkwaardige Bescryving Van de Achtjarige en zeer Avontuurlyke Rise Niewe Hoorne* Willema Bontekoe. Rozłożył księgę na rycinie ukazującej eksplodujący okręt: wszędzie fruwały kawałki drewna i strzępy ludzkiej anatomii. Jan i Nicolaus skrzyżowali ramiona na piersi. Outger rzucił się do stóp matki, jakby o coś ją błagał. Na pozowaniu upłynęły im dwa ranki. Następnie Ploos van Amstel oddalił się, zabierając płótno, węgiel i sztalugi, żeby rozpocząć malowanie obrazu, który, jak oznajmił, zdążył naszkicować.

Wszyscy, z wyjątkiem Kornelii, odetchnęli z ulgą, gdy po tygodniu Outger wyjechał do Lejdy z kufrem papierzysk. Nicolaus miał wiele spotkań w interesach, nawet z kuzynem od morskiej trawy. Któregoś ranka oznajmił Bernardowi, że w Amsterdamie rysują się wspaniałe możliwości, wystarczy je tylko wykorzystać. Siedzieli obaj w palarni. Nicolaus trzymał rękę na arkuszach dokumentów, opisujących przedsięwzięcia, które uznał za opłacalne. Ale Bernard odrzucał je jedno po drugim. Powiedział

bratu, że lepiej byłoby, gdyby zatroszczyli się o własny zbyt. Przez dwie dekady spółka Duke i Synowie dostarczała drewno do budowy niderlandzkich tam, ale w ostatnich latach do Niderlandów zawitał groźny *Teredo navalis*[19], przywleczony tu na wyżartych dnach statków, i zaatakował tamy. Budowniczowie tam zaczęli sprowadzać kamień. A Duke i Synowie stracili kilka kontraktów. Jeśli w Bostonie nie przyspieszy szkutnictwo, poniosą dalsze straty. Niezrażony tym Nicolaus przedstawiał następne dogodne inwestycje. Dobrze się składa, pomyślał Bernard, że niedługo wracają do domu.

Po upływie miesiąca Bernard był gotów do powrotu. Martwił się o Jana, który spędzał mnóstwo czasu na wędrówkach po polderach i groblach z głową zadartą ku niebu. Oglądał nieduże domy w towarzystwie handlarzy nieruchomościami. A któregoś razu Bernard widział, jak wszedł do hurtownika, handlującego płótnem i pigmentami. Co on sobie wyobraża? Wybrał się więc za Janem na którąś z jego codziennych wypraw.

– Jan – zawołał brata. – Chodź, napij się ze mną czegoś cieplejszego. – Poprowadził go do kawiarni. Usiedli pod oknem.

Rozmawiał z nim uprzejmie. Rozumie, że Jan jest pod wrażeniem powrotu do ojczyzny, ale co jeszcze go tu trzyma? Muszą myśleć o rejsie do Ameryki. I to już niedługo.

– Bracie – odpowiedział Jan. – Być może zabrzmi to dziwnie, ale zawsze marzyłem o tym, żeby zostać malarzem. A tu

znalazłem to, co chciałbym malować… – podniósł palec ku niebu – …chmury.

– Chmury? Jan, jesteś dorosłym mężczyzną, jesteś… stary! Nie możesz rzucić firmy i zająć się malowaniem! Duke i Synowie bardzo cię potrzebują.

– Muszę choćby spróbować, Bernardzie. Pozwól mi zostać tutaj przez następne pół roku: przekonam się, czy umiem malować. Czy ty, bracie, nigdy nie chciałeś zrobić czegoś… jakby to rzec… nadzwyczajnego?

Bernard roześmiał się gorzko.

– O Chryste, chciałem! I doskonale cię rozumiem.

Umilkł, a Jan pił mieszaninę gorącej czekolady i kawy. Gdy dopił do końca, Bernard westchnął.

– Dobrze więc. Zostań tu i maluj chmury przez pół roku. Ale daj mi słowo, że wrócisz do domu po tym czasie.

– Wrócę – obiecał Jan. – I przywiozę ci mój najlepszy obraz.

– Właśnie tego mi trzeba, Jan, bardziej niż czegokolwiek: landszaftu z holenderskimi chmurami! Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy malowanie wiatraków!

– Zostawię to Outgerowi – odrzekł Jan.

Uśmiechnęli się obaj, choć niezbyt szczerze. Bernard był już gotów do powrotu, ułożył się w sprawie rejsu. Miał jeszcze do załatwienia dwie ostatnie sprawy: zamówił sobie parę kawaleryjskich butów u szewca uznawanego za artystę w swym fachu i musiał je odebrać. Będą wyglądały świetnie z płócienną

peleryną woźnicy. Ale najpierw zaszedł do koronczarki i wybrał prezent dla Birgit: haftowaną falbankę, *point de France*, z czymś, co koronczarka nazywała wzorem *candélabre*. Kawaleryjskie buty nie były jeszcze gotowe, więc szewc poprosił go o przyjście za dwie godziny: musiał wbić w podeszwy jeszcze kilka gwoździ. Bernard czekał.

Szewc skończył buty: były czarne i lśniące, brakowało im tylko srebrzystych ostróg. Bernard wciągnął je w warsztacie i pomaszerował w nich do domu Pieta Roosa. Po kilku minutach poczuł ból: coś ostrego wrzynało mu się w lewą stopę. Ponieważ nie mógł ściągać butów na ulicy, wrócił do szewca, utykając i oszczędzając lewą nogę, żeby gwóźdź nie wbił mu się głębiej.

Szewc był zaskoczony.

– Co się stało, panie? Tak szybko z powrotem? Nie spodobały wam się te buty?

– Coś ostrego kłuje mnie w stopę – odpowiedział Bernard, siadając na krześle i ściągając but. Nie zadał sobie trudu, żeby zajrzeć do środka, rzucił butem w szewca, który chwycił go zręcznie i wsunął dłoń do środka.

– Ach – westchnął. – Gwóźdź przebił podeszwę. Jak się człowiek śpieszy, to się diabeł cieszy, ha, ha. Zaraz to naprawię.

Wyciągnął gwóźdź obcęgami, wyrzucił go i wbił następny kilkoma wprawnymi uderzeniami młotka. Ponownie włożył dłoń do buta i pomacał ostrożnie.

– Wszystko w porządku, nic nie przebija podeszwy. Przykro mi z powodu tego gwoździa.

By przeprosić klienta, podarował Bernardowi kawałek naoliwionej giemzy do przecierania butów. Bernard wciągnął buty i przeszedł się w nich na próbę. Wyszedł, stukając obcasami.

W progu domu Pieta Roosa powitała go służąca. Dygnęła przed nim i powiedziała:

– *Mevrouw* zaprasza pana do biblioteki, gdzie czekają już pozostali.

Bernard przypuszczał, że Kornelia zorganizowała pożegnalne przyjęcie, i nie zaskoczył go widok Doortje, Nicolausa, Jana, Pieta i George'a Pickeringa Duke'a. Na stole z boku stał parujący dzbanek z kawą oraz filiżanki.

– Zaprosiłam was wszystkich – oznajmiła Kornelia – gdyż przed godziną odebrałam list od Outgera. Dołączył do niego kopertę z wiadomością dla Bernarda. W liście do mnie pisze, że zaproszono go do prowadzenia wykładów w Lejdzie. Przyśle po swoje rzeczy, gdy znajdzie odpowiedni umeblowany dom ze służbą. – Podała drugą kopertę Bernardowi, który otworzył ją i wyjął pojedynczą kartkę papieru.

– Och… – westchnął Bernard. – A niech go piekło pochłonie! Wybacz mi, matko. Ale muszę przeczytać list na głos, gdyż to ważne dla nas wszystkich:

Drodzy Niemal Bracia!

Niniejszym pragnę Was powiadomić, że nie wracam do Kolonii ani do Posiadłości nad zatoką Penobscot. Wszelako niech Wam się nie wydaje, że oddam Wam Duży Stół. Stół ten, a także cała zawartość Domu staje się niniejszym Własnością mej Córki, Beatrix Duquet. Jej Matką była Indiańska Kobieta z Passamakwodów, dobra i łagodna Niewiasta, która pomagała Mi w Studiach nad Zwyczajami i Wierzeniami Indian. Niestety umarła, a ja zostałem jedynym Opiekunem Córki, którą spotkał Przywilej Dobrego Wykształcenia. Gdy piszę te Słowa, Beatrix rezyduje w Moim Domu nad zatoką Penobscot. Napisałem do Niej o wszystkim tym, o czym piszę Wam. Nie wykluczam, że zechce dołączyć do mnie w Lejdzie. Jeśli nie, dołożę wszelkich starań, aby odwiedzać ją w Naszym Domu. Nie odwiedzę jednakowoż Bostonu.

Ze zrozumiałym szacunkiem

Outger Duquet

Kornelia złożyła dłoń na sercu i opadła na krzesło z przymkniętymi oczyma. Służąca pobiegła po sole.

– Ma córkę! – wykrzyknął Nicolaus. – Ten głupiec ma córkę! No, tak, któż inny, jak nie Indianka, zgodziłby się na takiego mężczyznę! Musimy wrócić i usunąć tę dziewczynę z domu. Posiadłość nad zatoką nigdy nie należała do Outgera, była własnością spółki. Mieszkał tam wyłącznie dlatego, że mógłby

przeszkadzać w interesach. Kiedy będziesz gotów do wypłynięcia, Bernardzie? Musimy zająć się tym natychmiast.

Doortje położyła Kornelię do łóżka, a następnie wróciła do mężczyzn. Rozmowa ciągnęła się godzinami: snuto setki odważnych i nierealnych planów „pozbycia się córki", ukarania Outgera, odebrania mu dywidendy, stołu i domu. Ostatecznie postanowiono, że Nicolaus i Bernard pojadą nad zatokę Penobscot, gdy tylko dopłyną do kolonii i sprawdzą sytuację na miejscu.

Pierwszym statkiem, który wypływał do Bostonu, był stary, mocno nadwerężony żaglowiec Kompanii Wschodniоindyjskiej „De bloem". Kapitan miał małą ostrą twarz, wąski ostry nos i ostrą brodę pokrytą hiszpańskim zarostem, co nie budziło zaufania. A do tego rumiane policzki od picia lub egzemy, Bernard nie potrafił orzec. Obiecywał wszakże szybki rejs.

– Może nie wygląda najlepiej, ale mknie po falach – powiedział.

„De bloem" płynął do Bostonu, żeby go pocięli.

///

Statek stawał dęba i kołysał się na wodach Morza Północnego. Nicolaus i Bernard posprzątali kajutę. Kawaleryjskie buty Bernarda zajmowały zadziwiająco dużo miejsca, więc złożył je i zamknął w kufrze. Wciągnie je po przybiciu do portu w Bostonie.

Nicolaus zauważył, że Bernard utyka. Robił to od lat z powodu starej rany, ale teraz poruszał się jeszcze wolniej, zupełnie jak we śnie. Może to wiadomość o córce Outgera wytrąciła go z równowagi?

– A o co chodzi? – zapytał Bernarda Nicolaus. – Pominąwszy naszą nieznaną bratanicę?

– O nic, doprawdy. O gwóźdź w nowym bucie. Przebił mi stopę przed wyjazdem. Rana się zaogniła. Nie martwię się o tę dziewczynę, bo też nie wiemy, ile ma lat. Może zdołamy przemówić jej do rozsądku?

– Jeśli jest w połowie Indianką, a w połowie Outgerem, czarno to widzę. Przekonamy się na miejscu. A teraz pokaż mi stopę – polecił Nicolaus.

Bernard zzuł pończochę i podniósł opuchniętą kończynę.

– Każę przynieść miskę gorącej wody – mruknął Nicolaus. – I jakąś maść, jeśli tu mają cokolwiek.

Okrętowy felczer – stary marynarz o zamglonym spojrzeniu – przysłał majtka z miską letniej brudnawej wody i osobiście przyniósł „maść": gęstą smolistą substancję, którą smarowano liny, żeby się nie strzępiły. Po południu Bernard poczuł się lepiej, ale następnego ranka nie mógł już chodzić. Stopa i łydka były obrzęknięte. Stary felczer popatrzył na nogę i pokiwał głową.

– Trzymajcie ją w górze – mruknął do Nicolausa. – Moczcie w gorącej wodzie. I pijcie tyle rumu, ile utrzymacie.

– To mój brat jest chory, nie ja – odrzekł Nicolaus.

///

Nicolaus starał się poprawić nastrój w dusznej kabinie, opierając o ścianę scenę myśliwską – obraz zabrany przez Bernarda z domu Kornelii. Kontemplowanie żywej i pełnej ruchu sceny być może przyniesie mu ulgę…

Moczenie stopy w gorącej wodzie nie pomogło. Noga, skaleczona noga, puchła z dnia na dzień. Pojawiły się obrzęki i wrzody, sięgające aż do krocza. Bernard nie był w stanie podnieść się z koi i leżał na niej półprzytomny, oddychając z wysiłkiem. Felczer zajrzał do kajuty, śmierdząc jałowcówką.

– Trzeba obciąć tę nogę – stwierdził. – Idę po piłę.

Wyszedł i nie wrócił. Nicolaus znalazł go pod pokładem zupełnie nieprzytomnego z pijaństwa. Pod ścianą stał wielki kredens z medykamentami: góra była otwarta, zawartość na wierzchu. Nicolaus wziął w rękę suchą marchewkę, obok leżały kawałki rogów jelenia. Piła do obcinania kończyn leżała na podłodze kajuty, jej zęby pokrywała zaschnięta krew.

Poszedł do kapitana i poinformował go u pustym kredensie. Mały człowieczek nawinął koniec brody na palec i wykrzywił się.

– Ta wesz o łbie hieny sprzedała medykamenty za jałowcówkę! Wybiła jego godzina! – oznajmił kapitan i pobiegł do kajuty pijanego felczera.

Nicolaus wrócił do Bernarda, który leżał nieprzytomny, trawiony ogniem gorączki. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem

w belki, poczerniałe i przeżarte przez robactwo. Obraz stał na krześle obok koi. Łowczy unosił róg do ust. Nicolaus prawie słyszał jego trąbienie i uświadomił sobie, że brat nie dopłynie do domu.

Pochowali Bernarda na morzu trzy tygodnie po wyjściu z Amsterdamu.

W bostońskim porcie Nicolaus znalazł statek odpływający za kilka dni do Amsterdamu. Zostawił u kapitana wiadomość dla Jana, Pieta i George'a Pickeringa Duke'a. Poinformował ich o śmierci Bernarda i zażądał, żeby natychmiast wrócili do domu.

„Mamy do czynienia z Krizisem większym niż Strata Bernarda", pisał.

> *Nie chodzi tylko o Domiszcze nad zatoką Penobscot ani o Curke, ale o samą Kompaniję. Zamówienia na Drewno i Deski napłynęły tutej, ale nigdzie ni ma Henka Steena. Zniknoł bez jednego Słowa czy Listu. Niegodziwiec! Ni ma Kto prowadzić Naszych Ksiong. Ni ma Kto szukać Drewna do Wycinki. Sedley w Rozpaczy po Utracie Żony leży złożony niemoco. Wasze Niewiasty przerażone wzywajo Wasz do powrotu. Żona Bernarda Birgit wyrywa z Rozpaczy włosy z Głowy. Wracajcie jak najrychlej, aby skupić siły na Interesach. Wynajmijcie statek albo Wszystko przepadnie.*
> *Wasz kochający Brat i Stryj*

Nicolaus Duke

---

[19] Świdrak okrętowiec – małż [przyp. tłum.].

37

ZMIANA

W późniejszych latach Piet Duke często przypominał sobie koszmarny list Nicolausa, pośpieszne przygotowania do powrotu i bardzo kosztowny rejs do Bostonu. Outger nie wrócił z nimi. Od tamtej pory wszyscy młodzi Duke'owie – on sam, George i Sedley – cierpieli pod nieznoszącym sprzeciwu przywództwem Jana i Nicolausa, którzy nie zgadzali się na żadne usprawnienia w spółce, poza likwidacją części interesów. Sprzedano plantację w Karolinie, a Pietowi wyznaczono zadanie nadzorowania drwali w Nowej Anglii. Należące do kompanii posiadłości w Quebec kurczyły się. Tym, co pozostało z tych lasów, zajmował się Jan. Nicolaus stanął na czele spółki w Bostonie. Z czasem jednak Jan i Nicolaus starzeli się coraz bardziej i pozwalali stopniowo Pietowi i George'owi przejmować prowadzenie interesów, choć nadal bacznie im się przyglądali zza kulis. Teraz nadeszła pora, aby kuzyni dokonali wielkiej zmiany.

Piet przeczesał palcami przerzedzające się włosy, poprawił halsztuk i wyprostował ramiona w żakiecie. Przywołał Olivera Wedge'a, swojego sekretarza, młodzieńca ze wsi o aspiracjach

większych niż uprawa kukurydzy i hodowla krów. Spółka Duke i Synowie nigdy wcześniej nie zatrudniała sekretarzy, teraz okazało się, że człowiek taki jest im niezbędny.

– Czy dokumenty gotowe? – zapytał Piet, a Wedge wskazał na równy stos kartek.

Wedge uwielbiał swoją pracę, uwielbiał Boston i życie z dala od farmy, z dala od nigdy niekończącej się, nieprzynoszącej korzyści pracy i z dala od ojca ciągle wściekłego na niszczącą plony dziką zwierzynę. Wściekłość tę podzielał Wedge i jego sześciu zaharowanych braci: nienawidzili stad ptaków wydziobujących wschodzące rośliny, zwłaszcza kukurydzę, ukochaną przez indyki, wiewiórki, kruki, epoletniki krasnoskrzydłe i tysiące innych latających rozbójników oraz szopy i niedźwiedzie. Szopy kradły jeszcze jajka składane przez kury, a lisy, jastrzębie, sokoły, skunksy, wilki i łasice zabijały drób. Niedźwiedzie porywały świnie i cielęta, a raz nawet porwały dorosłą krowę. Owce padały łupem wilków, pum i rysi, gdy te tylko zwietrzyły ich zapach. Ale najgorsze były wiewiórki, całe tysiące wiewiórek, bo lasy były pełne tych futerkowych diablic – rudych, czarnych, szarych, a Wedge wiedział z doświadczenia, że z dwóch wiewiórek robi się sześć, siedem, a nawet dziewięć w ciągu jednego roku, a każda z nich szybko staje się dorosła. Kiedyś chciał policzyć, ile wiewiórek może spłodzić jedna para w ciągu, powiedzmy, dziesięciu lat, ale liczby stały się tak duże, że przeraziły go i dał za wygraną. Świstaki zjadały sałatę, kapustę, rzepę, cebulę i fasolę. W domu

roiło się od myszy – było ich za dużo dla każdego kota. Wedge nigdy nie wróci na wieś.

– Jesteś pewny, że wszystko gotowe? – powtórzył Piet.

– Owszem, panie Duke. Wszystko w najlepszym porządku. – Długie sękate palce Wedge'a, przyzwyczajone od wczesnego dzieciństwa do wyrywania ostów, przekładały wprawnie i porządkowały papiery. Choć pracował jako sekretarz dopiero od roku, poznał życie w Bostonie od podszewki, czytając pożółkły manuskrypt ukryty na końcu księgi głównej – wściekły chaotyczny opis tutejszych stosunków, sporządzony ręką kogoś, kto podpisał się jako Henk Steen. Człowiek ów był oburzony okrucieństwem życia w koloniach: niewolnictwem, mężami bijącymi żony pogrzebaczami, aż pękały nieszczęśnicom żebra, nieliczącymi się z nikim łobuzami budującymi drogi przez posesje starych wdów, kradnącą służbą piętnowaną literą „W" jak „włamanie", tymi, a było ich wielu, którzy cudzołożyli przed ślubem, wałęsającymi się wieprzami, beczkami ze zgniłymi rybami sprzedawanymi jako świeże, publicznymi awanturami, pijaństwem, przekleństwami, słowem wszystkim, co sprawiało, że Boston był cudownie niesamowitym miejscem.

W zalanej popołudniowym wiosennym światłem sali posiedzeń na pierwszym piętrze panowała cisza. Na długim klonowym stole leżały cztery ryzy papieru, lśniły kałamarze, prężyły się zaostrzone pióra. Stół ten zbito z czterech desek po wstydliwej porażce, jaką zakończyła się próba odebrania córce Outgera

starego sosnowego stołu z jednej deski. Piet raz po raz zerkał na zegarek. Obawiał się zbliżającego się zebrania, ale nie miał wyboru – był to jedyny sposób na pójście dalej. Urzędnicy królewscy przez lata grabili koronę i kolonię przy nadaniach ziemskich: z każdego nadania wycinali mierzące po pięćset akrów, sąsiadujące z oddawaną ziemią zakątki, aż zgromadzili tysiące akrów najlepszych, najgęściej zalesionych ziem. Sprzymierzyli się z największymi właścicielami ziemskimi. W taki sposób dorobili się fortun bracia Wentworthowie i ich szwagrowie, Elisha Cookes i jemu podobni: podstępem i paktowaniem.

Kompania Duke i Synowie zawsze trzymała się na uboczu i nigdy nie mieszała do polityki. Śmierć Bernarda zmusiła młodszych Duke'ów do zajęcia niższych stanowisk w firmie; w przeciwnym razie weszliby do polityki. Duke jako gubernator Massachusetts, Maine czy Nowego Jorku z pewnością okazałby się przydatny. A teraz, gdy Anglia chwyciła w szpony całą Nową Francję, wszystko wyglądało inaczej.

Tym razem Duke i Synowie są górą, pomyślał Piet. Okopane politycznie ziemiaństwo z olbrzymimi połaciami nadmorskich sosen doznało niepowetowanych strat, gdy rok wcześniej New Hampshire ogarnął wielki pożar, w którym spłonęło pięćdziesiąt mil przybrzeżnych lasów. Ogień wdzierał się w głąb lądu, dopóki nie spadł błogosławiony deszcz. Lasy należące do Duke i Synowie były położone na szczęście wzdłuż rzek, daleko od pożogi. Zanim

wystygły popioły, ziemianie, którzy stracili drewno, patrzyli z zazdrością na lasy Duke'ów.

Znów spojrzał na zawieszony na dewizce zegarek: jeszcze pół godziny! Pół godziny wyglądania przez okno od północy. Kiedyś ciągnęły się tu aż po horyzont niezmierzone bory. Teraz zastąpiły je ulice, a lasy stały się odległą smugą.

Gdy synowiec czekał w sali posiedzeń, Jan w oddalonym o milę domu porządkował swoje papiery. On także przypominał sobie pożar, choć inny, mniejszy, sprzed kilku lat po ich pośpiesznym powrocie z Amsterdamu – pożar ten wybuchł kilkanaście mil od domu Outgera nad zatoką Penobscot. Wraz z Nicolausem wykorzystali pożar jako pretekst do odzyskania wielkiego sosnowego stołu – nie chcieli go stracić w ogniu. Pojechali do córki przyrodniego brata.

Beatrix nie była pięknością, ale jej uroda przykuwała uwagę. Była jeszcze młoda, miała piętnaście albo szesnaście lat, wydawała się smukła i mówiła przyciszonym głosem. Czarne, niesplecione włosy puszczała luźno, co nadawało jej dziki wygląd odpowiedni do śniadej indiańskiej skóry. Powitała ich jednak nienaganną angielszczyzną i zaprosiła do domu. Usiedli przy kominku w dobrze znanym pokoju, w którym stał wielki lśniący woskowo stół. Zostawiła ich samych, aby mogli sycić wzrok, i poszła do kuchni. Usłyszeli głośny chrzęst młynka do kawy. Jan

przesunął palcem po bursztynowym, ciemniejącym z wiekiem blacie.

– Musimy ją przekonać – szepnął.

Przy parującej kawie z dodatkiem holenderskiej czekolady i cynamonu – dostarczonych niewątpliwie przez Outgera – Jan wyolbrzymiał ich obawy o stół w przypadku następnego pożaru, a Nicolaus wyraził pewność, że ich ojciec, Charles Duquet, życzył sobie, aby stół znalazł się w siedzibie spółki. Wysłuchała ich z uwagą. Czekali. W świetle ognia z kominka Nicolaus uznał córkę Outgera za egzotyczną piękność. W końcu przemówiła:

– Pożar wybuchł daleko, a stół… – ciągnęła bez zająknienia – …jest, jak powiadacie, za duży, by dało się go praktycznie wykorzystać. Jeśli przyślecie mi elegancki mniejszy stół, oddam wam ten duży – zastukała w sosnowy blat. Dodała, że nie wie, dlaczego Outger jest tak przywiązany do tego mebla. Wypytuje o stół w każdym liście i będzie niewątpliwie zły, gdy się dowie, że go oddała. Ale potencjalny gniew ojca wcale jej nie deprymował. Nie była też szczególnie zainteresowana poznawaniem obcych „stryjów", którzy pojawili się tak nagle i mówili lekceważąco o jej ojcu, jakby ten stał się wyrzutkiem, kimś spoza nawiasu społeczeństwa. Wycofała się z dalszej rozmowy, nie powiedziała nic więcej, choć stryjowie przerzucali się opowieściami o dziejach rodu i wielu sukcesach rodzinnego przedsiębiorstwa. Jan był pewny, że Outger wprowadzał ją w tej materii w błąd i opisywał „stryjów" jako żywiących złe zamiary przybłędów, gromadzących

wpływy w firmie. Zachęcali ją do większej ufności, bez skutku zresztą, aż w końcu nie mieli już nic do powiedzenia. Ale sprawa dużego stołu została rozstrzygnięta. Mimo to obaj starsi dżentelmeni wydawali się niepocieszeni. Pożegnali się bez słowa. Coś tu było nie tak…

– Zimna w obejściu jak Outger – skomentował to Nicolaus.

– I jak Indianka w rozmowie – dodał Jan. – Byliśmy dla niej zbyt dobrzy, a to przecież zwykły bękart. Wyświadczymy jej łaskę, przysyłając tu ten popękany dębowy stół z korytarza: ten z ułamaną nogą.

– Nie, przyślemy jej piękny stolik, choć mały, żeby nie narzekała. Ten z egzotycznego drewna z rzeźbionymi nogami.

– Wyślemy tu Pieta, który nie ma nic innego do roboty, dobrego cieślę i długą platformę, która przywiezie stół do Bostonu.

Ale wyszło inaczej. Miesiąc później Piet – a za nim ciężka platforma – zbliżył się do bramy starego domu Duqueta z oficjalnym uśmiechem na twarzy. Powitał go warczący mastif. Obawiając się otworzyć bramę i wejść do środka, zawołał:

– Halo, jest tam kto? Halo, Mademoiselle Duquet! Jesteś w domu, pani?

Otworzyły się z trzaskiem pchnięte od środka drzwi, a na szerokim granitowym stopniu stanęła dziewczyna. Miała owalną oliwkową twarz i włosy czarniejsze od sadzy.

– Kim jesteś i co tu robisz, panie? – zapytała z oziębłością styczniowej nocy.

– Jestem twoim kuzynem, pani, i nazywam się Piet Duke. Moi stryjowie, Jan i Nicolaus Duke'owie, rozmawiali z tobą przed miesiącem o dużym stole należącym do spółki Duke i Synowie i stojącym w tym domu. Przyjechałem po niego. I przywiozłem ci, pani, mniejszy mahoniowy stolik, tak jak sobie życzyłaś.

– Nic o tym nie wiem – odrzekła. – W tym domu nie ma żadnego stołu należącego do spółki Duke i Synowie, a pan możesz zabrać sobie mahoniowy stolik, gdzie się panu żywnie podoba. I proszę dać mi już spokój. – Trzasnęła drzwiami.

Przez całą drogę powrotną do Bostonu Piet przysięgał sobie, że znienawidzi Beatrix, Outgera i stół przez resztę swych dni. Nicolaus mruknął tylko:

– Musiałeś źle zagaić i rozzłościłeś ją.

Zaprzeczanie nie miało sensu.

Liczba mieszkańców w Bostonie wzrosła do stu pięćdziesięciu tysięcy. Anglia zdobyła Nową Francję i wypędziła Akadyjczyków. Ale Nowa Francja musiała okazać się rozczarowaniem w porównaniu z nadzwyczajnymi dochodami – ponad cztery tysiące razy większymi niż te z drewna – z cukru i melasy w Indiach Zachodnich. Odkąd Anglia przyjęła kalendarz gregoriański i zmusiła do tego kolonie, okradając każdego z jedenastu dni życia, ludzie odczuli upływ pędzącego czasu. A kto zdołałby policzyć

nowe wynalazki i zawody? Z samych pomysłów brały się kolegia; odważni ludzie wymyślali rzeczne barki, by zagłębić się na nich w puszczę; nieusatysfakcjonowani handlem i przewozem pasażerów armatorzy statków zajęli się wielorybnictwem, chcąc uzyskać opłacalny i przydatny olej wielorybi; a przy kubkach i filiżankach pojawiły się uszka – damska moda i zachcianka, która zdaniem Nicolausa szybko przeminie. A wynalazki tego Franklina: piorunochron, który ocalił setki kościołów i domów przed zniszczeniem, oraz piecyk, w którym bezpiecznie palił się ogień! Czasy, w których przyszło im żyć, były bardzo ekscytujące!

Po śmierci Bernarda w Duke i Synowie zaszły zmiany. Sedley ożenił się po raz drugi, a jego nowa żona, Elizabeth, była śliczną młodą wdówką z rodzinnymi koneksjami z drugą kuzynką ciotki Wentwortha. Po trwającej blisko rok żałobie zmarła Birgit, żona Bernarda. Nicolaus coraz częściej zapadał na zapalenie płuc. Musieli bardzo się starać, żeby znaleźć kompetentnego mierniczego lasów, aż w końcu Sedley – który miał niejakie pojęcie o tym, czego trzeba do wykonywania tej pracy – znalazł dwóch: Wolfganga Breitsprechera, nowo przybyłego do kolonii niemieckiego leśniczego, oraz Francuza Jacquesa Nadeau, który przez jeden sezon pracował w Nowej Francji ze starym Forgeronem. Ci dwaj nie znosili się nawzajem. Pojawił się także nowy księgowy w miejsce Henka Steena: Thomas Ashbridge, jeden z pierwszych absolwentów College of New Jersey. Wedge,

Breitsprecher, Nadeau i Ashbridge stali się pierwszymi ludźmi z zewnątrz, zatrudnionymi przez kompanię Duke i Synowie.

Piet przez rok był zaręczony z Silence Gibben, ale narzeczona ostatecznie dała mu kosza. Wyglądało na to, że zostanie starym kawalerem. George ożenił się z Margery Bottolph i spłodził dwóch synów, Edwarda i Freegrace'a. Działo się wiele, a jedno z tych wydarzeń owiane było mgłą tajemnicy. Żaden z kuzynów nie dociekał szczegółów śmierci Birgit, pogodzili się z tym, że jej odejście pozostanie w niezrozumiały sposób czymś, o czym się nie mówi. Pochowano ją na morzu, bowiem „chciała dołączyć do Bernarda", jak tłumaczyła nieskładnie matka Pieta, Mercy. Piet doszedł więc do wniosku, że ciotka Birgit cierpiała od dawna na jakąś śmiertelną chorobę. Zadrżał na myśl o czymś takim i spojrzał na zegarek. Po raz kolejny przywołał Wedge'a, żeby zapytać o papiery. Wpływowi ludzie wkrótce przybędą. Usłyszał jakieś głosy w korytarzu. Już są!

Ale nadszedł tylko George Pickering Duke z błyszczącą i poczerwieniałą twarzą. Trzymał w ręku dodatkowe dokumenty.

– Wszystko gotowe, Piet?

– Ma się rozumieć.

– To ważne. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, będziemy w domu. Upatruję w tym wielką dla nas szansę.

– Podobnie jak i ja. Z bożą pomocą skorzystamy na tym niebywale. Módlmy się tylko, żeby nie przyszedł stryj Jan. –

Przyjście chorego Nicolausa nie wchodziło w grę.

Nadszedł również Sedley ze ściągniętym obliczem. Milczał, choć emanowały z niego niezadowolenie i uraza. Właśnie wychodził z przeziębienia, miał otarty i zaczerwieniony długi cienki nos. Nie odzywali się do siebie z Pietem.

Leżący pod kołdrą z gęsiego pierza Nicolaus rozmyślał o tym spotkaniu. Jeśli pojawi się na nim Jan, zdoła zapobiec nieprzemyślanym, podejmowanym na oślep decyzjom Pieta. George Pickering Duke był tak beznadziejny jak Piet. Wyglądał jak szacowny człowiek interesu, ale pod tą maską krył się dosyć ograniczony i łatwowierny chłopczyk. Najlepszym z nich okazał się Sedley, który najbardziej ze wszystkich wnuków i synów przypominał Charlesa Duqueta – rozgoryczonego, zawziętego, nieustępliwego, zdeterminowanego i wytrwale dążącego do celu. Ale Sedley trzymał się z daleka od pozostałych. Nicolaus był pewny, że ostatecznie zdominuje Pieta i George'a Pickeringa. Szkoda, że Bernard nie spłodził synów, którzy odziedziczyliby po nim zrównoważony i spokojny charakter. Gdyby babcia miała wąsy… Gdyby zawsze było lato. Nieszczęsny Bernard! Ból, jaki sprawił im wszystkim. Chcąc nie chcąc, zaczął rozmyślać o niezwykłym odejściu Birgit z tego świata.

Umarła dosyć szybko. Jednego dnia czuła się całkiem dobrze i jak zwykle zajmowała się domem, a następnego nie mogła podnieść się z łóżka. Skarżyła się na ból głowy, skręcające się

kiszki i bredziła w malignie, wyrzucając wysoko chude ramiona. Przyzywała Bernarda, jakby zapomniała, że leży na dnie w kufrze Davy'ego Jonesa. Mercy, Sara i Patience czuwały przy jej łożu, przynosząc zimne kompresy i namawiając chorą do wypicia odrobiny bulionu, który natychmiast zwracała.

– Wyzdrowiejesz za dzień albo dwa – pocieszała ją Mercy. – To zwykła niedyspozycja, nic więcej.

Ale wraz z upływem dnia chora zapadała się w siebie, jakby skupiając się na własnym niknącym oddechu. Zdumiała wszystkich, umierając przed wieczorem. W jednej minucie nic złego się nie działo, a w następnej przestała oddychać.

Mercy wyszła z pokoju boleści i wstawiła czajnik.

– Właśnie od nas odeszła – oznajmiła. – Stoi już przed obliczem Boga.

– Jak to? – zapytał zdziwiony Jan, który siedział z Nicolausem przy stole. – Myślałem, że tylko niedomaga…

– Rozchorowała się. Nie znamy dnia ani godziny. – Westchnęła ciężko, przymknęła powieki, a następnie spojrzała na Nicolausa. – Zechciej zamówić trumnę u pana Kenta, a ja z Sarą przygotuję ciało. Ubierzmy ją w tę różową jedwabną suknię, którą tak lubiła.

Mercy nie uroniła ani jednej łzy. Śmierć zjawiała się tu często i miała własne rytuały. Starsze kobiety doskonale znały kolejność wydarzeń. Zaniosła do pokoju zmarłej miskę z ciepłą wodą i ściereczki. Pewnie wolałaby zaczekać z tym, co miała do zrobienia, ale Sara i Patience odkryły już ciało. Żeby nie niepokoić zmarłej

bardziej niż to konieczne, Sara zasugerowała, żeby przecięły brudną od ciemnych wymiocin nocną koszulę. Mercy uznała to za skandaliczny pomysł: koszula była całkiem dobra, a gdy się ją upierze i wybieli, ktoś się z niej ucieszy. Więc rozpięły nocną koszulę od szyi w dół i ściągały ją ze zmarłej przez głowę i cienkie ramiona, które wypchnęły z rękawów. Pociągnęły koszulę ponad kolana, ponad cienkie uda i…

Nicolaus nigdy nie zapomni tej sceny: drzwi pokoju zmarłej otworzyły się gwałtownie i w progu stanęły ramię w ramię dwie kobiety. Siedzieli z Janem przy stole w żałobnej ciszy, wpatrując się w płomienie na kominku.

– Nicolaus! Jan! Chodźcie tu natychmiast!

Nicolaus nigdy nie widział tak wstrząśniętej żony. Purpurowe na twarzy kobiety wbiegły do kuchni i zostawiły mężczyzn samych.

Na przepoconym i wilgotnym jeszcze prześcieradle leżało chude, wyniszczone ciało starszego mężczyzny. To była Birgit, z całą pewnością Birgit, ale Birgit nie była kobietą. Ponad wszelką wątpliwość. Siwe włosy porastały jej zapadniętą pierś, ale najbardziej zdumiały ich i wprawiły w osłupienie męskie organy między jej nogami – skurczone i pomarszczone, ale całkiem rzeczywiste. Nicolaus aż się zagotował ze złości. Nie myślał o Birgit, ale o Bernardzie. Dlaczego? Dlaczego? Przez czterdzieści lat! I nikt się nie dowiedział…

Oderwał myśli od wstrząsającego wspomnienia, które na zawsze wyryło się w jego pamięci. Wrócił do tego, co dzieje się teraz, w tej godzinie, gdy leży złożony niemocą, a Piet, Sedley i George Pickering Duke paktują z najsprytniejszymi i najbezwzględniejszymi ludźmi z kolonii, słynącymi ze swej chciwości. Trudna rada, musi tam pójść, nawet gdyby miał umrzeć!

Kaszląc, przywołał Mercy:

– Ubranie, szybko. Muszę iść na to spotkanie!

– Nie możesz! Zabraniam ci! Jesteś chory, poważnie chory!

– Daj spokój, Mercy. Muszę tam pójść, powiadam! Pomóż mi, jeśli chcesz, żebym przeżył. I nie zabraniaj mi, bo padnę trupem tobie na złość.

Wiedziała, że byłby do tego zdolny. Wszyscy Duke'owie byli uparci i zawzięci. Spotkał Jana, który wysiadał z powozu przed siedzibą firmy.

Piet, George Pickering, Sedley i zaproszeni przez nich goście siedzieli wokół owalnego, mahoniowego stołu. Grube usta szwagra Wentwortha wykrzywiały się nieustannie w lekkim uśmieszku. Propozycja okazała się dosyć niezwykła: obsypią braci Duke oraz ich synowców zaproszeniami na spotkania towarzyskie, poznają ich z wpływowymi ludźmi, sprawią, że rodzina Duke'ów stanie się znana nie tylko w bostońskiej śmietance towarzyskiej, ale i w Anglii, a w zamian dostaną swobodny dostęp do sosnowych lasów

tych panów na północy, za co zapłacą sprawiedliwą cenę. Sprawiedliwie podzielą się również kosztami dostarczania kłód z lasu do tartaków. George Pickering Duke uważał, że to świetny interes, bo jak wszystkim wiadomo, jedynym sposobem na uzyskanie korzyści są towarzyskie i polityczne koneksje, których firma Duke i Synowie nigdy nie miała. Piet niepokoił się nieco o ten „swobodny dostęp". Jak bardzo „swobodny" może być – zdaniem tych wpływowych ludzi – taki dostęp? Sedleya oblewały zimne poty na myśl o tysiącu drwali rąbiących ich sosny i siedzących tu panach przedstawiających im sfałszowane rozliczenia i kłamiących bez mrugnięcia powieką, że ktoś inny – nie wiadomo kto – ukradł drewno. Co gorsza, mając dostęp do lasów, ludzie ci mogą nagiąć prawo i przejąć należącą do Duke'ów ziemię! Lecz zanim Piet powiedział: „Zgoda", otworzyły się drzwi i do sali posiedzeń weszło dwóch starzejących się braci Duke: Jan i Nicolaus. Nicolaus był ledwie żywy, miał ziemistą cerę i rozpalone od gorączki plamy na policzkach. Rzucił na stół czarną laskę i spiorunował wzrokiem szwagra Wentwortha i jego stronników.

Piet wytłumaczył sens umowy. Szwagier Wentwortha, mając przeciwko sobie nieprzejednanych starców, spuścił nieco z tonu i zaproponował, że będą prowadzili wyręby tylko i wyłącznie na wcześniej uzgodnionych parcelach. Tym razem nikt nie mówił o „swobodnym dostępie".

– Wynoście się – rzucił Nicolaus.

– Wynoście się – powtórzył Jan. – Wynoście się natychmiast. Spotkanie dobiegło końca. Na nic się nie zgadzamy.

– Chwała Bogu! – mruknął Sedley i podniósł ze stołu laskę Nicolausa, jakby chciał nią przepędzić wpływowych ludzi, gdyby ci nie zechcieli odejść po dobroci.

Stronnictwo Wentworthów obrzuciło przed wyjściem starych Duke'ów spojrzeniami pełnymi nienawiści. Po czymś takim żaden Duke nie zostanie zaproszony nawet do posprzątania po towarzyskim spotkaniu.

Starsi potrzebowali ponad półtorej godziny, żeby przekonać Pieta i George'a Pickeringa, że ocalili im skórę przed najgorszym – przed doprowadzeniem do ruiny spółki Duke i Synowie.

– Piet – tłumaczył Nicolaus – wiem, że twoja matka Mercy od dawna marzy o wprowadzeniu nas na salony, ale doszliśmy wraz z Janem do wniosku, że dla naszej firmy będzie najlepiej, jeśli przez jakiś czas nikt nie zechce zwracać na nas uwagi. W naszych działaniach musimy kierować się przebiegłością i unikać zawierania jakichkolwiek nowych spółek: cała firma musi pozostać w rękach rodziny tak długo, jak to będzie możliwe. Do zakupów ziemi wyznaczymy słupy. Nie chcemy, żeby trąbiono o Duke i Synowie jako przemysłowej potędze, a nawet liczącym się przedsiębiorstwie. Pozostając w cieniu, zachowując milczenie i niewidzialność, zyskamy przewagę nad rywalami.

W istocie rzeczy starsi Duke'owie obawiali się, że do bostońskiego magla przedostaną się szczegóły śmierci Birgit, jeśli ich żony zasiądą w salonach lepszego towarzystwa. Po kieliszku sherry da się opowiedzieć wszystko.

Piet i George nadąsali się jak skarceni uczniacy. Czerwone usta Sedleya wykrzywiał złośliwy uśmieszek. Stryjowie wyszli z sali posiedzeń i zeszli na dół. Przed wyjściem Jan zwrócił się do Nicolausa:

– Ci dwaj, Piet i George, mogą nam sprawić kłopoty.

Nicolaus zakasłał.

– Kocham Pieta, ale wszystkie pieniądze postawiłbym na Sedleya.

Znów zakasłał i dodał:

– Nie wolno nam jeszcze umierać. Musimy zadbać o pozycję Sedleya.

Rozkasłał się tak gwałtownie, jakby za chwilę miał umrzeć. Jan odwiózł go do domu, gdzie Mercy skierowała męża prosto do łóżka. Przyniosła mu wraz ze służącymi kompresy z gorczycy, syrop, rozgrzane cegły, filiżankę herbaty z rumianku i karafkę sprowadzanej znad Morza Śródziemnego małmazji. Musi odzyskać zdrowie!

Przez następne tygodnie Sedley codziennie siadał przy łóżku ojca i doglądał jego rekonwalescencji. Do chorego przychodził także Jan i często rozmawiali we trzech. Sedley po raz pierwszy mówił głośno o swoich pomysłach, które do tej pory skrzętnie

ukrywał, a pomysły te były dalekosiężne. Gdy mówił, jego wyrazista twarz płonęła, a ciemne oczy lśniły. Wygląda jak prawdziwy przedsiębiorca, cieszył się Nicolaus. Wielkie brawa!

– Trzymamy się zbyt kurczowo naszego podwórka, ojcze. Wypad do Karoliny był dobrym pomysłem, ale teraz znów skoncentrowaliśmy się na Nowej Anglii, gdzie aż roi się od chciwych przedsiębiorców i chciwych przewoźników zatrudniających całe chmary ludzi! Moim zdaniem nasza przyszłość w Nowej Anglii i Bostonie zapowiada się czarno, dopóki nasze losy zależą od korony angielskiej. Potrzebujemy własnych banków, własnych ubezpieczeń, regulowanych rynków i własnej waluty. Wykwalifikowana siła robocza przenosi się do Portsmouth, Salem i innych miast, bo w Bostonie trwa cisza w interesach. Spada liczba mieszkańców miasta, Anglicy nas duszą!

– Co nam proponujesz? – zapytał chory, leżący na grubych poduchach.

– Na dłuższą metę zająłbym się eksploatacją lasów z doliny rzeki Ohio oraz na północ i zachód od niej. W Wirginii powstała grupa przedsiębiorców, którzy przejmują tam ziemię. Patrzą ku przyszłości. Lasy można tam dostać prawie za darmo. Powinniśmy zbadać tamten obszar i przekonać się, czy warto inwestować. Moim zdaniem powinniśmy zaryzykować. Lasy wymagają uwagi wiele lat naprzód, zanim staną się gotówką w kieszeni.

– Słusznie rozumujesz i prawisz. Lepsze to od szukania koneksji na tym zamkniętym podwórku wśród mało ważnych ludzi, którzy jutro i tak stracą na znaczeniu. Jakie masz jeszcze pomysły? Wiem, że chcesz wzmocnić przedsiębiorstwo…

– Owszem. Od dzieciństwa słyszę, jak wiecie, że Duke i Synowie planują otworzyć stocznię. Ale pomysł ten przepadł wraz z dziadkiem Duquetem. Moim zdaniem straciliśmy najlepszą porę na otwarcie niedrogiego warsztatu szkutniczego, ale mam wrażenie, że powinniśmy kupić stocznię najszybciej jak się da. To moja druga propozycja. Pomyślcie, jeden ładunek pociętych desek wysłany do Indii Zachodnich kosztuje tyle, co budowa statku. A jeśli ten sam statek wróci z Indii z ładunkiem melasy albo cukru…

– Ha! – sapnął Jan. – Ale kto pokieruje tą stocznią?

– Wydaje mi się, stryju, że George Pickering świetnie by sobie poradził. Często wyraża żal, że nie zdołał zaciągnąć się na żaden statek, tak jak wy dwaj, kiedy byliście młodzi. Morze go pociąga. A znajomość angielskiego prawa na pewno mu się przyda. Dobrze byłoby, gdyby czymś pokierował.

– A co z Pietem?

– Proponuję, żeby stanął na czele Duke i Synowie w Bostonie. Nominalnie będzie kierował kompanią. Bo, jak sądzę, powinniśmy rozważyć wyniesienie się stąd. Panuje tu straszny zamęt, wszyscy bujają w obłokach, a sprawy stoją na głowie. W Bostonie, moim

zdaniem, zawsze panowało szaleństwo, jakby miasto ciągle się obawiało, że ktoś uzurpuje sobie jego prawa.

– To nie jest bezpodstawna obawa – mruknął Jan.

– Nie wykluczam tego, ale uważam, że powinniśmy przenieść siedzibę tam, gdzie jest więcej energicznych ludzi interesu, a mniej wpływów angielskich. Boston zawsze był angielskim spanielem.

Nicolaus odkaszlnął flegmę i stwierdził:

– Nawet angielski spaniel potrafi ugryźć, gdy się go sprowokuje. A dla mnie niezmiernie prowokacyjne są maszty na angielskich okrętach: maszty z naszych lasów! Marynarka wojenna, którą szczyci się Anglia, zbudowana jest z nowoangielskiego drewna. Nasze sosny i dęby wracają do nas morzem, hę?

Uznał jednak, że dobrze będzie opuścić Boston, gdzie roi się od wyniosłych klik i złośliwych plotek.

Jan kiwał głową, ale nie chciał dać się wciągnąć do rozmowy na ten trudny temat.

– O jakim miejscu myślisz, Sedley? – Osobiście uważał, że przenosiny firmy nie będą łatwe. Pracowali w Bostonie od dziesięcioleci.

– O Nowym Jorku. Albo Filadelfii. Tamtejsi przedsiębiorcy myślą bardziej długofalowo.

Jan uznał, że Sedley wszystko dobrze przemyślał, choć nie do końca.

– Wspomniałeś o korzyściach płynących z życia na morzu, które buduje charaktery i pewność siebie. Wybiegasz myślą w przyszłość, ale w ogóle nie mówisz o swoim synu i nie proponujesz wysłać go na morze. James ma już dziesięć lat i mógłby zostać kadetem.

Sedley zmarszczył brwi. Unikał zazwyczaj mówienia o synu, którego wysłał do szkoły z internatem.

– Zadziwiasz mnie, stryju! Sam zabroniłeś George'owi zaciągnięcia się na statek.

– George Pickering dał się zwieść marynarskim tańcom, chciał chodzić rozkołysanym krokiem. Pragnął zostać marynarzem, nie mając pojęcia o masztach. Stawiam młodym ludziom bardziej ambitne cele. James jest natomiast rozsądnym, a nawet błyskotliwym chłopcem, który mógłby zrobić karierę w marynarce wojennej, a potem zająć się firmą. Inwestowanie w naszych synów jest ważne. A James stanie się przykładem dla pozostałych chłopców w rodzinie. Nie wątpię, że dzięki naszym koneksjom na morzu zdołamy znaleźć mu miejsce na pokładzie dobrego okrętu.

– Zastanowię się nad tym – odrzekł Sedley, choć wiedział już, że umieszczenie Jamesa jako kadeta na okręcie Królewskiej Marynarki Wojennej zostałoby potraktowane jako przejście na stronę wroga przez żywiących coraz silniejsze antyangielskie nastroje kolonistów. Zastanowi się natomiast, czy nie umieścić chłopca na amerykańskim statku kaperskim.

– Zrób to – powiedział Nicolaus.

V

W OBOZACH DRWALI

1754–1804

38

DOM NAD ZATOKĄ PENOBSCOT

Miesiąc po odejściu Kuntawa w roku 1754, jego żona Malaan siedziała w coraz zimniejszym jesiennym słońcu przed angielską faktorią handlową, gdy pewien biały, na którego mówili Simon, kopnął ją lekko w udo i pokazał, żeby poszła za nim. Nie odezwał się, ona też się nie odzywała, ale Simon trzymał ją u siebie przez całą zimę. Wiosną wrócił do Anglii, a ona poszła do Richarda Tarboksa. Jej syn, Tonny Sel, dorastał w okolicach faktorii, biegając z wszędobylskimi psami i gromadką dzieci, którymi nikt się nie zajmował. Dzieciarnia miała kryjówkę pod starymi pirogami. Malaan interesowała się Tonnym, kiedy sobie o nim przypomniała, natomiast zupełnie nie interesowała się kobietami z wioski Mikmaków, które kilkakroć namawiały ją, żeby zostawiła tego czy innego utrzymującego ją białego i wróciła z nimi do wioski, ale wpadła we wściekłość, gdy te same kobiety chciały odebrać jej Tonny'ego.

– Powinni go wychowywać Mikmakowie – powiedziała jedna z nich.

– A czy ja nie jestem Mikmakiem? Zostanie ze mną w faktorii. Nauczy się życia białych. Życie Mikmaków nic nie jest teraz warte.

Była zbyt pogrążona w rozpaczy, żeby przejmować się dzieckiem, które świetnie dawało sobie samo radę, i egzystowała na marginesie życia pomiędzy Mikmakami a białymi, idąc za każdym, kto na nią kiwnął albo dał jej jedzenie. Zrobiła się tłusta. Sypiała całymi dniami i nie można jej było dobudzić, jakby życie na jawie okazywało się zbyt bolesne.

– Ach… – westchnęła któraś ze staruszek. – Pamiętam, jak była mała i sprytna. Umiała splatać piękne ozdoby z piór.

Nikt nie wiedział, co sprawiło, że stała się posępną, mrukliwą kobietą. Niektórzy mówili, że zapadła na chorobę po whiskey białych, inni, że to z miłości do Kuntawa i ze wstydu, że ją porzucił. Wszyscy słyszeli, że Kuntaw żyje z córką białego w Maine. Nie wrócił do wioski i nikt nie poszedł go sprowadzić. Mówili, że Malaan rozeszła się z Kuntawem.

Wzięli ślub jako dzieci tuż po powrocie Kuntawa, Auguste'a i Achille'a z polowania, po którym wszystko legło w ruinie. Zrozpaczony Achille zostawił jedynego, pogrążonego w smutku syna, chłopca tak obolałego i samotnego, że małżeństwo z Malaan mogło wydawać się błogosławieństwem, choć byli na nie za młodzi. Elphège nie zgadzał się na nie, ale Kuntaw stwierdził, że zabił łosia, jest już mężczyzną i może się ożenić! Elphège nie był jego ojcem, więc nie mógł mu tego zabronić. Wzięli ślub, a Malaan

urodziła Tonny'ego. Miała zaledwie trzynaście wiosen, więc rodziła długo i boleśnie. Nim chłopiec skończył trzy lata, Kuntaw odszedł do obozów drwali, a Malaan odkryła whiskey białych. Mały Tonny biegał z gromadą porzuconych sierot.

Od starszych kobiet, które czasem zapraszały go do swoich *wikuomów* na dobre mięso z łosia i mówiły mu, że zawsze znajdzie u nich jedzenie i schronienie, słyszał opowieści o swoim ojcu, Pogromcy Konika Polnego, i o jego kunszcie łuczniczym. Teraz Mikmakowie woleli strzelać z muszkietów białych. Tonny wstydził się ojca, na którego mówiono „Pogromca Konika Polnego". A co do łuków… widział je razem z połamanymi strzałami u stojących nad grobem starców. Każdy szanujący się Mikmak miał teraz broń palną, z której nawet ślepy potrafił ustrzelić pięć albo sześć gęsi z dużej odległości. Nie było już tak trudno zdobyć jedzenie, więc tropienie i uganianie się za sprytną zwierzyną nie miało najmniejszego sensu.

Tonny był sprytnym złodziejaszkiem i żebrakiem, nie miał ani łuku, ani muszkietu, więc musiał polegać tylko na sobie i własnym sprycie, żeby zdobyć jedzenie i schronienie. Załatwiał białym sprawunki, sypiał pod odwróconą pirogą albo w szałasie z gałęzi zebranych w zrąbanych lasach. Mając czternaście lat, zaczął sypiać z Haną, dziewczyną, której matka również chodziła do faktorii, i pod starymi pirogami spłodzili troje dzieci: Elise, Amboise'a i Jinota. Dzieci te przeżyły i łaziły wokół faktorii jak młode indyki. Hana, która lubiła rum i wywoływane przezeń

oszołomienie, zaczęła zadawać się z białymi, a gdy miała dwadzieścia lat została pobita na śmierć przez Henry'ego Clefforda, zazdrosnego i awanturniczego kupca, który utrzymywał dwie inne kobiety Mikmaków. Była wczesna wiosna, w wietrzne chłodne dni padał śnieg z deszczem, a czasem wychodziło słońce.

– Odchodzę – zwrócił się Tonny do matki.

Malaan pałała nienawiścią do całego świata i przepełniał ją wielki smutek. Gardził nią. Po co mówi jej cokolwiek?

– Jestem dorosły – dodał. – Jestem już ojcem. Idę i zabieram dzieci ze sobą.

– Idziesz – powtórzyła obojętnie. – Zawsze wiedziałam, że odejdziesz. – Kiwnęła głową i odwróciła się, a potem ziewnęła, otwierając szeroko usta. Nie miał jej nic więcej do powiedzenia. Całe jej przeklęte życie kręciło się wokół faktorii. Tonny był już dorosły i silny, ale nie umiał polować, nie miał broni, nie znał się na zwierzętach, nie znał się na żadnej z rzeczy, którymi zajmują się mężczyźni. To już nie było jego miejsce na ziemi, jeśli było nim kiedykolwiek. Pewnego ranka obudził się ze wzrokiem wbitym w dno pirogi, dzieci spały mu na ręce – musi uciec od takiego życia. Nie będzie dłużej Mikmakiem, tego ludu już nie ma, a jego zwyczaje odeszły w zapomnienie jak minione śniegi. Uważał jednak, że dzieci powinny mieć ojca. Było mu ich żal i czuł straszliwą gorycz, patrząc na te sieroty, które nie miały już matki i został im tylko zupełnie bezwartościowy ojciec. Ale nie może ich zostawić w przynoszącej wszystkim zgubę faktorii. Wiedział, że

jego własny ojciec mieszka daleko nad zatoką Penobscot. Ruszył tam bez zapowiedzi, płynąc skradzioną pirogą, wędrując całymi tygodniami przez błoto i resztki śniegu, niosąc najczęściej najmłodszego Jinota na rękach. Aż w końcu znalazł ten dom – dom Kuntawa i córki białego.

Bale, z których wzniesiono dom, niemal poczerniały wraz z upływem lat. Dom osiadł głębiej w ziemi, ale nowy cedrowy gont lśnił w słońcu jak cenny kruszec. Farba na drzwiach i okiennicach zszarzała i pokrył ją mech – Beatrix od dawna nosiła się z zamiarem pomalowania wszystkiego na nowo. Bo Kuntaw nie przykładał się do domowych obowiązków poza gromadzeniem drewna na zimę i polowaniem.

– Wejść! – krzyknęła Beatrix Duquet, usłyszawszy skrobanie do drzwi. Tonny i dzieci przeszli przez próg cali w łachmanach, wycieńczeni po długiej wędrówce. Stanęli na lśniących deskach podłogi, wciągając w nozdrza dziwne zapachy domu, przyglądając się padającym skośnie przez szyby promieniom słońca, które odbijało lustro.

Beatrix o siwiejących czarnych włosach opadających kaskadą na plecy wciągnęła głośno powietrze.

– Kim wy jesteście? – Spojrzała na nich. – Kim jesteście?

Tonny zakładał, że wie.

– Ja Tonny. Kuntaw Sel mój ojciec. To moje dzieci. Kuntaw ich dziadek. Ich matka umarła. Mają na imię Elise, Amboise i Jinot.

Odwracał ku niej dzieci, dotykając ich czoła.

– U Mikmaków teraz niedobrze. Ja dorosły, ale niedobry. Niedobry człowiek jestem. Przyszedłem do ojca, do Kuntawa i do ciebie. Pomóżcie im.

– Ach… – westchnęła Beatrix. Spojrzała na dzieci. Elise miała jakieś dziewięć lat i była najstarsza, wydawała się nieśmiała i zamknięta w sobie. Siedmioletni Amboise również sprawiał wrażenie nieśmiałego, ale obdarzył ją ujmującym uśmiechem. A pięcioletni Jinot miał pyzatą, wesołą buzię.

– Usiądźcie przy stole. Nakarmię was.

Nie widzieli jeszcze tak wysokich krzeseł ani stołu, który przypominał ladę w faktorii. Jinot wspinał się po nodze krzesła, żeby usiąść, a Beatrix podniosła go, żeby mu pomóc. Był ciepły i dosyć ciężki, uszczypnęła go delikatnie.

– Siadaj, mój ty *snoezepoes*, pączusiu – powiedziała, a potem zwróciła się do Tonny'ego: – Nieszczęsny, nieszczęsny chłopcze! Musisz mi wszystko opowiedzieć, wszystko, co się wydarzyło. Kuntaw jest na polowaniu z naszymi synami, Francisem-Outgerem i Josime'em. Są mniej więcej w wieku twoich dzieci. Wiem, że Kuntaw rozpłacze się ze szczęścia, widząc was. Wiele razy opowiadał mi o swoim synu, Tonnym, i zastanawiał się, czy jeszcze żyje i co u niego słychać…

Współczuła temu młodemu człowiekowi, bardzo podobnemu do przystojnego Indianina, który przed laty pojawił się w jej życiu.

– Na szczęście zjawiliście się u nas. Twój ojciec będzie uszczęśliwiony. Ale jak to się stało, że ty, tak młody, zdołałeś już spłodzić

troje dzieci? – Spojrzała na nie. – Elise, Amboise, umiecie czytać i pisać? – Opuściły głowy. – Jinot, co lubisz najbardziej?

– Lizaki z faktorii.

– No cóż, nie mam lizaków, ale myślę, że zasmakują ci naleśniki i holenderskie kakao.

– Ty dobra – powiedział Tonny. – Śniłem, że ty dobra.

Spojrzeli na siebie. Spokojne oczy Beatrix obiecywały, że dzieci będą bezpieczne. Spojrzenie Tonny'ego wskazywało, że jest między nimi dystans, którego nie da się pokonać.

Zlizywali z talerzy ostatnie krople syropu klonowego, gdy wrócił Kuntaw, a wraz z nim Francis-Outger i Josime. Dzieci Tonny'ego obrzuciły stryjów nieśmiałymi spojrzeniami. Zwróciły uwagę na czarne brwi i włosy, kontrastujące z jasnymi oczyma. Josime przyniósł indyka, którego trzymał za nogi, ciągnąc zakrwawiony łeb po podłodze.

Gdy Kuntaw zrozumiał, kim są przybysze, zadrgały mu policzki i dłonie. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa, ale w końcu wychrypiał:

– Zostańcie, zostańcie. Zamieszkamy razem… – Spojrzał błagalnie na Beatrix.

Więc tak to wygląda – pomyślał chłodno Tonny. Kuntaw musi prosić o łaskę tę wysoką kobietę, która przypominała Indiankę, gdy stała w odległym ciemnym kącie pokoju. Ale gdy tylko wyszła na światło, wyglądała jak biała, co było widać szczególnie w jej krystalicznych jak woda oczach. Ale mówiła językiem Mikmaków

lepiej od Tonny'ego i dzieci, którzy porozumiewali się między sobą mieszaniną słów indiańskich, francuskich i angielskich.

Kuntaw, Francis-Outger, Josime i Tonny poszli na górę, a Beatrix oprowadziła dzieci po domu, tłumacząc im, do czego służy każdy pokój, a zwłaszcza ten z olbrzymim stołem. Ten pokój, powiedziała, jest szkolną klasą, *schoollokaal*, w której nauczą się czytać i pisać. Ona ich nauczy. Usiadła za stołem i posadziła Jinota na kolanach, szepnęła mu na ucho, że jutro zmajstruje dla niego drewnianego konika. Przyciągnęła bliżej Elise i Amboise'a. Mówiła do nich cichym ciepłym głosem, jakby powierzając dzieciom wielkie tajemnice:

– Nasz lud od zawsze szanował wyjątkowych ludzi, którzy znali i pamiętali nasze dzieje i nasze zwyczaje. Moja matka umarła, kiedy byłam mała, więc nie zdążyła mi nic opowiedzieć. Ale od ojca, choć był Holendrem, dowiedziałam się, że Indianie powinni nauczyć się od białych wszystkiego, co pożyteczne. To sprawiedliwe, bo biali odebrali nam wszystko. Wielu naszych zginęło, a wraz z nimi odeszły nasze tajemnice. Dlatego teraz musimy uczyć się czytać i pisać, żeby wiedzieć, jak żyli nasi przodkowie i jak tworzy się pożyteczne rzeczy. Uczymy się czytać, żebyśmy mogli pamiętać.

Jinot bał się wysokich schodów, bo nigdy nie widział więcej niż trzech stopni; biadolił cicho, póki Beatrix nie wzięła go za rękę i poprowadziła do góry, licząc przy tym: *zeven, acht, negen*…

dertien. Na strychu spotkali Kuntawa i dużego Josime'a, którzy przepychali pod ścianę stare kufry, połamane meble, pudła z książkami, zniszczone łuki i kołczany, żeby zrobić miejsce na posłania.

– Tutaj będziecie spali – oznajmiła Beatrix. Jinot zobaczył, jak Josime przewraca oczami, jakby matka powiedziała, że nakarmi upieczonym łosiem stado wilków. Uśmiechnął się do Josime'a najładniej jak umiał, a stryj wykrzywił z rozbawieniem usta. Jinot chciał, żeby wszyscy byli zadowoleni: ta pani, tata, dziadek Kuntaw, a nawet Josime i Francis-Outger, którzy nie zapałali miłością do nowych bliskich.

Tonny i dzieci nie bardzo umieli jeść przy stole, ale Beatrix powiedziała, że nie powinni siadać na podłodze. Spłoszyli się, widząc na stole tyle potraw: mięso i chleb, gęstą zupę z warzyw i coś, co przypominało rybę. Francis-Outger i Josime szeptali i chichotali między sobą, a potem zabrali talerze i wyszli na dwór, żeby posilać się z dala od przybyszów. Kuntaw przywołał ich do stołu.

– Usiądźcie na swoich miejscach – polecił.

Jedli w milczeniu.

Po obiedzie Beatrix położyła dzieci Tonny'ego do łóżka. Josime oparł się o framugę drzwi i podsłuchiwał.

– Opowiem wam dwie bajki – zaczęła Beatrix cichym spokojnym głosem. – Słuchajcie. Oto pierwsza. Dawno, dawno temu w lesie zgubiło się troje dzieci. Błąkały się po tym lesie, aż

ujrzały wielkie i grube drzewo, którego liście sięgały chmur. Drzewo to było stare, tak stare, że inne drzewa nazywały je Staruszką. Natomiast chmury mówiły na nie Stara Wariatka. Drzewo było ogromne – Beatrix rozłożyła ręce, żeby pokazać dzieciom jego szerokość – bo rosło w lesie przez wiele, wiele lat. Było tak ogromne, że wśród korzeni w wielkiej norze zamieszkały dwa niedźwiedzie…

Kuntaw i Tonny schodzili na dół, słysząc dobiegający z góry cichy głos Beatrix. Kuntaw położył dłoń na ramieniu syna.

– Chodźmy na dwór, przejdziemy się do rzeki. Wezbrała po ostatnich deszczach, woda nadwerężyła jaz. Naprawimy go, a ty mi opowiesz o Malaan i Mikmakach. Nie musisz niczego mi oszczędzać.

Weszli do wody i zaczęli przekładać kamienie. Tonny przyglądał się ojcu, bo nie wiedział, jak naprawia się jaz i gdzie umieszcza wyrwane przez wodę kamienie. Było pochmurno, a dzień szary, mokry i nieprzyjemny. Od lodowatej wody tracili czucie w stopach i nogach. Tonny opowiadał urywanymi zdaniami z narastającą wściekłością o pogrążającej się w letargu Malaan, o jej zamknięciu się na świat, o białych, którzy ją poniewierali. Opowiadał o Hanie i jej szaleństwach z tymi samymi białymi, co sprowadziło na nią śmierć.

– Henly Clawfoot. Zabiłbym go, gdybym tam został. Chciałem go zabić wielokrotnie.

– Dobrze zrobiłeś, synu, sprowadzając tu dzieci. Zapłacę za porzucenie Malaan, ciebie i naszego ludu. Dobrze wiem, że moje wcześniejsze życie było pełne zła i strat. Nie nauczyłem cię niczego, co powinieneś wiedzieć.

Wyszli z wody, wciągnęli *mkisn* i ruszyli w milczeniu do domu. Kuntaw wiele razy otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć. I w końcu zaczął:

– Zima dobiegła końca, ale i tak opowiem ci historię naszego ludu i naszych wielkich przodków… – Nie czekając na odpowiedź Tonny'ego, zaczął snuć opowieść o wojownikach i myśliwych, o przodkach, ale nie potrafił się zdobyć na wyznanie o przerażeniu na widok uciętej ręki matki, na myśl o odejściu Achille'a, na opowieść o latach zmarnotrawionych na szukanie zaginionego ojca. Przez cały czas miał wrażenie, że mówi do głuchego nieba, które milczało jak Tonny, choć spuściło zimną mżawkę, gęstniejącą w deszcz.

– Chodziłem od drzewa do drzewa, bezmyślnie, nie zastanawiając się nad twoim losem, nad losem mojego pierworodnego. Teraz wiem, że nie byłem dobrym człowiekiem. Nie powinienem był szukać Achille'a. Powinienem był zostać z tobą i Malaan. Więc powiadam ci, nie zostawiaj dzieci.

Tonny wzruszył ramionami. Im dłużej słuchał Kuntawa, tym mniej się z nim utożsamiał. Zwracał się do niego po imieniu.

– Posłuchaj, Kuntaw. To nie jest moje miejsce. Tak samo jak kraina Mikmaków, mówią na nią teraz Nowa Szkocja. Nie mam

nic wspólnego z nikim: ani z Anglikami, ani z Mikmakami, ani z Francuzami czy Amerykanami. Nie mam swojego miejsca. Wielu Mikmaków w wiosce udaje, że wszystko jest po staremu, że wszystko jest dobrze, ale brakuje zwierząt, nie ma co jeść i nikt już nie wie, jak żyć. Biali zbierają jagody, małże, łowią ryby i sprzedają wszystko. Nie umiem udawać. Opowiedziałem ci, jak wygląda życie w angielskiej faktorii. Ty… ty masz swoją kobietę. Ja nie mam nikogo. Nigdzie nie należę. Żadne miejsce nie jest moje. Muszę odejść. Może ktoś mnie zabije. Wtedy odzyskam spokój. – Tak mówił, a deszcz skapywał mu z włosów na ramiona.

Zaczął się potop. Kuntaw, usłyszawszy słowa syna, poczuł w gardle igły strachu. Czy to był jego syn czy jakiś złowrogi duch w synowskiej postaci? To prawda, Tonny wydawał się zupełnie inny – nie jak ludzie, w których żyją dwa duchy, ale raczej jak… biały. Zły biały. Miał wszędzie stare blizny, ściągnięte groźnie rysy i mówił schrypniętym głosem. Był brudny i w łachmanach. Kuntaw zastanawiał się, kim tak naprawdę jest ten samotny, nieznany, młody mężczyzna. Uśmiechnął się odruchowo i powiedział:

– Głupstwa pleciesz. Wciąż jesteś młody. Tu jest twoje miejsce. Postąpiłeś słusznie, przyprowadzając tu dzieci. Nie wyrządzaj im takiej krzywdy, jaką ja wyrządziłem tobie. Zostań tu ze mną. Zostań.

Bał się, że biali złamali ducha tego porzuconego syna.

Padało przez całą noc, a gęsta mgła sprawiała, że cały świat zniknął, ale Tonny oznajmił, że wyruszy w drogę, że poszuka

pracy w Nowym Brunszwiku.

– Wrócę po was – wymamrotał do Elise, Amboise'a i Jinota. Odważnie spojrzał w oczy Kuntawa, niekryjące przygany. Czyż ojciec nie postąpił tak samo? Tak, przytaknął Kuntaw bez słów, postąpił dokładnie tak samo.

///

O pracę było niełatwo. Jedynymi miejscami, w których mógł się zatrudnić Indianin, były obozowiska drwali. Traktowano w nich Indian jako odnawialną siłę roboczą – w miarę dobrą, dopóki pracowała, najlepszą do spławiania drewna, dopóki zdołała przeżyć. Z takiego obozowiska, myślał Tonny, można zapuścić się głębiej w las, choć nie miał żadnej broni. Zastanawiał się nad życiem w puszczy bez broni. Czy zdołałby przetrwać, nie znając się na zwierzynie? A może powinien pójść do miasta? Do Bostonu? Może tam coś znajdzie? Albo kogoś? Musi odnaleźć nowy sposób życia. Więc najpierw spróbuje w obozowiskach drwali. Tak trafił do chaotycznego świata jęczących drzew wyrywających dziury w piętrze koron, przewracających inne drzewa, łamiących się wpół, eksplodujących drzazgami. Niektóre drzewa nie chciały padać, splatały się konarami z sąsiadami, chwiejąc się na zrąbanych do połowy pniach. Inne – a tych było niewiele – rosnące na obrzeżach nowego wyrąbiska, nieosłonięte przez powalonych towarzyszy, czekały na wichurę, która zmiecie je zieloną falą, wyrwie z

korzeniami, aż padną, pryskając wokół grudami ziemi. Pracował przez całą zimę, okrzesując gałęzie powalonych sosen, a wiosną szef kazał mu zejść nad rzekę: był Indianinem i na pewno umie posługiwać się wiosłem. Ale Tonny wiedział o *bateaux* tylko tyle, że służyły mu za schronienie – dach nad głową przed deszczem, kiedy był mały. Nie był flisakiem i zanim odebrał zapłatę za sezon pracy, utonął pod Wolf Falls i jak niezliczone rzesze ojców, odszedł do przeszłości.

W domu nad zatoką Penobscot Kuntaw rozpaczał, że nie zdołał uczynić z Tonny'ego Mikmaka. Oddalił się nieco od Beatrix. Rozmawiał z Amboise'em, który był za mały, żeby cokolwiek zrozumieć:

– Jest mi wstyd, że opuściłem kraj Mikmaków, mój lud i mojego syna.

Był wobec siebie bezlitosny i uważał, że bezmyślnie zerwał ze starym sposobem życia. Choć jak mówiono, modrzew gubi igły, a klon i buk liście po to, by na gołych gałęziach wyrosły nowe, Mikmakowie nie odrastali już jak liście z każdą nadchodzącą wiosną. A on sam zasychał.

Kuntaw słyszał tysiące razy, jak Beatrix powtarzała: „Potrzebuję cię, Indianinie" – tak jak wtedy, gdy podjechała do niego na koniu. Wtedy uznał, że chce, żeby porąbał jej drewno. Ale mijały tygodnie, a on doszedł do wniosku, że potrzebuje go do łóżka. Dopiero po długim czasie pojął, do czego jest jej potrzebny.

Potrzebowała go, bo sama była półkrwi Indianką, wychowaną na białą dziewczynę. Potrzebowała go, bo chciała stać się prawdziwą indiańską kobietą. Usiłowała przekonać go do książek. Ale odkąd pojął, o co jej chodzi, zrezygnował z nich.

– Kobieto – oznajmił – teraz ja nauczę cię czytać.

I zaprowadził ją do lasu, tłumacząc cierpliwie – tak, jak powinien był tłumaczyć Tonny'emu – jak rozpoznawać i odczytywać tropy zwierząt, sezonowe zmiany roślin i drzew, zapach niedźwiedzia, nadciągającego deszczu i pokrytych szronem liści, zmieniającą się powierzchnię wody oraz jak dopasowywać to wszystko do siebie.

– Wie o tym każdy Mikmak – mówił. – A czy ty rozumiesz teraz, że las i brzeg oceanu są połączone ze sobą nieprzeliczonymi nićmi, cienkimi jak pajęczyna? Czy pojmujesz indiański sposób życia i nauki? Nie chciałbym mieć żony, która nic nie wie.

– Rozumiem – odpowiedziała Beatrix. – Choć jest tego za dużo, żeby wszystko zapamiętać.

– Nie trzeba tego zapamiętywać jak lekcji – odrzekł. – Wystarczy wiedzieć i czuć. – Był pewny, że to na nic.

Wkrótce zaczęła wymawiać się od wycieczek do lasu.

– Mówiłam ci, że moja mama pochodziła z plemienia Passamakwodów i umarła, gdy byłam bardzo mała, zanim zdążyła nauczyć mnie czegokolwiek. To wielka strata. Wszystko, co wiem, zawdzięczam ojcu. Musiałam poznawać lecznicze zioła. Ojciec

często pisał do mnie z Lejdy i prosił o przysłanie pewnych trujących roślin.

Ten ojciec, Outger, nigdy jej nie odwiedził, ale bombardował Beatrix listami i radami, paczkami z książkami albo starymi europejskimi ubraniami. Umarł za morzem rok przed pojawieniem się Kuntawa. Uważał ojca Beatrix – jeśli w ogóle o nim myślał – za ciskającego gromy, panoszącego się i przyjmującego liczne pozy białego. Z ulgą myślał o tym, że rozdzielał ich ocean i śmierć.

Beatrix uczyła dzieci czytać, pisać i liczyć, wymagała, aby czytały książki, a Kuntaw, który nie zdołał nauczyć niczego Tonny'ego, zajął się wnukami i pokazał im to wszystko, co wcześniej dwóm synom, Francisowi-Outgerowi i Josime'owi – jak się poluje i pływa pirogą. Chłopcy przylgnęli do niego jak rzepy i wszyscy razem przemierzali kurczące się nieustannie, wycinane i trzebione lasy; naprawiali ubrania; piekli węgorze i łapali ryby.

– Musicie wszystkiego się nauczyć – powtarzał Kuntaw – bo wiecie mniej o świecie od kamieni. Płynie w was krew Mikmaków, ale o niczym nie macie pojęcia.

Pokazywał im zwierzęta, rośliny i… owszem, koniki polne. Sporządził małe łuki dla Amboise'a i Jinota. Niech strzelają do konikόw polnych, tak jak on! Niech poznają życie Mikmaków. Ale nie mógł ich nauczyć wszystkiego, co sam wiedział, bo nie żyli jak Mikmakowie, a jego wiedza była czymś większym od umiejętności posługiwania się narzędziami czy rozpoznawania roślin. To, czego

ich uczył, nie było prawdziwym życiem, raczej zabawą – myślał posępnie. Świat, który mieli poznawać, zniknął, rozpłynął się jak dym nad dopalającymi się węglami.

Wokół osady Penobscot padały drzewa, trakty żłobiły lasy – najpierw jeden, potem dwa, potem siedem, a wreszcie cała sieć traktów, które z upływem dekad zamieniały się w drogi. Drogi te były błotniste, czasem przypominały rzadkie ciasto, które późnym latem stawało się gęściejsze i chwytliwe, aż wreszcie drogi pokrywał duszący drobny pył, który wisiał w powietrzu długo po przejeździe konia czy powozu i osiadał na trawie jak Anglicy na ziemi.

Mijały lata, firmy drzewne i osadnicy ogołocili brzegi zatoki i ruszyli w głąb lądu wzdłuż rzeki Penobscot. Tam, gdzie rosły lasy, siano pszenicę, zakładano łąki. Pola i łąki były odgradzane pieńkami ściętych drzew, przewróconymi korzeniami lasu, który tu rósł, stawały się ogrodzeniami dla należących do białych owiec i krów. Stojące nad brzegiem morza domy osadników ścieśniono w opłotowane rzędy. Stary dom Charlesa Duqueta stał samotnie na akrach lasu, którego nie ścięto, niczym relikt dawnego leśnego świata.

Pewnego dnia Beatrix zauważyła, że jej syn Josime obdarza Elise wcale niebraterskimi spojrzeniami, i zwróciła się do Kuntawa z propozycją wydania wnuczki za mąż. Elise miała już piętnaście

lat i nadeszła pora, żeby przestała żyć sama. Kuntaw doszedł do wniosku, że wyśle Elise do Nowej Szkocji, do swojej siostry Aledonii, u której wnuczka wybierze sobie męża spośród Mikmaków i będzie wieść tradycyjne życie. Zapomniał już, co mówił Tonny o ich wiosce, pamiętał tylko dobre czasy sprzed polowania na łosia w dzieciństwie.

Wszystkie dziewczęta z osady – Indianki, Francuzki, metyski, a nawet Angielki – podkochiwały się w Jinocie. Wybiegały mu na spotkanie, zwierzały mu się z dziewczęcych sekretów i kazały mu przysięgać, że nigdy ich nie zdradzi – nigdy tego nie zrobił – i przynosiły mu pierniki podwędzone z domowych spiżarni. Beatrix, która widziała poszeptujące z nim dziewczyny, zapytała go:

– O czym ty z nimi rozmawiasz, Jinot?

– O robakach i żabach. O niczym.

Jinot nie tylko z nimi rozmawiał, ale i chichotał. Niewiele dziewcząt, a później młodych kobiet, było w stanie oprzeć się łobuzerskiemu śmiechowi Jinota.

– Zostań taki, jak jesteś przez całe życie, moje dziecko – mruknęła Beatrix, która sama nie była obojętna na urok chłopca.

Kuntaw także obserwował Jinota i zauważył, że chłopak jest inny – tacy jak on zdarzali się wśród Mikmaków w dawnych czasach. Nie potrafił sobie tylko przypomnieć, jak ich nazywano.

Leśny świat dosięgał zatoki podczas spławiania drewna. Amboise i Jinot Selowie bawili się z chłopcami z wioski na nabrzeżu,

biegali, skakali i chwytali równowagę na kłodach pływających po rozlewiskach przy tartaku, udając, że są flisakami. Ich bohaterami byli prawdziwi flisacy spławiający drewno w dół kapryśnej rzeki Penobscot. Mieszkający wokół zatoki chłopcy pływali pirogami i łodziami. Gdy dorastali, pracowali z rybakami, ucząc się naprawiać i zarzucać sieci i wciągać liny. Synowie rybaków zapuszczali się na głębsze wody, a potem na morze. Dzieci dzień po dniu przyglądały się załadunkowi żaglowców wielkimi sosnami na reje czy układaniu desek na pokładach. Mali Selowie chodzili z Kuntawem naprawiać jazy, naganiać i łapać węgorze – ich ulubione i łatwo dostępne pożywienie. Idealną przyszłością dla chłopców z osady była praca przy wyrębie drzew i spławianie kłód po wiosennych roztopach. Jinota i Amboise'a Selów fascynowało to niepomiernie.

Dzieci rosną za szybko – myślała Beatrix. Jednego dnia są dziećmi, zadają mnóstwo pytań i mają w sobie niewinny entuzjazm, a następnego stają się dorosłymi mężczyznami, mają nastroje i pomysły, i wolą przebywać z Kuntawem, a nie z nią. Francis-Outger skończył dwadzieścia jeden lat i ożenił się z dziewczyną – w połowie Francuzką, w połowie Indianką z plemienia Mikmaków – dla której wraz z jej ojcem wybudował nieduży dom. Potem rodzinne gniazdo opuścił Josime, który powędrował do obozowisk drwali w Nowym Brunszwiku. Po miesiącu jego śladem poszedł Amboise. Dla Jinota Sela –

jedynego, który pozostał – czas biegł bardzo powoli: lata ciągnęły się w nieskończoność, nadchodziła wiosna, a on przyglądał się hektarom kłód, które nie trafiły do tartaku i spływały rzeką wprost do zatoki, zazdrościł żwawym flisakom, popychającym i cumującym głupie drewno. Po spływie do domu wrócił silniejszy i szerszy w barkach Amboise, opowiadał im niesamowite historie. Miał też pieniądze. Nadeszło i minęło lato. Amboise znów powędrował do lasu, żeby pracować jako pomocnik drwala dla firmy z Nowego Brunszwiku. Całymi tygodniami niósł się krzyk dzikich gęsi, przypominający kucie w podniebne kowadła. Nadeszła pełnia księżyca przesłanianego przez szaleńczo mknące po niebie chmury. Jinota coś gdzieś gnało. Pewnego ranka podjął decyzję i stanął przed Kuntawem.

– Dziadku, jestem już duży i chcę pójść do obozowisk drwali, żeby rąbać drzewa – oznajmił.

Kuntaw kiwnął głową.

– Wiem, że chcesz zacząć żyć jak mężczyzna – powiedział – choć zasmucisz tym wiele dziewcząt, które wolałyby, żebyś został. Robiłeś im nadzieję i coś więcej… Czy urodzą się tu jakieś dzieci, których jesteś ojcem?

Wstrząśnięty Jinot pokręcił gwałtownie głową.

– Dziadku, one tylko ze mną rozmawiają. Dziewczyny lubią rozmawiać. Jesteśmy przyjaciółmi.

Kuntaw zmierzył wnuka wzrokiem, układając w głowie ulotne myśli.

– Tak, rozumiem. I widzę cię na wylot. Jestem stary, Jinot, ale nie bierz mnie za głupca. Gdybyś żył wśród Mikmaków, nikt nie powiedziałby ci złego słowa, bo masz w sobie podwójnego ducha. Ale biali uznają to za zło. Zwłaszcza ludzie kościoła.

Jinot nie potrafił na to odpowiedzieć. Po chwili Kuntaw zapytał:

– Kiedy wyruszasz?

– Dziś. Zabrałem ciepłe rzeczy do skórzanej torby. Czy mam wziąć siekierę?

– Możesz ją wziąć, ale w obozowisku drwali dadzą ci tyle siekier, ile trzeba. Dają narzędzia. Tyle wiem, bo i ja pracowałem przy wyrębie drzew, tak jak mój ojciec Achille przede mną i jego ojciec, Francuz René Sel przed nami wszystkimi.

– Nie słyszałem o tym Francuzie René Selu. Czy to nasz przodek?

– Mój dziad. Zamordowany, jak mówili, przez dziewczynę, którą przysposobił. Więc jak widzisz, płynie w nas francuska krew. Ale René Sel nie pracował w obozowiskach drwali. Sam ścinał drzewa. Zanim pójdziesz do lasu, Jinot, chcę, żebyś wraz z Amboise'em wyruszył do kraju Mikmaków i odwiedził Elise. Sprawdzicie, czy miewa się dobrze i czy ma dzieci. Nie mamy od niej żadnych wieści. I chcę, żebyście wypytali też o mojego kuzyna Auguste'a, syna nieżyjącej już ciotki Noë. Chcę wiedzieć, czy żyje. Zawsze wdawał się w awantury, więc nie zdziwiłbym się, gdyby zginął. Z drugiej strony, niespokojne duchy żyją długo, jak zauważyłem.

Jeśli Auguste żyje, chcę, żeby do nas dołączył i został z nami. Uważajcie na siebie. W lasach i nad rzekami roi się od walczących ze sobą Anglików i Amerykanów. Jeśli usłyszycie wystrzały, trzymajcie się jak najdalej.

Silny, szeroki w barach Amboise i żegnany przez wianuszek dziewcząt Jinot popłynęli statkiem wzdłuż wybrzeża do Halifaksu, a potem wyruszyli pieszo w drogę do faktorii handlowej.

– Mam złe przeczucia co do Elise – powiedział Amboise. – Pamiętam, jak Tonny mówił, że kraj Mikmaków to złe miejsce.

Niósł w kieszeni małego drewnianego indyka, którego dawno temu wystrugał z drewna i podarował Elise, gdy była mała.

– Jeśli ma dzieci – dodał – podaruję im tego indyka do zabawy.

– Świetny pomysł, Amboise. Szkoda, że nic dla nich nie zabrałem. Mogłem wziąć choćby szyszkę.

Siostra Kuntawa, Aledonia – chuda i bezzębna – powitała ich wylewnie. Powiedziała im o wielu żyjących Selach, w tym o Auguście, który jakimś cudem nie zginął.

– Złego licho nie bierze – mruknęła.

Amboise i Jinot przekonali się, że wioska Mikmaków jest smętnym, zmorzonym głodem miejscem, w którym obok *wikuomów* stały chaty białych. Jazy na węgorze rozpadały się i nikt ich nie naprawiał. Łatwiej było jeść chleb i wołowinę z faktorii niż łapać ryby. Luçon Brassua, mąż Elise, leżał pijany w

błocie obok ich *wikuomu*, którego pokrycie z kory wymagało wymiany. Zrobiło im się żal Elise, która powiedziała im z płaczem, że straciła córeczkę nazwaną Bee na cześć Beatrix.

– Myślałam, że małżeństwo wygląda tak, jak związek Beatrix i dziadka Kuntawa, że jest miło i wesoło. Sami wiecie… – rozpłakała się jak kobieta.

Gdy przebywali na wyrębiskach, które kiedyś były ziemią Mikmaków, ciągle słyszeli opowieści o ojcu Kuntawa, Achille'u Wielkim Myśliwym. Opowieści te złościły Amboise'a z trudnej do pojęcia przyczyny.

– Ciągle tylko wczoraj i wczoraj! Wszystko, co dobre, wydarzyło się dawno temu! A teraz… och, teraz… – Zmrużył oczy. – Posłuchaj, Elise, jeśli Brassua źle cię traktuje, musisz wrócić z nami do domu. – Wiedzieli, że Brassua źle ją traktuje. Czuli się winni, czuli niepokój, chcieli stąd odejść.

Stary Auguste pił jak inni. Znaleźli go w *wikuomie* jednej z jego wnuczek, był opuchnięty, kiwał głową, przyglądał się niemo światu. Gdy powiedzieli, że są wnukami Kuntawa, poruszył się nieco. Śmierdziało od niego rumem. Uśmiechnął się gorzko i stwierdził, że Kuntaw, inaczej niż on, miał sporo szczęścia w życiu. Mówił głosem starca, a potem zacisnął usta. Siedzieli razem i przyglądali się dziesiątkom Mikmaków włóczących się wokół faktorii niczym robactwo przy kawałku mięsa. Amboise zauważył łzy spływające po starej niegodziwej twarzy Auguste'a, przyglądającego się pobratymcom.

– Nie mają nic innego do roboty – powiedział. – Gdy Kuntaw i ja byliśmy w ich wieku, chodziliśmy na polowania, łowiliśmy węgorze i ryby, foki i jesiotry. Sami robiliśmy łuki i strzały, zakrzywione noże, doskonałe pirogi i wiosła do nich. Bawiliśmy się w wojnę, ale bez broni palnej jak ci przybysze zza morza. Młodzi, tak, nawet ja, odznaczali się odwagą, co fetowano tańcami, których nikt już dziś nie pamięta. Sami widzicie, kim się staliśmy. – Wskazał Indian przy faktorii, a potem siebie. Sięgnął pod udo po płaską butelkę.

– Elise – oznajmił Amboise. – Wracamy.

Elise wrzuciła swoje rzeczy do splecionej z rzepy sakwy i wyprzedziła ich na przystań. Luçon Brassua nawet za nią nie zawołał.

– Znów jest pijany z przyjaciółmi – powiedziała Elise. – Płyńmy już, płyńmy.

– Zaczekaj. Musimy pójść po Auguste'a. Kuntaw chce, żeby z nami zamieszkał nad Penobscot.

Stary Auguste podniósł się na ich widok i zadrżał, gdy usłyszał, że ma z nimi popłynąć. Rozejrzał się. Ospali Indianie stali przy wejściu do faktorii, zapchlone psy drapały się po bokach. Auguste usiadł i uśmiechnął się przebiegle.

– Nie, już za późno. Odejdźcie, ja zostanę.

Nie zdołali go przekonać.

– Ktoś musi zostać. Ja będę Tym, Który Został.

Zawsze lubił nadawać imiona.

Amboise zapłacił pieniędzmi Kuntawa za rejs z Halifaksu do Bostonu, gdzie przekonał właściciela rybackiego kutra płynącego do Georges Bank, żeby odstawił ich nad zatokę Penobscot. Podczas drogi powrotnej Elise prawie się nie odzywała, a gdy wypłynęli do portu, wciągnęła głęboko powietrze. Beatrix czekała na nich na nabrzeżu, a potem otworzyła szeroko drzwi. Zdążyła przyjrzeć się Elise, zauważyła resztki sińców, zapłakane oczy i wszystko pojęła. Wyciągnęła do niej ramiona.

– Och, chwała Bogu, moja nieszczęsna Elise, że znów z nami jesteś. Tu, w domu, nic ci nie grozi.

– Mamo… – Elise rozpłakała się. Beatrix przytuliła ją mocno, łkały obie. Amboise i Jinot poparzyli po sobie. Nigdy nie widzieli płaczącej Beatrix.

– To kobieca rzecz – mruknął Amboise, choć piekły go oczy. – Wyjdźmy na dwór.

Jinot chciał zostać z Elise i Beatrix, ale poszedł posłusznie za bratem.

39

DOKTOR MUKHTAR

– Co się ze mną dzieje? – Z tym pytaniem Beatrix zwróciła się do Ami, psa Elise – przypominające wilka zwierzę polujące zawzięcie na jeżozwierze. Ami, słysząc jej poirytowany głos, wbił wzrok w podłogę. Beatrix od miesięcy dokuczał brzuch, nocami ból doskwierał jej tak nieznośnie, jakby jakiś krab szarpał jej kiszki. Zdarzały się dni, gdy zajmowały się wszystkim jak dotychczas: uczyła chłopca z wioski czytać i pisać, gotowała wymyślne potrawy dla Kuntawa, który odwracał się od nich z niesmakiem, bo chciał teraz jadać tak niewiele jak w dzieciństwie.

Otworzyła się przed nim nowa droga: prowadzenie białych na polowanie i ryby. Wszystko zaczęło się wtedy, gdy pojawił się u niego niejaki pan Williams z Bostonu, który oznajmił, że chce wybrać się do lasów Maine na polowanie i potrzebuje przewodnika. Zapłaci. Kuntaw znał las, strumienie i jeziora z czasów pracy w obozie drwali. Więc wyruszyli razem na północ kawalkadą, potem powozem, a następnie popłynęli pirogą. Pan Williams wrócił do Bostonu brudny, podrapany, z zaczerwienionymi od dymu ognisk oczami, a przy tym zeszczuplał

i stał się żwawszy. Uznał się za twardego człowieka lasu. Złapał ponad pięćdziesiąt pstrągów jednego dnia i wychwalał przed przyjaciółmi małomównego przewodnika z plemienia Mikmaków. I nie tylko. Wojna o niepodległość powiązała ideę wolności z krainą dzikiej puszczy. Amerykanie uznali się za *homines sylvestris* – ludzi lasu.

Kuntaw prowadził niestrudzenie ten dziwny interes. Nosił pakunki i pirogi, wyrąbywał przejścia przez gęste świerkowe młodniaki, wznosił szałasy na obozowiskach, rąbał drewno na opał i rozpalał ogień, gotował purée z kukurydzy i smażył dziczyznę doprawioną jedynie imbirem i czosnkiem. Wkrótce zdobył stałych klientów, którzy chcieli polować na łosie lub karibu – białych, którzy wplatali w te wyprawy opowieści o wielu przygodach.

Kuntawowi wydawało się, że zdobył przypadkowo najdziwniejszą profesję na świecie, pomagając białym podczas „wakacji" – ludziom, którzy nie mieli pojęcia o przetrzebionych lasach, o pirogach i wiosłowaniu, o tropieniu i roślinach czy nawet o rozpalaniu ogniska. Ludzie ci czasem go irytowali. Sędzia James, który cieszył się wśród innych wielkim poważaniem, zwrócił się do niego:

– Wy, Indianie, macie łatwe życie. Przez cały czas tylko polujecie i łowicie ryby, a kobiety wykonują za was całą pracę. – Roześmiał się.

Kuntaw nic nie odpowiedział, ale później, paląc fajkę z Ti-Sabatis – innym przewodnikiem, którego spotykał niekiedy na przystani – orzekł:

– Biali nie rozumieją, że polowanie i łowienie ryb to praca. Dla nich to tylko zabawa. Uważają, że jesteśmy leniwi, bo przez cały czas się bawimy.

Ti-Sabatis uśmiechnął się lekko.

– Ci ludzie nie mają pojęcia o lasach, ale dobrze płacą. Nie wiem, skąd biorą te pieniądze, ale wychodzi na to, że muszą robić coś ważnego.

– To prawda, że polowaliśmy i łowiliśmy ryby, to było nasze życie, choć nie tak łatwe, jak im się wydaje.

Mimo to lubił wyprawy do lasu z białymi.

Choroba sprawiła, że Beatrix stała się inną kobietą, odmienną od pełnej życia długowłosej piękności na kasztanowym koniu. Przeżyła z Kuntawem wiele szczęśliwych lat, ale się zestarzała, podobnie jak on. Była chora, a choroba przerażała Kuntawa. Chciał ją odwrócić, chciał, żeby Beatrix stała się taka jak niegdyś. Przynosił jej herbatę. Piła powoli, bardzo powoli, uśmiechała się do niego, a potem wymiotowała. Właśnie teraz potrzebowała go najbardziej, ale on się od niej oddalał. Nic nie mógł na to poradzić. Jego uczucia uległy zmianie przed wielu laty, gdy w domu nad zatoką Penobscot pojawił się Tonny z dziećmi, przynosząc ze sobą wspomnienie starego życia Mikmaków. Czując wstyd za

porzucenie Tonny'ego i Malaan, Kuntaw zaczął traktować Beatrix jak Inną. To przeświadczenie towarzyszyło mu nieustannie, nawet gdy cieszyli się sobą i dziećmi. Jakiś uporczywy jak odległe bębnienie głos powtarzał Kuntawowi: „Ona nie jest Mikmakiem". Nie zrobił z niej Indianki. Zdradził swój lud, zostawiając dla niej Malaan i Tonny'ego. Zdradził Beatrix, nie zdoławszy spełnić jej życzenia. Każdej wiosny, gdy przygotowywał się do łowów z człowiekiem z Bostonu, coraz bardziej cieszyła go myśl, że znajdzie się z dala od Beatrix i wróci do lasu.

Dobre dni przydarzały się Beatrix coraz rzadziej, ból zawsze wracał, jakby wzmocniony po przerwie i wgryzał się w nią z coraz większą siłą. Gdy Elise karmiła ją zupą rybną, wypijała kilka kropel z łyżeczki i wymiotowała. Przestała ufać własnym jelitom, miała wychudzoną zapadniętą twarz, ramiona i nogi jak trzciny i tylko zdradziecki brzuch rósł i stawał się ogromny. Ból był już wielkości bobra i gryzł ją żółtymi bobrowymi siekaczami.

Elise prała brudną bieliznę i pościel, i wieszała je, by wyschły w chłodnym wietrze znad zatoki. Gotowała dla siebie i Kuntawa, przyrządzała zupy dla Beatrix, która nie mogła ich przełknąć. Nie znała się na leczniczych ziołach, więc zapytała Kuntawa:

– Dziadku, Beatrix choruje od sześciu księżyców, a ja nie wiem, jak złagodzić jej ból. On narasta. A Beatrix nic już nie je. Nie znasz uzdrowiciela, który zrozumie tę chorobę?

Kuntaw pokręcił głową.

– Szamani są może jeszcze wśród Mikmaków, ale tutaj już nie. Będzie jej potrzebny doktor białych.

– Jeśli tu przyjdzie – odrzekła Elise. – Słyszałam, że jest wyniosły i leczy tylko białych.

– No cóż – westchnął Kuntaw – ojciec Beatrix był biały. Miał przyjaciół lekarzy. Ale już pewnie nie żyją.

Spędził z chorą trudny kwadrans i wydobył z niej nazwiska dwóch lekarzy. Pierwszy z nich, stary doktor Woodrit przysłał wiadomość, że ma mnóstwo pacjentów i nie zdoła przyjechać. Drugim był doktor Hallagher, Irlandczyk przybyły niedawno nad zatokę Penobscot. Przyszedł do Beatrix, zbadał ją i rozmawiał z nią przez dłuższą chwilę. Gdy wyszedł z pokoju chorej, usiadł obok Elise i pokręcił głową.

– Zna wiele mądrych słów, ta Ind… ta pani. Zapadła na groźną chorobę i doradzałbym sprowadzenie z Bostonu uczonego lekarza, doktora Mukhtara. Ma duże doświadczenie z… schorzeniami żołądka. I tym podobnymi.

Elise chciała go zapytać, co miał na myśli, mówiąc „I tym podobnymi”, ale tylko spojrzała na niego błagalnie ciemnymi oczyma.

Hallagher mówił dalej, przyglądając się bacznie spiętej kobiecie.

– Doktor Mukhtar to obcokrajowiec, stosuje nie nasze… niekonwencjonalne metody, ale jest doskonale wykształconym lekarzem. Jeśli ktokolwiek jest jej w stanie pomóc…

Obiecał, że napisze osobiście do doktora Mukhtara i spróbuje przekonać go do podjęcia trudów podróży do domu nad zatoką Penobscot. Oblicze Elise rozjaśniło się na chwilę – obdarzyła doktora szelmowskim uśmiechem Selów.

Gdy Kuntaw o tym usłyszał, aż świsnął między zębami – świsnął jak rozzłoszczone zwierzę, czując wściekłość z powodu własnej bezradności. Wyszedł na dwór. Nie mógł znieść jej cierpienia.

Doktor Hallagher wrócił po dziesięciu dniach. Było popołudnie zwykłego dnia, lecz on lśnił czystością i bielą koszuli, miał nadzieję, że zastanie Elise samą. Ale Kuntaw był akurat w domu, reperując sprzęt na następną wyprawę w głąb Maine.

Kiwał głową, gdy doktor Hallagher powiadomił go, że spodziewa się przybycia lekarza z Bostonu, doktora Mukhtara, który zbada Beatrix. Doktor Mukhtar podjął się tej wyczerpującej podróży, ale, dodał Irlandczyk, nie powinni się spodziewać cudów. Choroba Beatrix jest zaawansowana. Kuntaw kiwnął głową, po czym zapytał prosto z mostu:

– Jak długo będzie żyć?

Hallagher wyjąkał, że tego nie wie, bo wszystko w rękach Boga, być może doktor Mukhtar będzie mógł coś powiedzieć, ale on, Hallagher, nie może. Wyszedł, nie zamieniwszy z Elise na osobności ani słowa.

///

Pewnego chłodnego jesiennego popołudnia doktor Mukhtar nadjechał na karej arabskiej klaczy, wzbudzającej podziw przez całą drogę od Bostonu. Gdy zdejmował juki, z domu wyszła Elise. Zaproponowała, że zaprowadzi klacz na pastwisko lub, jeśli doktor woli, postawi ją w stajni. Mukhtar wybrał ocienione klonami pastwisko, przez które płynął szemrzący strumyk. Był drobnym zwartym mężczyzną o egzotycznym obliczu, wilgotnych czarnych oczach i nosie jak dziób sokoła. Elise uznała, że jego śniada twarz jest przerażająca, nawet diabelska, ale mówił miłym, choć schrypniętym głosem. Zaprowadziła go z ociąganiem do domu.

Gdy tylko wszedł do holu, poczuł odór zgnilizny i wiedział, co zastanie. Elise wskazała mu najpierw szkolną izbę, w której Beatrix przyjmowała gości, i przyniosła filiżankę herbaty. Położył juki na ogromnym sosnowym stole. Zadał Elise wiele pytań, zażądał, aby przyniosła mu poplamione prześcieradła Beatrix i przyjrzał im się dokładnie. Obrzucił Elise spojrzeniem lśniących egzotycznych oczu.

– Czy jest tu ktoś, kto może ci pomóc? Jesteś wymizerowana i bardzo zmęczona. Opieka nad chorym z zaawansowanym rakiem żołądka jest bardzo wymagająca. Musisz mieć jakąś pomoc.

Elise była wstrząśnięta, słysząc nazwę choroby Beatrix, i domyśliła się, że już nie ma ratunku. Mukhtar znów zasypał ją pytaniami, nigdy w życiu nie pytano jej o tak wiele spraw. Chciał wiedzieć wszystko o Beatrix, Elise, Kuntawie i całej rodzinie, o warunkach, w jakich żyją i w jaki sposób znaleźli się w tym domu.

Zapytał nawet, co jadają, i pokiwał ze zrozumieniem głową, jakby od samego początku był świadom, że Beatrix bardzo lubi mięso wędzone w kominie. Liczba zadawanych przez niego pytań była prawdziwie irytująca. Rozglądał się po szkolnej izbie. Dwie porcelanowe filiżanki z herbatą wyglądały dziwnie krucho na olbrzymim drewnianym stole.

Duży dom nad zatoką Penobscot należał do Outgera i Beatrix. Outger wyjechał, ona została. Nowi przybysze wznosili wokół zatoki większe, obite pomalowanymi deskami domy. Wielkie domostwo z bali wybudowane przez Charlesa Duqueta chyliło się ku ruinie i kłuło w oczy białych osadników jako „drewniany wigwam". Gdy Beatrix sprzedała w końcu prawo do wycinania drzew na leśnej parceli, poczerniały ze starości dom stał goły i zrujnowany.

Gdy ścięto drzewa, Beatrix ujrzała opłakany stan domostwa. Dach i parapety nie mogły czekać, więc tuż przed chorobą Beatrix sprzedała ostatnie wielkie sosny z parceli, by pokryć koszt napraw. Kuntaw nie zwracał uwagi na defekty: dom był domem – wielkim i nieporuszonym.

Elise zaprowadziła doktora Mukhtara do pokoju chorej. Pod oknem stał stół zasłany książkami, które Beatrix czytała, dopóki była w stanie utrzymać książkę w rękach. Zerknął na tytuły, a potem usiadł na palisandrowym krześle obok łóżka. Krzesło miało pękniętą nogę. Kobieta spała niespokojnie, oddychała płytko i

szybko, trawiła ją gorączka i była wymizerowana. Przyglądał się jej badawczo. Nagle jęknęła i otworzyła oczy.

– Czy już trafiłam do piekła? – szepnęła, mierząc go wzrokiem.

Doktor Mukhtar wiedział, że obudził ją ból i że uznała go za diabła. Odpowiedział spokojnie:

– Nie, proszę pani, nie trafiła pani do piekła, choć może tak to wygląda. Pozwoli pani, że się przedstawię i powiem, co możemy zrobić, żeby sprawdzić, czy zdołam pani pomóc. Przypuszczam, że w tej chwili odczuwa pani zbyt duży ból, by prowadzić sensowną rozmowę, więc podam pani środek uśmierzający, który złagodzi na pewien czas dolegliwości.

Wrócił do szkolnej izby i wyjął z juków czarną fiolkę i łyżeczkę.

– Proszę otworzyć usta i połknąć.

– Zwymiotuję – ostrzegła.

– Nie, nie zwymiotuje pani. Uspokoi się pani, a ból się cofnie. Na pewien czas. Proszę otworzyć usta.

Połknęła z wielkim trudem, krztusząc się przy tym. Podpierał ją, dopóki ból nie ustał.

Po kilku minutach Beatrix odetchnęła z ulgą i spojrzała na doktora Mukhtara.

– Och – westchnęła. – Och… och… och, jak to dobrze. Dziękuję panu.

– Ból wróci, ale będziemy z nim walczyć na wszystkie możliwe sposoby.

Zbadał jej nogi, obmacał wielki wydęty brzuch, zapytał, czy jest w stanie jeść, od kiedy ma trudności z przełykaniem, czy wymiotuje krwią, czy krew pokazuje się w stolcu i jest czarna i ziarnista, czy często brakuje jej tchu. W połowie tych pytań Beatrix zapadła w sen, oddychając spokojnie i głęboko.

Kiedy się obudziła, w pokoju panował półmrok. Mukhtar nadal siedział na krześle, jego śniada twarz ukryła się w cieniu, a ciemne ubranie stapiało się z ciemnogranatowym otoczeniem. Ból nie wrócił jeszcze, co ucieszyło doktora.

– Wiem, że nadchodzi śmierć – oznajmiła Beatrix. – Ale nie wiem, co się ze mną dzieje, kiedy znów mnie zaboli i jak długo to potrwa… – Ucichła.

– Ma pani raka żołądka, a także płyn w jamie brzusznej, z czym mogę się uporać, choć płyn, podobnie jak ból, wróci. To bitwa, proszę pani, której na tym etapie nie zdołamy już wygrać. To może potrwać jeszcze miesiąc, dwa. Zrobię, co będę mógł, żeby złagodzić ból. Czy pozwoli mi pani zostać w tym domu? Pani córka, Elise, musi wypocząć, a ja zajmę się panią. Proszę się nie martwić, przywiozłem dosyć środków uśmierzających, by ukoić ból stada słoni przez dekadę.

– Chcę już umrzeć – powiedziała Beatrix. – Chcę, żeby ból dobiegł końca, tak jak to życie.

Ale to nie była prawda. Przez następne sześć tygodni Beatrix obdarzyła doktora Mukhtara głębokimi uczuciami, gdy rozmawiali o książkach i ideach, o wyobrażonych, nigdy

niewidzianych miejscach, o spokoju i ciszy, i o koniach, bo doktor Mukhtar znał się na koniach jak mało kto. Myśl o galopujących koniach z rozwianymi jedwabistymi grzywami przynosiła Beatrix ukojenie. Początkowo mówił tylko doktor, a ona słuchała półżywa, pogrążając się we śnie. Środek uśmierzający stał się mniej skuteczny, więc doktor zmienił go na inny. Od czasu do czasu pojawiał się u chorej Kuntaw, ale Beatrix nie potrafiła już patrzeć na niego z miłością, podobnie jak on na nią.

Kiedyś zwróciła się do doktora Mukhtara:

– Ojciec mówił mi, że lekarstwem na tę chorobę są gwatemalskie jaszczurki.

– To niemożliwe. Gwatemalskie jaszczurki uważa się za panaceum, gdyż są niezwykle rzadkie. Równie dobrze za lek można uznać mleko jednorożca. Nie ma na to lekarstwa. Gdy wszystko, co mam, przestanie przynosić ulgę, podam pani środek nasenny, który przyniesie ostateczną ulgę.

Przychodził każdego ranka, otwierał szeroko piszczące wypaczone okna i podawał chorej błogosławiony uśmierzający eliksir. Beatrix wpatrywała się z łóżka w niebo i widziała na nim cienki jak wstążka obłoczek, przypominający rozlaną na błękicie śmietanę. Gdy ból ustępował, zaczęła z nim rozmawiać schrypniętym głosem, czasem szepcząc, kiedy zbolały głos odmawiał posłuszeństwa.

Opowiadała mu o swoim samotnym dzieciństwie, o obsesyjnych naukach Outgera, o życiu wypełnionym księgami, o obietnicy, że wyśle ją do Europy, gdy skończy szesnaście lat, aby tam, najpewniej w modnej wówczas Szwajcarii „dokończyła edukację", co nigdy nie doszło do skutku, jak większość obietnic ojca. Mówiła o wrogości Duke'ów, którzy nigdy nie pogodzili się z faktem jej istnienia po nieudanych próbach odebrania jej wielkiego sosnowego stołu Outgera. Opowiedziała mu o Kuntawie i szczęśliwych latach, które z nim spędziła, o dzieciach: Francisie-Outgerze i Josime, o Tonnym i dorosłych już wnukach, ale zawsze wracała do Outgera i godzin spędzanych nad łaciną i greką, nad wyznaczonymi do przeczytania lekturami czy przy omawianiu jego teorii i wynalazków.

– Dopiero teraz rozumiem – powiedziała – że cała ta pedagogika była eksperymentem ojca. – Książki i nauki miały na celu uczynić z niej kogoś na kształt wykształconej białej osoby, jak Outger. Po jego wyjeździe do Lejdy lekcje trwały dalej, przysyłał skrzynie z książkami, dokumenty, długie listy pełne rad i rozporządzeń na następne lata, ale Beatrix pojęła w końcu, że ojcu na niej nie zależy, że nie chce jej mieć przy sobie, bo stanowi dlań tylko obiekt manipulacji i wprowadzania w życie idei intelektualnego rozwoju. Nie stała się niestety Oświeconą Dzikuską i została w domu nad zatoką Penobscot. Gdy samotność przyniosła jej monstrualne rozczarowanie, zaczęła się rozglądać za kimś, kto pomoże jej stać się na powrót Indianką. Pojawił się

Kuntaw zatrudniony do rąbania polan. Został z nią przez wiele lat. Mają ze sobą dzieci.

– Ale – dodała ze smutkiem – nie zdołałam stać się Indianką.

– Oczywiście – odrzekł doktor Mukhtar. – Musiałaby pani od urodzenia przyswajać sobie odrębny świat znaków, symboli i duchów. Ich znaczenia nie da się pojąć, nie przeżywając wśród nich całego życia.

Nie potrafiła wyrażać uczuć – tłumaczyła doktorowi – w inny sposób, jak tylko przez nauczanie, dając innym książki w dowód miłości. O zmierzchu wyczerpany słuchaniem doktor wstał, żeby wrócić do pokoju gościnnego na górze. Gdy gasił palcami świecę, poprosiła go, żeby nie zasłaniał i nie zamykał okna. Drzwi domknęły się bezszelestnie, mogła patrzeć na Księżyc – nabiegłe krwią żółtko jajka toczące się po skorupie nieba.

W ostatnim tygodniu życia Beatrix wydawało się, że pływa w olbrzymiej misce z wodą. Początkowo mogła oddychać wodą jak powietrzem, ale stopniowo, gdy ucisk żołądka na płuca stał się silniejszy, woda stała się lepka jak stary miód. Miska była podobna do żółtej dzieży, w której wyrabiała ciasto na chleb. Od czasu do czasu wypływała na powierzchnię i widziała z daleka bladożółtą krawędź. Woda była niekiedy klarowna i ustępliwa, a innymi razy przecinały ją silne pomarańczowe prądy bólu. Pod wodą szalały burze, a Beatrix podciągała nogi, żeby ochronić pulsujący bólem brzuch przed piorunami.

Doktor Mukhtar imał się wszelkich sposobów, aby uczynić kończące się życie Beatrix bardziej znośnym. Francis-Outger, którego dom stał zaledwie o milę dalej, przychodził każdego dnia z balsamicznymi gałęziami, żeby ich leśny zapach oczyścił powietrze w pokoju chorej. Przynosił jagody jałowca, doktor Mukhtar zgniatał je, a ich gorzki zapach przywoływał uśmiech na twarzy Beatrix. Uśmiech ten wyglądał jak grymas, ale na nic więcej nie było jej stać. Umarła w pokoju wypełnionym zapachami. Przeżyła pięćdziesiąt dwa dziwne lata i zakochała się na łożu śmierci.

Francis-Outger powiedział:

– Pójdę do obozu Josime'a i powiem mu. Może wie, gdzie pracuje teraz Amboise, może wie, gdzie się podziewa Jinot. Nie mówili wam, dokąd się wybierają?

– Jinot przysłał list, w którym pytał, czy jesteśmy zdrowi, ale nie miałam czasu mu odpowiedzieć. Pisał, że pracuje u Kanadyjczyka, Marchanda. Na północy. A Amboise… nie wiem.

///

Kuntaw zamknął się w sobie, żeby znieść ból po stracie Beatrix. Stracił Tonny'ego, stracił Malaan. A teraz stracił Beatrix. Stracił siebie. Zamienił bolesne uczucia w odrzucenie tego, co było, wmawiał sobie, że zmarnował lata, które spędził ze zmarłą. Beatrix nie była Indianką, ale za bardzo wykształconą białą kobietą w ciele Indianki. Przez lata, które jej poświęcił, stał się

słaby, bezsilny. Był jednak pewny, że zdoła odzyskać utracone siły, bo wciąż czuł się młody, choć liczył już sześćdziesiąt cztery zimy. Może nie tak młody, żeby tańczyć i wyrywać dęby, ale zawsze…

Wyruszy na północ, gdzie rosną jeszcze prawie nietknięte przez człowieka lasy. Myślał o tym, jak żył w nich jego naród, zanim osiadł na wybrzeżu, myślał o swoim ojcu Achille'u, dźwigającym na plecach wielkiego zabitego niedźwiedzia, który ważył z dwieście funtów. On, Kuntaw, nie zdoła już ponieść dorosłego niedźwiedzia, ale może żyć tak jak niegdyś, choć drzewa w lesie stały się zaledwie dobrami – dobrami białych. Biali patrzyli na drzewa i widzieli tylko płaskie klatki domów albo statki. Kuntaw chciał poznać drzewa na nowo, tak jak znał je dawniej jego lud.

Rok przed chorobą Beatrix zabił łosia – bo w lasach wciąż żyło trochę łosi, jeśli wiedziało się, jak je wytropić – i uszył ze skór kurtę Mikmaków. Nigdy nie wyrzekł się zniszczonych *mksinów* na rzecz butów białych. Miał opończę z bobrowego futra i spodnie z irchy – elastyczne i wygodne, gdy przedzierał się przez knieje. Teraz, po śmierci Beatrix, wyruszy do północnych lasów i założy obozowisko dla dwóch ludzi, tak jak robił to dla klientów, choć tym razem będzie sam. Będzie miał wszystko dla dwóch: odzież, posłania. Nie weźmie ze sobą metalowych garnków białych, bo zakłóciłyby magię obozowiska. Będzie gotował dla dwóch osób, oddając część pożywienia Temu, Który Nadejdzie. Kiedyś wierzył, że Beatrix jest Tą Jedyną, ona też wierzyła, że Kuntaw jest Tym Jedynym.

Naprawił łuki i sporządził nowe strzały. Zamieszka wśród drzew do dnia, aż pojawi się Ten, Który Nadejdzie. Wiedział, że na początku ujrzy cienie poruszających się liści, które stopią się w zarys ciała Tego Jednego, który przyjmie od niego ubranie i stanie przed nim tak rzeczywisty jak drzewo. Będą razem polować, połączeni na dobre i na złe, a Kuntawowi przypadnie w udziale część magicznej mocy przyjaciela. Znów stanie się silny. Znów będzie Mikmakiem.

40

DRWALE I FLISACY

Uśmiechnięta twarz siedemnastoletniego Jinota Sela była zabawna i wyuzdana zarazem – być może przez pełne policzki i ciężkie powieki. Miał gęste, sprężyste jak niedźwiedzie futro włosy, wąskie roześmiane usta, a na całym obliczu podekscytowany wyraz norki. Poruszał się zwinnie jak dziadek Kuntaw. Podobał się nie tylko dziewczętom i kobietom, dojrzali mężczyźni również przyglądali mu się badawczo.

Po roku pracy jako okrzesujący gałęzie pomocnik drwala w zrujnowanym obozowisku nad Penobscot zatrudnił się jako drwal i flisak u Simona Marchanda. Nowe obozowisko leżało nad dopływem szerokiej Penobscot. Marchand, podwykonawca, zabrał się do wyrębu parceli porośniętej starymi potworami – drzewami uznawanymi przez większość leśników za zbyt duże i zbyt niewygodnie rozmieszczone na zboczu stromego jaru, żeby się nimi interesować.

– Nieprawda – twierdził Marchand. – Trochę do nich daleko, trzeba będzie rąbać przez dwa sezony, żeby się dobrać do tych starych. Ale potem zrąbiemy te największe, o ile wcześniej

wytniemy dobry szlak w lodzie. Największe kłody na świecie zsuwają się pomaleńku po lodowych szlakach. To piękne widowisko!

Marchand wyglądał tak, jakby zaczął życie jako jesion – okorowany, oskrobany i ostrugany do łykowatych włókien. Miał lśniące lekko przymknięte oczy. Szyję i kark otaczała zmierzwiona korona rudych włosów, pieniących się na piersi i plecach. Był praktycznym mieszkańcem Maine, który rozdając kopniaki, wspinał się do góry i wciąż kopał.

Bogobojny Marchand nie pozwalał przywoływać świętych imion jako przekleństw w obozie.

– Wiecie, że każdy, kto tak klnie, zostanie osądzony – mawiał.

Przytaczał dziesiątki przykładów ludzi, którzy bluźnili bez opamiętania, po czym bez wyjątku byli miażdżeni przez drzewa, topili się, zamarzali, ćwiartowano ich, nadziewano na ruszt i smażono. Każdy drwal znał takie opowieści. Więc w obozowiskach Marchanda słyszało się złorzeczenia: „na przypalonego smołą ptaka i rysia", „na obornik", „na gar". Tylko Jinot milczał jak zaklęty.

Obóz Marchanda, jak większość takich miejsc, sprawiał wrażenie tymczasowego. Kuchnia mieściła się w północnej części drewnianego szałasu. Niżej na zboczu stała niechlujna obora dla wołów. Przez obóz przewijało się mnóstwo drwali w czerwonych koszulach – ludzi z północy, rybaków znad morza, Irlandczyków, mieszkańców Nowej Szkocji, mieszkańców Zjednoczonych

Prowincji Kanady, francuskich Kanadyjczyków, Indian – Passamakwodów i Mikmaków – mieszkańców Wyspy Króla Edwarda, a nawet ludzi z obcych zamorskich krajów. W obozowisku zawsze można było spotkać dwóch czy trzech *Québécois*, uciekających od życia *habitant* w ubóstwie. Granica między Maine a Quebec była tak powykręcana przez rzeki, że ludzie przemieszczali się swobodnie przez niewidzialną linię i mieszkali, gdzie przyszła im ochota.

W obozowisku drwali tworzyli braterstwo siekiery. Łączyła ich duma z własnych ekscesów i podejmowanego ryzyka. Wstawali przed świtem, zjadali zimną soloną wieprzowinę, popijali wrzącą herbatą i maszerowali na wyrąb, niosąc ze sobą ostre siekiery i skrywane głęboko myśli. Wracali do szałasu o zmierzchu i znów jedli wieprzowinę i rozgotowaną fasolę, a potem zapadali w głęboki sen, póki nie obudziły ich kocie wrzaski pomocnika kucharza – a było wtedy zbyt ciemno, żeby cokolwiek widzieć czy rąbać, i czekali do świtu. Stali w nieruchomym bezlitosnym mrozie, chowając pod pachami kliny siekier, żeby nie zamarzły, i czekali na świt tak lodowaty, że czuli własne brwi i sztywniejące włoski w nosach.

W ruderze, w której mieszkali, nie było koi ani pryczy, tylko mokre od tytoniowego soku i rozdeptanych resztek jedzenia klepisko. Wzdłuż ściany leżały koce, którymi przykrywali się zawszeni drwale. W nocy słyszeli korniki wygryzające korytarze w

drewnie. Jeśli do szałasu napadał zacinający deszcz, koce suszyły się na ich ciałach tygodniami.

Po wiosennym spływie większość drwali trwoniła pieniądze w barach z bali i zamtuzach w najbliższym mieście, po czym czekała, aż pojawi się zapotrzebowanie na siłę roboczą. To wyniszczające powołanie najbardziej im odpowiadało: nie mieli szans na inną pracę, nie mieli nic do stracenia, oprócz własnego życia, lecz wydawało się im, że są młodzi i nieśmiertelni, a każdy z nich jest bezpieczny, jeśli okaże się wystarczająco szybki. Niewielu z nich pracowało dla Marchanda przez cały rok, rąbiąc drzewa zimą, spławiając je wiosną i piłując w tartakach latem. Pierwszego roku Jinot rąbał i spławiał drzewo, po czym najął się do tartaku, ale po kilku dniach w pyle i hałasie wrócił do wielkiego domu, żeby najeść się węgorzy i świeżych warzyw, i sycić uwagą Beatrix i Kuntawa, po czym z pierwszymi jesiennymi przymrozkami wrócił do obozowiska.

Marchand, jak większość leśnych pracodawców, wybierał Indian i *métisów* do spławiania drewna. Indianie byli najlepszymi flisakami przy spławianiu długich kłód. Ich szybki refleks i wrodzony zmysł równowagi – mawiał – pozwala im na żwawą pracę na płynących kłodach.

– Synowie jeżozwierza rodzili się w pirogach! – chwalił ich Marchand, a poniekąd i siebie, gdyż, jak twierdził, jest w połowie Francuzem, w połowie Malecitem, w połowie Penobscotem i w

połowie Szkotem, słowem, dwustuprocentowym mężczyzną, który potrafi to i owo w *bateau*. Każdej wiosny większość drwali wracała na farmy, zostawiając rzekę – pokrytą obracającymi się, rozsypującymi jak bierki balami – Marchandowi i Indianom.

Jinot od pierwszego sezonu rozsmakował się w takim życiu. W północnej części szałasu kucharz Peter i jego pomocnik Panette smażyli wieprzowinę, gotowali purée z kukurydzy i soczewicy lub ziemniaków, piekli chleb, gotowali wołowinę i tarli rzepę. Jinot lubił to wszystko. Późnym popołudniem przed powrotem drwali kucharz wystawiał wiadro wody z nabierką. Wszyscy żuli tytoń, a napiwszy się wody, wkładali nabierkę na powrót do wiadra. Po chwili woda w wiadrze mieszała się z brązową od tytoniu śliną. Jinot spróbował jej tylko raz. A potem wystrugał sobie z drewna dzbanek i napełniał go czystą wodą ze strumienia.

– Jak to – dziwił się złośliwie Panette – wspólna woda niedobra dla brudnego Indiańca? Musisz mieć oddzielną wodę?

– Nie piję o smaku tytoniowym.

– Cholera ci w bok, że nie pijesz – warknął Panette. – Będziesz miał robale. – Zamknął się, ale rano na talerzu fasoli Jinota leżał świeżo przeżuty kawałek tytoniu. Tytoniem albo czymś gorszym smakowała też kawa. Zostawił jedzenie nietknięte i wywołał pomocnika kucharza na dwór.

– I co mi zrobisz, Indianinie? – zapytał Panette, kołysząc się na palcach, żeby przypomnieć Jinotowi, że jest dobrze znanym zabijaką z zaułków za barami. Była tylko jedna odpowiedź: Jinot

ugiął kolana i wyskoczył wysoko z miejsca, prostując jednocześnie nogi, którymi kopnął Panette'a w pierś. Gdy pomocnik kucharza upadł, skopał go i podeptał od stóp do głów.

Wszystko to wydarzyło się tak szybko i tak cicho, że drwale czuli się oszukani, nie mogąc obejrzeć dobrej bijatyki, ale kucharz zdał im z niej relację, a wokół Jinota zrobiło się nagle luźniej. Sypiał z siekierą pod zwiniętym futrem z kuny, które służyło Jinotowi i jego przyjacielowi, Francewayowi, za poduszkę.

Wieczorami drwale siadali na ławie i wpatrywali się w płomienie, opierając przedramiona na udach, opuszczając dłonie. Żuli tytoń i palili, rozmawiali ze sobą, snuli opowieści, z których wyłaniało się jak ćma z poczwarki prowadzone przez nich życie. Pierwsza noc z nową brygadą w szałasie zawsze była niełatwa, mężczyźni mierzyli się wzrokiem, wypytywali o pochodzenie, o to, kto przyniósł ze sobą skrzypce albo harmonijkę, który jest nieznośnym głupcem, a który zna jakąś nową piosenkę, kto umie opowiadać historie, a kto kawały, nad jakimi rzekami już pracowali i co widzieli, trudząc się w lesie. Tym razem w brygadzie znalazło się pięciu czy sześciu śpiewaków oraz chudy jak rzemień Montagnais o cienkiej szyi dziecka, znany tylko jako Franceway, który zwrócił na siebie uwagę doskonałym, choć smutnym głosem. Franceway i Jinot zaprzyjaźnili się ze sobą od pierwszego dnia. A Franceway znał piosenki, o których inni w ogóle nie słyszeli, jak *The Randy Shanty Boy*, a kiedy śpiewał

własną wersję *Roy's Wife*, akcentował słowa w znamienny sposób, żeby wyrazić rozpustę czy zranioną dumę. Ci, którzy potrafili tylko chrypieć lub ryczeć, słuchali go z przejęciem. Franceway pracował jako pomocnik drwala i flisak, był zwinny i gibki. Gdy ostrzył siekierę, ciemne oczy lśniły mu w skupieniu. Często śpiewał przy pracy: stare piosenki i takie, które sam układał, opisując w nich heroizm flisaków czy tragiczne wypadki, a nawet co bardziej wymyślne potrawy kucharza, jak placek wiśniowy z suszonymi śliwkami.

Pod koniec listopada nadeszła surowa zima. Po zjedzonej w milczeniu kolacji niektórzy ułożyli się do snu, ale większość siedziała i patrzyła w ogień.

Pewien były marynarz po czterdziestce, z brakującą brwią, należał do zaledwie czterech mężczyzn z obozowiska, którzy wiedzieli, jak się podpisać. Twierdził, że w młodości przepłynął odległe oceany na pięćdziesięciu żaglowcach i opowiadał im o słoniach czy skutych niewolnikach pod pokładem. Widział to wszystko, zanim chwycił za siekierę.

Sash był najniższym z drwali. Zawsze opowiadał monotonnym głosem o swym rodzinnym domu oraz wielkiej liczbie nieżyjących krewnych, z których większość się potopiła.

– …potem wiosną siostra poślizgnęła się nad brzegiem rzeki, wpadła do wody i utopiła się – mówił Sash. – Topienie się mamy we krwi.

– Będzie następny – szepnął któryś z drwali, a Jinot zadrżał. Teraz to może się wydarzyć.

Sam Keyo i jego synowie, Ted i Śmierdzący Tom, każdej zimy opuszczali farmę i szli do lasu, żeby zarobić gotówkę. Sam nie lubił pracować w polu, zostawiał ten mozół synom, bo wolał przemierzać z psami okoliczne lasy. Twierdził, że przez pierwszy rok zastrzelił na swojej ziemi dziewięćdziesiąt pięć jeleni i osiemnaście niedźwiedzi, schwytał we wnyki jedenaście wilków, sześć pum i „niewypowiedziano liczbe szkodników". Należał do grupy tych, którzy nienawidzą Indian, i Jinot trzymał się od niego z daleka.

Jego syn Ted Keyo szukał w niedziele świerkowej gumy do żucia i sęków. Wielkie ziarniste sęki kosztowały w mieście pięćdziesiąt centów i idealnie nadawały się na główki młotków, bo nigdy nie pękały. Jego brat Tom miał tyle siły po całym tygodniu pracy, że w sobotni wieczór rozstawiał po ciemku wnyki, a w niedzielę po południu sprawdzał, co się schwytało. Śmierdział gorzej od kogokolwiek innego w obozie, unosił się nad nim ciężki i gorzki odór zwierzęcego piżma, zapewne od schwytanych we wnyki szkodników.

Najbardziej mrukliwy ze wszystkich był niejaki Op den Ool, który trzymał się z daleka od reszty i spał na sienniku z tyłu obory dla wołów. Jego jedynym towarzystwem były zwierzęta. Pod koniec każdego dnia wyciągał lód spomiędzy racic i wcierał w owłosione nogi maść, którą sam sporządzał z leczniczych ziół,

niedźwiedziego tłuszczu i roztartej ochry. Każdy mógł poznać jego woły po czerwonych nogach z odległości ćwierci mili.

///

Wszyscy wiedzieli, że najniebezpieczniejsza jest praca na rzece. Wzdłuż brzegu stały niezliczone drewniane krzyże. Właśnie z tej przyczyny Marchand zatrudniał do spławiania drewna Indian.

– Przejdziecie się wzdłuż rzeki po każdym spływie, a znajdziecie trupy Indian pływające w rozlewiskach. Topią się tak samo jak biali.

Przepukliny, zwichnięcia, połamane ręce i nogi, zmiażdżone rzepki w kolanach – wszystko to wliczało się w koszty tej pracy, podobnie jak śmierć po okaleczeniach, którą każdy flisak niósł na barkach, choćby nie wiadomo jak głośno śmiał się śmierci w nos. Młodzi flisacy mieli własny styl i szczycili się nim, chodząc na rozkołysanych nogach w pludrach obciętych tuż pod kolanami, czerwonych koszulach i kapeluszach nasuniętych zawadiacko na głowy.

– Krótkie życie i żałobna pieśń – mruknął Byers po tym, jak stopa Sasha zaklinowała się między staczającymi się z pomostu do rzeki kłodami. Sash wpadł do wody i powędrował za resztą rodziny. Znaleźli jego ciało następnego dnia, włożyli je do dwóch beczek po mące i pochowali.

– Teraz ma dosyć mąki na suchary – mruknął Byers, bo Sash słynął z tego, że obżerał się sucharami. Gdy wepchnęli mu nogi do pierwszej beczki, na mokre spodnie osypał się z klepek biały mączny pył, który zmieszał się z krwią ze zmiażdżonych nóg. Franceway zaśpiewał żałobną pieśń i jego smutny głos był ich jedynym pożegnaniem z Sashem.

Po wyrębie Marchand dobierał flisaków. Najważniejsi byli ci, którzy pracowali na rozlewiskach, odpychając kłody niczym niesforne krowy długimi na dwadzieścia stóp osękami. Większość włóczków wyrywała zaczopowane kłody bosakami z hakiem i grotem, którymi dawało się unieść pnie. Całymi dniami biegali i przeskakiwali z kłody na kłodę, ujeżdżali stające dęba pnie, poruszając się tak szybko, jakby tańczyli na spienionych wodach, przestępując z nogi na nogę dla utrzymania równowagi w bystrzynach.

– Ty – rzucił Marchand, wskazując palcem Jinota, a kciukiem *bateaux*.

Ciemną toń rzeki nakrapiały brudne lodowe kry, głazy wystające z wody lśniły jak świeżo wykopany węgiel. Prąd pienił się i gotował, śląc fale ku skałom i wylewając spokojniejsze romby wody gdzieś z tyłu na rozlewiskach, gdzie w dawnych czasach, zanim rzeki zapełniły się milionami podskakujących i zderzających się ze sobą kłód, pływały leniwie łososie.

Przez cały dzień i całą noc włóczkowie o pokrytych pijawkami nogach walczyli z kłodami, odpychając je od pokrytych błotem jak

wybieg chlewni brzegów. Błoto utrudniało pracę trudzącym się flisakom. Lodowata woda wywoływała odmroziny, opuchnięcia i swędzące zaczerwienienia nóg, które pokrywały się bąblami. Niektórzy z nich nie mogli siedzieć przy ogniu przez dojmujący ból.

Mimo ich wysiłków kłody dwukrotnie zaczopowały rzekę, podskakując i unosząc się na jej powierzchni. Rzeczny prąd zatkał olbrzymi drewniany sęk, a wody cofały się i zalewały okolicę. Nad brzeg rzeki przybiegali farmerzy, którzy krzyczeli głośno, że woda rujnuje im łąki. Na pierwszy czop rzuciło się dwudziestu włóczków, którzy wybierali i oddzielali od siebie zrośnięte ze sobą – zda się – kłody. Praca ciągnęła się godzinami i nagle drewniana pokrywa rzeki zadrżała, a flisacy pobiegli w podskokach jak wiewiórki na brzeg, gdzie stanęli i odwrócili się ku temu, od czego uciekli: od tysięcy kłód pędzących w dół rzeki, nabierających prędkości, napierających na siebie, trących z piskiem i trzaskiem o siebie, gnanych prądem całych hektarów płynącego ku morzu sosnowego lasu. Drugi zator był morderczy i wszyscy to widzieli.

Dzień wstał pochmurny i szary. Marchand modlił się o deszcz, o prawdziwą ulewę, która podniesie poziom wody w rzece. Ale deszcz nie nadszedł, a trudności pojawiły się tam, gdzie się ich spodziewali. Przez połowę szerokości rzeki biegł niczym kręgosłup świata granitowy występ skalny, na środku nurtu występ ten znikał pod wodą, zostawiając otwartą śluzę na dwa albo trzy pręty, po czym znów się wynurzał po drugiej stronie potoku.

Wszystkie kłody musiały przecisnąć się przez ten otwarty jaz. Gdy woda była wysoka, występ skalny nie stanowił problemu i drewno przepływało nad nim z wdziękiem. Przy niskiej wodzie należało postawić po każdej stronie występu dwóch wprawnych włóczków z osękami, a resztę ludzi na tratwie, żeby wpychali kłody do wąskiego przepływu. Jinot Sel znalazł się na jednej z trzech tratw. W dole rzeki James Ketchum i Franceway stali po kolana w wodzie, żeby wyłapywać zbłąkane kłody. Porządny spław zwolnił i niemal stanął, a włóczkowie w górze rzeki upychali w wodzie unoszące się kłody. Stojący na brzegu Tom Keyo wypatrzył lekko zakrzywiony, mierzący dobre czterdzieści stóp pień, który wpychał się w zator.

– Spójrzcie! Z tym będzie kłopot! Widzicie? – zawołał.

Gdy wypowiadał te słowa, ci, którzy pracowali w górze rzeki, zepchnęli ze dwadzieścia zabłąkanych kłód w szybszy nurt i pnie te połknęły czterdziestostopowe kłopotliwe drzewo.

– A niech to piekło pochłonie! – wrzasnął Tom Keyo, nie bacząc na zakaz przeklinania. Wielka partia kłód dotarła jednocześnie do występu, a wśród nich ta zakrzywiona, na którą zwracał uwagę Keyo. Pień zawisł na występie, a reszta zaczepiała o niego – Tego Krzywego, jak zaczęli nań mówić – niczym owce kryjące się przed wilkami.

– Wszystkie ręce na pokład, kucharz też! – krzyknął któryś z włóczków.

Kłody nasuwały się na siebie coraz wyżej niczym wielki snop pszenicy dla olbrzymów. Przykryły występ i zmusiły Francewaya i Jamesa Ketchuma do ucieczki na brzeg. Pnie wypiętrzyły się tak wysoko, że te na górze staczały się samodzielnie w główny nurt.

Bezsilny Marchand wściekał się na brzegu.

– Z góry! Staczajcie te z góry! – krzyczał, nic nie wiedząc o zakrzywionej kłodzie, blokującej partię pni. Tuzin włóczków wspiął się wysoko na kłody i zaczął je staczać do rzeki. Ale główny czop nie popuszczał, a z góry rzeki wciąż napływały pnie. Franceway odłożył osęk i pobiegł po siekierę. Krzyczał do Marchanda, który nic nie słyszał:

– Tam na dole jest czop! Krzywy, przeklęty przez Boga, parchaty sukinsyn!

Ściskając w ręku siekierę, pobiegł po skalnym występie ku zatorowi, dostał się do zaczopowanej partii na dole i wypatrzył zakrzywiony pień. Leżało na nim z pół tuzina innych, więc Franceway machnął ręką do Ketchuma, aby pomógł mu w przerąbaniu pnia i wyrwy.

– Marchand! – wrzasnął Byers. – Masz czop na tej skale!

Marchand kiwnął głową. Kilku ludzi zeszło z góry, żeby wypchnąć niższe kłody. A Franceway i Ketchum rąbali czopujący pień, odcinając jego krzywiznę. Kłoda zatrzeszczała.

– Uciekaj! – krzyknął Ketchum i sam rzucił się ku brzegowi. Ale Franceway uniósł ramiona i zadał zakrzywionemu diabłu ostateczny cios. Pień przełamał się, zaczopowane kłody zadrżały i

natychmiast ruszyły przed siebie. Pnie przewalały się nad występem. Jinot stojący na tratwie nad zatorem ujrzał czterdziestostopowy pień unoszący się tyłem do góry, spychający z siebie stertę i ginący pod nią jak upadająca strzała. Kłoda uderzyła Francewaya prosto w plecy. Flisacy na brzegu usłyszeli trzask. Franceway złożył się jak kartka papieru, dotknął piętami uszu i stał się rzeźniczym połciem mięsa, miażdżonym przez kłody. Jinot otworzył usta, żeby krzyknąć, ale ze ściśniętego gardła nie wydobył się nawet jęk. W tej chwili jego dzieciństwo dobiegło końca.

Dzień pracy trwał aż do zachodu słońca. W długie letnie dni zmierzchało powoli, a zrozpaczony Jinot szlochał spazmatycznie, wczołgując się pod odwróconą pirogę, by spocząć obok pustego miejsca po Francewayu. Nie mógł zasnąć, płakał i przewracał się z boku na bok. To była pierwsza z wielu bezsennych nocy. Chcąc wyrwać się z rozpaczy, pracował z całych sił. Rąbał drzewa z wściekłością i gwałtownością, które sprawiały, że nikt nie chciał mu towarzyszyć w pracy. Zawsze zgłaszał się na ochotnika do wiosennych spływów, a flisacy w górze i w dole rzeki rozpoznawali jego gibką i zwinną sylwetkę.

– Jinot! – wołali. – Jinot Sel! – Pozdrawiali go, machając rękoma.

Przez dwa lata pracował dla Marchanda, a potem – jak bracia – ruszył do innych obozów, nad inne rzeki. Wracał do domu latem

i rąbał polana na zimę dla Beatrix i Kuntawa: do ogrzania wielkiego starego domu potrzeba było aż osiemdziesięciu sągów drewna. Czasem rąbał też bierwiona dla mieszkającego w pobliżu Francisa-Outgera. Jeśli Josime i Amboise byli akurat w domu, wszyscy trzej piłowali, rąbali i rozszczepiali polana. Jinot chodził łowić ryby z Kuntawem i małym synem Francisa-Outgera, Édouardem-Outgerem. Kiedyś Beatrix przygotowała dla nich kosz z pieczonymi kurczakami i ziemniakami upieczonymi w popiele. Innego roku Kuntaw i Beatrix poszli nad morze podczas odpływu i wrócili z całym koszem małży, które Kuntaw ugotował na sposób Mikmaków w glonach. Jinot pomagał Elise, podnosząc znad ognia wielkie kotły z wrzącą wodą, gdy przygotowywała przetwory z warzyw i owoców na zimę. Ustawiali lśniące buraki w szklanych więzieniach na półkach w piwnicy obok innych słojów z jagodami, groszkiem, fasolą, musem jabłkowym, peklowanymi jajami i połówkami gruszek. A potem nadchodził taki ranek, kiedy miał już dość domu, więc pakował torbę i ruszał do Bangor, gdzie najmowano do pracy. Jeśli Josime i Amboise byli w domu, przymus ruszenia w drogę okazywał się zaraźliwy i razem szli do miasta. Czasem najmowali się do pracy we trzech, a leśni pracodawcy bili się o nich. Wszyscy dobrze wiedzieli, że bracia Sel są najlepszymi drwalami.

Mijały lata, które różniły się między sobą tylko przez wypadki, rany, pożary i dziwne wydarzenia. Potem, mniej więcej wtedy, gdy nastał nowy wiek, zaczęli bez powodu pracować oddzielnie. Jinot

znów najął się do Marchanda – nieopatrznie, bo spóźnił się do Bangor i najlepsi pracodawcy mieli już komplet ludzi. Obozowisko Marchanda było prymitywne i niewygodne jak w dawnych czasach, ale cięli drzewa w dziale wód Allagash, gdzie Jinot jeszcze nie był. Rosły tam najlepsze zachowane jeszcze wejmutki i Jinot zastanawiał się, jakim cudem Marchand trafił na taką leśną parcelę. W obozowisku sypiał pod pirogą, zamiast w szałasie, myśląc o Francewayu i ich wspólnej młodości. Jak wyglądałoby ich życie obecnie, gdy dobiegliby obaj trzydziestu zim? Sypiając pod pirogą, zawsze myślał o Francewayu.

Nagle usłyszał swoje imię, wywoływane schrypniętym głosem:

– Jinot! Jinot! Obudź się!

Serce podeszło mu do gardła. Śnił o przyjacielu, ale to nie mógł być Franceway, Francewaya już nigdy nie będzie. Przywoływał go przyrodni brat Francis-Outger, trzymający latarnię w lewej ręce i potrząsający kolanem Jinota prawą.

– Obudź się! Wstawaj! Wyłaź!

– Co? Co się stało?

– Mama nie żyje. Kuntaw chce, żebyś wrócił do domu. Rozmawiałem już z Marchandem. Klął w żywe kamienie… strasznie klnie. Josime pojechał po Amboise'a. Chodź! Szybko!

///

Beatrix pochowano na wyznaczonej przez Outgera parceli za domem. Sędzia odczytał testament tuż po pogrzebie, bo wszyscy byli na miejscu. Beatrix zapisała dom, meble i posiadłość Elise w dowód wdzięczności za jej opiekę i jako zadośćuczynienie za zmuszenie jej do nieszczęśliwego małżeństwa, gdy była jeszcze dziewczynką. Wszystkie książki zapisała doktorowi Mukhtarowi. Leśna parcela, o której nikt nie wiedział, położona w północnym Maine i mierząca czterdzieści tysięcy akrów, przypadła jej synom, Francisowi-Outgerowi i Josime'owi. Kuntawowi zostawiła dwa z pięciu koni, czerwony angielski koc z wełny, który lubił, oraz list. Kuntaw otworzył i przeczytał list, który składał się z kilku zaledwie zdań. Zaśmiał się krótko, gardłowo i umilkł. Beatrix znów zmusiła go do śmiechu i znów go zaskoczyła. Napisała, że wróci do Kanady. Jinot i Amboise dostali niewielkie pakunki. Gdy Amboise rozwinął papier, znalazł pod nim małą akwarelę namalowaną przez Beatrix i przedstawiającą Elise, Amboise'a i Jinota na ławce pod jabłonią. Amboise przypominał sobie jak przez mgłę, że dawno temu Beatrix kazała im usiąść jak na grzędzie i szkicowała coś w czerwonym szkicowniku. Nigdy dotąd nie widział tego obrazu. Do obrazu dołączony był irchowy trzos z pięcioma złotymi monetami. Otarł oczy i ukrył trzos na piersi, a potem oznajmił, że wróci do Nowego Brunszwiku na spław, który dopiero się rozpoczął. Jinot otworzył swój pakunek: znalazł w nim drewnianego konika, mierzącego nie więcej niż cztery cale i wystruganego przez Beatrix w dniu, gdy przyprowadził go do jej

domu Tonny. On także dostał trzos z monetami. W trzosie była karteczka z trzema słowami napisanymi rozchybotanym charakterem pisma: „Pamiętaj o mnie”. Nigdy jej nie zapomni.

Tego wieczoru Amboise zwrócił się do Jinota:

– Pod koniec lipca przyjdź do mojego obozu, porozmawiamy, dokąd pójść. Mam parę pomysłów. Ale najpierw idź do Marchanda odebrać zapłatę. Widzę po tobie, że coś cię gnębi… nie tylko śmierć mamy. Najlepiej wziąć się do roboty.

Marchand powiedział:

– Nic ci nie powinienem zapłacić. Zostawiłeś mnie na lodzie i poszedłeś sobie do diabła w środku nocy.

Ale zapłacił mu i Jinot miał nagle blisko dwieście dolarów w kieszeni i pieniądze od Beatrix. Ale nie mógł przeboleć jej śmierci. Pokochał ją od dnia, gdy posadziła go na krześle i nazwała *snoezepoes*. Uwielbiał drewnianego konika z grzywą ze sznurka i domalowanymi oczami. Konik gdzieś mu zginął, a teraz znów trzymał w ręku własne dzieciństwo. Odłożył go do skrzyneczki z innymi skarbami: maleńkim śpiewnikiem Francewaya z dwoma czy trzema słowami rozpoczynającymi każdą znaną przez niego piosenkę. Czuł bliskość Beatrix, słyszał ukochany głos Francewaya.

Ostatniego dnia w domu nad zatoką Penobscot włożył do kosza ubrania, zakrzywiony nóż, krzemień i zapasową parę mokasynów, jakby wybierał się w daleką podróż. Po raz ostatni wszedł do

kuchni. Elise siedziała przy stole, spisując domowe obowiązki. Podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Kiedy znowu przyjedziesz? – zapytała.

– Nie wiem. Trudno orzec. Trochę popracuję, odszukam Amboise'a, może wyruszymy na północ? Może odnajdziemy dziadka Kuntawa? Nie wiem.

Rąbanie drzew było jego lekiem uśmierzającym. Lasy Nowej Anglii rozbrzmiewały uderzeniami siekier. Roje mężczyzn okrzesywały z drzew konary i gałęzie, spychały wiatrołomy do rzek. Tartaki piłowały dniami i nocami, a wielki zalew drewna sprowadzał nowych osadników i pozwalał ludziom budować domy na bezprecedensową skalę.

Minął rok, potem następny, a Jinot miał już ponad trzydzieści lat. Nadeszła pora odnaleźć Amboise'a, jeśli ten wciąż jest w tym obozie w Nowym Brunszwiku.

41

OBÓZ GATINEAU

Obóz w Nowym Brunszwiku był pusty, jeśli nie liczyć smętnego byłego drwala z obandażowaną głową i pokrytą strupami twarzą, siedzącego na schodach kuchni i obierającego ziemniaki.

– Mówią mi, że mam szczęście, co nie? Mówią mi, że mam szczęście, że mogę obierać kartofle. Straciłem połowę zębów, widzisz? – Otworzył szeroko usta, ukazując puste fioletowe dziąsła. – Na spływie kłoda rąbnęła mnie w twarz, krwawiłem jak zarzynane prosię. Dali mi robotę w kuchni, ale do jesieni wydobrzeję.

– Szukam brata, Amboise'a Sela.

– Ta, miarkuję, masz indiańską gębę jak Amboise. Widziałem go, jak wychodził z szałasu z tym starym indiańskim koszem na plecach, i domyśliłem się, że rusza w swoją stronę. Mówił, że postawi sobie szałas w lesie niedaleko naszego wyrębu. Spodobało mu się tutaj, choć nie wiem, co tu może się podobać… same bagna. Słuchaj, napijesz się herbaty? Ja piję o tej porze. Nazywam się Mikla. Joe Mikla.

Jak wielu tych, którzy spędzają czas w samotności, nie mógł przestać gadać. Weszli do kuchni. Jinot zauważył przykryte gazą bochny rosnącego chleba i spojrzał pytająco na kucharza.

– Ta, są tu tylko sami pomocnicy drwali, drwali nie ma. Patrz, pokażę ci, gdzie rąbaliśmy.

Zanurzył palec w herbacie i naszkicował nim na stole mokrą mapę, zaznaczając na niej stare wyrębisko, przy którym zamieszkał pewnie Amboise.

– Takiej poręby nie możesz nie zauważyć. Amboise musiał wybrać sobie najlepsze miejsce przy samym bagnie, żeby nacieszyć się komarami. Bóg mi świadkiem, że z radością stamtąd uciekłem.

///

Odnalazł Amboise'a po trzech dniach przedzierania się przez bagna. Brat siedział pochylony i strugał. Za plecami miał rząd obrobionych korzeni drzew.

– Zbieram je – oznajmił Amboise, wskazując za siebie na korzenie. – Z wyrębu starego Perleya Palmera. Nie przeszkadza mu, że zabieram kolanka, dla niego to wszystko pieńki.

Niewykluczone, pomyślał Jinot, że Amboise stracił rozum. Postanowił zmienić temat i zapytał o Kuntawa.

– Dziadek Kuntaw? Po pogrzebie spakował dobytek i pojechał na północ. Z powrotem do Kanady. Tam, skąd pochodzi. Tak

słyszałem. Może pisze do Elise?

– Elise jest w Bostonie z mężem, doktorem Hallagherem.

– To kto mieszka w domu?

– Nie wiem. Dogląda go Francis-Outger. Może Elise go sprzedała? Nikt mi nic nie mówił.

Zapadła cisza. Myśleli o Kuntawie – starcu, zmierzającym do północnych lasów. Zazdrościli mu.

– Bracie – odezwał się po chwili Amboise. – Mam pracę dla nas obu.

– Jaką pracę? Tylko nie przy osuszaniu traktów. Powiedziałem Marchandowi, że wrócę w listopadzie. Jeśli zdołam.

– Nie przy osuszaniu. Po… po spływie rozmawiałem z paroma ludźmi ze stoczni w Portsmouth. Słyszałem, że dobrze płacą za te tam… – Wskazał korzenie za sobą. – Pracując na tym wyrębisku, widziałem mnóstwo modrzewi na bagnach. Potrzebują drewna na statki, kolanka… znaczy się kątnice do wzmacniania wręg. Mówili mi, że „statki buduje się w lesie".

Jinot spojrzał na stojące w rzędzie korzenie. Modrzew, twardy jak żelazo, był ceniony ze względu na mocno skręcone włókna korzeni.

– Nazbieramy ich razem, co? A potem pójdziesz do Marchanda, jak zacznie. Zimą znów będę rąbał.

– Możemy spróbować. Dużo modrzewi i jałowców rośnie na tym bagnie?

Amboise oznajmił, że kolanka najlepiej zbierać pod koniec roku, kiedy przestają krążyć soki. Latem to lepka praca.

– Ale schną całkiem szybko. Pomyślałem, że popracuję przy nich do mrozów. Potem wrócę do rąbania.

Okopywali korzenie zdatnych na oko modrzewi. Gdy trafili na dobre zgięcie, odrzucali ziemię, obcinali koniec korzenia dwie stopy od drzewa i dobierali się do korzenia pierwotnego. Drzewo chwiało się i padało, a wtedy odrąbywali cały korzeń jak pięciostopowy pień.

– Mamy kolanko – mówił Amboise i pokazał Jinotowi, jak mierzyć i zaznaczać linię, a potem obciosywać, żeby uzyskać kąt prosty u podstawy, gładką gardziel w wewnętrznym wygięciu oraz prostą i płaską podstawę.

Przez całe lato obciosywali kolanka do żaglowców.

Jinotowi nie bardzo podobało się grzebanie w bagnach w poszukiwaniu kolanek, ale nie chciał też wracać do Marchanda. Chciał odejść – jak Kuntaw.

– Bracie – zwrócił się do Amboise'a. – Chodźmy na zachód. Słyszałem, że na zachodzie rosną wielkie lasy. Mam już powyżej uszu tych modrzewiowych kolanek.

Amboise zadarł głowę ku koronom drzew.

– Dobrze – odpowiedział.

Było jeszcze ciemno, gdy Jinot się obudził. Ktoś chodził wokół szałasu – ktoś albo coś. Wyciągnął rękę i dotknął barku brata –

domyślił się, że Amboise już nie śpi. Jinot usiadł powoli, bezszelestnie. Siekiera leżała przy wyjściu z szałasu, sięgnął po nią, gdy usłyszał głos:

– Dawno, dawno temu troje dzieci zagubiło się w lesie…

– Josime! – zawołał Amboise. – Ty głupcze! Mogłem cię zastrzelić!

– Gdybyś miał broń – mruknął Jinot, szukając świecy.

Josime rozpalił ognisko, Amboise nalał wody do kociołka. Usiedli przed ogniskiem, bracia w poplamionych koszulach i dziurawych od iskier kapeluszach. W pierwszym świetle dnia ich przyrodni stryj i brat dojrzał modrzewiowe kolanka.

– To męska robota?

– Nie. Jesteśmy teraz wędrowcami i myśliwymi. Ruszamy do lasów na zachodzie, do Pensylwanii, Ohio, jeszcze nie wiemy, gdzie. Kuntaw mówił, że ten bór ciągnie się aż do krańca świata. Chcemy tam iść – powiedział Jinot.

Amboise pokiwał głową.

– Taki mamy plan.

Josime roześmiał się.

– To nie jest wasz plan. To mój plan. Nie dbam o ten las zostawiony przez matkę, który miałem dzielić z Francisem-Outgerem. Był uszczęśliwiony, gdy mu powiedziałem: „Bracie, możesz go sobie wziąć". Pomyślałem o was, moi synowcy i bracia. Chodźcie ze mną tam, dokąd idę. Dzisiaj. Taki mam plan.

Ta decyzja zespoliła ich żywoty i pracę, a zmierzali na północ przez las, zostawiając za sobą świat zrąbanych i połamanych drzew – puszczę zamienioną na pola i pastwiska. Marzyli o tym, by dotrzeć do takiego miejsca, gdzie wciąż rosną grube pierwotne drzewa. Josime powiedział, że słyszał o pozyskiwaniu drewna w miejscu nazywanym Gatineau na północy.

– Pojechał tam człowiek z Bostonu. Założył trzy obozowiska. Spławia drewno do Montrealu. Chodźmy, powiadam, na północ.

Liczyła się dla nich „północ". Pochodzili z północy i podążą na północ.

Po dziesięciu dniach doszli do Trzech Rzek – Trois-Rivières – gdzie spotkali Indian Omamiwinini z dolnego biegu rzeki, przygotowujących się do popłynięcia za Montreal rzeką Kichisìpi. Podróżni ci – wiele kobiet i dzieci pod opieką wysokiego mężczyzny o ciemnej, poważnej twarzy – byli uszczęśliwieni, spotkawszy trzech silnych mężczyzn, którzy mogą im pomóc w noszeniu ciężarów i dopłynięciu do celu przed silnymi mrozami. Bo poranne przymrozki już dawały się im we znaki.

Podczas pierwszego nocnego postoju Jinota otoczył wianuszek dziewcząt. Niektóre z nich były bardzo ładne. Omamiwinini powiedzieli Josime'owi, że są wśród nich Odawowie, zmierzający na wyspę Manitoulin, gdzie mieszkają inni Odawowie. Kiedyś, dawno temu, wszyscy mieszkali na tej dużej wyspie, ale zdziesiątkowały ich choroby białych, a ci, którzy ocaleli, spalili wioski. Część przeniosła się do Trois-Rivières, a teraz wracają do

domów, bo choroby zniknęły. Przerwą podróż na kilka dni w Pierwszym Miejscu Spotkań – Montrealu. Płynący pirogą Josime wpatrywał się przez długi czas w jedną z dziewcząt, po czym odwrócił głowę i zapytał mężczyznę o Gatineau. Słyszałem o tym miejscu, odpowiedział mu mężczyzna o poważnej twarzy, to prawda, że biali ścinają sosny w górze rzeki. Ociosują je w okrągłe, płaskie ze wszystkich stron kłody. Bardzo dziwne.

Jinotowi nie podobała się rzeka Ottawa – zdradziecko spokojna przez wiele mil i nagle zamieniająca się w spienioną, szumiącą bystrzynę. Wyczuwał jej złowrogą naturę. Pod kaskadami na obu brzegach stał las drewnianych krzyży, oznaczający rzekę śmierci. Pochylił się nad wiosłem.

W Pierwszym Miejscu Spotkań najpiękniejsza z dziewcząt Odawów podała Jinotowi liść paproci, zerwany pośpiesznie, gdy piroga mijała porośniętą zielenią skałę. Ludzie przy wiosłach nie czekali długo, pożegnali się i odpłynęli w górę rzeki Ottawa wraz z Selami.

Dobili do brzegu poniżej Wodospadu Chaudière i mężczyzna o poważnej twarzy powiedział Josime'owi, że obozowiska drwali są oddalone o dwa dni pieszej wędrówki w górę rzeki. Mogą też popłynąć z nimi na Manitoulin i prowadzić godne życie z dala od białych. Oni sami wrócą teraz po Odawów z Trois-Rivières i popłyną z nimi w górę rzeki, przeniosą pirogi na Jezioro Nipissing, wpłyną na La Rivière de Français i dalej do Manitoulin.

– To zajmie dwa-trzy tygodnie – powiedział.

– Jesteście dobrymi ludźmi – odpowiedział Josime, odprowadzając wzrokiem pirogę Indian. – A teraz, bracia, w drogę.

Idąc ścieżką wokół wodospadu, minęli dwie grupy białych, którzy rozmawiali o założeniu drzewnego interesu. Na czele jednej grupy stał siwowłosy, krzepki mężczyzna o fioletowej twarzy.

– Anglia potrzebuje drewna, nie wiecie? – zapytał Josime'a, który wcześniej zadał mu pytanie, dlaczego zapuścili się tak daleko od domów. Odchodząc, odwrócił się jeszcze i rzucił, że nie ma czasu, żeby marnować go na czczą gadaninę z dzikimi. Druga grupa okazała się przyjaźniejsza, a jej przywódca oznajmił:

– Czyż nie wiecie, że Anglii pilnie potrzeba drewna? W Nowej Anglii nie ma już sosen, więc drwale schodzą się do krainy Ottawa. To wciąż dziewiczy kraj, w którym rosną wielkie sosny. Można tu zarobić majątek.

Podczas tych spotkań z białymi dowiedzieli się, że nie są Indianami, ale *métisami* lub, jak nazwał ich jeden angielski przedsiębiorca, „ludźmi półkrwi". W Maine ich biali sąsiedzi osadnicy wiedzieli skrycie, że tacy jak oni znikają z powierzchni ziemi.

– Tak – powiedział Josime do braci – znikają, choć nie przez choroby czy, jak podejrzewają biali, zapijając smutek, ale dlatego, że wchłania ich biała ludność – wystarczy spojrzeć na ich siostrę, Elise.

– Jej dzieci są już prawie białymi.

Wyszła za mąż za doktora Hallaghera, Irlandczyka, który zajmował się kiedyś Beatrix. Tu, w Gatineau, Selowie byli innym rodzajem ludzi – ani Mikmakami, ani białymi, a z całą pewnością nie tymi dwoma jednocześnie.

– Teraz jesteśmy – oznajmił Josime – drwalami.

Zwiadowcy wyszukujący miejsca pod tartaki i nadające się do ścięcia drzewa w sosnowych lasach wydeptali szlak w szeroki gościniec. Sosna była ich bóstwem. Podążali za nimi pośpiesznie drobni przedsiębiorcy ze wschodu, kupując na pniu leśne parcele i sągi drewna, zmuszając wąskie strumienie do napędzania tartaków. Duże pieniądze szły do ludzi zasługujących na kredyt i mających koneksje, którzy potrafili dostarczyć szybko ociosane drewno na angielski rynek. Najważniejszym z nich był pochodzący z Massachusetts William Scugog, który walczył z Anglikami podczas wojny o niepodległość, a obecnie twierdził, że już to odpokutował.

– Dużo obozów – mówił Josime.

Słyszeli o tartakach nad samą Ottawą i jej dopływach, na północy nad rzekami Black, Dumoine, Coulonge, Gatineau, Rouge i Lièvre, na południu nad Rideau, Madawaska, Petawawa, Mattawa i Bonnechère – potężnymi strumieniami wzbierającymi wodą z lasów i wpływającymi do ogromnej Rzeki Świętego Wawrzyńca. W dolinach tych strumieni wszędzie rosły duże sosny.

Bracia Sel najęli się do pracy u Williama Scugoga. Wysłał ich do obozowiska nad Gatineau. Zanim Selowie tam dotarli, znienawidzili nowy obóz, ludzi w tym obozie i samego Scugoga. Ale Scugog najął też doskonałego kucharza, Diamentowego Boba, nazywanego w ten sposób ze względu na tatuaż na szyi i sygnet migoczący na palcu. Bob przygotowywał eleganckie posiłki z szybkich karibu, ale pojmował, że drwale czerpią siłę z fasoli i sucharów, więc dbał o to, żeby nigdy ich nie zabrakło.

Scugog i jego najstarszy syn, Cato, podróżowali między domami nad Gatineau, w Montrealu i Québeku, zdobywając finansowe promesy od handlujących drewnem kupców na nieścięte jeszcze, a w większości przypadków nawet niewidziane sosny.

Las Gatineau rozbrzmiewał uderzeniami siekier i trzaskami padających drzew, ostrzegawczymi okrzykami i głośnymi poleceniami. Drwale rąbali wielkie sosny, ale niewiele z nich nadawało się do ociosywania. Resztę zostawiano, żeby zbutwiała na ziemi. Jinot nie lubił pracować zgarbiony przy okorowywaniu drzew dla cieśli. Wolał rąbać. Amboise, który miał dłuższe ramiona, nie miał nic przeciwko okorowywaniu, a Josime był doskonałym cieślą z ciężkim toporem; potrafił ociosać kłodę w belkę, ani razu nie wychodząc za zaznaczoną kredą linię. Straty drewna były przerażające: marnowało się blisko dwadzieścia pięć procent każdej ociosanej kłody. Niechciane drzewa leżały martwe, wszędzie walały się okrzesane gałęzie i konary, piętrzyły sterty

kory i trocin. Ale drewno w belkach łatwiej wiązano w tratwy, a belki nie toczyły się jak kłody, gdy pakowano je na żaglowce do wysyłki do Anglii. Rośnie tyle drzew – jakie to ma znaczenie? Ludzie z Maine byli przyzwyczajeni do strat – marnotrawstwo było czymś zwykłym – lecz nawet oni nie widzieli czegoś takiego. Trociny i wióry po obróbce pni ciesielskimi siekierami sięgały kolan.

Pod koniec zimy Scugogowie mieli dosyć ociosanego drewna na dwie tratwy. Większa, składająca się z pięćdziesięciu belek, należała do starego Williama, a mniejsza do jego syna Cato. Tratwy pływały dobrze po spokojnych wodach, ale rozpadały się na kaskadach. Nie było innej rady, należało rozebrać tratwy i ekspediować belki jedna po drugiej, a potem znów je wiązać. Jinot często wspominał swobodne kłody spławiane po wiosennych roztopach na grzmiącej rzece Penobscot. Ale tratwy nie klinowały się w morderczych czopach.

Gdy przypłynęli tratwami do Montrealu, nie mogli znaleźć miejsca do zacumowania. Scugog z nikim się nie ułożył na przechowanie takiej masy drewna. A drwale i flisacy odnieśli wrażenie, że płaci im się z łaski, jakby Scugog nie potrafił rozstać się z pieniędzmi. Po tawernach krążyły pogłoski, że nie może sprzedać drewna.

Jego drugi syn, Blade Scugog, urządził obozowisko w górze rzeki Gatineau. Selowie przenieśli się do tego obozu, woląc pracować

przy okrągłych kłodach, a nie ociosanych belkach drewna. Było im żal rozstawać się z kuchnią Diamentowego Boba, ale żal ten minął, gdy usłyszeli, że słynny kucharz porzucił *père* Scugoga i przeniósł się do Montrealu, gdzie otworzył tawernę z ostrygami. Ten młodszy Scugog, którego donośny skrzekliwy głos znali wszyscy drwale nad rzeką, gardził nie tylko tratwami, ale i głupotą ojca, który ciął drewno bez niczyjej wiedzy i bez pozwolenia. Blade szybko dostał pozwolenie na wyrąb lasu, gdy zadeklarował, że ma zamiar sprzedawać drewno rodzimym przedsiębiorcom i nie chce wysyłać go do Anglii.

– Co ty sobie wyobrażasz? – krzyczał na niego stary Scugog.

– Po zakończeniu wojny przyjadą tu tysiące osadników. Będą potrzebowali desek i gontów na domy. – A pod nosem dodał: – A nie cholernych belek na okręty wojenne dla korony, która nic nie płaci.

– Jesteś, chłopcze, lekkomyślnym głupcem. Zawsze będą toczyły się wojny i zawsze będą potrzebne ociosane belki. Zawiedzie cię twoja ufność w chimerycznych ludzi, którzy nigdy nie osiądą na tak niegościnnej ziemi. I nie proś mnie o pomoc, gdy bieda cię przydusi.

– A kto do mnie przychodzi ze swoimi ociosanymi belkami, mając nadzieję, że znajdę mu kupców? – zapytał syn skrzekliwym głosem.

Tartak Blade'a Scugoga pracował całe lato, a pod koniec suchego września strawił go pożar lasu. Ambitny syn nie uznał, że

jest zrujnowany, i popędził do Quebec, żeby zdobyć pieniądze na odbudowę.

– Może nie znam się na ociosywaniu belek – mruknął do siebie – ale wiem, jak zarabiać.

///

Osadnicy rzeczywiście nadeszli, a wraz z nimi mosty, pojawiające się jak grzyby po deszczu wycinki, plany na drewniane jazy wokół najgorszych wodospadów, kanały wokół bystrzyn, duże nowe osady, cmentarze, młyny i poczta. Odepchnęli puszczę. Między drzewami zagościła cywilizacja.

Po pożarze u Scugoga Selowie poszli do innych obozowisk. Podczas każdego sezonu wyrębu drzew zjawiali się drwale z Maine, a od czasu do czasu ktoś, kogo znali. Podczas pierwszego dnia na wyrębie Fischera-Heldena Jinot szedł do oznaczonych drzew za grupą drwali i rozpoznał dobrze znany żwawy chód Joe Martela z obozu Marchanda nad Penobscot – pamiętał go z czasów Francewaya.

– Joe! – zawołał. – Joe Martel! Co ty tu robisz?

Martel odwrócił się, czarna broda nastroszyła się jak pierś szkockiej kuropatwy, błysnęły zęby, a z gardła wydobył się radosny okrzyk:

– Jinot Sel, Jinot! Ty tutaj? – Odczekał, aż Jinot zrówna się z nim, i pomaszerowali dalej razem.

– Widziałem czterech czy pięciu Penobscotów w lasach Kanady. Wiesz, teraz w Maine jest źle. Nie ma już wejmutek. Rąbią świerki i twarde drzewa. Ale tutaj… – wskazał gęsty drzewostan Gatineau – …wygląda nieźle, hę?

Dodał, że Marchand zbankrutował i macha teraz siekierą jak wszyscy gdzieś w okolicach Gatineau. Tom Keyo nie żyje – spadająca kłoda oderwała mu głowę. Wieczorem, po kolacji, wspominali dawne czasy, gdy pracowali jako włóczkowie na Penobscot – najlepszej bystrzynie na świecie.

– Na Boga! Zostawiliśmy po sobie ślad!

Następna zima była wietrzna i wydarzyło się dużo wypadków. Jednego dnia żeleźce siekiery drwala oderwało się od styliska, przeleciało dwadzieścia stóp i trafiło w twarz młodego rębajłę. Odłamane wiatrem konary drzew spadły na trzech ludzi, dwóch zabijając na miejscu. Trzeci był tak połamany, że nie nadawał się do jakiejkolwiek pracy. Dwóch pilarzy przecięło sobie stopy do kości dzień po tym, jak w obozie rozmawiano o mocniejszych butach do pracy. Bo większość pracowała w ciężkich, sięgających do połowy łydki mokasynach ze skóry łosia. A siekiera przecinała taki mokasyn jak naleśnik polany syropem.

Pewnej soboty Selowie i Martel wybrali się wieczorem do najbliższej osady, żeby – jak mówił Amboise – „napić się i popatrzeć na głuptaków” lub też „porozmawiać z dziewczętami”, jak twierdził Jinot. Szedł z nimi tylko dla towarzystwa. Tak

przynajmniej oznajmił. W dwóch działających w osadzie lupanarach dziewczęta uwielbiały Jinota, a gdy Amboise i Josime zachodzili tam sami, zawsze pytały:

– A gdzie jest Jinot?

– Co one w nim widzą? – pytał Martel. Bo Jinot był w jego oczach tylko Jinotem – dobrym flisakiem, spokojnym jegomościem i poza wyrębem nikim wyjątkowym. Nie umiał śpiewać, nie grał na skrzypcach, nie tańczył. Zapewne lubią go przez ten jego uśmiech i kpiarską paplaninę, bo Jinot był zawsze dobroduszny, inny od posępnej reszty i z prawdziwym zainteresowaniem wysłuchiwał skarg dziewcząt.

– Zna się na kobietach bardziej od każdego innego na świecie – tłumaczył Josime Martelowi. – Od lat słucha, jak jazgoczą. Moim zdaniem połowa bękartów w Maine to sprawka Jinota.

Martel dobrze pamiętał Francewaya, więc ze zdziwieniem uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

Po upływie kilku zim nadal pracowali w zlewisku Ottawy. Znów ociosywali kłody na belki, tym razem w obozie Harolda Honeya. Szałas drwali wypełniali głośni zawszeni mężczyźni – tak silni, jakich dziś się już nie spotyka. W środku szałasu hulał wiatr, ale i tak ciągle unosił się dym. Nocami zmęczeni od ciągłego wymachiwania siekierą drwale uznawali surowe warunki i klepisko za luksus.

Dni stawały się dłuższe, wyczuwali nadchodzącą wiosnę. Do spływu dzieliło ich zaledwie kilka tygodni. Któregoś dnia w szałasie pojawił się Honey.

– Posłuchajcie mnie, chłopaki, mam dla was złe wieści. Rynek na drewno sięgnął dna. Scugog przejął wszystkie interesy w Kanadzie. Nie sprzedam ściętych już drzew. Jestem spłukany, będę musiał wrócić do Maine i nająć się jako drwal. Nie mogę nikomu zapłacić, ale jeśli chcecie, możecie zabrać drewno, jeśli je ruszycie.

Uśmiechnął się boleśnie. Nie pozostawało nic innego, jak spakować się i ruszyć w dół rzeki z resztą drwali.

Jinot jako jedyny miał jeszcze pieniądze. Bracia postanowili wydać je w Montrealu, a potem zastanowić się, czy wracać do Maine, czy zostać w dolinie Ottawy.

– W Maine ciągle tną drzewa. Wejmutek już nie ma, ale zostały sosny czerwone, świerki i drzewa liściaste. Jest praca. Mnóstwo pracy przy bomach. I są długie spływy.

– Chodźmy na zachód – mruknął Amboise. – Nie wracajmy nad Penobscot do tego… wszystkiego.

Wiedzieli, co ma na myśli: grób Beatrix, stary dom, drwali, których poznali, ohydne lasy pieńków, duchy zmarłych. Martel powiedział, że jeśli ruszą na zachód, będzie im towarzyszył.

W Montrealu trafili do Złotej Sosny – najbardziej zapuszczonego burdelu dla drwali i traperów, a nawet *métisów* i

dzikich. Umówili się, że po wszystkim spotkają się w „Królu Skrzydełek” – tawernie, której właściciel nie tylko sprzedawał bimber, ale i wynajmował łóżka na noc w dużym składzie.

Centralnym punktem Złotej Sosny była ustawiona pionowo kłoda, wyrzeźbiona na kształt *membrum virile* i pomalowana na złoto-żółto. Podpierała sufit. Nie podawano tu jedzenia, ale wściekły sfermentowany cydr, nazywany przez Madame Georgine „calvadosem” albo „koniakiem Napoleona” lub też zwyczajnie „spirytusem”, w zależności od klienta. Gdy weszli do środka, sala była zatłoczona. Pod jedną ze ścian stał długi rząd krzeseł, a na krzesłach tych siedział towar. Krzepkie Irlandki o płonących policzkach, niebieskookie angielskie blondynki o mlecznej cerze, jedna posępna Żydówka, kilka mówiących po francusku wieśniaczek, a w rogu, przecenione dzikuski. Martel zapytał żartobliwie Jinota, czy usiądzie na krześle z dziewczętami, a potem zaczął rozmawiać z lafiryndą z Kébeku, zadając jej głupie pytania o rodzinę.

Madame Georgine, która znała Jinota, pociągnęła go za rękaw.

– Chodź – szepnęła i zaprowadziła go do zatęchłej alkowy. – Masz, spróbuj tego…

Nalała mu do kieliszka z czarnej butelki i podała za nóżkę.

– Śmiało, napij się. To prawdziwy koniak. Koniak Napoleona. Mieliśmy tu takiego fircyka, który zostawił butelkę.

Jinot wypił kieliszek ognistego napitku i pomyślał, że jeśli istotnie Napoleon pił coś takiego, nie mógł pożyć długo.

Uśmiechnął się, uszczypnął karminowy policzek Madame Georgine i wrócił do kolejki.

– Jinot, spójrz! – Josime zacisnął usta i wskazał palcem pochyloną, unikającą męskich spojrzeń dziewczynę. – Wiesz, kto to jest?

– Nie. Kto?

– To ta dziewczyna z pirogi, którą tu spotkaliśmy. Dawno temu. Odawa. Ta, która dała ci paproć.

Spojrzał na jej postać. Trudno orzec, pochylała się nad kolanami. Paproć? Jaką paproć? Czy po sześciu albo ośmiu latach można pamiętać, jak wyglądała dziewczyna z pirogi? Josime i owszem pamiętał. Jinot podszedł do niej i powiedział:

– Czołem, śliczna panienko.

Podniosła głowę.

– Jinot? – zapytała. W oczach miała łzy. Była chuda, wygłodniała, jak przypuszczał. On jej nie pamiętał, ale ona zapamiętała jego.

– Nie płacz, wszystko będzie dobrze.

Wrócił do Josime'a, który dyszał ciężko.

– Nie pamiętam jej – oznajmił.

Podszedł do Madame Georgine i zapytał:

– Ja ona tu się znalazła?

– A jak myślisz? Przyprowadzili ją jacyś mężczyźni i zostawili. Traperzy, ci, co handlują futrami. Paskudne dziewuszysko, nie ma z niej pożytku. Drapie i gryzie. Wkrótce się jej pozbędę.

Josime zaprowadził dziewczynę do stołu i rozmawiał z nią w najlepsze, zadawał jej pytania i wyciągał szyję w jej stronę, żeby uchwycić najlżejszy szept. Nagle Jinot poczuł niechęć do tego miejsca. Ohydny spirytus palił mu wnętrzności.

Stojąc już w drzwiach, odwrócił głowę. Dziewczyna spoglądała błagalnie w jego stronę ponad głową Josime'a, który wyciągał do niej szyję i wciąż mówił.

– Ona nie słyszy ani słowa z tego, co ma jej do powiedzenia – mruknął pod nosem Jinot. A potem przypomniał sobie, że to on ma wszystkie pieniądze. Wrócił do Madame Georgine i wcisnął jej pieniądze w rękę.

– Płacę za braci i naszego przyjaciela Martela. Mają później przyjść do „Króla Skrzydełek". Wiedzą o tym, ale niech im pani przypomni.

Szedł po drewnianym chodniku. Myślał o Josimie i myślał o dziewczynie. Nie umiał jej sobie przypomnieć. Pamiętał natomiast, że gdy płynęli pirogą, Josime toczył wokół świdrującym jasnym spojrzeniem. Wydawało mu się, że przygląda się wszystkim dziewczynom. Widocznie wbił w którąś wzrok i to trwało i trwało. Musiała mu się spodobać. Było mu żal Josime'a.

Nad ranem Amboise i Martel czekali na Jinota przed „Wing King".

– Gdzie Josime?

Jinota bolała głowa, stwierdził, że tamci też wyglądają nieswojo. Amboise był markotny. Zapadła długa cisza.

– Muszę się napić herbaty – stwierdził w końcu Amboise.

– Gdzie Josime?

– Zabrał stamtąd tę dziewczynę. Stara darła się jak najęta, nie chciała jej puścić, mówiła, że musi zapłacić. Josime nie miał pieniędzy, ale powiedział, że coś jej da, może coś znalazł w kieszeni, bo się zamknęła. Kazał ci powiedzieć, że popłynie z tą dziewczyną na Manitoulin, a my mamy czekać, aż wróci.

– Gdzie mamy czekać? Nikt nas nie przenocuje, bo jesteśmy bez grosza.

– Musimy znaleźć pracę. Tu jest dużo tartaków. Będziemy nosić kłody do cięcia. Sortować kłody w wodzie. Albo coś innego. Jest mnóstwo roboty dla tych, co znają się na drewnie i wodzie.

Miał rację. Wszyscy znaleźli pracę, a zezowaty i bezzębny właściciel „Wing Kinga” – kiedyś drwal i flisak – zaoferował im łóżka, jeśli będą mu płacić. Zarabiali, więc mogli się utrzymać, choć Amboise i Martel zaczęli przepijać pieniądze. Amboise stwierdził, że nic go już nie obchodzi, bo lubi whiskey. Jinot również lubił wypić i nie wiedział, jak daleko jest stąd na Manitoulin. Miał tylko nadzieję, że Josime szybko wróci i wszyscy razem uciekną z tego miasta i wrócą do trzeźwego życia w obozach.

Po upływie dwóch miesięcy Jinot wszedł pewnego dnia do składu za „Królem Skrzydełek” i ujrzał Josime’a, który leżał na łóżku z zamkniętymi oczami. Zerwał się.

– Długo cię nie było – stwierdził Jinot.

– Odmieniło się moje życie, bracie. Już nie rąbię drzew. Zostałem z dziewczyną na wyspie Manitoulin i wyrzekłem się życia białych, pracy białych. Ta dziewczyna jest teraz moją żoną. Przyszedłem wam powiedzieć, że wrócę do niej na zawsze.

– Jesteś jak Kuntaw – mruknął Jinot. – Niewolnik kobiety. I mówisz inaczej. Musiałeś spędzić dużo czasu z tą dziewczyną z Manitoulin.

– Chcę z nią żyć w lesie z daleka od śmierdzących białych, którzy ranią ziemię. Tego właśnie chcę.

Jinot pomyślał, że Josime wygląda teraz jak Beatrix, po której odziedziczył jasne oczy.

– Wiem – powiedział.

– Nie znasz takiego szczęścia – odrzekł oficjalnie Josime. Milczeli przez długi czas, aż w końcu przemówił Josime:

– Mógłbyś ze mną pójść. Wiem, że tego nie zrobisz, i bardzo nad tym boleję. Nie jesteśmy już tacy młodzi. Poczułbyś radość, jedząc sieje, widząc godnie żyjących ludzi, a nie fałszywych białych, jak wszyscy ci z obozowisk drwali. Kiedyś przypłyniesz na Manitoulin i przekonasz się, że mam rację.

– Odwiedzę cię, Josime, na pewno. Poznam twoje dzieci. Ale lękam się tego, co robisz. Pewnie dlatego, że sam nie mam odwagi.

Josime roześmiał się.

– Chcesz rzucić siekierę? Ty? Chyba tego nie zrobisz. Ale coś ci powiem, bracie, powiem ci, co zobaczyłem dzień pirogą stąd na południe. Na własne oczy widziałem największe sosny wejmutki, jakie rosną na ziemi. Ludzie z Manitoulin powiedzieli mi, że ten sosnowy bór jest wielki, mierzy pewnie z tysiąc angielskich mil. To ich las, chodzą po nim. Płyną tamtędy ich rzeki, po których suną w pirogach, bo są kupcami i zajmują się handlem od wielu pokoleń. To dobrzy ludzie, którzy nie zapomnieli tradycji. Obiecaj mi, że nigdy nie powiesz o tym sosnowym lesie żadnemu białemu, bo zlecą się jak *ples*, gołębie, i zetną wszystko w pień. Nie mów o tym nikomu! Nigdy!

Jinot nigdy o tym nikomu nie powiedział, ale biali i tak przyszli.

Kilka tygodni później Jinot, Amboise i Martel przywędrowali do Maine. Zanim dotarli do Bangoru, żeby rozejrzeć się za pracą, zatrzymali się nad zatoką Penobscot. Josime dał im za małą na siebie koszulę, którą chciał sprezentować synowcowi, synowi Francisa-Outgera, Édouardowi-Outgerowi. Chłopiec jest już pewnie dorosły.

VI

„FORTUNA JEST PRAWDZIWĄ KURWĄ”[20]

1808–1826

---

[20] John Webster, *Niewinna diablica*, tłum. Juliusz Żuławski.

42

INTARSJOWANY STÓŁ

Kapitan James Duke skończył jakiś czas temu lat pięćdziesiąt i stał się skomplikowanym, choć nadal ciemnowłosym i prawie przystojnym mężczyzną. Ze wszystkich sił przykładał się, aby ukryć przed światem wewnętrzne przekonanie o własnej bezwartościowości. W swej donkiszoterii miotał się między przesadnym użalaniem się nad sobą a surowością i autorytetem wobec załóg i samego siebie. Przyszłość jawiła mu się nieodmiennie jako seria rozczarowań.

Podczas dorocznej okazji do całodniowego pijaństwa (w dniu swych urodzin pod mroczną gwiazdą) ciągnął żałosną litanię o tym, jak to w dziesiątym roku życia rzucono go na angielski statek jako kadeta niczym „niechciane szczenię przywiązane w lesie do drzewa i porzucone na pastwę dzikich bestii". Nawet kapitański awans nie mógł go uszczęśliwić, gdyż przypadł mu w udziale tylko dlatego, że dziadek, stary Nicolaus Duke, napisał do jeszcze starszego Dreda-Peacocka z prośbą o przysługę stosownej rekomendacji. Przysługę im wyświadczono, a Nicolaus Duke i Dred-Peacock umarli niemal tydzień po tygodniu i nie można już

było na nich polegać. Ale James Duke żył dalej z przeświadczeniem, iż raz po raz jest pomijany w awansach na rzecz kandydatów z wpływowych ziemiańskich rodów lub szlachty. Żył dalej.

Spisał się całkiem nieźle podczas egzaminów, ale potem przez lata zatrzymał się na randze „patentowanego kadeta". Wojny napoleońskie wyniosły go szybko z rangi porucznika na mostek kapitański, na którym został aż do pięćdziesiątych pierwszych urodzin, kiedy to z Bostonu nadszedł list od kuzyna Freegrace'a Duke'a, który pytał go uprzejmie, czy nie zasiadłby w radzie Duke i Synowie, aby wypełnić wakat po śmierci ojca, Sedleya.

Wiadomość o śmierci ojca wstrząsnęła Jamesem. Od wielu lat nie miał od niego ani o nim żadnych wieści. Nie otrzymał żadnego listu ani kartki z życzeniami, ojciec nigdy go nie odwiedził. Uznał, że jeśli Sedley zostawił mi cokolwiek w spadku, będzie to obraźliwy złamany szyling albo wściekłe oskarżenie o spowodowanie śmierci jego pierwszej żony – matki Jamesa. Od początku wiedział, dlaczego ojciec go nienawidzi.

Mijały dni, a on rozważał pomysł zajęcia miejsca w radzie rodzinnego drzewnego przedsiębiorstwa. James niewiele dostał od Duke'ów, poza coroczną dywidendą w wysokości pięćdziesięciu funtów. Jeśli zgodzi się zasiąść w radzie, będzie musiał pójść na ustępstwa, będzie musiał znów zostać Amerykaninem. Z pewnością wniesie nieco wyrafinowania do prymitywnych bez wątpienia posiedzeń rady Duke i Synowie, co prawdopodobnie

było powodem, dla którego go zaprosili. Wyobrażał sobie te posiedzenia: poharatany dębowy stół, przy którym na sosnowych ławach zasiada pół tuzina zgarbionych prowincjonalnych drwali z metalowymi kuflami warzonego w domu piwa wzmocnionego rumem. Nie miał złudzeń co do tego, że Duke'owie są wzorami cnót moralnych.

Lecz zanim zdążył sporządzić chłodny list odmowny, nadeszło pismo z bostońskiej kancelarii prawnej, podpisane przez mecenasa Hugh Trumbulla. Był koniec grudnia, dni krótkie i mroczne, najgorsza pora angielskiego roku. Mecenas Trumbull upraszał o łaskawą wizytę Jamesa w kancelarii Trumbull & Tendrill w możliwie najkrótszym terminie, gdy tylko zdoła przepłynąć Atlantyk; ma mu do zakomunikowania coś istotnego i korzystnego; załącza polecenie wypłaty stu funtów (z rachunku Duke i Synowie) z przeznaczeniem na rejs do Bostonu. Tak rzadko słyszał o „czymkolwiek korzystnym" dla siebie, że postanowił natychmiast przyjąć propozycję Freegrace'a i przenieść się na stałe do Bostonu. „Korzyść" oznaczała niewątpliwie więcej niż jednego szylinga! Przedsięwziął odpowiednie kroki i zarezerwował rejs do Bostonu.

Pokład „Zachodniego Błogosławieństwa" roił się od niemieckich imigrantów, płynących do Pensylwanii w poszukiwaniu utopii. Ludzie ci kłócili się nieustannie o szczegóły czekającego na nich raju na ziemi. Nie chcąc mieć z nimi do czynienia, James Duke

spędzał dnie w swojej kabinie i wychodził tylko po to, żeby zaczerpnąć haust mroźnego powietrza lub zjeść obiad i wypić szklaneczkę z kapitanem Euclidem Gunnem, który był starszy od niego, ale równy mu rangą. Przy pieczonym kurczaku plotkowali o wspólnych znajomych z marynarki. Potem, gdy w karafce ubywało płynu, wspominali emerytowanych lub uziemionych znajomych.

– Kapitan Richard Moore, jeden z najbardziej uzdolnionych żeglarzy, jakich znam, został zmuszony do otwarcia straganu ze śledziami w Bristolu! Ma pan szczęście, kapitanie Duke, że wywodzi się pan z majętnej rodziny. Niektórzy z nas po zejściu z mostka wiodą smętne życie na lądzie, handlując rybami albo powożąc furami. Ja osobiście nie spodziewam się żadnej posażnej synekury, ale mam nadzieję, że pierwej spotkam się z Davy Jonesem, zanim przyjdzie mi pchać taczkę z małżami.

– Jestem wstrząśnięty, słysząc, że Dicka Moore'a spotkał taki los! Ale jestem pewny, kapitanie Gunn, że czeka pana lepsza przyszłość niż handlowanie małżami. Cieszy się pan zasłużoną sławą stolarza, wytwarzającego piękne mebelki.

– Robię to tylko dla rozrywki, sam pan wie, kapitanie, i nigdy się z tego nie utrzymywałem.

– Może warto spróbować, wszyscy podziwiają pańskie stoliczki, jak ten… – Wskazał palcem wytwór rąk kapitana: hebanowy stoliczek intarsjowany kłem morsa wizerunkiem okrętu płynącego pod pełnymi żaglami. – Każda żeglarska rodzina byłaby uszczęśliwiona, posiadając tak elegancki mebelek.

– Więc musi pan zabrać ze sobą ten stolik, gdy będzie pan schodził z pokładu! Sporządzę następny, a pan zachowa wspomnienie po latach spędzonych ma morzu oraz, mam nadzieję, tego rejsu. Nalegam! Spójrz pan, kapitanie, jest tu tajna szufladka, w której możesz pan trzymać listy miłosne, he, he, he…

Raz w tygodniu przy kapitańskim stole zasiadali inni wybrani pasażerowie żaglowca, a raz znalazła się wśród nich nawet kobieta, pani Posey Brandon, ciemnowłosa dama o imponującej, przewyższającej panów przy stole sylwetce. Wszelako niewiasta owa milczała przez niemal cały posiłek, o ile nie zwracano się do niej bezpośrednio. Płynęła do domu po długiej wizycie u krewnych, wracała do męża Winthropa Brandona, prezbiteriańskiego pastora, który zasłynął księgą z naukami moralnymi. Inny pasażer, Thomas Gort, poświęcał wiele uwagi pani Brandon. James doskonale rozumiał, dlaczego Gort jej nadskakuje: pani Brandon miała wielkie, ciemne jak onyks oczy okolone gęstymi rzęsami. Ale Gort przesadzał. Gdy pani Brandon wspomniała przelotnie, że odwiedziła wystawę Madame Tussaud w Lyceum Theatre, przedstawiającą woskowe kurioza najgorszych zbrodni i zbrodniarzy, Gort błagał ją o szczegóły. Pani Brandon odrzekła powściągliwie, iż odwracała wzrok przed większością eksponatów.

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób przedstawicielka słabszej płci, nawet Niemka czy Francuzka, jest w stanie żywić

wyobraźnię tak nieprzyjemnymi widokami – oznajmiła, krojąc nożem mięso. – Jak słyszałam, Madame Tussaud zdobyła doświadczenie w swej profesji, wykonując woskowe kwiaty do wieńców pogrzebowych. – Po tym komunikacie pani Brandon zamilkła.

Wolno mijały dni z rozkołysanym horyzontem. Zbliżając się do kontynentu, dostrzegli dziesiątki innych żaglowców – drewnianych lewiatanów z olinowaniem przypominającym instrumenty muzyczne, lśniących od morskiej soli. Port w Bostonie był tak zatłoczony, że musieli zakotwiczyć z dala od brzegu, na który płynęło się łodzią przez dwadzieścia minut.

James znalazł swój brązowy wysłużony kufer na pokładzie. Pośród skrzynek i tobołków przeznaczonych do wyładunku nie zauważył intarsjowanego stoliczka podarowanego mu przez kapitana Gunna. Odnalazł kapitana na mostku.

– Chciałem raz jeszcze podziękować panu za prezent – oznajmił.

Kapitan Gunn spojrzał na niego chłodno.

– Aha – zauważył.

– Z pewnością będę mógł się nim cieszyć w mojej nowej kwaterze, kapitanie.

– Hm.

– Czy mam sam wynieść go na pokład?

– Ha! Ty, Woodraw! – ryknął na marynarza. – Przynieś z mojej kajuty taki mały stoliczek dla tego dżentelmena. – W słowie „dżentelmen” kryła się niewątpliwie pogarda. James Duke domyślił się, że kapitan Gunn jest w istocie rzeczy prawdziwym skąpcem, a jego wspaniałomyślność była skutkiem wypitej madery.

///

Znalazł się na portowej barce wraz z dwoma tuzinami innych pasażerów – bostończyków, wnosząc po akcencie. Nie mogąc się doczekać dobicia do brzegu, zachowywali się bardzo niespokojnie, podając sobie z rąk do rąk jakieś tobołki. Jakaś korpulentna niewiasta wstała z miejsca, żeby odebrać nieduży kuferek. Zachwiała się pod jego ciężarem, zakołysała i nie wypuszczając kuferka z rąk, wpadła z krzykiem do lodowatych wód portu. Chwytając łapczywie powietrze, chwyciła się nadburcia, które pochyliło się pod jej ciężarem, posyłając do wody dwóch następnych pasażerów. Kapitan Duke wyciągnął rękę do przerażonego mężczyzny, barka zakołysała się groźnie, nabrała bokiem wody, a w toń wpadło kolejnych dziesięciu czy dwunastu nieszczęśników. Krzyczeli głośno i chwytali rozpaczliwie burty. Dysząc jak ryba (bo nie umiał pływać), James Duke młócił ramionami, chcąc się chwycić nadburcia. Już go niemal dotknął, choć prawie go nie czuł przez zimno, gdy osunął się pod wodę pod

ciężarem otyłej kobiety, która złapała go w pasie. Wyrwał się z jej objęć i w atawistycznym odruchu popłynął do góry po haust zbawiennego powietrza. Ktoś chwycił go mocno za włosy i przyciągnął do burty barki. Ktoś trzymał go za kołnierz i ciągnął uparcie do góry. Przesunął się całym ciałem przez nadburcie i grzmotnął o pokład, po czym uniósł wzrok ku swemu wybawcy… a raczej wybawczyni, bo ujrzał nad sobą czarny czepek, z którego wyzierały intensywnie czarne, roziskrzone oczy pani Brandon, która wykazała się siłą dwóch mężczyzn.

Podziękował jej wylewnie i obiecał odwiedzić wybawczynię przy pierwszej stosownej okazji. W taki sposób pierwszego dnia lutego James Duke wrócił do ojczyzny.

Umierając z zimna i ociekając wodą, znalazł fiakra, który zgodził się zawieźć go do Pine Tree Inn. Czekając na swój kufer, stanął przed kominkiem i pił wrzącą herbatę. W końcu wniesiono kufer do pokoju, a on, drżąc nieustannie, przebrał się w najcieplejsze rzeczy: wełna, wełna, wełna, dobra angielska wełna.

W Bostonie panowało przeraźliwe zimno, codziennie przez tydzień padał śnieg o grubości cala lub dwóch, aż wszystko – dachy i powozy – pokryła tłumiąca głosy warstwa. A śnieg padał dalej. Trzeciego dnia po przyjeździe, cierpiąc na straszliwy ból głowy, James Duke powędrował wreszcie do kancelarii Trumbull & Tendrill, ślizgając się na oblodzonym bruku.

Aplikant, który go wpuścił i odebrał odeń cylinder, obrzucił go dwoma szybkimi zaskoczonymi spojrzeniami, po czym znów przybrał zwykłą obojętną minę i spoglądał jak ktoś, kto traktuje klientów jak krzesła lub suszki do piór. Podobnie rzecz się miała z mecenasem Hugh Trumbullem, który najpierw otworzył, a potem zamknął usta. Na jego pobrużdżonej twarzy pojawił się nagle uśmiech. Pewnie jest Anglikiem, pomyślał James, przyglądając się modnemu krojowi dwurzędowego surduta z dużymi klapami. Roześmiany na powitanie Trumbull usadził Jamesa na krześle przed trzaskającym kominkiem. Aplikant przyniósł szklanki gorącego grogu.

– Przyznam, że jestem zaskoczony. To zadziwiające, jak bardzo jest pan podobny do świętej pamięci ojca. – Trumbull wypił pół szklanki rumu i wskazał ręką za okno, gdzie zacinający śnieg przesłaniał ulicę i budynek po drugiej stronie. – Nie uwierzy pan, ale z tego okna zabijałem jelenie – pochwalił się. – Oczywiście wiele lat temu, bo teraz jeleń to rzadkość. Ale przejdźmy do rzeczy, drogi panie. – Przez następną godzinę objaśniał zawiłości ostatniej woli Sedleya Duke'a.

James Duke wrócił do Pine Tree w konfuzji i uniesieniu, czując w kieszeni ciężar kluczy. Mówiąc krótko, Sedley Duke pożałował pod koniec życia nienawiści, którą obdarzał pierworodnego, i zapisał Jamesowi połowę swojego dużego majątku wraz z domem na północ od Tremont Street, otoczonym sześcioma akrami ogrodu i

sadu owocowego, a oprócz tego dwadzieścia akrów łąk, stajnię na dwanaście koni, dwa powozy, sześć par koni, blisko dwa miliony akrów lasów w Maine (odziedziczonych przez Sedleya po starym wspólniku Duke'ów Forgeronie), kolekcję indiańskich pamiątek, wypchanego krokodyla, osiem srebrnych pater, dwadzieścia cztery cynowe talerze, nóż z szylkretowym trzonkiem, bibliotekę obejmującą osiemdziesiąt cztery woluminy, dwie beczułki portugalskiego *vinho*, osiem beczułek rumu, dwie kamizelki wyhaftowane bukolicznymi scenami, pięć tureckich dywanów, sześć składów drewna, dwadzieścia siedem akrów słonych błot, udziały w kilku statkach, manufaktury potażu, manufakturę gontu, lasy w Ohio, rachunki bankowe i akcje. Było tego więcej, niż zdołał zapamiętać.

Trumbull z lubością odczytywał warunki ostatniej woli:

– Służba zostanie w domu z nadzieją, że ją pan zatrzymasz, kapitanie. Być może pamięta pan, że ojciec pański nazwał posiadłość „Czarny Łabędź" i zagnieździł te ptaki na stawie. Przed ponad czterdziestu laty rósł tam pierwotny ponury las, a obecnie wznoszą się eleganckie rezydencje. Doradzałbym zatrzymanie służby, która zna się na osobliwościach i zaletach tego miejsca i ułatwi panu przeprowadzkę do Bostonu.

James siedział z szeroko otwartymi ustami, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał.

– Pani Trumbull i ja mamy nadzieję, że uczyni nam pan ten zaszczyt i zje z nami obiad, powiedzmy, za tydzień? Zaprosimy

również pańskich kuzynów i chcielibyśmy przedstawić was sobie z dala od biur.

– Owszem, proszę pana – odrzekł James. – Owszem.

Piekielnie bolała go głowa, paliło go w gardle, więc położył się na cztery dni do łóżka w Pine Tree i leżał w nim oszołomiony, majacząc o rozkoszach życia, które ma przed sobą. Przeniesie się do nowego domu, gdy tylko wydobrzeje, a następnie złoży wizytę państwu Brandonom i podziękuje pani Brandon za ocalenie życia stosownym prezentem. Wstydził się co prawda, że z kipieli wyciągnęła go kobieta. To on powinien ratować ją! Zastanawiał się również, czy poczekać do obiadu u Trumbullów czy natychmiast złożyć wizytę kuzynowi Freegrace'owi Duke'owi, który bez wątpienia musiał wiedzieć o niespodziewanym spadku odziedziczonym przez Jamesa? Z pewnością będzie chciał wyszarpać z niego, co tylko się da dla siebie i pozostałych Duke'ów albo przynajmniej do przepastnego skarbca przedsiębiorstwa, bo ci drwale z puszczy z pewnością doprowadzili firmę na skraj ruiny. Być może Sedley Duke był jedyną białą owcą w tym czarnym stadzie?

///

Skierował fiakra do domu ojca – obecnie jego własności. Podjechali łagodnie skręcającym podjazdem do rezydencji z czerwonej cegły z

czarnymi polakierowanymi drzwiami pomiędzy frontowymi oknami. Naliczył aż osiem dymiących kominów. Drzwi otworzyła przed nim siwowłosa niewiasta w szarym fartuchu z półsukna i otworzyła szeroko oczy, przyglądając się jego twarzy. Dygnęła przed nim i oznajmiła z miłym dla uszu angielskim akcentem, że nazywa się pani Tubjoy.

– Gospodyni pana Sedleya, proszę pana. Obecnie do pańskich usług. Wszyscy serdecznie pana witamy.

Gdy znalazł się w wejściowym holu, poczuł nagle, że wraca do lat dziecinnych, jakby ktoś pchnął gwałtownie do tyłu huśtawkę jego życia. Znał każdy cal tego domu. Kręcone mahoniowe schody wiodły w półmrok korytarza na piętrze, lśniły pręty przytrzymujące dywan, tuż obok straszliwy wieszak, mierzący chyba dziesięć stóp i bardzo apodyktyczny. Ten mebel z zżółkłym lustrem, haczykami na kapelusze i wieszakami na okrycia strzegł ceremonialnie domu. Każdego dnia, gdy Sedley wracał z pracy, wsuwał parasol w gięty stojak, wieszał cylinder na haczyku, palto na wieszaku i pozbywszy się w ten sposób miejskiego sztafażu, mógł wejść do świata „domu”. Szedł do biblioteki, gdzie pił whiskey do czasu, aż pokojówka zadzwoniła na obiad. Mały James i Sedley siedzieli naprzeciw siebie na końcach mierzącego szesnaście stóp stołu i nigdy nie zamienili ze sobą ani słowa. Otrząsnął się z tych wspomnień.

W holu za panią Tubjoy stało z pół tuzina służących. Usiłował na próżno zapamiętać ich imiona: uśmiechnięty gołowąs Tom,

kucharka Louisa. Dwaj mężczyźni wnieśli do holu jego kufer i stoliczek kapitana Gunna. Pani Tubjoy przerwała ciszę:

– Jestem pewna, że zechce pan obejrzeć dom i po przekąsce odpocząć do obiadu? Proszę za mną, jeśli łaska.

Otwierając ciężkie mahoniowe drzwi, zapytała:

– Czy zechce pan zająć pokój pańskiego świętej pamięci ojca, panie James?

Pokój był duży, miał duże okna, z których rozciągał się widok na wielkie stare dęby.

– Proszę mi wybaczyć poufałość, panie James, ale jest pan bardzo podobny do mojego świętej pamięci pracodawcy.

– Owszem, pan Trumbull wspomniał mi o tym. Ale cóż mam na to poradzić? Nie widziałem zmarłego pana Duke'a, mojego ojca, od czasów dzieciństwa. Więc nie mogę wyrokować o podobieństwie.

Monstrualnie wielkie łóżko również wykonano z mahoniu, wieńczył je zielony baldachim z frędzlami, a słupki wyrzeźbiono w delfiny i syreny. Wyczuł słaby zapach cygar, wełny, pasty do polerowania i koni. Gdy pochylił się nad łóżkiem, żeby spojrzeć na monogram na poszewce poduszki, uderzył go w nozdrza inny zapach, jakby zjełczały, nieprzyjemny, unoszący się znad materaca.

Widząc, jak się krzywi, pani Tubjoy oznajmiła:

– Te sprężynowe materace z włosia należy zmieniać co kilka lat.

– Dziękuję, że zwróciła pani na to uwagę, pani Tubjoy – odrzekł. – Czy moglibyśmy spalić ten stary materac i zastąpić go jak najlepszym nowym?

Na drugim piętrze weszli do pokoju, który natychmiast mu się spodobał. Pokój nie był duży, ale miał pokaźny kominek, przed którym stała para wysokich foteli wyścielanych wybladłym czerwonym brokatem. Podziwiał zgaszony przez słońce kolor i nagle przypomniał sobie o stoliczku z intarsjowanym żaglowcem, który odżałował dla niego kapitan Gunn.

– Pani Tubjoy, czy posługacz mógłby tu przynieść ten mały stoliczek, który wniesiono do holu?

– Oczywiście. Dopilnuję tego – odpowiedziała i wysunęła się z pokoju, żeby zejść bez słowa po schodach – milcząca i siwowłosa.

Został sam i rozejrzał się po pokoju. Tu meble wykonano z palisandru, a nie z mahoniu, a przy łóżku stały zwykłe słupki – bez baldachimu i rzeźbionych delfinów. Podobał mu się jaskrawy orientalny dywan na podłodze. Otworzył małą komódkę – była pusta, co przypadło mu do gustu. Nad umywalką wisiało duże, nieco zmatowiałe lustro, w którym się przejrzał: widział przed sobą mężczyznę sprawiającego wrażenie silnego i stanowczego, z całą pewnością wartościowego. Z okien rozciągał się widok na dęby i lśniące pasmo morza, niewidoczne z pokoju ojca.

Usłyszał kroki na schodach. W pokoju zjawiła się pani Tubjoy, a za nią uśmiechnięty Tom, który niósł z niemałym trudem stolik,

choć ten nie był duży. Oczywiście heban jest ciężki, kość morsa również.

– Postaw go tutaj. – Wskazał chłopcu miejsce. Tom dyszał ciężko, zaciskając pobielałe palce na blacie. Postawił stolik przed kominkiem między dwoma fotelami. Nowy mebel pasował do tego pokoju. Zamieszka w nim.

43

BŁĘDNY OSĄD

Wizyta w stajni okazała się oszałamiającym doświadczeniem. Mógł wybierać między bryczką a sportowym jednokonnym kabrioletem, a Billy, pyzaty chłopiec stajenny, powiedział mu, że w powozowni są jeszcze cztery inne pojazdy, w tym zielone sanie i śliczna kareta. Dzień był słoneczny, wybrał więc kabriolet pomalowany szarą emalią ze srebrnymi okuciami. Widząc to, Billy oznajmił:

– Pan Sedley kupił siwki do tego powozu. – I zaczął zaprzęgać konia. Nadszedł woźnica, Will Thing, wpychając ręce w liberię. Był gadatliwy i usłużny, zawsze dorzucał „tak, proszę pana", jakby siejąc ziarna na spulchnionej glebie.

Gdy wyjechali na główną drogę, wskazywał Jamesowi miejsca i budynki godne zainteresowania, biura i domostwa zamożnych kupców i bankierów. Dalej powiedział, kogo pan Sedley lubił, a kogo nie, więc James poznawał ojca dzięki opowieściom stangreta.

Państwo Brandonowie mieszkali w małym domku w Williams Court, nieopodal dwóch tawern i dewocyjnej księgarni. Przed

domem nie było miejsca dla powozu, więc Will Thing oznajmił, że zaczeka na dziedzińcu gospody „Smażony Dorsz” pod drugiej stronie.

James szedł wydeptaną ścieżką prowadzącą do drzwi, trzymając w ręku owiniętą muślinem srebrną paterę dla pani Brandon, gdy nagle usłyszał nieprawdopodobne dźwięki dobiegające z domu: głośne plaśnięcia i przeraźliwy krzyk.

„Dobry Jezu, bije ją!” Stanął przed schodami, nie wiedząc, co począć: czy odejść i przyjechać innym razem, czy zapukać do drzwi i wdać się w pyskówkę z rozwścieczonym mężem? Czy nie powinien przypadkiem ocalić kobiety, która ocaliła jego? Powinien. Dlatego zapukał natarczywie. Rozległ się chrapliwy pisk. Znów zapukał. W domu zapanowała cisza. Po kilku długich minutach, gdy zbierał się do odejścia, drzwi otworzyły się i w progu stanęła pani Brandon, nieco bez tchu i z unoszącą się piersią.

– Pan Duke! Jakaż miła niespodzianka. Proszę wejść, proszę wejść.

Przyjrzał się jej uważniej, ale nie znalazł na jej ciele śladów złego traktowania, jeśli nie liczyć przyśpieszonego oddechu i kosmyka włosów w nieładzie za lewym uchem. Miała rozszerzone źrenice pięknych oczu. Poszedł za nią do nieuporządkowanego saloniku, w którym wszędzie walały się otwarte księgi, a najwięcej z nich leżało na ośmiokątnym stole. Kredens uginał się

pod cynowymi naczyniami. W salonie znajdowało się pięcioro drzwi i rząd rozświetlonych słońcem okien.

– Czy napije się pan herbaty, panie Duke?

– Z wielką ochotą – odpowiedział, kładąc podarunek na sosnowym krześle ze złamanym szczeblem.

– Opuszczę więc pana na chwilę. Nie trzymamy służby, wszystkim zajmuję się sama.

Wymaszerowała z pokoju, a James usiadł i rozejrzał się wokół. W przeszklonej biblioteczce stały zebrane traktaty wielu piszących kaznodziei. Zerknął na otwarte strony książek zaścielających ośmiokątny stół. Same kazania, a obok połowa ryzy papieru, pióro i kałamarz, co wskazywało, że pan domu, wielebny Brandon, przygotowuje materiały do kolejnych nauk umoralniających. Usłyszał jakieś szmery w oddali: trzask fajerki na piecu, stukot filiżanek, a znacznie bliżej bardzo cichy i dyskretny jęk. Podszedł do okna i wyjrzał na dwór i już miał usiąść, gdy za którymiś drzwiami rozległ się jakiś szelest. Odwrócił się. Drzwi były lekko uchylone, a w szczelinie ujrzał czerwoną i mokrą twarz mniej więcej czterdziestoletniego mężczyzny o potarganych przepoconych włosach. Mężczyzna ten mruknął coś zakrwawionymi wargami, a potem – słysząc pobrzękiwanie naczyń na tacy – uciekł.

– Oto herbata! – zawołała radośnie pani Brandon, wchodząc z tacą do pokoju. Rozejrzała się: nie miała gdzie postawić przyniesionej herbaty.

– Proszę to potrzymać przez chwilę – powiedziała, wpychając tacę w ręce Jamesa. Odebrał ją, a w głowie kłębiły mu się pytania. Pani Brandon zgarnęła silnym ramieniem wszystkie książki z ośmiokątnego stołu: spadły z trzaskiem na podłogę. Odebrała tacę od zdumionego gościa.

– Proszę. Niech pan nie zwraca uwagi na te stare książki. Służą do pracy panu Brandonowi. Mąż ma wygodny gabinet, ale woli rozkładać książki na stole w salonie. Twierdzi, że ma tutaj lepsze światło, ale moim zdaniem chce zrobić mi na złość. Przed dwoma laty poraził go piorun i od tamtej pory są z nim same kłopoty.

Wielkie czarne oczy wpatrywały się w niego tak natarczywie, że zaczął się jąkać:

– Znałem osobiście ludzi… marynarzy… innych… porażonych pio… piorunem, wielu, pojmuje pani, więc jeśli piorun ich nie zabije, nie porani wyraźnie, miesza im w głowach… często… w znacznym stopniu. Niektórzy dochodzą do siebie, inni nigdy. A jeszcze inni… – ciągnął, przywołując przypadki umysłowych zaburzeń wywołanych piorunem.

– Obawiam się, że tak właśnie się stało z panem Brandonem. Żyję w strachu, że wyrządzi sobie śmiertelną krzywdę, tak bardzo odebrało mu rozum. Ma ogromne trudności z wygłaszaniem kazań. A nocami chodzi po ulicach. – Poczęstowała go orzechowymi ciasteczkami, wziął jedno. Dodała zbolałym głosem: – Te włoskie orzechy zbierałam zeszłej jesieni z moim ojcem.

Rozłupałam ich setki na zimę. Gdyby pan Brandon więcej zarabiał, mielibyśmy pieniądze, żeby zatrudnić ogrodnika i pomoc kuchenną do zbierania orzechów. Ciułanie pieniędzy bywa bardzo męczące. Nie wychowano mnie do takiego życia. Odwiedzając siostrę mej matki w Anglii, nie musiałam sobie niczego odmawiać. Jej mąż jest kupcem sukiennym, a w ich wiejskim domu wszystko jest w najlepszym gatunku. Mają też dom w mieście, w Londynie, szkoda, że go pan nie widział! Prawdziwy skarb! – Znów to mroczne spojrzenie.

– Pan… Parson… Wielebny… Brandon nie czuje się dobrze? Nie może nam towarzyszyć?

– Niezbyt dobrze. Ma niewielką trzódkę parafian, za którą czuje się odpowiedzialny. A poza tym zachowuje się niekiedy w sposób nieprzewidywalny, więc wolę nie ryzykować przedstawiania go dobrze urodzonym gościom. Gdy bawiłam w Anglii, zajmowała się nim sąsiadka.

Postanowił chwycić byka za rogi.

– Gdy zaparzała pani herbatę, odniosłem wrażenie, że widziałem, jak przypuszczam, pana Brandona. Był łaskaw siknąć… chciałem powiedzieć zniknąć za tamtymi drzwiami – wyjąkał i wielce zawstydzony wskazał za siebie palcem. – Wydał mi się nieco… zdezorientowany. – W gruncie rzeczy pan Brandon wyglądał jak urżnięty w sztok.

– Bez wątpienia – odpowiedziała pani Brandon. – Zawsze jest zdezorientowany. Lepiej nie zwracać uwagi na jego szaleństwa,

gdy dostaje ataku.

Cóż miał na to odpowiedzieć? Pani Brandon opuściła wzrok. Zapadła długa cisza. Wyczuł, że nasłuchuje odgłosów z tyłu domu. Przyglądał się jej twarzy, usiłując przełamać czar jej spojrzenia wynajdywaniem drobnych skaz jej urody: na przykład zbyt długiego nosa czy zbyt wąskich i szerokich ust.

Nie znajdując innych tematów do rozmowy – po tak dramatycznym ujawnieniu przypadłości męża gospodyni trudno byłoby rozmawiać z nią o pogodzie – James Duke, nagle elokwentny, zaczął jej zdradzać szczegóły wielkiego szczęścia, jakie go spotkało, opowiadać jej o zdumieniu i radości z otrzymania dużego spadku po dawno zapomnianym ojcu.

– Widzi pani – tłumaczył – odesłano mnie z domu, gdy byłem chłopcem. Miałem zostać oficerem marynarki i przez te wszystkie lata nie utrzymywałem z ojcem żadnych stosunków, nawet korespondencyjnych. Matka umarła przy moich narodzinach i ojciec zawsze mnie za to winił. Mimo to przetrwałem, a obecnie znalazłem się w bardzo fortunnym położeniu.

Pani Brandon skupiła na nim całą swoją uwagę i powiedziała:

– To zaiste szczęśliwe zakończenie! Wszyscy marzymy o tym, że jakiś bogaty krewny obsypie nas złotem i posiadłościami, ale pan jest pierwszym znanym mi człowiekiem, który doświadczył takiego obrotu spraw. I cóż pan chce teraz robić? Żyć dalej szczęśliwie? Czy pańska żona ekscytuje się wraz z panem?

– Rozpocznę pracę w rodzinnym przedsiębiorstwie Duke i Synowie, choć nie wiem jeszcze, z jakimi prerogatywami. A odpowiadając na pani drugie pytanie: nie mam żony. Zawsze byłem sam.

– Doprawdy? – zawołała pani Brandon. – Czy powiedział pan Duke i Synowie? To ta wielka firma drzewna? – Jej oczy przypominały leśne stawy.

– Owszem. To nasz rodzinny interes, do którego dołączę. Poproszono mnie o zajęcie miejsca w radzie, na fotelu wakującym po śmierci ojca. Ale mówiąc szczerze, trochę się tego obawiam, bo nie znam się za bardzo na handlu drewnem.

– Mój drogi panie Duke! Być może zdołam panu pomóc. Jestem córką Phineasa Breeleya z Breeley Lumber Contractors w Nowym Brunszwiku. Tata prowadził rozlegle interesy w Maine. Jako dziewczyna pomagałam ojcu w pracach biurowych. Znam się na tej gałęzi przedsiębiorczości i podzielę się z panem wszystkim, co wiem. A potem znajdziemy panu żonę.

Po tygodniu James złożył drugą wizytę u państwa Brandonów. Pani Brandon otworzyła mu drzwi.

Pan Brandon nie wyszedł mu na spotkanie.

– Bawi u siebie z powodu ataku – oznajmiła pani Brandon, która, jak sobie przypomniał, miała na imię Posey. Uśmiechała się, gdy mówił, wpatrywała się w jego usta, pytała o jego kuzynów i interesy Duke'ów, zapytała go o opinię na temat wyboru między

granatowym szalem a różowym kaszmirowym, a potem podeszła do narożnej szafki i wyjęła z niej stertę pedantycznie zapisanych, spiętych razem kartek, opisujących strukturę i przedsięwzięcia firmy drzewnej ojca: jego pracę jako mierniczego lasów, najtańsze rodzaje obozowisk drwali, miejsca, w których można znaleźć najlepszych leśników (ludzi znad Penobscot mieszkających w Bangorze). Uznał, że nigdy nie spotkał tak inteligentnej i wszechstronnej kobiety, o czym nie omieszkał jej powiedzieć. W skrytości ducha uznawał, że piękne były nie tylko jej oczy, że miała wdzięk łabędzia i głos turkawki. Mrugając prześlicznymi rzęsami i płoniąc się od biustu po uszy, zaprosiła go w odwiedziny w następnym tygodniu, gdy przetrawi jej zapiski o działalności firmy. Odpowie na wszystkie jego pytania, a nawet go przeegzaminuje, jeśli będzie sobie tego życzył. Wcześniej jednak przypadał obiad u Trumbulli – o siódmej następnego dnia. W końcu pozna kuzynów Duke'ów.

///

Panował siarczysty mróz, a wieczorem zawiało śniegiem. Czy wiosna nigdy nie nadejdzie? Przyjechał do Trumbulla minutę przed siódmą i ujrzał w ciemności wysoki budynek z cegły. Drzwi otworzył mu czarny mężczyzna z czarnej liberii. W tej samej chwili przed domem stanął powóz, który przywiózł kuzynów z żonami. Przedstawili się sobie i przywitali w holu, a pan

Trumbull zaprosił ich do salonu, gdzie na kominku trzaskały bierwiona i było ciepło. Obok kominka z kieliszkiem w ręku stał łysy olbrzym we wspaniałej wyhaftowanej na francuską modłę kamizelce. Był to wspólnik Trumbulla z kancelarii, Josiah Tendrill. Ścisnął mocno dłoń Jamesa i odezwał się, wydychając opary brandy:

– Bardzo podobny, w rzeczy samej bardzo podobny.

Kuzyn Freegrace Duke okazał się pękatym niskim mężczyzną, oddychającym chrapliwie i astmatycznie. Jego brat, Edward, był duży i krępy jak jego ojciec George Pickering Duke. Żaden z nich nie wyglądał na prowincjonalnego drwala z wyobrażeń Jamesa. Żona Freegrace'a, Lenore'a, była bladą pięknością o przydymionych oczach i płowym koku – zwracałaby uwagę w każdym towarzystwie. James był zdumiony. Jakim cudem ten gruby mały człowieczek zdobył tak piękną kobietę? Żona Edwarda, Lydia, miała bardziej pospolitą urodę, kasztanowe warkocze splecione wokół głowy i nawyk odchrząkiwania przed każdą wypowiedzią.

Wszyscy przypatrywali się Jamesowi. Pierwszy odezwał się Freegrace:

– Wybacz moją wścibskość, ale jesteś niezwykle podobny do Sedleya. Mam wrażenie, że Sedley opuścił nas przed sześcioma miesiącami, pił nektar z fontanny młodości i dziś do nas wrócił!

Jamesowi nie podobały się ciągłe nawiązania do ojca, który nadał mu swój kształt, choć kryło się w tym zapewne wiele

prawdy. Pokojówka przyniosła grog dla panów i sherry dla pań. Rozmawiali o zaskakująco mroźnej pogodzie jak na tę porę roku.

– To doprawdy niezwykłe jak długo trwa ta zima – oznajmiła pani Trumbull.

– Ach, Jamesie – zwróciła się do niego Lenore'a – zahartujesz się w Bostonie. Masz już daleko za sobą łagodny klimat angielski. Tutaj musimy chodzić w futrach, żeby przeżyć. Wyjście na dwór zimą czy wiosną to zaiste niebezpieczne przedsięwzięcie.

Josiah Tendrill wspominał straszliwą burzę śnieżną, którą pamiętał z dzieciństwa.

– Śnieg padał przez pięć dni, a kiedy przestał, zaspy sięgały okapów dwupiętrowych budynków. Przez trzy dni odkopywało nas piętnastu mężczyzn.

Obiad trwał długo, lecz przy posiłku nikt nie wspomniał ani słowem o interesach Duke i Synowie.

W końcu podano angielski pudding z płonącą na środku na niebiesko brandy, a gdy nic z niego nie zostało, panie przeniosły się do saloniku pani Trumbull, a mężczyźni do biblioteki na cygaro i kieliszek importowanego koniaku.

– Powiedzcie mi, proszę, o reszcie rodziny – zaczął James. – Pamiętam, że miałem wielu kuzynów. Czy nie pracują dla rodzinnej firmy?

Edward westchnął ciężko.

– Czas nie był łaskaw dla naszej rodziny. Straciliśmy niemal całe pokolenie. Twój stryj Piet podczas pobytu w Wirginii zaraził

się cholerą. To wydarzyło się pewnego gorącego lata… bardzo dawno temu. Nie przeżył ataku choroby. I tam w Wirginii go pochowano. Stryjna Patience Deckbolt cierpiała z powodu psychicznego wyczerpania i odeszła we śnie. Jej trzy córki nadal mieszkają z mężami i rodzinami w mieście i wkrótce poznasz ich wszystkich. Żaden z mężów kuzynek… cóż, powstrzymam się przed opisywaniem mężów. Wnuk Patience, Cyrus, to inteligentny młody człowiek i jest nadzieją dla firmy. Zatrudniliśmy go. Z czasem zacznie się wspinać po drabinie kariery. Poznasz go na zgromadzeniu w czerwcu. Twoje przyrodnie rodzeństwo, dzieci z drugiego małżeństwa Sedleya, wyjechało do Filadelfii. Maury, najstarszy i jedyny poza tobą syn Sedleya, a zatem twój przyrodni brat, pracuje w banku i bardzo żałuję, że nie został w Bostonie, bo to zdrowa gałąź z naszego drzewa.

– Czy powinienem znać kogoś jeszcze, poza nimi?

– Twój prastryj, stary Outger Duquet, wrócił do Amsterdamu i Lejdy, gdzie dożył ponad stu lat. Do końca pobierał dywidendy z firmy. Ale już nie żyje. Jego córka, półkrwi Indianka, mieszkała w domu Outgera nad zatoką Penobscot, żyjąc w jawnym konkubinacie z Indianinem. Spłodzili całe plemię indiańskich bachorów. Ale nie znamy ich. Wspomniałem Cyrusa Hempsteada, ale jest jeszcze Lennart Vogel, jedyny syn naszej praciotki Doortje Duquet. Widzisz więc, że odbudowa naszej fortuny i widoków zależy w dużej mierze od ciebie.

Mijały tygodnie i James często odwiedzał panią Brandon. Zostali prawdziwymi przyjaciółmi. Trudno byłoby udawać, że odwiedza oboje małżonków. Pan Brandon zawsze cierpiał z powodu napadów, a James nigdy go nie widywał, jeśli nie liczyć spojrzenia tych szalonych oczu podczas pierwszej wizyty.

Przeczytał uważnie notatki pani Brandon, dotyczące firmy drzewnej jej ojca.

– Ciągle niewiele rozumiem – oznajmił jednego razu. – Słyszę, na przykład, że w Maine rosną najlepsze sosny, ale nic nie wiem o Maine.

– Cóż w tym trudnego? Maine nie jest jeszcze stanem, ale wkrótce z pewnością nim zostanie. To duże zalesione terytorium, szczególnie cenne są tamtejsze sosny wejmutki. W Maine są tysiące jezior i stawów, które wyglądają jak dziury w drożdżowym cieście, a oprócz tego wielkie rzeki, z których każda ma setki dopływów. Znam nazwy niektórych z nich, a następnym razem zadbam o mapę ukazującą najlepsze szlaki wodne: Androscoggin, Kennebec, St. George, St. John i Allagash oraz największą rzekę Penobscot. Wszystkie te rzeki zasilane są niezliczonymi strumieniami, ale drewno można spławiać na nich tylko za pomocą tam podczas wiosennych wylewów. – Gdy wpatrywała się w niego z taką uwagą, trudno mu było myśleć i zadawać sensowne pytania.

Któregoś popołudnia wszedł do dobrze już znanego salonu i zastał panią Brandon pochyloną nad stosem rachunków. Na jej twarzy nieobeschły jeszcze łzy, otarła je, rzuciła pióro i pobiegła do kuchni, żeby zaparzyć herbatę. Zerknął na rachunki. Dobry Boże, z czego ona żyła? Brandonowie w ogóle nie mieli pieniędzy. Czy to właściwe, żeby tak inteligentna i przystojna niewiasta musiała sama parzyć herbatę w jakiejś zapyziałej kuchni na tyłach? Nigdy nie oglądał wnętrza tego domu, ale teraz ruszył do kuchni. Pomoże jej. Cholera, musi jej pomóc!

Wpychała rozpałkę do pieca. W kuchni cuchnęło zapchanymi rurami i wilgotnym steatytowym zlewem, popiołem i mokrą ścierką. Odwróciła się, marszcząc groźnie brwi na odgłos kroków, ale mars ten na widok Jamesa przemienił się we łzawy uśmiech i dołeczki na twarzy.

– Ach, myślałam…

Wiedział, co myślała. Myślała, że to skłonny do napadów pan Brandon skrada się do niej, być może wstrząsany drgawkami i konwulsjami, zasikany w brudnych pantalonach.

– Moja droga – oznajmił, ujmując jej dłoń – nie pozwolę, abyś znosiła to choćby jeden dzień dłużej. Najmę kobietę, która tu przyjdzie i zajmie się domem. Zapomnijmy o herbacie, chodźmy do salonu omówić to, co należy zrobić.

Miał zamiar spłacić te zaległe rachunki, miał zamiar zamknąć pana Brandona w domu wariatów, miał zamiar zrobić o wiele

więcej. Ma pieniądze i dobrze je wykorzysta. Stać go na to, żeby dostać to, czego pragnie, a pragnął Posey Brandon.

Wyznała, że zastawiła srebrną paterę, którą jej podarował, żeby spłacić część rachunków i kupić jedzenie. Był bardzo wstrząśnięty i bardzo zadowolony, że zdoła wszystko naprawić. Gdy wychodził stamtąd po dwóch godzinach, wprowadził już zmiany.

– Proszę wejść, panie Duke – przywitała go pani Deere, nowa kucharka i służąca, która otworzyła mu drzwi. Stół w salonie lśnił wywoskowany, a na parapecie stał wazon z wierzbowymi baziami. Z kuchni płynął przyjemny zapach.

– To rabarbarowy placek – pochwaliła się pani Deere. – Z pierwszego w tym roku rabarbaru.

A ponieważ miał już do tego prawo, zaszedł do owego pachnącego miejsca, w którym pani Deere dokonywała cudów. W kuchni lśnił nowy piec, a steatytowy zlew już nie śmierdział.

– Doskonale, pani Deere. Czy były jakieś problemy z… panem Brandonem?

– Nie, proszę pana. Dałam mu chleba z masłem i gorącym mlekiem, które, jak mówi doktor Hudson, jest najlepsze dla obłąkanych. Pani Brandon wszystko mu zaniosła i przyniosła z powrotem naczynia. – Podeszła bliżej i szepnęła: – Ale muszę zamykać spiżarnię, bo szuka mięsa.

– Mam nadzieję, że wkrótce uporamy się z tym problemem. Tego ranka osobiście rozmawiałem z doktorem Hudsonem. Czy byłaby pani łaskawa podać herbatę do salonu, gdzie chcę omówić diagnozę doktora z panią Brandon?

– I szarlotkę? Trochę czerstwa… – powiedziała, wskazując brodą. – Więc może placek z rabarbarem?

– I szarlotkę – dodał, gdyż rabarbar bywał kwaśny.

– Moja droga – zwrócił się do Posey Brandon, machając dłonią nad parującą szarlotką. – Rozmawiałem dziś rano z doktorem Hudsonem przez dłuższą chwilę. Przedstawił dwie propozycje. Nie wyklucza, że nadejdzie taki dzień, gdy pan Brandon odzyska rozum. Uważa, że dobrze zrobiłoby mu świeże powietrze, spacery i wysiłek fizyczny. W tym celu najlepiej byłoby umieścić pana Brandona na wsi pod opieką jakiejś rodziny. Taka rodzina zajmie się nim za odpowiednią opłatą, zadba o jego czystość i zapewni mu świeże powietrze. Doktor zna taką rodzinę na farmie pięć mil od miasta. Głową tej rodziny jest Jeremiah Taunton, człek bardzo zrównoważony. Jego żoną jest dobroduszna niewiasta, bardzo miła i spokojna. Mają dwoje czy troje dzieci. Przyjmą pana Brandona z otwartymi ramionami i zapewnią mu wszelkie wygody. Czy podoba ci się takie rozwiązanie?

– Och, tak, tak. Ale wspomniałeś, że doktor Hudson miał dwie propozycje.

– Owszem. Miał. Poinformował mnie, że gdyby pan Brandon nie odnalazł się pod opieką farmerów lub zaczął sprawiać im kłopot swymi szaleństwami, istnieje możliwość umieszczenia go w Williamsburgu w Wirginii w Domu dla Obłąkanych i Niespełna Rozumu, jedynej w swoim rodzaju instytucji, która powinna powstać również w Bostonie. Tutaj szaleńcy i upośledzeni wędrują po gościńcach, a w Williamsburgu trzyma się ich w odosobnieniu i leczy. Tamtejszy personel robi to różnymi metodami, począwszy od zimnych kąpieli poprzez podawanie lekarstw, upuszczanie krwi i kompresy. A także ćwiczenia fizyczne.

– Brzmi doskonale. Ale spróbujmy najpierw wysłać go na wieś. Zaopatrzymy go w pobożne księgi, może wróci do czytania i pisania. To wiele dla niego znaczyło przed tym nieszczęsnym porażeniem.

– Zapytam o to doktora Hudsona. Wspominał co prawda o „odpoczynku i ciszy", ale może zgodzi się na księgi. Szarlotka jest doskonała, czyż nie? Jesteś zadowolona z pani Deere?

– Ze wszech miar. A także z pani Blitter, która jest przyzwoitą gospodynią. Jesteś dla mnie nad wyraz dobry, za co jestem ci wdzięczna. – Obdarzyła go wymownym spojrzeniem wielkich ciemnych oczu.

Gdy odwiedził ją następnego dnia, przyniósł niedobrą wiadomość: książki są niezalecane. Mogą wywoływać umysłową gorączkę nawet u tych, których nie poraził piorun. Doktor osobiście zawiezie pana Brandona na farmę w najbliższy

poniedziałek. W kieszeni na piersi Jamesa zaszeleścił rachunek wystawiony przez doktora Hudsona. Niewielka cena za pozbycie się tego pożałowania godnego pastora.

44

PAMIĄTKA

Wiosna nadeszła wreszcie na początku czerwca w szybkim natłoku ciepłych dni; rynsztokami ściekały resztki śniegu, ludzie uśmiechali się i chodzili tak, jakby dostali nowe pary nóg. Między gałęziami drzew fruwały ptaki, a zapach ziemi oszałamiał zmysły. Posey Brandon otworzyła okna odnowionego i świeżo umeblowanego domu przed przybyciem Jamesa Duke'a na popołudniową herbatę. Ale James się spóźniał. Podeszła do okna po raz setny i wyjrzała na ulicę, mając nadzieję ujrzeć toczący się kabriolet. Na stole leżała maleńka paczuszka owinięta niebieskim papierem z mikroskopijną etykietką z napisem: „Podarunek dla Jamesa Duke'a". Czy nie uzna tego za niestosowność? Z pewnością natychmiast odejdzie, zostawiając podarunek na stole. Zabierze panią Deere i panią Blitter. Znów będą się piętrzyć niezapłacone rachunki.

Dlaczego nie przyjeżdża? Czy jej dobroczyńca mógł się rozchorować, czy miał wypadek? Z pewnością przysłałby posłańca, gdyby wszystko toczyło się zwyczajnie. Czy mógł się jakoś dowiedzieć… o tym… podarunku? Przemierzała salon. Słoneczne

barwy zaczęły się pogłębiać, zawiało późnopopołudniowym chłodem. Zamknęła okno i przywołała panią Blitter.

– Martwię się spóźnieniem pana Duke'a. I robi się chłodno. Chyba trzeba tu trochę napalić. Jeśli pan Duke się nie pojawi, będę musiała wysłać posłańca, żeby się dowiedzieć, co zaszło.

– Możemy wysłać chłopca pani Deere. Ten nicpoń wciąż siedzi w kuchni, kręci się tu przez cały dzień, wynosząc starą mąkę i beczułki z melasą. – W jej głosie kryła się przygana.

– Tak, poślijmy go. Zaczekaj, napiszę krótki liścik.

Lecz zanim w kominku zapłonął ogień, chłopiec pani Deere wrócił.

– Był na rogu. Oddałem mu pani liścik, ale już staje przy drzwiach. Słyszy pani końskie kopyta?

– Wybacz mi to spóźnienie, moja droga – powitał ją James Duke. – Ale tuż przed moim wyjściem z domu złożył mi niezapowiedzianą wizytę doktor Hudson. Żeby nie przedłużać: poinformował mnie, że pan Brandon zapadł na jakąś chorobę niezwiązaną z obłędem. Kaszle nieustannie i nie może utrzymać pożywienia. Wychudł i osłabł. Aby oszczędzić żonie farmera dodatkowej pracy, nająłem do pomocy pielęgniarkę, gdyż pan Brandon jest przykuty do łóżka w swej izbie i nie może się podnieść. Doktor Hudson zalecił dwa świeże jajka dziennie, ubite z ciepłym mlekiem z dodatkiem łyżeczki rumu. Twierdzi, że może

wydobrzeć wraz z nadejściem cieplejszych dni albo nie wydobrzeje. Możemy tylko czekać.

Poczuła ogromną ulgę. Chwalebne odejście pana Brandona było jej najskrytszym marzeniem. Ale wydarzenie to zmieniło całe popołudnie. Siedzieli milczący i zamyśleni, zastanawiając się nad nieszczęsnym losem pana Brandona. Nie mogła w tej sytuacji obdarować James Duke'a prezentem. Byłoby to zupełnie od rzeczy. Przy pierwszej sposobności ukryła niezauważenie paczuszkę w rękawie. Siedzieli przy herbacie, prawie się nie odzywając aż do zmroku.

– Obawiam się, że muszę już cię opuścić, moja droga – oznajmił James Duke. – Chciałbym… – Umilkł. Jego życzenie pozostało niewypowiedziane.

– Chciałabym zobaczyć pana Brandona, gdyby mu się pogorszyło – mruknęła.

– Doktor Hudson obiecał, że powiadomi cię natychmiast, jeśli… jeśli coś się wydarzy.

Gdy wypowiedział te słowa, w ulicę skręcił powóz doktora i stanął przed domem.

– Och, wielkie nieba… – zaniepokoiła się pani Brandon. James wstał i czekał jak w uniesieniu.

– Przyszedł doktor Hudson, proszę pani – oznajmiła pani Blitter, otwierając drzwi do salonu przed lekarzem.

– Podaj herbatę, Blitter – poleciła pani Brandon. Spojrzała na doktora. Miał kamienną, pozbawioną wyrazu twarz.

– Proszę napić się z nami herbaty, doktorze – odezwała się, choć pęcherz pękał jej od herbaty. – Przypilnuję imbryka – dodała i wyszła szybkim krokiem z pokoju.

James Duke spojrzał na Hudsona.

– Czy zaszła jakaś zmiana? – zapytał cicho.

– Owszem, zaszła – odpowiedział doktor i umilkł, czekając na powrót pani Brandon. Wróciła po chwili, szeleszcząc koronkami od gwałtownie stawianych kroków.

– Proszę powiedzieć nam, doktorze, jak się miewa pan Brandon – zapytała spokojnym i miarowym tonem.

– Z radością chcę poinformować państwa, że pan Brandon ozdrowiał, ozdrowiał na tyle, że najadł się do syta i napił jak wielbłąd. Jego obłęd wydaje się w miarę opanowany. Przypuszczam, że przeżył swego rodzaju kryzys. Poznał mnie, pytał o pani zdrowie, chwalił farmera i jego żonę. Nadal sprzeciwia się piciu mleka i spożywaniu chleba, ale uważam, że za jakiś tydzień nakarmimy go piersią kurczaka. Mam wrażenie, że niedługo będzie mógł wrócić do domu. Pielęgniarka z pewnością nie jest mu już potrzebna – dodał, zerkając na uwolnionego tym samym z dodatkowych wydatków Jamesa.

Posey była tak oszołomiona, że umilkła na bardzo długą chwilę.

– Ach! Ale czy podołam opiekować się nim jak należy? Dom jest tak mały, a powietrze tutaj tak odmienne od zdrowej wiejskiej aury. Z pewnością temu nie podołam, jeśli wróci mu obłęd.

Przyniesiono tacę z świeżo zaparzoną herbatą i talerzyk z keksem. Posey Brandon nalewała herbatę pewną ręką.

– Z cukrem? Tak, z cytryną?

Podała filiżankę doktorowi.

– Zaczekamy i przekonamy się, czy zdrowie pana Brandona ulegnie poprawie. Zezwoliłem, aby tej nocy spał na ganku ze względu na świeże powietrze. Za tydzień, jeśli dojdzie do siebie, nie powinien sprawiać już żadnych kłopotów. Zawsze mogę przysłać pani do pomocy pielęgniarkę, gdyby zaszła taka potrzeba. To dosyć interesujący przypadek i znacznie łatwiej byłoby mi śledzić postępy pana Brandona, gdyby przebywał w domu, a nie na wsi. Czy zgodzi się pan ze mną, panie Duke?

– Ma się rozumieć – odezwał się powściągliwie James Duke. – Jakżeby inaczej!

Gdy stojący zegar wybił pół godziny, obaj panowie wstali, pożegnali się i wyszli razem. James posłał pani Brandon gorące spojrzenie, które zrozumiała. Uśmiechnęła się i kiwnęła głową, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, po czym pobiegła do swojego pokoju, klnąc pod nosem jak szewc i rzuciła się na poduszki.

W ulicznej poświacie trudno było dostrzec wyraz twarzy doktora, gdy James zapytał go, czy może odwiedzić pana Brandona.

– Być może… za dzień albo dwa, choć obawiam się, czy nieznajoma twarz nie wywoła u niego nawrotu choroby. Z tej

samej przyczyny nie polecałbym odwiedzin pani Brandon. Jedno z jego dziwactw dotyczy strachu przed żoną, która, jak twierdzi… choć brzmi to absurdalnie… wyrządzała mu krzywdę. Ale to niewątpliwie minie wraz z odzyskiwaniem przezeń zmysłów. A może pojechałby pan ze mną na tę farmę jutro z rana?

– Świetny pomysł, sprawdzę tylko, czy nie mam innych zobowiązań – odrzekł James Duke.

Późną nocą, gdy wzeszedł księżyc, James samodzielnie osiodłał konia w stajni i wyjechał na nim w ciemności główną drogą z miasta, galopując ku farmie, gdzie pan Brandon śnił o pieczonych żeberkach.

45

STRASZLIWA POMYŁKA

Spokój poranka przerwał tętent konia: najmłodszy syn farmera Tauntona, William – brudny chłopak o pospolitym obliczu – cwałował na oklep do miasta na koniu od pługa. Dobiegł zdyszany do domu, w którym mieszkała jego zamężna siostra, Charlotte, a ona zbudziła męża, Saula Fleeta, który pobiegł do domostwa sędziego Jonasa Gildarta i wyrzucił z siebie na przemian płaczliwym i posępnym tonem przerażającą wieść. Sędzia odstawił filiżankę z nalaną do pełna kawą. Odsunął ją od siebie, wylewając zawartość na stół.

Saul Fleet bełkotał:

– Brat Charlotte! Przycwałował na koniu ze starego domu i przyniósł wiadomość o śmierci starego. Znaleźli go na ganku. Uduszonego albo powieszonego… jakoś tak. Mówił, że ma pęknięty kark, a twarz koloru rabarbaru.

Pani Gildart podała mężowi świeżą kawę, a sędzia kontynuował przesłuchanie. Saul chętnie odpowiadał: Nie, stary się samoistnie nie przewracał. Nie, teściowa spała w domu. Robiła tak od wielu lat po kłótni o chrapanie pana Tauntona, które

budziło umarłych. Przy dobrej pogodzie pan Taunton sypiał na ganku, a zimą na posłaniu w kuchni. On, Saul Fleet, nie ma najmniejszego pojęcia, dlaczego ktoś miałby zabić pana Tauntona, ciężko pracującego, niewchodzącego z nikim w zwadę człowieka, który zajmował się na boku kowalstwem, regularnie chodził do kościoła, nie pił ani nie palił. I uprawiał cenioną wszędzie rzepę.

Sędzia posłał po Charlotte Fleet i jej młodszego brata Williama, który przycwałował do miasta z wiadomością. Charlotte wiedziała tylko to, co usłyszała od brata, więc sędzia rozpoczął przesłuchanie Williama:

– Muszę zadać ci kilka pytań, chłopcze. Nazywasz się William Taunton i jesteś synem Jeremiaha Tauntona, zgadza się? Dobrze, dobrze. A teraz powiedz mi, kto z członków rodziny spał ostatniej nocy w domu?

– Mama, proszę pana. Moja siostra Abigail. I T-Tom… – wyjąkał bełkotliwie.

– Kim jest Tom?

– To mój starszy brat.

– Czy w domu byli jacyś służący?

– Tylko Sarah Whitwell. Pomaga mamie przy praniu i przychodzi po modlitwach w niedzielę wieczorem, żeby w poniedziałek od rana wziąć się do pracy. Sypia na mniejszym łóżku w pokoju mamy.

– Czy ostatniej nocy ojciec pozwolił komuś obcemu, jakiemuś włóczędze, spać w stodole?

– Nie, proszę pana. Ojciec nigdy nie pozwalał im sypiać w stodole. Chyba że zapłacili pieniędzmi z Nowej Anglii.

– Więc czy zeszłej nocy byli na farmie jacyś płacący za pobyt obcy?

– Tylko pan Brandon, proszę pana.

– A kim jest pan Brandon?

– To kaznodzieja, panie sędzio, ale pomieszało mu się w głowie od porażenia piorunem. Ma wielgachną bliznę na twarzy. Mama się nim opiekowała, a pan Duke płacił za to ojcu. Mieszkał z nami od dwóch miesięcy albo i dłużej. Tata oddał mu duży pokój od frontu.

– Kim jest pan Duke?

– Nie wiem, proszę pana, ale tata mówił, że jest bogaty. Jeździ powozem zaprzęgniętym w dwa siwki. Bardzo dobre konie. Wydawało mi się, że słyszałem je zeszłej nocy, ale to były kuropatwy w lesie.

– A czy pan Brandon spał zeszłej nocy w domu?

– Tak, proszę pana. Doktor Hudson mówił, że mu się polepsza i niedługo wróci do siebie. Wczoraj czuł się doskonale i chciał spać na tylnej werandzie, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Tata mówił, że wolałby, żeby pan Brandon został dłużej, bo to dobry lokator, a pieniądze są nam potrzebne.

– A czy zeszłej nocy pan Brandon spał na werandzie za domem?

– Nie, proszę pana. Tam stoi łóżko taty, a tata powiedział, że za żadne skarby nie da się z niego wyrzucić.

– Czy pan Brandon lubił twojego ojca?

– Przeważnie tak. Chociaż ostatnio powiedział, że ma już dosyć chleba i mleka, czym go karmiliśmy. Na co tata odrzekł: „Albo to zjesz, albo będziesz chodził głodny". Na co pan Brandon zmrużył tak groźnie oczy.

– A gdzie jest teraz pan Brandon?

– Pomaga mamie i Tomowi przy tacie. Tata jest bardzo ciężki, proszę pana.

Sędzia wymienił znaczące spojrzenia z dwoma mężczyznami, którzy zjawili się wraz z doktorem Hudsonem. Kazał czekać chłopcu.

– Niewykluczone… – odezwał się sędzia – …niewykluczone, że będziemy musieli się przyjrzeć temu jegomościowi, Brandonowi. Doktorze, co może pan nam o nim powiedzieć? Jest zdrowy czy chory? Jeśli jest chory, na czym polega jego choroba? Czy jest silny? Jaki ma charakter? I czy żywił jakąś urazę do pana Tauntona?

– Cierpiał z powodu skutków porażenia piorunem, którego doświadczył przed dwoma laty. Miał zaburzenia umysłowe, bełkotliwą mowę, dezorientację i nadmierną podejrzliwość. Ale wczoraj nieco mu się polepszyło i stwierdził, że chce wrócić do domu.

– Czy pana zdaniem, doktorze, kaznodzieja ów mógł żywić nienawiść do pana Tauntona za to, że karmił go chlebem i mlekiem bądź z jakiegokolwiek innego powodu? I czy w napadzie szału mógł podkraść się nocą do śpiącego gospodarza i udusić go?

– Był podatny na lęki, to prawda, ale nigdy nie słyszałem, żeby wyrażał się źle o panu Tauntonie. Z wyjątkiem tej diety z chleba i mleka, którą nawiasem mówiąc, sam mu zaleciłem. Oczywiście mógł wpaść w złość z powodu łóżka na ganku. Pozwoliłem mu spać na dworze, ale jak wspomniał chłopiec, gospodarz odmówił mu tego przywileju.

– Czy zatem w swym zaburzonym umyśle nie mógł przypisać winy za nudną dietę panu Tauntonowi? Czy nie mógł oskarżyć go o zajęcie łóżka na werandzie?

– Owszem… – odrzekł z ociąganiem doktor. – Rzeczywiście tak mogło się wydarzyć. Ale moim zdaniem nie ma dość siły, żeby udusić dorosłego mężczyznę.

– Ale czyż nie jest powszechnie wiadomym, że osoby ogarnięte szałem działają ze zdwojoną, a nawet potrojoną siłą?

– Owszem, to nie ulega kwestii. Z szaleństwem wiąże się wiele niezbadanych jeszcze tajemnic.

– A więc uznaje go pan za szaleńca?

– Uznaję, że jest obłąkany wskutek porażenia piorunem. Miał napady i ataki gniewu. Ale byłem pewny, że wraca do zdrowia i wkrótce będzie tak normalny jak pan czy ja.

– „Wkrótce będzie normalny” nie jest tym samym co „jest normalny”. W domu nie było nikogo, oprócz najbliższej rodziny, śmiem zatem twierdzić, że ów pan Brandon w napadzie szału dopuścił się morderstwa przez uduszenie na panu Tauntonie. Panowie, zobowiązuję was do postawienia przede mną pana Brandona, który zostanie poddany badaniu, a następnie osądzony.

Pan Brandon trafił do aresztu, gdzie bełkotał bez składu i ładu o swej niewinności. Trzódka jego wiernych stała pod aresztem, śpiewając hymny, a następnie śpiewała hymny przed sądem, w którym po szybkim procesie pan Brandon został uznany za winnego i skazany na karę śmierci przez powieszenie.

46

SPOTKANIE W INTERESACH

Przez całe gorące i parne bostońskie lato James Duke umizgiwał się do Posey Breeley Brandon. Wiedział, że nikt nigdy nie pojmie, jak wiele dla niego znaczyła. W dzieciństwie odesłano go z domu, w marynarce pomijano w awansach, zawsze był biedny i zgnębiony. I nagle wszystko się zmieniło. A Posey była ukoronowaniem tej zmiany. Wiedział też, że kuzyni będą oburzeni z powodu dzielącej ich z Posey różnicy wieku, gdyż James miał już pięćdziesiąt pięć lat, a jego wybranka była o dwadzieścia lat młodsza.

Odwiedzała go nieustannie. Wieczorami, gdy chłodna morska bryza przemieszczała się w głąb lądu, spacerowali po różanym ogrodzie, chodząc wokół słonecznego zegara, rozmawiając o drewnie i prawdziwym miłosnym węźle. Szeleściły jej jedwabne spódnice, wędrowała z opuszczonym wzrokiem. Spacerowali, odkąd na krzewach róży pojawiły się pierwsze listki, potem różowe pąki, potem otwarte płatki, oszałamiające bujnością otwarte kwiaty, kwiaty zwiędłe, aż do pierwszych przymrozków i szronu na zbrązowiałych liściach. Zrobiłby dla niej wszystko, już

wszystko dla niej robił i niczego nie żałował. O nic go zresztą nie prosiła, oprócz towarzystwa i przyjemności rozmowy. Słuchała z zachwytem wszystkiego, o czym mówił ignorowany i pomijany przez całe życie James. Ale zdobycie Posey nie było łatwe, a dopóki pan Brandon żył (nie został skazany na śmierć), Posey była nie do zdobycia. W skład kongregacji pastora wchodziły dwie osoby powiązane z ważnymi bostońskimi rodami, a sam Brandon był synowcem sędziego Archibalda Brandona, który był szarą eminencją zamkniętych kręgów władzy. Sędzia nie pozwolił, aby nieszczęsny krewny, w którym widział niewinną ofiarę fatalnego ożenku i pioruna, zawisł jako morderca.

– Niemal rozumiem, dlaczego Bóg pokarał go tą przypadłością – stwierdził sędzia w rozmowie z doktorem Hudsonem, którego odnalazł po krótkich poszukiwaniach. – Miasto stało się cuchnącym bagnem zepsucia i złych uczynków. Widzę w tym karzącą rękę Boga. Mimo to nie wyobrażam sobie, aby mój synowiec był zdolny do uduszenia farmera z powodu nieznośnych posiłków. Zawsze wykazywał się łagodnością charakteru.

– Jest sposób, aby uniknął… najgorszego – odrzekł doktor. – Moim zdaniem powinniśmy zwrócić się do władz Williamsburga i Domu dla Obłąkanych i Niespełna Rozumu. Już wcześniej istniały przesłanki, żeby go tam umieścić.

Sława nazwiska sędziego, wstawiennictwo wiernych pana Brandona, a także starannie sporządzona opinia doktora Hudsona na temat ogólnej nieszkodliwości skazańca, zapewniły

mu izbę w instytucji w Wirginii. W towarzystwie pozostałych obłąkanych pan Brandon okazał się wzorowym pacjentem.

Freegrace zwołał na październik posiedzenie rady Duke i Synowie. James czuł już wagę zasiadania z prawem głosu w radzie. Ubrał się starannie w jasnobrązowe wełniane bryczesy o wąskiej łydce i z paskami pod stopą, jasnobrązową kamizelkę z czarnym wykończeniem oraz jednorzędowy dopasowany żakiet. W kieszonce kamizelki miał złoty zegarek Sedleya, a do łańcuszka przytwierdził podarunek od Posey Breeley Brandon – złoty breloczek z miniaturą pięknego lewego oka ukochanej, gdyż miniaturowe obrazy oczu były wówczas w modzie. Choć oko wyszło na miniaturze przepięknie, kryła się w nim jakaś niezbyt przyjemna natarczywość spojrzenia. Siedzący obok Jamesa kuzyni wydawali się nieeleganccy w staromodnych, sięgających do kolan pludrach i jasnych jedwabnych pończochach pochlapanych z tyłu błotem.

Freegrace przedstawił wszystkim innego członka rady, trupiobladego mężczyznę o świecących jak świece w jaskini oczach, Lennarta Vogela, który był nieobecny na dwóch ostatnich posiedzeniach rady, gdyż przebywał w podróży. Lennart był jedynym synem Doortje Duquet, a zatem kuzynem Sedleya Duke'a, okrutnego ojca Jamesa. Rozpieszczony przez matkę i wykształcony ponad miarę Lennart wylądował ostatecznie w Bostonie i poznał amerykańskich krewnych. Nikt bardziej od

niego nie przywiązywał większej wagi do stroju, a tego dnia włożył perłowoszare pantalony zapinane na guziki cztery cale nad kostką i z białymi jedwabnymi pończochami, na które wzuwał przypominające domowe pantofle i zmieniane co dwa tygodnie trzewiki. Stał się chodzącą, a przez to niezbędną encyklopedią cyfr, tendencji i innowacji w handlu drewnem. Ale najcenniejsza okazała się – szepnął do Jamesa Edward – jego znajomość w mowie i piśmie aż siedmiu języków. Lennart miał też inną stronę. Każdego roku zdejmował na dwa miesiące eleganckie stroje, wciągał sztywne skórzane spodnie, buty drwala i zapuszczał się w lasy, najczęściej z indiańskim przewodnikiem. Twierdził, że łowi ryby i dokonuje inspekcji obozów drwali zakładanych przez podwykonawców. Po powrocie do Bostonu zawsze wydawał się nadzwyczaj radosny.

W sali posiedzeń było ciepło, a płonący na kominku ogień odpędzał jesienne chłody. Głos zabrał Freegrace:

– Niniejszym otwieram posiedzenie.

Głośno zaszurały krzesła, zaszeleściły kartki papieru.

– W tym roku spływy w Maine rozpoczęły się późno, wszystko się opóźniło, a wykonawcy modlili się o deszcz i przybór wody w rzekach – oznajmił Freegrace. – Słyszeliśmy od wykonawców, że zima w Maine była łagodna, zupełnie inaczej niż tutaj. Niewielkie opady śniegu zmusiły wykonawców do wnoszenia tam i spiętrzania wody, żeby spławić drewno strumieniami do rzeki, co

okazało się bardzo praco- i czasochłonne. Wykonawcy domagają się rekompensaty. Której nie dostaną. Mam przy sobie pewne wyliczenia z poprzedniego roku, które powinny poprawić nam humor.

James przerwał mu nieśmiało:

– Wybacz moją ignorancję, ale ilu ludzi zatrudniamy w lasach?

Odpowiedział mu Lennart Vogel, bowiem dane liczbowe stanowiły jego domenę:

– W tym roku ponad tysiąc przez sześć do ośmiu miesięcy. Płacimy im dziesięć dolarów na miesiąc, dajemy dach nad głową, wyżywienie i narzędzia. Choć zabrzmi to absurdalnie, coraz częściej przychodzi nam konkurować z innymi na kucharzy, bowiem firmy kuszą pracowników wymyślnym żarciem! Żarciem! – Delektował się tym niezbyt eleganckim słowem, uznając się za pierwszorzędnego znawcę kolokwialnej angielszczyzny. – Dokładamy dwadzieścia centów dziennie do utrzymania każdego pracownika, co jest niebagatelną kwotą na zaopatrzenie. Jesteśmy zmuszeni zatrudniać kucharzy, którzy sprawdziliby się w eleganckich restauracjach, gdyby nie pewne skazy na ich opinii.

Głos zabrał Edward:

– Zaopatrzenie pracowników nie jest jednak największym ponoszonym przez nas kosztem. Kukurydza i siano dla wołów. Siano kosztuje dwadzieścia dolarów za tonę, a w zeszłym roku zużyliśmy ponad pięć tysięcy ton. Kukurydza kosztuje dolara za buszel, a woły pochłaniają cztery tysiące buszli przez jeden sezon.

Woły są drogie, podobnie jak ich poganiacze. W sumie kosztują nas dwadzieścia tysięcy dolarów. Do tego trzeba doliczyć zakupy lasów oraz łapy do posmarowania, szczególnie przy prokurowaniu tak zwanych „indiańskich ziem", które ten szalony Kongres chce nam odebrać na mocy ustaw mówiących o nie ingerowaniu w ziemie Indian!

Freegrace mruknął pod nosem:

– Czy jest na ziemi taki kraj, gdzie przedsiębiorcy muszą się cackać z dzikimi barbarzyńcami tulonymi do piersi przez rząd?

Edward ciągnął dalej:

– Mamy duże wydatki na geodetów, a choć tniemy najwięcej na naszych własnych ziemiach i przerabiamy drewno w naszych własnych tartakach, co zmniejsza koszty wycinki i wynajmu pił, ponosimy setki innych wydatków: na siekiery i narzędzia, osełki, naftę, żelazo, kowali i kuźnie, składowanie i śluzowanie drewna. – Pióro skryby piszczało przy sporządzaniu protokołu szybkiej przemowy Edwarda.

Cyrus uznał, że James nie rozumie, i wtrącił:

– Składowanie, proszę pana, to koszt przechowywania kłód w jednym miejscu, a śluzowanie…

Ale Edwardowi nie spodobało się, że ktoś ośmielił się mu przerwać, więc rzucił kąśliwie:

– Cyrusie, zachowaj proszę swoje wyjaśnienia na później. Jestem pewny, że James doskonale wszystko rozumie. Dzisiaj musimy omówić po pierwsze: gwałtowny spadek pozyskiwania

dużej pierwszorzędnej sosny wejmutki; po drugie: nieustający kłopot ze złodziejami drewna, plądrującymi nasze posiadłości, oraz inne oszustwa i nadużycia. A skoro mowa o złodziejach: ci, którzy produkują gont i obicia domów, są najbardziej nieuczciwi. Złodzieje grasują najczęściej na dobrach federalnych, ale nie wahają się ciąć naszych drzew. Zmorą lasów są drwale z Nowego Brunszwiku. Gdy widzą drzewo, rąbią je i uciekają z nim. W Nowym Brunszwiku nie rozkwita uprawa ziemi, nie ma prężnych miast. A mieszkańcy tamtego regionu to leśna szarańcza. Uważamy Nowy Brunszwik za naszego wroga. – Przerwał, żeby zaczerpnąć tchu, przypomniał sobie, o czym w zasadzie mówi, i dodał: – Problem ten mogłoby nieco załagodzić wytyczenie czytelnych granic z Kanadą. – Jąkał się i czuł się nieswojo w związku z obecnością Jamesa Duke'a, który przypominał mu swojego kategorycznego ojca, Sedleya. Sedley uczynił życie Edwarda nieznośnym wskutek nieustannych przytyków i zatargów. A okropna dewizka przy zegarku Jamesa wpatrywała się w niego świdrującym spojrzeniem, co wytrącało go z równowagi.

James odchylił się na krześle. Miał zamiar powiedzieć kuzynom przy obiedzie, że wdowa Posey Brandon przyjęła jego oświadczyny i że wyznaczyli już datę ślubu na maj. Pan Brandon zmarł w Wirginii na zapalenie płuc. James odczekał stosowną dobę, zanim się oświadczył. Przyjęła oświadczyny bez wahania, więc wziął ją w ramiona i chciał przypieczętować zaręczyny

czułym pocałunkiem. Jakże zdziwił go żar namiętności, z jakim odwzajemniła ten nieśmiały gest. Później, znacznie później, gdy się nad tym zastanawiał, zinterpretował ów fakt jako ostrzeżenie – ostatnie ostrzeżenie, na które nie zwrócił – nie mógł zwrócić – uwagi. Obecnie jednak miał w głowie pełno niespokojnych myśli o tym, w jaki sposób kuzyni przyjmą wiadomość, że chce się ożenić z córką Davida Breeleya, „drzewnego przedsiębiorcy z Nowego Brunszwiku". Nie poznał jeszcze przyszłego teścia, ale z tego, co usłyszał od Posey, domyślił się, że pan Breeley poczyna sobie swobodnie z siekierą, nie przejmując się żadnymi przeklętymi granicami.

James wyjrzał za okno i ujrzał tam odległą smugę na niebie, która – jak już wiedział – była stadem gołębi pocztowych.

Głos zabrał Cyrus:

– Wydawało mi się, że będziemy dzisiaj omawiać nowe rynki zbytu. Czyżbym był w błędzie?

– Wcale nie – odpowiedział mu Lennart, zabierając głos poza kolejnością, czego można się było domyślić z rozeźlonego spojrzenia Edwarda. – Każdego roku wysyłamy coraz więcej drewna i to nie tylko z Bostonu, ale i z Bangoru. Słyszeliśmy, że Kuba potrzebuje skrzyń na cukier. Freegrace prowadzi korespondencję na ten temat z pewnym kubańskim dygnitarzem. Indie Zachodnie są idealnym rynkiem, gdyż brakuje tam wszystkiego: desek, gontu, obić, deszczułek, kołków, kory z choiny, a nawet twardego drewna. Nawet kolanek z modrzewia! Brakuje

nam statków, żeby wysłać wszystko, czego im trzeba w Zachodnich Indiach, skąd sprowadzamy rum, cukier i melasę. Wiele europejskich miast odkryło korzyści płynące z drewnianych chodników na ulicach, a tego rodzaju rynek pozwala nam pozbyć się odpadów drewna. Zresztą nie tylko europejskie miasta to odkryły, bo i Charleston, Buenos Aires czy, tak, nawet Australia! Nie wspomniałem jeszcze o rosnącym handlu przybrzeżnym.

– Ale odbiegamy od tematu – oznajmił Freegrace.

– Owszem – zgodził się Edward. – Dziękuję, Freegrace, że możemy do niego wrócić. A zatem Armenius Breitsprecher, nasz mierniczy lasów od śmierci swego ojca, dał się zwieść fałszywej mapie i fałszywym doniesieniom co do ziem wzdłuż dopływu White Moose. Właśnie odkryliśmy to oszustwo. Mapa geodety pokazywała gęste lasy wzdłuż biegu strumienia, północnego dopływu Moose, ale w rzeczywistości okazało się, że sosny rosną w odległości wielu mil od potoku. Breitsprecher twierdzi, że oglądał w swoim czasie te drzewa, to znaczy przed czterema laty, w dodatku zimą i w głębokim śniegu. Geodeta upierał się, że potok płynie pod śniegiem tuż pod ich stopami. A śnieg sięgał wówczas do pasa, przez co Armenius nie był w stanie zbadać prawdziwości jego słów, jak i stanu drzew. Tyle sam przyznaje. Zatem raport, na którym oparliśmy nasz zakup wskazywał na istnienie dobrego cieku wodnego i stu milionów sosen. W rzeczywistości sosen było zaledwie czternaście milionów, a potok płynął bardzo daleko. Ponieśliśmy ogromne koszty związane z budową drogi i

ściągnięciem drewna nad rzekę zaprzęgami wołów. Obecnie musimy postanowić, czy zatrzymać Breitsprechera jako mierniczego. Popełnił kosztowny błąd. Zdał się całkowicie na geodetę oszusta.

Freegrace westchnął ciężko.

– Tak, możemy pozbyć się Breitsprechera, ale trzeba pamiętać, że to doświadczony i utalentowany mierniczy, który pracował dla nas wiele lat i zarobił dla firmy mnóstwo pieniędzy. Pomylił się po raz pierwszy i wiem, że szczerze tego żałuje. Proponuję ostro z nim porozmawiać, ale nie wyrzucać go z pracy.

– Zgadzam się – poparł go Lennart Vogel. – Ocena kosztów i zysków uzyskanych z rosnącego lasu jest dosyć trudna i żeby ją opanować, trzeba wielu lat i wiele doświadczenia w mierzeniu. – Lennart również zauważył wpatrzone weń, niemrugające oko i poczuł obecność nieznanego oryginała.

– Co o tym myślisz, Cyrus?

– Cóż, uważam, że znalezienie ludzi z trzeźwym osądem wcale nie jest trudne. Breitsprecher nie jest jedyną osobą, która zna się na szacowaniu i mierzeniu drewna. Po lasach maszerują takich jak on tysiące. – Oparł się niedbale o krzesło, skrzyżował nogi i machał prawą stopą.

Edward znów zabrał głos:

– W samej rzeczy, tysiące! W większości oszukańczych nicponi produkujących fałszywe raporty o jakości sosen, z których wszystkie są ma się rozumieć zdrowe, choć gdy spadnie na nie

siekiera, okazują się przegniłe aż do rdzenia. A ty co o tym sądzisz, Jamesie?

– Jeśli pracował dla nas uczciwie… przez ile lat?

– Od swoich najmłodszych lat, kiedy to przemierzał lasy pod nadzorem ojca… Pewnie minęło od tamtej pory ponad trzydzieści wiosen.

– Więc po trzydziestu latach uczciwej pracy i jednym błędzie powstałym wskutek oszustwa geodety nie możemy zwolnić człowieka. To byłoby nieludzkie. Jestem za tym, abyśmy go zatrzymali.

– Przegłosowane – mruknął Freegrace. – Przejdźmy teraz do następnej kwestii, czyli wtargnięć na nasze ziemie i ich plądrowania, co staje się nagminne. Postawiliśmy tablice ostrzegające, że wtargnięcia na nasze ziemie będą karane. Możemy się tylko modlić, żeby ktoś je odczytał.

Wyjął kartkę i przeczytał głośno:

> *Ostrzega się, że Drewno oznakowane D&S i składowane na Parceli Distress Brook Nr 17 jest własnością Duke i Synowie z Bostonu. Przestrzega się wszystkich przed zagarnianiem tegoż i wywożeniem tegoż z miejsca składowania pod karą sądową. Podejmie się odpowiednie kroki, aby odnaleźć każdego, kto nie stosuje się do niniejszego ostrzeżenia.*

– Czcza groźba – skrzywił się Edward. – Sądy w Maine są skorumpowane co do jednego. Zawsze orzekają na korzyść przestępców, swoich własnych krewnych lub wspólników… za każdym razem!

– Kim są ci ludzie, którzy tną wasze… nasze!… drzewa?

– Parają się tym wszyscy! – parsknął śliną Edward. – To mali niegodziwi ludzie szukający zarobku. A jest ich legion! Są wśród nich i wygłodniali dzicy, którzy nie cofną się przed niczym. Walczą z właścicielami ziemi, aż leje się krew i pękają czaszki. Nawet jeśli ich złapiemy i postawimy przed sądem, wymykają się w nocy i rąbią dalej. Osadnicy, zbankrutowani przedsiębiorcy, wytwórcy gontu i obić… oto złodzieje! W księżycowe noce pada wiele najlepszych sosen.

– Nie tylko przez kradzież – dorzucił Edward. – Rozpalają ogniska, przez które wybuchają pożary niszczące całe połacie lasu. Niektórzy z nich celowo podkładają ogień na obrzeżach dorodnych lasów, a potem knują, jak kupić całą cenną parcelę jako pogorzelisko za bezcen! A poza tym przeklęci zawszeni osadnicy i tak wypalają lasy na swoich nędznych działkach wedle własnego uznania, a gdy jest sucho, ogień przenosi się na nasze ziemie i trawi nasze lasy.

Cyrus poprawił fular i postanowił podsumować to, co zostało powiedziane:

– Prawdą jest, panowie, że lasy Maine i Nowego Brunszwiku roją się od awanturników. Potrzebujemy zatem dziewiczego lasu,

gdzie nie dotarła jeszcze ta ludzka szarańcza. Maine było kiedyś takim miejscem.

James zapytał, czy takim dziewiczym rajem nie są przypadkiem lasy Ohio, które niegdyś odwiedzał jego ojciec.

– Nie. W Ohio istotnie rośnie dobre drewno, ale nie ma go za dużo. Wystarczy co najwyżej na kilka lat. A my musimy myśleć o przyszłości. Doszły nas słuchy o wielkich lasach dalej na zachód, więc może nadeszła pora, aby sprawdzić te doniesienia. Parokrotnie proponowałem spotkanie w tej sprawie z Armeniusem Breitsprecherem. Należy go zapytać, czy nie wybrałby się na zachód. Może zechce uratować swój honor po tym nieszczęsnym wydarzeniu nad północnym dopływem White Moose?

– Rozsądnie byłoby wydelegować któregoś z nas, aby mu towarzyszył – stwierdził Lennart Vogel. – Uzyskalibyśmy uczciwy raport. To byłaby opłacalna ekspedycja.

– Łatwo ci mówić, Lennart, bo jesteś podróżnikiem, ale większość z nas woli siedzieć w Bostonie i zajmować się księgowością i kontraktami. Może ty pojedziesz?

Vogel pokręcił głową.

– Zacznijmy więc rozglądać się za czymś bliżej domu. Słyszałem o obszernych połaciach wejmutek wzdłuż rzek Susquehanna i Allegheny w Pensylwanii. Niektórzy mówią, że rosną tam najpiękniejsze sosny, jakie kiedykolwiek widziano – powiedział Cyrus.

– Ach, to samo mówiono o sosnach w Maine, to samo o sosnach z Nowego Brunszwiku. Musimy zacząć kupować z myślą o następnym półwieczu – oznajmił Freegrace.

– Bóg wie, dlaczego? Trzeba brać, powiadam, to, co nam wpadnie w ręce, tak szybko, jak się da. Nie interesuje mnie to, co będzie się działo za pół wieku i nie chcę się tym martwić. Lasy są wieczne i nieskończone – stwierdził Edward.

Obiad w gospodzie przy Rowes Wharf nie był wykwintny: podano pieczone złociste siewki, łososia, purée z kukurydzy i fasoli, zielony groszek. Rozmawiali bardziej swobodnie, wyzwoleni z pęt oficjalnego posiedzenia. Cyrus tłumaczył Jamesowi zawiłości składowania i śluzowania drewna, a potem przeszedł do kwestii pożarów.

– Wiesz, gdy mówi się o pożarach, należałoby wspomnieć o naszych własnych grzechach. Jeden z naszych wykonawców na polecenie Edwarda podłożył ogień pod kilka stogów siana zwiezionych do sosnowych lasów przez złodziei dla ich wołów. Ogień rozprzestrzenił się i spłonęły nie tylko stogi, ale i sosny, które złodzieje chcieli ukraść. Widzisz więc, że płacą nam pięknym za nadobne.

James uznał, że opowieść ta jest zupełnie nielogiczna, ale nie skomentował jej. Zaczął się natomiast zastanawiać, czy Cyrus Hempstead nie jest przypadkiem osłem.

– James – zwrócił się do niego Lennart Vogel – wiesz już, że zyski z drewna opierają się niemal w całości na kosztach transportu. Statki parowe mogą zmienić sposób przewożenia drewna.

Do rozmowy wtrącił się Edward, który przełknął szybko kęs jabłkowego puddingu:

– Wiemy, że Anglicy używają maszyn parowych do transportu węgla z kopalni. Powiadam, że maszyny parowe to przyszłość. Za kilka lat, Freegrace, zbudujemy własną kolej do sosnowych lasów, przez które nie płyną rzeki. W tej chwili każdy zarobiony przez nas cent zależy od wody w rzekach. Maszyna parowa zmieni kształt naszego przemysłu.

– Masz rację, Edwardzie – zgodził się Lennart. – W powietrzu wiszą wielkie zmiany, czeka nas świetlana przyszłość.

Podawano sobie z rąk do rąk butelki rumu, a panowie z rady mówili już do siebie tak głośno, że pewien elegancki dżentelmen z odległego stołu zapytał właściciela gospody, czy nie może wyrzucić ich na ulicę.

– To Saltonstall – mruknął Cyrus – ta stara pąkla. Uważa się za najważniejszego człowieka w Bostonie. Jeśli chce mieć ciszę, niech siedzi w domu w swoim grobowcu.

O północy James wymknął się do powozu. Will Thing siedział na koźle i czekał w ciemności. Po upływie pół godziny James znalazł się w swojej bibliotece, gdzie na kominku dogasały węgle. Wypił

ostatni kieliszek brandy. Kręciło mu się w głowie, więc udał się na spoczynek.

Wydawało mu się, że pokojówka Lily budzi go po upływie zaledwie kilku minut.

– Proszę pana, proszę pana, pani Brandon czeka na dole i życzy sobie zjeść z panem śniadanie.

– Och, moje serce i dusza! – zawołał James. – Powiedz pani Brandon, że zejdę za kilka minut. Poczęstuj ją herbatą lub kawą, lub…

– Tak, proszę pana.

Minęło blisko czterdzieści minut, zanim zszedł do jadalni – wykąpany, ogolony, w czystej bieliźnie i czarnym kaszmirowym ubraniu, gdyż dzień był chłodny.

– Moja droga! – powitał panią Brandon. – Cóż sprowadza cię o tak wczesnej porze?

– No, jak to, James! Chcę, żebyś opowiedział mi ze szczegółami o posiedzeniu rady. Wiesz, jak bardzo interesuję się sprawami firmy. Opowiedz mi o kuzynach, o tym, co który z nich powiedział, o decyzjach, które podjęliście, o planach na przyszłość.

Posmarował gorący sucharek masłem i zanurzył go w miodzie na talerzyku. Pochylił się nad nakryciem, żeby nie poplamić kamizelki. Zaczął opowiadać. Czuł się jak w uniesieniu, wiedząc, że ktoś przykłada taką wagę do jego słów. Zadawała mu inteligentne pytania i wypytywała o słabostki członków rady.

Po powrocie do domu pani Brandon podeszła do orzechowego sekretarzyka, który zamówił dla niej James. Wyjęła z szufladki brązowy, oprawny w skórę notes, wypełniony rojącymi się od błędów ortograficznych zapiskami sporządzonymi jej zamaszystym charakterem pisma. Teraz zanotowała zalecenia Lennarta Vogela dla Duke i Synowie: inwestycje poza przemysłem drzewnym, zwłaszcza w manufaktury włókiennicze i produkcję cukru z trzciny.

47

MROWIENIE

Często przekładany dzień ślubu Jamesa Duke'a – który obawiał się reakcji kuzynów na małżeństwo z córką drwala z Nowego Brunszwiku – rozpoczął się dlań od wstrząsu jak po zerwanej strunie skrzypiec. W połowie ranka pod dom Jamesa zajechał na kulawym, poruszającym się niepewnym krokiem pociągowym koniu niezidentyfikowanej maści jego przyszły teść. Czy ktokolwiek widział kiedyś taką fizjonomię jak ta, która należała do Phineasa Breeleya? Jego głowa wyglądała jak przecięta toporem na wysokości brwi i ściśnięta razem na granicy wielkiej poziomej blizny. Poniżej tej blizny osadzone były czarne jak antracyt oczy, połamany nos (znak szczególny ludzi prymitywnych) i pozbawiony warg otwór stanowiący usta. Brakowało mu lewego ucha, została po nim tylko owłosiona dziura. Człek ten zsiadł ostrożnie z konia i zbliżył się do Posey. Uścisnął ją mocno, obsypał obślinionymi pocałunkami i zwrócił się ku przyszłemu zięciowi.

– No, cóż – rzekł – oto jestem. Gotów na kocią muzykę i naszą Wielką Wyprawę!

Posey zaprosiła ojca, aby towarzyszył im podczas miesiąca miodowego w Nowym Jorku. Chciała, żeby James zaprosił na ślub i weselny obiad Freegrace'a i Edwarda Duke'ów wraz z żonami, ale wymówił się: Edward był w podróży, a żona Freegrace'a leżała złożona zapaleniem płuc. Miał również doskonałe wymówki tłumaczące nieobecność innych. W istocie nikomu nie powiedział o zbliżającym się terminie zawarcia małżeństwa. Jeszcze nie, jeszcze nie, usprawiedliwiał się sam przed sobą.

– Jestem pewna, że pokochasz tatusia – przekonywała go. – A tatuś zawsze chciał zobaczyć Nowy Jork. Będzie nam towarzyszył w mieście, w którym nikogo nie znamy.

A teraz nadeszła ta chwila. Za kilka godzin James i Posey wsiądą z tym człowiekiem do wynajętego powozu. Nie wiedząc, jak przywitać się z tym panem, James rzucił ukradkowe spojrzenie na końskie kopyta. Zwierzę było ochwacone i nic dziwnego, że kulało!

– Każę wypuścić pańskiego konia na pastwisko – oznajmił. – Widzę, że cierpi na ochwat. Odpocznie nieco podczas naszej podróży do Nowego Jorku.

– Nie ma co gadać, drodzy panowie – odezwała się Posey, zerkając na mosiężny zegar na kominku. – Punktualnie o jedenastej powinniśmy być u sędziego. Do jedenastej brakuje pół godziny.

– Ochwat, nie ochwat, wszystko mi jedno – mruknął Phineas Breeley. – Nie zważam na szkapy i chabety. Nie przepadam za

końmi.

Nie da się tego ukryć, pomyślał James, zniechęcony dziwnym sposobem wysławiania się tego pana.

Ceremonia ślubna trwała krótko, zgodnie z życzeniem Jamesa, a kuzyni o niczym się nie dowiedzieli. Podczas długiej podróży powozem ojciec rozmawiał z ożywieniem z córką, a skulony w rogu po przeciwnej stronie James usiłował drzemać. Ojciec obejmował ramieniem córkę i od czasu do czasu cmokał ją głośno w policzek. Dzień dobiegał końca, w powozie panował półmrok, a oni wciąż rozmawiali o czyichś narodzinach i śmierci, o wypadkach, odejściach, burzach, zabawnych wydarzeniach i wadach ludzi, którzy pracowali dla Breeleya. Rozmawiali przez całą noc, snując niekończącą się opowieść pełną nazwisk i błazeństw. Powóz zatrzymał się, żeby zmienić konie, gdy zaczynało świtać, a Breeley, wciąż żwawy, pobiegł posłusznie do oberży i wrócił z dzbankiem słabej kawy i sześcioma ugotowanymi na twardo jajkami. Wypił połowę zawartości dzbanka i pochłonął cztery jajka, wyrzucając skorupki za okno. Odzyskawszy po tej przekąsce siły, zwrócił się od razu do Jamesa:

– Przypuszczam, że utniemy sobie niezłą pogawędkę o starych dobrych lasach. Zawsze miałem przeświadczenie, że połączę siły z dużym przedsiębiorstwem, a Duke i Synowie to oczywiście jedno z największych. Mają najlepsze lasy sosnowe w Maine. Nie ulega wątpliwości, że natniemy razem sporo desek, hę? – Mrugnął

porozumiewawczo i dosyć przerażająco na znak, że dobrze zna lasy Duke'ów. James był zdruzgotany. W jaki sposób wyprowadzić tego człowieka z błędu? Bo zdaje się zakładał, że przez to małżeństwo, on, Phineas Breeley, staje się udziałowcem Duke i Synowie. Jeśli Edward i Freegrace odkryją kiedyś, za kogo uważa się ten pokryty bliznami przybysz z Nowego Brunszwiku, padną najpewniej trupem z oburzenia.

Zbliżała się druga, gdy stanęli wreszcie w gospodzie – eleganckim georgiańskim budynku, przed którym rósł kielichowaty wiąz amerykański: drzewo, pod którym czerwonoskórzy urządzali niegdyś narady. Gospoda stała nieco w głębi, więc nie dobiegał do niej nieustanny rumor podkutych końskich kopyt i dudnienie kół na bruku.

James przyjął z ulgą zakwaterowanie pana Breeleya w głębi korytarza z dala od eleganckiego apartamentu, który zarezerwowali, ale Breeley i tak poszedł za nimi na górę, depcząc po piętach tragarzom wnoszącym kufry. Obejrzał pokój, jakby miał w nim wraz z nimi zamieszkać. Wreszcie – och, co za ulga, pomyślał James – oddalił się do swojego pokoju, krzycząc przy tym głośno, że muszą spotkać się za godzinę pod wiązami i rozpocząć zwiedzanie Nowego Jorku.

– W końcu mam cię dla tylko siebie – szepnął do Posey, obejmując ją czule.

– Tak! Czyż towarzystwo taty nie jest cudowne? Zna tysiące opowieści.

– Od czego ma tę bliznę na czole?

– Musisz sam go o to zapytać. Rzadko do tego wraca.

James wiedział, że nigdy nie zapyta o to tego człowieka, i pogodził się z faktem, że spędzi tydzień w jego towarzystwie. Będzie musiał wytłumaczyć jakoś Breeleyowi, że małżeństwo z Posey nie oznacza automatycznie jego współudziału w Duke i Synowie. Jak mu to przekazać, żeby go nie urazić? Myśl o tym zajmowała go do końca dnia. Podczas długiej przechadzki po zatłoczonych ulicach, na których koński nawóz sięgał do kostek, raz po raz wymijali stada świń, przeszli obok platformy, na której sprzedawano niewolników i przyśpieszali kroku przy śmierdzących łajnem zagrodach dla bydła i rzeźniach oraz zarzuconych gnojem pustych parcelach. James modlił się, żeby nie padało, co oszczędzi im konieczności brodzenia w płynnym gównie. Ludzie harowali tu na okrągło przy zaprzęganiu koni, ładowaniu i rozładowywaniu wozów. Konie tłoczyły się na ulicach, po których jeździły końskie omnibusy, zaprzęgnięte w konie wozy rzeźników, piekarzy i mleczarzy, a pomiędzy nimi cwałowały konie posłańców; przy krawężnikach leżały martwe i zdychające konie. Te nieludzkie widoki nie pozbawiły ich apetytu. Poszli na obiad do słynnej tawerny „Czerwona Krowa”, gdzie zamówili pieczonego niedźwiedzia (smakującego zupełnie jak wieprzowina) i purée z rzepy. Kelner poinformował ich, że w karcie jest rzadki przysmak:

ananasy przywiezione dopiero co z Bahamów. Czy chcą spróbować? Chcieli. Nad stołami wisiały niczym żywe żyrandole roje much, ale w pobliżu stali czujni kelnerzy, machający packami, więc jakoś zdołali zjeść.

Ananas, obrany, pokrojony i podany na jasnoniebieskich talerzykach, był pierwszorzędny, dojrzały i pachnący. Walczyli z muchami o ten rarytas, nie zawsze zwycięsko i raz po raz czuli w ustach gorączkowe bzyczenie obrzydliwych owadów. Po zjedzeniu ananasa i zapłaceniu rachunku ruszyli w drogę powrotną do Four Elms. Minęli po drodze kilka hałaśliwych tawern, z których dobiegał śpiew, bicie w bębny i damskie piski, sygnalizujące jakąś prymitywną rozrywkę. Phineas Breeley stanął przy wejściu do zajazdu.

– Miarkuję, że pospaceruję sobie jeszcze przez godzinę. Gniecie mnie po tym ananasie. Zobaczymy się jutro. – Zasalutował im i zniknął w głębi zaułka.

Noc poślubna stała się dla Jamesa Duke'a ekstremalnym doświadczeniem. Wiedział, czego się po nim oczekuje, a nawet tego pragnął, ale w żadnym razie nie był przygotowany na wściekłą tygrysicę, która nań naskoczyła, rozerwała zakładki spodni i chwyciła członka; żadne z życiowych doświadczeń nie przygotowało go na gryzienie i drapanie, popychanie i wwiercanie, zdzieranie jej i jego odzieży, zmaganie się ze sobą i dyszenie. Posey nie dała mu spocząć przez całą noc. Tuż przed świtem

zapadł w niemal deliryczny sen, a całe jego ciało pokrywały ślady doświadczeń minionych godzin.

Obudził się w świetle dnia i wysunął ostrożnie z łóżka. Posey spała z rozrzuconymi nogami i ramionami, oddychając chrapliwie. Umył się szybko, ubrał i zszedł na dół do saloniku, gdzie na kredensie stały kawa, herbata i gorąca czekolada. Poczęstował się jeszcze ciepłym sucharkiem, posmarował go masłem i dżemem truskawkowym, po czym zabrał filiżankę i talerz do stołu pod oknem i wyjrzał na rozkołysane konary wiązów.

– A, tu jesteś! – wrzasnął Phineas Breeley, wchodząc do cichego saloniku. Pomaszerował do dzbanka z kawą i nalał sobie pełną filiżankę. Usiadł naprzeciw Jamesa i przyjrzał mu się badawczo. Dostrzegł pręgi, czarno-sine ślady po ugryzieniach, podrapane dłonie, opuchnięte wargi i płatki uszu.

– Dała ci do wiwatu, nie? Ma temperament, nie? Nauczyłem ją i dobrze się sprawuje! Zdrowy konar ze starego pnia. Miarkuję, że lepiej jej dogodzisz niż ten kaznodzieja Brandon. – Łypnął lubieżnie okiem.

James poczuł, że tężeje w nim krew. Co, na rany Chrystusa, Phineas Breeley chciał przez to powiedzieć? Że uczył córkę obcowania płciowego z mężczyzną? Myśl ta wydała mu się zbyt przerażająca. Że ojciec mógłby… Poczuł narastającą wściekłość. Wiedział, że takie rzeczy się zdarzają, zwłaszcza wśród mieszkańców wsi czy lasów, pozbawionych towarzystwa innych ludzi. Nie był w stanie wyrzec ani słowa i ulżyło mu, gdy Breeley

rozpoczął monolog o tym, co widział i czego doświadczył, rozstawszy się z nim poprzedniego wieczoru. Spotkał tłustą jasnowłosą „turkawkę" i „wyjebał ją jak się patrzy", po czym sobie popił. James wstał i poprosił o wybaczenie pod pretekstem zaniesienia Posey porannej kawy.

– No, ta… wiem ja, co to znaczy „poranna kawa"! – Breeley uśmiechnął się lubieżnie, oblizał wargi i puścił do Jamesa oko.

James Duke ochoczo żyłby w celibacie przez następne trzydzieści lat, ale wpadł we własne sidła. Posey istotnie odebrała „poranną kawę" jako zachętę do obłapiania i pociągnęła Jamesa za kamizelkę, chcąc go położyć na łóżku. Spojrzał na nią. Poczuł obrzydzenie na samą myśl, że mogła spółkować z tym obrzydliwym starym trollem z blizną, i odwrócił się. Chwyciła go za nadgarstek i mocno szarpnęła. Opadł na łóżko, a Posey opadła go jak mrówki plaster miodu. Próbował, ale nie mógł pozbyć się wyobrażenia pokrytej bliznami głowy Phineasa Breeleya między nogami córki.

– Nie! – krzyknął i zeskoczył z łóżka. Posey za nim, wymachując rękoma i obnażając długie jak u gorylicy zęby. Zbiła go na kwaśne jabłko i zostawiła w kącie sypialni.

– Idź lepiej po rozum do głowy – zgrzytnęła mocnymi białymi zębami. – Nie zniosę następnego safanduły za męża.

– A ja nie zniosę bijącej mnie żony! – krzyknął James jak na kapitańskim mostku. – Musimy o tym porozmawiać.

Wierzył w rozum, choć w tej sytuacji było to całkiem irracjonalne.

James i Posey Duke'owie wyszli sami, zostawiając Phineasa Breeleya w gospodzie po usilnych prośbach Jamesa.

– Musimy porozmawiać sami. Musimy!

Po blisko czterech godzinach pytań, niechętnych odpowiedzi, wybuchów gniewu, łez, wyrazów pogardy i smutnego rozczarowania zawarli kompromis: Posey zamieszka w oddzielnych pokojach; będzie uzgadniała z Jamesem jego odwiedziny w małżeńskim łożu; nie będzie ją pytał, z kim jeszcze w nim sypia (jeśli sypia); ona nie będzie uciekała się do bicia, żeby postawić na swoim; będą się starali żyć w zgodzie i miłości, nawet jeśli będzie to wymagało wielkiego wysiłku; tydzień po powrocie do Bostonu Phineas Breeley musi znaleźć sobie własne lokum lub wrócić do Nowego Brunszwiku. W tym ostatnim punkcie James był twardy jak skała, lecz zgodził się wyznaczyć kwotę na zakup domu dla Breeleya. Zagroził jej, że alternatywą jest rozwód. Nie pytał jednakże o jej stosunki z ojcem w młodości. A ona nie pytała go o nocną wyprawę na farmę Tauntona.

Breeleyowi spodobała się myśl o własnym domu i natychmiast zaczął się rozglądać za czymś w okolicy, bo nie chciał wracać do Nowego Brunszwiku.

– W Bostonie zawsze coś się dzieje! Lubię, jak coś się dzieje! W Maunderville jest cicho jak w grobowcu. Albo jeszcze ciszej. Nikt nawet nie pierdnie.

Po czterech dniach w odległości pół mili znalazł nieduży kamienny domek z ogródkiem i stajnią na dwa konie. James z radością zapłacił właścicielowi, przypuszczając, że pozbywa się Breeleya.

Po upływie kilku tygodni Posey zwróciła się do męża przy śniadaniu miłym pojednawczym głosem:

– W piątek za tydzień chcę wydać przyjęcie i obiad dla twoich kuzynów i pozostałych krewnych. Wymyśliłam już jadłospis i usiądę z panią Tubjoy i kucharką, żeby sprawdzić, czy sobie poradzą i czy musimy zatrudnić na ten wieczór dodatkową dziewczynę. Najwyższa pora, żebyśmy zaczęli udzielać się towarzysko. Skorzystam z okazji, żeby włożyć tę czerwoną jedwabną suknię, którą przymierzałam w Nowym Jorku. Przysłano ją wczoraj i pasuje na mnie jak ulał. – Uśmiechnęła się i musnęła jego dłoń, jakby chcąc powiedzieć: „Widzisz, jak przyzwoicie się zachowuję".

James zadrżał ze strachu. Nie powiedział jeszcze kuzynom o małżeństwie i nie miał pojęcia, jak na to zareagują. Chwała Bogu, że ten stary rozpustnik zostanie w swoim kamiennym domku. Myślał szybko. Nie zrobi Freegrace'owi i Edwardowi niespodzianki, wyśle im lekkie w tonie liściki informujące, że wstąpił w związek małżeński.

– Przypuszczam, że prędzej czy później musimy zacząć przyjmować. Zatem do dzieła!

Posey wymknęła się z jadalni, mając cel i plan.

48

ZASKOCZENIE JAMESA

Przez dom przetaczał się huragan przygotowań. Pani Tubjoy najęła dwie dodatkowe dziewczyny. Czyściły srebra, myły najlepsze talerze w wodzie z octem i wycierały je lnianymi ściereczkami, polerowały kieliszki z odcisków palców. Podkuchenna paliła i mełła najlepszą zieloną kawę, rozbijała głowy cukru na kryształki. Pani Tubjoy posadziła jedną z dziewcząt do wyjmowania pestek z winogron, a drugą do wyłuskiwania symetrycznych jąder pekanów ze skorupek. James i Will Thing pojechali do odległych lasów, żeby nazbierać gałęzi zielonej sosny na ozdoby, gdyż był już grudzień. Posey zaangażowała kwartet smyczkowy do umilania czasu grą, co było w dobrym tonie. Dwa dni przed wyznaczonym na przyjęcie piątkiem przed kuchennymi drzwiami stanęli ludzie ze skrzyniami drozdów, gołębi i kaczek, sześcioma dzikimi indykami i dwoma sarnimi udźcami. Podkuchenna i jej pomocnice nie spoczęły do późna, skubiąc drób i odkładając ptaki do zimnej spiżarni. Dostawca przywiózł imbir, cytryny, gałkę muszkatołową, ziele angielskie i belgijską endywię ze szklarni. Już w piątek

przywieziono homary i słodkie ostrygi – wszystko bardzo cenione, bo coraz rzadsze.

– Dobry Boże… – westchnął James. – Tego jedzenia starczyłoby dla całego pospolitego ruszenia.

– Nie chcemy sprawiać wrażenia biedaków, czyż nie? – zapytała Posey. – Zapytaj, proszę, Jasona… – nowego lokaja – … czy wystarczy nam trunków?

– Wystarczy – odpowiedział James, który przez cały tydzień nadzorował dostawy galonowych butli wina, ćwierćgalonowych butli wina, a także zwykłych butelek i karafek. – Nasi goście na pewno się zatoczą… jeśli nie od wina, to ze zdumienia.

///

Wybiła godzina i Jason wprowadził pierwszych gości: mecenasa Hugh Trumbulla i panią Trumbull.

– Mój Boże, James, jaką masz wspaniałą żonę i jak dobrze zrobiłeś, żeniąc się – szepnął pan Trumbull, rozglądając się po ciepłym salonie i mierząc wzrokiem Posey w czerwonych jedwabiach, karafki stojące na kredensie, sto płonących woskowych świec i przyniesioną prosto z kuchni paterę z parującymi pasztecikami nadziewanymi homarem. – Wszystko wygląda doskonale, o wiele radośniej niż wtedy, gdy przyjmował tu twój świętej pamięci ojciec. Oczywiście nie był zbyt towarzyski. Cieszę się, że otwierasz dom.

James przyniósł pani Trumbull kieliszek starego *jerez* i dopilnował, żeby usiadła przed kominkiem. Posey w sukni prosto z Nowego Jorku przysunęła sobie krzesło i oczarowała starszą panią, pytając ją o zdanie na temat aksamitnych zasłon w kolorze borowikowym: czy nie należy przypadkiem zmienić koloru na burgund? Bądź też oceaniczny błękit?

Przy drzwiach zrobiło się tłoczno, zjawił się Freegrace z Lenore, szli teraz uśmiechnięci ku pannie młodej, ale Posey odpowiedziała im tylko wymuszonym uśmiechem, gdyż pochłaniała wzrokiem prostą empirową suknię jasnowłosej Lenore, ozdobioną jedynie sznurem dużych pereł wiszących na śnieżnobiałej szyi.

– Piękna suknia – pochwaliła Posey. – Czy z Nowego Jorku?

– Och, nie. Z Paryża. Wyjeżdżam tam każdej jesieni po nowe stroje.

Edward i Lydia przyszli w towarzystwie Lennarta Vogela i Cyrusa Hempsteada. Żaden z nich nie miał jeszcze żony, choć mówiło się, że Cyrus utrzymuje kolorową kochankę. Przyprowadzili jednak partnerki: Cyrus prowadził Sarę Close, drugą kuzynkę o młodziutkiej twarzy, a Lennart wdowę po swoim księgowym, Marthę Scoot.

Za plecami Cyrusa James wypatrzył jeszcze jakąś postać i stwierdził z przerażeniem, że ma przed sobą teścia w pogniecionym i poplamionym ubraniu. Spodnie w paski z tysiącami okropnych zakładek były tak powypychane, że ukrywały

wielki brzuch i mogłyby jeszcze zmieścić frak w prążek z wysokim kołnierzem. Gdy zastanawiał się, jak przedstawić tego jegomościa kuzynom, Edward dostrzegł Breeleya i zwrócił się do niego jak do dobrego znajomego:

– Panie Breeley! Przyniosę panu kieliszek rumu, żebyśmy mogli kontynuować naszą pogawędkę.

Znali się niewątpliwie i przedstawiali sobie po drodze resztę towarzystwa. Przez resztę wieczoru siedzieli razem, pili, jedli i rozmawiali jak najbliżsi przyjaciele. James podejrzewał, że pan Breeley nie wyjawił swych powiązań z Nowym Brunszwikiem. Trzeba to zrobić natychmiast bez względu na nieprzyjemne skutki, czekał więc na odpowiedni moment, pałając szczerym gniewem na starego szalbierza mydlącego Edwardowi oczy. Przy obiedzie Edward i Breeley usiedli ramię w ramię, rysując diagramy na obrusie z adamaszku palcami moczonymi w winie. Edward siedział z prawej strony Posey i w przerwach rozmowy z jej ojcem, wymieniał z żoną Jamesa lekkie uwagi, wpatrując się w jej wspaniałe oczy niczym zakochany młokos – myślał z pewnym niesmakiem James. Nigdy nie widział Edwarda tak elokwentnego, tak czarującego i uśmiechniętego.

– Cóż, Edwardzie – odezwał się głośno James. – Widzę, że ty i pan Breeley macie mnóstwo wspólnych zainteresowań.

– Owszem, mamy – zgodził się Edward. – Muszę przyznać, że jestem przyjemnie zaskoczony tego wieczoru, bo pan Breeley doskonale zna się na handlu drewnem. Bardzo pouczające są dla

mnie zapatrywania kogoś, kto zajmował się tym w Nowym Brunszwiku.

Wszyscy obecni wymienili uśmiechy, a najszerzej uśmiechała się Posey o wydatnych czerwonych wargach. James zauważył, że wsunęła dłoń pod obrus, zauważył zaskoczoną minę Edwarda i jego natychmiast czerwieniejące policzki. Freegrace również to zauważył i zastukał łyżeczką o siekacze.

– Piękna jesień – wymamrotał Edward do starego rozpustnika u swego boku, który skrzywił się, nic nie rozumiejąc, ale przyznał, że owszem.

Później, gdy panie poszły na górę do saloniku Posey na chińską herbatę i tort z kremem, Edward wziął Jamesa na stronę i oznajmił:

– Uważam, że postąpilibyśmy całkiem rozsądnie, zapraszając pana Breeleya do rady. Jego spostrzeżenia są nieocenione i ma bardzo praktyczne i twarde podejście do złodziei drewna. Podoba mi się. A poza tym znalazł się w rodzinie. A Posey, doprawdy czarująca kobieta, również zna się na interesach. Nadzwyczajny rodzic nadzwyczajnej córki!

Ha, pomyślał Edward, gdybyś tylko wiedział, jak bardzo oboje są nadzwyczajni! Ale Edward ścisnął jego dłoń i szepnął:

– Dziękuję ci, Jamesie, że nas ze sobą poznałeś.

James miał przed oczami bardzo nieprzyzwoite wyobrażenie.

W następnych tygodniach Edward coraz częściej zachodził do Posey na herbatę, pytał, czy nie wybrałaby się z nim obejrzeć

kurioza wykopane przy budowie drogi albo czy nie doradziłaby mu w sprawie wyboru prezentu, który miał zamiar sprawić Lydii. Wyglądało na to, że spędzają ze sobą każde popołudnie, już to w saloniku Posey, już to na przejażdżkach. Często towarzyszył im Phineas Breeley. James nie chciał wiedzieć nic więcej.

Przez następną dekadę Posey stała się gospodynią wytwornego salonu w rodzaju tych, jakie prowadzą majętne damy, a przyjęcia u Duke'ów słynęły z egzotycznych potraw, orientalnych kwiatów, najelegantszych sreber i kryształów oraz wyrafinowanych rozrywek zapewnianych przez kwartety smyczkowe i znanych śpiewaków, a raz nawet przez człowieka w turbanie, którego goły tors oplatał boa dusiciel.

– Kto jeszcze? – wściekał się James, który gardził cyrkowcami. – Włoch z katarynką? Tresowany niedźwiedź z pozłacanymi oczami? Te szaleństwa jasno dowodzą, że wzięłaś się prosto z puszczy w Nowym Brunszwiku.

Ale takie wybuchy były czymś niezwykłym, gdyż Duke'owie osiągnęli przez lata swoistą równowagę wolną od kłótni i napadów furii, jeśli te nie zostały sprowokowane, na przykład przez mężczyzn w turbanach z boa dusicielem na torsie.

W roku 1825 w ich życiu wydarzył się cud – Posey uznawała to za cud, bo liczyła już pięćdziesiąt jeden wiosen. Małżeński spokój i równowaga zaowocowały narodzinami Lavinii, ich jedynego dziecka, którego nikt się nie spodziewał. James był oczarowany

przyjściem na świat córki. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na gęste czarne włosy dziecka i swoje własne rysy – rysy dziadka dziewczynki, Sedleya – by mieć pewność, że Lavinia jest jego własną córeczką, którą może pokochać całym sercem.

Macierzyństwo wyzwoliło w Posey jakieś głębsze uczucia i sprzeciwiła się pomysłowi najęcia niani – stwierdziła, że sama będzie opiekować się niemowlęciem. Wydawała niekończące się przyjęcia i prowadziła ożywione życie towarzyskie, które było dla niej wszystkim, stając się kimś w rodzaju bogini matki, bo biegała przy tym do kuchni, żeby posmarować maleństwu chlebek dżemem. Lavinia była błyskotliwą i grzeczną dziewczynką, którą mogli kochać oboje rodzice bez konieczności kochania siebie nawzajem. Serdeczna atmosfera panująca w domu często sprowadzała w ich progi starych kuzynów wraz z żonami, natomiast Phineas Breeley otrzymał zakaz zbliżania się do dziecka.

– Są po temu ważne powody – oznajmiła ojcu Posey i po kilku miesiącach takiego odrzucenia stary wyjechał do Nowego Brunszwiku w bardzo złym humorze.

Gdy Lavinia skończyła pięć lat, Posey zgodziła się na zagraniczną guwernantkę, pannę Chess, przysadzistą Angielkę o donośnym jak dzwon głosie i złocistych, splecionych w warkocz włosach piętrzących się jak wieża na jej głowie. W tym samym roku James sprawił córeczce posłusznego kucyka – coś, o czym sam marzył przez całe nieszczęśliwe dzieciństwo.

VII

POŁAMANE PATYKI

1825–1840

49

OGROMNY POŻAR

Od czasu gdy Selowie pracowali nad Gatineau, Maine uwolniło się od Massachusetts, choć wielu spodziewało się otwartej wojny z Zatokowym Stanem[21]. Zapowiadał to meteor sypiący krwawymi iskrami po niebie. Ale nic się nie wydarzyło i Maine zaludniało się coraz gęściej nie tylko prymitywnymi drwalami urządzającymi sobie regularne trzydniówki, ale i robotnikami leśnymi, handlarzami ziemią, przybyszami z Bostonu kupującymi z ochotą coraz mniejsze kawałki lasów sosnowych oraz ostrzącymi sobie zęby na świerki i modrzewie, korę z choiny i drzewa liściaste. Lasy sosnowe, które przetrwały były nieliczne i daleko położone, ale tworzył się rynek na inne gatunki drewna. Chodziło o to, żeby jak najprędzej oczyścić ziemię ze zjadanych przez kornika lasów i zgarnąć zysk. Wszędzie jak okiem sięgnąć dzielono wielkie połacie lasów na małe parcele, a setki tysięcy akrów zamieniano w pokryte pieńkami i kikutami drzew poręby. Przecinki oczyszczały zacienione niegdyś brzegi rzek, wystawiając wodę na promienie słoneczne. Zamulone rozlewiska i żwirowe ostrogi płoszyły pstrągi. W miasteczkach roiło się od hałaśliwych barów,

jadłodajni, hoteli i lupanarów, a wiosną i latem niósł się łomot spławianych kłód. Tartaki pracowały dzień i noc, piły nieustannie naprawiano, a groźba pożarów była wszechobecna. Niezliczone wozy i platformy wiozły pocięte drewno na nabrzeża. Bangor stał się światowym centrum transportu drewna.

Przez stan wiał niczym burza piaskowa szalony zapał do wynalazków i ulepszeń. W manufakturach gontu używano małych tarczowych pił, a ludzie byli gotowi przysiąc, że wkrótce nadejdzie pora, gdy piły tarczowe zastąpią stare piły dwuręczne, a nawet klobzegi. W tartaku nad Kenduskeag pracowała już czterdziestoośmiocalowa piła tarczowa, taka sama obracała się w Waterville, a ludzie mówili, że piła ta tnie – aż trudno uwierzyć! – cztery tysiące stóp deskowych drewna na godzinę. Maszyny parowe zdobywały świat. W Bostonie nowe lampy gazowe oświetlały ulice tak jasno jak w południe. Postęp był zbyt wielki, żeby za nim nadążać. Amboise i Jinot Selowie – Josime wciąż mieszkał na odległej wyspie Manitoulin – nie byli jego zwolennikami i po jednym sezonie nad niemal całkiem ogołoconą z drzew rzeką Penobscot, wśród ciągle utyskujących farmerów-drwali, wyprawili się do Nowego Brunszwiku, gdzie w staromodnych obozowiskach drwali wciąż panowała klauzurowa cisza i gdzie spotkali innych Mikmaków o wystających kościach policzkowych, prowadzących synkretyczny żywot ludzi lasu i drwali. Ich naród nie potrafił już się obejść bez towarów i

pożywienia białych; zamiast polować i samemu wytwarzać rzeczy, Mikmakowie musieli pracować za pieniądze.

Jinot potrafił zrąbać cienką sześciocalową sosnę w mniej niż minutę. Padały jedna po drugiej te małe sosny. Wciśnięci pomiędzy świat białych a własną zapomnianą i znikającą kulturę, bracia wrócili do życia w lasach. Amboise był bardzo podatny na rum. W obozie zawsze był trzeźwy i rozsądny, ale gdy wracali na południe, żeby odpocząć, stawał się Pijanym Indianinem leżącym w rynsztoku, a dzieci dokuczały mu, wsadzając zapalone drzazgi między paluchy stóp.

Któregoś roku Jinot wybrał się nad zatokę Penobscot niczym człowiek pragnący odwiedzić stary dom. Stanął przed domem Duqueta, chcąc na niego popatrzeć. Nic nie czuł. Dom chylił się ku ruinie, dach zapadł się, a na podwórku stały dwa rozklekotane wozy. Ale ktoś tu mieszkał, bo zauważył psy pod gankiem, a na sznurku suszyły się prześcieradła. Czy to Elise? Obszedł dom kilka razy, nie mogąc zdobyć się na zapukanie do drzwi. Ale w osadzie były teraz dwa sklepy i zaszedł do jednego z nich, żeby kupić tytoń.

– Ci, co mieszkają w starym domu z bali nad wodą… to rodzina doktora Hallaghera z dawnych czasów?

Stary sprzedawca – żółty jak palce po orzechach, chudy i wysoki – podniósł ku niemu głowę.

– Mieszkali tu faktycznie. Przenieśli się do Bostonu jakieś pięć-sześć lat temu. Ludzie nad zatoką nie chorują, doktor nie ma tu co robić. A musiał wyżywić dzieciaki.

– Dużo tych dzieciaków?

– No, jasne! Przecież to była Indianka, więc nic… – Urwał, zdawszy sobie sprawę, że człowiek, z którym rozmawia, mógłby poczuć się urażony tym, co chciał powiedzieć. Sam miał jakichś odległych indiańskich przodków. Zmrużył oczy i przyjrzał się uważniej Jinotowi.

– Jesteś krewnym?

– Ta. To moja siostra. Dawno jej nie widziałem.

– Pojedziesz do Bostonu, to może ją znajdziesz. Nie wiem, kto teraz mieszka w tym domu. Myślę, że Elise go sprzedała albo podarowała Francisowi Selowi, bogatemu nadętemu sukinsynowi. Zapytaj go. Dom do niego należy, wynajmuje go. Sam mieszka obok tartaku. Bo tartak też do niego należy. Jak będzie miał dobry nastrój, to ci odpowie. – Zastanawiał się nad czymś przez chwilę i dodał: – Ale jeśli Elise jest twoją siostrą, to Francis jest twoim bratem, nie? Lepiej idź i sam go zapytaj.

Ale Jinotowi nie zależało na spotkaniu z Francisem-Outgerem. Gdyby młody Édouard-Outger był w domu, może byłoby i warto, ale sklepikarz wspomniał, że bratanek pracuje gdzieś w leśnych obozach. Jinot nie wybrał się do Bostonu. Wrócił do lasów

Miramichi. Ale nie do Mikmaków. Lepiej jest w obozowiskach drwali.

Zima była sucha i mroźna, ale nie padało już tyle śniegu, co w dawnych czasach. Dzięki temu praca w lesie była łatwiejsza, jeśli nie liczyć zwożenia kłód na rzekę. Ściągali kłody nad wodę nocami, gdy było mokro i ślisko. Kiedy drwale jedli śniadanie, woźnica jadał obiad i opowiadał o widzianych rysiach albo – raz – o czarnej pumie, której oczy lśniły żółto w świetle księżyca, a potem zgasły jak płomień świecy.

Toczyli kłody do płytkich potoków. Drewno zahaczało o żwirowe ostrogi, a że było gorąco, odrywanie kłód od przeszkód okazywało się niełatwe. Oślepiały ich rozbłyski słońca na wodzie, a gdy wracali do lasu, cień pulsował zielonkawą poświatą.

– Do diabła! Gorąco jak przy sianokosach!

Gdy połowa spławianych kłód zaczopowała się na rzece w oczekiwaniu na ulewny deszcz albo następną wiosnę, farmerzy wracali do swych gospodarstw, skarżąc się:

– To dopiero czerwiec, ale nigdy nie było w czerwcu tak gorąco i sucho.

Nie wschodziły nasiona. A te, które wzeszły, więdły bez deszczu. Wysychały studnie. Kobiety nabierały wodę z płytkich na cal potoków, żeby podlewać ogródki, ale gdy nadszedł długi upalny sierpień, rośliny schły i więdły. We wrześniu zeschły rozesłane pędy ziemniaków, kolby kukurydzy sczezły jak papier, co

zapowiadało głód zimą. Nawet bezbożnicy wznosili modlitwy do bezchmurnego nieba.

Jedyną robotą na farmach było dalsze karczowanie lasów. Praca jest lekarstwem na każde zmartwienie. Ale przy tej pracy nie było co pić. Twardzi francuscy i angielscy farmerzy przez pokolenia palili ugory i nie widzieli powodu, żeby cokolwiek zmieniać. Palenie było częścią uprawy ziemi – żar pochłaniał oczyszczane przez miesiące przecinki, sterty suchego drewna i wyschniętych trzcin z osuszonych bagien. Najprostszy sposób oczyszczenia lasu polegał na podłożeniu ognia i powyrywaniu z ziemi zwęglonych pni. Podczas tej suchej jak pieprz jesieni, gdy zwiędłe chwasty zamieniały się w pył, a ostre trawy rozpadały się przy najlżejszym nadepnięciu, setki osadników jak zwykle podkładały ogień na karczowiskach.

W obozowiskach drwali pomocnicy budowali drogi na zimową wycinkę. Większość paliła fajki, a wystukiwany z nich na ziemię żar wzniecał szybko małe pożary. Zazwyczaj pozwalano ogniowi płonąć. Pożary były nieuniknione. A osadnicy przyjmowali z radością wieść o kolejnym spalonym kawałku lasu.

Na początku października powietrze było fioletowe od dymu, gorące i tak wilgotne, że nie schły przepocone koszule. Każdy poruszał się ospale i narzekał na niegojące się rany i odparzenia od potu. Drwale wypijali galony wody z płytkich potoków, a długie włosy przylepiały im się do głów. Nie chłodziły ich wieczorne

bryzy, wszyscy leżeli pokotem na cuchnących posłaniach, modląc się o koniec upału.

Siódmego dnia października ich modlitwy zostały wysłuchane: suche powietrze z zachodu przecięło niewidzialną graniczną barierę, napotykając na swej drodze stojące wilgotne masy. Wiatry zaczęły się wściekle mieszać, pompując tlen niczym tysiące miechów w niezliczone małe pożary.

Amboise i Joe Martel, stary znajomy znad Penobscot, najęli się do pracy u wykonawcy nad rzeką Nipisiguit. Amboise lądował w areszcie w Bartibog za każdym razem, gdy opuścił obóz. Wiele mil na południe nad Miramichi Jinot i inny półkrwi Mikmak o przydomku Joe Wax, a także okrzesujący gałęzie Swanee o byczym karku, pracowali dla jednorękiego starego Lew Greena.

Brygada Jinota dotarła do wyznaczonej parceli dwie mile od szałasu i zaczynała przedstawienie. Tam, gdzie rąbali, teren był stosunkowo równy, ale na zachód i południowy zachód od nich wznosiły się strome wzgórza i niedostępne jary porośnięte gęstym lasem, pokryte zwalonymi drzewami i gałęziami, i nieprzeniknionym poszyciem. Tamtego ranka Swanee położył fajkę na starym pieńku i podpalił go niechcący, zanim podniósł fajkę. Małe kłębki dymu wznosiły się spiralnie w każdą stronę – zawsze gdzieś się paliło. Pozwolili pieńkowi płonąć. Jakby chcieli zapalić fajkę, wystarczyło przyłożyć suchą drzazgę do żaru, żeby ją rozpalić. Nagły podmuch wiatru z południowego zachodu sprawił,

że pieniek w kilka sekund stanął w płomieniach. Stali zdumieni, patrząc na wznoszącą się coraz wyżej kolumnę ognia. Wtedy usłyszeli ten dźwięk – odległy grzmot, a potem łoskot, jakby ktoś spuszczał kłody w dół stoku. Łoskot ten trwał i trwał, i stawał się głośniejszy.

– Co to jest, do cholery? – zapytał Swanee. Wiatr się wzmógł i przygiął kolumnę ognia nad pieńkiem do ziemi. Ogień rozlał się po ziemi jak woda. Na południowym zachodzie widzieli kłęby czarnego dymu. Nad głowami fruwał popiół i rozżarzone iskry. Joe Wax wyciągnął rękę na południe, a Jinot ujrzał coś, czego nigdy nie miał zapomnieć. Za sosnowym grzbietem wznosiły się wielkie jak góry kłęby dymu, a za szczytem wzgórza narastała jasność wydobywająca z ciemności poszarpane obrysy koron drzew. Potężny łoskot zamieniał się w huk i pojęli ze strachem, że to wiatr do spółki z ogniem daje ten koncert spalania. Rozległ się rumor przypominający chrapliwy oddech z głębi piekieł i cały mierzący pięć mil grzbiet wzgórza stanął w pomarańczowych płomieniach wspinających się w niebo po sosnach. Jeden z nich oderwał się od reszty i skoczył najwyżej. Na mężczyzn spadł grad płonących gałęzi i węgli. Strumienie ognia podpełzły do drzew, które mieli rąbać. Wybuchła gdzieś w pobliżu sosna. Ogłuszał ich ryk zbliżającej się pożogi i wycie huraganowego wiatru. Pękały drzewa. W tym wielkim piecu nic nie przetrwa.

– Do rzeki! – ktoś krzyknął. – Biegiem!

Rzeka płynęła pół mili za szałasem drwali. Mieli przed sobą daleką drogę, a ogień ścigał się z nimi, rycząc i buchając, rzucając w nich gorącymi iskrami i wyprzedzając ich raz po raz. Czuli się tak, jakby goniła ich wściekła demoniczna bestia, a Jinot był przerażony. Widział płonące włosy Joe Waxa, który nie zważając na ból, biegł, biegł przed siebie. Potykając się i upadając, minęli szałas, którego dach już się zajął. Kucharz, Victor Goochey, stał w drzwiach z długim widelcem w ręku.

– Rzeka! – wrzasnął Swanee i pobiegł dalej. Kucharz stał sztywno nieporuszony, wpatrując się w skaczące pożądliwie płomienie za ich plecami. Jinot domyślił się, że człowiek ten się nie ruszy, więc skręcił i podbiegł do niego, wypchnął go z progu, krzycząc:

– Uciekaj! Uciekaj! Uciekaj! Uciekaj!

Wskoczyli do rozlewiska, w którym kucharz często łowił ryby. Woda była ciepła, ale na tyle głęboka, że mogli zanurkować, wypłynąć i znów zanurkować. Woźnica stał w rozlewisku z wołem, dzieląc je z kilkoma jeleniami, dzikim kotem i małym czarnym niedźwiadkiem. Przybiegł kucharz z długim widelcem w ręku, w dymiącym tłustym fartuchu.

– Szałas płonie – wrzasnął i wskoczył do wody.

Joe Wax dotknął nadpalonej i poparzonej głowy. Brudna od sadzy woda obmywała mu szyję i twarz. Łkał z bólu.

– Dostałem za swoje, dostałem.

Ogień skoczył nad rozgrzaną rzekę, płycizny zawrzały. Wiatr zmienił na szczęście kierunek, a płomienie dalej pożerały okolice. Zapadła noc, a rozlewisko rozświetlała wielka jaskrawa pożoga. Nad ranem wiatr zelżał i w pierwszych strasznych promieniach słońca Jinot ujrzał wirujący i falujący popiół. W rozlewisku pływały śnięte ryby. Kucharz, który nie wypuścił widelca, przykucnął na płyciźnie obok niedźwiadka i tłumaczył mu coś cichym głosem. Joe Wax dryfował twarzą do dołu, na potylicy miał potężną, czerwoną niczym satynowa poduszka, otwartą ranę. Swanee gdzieś zniknął. Jinot chciał go zawołać, ale miał opuchnięte gardło i głos uwiązł mu gdzieś w środku. Napił się trochę wody z rzeki, zauważając przy tym obojętnie, że ma pomarszczone od długiego stania w wodzie dłonie i ręce, a oprócz tego cały jest pokryty pręgami i oparzeniami. Miał dziwnie zesztywniałe nogi, ale brodząc w wodzie, doszedł jakoś do Joe Waxa i potrząsnął go za ramię. Wszystko na nic, szarpał trupa. Niedźwiadek nagle wyskoczył z rozlewiska i rycząc, wspiął się na brzeg, pobiegł po spalonej ziemi, wznosząc tumany popiołu, który osiadał na mokrym futrze. Biegł ku straszliwej, powłóczącej nogami postaci schodzącej ze wzgórz, ślepej na jedno oko niedźwiedzicy za spalonym niemal na całej, pokrytej oparzeniami skórze futrem. Minęła niedźwiadka i zsunęła się do rzeki, wpadła do wody, usiadła i zaczęła pić. I pić.

Woźnica, Jinot i Victor Goochey wyszli z rzeki i ruszyli w daleką drogę do Fredericton. Przeszli pół mili, gdy Jinot pojął

wreszcie, że ma poparzone nogi. Ze zwęglonych portek niemal nic nie zostało, a miejscami osmalona wełna wpiekła się w skórę. W rzece niemal nie czuł bólu, ale na powietrzu pełnym krupiastego popiołu drażniącego otwarte rany ból narastał falami. Opuściły go siły i upadł.

Leżał nagi na trzcinowej macie. Nad głową widział brzozową korę wznoszącą się ukośnie ku pękowi tyczek i poczerniałemu od dymu otworowi. Zastanawiał się nad tym przez długi czas. Uświadomienie sobie tego, gdzie się znalazł, trwało bardzo długo, bo co i rusz tracił przytomność: po raz pierwszy w życiu leżał w *wikuomie*. Był sam. Piekły go oczy, ale nie stracił wzroku. Czuł jakiś słodki zapach, który skądś znał – kojarzył mu się z brzegami stawów. Nogi swędziały go i bolały nieznośnie, a myślenie sprawiało mu kłopot i gasło. Gdy znów się obudził, ujrzał łagodne światło. Zapadał zmrok. Czuł miód, czuł nawet jego smak. Chciał dotknąć palcami warg, ale nie mógł podnieść ręki. Opadła i leżała bezwładnie. Swędzenie nóg nie ustawało, bardzo był spragniony. Znów zasnął, a gdy się ocknął, poczuł, że do obolałych ust kapią cudownie słodkie krople.

Obudziło go wycie wiatru. Na dworze szarówka. Przypominał sobie powoli urywki pożaru, poparzone nogi, Victora Goocheya z widelcem, spuchniętą zakrwawioną potylicę Joe Waxa. Chciał poruszyć nogami, ale były jakby zlepione. Czuł zapach miodu. I słodki aromat mokradeł.

Przemówił jakiś głos, ale nie rozumiał słów. Wydało mu się, że to język Mikmaków, ale nie miał pewności, bo niemal wszystko zapomniał. Ktoś podparł go ramieniem i uniósł, przycisnął mu kubek do ust. Płyn smakował świeżą sosnową żywicą, działał kojąco, a gdy wypił, ogarnęło go wielkie znużenie i znów zapadł się w ciemność, ale przedtem poczuł zapach i dotknięcie miodu kapiącego na nogi.

Znacznie później, wiele dni albo tygodni – nie mógł tego wiedzieć – wybudził się z leczniczego letargu i ujrzał przed sobą szerokie oblicze Mikmaka, mężczyzny w średnim wieku, może nieco starszego od niego. W półprzymkniętych oczach krył się zdystansowany chłód kogoś, kto często stykał się z cierpieniem.

– Gdzie ja jestem? Kto…? – wyszeptał Jinot.

– *Inui'sit*? *Parlez Mi'kmaw*? – zapytał mężczyzna.

– Nie, znam tylko kilka słów.

– *Français*?

– *Un, deux, trois, quart – c'est tout.*

– Tak. – Mężczyzna milczał przez długą chwilę, a potem odezwał się smutnym zrezygnowanym głosem po angielsku: – Jesteś w Indiantown. Nad Shubenacadie. Ludzie przynieśli cię tu związanego jak indyka. Poparzone nogi. Nazywam się Jim Sillyboy. Pomagam poparzonym. Sam byłem poparzony, *enfant* wpadłem w ogień. Znam ból. Teraz poparzeni przychodzą do mnie: Mikmakowie, Irokezi, nawet biali. Niektórych leczę. Niektórzy

umierają. Jak mocno poparzony, umiera. Ty niemocno. Kiedyś wstaniesz.

Dawno temu Jinot słyszał nazwę Shubenacadie, tak nazywała się rzeka i jezioro w Nowej Szkocji na terytorium Mikmaków. Ale jak trafił tu z Nowego Brunszwiku? Kto go tutaj przyniósł? Ten kucharz, Victor Goochey? I co Jim Sillyboy miał na myśli, mówiąc „kiedyś wstaniesz”? Oczywiście, że wstanie! Będzie chodził, będzie tańczył na kłodach, gdy tylko odzyska siły. Nie raz i nie dwa odniósł na wyrębie i spławie rany, ale rany goiły się szybko. Chciał się dowiedzieć, co z ogniem.

– Wielki pożar… – tylko tyle zdołał powiedzieć.

– Prawda, prawda, *grand incendie*. Nowy Brunszwik. Cały spalony. – Znów zapadła długa cisza, a potem Jim Sillyboy westchnął ciężko.

– Jutro może zaczniemy czyścić nogę, obie. Sprawdzę, czy poruszasz nogami. Teraz pij lekarstwo. Śpij. Sen dobry na poparzenia.

Przez następne dni Jinot dowiedział się, że Jim Sillyboy był słynnym znachorem leczącym ludzi z poparzeń. Przychodzili do niego z bardzo daleka, przynosząc dzieci poparzone gorącym olejem, pijaków wyciągniętych z ognisk czy drwali wyniesionych z płonących szałasów. Teraz leczył pięciu z pożaru znad Miramichi. Ten *wikuom* i trzy podobne służyły mu do leczenia. Pomagał mu syn, Beeto, który zajmował się poparzonymi.

– Poparzenie długo boli. Bardzo długo.

Dwaj pozostali synowie Jima Sillyboya przemierzali lasy w poszukiwaniu barci, bo miód był niezbędny w leczeniu oparzeń.

– Używam dużo miodu.

Nie brał pieniędzy za leczenie, chociaż był ubogi.

– *Kji-Niskam* mówią, miejsce duchów. Czarne szaty, mówią bracia, pomagam, czynię dobro.

Nie mówił zbyt dobrze po angielsku.

Jinot dowiedział się wkrótce, że większość mieszkańców Indiantown była biedna i znajdowała się w rozpaczliwym położeniu, gdyż wszystkim brakowało jedzenia. Stare tereny łowieckie zostały zniszczone, zwierzyna wybita, strumienie i rzeki, w których pływały łososie, zaczopowano kłodami drewna, korą i trocinami z tartaków.

– Teraz – powiedział Sillyboy – ludzie już nie chcą żyć jak kiedyś, chcą zakładać ogródki jak biali, żeby było co jeść.

– Nasz wódz płynie do Londynu, rozmawiać z królem. Pytać, jak założyć *jardin*. My nie wiemy. Ale chcemy spróbować.

Czy Mikmakowie chcą żyć zupełnie jak biali? Jinotowi przypomniał się nagle Amboise, jego zgorzkniały brat, który z całej kultury białych najbardziej lubił bary, jeśli musiał lubić cokolwiek. A Martel, co z ich towarzyszem Joe Martelem? Czy pożar dotarł do Bartibog? Gdy Jim Sillyboy zjawił się wieczorem, Jinot zasypał go pytaniami:

– Czy nikt nie może opowiedzieć mi o pożarze? Mówiłeś, że spłonął cały Nowy Brunszwik? Ale to niemożliwe, cały Nowy

Brunszwik nie mógł się spalić. Nowy Brunszwik *très* duży i wiele w nim płynie *rivières* – przypominał sobie francuskie słowa.

– Mówili, że wszystko spłonęło. Poszukam kogoś. Żeby ci powiedział. Może znajdę tego, co cię przyniósł.

Następnego dnia Sillyboy spłukał miód z nóg Jinota. Przewrócił go na bok i oznajmił, że tył prawej nogi wygląda najgorzej.

– Duża blizna zostanie, myślę.

Jinot wcale się tym nie przejął. Wszyscy mieli blizny, a od blizn się nie umiera. Blizny dowodziły, że umie się przeżyć. Ale wraz z upływem tygodni i miesięcy przekonał się, jak okrutne bywają blizny. Poruszał się przez nie jak żywy trup, pokryty bliznami tył prawej nogi kurczył się boleśnie, prawie uniemożliwiając chodzenie. Gdy wstał po raz pierwszy, z ogromnym bólem postawił zaledwie kilka chwiejnych kroków. Blizny przykurczały nogi w nienaturalnej pozycji.

Przez całą zimę leżał w *wikuomie*. Na początku rekonwalescencji Jim Sillyboy oglądał swędzące rany i tłumaczył słowami i gestami, że blizny są jeszcze „za bardzo *enfant*", żeby je masować, zmiękczać i rozluźniać. Zajmie się tym Beeto, robi to doskonale. Będzie używał specjalną maść, którą Jim Sillyboy sporządza z *mila-l'uiknek* – siedmiu gatunków leczniczych ziół, korzeni, kory i igieł. Przygotuje też inną dobrą maść z tłuszczu bobra i żywicy *kjimuatkw* – białego świerku. Nauczy Jinota sporządzać przydatne wywary i napary z pożytecznych składników. Blizna stała się teraz jego panem i będzie musiał

zajmować się nią przez całe życie. Pożar stał się punktem zwrotnym jego egzystencji. Miał absolutną pewność, że nic – zupełnie nic – nie będzie już takie samo.

///

Pewnego dnia, gdy siedział przed leczniczym *wikuomem* na specjalnie sporządzonym stołku, odwiedził go gość. Tyczkowaty mężczyzna nadchodził ścieżką, stawiając długie kroki. Jinot nie wiedział, kim jest ten człowiek, ale z miejsca go znienawidził za zdrowe nogi. Mężczyzna stanął przed nim.

– Pamiętasz mnie? Vic Goochey. Mam na nazwisko Gautier, ale mówią na mnie Goochey. Byliśmy razem w pożarze nad rzeką. Przywiozłem cię tu z Lew Greenem. Na cholernym wozie, który ciągła stara kara szkapa. Lew też jest poparzony, wiesz? Jak większość naszych. Ale Lew słyszał o tym Indianie, Jimie Sillybubie, co leczy oparzenia. A ja i tak musiałem się wydostać z Nowego Brunszwiku, bo wszystko tam spalone i śmierdzi, więc przywieźliśmy cię tutaj. Lew Green spalił se całe lewe ucho, ale Sillyboy go uleczył. Nie ma co prawda ucha, tylko kawałek skóry, ale już się podniósł i ma się całkiem dobrze. Miarkuję, że tak samo będzie z tobą. Przybiegłeś po mnie, biegnąc nad rzekę. Chciałem zostać w tym szałasie, bo myślałem, że ogień nie dojdzie, ale jak przybiegłeś, krzycząc: „uciekaj, uciekaj", zmieniłem zdanie. Więc żyję i nic mi się nie stało. Pamiętasz tę

spaloną niedźwiedzicę? Padła, ale niedźwiadek i tak ją ssał. Straszny pożar.

– Bóg mnie oszczędził – odrzekł Jinot. – Opowiedz mi o tym pożarze. Duży był? Co mówią? Mam brata, Amboise'a, pracował nad Big Bartibogue.

– Niedobrze. Ogień strawił całe obozowisko. Mówią, że spłonęły trzy miliony akrów dobrego drewna. Miasta, domy, więzienia, obozowiska drwali, tartaki. Pół Fredericton.

– Amboise i Joe Martel… – mruknął Jinot. – Mój brat i przyjaciel. Niemożliwe, żeby zginęli w pożarze.

– Musieli. Ponad sto osób poszło z dymem.

Jinot zakrztusił się. Goochey czekał. Westchnął, żeby wyrazić współczucie dla bliskich Jinota, a potem odezwał się cicho:

– Mieliśmy szczęście, że się nam udało, zwłaszcza ja. Jak twoje nogi?

Jinot pociągnął parę razy nosem, a potem odezwał się surowym gniewnym głosem osoby, która zostawia nieszczęścia za sobą i dalej mierzy się z życiem:

– Powoli dochodzą do siebie. Sillyboy mówi, że to długo potrwa. Mam przykurcz nogi od blizny, więc kiepsko chodzę. Wiele nie zdziałam. – Klepnął się w prawą nogę, żeby pokazać, która ucierpiała najbardziej.

– Przyszedłem się zapytać, czy nie chcesz wrócić na zachód, popracować nad Gatineau?

Jinot nie potrafił przestać myśleć o Amboisie i pokręcił przecząco głową.

– Mówiłem ci, że nic teraz nie zdziałam. I nie mam się w co ubrać, poza tymi rzeczami, które Sillyboy przyniósł od księdza. Nie nadają się do roboty. Ja też nie nadaję się jeszcze do roboty w lesie.

– Cholera, ale umiesz gotować, nie? Takie jest prawo: ci, co nie mogą pracować przy wyrębie, idą do kuchni.

– Umiem ugotować tylko rybę. I nie mogę stać za długo… dwie-trzy minuty góra. Blizna, mówię ci, podciąga mi nogę, nie wiem, jak sobie poradzę. Chcę się stąd wydostać. Sillyboyowie, oni wszyscy, byli dla mnie dobrzy, ale to nie jest dobre miejsce: głód, bieda, nie ma pieniędzy, nie ma pracy, nie ma zwierzyny, nie ma nic. To nie dla mnie. Nigdy tak nie żyłem. Postaram się dostać do drugiego brata na Manitoulin, powiadomię go o tym, co się stało, może coś z nim wymyślę.

– Cholera, Jinot, zabiorę cię tam, jeśli chcesz jechać na Manitoulin. Uratowałeś mi życie. Tego się nie zapomina.

– Muszę się najpierw wyleczyć. Sillyboy mówi, że trzeba jeszcze paru miesięcy, może do jesieni, może zacznę chodzić. Chociaż trochę. Muszę się wyleczyć, jeśli chcę się ruszać. Teraz jestem kaleką.

– Posłuchaj, niech Sillybub cię leczy, a ja później przyjadę po ciebie. Zaczekaj, teraz mamy czerwiec, trwa spławianie drewna,

co powiesz, jakbym wrócił w październiku i sprawdził, jak sobie radzisz? Może ci się polepszy i zobaczymy, co i jak.

Odszedł, a Jinot pomyślał, że Goochey jest dobrym człowiekiem, choć przed pożarem w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Znów zapłakał nad Amboise'em, starszym bratem, pijakiem wspominającym przeszłość, której nie znał. Stracił go na zawsze: Amboise'a, który nie znosił rąbać lasów, ale robił to, bo kiedy do nich wchodził, czuł, że zagłębia się w przeszłość; Amboise'a, który upijał się whiskey, żeby uciec od teraźniejszości.

///

Syn znachora, Beeto Sillyboy, pokazał Jinotowi, co należy robić, poza delikatnym masażem blizn za pomocą zmiękczających maści. Zmusił sztywną, związaną blizną nogę do wyprostowania się, co bardzo bolało; zmuszał ją do tego stopniowo, rozciągając sztywną bliznę, poruszając ostrożnie, bardzo ostrożnie nogą, żeby nie rozerwać sztywnej tkanki. Więc we wrześniu, blisko rok po pożarze, Jinot kuśtykał już powoli. Noga bolała straszliwie, a był to ból jak żaden inny – uparty i zajadły, gniewny i zniewalający – i Jinot przekonał się, że blizna trzyma nogę w napięciu. Więc pewnego dnia zwrócił się do Jima Sillyboya:

– Jakbyś naciął tę bliznę tu, pod kolanem, to mógłbym wyprostować nogę. Ta blizna jest jak krępujący mnie sznur. Jedno małe nacięcie, tam, gdzie najwięcej zabliźnionej skóry, hę?

Ale Jim Sillyboy nie zgodził się na takie nacięcie. Jinot nie nadawał się zatem do pracy w lesie ani do żadnej innej ciężkiej pracy. Nie miał pieniędzy, wszystko przepadło w ogniu, a gdy Goochey wróci, powie mu, że nie da rady z nim pójść. Zostanie w Indiantown do śmierci: biedny, głodny kaleka. Widział przed sobą właśnie taką przyszłość. Ale spróbował raz jeszcze z Beeto Sillyboyem, mówiąc mu, że małe nacięcie usprawniłoby nogę. Beeto uznał, że ma rację.

– Zrobimy to. Przyniosę dobry nóż, stary, kamienny, bardzo ostry.

Następnego dnia przyszedł z groźnie wyglądającym kawałkiem świeżo naostrzonego obsydianu i zrobił nacięcie, nałożył na ranę leczniczą maść i wyprostował nogę, wiążąc ją skórami węgorzy. Po tygodniu Jinot kuśtykał po okolicy i Jim Sillyboy przyznał, że nacięcie przyniosło dobry skutek.

– Ale czasem to nie działa, miałeś szczęście.

– O, tak, mam wielkie szczęście – odrzekł Jinot.

Gdy w październiku zjawił się Vic Goochey, Jinot powiedział mu, że chce wyprawić się do Bostonu, żeby odszukać Elise i zobaczyć siostrzeńców i siostrzenice. Potem odszuka Josime'a na wyspie Manitoulin i policzy jego potomstwo. Rok próby ognia zakończył się dla niego pragnieniem posiadania dzieci.

Goochey popatrzył na niego i zacisnął wargi.

– Chcesz mieć dzieci? Większość ludzi ma dzieci, jak się żeni i robi, co należy. Znajdź sobie odpowiednią dziewczynę i się ożeń.

Ja, cholera, byłem żonaty dwa razy i mam dzieciaki w Bangor i jeszcze dwa w Waterville. Myślisz, że po co pracuję? Wysyłam im wszystko, co zarabiam. Znasz mnóstwo kobiet, widziałem, że przygadujesz sobie całe stada, więc postaw na jedną.

Jinot wiedział, że pomysł z wyprawą do Bostonu jest niemądry. Nie miał pieniędzy, nie wiedział nawet, gdzie szukać Elise w wielkim rojącym się od ludzi mieście. A Goochey stwierdził, że może obiecał mu za dużo, mówiąc, że zabierze go na Manitoulin. Jest mu wdzięczny za ocalenie życia, ale w związku z tym chciałby trochę pożyć.

– Jak tak gadasz o dzieciach, to aż mnie korci, żeby zobaczyć swoje, zacząć coś od nowa. Ale będę miał oczy otwarte, może znajdę jakąś robotę, do której się nadajesz. Wiem, że możesz nauczyć się gotować i wybrać do jakiegoś obozowiska drwali. I tak gotuje się im w kółko fasolę z wieprzowiną. To proste. Robiłem to, cholera, przez lata. Nikt jeszcze nie umarł od wieprzowiny z fasolą.

Ale Jinot nie chciał gotować. Miał kuśtykać wokół paleniska w szałasie, gdy zdrowi silni mężczyźni rąbią drzewa i okrzesują gałęzie w pachnącym lesie? Nie. Pożyczył dolara od Vica Goocheya, uścisnął mu rękę i podziękował za zadany sobie trud; obiecał, że odda mu dolara, gdy znajdzie pracę.

Poszedł z tym dolarem do pierwszego baru, jaki napotkał.

– Whiskey.

Wolał rum, ale whiskey była najtańsza. Za dwadzieścia centów kupił całą flaszkę. Pił po raz pierwszy od pożaru. A gdy pił, ból zmniejszał się coraz bardziej, aż nagle Jinot poczuł się dobrze i był nawet szczęśliwy i radosny. Uśmiechał się pod nosem, nalewając następną szklaneczkę.

– Polejesz mi? – zapytał siedzący obok niego mężczyzna, przysadzisty jegomość w wełnianych spodniach, o spracowanych dłoniach i długim poszarzałym obliczu. Wyglądał na drwala.

– W porządku – odpowiedział Jinot. – Napij się. – I nalał mu pełną szklaneczkę. Dowiedział się, że nieznajomy nazywa się Resolve Smith i jest w połowie Passamakwodem. Pracował nad Penobscot jako naczelnik włóczków i zna rzekę od podszewki. Smith też był kaleką, kłody staczane ze zbocza połamały mu obie nogi.

– Cała cholerna sterta na mnie zleciała, prosto na nogi, dobrze widziałem tę kłodę, zanim mnie trafiła. Połamała mi nogi na kawałki jak suche gałęzie i krzywo się zrosły. Jak pada, bolą jak cholera.

Jinot opowiedział mu o pożarze nad Miramichi, który strawił cały Nowy Brunszwik, o Amboisie i Martelu, którzy zginęli w płomieniach, i o tym, jak sam został kaleką. Przez następną godzinę gadali o pożarach w lesie, Amboisie, Martelu, ranach. Skończyli razem butelkę i Jinot kupił następną. Po bardzo długiej rozmowie zapadła cisza i w końcu Smith zapytał:

– Szukasz pracy?

– Szukam pracy, ale nie nadaję się już do lasu.

– Ja też nie, ale o czymś słyszałem. Tacy jedni z Massachusetts czy skądś tam zakładają warsztat, żeby robić siekiery, żeleźca w różnych rozmiarach. Szukają ludzi, co znają się na siekierach. Tak słyszałem. Robiłeś siekierą przez wiele lat, więc znasz się na nich.

– Jak na drzewach – odrzekł Jinot. – Znam wszystkie siekiery. Od małego żyję z siekierą w ręku.

– To wybierzmy się tam, zobaczymy, czy dadzą nam robotę. Popijemy sobie, cholera, i zabawimy się.

Umówili się następnego dnia w południe przed barem.

---

[21] Stan Massachusetts leży nad zatokami: Massachusetts, Cape Cod, Buzzards i Narragansett [przyp. tłum.].

50

POKRĘCONE ŻYCIE

Pan Albert Bone wysunął głowę z najbielszą twarzą, jaką Jinot kiedykolwiek widział, z głęboko osadzonymi niebieskimi oczami i zaciśniętymi mocno wargami. Wyglądał jak stare dziecko, ale mówił zadziwiająco donośnym głosem. Wsunął dwa palce prawej dłoni do kieszonki na zegarek i przyjrzał się badawczo Jinotowi, który przestąpił z nogi na nogę, czując się nieswojo w kantorku.

– Co wiesz o siekierach? Robiłeś siekiery? – zapytał gromko.

– Nigdy żadnej nie zrobiłem, ale zużyłem ich bardzo dużo, rąbiąc sosny nad Penobscot i Gatineau. Przez dwadzieścia lat rąbania. I umiem poznać złą siekierę, bo sporo mi się takich trafiało. – Zmęczyła go ta gadanina.

– A zatem, panie Jinot Sel, czy ta siekiera jest dobra czy zła? – Dziecięca Twarz obrócił się i chwycił świeżo naostrzoną siekierę leżącą na biurku. Podał ją styliskiem Jinotowi, który otrząsnąwszy się z zaskoczenia po nazwaniu go „panem", obrócił siekierę w rękach w każdą stronę, przyjrzał się uważnie trzonkowi, a potem przeniósł wzrok na klin, szukając spawu

(którego nie zauważył) i przesunął kciukiem po ostrzu. Wziął lekki zamach.

– Ma pan drzewo albo kłodę? – zapytał. – Muszę ją wypróbować, zanim coś powiem. – Wiedział, że to sprawdzian.

Wyszli na rześkie poranne powietrze, nad rzeką unosiła się mgła. Na drugim niewidocznym brzegu zakrakały przyjaźnie kruki. Pan Bone wskazał rosnący nad brzegiem kasztanowiec nie grubszy niż na dziesięć cali. Jinot pokuśtykał do drzewa, stanął przed nim, zamachnął się siekierą. Dobrze trafił, poleciały drzazgi. Kasztanowiec był młody i nie trzeba było go ścinać. Nie był tak miękki jak sosna, ale Jinot zwalił go na ziemię po kilku minutach. Pomyślał przy tym, że jeśli tliła się w nim iskierka nadziei na powrót do zarobkowego rąbania drzew, to właśnie zgasła: pracował wolno, a przy każdym uderzeniu czuł ból w pokrytej bliznami nodze.

– Dobra siekiera – orzekł. – Dobrej jakości.

– Owszem. Ludzie, których wyszkoliłem, produkują najlepsze siekiery. Jakość jest najważniejsza, a ci, którzy dla mnie pracują, muszą dbać ze wszystkich sił o dobre imię tych siekier. Ten wzór idzie nad Penobscot. Zadam ci pytanie. Jesteś Indianinem, jak sądzę? – Z kieszonki kamizeli dobiegł cichy brzęk.

Hm, pomyślał Jinot, najmuje tylko białych.

– Jestem Mikmakiem. Z Nowej Szkocji. Mówili, że mieliśmy francuskiego przodka. Praprapradziadka Sela.

Zbierał się do odejścia. Znajdzie Resolve'a Smitha w którymś z barów i zdąży wypić jednego. Dodał jeszcze:

– Ale mieszkałem w Maine przez większość życia.

Bone otworzył usta, a jego tubalny głos gubił się we mgle.

– Mam wielki szacunek dla Indian. Wiem, że angielscy osadnicy wyrządzili im wiele krzywd i przez całe życie staram się zadośćuczynić temu bezprawiu. Zawsze uważałem, że gdybyście stawili opór pierwszym odkrywcom, do tej pory żylibyście w lasach, zbierając orzechy. Staram się jak mogę naprawić niesprawiedliwości – mówił, wracając do kantorka, starając się nie iść za szybko, żeby Jinot nadążył. – W tym celu daję pracę niektórym Indianom. Przekonałem się, że Indianie mają wrodzoną umiejętność ulepszania mechanizmów i wrodzoną wynalazczość. Tak jak, na przykład, mój majster, pan Joseph Dogg. – Jego zaciśnięte wargi zadrżały.

Jinot stał jak osłupiały, bo nigdy nie słyszał mówiącego w ten sposób białego. Nie podobało mu się to.

Byli już przed drzwiami kantorka, pan Bone wyjął z kieszonki złoty zegarek na dewizce i przycisnął pokrętło. Z mechanizmu popłynęła piękna melodyjka, oznaczająca pełną godzinę. Słońce przedarło się przez unoszącą się mgłę, a zegarek zalśnił w jego promieniach.

– Panie Jinot Sel, nauczy się pan wykuwania i hartowania stali. Potrzebni mi są zdolni ludzie. Sprawdzimy, jak idzie panu szlifowanie i ostrzenie. Jeśli pozna pan każdy szczebel

wytwarzania siekier, przyniesie to nam obopólną korzyść. Co pan na to? Zgoda? W porządku. Przyjmuję pana i będę się modlił, żeby pan dobrze pracował, bo dopóki nie pozna pan podstaw, stracę trochę pieniędzy. Idź pan do tego człowieka, mojego majstra, pana Dogga. Pokaże panu, że statki są, jak powiadają, z drewna, a ludzie z żelaza.

Kiwnął głową do stojącego w korytarzu, szczerzącego zęby, garbatego *métisa*, który miał nie więcej niż trzydzieści lat.

Jinot opuścił i podniósł głowę, zadrżał cały w środku. Dostał pracę! Poszło mu jak z płatka!

– Irokez Seneka – przedstawił się niepytany Joe Dogg. – Chodź.

Wyszli z powrotem na dziedziniec, a Dogg wskazał rząd budynków należących do Bone'a.

– To ludzki pan – oznajmił. – Bez względu na to, co mówią.

Weszli do kuźni, gdzie płonął ogień i rozlegało się kucie, gdzie robotnicy cięli rozpalone do czerwoności żelazne pręty.

– Myślisz, że najął mnie kiedyś ktoś inny? Nie, proszę pana, ha, ha. Pan Bone mówi, że jestem jak jego Hefajstos, choć nigdy nie wykułem żadnego pioruna.

– A masz jak on trzy wdzięczne pomocnice? – zapytał Jinot, wyciągając z zakamarków pamięci opowieści Beatrix o greckich bogach. Joe Dogg roześmiał się z zadowoleniem.

– Ha, wykształcony z ciebie Indianiec, nie? Ale na nic ci się to nie przydało, co? Powiem ci, że życie jest ciekawsze od tego, co

Jinot Sel może wyczytać w książkach – oznajmił, wskazując palcem na siebie.

Jinot przyglądał się spoconemu mężczyźnie, który ujął kleszczami metalowy pręt i położył go na kowadle. Przytrzymywał go szczypcami, gdy inny kowal uderzył w pręt przecinakiem i młotem. Przecięli żelazo.

– Trasowanie to dopiero początek, potem z tych stalowych kęsów wykuwa się siekiery – oznajmił Dogg. – Dobry kowal wykuwa osiem siekier dziennie. Zły kowal dziesięć albo dwanaście.

Szli wśród brzęku kucia. Jinot nigdy nie widział młota spadowego, a tu stało aż sześć takich łomoczących młotów, niestrudzonych w swej oszalałej sile. Kamienna posadzka drżała.

– Każdy z tych sukinkotów ma własne koło wodne jako napęd – ryknął Dogg.

W szlifierni znaleźli się w ogłuszającym pisku, przerywanym cichym kaszlem robotników wdychających przez cały dzień stalowy pył.

Pod jedną ze ścian stał rząd kamiennych kół o średnicy od sześciu do ośmiu stóp, koła te obracały się z chrapliwym wilgotnym poszeptem. Stali przy nich pochyleni szlifierze obrabiający nowe siekiery.

– A tam… – odezwał się Dogg normalnym głosem, bo wyszli już na zewnątrz – …są kwatery robotników. Idź tam, a przydzielą ci izbę. Jak czegoś nie będziesz wiedział, pytaj się mnie.

Jinot zaczął się uczyć wszystkiego – łącznie z precyzją – co było potrzebne do wytwarzania siekier. W kuźni jego stare flisackie przyzwyczajenia i reakcje na kaprysy wody i obracających się w niej kłód przekuły się na rozpoznawanie hierarchii kształtów i kolorów rozgrzanego metalu obracanego szybko i ostrożnie, by pod uderzeniami młota powstała z niego siekiera. Wszystko to działo się w obezwładniającym żarze przypominającym o sferach piekielnych: jakby pożar znad Miramichi ciśnięto w jedno palenisko, a huraganowy wiatr wtłoczono w miechy. Te ciemne zjawy w kuźni nie były ludźmi z krwi i kości, ale demonami zapraszającymi go do swego potępionego grona.

Dogg, jego nauczyciel, opowiadał o sobie:

– Jak to się stało, że opuściłem krainę Irokezów na północy stanu Jork? No, cóż, sprytni biali zagarnęli naszą własność. Irokezi nie myślą jak biali. Mogą coś sprzedać, ale nadal traktują to jako swoje. Biali dają whiskey, drobne podarunki, a w zamian dostali nasze tereny łowieckie. Ziemia stała się ich. Mówią: „Indianin, wyrzeknij się tradycji swego ludu, Indianin, daj się ucywilizować". Więc przyjechałem tutaj, żeby się ucywilizować i dostać pracę. Ten kowal, pan Bone, był dla mnie dobry, zobaczył mnie nad rzeką, jak z głodu łapałem żaby, nakarmił mnie, nauczył kowalstwa. Patrzysz na niego i przypuszczasz, że się na niczym nie zna, ale robi dobre siekiery. Dobry kowal. I robi dobre siekiery.

Trudno w to było uwierzyć, bo pan Bone nie był duży i przypominał dziecko. Później Jinot przyjrzał się po kryjomu małej sylwetce w czarnym garniturze, małym dłoniom. Dał się nabrać tej dziecięcej twarzy, bo ciało pana Bone nie było zbyt okazałe, ale wykute ze stali, a małe dłonie miał spracowane i twarde.

///

Zafascynowały go młoty spadowe. Pracujący przy nich kowal musiał być kimś w rodzaju artysty, zmieniając kleszczami pozycję rozżarzonego kęsa metalu, żeby wykuć z niego doskonałą siekierę, a w dodatku musiał robić to szybko. Kucie nie było niczym innym jak obróbką cieplną, wymagającą doświadczenia i precyzyjnego oka. Hugh Boss, pięćdziesięcioletni wysoki, choć przekrzywiony od skoliozy mężczyzna ujął kleszczami świeżo wykutą siekierę i wrzucił ją do kadzi z wodą.

– Od kucia żeleźce są tak łamliwe, że pękłyby przy pierwszym użyciu – oznajmił Boss. – Więc trzeba je hartować, nie? – Mrugnął porozumiewawczo do Jinota, wyjął siekierę z kadzi i wrzucił do paleniska, gdzie się podgrzała. Obrabiał ją pilnikiem.

– Przypatrz się, jak się zmieniają kolory tego żeleźca.

Jinot zauważył, że kolor bladożółty zmienił się w pomarańczowy, potem ciemnopomarańczowy, a wreszcie w brązowy. Żeleziec znów wylądował w wodzie.

– Straci kolor aż do błękitnego, ale przy brązowym mamy już siekierę. Spójrz. Gotowa.

Upłynęły miesiące, a potem całe lata, nim pan Bone uznał, że narzędzia wykonywane przez Jinota wytrzymają tysiące uderzeń.

Była to najciekawsza i najdziwniejsza część jego żywota, miał bowiem wrażenie, że przestał być zwykłym Jinotem Selem, a stał się kimś innym, jakąś krzyżówką żyjącą w nienaturalnej przestrzeni. Pan Bone żywo się nim interesował. W jego manufakturze pracowało wielu dobrych Indian, ale skupił się na Jinocie, o naiwnym uśmiechniętym obliczu nadającym mu młodszy niż w rzeczywistości wygląd.

Któregoś dnia pan Bone musiał wybrać się do Bostonu i zaproponował Jinotowi, aby mu towarzyszył.

Gdy znaleźli się sami w dyliżansie, żaden z nich nie odzywał się do drugiego przez dłuższy czas, a po godzinie milczenia pan Bone oznajmił poważnym tonem:

– Chcę, żebyś poznał wszelkie zawiłości interesów z siekierami. Podjąłem się kształcenia Indian takich jak ty w rzemiośle mechanicznym i wytwórczym. Ale interesy to coś więcej. Im szybciej wasz lud opuści lasy i pozna pożyteczne rzemiosła, tym prędzej ta leśna kraina się ucywilizuje i stanie się produktywna. To nie znaczy, że później już będzie wam łatwo, nie. Dlatego chcę, żebyś zorientował się, jak wyglądają interesy związane z

produkcją siekier. Musisz nauczyć się przestawać z ludźmi wysokiej klasy.

Wyjął chronometr i nacisnął pokrętło: zagrała pozytywka.

– W interesach pojawia się wiele spraw i problemów, które spędzają mi sen z powiek: nasi rywale produkują siekiery gorszej jakości, które malują odpowiednio i sprzedają jako nasze, jako siekiery Bone'a; robotnicy skarżą się, że płacę im za mało, niektórzy z nich agitują innych, a niektórzy są szpiegami innych wytwórców siekier. Nadeszła pora, żebyś nauczył się, jak należy się odnaleźć i jak rozmawiać z ludźmi interesu.

Jinot chciał odpowiedzieć, że wcale nie chce rozmawiać z ludźmi interesu, że woli towarzystwo kowali, bo w hałaśliwej kuźni ludzie porozumiewają się ze sobą za pomocą gestów, tak jak pilarze w tartakach. Wolałby… cóż, sam nie wiedział, co by wolał, oprócz tego, żeby pan nie był tak zatroskany jego losem.

Ale troskliwość – którą pan Bone się szczycił – dla rdzennych mieszkańców kontynentu nie obejmowała zamieszkiwanych przez nich lasów i brzegów morza. Miejsca te staną się według niego godne uwagi dopiero wtedy, gdy zetnie się lasy, wzniesie stojące ciasno obok siebie domy, a na pozostałą ziemię odda pod europejskie uprawy.

W drodze powrotnej odezwał się niespodziewanie, jakby od dawna układał sobie w głowie te słowa:

– Przybyłem ze Szkocji do Filadelfii wraz z ojcem. Matka odumarła nas, gdy byłem niemowlęciem. Dwa dni po dobiciu do

tego lądu umarł mój ojciec, który zaraził się czymś na statku. Zostałem sierotą zdanym zupełnie na siebie. – Nic więcej nie dodał.

Po kilku miesiącach znów wsiedli we dwóch do śmierdzącego starym moczem dyliżansu i pojechali do Bangoru, a pan Bone – który, zdaje się, mógł opowiadać o przeszłości tylko podczas jazdy – podjął na nowo opowieść:

– Wskutek tego, co się stało w moim dzieciństwie, znalazłem się całkiem sam w obcym mieście. Początkowo żebrałem o kromkę chleba, potem żebrałem o monety od przechodniów, a w końcu zadałem się z takimi samymi bezdomnymi chłopcami jak ja. Założyliśmy złodziejską spółdzielnię, kradliśmy kury, plądrowaliśmy ogrody. Dla rozrywki kręciliśmy się obok stacji dyliżansu, obok podkuwacza koni i kowala, bo to interesowało chłopców. Pewnego dnia wałęsałem się sam obok kuźni, a gdy wypatrzył mnie kowal, rzucił do mnie: „Chodź, chłopcze, będziesz pompował miechy, bo mój pomocnik uciekł". Więc pompowałem miechy. Pod koniec dnia kowal powiedział, że mnie zatrudni. Nalewałem wody do kadzi do hartowania, pompowałem miechy, biegałem ze sprawunkami i uczyłem się używać przecinaków, odciągaczy, kowadeł, kleszczy i imadeł, dwudziestu rodzajów młotków, pięćdziesięciu rodzajów szczypiec, bijaków i dłut. Kiedy pan Judah Bitter, kowal, przekonał się, że chcę się uczyć, podjął się wprowadzenia mnie w arkana kuźni i kowadła. Kowalstwo też

ma swoich bohaterów i pan Bitter był jednym z nich. Wpoił mi miłość do metalu. Do dziś pamiętam dzień, w którym wykułem swoje pierwsze ciosło.

W tym potoku słów Jinot wyczuł jakąś myśl: pan Bone upatrzył go sobie, bo ujrzał w nim coś, co zrównało położenie Jinota z losem biednego sieroty, który znalazł się na ulicach Filadelfii. To byłoby zrozumiałe w przypadku Joe Dogga, ale Jinota? A może pan Bone ujrzał w nim kęs żelaznej surówki, który należy wykuć i ukształtować? Pracodawca wyjął złoty zegarek z kieszonki i uśmiechnął się.

– Mój rodzinny skarb.

Dyliżans zatrzymał się i do środka wsiadło trzech podróżnych, ale pan Bone rozgrzał się i mówił dalej syczącym szeptem trafiającym prosto, jak mu się wydawało, do uszu Jinota. Jego oddech pachniał mocno miętą, bo nosił w kieszeni miętowe cukierki.

– Pan Bitter zrobił mi tę łaskę i zaproponował, żebym został wspólnikiem w kuźni. Mieliśmy wywiesić nową tablicę „Bitter i Bone", co brzmi nieźle, prawda? – Zauważył, że reszta pasażerów dyliżansu wpatruje się w niego z przejęciem i zamknął usta.

Ale gdy znaleźli się w hałaśliwej gospodzie, mówił dalej:

– Jak już wspomniałem, pan Bitter zaproponował, żebym został jego wspólnikiem. Zgodziłem się. Ale zanim spisaliśmy umowę, pan Bitter, wracając wieczorem z kuźni do domu, wpadł pod platformę prowadzoną przez pijanego w sztok woźnicę.

Kuźnia z mocy prawa przypadła w udziale skretyniałemu synowcowi kowala, człowiekowi nieodróżniającemu kowadła od młota, a ja znów zostałem sam bez środków do życia.

Zacząłem się rozglądać, czym mógłbym się zająć. Widziałem wokół siebie wielkie lasy, widziałem wielką potrzebę tysięcy ludzi chcących budować domy i stodoły, więc zdecydowałem się na wyrób siekier. Wykorzystałem okazję i poprzysiągłem sobie, że moje siekiery będą najlepsze.

Ośmielony grogiem Jinot zapytał:

– Ale dlaczego mnie obdarza pan swą troską, panie Bone? Często się nad tym zastanawiam.

Zapadła długa cisza, pan Bone poruszył się, westchnął i odpowiedział:

– Widziałem wiele niesprawiedliwości zadawanych przez przedstawicieli mojej rasy rdzennym mieszkańcom tych ziem. Poprzysiągłem sobie wówczas, że będę zachęcał młodych Indian do zajęcia się rzemiosłem. Tak powinien postąpić każdy chrześcijanin. Gdybym nie został kowalem, być może pełniłbym misję wśród pogan. Mam ogromną nadzieję, Jinot, że zostaniesz pierwszym indiańskim biznesmenem i staniesz się częścią tej społeczności, wśród której już mieszkasz. Czy często odwiedzasz swój lud? Jeśli nie, to powinieneś, gdyż mógłbyś tam znaleźć możliwości do robienia interesów. Uważam, że pokazałem ci, jak odnajdywać takie możliwości.

Jinot aż zadrżał w środku.

Zaprzyjaźnił się z kowalem Hugh Bossem i w niemal każdy niedzielny wieczór pojawiał się w jego domu na partyjkę warcabów. Rodzina Bossa mieszkała w dużym drewnianym domu oddalonym o milę od manufaktury. Pani Boss, urodziwa niewiasta o pszenicznych włosach i szerokich biodrach, prawie zawsze chodziła w ciąży. Nieustannie krzątała się przy żeliwnym piecu i doskonale gotowała. Ale Jinot najbardziej lubił dzieci. Kowal miał liczne potomstwo, począwszy od szesnastoletniej Minnie do rocznej Baby, między którymi urodziło się ośmioro innych dzieci.

Minnie – drobna, ciemnowłosa i ciemnooka – odziedziczyła po ojcu skoliozę i raz w miesiącu musiała odwiedzać niejakiego doktora Mallarda, który poddawał ją okrutnym ćwiczeniom rozciągającym. W lekarskiej „izbie tortur" rozbierała się do pasa, bo doktor musiał wpatrywać się w jej kręgosłup, spacerując pod ogromnym trójnogiem, do którego przywiązywał ją za pomocą pasków i opasek – całość była jego wynalazkiem. Podciągał nieszczęsną Minnie do góry, a ona niemal zawisała w powietrzu, po czym regulował paskami napięcie kręgosłupa, doprowadzając go do bardziej pionowej pozycji. Minnie wyznała Jinotowi, że początkowo wstydziła się wisieć półnaga przed lekarzem, ten jednak nie zważał na jej wdzięki i interesował się jedynie wygięciem kręgosłupa, więc nie musiała się już rumienić i czuć wstydu. Po każdym takim zabiegu zanoszono ją wyczerpaną mękami do domu. Jinot, który dobrze wiedział na czym polega ból rozciągania opornych mięśni i tkanek, czytał jej niekiedy książki,

gdy leżała na ławie w kuchni przykryta po samą bródkę kocem. Nie była za ładna, ale miała miłe usposobienie, mimo cierpień i niemocy. Na okazywane przez Jinota współczucie zareagowała coraz większą miłością, co nie umknęło uważnemu oku jej ojca. Ale przez długi czas nikt o tym nie wspomniał ani słowem, a Hugh Boss godził się powoli z myślą, że pierworodna córka pokochała o wiele od niej starszego Indianina.

Doktor Mallard uznał po pewnym czasie, że stan Minnie uległ znacznej poprawie, w związku z czym zwolni ją na dwa miesiące od ćwiczeń rozciągających, co zachwyciło całą rodzinę i stało się okazją do świętowania. Hugh Boss dał córce pieniądze na materiał na nową sukienkę. Gdy Jinot ujrzał ją następnej niedzieli w nowej sukni, zrobił wielkie oczy ze zdziwienia. Suknia miała cudownie błękitny kolor – taki sam, jak strój noszony przez Beatrix – a uszyto ją z jedwabiu.

Hugh Boss zabrał Jinota do obórki, w której trzymał dzbanki z mocnym cydrem.

– Posłuchaj mnie, Jinot, wiesz chyba, że Minnie przepada za tobą?

– Ja też ją lubię, panie majstrze. – Poczuł się nieswojo.

– A więc wszystko jasne, kobyłka u płotu.

Po miesiącu wzięli ślub w największej izbie domu Bossa. Podczas krótkiej ceremonii Minnie miała na sobie błękitną jedwabną sukienkę, a przez okno wpadały przekleństwa i postękiwania robotników znoszących bale na dom dla państwa

młodych, który miał stanąć w rogu pastwiska Hugh Bossa. Minnie przypomniała sobie, jak w dzieciństwie zrywała płatki stokrotek, wróżąc sobie za kogo wyjdzie: bogatego, biedaka, żebraka, złodzieja, doktora z Ponderosa czy indiańskiego wodza… No cóż, Jinot nie był wodzem.

Po narodzinach pierwszych potomków Jinota i Minnie – bliźniaków Amboise'a i Aarona, podobnych bardziej do Kuntawa niż do Hugh Bossa – Jinotowi wydało się, że osiągnął już to, co inni mężczyźni, i pojmuje niemal tajemne niegdyś prawdy. Ale to nie mogło trwać.

///

Minnie okazała się nerwową matką sprawdzającą każdego dnia postawę chłopców w poszukiwaniu pierwszych oznak skoliozy. Zabrała Amboise'a i Aarona do doktora Mallarda, gdy tylko zaczęli chodzić, ale lekarz nie wykrył u nich żadnych deformacji.

– Ma się rozumieć, moja droga, że skolioza może pojawić się także w późniejszym okresie życia i często bywa niedostrzeżona przez niewprawne oko… – zamrugał skromnie – …aż jest już za późno. Ale będziemy uważnie przyglądać się twoim potomkom. Przyprowadzaj chłopców do mnie na konsultacje co pół roku, a zadbamy o to, żeby wcześnie rozpoznać schorzenie, jeśli się pojawi, i skorygować jakiekolwiek deformacje. A jeśli chodzi o ciebie, cóż, miałem nadzieję, że połóg wzmocni to, co tak dzielnie

osiągnęłaś podczas rozciągania, ale rzeczywistość okazuje się inna. Ćwiczenia były dla ciebie raczej sprawdzianem wytrzymałości niż lekarstwem.

Doktor Mallard nie mylił się: Minnie pochylała się coraz bardziej w lewą stronę, a przy stole zdecydowanie się garbiła. Lewe ramię żakietu, który wisiał na drewnianym wieszaku przy drzwiach, wyraźnie obwisło. Martwiła się i zamartwiała o wszystko: że ojciec straci dłoń pod bijącym nieustannie młotem, że Jinot zniknie (bo istotnie wyjeżdżał dosyć często z panem Bonem w interesach) lub że choroba czy zaraza zabiorą ich wszystkich. Często budziła się w nocy, drżąc na całym ciele po koszmarach, w których jej mali synkowie byli rwani na strzępy przez wściekłe psy, wyciągali do niej błagalnie rączęta, a ona, nie mogąc wyprostować zgarbionych do ziemi pleców, nie była w stanie im pomóc i słuchała tylko ich żałosnych krzyków.

Hugh Boss sporządzał dla wnuków zabawki, a pewnej zimy zbudował dla nich sanki z wypolerowanej stali i gładkich jak szkło sosnowych deszczułek. Na dole należącej do Bossa, opadającej łagodnie łąki rósł młody świerkowy zagajnik, który był ulubionym miejscem zabaw dla dzieci z całej okolicy o każdej porze roku. Latem wąskie przejścia między świerkami stawały się tajemniczym labiryntem – zielonymi, ocienionymi tunelami do zabawy w podchody czy owce i wilka. Jinot towarzyszył niekiedy dzieciom podczas zabaw, odgrywając najczęściej rolę wyjącego wściekle wilka, ścigającego rozbiegające się pośród drzew owce.

Zimą łagodny stok łąki idealnie nadawał się do jazdy na sankach. Tej zimy, gdy Amboise i Aaron skończyli sześć lat, nadeszła dziwna o tej porze roku ulewa. Pewien chłopiec z sąsiedztwa, skory do żartów Sam Withers, wpadł na pomysł, żeby polać wodą i tak już śliski stok. W nocy gwałtownie spadła temperatura, a zbocze zamieniło się w lodowisko. Sam Withers, uznając się za właściciela lodowego cudu, ogłosił, że zjedzie na sankach pierwszy. Sanki skręcały gwałtownie i zbaczały, nabierając prędkości, a Sam piszczał z podniecenia i swego błyskotliwego osiągnięcia.

– Teraz ja! Teraz ja!

Wszyscy trzej chcieli zjechać w następnej kolejności, więc postanowili wsiąść na sanki we trzech: Sam z tyłu, przed nim Aaron, a z przodu Amboise. Większe obciążenie sprawiło, że sanki jechały szybciej i nie zbaczały z kursu. Nie dało się nimi sterować, a oblodzona droga prowadziła prosto w świerkowy zagajnik. Metalowe płozy szumiały na lodzie, a każda nierówność pod nimi dzwoniła metalicznie, dowodząc wielkiej prędkości. Nie mogli zahamować przed gęstymi drzewami, a sanki wpadły między gołe niższe gałęzie świerków jak meteoryt.

Minnie usłyszała krzyk Arona, a po nim wycie Sama Withersa, który przestraszył się lania. Wybiegła na dwór w fartuchu, gubiąc w śniegu domowy pantofel. Na pokrytym lodem stoku ujrzała wbitych w świerki chłopców, zakrwawiony Aaron czołgał się w jej stronę, Sam Withers zsuwał się między drzewa, a Amboise leżał

nieruchomo. Poślizgnęła się i upadła, musiała się doczołgać do niedającego oznak życia syna.

Amboise leżał na prawym boku z szyją przekłutą dzidą z suchej gałęzi, którą chłopcy bawili się latem i zostawili wśród drzew. Fontanna krwi zamieniała się już w strumyczek. Minnie rozkrzyczała się tak głośno, że zatrzęsły się wszystkie konary drzew w lesie.

Po śmierci małego Amboise'a Jinot stał się posępny i poważny. Tamtego dnia wyjechał z panem Bonem i dowiedział się o wszystkim dopiero wieczorem po powrocie dyliżansu. Minnie i Aaron pogrążyli się już w fatalistycznej rezygnacji. Druga para bliźniaków, trzyletni Lewie i Lancey, spała błogo, nie wiedząc o niczym i o nic nie dbając. Jinot wyszedł na dwór i błąkał się po nocy, płacząc spazmatycznie. Wrócił do domu dopiero nad ranem.

Gdy zmarznięty i wyczerpany wszedł do środka, Minnie z przyzwyczajenia zrobiła mu herbatę. Usiedli razem przy pomalowanym na niebiesko kuchennym stole i podali sobie dłonie, jakby to, czego nie da się wypowiedzieć, można było zrozumieć splecionymi palcami. Nad paleniskiem świecił czerwono ogień, a łzy na ich policzkach miały szkarłatną barwę. Dom pogrążył się w żałobie na wiele dni, dopóki Lewie i Lancey nie tchnęli we wszystko nowego życia, biegając i śmiejąc się radośnie.

Strata Amboise'a obudziła w Jinocie pragnienie spotkania się z krewnymi i postanowił odszukać Elise i Josime'a. Rozpoczął od starannego, acz bardzo trudnego konstruowania listu do Francisa-Outgera, który, jak wiedział, wciąż mieszka nad zatoką Penobscot. Jinot był pewny, że jego przyrodni brat będzie wiedział, gdzie mieszka Elise wraz z mężem. Wysłał list z wieloma obawami i wątpił, czy kiedykolwiek dostanie odpowiedź. Ale ta nadeszła tak szybko, że było to niemal komiczne.

Drogi Jinot!

Wpadłem w niewypowiedziany zachwyt, odebrawszy Twoje pismo. Jakże się cieszę, że nauki mamy nie poszły w las! Od dawna zastanawialiśmy się, co Cię spotkało, a opisany przez Ciebie straszliwy pożar nad Miramichi, rany, które odniosłeś, śmierć naszego brata Amboise'a i Twego małego synka sprawiły nam wielki ból. Ale wygląda na to, że Twój los się odmienił dzięki dobroczyńcy, jakim jest bez wątpienia pan Albert Bone. Powiodło Ci się także w wyborze Małżonki, która obdarowała Cię potomstwem.

Mogę spełnić Twoją prośbę, gdyż wiem, gdzie przebywa Elise. Mieszkają wraz doktorem Hallagherem w Bostonie. Poniżej załączam adres. Ich najmłodszy syn, Humphrey, cierpi na przedziwne schorzenie, którego skutkiem jest skostnienie wszystkich mięśni. Uczeni doktorzy przybywają do ich domu na konsylia, ale żadne lekarstwo nie pomaga.

Nieszczęsne dziecko nie pożyje długo i wkrótce całe skostnieje. Jestem pewny, że Elise bardzo by się ucieszyła, gdybyś zechciał ją odwiedzić. Boston nie jest aż tak daleko od Ciebie (podobnie jak Penobscot, gdzie zawsze jesteś mile widziany).

A co się tyczy Josime, wszystko, co o nim wiem, pochodzi od Ciebie, czyli z czasów Waszego rozstania w Montrealu. Boli mnie to, że nigdy nie zechciał skreślić do mnie choćby dwóch słów, a przecież jesteśmy braćmi! Cierpię na zapalenie opłucnej i obezwładniające migreny, ale przypuszczam, że to nic nadzwyczajnego w moim wieku.

Będę kończył, gdyż chcę wysłać ten list najbliższą pocztą. Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy i wymienimy kolejnymi nowinami lub przynajmniej nie przestaniemy korespondować.

Twój kochający przyrodni brat Francis-Outger Sel, Zatoka Penobscot, Maine.

Od tamtej pory Jinot nieustannie myślał o Elise. Po dwóch tygodniach, pewnego pięknego kwietniowego dnia tak ubogaconego przez letnie, zda się, ciepło, że konie cieszyły się z tego, że żyją, rzucały łbami i wpatrywały się w lazurowe niebo, wybrał się dyliżansem do Bostonu i rozpoczął poszukiwania ulicy, przy której mieszkała Elise. Nie napisał do niej, uznając, że niezapowiedziana wizyta będzie lepsza, wymowniejsza. Pół dnia

zajęło mu wypytywanie o drogę do piętrowego domu Hallagherów z jasnej cegły. Od południowej strony domu stała drewniana przybudówka, przed którą wisiała tablica: DOKTOR HALLAGHER, LEKARZ MEDYCYNY.

Drzwi otworzyła mu Elise we własnej osobie. Stała się niewiastą w średnim wieku z czarno-siwym kokiem. Ale w jej oczach ciągle tliła się ta sama figlarna iskierka, na ustach gościł ten sam uśmiech, miała białe zdrowe zęby wszystkich Selów.

Od razu go poznała.

– Jinot! Ty jesteś moim bratem Jinotem!

Padli sobie w objęcia, a Elise rozpłakała się.

– Och, od jak dawna czekam na jakąkolwiek wiadomość od ciebie! Napisał do mnie Francis-Outger, który dostał od ciebie list z pytaniami o nas. Chodź, drogi bracie, chodź, coś ci pokażę, a potem wejdziemy do środka.

Zaprowadziła go na tyły domu, gdzie stał stary gliniany piec. Wyjęła z niego sześć pachnących bochnów chleba, zawinęła je w gazę i zaniosła do kuchni.

– A teraz, Jinot, musisz mi wszystko opowiedzieć.

Poszedł za nią ciemnym korytarzem, gdzie na pokrytych tynkiem i pomalowanych ścianach wisiały podobizny jeleni pijących wodę z górskiego stawu. Zaprowadziła go do dusznego salonu, w którym ujrzał swoje odbicie w dużym pocętkowanym lustrze. Przeraziło go to. Na sofie leżał i drzemał blady apatyczny

dziesięcio- lub dwunastolatek. Na jego piersi spoczywała zamknięta książka.

– To mój syn, Humphrey – przedstawiła chłopca Elise. Pochyliła się nad nim i pocałowała go głowę.

Chłopiec otworzył oczy i spojrzał na Jinota.

– To twój wuj, Jinot – powiedziała Elise.

– Ach… – stęknął chłopczyk i zamknął oczy.

– Chodź ze mną do kuchni, Jinot, zaparzę nam imbryk herbaty – powiedziała Elise. – Albo kawy, jeśli chcesz. Zaraz przyjdzie doktor na popołudniową filiżankę. Ucieszy się z twojej wizyty.

Ale gdy zjawił się doktor Hallagher, nie wyglądał na zachwyconego. Podał zdawkowo rękę Jinotowi i usiadł przy stole, dmuchając na gorącą herbatę.

– A więc nas odnalazłeś – odezwał się tonem pojmanego przestępcy.

– Minęło tak wiele lat… Myślę, że dla dobra naszych dzieci powinniśmy odnowić kontakty.

Opowiedział im o wielkim pożarze nad Miramichi i o śmierci Amboise'a w płomieniach, nie wspominając przy tym o jego pobytach w areszcie czy pijaństwie. Opowiedział im o Minnie i dzieciach, o wypadku małego Amboise'a. Doktor Hallagher odprężył się dopiero wtedy, gdy opisał wspaniałomyślność pana Bone i wszystkie wyświadczone przez lata łaski. Jinot domyślił się, że mąż Elise obawiał się, iż poprosi go o pożyczkę, i z ulgą przyjął do wiadomości, że Jinot jest niezależny finansowo i

utrzymuje żonę i czworo, nie, troje dzieci. Gdy doktor Hallagher wrócił do gabinetu, poprawił im się nastrój, a Elise i Jinot wymieniali się opowieściami, wspomnieniami, planami na spotkanie rodzinne Czwartego Lipca oraz plotkami na temat odległych krewnych Mikmaków, bo w Nowej Szkocji zostało mnóstwo potomków René Sela, zapomnianego Francuza, który założył ich ród. Elise pamiętała niektórych z nich, a Jinot żadnego nie znał.

– Doszły do nas wieści o naszym dziadku Kuntawie, wyobrażasz sobie? Wrócił na stare śmieci, do miejsca, które wszyscy angielscy osadnicy z małymi wyjątkami nazywają teraz Frenchtown. Ci inni mówią na nie Diggins. Właśnie tam mieszkają Mikmakowie: ci, którzy zostali. Jest ich teraz niewielu, mówią, że nawet nie stu. A Kuntaw znów się ożenił z kobietą Mikmaków i spłodził z nią dzieci. Tak, nasz dziadek, wyobrażasz sobie!

Roześmieli się oboje, a potem zaczęli mówić o dzieciach. Najstarszy syn Elise, Skerry (imię wymyślił Hallagher), był pojętny, dociekliwy i dużo czytał.

– Chce się uczyć w Dartmouth – powiedziała Elise. – Jest przynajmniej po części Mikmakiem, a mówią, że w Dartmouth z chęcią przyjmują indiańskich uczniów, więc może mu się powiedzie. Nie wiem, czy na pewno, ale doktor nalega. Czy to nie dziwne, Jinot, jeśli się spojrzy na to z perspektywy naszego życia w faktorii, gdy byłyśmy… byliśmy mali? Za naszego życia

dokonują się wielkie zmiany, Jinot. I za życia Josime'a, jeśli żyje. Gdyby Amboise żył…

Jinot pomyślał, że gdyby Amboise jeszcze żył, nie trwałoby to długo, bo prędzej czy później przejechałaby go platforma, gdy leżał pijany na drodze. Ale nie powiedział tego głośno.

Krótkie godziny rodzinnego szczęścia zaczęły odchodzić w niepamięć, gdy wsiadł do dyliżansu. Zachmurzyło się. Dyliżans ruszył i rozpętała się nadchodząca falami burza ze straszliwymi piorunami. Lało jak z cebra, potem przestawało, zapadała duszna cisza, aż nadeszła następna fala deszczu. Oczyszczone powietrze ochłodziło się, wydawało się, że się przejaśni, ale fale deszczu zamieniły się w grad, a potem w śnieg, co było dziwnym zakończeniem letniego dnia. A Jinot, wspominając wizytę u siostry, przypomniał sobie wyniszczonego chorobą chłopca leżącego na sofie i pomyślał o swoim małym Amboisie, który nigdy nie będzie miał dwunastu lat. Ledwo zagojona stara rana otwarła się na nowo.

51

GĘSTE ZAROŚLA

Minnie przysięgała, że nie będą już mieli dzieci. Bo dzieci są zbyt kruche, zbyt cenne, zbyt efemeryczne. Nie zniosłaby kolejnej straty i rozdartego serca. „Jakże prawdziwe jest – mówiła – często powtarzane, prawdziwe jak się okazuje, stare powiedzenie, że życie jest doliną łez". Ze wszystkich dzieci Jinota Amboise był kochany najbardziej, stał się – póki żył – wskrzeszonym ucieleśnieniem spalonego brata. Jinot wiedział i czuł się winny, że nie kochał tak bardzo Aarona. Teraz poprzysiągł sobie, że wynagrodzi to synowi i od tamtej pory wraz z Minnie faworyzowali Aarona, obdarzając go miłością i obsypując podarunkami.

Jinot – nie zważając na długą przemowę Minnie, zaklinającej się, że już nigdy nie pójdzie z nim do łóżka, jakby śmierć Amboise'a była jego winą – znalazł posłanie ze skóry bizona, używane przezeń nad Gatineau, i rozłożył je na tylnej werandzie, gdzie spał przez całe lato i zimę. Dzieci mogły przychodzić do niego, kiedy chciały, ale Jinot nie był już kochającym bezmyślnie ojcem. Patrzył ciągle gdzieś w dal, oddalał się od wszystkich z

wyjątkiem Aarona i nie zauważał nawet powolnej utraty zdrowia przez Minnie, która stawała się coraz mniejsza w sukience w drobne prążki i przeraźliwie kasłała. Przez dwa lata od śmierci Amboise'a wychudła, a jej kręgosłup skręcił się jeszcze bardziej. Coraz gorzej gotowała, a dzieci wyrastały ze zniszczonej i zaniedbanej odzieży. Raz na tydzień Jinot gotował duży garnek grochówki, a dzieci jadły ją, kiedy chciały. Pewnego razu zauważył, jak roześmiany od ucha do ucha Lewie wrzuca do zupy całe garście nie wiadomo czego, z pewnością niczego dozwolonego. Wówczas najął kobietę, mieszkającą po sąsiedzku wdowę, panią Joyful Woodlawn, żeby karmiła chłopców i opiekowała się Minnie.

– Z przyjemnością zajmę się nieszczęsną Minnie i chłopcami. Po moich zupach Minnie dojdzie do zdrowia, a chłopców będę karmiła wołowiną z ziemniakami. Przyniesiemy wody z mojej studni, bo, jak mówią, nasza woda jest najlepsza w mieście. Nic tak nie gasi pragnienia jak dobra woda. Pan Woodlawn zawsze był dumny z naszej studni.

Tamta zima dobiegła końca jak przerwany sznur, nagle nadeszło ciepło, wylały potoki, a skupnie rosły po trzy cale każdego dnia. Kruki zaczęły zajmować gniazda, a samce rozkładały skrzydła, żeby pochwalić się długimi lotkami i wachlować ogonem z roziskrzonymi czarnymi ślepkami. Samice przyglądały się temu spokojnie z pobliskich gałęzi, mierząc krytycznym wzrokiem każdy cal samczej prezentacji.

Pewnej niedzieli przykuśtykał do Selów i o lasce stary Hugh Boss. Przez kilka godzin siedział przy łóżku chorej córki. Gdy Jinot wrócił z warsztatu, Minnie spała. Hugh Boss wstał z krzesła i pociągnął Jinota do głównej izby.

– Jinot, Minnie jest chora, bardzo chora. Czy wezwałeś do niej lekarza?

– Jeszcze nie. Nie wiedziałem, że tak z nią źle. Myślałem, że tylko niedomaga i kazałem pani Woodlawn opiekować się nią raz po raz.

– Raz po raz! Widzi mi się, że jej już niewiele zostało. Przyślę doktora.

Wyszedł, rozgniewany na Jinota.

Lekarz – nie doktor Mallard, ale blady starszy pan w jedwabnym krawacie z resztkami obiadu – orzekł, że to suchoty. Zaawansowane suchoty. Nic już nie da się zrobić, choć można karmić ją surowymi jajkami i poić brandy albo wołowym rosołem. Zaproponował, że puści jej krew, ale Jinot nie zgodził się na to. Żałował, że nie zna żadnego indiańskiego zielarza albo zielarki – takiej, jak jego pra-pra-pra-*mère*.

///

Uważał, że czara goryczy już się przelała, ale czas dowiódł, że może być jeszcze gorzej. Pewnego ranka do kuchni Selów wpadła pani Woodlawn, niosąc ze sobą dzban sławetnej wody. Tuż za

progiem sama wypiła dużą szklankę, a następną zaniosła Minnie. Gdy Jinot wrócił do domu w południe, zastał wdowę siną: leżała oparta o stół i ściskała krawędź blatu. Spojrzała na niego strasznym wzrokiem i zwinęła się w pół, miotana biegunką i gwałtownymi wymiotami. Przyczyna jej stanu nie mogła budzić wątpliwości: w Nowym Jorku szalała cholera, która teraz zawitała do mniejszych miast.

– Boże, oszczędź nas – szepnął Jinot i pobiegł do pokoju Minnie. Ale galopująca choroba była tam pierwsza – Minnie umierała, zaciskając spazmatycznie palce i paluchy u stóp. Bliźniaki Lewie i Lancey jeszcze żyły, ale zmarły, gdy ojciec stał nad nimi z otwartymi ustami. Wszystko działo się bardzo szybko.

– Aaron! Aaron! – zawołał, ale syna nie było w domu. Znalazł go w szopie z księgą baśni. Aaron powiedział ojcu, że siedzi w szopie od rana, żywiąc się kawałkiem boczku, który został od kolacji. Nie, nie pił wody pani Woodlawn. Czuje się dobrze, powiedział i rzeczywiście wyglądał na zdrowego.

Poszli razem do domu Hugh Bossa.

– Hugh, szaleje cholera – odezwał się Jinot. – Zabrała Minnie i bliźniaków. Ja i Aaron ocaleliśmy.

Stary kowal sklął ich obu, załamał się i ukrył twarz w dłoniach. Nie czuł się dobrze. Pani Boss znów była w ciąży i leżała złożona chorobą przypominającą cholerę. Najmłodsze dzieci również były chore. Pani Woodlawn poczęstowała ich wszystkich cudowną wodą

przed pójściem do Minnie. Hugh Boss przeżył, ale pani Boss i troje najmłodszych dzieci zmarli jeszcze tego samego dnia.

Po pogrzebach tygodnie wlokły się w nieskończoność, ciągnąc za sobą okaleczone godziny niczym łańcuchy. Hugh Boss i Jinot nie rozmawiali ze sobą przez wiele miesięcy, aż spotkali się na cmentarzu, żeby ustawić siedem kamiennych nagrobków. Żałoba ich pojednała. Na nagrobkach kazali wyryć tylko imiona, nazwiska, daty urodzenia i śmierci oraz słowo „cholera".

Umówili się, że Aaron i Jinot przeniosą się do Hugh Bossa, będą spali w sąsieku i pomagali staremu przy dzieciach, które przeżyły, póki z Danbury w Connecticut nie przyjedzie siostra pani Boss. Jinot poprzysiągł sobie, że nigdy nie opuści Aarona, zadba o jego bezpieczeństwo do czasu, aż chłopiec wydorośleje. Ale pojawiło się następne zmartwienie, bo Aaron kilkakrotnie zadeklarował, że chce pojechać do Nowej Szkocji i poznać krewnych Mikmaków. Chciał zostać Indianinem. Gdy w gniazdach kruków pojawiły się młode i zaraza odeszła, Jinot i Aaron wrócili do pogrążonego w ciszy domu.

Środkiem uśmierzającym ból stała się dla Jinota praca. Spędzał dużo czasu z panem Bonem, który postarzał się i zgarbił, ale wciąż miał wspaniałe plany i był pełen energii, co wydawało się niezwykłe w jego wieku. Planował otwarcie wytwórni pił. Chciał

założyć walcownię i produkować własną stalową blachę. Miał bujną i ławo zapalną wyobraźnię.

Siekiery nadal pozostawały jego największą miłością, ale chciał podbijać nowe terytoria. Nocami przerzucał stronice grubego atlasu (który kiedyś wpadł mu do wody i został wysuszony strona po stronie nad piecem) i czytywał zagraniczne gazety.

– Moim zdaniem – oznajmił po roku rozważań – najlepszym pomysłem byłoby otwarcie wytwórni siekier za granicą. Drzewa rosną na całym świecie, ludzie wszędzie budują domy, więc trzeba im siekier. Poświęciłem całe życie jednemu celowi: karczowaniu lasów dla dobra człowieka. Znalazłem kraje, w których zwiększa się liczba mieszkańców, gdzie rośnie mnóstwo drzew, którym trzeba siekiery. Lista tych krajów nie jest długa, ale z chęcią poznam twoje zdanie, zanim podejmę jakiekolwiek kroki.

Jinot położył dłonie na atlasie i czekał. Na osobliwej liście pana Bone'a znalazły się takie kraje, jak Norwegia[22], Rosja, Jawa, Nowa Zelandia i Brazylia. Jinot zapytał:

– A dlaczego nie mielibyśmy zainteresować się lasami rosnącymi na zachodzie naszego kraju? Mówią, że od Ohio na zachód aż do końca kontynentu rosną niezmierzone lasy.

Pan Bone zignorował tę uwagę.

– Prościej będzie założyć manufakturę tam, gdzie mówi się po angielsku, co usuwa cztery kraje z mojej listy i zostawia jeden: Nową Zelandię.

– W Nowej Zelandii mówią po angielsku?

– Owszem, ci, którzy dam rządzą i sprawują nadzór. Kraj jest sprzymierzony z Anglią[23], gdzie mówi się po angielsku. Rdzenna ludność Nowej Zelandii papla po swojemu, ale wielu nauczyło się angielskiego.

– A rosną tam drzewa? – zapytał Jinot, który wyobrażał sobie, że Nowa Zelandia jest pustynną słoną równiną. Nie miał pojęcia, gdzie leży Nowa Zelandia – pewnie gdzieś obok Indii.

Pan Bone odchylił się na fotelu. Uśmiechnął się jak ktoś, kto zna wielki sekret.

– Owszem, rosną. Zwłaszcza takie, które nazywają *kauri*, opisywane przez znawców jako najdoskonalsze drzewa na świecie. To prawdziwe olbrzymy z gałęziami układającymi się wygodnie w korony na samym szczycie. Drewno z tych *kauri* jest bez skazy: lekkie, bezwonne, ma wspaniałą żółtą barwę, łatwo poddaje się żłobieniu i obróbce, ale jest mocne i wytrzymałe. Dowiedziałem się, że na Nowej Zelandii rodzi się handel siekierami złej jakości, a to za sprawą pewnego nadętego australijskiego przedsiębiorcy, byłego skazańca, który osiadł w tym kraju. Zanim podejmę decyzję, popłynę do Nowej Zelandii i osobiście obejrzę tamtejsze lasy. Ludzie, którzy znają się na drewnie mówią, że lasy to jeden z cudów świata. Chcę, żebyś mi towarzyszył. Opłaciłem już rejs. Wypływamy za dwa tygodnie, a pan Joseph Dogg zajmie się warsztatem podczas naszej nieobecności. Z pewnością da z tym sobie radę.

Jinot otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale przedtem zajrzał do atlasu. Nowa Zelandia leżała daleko, bardzo daleko i była długą chudą wyspą o talii osy na samym końcu świata.

– Tylko że… panie Bone, poprzysiągłem sobie, że nie opuszczę Aarona do czasu, aż wyrośnie na mężczyznę. Zna pan smutne dzieje naszej rodziny. Aaron jest wszystkim, co mi zostało.

– Sprawa jest prosta. Każ mu spakować kuferek. Popłynie z nami. Silny chłopak przyda nam się w podróży.

///

Ale Aaron tylko pokręcił przecząco głową i przestał się odzywać, co zdarzało mu się dosyć często. Przez wiele dni nie reagował na prośby i groźby Jinota. Uśmiechał się tylko z wyższością, jakby myślał o czymś górnolotnym i zupełnie odmiennym.

– Ojcze – odpowiedział w końcu – nie mam zamiaru pływać po oceanach. Pragnę pojechać do Nowej Szkocji i odnaleźć naszą rodzinę: wszystkich Selów, których spotkam. Chcę poznać tamto życie.

– Więc lepiej popłyń na zachód na wyspę Manitoulin i odnajdź swojego stryja Josime'a. Josime postanowił żyć zgodnie z tradycją.

– Ale nie Mikmaków!

– Nie, bo nie ma już tradycji Mikmaków. A Josime zakochał się w dziewczynie z Odawów, opowiadałem ci o tym wiele razy. Jeśli chcesz poznać tradycyjne leśne życie naszego ludu, musisz

odszukać Josime'a. Ale jesteś zbyt młody, żeby samotnie odbyć taką podróż. Popłyń z nami do tej Nowej Zelandii, a obiecuję ci, że po powrocie wybiorę się z tobą na Manitoulin i znajdziemy Josime'a.

Jinot uważał w głębi duszy, że cień białych położył się już daleko w głąb kontynentu i objął Manitoulin i lud Odawów.

Aaron wysłuchał spokojnie słów ojca. Ale nie zmienił zdania: nie miał zamiaru pływać po oceanach. Najlepiej będzie, jeśli odnajdzie Josime'a – człowieka o takim imieniu, i jego miejsce na ziemi. Napisał krótki list i przypiął go do rękawa czarnego surduta ojca.

> *Kochany Ojcze. Nie popłynę do Nowejzelandji. Popłynę do Nowejszkocji i znajdę stryja Josime. Gdy wrócę, wszystko ci opowiem.*

Aaron wierzył, że tradycja Mikmaków – czymkolwiek była – nie mogła odejść w zapomnienie i pełen nadziei wyruszył na północ.

Jinot napisał do Elise, że wypływa z panem Bone'em na ocean. Wszystko może mu się przydarzyć, bo jest kaleką, w dodatku niezbyt już młodym, i chce, żeby wiedziała, co się z nim dzieje. Aaron, pisał Jinot, nie zgodził się z nim popłynąć. „Będę do Ciebie pisał", obiecał w liście. Dwa dni przed wyjściem w morze nadeszła długa odpowiedź od Elise, która nie była uszczęśliwiona jego wyprawą na koniec świata. „Wszyscy jak mi się zdaje wyjeżdżają

gdzieś daleko, bo tu Skerry robi to samo co Aaron i obawiam się, że musimy im na to pozwolić choć dobrze wiemy jak okrutnie traktuje nas świat". Opisała niepokojącą scenę, do jakiej doszło między Skerrym a doktorem Hallagherem:

> *Skerry wrócił do domu z tego kolegium darthmouth bardzo zmartwiony Co ci jest Skerry nie cieszysz się że znów jesteś w domu pośród kochających cię ludzi milczysz przez cały czas powiedział mu doktor a ja drogi Jinot przyniosłam ze spiżarni pasztet z dziczyzny który Skerry uwielbia i myślałam że jest smutny bo opłakuje Humphreya jak my wszyscy jak wiesz choć doktor uprzedzał nas wiele razy że koniec jest bliski i staraliśmy się rozjaśnić mu ten krótki pobyt z nami na tym świecie wiedziałem o tym od lat jak wy mówi Skerry więc o co chodzi czy coś się stało w szkole pyta bardzo głośno doktor ale Skerry nic nie chciał opowiedzieć więc doktor mówi że coś się stało w szkole prawda na co Skerry zrobił zbolałą minę i powiedział że ci wszyscy którzy się uczą w darthmouth bo płynie w nich indiańska krew mają zostać misjonarzami Wszyscy mają zostać misjonarzami, wrócić do naszego plemienia i nauczać ewangelii a ja nigdy nie byłem w żadnym plemieniu i nie mam kogo nauczać chcę studiować prawo na co odpowiedzieli że Indianie mogą studiować tylko teologię i kaznodziejstwo więc mój pobyt w tej szkole nie ma sensu i*

Skerry mówi tato chcę żebyś pozwolił mi uczyć się prawa u sędziego Fostera chcę żebyś go o to poprosił, tak powiedział Jinot ale dla doktora taka prośba jest niezręczna bo leczył kiedyś córkę sędziego Fostera Laurę Rose na suchoty i ona umarła i tłumaczył sędziemu że choroba była zaawansowana i nic nie można było zrobić ale sędzia z bólu po córce znienawidził doktora Więc doktor nie mógł go o nic prosić A Skerry opuścił dom i powiedział że jedzie do kanady i odnajdzie swoje plemię i był bardzo zły kiedy wyjechał
Ps wybacz, że zapomniałam pisać, jak uczyła nas Beatrix

---

[22] Od roku 1397 Norwegia pozostawała w unii kalmarskiej z Danią i Szwecją. Suwerenność uzyskała dopiero w roku 1905 [przyp. tłum.].

[23] Nowa Zelandia była kolonią, a następnie dominium (1907) brytyjskim od roku 1840 do 1947 [przyp. tłum.].

52

KAURI

Jinot czuł się jak zwalona sosna, gdy los rzucił go na drugi koniec świata. Okazało się, że Londyn nie jest większym Bostonem – tak, jak sobie wyobrażał – ale kipiącym siedliskiem złodziei, półślepych koni o okaleczonych pęcinach, błotnistych ulic z truchłem konia na każdej z nich, smrodu ekskrementów i węglowego dymu, i przypalonej kapusty, a od czasu do czasu jedwabi i egzotycznych piór – tam, gdzie zamiatacze ulic posprzątali drogę dla pieszych. Pan Bone wynajął im na jeden miesiąc kwaterę w niegdyś eleganckiej okolicy oddalonej o milę od wielkich doków i krzątaniny portu. Pokoje wytwórcy siekier okazały się znośne: mieli salon i sypialnię z rzeźbionym mahoniowym łożem osłoniętym lekko spleśniałym baldachimem. Sąsiedni pokój Jinota był nieduży i ciemny, ale pan Bone wspaniałomyślnie pozwolił mu siadywać w salonie.

– Przejdźmy się, panie Jinocie Sel – oznajmił pan Bone pierwszego ranka po przybiciu do brzegu. – Przejdźmy się po tym największym mieście na świecie. Pokażę ci wszystkie jego cuda. Pójdziemy najpierw do doków.

Opuścili aleję zaniedbanych georgiańskich rezydencji i znaleźli się na ulicy sklepów żelaznych, gdzie walały się sterty zardzewiałego metalu i leżały kopce węgla. Jinot skrzywił się na widok rodziny odzianych w szmaty dorosłych otoczonych rojem brudnych zagłodzonych dzieci.

– Prawdopodobnie są to przybysze ze wsi, którym zlicytowano ziemię – zauważył pan Bone.

Po całej okolicy krzątały się setki robotników, marynarzy i dokerów, kamieniarzy układających bruk, śmieciarzy i brudnych od sadzy zamiataczy ulic, opróżniających wiadra z odpadkami do rzeki. Gdzieś w pobliżu rozległy się głośne okrzyki.

– A cóż to za zamieszanie? – zapytał pan Bone. – Zobaczmy.

Skręcili za róg i natknęli się na dwóch walczących ze sobą mężczyzn otoczonych przez ponad czterdziestu rozkrzyczanych kibiców. Jinot stwierdził, że Anglicy muszą kochać bójki na pięści tak bardzo, jak pijani korowacze.

– Jesteśmy waleczną rasą – odrzekł z dumą pan Bone i poszli dalej. Gazeciarze rzucali zwinięte w rulon dzienniki prosto w twarze przechodniów, a pośród dziesiątków ogłoszeń przylepionych do ściany magazynu jedno krzyczało wielkimi literami: EMIGRACJA DO NOWEJ ZELANDII.

– Ach, ten pan Edward Wakefield, dżentelmen kierujący Kompanią Nowozelandzką, jest nad wyraz sprytnym Anglikiem – stwierdził pan Bone. – Ma bardzo zdrowe podejście do kolonizacji. A do tego wyczucie do solidnych angielskich robotników, drobnych

przedsiębiorców i szlachty. Rozumie, że rozrzucone przypadkowo kolonie, takie, z jakimi mieliśmy do czynienia w Ameryce, nie dadzą się pogodzić ze zdrowym rozsądkiem i metodami naukowymi. Ma doskonały plan systematycznej kolonizacji i budowy nowej społeczności w oparciu o właściwe klasy społeczne. Gdyby Anglia postąpiła tak samo z koloniami amerykańskimi i Kanadą, nasz kontynent nie byłby rządzony przez dzisiejszych warchołów. – Spojrzał na zegarek i mruknął: – Dosyć zwiedzania. Musimy się pośpieszyć, bo mam umówione spotkanie.

Głównym doradcą pana Bone'a okazał się misjonarz jakiegoś zapoznanego protestanckiego wyznania, wielebny Edward Torrents Rainburrow. Był to człek o wydatnej szczęce porośniętej gęstymi bokobrodami i ustach tak szerokich jak sama twarz, w których tkwiły pozieleniałe zęby. Przemawiał basem, który uzupełniał obraz apodyktycznego despoty, ale podczas rozmowy przyciszał głos i często się uśmiechał.

Na zebranie przyszedł tuzin podróżnych. Pewien jegomość o pociągłej twarzy zastanawiał się, jak długo trwa rejs z Londynu do Nowej Zelandii.

– W zależności od pogody i woli bożej można dopłynąć tam w pięć miesięcy lub dłużej – odrzekł jowialny misjonarz, który raz po raz napełniał sobie kieliszek winem. – Zawiniemy najpierw do Port Jackson, dawnej kolonii skazańców, z której wypłyniemy prosto do Nowej Zelandii. Statki ze skazańcami dopływają do

wyspy i zabierają w drogę powrotną maszty. Drewno jest wysokiej jakości.

Jeden z korespondentów pana Bone'a informował go w liście, że rdzenni mieszkańcy Nowej Zelandii, Maorysi, toczą ze sobą nieustanne wojny i należą do najdzikszych i najbardziej wojowniczych mieszkańców planety, są, słowem, spragnionymi krwi kanibalami. Pokrywają sobie twarze ohydnymi bliznami układającymi się w spirale i kropki. A przyodziewają się w liście.

Inny misjonarz – wśród podróżnych znajdowało się ich siedmiu – pan Boxall, mężczyzna o młodej dziewczęcej twarzy, zwrócił się bezpośrednio do pana Bone'a:

– Słyszałem zupełnie co innego, a mianowicie to, że Maorysi to inteligentny, a nawet uduchowiony lud, pozostający niestety we władaniu Księcia Ciemności. Najbardziej ze wszystkiego pragną przesłania pokoju.

Pan Rainburrow oburzył się tym wtargnięciem w jego zażyłość z panem Bone'em i po obiedzie z wieprzowych policzków i starych ziemniaków, przygotowanym przez którąś z żon misjonarzy, pochylił się do ucha wytwórcy siekier:

– Drogi panie Bone, to ja zadbam o rejs z Australii do Nowej Zelandii, podjąłem już odpowiednie kroki.

Siedzący po drugiej stronie stołu Jinot wtrącił:

– Panie Bone, chcę wrócić do Bostonu. Nie mam ochoty zmagać się z dzikimi.

Ale pan Bone entuzjazmował się spotkaniem z kanibalami.

– Dziękuję panu, wielebny Rainburrow – szepnął, a potem spojrzał na Jinota i odezwał się przyciszonym surowym głosem: – Bardzo wątpię, aby Maorysi żywili się ludzkim mięsem. To jakaś żeglarska opowieść, wymysł albo legenda. A ty, akurat ty, jesteś niesprawiedliwy. Mam prawo przypuszczać, że Maorysi bronią swojej ziemi przed ludźmi, którzy chcą ją bezprawnie zagarnąć. Jeśli potraktuje się ich po ludzku, przekonają się z czasem, że ich życie stanie się o wiele znośniejsze dzięki innowacjom białych.

Oszczędni misjonarze często pływali na statkach ze skazańcami, a Jinot wbrew własnej woli znalazł się wraz z panem Bone'em na pokładzie żaglowca „Doublehail". Większość pasażerów cierpiała na chorobę morską, wyjątkiem był pan Rainburrow, który nie przestawał delektować się poranną porcją bekonu. Jinot nigdy nie poznał tak zajętego jak on człowieka, misjonarz bowiem krzątał się od brzasku aż do pory gaszenia świateł. Pan Boxall, z którym znów utrzymywał przyjazne stosunki, szedł w jego ślady, biegając z małym żółtym notesem.

Pod pokładem w ograniczających ruchy celach tłoczyli się skuci łańcuchami niebezpieczni zbrodniarze – skazańcy, których Anglia z chęcią się pozbywała spośród praworządnej ludności.

Jinot miał już dosyć unoszącego się i opadającego pokładu, żarliwych misjonarzy i monotonnego widoku na ocean i płaski jak deska horyzont. Połacie oceanu nie miały zapachu Atlantyku,

który na zawsze naznaczył Jinota. Nawet głęboko w lasach Maine czuł przy niepogodzie słoną morską bryzę, choć był oddalony od brzegu morza o setki mil. Surowy, zimny, nieprzyjazny, gardzący ludźmi, najeżony skałami i błyskający straszliwymi sztormami ocean był dla niego i dla wszystkich Mikmaków jedynym prawdziwym morzem, a Jinot jak łosoś chciał do niego wrócić.

Gdy ujrzeli w końcu Australię, ziemia ta wydała im się wielką parówką leżącą nad krawędzią świata. Zastanawiał się, jak można płynąć jeszcze dalej aż do Nowej Zelandii. Ale nie odzywał się, bo chciał wrócić do Bostonu, choćby po nieskończenie długim rejsie, a poza tym nie miał już pieniędzy, bo pan Bone po wypłynięciu z Ameryki przestał mu płacić. Był zdany na wytwórcę siekier, czy tego chciał, czy nie.

Port Jackson pachniał inaczej i obco, czymś spieczonym, jakby paloną kawą lub płonącymi gałęziami.

Pomiędzy dziwnymi drzewami latały skrzekliwe ptaki o zdumiewających opalizujących barwach, pióropuszach i skrzydłach niczym płonące anioły – przypominały latające duchy z koszmarów sennych. Przez miesiąc oczekiwania w kolonii na statek płynący do Nowej Zelandii napatrzyli się na stworzenia przechodzące wszelkie wyobrażenia: skaczące, pokryte futrem bestie o ogonach jak ster, groźnie nadymające podgardla jaszczurki i przeróżne śmiertelnie jadowite pająki.

W Port Jackson misjonarze spotkali Maorysa, który sprzedawał w kolonii nowozelandzki len. Umówili się z nim, że

udzieli wszystkim, w tym panu Bone'owi, lekcji ojczystego języka. Wkrótce pan Bone rzucał takimi słowami, jak *tapu, waka, wahine, iti, ihu* i wyobrażał sobie, że płynnie posługuje się tym polinezyjskim narzeczem.

Jinot wpadł w przygnębienie, przekonawszy się, że ten sam godny pogardy żaglowiec „Doublehail", którym przypłynęli z Anglii, zabierze ich teraz do Nowej Zelandii. Na pokładzie znalazło się kilku Maorysów i pan Bone rozmawiał z nimi w ich, jak sobie imaginował, ojczystym języku. Energiczny pan Rainburrow nie tracił czasu i gdy tylko zdybał jakiegoś zapatrzonego w dal Maorysa, zaczynał go nawracać. Jinot stwierdził z zaskoczeniem, że ludzie ci słuchali go z zainteresowaniem i zadawali mu nawet pytania. Jeśli chodzi o Jinota, Maorysi natychmiast rozpoznali w nim pośledniego sługę pana Bone'a i przestali zwracać nań uwagę.

Wpłynęli w ujście rzeki, mijając pokryte jarami karczowiska. Rejs dobiegł końca w ogarniętej krzątaniną osadzie. Największa budowla wznosiła się przy nabrzeżu i była to olbrzymia faktoria handlowa: *whare hoka*. Obok składu stał sklep dostawcy okrętowego, ozdobiony starą kotwicą. Dalej ujrzeli dwie pochylone w jedną stronę szopy. Na większej z nich wisiała tablica KOMPANIA NOWOZELANDZKA. Domy kupców *Pākeh*ā[24] i

urzędników brytyjskiej administracji wznosiły się tarasowo na wzgórzu za *whare loka*. Za osłoną drzew i palisady znajdowała się wioska Maorysów – *pa.* Dalej była tylko fantastyczna plątanina paproci, drzew i pnączy, znad której dolatywały egzotyczne zapachy zupełnie nowego świata.

– Wkrótce pojawi się tłumacz, panie Bone. Proszę mi wybaczyć, ale muszę pójść obejrzeć miejsce wybrane na misję – powiedział pan Rainburrow.

Pan Bone i Jinot czekali na tłumacza. Był nim Szkot, John Grapple, ujrzeli go schodzącego ze wzgórza stromą ścieżką. Grapple szedł bardzo ostrożnie, a Jinot domyślił się, że nie chce upaść na urwistym zboczu. Dotarł do nich w tym samym czasie, gdy do brzegu przybiła maoryska piroga, z której wyskoczył muskularny tubylec i ruszył w ich stronę. Spotkali się wszyscy pod drzewami.

– A więc tak – odezwał się Grapple, mężczyzna o szkarłatnej twarzy i czerwonym nosie. – Ten wódz nie mówi po angielsku, więc będę tłumaczył.

Gdy pan Bone usłyszał szkocki akcent Johna Grapple'a, od razu go polubił. Rozmawiali ze sobą przez przynajmniej kwadrans, wyszukując wspólnych dalekich krewnych, a dopiero później zwrócili się do Maorysa, który stał i czekał ze złożonymi na piersi potężnymi ramionami. Pan Bone popisał się kilkoma maoryskimi wyrażeniami, i co dziwne, człowiek ten – o brązowej twarzy pokrytej mapą wytatuowanych zawijasów i kropek i

odziany w lejącą się, sięgającą kostek lnianą opończę – zrozumiał przynajmniej część ze źle wypowiadanych fraz. Początkowo wydawało się, że pan Bone przypadł mu do gustu. Wódz zapytał, czy przypłynął kupić len? Nie. Skóry fok? Nie. W takim razie co?

Pan Bone zrezygnował ze swojego ograniczonego słownictwa i spojrzał wymownie na Johna Grapple'a, który zaczął tłumaczyć to, co mówił o wyrobie siekier i planach założenia manufaktury. Ująwszy patyk, pan Bone narysował na ziemi siekierę, a następnie wielki młot spadowy. By lepiej unaocznić, o co mu chodzi, wyjął z walizy własnej produkcji siekierę, wzór Penobscot i podał ją wodzowi.

Oczy wodza zapaliły się na widok tak doskonałego i pięknego narzędzia. Pan Bone zbyt późno zorientował się, że wódz potraktował siekierę jako podarunek, a nie demonstracyjny okaz.

– No, dobrze, nieważne, mam inne – mruknął pod nosem.

– Masz inne? – zapytał wódz zaskakująco płynną angielszczyzną.

– Pozwoli pan, że mu pogratuluję szybkiej nauki angielskiego. A co się tyczy siekier: owszem, mam inne, ale tylko na pokaz. Mam zamiar produkować te narzędzia tutaj, gdy tylko znajdziemy pokłady dobrej rudy żelaznej na wyspie. Jestem właścicielem wytwórni siekier w Stanach Zjednoczonych. Chciałbym tu stworzyć siekierę nowozelandzką.

Zebrał się wokół nich spory tłumek, ludzie wyciągali szyje, żeby przyjrzeć się siekierze.

– Co im się stało? – zapytał pan Bone, zwracając się przyciszonym głosem do Johna Grapple'a. – Można by pomyśleć, że nigdy nie widzieli siekiery!

– Tak jest w istocie – odpowiedział Grapple.

Wódz uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Mój przyjacielu – zwrócił się do pana Bone'a. – To świetne. Świetne, świetne. Chodź ze mną. Powitamy cię ceremonialnie podczas *powhiri* i wydamy na twoją cześć ucztę *hakari*. Na cześć twoją i twojego *whekere* – dodał, spoglądając na Jinota.

– Uważam, panie Bone – szepnął Jinot – że ten człowiek bierze mnie za fabrykę siekier. Myśli, że fabryka jest jak służący albo niewolnik. – Domyślał się, że Maorysi mają niewolników.

– Och, co za brednie! Nie pojmuje pan sytuacji, panie Jinot Sel. Doszliśmy obaj do porozumienia, a nasz gość już wszystko wie.

Pan Bone – jak miał to we zwyczaju – wyjął z kieszonki nakręcany zegarek. Lecz nim zdążył wysunąć go do końca, tłum wzdrygnął się, wstrzymał oddech i cofnął się o krok z przerażeniem. Ludzie szeptali do siebie „*atua*". Pan Bone spojrzał pytająco na Johna Grapple'a.

– No, cóż… no, cóż… – zaczął Grapple, krzywiąc się i rezygnując ze szkockiego akcentu na rzecz zwykłej angielszczyzny. – Uważają, że w pańskim zegarku kryje się demon, twierdzą, że słyszą, jak bije mu serce.

Pan Bone uśmiechnął się z tych przesądów i wzmógł napięcie, naciskając pokrętło uruchamiające pozytywkę. Rozległo się ciche

dzwonienie. Jeden z mężczyzn wykrzyknął coś niezrozumiale.

– O co mu chodzi? – zapytał pan Bone.

– Krzyczy, że demon chce uciec z więzienia – odpowiedział Grapple. – Proponuję, żeby pan schował zegarek. Maorysi są do nich uprzedzeni. Przed kilkoma laty zawinął tu statek wielorybniczy, żeby uzupełnić zapasy słodkiej wody i drewna. Kapitan niebacznie upuścił zegarek do wody, a po tygodniu na Maorysów spadły śmiertelne choroby i inne nieszczęścia. Przypisali to złemu duchowi, kryjącemu się w zegarku na dnie.

Pan Bone postanowił pochwalić się potęgą białego. Zmarszczył brwi, potrząsnął zegarkiem, a potem przemówił do niego ostro, jak do nieposłusznego dziecka, po czym schował go na powrót do kieszonki, gdzie zegarek znów zaczął domagać się impulsywnie uwolnienia. Tłum wciągnął gwałtownie powietrze i cofnął się jeszcze bardziej.

Gdy pan Bone zapytał Grapple'a *sotto voce*, gdzie wódz nauczył się angielskiego, tłumacz odrzekł, że prawdopodobnie służył na amerykańskim statku wielorybniczym lub foczym, a skryta natura kazała mu ukryć znajomość języka, aby czerpać z tego korzyści. Pan Bone uśmiechnął się do wodza. Starał się zapamiętać wzór jego tatuaży, aby łatwiej go rozpoznać w przyszłości.

– A więc, mój drogi panie – zwrócił się do Maorysa – czym się pan przeważnie zajmuje: rybołówstwem czy wojaczką.

– Czasem tym, a czasem tamtym.

– Ha! A co ja, pańskim zdaniem, robię w życiu?

– Podróżuje?

Pan Bone zwracał się doń wolno i głośno jak do obcokrajowca, choć przeszkadzały mu także skrzekliwe ptaki na gałęziach.

– Otóż nie, mój panie! Bardzo rzadko podróżuję. Mieszkam w Ameryce i jak już wspomniałem, produkuję najlepsze siekiery. Jak ta. – Wskazał siekierę wzór Penobscot, którą wódz wciąż trzymał w ręku. Pan Bone wyciągnął rękę i pokiwał palcem na Maorysa, żeby się zbliżył i oddał mu siekierę. Ale ten popatrzył gniewnie na przybysza i uciekł razem z siekierą.

– Chodź tu! – zawołał za nim pan Bone. – Ty łobuzie! Natychmiast oddaj mi siekierę!

Ale Maorys zniknął już w paprociach.

– Jest pan porywczy, panie Bone – stwierdził John Grapple. – Metalowe narzędzia są tutaj w cenie. – Uśmiechnął się i zmienił ton na pochlebniejszy, przywołał szkocki akcent. – Myśli, że pan mu ją dał w prezencie. Chodźmy lepiej do mnie na szklaneczkę i pogawędkę, he? Oddalmy się od tych swarliwych krzykaczy. – W rzeczy samej, ptaki perorowały bez wytchnienia.

Jinot i pan Bone spali w chacie w misjonarskiej enklawie. Po bokach rosły tykwy zarzucające pędy aż na szczyt dachu, a między tymi pędami polowały na owady wytworne gekony.

– Gdy pan Rainburrow skończy budowę misji, przeprowadzimy się tam. Niewykluczone, że znajdę miejsce na wzniesienie

warsztatu i postawię tam naszą siedzibę. Tymczasem jednak musimy przyjąć tę skromną kwaterę pod drzewami i uczynić ją naszym chwilowym domem – oznajmił pan Bone.

– Czy ktoś o mnie mówił? – zawołał donośnie misjonarz, wchodząc w panujący w chacie półmrok z uśmiechem na twarzy. Nucił pod nosem jakiś hymn. – Jestem bardzo zadowolony z miejsca, na którym postawimy misję. Znajduje się na niedużym wzniesieniu wychodzącym na port, płynie tamtędy bystry potok z doskonałą wodą. Już rozpoczęliśmy roboty budowlane. Przed moim odejściem ponad pięćdziesięciu Maorysów ścinało wielkie tyczki i związywało je pędami, co jest dosyć osobliwym, ale skutecznym sposobem wznoszenia siedzib.

Pod koniec drugiego tygodnia misjonarz zawarł spółkę z kupcem z Maine Orionem Palmerem, który przypłynął do Nowej Zelandii przed wielu laty na statku poławiającym foki i nie miał zamiaru wracać do krainy sosen, gdzie w zimowe noce drzewa pękają od mrozu.

Jinota obudził przed świtem śpiew ptaka – zapadające w pamięć organowe nuty, powolne i miarowe, jakby ptak ten głęboko przemyśliwał kompozycję. Niski harmonijny śpiew wyrażał smutek i rezygnację. Gdzieś z lasu odpowiedział nań inny ptak i poważne ptasie nuty splotły się w arii. Jinot kręcił głową, chcąc wypatrzyć pierzastą istotę wznoszącą tak głęboką pieśń. W końcu ujrzał dużego niebieskoszarego ptaka rozkładającego i

składającego skrzydła i ogon. Ptak miał czarną maskę na główce, a pod dziobem dwa niebieskie korale. Wyciągał szyję i otworzył mocny zakrzywiony dziób, by zaśpiewać tęsknie: *iiin… ooon… annn… annn… kliit!… iiin.*

Jinot postanowił wspiąć się wyżej przez las, tak inny od sosnowych lasów Maine, Nowego Brunszwiku i Ontario, czy jakiegokolwiek lasu widzianego przezeń do tej pory. Nie potrafił nawet wyobrazić sobie takiego lasu. Wyczuwał, że bór jest bardzo stary, ale nie mógł wiedzieć, że maszeruje przez najstarszy żyjący las na planecie, rosnący w takiej części świata, której nigdy nie tknęły lodowce ani hordy pasących się ssaków. Mając świeżo w pamięci przemysłową brzydotę Londynu, chłonął ze wszystkich sił piękno Nowej Zelandii. Był to całkiem nowy świat pulsujący życiem i kolorami, wszędzie rosły drzewa wypuszczające pnącza, pleniły się epifity, kwitły szkarłatne kwiaty, pachniały oszałamiająco kaskady maleńkich orchidei, wiły się wiążące las liany, czerwieniły karminowo szczotkowate metrosiderosy wyniosłe, a miejsce to było ukryte przed światem za sprawą swego oddalenia. Jinot miał wrażenie, że nie powinien tutaj gościć, może las ten był jednym z *tapu*, o których żartowali misjonarze. Ziemię przecinały zalesione jary. Po dnie każdego z nich płynął przejrzysty potok. Strumyczki wody wiły się między korzeniami drzew. Na gałęziach siedziały ptaki liczne jak owoce, a korony drzew drgały od ich trzepotu. Z czasem pozna te ptaki i drzewa: *totara*, buk, *kahikatea*, *rimu*, *matai* i *miro*, *manuka* i *kanuka*,

wielkie kauri i palmy nikau. Gdy znalazł się w oddalonym gaju kauri, dotknął kory na grubym jak słoniowa noga pniu, zadarł głowę ku okazałym konarom korony wieńczącej monstrualny pień. Wyobraził sobie, że drzewo wzdrygnęło się, czując jego dotyk, i cofnął dłoń.

Chciał poznać cały nowy las, więc zszedł z leśnego duktu i zapuścił się w jar. I jak w sennym koszmarze poczuł dojmujący piekący ból, gdy dotknął lśniącego liścia. Spojrzał uważniej na zarośla i tutejsze kłujące pokrzywy, na których dostrzegł srebrzyste włoski. Cóż, nie jest to raj. I, jak wszędzie, latają komary. Poczuł nagle niepokój i wyszedł szybko z jaru. Zaplątał się w gąszczu pędów i lian. Niezwykłe bogactwo roślin: trawy, pnącza, drzewa, krzewy oplątywały grube liany. Jego odzież zaczęła pękać i drzeć się na strzępy po długotrwałym wystawianiu jej na słońce i sól, ale wspinał się wytrwale, choć błotnisty stok był śliski. Miał nadzieję, że znajdzie leśny dukt, bo spodnie miał już całkiem wystrzępione od ostrych traw.

Nad nim, na szczycie jaru, leżało stare pole batatów *kumara*, które zarosło orlicami. Odpoczywały tam kobiety i dziewczęta, było ich osiem albo dziesięć, odłożyły drewniane motyki *ko* i delektowały się chwilą wytchnienia podczas wykopywania *aruhe*, korzeni paproci. Korzenie długie na dziesięć albo dwanaście cali, grube i ciężkie, leżały z boku na stosie.

– Co to za odgłos? – zapytała mała dziewczynka, przekrzywiając zaniepokojona głowę. Wszystkie nadstawiły ucha:

tak, ktoś łamał gałęzie i gramolił się po śliskim zboczu, tłukł się w jarze poniżej pola. Wstały z obawą, gotowe uciec w każdej chwili. Odgłosy zbliżały się i nagle z jaru wyłoniła się prosto na nie przerażająca istota.

Brudny i pokryty błotem Jinot, którego swędziało całe ciało, wdrapał się zdyszany na szczyt stromego zbocza. Pokrwawione odzienie miał w strzępach, włosy zlepione od potu i sterczące na wszystkie strony. Ku swej radości ujrzał kobiety otoczone stertami korzeni. Nie mógł się oprzeć. Przez całe życie kobiety nie potrafiły oprzeć się jemu. Uśmiechnął się, wyciągnął ramiona i podbiegł do nich, czekając na przywitanie, ale uciekły od niego, krzycząc z nieopisanego strachu. Wołał za nimi:

– Wracajcie! Nie zrobię wam krzywdy!

Ale już się rozbiegły. Dawny uśmiechnięty i wesoły Jinot gdzieś wyparował, a jego miejsce zajął starzejący się mężczyzna, który zaznał wiele smutku, wielu trudności, a teraz bolesnego odrzucenia.

Pan Bone rozłożył na ziemi matę i siedział na niej po turecku, pijąc herbatę i jedząc pieczony pochrzyn i owoce. Jinot odpowiedział na jego powitanie nieśmiałym chrząknięciem.

– Jakże żałuję, że nie zabraliśmy ze sobą worka kawy. Herbata jest bardzo dobra, ale to nie kawa.

Jinot nic na to nie odpowiedział. Wiedział jednak, że szkocki „kuzyn” pana Bone’a, John Grapple ma cały zapas kawy. Czuł ją

na trakcie prowadzącym z lasu i biegnącym za zabudowaniami *pakeha*.

Kilka dni później, gdy Jinot cerował pożyczoną igłą poszarpaną w lesie odzież, a pan Bone zapisywał coś skrzętnie w notesie, przed ich chatą pojawił się wódz w wielokolorowej lnianej pelerynie.

– Och, panie kapitanie – zwrócił się do Bone'a przypochlebnym tonem – więc ma pan dużo siekier?

– Mam ich w skrzyni pięćdziesiąt – odrzekł pan Bone, odkładając pióro i wskazując ręką chatę, w której stała skrzynia. – Ale tylko na pokaz. Jak już mówiłem, mam zamiar założyć tu fabrykę siekier. Mam nadzieję, że zdołam nauczyć Maorysów, jak produkuje się siekiery wysokiej jakości. Zauważyłem, że jest tu wielki popyt na siekiery.

– Chce zobaczyć dobrej miejsce na *whekere*? Niech idzie ze mną – powiedział wódz, wskazując na stromy szlak prowadzący w głąb lasu.

– Czy jest tam strumień albo potok?

– O, tak. Aż za dużo wody.

Pan Bone uśmiechnął się i zwrócił do Jinota:

– Widzisz, to bardzo proste, żeby zainteresować ich moim pomysłem. Gwarantuję ci, że człowiek ten zna dobre miejsce na warsztat.

– Panie Bone. To niemożliwe. Kupcy mówią, że w całej tej krainie nie ma rudy żelaza i śmieją się z pana. Z czego chce pan

wykuwać siekiery?

– Mam wrażenie, panie Jinot Sel, że wiem lepiej, co mogę, a czego nie mogę zrobić. To nieprawda, że tu nie ma rudy. Prawdą jest natomiast, że jeszcze nie została odnaleziona.

Maorys w opończy stał przed chatą, cofał się, wykonując zapraszające gesty do pana Bone'a.

– Nie poszedłbym z nim – mruknął Jinot. – Nie wiadomo, co sobie umyślił.

– Bzdura! Nic mi się nie stanie. Jest przyjazny. Jak na dzikusa. A pan, panie Jinot Sel, jest jak na dzikusa ostrożny. Nie rozumie pan ani tych ludzi, ani tego miejsca.

Pan Bone usłyszał już historię o kobietach uciekających przed przerażającym nieznajomym, który wyłonił się z jaru. Wszyscy misjonarze o tym opowiadali.

– Śmiem twierdzić, że na tym polega przewaga białych: wiedzą, jak rozkazywać. Ten wódz stanie się moim pierwszym rekrutem. Za rok będzie stał przy młocie spadowym. Z przykrością muszę stwierdzić, że po tych wszystkich latach, które spędził pan u mnie, okazał się pan smutnym rozczarowaniem.

Pan Bone wyszedł z chaty i ruszył w głąb lasu za chętnym do pomocy przewodnikiem.

Przeszli ponad milę, a szlak nagle się urwał, ale wódz parł dalej, kierując się paprociami *ponga*, których liście odwracały się srebrzystą stroną do góry (czego pan Bone nie zauważył). Za

amerykańskim przedsiębiorcą pojawili się bez słowa dwaj inni Maorysi, których nawet nie zauważył, pochłonięty oglądaniem masywnych pni drzew. Wielkie, wielkie drzewa, prawdziwe olbrzymy na tej ziemi o bladoszarych pniach szerokości europejskiego domu. Czy można takie monstra zrąbać siekierą? Czy to wykonalne?

Poruszony pan Bone zawołał do wodza:

– Powiedz mi, czy to araukarie?

– Kauri – odrzekł wódz, odwracając się i błyskając białkami oczu do kogoś za plecami pana Bone'a. Pan Bone był tak oszołomiony rozmiarami tych niemożliwych drzew, że nie zdawał sobie sprawy, że pałka uniesiona nad jego głową za chwilę rozpłata mu czaszkę. W ostatnim przebłysku świadomości pomyślał, że przygniotła go wielka araukaria.

– Szybko – zawołał wódz do swoich towarzyszy, wyjmując zza pazuchy świeżo naostrzony obsydianowy nóż. – Wracacie po siekiery. Przyjdziecie tu z nimi i pomożecie mi zabrać mięso.

Zanim rozczłonkował ciało, wyjął ostrożnie z kieszonki pana Bone zegarek Quare'a. Serce demona ciągle biło i biło!

– Wiemy, jak sobie z tobą poradzić – zwrócił się do zegarka i położył demona na dużym liściu, po czym przykrył go dla ochrony innym magicznym liściem. Potem zabrał się za ćwiartowanie. Mówił prawdę, bo jeszcze tej samej nocy wrzucił zegarek do ognia, a wszyscy siedzący wokół widzieli, jak demon wyrzuca do góry sprężyste ramiona, krzyczy i znika w płomieniach.

Gdy po upływie dwóch dni pan Bone nie wrócił z wyprawy, Jinot poczuł lekki niepokój, ale wmawiał sobie, że uparty staruch postawił pewnie na swoim i wróci przekonany, że odniósł kolejny wielki sukces. Musiał wyprawić się na poszukiwania rudy żelaza. Jinot, jego niewolnik, chciał tylko znaleźć statek płynący do Bostonu i odpracować na nim powrotny rejs do domu, choć nie znał się na żeglarskim fachu. Rozstanie się z panem Bone'em, bo wiedział, że fabryka siekier na Morzach Południowych to nieprawdopodobne marzenie. Z tego, co słyszał, w Nowej Zelandii nie ma złóż rudy żelaza, choć jest tu pełno odkrywców i górników. Ale nie ma kopalni. Lecz nawet gdyby były, miał już dosyć kucia siekier. Marzył tylko o tym, żeby wrócić do miejsc, które znał. Dzikie nowozelandzkie lasy wzbudziły w nim niezrozumiałe uczucia, ale odpychały go gęstwiną złowrogiej roślinności – zupełnie nieznaną i wyniosłą przez swą starodawność. Żeby stąd uciec, będzie musiał najpierw popłynąć do Port Jackson, o ile do portu w Hokianga nie zawinie wcześniej jakiś amerykański statek wielorybniczy. Pan Bone nie będzie w stanie go zatrzymać. Odpłynie z nim albo bez niego. Planował swoją ucieczkę, gdy do chaty zawitał zdyszany pan Rainburrow. Zmrużył podejrzliwie oczy:

– Gdzie jest pan Bone? – zapytał donośnym głosem, a Jinot zauważył, że przed chatą gromadzi się tłumek ludzi, którzy przysłuchują się i przyglądają wszystkiemu.

– Nie wiem. Przed kilkoma dniami wyruszył gdzieś z krajowcem w opończy z trawy. Choć mu to odradzałem.

– Odradzałeś mu! A kim ty jesteś, żeby coś radzić albo odradzać panu Bone'owi! Służącym! Z którym krajowcem się oddalił?

– Nie wiem, proszę pana. Wiem tylko, że to był Maorys… bardzo wytatuowany i w opończy.

– Muszę zatem poinformować pana – w głosie misjonarza zabrzmiała ledwo skrywana wzgarda – że istnieją poważne obawy co do losów pana Bone'a. Uważa się, że stała mu się jakaś krzywda, a o jej wyrządzenie nie podejrzewa się jakiegoś tajemniczego krajowca w płaszczu z trawy, ale ciebie, drogi panie, jego służącego, który włóczy się po tutejszych lasach w celu pozbycia się ciała.

– To nieprawda! – zawołał Jinot. – Wystarczy, że zapytacie pana Grapple'a. On zna tego krajowca, przedstawił go panu Bone'owi.

– Wielka szkoda, że John Grapple popłynął na miesiąc w interesach do Port Jackson. Do czasu jego powrotu nie opuścisz tej chaty. Każę przynosić ci jedzenie, ale ty, Sel, jesteś naszym więźniem do czasu zweryfikowania twoich słów. Postawimy tu straż, żeby cię pilnowano.

Po powrocie do misji pan Rainburrow nalał świeżego atramentu do kałamarza, wybrał stalówkę i napisał list.

Wielebny Rainburrow do pana Josepha Dogga, Bone Ax Company, Massachusetts.

Panie,

Jestem zmuszony pisać do niego w sprawie okoliczności związanych z pracodawcą, panem Albertem Bone'em, z którym miałem przyjemność podróżować przez osiem minionych miesięcy. Żywimy dla siebie z panem Bone'em wielkie poważanie, rzec by można w istocie, iż zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi. W ciągu kilku ostatnich dni pojawiły się wszelako pewne niepokojące okoliczności, o których muszę napisać. Panu Bone'owi towarzyszył w podróży służący, niejaki Jinot Sel, ciemnoskóry mężczyzna oddany eksploracji lasów, który pewnego dnia spłoszył krajowców, wyłaniając się nagle zza krzaka i krzycząc na nich niezrozumiale. Obawiam się, że jego wypady do lasu mogły mieć złowrogie motywy. Pan Bone zniknął z naszej misyjnej enklawy przed trzema dniami i od tamtej pory go nie widziano. Przed godziną wypytałem pana Sela o miejsce pobytu jego pracodawcy. Sel twierdzi, że pan Bone oddalił się z krajowcem przyodzianym w opończę z trawy. Jako że wielu z tubylców nosi takie płaszcze, nie ma sposobu na zweryfikowanie prawdziwości tego stwierdzenia, choć jak twierdzi Sel istnieje świadek, szanowny tutaj tłumacz, pan John Grapple, który niestety wypłynął na kilka tygodni w interesach, przez co nie może potwierdzić zeznań Sela. Pozwoliłem sobie nałożyć na Sela

areszt domowy do czasu powrotu pana Grapple'a i dojścia do prawdy. Zabezpieczyłem także szkatułkę z pieniędzmi pana Bone'a, która, jak podejrzewam, mogła stać się przyczyną jego zniknięcia i wypadów Sela do lasu. Przypuszczenie to potwierdzają roszczenia Sela, który utrzymuje, iż pan Bone jest mu winien zapłatę.

Gdyby panu Bone'owi przydarzyła się jakaś krzywda, mogę pana zapewnić, iż będę dbał o jego interesy jak przyjaciel i duchowy doradca. Mam duże wpływy w tym kraju i zadbam o to, żeby własność pana Bone'a wróciła do Bostonu, a jego służącym Selem zajął się brytyjski wymiar sprawiedliwości, gdyż, o czym być może pan słyszał, Nowa Zelandia stała się kolonią Imperium Brytyjskiego. Zajmę się wszystkimi sprawami prawnymi, które mogą się pojawić. Wedle mojej wiedzy pan Bone nie zostawił w kolonii żadnego testamentu, ale pan wie zapewne lepiej ode mnie, czy taki dokument w ogóle istnieje.

Powiadomię pana natychmiast, jeśli coś się okaże w tej sprawie.

Pozostaję etc.

Wielebny Edward Torrents Rainburrow, Misjonarz Kościoła, Nowa Zelandia.

Dni w areszcie domowym mijały Jinotowi wolno. Któraś z żon misjonarzy przynosiła mu pieczony pochrzyn i rybę. W ogóle się

do niego nie odzywała, a gdy zadał jej jakieś pytanie, wybiegała truchtem. Często o tym myślał: tu, w Nowej Zelandii, wszystkie kobiety od niego uciekały, unikały go. Przed chatą pilnowało go czterech potężnych Maorysów, którzy tylko czekali, żeby zechciał uciec. Dwóch z nich skrobało jakieś zielone kamienie, a dwaj pozostali rozmawiali ze sobą ze śmiechem. Stawał niekiedy w progu chaty albo siadał na ganku, nasłuchiwał *kokako* i zawsze wpatrywał się w port. Z progu chaty widział niedaleki skalny występ, na którym rosło kilka starych metrosiderosów wyniosłych, podpalających świat karminowymi kwiatami. Wolałby wypatrzyć statek. Gdyby zakotwiczył tu jakiś amerykański żaglowiec, zaryzykowałby wszystko, żeby do niego dopłynąć. Ale przypływały tylko angielskie statki, zabierały reje z araukarii. Każdego dnia wyglądał za metrosiderosy, żeby odszukać wzrokiem okręty. Któregoś ranka zobaczył, że najstarsze drzewo na skale leży na ziemi. Ujrzał błysk siekiery i dwóch białych rąbiących metrosiderosy, które padając, wydawały ostatnie tchnienie karminowym pyłkiem kwiatów. Do popołudnia zrąbali wszystkie drzewa, a Jinot wolał tam nie patrzeć.

Minął ponad miesiąc, nim Grapple wspiął się na wzgórze do domu – niemal natychmiast osaczyła go horda misjonarzy. Wielebni zaczęli schodzić po śliskim stoku jakiś kwadrans później. Ale pan Rainburrow i jego totumfacki Boxall pojawili się w chacie Jinota dopiero o zmroku. Obaj mieli skwaszone miny.

– Moim obowiązkiem jest poinformować cię, Jinot, że John Grapple wrócił z Port Jackson. Potwierdził twoją opowieść o krajowcu w opończy z trawy, twierdzi jednak, że nie zna tego człowieka. To wódz Maorysów z jakichś innych rejonów wyspy, który usłyszał o przybyciu pana Bone'a i chciał go poznać. Należy zapewne do rzadko tu spotykanych złych Maorysów. Trudno orzec, gdyż nikt nie zna ani jego imienia, ani miejsca, z którego pochodzi.

Boxall dodał pośpiesznie:

– Nie ma więc powodu dalej cię więzić. Jesteś wolny.

– Świetnie – odrzekł Jinot Sel. – Chcę wrócić do kraju. I proszę o zapłatę za moją pracę z pieniędzy pana Bone'a. Nie dostałem od niego ani centa od ponad roku, odkąd wypłynęliśmy z Bostonu.

Pan Rainburrow poruszył ramionami, jakby coś piło go pod pachami. Rozejrzał się po chacie, jakby szukając wzrokiem szkatułki z pieniędzmi.

– Trzeba panu wiedzieć, panie Jinot, że nie wolno mi… nie wolno nam spełnić pańskiej prośby. Pieniądze ze szkatułki należą do pana Bone'a, a jeśli on nie wróci, przejdą na jego spadkobierców i rodzinę: wątpię, abyś pan do nich należał. Tak czy inaczej, pieniądze znajdują się u mnie w depozycie, aby nikogo nie kusiły, panie Jinot.

– Ale nie mam czym zapłacić za powrotny rejs.

– Proponuję zatem, aby znów chwycił pan za topór, Jinot. Pan Bone wspomniał, że byłeś pan dobrym drwalem. Zarobisz na

powrót do domu. I chcąc okazać naszą dobrą wolę, dodam jeszcze, że rozmawiałem już z panem Palmerem, który oferuje zatrudnienie przy rąbaniu drzew. Pan Palmer jest właścicielem kilku działek na wybrzeżu wraz z należącym do nich lasem araukarii i obozowiskami drwali. Wyjedziesz pan jutro.

Nie miał wyjścia, musiał tak zrobić, musiał pracować i oszczędzać na powrót do domu. Był już stary, ale pokryta bliznami noga nie doskwierała mu tak jak kiedyś i był pewny, że zdoła utrzymać w rękach siekierę. Nie pozostawało mu nic innego. Zostawi przynajmniej za sobą tę bandę misjonarzy z ich ukazami.

---

[24] Niemaoryska ludność Nowej Zelandii [przyp. tłum.].

53

W BUSZU

W przybrzeżnej faktorii Bunder Jinot z niepokojem zauważył, że Maorysi sprzedają białym marynarzom wytatuowane głowy wrogów jako kurioza. Przypomniał sobie nagle Kuntawa i jego śmiech z najpotworniejszych widoków – Kuntaw zawsze się śmiał z potworności, jakby nie były niczym nadzwyczajnym. Odszedł od tych handlarzy co prędzej, obawiając się, że wśród ich łupów znajdzie starą siwą głowę pana Bone'a. Zaszedł do kupieckiego *whare hoka*, żeby obejrzeć towary: śnieżnobiałe bele bawełny, drewniane flety, tamburyny, guziki i szpulki z nićmi w dwunastu magicznych kolorach. W tym miejscu można było znaleźć bezcenne igły, wybrać jeden z wielu kapeluszy oraz – owszem – kupić siekierę kiepskiej jakości. Gdy jakiś Maorys wchodził tu po raz pierwszy, przystawał nieśmiało na środku *whare hoka*, rozglądał się, obejmował wszystko wzrokiem, po czym wpadał w zachwyt i pożądliwe oszołomienie, widząc tyle dziwnych towarów nieznanego zastosowania. Uwięziony w chacie Jinot podsłuchał kiedyś rozmowę misjonarzy, którzy opowiadali sobie, że kupcy z Sydney zajmują wszystkie dobre naturalne porty Northland i

zakładają w nich przybrzeżne faktorie: w Hokianga, nad Coromandel, wszędzie, gdzie jest dosyć wody pod kilem i drewno na podorędziu. „Otwierają tę krainę na przestrzał", mówili misjonarze z podziwem.

Oddzielone od siebie o mile faktorie handlowały lnem, rejami, drewnem, a w pobliżu zawsze znajdowały się jakieś obozowiska drwali. Powstawały kolejne interesy – sklepy dostawców okrętowych, składy, tartaki i małe stocznie – które przyciągały Europejczyków. Zbierali śmietankę z przybrzeżnych lasów i przenosili obozowiska na następną obiecującą parcelę, zostawiając za sobą tlące się pniaki i płytki ugór. Intensywny wyrąb dotknął najpierw *kahikatea*, potem araukarie, wszędzie rąbano i cięto. Na niektórych parcelach można było wędrować całymi dniami po zrąbanych pniach drzew, ścielących się na ziemi. Potem tę wielką masę drewna podpalano, żeby jak najszybciej pozbyć się lasu, zarośli, pnączy, ptaków, owadów, owoców, nietoperzy, epifitów, gałęzi, paproci i leśnych śmieci. Przybysze nie chcieli zrozumieć tej dziwnej nowej krainy, brali z niej tylko to, co przynosiło zysk. Nie mieli o niczym pojęcia. Las rósł dla nich.

Kupiec Palmer prowadził dwa obozowiska dla drwali, Little Yam i Big Yam, nazwane tak z powodu pobliskich maoryskich plantacji pochrzynu. Część składów i obozów Palmera stała na ziemi, która kiedyś należała do klanu jego żony. Palmer był sprytny i podstępny, elokwentny i przekonujący, przesuwał ludzi z

miejsca na miejsce z korzyścią dla siebie, tak jak kucharz przesuwa skwierczące kawałki mięsa na rozgrzanej patelni.

Jinot nigdy nie widział tak niezdarnego i zaniedbanego obozowiska jak Little Yam, nawet jeśli obozowisko to miało być tymczasowe. Kwatery były zwykłymi, wspartymi na tyczkach szałasami pokrytymi włochatymi liśćmi *nikau* z kordyliny krzewiastej.

Niemal każde dziecko spłodzone przez białego i Maoryskę na Nowej Zelandii przypominało Jinotowi Waddy'ego Bakera, śniadego, niebieskookiego nadzorcę drwali o odstających uszach i zręcznych dłoniach zarówno w chwytaniu różnych rzeczy, jak i biciu innych kijem *wadi*. Brygada drwali w Little Yam nie była duża, liczyła nie więcej niż dwudziestu rębajłów – byłych marynarzy, byłych skazańców, irlandzkich i angielskich osadników oraz Maorysów. Połowa z nich nigdy wcześniej nie pracowała w lesie.

Na obiad dostawali gulasz „kapitana Cooka" z kawałkami wieprzowiny pochodzącej od potomków świń, które wypuścił tutaj ów żeglarz, a do tego bochenek chleba na głowę. Jinot miał nadzieję, że wypatrzy wśród najmitów jakiegoś znającego się na pracy w lesie czeladnika. Najlepiej takiego, który zna się na wielkich araukariach, bo, jak przypuszczał, sam mógłby się czegoś nauczyć o powalaniu tych olbrzymów poza wymachiwaniem siekierą. Młode odrosty, które mieli rąbać na początku, będą łatwe, ale gdy pomyślał o kauri… nie miał pojęcia, co mogliby

zrobić tym drzewom, poza uszczknięciem ich szarej kory wokół obwodu. Araukarie były zbyt potężne. Słyszał, że Maorysi zwalali je, dłubiąc w nich dziuple, a potem rozpalając w nich ogniska, aż drzewo wypaliło się od środka. Nie była to dobra metoda pozyskiwania drewna, bo pnie twardniały od wypalania w środku i żaden tartak nie pociąłby takiej kłody na deski. A jeśli chodzi o zrywkę drewna do tartaków nad brzegiem oceanu, miał nadzieję, że wymyślono tu lepsze sposoby od tych, które widział uwięziony w misyjnej chacie.

Pewnego ranka, gdy palił fajkę i przyglądał się tryskającym wodą wielorybom niedaleko brzegu, usłyszał odległy rytmiczny zaśpiew, zawołanie i odzew przypominające żeglarską szantę podczas podnoszenia kotwicy. Z lasu wyłoniło się nagle z osiemdziesięciu Maorysów ciągnących linę okrętową, okręconą wokół olbrzymiego pnia araukarii. Ich muskularny naczelnik stał na udekorowanej kwiatami i piórami kłodzie i to on wznosił nawołującą do wysiłku pieśń, a podlegli mu burłacy nabierali powietrza w płuca, otwierali usta i wykrzykiwali odpowiedź, ciągnąc pień. Wielka kłoda poruszała się o kilka stóp na okrągłych podkładach. Trwało to bardzo długo, aż wciągnięto gigantyczny pień na statek.

Któregoś dnia pracował z Maorysem półkrwi, Araną Palmerem, który mówił po angielsku z dobrze Jinotowi znanym akcentem z Maine. Arana był młody, miał nie więcej niż dwadzieścia lat, przez co nie brakowało mu siły.

– Pracowałem przy kauri od najmłodszych lat – pochwalił się. A gdy Jinot powiedział mu, że pochodzi znad Penobscot w Maine, Arana roześmiał się głośno.

– Orion Palmer, kupiec, to mój ojciec. Przypłynął tu z Maine przed wielu laty, szukając fok. Wtedy nie było tylu *pakeha*. Mogę powiedzieć, że w połowie też jestem z Maine. Ojciec czasem opowiada o swoim życiu w tamtym kraju. Musisz kiedyś przyjść i z nim pogadać. Lubi wspominać Maine, wychodzi do marynarzy ze statków i pyta się: „Ktoś przypłynął z Maine?". A jak kogoś znajdzie, gada z nim przez całą noc, żłopie rum i gada, gada, gada, aż padnie pijany do imentu.

Jinot od lat nie słyszał tego zwrotu – „do imentu" – i ucieszył się, że Arana odziedziczył po ojcu ich mowę. Arana pokazał mu, jak sporządzić sobie materac z worka wypchanego orlicami. „Lepsze byłoby owcze runo – mówił – bo jest najwygodniejsze". Zgodzili się, że będą razem pracować i zamieszkają wspólnie w krytym liśćmi szałasie.

Przed zaśnięciem Jinot marzył o tym, że śpi na materacu z owczej wełny.

Nie był już tak sprawny jak niegdyś, kiedy rąbał drzewa po raz ostatni. Pokryta bliznami noga niosła go dobrze rano, ale pod koniec dnia nieznośnie paliła go i bolała; paliła i bolała tak bardzo, że prawie nie mógł chodzić. Był już za stary do rąbania.

– Co ci jest w nogę? – zapytał Arana.

Jinot opowiedział mu o pożarze nad Miramichi, w którym o mało nie stracił życia, w którym życie stracił jego brat Amboise. Rozmowa z kimś, kogo polubił, sprawiała mu wielką radość. Minęło dużo czasu, odkąd z kimś się zaprzyjaźnił. Poszedł z Araną do jego ojca, Oriona Palmera, kupca z Maine. Stary siwowłosy łobuz rozpoczął natychmiast wspomnieniową tyradę o młodości w Maine i powodach, dla których nigdy już tam nie wróci. Okazało się, że zabił konia jakiegoś bogacza.

Rąbanie drzewa o obwodzie wiejskiego kościółka było pracą ponad ludzkie siły. Drwale harowali przy jednym pniu na wiele sposobów, ciosając boki całymi tygodniami, aż drzewo przypominało zastrugany ołówek. Rąbali i ociosywali, by w końcu powalić araukarię za pomocą piły. Inny sposób polegał na wyrąbywaniu w żywym drzewie dziupli wielkości człowieka – tak dużej, aby można było rąbać w niej od środka, co jednak okazywało się wielkim marnotrawstwem dobrego drewna. Wznosili rusztowania, żeby rąbać coraz wyżej, ponad stertami wiórów leżących u podstawy każdej araukarii. Powalenie jednego olbrzyma wymagało tygodni ciężkiej pracy. Siekiery już nie wystarczały i kupiec zamówił dziesięciostopowe piły do ścinania drzew z podwójnymi zębami co cztery zęby, żeby przyśpieszyć pracę. Gdy nadeszły piły, araukarie padały całymi setkami.

– Teraz idzie nam robota! – cieszył się Shuttercock, jeden z drwali.

Na wybrzeżu obok portu wył parowy tartak Palmera, wyposażony w specjalne piły do cięcia araukarii. Dzień po dniu wypluwał z siebie najbardziej pożądane drewno pod słońcem. Setki Maorysów ściągały wielkie kłody do tego tartaku, wysuwając je cal po calu z głębokich jarów i zsuwając po stromych stokach. Robota nie szła im na tyle szybko, żeby zadowolić Palmera, który przebąkiwał o sprowadzeniu wołów z Australii.

– W Queensland – powtarzał – mają dobre woły przyzwyczajone do ściągania drewna.

W sobotnie wieczory Arana wracał do ojcowskiego domu, zmieniał brudną odzież na świeżą i wtapiał się w rodzinny klan matki, żeby jeść ulubione potrawy i znów być Maorysem. Jinot zostawał w obozowisku, prał i cerował jedyne ubranie, jakie miał: płócienne spodnie oberwane przy kolanach.

Pewnej niedzieli Arana wrócił do obozowiska z domowym przysmakiem: koszem węgorzy owiniętych lnianymi liśćmi i upieczonych nad węglami.

– Pracowaliśmy przez cały dzień, naprawiając jazy na węgorze. Jacyś osadnicy powyciągali wszystkie paliki *manuka*, pokazujące węgorzom drogę do *hinaki*.

Objadając się soczystym mięsem, rozmawiali o jazach, sieciach, pułapkach na węgorze i różnych sposobach ich łowienia.

– Mikmakowie wznoszą jazy z rzecznych otoczaków – powiedział Jinot, układając na ziemi kamienie. – Trzeba bardzo uważać, bo rzeka zmywa kamienie.

Arana wytłumaczył mu, że Maorysi przeplatają krzaki i paprocie przez paliki *manuki*, żeby odgrodzić rzekę. Opowiadał barwnie o znaczeniu mocnych i dobrych sieci *hinaki*, nadających się na węgorze.

Ścięcie pierwszej wielkiej araukarii okazało się dla Jinota bolesne. Musiał pozbywać się góry wiórów wokół drzewa za pomocą siekiery, miotły, motyki i kilofa. Przez trzy dni rąbał w pniu „dziuplę", żeby do niej wejść i machać siekierą od środka w przysiadzie. Tak rozpoczynał się prawdziwy atak na drzewo. Wytrzymał godzinę, a potem poczuł straszny ból w nodze. W południe wyczołgał się jak krab z dziupli, żeby zejść na ziemię i napić się zimnej herbaty. Nie był głodny. Wyskoczył z drzewa i poczuł, że coś ugięło się w kolanie. Gdy chciał się wyprostować, nadwerężona noga zgięła się sama. Nie mógł się podnieść, upadł, trafił kolanem prosto w ostrze kilofa. Arana, ujrzawszy, co się dzieje, podbiegł do Jinota. Z kolana przez obszarpane spodnie ciekła krew.

– Opatrzymy cię – powiedział Arana. – Postawimy cię na nogi.

Ściął rozwidlone młode drzewo i zrobił z niego podpórkę w kształcie kuli, pomógł rannemu wstać. Jinot, wstawszy, nie mógł dla odmiany usiąść i wypił na stojąco ćwiartkę letniej herbaty, opierając się o okaleczoną araukarię i dysząc. Oparł głowę o szarą korę drzewa i szepnął:

– Tym razem wygrałaś.

– Nie możesz już pracować – powiedział Arana i zaprowadził go do szałasu, gdzie zsunął Jinotowi spodnie i obejrzał kolano, z którego wciąż płynęła krew. Rana była sina i puchła. A kolano wyglądało jak spłaszczone. Arana przyniósł wodę od kucharza i rozerwał na szarpie zapasową koszulę. Przemył ranę i zostawił Jinota na posłaniu na całe popołudnie. Jinot nie mógł znaleźć sobie miejsca, żeby go nie bolało.

Nigdzie nie było lekarza. Leczeniem zajmował się Palmer, podobnie jak grzebaniem. Arana sprowadził ojca następnego dnia. Kupiec przyjrzał się zdeformowanemu kolanu, w którym pękło wiązadło, a rzepka przesunęła się w górę uda. Rana od kilofa czerwieniała i puchła.

– Chryste – mruknął stary. – Lepiej się nie ruszaj. Na ludziach z Maine wszystko goi się szybko jak na psie, więc się przekonamy. – Zauważył siwiejące włosy Jinota, który bardzo się postarzał w Nowej Zelandii.

Zszedł do faktorii do składu i zabrał dla krajana dwie bogate w opium butelki: laudanum Sydenhama i proszek Dovera.

– Starszy gość… – mruczał pod nosem. – Na nim nie goi się już jak na psie.

Podczas nieobecności ojca Arana dotknął rozpalonego policzka Jinota, pochylił się i szepnął mu do ucha:

– Leż, leż.

Jinot przez tydzień tracił i odzyskiwał świadomość w narkotycznym śnie w szałasie, a zainfekowana rana, wyrwawszy

się z ograniczeń, pogalopowała ku ostatecznemu zwycięstwu. Rozpalony gorączką, dyszał ciężko i nie rozpoznając Arana, przyzywał Francewaya. Arana i Palmer przyglądali się poczerniałej, pokrytej bliznami nodze. Arana wzdychał ciężko.

Arana i Shuttercock pochowali Jinota nad rzeką przy łące, gdzie dwa lata wcześniej wycinali młodniak. Nim ostatnia łopata ziemi spadła na grób, zaczęło padać. Wracali, wspinając się po stromym, ogołoconym z drzew stoku, ślizgali się na nim, bo padało coraz mocniej. Zaczynała się wielka, nisko wisząca burza, a wraz z nią rzadkie o tej porze roku ulewy. Górskie strumienie, do których wpadała spływająca ze stoków woda, wezbrały i potoczyły się błyskawicznie w dół, pchając przed sobą kamienie, gałęzie, kłody, żwir, starą kuchnię. Wymyły z grobu Jinota Sela i rzuciły jego ciało do Pacyfiku.

Stary rok kończył się wichurami po szaleńczej zimie, ale nadeszła wiosna, a wraz z nią pastelowe i spokojne poranki sprawiające wielką przyjemność panu Rainburrowi, który delektował się aromatycznym powietrzem. Zostawił otwarte na oścież drzwi i miał nadzieję, że nikt mu nie będzie przeszkadzał. Jeśli przez godzinę odpowie na listy, po południu zajmie się liczeniem i układaniem beli lnu w składzie. Lecz nim napisał pół strony listu, usłyszał kroki na ścieżce przed domem, zamajaczyła mu jakaś postać, która następnie weszła do słonecznego gabinetu. Za nią następna. Pomyślał, że rzadko kiedy widuje się szkaradniejszych

klientów od tych dwóch, którzy stali ze złożonymi na piersi ramionami i wpatrywali się w niego. Pierwszy był garbaty i śniady – starzejący się garbus o obsydianowych oczach i płaskim obliczu amerykańskiego Indianina. Drugi wyglądał jeszcze bardziej na Indianina o szczupłej silnej budowie. Jego ściągnięta twarz wskazywała, że nie dba ani o Anglików, ani tym bardziej o misjonarzy. Zaciśnięte wargi i zmarszczone brwi świadczyły, zdaniem pana Rainburrowa, o wyjątkowo niemiłym usposobieniu.

– Słucham? – rzucił do nich misjonarz opryskliwie, co zazwyczaj wystarczało do pozbycia się natrętów.

– Joe Dogg – przedstawił się garbaty, sięgając do kieszeni i wyjmując z niej list napisany przed kilkoma laty przez pana Rainburrowa. List był poplamiony i wystrzępiony, z jednej strony brakowało mu rogu. – Jestem majstrem pana Bone'a i obecnie kieruję fabryką siekier. Nadszedł do mnie pana list. Czy pan Bone już wrócił? Moje listowne pytania pozostały bez odpowiedzi.

– Och, nie, nie, pan Bone… pan Bone… nie wrócił. Jesteśmy niemal pewni, że został zwabiony w pułapkę i zamordowany przez maoryskiego renegata. Nie ulega kwestii, że pan Bone nie żyje. To pewne.

– Na jakiej podstawie tak pan twierdzi?

– No, cóż… – burknął pan Rainburrow – dowiedziałem się o tym od kogoś, kto wie… Nie wolno mi wyjawić jego tożsamości. Pan Bone został zabity. Zabity i prawdopodobnie… – ściszył głos – …zgodnie ze zwyczajem niektórych spośród tych pogan zjedzony.

Dogg wykrzywił usta i pokręcił głową, jakby odpędzając uprzykrzoną myśl.

– Potrzeba na to dowodu, drogi panie. Ludzie nie znikają ot tak! Nikt ich ot tak nie zjada!

– Takie rzeczy zdarzają się w Nowej Zelandii. Pan Bone był uparty i nie wahał się pójść do lasu z Maorysem, którego nie znał. A oni są z natury podstępni.

– Żądam, aby przedstawił mi pan tego człowieka, który „wie" – powiedział z naciskiem Joseph Dogg. – Wiele zależy od naszej pewności. A co z pieniędzmi? Ma pan wciąż tę szkatułkę?

– Trzymam ją w bezpiecznym miejscu w kredensie w sypialni. Zaraz ją przyniosę – odrzekł szybko i bez zastanowienia, jakby powtarzał te słowa niczym modlitwę.

Indianin o kamiennej twarzy zacisnął pięści i odezwał się gniewnym głosem:

– Gdzie jest Jinot Sel? Chcę go zobaczyć.

Pan Rainburrow także czegoś chciał, a mianowicie tego, żeby ktoś natychmiast przeniósł go stąd na jakąś bezludną wyspę. Gdyby nie napisał tamtego listu, ci ludzie na zawsze zostaliby w swoim kraju buntowników i parweniuszy.

– On… także nie żyje.

Dogg, ten garbus, spoglądał przez okno na port, ale słysząc te słowa, odwrócił się gwałtownie i warknął jak rozeźlony tygrys:

– Co! Jinot nie żyje!? Niemożliwe! Nigdy! Jak zginął? Kiedy?

– W zeszłym roku… nie pamiętam miesiąca.

– Jak zginął? Też „zniknął”?

– Umarł po wypadku. Na zakażenie krwi. Pracował przy wyrębie i zranił się w nogę. Był z nim przyjaciel, Arana Palmer, który bez wątpienia przedstawi panom szczegóły.

Joseph Dogg odezwał się cicho:

– Zapewne nie wiesz pan o tym, ale Jinot Sel nie był, jakżeś pan zakładał, służącym pana Bone’a, ale jego najbliższym przyjacielem i wspólnikiem w interesach. To jemu pan Bone zapisał wszelkie dobra, w tym fabrykę siekier w Massachusetts. Jeśli pan Bone nie żyje i nie żyje Jinot, dobra pana Bone’a przejdą na syna Jinota, Aarona. Moim obowiązkiem jest powiadomienie o wszystkim Aarona Sela, który nie mógł wyruszyć w tę nieskończenie długą podróż.

– Ja również jestem Sel – mruknął ciemny Indianin. – Etienne Sel, stryj Jinota, choć Jinot był starszy ode mnie o wiele lat. Przypłynęliśmy tu, żeby go zabrać do domu. Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, zabierzemy jego kości do krainy, w której się urodził. To ważne.

– Nie wiem, gdzie jest jego grób – oświadczył pan Rainburrow, wietrząc dla siebie drogę ucieczki. – Mogę tylko poradzić panom odszukanie Arany Palmera, który jest jednym z synów tutejszego kupca, pana Oriona Palmera. Arana przyjaźnił się z Jinotem Selem… i zdaje się, że go pochował, ale nie wiem, gdzie. Życzę więc panom dobrego dnia i szczęścia w pozyskiwaniu niezbędnych wiadomości.

– Szkatułka – warknął Joseph Dogg. – Chcę ją zabrać, zanim stąd odejdziemy. Ufam, że nie korzystał pan ze zgromadzonych w niej pieniędzy.

Chmura przesłoniła na chwilę słońce, jasna plama światła wpadająca przez drzwi znikła.

– Jakim prawem ośmielasz się pan imputować, że jestem złodziejem? – nadął się pan Rainburrow. Słowo „pan” z trudem przeszło mu przez gardło.

– Takim prawem, panie Rainbillow, że jesteś pan jakimś klechą, a z mojego doświadczenia z pastorami, księżmi, wikarymi i innymi urzędnikami kościelnymi wynika, że wszyscy oni czują się upoważnieni do czerpania pełnymi garściami z jakichkolwiek funduszy, które wpadną im w ręce, żeby zwiększyć swoje wpływy i pieczę nad miejscowymi sprawami, a także żeby budować nowe kościoły, dobudowywać skrzydła do już istniejących, pozłacać ołtarze i chełpić się tak zwanymi „dziełami”, zwłaszcza remontem plebanii i piwniczką z winem.

– Zatem oświadczam panu, że nie tknąłem ani pensa z tych pieniędzy – skłamał misjonarz, który wydał ponad sto funtów z funduszy pana Bone’a na postawienie składu, w którym gromadził bele lnu.

– Więc sprawa jest prosta: przeliczymy je – odpowiedział Joe Dogg – gdyż tak się składa, że znam rachunki pana Bone właśnie co do pensa. Przesyłał mi comiesięczne zestawienia wydatków do czasu, aż trzy lata temu korespondencja ustała. Był bardzo

skrupulatny w prowadzeniu księgowości. Zanim stąd odejdziemy, przeliczę zawartość szkatułki i przejrzę papiery, które mógł w niej zostawić. A pan zadbasz o dowód jego śmierci.

Wyszli, a misjonarz zaczął obgryzać paznokcie. Izbę znów zalały promienie słońca.

Orion Palmer oparł się o ladę blisko drzwi, jego wąskie skronie wieńczyła grzywa rudych włosów, a bladoniebieskie oczy były szeroko otwarte. Etienne wpatrywał się w to przedziwne, jakby wyciosane z jednego pnia oblicze, bo pod uszami wznosiły się potężne szczęki – mięsiste i wystające – a zaraz pod nimi zaczynała się gruba szyja.

– Chcecie się widzieć z moim synem? Którym? Mam ich ponad tuzin, to dobre chłopaki, ale nie mam pojęcia, gdzie każdy z nich przebywa. Większość trzyma z ludem matki.

Kupiec, w dobrym nastroju wywołanym przez piękny dzień i przypominające baranki obłoczki na niebie, przyjrzał się przybyłym.

– Z synem, który nazywa się Arana Palmer – odpowiedział Etienne grobowym głosem, którego używał, gdy miał do czynienia z pewnymi siebie białymi. – Słyszeliśmy, że znał mojego synowca Jinota Sela.

– A niech mnie! Owszem! – Kupiec westchnął i myślał przez dłuższą chwilę. – Jestem pewny, że Arana pracuje jeszcze przy kauri. – Dłubał w zębach długim paznokciem. – Ta, znał Jinota,

wszyscy go znaliśmy. Ledwo tu przypłynął, wystraszył wszystkie kobiety. Więc niektórzy go nie lubili. Zmarł na zakażenie, gangrena, nic nie dało się zrobić. Było za późno na amputację, a tu nie ma białego doktora, sam trochę leczę ludzi, ale nigdy nie obcinałem nikomu nogi. – Stawał się coraz gadatliwszy, a na jego ustach pojawił się uśmieszek pewnego siebie człowieka. – Jinot nie był już młody i nie nadawał się, powiadam wam, do rąbania kauri, ale misjonarz przysłał go tutaj, żeby zarobił na powrót do domu. Starał się jak mógł. Ale do rąbania kauri trzeba młodych silnych ludzi. A Jinot miał swoje lata i kulał, chociaż znał się na swojej robocie i dobrze machał siekierą. Takie rzeczy się wie. Mówił, że jest znad Penobscot, i pewnie tak było wiele lat temu. Tamte czasy minęły, teraz mamy tarczowe piły i wyszkolone woły. Teraz woły…

Był gotów opowiedzieć im o swoim błyskotliwym pomyśle sprowadzenia wołów na Nową Zelandię, bo do każdej rozmowy wtrącał opowieść o tym, jak wiele tu znaczy, ale coś w ich pochylonych groźnie sylwetkach i oczach wpatrzonych uważnie w jego usta, zniechęciło go do tego. Więc poradził im tylko, żeby popłynęli parowcem dwa porty dalej na północ i kierując się mapą, którą naszkicował im na ułamanej deszczułce, odnaleźli obozowisko Big Yam, gdzie drwale i pilarze powalają wielkie araukarie. Życzył im szczęścia.

– Powinniście szybko zamknąć tutaj wasze sprawy, bo w przyszłym tygodniu „Wigor” płynie z powrotem do Port Jackson.

W tych czasach, odkąd wybili wszystkie wieloryby, nie odwiedza nas znowu za wiele statków. Wsiądźcie na pokład „Wigora” i popłyńcie do domu.

– Dopiero co przypłynęliśmy – odrzekł Etienne. – Rejs był długi, bardzo długi. Obejrzymy sobie ten nowy ląd, nie odpłyniemy natychmiast. Tu jest inaczej niż w K’taqmkuk. – Spojrzał na wybrzuszoną linię lasu za wyrąbanym stokiem i pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć w wielkość pni.

– Arana może wam pokazać to i owo, jego matka jest Maoryską. Maorysi mają wiele miejsc, które nazywają *tapu*, lepiej, żebyście tam nie chodzili. – Przesunął krawędzią dłoni przez gardło.

Tego poranka pogoda uległa zmianie, na niebie pojawiły się chmury rzucające rozedrgane cienie na ziemię. Znaleźli Aranę przy pracy. Był, jak większość Maorysów, przystojny, mocno zbudowany i miał silne nogi. Nie było w nim nic z tego kupca, Oriona Palmera, poza rozrośniętą żuchwą. Wysłuchał ich, a potem powiedział:

– Chodźcie ze mną.

Poprowadził ich między pniami do dziwnego miejsca, które zajmował olbrzymi pień araukarii otoczony wiórami i potężnymi bladymi ramionami okrzesanych konarów. Wskoczył na pień wielkości klepiska stodoły i pokazał, żeby zrobili to samo.

– Tu rosło *kauri*, które rąbał Jinot, gdy ta poparzona noga odmówiła mu posłuszeństwa. Tu są ślady po jego siekierze. – Pokazał im ociosany zewnętrzny pierścień drzewa. Etienne dotknął poszarzałego pnia. Stare ślady po siekierze – jedyne, co pozostało po Jinocie.

Zapytał Aranę o te osobliwe drzewa, olbrzymy kuszące ludzi pozbawionym sęków drewnem. Etienne też był drwalem – w Maine i Nowej Szkocji – i nigdy nie widział czegoś takiego. Arana odpowiedział mu, że araukarie są jak sosny.

– Wielu mówi – dodał – że *kauri* to najlepsze drewno na świecie.

Zapalili fajki i milczeli przez chwilę.

– Wiesz coś jeszcze o Jinocie? – zapytał Etienne.

– Chciał wrócić do domu, ale nie mógł. Nie miał pieniędzy. Więc co miał zrobić? Zostać kupcem? Za co? A zresztą ojciec i tak by do tego nie dopuścił. Kucharzem? Może… Ale znał się na machaniu siekierą, wiedział, jak powalić drzewo, nawet największe na świecie. O, tak, znał się jak nikt na tej robocie. Którejś niedzieli wyciosał z pnia krzesło, samą siekierą. Czuł się tu chyba samotnie, nie miał z kim pogadać, oprócz mnie i paru drwali. Mówił, że wcale nie chciał tu przypływać, ale zmusił go do tego ten pan Bone. Mówił, że nie chce rąbać kauri, bo to drzewa potęgi. My też w to wierzymy. – Zmrużył oczy i spojrzał na Etienne'a, jakby ten dopiero co spadł z nieba. – Ale nigdy mi nie mówił, że ma młodego stryja.

– Nie mówił, bo mnie nie znał. Jego dziadek, a mój ojciec, Kuntaw, opuścił Penobscot dawno temu. Wrócił do swoich, Mikmaków, nad rzeką Sipekne'katik. Po życiu z białą miał dwie żony, a jedna z nich była moją matką. Naciskali nas osadnicy, Szkoci niszczyli nam jazy na węgorze, palili *wikuomy*.

Arana kiwnął głową, słysząc o węgorzach. Rozmawiali o nich z Jinotem.

– Rząd oddał nasz rezerwat Szkotom o rudych włosach, więc Kuntaw poprowadził nas przez wodę na K'taqmkuk, Nową Fundlandię, jak mówią biali. Są tam rzeki pełne węgorzy, dużo ryb, mieszkają Mikmakowie, niewielu. Dla nas to dobra ziemia, bo biali nie zapuszczają się w dziksze rejony wyspy. Ta wyspa należy do nas i dobrze się na niej żyje. Przypłynęliśmy tu po to, żeby zabrać tam Jinota. Aaron był z nami przez dwa lata, ale wrócił do Bostonu. Szukaliśmy go, ale nie mogliśmy go znaleźć, żeby tu z nami przypłynął.

Joseph Dogg, który milczał podczas tej przemowy, zapytał cicho Etienne'a, dlaczego biali nie zajęli jeszcze całej wyspy, skoro jest tak dobrym siedliskiem dla ludzi.

– Jest dobrym siedliskiem – odrzekł Etienne – ale tylko dla nas, Mikmaków. Dla białych, którzy chcą na wszystkim zarobić, wyspa nie jest dobra. Nie stawiają na niej domów, polują na karibu i łowią ryby. Przychodzą do Kuntawa i proszą go, żeby pokazał im dobre łowiska. Nikomu to nie przeszkadza.

Joe Dogg przewrócił białkami.

– Sprowadzanie białego do domu jest niebezpieczne. Ziemia może być najdziksza, zapamiętają ją i wrócą po nią.

– Żyjemy, jak żyliśmy, jak żyli Mikmakowie – odpowiedział Etienne. – I chcemy dać to życie Jinotowi. – Spojrzał na Aranę i zmienił temat: – Kupiec mówił, że przyjaźniłeś się z Jinotem. Opowiedz nam o miejscu, do którego przypłynął. Pokaż nam swoją krainę, swój lud, lud twojej matki, pokaż nam, jak żyjecie. Chcemy się tego dowiedzieć.

Arana milczał przez długą chwilę, po czym rzekł:

– Pójdziemy w busz z moją siostrą Kahu, *he kanohi komiromiro*. Ma wzrok tego ptaszka, który wypatruje najmniejsze robaki. Zna las od podszewki.

Ich wyprawa przypadła na najpiękniejszy dzień – przejrzysty i jasny w porze gniazdowania ptaków. Było ich razem pięcioro: przyszła Kahu, starsza siostra Arany z papugą na ramieniu oraz ich młodsza kuzynka Aihe, muskularna i gibka jak delfin noszący jej imię. Drobne loczki na głowie Aihe wydawały się żywe i podskakiwały przy każdym ruchu niczym szukające zaczepienia pnącza. *Kaka* Kahu machała czerwonymi skrzydłami i skrzeczała, gdy przyszła jej na to ochota, co zdarzało się często. Skrzek ten brzmiał w uszach Joe Dogga jak wyrywanie desek ze ściany stodoły.

Arana i Kahu chcieli im opowiedzieć o swoim kraju (bez powodzenia, bo żadnej krainy nie da się opowiedzieć – trzeba w niej żyć). Cała ziemia – mówili – należy do maoryskich plemion i

klanów. Maorysi nie rąbali lasów, trzymali je w stanie nienaruszonym dla ptaków, wycinali tylko chore drzewa. Aihe włączyła się do rozmowy, mówiąc zapalczywie o niektórych wodzach, którzy z chciwości sprzedali ziemię przodków białym z Kompanii Nowozelandzkiej. Kahu pokazała im po drodze drzewo pohutukawa, metrosideros wyniosły, i powiedziała, że drzewo to jest święte. Z ziemi biły źródełka najczystszej wody. W oddali las wznosił się wielką falą.

Weszli do „lasu Tane", jak mówiła Kahu, powietrze stało się parne i nieruchome. Zachodni wiatr poruszał koronami drzew nad ich głowami, wzlatywały z krzykiem ptaki. Szli w milczeniu, a Kahu wskazywała najwyższe drzewa sięgające szczytu lasu i mniejsze drzewa poniżej. Joe Dogg był oburzony, widząc drzewo *rata*, które rozpoczyna życie na gałęziach innych drzew, wysysając z nich życie, gdy rośnie, by wypuścić korzenie ku ziemi i zwinąć je w zniekształcony pień oplatający żywiciela, który chcąc nie chcąc, staje się częścią *rata*.

Późnym rankiem niebo się zachmurzyło i Kahu powiedziała, że nadchodzi burza. Zanim skończyła mówić, usłyszeli krople deszczu szeleszczące w koronach drzew, uderzające w liście i gałęzie tak gęste i splecione ze sobą, że ani jedna kropla dżdżu nie spadła im na głowę.

Wyszli spomiędzy drzew, gdy burza odeszła, a z wystającej z ziemi skały ujrzeli opary mgły unoszące się nad wzgórzami. Aihe powiedziała, że to Papatuanuku, matka ziemia, wzdycha do

Ranginui, niebieskiego ojca, i że na początku świata oboje byli ciasno ze sobą złączeni w miłosnym uścisku, a ich boskie dzieci przychodziły na świat w zupełnych ciemnościach. Wtedy dzieci postanowiły rozłączyć rodziców i wpuścić światło – mówiła – a Tane, bóg lasu, rozdzielił matkę i ojca drzewami. Zapytała Etienne'a o podania Mikmaków. Pamiętał niezbyt dokładnie kilka takich podań, ale nie przyznał się, bo miał wrażenie, że jego opowieść wyda się pusta przy legendach ze świata Maorysów, w którym mieszkało tylu bogów. Mikmakowie zatracili swój świat duchowy wraz z przybyciem Boga misjonarzy.

Gdy mijali pokrzywę *ongaonga*, Aihe pociągnęła Joe Dogga za rękaw i powiedziała mu, że to niebezpieczna roślina z trującym jadem.

– Opowiadają o białym żeglarzu, który uciekł nocą ze statku. Pobiegł do lasu, gdzie rośnie wiele pokrzyw *ongaonga*, przewrócił się w ich gęstwinie w ciemności i wył z bólu. Ale *ongaonga* nie wypuściły go i umarł od ich żądeł.

Chwilę później złapała coś w powietrzu i podała Etienne'owi.

– To *pepekemataruwai*, nazywamy go „robakiem o głupim obliczu". – Etienne wyrzucił ze śmiechem owada.

Etienne był zdumiony, że wszystko, co widzieli lub o czym słyszeli, nawet to, co wąchali, jest powiązane z maoryskimi bogami i ich rozgorączkowanym mściwym życiem. Obiecał sobie, że gdy wróci na K'taqmkuk, odszuka starych ludzi i poprosi ich, aby

opowiedzieli mu podania przodków. Wpatrywał się w ocean migoczący między drzewami, jakby wpatrzony w niego. Atlantyk opływający K'taqmkuk nigdy nie przypatrywał się Etienne'owi w taki sposób. Czy to znak?

W nowym księżycu Joe Dogg i Etienne Sel popłynęli do Port Jackson i po długim oczekiwaniu zaokrętowali się na statku do Londynu i dalej Bostonu.

– Musimy odszukać Arona – powiedział Etienne.

VIII

DNI CHWAŁY

1836–1870

54

SOSNOWE BOGACTWO

James poświęcił całą godzinę wczesnosierpniowego poranka na staranne przeglądanie miesięcznych domowych rachunków i podliczanie wydatków Posey. Odkąd wzięli ślub, wyznaczył jej sporą, acz nieprzekraczalną kwotę, która w pierwszych latach małżeństwa stanowiła jedyną przewagę, jaką nad nią miał. Przekonała się, że potrafi być rygorystyczny: jeśli wydała choćby jednego centa ponad to, co jej wyznaczył, w następnym miesiącu obcinał kwotę o połowę. Teraz jednak nie dbał o to tak bardzo, a od czasu przyjścia na świat Lavinii (jakiś czas po tym, jak podjęli na nowo zarzucone niegdyś stosunki małżeńskie) Posey bardzo się zmieniła, zostawiając za sobą tygrysią ostentację. Fale jej matczynej miłości i troski zalewały Lavinię i docierały do Jamesa, jego kuzynów, ich żon, służby – do wszystkich z wyjątkiem Phineasa Breeleya, którego skazano na wygnanie w Nowym Brunszwiku, jak najdalej od Lavinii. Posey każdego wieczoru czytała córeczce wierszowane opowieści o ptaszkach ze zbioru *Tales of the Robin*[25], a Lavinia miała wiele czułości dla „pobożnego rudzika o szkarłatnej piersi”.

James zamknął księgę rachunkową. Posey stała się niemal oszczędna w wydatkach. On sam wydawał niewiele, głównie na cygara, prezenty dla córki, przyzwoite porto i kamizelę od czasu do czasu. Jedynym poważnym wydatkiem Jamesa były konie. Niedawno kupił Throstle'a, zgrabnego hanowerskiego kasztanka pod siodło, więc postanowił zejść do stajni na półgodzinną męską rozmowę o koniach z Willem Thingiem, swym starzejącym się stangretem. Wstał zza biurka, gdy do drzwi gabinetu zapukał nowy lokaj:

– Pan Vogel winszuje sobie zobaczyć się z panem.

– Wpuść go, wpuść go – odrzekł James, gdyż Lennart Vogel stał się jego bliskim znajomym. – Lennart! – zwrócił się do gościa. – Pewnieś dopiero wrócił z corocznej wyprawy!

Spojrzawszy na przyjaciela, odczuł lekki wstrząs. Ani śladu po eleganckim Lennarcie. Vogel miał na sobie ciemne barchanowe portki robotnika, kamizelkę z szarej wełny i ciężkie buciory z ubłoconymi obcasami.

– A owszem! I była bardzo interesująca, drogi Jamesie – odpowiedział Lennart. – Wybacz mój wygląd. Mam ci tyle do opowiedzenia, że przyszedłem prosto do ciebie. Nie wiem, czy masz trochę czasu, który mógłbyś mi poświęcić, skoro mowa o mej wyprawie. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu zastanawiałem się nad przyszłością firmy. I widzę przed nami wiele niebezpieczeństw, których należałoby uniknąć. Widzę także szansę na rozszerzenie naszej działalności, jeśli włożymy w to

nieco wysiłku. Choć na tym etapie nie wciągałbym w to jeszcze Edwarda i pozostałych.

– Czy miałbyś ochotę pospacerować po posiadłości podczas naszej rozmowy? Nie jest jeszcze zbyt upalnie.

– Rzeczywiście, przejdźmy się – odparł Lennart. – Choć jestem mocno rozchełstany.

Wyszli na dwór, minęli porośniętą winoroślą altanę z niedojrzałymi jeszcze gronami i jaskrawe od kwiatów, wytyczone geometrycznie rabaty. Posey uwielbiała krzykliwe kolory pelargonii, szałwii, petunii i pantofelnika, a James preferował róże, które przynajmniej wspinały się wysoko i pachniały. Kwiatowe rabaty – rzecz całkiem nowa – przypominały tandetne orientalne dywany.

Lennart szedł za szybko jak na gust Jamesa, który w końcu postanowił usiąść na kamiennej ławeczce pod różami.

– Posiedźmy tu, Lennarcie, i opowiedz mi spokojnie, co cię trapi?

Lennart nie mógł wysiedzieć na ławeczce, więc chodził w tę i z powrotem przed Jamesem, wyrzucając z siebie słowa:

– Uważam, drogi Jamesie, że powinniśmy natychmiast zająć się przyszłością naszych leśnych posiadłości. Doświadczyliśmy kilku lat chudych, a wiesz równie dobrze jak ja, że nie posiadamy już zbyt wielu obiecujących leśnych parceli w Nowej Anglii czy stanie Jork. Cięcie sosen dobiegło końca. Wiem, co zechcesz powiedzieć: „Mamy przecież ziemię w Ohio”, kupioną przez

twojego ojca przed wielu laty. Ten zakup skłonił mnie do złożenia ci dzisiaj wizyty. Podczas tegorocznej wyprawy przez lasy dotarłem do naszej własności w Ohio, a to, co ujrzałem, dosłownie zwaliło mnie z nóg. Nie ma tam już sosnowego lasu, który kupiliśmy przekonani przez twojego ojca. W jego czasach w Ohio mieszkali tylko Indianie i traperzy wędrujący przez wielkie połacie wejmutki, teraz natomiast pojawili się tam w wielkiej liczbie osadnicy z północnej Europy. Przed osiemnastoma miesiącami przybyły tam tysiące ludzi, którzy spalili lub wycięli nasze drzewostany i założyli tam farmy. Wyobrażasz to sobie? Najlepsze na świecie wejmutki strawił ogień. Nic nie zostało. A osadników ciągle przybywa.

– Dobry Boże – szepnął James. – Mamy tam wiele tysięcy akrów.

– Owszem i powinniśmy wysłać tam strażników. Ale nikt nie pilnował tych lasów, a przybywający motłoch uznał, że do nikogo nie należą. Przywłaszczył je sobie. Lasów już nie ma.

– Wydawało mi się, że Armenius Breitsprecher miał co roku doglądać tych posiadłości.

– Zgodziliśmy się na raz na dwa lata, bo podróż tam jest długa i wyczerpująca, a Breitsprecher ma również inne obowiązki. Twój ojciec, jadąc tam, musiał pokonać Wielkie Czarne Bagna, straszliwą przeszkodę w drodze przez kontynent. Teraz powstały nowe drogi i kanał Erie, więc podróż jest wygodniejsza. Breitsprecher planował wybrać się do Ohio w tym roku, niestety

za późno! Osadników jest tak wielu, że wycięli tysiące akrów w pień przez niecały rok!

– Aż trudno w to uwierzyć.

– James, czy widziałeś, jak drapieżne ptaki rozdziobują padłego jelenia do kości przez jeden, góra dwa dni?

– Oczywiście!

– Potraktuj zatem osadników jako ludzkich drapieżców – powiedział z naciskiem Lennart. – Drapieżców niewahających się użyć broni palnej. Spalili wielkie połacie naszych lasów. Czytałeś zapewne w gazetach o leśnych polanach, które przez dwa miesiące stawały się miastami z setką domów?

James poczuł dobrze znane ukłucie w żołądku, pamiętał je z czasów, gdy Posey dostawała ataków szału.

– Ale na pewno lasy rosną jeszcze w innych miejscach. Znajdziemy je. Słyszałem, jak mówiono, że na tym kontynencie lasy są niezmierzone, największe na świecie.

– Owszem, to prawda. Wciąż rosną tu nietknięte przez człowieka, nieznane nam lasy. Właśnie o tym chcę mówić. Musimy je znaleźć i posłać tam naszych leśników najszybciej jak się da. W przeciwnym razie zjedzie tu cała Europa i spali lub zrąbie wszystko w pień. W niektórych krajach europejskich istnieje prawodawstwo zakazujące swobodnego wyrębu drzew, a buntowniczy chłopi sprzeciwiający się temu prawu, zjechali właśnie do nas, wolni od ukazów, owładnięci szaleństwem niszczenia. Nie przypominają żadnego innego ludu, który stąpał

do tej pory po powierzchni ziemi. Są jak tygrysy, które zwietrzyły krew. I jak tygrysy przekazują swoją żądzę ziemi dzieciom i wnukom, które wierzą po nich, że mają prawo brać, co tylko wpadnie im w ręce w tej krainie obfitości. – Wyrzucił niedopałek cygara. – Proponuję, abyśmy we dwóch rozejrzeli się za nowymi lasami. Nie jesteśmy już młodzi, James, ale obaj zachowaliśmy tężyznę i zdrowie. Podczas mojej wyprawy dotarłem tylko do naszych posiadłości w Ohio, ale słyszałem o sosnach rosnących dalej na północy na Terytorium Michigan. Tam są nasze wejmutki.

James palił i myślał.

– Tak, podejrzewam, że dotychczasowy sposób kupowania ziemi wraz z drzewostanem w Nowej Anglii i stanie Jork i wycinanie drzew bez pomysłu na nowe zapasy drewna może podkopać przyszłość naszej firmy. Mamy więcej rywali niż kiedykolwiek przedtem i wiemy już, że nasze pobliskie lasy nie są wieczne. Drzewa rosną za wolno. Twój pomysł nie jest nowy, omawialiśmy go już wielokrotnie na posiedzeniach. Ale Edward i Freegrace obawiają się eksploracji, opóźniają ją i radzą czekać, doprawdy nie wiem na co. Przypominam sobie, że na jednym z posiedzeń przed kilku laty Cyrus wspominał o świetnych perspektywach w Pensylwanii, na co Edward odpowiedział: „Nie teraz, nie teraz!”. Skorzystali na tym nasi rywale.

– Nadszedł czas na działanie, musimy zasiąść za sterami. Jeśli zdołamy przekonać do naszych pomysłów Cyrusa, przegłosujemy

Edwarda i Freegrace'a. Musiało do tego dojść. Obaj są płochliwi. Od śmierci Lydii Edward rozmawia tylko z gospodynią i kotem. – To było wierutne kłamstwo, gdyż Edward pozostał zagorzałym trynitarianinem, a Freegrace, zwiedziony po amatorsku unitarianizmem i krytyką historyczną Pisma, toczył z bratem zażarte spory, które często przeradzały się w głośne kłótnie.

James uznał jednak, że zarówno on, jak i Lennart nie są o wiele młodsi od zwaśnionych braci. Wszyscy jesteśmy starzy, pomyślał, choć nie czuł się staro. Lennart był ciągle dziarski, a Edward i Freegrace nadal prowadzili firmę. Krew Duke'ów obiecywała im długowieczność.

– Oni szkodzą firmie, James. Jakie jest twoje zdanie? Czy wyruszysz ze mną na wyprawę do Terytorium Michigan? Albo nawet dalej, jeśli uznamy to za konieczne. Intrygują mnie opowieści żeglarzy, którzy handlowali futrem wydr na zachodnim wybrzeżu: opowiadają o wielkich lasach. Chciałbym sam je zobaczyć, bo co żeglarze i kupcy mogą wiedzieć o lesie?

– To bardzo daleko, Lennart. Prawie w Japonii!

– Mówimy o przyszłości, James, o przyszłości! Nie możemy stracić kolejnej okazji.

– A co z Breitsprecherem? Pojedzie z nami?

James zastanawiał się, dlaczego bezdzietny Lennart tak bardzo martwi się o przyszłość.

– Moim zdaniem Breitsprecher odgrywa kluczową rolę. On najlepiej umie ocenić stopy deskowe rosnącego drewna.

– Lennart, pojadę z tobą. I Breitsprecherem. Kiedy zamierzasz wyruszyć?

– Muszę natychmiast zająć się kilkoma najpilniejszymi sprawami. Najpierw powinienem spotkać się z Cyrusem. Potem musimy zwołać posiedzenie rady. Trzeba zatrudnić Breitsprechera i przekonać Edwarda i Freegrace'a, że ta wyprawa ma kluczowe znaczenie. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy wyruszyć za dwa tygodnie.

Przerwał przemowę, obszedł pachnącą, adamaszkową różę La Ville de Bruxelles, odwrócił się i dotknął palcem Rumieńca Dziewicy.

– Pierwszą odnogę podróży odbędziemy dyliżansem i koleją, znam dobrze tę trasę. Najbardziej nużąca jest przeprawa kanałem[26] do Oswego. Zabierz ze sobą grubą książkę do czytania na pływającym po kanale statku. To największa nuda, jaką znam. Potem koleją do Buffalo[27] i dalej parowcem do Detroit. Postęp techniczny znacznie ułatwił podróżowanie. Jak pomyślę o nieszczęsnym Sedleyu tonącym w błocie po kolana…

Jamesa nie interesowały specjalnie bolesne przypadki ojca przedzierającego się przez setki mil przeklętych bagien, bardziej interesowało go to, co powinien zabrać w podróż. Cygara, pomyślał, mają pierwszorzędne znaczenie. Indianie kochają kubański tytoń – zupełnie tak jak on sam – i rzadko go palą, umyślił więc, że zawinie starannie setki cygar i wypełni nimi juki.

– A czy za Detroit działają jakieś środki transportu? Zdziwiłbym się…

Przespacerowali się do końca posiadłości, gdzie rosły stare dęby, na których mieszkały kłótliwe wiewiórki.

– Nie, choć trasy parowców, dyliżansów i kolei wydłużają się z dnia na dzień. Ale za Detroit leży *terra incognita*. Zabierz ze sobą mocną odzież na tygodnie niewygody. Oraz broń i amunicję. Jednego jestem pewny: musimy dostać się za Ohio.

Pod dębami James podniósł ułamaną gałąź i wycelował nią jak z rewolweru. Wiewiórki uciekły. Przyjaciele ucisnęli sobie dłonie. Obu było pilno, bo północnoamerykańskie lasy płonęły na pniu i w kominkach, a armie zamorskich osadników przejmowały ziemię. Lennart Vogel, pomyślał James, zajrzał w bezdrzewną przyszłość i postanowił działać. To będzie niebezpieczne, ale przypomniał sobie Lewisa i Clarka, którzy przed trzema dekadami pokonali bezpiecznie drogę do Pacyfiku i z powrotem.

Gdy spotkali się następnego dnia, Lennart Vogel był już ubrany nienagannie i wyglądał na zadowolonego.

– Poszczęściło mi się, można by rzec, gdyż Cyrus mieszka obecnie w Bostonie. Rozmawiałem z nim i zgodził się sprzymierzyć z nami przeciwko Edwardowi i Freegrace'owi, jeśli sprawy zajdą tak daleko. A poza tym poczta wydała mapę terytorium Michigan i udało mi się zdobyć nieco zużyty egzemplarz. Na mapie są szlaki pocztowe i drogi dla dyliżansów,

ale pamiętaj, że wydano ją przed dwudziestu laty. Bardziej przydatne, jak sądzę, są wieści o często uczęszczanym indiańskim szlaku odpowiednim dla koni. Można nim przejechać z Detroit do tego zabitego dechami Chicago. Szlak Sauków prowadzi na zachód, ale ma wiele odnóg i jeśli znajdziemy jakąś prowadzącą na północ, trafimy na ów słynny bór końmi albo pieszo. Wzdłuż tych wielkich jezior, gdzie niegdyś kwitł handel futrami, łatwo spotkać indiańskich przewodników i wioślarzy. Indianie zrobią wszystko za butelkę whiskey.

– Dałby Bóg, żeby Freegrace i Edward pozwolili się przekonać.

– Zanieś Edwardowi kocimiętkę dla tych jego potworów, a spojrzy na nas łaskawym okiem.

To prawda: od śmierci żony, Lydii, która zmarła na nieuleczalną astmę, pogłębiającą się od unoszącego się wszędzie w powietrzu brązowego pyłu z końskich odchodów, Edward rozpieszczał Casimira i Vaughna, dwa pasiaste koty Lydii.

///

I tak pewnego poranka na początku września Lennart Vogel, James Duke i Armenius Breitsprecher (w towarzystwie wyżła *kurzhaar* Hansa Carla von Carlowitza) wsiedli do wynajętego dyliżansu i pojechali na północ. Lennart postawił na podłodze kosz z pieczonymi kurczakami i piwem. Hans Carl von Carlowitz biegł obok dyliżansu.

– Zmęczy się i obetrze sobie łapy – zauważył Lennart. Usłyszawszy to, pies pobiegł szybciej.

W Detroit kupili konie i wjechali do liściastego lasu. Gdy opuścili miasto, Lennart powiedział:

– Słyszałem, że przed stu laty Sieur de La Mothe Cadillac[28] uznał La Ville d'Ètroit i jego okolice za tak piękne, że słusznie można je nazwać ziemskim rajem Ameryki Północnej.

Podróżowali przez niezamieszkaną krainę, a Jamesa niepokoił roztaczający się wokół zielony półmrok. Trudno było dostrzec jakieś punkty orientacyjne z wyjątkiem drzew, nie widzieli nawet nieba, tylko szemrzący od wiatru zielony baldachim. Czuł się tak, jak niegdyś na morzu, obezwładniał go błyszczący, halucynacyjny, niezmierzony ogrom. Ale w przeciwieństwie do zależnego od wiatru żeglowania po oceanie, jazda szlakiem Sauków wydawała się całkiem prosta: poruszali się kursem olbrzymich mastodontów, wytyczonym, zanim ze stepów Azji przybyli tu ludzie.

Jadąc jarem, przyglądali się sinusoidzie suchych kamieni.

– To znak, że niedaleko są osadnicy – zauważył Breitsprecher, wskazując na wyschnięty potok. Ćwierć mili dalej minęli obcięty przez erozję stok. Usłyszeli ciosanie siekier i poczuli dym, aż w końcu wyjechali na pokrytą pieńkami dwudziestoakrową przecinkę, na której trzech mężczyzn rąbało zwalone przez wiatr drzewa na zimową podpałkę. Na sąsiadującym z przecinką polu palił się ogień, ziemię pokrywał popiół i spękane kamienie.

Osadnicy – mężczyźni, zdaniem Jamesa, między czterdziestym a sześćdziesiątym rokiem życia – ruszyli ku nim, wymachując żylastymi ramionami. Jeden z nich, z włosami do ramion i jasnymi, pozbawionymi wyrazu oczyma, przyglądał im się uważnie.

– Dokąd drogi prowadzą?

– Na zachód. Jedziemy na zachód – odrzekł Lennart. – Nazywam się Lennart Vogel.

Osadnik zmierzył ich wzrokiem. Jego żylaści synowie podeszli bliżej i przyglądali się przybyszom z rozdziawionymi gębami.

– Wy, Moony i Kelmar, wracać mi do rąbania, *schnel*l! – rzucił do nich ojciec gardłowym głosem. A potem przyjrzał się Jamesowi, jego wierzchowcowi, butom. Zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć. – Wy jakieś urzędniki?

James nie odpowiedział. Więc osadnik przeniósł wzrok na Armeniusa Breitsprechera, otworzył usta i zamknął je, gdy Breitsprecher poddał go równie skrupulatnemu badaniu.

– Jedziemy dalej – rzucił z naciskiem Breitsprecher do Lennarta i Jamesa. Cmoknęli na konie i odjechali bez słowa.

Przejechali w milczeniu jakieś pół mili, gdy Armenius nakazał im gestem zjazd po zboczu do bagna. Znaleźli się na końcu mokradła oczyszczonego przez bobry: wierzby, krzaki i młode odrosty trafiły na żeremia, mieli stąd dobry widok na jeziorko i przebytą przez nich trasę.

– Zostańcie przy koniach, siedźcie cicho i nie palcie – szepnął Breitsprecher. – Ten stary prosi się o guza, a ja mam zamiar sprawdzić, czy ruszył za nami z tymi swoimi skretyniałymi synalkami. Hans Carl von Carlowitz, *komm*! – Zniknęli obaj.

James i Lennart czekali. Powierzchnię stawu, bobrowe żeremia, konie i ich twarze oświetlało miodowo zachodzące słońce. Dzień dobiegał końca, zgęstniały chmary komarów.

– Muszę zapalić cygaro – odezwał się James przyciszonym głosem.

– Lepiej nie – szepnął Lennart. – Niektórzy osadnicy zabijają podróżnych: dla pieniędzy, koni, ubrań. Widziałeś, jak ten stary mierzył nas wzrokiem? Szacował, ile jesteśmy warci.

– A jak dopadną Armeniusa? Co będzie, jeśli nie wróci? – zapytał cicho James.

– Będziemy się martwić, jak nie wróci.

James wyjął fiolkę z wywarem z mięty i skropił się nim, żeby odstraszyć komary, a potem zdrzemnął się oparty o porośnięty mchem, wilgotny pień świerku. Obudził go jakiś hałas. Postawił go niemal na baczność! Coś – albo ktoś – zbliżało się do nich, nie zachowując ostrożności, łamiąc gałęzie i tupiąc głośno.

– Armenius? – zapytał cicho James. – Czy to ty?

– Hangh! – odpowiedziało im coś i zagłębiło się w mokradła. Przez całą noc słyszeli ociekającego wodą łosia szarpiącego chwasty. James znów usnął, uspokojony chrapaniem Lennarta. O

świcie znad jeziorka przywędrował chłodny tuman mgły, a oni znów zbudzili się gwałtownie, gdy zarżał jeden z koni.

– Ktoś nadchodzi – szepnął Lennart. Konie strzygły uszami w tę samą stronę, a potem wróciły spokojnie do skubania jagód. – To Breitsprecher. Znają jego krok.

Czekali. Mgła znad mokradeł rozwiewała się powoli, zapowiadał się przejrzysty dzień. James sięgnął do juk, wyjął kostkę cheddara z Bostonu i przekroił ją na pół. Gdy wkładał ser do ust, rozległ się głośny chlupot. Ser wypadł mu z dłoni.

– Cholera!

Bóbr wypatrzył Armeniusa Breitsprechera i jego psa na końcu żeremia, ostrzegał pozostałe przed niebezpieczeństwem. Hans Carl von Carlowitz zrobił stójkę, wystawiając kręgi na wodzie. Bobry machały ogonami pod powierzchnią stawu. Breitsprecher wyszedł z lasu i podszedł do koni, klepiąc je po pyskach. Uśmiechnął się szeroko do Lennarta i Jamesa, rozpiął płaszcz, pokazując im bawełniany woreczek. Wyjął z niego połeć boczku, sześć jaj, obrane jabłka i ciepłe jeszcze suchary.

– *Gute Mann* – oznajmił. – Nazywa się Anton Heinrich. Poszedł za nami, ale bez złych zamiarów, chciał nas zaprosić na noc do *Klotzhaus*. Nie miałem czasu przyjść po was, zanim w lesie zrobiło się *dunkel*, więc poszedłem z nim. Anton jest *ein Deutscher*, a kiedyś był *Bauer* w Maine. Rozmawialiśmy tylko *Deutsch*, nie spodobałoby się wam. Ani słowa po angielsku. Nakarmili mnie i położyli na sianie w stodole. Żona *Bauera* Kristina dała wam jajka

na śniadanie. Mają chyba z ośmioro *Kindern*, cały wielki stół, *ja, es gab reichlich zu essen und zu trinken. Gute Menschen*.

– Nie zapomnij, że z nami rozmawiasz po angielsku – napomniał go James.

– *Ja*, *sorry*. Anton kupił farmę od *Witwe* – wdowy – Kristiny, jak jej mąż umarł na malarię. Anton miał farmę w Maine, ale *die Erde*, ziemia, całkiem się wyjałowiła. Nie mogło być inaczej, bo wypalają wszystko do cna, a potem rok po roku sadzą w popiołach. Po czterech- pięciu latach ziemia się wyjaławia. Tu, w tym lesie, w *Erde* jest kompost z *tausend jahre.* – Ugryzł jabłko i ciągnął dalej: – Ale trzeba być ostrożnym. Bo są osadnicy i… osadnicy.

– Tak jak podróżni i… podróżni – powiedział do siebie Lennart, bo zauważył krew na nogawce spodni Armeniusa. Nie miał zamiaru pytać, skąd ta plama.

Szlak poprowadził ich przez porośniętą orlicami polanę, okoloną czerwonymi sosnami, choinami, a tu i ówdzie wejmutkami. Późnym popołudniem znów znaleźli się w lesie – tym razem mieszanym, liściasto-iglastym. Wszędzie widzieli liście i porosty. Breitsprecher pokazywał im zagajniki brzozy papierowej, osiki i rzadsze wejmutki – wyższej od pozostałych drzew. Następnego ranka, gdy wspinali się na wychodzący na południe stok wzgórza, Breitsprecher wziął w garść suchą piaszczystą ziemię i powiedział:

– Teraz wjeżdżamy do krainy sosen.

Ale po drugiej stronie wzgórza rosło więcej choin niż wejmutek, a szlak przecięła plątanina ścieżek. Nie wiedzieli, gdzie ciągnie się dalej szlak Sauków i która ze ścieżek może zaprowadzić ich do gęstych sosnowych lasów.

– Trzeba sprawdzić wszystkie – doszedł do wniosku Breitsprecher. – Zacznijmy od tej, która prowadzi na północ.

Ruszyli więc na północ przez młode choiny i drzewa liściaste walczące o każdy kawałek przestrzeni, uderzające gałęziami po twarzach. Trafili na jeszcze węższe ścieżki – szlaki zwierzyny, jak orzekł Lennart. James zastanawiał się, czy któryś z nich zaprowadzi ich tam, dokąd zmierzają. Do południa następnego dnia pomieszało im się w głowach od mnogości ścieżek.

– Dziwne, że nie spotkaliśmy jeszcze żadnych Indian – stwierdził Breitsprecher. – Gdybyśmy ich spotkali, moglibyśmy zapytać o wejmutkę. Moim zdaniem powinniśmy wrócić do szlaku Sauków i zaczekać na jakichś indiańskich przewodników.

Rozbili obozowisko i czekali, a po dwóch dniach nadeszło sześciu polujących Cheppawa, którzy zatrzymali się i widząc palącego Jamesa, poprosili po angielsku o „tytuń".

– Daj tytuń – zwrócił się do Jamesa najmłodszy Cheppawa, dziesięciolatek. Pozostali zaczęli powtarzać za nim tę magiczną frazę, aż Breitsprecher oznajmił im – za pomocą wielojęzykowego miszmaszu – że owszem, dostaną tytoń, jeśli pokażą im właściwą drogę do wielu dużych białych sosen. Wskazał rosnącą nieopodal wejmutkę – duże drzewo o odkrytych, rozczapierzonych jak

powykręcane palce korzeniach. Na to wszyscy Cheppawowie zaczęli mówić jednocześnie i pokazywać w tę samą stronę: z powrotem do Detroit. Najstarszy z nich ułamał gałązkę i narysował mapę na piaszczystej ziemi.

– On do d'Ètroit – powiedział. Dorysował pięć innych szlaków wychodzących z Detroit. – Sauk – oznajmił, wskazując na szlak wiodący na południowy zachód. – San Joe – powiedział, pokazując szlak, na którym się znajdowali.

Za radą Breitsprechera ruszyli na przecięciu ścieżek w prawo, zeszli z szlaku Sauków i zgubili drogę.

– Saginaw – powiedział Indianin, rysując linię na północny zachód. – Shiawassee – dodał, rysując następną. – Mackinac.

Szlaki Shiawassee i Saginaw łączyły się z Mackinac i dwoma innymi ważnymi szlakami. Z Detroit powinni ruszyć szlakiem Shiawassee albo Saginaw, a nie szlakiem Sauków.

– Musimy wrócić do Detroit? – zapytał Lennart. Armenius przetłumaczył jakoś to pytanie, a Cheppawowie znów zaczęli się przekrzykiwać.

– Mówi, że stąd wiedzie boczny szlak, który zaprowadzi nas na Shiawassee. Mackinac przecina Shiawassee. Ale my nie pójdziemy Mackinac, ale prosto wzdłuż brzegu Huron. Mówi, że ten szlak nazywa się właśnie Wzdłuż Brzegu.

Cheppawowie zaproponowali, że pokażą im ten boczny szlak, który wyprowadzi ich na Shiawassee, i bez dalszej zwłoki ruszyli szybkim krokiem w drogę.

– Pójdę z nimi, zaznaczę szlak i wrócę po was – powiedział Breitsprecher. Lecz Indianie przystanęli nagle, zaczęli rozmawiać między sobą, a najmłodszy wrócił do Jamesa.

– Tytuń. Tytuń teraz!

James wsunął dłoń w juki i odliczył dwanaście kubańskich cygar, po dwa dla każdego Cheppawa. I już miał podać cygara chłopcu, gdy odezwał się Breitsprecher.

– Nie. Będą chcieli zostać i palić z nami. Ja je wezmę. Kiedy pokażą mi drogę i szlak Shiawassee, dam im tytoń i wrócę po was.

Wytłumaczył wszystko Indianom i znów ruszyli w drogę. Breitsprecher musiał mocno wyciągać nogi, żeby dotrzymać im kroku. James, Lennart i konie czekali. I czekali.

– A jeśli go zabili? – zapytał James po południu. – Mogli zabić Armeniusa i zabrać mu cygara. Długo nie wraca.

– Powrót zawsze trwa dłużej. Armenius wspomniał zdaje się, że to jakieś osiem mil. Gwarantuję, że więcej niż osiem. Ale nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy wyruszyć z nimi w drogę wszyscy razem. Im więcej nas jest, tym jesteśmy bezpieczniejsi. I oszczędzilibyśmy sobie czasu, bo i tak musimy tam pojechać. Zapalę sobie z tobą cygaro. Może szybciej minie nam czas.

– Z pewnością. Cygara bardzo się przydają podczas poszukiwań wejmutki.

Breitsprecher wrócił przed zmrokiem. Lecz zanim zdążył otworzyć usta, Lennart – w którym wszystko się już gotowało – krzyknął:

– Dlaczego nie pojechaliśmy z tobą? Bylibyśmy już dawno na szlaku! Straciliśmy bez potrzeby pół dnia. Od tej pory nigdzie się sam nie ruszasz, Herr Breitsprecher! Czy wyrażam się jasno?

– Owszem. Ma pan rację. Ale obawiałem się pułapki. Bliskość cygar pana Jamesa mogłaby skłonić ich do złego zachowania. Ale okazało się, że są w porządku: byli bardzo zadowoleni z kubańskiego tytoniu. Na rozstaju dróg usiedli i wypalili cygara.

– Czy to daleko stąd? – zapytał zesztywniały od długiego czekania James.

– Nie więcej niż dziewięć mil, mniej niż dwie godziny konno. A potem, jak mówili, pięć albo sześć dni piechotą, co daje trzy dni w siodle, jak mi się widzi. Ten boczny szlak nie wygląda źle. Trochę zarośnięty. Możemy tam pojechać, jeśli chcecie, albo poczekać do rana. Postanówcie, panowie – zwrócił się do Lennarta Vogela.

– Ruszamy natychmiast. To czekanie dało mi się we znaki. Bardzo zależy mi na znalezieniu tych sosen.

Ocena szlaku dokonana przez Breitsprechera okazała się niezbyt trafna. Pierwsza mila biegła przez stosunkowo otwarty teren, ale potem znaleźli się na nizinie i musieli przedzierać się przez tak gęste zarośla, że zsiedli z koni i prowadzili poobijane gałęziami i pokaleczone przez krzewy zwierzęta za uzdy.

– Niewielu Indian korzysta z tego szlaku – zauważył Breitsprecher. – Przyroda odbiera, co jej.

Gdy w końcu stanęli na popas i wtarli maść w pokaleczone nogi koni, Armenius powiedział:

– Ci Cheppawowie mówili, że wyprawiają się do tych sosnowych lasów wodą, pirogami. To dobra wiadomość, bo oznacza, że lasy te są nad rzeką albo nad brzegiem jeziora. Michigan to same jeziora i rzeki. Idealna kraina dla przemysłu drzewnego.

Trudno było nie zauważyć szlaku Shiawassee, gdy w końcu do niego dotarli: był to wyraźny dukt wydeptany stopami wielu podróżnych. Wspinał się coraz wyżej i coraz bliżej lasu. I to jakiego lasu! Sosny wejmutki rosły wszędzie – coraz grubsze i grubsze. Gdy skręcili na północny wschód, z prawej strony ujrzeli szlak Saginaw, a znaleźli się w najokazalszym lesie sosnowym, jaki kiedykolwiek widzieli. Nietknięty ludzką ręką drzewostan, wielkie sosny o średnicy czterech do pięciu stóp, ułożone schodkowo gałęzie i korony układające się w kształt pagody na wysokości stu pięćdziesięciu stóp, w sumie dwieście lub więcej stóp cennego drobnoziarnistego drewna, łatwego do spławiania rzekami lub przechowywania w ładowniach i tartakach.

Wcześnie rozbili obozowisko i przez resztę dnia Breitsprecher przemierzał las, przyglądając się drzewom, mierząc je, obliczając i zaznaczając. Wrócił i usiadł na kłodzie obok ogniska. Trząsł się nieco i zjadł resztę niemal zepsutej dziczyzny.

– I co? – zapytał Lennart. – Co pan myślisz?

– Przeszedłem przez dziesięć kwadratowych akrów i policzyłem sobie. – Wskazał kciukiem za siebie na drzewa. – Tu w tym miejscu jest jakieś dwadzieścia pięć tysięcy stóp deskowych drewna na każdy akr.

– To niemożliwe – mruknął James. – Musiałeś się pan pomylić.

– Sam w to nie wierzyłem, więc mierzyłem dwa razy. A to skromny szacunek. W całym swoim życiu nie widziałem takiego lasu, nie wiedziałem, że w ogóle istnieje. To musi być największy drzewostan wejmutki na świecie. Teraz musimy oszacować obszar. Bo może rośnie tu tylko jakieś kilkaset akrów tych nadzwyczajnych drzew. A może więcej…

Akrów było znacznie więcej. Mila za milą gęstego sosnowego lasu największych i najprostszych drzew.

– Boże – szepnął Lennart, zadzierając głowę ku chmurom. – Dzięki ci za ten cudowny skarb!

Żaden z nich nie mógł zasnąć tej nocy, a Breitsprecher wstał przed świtem, rozpalił ognisko, zaparzył kawę, poprzekładał rzeczy. Wypili parzący czarny napar, spakowali się i wyruszyli dalej, gdy tylko zrobiło się jasno. Przez wiele dni szli i jechali przez zaczarowany las. Wreszcie dotarli do wielkiej zatoki nad jeziorem Huron, ale sosnom nie było końca.

– To o wiele więcej, niż się spodziewaliśmy – oznajmił Lennart. – Oto, co należy zrobić: najpierw musimy się dostać do katastru gruntów i zacząć kupować tyle tego lasu, ile tylko się da. Potem musimy założyć przedstawicielstwo: w Detroit albo gdzieś w

okolicy. Wrócimy do Bostonu i wytłumaczmy radzie, na co trafiliśmy. A Armenius będzie mierzył i szacował ten las. Wystarczy go na stulecia. Ale jest tyle rzeczy do zrobienia, że nie wejdziemy tu z siekierami prędzej niż za rok, może nawet dwa, bo czeka nas olbrzymia praca u podstaw. Musimy znaleźć ci jakiegoś pomocnika – zwrócił się do Breitsprechera. – I kogoś, kto zajmie się katastrem gruntów. Cyrus musi nam pomóc. Trzeba skontaktować się z odbiorcami. Drewno można wysyłać z Albany, gdzie kończy się kanał. To nasza przyszłość na następne pokolenia, właśnie to – powiedział z naciskiem i dla podkreślenia wagi swych słów tupnął w sosnową ściółkę. – Tu spełnią się marzenia wszystkich Duke'ów i Synów. Nie mogło nam się przydarzyć nic lepszego!

– O bogowie! – zachwycił się James. – Tysiąc drwali nie zetnie tego lasu przez tysiąc lat! Ale sprowadzimy ich tu! Sprowadzimy tu tysiąc drwali!

Armenius Breitsprecher patrzył w ogień i milczał. Nie po raz pierwszy miał do czynienia z zachłannością właścicieli firmy Duke i Synowie. Byli tak nienasyceni, że wycięliby w pień cały kontynent. A on im pomagał. Nienawidził amerykańskiego grabienia ziemi do czysta, marnowania zdrowego cennego drewna, niszczenia gleby, odwadniania jej i erodowania, rujnowania leśnego świata bez chwili namysłu nad przyszłością. Drwale uważają, że las jest nieskończony, bo zawsze gdzieś rośnie następny. Rabunkowe wyręby zawsze były siłą napędową stojącą

za powodzeniem Duke i Synowie, ale po odkryciu tego lasu siła ta stanie się machiną firmy.

Nie zależało mu na wzbogaceniu się z procentów od tego wspaniałego skarbu. Przez wszystkie lata pracy u Duke'ów dostał od nich małe skrawki lasów, które przemierzał – dwadzieścia akrów tu, parcelę tam, dwa akry na szczycie góry, pięćdziesiąt akrów porośniętych modrzewiem mokradeł. Były to zaledwie okruchy, w dodatku porozrzucane i trudne do sprzedania – skromna zapłata za jego pracę. Jeśli chce dostać jakąś wielką sosnę z Michigan, będzie musiał patrzeć na wszystko przez palce. Ta myśl bardzo go niepokoiła.

James Duke i Lennart Vogel zapalili swoim zwyczajem cygara przed rozłożeniem koców, a Armenius swoim zwyczajem zebrał naręcz bierwion, przywołał Hansa Carla von Carlowitza, podrapał go za uszami i położył się przy ognisku. Jego zadaniem było dokładanie do ognia, żeby nie zgasł przez całą noc.

– James – odezwał się cicho Lennart. – Chciałbym zadać ci delikatne pytanie i byłbym ci wdzięczny za szczerą odpowiedź.

– Bardzo proszę. O co chcesz zapytać?

– Czy ty… odpowiedz mi, proszę, szczerze… czy ty… czy ty ufasz do końca Armeniusowi?

James zastanawiał się przez długą chwilę. Lennart – mimo wagi pytania – zaczął już przysypiać po pełnym wrażeń dniu, gdy usłyszał odpowiedź Jamesa:

– Nie mam powodu, żeby mu nie ufać.

– Ja również – odrzekł Lennart. – To wielkie sosnowe bogactwo rodzi pewnie podejrzliwość i zmartwienia. Jest tak wielkie, że trudno objąć je rozumem.

---

[25] *Tales of the Robin, and other small birds, selected from the British poets*, Joseph Taylor et al. [przyp. tłum.].

[26] Kanałem Erie i Oswego łączącym rzekę Hudson z jeziorem Ontario [przyp. tłum.].

[27] Pierwsza linia kolejowa łącząca Buffalo z Attica na północnym wschodzie stanu Nowy Jork powstała dopiero w roku 1842 (w roku 1836 zarejestrowano budowę kolei) [przyp. tłum.].

[28] Antoine Laumet de La Mothe, sieur de Cadillac – francuski założyciel Detroit (Fort Pontchartrain du Détroit) w roku 1701 [przyp. tłum.].

55

NIGDY DOŚĆ

Dotarli do Bostonu o świcie w październiku, gdy jesienne liście przybrały ogniste barwy. James pojechał prosto do domu. Przed następnym wyjściem przebrał się w czystą bieliznę i jasnobrązowy frak, lecz spotkał Posey i powiedział:

– Wróciłem, moja droga.

– No cóż, James, czy znalazłeś to, czego szukałeś?

– Z pewnością trafiliśmy na dobre drewno. Jedna trudność polega na jego ekspedycji.

– Z tym zawsze jest problem, czyż nie? Dobrze pamiętam, ile zabiegów wymagał transport kłód z Nowego Brunszwiku i Maine.

– Teraz jest nieco inaczej. A jak się miewa Lavinia? Kiedy wypływa do Anglii? – Przez ostatni rok Lavinia uczęszczała na pensję w Londynie.

– Dziękuję panu za zainteresowanie – odpowiedziała zrzędliwie Posey. – Bardzo je sobie cenimy, to pewne. Mówiąc szczerze, posprzeczałyśmy się w sprawie wyjazdu. Lavinia nie chce wracać na pensję z przyczyn, których nie znam, wyjąwszy jej uparty

charakter. Pensja w niczym jej nie przeszkadza, ma jedynie żal do nauczycielki matematyki, którą nazywa „ignorantką”.

– Bez wątpienia. Lavinia zawsze dobrze liczyła i nie miała trudności z pojęciami abstrakcyjnymi.

– Początkowo oponowałam i zwalczałam jej humory, ale tego ranka doszłam do wniosku, że może istotnie byłoby lepiej zatrzymać ją w domu i wynająć korepetytorów.

– Zgadzam się w całej pełni – stwierdził James. – Lawinia jest zbyt emocjonalną młodą osobą jak na pensję w Anglii.

Przypomniał sobie własne nieszczęśliwe dzieciństwo w tym kraju.

– Jest jeszcze bardzo młoda, ale w jej i naszym interesie leży, aby poznawała młodych ludzi z najlepszych rodzin. Obawiam się, że w Anglii mogłaby paść ofiarą zubożałych łowców posagów.

– To wielce prawdopodobne. W Anglii aż roi się od starych rodów, które nie mają niczego oprócz nazwiska i popadającej w ruinę siedziby. Bogata Amerykanka to dla nich prawdziwa zdobycz. Widziałem to na własne oczy. Doprawdy, lepiej będzie zatrzymać ją w domu.

– Doskonale, zatem ustalone. Czy mam poszukać dla niej pensji w Bostonie? Czy korepetytora?

Ale James zbiegał już po schodach prosto w piękny nowoangielski poranek.

– Samolubny łobuz, jak zawsze – mruknęła Posey.

Lennart i James usiłowali rozpalić w sercach członków rady zachwyt dla potężnych sosen w Michigan, dla wielkich rzek i wartkich strumieni wpadających do jezior Huron, Michigan i Superior, dla położonego strategicznie na cieśninie między Huron a Erie miasta Detroit, dla budowy dróg, wreszcie dla kanału Erie, łączącego jeziora z Albany i dalej z Nowym Jorkiem. Ale Edward i Freegrace siedzieli z kamiennymi twarzami. Tylko Cyrus Hempstead kiwał głową z aprobatą.

– Wszyscy wiemy – mówił Lennart – że kluczem do zysków jest transport kłód z lasu do tartaków.

James wstał i otworzył okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

– Hm… – chrząknął z namysłem Edward. – Zaiste wspaniałe to widoki. Ale skąd wziąć tam drwali? Mówicie o niezasiedlonym jeszcze rejonie. A może chcecie nauczyć Indian machać siekierą?

– Niektórzy z naszych najlepszych drwali urodzili się w wigwamach. Ale to nie ma nic do rzeczy. Biali zlatują się na południe Michigan jak gęsi na wiosnę. Ludzi ciągle przybywa. Nie słyszeliście o „gorączce z Michigan", która opisuje ten pęd? Jestem pewny, że znajdziemy drwali do pracy w lasach. Wielu z osadników to przybysze z Maine, którzy zwietrzyli drzewa. Damy ogłoszenia. Tam, gdzie rosną takie drzewa jak te, które widzieliśmy, prędzej czy później ktoś po nie przyjdzie. Ale my będziemy pierwsi, musimy kupić tę ziemię i zbudować własne tartaki. Jeśli rada wyrazi zgodę, James natychmiast wyjedzie do

Detroit, żeby kupować w katastrze parcele. Rząd liczy sobie sto dolarów za osiemdziesiąt akrów, osiemset dolarów za jednomilową działkę.

– Mówisz „musimy”, ale James nie ma prawa sięgać do kapitału Duke i Synowie.

– Lennart i ja uważamy, że sprawa jest pilna i wymaga natychmiastowych działań – oznajmił James. – Dlatego zgodziłem się kupić ziemię za swoje własne pieniądze. Odsprzedam ją firmie za dodatkowe dwadzieścia pięć centów od akra.

Edward, który wedle starszeństwa i funkcji przewodniczącego rady zarządzał kapitałem (choć nominalnie skarbnikiem był Freegrace), policzył coś na papierze i rzekł:

– To daje dziewięćset sześćdziesiąt dolarów za jednomilową działkę. Ładny czysty zysk dla Jamesa.

– Uważam, że to uczciwe, gdyż mam wolne środki, których, o ile się nie mylę, nie posiada firma Duke i Synowie. Czyż nie jest prawdą, że musimy upłynnić część posiadłości w Nowym Jorku i Nowej Anglii, żeby dokonać dużych zakupów?

– Oczywiście, ale nie rozumiem, skąd nagle ten szaleńczy pośpiech – warknął Edward.

Gdy i Freegrace wydał z siebie pomruk niezadowolenia, Lennart, choć miał ochotę krzyknąć tym starcom prosto w twarz, odezwał się spokojnym tonem:

– Breitsprecher wyliczył ostrożnie, że z jednego akra uzyskamy dwadzieścia pięć tysięcy stóp deskowych drewna. Przy cenie

czterech dolarów za tysiąc stóp firma zarobi na czysto sto dolarów za akr albo sześćdziesiąt cztery tysiące za jednomilową działkę. Duke i Synowie zgarną sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów z każdej działki, za którą zapłacą zaledwie dziewięćset sześćdziesiąt dolarów.

– Nigdy nie zetknąłem się z tak wysokim uzyskiem z jednego akra – mruknął Edward, bębniąc palcami po stole. – To nie może być prawda. – Wyjrzał rozgniewany przez otwarte okno, jakby chciał zgasić lazurowe niebo.

– Breitsprecher powtarzał pomiary i obliczenia wiele razy, żeby mieć pewność. Z czymś takim nigdy się nie zetknęliśmy, to prawda, ale drzewa tam rosną. Widzieliśmy je, dotykaliśmy ich, przez dwa i pół tygodnia przemierzaliśmy knieję. Trudno sobie wyobrazić monstrualną wielkość takiego drzewostanu. – Lennart zwracał się do starszych członków rady niczym do niebezpiecznych idiotów.

– Nasi konkurenci już tam bez wątpienia pędzą.

– Jeszcze nie zaczęli. Jesteśmy pierwsi – powiedział Lennart, ledwo kryjąc triumfalny ton. – Podróż była bardzo męcząca i nie każdemu chce się ryzykować taką wyprawę.

– Więc nie ma się po co śpieszyć – orzekł Edward.

– Pamiętajmy o Pensylwanii – napomniał go Cyrus, który widział na własne oczy zaprzepaszczoną szansę.

Posiedzenie trwało dłużej niż jakiekolwiek inne spotkanie rady w dziejach Duke i Synowie i ciągnęło się przez następny dzień,

kiedy sprzeczali się o korzyści i trudności związane z założeniem nowego przedstawicielstwa firmy w Detroit oraz o niemożliwości prowadzenia dużego przedsiębiorstwa przez siedzących w Bostonie samych członków rodziny. Dobra pogoda utrzymała się i siedzenie w dusznej sali posiedzeń nie było przyjemne.

– Z całą pewnością będziemy musieli nająć ludzi z zewnątrz – oznajmił Freegrace. – Z zewnątrz! To wbrew polityce Duke i Synowie.

– Właśnie o to chodzi – odezwał się Lennart. – Musimy zacząć ich zatrudniać jak najszybciej. Potrzeba nam więcej mierniczych. Breitsprecher nie da sobie rady bez pomocników w tym lesie, więc trzeba znaleźć ludzi z doświadczeniem. Leśnicy wkrótce poczują zapach tych sosen z Michigan. Dojdzie do przepychanek. Trzeba również zatrudnić pracowników biurowych i tutaj, i w Bostonie, żeby pilnowali zakupów ziemi, map, zleceń, odbiorców, cen drewna, statków i transportu – wszystkiego. A w Detroit trzeba postawić kantor i domy tak szybko, jak tylko się da.

– Ale po co ten pośpiech! – jęknął Freegrace.

– James – znów odezwał się Lennart, który podczas posiedzenia przejął rolę przewodniczącego – jak szybko zdołasz wrócić do Detroit, aby zacząć skupować ziemię, którą wymierzył Breitsprecher podczas naszego rekonesansu?

– Niedługo, powiedzmy za dziesięć dni. Muszę uporządkować kilka spraw, złożyć depozyty i kaucje.

– Mam koszmary, że ktoś kupuje te ziemie przed nami. Ta sprawa jest najpilniejsza. Zawsze możemy kupić na kredyt, co przyśpieszyłoby transakcję.

– Duke i Synowie nigdy nie kupują na kredyt – odezwał się oschle Edward. – Zawsze płacimy gotówką, przez co cieszymy się powszechnym uznaniem. To nasz znak firmowy.

– Jeśli zaczniemy kupować okręgi, tak duże zakupy mogą wymagać kredytów – zauważył Lennart. – Kiedyś nadejdzie i ten dzień.

James wyruszył na zachód po raz drugi po upływie zaledwie tygodnia. W Detroit wynajął pokoje w pobliżu federalnego katastru gruntów. Przez trzy dni intensywnej pracy z urzędnikiem katastru – nieprzyjemnym jak syrop na kaszel, zdaniem Jamesa, człekiem – firma Duke i Synowie weszła w posiadanie wszystkich terenów leśnych wymierzonych przez Breitsprechera podczas pierwszej wyprawy: stu tysięcy akrów. James kupił trzy parcele w mieście i wynajął cieśli do wzniesienia kantoru i trzech domów. Wrócił do Bostonu, gdzie miał oczekiwać potwierdzeń aktów własności. Breitsprecher został w Michigan, mierząc las, dzieląc go na działki i wytyczając całe nowe okręgi.

– Powinniśmy kupić te okręgi w ciemno – powiedział Lennart. – Wiemy, że rosną tam drzewa. Nie ma potrzeby wysyłać za każdym razem mierniczego, żeby przeczesywał akr po akrze przed zakupem.

Edward i Freegrace skrzywili się.

– Co? Mamy ryzykować, że kupimy bezwartościowe bagno albo gołe wzgórza czy leje? Albo zgoła nic, tylko samą trawę i rachityczne brzózki?

– Na tych ziemiach w Michigan rosną same sosny i nie ma od tego wyjątków. Oszczędzimy sobie wiele trudu, kupując w ciemno z map w katastrze – mówił Lennart głosem schrypniętym od ciągłego przekonywania. Ale tym razem dwóch najstarszych Duke'ów postawiło na swoim – za sprawą Cyrusa Hempsteada, który w niezrozumiały sposób opowiedział się po ich stronie, więc pomysł został zarzucony.

///

W grudniu wrócił Breitsprecher. Dzień był mroźny. Wszedł po wąskich schodach starej siedziby Duke'ów i skierował kroki prosto do sali posiedzeń, żeby zdać raport. Cyrus, usłyszawszy pierwsze szacunki, aż wstrzymał oddech. Liczba stóp deskowych była tak ogromna, że przekraczała wszelkie wyobrażenie.

– Mówimy o stojącym drzewostanie. Nigdzie nie widziałem innych zwiadowców, ale spotkałem na szlaku federalnego mierniczego z pomocnikiem. Powiedział mi, że na terytorium Michigan pracuje teraz wielu takich jak on: ci na południu wytyczają działki, a ci na północy okręgi w lasach. Mówił, że pierwsi mierniczy nie mieli doświadczenia i z tego powodu w

Michigan obowiązują dwa zestawy map. Nie wiem, ile lasu kupił pan James z tego, co wymierzyliśmy podczas pierwszej wyprawy. Słyszałem, że w katastrze dzieją się cuda, choć urzędnicy w Detroit są podobno uczciwi.

– Pan James Duke – odezwał się Cyrus – kupił większość, jeśli nie wszystkie z działek, które mierzyliście. Teraz musimy zdobyć te lasy, które dla nas zaznaczyliście. Trzeba to zrobić jak najprędzej. Spisaliście się doskonale, Armenius, ale potrzebujemy więcej mierniczych. Jeśli znacie jakichś, podajcie nam ich nazwiska.

Breitsprecher nie miał żadnych nazwisk na podorędziu.

Gdy wychodzili z sali posiedzeń, Lennart wziął Cyrusa na stronę i powiedział:

– Musisz pomóc Jamesowi w zakupach. W Monroe jest jeszcze jeden kataster, więc myślę, że trzeba z niego skorzystać i uśpić konkurencję, która ma prawo przypuszczać, że Duke i Synowie kupują całe Michigan. Upłynniliśmy część posiadłości w Nowej Anglii i mamy zapas gotówki. Chcę też, żebyś się zastanowił, jak kupować na kredyt, gdybyśmy chcieli nabyć jakieś duże okręgi. Pierwotna inwestycja jest nieduża w porównaniu z przyszłymi dochodami. Dopiero zaczynamy. W Michigan jest wiele milionów akrów sosnowego lasu, który rozciąga się być może na sąsiednie terytoria na zachodzie i południu. Zabierz ze sobą koordynaty przekazane przez Breitsprechera, jedź do Monroe i zacznij

kupować. A teraz chodź ze mną: dostaniesz gwarancje. Kupuj tak szybko, jak tylko możesz.

Armenius Breitsprecher wyszedł z przegrzanego biura i ruszył do domu, ciesząc nozdrza zapachem nadciągającego sztormu. W progu niedużego domostwa powitała go Frau Stern, która przygotowała dlań cytrynowy posset. Na podłodze w kuchni leżał worek z nieprzeczytaną korespondencją. Przełknął posset i cztery pieczone gołąbki, po czym spał przez szesnaście godzin.

Następnego ranka usiadł do listów. Zbliżało się Boże Narodzenie i Breitsprecherowie z ojczyzny zasypali krewnego czułymi życzeniami i prezentami: ciastami i *Blutwurstem*, małą beczułką najlepszej *sauerkraut*, orzechami i kandyzowanymi owocami, a jego babcia Fredda przysłała przepis na pieczoną gęś. *Blutwurst* sprawił mu wielką radość, więc posłał Frau Stern po świeży ciemny chleb.

Mając przed sobą talerz pokrojonej cienko kaszanki, chleb i odrobinę musztardy, czytał listy jeden pod drugim. Zanim dotarł do listu od kuzyna Dietera, kaszanka znikła, podobnie jak chleb, została mu tylko musztarda. Dieter sporo się wycierpiał w dzieciństwie – jego rodzice zginęli w Jurze podczas zamieci śnieżnej, po której zeszła lawina. Sierotę wychowała surowa babka ze strony matki. Armenius widział niemal przed sobą Dietera – wysokiego młodzieńca o zielonych jak agrest oczach. Chłopak uczył się prywatnie u Heinricha von Cotty w Saksonii, a

obecnie pracował jako leśniczy w dobrach Grafa Ernsta-Augusta von Rotsteina. Najważniejszy w tych dobrach, pisał, jest duży las. Armenius aż jęknął z zazdrości, gdy Dieter opisywał zbierane przez siebie owady i ich wpływ na różne gatunki drzew, dalej prowadzone przez siebie pomiary temperatury i opadów, sadzonki i eksperymentalną szkółkę leśną. Armenius widział wszakże dosyć amerykańskich lasów, by ostudzić swój zapał do leśnictwa. Jak można gospodarować w dzikiej puszczy porastającej Nowy Świat?

Minęło kilka dni, zanim zaczął odpisywać na list kuzyna, a jego epistołę wypełniało tak wielkie niezadowolenie, że darł po kolei kartki i wyrzucał stronę za stroną. Opisanie warunków w Ameryce Północnej wydawało się beznadziejne, bo jak opisać kontynent, na którym ludzie nie mieli szacunku dla uświęconego rzemiosła leśnictwa, które Armenius znał po części z książek, po części z opowieści ojca, a na końcu z własnych obserwacji. Musi nakłonić Dietera do przyjazdu i pokazać mu lasy w Michigan – potężne nietknięte lasy, w których zaraz zacznie się rzeź. Ileż rozmów mogliby o nich prowadzić! Napisał szybko list i wysłał go, nawet nie czytając.

Odpowiedź nadeszła w marcu. Dieter wyprawiał się do Ameryki! Armenius domyślił się, że kuzyn płynie obecnie przez ocean i przy dobrej pogodzie zawinie tu za niecałe dwa tygodnie.

Stał wraz z Hansem Carlem von Carlowitzem na nabrzeżu i od pół godziny wpatrywał się w cumującą „Hansę". Wzdłuż relingu tłoczyli się pasażerowie, gotowi do zejścia na stały ląd. Wypatrywał głowy Dietera wśród najwyższych pasażerów, ale go nie zauważył. Nie zauważył go też na trapie. Więc był bardzo zaskoczony, gdy poczuł czyjąś dłoń na ramieniu i usłyszał słowa:

– *Wie gehts, Menius?*

– Ach, przestraszyłeś mnie! Właśnie cię wypatrywałem!

– Tak, widziałem i uchyliłem kapelusza. *Sehr kalt hier*.

– Owszem. *Amerikanischen Frühling. Komm, komm,* zaraz będziemy w domu.

– Masz swój dom? A to jest twój *Hund*? – poklepał po głowie Hansa Carla.

– *Ja*, wabi się Hans Carl von Carlowitz, wszędzie ze mną chodzi, a co się tyczy domu, to zbudował go ojciec, a ja nie bywam w nim za często, bo przemierzam knieje, obliczając stopy deskowe. Jak pisałem w liście.

– Piękne imię dla psa i piękne zwierzę. Zawsze cię pilnuje, *nicht war*?

– *Ja, ja*, zawsze. A w zimne noce… Ach, Dieter, nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że przypłynąłeś. Mam dosyć czasu, żeby wszystko ci pokazać.

– Zawsze chciałem obejrzeć te słynne lasy Ameryki Północnej, a Graf, z którym jesteśmy spowinowaceni, choć nie chciał się mnie pozbywać, udzielił mi wspaniałomyślnie urlopu, a wszystko przez

twój list, który mu pokazałem. „Popłyń, powiedział, i przyjrzyj się wszystkiemu uważnie, a jeśli znajdziesz dla mnie dobrą drzewną inwestycję, natychmiast daj mi znać”.

– Ech, jest taki sam jak Duke’owie. Taki sam jak Amerykanie.

– Nie sądzę – odrzekł Dieter i zaśmiał się, aż ruszało mu się wydatne jabłko Adama. Chłonął wszystko zielonymi jak agrest oczyma. – Wiele wycierpiał podczas niedawnego powstania chłopskiego. Chłopi odrzucają jego władzę nad lasem, odrzucają prawo, nienawidzą gospodarki leśnej i plantacji.

– Ruszymy do Michigan, gdy tylko odpoczniesz po podróży. Ale najpierw przedstawię cię Duke’om i Lennartowi Vogelowi. Jutro rano pójdziemy do firmy.

– Drogi kuzynie, rozgrzeję się szklaneczką czegoś mocniejszego, a ty opowiesz mi wszystko o Duke’ach, ich planach przejęcia wszystkich lasów na ziemi i innych podstępnych zakusach.

Po upływie pół godziny kuzyni zjedli ugotowane przez Frau Stern golonki z kapustą i usiedli z fajkami przed rozgrzanym piecykiem Franklina z karafką porto, żeby porozmawiać o Duke’ach i leśnictwie, gdy na dworze za załomem domu wiał zimny wiatr.

Dieter Breitsprecher nie spodobał się Edwardowi Duke’owi, który później tak go opisał Freegrace’owi:

– No cóż, wygląda jak Ichabod Crane[29]: wielki chudy gamoń. A jak się gapi!

– Owszem, ale Armenius utrzymuje, że jest leśnikiem w dużych dobrach w Niemczech. I sprawuje nadzór nad pokaźnym lasem. Może okazać się przydatny.

– Na rany Chrystusa! Jakże, u licha, można „nadzorować" las! – parsknął Edward. – „Rąbać wszystko, jak leci". Tak się nadzoruje puszczę. Powiedz temu Ichabodowi, żeby zabrał swój nadzór z powrotem do Niemiec. Nam on się nie przyda.

///

James zasiadł właśnie do śniadania, na które składały się tosty i słoiczek miodu. Uśmiechnął się do wchodzącej Lavinii. Córka nie była już dziewczynką z wiecznie nadąsaną miną, ale młodą kobietą, której największą zaletą jest młodzieńczy urok. Miała na sobie musztardową wełnianą sukienkę, która mieniła się w słońcu, gdy przechodziła pod oknem.

– Moja droga Lavinio – odezwał się James – jakże ślicznie wyglądasz! Zadbana i *soigné*. Czy zjesz ze mną śniadanie tego ranka i zdradzisz mi wszystkie swoje sekrety?

– Nie mam żadnych sekretów – odpowiedziała Lavinia i poczerwieniała nagle, a w jej oczach wezbrały łzy, które zaraz potoczyły się po policzkach.

– Wielkie nieba, dziewczyno! Nie chciałem być wścibski! Chciałem tylko zagaić miłą rozmowę. Tak rzadko cię widuję ostatnimi czasy, że czekam z wytęsknieniem na każdą chwilę z tobą.

Ale Lavinia rozpłakała się na dobre w serwetkę. Minęło dużo czasu, zanim się opanowała, a James uznał, że byłoby niegrzecznie zajadać tosty, gdy córka łka. Więc czekał.

– Papo… – zaczęła, ocierając łzy. – Mam pewien… – Znów się rozpłakała.

– Na rany Chrystusa, dziecko! O co chodzi? Powiedz mi. Masz, zjedz najpierw tost. – Posmarował masłem wystygłą już kromkę, polał miodem i podał ociekającą Lavinii. Odebrała tost, ale trzymała go na wyciągnięcie ręki, jakby był zatrutym wężem, po czym odłożyła na krawędź talerza.

– Ocieka miodem – powiedziała i zupełnie niezrozumiale zaniosła się śmiechem, widząc ojca nad stertą zimnych już tostów, choć wszyscy wiedzieli, że lubi jeść je gorące i chrupiące.

– Owszem, to powszechnie znana właściwość miodu: ścieka. Życzysz sobie tost bez miodu?

– Tak. – Odebrała kromkę, położyła na talerzyku i podeszła z nim do kredensu, gdzie stały sadzone jajka. Zsunęła jedno na tost, zaniosła wszystko z powrotem do stołu i pokroiła śniadanie. James zauważył, że jajko również ścieka, nawet bardziej niż miód. Siedzieli w pełnej harmonii i jedli.

– Papo – zaczęła jeszcze raz Lavinia. – Mam pewien sekret.

– Tak sobie wyobrażam. Wszyscy je mamy. Czy zechcesz mi go zdradzić?

– Przypuszczam, że możesz przeżyć wstrząs.

– Och, nie martw się o mnie, moje drogie dziecko. Minęło wiele lat od czasu, gdy byłem wstrząśnięty po raz ostatni i z ochotą doznam wstrząsu jeszcze raz.

– Jesteś niemądry. – Była nieco pulchna, miała pulchne dłonie i podbródek.

– W żadnym razie. Ale żarty na bok. Jestem twoim kochającym papą i chcę wiedzieć, czy masz jakieś życzenie, choćby najtrywialniejsze, które mogę spełnić. Wystarczy, że powiesz.

– Doskonale! A zatem moje życzenie brzmi tak: nie potrzebuję więcej „ogłady". Nie zamierzam „debiutować" w wyższych sferach, zdobywać narzeczonego ani tym bardziej męża. – Wzięła głęboki oddech. – Chcę się nauczyć handlu drewnem.

Jamesowi zadrżała dłoń – zadrżała tak wyraźnie, że aż wylał kawę. Nie mógł być bardziej wstrząśnięty, nawet gdyby wyznała mu, że chce się nauczyć zarzynania świń.

– Ależ moja droga! Kobiety nie zajmują się handlem drewnem! W całym przemyśle drzewnym nie ma ani jednej, od siekiery począwszy, a na politurze skończywszy. Gdybyś była chłopcem, moglibyśmy umieścić cię na jeden sezon w obozowisku drwali, żebyś poznała ich pracę, ale trudno mi wyobrazić sobie, jaką rolę mogłaby odgrywać dziewczyna – kobieta! – w tym interesie. Wyobrazić sobie tego nie mogę! Czy zastanowiłaś się nad tym,

dlaczego na świecie nie ma „drwalic”? – Uśmiechnął się, słysząc ten wymyślony przez siebie, absurdalny termin. Lavinia nie odpowiedziała uśmiechem, zmarszczyła brwi.

– Mama pomagała ojcu w wycinaniu lasów. Wiele się przy tym nauczyła i okazała się bardzo przydatna w prowadzeniu interesów. Mówiła, że uczyła nawet ciebie, gdy przestałeś pływać na statkach. Papo, ja po prostu wiem, że mam do tego smykałkę. Jestem bardzo dobra z matematyki. Doskonale umiem przeliczać stopy deskowe i inne jednostki miar. Potrafię też wypełniać dokumenty i katalogować je odpowiednio. Interesuję się finansami, bankowością, pożyczkami, kredytami i aktywami, cenami i czynnikami, które na nie wpływają. Wiem, że umiałabym zrealizować wiele wartościowych przedsięwzięć. I nie wyjdę za mąż. Mama całymi dniami i nocami zawraca mi głowę małżeństwem, ale ja pierwej ucieknę z domu, niż wyjdę za mąż. Mówię całkiem poważnie. Nie chcę robić nic innego. Dlaczego nie mogłabym zająć się biurem Duke i Synowie? Wiem, że macie kancelistów, mogę zostać kancelistką. Dzięki temu wiele się nauczę. Mówiłeś, że otwieracie przedstawicielstwo firmy w Detroit. Chcę wziąć w tym udział! Wezmę! – Teraz przypominała Posey z groźnie błyskającymi oczyma i falującą piersią.

Przez ułamek sekundy James zastanawiał się, jak kupiec drewna zareaguje na coś takiego. O bogowie, myślał, o bogowie! Co mam zrobić? Co jej powiedzieć? Przełknął ostatni tost, bardzo już niesmaczny – zimny i wilgotny od rozlanej kawy.

– Lavinio, daj mi z łaski swojej kilka dni na zastanowienie nad twoją niezwykłą prośbą. Obiecuję, że poważnie przemyślę wszystko, co można uczynić w tej materii.

Okazja pojawiła się prędzej, niż przypuszczał. Pewnego majowego poranka zawitał u niego Lennart, który błagał Jamesa na wszystkie świętości, żeby zechciał pójść z nim do biura.

– Mamy kilku chętnych na posadę kancelisty w Detroit i dwóch mierniczych z New Hampshire. Jeden dotarł nawet do Ohio. Kanceliści to inna para kaloszy. Większość ledwie czyta, a co do liczenia… można pomarzyć.

– Mam dosyć osobliwą kandydaturę na tę posadę – oznajmił James. – Pozwolisz, że zabiorę kapelusz i opowiem ci wszystko po drodze.

Armenius doszedł do wniosku, że kuzyn Dieter jest najlepszym towarzyszem podróży, jeśli nie liczyć Hansa Carla von Carlowitza. Spakowali duże sakwojaże, byli gotowi do wyprawy w dzikie knieje. Armenius zaopatrzył się w tytoń, co prawda nie były to kubańskie cygara, ale całkiem znośna ciemna smolista mieszanka. Dieter zabrał ze sobą strzelbę *jaeger* kalibru .60, a Armenius nowy sztucer kalibru .50 z ogonem bobra jako podpórką pod policzek. Dieter, gdy zobaczył tę broń, od razu się do niej zapalił i zamówił podobny egzemplarz u rusznikarza z Missouri.

– Będę miał pamiątkę z tej podróży – powiedział.

– Będziesz miał inne pamiątki.

Podróż – dobrze znana Armeniusowi – okazała się wielkim przeżyciem dla Dietera. Barka płynąca kanałem Erie z prędkością czterech mil na godzinę była nieznośnie nużąca. W pogodne dni spacerowali po ścieżce flisackiej, zapuszczając się niekiedy w głąb lądu. Mieli dość czasu na rozmowy.

– Chodzi o to – tłumaczył Armenius – że nikogo nie interesuje tu gospodarka leśna. Amerykanie nigdy nie słyszeli o pasach drzew osłaniających las przed wiatrem, a co za tym idzie, przed wiatrołomami, nie mają pojęcia, czym jest przecinanie drzew, że o przystrzyganiu nie wspomnę, nie wierzą, że las może mieć wpływ na glebę i wodę. Żywopłoty? Cóż to za pomysł! Nie wierzą w żywopłoty. Ani w szkółki leśne. Podstawowe pojęcia leśnictwa to dla nich chińszczyzna.

– Ale z pewnością mają do czynienia z erozją gleby, tak boleśnie oczywistą, kiedy się pojawi?

– Owszem, ale przyjmują to jako naturalny porządek rzeczy. A choć w miastach duszą się od dymu, czyste leśne powietrze nic im nie mówi. „Dlaczego powietrze w lesie jest czystsze i przejrzystsze niż mieście?", można by ich zapytać. Odpowiedzieliby: „Bo Bóg tak chciał". Tutejsze lasy są tak wielkie, że biorą je za nieskończone. A zatem nie widzą potrzeby ich ochrony.

– A czy twoi pracodawcy nie widzą korzyści w rozumnym gospodarowaniu lasem? Nie myślą o powtórnym zalesianiu?

– W ogóle. Na ogromnych wyrębiskach nie oszczędzają drzew nasiennych. Wystarczy jedna ulewa czy głęboki śnieg, żeby ziemia

spływała ze stoków jak stopione złoto. Gdy powiem coś Duke'om o rozumnej ochronie i odbudowie ściętych lasów dla przyszłych pokoleń, patrzą na mnie jak na wariata. No cóż, może jestem szalony. Ale brzydzę się sobą, pomagając im w dziele niszczenia wielkich amerykańskich lasów.

– To smutne, co mówisz. Do czego wykorzystują tu najczęściej drewno? Do budowy domów, jak mi się wydaje?

– Na podkłady kolejowe. Koleje, moim zdaniem, powinny gospodarować we własnych lasach, gdzie powinny rosnąć drzewa na podkłady. Ale tego się nie robi. Ścinają knieje i transportują drewno wielkim kosztem. Piece na węgiel drzewny, służące do wytapiania metali, zużywają nieprzeliczoną liczbę drzew. Co więcej, każde gospodarstwo domowe spala blisko sto sągów drewna podczas długich zim. Tutejsze kominki są tak wielkie, że można by w nich upiec wołu. Żeliwne piecyki stanowią pewien postęp. A skoro już o ogniu mowa, *Mein Gott*, lasy płoną tu nieustannie, ale nie jest to kontrolowane wypalanie; ale owszem, osadnicy również wypalają wielkie połacie lasów na farmy i domy. Następnie, wyjałowiwszy ziemię, przenoszą się dalej na zachód, ciągle na zachód i robią to samo w innych miejscach. Ani jeden na stu amerykańskich farmerów nie zna charakterystyki gleby. Doprawdy, Indianie byli lepszymi leśnikami niż ci osadnicy. Umieli obserwować poziom wód, pogodę, zwierzęta i rośliny. I nie ścinali drzew bez opamiętania. Używali różnych części drzewa na

narzędzia i jako lekarstwa, niemal tak samo jak dawniej niemieckie chłopstwo.

– Dlaczego zatem nie wrócisz do Niemiec? – zapytał Dieter.

– Urodziłem się w tym kraju, Dieter, choć go sobie nie wybierałem. Mieszkają tu ludzie, z których każdy chce być większym *Nichtswisser* od sąsiada – nauka przynosi tu wstyd! – ale przywykłem do tego. Trudno byłoby mi zmienić ojczyznę. A poza tym dzisiejsze Niemcy nie są tymi Niemcami, do których chciałbym wrócić.

– To ciekawe.

– Chcę się przekonać, co będzie dalej. To zawsze wzbudza moje zainteresowanie.

Chodzili po Detroit przez cały dzień, aż trafili na nieduży budynek z desek z tablicą KATASTER GENERALNY GRUNTÓW, MICHIGAN.

– Wejdźmy do środka – zaproponował Dieter. – Chciałbym poznać przedstawiciela katastru.

Człowiek ten był wysoki i blady z braku słońca, miał bezbarwne i pozbawione wyrazu oczy. Powitał ich krzywym uśmieszkiem.

– Czym mogę panom służyć? Chcecie kupić ziemię? Okręgi miejskie? – Spojrzał na Armeniusa.

– Nie, nie. Może za kilka tygodni. Zaznajamiamy się z okolicą – odrzekł Armenius.

– Wydaje mi się, że widziałem pana już wcześniej – mruknął urzędnik. – W towarzystwie pana Jamesa Duke'a.

– To niewykluczone.

– Owszem, wydaje mi się, że przedstawił pana jako mierniczego.

– Byłem nim – odpowiedział Armenius.

– I już pan nim nie jest? – zapytał niemal uradowany.

– Owszem, jestem, ale obecnie przebywam na urlopie. Pozwoli pan, że przedstawię kuzyna Dietera Breitsprechera, który przybył do mnie z wizytą. Jest leśnikiem w Niemczech. Chcemy obejrzeć tutejsze lasy.

– No, tak – żachnął się urzędnik. – Mamy tu mnóstwo drewna, owszem.

Zapadła krępująca cisza. Kancelista wyjrzał przez okno i niemal rozmarzonym głosem oznajmił, że onegdaj zatrzymał się u niego federalny mierniczy wraz z pomocnikiem.

– Dziesiątki mierniczych przemierzają w tych czasach Michigan. A niektórzy, jak wy, przyjeżdżają kupować drzewostan.

– A gdzie mierzą teraz ci geodeci?

– Wyznaczają okręgi. Na północny zachód od lasów kupionych przez pana Duke'a. Mówili, że na północy rysują się jeszcze lepsze perspektywy dla przemysłu drzewnego. Sam kupiłbym ćwiartkę lasu, gdybym tylko miał pieniądze. Urzędnicy mało zarabiają, jak zapewne słyszeliście, ale mają za to pewną pracę.

– Oby pańskie marzenie się spełniło – odpowiedział Armenius z uśmiechem zadowolonego kota. Starał się być uprzejmy wobec kancelisty, pamiętając, że James Duke potraktował go z góry, zupełnie jak służącego, zwracając się doń: „Chodźcie, dobry człowieku, nie mamy całego dnia". Polecił mu także przepisać dokumenty starannym charakterem pisma, a nie „bazgraniną jak kura pazurem".

– Czy mierzą wzdłuż brzegu jeziora? – zapytał Dieter, patrząc na leżącą na biurku mapę. Urzędnik pokiwał głową.

– Wzdłuż brzegu, w głębi lądu, wzdłuż biegu rzek do samego Mackinac. To olbrzymie terytorium, całe porośnięte sosną.

Armenius chciał zadać mu więcej pytań, ale do biura wszedł jakiś człowiek, który wszczął awanturę w sprawie starych francuskich parceli w Detroit.

– Są długie i chude! Jak przeklęte kluski! – wołał. – Długi cienki makaron! Oddaj mi pieniądze!

– Wielkie dzięki – Armenius zwrócił się do kancelisty. – Może przyjdziemy jutro i dokończymy rozmowę.

– Będę czekał na panów.

Wyszli i wrócili do pensjonatu.

– Nie zrozumiałem wszystkiego, co mówił – poskarżył się Dieter. – Co to znaczy „ćwiartka"? Zdradził nam jakieś ważne tajemnice katastru?

– „Ćwiartka" to ćwierć działki – czterdzieści akrów. I z pewnością zdradził nam ważne informacje, licząc, jak

przypuszczam, na łapówkę. Chyba zmienimy nieco marszrutę naszej wyprawy. Chciałbym obejrzeć te lasy na północy.

– Ja również. Może ostatecznie zrezygnujesz z pracy u Duke i Synowie? Znajdźmy jakąś gospodę w tym nieucywilizowanym mieście i zjedzmy obiad. Jutro porozmawiamy raz jeszcze z urzędnikiem katastru i wyruszymy na poszukiwanie tych wspaniałych sosen.

Następnego dnia rozpoczęli wyprawę na dwóch wynajętych koniach, jednym z nich był gniadosz, którego Armenius dosiadał podczas poprzedniej podróży.

– Przy rozwidleniu dróg miniemy szlak prowadzący do posiadłości Duke'ów i pojedziemy na północ. Miniemy również, kuzynie, wyrębisko należące do niezbyt rozgarniętego farmera Antona Heinricha. Heinrich zmarnował już dwa gospodarstwa i szybko doprowadzi do ruiny trzecie. Ma całkiem ładną córkę. Znasz te stare opowieści o córkach *Bauerów*? Mogę zaświadczyć, że są prawdziwe. Zległem z tą dziewczyną, ale to było dosyć… nie umiem rzec. Może znów się u nich zatrzymamy…

Dieter odkrył więc ciemniejszą, nieznaną mu wcześniej stronę kuzyna. Nie przypuszczał, że Armenius potrafi tak otwarcie mówić o łapówkach, bo gdy wrócili do katastru, kancelista dał im jasno do zrozumienia, że informacja o sosnach na północy powinna zostać wynagrodzona. Armenius odpowiedział, że jeśli znajdą na północy dobre drewno, z pewnością zatrzymają się w

katastrze w drodze powrotnej i ułożą się z urzędnikiem. Kuzyn Dietera stał się typowym Amerykaninem.

Ujrzeli chatę z bali, należącą do Heinricha. Moony, jeden z niedorozwiniętych synów gospodarza, rąbał polana na ogień, a Kelmar, drugi syn, układał je na drewnianym ganku. Gdy podjechali bliżej, Moony wbił siekierę w pieniek do rąbania i wbiegł do chaty, wołając:

– Mama! Mama!

W progu stanęła kobieta z dwójką małych dzieci przy spódnicy. W oczach Dietera wyglądała jak wyliniały kocur. Prała, bo miała mokre i zaczerwienione dłonie.

– Dzień dobry, Frau Kristina – powitał ją radośnie Armenius. – Czy Anton w domu?

Kobieta zawyła, zasłoniła twarz fartuchem i uciekła w głąb domu. Armenius i Dieter popatrzyli po sobie. Moony podszedł bliżej, zaciskając pięści.

– Co się stało? Gdzie jest twój ojciec? Gdzie Anton? Nie ma go?

W progu stanęła córka z następną dwójką dzieci. Armenius zsiadł z konia i podszedł do niej. Cofnęła się.

Moony otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, tylko nie wiedział, jak. Armenius przeniósł wzrok na Kelmara.

– *Was ist los*? Gadaj! – Przypomniał sobie, że tych dwóch kretynów nie znało dobrze angielskiego.

– *Vater*… – odpowiedział Kelmar z naciskiem. – *Vater*…

– *Ja?* – zachęcał go Armenius.

– *Kaput* – dokończył Moony

To dziewczyna opowiedziała im – zachowując stosowną odległość – resztę tej dziwnej historii. Patrzyła tylko na Dietera i mówiła przyciszonym głosem. Gdy Armenius stawiał krok w jej stronę, cofała się. Powiedziała, że ojciec rąbał drzewa z Moonym i Kelmarem, a nie był już tak sprawny jak niegdyś. Spadło na niego wielkie drzewo i przygniotło go. Wołał pomocy. Moony i Kelmar przybiegli do ojca. Są silni. Chwycili koniec kłody i zaczęli ciągnąć. Przeciągnęli całe drzewo po wrzeszczącym z bólu ojcu. Moony, który przysłuchiwał się z głupim uśmiechem tej opowieści, zaczął krzyczeć jak umierający ojciec.

– I co się z nim stało? – zapytał Armenius.

– Nie przeżył. Gałęzie wypruły mu flaki, gdy ciągnęli po nim to drzewo.

– *Kaput* – powtórzył Moony.

– Zajebany – dodał Kelmar po angielsku.

– Odjedźmy stąd – odezwał się szeptem Dieter. Nie podobał mu się ani Moony, ani Kelmer, a dziewczyna wyraźnie unikała Armeniusa. Cała ta rodzina jest nienormalna. Przyszło mu do głowy, że kuzyn jest łajdakiem. I co teraz?

///

Nie rozmawiali ze sobą do zmroku i rozpalenia ogniska.

– Nigdy nie słyszałem czegoś równie głupiego – odezwał się Armenius. – Nigdy. Mogli okrzesać gałęzie i unieść kłodę z ojca. Mogli odrąbać koronę i koniec pnia. Jeden z nich mógł podeprzeć kłodę, a drugi wyciągnąć ojca. Mogli użyć dźwigni.

– Może miał już dosyć rąbania bez przerwy drzew – mruknął Dieter.

Przez dziesięć następnych dni przemierzali wielki sosnowy las, a Dieter rzadko się odzywał. Od czasu do czasu odgarniał obcasem ściółkę i przyglądał się widocznej pod nią ziemi.

– Widzisz? – zapytał Armenius, gdy stali zachwyceni i tak mali w królestwie sosen.

– Widzę – odpowiedział poważnie Dieter.

Na stole w wybitym mahoniem gabinecie Edwarda Duke'a stała karafka koniaku. Edward przekładał grube arkusze map geodezyjnych, w tym całkiem świeże i nowe mapy okolic zatoki Saginaw z działkami Duke'ów wyszrafowanymi sepiowym tuszem. Do tej pory zdążył przekonać sam siebie, że rekonesans i odkrycia w Michigan były jego pomysłem.

– Witam cię, Cyrusie. Czyś gotów do wielkiej przeprowadzki?

Cyrus wybierał się do nowych biur firmy w Detroit. Przed dwoma tygodniami do Detroit pojechał wóz wyładowany biurkami i krzesłami, pudłami z papierem, kałamarzami, piórami i innymi artykułami biurowymi. Z wozem wyruszyło w drogę trzech niedawno najętych kancelistów, którzy mieli nadzorować podróż i

wyładunek. Czwarta kancelistka, Lavinia Duke, pozostanie w Bostonie i będzie pracowała przez rok dla Edwarda, Freegrace'a i Jamesa przy układaniu się z rynkami zbytu drewna z Michigan. Jej obecność w firmie nie była w oczach Edwarda skandalem – przecież to krewna. Okazała się lepiej wykształcona od wszystkich znanych Edwardowi kancelistów. Wnosiła porządek w chaos.

– Mam coś, co powinieneś zobaczyć – oznajmił Cyrus, rozwijając następny arkusz mapy. Położył mapę na biurku Edwarda i podał mu kartki z danymi geodezyjnymi.

Edward wpatrywał się w to wszystko, nie znajdując w tym niczego nadzwyczajnego.

– Co to ma być? – zapytał. – Wygląda na parcele położone bardziej na północ… czy James powiększył zakres zakupów? Uważam, że nie jesteśmy jeszcze na to gotowi. Stracimy płynność, jeśli nie będzie przychodów przed kolejnymi wydatkami… – W końcu dostrzegł nazwisko na górze arkusza geodezyjnego. – Kto to jest? Graf Ernst-August von Rotstein? Jakiś nowy rywal?

– W samej rzeczy. Przyjrzyj się uważniej.

Więc Edward się przyjrzał. Zakupu parceli położonych na północy dokonała firma RBB Timber Company.

– Co to za jedni? Ludzie z Maine? W jaki sposób dowiedzieli się o tym drewnie?

– „RBB" to Rotstein, Breitsprecher und Breitsprecher. Naszym groźnym rywalem stał się nasz były mierniczy. A ten trzeci to jego

kuzyn, który, jeśli pamiętasz, był leśniczym w dobrach Rotsteina w Prusach.

– Ichabod Crane! Doskonale go pamiętam! Nieprzyjemny jegomość.

– Ten nieprzyjemny jegomość jest powinowatym Grafa Ernsta-Augusta von Rotsteina. Dysponuje ogromnym majątkiem, a ich posiadłości w Michigan niemal dorównują naszym.

– Wiedziałem! Wiedziałem, że tak będzie! Nigdy nie ufałem Breitsprecherowi. Co za żmija! Co za przeklęty zdrajca!

– Szkoda, że nie ma z nami Lennarta. Ale natychmiast jadę do Jamesa i dam mu znać o tym wszystkim.

Pracująca za drzwiami Lavinia słyszała tę rozmowę i od razu pobiegła do domu, aby rozmówić się z ojcem przed przybyciem Cyrusa.

– Papo! Zdrada! – zawołała od progu. – Breitsprecher wraz z kuzynem kupili za pieniądze niemieckiego grafa ćwierć miliona akrów sosen w Michigan! Są teraz naszymi wrogami!

I w ten sposób rozpoczęła się rywalizacja.

---

[29] Bohater opowiadania Washingtona Irvinga *Legenda o Sennej Kotlinie* (*The Legend of Sleepy Hollow*) [przyp. tłum.].

56

Lavinia

Edward – stary gruby Edward, który od śmierci żony stał się wielkim smakoszem – wydał przyjęcie z okazji nadzwyczajnych zysków, jakie przyniósł pierwszy sezon wyrębu w Michigan.

– Wszyscy muszą przyjść, oczywiście z wyjątkiem Cyrusa i Jamesa, którzy są w Detroit. Będą soczyste homary, choć jak zostaną podane, zadecyduje kucharz; drozdy *à la Liégeoise* i czarny indyk z Newport karmiony żołędziami; potem *la surprise* i angielski *rosbif* z rosyjską sałatką. I wszystko inne, co tylko przyjdzie kucharzowi do głowy. Listę win omówię z Freegrace'em. – Zaśmiał się piskliwie, jak starzec, a Lavinia wypisywała zaproszenia. Przyjęcie wydawała firma Duke i Synowie, a firmę bez wątpienia stać było na opróżnienie wszystkich straganów na bostońskim targu – straganów zawsze pełnych obfitych zdobyczy za skromną cenę kilku centów za parę: gołębi, indyków, drozdów i rudzików, świergotków, niezliczonych kaczek, łabędzi i gęsi, nawet sów, które podobno smakują jak kury.

Lavinia poprosiła o usprawiedliwienie swej nieobecności. Nie mogła znieść myśli, że wśród podanego ptactwa znajdą się

pieczone rudziki leżące na paterze.

– Wiesz, wuju Edwardzie, że nie mogę przebywać w domu, w którym są koty. Pieką mnie oczy, swędzi skóra, nie mogę oddychać. I kręci mi się w głowie. Cierpię na te przypadłości od dziecka i mama nigdy nie zezwalała na obecność kotów w naszym domu, za co jestem jej wdzięczna.

– Och, brednie! – zirytował się Edward. – Pani Trame wyniesie koty do ogrodu i będziesz miała spokój.

Wyjaśnianie wujowi, że obecność kotów nie jest konieczna do wywoływania dolegliwości, na które cierpiała Lavinia, nie miało sensu. Dom, w którym na co dzień mieszkają koty, jest zainfekowany niewidzialnym trującym osadem z ich oddechów i sierści.

– A czy pamiętasz, wuju, co się stało, gdy jadłam u ciebie obiad po raz ostatni? O mało się nie udusiłam i musieli mnie zanieść do domu! – To było nieprzyjemne wspomnienie – ból w piersi, płytki oddech.

– Żałuję – odezwał się oschle Edward – że nie szanujesz kotów w równym stopniu, co ptaków.

Z pożaru cało wyszły cztery istoty: dwa koty oraz gospodyni pani Trame i najęty na przyjęcie kucharz, Chef Laliberte. Pomywaczki wymknęły się wcześniej, przypadkowo, i usiadły w ogrodzie nad drewnianą paterą z resztkami jedzenia. Pani Trame znajdowała się w nieposprzątanej jeszcze kuchni, dojadając drób i delektując

się kieliszkiem reńskiego z Chefem Laliberte. Nagle usłyszała wycie z przylegającej do kuchni jadalni. Wstała i otworzyła drzwi. Rzuciła się na nią ściana płomieni, osmalając ją od rąbka sukni do czepka. Kucharz – który widział już niejeden pożar – chwycił ją za ramię i wybiegł z nią na dwór, gdzie stały już pomywaczki. Przez otwarte drzwi kuchni do domu dostał się świeży zapas tlenu, który podsycił ogień. Słyszeli wrzaski na górze, gdzie przenieśli się goście, by usiąść z kieliszkiem porto przy orzechach. W oknie na górze ukazała się na krótko jakaś postać – pani Trame wydało się, że rozpoznaje Lennarta Vogela, ale postać ta zaraz zapadła się w różowawą pożogę.

Później, gdy odzyskała głos w poparzonym gardle, wyszeptała, że tamtego wieczoru dwa razy zganiała koty z opuszczonego przez gości stołu w jadalni. Miała zamiar posprzątać po zjedzeniu obiadu i wypiciu z Chefem Laliberte przywracającego siły kieliszka reńskiego. Doszła do wniosku, że to koty przewróciły lichtarz na kredensie. Często biegały po meblach.

– Gdy żyła pani Duke, kotom nie było wolno wchodzić do jadalni – powiedziała szeptem i zapłakała. – Ale po jej śmierci pan Duke pofolgował Casimirowi i Vaughnowi i pozwalał im na wszystko, nawet na spanie w łóżku, choć powszechnie wiadomo, że koty wysysają z człowieka oddech.

///

James Duke i Cyrus Hempstead wrócili do Bostonu, gdy tylko dotarła do nich wieść o fatalnym przyjęciu. Edward i Freegrace byli już bardzo starzy, obaj po dziewięćdziesiątce, ale Posey i Lennart byli wciąż w sile wieku.

James przywitał się z córką przyciszonym głosem, żeby nie rozbolała go bardziej głowa. Zastał Lavinię w pokoju matki przy sortowaniu jej ubrań i pakowaniu ich do dużego trzcinowego kosza.

– Papo! Tak się cieszę, że wróciłeś! – zawołała Lavinia. – To było straszne! Po prostu straszne! Całymi dniami odbieram kondolencje. Niektórzy myśleli, że i ty zginąłeś w pożarze, jak mama. Muszę bez przerwy powtarzać, że nie było cię w mieście. Nie wiem, co bym poczęła bez pani Trame.

– Biedne, biedne dziecko! Cóż to za upiorna próba! Powiedz mi, co zamierzasz zrobić z tymi sukniami? Chcesz je zachować dla siebie? – Bardzo w to wątpił, gdyż Posey stała się tęga, a do tego miała duży biust. Łomotało mu w głowie.

– Panie z kościoła przyślą kogoś po odzież. Rozdadzą ją potrzebującym. Zatrzymam tylko zimowe okrycia mamy i biżuterię.

James pomyślał, że niewiele potrzebujących kobiet będzie się czuło dobrze w jedwabiach Posey, ale czy mógł się na tym znać? Takie czynności jak ta uspokajają nerwy jak tonik. Dotknął błękitnej jak zimorodek sukni, którą Posey często nosiła. Pióra

marabuta, futrzane mufki, atłasowe pantofelki z szklanymi paciorkami na palcach… Wyobraził sobie, jak jakiś flejtuch wpycha w nie zrogowaciałe stopy.

– Odłożyłam szkarłatną suknię balową, którą tak lubiła… na pogrzeb.

James zadrżał w środku na myśl o zwęglonym trupie żony w czerwonej atłasowej sukni, ale uśmiechnął się ze zbolałą miną do Lavinii.

– Wykazujesz siłę charakteru ponad swoje lata, moje dziecko, za co jestem ci wdzięczny.

Musi się położyć z zimnym kompresem na czole. Wziął wdech i wydech, wyprostował się.

– Chodź, droga córeczko, zejdziemy do biblioteki i sporządzimy listę spraw niecierpiących zwłoki. Zjemy tosty i postanowimy, co dalej. Musimy pracować we dwoje, ty i ja, na życie.

Zachwiał się lekko, czując, jakby coś ściskało mu głowę imadłem.

– Papo, nic ci nie jest?

– Nie, nie. Mam tylko migrenę. Odziedziczyłem to schorzenie po babci Mercy.

– Czy posłać po doktora Cunnighama?

– Nie. Prześpię się, wypocznę i wydobrzeję.

Marzył o łyku laudanum.

Gdy weszli do biblioteki, Lavinia odezwała się nagle:

– Papo, moim zdaniem suknie mamy są zbyt piękne, żeby rozdawać je ubogim. Mam pomysł! Sprzedam je! Czy wyrazisz zgodę?

– Ale komu chcesz je sprzedać? Zgadzam się z tobą, że suknie są tak wspaniałe, że szkoda rozdać je ludziom, którzy nie zdołają docenić ich piękna i wartości. Ale któż zechce je kupić? Mam nadzieję, że nie zwrócisz się z tym do przyjaciółek mamy. – Ostatnie zdanie wypowiedział złośliwym tonem.

– Nie. Myślałam o krawcowych: Madame Aiglet z Nowego Jorku i pani Brawn z Bostonu. Obie znają garderobę mamy, w istocie same ją szyły w większości! Mają listę wyselekcjonowanych klientek, które mogą docenić tak kunsztowne szaty. Mama utrzymywała je w czystości, chroniła przed molami w cedrowej szafie albo w szufladach komód, gdzie nie padało na nie niszczące słońce. Wyglądają jak nowe.

James był pod wrażeniem smykałki do interesów córki oraz jej spokojnym, wyzutym z sentymentalizmu podejściem do pamiątek po matce, wyraził więc zgodę. Wyraziłby zgodę, gdyby oznajmiła mu, że chce ugotować te suknie jak kapustę. Chciał się tylko położyć.

– Za kilka dni wybiorę się do Nowego Jorku i porozmawiam z Madame Aiglet.

– Droga Lavinio – przywitała ją krawcowa, wysoka niewiasta o upiętych czarnych włosach i mocno upudrowanej kwadratowej

twarzy. – Tak mi przykro z powodu tej śmierci… – Odczekała dziesięć czy dwanaście sekund w żałobnej ciszy. – Twoja mama ubierała się doskonale w najmodniejsze suknie, a choć twój pomysł wydaje się nieco prowokacyjny, przypuszczam, że zdołam ci pomóc z pozbyciem się części jej odzieży. Jedna z moich klientek, żona ambitnego polityka, jest tuszy i wzrostu pani Duke, może o cal niższa. Musi często bywać na wieczornych przyjęciach. I zawsze prosi mnie o suknię „nieco tańszą". A ja, rzecz jasna, nie mam takich strojów. Uszycie eleganckiej sukni jest bardzo czasochłonne. Ale wracając do twojej prośby: przypuszczam, że ta klientka będzie idealna. A teraz powiedz mi, co z futrami i pelerynami? Pani Duke miała przepiękną, żółtą, atłasową pelerynę obszytą szklanymi koralikami. To bardzo cenne okrycie.

Pani Brawn z Bostonu jeszcze chętniej kupiła dodatki do garderoby: kapelusze i rękawiczki, boa, a nawet jedwabne halki z Paryża i najmniej znoszone trzewiki.

Kilka tygodni później James czytał przy śniadaniu gazetę, a Lavinia otwierała pocztę.

– Papo! Właśnie dostałam radosną wiadomość, na którą tak bardzo czekałam. Od pani Brawn. Zarobiliśmy dwa tysiące dolarów na sukniach mamy. Czy nie powinniśmy zainwestować tych pieniędzy w sosnowe lasy w Michigan? Kupimy za to kilka nowych działek.

James po raz nie wiadomo który musiał dojść do wniosku, że córka ma wybitną smykałkę do interesów. Była – od zawsze – nowatorska w myśleniu. Gdyby urodziła się chłopcem, już od dawna brałaby udział w każdym przedsięwzięciu i sporze wśród udziałowców firmy, kierując się nowatorskimi metodami, przyśpieszeniem i postępem! Przypomniał sobie jej dzieciństwo. Posey dawała córce małe cotygodniowe kieszonkowe, ale Lavinia musiała na nie „zarobić", biorąc lekcje szycia, gotowania, muzyki (na pianinie); musiała również sama słać łóżko i biegać po sprawunki dla matki.

– Ale syn kucharki może biegać ze sprawunkami, a pokojówka zaścieli mi łóżko! – sprzeciwiała się rozpieszczona Lavinia.

– Owszem, ale życzę sobie, żebyś sama robiła te rzeczy. Poznając na własnej skórze, co znaczy zarabianie na życie, staniesz się lepszą osobą i lepiej poznasz innych. Ani mnie, ani nikomu na świecie nie są potrzebne słabe i bezwolne kobiety. Musisz być życiowo niezależna, gdyż kobiety bywają często wykorzystywane… nikt nie wie o tym lepiej ode mnie.

Gdy Lavinia zaczęła domagać się szczegółów, matka zbyła ją:

– To nieważne, nie musisz o tym wiedzieć. Nie chcę tylko, abyś czuła się bezradna, gdy życie nie spełni twoich oczekiwań. Kiedyś mi podziękujesz.

Pewnego sierpniowego poranka tamtego lata mała Lavinia pojawiła się na śniadaniu z wypchaną czerwoną portmonetką.

Otworzyła ją i wysypała z niej dwadzieścia siedem dolarów w monetach.

– To moje oszczędności z kieszonkowego mamy i urodzinowych prezentów. Chcę kupić sobie konia.

Oczy Jamesa zaszkliły się łzami dumy. Spojrzał na Posey i pokręcił z uznaniem głową.

– Drogie dziecko, zabiorę cię w najbliższy piątek na koński targ i przekonasz się na własne oczy, jakiego konia można kupić za dwadzieścia siedem dolarów.

W piątek na końskim targu nie było tłoczno, gdyż James i Lavinia zjawili się tam dosyć wcześnie. Chodzili po targowisku, oglądali konie, a James wymieniał ich zalety i przestrzegał córkę, żeby nie kierowała się wyłącznie maścią i błyskiem w oku.

– Zależy nam na krótkim mocnym grzbiecie, zgrabnym i umięśnionym zadzie, prostych nogach i och, setkach innych drobiazgów. I na zębach! Znajomość koni wymaga wielu lat nauki, jak znajomość olinowania na statku. I ostrzegam cię uczciwie, że za dwadzieścia siedem dolarów nie kupisz konia czystej krwi.

James zaproponował córce do wyboru dwa konie: myszatego Tenessee Walkera z białą gwiazdką na pysku i zgrabną, karą, trzyletnią klacz rasy Morgan. Lavinii podobały się oba konie i nie mogła się zdecydować. Właściciel Walkera nie chciał spuścić z ceny pięćdziesięciu dolarów; właściciel klaczy Morgan, pan Robinson – stary farmer o siwych bokobrodach i czerstwych

policzkach – żądał trzydziestu pięciu dolarów, ale mrugnął do Lavinii i poszli razem pod ogrodzenie, żeby się targować, bo James nie miał zamiaru się wtrącać.

Lavinia wróciła biegiem do ojca i chwyciła go za rękę.

– Papo, ona pochodzi z Vermontu. Nazywa się Karino, ale ja nazwę ją Kary Rudzik. Dogadałam się z panem Robinsonem: pojedziemy do domu i wrócimy z moją papugą, Greengagem, z jego klatką i karmą. Pan Robinson weźmie Greengage'a i dwadzieścia siedem dolarów.

James domyślił się, że Lavinia przywiązywała szczególną wagę do nazwiska farmera – „syn rudzika[30]" nie mógł być złym człowiekiem, a będąc spokrewniony z ptakami, nie zmarnuje Greengage'a, najcenniejszej papugi w Nowej Anglii. Dziękował w duchu Posey za charakter i wychowanie córki. Teraz, po śmierci żony, której wybaczył wszystkie winy, dziękował Bogu, że po przypłynięciu do Ameryki wpadł do wody w bostońskim porcie. Ale gdy Lavinia dosiadła karej klaczy, powiedział tylko:

– Wątpię, by Greengage potrafił docenić zimy w Vermoncie.

– Pan Robinson obiecał, że postawi klatkę w kuchni przy piecu, a pani Robinson uszyje Greegage'owi wełnianą kamizelkę i kalesony, jeśli będzie trzeba.

Kilka tygodni po pogrzebaniu wszystkich ofiar pożaru do Bostonu dotarł list z kondolencjami od Armeniusa Breitsprechera. W postscriptum Breitsprecher dodał, że wraz z kuzynem Dieterem

jest gotów udzielić im wszelkiej pomocy, gdyby było trzeba. Lavinia była skłonna uznać to za bezczelność, natomiast James wziął to za dobrą monetę i orzekł, że Duke i Synowie nie mają prawa obrażać innych przedsiębiorstw drzewnych.

– Nie wiemy, co przyniesie przyszłość. W samej rzeczy, inni przedsiębiorcy zaczęli już kupować parcele sosnowych lasów Michigan. Wielu z nich pochodzi z Maine. Uważam, Lavinio, że wreszcie nadeszła pora, żeby przenieść całą naszą działalność na zachód – oznajmił James, mocząc tost w kakao.

– Czy w Detroit jest jakieś przyzwoite towarzystwo, czy wszyscy nadal tkwią w odmętach dziczy?

– Och, Detroit jest bardzo porządne. Co prawda nie jest Bostonem, ale mieszka tam coraz więcej ludzi, a samo miasto ma idealne położenie dla naszych obecnych interesów. Mamy tam solidną siedzibę, a jeziora zapewniają transport, choć to trudne i niebezpieczne wody, niemal tak groźne jak ocean, choć niesłone, przez co, jak powiadają, szybciej się tonie. A co do towarzystwa, niestety go nie ma. Miasto jest pogrążone, jak zauważyłaś, w odmętach dziczy.

– Papo, czy mamy dużo pieniędzy?

– Prawdę mówiąc, istotnie mamy duży majątek, mimo zakupów terenów leśnych w ostatnich latach. Ale dlaczego pytasz? Zastanawiasz się nad jakimś sporym wydatkiem?

– Owszem. Chciałabym, żeby nasz dom – zatoczyła krąg ramieniem – przeniesiono do Detroit w całości, do ostatniej

dachówki. Być może będzie to pierwsza rezydencja w tym mieście. Czy nie czułbyś się dobrze, mieszkając w tych samych pokojach? Mogę sporządzić listę pościeli i obrusów, a pani Trame przyborów kuchennych, talerzy i sreber. Te rzeczy da się zamówić.

James poczuł lekką obawę. Wzniesienie w Detroit repliki bostońskiego domu Sedleya pochłonie tysiące dolarów. Ale stać go było na to. I czy można lepiej spożytkować pieniądze zarobione na sosnach z Michigan? Miał jeszcze spadek po Edwardzie i Freegrasie, a nawet po Lennarcie. Nie wahał się.

– Dobrze. Zróbmy to. Porozmawiam z architektem. Może dodamy to i owo, na przykład wanny. Większe stajnie i powozownie. Kaplicę poświęconą pamięci twojej matki. Ale będę się upierał przy jednym: ten monstrualny mahoniowy wieszak z holu nie jedzie do Detroit.

– Ale musimy mieć coś na kapelusze i parasole gości!

– Zamówimy inny, bardziej elegancki i prostszy, bez płaskorzeźb łosi i rogów.

Przez cały tydzień rozmawiali o nowym domu. Pani Trame włączyła się w tę rozrywkę, przygotowując listę ulepszeń: większa spiżarnia, pokój kamerdynera do czyszczenia sreber, więcej służby, w tym dwie pokojówki, izba do rozlewania wina ze schodami do piwnicy, pompowana woda zamiast cysterny w kuchni.

Ale stary Will Thing nie chciał o tym słyszeć.

– Nie jadę do żadnego Detroit. Urodziłem się w Bostonie i w Bostonie umrę. Pracowałem przez całe życie dla pańskiego ojca, potem dla pana, tu, w tej stajni i w tej stajni zostanę.

– Ale niewykluczone, że trzeba będzie sprzedać tę posiadłość – tłumaczył mu James. – Zamieszka w niej nowa rodzina. Przypuśćmy, że ci się nie spodoba, co wtedy?

– Ja nie jestem od tego, żeby coś mnie się podobało albo nie podobało. Przeżyję i to – odrzekł stangret i rozmowa dobiegła końca. James był rozczarowany i miał nadzieję, że zdoła przekonać Willa. Bo pan Thing nie zdaje sobie pewnie sprawy, że konie też przenoszą się do Detroit.

Planowanie przenosin do nowego domu stało się ulubionym poobiednim zajęciem Lavinii. Po posiłku na mahoniowym stole lądowały sterty papierów, zaostrzone ołówki i próbki tapet. James przed wielu laty wybrał miejsce na dom w Detroit, położone na szczycie wzgórza, z którego rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na Jezioro Saint Clair – dodatkowe jezioro, za małe, by uznać je za wielkie. Naszkicował to miejsce dla córki, zarysowując tył i przód parceli oraz rozwarte ramię lasu obejmujące błękitne jezioro i dalekie zamglone Ontario.

– Nowy dom przyćmi Czarnego Łabędzia – stwierdziła Lavinia.

– Och, nie będziemy mieli żadnych czarnych łabędzi – skwitował to James. – Zostawmy wodę projektantowi zieleni, którego musimy znaleźć. Możemy sprowadzić jakiegoś z Anglii, gdzie jest ich wielu. Ten kraj jest za młody, by kształcić tak

wyrafinowanych profesjonalistów. Rekonstrukcja domu w takim kształcie, jaki będzie nam odpowiadał, zajmie kilka lat, więc do tego czasu musimy zadowolić się czymś prostszym. Myślę, że domy dla pracowników firmy, które wybudowałem przed dwoma laty, w zupełności nam wystarczą.

James czuł nadciągającą migrenę, pierwszy, jeszcze łagodny ból karku, który – jak wiedział – przerodzi się w pulsującą udrękę. Postanowił znaleźć nowego lekarza, który mógłby mu pomóc.

Planowanie nowego domu było wieczorną rozrywką, gdyż całe dnie wypełniała Lavinii nauka, czytanie gazet i rządowych biuletynów przywożonych dyliżansem pocztowym, pisanie listów oraz wypytywanie gości o nowe wynalazki i postępy technologiczne. Większość tych wieści dotyczyła domniemanych odkryć przeróżnych orędowników kolei żelaznych. Krótkie regionalne linie kolejowe pleniły się między wschodnimi miastami niczym chwasty po deszczu i nie ulegało wątpliwości, że prędzej czy później powstanie najdłuższa linia transkontynentalna, a tymczasem toczono wściekłe walki o przebieg trasy przez północno-środkową lub południową część państwa. James i Lavinia opowiadali się za budową trasy północnej.

– Minie następne dwadzieścia lat, zanim położą pierwsze szyny – mówił James, któremu chodził po głowie inny wynalazek. – A czytałaś coś o eksperymentach z telegrafem? Nie? Mówią, że

telegraf elektryczny umożliwi przesyłanie wiadomości na duże odległości po miedzianym drucie przewodzącym impulsy. Wyobraź sobie! Jeśli to odkrycie wprowadzi się w życie i pociągną miedziany drut do Detroit, będę mógł wysyłać błyskawiczne wiadomości do naszych ludzi w Bostonie. Odczytają je po upływie minut! Ale ten wynalazek dopiero wypróbowują w Anglii.

Lavinia była oczarowana pomysłem przesyłania słów po miedzianym drucie – słów płynących po nim jak kaczki po rzeczce. To brzmiało prawie jak bajka. James zapalił cygaro i zaciągnął się, ale od razu zgasił, gdyż poczuł kolejny atak migreny.

– A co myślisz o rotundzie z sufitem z witrażowego szkła? Byłby to nasz westybul. – Ale nie miał serca do rozmów o rotundzie. O ósmej powinien pojawić się nowy lekarz, neurolog, z jakimś leczniczym wynalazkiem.

James miał na czole przypiętą paskiem Elektrodę Putnama, a w sercu nadzieję, że elektryczność statyczna wyleczy go wreszcie z nieznośnych bólów głowy, zajętej obecnie pracą. Projekt nowego domu przemawiał do jego wyobraźni zaledwie okazjonalnie, gdyż po tragicznej śmierci Lennarta na jego barkach spoczęło zatrudnianie pracowników, najmowanie skautów i mierniczych, sporządzanie raportów o objętości ściętego drewna, organizacja obozowisk drwali i wyznaczenie im norm wydajności, rzeczywista wydajność, tartaki żądające nowego sprzętu i nowinek technologicznych oraz zamawianie w stoczniach barek do

transportu pociętych desek do odbiorców w Albany. Cyrus nie mógł zająć się robotą Lennarta, gdy miał na głowie cały rozbudowany dział zamówień. Znał osobiście każdego kupca z marynarki i każdego hurtownika drewna. Nie, Cyrus nie mógł zastąpić Lennarta – nikt nie był w stanie zastąpić jego wiedzy o firmie i drewnie. Ale ktoś musiał spróbować.

– Lavinio! – zawołał James. – Przyjdź do mnie na chwilę.

Wytłumaczył jej, że ktoś musi się zająć szczegółami obecnej produkcji drewna. Mogą wynająć kogoś z zewnątrz i z pewnością z czasem tak uczynią, ale kłopot polega na tym, że trzeba natychmiast poświęcić uwagę tej kwestii. Gdyby zechciała wziąć na siebie część obowiązków Lennarta – nie, nie szukanie nowych terenów leśnych, ale bieżące sprawy. Rozumie, że to dla niej trudne, bo jest tylko kobietą i na pewno spotka się z nieprzychylnością każdego podwykonawcy. Firma ma obecnie dwóch podwykonawców w Michigan, obaj pracują dzień konnej jazdy od Detroit. Pięciu innych ubiega się o kontrakty na zimę i trzeba z nimi porozmawiać. Lennart potrafił dostać się incognito do obozowisk, jadał z drwalami wieprzowinę z fasolą, przekomarzał się z nimi i sprawdzał, jak przebiega praca. Ale James nie oczekuje, że Lavinia pojedzie na inspekcję do każdego obozowiska w lasach. Zażąda od podwykonawców, aby przyjeżdżali do Detroit i składali jej raporty.

– Dlaczego nie mogę jechać do obozów? – zapytała.

– Bo jesteś dziewczyną, kobietą. To nie uchodzi. To niemożliwe!

– Przeciwnie, papo. Owszem, to nie jest przyjęte, ale postaram się o to, żeby było. Nalegam. Jeśli nie poznam podwykonawców i nie zobaczę na własne oczy, jak wygląda życie w obozie drwali, jak mam ocenić ich pracę czy wycinkę? Mówiliście mi z Lennartem, że świetnie mi idzie nauka i poznawanie naszego interesu. To konieczny krok. Szkoda, że nie mogę się nająć do roboty jako drwal! Ale pojadę do obozowisk, gdy tylko przeniesiemy się do Detroit.

– Lavinio, to nie będzie należało do twoich obowiązków, zajmiesz się tym tylko przez chwilę. Dopóki nie znajdę na stałe kogoś, kto zastąpi Lennarta.

Nadszedł czas przeprowadzki. Zapakowano skrzyniami z dobytkiem i wyprawiono w drogę szesnaście wozów. Lavinia wychyliła się z powozu, spoglądając na dom, w którym się wychowała. Rozpoczynam nowe życie, pomyślała. Powiedzie mi się.

W Detroit powitał ich Cyrus ze swoją żoną Clarą. Zaprosili ich na rodzinny obiad z tłustej wieprzowiny i ziemniaków. Clara szczyciła się ozdobnym żyrandolem w jadalni z tysiącem kryształowych pryzmatów. James jadł niewiele. Po drodze do Detroit gorączkował i po obiedzie położył się na pięć dni do łóżka. Clara i Lavinia poczuły do siebie instynktowną niechęć. Clara – która pochodziła z dobrej bostońskiej rodziny – jej ojcem był sędzia Spottiswood – była ideałem kobiety: mizdrzyła się, spuszczała wzrok i była lojalna, a nawet poddana Cyrusowi, który

zachowywał się przy niej i wobec niej po pańsku. Clara gromadziła jedwabne chusty i szale. Jej dzieci zachowywały się jak automaty, ćwierkały: „tak, mamo” i „tak, papo” na każdym kroku, dygały i były cicho. Po obiedzie towarzystwo przeniosło się do sali muzycznej, gdzie przez godzinę znosiło na niewygodnych krzesłach koncert organowy Clary, opłakującej żałobnymi pieśniami najdroższych zmarłych.

Trzy należące do firmy Duke i Synowie domy w Detroit nie umywały się nawet do Czarnego Łabędzia. Cyrus zajmował wraz z rodziną dom środkowy z dwoma targanymi wiatrem krzewami róż od frontu. Dom ten nosił nazwę Różana Chatka. James ze służącym i kucharką zajął dom położony od wschodu, a Lavinia od zachodu; jej zdaniem dom ten wyglądał bardzo rustykalnie, ale z pokoi na piętrze rozciągał się widok na jezioro i pływające po nim statki.

– Nauczę się nazwy każdego z nich – obiecywała. – Kupię sobie lornetkę i będę się im przyglądać.

Na parterze znajdowały się pokoje dla służby, kuchnia, jadalnia i salon. Bostońska pokojówka Ruby Smythe – osóbka kręcąca nosem na swoje nowe położenie – zajęła jeden pokój, a pani Trame drugi oraz nową kuchnię z podstawowymi sprzętami kuchennymi. Nie narzekała na ogromny żeliwny piec, kocioł z gorącą wodą czy skrzynkę na polana napełnianą każdego ranka drewnem przez Roberta Kneebone’a, złotą rączkę zatrudnianą przez Duke’ów.

Mieli zamiar prowadzić proste życie przez kilka lat, do czasu wzniesienia nowej rezydencji. Nadzieja na wspaniały i wielki dom powstrzymywała snobistyczną pokojówkę przed odejściem. James znalazł nowojorskiego architekta, Lyforda L. Lundy'ego, który przyjrzał się z bliska Czarnemu Łabędziowi i przyswoił sobie wszystkie elementy i drobiazgi tej budowli, którą zamierzali odwzorować w Detroit. Miał także sporo pomysłów na ulepszenia, przedstawianych w nadchodzących codziennie listach, które irytowały Jamesa.

– Musimy zająć się naszymi interesami w Detroit – sarkał James – a pan Lundy i jego pomocnicy niech się zajmują domem. Przedstawiłem mu wszystkie omówione przez nas sugestie, które powinien wprowadzić do projektu. Dostał ode mnie carte blanche, pieniądze i tyle najlepszego sosnowego drewna z Arrow Mill w Michigan, ile tylko będzie mu potrzeba.

Gdy James wspomniał o tartaku, przyszło mu do głowy, że powinien zabrać do niego na instruktaż córkę.

– Jutro zabiorę cię w podróż po tartakach. Musisz poznać wszystkie części składowe naszego interesu, a tartaki to jego serce. Najbliższy tartak, Arrow Mill, nie wygląda jeszcze tak, jak bym sobie tego życzył, ale zamówiliśmy już nowe piły i sprzęt.

Tartak w oczach Lavinii przypominał ruchomy rozklekotany warsztat, rozciągający się na wielu akrach wypełnionych sztaplami suszącego się drewna, między którymi znajdowały się

wąskie jak w labiryncie przejścia. Zakład postawiono przy rwącym potoku, na którym spiętrzono wodę, co umożliwiało napędzanie koła nasiębiernego i dwóch ciężkich poruszających się w górę i w dół pił umieszczonych w jednej ramie. Lecz gdy przybyli na miejsce, w tartaku panowała cisza, a z szopy wyszedł jakiś chłopak, który poinformował ich, że ojciec pojechał po nową piłę do hurtownika na nabrzeżu.

– Stara piła straciła prawie wszystkie zęby – oznajmił.

– Pojedziemy więc do innego tartaku – postanowił James.

Tartak Push Mill – zawdzięczający swą nazwę przezwisku majstra, pilarza i budowniczego tartaków Joe Boucharda, którego nazywano Joe Push – leżał o milę dalej nad tym samym potokiem. Gdy Lavinia przestąpiła próg tartaku, Push wyłączył świszczące piły: pojedynczy gater i podwójną pilarkę ramową. Podbiegł co prędzej do Jamesa, zerkając kątem oka na Lavinię.

– Nie spodziewałem się pańskiej wizyty, panie Duke.

– Tak bywa Joe, świat pełen jest niespodzianek. Obwożę córkę po okolicy, żeby pokazać jej działalność przedsiębiorstwa. Nie krępuj się, włącz piły, Lavinia chce poznać proces przecierania kłód na tarcicę. Zajmuje ważne stanowisko w firmie.

Pilarz przerzucił dźwignię i woda zalała z pluskiem znajdujące się na zewnątrz koło, a gater poruszył się wolno, wrzynając się w kłodę ze stalowym brzęczeniem. Na dół posypał się deszcz trocin, powietrze zgęstniało od zapachu sosny, ziemi i gorącego metalu. Lavinia przyglądała się wózkowi z kłodą ciągniętemu przez kabel

nawijający się na koło zębate i popychanemu przez inne mniejsze koło. Dwaj robotnicy tartaczni odkładali świeżo przetarte deski na kłodę, Joe Push uruchamiał pilarkę, a piły znów wrzynały się w drewno, okorowując krawędzie desek. Robotnicy wynosili je na dwór na sztapel. A flisak na stawie posyłał następną kłodę do przetarcia.

– Tnie powoli, ale dobrze – powiedział Joe Push, pokazując ręką wielki labirynt desek ułożonych w sztaple: świątynie z drewna. Szli wśród pisków pił, w pyle, przyglądając się ludziom na tartacznym stawie, wciągającym kłody na dolną rampę. Na dziedzińcu tuzin robotników cięło małe albo pokrzywione kłody piłami kabłąkowymi na drewno na opał, odkładając je do suszenia w szopach.

– Dodatkowy grosz z drewnianych odpadów – wytłumaczył James. Wskazał palcem sztapel i powiedział: – Zwróć uwagę, Lavinio, na poprzeczną deskę na dole. Dzięki niej sztapel ma ukośny kształt, co sprawia, że deszczówka i śnieg spływają z desek. Układanie sztapla to prawdziwa sztuka!

– Jak długo drewno się suszy?

Odpowiedział jej sztaplowy:

– Ta sosna? Jakiś rok dla calowych desek, dwa-trzy lata dla grubszej tarcicy.

– To prawda – potwierdził James. – Oczywiście zależy nam na jak najszybszej sprzedaży drewna, więc budujemy suszarnie: szopy takie jak te do suszenia drewna na opał, żeby towar trafił

jak najprędzej na rynek. Problem z suszeniem drewna na miejscu polega na tym, że gdy skończy się wycinkę, robotnicy przenoszą się na nowy obszar, a tartak rozmontowuje się i także przenosi w nowe miejsce. Złodzieje drewna często kradną niepilnowane sztaple, więc zatrudniamy stróży, starszych albo okaleczonych drwali, którzy zostają przy deskach do czasu ich zabrania.

Sztaplowy odchrząknął:

– Dlatego niektórzy, choć nie ja, mówią, że lepiej transportować kłody do stałego tartaku, który jest zawsze pilnowany.

Przeszli na tyły tartaku, gdzie Lavinia, dostrzegłszy coś, krzyknęła przeraźliwie i zasłoniła oczy.

– Wielkie nieba! Panie Bouchard, przyjdź pan tu natychmiast i wytłumacz się z tego… obrzydlistwa!

Joe Push przybiegł w te pędy, nie wiedząc, co odkryli – trupa czy zmarnowane deski – a znalazłszy się na miejscu, roześmiał się głośno.

– To te węże ubite przez chłopaków w zeszłym tygodniu. Urządzili sobie wyścigi żab, na które zleciały się wszystkie węże z okolicy.

Dziesiątki grubych węży leżały na gnijącej i śmierdzącej pod niebiosa stercie.

– Lepiej wyrzuć je do rzeki, Joe, bo za chwilę zleci się tu gromada niedźwiedzi.

– Już dwa zastrzeliliśmy, ale jak pan każe, wrzucimy je do potoku.

W drodze powrotnej Lavinia zapytała ojca, dlaczego w tartaku nie ma pił tarczowych.

– Czytałam albo słyszałam, że piły tarczowe tną znacznie szybciej i bez przerwy, bo nie trzeba ich cofać.

– Cóż, masz oczywiście rację i zamówiliśmy już takie piły, ale nie da się zrobić wszystkiego naraz. Ten tartak działa już od jakiegoś czasu i kupiliśmy go od Joe Pusha, którego teraz zatrudniamy. W lasach Michigan pojawią się setki tartaków i będzie jak w Maine. Sprzedamy ramowe pilarki i zastąpimy je tarczowymi, gdy tylko przybędą. Chciałbym też zainstalować w tartakach turbiny wodne, mające większą moc… wtedy natniemy drewna! Pilarka ramowa tnie około trzech tysięcy stóp deskowych drewna na dzień, a drwale ścinają drzewa tak szybko, że tartaki nie nadążają, więc można uznać je za najsłabsze ogniwo w naszym cyklu produkcyjnym. Chcę stawiać przenośne tartaki przy każdym wyrębie w najdogodniejszym miejscu i transportować drewno, a nie kłody. Nie ma powodu, żeby nie wznosić tartaków przy każdym obozowisku drwali i przecierać tarcicę na miejscu. Natomiast duży tartak przy miasteczku czy mieście ma wiele zalet, pominąwszy już kradzież drewna. Rozmawiałem kiedyś z Lennartem o budowie stolarni przy każdym tartaku i heblowaniu desek, a nawet gięciu drewna na balustrady i tym podobne.

Cyrus gwałtownie się sprzeciwiał pomysłowi Lavinii, która zamierzała odwiedzić obozowiska drwali, a gdy nie dała za

wygraną i napisała do podwykonawców – Hobble'a Petersona i Vernona Roby'ego – zapowiadając nadchodzącą inspekcję, oznajmił, że choć jest bardzo zajęty, odłoży pracę na bok i będzie jej towarzyszył jako opiekun.

– Nie możesz jechać sama – upierał się. – Jesteś za młoda i zbyt… po kobiecemu urocza. Po prostu nie możesz!

Lavinia oblała się szkarłatnym rumieńcem.

– To nieprawda, wuju. I pojadę. Na Karym Rudziku. Dowiezie mnie bezpiecznie. Jestem pewna, że sobie poradzę.

Lecz James opowiedział się za Cyrusem.

– Nie chodzi tylko o podróż. Wszędzie po lasach kryją się bandyci. Ludzie, którzy mogliby… cię skrzywdzić: renegaci, zboczeńcy i dzicy Indianie. Musisz mieć kogoś u boku, jakiegoś mężczyznę. Po prostu musisz. Mówię poważnie, Lavinio. Być może to się zmieni, kiedy będziesz starsza, ale teraz nie. To nie podlega dyskusji. Sama podróż jest wyczerpująca. Nie znasz drogi, nie umiesz rozpalać ognia w głuszy, nie potrafisz się bronić przed dzikimi bestiami w zwierzęcej czy ludzkiej skórze. Cyrus ma dużo pracy, więc znajdę ci jakiegoś rozsądnego, znającego lasy człowieka, który z tobą pojedzie.

Zwrócił się z tym do swojego stajennego z Detroit, Paula Roque, pytając go o odpowiedniego towarzysza podróży i opiekuna dla córki. Następnego dnia Roque zaproponował mu własnego syna. Andre Roque był dobrym myśliwym, który znał lasy na wylot, a do tego pracował w obu obozowiskach, które zamierzała odwiedzić

Lavinia. Znał francuski i niektóre indiańskie narzecza. Stary Roque przedstawił Jamesowi syna: młodego człowieka wyższego od ojca, a przy tym dosyć wstydliwego i nieśmiałego. Ale Andre odpowiedział celująco na wszystkie pytania Jamesa. Tak, najlepszy sposób na dojechanie do obozów to wierzchowiec. Ojciec Andre, stajenny, zadba o wybór najlepszych koni. Tutejsze konie znają lasy, są więc lepsze od wierzchowców z Bostonu, nawet najcenniejszych. Andre będzie przyrządzał posiłki i podawał je młodej damie, zadba o konie i ich karmę, przygotuje i zwinie posłania i koce, pokaże młodej damie wszystko, co interesujące po drodze. W razie potrzeby odda życie za Lavinię. Zrobi, co do niego należy.

Nadszedł początek października i w zimnych lasach leżało już kilka cali śniegu. Parowały oddechy koni i ich własne. Przesuwające się nieustannie po bokach olbrzymie drzewa obudziły w Lavinii silne poczucie własności: to były jej drzewa, może kazać zrąbać te olbrzymy i pociąć je na deski. Przyglądała się z pogardą monolitycznym kształtom. Należą do niej… i jeszcze do Jamesa i Cyrusa. Podobnie jak siedzące na nich ptaki – to jej ptaki, jej wiewiórki i ursony. Do niej należy wszystko!

Pod koniec dnia Andre wzniósł szałas i rozpalił przed nim ognisko. Usiedli przed nim owinięci w koce, rozdzieleni siodłami i jukami. Zasnęła, zanim Andre skończył rozmasowywać koniom

pęciny. Ale obudziła się w środku nocy, czując na sobie obejmującą ją od tyłu rękę młodzieńca, jego oddech na karku i dłoń na piersi.

– Co robisz? – zapytała wściekle.

Andre Roque nie odpowiedział, oddychał powoli i regularnie. Zesztywniała z oburzenia, leżała nieruchomo i stopniowo zdała sobie sprawę, że jej młody opiekun śpi, że wcale nie chce jej zgwałcić, ale obejmuje ją w głębokim śnie. Czy wydaje mu się, że w ten sposób ją broni, czy sypia tak z rodzeństwem na rodzinnym łóżku? Wyjaśni mu rano, że dobrze wychowani ludzie przeciwnych płci nie sypiają razem, jeśli nie są małżeństwem. I sama usnęła. Gdy się obudziła rano, Andre krzątał się przed szałasem, rozpalając na nowo ognisko, nosząc wodę na herbatę i krojąc wielkie pajdy chleba z bochenka. Potem poszedł nakarmić konie. Znów był nieśmiałym cichym chłopakiem i podał jej kubek mocnej czarnej herbaty pekoe. Nie wspomniał ani słowem o swej obecności pod jej kocem, a choć Lavinia zamierzała udzielić mu reprymendy, nie zrobiła tego. Najbardziej niepokojące w całym tym wydarzeniu było to, jak głęboko wydawał się spać. Powinien się był obudzić, gdy na niego krzyknęła. Przypuśćmy, że do szałasu podkradłyby się jakieś drapieżniki albo niecni ludzie – Andre spałby rozkosznie dalej, gdy wilki odgryzałyby mu rękę. A co by się stało, gdyby ognisko całkiem zgasło nad ranem? Taki śpioch nie mógł dołożyć do ognia. A może tylko udawał? To świadczyłoby przeciw niemu. Po kilku spędzonych z nim nocach Lavinia przywykła do jego ciała pod kocem, ba, była mu

wdzięczna za ciepło i bliskość, gdy w ciemności trzaskały gałęzie i pohukiwały sowy, a Andre zawsze wstawał i zabierał się do pracy przed świtem.

Dojechali do obozowiska Vernona Roby'ego przed południem, słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie, a jego promienie iskrzyły się oślepiająco w rwącym potoku. Znaleźli się na otoczonym lasem wyrębisku, a z drugiej strony strumienia sosnowy bór sięgał do brzegu. Wszędzie gdzie okiem sięgnąć widać było pniaki, a w pobliżu ani żywej duszy. Podeszli do drewnianego baraku z napisem BIURO na drzwiach. W środku nie było nikogo.

– Jest tu kto? – zawołał Andre. Odpowiedziała mu tylko sójka. Nieopodal, w szopie z bali dymił piec. Drzwi były otwarte, więc Lavinia weszła do środka. Jakiś człowiek rzucał cynowe talerze na długi drewniany stół, robiąc przy tym tyle hałasu, że nawet jej nie usłyszał. Spróbowała raz jeszcze:

– Proszę pana! Proszę pana!

Odwrócił się i wrzasnął przerażony, upuszczając przy tym naręcze talerzy. Lavinia rzuciła się, żeby je pozbierać, ale zatrzymał ją gestem.

– Czego chcecie? Kim jesteście?

– Chcę się zobaczyć z panem Robym. Nazywam się Lavinia Duke i przysłałam mu list, uprzedzając go, że przyjadę na wycinkę.

– O Chryste! Poszedł z chłopakami… – Wskazał wyrębisko. – Jakieś dwie mile stąd nad jeziorem. Jezu Chryste! On o niczym nie wie!

– Wysłałam list.

– Nie umie czytać. Nie dostał żadnego listu.

Lavinia poczuła irytację. To jakaś komedia!

– Proszę po niego pójść i przyprowadzić go tutaj. Natychmiast.

– Nie mogę! Jestem kucharzem. Niedługo przyjdą na obiad. Wściekną się, jak nie będzie co jeść.

– Proszę iść! Natychmiast! Albo zwolnię pana z pracy!

Nieszczęśnik wyszedł z jadalnej szopy.

– Usiądźmy i poczekajmy – rzuciła do Andre. – Albo sprawdzę, co on tam warzy.

Na piecu stał kocioł gulaszu. Na stole rosło ciasto na chleb zasłonięte lasem butelek z sosami. Lavinia, nie mogąc usiedzieć na miejscu, zaczęła mieszać gulasz, sięgając aż do dna. Dołożyła kilka szczap do pieca, żeby podnieść temperaturę do pieczenia chleba. Czekali. Chleb rósł. Lavinia wsunęła chlebowe ciasto do piekarnika i spojrzała na zegarek. Wyjmowała właśnie przypieczony chleb, gdy do jadalni wpadł zasapany kucharz. Spojrzał na parujący chleb i rzucił okiem na gulasz, który Lavinia już zestawiła z ognia.

– Mieszałam – oznajmiła.

– Dobrze, dobrze, dobrze.

Po kilku minutach nadszedł Vern Roby – niski, krępy mężczyzna z klapką na oku i bliznami na twarzy. Nie odezwał się, przyglądał się Lavinii, po czym zwrócił się do Andre:

– Co ona tu robi?

– Pan Duke ją przysłał. To jego córka. Przyjechała spotkać się z wami, obejrzeć wyrębisko.

– Kobieta! To nie jest sprawa kobiet! – Spojrzał na Lavinię. – Lepiej spakuj kuferek, panienko, i wiej stąd. Gdzie jest pan Vogel? Lennart Vogel? Tylko z nim gadaliśmy od Duke'ów.

– Wysłałam panu list, panie Roby, w którym objaśniłam, że mój wuj Lennart Vogel zginął w pożarze w zeszłym roku. Przejmuję część jego obowiązków. Poznanie ludzi ścinających drzewa dla mojego przedsiębiorstwa należy do tych obowiązków. Ten dżentelmen, pan Andre Roque, towarzyszy mi w podróży. Wuj Lennart nie żyje i bez względu na to, czy to się panu podoba, czy nie, zajmuję jego miejsce. Być może nie znam się jeszcze na wszystkim tak dobrze jak Lennart, ale mam nadzieję, że gdy się lepiej poznamy, będzie pan ze mną szczery i uczciwy. Proszę opowiedzieć mi o tej wycince. Wygląda na dosyć obszerną. Chciałabym obejrzeć składowiska i poznać pańskie plany co do wiosennego spływu. Chcę usłyszeć od pana o wszystkim, co przysparza panu kłopotów lub może przysparzać kłopoty w przyszłości, jakiekolwiek. Nie jestem tu po to, żeby się wtrącać, ale żeby przekonać się naocznie, czego możemy spodziewać się wiosną. Właśnie tego chciałby się dowiedzieć od pana wuj

Lennart, gdyby jeszcze żył. W mojej gestii leży zwolnienie pana lub zatrudnianie go dalej w zależności od tego, co zobaczę.

Roby wziął głęboki wdech. Potem jeszcze jeden.

– Tak, pszepani – wymamrotał, poruszając się jak tresowany niedźwiedź. Spojrzał na Andre i chcąc odzyskać szacunek we własnych oczach, rzucił: – Pamiętam cię. Robiłeś u mnie w zeszłym roku przy koniach, nie?

– Owszem – warknął bezczelnie Andre.

Nieszczęsny Roby został sam.

Chciała zobaczyć drwali przy pracy. Roby pokręcił głową z niezadowoleniem, ale poszli krawędzią oblodzonego leśnego duktu na wzgórze, na którego stoku trwała hałaśliwa wycinka. Padło drzewo, ruszyli ku niemu ludzie z siekierami, okrzesując gałęzie i odrąbując koronę. Rzucali ukradkowe spojrzenia na Lavinię. Parowały ich gorące oddechy. W powietrzu unosił się zapach sosny. Robotnicy obwiązali łańcuchem koniec kłody i wciągnęli ją na sanie. Ktoś się poślizgnął, usłyszała ciche przekleństwo.

Mężczyzna w czerwonej włóczkowej czapeczce rzucił do pozostałych kącikiem ust:

– Widzicie ją? To uprzywilejowana córka bogacza. Przyszła tu pooglądać zapracowane żywe trupy jak w zoo. Do starego Duke'a należy wszystko, gdzie tylko sięgnąć wzrokiem. Dostał lasy za darmo od rządu, niezły prezent! Kradnie państwowe lasy, rąbie drzewa i bogaci się na naszej krwawicy.

– Oszczędź sobie.

– Spokojna głowa, zrobię to. Powiem wam, jak dochodzą do władzy i administrują, naginają prawo, biorą dla siebie wszystko, co ma jakąś wartość: drzewa, miedź, wszystko tylko dla nich! Robotnik nic nie dostaje, oprócz ochłapów.

Lavinia nie usłyszała tego, co mówił, ale po roku w angielskiej pensji była szczególnie wyczulona na najsubtelniejsze formy wyrażania wzgardy: wydęcie ust, opuszczone ramiona, uniesioną brodę – wyczuwała antypatię tego typa. To gra dla dwojga, pomyślała i zerkała raz po raz w jego stronę, napotykając zawsze niechętny świdrujący wzrok.

– Jeszcze jedno pytanie, panie Roby: kim jest ten człowiek w czerwonej czapeczce?

Od razu wiedział, o kogo jej chodzi.

– Ha. Każe mówić na siebie Rattle.

– Chcę, żeby go pan zwolnił.

– Ależ panno Duke! Sporo gada, to fakt, ale zna się na swojej robocie. To dobry drwal.

– Zwolni go pan, panie Roby. Dzisiaj.

Konie ciągnęły kłody na saniach z wyrębu na składowisko, gdzie Lavinia ujrzała z zaskoczeniem młodą kobietę, młodszą od niej, dziewczynę jeszcze, dzierżącą młotek do cechowania drewna i wybijającą nim znak D&S na słojach kłód.

– Ta dziewczyna? – zapytała pana Roby'ego.

– To Angélique, córka kucharza.

– Nie martwi się o jej bezpieczeństwo wśród tylu nieokrzesanych mężczyzn?

Vernon Roby roześmiał się po raz pierwszy tego dnia: głośno i serdecznie.

– Ależ nie! Ma wśród nich siedmiu braci! Widzi panienka? Ten tam i tamten, i jeszcze jeden… – Wskazywał ich palcem. – Nikt, kto chce żyć, nie śmie jej tknąć. A poza tym ona sama ma krzepę parobka. I młotek. Rozwaliłaby łeb każdemu, kto by się do niej zbliżył.

Rzecz ta była godna przemyślenia, gdy liczyła i mierzyła kłody. Postanowiła nauczyć się pomiarów. Co z tego, że wiedziała, że ma pięćset kłód o przeciętnej średnicy trzydziestu siedmiu cali? Ile stóp grubych na cal desek przetrze się z takiej kłody? Jak odliczyć od tego grubość kory, rzazu piły, zwężania się kłody ku górze? Musi poznać matematykę pomiarów. Wiedziała, że są specjalne wzory, biorące te wszystkie zmienne pod uwagę i pozwalające mierniczemu przynajmniej oszacować liczbę desek z pojedynczego drzewa. Jak się tego nauczyć? Żałowała, że Breitsprecher już u nich nie pracuje – był dobrym mierniczym. Lennart opowiadał kiedyś o jakimś pastorze, który został przełożonym żeńskiego seminarium gdzieś w Ohio i opracował szczegółowy matematyczny przewodnik służący do szacowania stóp deskowych rosnących jeszcze drzew. Zdążyła się już jednak nauczyć z własnego doświadczenia, że nic nie da się przewidzieć i oszacować precyzyjnie – nikt nie jest w stanie wymyślić jednego doskonałego

wzoru biorącego pod uwagę każde drzewo, tak jak nikt nie jest w stanie przewidzieć i oszacować, kiedy kot przewróci płonący lichtarz. Lavinia jeszcze jako dziecko postanowiła – gdy wysłano ją do Anglii – że nie będzie dziwić się niczemu. Mogłaby wybrać się do tego pastora i ubłagać go, żeby nauczył ją sztuki pomiaru drzew, choć żeńskie seminarium nie wydawało się odpowiednim miejscem do pobierania tego rodzaju nauk. Zresztą, kto wie… Za sprawą Angélique i jej młotka Lavinia wyobraziła sobie gromadę młodych kobiet maszerujących do lasu z łatami mierniczymi.

Po południu światło zaczęło uchodzić z wycinki, jakby wsysane do worka, więc pożegnali się z Vernem Robym. Lavinia uścisnęła mu dłoń i obiecała – zagroziła? – że wróci wiosną na spływ – spławiania kłód, jej kłód do tartaku. Roby wyczuł w jej tonie nieskrępowaną dumę z posiadania. Ale wiedział, która strona wygrywa, więc uśmiechnął się i odrzekł, że będzie wyglądał jej wiosną. Gdy zniknęli między drzewami, przywołał do siebie mężczyznę w czerwonej czapeczce. Nie miał pojęcia, jakim cudem Lavinia zdołała wypatrzyć jedynego mąciciela wśród drwali, ale nie pomyliła się, potrafiła właściwie oceniać ludzi. Rattle nieustannie podjudzał chłopaków, żeby domagali się wyższych płac, krótszego dnia pracy, lepszego wyżywienia.

– Ty, Rattle! – zawołał. – Pakuj manatki i w drogę. Nadeszła na ciebie pora. Panience nie spodobała się twoja gęba.

Wizyta w obozowisku Hobble'a Petersona nie przebiegła tak gładko. Peterson nie szanował kobiet, uważał, że są bezrozumne i

zacofane, nie chciał rozmawiać z Lavinią i kierował swe sarkastyczne spostrzeżenia jedynie do Andre Roque'a. W jego obozowisku panował bałagan i nieład, wszędzie walały się drewniane drzazgi, szmaty, poszarpane wołowe skóry, rozbite beczki, nad którymi krążyły roje much, ułamane trzonki od siekier, zardzewiały drut, bezzębne ostrza pił i pojedyncze buty. Sągi schnących kłód były ułożone niestarannie i nierówno. Gdy odjeżdżali z obozu, milczący do tej pory Andre powędrował wzrokiem za spojrzeniem Lavinii i powiedział:

– Drewno nie wyschnie równo.

Lavinia zanotowała to wszystko w małym czerwonym kajecie, który z czasem zaczął się cieszyć złą sławą w obozowiskach drwali, gdyż negatywna ocena Lavinii oznaczała, że podwykonawca nie będzie już pracował dla Duke i Synowie, o czym przekonał się Peterson wraz z końcem wiosny.

W drodze powrotnej przydarzyła się Andre bezsenna noc. Przez całe popołudnie nad horyzontem wisiały burzowe chmury. Wcześnie rozbili obóz, a na obiad zjedli niezbyt smaczny, nowoangielski *nookick* – prażoną kukurydzę startą na mąkę i zmieszaną z gorącą wodą, co było sycące, lecz pozbawione jakichkolwiek walorów smakowych. Zapadły ciemności i nadeszła burza. Pioruny biły bez przerwy, a gwałtowna ulewa zalała ogień. Andre siedział w pobliżu, a Lavinia usiłowała zasnąć, lecz wściekły wiatr targał nieustannie szałasem. Słyszeli walące się w lesie drzewa, a nawet widzieli je w fioletowych rozbłyskach. Wiatr

porwał ostatecznie szałas i w jednej chwili przemokli do nitki. Gdy piorun rozłupał nieopodal wielką sosnę, Andre objął ramionami Lavinię, jakby chcąc ją chronić przed padającymi drzewami. Minęły dwie godziny, nim ulewa zelżała i nagle ucichła, zepchnięta na południowy wschód przez lodowatą wichurę. Andre wstał, szukając po ciemku bierwiona, które wcześniej odłożył, i rozpłatał siekierą suche wnętrze. Przez pół godziny męczył się z prochownicą i pakułami, a gdy to nie przyniosło rezultatu, wysypał odrobinę prochu na połówkę polana. Skrzesał ogień, na polanie pojawił się mały płomyczek, podsycany strużynami i gałązkami, a potem suchymi konarami, które Andre przykrył ich dobytkiem. Dopiero wtedy Lavinia przypomniała sobie o pudełeczku kongrewskich zapałek, które ojciec wcisnął jej przed wyjazdem. Następnego ranka znalazła pudełeczko, otworzyła je i potarła cienką zapałką o kawałek drewna. Jakże była zaskoczona, gdy zapałka rozbłysła jasnym płomieniem. Podała pudełeczko Andre, który przyjrzał się zapałkom, zmarszczył brwi i oddał jej prezent. Wolał krzesiwo i iskry. Tydzień później po powrocie do Detroit przekonała się, że zapałki są niebezpieczne.

Przepisywała swoje notatki z podróży, a Ruby rozpakowywała jej rzeczy. Usłyszała lekki trzask i nieprzyzwoite słowo, a potem pisk nieszczęsnej pokojówki, która upuściła pudełko kongrewskich zapałek na podłogę, a następnie stanęła na jednej z nich, krzesząc ogień, który przeskoczył na rąbek jej bawełnianej sukienki. Lavinia chwyciła dzbanek z wodą z toaletki i chlusnęła bez

namysłu płonący strój, krzyknęła na panią Trame, każąc przynieść jej wiadro wody, a potem przewróciła pokojówkę na podłogę i zaczęła deptać tlącą się jeszcze sukienkę, nadpalając przy tym rąbek swojej.

– Masło! – zawołała pani Trame. – Masło najlepsze na poparzenia! – I wróciła biegiem do kuchni. Ruby poparzyła sobie dłonie i szyję, a poparzenia bolały mimo nałożonego na nie tłuszczu. James posłał po doktora, który wyśmiał tę metodę, zastąpił masło maścią własnej roboty i zapisał Ruby końską dawkę opium na ból. Rany szybko się zagoiły, ale Ruby uzależniła się od narkotyku i po kilku miesiącach James odesłał poparzoną i uzależnioną pokojówkę z powrotem do Bostonu z sowitą odprawą. Lavinia zastąpiła ją miejscową dziewczyną.

Lavinia nie musiała jechać do Ohio, żeby nauczyć się mierzenia. Połknęła dumę i napisała do Armeniusa Breitsprechera, tłumacząc, o co prosi, i pytając, jak zdobyć niezbędną wiedzę. Obaj Breitsprecherowie przebywali akurat w swoim kantorze w Monroe, wróciwszy z trudnych pomiarów działek nad rzeką. Armenius był rozbawiony, przeczytawszy list, który natychmiast pokazał Dieterowi.

– Duke i Synowie… nasi najwięksi rywale… wygląda na to, że będą musieli zmienić nazwę na Duke i Córki, bo nie mają synów z wyjątkiem pociech Cyrusa Hempsteada. James jest już stary i

wszystko wskazuje na to, że ta smarkula Lavinia zajmie jego miejsce w firmie. Myślę, że szybko ich przejmiemy.

Jednak Dieter uznał, że napisanie takiego listu wymaga odwagi.

– Nie brakuje jej tupetu. Ciekawe, czy ma rozum? Znasz ją?

– Nigdy jej nie spotkałem. Słyszałem tylko o niej. To *lächerlich*, jak kobieta chce się nauczyć mierzyć kłody. Przemijający kaprys bogatej panny; coś, o czym słyszała, ale nie ma pojęcia, do czego to służy ani jak się to robi.

Zgniótł list i wyrzucił go do skrzynki na drewno obok kominka. Ale następnego dnia Dieter wyjął stamtąd zmięty list i osobiście nań odpowiedział, oferując swoje usługi i lekcje, jeśli Lavinia zdoła przyjechać do Monroe na tydzień.

Mam nadzieję – pisał – *że posiadła pani pewną wiedzę matematyczną. Niewiele kobiet ją posiada, wszelako znajomość liczb jest niezbędna w szacowaniu objętości kłód. Z przyjemnością nauczę panią podstaw tej sztuki, a jeśli ta przypadnie pani do gustu, być może zechce się pani zająć poważniejszymi zagadnieniami*.

Przypuszczał, że nie odpisze, gdyż przedstawił jej naukę jako trudną i nieprzyjemną. Odpisała jednak, przytaczając kilka terminów, kiedy mogłaby przyjechać do Monroe, oraz zapewniając go, że nie obawia się ani arytmetyki, ani matematyki, a osobliwą radość sprawia jej analiza matematyczna, co nie było do końca prawdą.

[30] *Robin* [ang.] – rudzik [przyp. tłum.].

57

LEKARSTWO NA MIGRENĘ

Życie w Detroit miało dla Jamesa wielce irytujący minus, a mianowicie taki, że jego piwnica z winami pozostała w Bostonie. W Detroit płynęła rzeka whiskey, lecz nigdzie nie było składów win. James ciągle obiecywał sobie, że każe przetransportować tu zawartość piwnicy, ale obruszał się na samą myśl o tym, ile butelek dobrych win ulegnie niemal nieodwracalnej degradacji wskutek wstrząsów w podróży i wzbudzania osadu, który opada potem przez całe lata. Im dłużej zajmowało mu zaaranżowanie opakowania i przetransportowania butelek, tym bardziej tęsknił do zakurzonych ciemnych butelek wybornej madery czy bordo, leżących w ciszy na półkach. Czuł ślinę napływającą do ust. Obiad bez wina był mdły. A nie było nic przyjemniejszego na koniec dnia od kieliszka porto i cygara przy kominku.

James i Lavinia przykładali szczególną wagę do wspólnego jadania obiadów na zmianę w każdym z domów. Tego wieczoru wypadła kolej stołu i domu Jamesa. Po obiedzie, na który podano pieczoną dziczyznę z pieczonymi jabłkami i suflet ziemniaczany, rozmawiali o błahostkach w bibliotece przy szklaneczce whiskey.

– Lavinio – odezwał się James. – Postanowiłem wrócić do Bostonu i przypilnować pakowania wina do skrzyń i transportu tutaj. Podczas mojej nieobecności, a nie będzie mnie jakieś sześć tygodni, stolarz postawi stojaki na butelki w piwnicy. Zatrzymam się oczywiście w Czarnym Łabędziu, lecz będę jadał na mieście, odwiedzę też krawca i bankierów. Gdzie ja odłożyłem moje… A, tu są… – Tasiemkę z binoklami miał zawieszoną na szyi. – Rozmawiałem z Cyrusem, który obiecał mi dostarczyć ci wszystko, o co poprosisz.

Cyrus głuchł coraz bardziej, co oznaczało konieczność głośnego krzyczenia, żeby cokolwiek mu wytłumaczyć.

– Dam sobie radę, papo. Będę czekała na twój powrót i kieliszek szampana?

– Och, napijemy się szampana! Wydamy szampańskie przyjęcie, na które zaprosimy Cyrusa z Clarą. Oprócz wina przywiozę też z Bostonu najświeższe wieści. Jeśli chcesz coś szczególnego, sporządź, proszę, listę. Może pozwolisz, że wybiorę ci nową suknię. Coś żywszego?

– Książki, papo. Przydadzą mi się nowe książki. Nic więcej nie chcę.

A kiedy wrócisz, pomyślała Lavinia, będę umiała mierzyć kłody.

Dwa dni przed wyjazdem do Bostonu James wpadł bardzo poruszony do domu Lavinii. Zaprosiła go do saloniku z

ciemnozielonymi pluszowymi zasłonami, nadającymi pomieszczeniu leśny półmrok. Złote frędzle kołysały się lekko. Usiadła na fotelu, założywszy nogę na nogę, a ojciec chodził po pokoju w tę i z powrotem.

– Córko, dotarły do mnie bardzo bulwersujące wieści. Wybacz, ale ten łotr Andre Roque nie będzie ci już towarzyszył podczas żadnej wyprawy do lasu.

– Czy wolno mi wiedzieć, dlaczego? – zapytała Lavinia. – Wobec mnie zawsze zachowywał się nienagannie.

– Dobre sobie! – rzucił pogardliwie James, nie przestając chodzić po dywanie.

– Och, usiądźże, papo! Usiądź! I opowiedz mi spokojnie, cóż takiego uczynił? Co się stało? I dlaczego?

James przysiadł na krawędzi wielkiego niczym tron fotela.

– Dlaczego! To nieistotne! Na pewno nie dla uszu młodej dzierlatki!

Wyprostowała się, stawiając obie stopy na dywanie, jakby gotowa do konfrontacji.

– Pozwolisz, że ci przypomnę, że nie jestem już „młodą dzierlatką", ale niemal dorosłą kobietą, w dodatku o męskiej głowie, jak wielokrotnie zauważałeś. Nie cierpię na wapory i nie mdleję. Żądam, abyś mi powiedział, dlaczego zabraniasz mi przebywania w towarzystwie tego człowieka i nie chcesz, żeby dalej się mną opiekował. – W ciemnych oczach Lavinii pojawił się groźny błysk, zacisnęła usta.

James wpadł w prawdziwą irytację.

– Doskonale! Skoro uznajesz się za osóbkę tak doświadczoną w sprawach świata, powiem ci, że Andre Roque będzie miał potomka z własną siostrą! Nie można mu ufać, nie można powierzać mu żadnej kobiety! Niektórzy mężczyźni już tacy są. – Przypomniał mu się jego obleśny teść. – Nie życzę sobie, żebyś wyprawiała się gdziekolwiek w jego towarzystwie. – Czekał, aż krzyknie wstrząśnięta.

Lavinia odpowiedziała mu oschle:

– Przypuszczam, że powodem jest to, iż sypia w jednym łóżku z rodzeństwem.

– Skąd o tym wiesz?! – Zerwał się z fotela.

– Zakładam, że tak jest, to wszystko.

– Udzielę ci rady, moja droga Lavinio: nigdy niczego nie zakładaj, gdyż to niewybaczalny błąd. Nigdy nie zakładaj niczego!

W skrytości ducha obawiał się najbardziej, że Lavinia mogła odziedziczyć po matce nienasycenie, że syn stajennego mógł się tego domyślić i ześle mu wnuki z nieprawego łoża.

– Zgadzam się z tobą, że pewność jest lepsza od najbardziej skomplikowanych założeń – odrzekła Lavinia. – I spełnię twoje żądanie. – Nalała ojcu herbaty.

Wróciwszy do starego domu w Bostonie, James stwierdził z niezadowoleniem, że wszystko w nim chyli się ku ruinie. Dobrze znane wnętrza pachniały stęchlizną i rozkładem, meble, a

szczególnie wieszak w holu, wydawały się okrutnie staromodne. Pokoje wyglądały upiornie. Doszedł do wniosku, że nie powinni wznosić repliki Czarnego Łabędzia w Detroit, ale sprzedać tę posiadłość i zbudować coś zupełnie nowego. Spotka się z architektem podczas pobytu w Bostonie i odwoła pomysł repliki, a gdy wróci do krainy wielkich jezior, przedstawi Lavinii *fait accompli*.

Pan Prentiss, od którego James przez lata kupował wino, był uradowany, widząc swego drugiego najlepszego klienta. Jego obwisła czerwona twarz kontrastowała z różowym indyczym podgardlem, obnażonym i wiszącym aż do nowomodnego małego kołnierzyka i muszki. James uznał, że pan Prentiss powinien pozostać wierny stojącym kołnierzom zakrywającym przyzwoicie to, co powinno zostać ukryte. Kupiec rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał zaprosić Jamesa do tańca, i powiedział:

– Witam pana ponownie z największą rozkoszą, panie Duke. Czy wrócił pan dobre? Czy raczej zaszczyca nas tylko wizytą, *cmok, cmok*. Czym mogę panu służyć? Czy zechce pan dowiedzieć się czegoś o nowych zbiorach? Mam doskonałe reńskie. Do pańskich usług… – Poruszył korpusem, jakby chcąc się ukłonić. Nic się nie zmieniło w tym składzie win – ten sam zapach kurzu i stęchlizny, ten sam pan Prentiss, cmokający i kiwający głową.

– Panie Prentiss, wygląda pan świetnie i ufam, że świetnie pan prosperuje. W istocie, jestem tu z krótką wizytą. A choć bardzo

chciałbym skosztować pańskiego wina reńskiego, przyszedłem w innej sprawie. Chcę zapakować całą moją piwniczkę do skrzyń i wysłać ją do naszego nowego lokum w Detroit. Ale obawiam się, że wstrząsy albo, uchowaj Boże, stłuczenia zrujnują moje wina, jeśli się o nie odpowiednio nie zadba. Czy mógłby mi pan doradzić najlepszy sposób transportu?

– Będę z panem szczery, panie Duke: ruszanie tych butelek, umieszczanie ich w skrzynkach, poddawanie wstrząsom przez pół kontynentu zrujnuje znaczną część pańskiej kolekcji win. Byłby to niepowetowany grzech. Proponuję więc panu zamianę: przeniesienie pańskiej piwnicy do mojego składu, co jest proste i łatwe. W zamian oferuję panu większą objętościowo ilość starej madery czy innego lubianego przez pana wina w beczkach i beczułkach, które zniosą podróż bez szwanku.

– Tak, to wydaje się logiczne. Zatem zróbmy tak.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę o szczegółach, po czym kupiec zapytał niezobowiązująco, czy piwniczka Freegrace'a została sprzedana lub odziedziczona przez członka rodziny.

– Ja ją odziedziczyłem – odrzekł James. – Freegrace zapisał ją w testamencie Edwardowi, ale masa spadkowa Edwarda przeszła na mnie. Nie zastanawiałem się jeszcze, co zrobić z piwnicą Freegrace'a, choć słyszałem, że była dobrze zaopatrzona.

Odwracał wzrok ku butelkom. Liczył na wyborny obiad – z winem, z winem!

– Doskonale! Ośmielam się zauważyć, że była doskonała, jedna z najlepszych w Bostonie! – Zakaszlał. – Jeśli zechce pan ją sprzedać, byłbym zainteresowany kupnem. Tych rzadkich trunków w butelkach nie wolno nigdzie przewozić!

– No, cóż… – mruknął James. – Prawdę mówiąc, nie wiem, co kryje się w tej piwnicy. Ale mam do niej klucze u siebie w domu. Czy możemy się spotkać jutro rano i przyjrzeć się zawartości?

– Z największą rozkoszą! – odrzekł pan Prentiss i kichnął nagle.

– Czy dziesiąta panu odpowiada?

– Doskonale! A teraz, czy wypije pan ze mną kieliszek amontillado?

– Z przyjemnością – odpowiedział James. – Postawi mnie na nogi. Od czasu do czasu ogarnia mnie apatia.

– A może wolałby pan szklaneczkę gorącego grogu?

– Nie, nie. Marzy mi się właśnie amontillado. I proszę przysłać mi pół tuzina butelek reńskiego, o którym pan mówił, prosto do Czarnego Łabędzia. Muszę coś pić podczas tej wizyty, choć równie dobrze mogę zejść do piwnicy.

– Szczerze to panu polecam – zgodził się pan Prentiss. – Jeśli ma pan tam jakieś wyjątkowe okazy, to najlepsza pora, żeby się nimi delektować. A teraz zapraszam pana do sali degustacji.

James poczuł się znakomicie w Bostonie. A wieczorem, pomyślał, pyszny obiad!

Następnego ranka rozbolała go głowa, ale pozbył się bólu za pomocą dużego kieliszka szampana i najlepszej kawy, jaką pił od roku i którą zamówił w „Kawiarni Bliss'a", gdzie nawet kelner pozostał ten sam – stary Henry z wielką torbielą na podbródku przywitał go po nazwisku! Poranek był mroźny, a wynajęty koń całkiem rześki. Pojechał do składu win, gdzie w witrynie królowało uśmiechnięte nalane oblicze pana Prentissa. Otworzyły się drzwi składu i wyszedł przez nie właściciel, niosąc liczydło i notes.

– Słyszałem, że pan Freegrace Duke prowadził księgę win, więc pomyślałem, że policzę butelki z pomocą tego instrumentu – podniósł wysoko liczydło – i sporządzę notatki.

Był w doskonałym humorze.

James czuł się tak, jakby nigdy nie wyjechał z Bostonu, tak dobrze znał tę ulicę i stukot końskich kopyt.

– Rześki poranek – oznajmił. Głowa niemal przestała go boleć. Czuł się świetnie, morskie powietrze z pewnością jest zdrowsze od bagiennych miazmatów jezior. – Wio!

– Nadejdą mroźniejsze. Kalendarz zapowiada surową zimę. Przypuszczam, że w Michigan zimy są znośniejsze?

– Nie sądzę – odrzekł James. – Wręcz przeciwnie.

Całe wnętrze domu Freegrace'a pokrywała warstwa kurzu. Na podłodze widać było wiele śladów stóp. Mebli nie osłonięto, a w środku panowało przeraźliwe zimno.

– Przed kilkoma miesiącami zapłaciłem kamerdynerowi Freegrace'a roczną pensję, żeby tu został i zajął się tym domem, dopóki czegoś nie postanowimy – powiedział James. – Wygląda na to, że kamerdyner wyniósł się stąd zaraz po otrzymaniu wynagrodzenia. Jak on się nazywał… Eccles, jak mi się zdaje? Zajmę się nim. Każę go zakuć, niech mnie diabli porwą! Ale to nieważne. Znajdźmy latarnię i świece i zejdźmy do piwnicy.

Drzwi do piwnicy były otwarte, a gdy schodzili na dół szerokimi schodami, James zauważył na stopniach błoto i kawałki tynku, a na ścianach wyżłobienia jak po dłucie.

– Nie podoba mi się ten widok – oznajmił, krusząc stopą tynk. Pan Prentiss aż cmoknął. Wiedział, co znajdą. Widywał już takie piwnice.

Stojaki na butelki były puste, łoża beczek takoż, półki przewrócone. W świetle latarni błyskało potłuczone szkło, a w powietrzu unosił się zapach kwaśnego wina. Piwnica Freegrace została ogołocona.

Popatrzyli po sobie i powiedzieli razem jedno słowo:

– Kamerdyner!

James poczuł wzruszenie, widząc łzy w oczach Prentissa, który z trudem przełykał ślinę.

Odwiózł handlarza win do składu i pojechał na nowo powstały posterunek policji, gdzie zameldował o kradzieży cennych win. Dwaj policjanci – dosyć tępi z wyglądu – pojechali z nim z powrotem do Freegrace'a i przyjrzeli się ruinie w piwnicy.

Policjanci wskazali na kręgi w kurzu na kredensie, gdzie stały niegdyś srebrne podgrzewacze do potraw i inne ozdoby. Po pięciu minutach doszli do wniosku, że kradzieży dokonała przestępcza banda imigrantów.

– Zjeżdżają do Bostonu tysiącami – oznajmił jeden z policjantów, który sam był prawdopodobnie niedawnym imigrantem.

– Ale kamerdyner… – rzucił, lecz nie uzyskał odpowiedzi. Opuścili piwnicę. James poszedł do biblioteki, choć nie wiedział po co. Podniósł ze stołu kilka starych egzemplarzy „Burton's Gentleman's Magazine" – w końcu będzie mógł coś przeczytać.

Pojechał znów do pana Prentissa i dobił z nim targu co do wymiany większości zapasów wina na beczki madery, które pojadą wozami do Albany, a stamtąd popłyną parowcem do Detroit.

– Przynajmniej tyle da się zrobić.

Ale handlarz winem nie mógł się otrząsnąć po stracie kolekcji win Freegrace'a, a wina Jamesa jakoś go nie pocieszały.

– Cóż to za potworny grzech… ta kradzież! Gwarantuję panu, że te bydlaki nie wiedziały, co wpadło im w ręce. Słyszałem od wielu lat, że pan Freegrace miał w swej kolekcji win sauterny Château d'Yquem, rocznik 1784, z prywatnej piwnicy Thomasa Jeffersona. I słyszałem o maderze rocznik 1792. Madera jest z pewnością królową leżakujących win: najlepszą po pół wieku! Rocznik 1792 właśnie dojrzał. Niech pan otworzy starą butelkę, a

cały pokój wypełni tak głęboko aromatyczny bukiet… – Przerwał i odwrócił się od światła.

Przekazywanie win z Czarnego Łabędzia trwało tak długo – za sprawą nieznośnie pieczołowitej metody opakowywania butelek przez pana Prentissa – że wyjazd Jamesa do Detroit opóźnił się o blisko dziesięć dni. Jaskrawa jesień wyblakła, a rankiem po Dniu Guya Fawkesa[31] – nazywanym przez bostończyków Dniem Papieża – rozpoczęły się listopadowe pluchy, które ugasiły ostatnie tlące się ogniska. Dzień czy dwa później nad Atlantykiem zerwał się pierwszy z równonocnych sztormów, który uderzył w dąb pod oknem starej sypialni Jamesa i zdmuchnął z niego wszystkie zeschłe liście.

Zjawił się pośrednik handlu nieruchomościami. Najpierw przysłał list, w którym przedstawiał się jako przedstawiciel ważnego bostońskiego rodu, który jest zainteresowany nabyciem posiadłości należącej do pana Duke'a. James wiedział skądinąd, że owym „bostońskim rodem" był syn udziałowca New England Mississippi Land Company, która przed kilkudziesięciu laty z mocy kontrowersyjnej ustawy kongresu zyskała ponad milion dolarów. Syn udziałowca, odziedziczywszy wielki majątek, oferował dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów za Czarnego Łabędzia i otaczającą rezydencję posiadłość. James udawał, że się zastanawia, lecz w końcu przekonano go, żeby rozstał się z posiadłością oraz domem i jego zawartością (z wyjątkiem małego

intarsjowanego stolika, który zabrał do Detroit) za nieco większą kwotę. Następnego dnia oddał w ręce pośrednika dom Edwarda, splądrowaną rezydencję Freegrace'a, a nawet elegancki, wzniesiony z cegły w stylu federalnym dom Lennarta Vogela. Tydzień przed Dniem Dziękczynienia[32] wyruszył w drogę powrotną. Za nim pojechało wino.

///

W kabinie na parowcu „Drzewo Wolności" przeczytał ostatni egzemplarz „Burton's Gentleman's Magazine", w którym poruszyło go opowiadanie *Zagłada domu Usherów*[33], którego pierwsze akapity przypomniały mu boleśnie o splądrowanym domostwie kuzyna. Poczuł ból gardła. Zaczynał odczuwać przeziębienie. A parowiec płynący zimą po jeziorze Erie był najgorszym miejscem na przeziębienie. W kufrze miał egzemplarz *Nicholasa Nickleby*[34], który wiózł dla Lavinii. Postanowił przeczytać tę książkę. Ostatnią część nużącej i mroźnej podróży rozpoczął więc, oburzając się wyczynami pana Squeersa[35], który z pewnością nie cofnąłby się przed kradzieżą wina z piwnicy.

Poczuł to, zanim zorientował się, co czuje. Jego własne żeglarskie doświadczenia wiązały się z żaglowcami na Atlantyku, ale wyczuł zmianę w uderzeniach śródlądowego morza i coraz bardziej ociężałą reakcję parowca. Wiedział, że Wielkie Jeziora, a

szczególnie Erie, należą do najbardziej zdradliwych wód na ziemi, a zimowe sztormy na nich rozbijają statki z taką łatwością, z jaką ludzie depczą polne kwiaty. Duke i Synowie stracili zeszłej zimy dwie załadowane drewnem jednostki, co sprawiło wielką radość osadnikom wzdłuż brzegów, do których dobiły całkiem nowe deski – wystarczyło tylko wyjąć je z wody. Czytał dalej, ale dokuczało mu przenikliwe zimno. Gdy wstał, by narzucić palto, o mało się nie przewrócił, gdy statek stanął dęba pod falę. Słyszał jęk poszycia, każda belka skręcała się, gdy statek wspinał się na wielkie jak góry fale. Włożył płaszcz, grube rękawice i wyszedł na pokład.

Wściekły wiatr zdmuchiwał pianę ze szczytów fal. Wichura dopiero się zrywała i, Chryste, jakże była zimna! Zachłysnął się mroźnym powietrzem, co natychmiast obudziło ból głowy, który zdzielił go jak obuchem. Lód osiadał na wszystkim: na relingu, na pokładzie, na każdej linie, lukach – ciężki granatowy lód ważący tony. Z zafascynowaniem przyglądał się, jak lód pokrywa przód palta. Poczuł ciężar brwi. Chodzenie było niebezpieczne. Pasażerowie, którzy wyszli z kabin, żeby przekonać się, jak radzi sobie statek, zachłystywali się mroźnym wiatrem, a pewien otyły jegomość natychmiast się poślizgnął i upadł, zjechał po pokładzie, ale na szczęście zdołał chwycić reling. Nie mógł jednak wstać i za każdym podskokiem statku nogi wypadały mu za burtę i wisiały nad otchłanią. Pokrywał je lód. Czy zdoła mu pomóc? Nie. Rozejrzał się i zauważył zwiniętą linę, ale była ona zamarznięta

na kamień. Pasażerowie trzymali się każdego występu. James zastanawiał się, czy zdoła wrócić do kabiny i postawił ostrożnie krok, nie puszczając relingu. Poślizgnął się i dał za wygraną. Ludzie wołali do siebie: „Pomocy, pomocy!". Nigdy w życiu nie było mu tak zimno. Z zasmarkanego nosa zwisały mu dwa sople. Leżący przy relingu tłuścioch poddał się, zwolnił uchwyt i wpadł do Erie. Cały statek pokryła gruba na stopę warstwa lodu, a parowiec wznosił się i opadał w koryta fal, coraz wolniej i niżej. Dlaczego załoga nie zaczęła skuwać lodu, gdy tylko się pojawił? – chciał zapytać, ale nie mógł otworzyć ust. Przez zamarzającą mgłę wody widział ląd oddalony o nie więcej niż milę. Płynęli do jakiegoś portu albo zatoczki na wyspie i poczuł ulgę. Przeżyje, przetrwał już gorsze rzeczy. Wiatr pchał bezradny „Drzewo Wolności" coraz dalej i ćwierć mili od opuszczonego, pokrytego pniami drzew wybrzeża rzucił go na spienione skały. James wiedział już, że nigdy nie napije się tej madery, ale czuł przedziwny triumf: migrena stała się mało uciążliwym wspomnieniem.

Cyrus dowiedział się o tym pierwszy od armatora parowca i czym prędzej przyszedł do Lavinii.

– Musimy tam pojechać – zadecydowała. – Bezzwłocznie. To mój ojciec. Musimy do niego pojechać.

Wyprawa na brzeg jeziora w pobliżu miejsca, w którym rozbił się parowiec, zajęła im dwa dni podczas najmroźniejszej zimy

stulecia. Cyrus był wyczerpany poruszeniem Lavinii, jej niespokojnym rzucaniem głową i płaczem. Niskie temperatury pokryły całe wybrzeże Erie kryształowymi kopułami lodu. Pośród pniaków zamienionych w lśniące lodowe cylindry znaleźli około trzydziestu zamarzniętych ciał zniesionych przez drwali oderwanych od pracy w odległym o milę obozowisku. Pasażerowie parowca zamarzli w najróżniejszych pozach, które przyjęli, gdy krew scaliła się w ich żyłach. Wielu – zda się – wciąż zaciskało w dłoniach liny czy reling, a na ich obliczach malowała się determinacja, przerażenie bądź strach. Kapitan w lodowym mundurze trzymał w ręku zamarznięty zegarek. Znaleźli Jamesa z uniesionym ku niebu zlodowaciałym wzrokiem, jego wąskie wargi wyglądały jak szpara. Lavinia dotknęła marmurowego policzka ojca. Spojrzała na Cyrusa, który uczynił jakiś niezrozumiały gest i oznajmił:

– Spotkamy go w niebie.

Niektórzy robotnicy leśni znosili resztki sprzętu i desek kołyszące się jeszcze na ciężkich falach. Lavinia dostrzegła wśród nich mężczyznę o zgarbionych plecach i ramionach – skądś go znała…

– Pan Roby? Och, to naprawdę pan! Panie Roby, wyświadczy mi pan wielką przysługę, za którą zresztą panu zapłacę. Wśród ciał leżą zwłoki mojego ojca, Jamesa Duke'a. Muszę przewieźć je do Detroit i pochować. Czy mogę liczyć na pańską pomoc?

Pan Roby spojrzał na jej pobielałą jak śnieg twarz, na zamarznięte smugi po łzach.

– Jezus Maria! Pan James Duke? Ojciec panienki? Oczywiście, że pomogę panience! Zabierzemy go stamtąd natychmiast. I nie wezmę od panienki żadnych pieniędzy.

– Nigdy nie zapomnę pańskiej wspaniałomyślności – obiecała.

Została sama, jeśli nie liczyć Cyrusa i Clary, która nie miała znaczenia. Znała samotność ze znienawidzonej pensji w Anglii. A teraz James leżał na cmentarzu Mount Elliot, a Posey w Bostonie, wszyscy wujowie nie żyli, więc znów było to samo. Leżała na łóżku i usiłowała oddychać powoli. Oddychała… oddychała wolno i usłyszała najsmutniejsze dźwięki na świecie, dalekie nuty fortepianu w pustym pokoju… *re mi fa sol*… „Mama, mama!”

Obudziła się po kilku godzinach w ciemności, łomotało jej serce, słony policzek przykleił się do jedwabnej poszewki poduszki. Dlaczego wcześniej nie przyszło jej to do głowy? Nie jest sama! Jest ktoś, kto się nią zaopiekuje i zajmie! Choć był prostym człowiekiem, miał szlachetny charakter bez względu na to, co o nim mówiono. Wstała, zapaliła lampę naftową i zaczęła pisać. Pióro żłobiło kartkę za kartką, atrament się rozpływał, a gdy skończyła, zaczynało już świtać. Złożyła kartki, owinęła, zapieczętowała i zaadresowała pakiecik. Poczuła się spełniona, wiedząc, że zdołała się ocalić. Była bardzo zmęczona, więc wróciła do zimnego łóżka i zasnęła.

Wstała w południe, na obiad zjadła duszone piersi kurczaka. Zaniosła list na pocztę i wysłała. Teraz mogła tylko czekać. Nie niepokoiła się. On jej nie zawiedzie.

Mijały dni i Lavinia zaczęła się martwić. Po upływie dziesięciu dni odpowiedź jeszcze nie nadeszła. Rzucała się w wir biurowych obowiązków, ale z godziny na godzinę coraz lepiej zdawała sobie sprawę, że nie podoła prowadzeniu firmy Duke i Synowie w pojedynkę.

Umówiła się na spotkanie z panem Edwardem Pye'em. James sprowadził Pye'a – księgowego, skarbnika i płatnika firmy – do Detroit i umieścił go w domu niedaleko biur Duke'ów. Pan Pye – bladolicy dżentelmen o kręconych włosach i brodzie – był powściągliwy i odpowiedzialny: idealny pracownik. Ale miał zwyczaj wytykania braków i niedociągnięć w firmie, na co Lavinia nie mogła pozwolić. Przedstawił jej jednak prawnika z Chicago, Claytona Jaspera Flense'a, bawiącego przejazdem w Detroit. Przez dwa tygodnie Flense stał się nieodzowny. Doradził jej przeniesienie firmy do Chicago, które ma znacznie dogodniejsze położenie w środku kraju i staje się ważną metropolią. Doradził jej stworzenie spółki i wybranie rady nadzorczej.

– Bardzo wiele przedsiębiorstw zmienia status na spółkę. Bo wówczas, bez względu na to, czym się zajmuje firma, odpowiedzialność prawna nie spada na właściciela ani poszczególnych członków rady czy dyrektorów, ale na spółkę,

która jest rzeczą, a nie osobą. To zapewnia wszystkim ochronę prawną, pojmuje pani? Dzięki temu może pani również zebrać dodatkowy kapitał na zakup olbrzymich terenów leśnych. Inwestorzy cieszą się przywilejem ograniczonej odpowiedzialności, co oznacza, że nie mogą stracić więcej niż zainwestowali. Spółki to jedna z największych korzyści prowadzenia interesów w tym kraju… rejestrowanie spółek leży w gestii administracji stanowej, a nie federalnej… więc jeśli nie jest pani zadowolona z sytuacji w jednym stanie, bo w innym pojawiają się większe możliwości, może się pani przenieść. Spółka to siła napędowa amerykańskiego ducha przedsiębiorczości. Nie mamy tyranów ani despotów na tronie, wyciskających z nas wszystko i wpędzających nas w ubóstwo. Możemy odkrywać, dokonywać wynalazków, pracować, produkować i czynić, wiedząc, że zatrzymamy owoce naszych starań.

– Ale mój ojciec twierdził, że spółki zamieniają się w monopole, co źle wpływa na ich status i sytuację jedynych właścicieli. Podawał przykład Kompanii Wschodnioindyjskiej.

– Ale to nie było amerykańskie przedsiębiorstwo. Proszę pamiętać, że działało z mocy królewskiego nadania i cieszyło się „protekcją” korony angielskiej, która trzymała je pod butem. Amerykanie boją się z kolei, że spółki mogą uzyskać zbyt dużą władzę. Czujemy antypatię do władzy, nawet jeśli ją podziwiamy. Przypuszczam, wszakże, iż rywalizacja między spółkami uspokoi te obawy i je zażegna.

Rozumiała to wszystko, wydawało się jej, że pojmuje sytuację. Nadszedł czas, by zmienić kształt firmy Duke i Synowie. I każdego dnia czekała na odpowiedź na ów bolesny, pisany nocą list.

Flense i Pye okazali się cenni, ale Lavinia potrzebowała pomocnika – kogoś, kto zostałby jej sekretarzem, zajmował się papierami, biurem, nadzorował innych pracowników, uzgadniał spotkania w interesach i umawiał gości. Dała nieduże ogłoszenie w „The Democratic Free Press and Michigan Intelligencer", określając w nim, że szuka odpowiedzialnej i uporządkowanej kobiety.

Na ogłoszenie odpowiedziały tylko dwie panie. Pierwszą z nich była koścista osiemnastolatka, która chciała się wyrwać z ojcowskiej farmy na wyrębisku. Była na przemian wstydliwa lub prostolinijna. Skubała nerwowo krwawiące skórki przy paznokciach i miała niewielkie kwalifikacje, poza pragnieniem ucieczki od wiejskiego życia.

– Umiem czytać, umiem pisać. Reszty mogę się nauczyć! – odpowiedziała, zapytana przez Lavinię o umiejętności.

– Podziwiam pani wiarę, ale to za mało, panno Heinrich. Zapiszę sobie pani nazwisko w notesie i dam znać, gdyby w przyszłości pojawiło się jakieś odpowiednie miejsce.

Drugą kandydatką okazała się wdowa w średnim wieku o rudawych włosach, niejaka Annag Duncan, szczupła osoba o

długich pajęczastych palcach. Miała niski spokojny głos.

– Pracowałam w biurze kapelusznika w Glasgow, zanim poznałam męża, Alasdaira Duncana. Po ślubie zostałam w domu. Mąż chciał wyjechać do Nowego Świata i handlować rzadkim drewnem. Znał się na tym. Popłynęliśmy do Nowego Jorku. Ale kaszel męża, na który cierpiał od lat, co uznawaliśmy za nic wielkiego, znacznie się pogorszył, pojawiła się krew. Doktor powiedział, że cierpi na suchoty i powinien zamieszkać w górskiej, pozbawionej wilgoci okolicy. Człowiek, dla którego pracował mąż, stwierdził, że przed wyjazdem w góry musi pojechać do Detroit i obejrzeć piękne sosnowe lasy. Więc przyjechaliśmy tu i po dwóch tygodniach mąż umarł. Nie zdążył wyjechać w góry.

Pani Duncan była bezpretensjonalna i nie miała pieniędzy, co można było poznać po jej podniszczonej garderobie. Doświadczenie w pracy biurowej u kapelusznika dawało jej przewagę nad innymi i Lavinia postanowiła ją zatrudnić. Posłała również po córkę farmera, żeby pomagała Annag.

– Biorę za dobrą monetę pani pragnienie nauki, panno Heinrich. Zatrudnię panią na próbę z pensją pięciu dolarów na miesiąc i szansą na podwyżkę, jeśli się pani sprawdzi. W niedługim czasie będziemy przenosić się do Chicago. Proszę zgłosić się do pani Duncan jutro o siódmej rano, wyznaczy pani obowiązki. Oczekuję oddania i pilności w pracy.

Teraz – myślała – muszę uporać się z Cyrusem. Chciała pozbyć się go z firmy. Cyrus był apodyktycznym zrzędą, ledwo słyszał i

sprawiał same kłopoty. Lavinia ufała swoim umiejętnościom i wsparciu Flense'a i Pye'a. A odpowiedź na jej list ciągle nie nadchodziła.

Gdy w końcu nadeszła, była tak niezgodna z jej oczekiwaniami, że Lavinia nie mogła uwierzyć w to, co czyta. Więc czytała ją raz po raz, obawiając się, że popełnia jakiś błąd. Ale bardzo proszę… to była odmowa: *…pani wspaniałomyślna propozycja… wolę zachować własne nazwisko… wybiorę sobie sam małżonkę… zarobię na swoje utrzymanie*. Pan Andre Roque miał jeszcze czelność życzyć jej wszystkiego najlepszego.

Rozkleiła się, a potem wściekła i wrzeszczała, rzucała sukienkami, kopała meble, wyrzuciła książki przez okno, krzyczała najstraszniejsze przekleństwa znane jej nie wiadomo skąd, aż w końcu rzuciła się z płaczem na wybebeszone łóżko.

Na dole pani Trame i nowa pokojówka Alberta Snow słyszały te krzyki.

– Co jej się stało? – zapytała Alberta.

– Myślę, że rozpacza po ojcu – odpowiedziała pani Trame.

– To nie jest rozpacz. To wściekłość, płomienna furia. Furia wściekłego psa.

– Rozpacz ma wiele oblicz – stwierdziła pani Trame.

Następnego ranka Lavinia, ubrana na czarno, zeszła na śniadanie bez słowa. Wypiła trzy filiżanki kawy, zjadła tost i jabłko.

– Pani Trame, jadę dzisiaj do biura. Wrócę do domu w południe i proszę o skromny lunch, cokolwiek wpadnie pani w ręce. Proszę, żeby pan Kneebone naprawił lampy w sypialni. Miałam wczoraj trudny wieczór, ale jestem już całkiem zdrowa.

Po raz ostatni okazała emocje – wmawiała sobie. Od tej pory wyrzeknie się współczucia i żalu, które są oznakami słabości. Nie będzie czuła już nic do nikogo.

Cyrus przyszedł do biura, paląc cygaro Jamesa (po pogrzebie zabrał pudło cygar z biurka zmarłego). Przyglądał się siedzącej za biurkiem pani Duncan, czysto i schludnie odzianej w czarną wełnianą suknię ze skromnym kołnierzykiem.

– Kim pani jest? – zapytał ją zaczepnie.

– Nazywam się Annag Duncan. Pani Duke powierzyła mi kierowanie biurem. A pan jest…

– Hę? Hę? – W końcu zrozumiał. – Kierowniczka biura! Bez pytania mnie o zdanie? Gdzie ona jest?

Pani Duncan wskazała brodą drzwi do gabinetu Lavinii.

– Kogo mam zaanonsować?

– Co? Ha! Co za bzdury!

Zaczął prosto z mostu:

– Kto dał ci pozwolenie na zatrudnienie tej kobiety?

Lavinia wstała i krzyknęła mu prosto do ucha:

– Nie żyje żaden z członków rady, oprócz mnie i ciebie. Nie potrzebuję niczyjego pozwolenia. Stoję na czele Duke i Synowie

jako dziedziczka Jamesa Duke'a, w tym jego udziałów w przedsiębiorstwie. Będę robiła to, co uznam za konieczne!

– Wyraźniej nie da się tego ująć, panienko!

– A co się tyczy twojego miejsca w tej firmie: lepiej, żebyś odszedł z własnej woli.

Spodziewała się, że wybuchnie, zrobi jej scenę, ale zaskoczył ją.

– Ja również uważam, że nadszedł czas na zmiany, Lavinio. Od kilku lat chcę mieć własny handel drewnem. Mam kontakty z wieloma przedsiębiorcami z branży, nie tylko z Duke i Synowie. Każdego dnia w lasach powstają nowe przedsiębiorstwa. Rzecz jasna chciałbym, aby Duke i Synowie pozostali moim głównym klientem.

Annag Duncan w sekretariacie słyszała każde słowo.

Lavinia uśmiechnęła się.

– Gratuluję ci, Cyrus. Zamierzam przenieść firmę do Chicago. I zmienić jej nazwę na Duke Cięcie i Transport Drewna, jako że nie ma już żyjących męskich potomków.

Cyrus chciał coś powiedzieć, ale Lavinia położyła palec na ustach i wskazała drzwi do sekretariatu. Podniosła pióro i napisała: *Firma przerosła Detroit. Zmieniają się główne ośrodki. Chicago idealne. Podwoiło liczbę mieszkańców przez dwa lata: lasy, jeziora, rzeki, łatwy transport drewna. Kolej Galena and Chicago Union Railroad. Więcej budynków. Illinois and Michigan Canal łączy Wielkie Jeziora z Missisipi.* Odczekała, aż przeczyta to, co napisała, a potem wrzasnęła prosto do owłosionego ucha:

– Przedsiębiorstwa już nie działają na osi północ-południe, ale wschód-zachód, a koleje trafiają tam, gdzie nie płyną żadne rzeki. Chicago jest w centrum tego wszystkiego. Żaden przedsiębiorca nie może tego zignorować.

– Ha! – Cyrus był pod wrażeniem jej wykładu na temat przewag Chicago. – Klnę się na Boga, że to prawda.

Przedsiębiorcy z całego kraju, ba, z całego świata zwąchali już podniecający zapach Chicago, miasta stulecia, głównego węzła komunikacyjnego na zachodzie. Wszyscy zjeżdżali tam wygłodniali tylko w jednym celu: żeby się nasycić, nasycić i jeszcze raz nasycić. Chicago stało się chciwością wcieloną i wcielonym czynem i stanie się zapewne najważniejszym ośrodkiem przemysłowym na świecie. Postanowił, że sam przeniesie interes do Chicago jak najprędzej.

Lavinia znów pisała: *Posiedzenie rady, składasz formalną rezygnację. Zostań, proszę, w radzie Duke Cięcie. Prawdopodobnie założymy spółkę.*

Odczytał tę wiadomość, obrzucił ją surowym spojrzeniem i powiedział:

– W wielu stanach legislatury utrudniają działalność spółek.

– Duke Cięcie znajduje się w korzystnej sytuacji, jeśli chodzi o legislaturę Michigan.

Cyrus nic na to nie odpowiedział, co wzięła za oznakę przyjęcia tego do wiadomości.

– Chciałbym rozstać się z tobą bez złości. Czy Breitsprecherowie są twoimi klientami?

– Ha, ha! Tajemnica handlowa!

Równie dobrze mógłby napisać odpowiedź twierdzącą na ścianie.

W następnym roku Lavinia mieszkała już w Chicago w domu ze szklaną kopułą nad krytym miedzią dachem nad brzegiem jeziora. Pani Trame zmarła, cierpiała na puchlinę, od czego jej nogi nabrały wielkości, kształtu i koloru fok z portu w Bostonie. Umarła nagle, padając na podłogę przy zagniataniu ciasta na chleb. Nowa kucharka, pani Agnes Balclop, okazała się całkiem dobra. Stary Kneebone naprawiał wszystko, co wymagało naprawy, zajmował się końmi i ogrodem, a w sobotnie wieczory upijał się i ryczał na całe gardło. Lavinia miała towarzyszkę, Goosey Breeley, daleką kuzynkę Posey z Nowego Brunszwiku, która sprowadziła się do Chicago. Była nieco podobna do Posey, miała podobny do niej głos i mówiła z takim samym akcentem. Zajęła urząd oficjalnej stronniczki, konsultantki medycznej, konstruktywnej krytyczki i robiącego sprawunki posłańca. Sprawowała pieczę nad domem, a wszyscy bali się jak ognia jej niewybrednego języka z Nowego Brunszwiku. Często tłumaczyła każdemu, kto chciał słuchać, że Chicago w ogóle nie umywa się do Nowego Brunszwiku.

Lavinia, adwokat Flense oraz księgowy Pye spotkali się w nowej sali posiedzeń rady: sześcianie białych otynkowanych ścian z siedmioma oknami wychodzącymi na jezioro Michigan. Mieli do omówienia kandydatury na stanowiska w firmie. Annag Duncan postawiła na długim stole pod oknami parujący dzbanek z kawą oraz ciasteczka. Przed swoją ostatnią wyprawą na wschód James zatrudnił czterech nowych skautów wraz z pomocnikami, ale potrzebowali więcej ludzi. Breitsprecherowie kupowali wielkie obszary leśne na kredyt i mieli w tym przewagę. Ktoś musi zająć miejsce Lennarta.

– W obecnej sytuacji nie jestem w stanie kierować firmą i zajmować się jednocześnie skautami, podwykonawcami i tartakami – oznajmiła Lavinia, stukając w stertę dokumentów. Flense ugryzł cytrynowe ciasteczko. Pye zapisał coś w notesie.

– Potrzebny nam jest dyrektor wykonawczy – stwierdził, a Lavinia kiwnęła głową. – Zaproponuję zatem Noaha Ludluma, który pochodzi z Maine i zna się na wszystkim, od fasoli do opłat składowych. Cierpi na epilepsję, więc nie może pracować w lesie jako podwykonawca, ale zna się na wszystkim, co dotyczy drewna, dobrze układa się z ludźmi i wybiera właściwych do pracy, której sam nie może wykonać.

– Mogę się z nim spotkać w przyszłym tygodniu? Jest gdzieś w okolicy?

– Obecnie pracuje dla Breitsprecherów, ale z tego, co wiem, nie podobają się mu ich dziwne metody. Mam się z nim

skontaktować?

– Tak, proszę. Teraz zrywka drewna… czy nie potrzebujemy kogoś odpowiedzialnego, kto nadzorowałby wszystkie nasze operacje transportowe: tratwy, barki, wozy i kolej? I statki? Czy nie powinniśmy zwodować własnych barek do przewozu drewna?

– Panno Duke – odezwał się Flense. – Zyskamy w każdej dziedzinie, w której obejdziemy się bez pośredników. Takie działania zmniejszają liczbę rąk, przez które musi przejść nasze drewno, zanim przyniesie zysk. Firmie wyszłoby na dobre, gdyby zwodowała własne statki i barki zbudowane w firmowej stoczni.

Lavinia sporządziła notatkę, a po głowie chodził jej pewien pomysł. Flense wstał i poczęstował się ciasteczkiem – dwoma w cytrynowej polewie.

Znów przemówił Pye:

– Nawet drobne usprawnienia zmieniają nasze wyniki, w związku z czym mam pytanie: czy prowadzimy składy w obozach podwykonawców? Sklepy, w których drwale kupują odzież, tytoń i inne niezbędne rzeczy?

– Nie. Czy to nie należy do podwykonawców?

Wtrącił się Flense:

– Właśnie o tym mówiłem. Musimy zatrudnić własnych kierowników obozowisk i własne ekipy drwali. Musimy pominąć podwykonawców.

Znów Pye:

– Racja. Trzeba pominąć podwykonawców i zatrudnić własne ekipy drwali pracujących dla Duke Cięcie pod nadzorem rozumnych i dobrze opłacanych majstrów. Trzeba też zatrudnić najlepszych obozowych kucharzy za najmniejszą pensję. I w każdym obozowisku należy założyć sklep ze spodniami, butami, skarpetami, nożami, siekierami, szelkami, słodyczami, tytoniem, a może nawet z papierem, świecami, grzebieniami i tym podobnymi. Trzeba to kupić hurtowo za jak najniższą cenę. Mogę się zająć zakupami, jeśli taka wola. Ustalimy ceny nieco wyższe niż u hurtowników w mieście i odzyskamy sporą część tego, co wydamy na pensje.

Lavinia kiwnęła głową. Sugestia ta zabrzmiała w jej uszach następująco: „Płać jak najmniejsze pensje i sprzedawaj towary robotnikom po jak najwyższej cenie". Drwale w odległych obozowiskach przyjmą takie sklepy z pocałowaniem ręki. Miała w głowie mnóstwo pomysłów.

– Czytałam gdzieś o firmie drzewnej z Pensylwanii, która zbudowała wąskotorową linię kolejową z wyrębu do tartaku, z małą lokomotywą i platformami. Moglibyśmy zastanowić się nad czymś podobnym. Ucieklibyśmy w ten sposób od tyranii rzek, bo obecnie tniemy drzewa tylko w pobliżu potoków. A najlepsze gatunkowo drewno można znaleźć z dala od wody, gdyż do tej pory nikt nie zawracał sobie nim głowy. Problem w tym, że kolej jest przerażająco droga.

– Ale trzeba inwestować pieniądze, żeby je zarabiać. Nie powinniśmy obawiać się innowacji, bo przynoszą zyski.

Flense zjadł cytrynowe ciasteczka i zabierał się za pierniczki z melasy.

– Czytałam też, że to samo przedsiębiorstwo przecierało tarcicę w miejscu ścinki i wysłało wyschnięte drewno do odbiorców koleją. Musimy położyć własne linie kolejowe. – Zawahała się i dodała: – Ktoś wspomniał o Maine, co dało mi do myślenia. Powinniśmy zatrudnić kogoś odpowiedzialnego za nasze interesy w Maine. Ojciec miał zamiar sprzedać tamtejsze lasy, bo wycięto tam wszystkie wejmutki, ale zginął, zanim to przeprowadził, a ja zastanawiam się, czy istnieje rynek na inne gatunki drzew niż sosna? Bo mamy przecież świerki, choiny oraz dużo drzew liściastych: buk, klon, orzech, dąb. Być może stanowią one wartość, o której jeszcze nie wiemy. Moim zdaniem powinniśmy zachować lasy w Maine i rozejrzeć się za rynkami zbytu na inne gatunki drewna. W Michigan również rośnie znacznie więcej drzew niż tylko sosny.

– Panno Duke – odezwał się Flense – ma pani wyjątkową smykałkę do interesów, większą niż mężczyźni.

– Uczyłam się od ojca. I wuja Lennarta.

– Jeśli mogę coś zaproponować… – Strzepnął okruszki z kamizelki i spojrzał na nią poważnie. Odczuła powagę tego spojrzenia: to nie był żart ani kaprys, traktował ją jak równą sobie.

– Słucham?

– Niech pani kupi tyle gruntów w Chicago, ile tylko pani zdoła, i niech je pani trzyma. Nic nie trzeba z nimi robić, a z upływem czasu grunty te zyskają na wartości podwójnie i potrójnie, a każdy zainwestowany w ten sposób cent przyniesie tysiące. Gdy zjawiłem się w tym mieście, jeden akr w centrum kupowało się za dolara czy dwa. Obecnie ćwierć akra w śródmieściu kosztuje piętnaście tysięcy dolarów. Tak było w Nowym Jorku i to samo dzieje się w Chicago. Ziemia przyniesie olbrzymi majątek tym, którzy ją posiadają i siedzą na niej, trzymają. Tak, tak, wiem, co pani powie: że większość pieniędzy firmy zainwestowano w lasy. Doskonale. Ale po ścięciu lasów można sprzedać ziemię osadnikom. Ale naprawdę duże pieniądze, które można zarobić bez wysiłku i nakładów, poza ceną kupna, leżą tuż pod pani stopami: tu grunty miejskie. Proszę zapamiętać moje słowa.

– Będę o nich pamiętała.

Pan Pye podniósł głowę znad notatek i zaproponował, żeby po tak wyczerpujących rozmowach pójść na obiad do Tremonta. Gdy wychodzili z sali posiedzeń, pan Flense zatrzymał się przy biurku Annag Duncan.

– Jest pani cudowną kobietą, pani Duncan – powiedział. – Doskonałą kierowniczką biura, która piecze wyborne ciasteczka.

Annag oblała się rumieńcem i opuściła głowę. Lavinia pomyślała, że jest naiwna, przejmując się pochlebstwami prawnika.

Przy kotletach i pieczonych ziemniakach rozmawiali o nieruchomościach, miejskich parcelach i przecznicach, a Flense obiecał, że przedstawi Lavinii znającego się na rzeczy i sprytnego pośrednika handlu gruntami. Kiwnęła głową, w której wciąż rodziły się pomysły na powiększenie imperium, więc mruknęła w zamyśleniu:

– Powinniśmy również spojrzeć za granicę… och, nie chodzi mi o Europę i jej wyjałowione ziemie… Europa nie jest dla nas zasobem, ale rynkiem… są jednak inne regiony… miejsca, o których nie wiemy. Nie teraz, ale w przyszłości… Jakież wspaniałe drzewa mogą rosnąć w odległych lasach!

Daleko na wschodzie, głęboko pod leśną próchnicą i czarną leśną glebą, truchło Charlesa Duqueta odetchnęło z ulgą.

///

Lavinia czegoś się dowiedziała: pieniądze są jedynym prawdziwym źródłem poczucia bezpieczeństwa. Zatem doskonale – Lavinia Duke, zamożna i zdolna kobieta interesu wzniesie wokół siebie ochronny mur z pieniędzy. I przed upływem dziesięciu lat przedsiębiorstwo Duke Cięcie i Transport Drewna dochrapało się dyrektora generalnego z zastępcami, dyrektora do spraw sprzedaży, dziesiątków skautów, trzydziestu obozowisk drwali, kilku mil linii kolejowej przez las i lokomotywy nazywanej James. Miało też barki i statki wraz z załogami, tartaki i

stolarnie, dwie fabryki mebli z drzew liściastych oraz całe przecznice i parcele najlepszych gruntów w śródmieściu Chicago. Flense dobrał sobie prawników, którzy grali na legislaturach, senatorach i kongresmenach jak na banjo. Dziesięć linii kolejowych Chicago pokryło miasto niczym palce obu dłoni. Dwie parcele, które Lavinia kupiła latem za dwanaście tysięcy dolarów za jedną, po sześciu miesiącach były warte ponad dwadzieścia tysięcy. Kupowała tyle gruntów, ile tylko mogła. Wiedziała, że Flense robi to samo na swój rachunek. Liczba mieszkańców Chicago wzrosła z dwudziestu tysięcy do blisko stu tysięcy przez kilka lat.

Często przyglądała się statkom pływającym po jeziorze Michigan – każdego miesiąca ubywało żagli, a przybywało parowców. Opłacała reporterów, którzy opisywali Duke Cięcie i Transport Drewna jako filantropijne, dające zatrudnienie przedsiębiorstwo o nieskalanej moralności, a Lavinię Duke jako rzadki przykład postępowej kobiety interesu. Drobne i okazjonalne podarunki dla miasta, takie jak muszla koncertowa czy fajerwerki na Święto Niepodległości, pobudzały pismaków do tworzenia jardów entuzjastycznej prozy. Lavinia szeptała redaktorom, by wychwalali męskość i krzepę drwali, co wbiło drwalom do głowy przekonanie, że są w stanie znieść największe ryzyko i najgorsze warunki, gdyż są najwytrzymalszymi herosami. Podlani tym samym sosem osadnicy w trzecim pokoleniu uznali, że są „pionierami” i zniosą wszelkie nieszczęścia

i przeciwności. Drwale i osadnicy z pogranicza, myślała, będą żyli dumą i wiarą we własną niezniszczalność zamiast pieniędzmi. Przekonała się, że drobne gesty wywołują lawinę życzliwości. Gdy usłyszała, że drwale w którymś z obozów grali w niedzielę w palanta, zadekretowała, że w obozowiskach Duke praca kończy się w sobotę w południe, a po południu robotnicy mogą grać w baseball i wszystko inne, natomiast w niedzielę nie ma żadnych rozrywek, bo niedziela to święty dzień odpoczynku. Dzięki temu rozporządzeniu uznano ją za osobę pobożną, acz nowoczesną, co więcej za miłośniczkę sportu i zaproszono ją do Hoboken w Nowym Jorku na mecz Knickerbockersów.

Po takich obiadach, jak ten z Flensem i Pyem, Lavinia często siadała przy palisandrowym biurku i zgodnie ze zwyczajem, który przejęła od Posey, zapisywała w oprawnym w zieloną skórę notesie wszystko, co zdołała zapamiętać z toczonych przy stole rozmów. Zapisała swój pomysł na zakup tanich szkunerów, pozbawienie ich masztów i olinowania, i przeznaczenie kadłubów na barki do przewozu drewna.

Obiady z politykami i prawnikami były jeszcze bardziej interesujące, gdyż omawiano na nich palące kwestie dnia: niewolnictwo, „darmową ziemię” i ekspansję terytorialną. Znany senator, zwolennik demokracji o wielkim talencie oratorskim, wykorzystywał jej stół jako mównicę:

– Ludzie ze wszystkich stanów i terytoriów mają prawo podejmować własne decyzje. Rząd federalny z kolei nie ma prawa

narzucać stanom i terytoriom zakazu niewolnictwa w ich granicach.

Nie wspominał przy tym, że jego żona jest właścicielką plantacji bawełny, na której pracuje stu niewolników, a on sam inkasuje sowite wynagrodzenie jako nadzorca owej plantacji. Z jego ust nieustannie padał slogan „wola ludu", przez co rozumiał wolę białych, gdyż jego zdaniem „konstytucję napisali biali dla białych". Przecież nie było przy tym nikogo innego.

„Święte słowa" – szeptano przy stole.

Ludzki potop zalewał kraj: przez dwadzieścia lat do Ameryki przypłynął blisko milion Irlandczyków i pół miliona Niemców. Ludzie napływali z całego świata: Niemcy, Kanadyjczycy, Anglicy, Irlandczycy, Francuzi, Norwegowie, Szwedzi. Cały świat usłyszał już bowiem o bogatym kontynencie porośniętym nieskończenie wielkimi lasami, z ziemią kryjącą drogocenne kruszce, z dziką zwierzyną i rybami w niezliczonej mnogości, z setkami milionów akrów pustej ziemi czekającej, aż ktoś ją sobie weźmie, oraz z gościnnym wspaniałomyślnym rządem, tak oczarowanym swym demokratycznym wizerunkiem, że nieradzącym sobie ze spryciarzami, których przedstawiciele od wieków żyli tylko dzięki własnemu rozumowi. Wszystko znajdowało się tu na wyciągnięcie ręki – była to jedyna w swoim rodzaju okazja, która już nigdy się nie powtórzy.

Dla niektórych okazja ta nigdy się nie zmaterializowała: dla drwala, którego marne buty rozpadały się podczas wiosennego spływu, dla innego, który nie uznawał kawałka surowej wieprzowiny, moczonego w melasie za szczyt sztuki kulinarnej, dla męża, który przez pół roku leżał w łóżku po wypadku w lesie, a niemająca z czego żyć żona przyjmowała „lokatorów" na nie dłużej niż dwadzieścia minut, czy dla rodziny z Kansas, która podczas suszy jadła kojoty, żeby przeżyć. I dla tych, którzy mieszkali w rozrastających się szybko slumsach Chicago, w szopach z drewnianych odpadów i przegniłej skóry, stłoczonych wokół zagród dla bydła, tartaków i garbarni, otoczonych zatrutą wodą.

---

[31] 5 listopada. Rocznica wykrytego w roku 1605 katolickiego Spisku Prochowego, mającego na celu wysadzenie w powietrze Parlamentu w Londynie wraz królem Jakubem I Stewartem.

[32] Czwarty czwartek listopada.

[33] Nowela Edgara Allana Poe'a.

[34] Powieść Karola Dickensa.

[35] Postać z powieści *Nicholas Nickleby*: dyrektor szkoły z internatem Dotheboys Hall dla niechcianych chłopców.

58

ZAMKNIĘTA KOMNATA

Tego dnia Lavinia włożyła gorset i sukienkę z zielonego jedwabiu ze spódnicą ułożoną w efektowane plisy nad tiurniurą. Pod szyją upięła koronkowy żabot. Na nieosłoniętym balkonie pod kopułą wiatr targał wszystko jak wściekły ryś uwięziony między jeziorem a niebem. Ujrzała dwa odległe statki na rozedrganym horyzoncie, lecz gdy spojrzała przez teatralną lornetkę na południe miasta, nie dostrzegła slumsów. Znów odwróciła się ku północy i spojrzała na statki, mrużąc oczy. Wiatr targał jej czarne włosy ułożone w misterną fryzurę.

Zawsze istnieć będą biedacy, bezimienne hordy pozbawione ambicji na polepszenie własnego losu. Świat pełen jest strasznych nierozwiązywalnych problemów, ale to nie jej sprawa. Wytężała wzrok, żeby dostrzec szczegóły odległego parowca. Potrzebowałaby lunety! Mimo swej wysokiej pozycji miała mnóstwo własnych zmartwień: bolesną samotność (Goosey Breeley była kimś w rodzaju komody, a nie towarzyszki), nużące i męczące negocjacje w interesach, dokuczliwych rywali i brak następców. Obecnie kobiety mogły już mieć na własność majątek, a Lavinia musiała

postanowić, kto odziedziczy Duke Cięcie i Transport Drewna, wielkie połacie lasów, tartaki i akcje kolei żelaznych. Wiatr targał jej włosy. Poprawiła niesforne kosmyki i weszła do środka, odkładając lornetkę na marmurowym stoliczku za drzwiami. Myśl o następcach nie dawała jej spokoju. Następcą musi być osoba spokrewniona z Duke'ami. Ale nie Goosey! Przemknęła jej przez głowę myśl o ludzkich odpadach przybywających do tego kraju, żeby ścinać drzewa: ich życie nie było niczym więcej jak kilkoma latami mozołu z siekierą w garści. Mimo zim spędzanych w lasach, wszyscy oni mieli duże rodziny. Nie martwili się o następców, o zasługi czy charakter.

– Mój Boże… – westchnęła w garderobie do lustra w srebrnych ramach. – Jak oni to znoszą?

Miała fryzurę w nieładzie. Kim byli ci „oni" i co musieli „znosić"? Sama nie wiedziała. Ludzie mówią o szczęściu, ale co to jest? Czym jest cokolwiek? Posey nie miała takich wątpliwości, James również ich nie miał – niczym się nie martwił, oprócz najbanalniejszych trosk. Z nią jest inaczej. Czuje w sobie wściekłość wymierzoną w każdą stronę. Nie ma cierpliwości do ludzi, którzy nie spełniają natychmiast jej próśb. Jeśli nie dotrzymują kroku postępowi, powinni usunąć się na bok! James nauczył ją, jak ważne jest spoglądanie w przyszłość. Oczywiście napotyka na swojej drodze masę problemów i przeszkód, musi bez przerwy się głowić, komu może ufać, więc niemal zazdrości takim kobietom jak Clara, która zwyczajnie pozwala mężowi, żeby nią

kierował. W czasach Jamesa rządził honor i słowo, teraz tylu łajdaków ugania się za pieniędzmi, że nie sposób obejść się bez spisywania kontraktów. Chwała Bogu, że istnieje coś takiego, jak Agencja Ryzyka Handlowego Tappana, przedstawiająca raporty o wiarygodności poszczególnych przedsiębiorców. Polegała na jej wnikliwej ocenie. Nieregulujący należności kredytobiorcy mogą doprowadzić do upadku największe przedsiębiorstwo. A dzieci… Czy to przypadkiem nie ich brak leży u podstaw jej rozgoryczenia? Pewnie nie, bo brzydziła się widoku ciężarnych kobiet, które pałętały się wszędzie, zwłaszcza na wiejskich drogach. Wieśniaczki są jak tartaki. Zadrżała i zeszła na dół na herbatę z Goosey.

– Twoja fryzura! – zawołała Goosey, załamując duże blade dłonie. – Czy przynieść olejek lawendowy do wygładzenia niesfornych kosmyków?

– Dziękuję, Goosey. Właśnie tego mi trzeba, ale wolałabym olejek różany. Lawenda za bardzo przypomina mi zapach prześcieradeł.

Goosey wróciła po minucie z flakonikiem pachnącego olejku i piórkiem.

– Musisz zakładać chustkę na głowę, wychodząc na balkon – powiedziała cicho, wiedząc, że Lavinia i tak jej nie posłucha.

Kwestia następców wdarła się do snów Lavinii, gdy Cyrus wraz z rodziną – podobnie jak wielu innych zamożnych i biednych

mieszkańców Chicago – rozchorował się na tyfus. Zmarł w bólach po perforacji jelit. Dzieci odeszły jedno po drugim, a w końcu Clara – oszalała z bólu i bezradności – zawiązała pętlę na grubym, różowym, jedwabnym szalu i zeskoczyła z krzesła ustawionego na stole w jadalni, gdzie powiesiła się na żyrandolu.

Tamtej zimy Lavinia również cierpiała na liczne schorzenia, począwszy od kolki, a na wysypce skończywszy. Nie lubiła Clary, ale brakowało jej powinowatej, podobnie jak starego Cyrusa. Pod wpływem tych nieszczęść zaczęła przeglądać stare rodzinne dokumenty Duke'ów i sprowadziła na pomoc zamiejscowych genealogów. Dowiedziała się przy okazji, że niewielu Amerykanów interesuje się swoimi przodkami, szczycąc się tym, że nie pętają ich więzy przeszłości, chyba że mieli w rodzinie jakąś wybitną postać – wówczas wymachują nią jak flagą. Przeglądała zatem spisy krewnych. Dzieci Sedleya Duke'a z drugiego małżeństwa zmarły bezpotomnie. Lennart Vogel nigdy się nie ożenił. Edward i Freegrace nie mieli znanych potomków.

– Wie pan co? – zwróciła się do adwokata Flense'a – Najboleśniejszą prawdą jest to, że pozostałam ostatnią żyjącą z Duke'ów.

– Ależ to nonsens, Lavinio! Musi mieć pani jakichś krewnych i spadkobierców. Trzeba kogoś zatrudnić, żeby ich znaleźli – mówił zniecierpliwionym tonem, jakby w pobliskiej jaskini tłoczyli się niczym śledzie w słoiku jacyś nieodkryci kuzyni. Ale Lavinia miała wątpliwości. Czy genealodzy zdołają odkryć jakichś

krewnych w Stanach (jeszcze) Zjednoczonych czy w Niderlandach? Dwaj mędrcy, do których trafiła – Sextus Bollard z Bostonu i R.R. Tetrazinni z Filadelfii – prowadzili księgarnie, a w czasie wolnym od natrętnych klientów śledzili linie genealogiczne.

Lavinia zaprosiła ich do Chicago na rozmowę. Pierwszym, który zjawił się na obiad i wywiad, był Sextus Bollard. Ma nie mniej niż sześćdziesiąt lat, pomyślała Lavinia, patrząc na jego staromodne spodnie w kratkę. Nosił do nich mocną laskę ze złotą gałką w kształcie głowy gorgony.

Goosey zasiadła z nimi do obiadu, podczas którego gawędzili o podróży pana Bollarda (niełatwej) i przedstawionych barwnie przez konduktora niebezpieczeństwach pokonywania koleją równin na zachodzie. Konduktor twierdził, że iskry z komina często podpalają suche trawy, a pasażerowie kulą się na ławkach, gdy pociąg mknie przez morze ognia. Dodał, że podczas jednego niefortunnego przejazdu płomienie ogarnęły pociąg, a pasażerowie upiekli się w nim jak gołębie. Nadjechali Indianie i zjedli ich jak woły z rusztu.

– Na całe szczęście – kończył pan Bollard – nie spotkało mnie nic gorszego oprócz towarzystwa nieokrzesanych mieszkańców Ohio i Terytorium Indiany.

– Bardzo niepokojąca opowieść, jeśli przyjąć, że jest prawdziwa – odezwał się pan Flense. – Ale obawiam się, panie Gonad, że konduktor pana nabierał.

– Nazywam się Bollard – warknął gość. – I przypuszczam, że powiedział mi prawdę, pokazał mi bowiem artykuł i ilustrację wycięte z „Harper's", które trzymał w kieszonce na piersi dla rozrywki podróżnych. – Obrzucił Flense'a gniewnym spojrzeniem i od razu poczuł do niego antypatię.

Po obiedzie Goosey poszła na górę, a Lavinia, adwokat Flense i pan Bollard przeszli do biblioteki, gdzie genealog otrzymał odpisy rodzinnych dokumentów Duke'ów i gdzie omówiono warunki jego zatrudnienia.

– Jest pani pewna, że chodzi o Niderlandy, a nie Francję? – zapytał Bollard. – Rzuciłem okiem na te dokumenty i wynika z nich, że pani przodek Charles Duquet pochodził z Francji, z samego Paryża! Czy to prawda?

Lavinię piekła szyja, na której często pojawiała się nieprzyjemna wysypka.

– Tak, to prawda. Pochodził z Francji, co umknęło mi z pamięci. Choć Holandia uchodzi za nasze gniazdo rodowe, co podkreślał nieustannie wuj Lennart Vogel. Nasz protoplasta Charles Duquet zawsze stanowił zagadkę. Z tego, co słyszałam, przepadł gdzieś w puszczy. Ale proszę sprawdzić w Paryżu. Kto wie, na co pan trafi? Zastanawiam się nad poszukiwaniami trwającymi przez pół roku. Oczywiście pokryjemy koszty podróży i inne związane z pracą wydatki. A jeśli trzeba będzie wyruszyć gdzieś dalej, omówimy to w odpowiedniej porze.

– I proszę o zachowanie rachunków każdego, nawet najdrobniejszego wydatku – wtrącił adwokat Flense. – Tak, jak trzeba.

Tak więc Bollard, który uznał Lavinię za bledsze, starsze, brzydsze i bardziej współczesne ucieleśnienie wykształconych kobiet z dzieła Thomasa Amory'ego *The Life and Opinions of John Buncle, Esq.*, zamknął księgarnię i popłynął do Francji w poszukiwaniu krewnych Duqueta z kuframi wypełnionymi papierem do sporządzania notatek, gramatykami i słownikami, gdyż czytał po francusku, ale nie mówił w tym języku i miał zamiar zapisywać pytania na papierze.

Tetrazinni był młodszy, miał rozwichrzoną rudą brodę i okulary srebrnej oprawce. Zjawił się tydzień później. Nosił się modniej od starego Bollarda: miał na sobie plisowaną koszulę z niskim kołnierzykiem, szeroki jedwabny krawat spięty ciężkim sygnetem, aksamitną kamizelkę, a do niej – czyżby? ależ tak! – czarne aksamitne spodnie. Na obiad podano baraninę i gotowane ziemniaki. Tetrazinni zerkał z zamyśleniem na talerz i na kuchenne drzwi, ale nikt nie poczęstował go tłustym kapłonem ani pacyficznymi ostrygami. Goosey cierpiała na katar żołądka i sączyła u siebie w pokoju cielęcy bulion. Adwokat Flense piłował baraninę, słuchając obszernej, podekscytowanej relacji gościa z podróży: dziwnym zrządzeniem losu wysłuchał tej samej opowieści o płonącej prerii co Bollard. Przy brzoskwiniowym

placku Flense spojrzał znacząco na Lavinię i przeprosił, że musi opuścić towarzystwo.

– Obawiam się, że muszę biec. Jutro rano pojawiam się w sądzie i muszę wypocząć przed sprawą. Jestem zachwycony, że pana poznałem, panie Tetrazinni. Życzę panu owocnych poszukiwań – zakończył, ukłonił się i wycofał do drzwi.

Lavinia i Tetrazinni przeszli do biblioteki na kieliszek porto, a Lavinia przekazała gościowi pękatą paczuszkę rodzinnych dokumentów skopiowanych przez Annang Duncan i pannę Heinrich. Tetrazinni przez kilka minut przerzucał odpisy dokumentów, nie przestając przy tym rozmawiać. Zadawał, jak dla Lavinii, za dużo pytań. Zatrudnili go, więc czy nie może wykonywać pracy, nie zasypując jej pytaniami o nazwiska? Stare rodzinne dokumenty i list z pewnością mu wystarczą, jeśli tylko zechce się zamknąć i przeczytać je w ciszy.

– Nie umiem panu odpowiedzieć – odpowiedziała po raz czwarty, gdy zapytał ją o spis przodków i krewnych z Amsterdamu, ich adresy i zatrudnienie. – Przypuszczam, że większość nie żyje. Pana zadaniem jest ich odnaleźć. – Miała go już dosyć.

– Owszem, ale muszę znać nazwiska, żeby trafić do ich dzisiejszych potomków. Muszę od czegoś zacząć – dodał, unosząc podbródek.

Wskazała mu odpisy dokumentów, które trzymał w ręku. W końcu stanęło na tym, że czytał na głos przez dwie godziny,

czerpiąc kolejne nazwiska z prowadzonej w języku niderlandzkim korespondencji Vogela. Miesiąc później popłynął do Amsterdamu z listą nazwisk oraz listem polecającym od Lavinii, skierowanym do wszystkich zainteresowanych posiadających informacje o jakichkolwiek żyjących krewnych Charlesa Duqueta i Kornelii Roos.

Tetrazinni zapamiętał, że powinien zbadać losy Outgera, syna Charlesa Duqueta, który był kimś w rodzaju uczonego i specjalisty od amerykańskich Indian. Uczony czy nie, musiał z kimś mieszkać w Lejdzie lub innych miejscach. A wcześniej mieszkał przecież w Ameryce, prawda? Problem w tym, że nie wiedział gdzie. W dokumentach panny Duke często pojawiał się „duży sosnowy stół", który był własnością Duqueta i którego zwrotu domagano się w imieniu Duke i Synowie, nikt nie wspomniał wszakże o miejscu, w którym stał ów mebel, ani o jego właścicielu. Tetrazinni przyjął, że zarówno stół, jak i jego właściciel przebywali gdzieś w Bostonie, ale w starych spisach ludności miasta nie było żadnego Outgera Duqueta.

Przeczytał raz jeszcze dosyć krótką historię rodu, spisaną na trzech wyblakłych, spiętych szpilką kartkach podpisanych przez Bernarda Duke'a, a jego uwagę zwróciły dwa zdania mówiące o wyprawie protoplasty rodu do Chin.

– Pięknie, pięknie – mruknął pod nosem. – Jeśli nie znajdę nikogo w Amsterdamie, może w Pekinie są jacyś Duqueci, choć pewnie trudno ich odróżnić od Jich i Jongów.

Wyobraził sobie nie tak znów nieprawdopodobną ewentualność, że informuje pannę Duke, iż jej jedynym żyjącym krewnym jest chiński sprzedawca klusek.

Duke'om, Breitsprecherom i innym pomniejszym przedsiębiorstwom drzewnym interesy szły całkiem dobrze. Nienasycone rynki zbytu wzdłuż rzek Missisipi i Missouri domagały się coraz więcej drewna, prześcigając w tym Albany i Buffalo. Na preriach pojawiła się fala chcących uprawiać ziemię imigrantów – żylastych mężczyzn, wiecznie ciężarnych żon i posiniaczonych dzieciaków. Wszyscy chcieli mieć domy i stodoły, silosy na paszę i stajnie, potrzebowali mebli i gontu, deszczułek i kołków, poręczy i słupów. Nowe linie kolejowe biegnące przez prerię dostarczały im drewno i przywoziły do Chicago bydło i świnie. Wojna oraz traktaty z Indianami, gwarantujące im roczne przydziały zwierząt hodowlanych, oznaczały dla miasta tysiące akrów zagród. Na zagrody potrzebne były szybko deski i kołki, ogrodzenia i bramy. Wszystko szło z dymem co dwa trzy lata, ale w lesie rosły – nieskończenie wiele drzew.

W latach wojny z Południem w skład rady nadzorczej Duke Cięcie i Transport Drewna wchodzili: adwokat Flense, księgowy pan Pye, właściciel gazety „Chicago Progress" David Neale, kierowniczka biura Annag Duncan, Noah Ludlum, który nadzorował wyręby i tartaki, jeszcze jeden człowiek z Maine,

Glafford Jones, odpowiedzialny za transport kłód i drewna, oraz dwaj bogaci inwestorzy z branży, Theodore Jinks i Axel Cowes, którzy kupili znaczne udziały w spółce. Jinks i Cowes wybudowali sobie rezydencje na parcelach graniczących z posiadłością Lavinii. A cała trójka stała się właścicielami parku – trzydziestu akrów lasu nad jeziorem, otaczającego ich posiadłości. Lavinia często spacerowała w cichym lesie wieczorami, spotykając jedynie Axela Cowesa wyprowadzającego spaniele.

– Dobry wieczór, Lavinio – witał ją Cowes, kłaniając się lekko. – Piękny dzień.

– Tak, bardzo piękny, Axel.

Cowes miał już po sześćdziesiątce, siwe włosy i miękkie różowawe policzki. To on zaproponował kupno parku. Kolekcjonował obrazy i interesował się sztuką. W lesie, oprócz bogactwa, dostrzegał także piękno, coś, czego nie pojmowała Lavinia, podobnie jak przyjemności, którą czerpała ze spacerów po ocienionych ścieżkach. Jeśli chodzi o sztukę, podobały jej się obrazy jeleni pijących z leśnych stawów, po których, jak po lustrze, wiosłowali w czółnach Indianie. Lubiła duże płótna ukazujące myśliwskie trofea oraz ryciny z panoramami miast, a także dane statystyczne kaligrafowane na ozdobnych zwojach. Cowes, mimo wieku i odmienności charakterów, oświadczył się kiedyś Lavinii jak wielu innych mężczyzn. Chodziło im tylko o jej pieniądze i posiadłości – dobrze o tym wiedziała. Theodore Jinks, znacznie prymitywniejszy od Cowesa i piętnowany plotkami o nałogowym

hazardzie, także jej się oświadczył. Ale Lavinia nie miała im tego za złe. Lubiła ich obu, bo na obu mogła polegać w radzie, gdyż znali się na przemyśle drzewnym. Gdy Cowes zaproponował kupno parku, z przyjemnością wyraziła zgodę, choć zauważyła minę Jinksa, gdy Cowes wspomniał o „konfiskacie" cennych sosen.

– Te sosny warte są sporo pieniędzy – mruknął Jinks.

– Owszem, i dlatego należy je ocalić, aby przypominały nam, skąd wzięło się to bogactwo. A poza tym nikt nie chce mieszkać na wyrębisku. – Cowes potrafił wszystko ubrać we wzniosłe słowa, po których Jinks przebierał nogami i klął pod nosem.

– Z wyjątkiem farmerów – syknął niezbyt mądrze.

Spór nie miał sensu, Lavinia i Cowes tolerowali jednak Jinksa. Z ledwością. Pociechę przynosiła mu myśl, że pewnego dnia i te sosny pójdą pod topór, jak wszystkie inne.

Pye, Flense i Lavinia stanowili wewnętrzny krąg Duke Cięcie i Transport Drewna. Żadne z nich nie marnowało czasu na pogawędki, mówili tylko o interesach. Pojawienie się telegrafu przed kilkoma laty było darem niebios dla świata biznesu i kolei. Hojny kongres gwarantował Union Pacific i Central Pacific szesnaście tysięcy dolarów za każdą milę szyn na równinach i dwa razy tyle za milę w terenie górzystym, a do tego szeroki na czterdzieści mil korytarz przez cały kontynent. Tam były prawdziwe pieniądze, naprawdę wielkie fortuny, o których Duke'om nawet się nie śniło. Ale nie musieli się martwić. Środek kraju eksplodował histerycznym rozwojem. Transporty drewna

Duke'ów wzrosły czterokrotnie, gdy armia Unii zaczęła wznosić forty i więzienia. Przedsiębiorcy z Chicago z radością dostarczali rządowi wszystko, co było potrzebne do prowadzenia wojny, w najpodlejszej jakości, po najwyższych cenach – od puszkowanej wołowiny do furażerek. Lavinia, Cowes i Jinks również nie mieli skrupułów przy sprzedaży wypaczonych sękatych desek za cenę drewna w pierwszorzędnym gatunku.

– Po co płacić więcej za coś, co można dostać za mniej? – pytał retorycznie Flense, którego w ogóle nie obchodził staromodny idealizm i który krzywił się, gdy James Duke płacił za lasy, choć mógł dostać wszystko za darmo. – Rząd nie jest w stanie nikomu udowodnić, że roszczenia co do własności ziemi nie były wnoszone w dobrej wierze.

Wykorzystywali uchwalone przez Kongres „prawa pierwokupu", które pozwalały osadnikom na zakup ziemi federalnej po bardzo niskiej cenie dolara i dwudziestu pięciu centów za ćwierć działki, czy sto osiemdziesiąt akrów. Firma wysyłała skautów, wybierała najlepsze obszary leśne, a następnie wykorzystywała „słupy" jako osadników, którzy w odpowiednim czasie przekazywali akty notarialne Flense'owi. Cała armia pośredników w handlu prawem pierwokupu prowadziła niegodziwy interes. Przekupienie urzędnika federalnego katastru nie było niczym nadzwyczajnym. Ustawa o gospodarstwach rolnych z 1862 roku była najwspanialszym prezentem dla Duke'ów, którzy najmowali gotowych do krzywoprzysięstwa

„osadników” obozujących na wybranej ziemi przez kilka dni, zbijających z desek chwiejne szałasy, budy z pustymi, wepchniętymi między szpary w deskach butelkami po whiskey zamiast okien, zaznaczających obcasem dziurę w ziemi w miejscu studni i nazywających to wszystko „gospodarstwem”. Inni tacy „osadnicy” przenosili z miejsca na miejsce domki dla lalek z oknami, dachami i podłogami, ustawiali je w odpowiednim miejscu, a kataster stwierdzał, że stoi tam dom o wymiarach „czternaście na szesnaście”, nie wspominając przy tym, o jaką jednostkę miary chodzi – cale czy stopy. Jeszcze inni mieli najmniejsze dopuszczalne „domy” na płozach i przeciągali je na rozmaite miejsca, do których roszczono prawa, nazywając szałas „nadającą się do zamieszkania siedzibą”. W ten sposób firma Lavinii Duke wchodziła w posiadanie olbrzymich połaci ziemi, przenosiła na nie szybko drwali, ścinała drzewa i zrzekała się prawa do gruntów. Nikt się temu nie sprzeciwiał, gdyż proceder ten uprawiali sprytni, postępowi, amerykańscy biznesmeni, robiący to, co do nich należy. Nikt nie bogaci się, maszerując siedem mil, żeby oddać znalezionego centa. Setki drobnych przedsiębiorstw drzewnych po kilku bolesnych nauczkach – takich jak strzały oddawane przez nieznanych sprawców, pożary tartaków, kradzieże drewna na masową skalę – prześcigały się w sprzedaży należących do nich terenów leśnych firmie Lavinii.

Ale tego rodzaju przedsięwzięcia nie były omawiane na posiedzeniach rady, na których mówiono tylko o interesach.

Raport Agencji Ryzyka Handlowego Tappana przyznawał firmie Jamesa Duke'a najwyższą ocenę „A 1", uznając, że firma znajduje się w rękach „bogatego rodu", stosuje „zdrowe praktyki w interesach" i ogólnie jest na „wagę złota". Rada nadzorcza zajmowała się jednak tak pilnymi sprawami, jak wyposażenie wszystkich tartaków w napędzane parą pilarki tarczowe oraz spożytkowanie gromadzących się trocin. Noah Ludlum, gładko wygolony mężczyzna, noszący jedynie kozią bródkę, stwierdził:

– Te wielkie piły tarczowe tną cholernie szybko, przepraszam za słowo. Chodzi mi o to, że gną się przy tarciu. Latają na boki. Prawie tego nie widać, ale to latanie na boki kosztuje firmę sporo pieniędzy, bo zostawia duży i szeroki rzez. Wiem na pewno, że na każde tysiąc stóp deskowych tracimy ponad trzysta w trocinach. Chodzi o to, że stal w tarczach pił nie jest dobra. Tyle stali przeznacza się na szyny i armaty, że nie starcza jej na dobre piły. Z czego robią się hałdy trocin większe od góry Katahdin w Maine. Oczywiście palimy trociny, żeby podgrzać kotły parowe, ale…

Lavinia przerwała mu:

– Niech pana głowa nie boli o te trociny, panie Ludlum. W tej chwili nic nie możemy z nimi zrobić, poza paleniem albo wrzucaniem ich do rzek. W Michigan rośnie tyle drzew, że nie musimy oszczędzać.

– Ta… – mruknął pan Ludlum, który lubił mieć ostatnie słowo. – Ale przez te piły największe drzewa zostają w lesie. Te cholerne tarcze nie przetrą niczego choćby o włos większego od połowy ich

średnicy. Potrzebne są większe piły, ale im są większe, tym bardziej latają na boki.

Lavinia spojrzała na dokumenty, a potem przeniosła wzrok na Annag Duncan, która dostarczyła jej dane, i powiedziała:

– Tak czy inaczej, nasz tartak Avery przetrze w tym roku trzy miliony stóp deskowych, znacznie więcej niż w roku poprzednim. Wciąż mamy kilka starych, napędzanych wodą tartaków z pilarkami ramowymi, więc im szybciej dostarczymy do nich pilarki tarczowe i maszyny parowe, tym lepiej dla nas. To jest w tej chwili nasz cel, bez względu na chybotanie się tarcz. I proponuję, żebyśmy przyjrzeli się nowym podwójnym pilarkom tarczowym, które trą większe kłody.

– Świetna robota, Annag – szepnął adwokat Flense, uśmiechając się do kierowniczki biura.

Rząd niezachwianie potrzebował drewna i spółka Duke Cięcie czerpała duże zyski z wojny. Pan Pye wydawał się niemal zmartwiony, gdy wiosną wojna dobiegła końca i zamordowano Lincolna. Ale Południe musi się odbudować i zapotrzebowanie na drewno nigdy nie było większe.

– Na południu rosną gęste lasy – zauważył Theodore Jinks. – Bliżej stamtąd do odbiorców. Proponuję kupić tamtejsze lasy i przerzucić tam naszych drwali. Jeśli rada wyrazi zgodę, mogę przeprowadzić rekonesans.

Pomysł był dobry, więc po tygodniu Jinks i pan Ludlum spakowali porządnie ubrania do płóciennych sakwojaży i pojechali

oceniać drzewa na południu.

Przez kraj przetaczała się lawina wynalazków. Nowe pomysły i innowacje przysyłano listownie, co wyraźnie odczuła Annag Duncan dźwigająca co rano kosz z korespondencją. Pomysłów było tak wiele, a rozgryzienie skomplikowanych objaśnień i diagramów zabierało tak dużo czasu, że pan Pye zaproponował, aby zatrudnić u Duke'a wykształconego inżyniera, który mógłby ocenić propozycje i polecić radzie spotkanie z wybranymi wynalazcami. Na takich spotkaniach autorzy pomysłów usprawniających produkcję drewna mogliby przedstawić modele swych maszyn, rysunki i diagramy. Rada będzie rozmawiać z wynalazcami.

– To brzmi obiecująco – stwierdziła Lavinia. – Jeśli pojawi się coś wartościowego, Duke Cięcie może kupić wynalazek za godziwą cenę, a potem go opatentować. Wyznaczmy datę takiego posiedzenia rady na lato, gdy podróże są mniej męczące. Firma opłaci wynalazcom pobyt w hotelu Great Lakes, maksimum dwudziestu ludziom. W hotelu jest, jak mi się wydaje, sala balowa, która idealnie nadaje się na pokazy. Z pewnością nie będziemy się nudzić.

Następnej wiosny w położonym dwieście pięćdziesiąt mil na wschód Detroit Dieter Breitsprecher wyciął nożyczkami połowę strony z „Chicago Progress" z ogłoszeniem zapraszającym wynalazców na letnią wystawę organizowaną przez Duke Cięcie. Trudno było się oprzeć pragnieniu poznania ludzi, w których

głowach rodzą się nowe pomysły na maszyny i technologię. Wynalazcy nie pisali do Breitsprecherów. A Dieter żywił pewien szacunek dla Lavinii, która przed wielu laty szybko nauczyła się pod jego okiem podstaw mierzenia drewna. Wątpił, by ta wiedza okazała się dla niej przydatna, bo po cóż? Miała kompetentnych pracowników, w tym takich, którzy odeszli od Breitsprecherów. Napisał zatem list do panny Duke, pytając ją, czy może wziąć udział w wystawie – nie jako wynalazca czy rywal, ale jako żywo interesujący się postępem przyjaciel. Zaproponował, że pokryje część kosztów wystawy. Uważał, że Lavinia mu nie odmówi, i rzeczywiście odpisała mu serdecznie, odrzucając propozycję udziału w kosztach, zapraszając go jednak na obiad w piątkowy wieczór przed otwarciem wystawy.

Oto pojawia się okazja, pomyślała, na włączenie Breitsprechera do Duke Cięcie. Po bardzo długim i wyczerpującym posiedzeniu rada nadzorcza zaproponowała, by złożyć Breitsprecherowi ofertę wykupu. Drzewny koncern Breitsprecherów był wart tyle, co dziesięć drobnych niezależnych przedsiębiorstw z branży, których właściciele wycinają pięćdziesiąt akrów lasu i przechodzą na emeryturę. Lavinia uznała jednak, że bardziej dyplomatyczne będzie zaproponowanie spółki. Breitsprecherowie, mimo swych przedziwnych zapatrywań na wycinkę w pień i zalesianie wyrębisk, cieszyli się zasłużoną sławą szacownych przedsiębiorców, traktujących uczciwie pracowników i klientów. Dopóki żył Armenius, sporo zarabiali. Byli jednak uczciwi, a w

biznesie nie zajedzie się daleko na uczciwości, choć wciąż było wielu takich, którzy traktowali to jako cnotę. Spółka z Breitsprecherem doda blasku Duke Cięcie – firmie uważanej przez przedsiębiorców z branży za bezwzględną i podstępną. Lavinia nadal była wdzięczna Dieterowi za naukę, jak odczytywać i stosować reguły skali Scribnera i Doyle'a do rosnących drzew. Chciała się także dowiedzieć z pierwszej ręki, jak zmarł przed dwoma laty Armenius, gdyż o jego śmierci krążyło wiele plotek. Czy Dieter przyjmie zaproszenie? Zawsze wydawał się jej dosyć wyniosły. Dobrze, że sam wpadł na to, żeby przyjechać na wystawę.

Parker Brace i Hudson van Dipp, dwaj znający się od zawsze cieśle z okręgu Cherokee w Georgii, walczyli w wojskach Konfederacji, aż ich pojmano pod Shiloh i wrzucono do niesławnego Camp Douglas w Chicago. Przetrwali jakoś w zagrodzie dla bydła bez lekarza, bez wody do mycia, w towarzystwie cierpiących na szkorbut apatycznych jeńców. Robili, co mogli, żeby przeżyć, skonstruowali, na przykład, skomplikowaną pułapkę z drutu i zgniecionego blaszanego kubka i żywili się schwytanymi w nią szczurami. Żeby nie oszaleć, wymyślili sobie ciesielską zabawę: rozmawiali i szkicowali patykiem na ziemi wyobrażony dom, który wzniosą od fundamentów po kurka na dachu.

Śmierdzący jankesi dali im do wyboru: wrócą jako jeńcy wojenni na Południe albo złożą przysięgę na wierność Unii i wstąpią do armii lub marynarki; złożą przysięgę i pojadą na północ na roboty publiczne; albo też złożą przysięgę i wrócą do domu, pod warunkiem, że dom leży w granicach zajętych przez wojska Unii. Brace i van Dipp wzgardzili takim wyborem. Ale nadszedł dzień, gdy obaj zaczęli cierpieć na szkorbut i van Dipp powiedział:

– Złożę tę przeklętą przysięgę i wstąpię do ich przeklętej armii, żeby nie siedzieć na tym przeklętym deszczu i wynieść się stąd w cholerę. Nie może już być gorzej niż jest, trzeba znaleźć coś do jedzenia. Rzygam już tymi przeklętymi szczurami.

Obaj złożyli przysięgę i jako dwaj nowo wyświęceni jankesi zostali posłani, żeby walczyć z Indianami w Teksasie. Van Dipp nigdy nie przypuszczał, że znajdzie się w takim suchym i nieprzyjaznym miejscu. Słońce wstawało w złocistej koronie i jaśniało oślepiającą bielą w południe, a potem o zmroku, gdy ziemia wciąż pulsowała nagromadzonym ciepłem, widzialność spadała do zera. Brace'a trafiły indiańskie strzały i przez dziewięć godzin leżał w piasku, nasłuchując krzyku myszołowów przecinających przezroczyste niebo, ale van Dipp wyszedł ze służby bez szwanku. Po demobilizacji pojechali na krótko do Georgii odwracającej się plecami do Rekonstrukcji[36] i stwierdzili, że ich rodziny odwróciły się do nich plecami jak do zdrajców.

Wrócili więc razem do Chicago – miasta, w którym każdy cieśla był na wagę złota. Setki ludzi chciały mieć domy zbudowane na wczoraj. Podczas jednego z niewielu wolnych od pracy tygodni van Dipp zaproponował:

– Posłuchaj mnie, Parker, nie siedźmy na tyłkach, czekając na następną robotę, ale przygotujmy się do niej na zapas. Możemy zbić na zapas okienne ramy i framugi drzwi. Nie wiadomo, co przyjdzie nam stawiać, ale założę się, że będą tam drzwi i okna.

Do ram i framug dodali schody, a nawet części ścian, które można było przewieźć na plac budowy. W ten sposób budowa domu stała się znacznie szybsza. Dzięki pomysłowi zbijania prefabrykatów zyskali wspólnika i jeszcze wspanialsze pomysły.

Pewnego gorącego i dusznego ranka – takiego, jakie zdarzają się tylko w Chicago latem – w ich stolarni pojawił się kościsty mężczyzna w pogniecionym lnianym garniturze i rozejrzał się po warsztacie, zwracając uwagę na zapas okiennych ram i schodów.

– Dzień dobry, czy mam przyjemność z panami van Dippem i Brace'em?

– Przyjemności panu nie gwarantuję, ale to w samej rzeczy my – odpowiedział van Dipp. – A pan kim jesteś?

– Charles Munster Weed, za pozwoleniem, architekt. Mam kontrakt na zabudowę ulicy dziesięcioma domami i potrzebni mi są dobrzy, szybko pracujący cieśle. Panowie cieszą się taką sławą. Czy obecnie coś budujecie? – Wskazał zapasowe okna i schody.

– W tej chwili akurat nie. Te ramy i schody robimy na zapas, żeby oszczędzić czas. A do tego framugi do drzwi, kredensy do spiżarni i takie tam…

Gdy Weed zdał sobie sprawę, że ma przed sobą kilka niemal gotowych do złożenia domów, natychmiast wynajął obu cieśli. Wspólna praca poszła im jak z płatka i przyniosła wiele radości.

Spotkali się ponownie tydzień po zakończeniu budowy domów Weeda, którego zaraźliwy entuzjazm dał początek Pomysłowi. Weed pojął bowiem, do czego może prowadzić proces tworzenia prefabrykatów.

– W ten sposób można wznosić całe miasta! Wystarczy przygotować kilkanaście różnych projektów domów, żeby ludzie mieli w czym wybierać, a potem spakować prefabrykaty i wysłać je koleją tam, gdzie będą chcieli postawić domy! – Głos Weeda wzniósł się do zupełnie niemęskiej wysokości.

– Wiemy, gdzie potrzebują domów – dorzucił Brace. – Na starych preriach. Nic tam nie rośnie, ani pół drzewa, a muszą gdzieś mieszkać. Niektórzy robią sobie ziemianki, gdzie pełno robali i węży. Chcą mieć stodoły. Chcą mieć kościoły. Przypuszczam, że kupią każdy spakowany i gotowy do wysyłki dom. Problem polega na tym, że trzeba mieć pieniądze na zrobienie i spakowanie tylu prefabrykatów.

– A my nie mamy pieniędzy – dodał van Dipp.

– Szkoły! – zachwycał się architekt, wyrzucając ręce do nieba. – Sklepy i sądy. Potrzebują całych miast i my im je wyślemy!

– Możemy poskładać części i wysyłać je koleją. W skrzyniach, które zmieszczą się w wagonach bydlęcych.

– Tak! Tak! Zaprojektuję wiele wzorów, żeby klienci mogli wybierać. Posłuchajcie! Mam odłożone trochę pieniędzy, które mogę zainwestować. Chcę z wami pracować, chłopaki, jeśli tylko macie na to ochotę.

Mieli wielką ochotę, więc założyli spółkę van Dipp, Brace i Weed, a całe przedsięwzięcie nazwali DOMY NA PRERII.

Minął ponad rok, odkąd Lavinia wysłała dwóch genealogów na poszukiwanie krewnych. Zbliżała się jesień, a Lavinia odebrała list od R.R. Tetrazinniego, który śpieszył poinformować ją, iż „odkrył coś, co może panią zainteresować" i prosił o wyznaczenie spotkania. Lavinia wyznaczyła mu termin pod koniec lata tuż przed Wystawą Wynalazków Duke'ów. Napisała też do Sextusa Bollarda, pytając go o efekty poszukiwań. Z zaskoczeniem odebrała list od synowca księgarza, w którym Tom Bollard informował ją, że stryj wrócił z zagranicy poważnie chory i wkrótce zmarł. Tom Bollard przejął księgarnię i wyśle dokumenty, które zgromadził dla niej stryj. Dokumenty te nadeszły przed przyjazdem Tetrazinniego, a Lavinia dowiedziała się z nich, że każdy ślad, którym podążał Bollard, okazał się ślepym zaułkiem. W paryskich archiwach nie było śladu po Charlesie Duquecie, uważano, że dokumenty te mogły spłonąć

podczas rewolucji francuskiej. Lennart Vogel był ostatnim żyjącym krewnym z linii holenderskiej.

R.R. Tetrazinni pojawił się punktualnie. Miał krótko przyciętą rudą brodę, a okulary ustąpiły miejsca binoklom w złotej oprawie. Przyniósł ze sobą dwie skórzane aktówki. Annag podała mu filiżankę kawy, którą postawiła przy jego łokciu. Wyjął papiery i rozpoczął długą litanię swych podróży i odkryć. Annag Duncan usiadła w pobliżu, sporządzając notatki. Lavinia słuchała gościa z narastającym zniecierpliwieniem. Dlaczego nie przejdzie do rzeczy?

– Panie Tetrazinni, za pozwoleniem, ale zapytam pana prosto z mostu, czy znalazł pan jakichś potomków Duke'ów?

– Tak jest, droga pani. Choć obawiam się, że ujawnienie ich tożsamości może nie przypaść pani do gustu. – Odchrząknął i wyszczerzył zęby, odwlekając moment chwały. – Nie wiem, jak dobrze pani zna swoje drzewo rodzinne. Ale żeby nie przedłużać: Charles Duquet miał trzech adoptowanych synów, Nicolausa i Jana z sierocińca z Amsterdamu oraz Bernarda, którego przygarnął z ulicy w La Rochelle. W tamtym czasach proces adopcji nie był jeszcze sformalizowany, ale Duquet traktował tych chłopców jak synów i zapisał im majątek w równej części. Wie pani zapewne, że pochodzi od Nicolausa, którego żoną była Mercy, z którą spłodził troje dzieci: Patience, Pieta i Sedleya. Ten ostatni

był pani dziadkiem. Innymi słowy, w pani żyłach nie płynie krew Duqueta, a jego adoptowanego syna Nicolausa.

Wypił duży łyk kawy, przyglądając się rumieńcom na policzkach Lavinii.

– Ale wracając do Charlesa Duqueta. Po zaadoptowaniu trzech chłopców żona Charlesa, Kornelia Roos, powiła dwoje dzieci: Outgera Duqueta i Doortje Duquet. Linia Doortje wygasła wraz z śmiercią jej jedynego syna, Lennarta Vogela, który zmarł bezpotomnie. Outger Duquet mieszkał przez pewien czas nad zatoką Penobscot w Maine, gdzie wziął sobie indiańską konkubinę. Niewiasta owa urodziła mu córkę, Beatrix Duquet, której ojciec poświęcał wiele uwagi i którą wykształcił. Ale po pewnym czasie popłynął do Lejdy w Niderlandach, a Beatrix została w Maine. Wróciła do indiańskich korzeni i o ile moje dociekania są prawdziwe, poślubiła *métisa*, niejakiego Kuntawa Sela, który pochodził od Indian Mikmaków i francuskiego *habitant*.

Filiżanka Lavinii zachybotała się na spodku.

– Wygląda na to, że Beatrix Duquet i Kuntaw Sel, którzy wzięli ślub zgodnie z prawem, mieli dwóch synów: Josime'a Sela i Francisa-Outgera Sela. Zatem jedynymi żyjącymi potomkami Charlesa Duqueta są wnuki Josime'a i Francisa-Outgera. Nie udało mi się jeszcze ustalić ich nazwisk i miejsca zamieszkania. Wiąże się to z podróżą do Kanady i przeprowadzenia poszukiwań wśród niedobitków indiańskich plemion. Nie podjąłem się jeszcze

tego przedsięwzięcia, gdyż nie wiem, czy życzy sobie pani, abym kontynuował. Wszakże ci Indianie, jak się domyślam, są jedynymi prawowitymi dziedzicami Charlesa Duqueta, przynajmniej jeśli chodzi o dziedzictwo krwi. Osobiście uważam, że linia potomków adoptowanych synów ma wszelkie prawa do majątku rodzinnego, w każdym razie większe od owych anonimowych jeszcze Indian. Jak powiadają, własność to dziewięćdziesiąt procent praw. Proszę. Wszystko to znajdzie pani w moim raporcie.

Podał jej arkusz kartek w niemal bezczelny sposób, a jego ton wskazywał, że ci anonimowi Indianie mogą mieć uzasadnione roszczenia do imperium Duke'ów.

Milczała przez długą chwilę, a potem odezwała się zdecydowanie:

– Uważam, że nie musi pan zakłócać spokoju Kanadyjczykom. Uznajemy pańskie śledztwo za zamknięte. – Zerknęła na Annag, żałując, że przywołała sekretarkę, która marszczyła czoło i świdrowała wzrokiem R.R. Tetrazinniego. Dobra, lojalna Annag – pomyślała Lavinia. Annag będzie milczeć.

Po odejściu Tetrazinniego Lavinia wyrzuciła jego raport do kosza.

– Zaraz to spalę w piecu – oznajmiła Annag, zabierając kosz. Wyszła z nim do sekretariatu, trzasnęła drzwiczkami piecyka, a raport Tetrazinniego ukryła w szafie pod peleryną przeciwdeszczową.

Właściciel hotelu Great Lakes, Simon Drimmel, był jasnowłosy i przystojny, a obecnie podekscytowany obecnością tylu gości i nieco przerażony rysami, które mogą się pojawić na parkiecie sali balowej. Gdy do hotelu zwieziono kilka wielkich skrzyń z napisem DOMY NA PRERII, a Drimmel dowiedział się o ich zawartości, kazał rozładować ją na trawniku od południa.

– Nie mogę stawiać domów w sali balowej – oznajmił. – Porysują mi cały parkiet. Musimy zachować podłogę w nienagannym stanie dla atłasowych pantofelków. Bale są naszym głównym źródłem przychodów.

– Gwarantuję panu, że coroczne wystawy w sezonie, w którym nie ma bali, okażą się nie mniej lukratywnym źródłem przychodów – uspokajał go pan Pye, który kierował wystawą.

– To się okaże – uśmiechnął się Drimmel, choć wcale mu na tym nie zależało. Bardzo lubił muzykę, piękne zapachy perfum, podekscytowanie i czar balów, a do tego eleganckie suknie i lśniące zarumienione oblicza.

– Masz pan rację – mruknął Pye. – I rzeczywiście, te skrzynie lepiej rozładować na zewnątrz.

Pod koniec dnia, gdy wszyscy padali już z nóg, adwokat Flense zaproponował, że odwiezie Annag do domu, jako że „to po drodze”.

– To bardzo miłe z pańskiej strony – mruknęła z zadowoleniem Annag, zbierając torby i manatki.

Goosey Breeley, jadająca zazwyczaj z Lavinią obiady nawet w towarzystwie, tego dnia zdecydowała, że zje u siebie w pokoju, gdy do jej uszu dotarło, że gościem będzie Dieter Breitsprecher.

– To nie jest konieczne, Goosey – przekonywała ją Lavinia. – Zjedz, proszę, z nami. To żaden kłopot. Zaprosiłam go jedynie przez grzeczność.

– Nie, nie. Dokładnie wiem, jak to wygląda, Lavinio. Zechcesz mówić z nim o interesach. Postanowiłam już, że zjem u siebie. Rzadko miewam okazję do spożycia spokojnie posiłku, bez obowiązków na głowie, zatem będzie to prawdziwa przyjemność.

Lavinia doszła do wniosku, że Goosey ma rację. Łatwiej będzie się jej rozmawiało z Dieterem, jeśli Goosey nie zasiądzie z nimi do stołu.

– Pan Dieter Bridestretcher – przedstawiła gościa pokojówka Libby.

– Wprowadź go.

Lavinia, w zwykłej dla siebie czarnej sukni, usiadła na szkarłatnej, krytej aksamitem sofie przed kominkiem w salonie i przygotowała się do spotkania. Rzadko kiedy brakowało jej słów, teraz jednak nie miała pojęcia, w jaki sposób złożyć propozycję spółki. Powinna była napisać list.

– Dieter Breitsprecher! Witam pana! Minęło tyle czasu!

Nie pamiętała, że jest taki barczysty i wysoki. Jasne włosy zaczynały mu siwieć na skroniach. Zbyt duże oczy i cała

uśmiechnięta twarz wydały się jej szczere i przyjazne. Od razu poczuła się niezręcznie i życzyła sobie, żeby wieczór jak najprędzej dobiegł końca.

– Nie da się ukryć, droga panno Duke, że minęło już wiele lat. – Mówił niemal bez obcego akcentu i podał jej wielki jak krzak bukiet z nawłoci, jastrzębca, mocno rozwiniętych dzikich róż i dziewięciornika. – Powinny to być rzadkie kwiaty tropikalne, gdyby można je było dostać!

Miał przed sobą kobietę w średnim wieku o rozłożystych biodrach i dużym biuście ukrytym w dopasowanej sukni. Emanowała pewnością siebie osób posiadających majątek.

– Dieter, nazywaj mnie z łaski swojej Lavinią. I dziękuję za bukiet. Kwiaty, choć polne, są prześliczne, a przy tej okazji wolę naturalność od czegoś wymyślniejszego. Napijesz się wina? A może czegoś mocniejszego? – Po jego wyjściu wyrzuci te chwasty na śmietnik.

– Mówiąc szczerze, wolałbym whiskey, jeśli masz.

– Jeśli mam! Sama pijam whiskey, co zostało mi po ojcu.

Podeszła do kredensu i nalała dwie szklaneczki starego bourbona z Kentucky. Usiedli przed kominkiem i początkowo milczeli, zerkając na siebie badawczo i mierząc się wzrokiem.

– No cóż… – zaczęła Lavinia, podejmując wysiłek. – Czy interesy idą ci dobrze w tym roku?

– Owszem, bardzo dobrze, mimo że po raz drugi spłonął nam tartak Robin’s Nest. Już nigdy więcej nie zatrudnię żadnego

palacza! Sto razy powtarzałem temu pilarzowi, żeby nie wystukiwał popiołu z fajki na trociny. Na próżno. I na nieszczęście poniósł surową karę, bo zginął w pożarze.

– Okropne – wzdrygnęła się Lavinia. – Nam także spaliły się tartaki.

I znów zapadła długa cisza. Lavinii przyszedł do głowy temat wyborów prezydenckich, wszyscy byli pewni, że wygra je generał Grant. Ale zamiast rozmawiać o wyborach, zapytała go:

– Czy dużo podróżujesz? Na wschód? Albo do Niemiec?

– Raz w roku jadę do Nowego Jorku albo do Bostonu. Czy nawet do Filadelfii. I raz wybrałem się do Kalifornii, żeby sprawdzić, co stało się z moim nieszczęsnym kuzynem Armeniusem.

Pojawiła się szansa na dowiedzenie się czegoś bliższego, ale nie wypadało, aby pytała wprost o Armeniusa, bo gotów jeszcze uznać ją za nałogową plotkarkę.

– Więc mieliście tartak o nazwie „Gniazdo Rudzika”?

– Owszem. Co roku rudziki budowały tam gniazdo na krokwi nad piłą. Nie wiem, czy były to ciągle te same ptaki. Ten palący pilarz bardzo się nimi przejmował: bał się, że młode wypadną z gniazda prosto na zęby piły.

Lavinia zacisnęła dłonie.

– Och, mam nadzieję, że do tego nie doszło.

– Nie doszło. Ten tartak w swoim czasie wyprodukował pokolenia rudzików.

– Tartaki mają krótki żywot. Zawsze przydarza się im jakaś katastrofa.

– Masz sporo racji. – Przysunął bliżej fotel. Lubił rozmawiać o katastrofach i widział niejedną w lasach Michigan. – Wielu z nich dałoby się zapobiec, ale ludzie są niedbali, a najbardziej niedbali są robotnicy tartaczni, choć sami właściciele i majstrzy nie są od nich lepsi. Na przykład… – zerknął na nią z przejęciem – …ale nie chciałbym cię zanudzać, Lavinio, opowieściami o nieszczęściach.

I znów mogłaby go zapytać o Armeniusa, ale powiedziała tylko:

– Z pewnością mnie nie zanudzisz, Dieter, mów, proszę, dalej. Ale pozwól, że najpierw doleję ci whiskey. Teraz możesz mówić.

– Pewien człowiek z Maine przedstawił mi przy jakiejś okazji powody swojego przyjazdu do Michigan. Miał duży tartak w Maine. Postawił ten tartak u stóp stromego wzgórza porośniętego sosnami aż do brzegu płynącej w dole rzeki. Miał plan, żeby ściąć sosny, spuścić kłody po zboczu do tartaku i załadować przetarte drewno na barki, które cumowały z przodu. Bardzo prosta i łatwa operacja, która przebiegła zgodnie z oczekiwaniami. Tyle tylko, że człowiek ten nie wziął pod uwagę, co się dzieje ze wzgórzem po ścięciu wszystkich drzew.

Lavinia nie wiedziała, o czym on mówi.

– A co dzieje się ze wzgórzem po ścięciu wszystkich drzew?

– Nadeszła wiosna, wszystko rozmarzło. Człowiek ten opowiadał, że stał na rzecznej mierzei i podziwiał tartak,

przecierający kłody na najwyższych obrotach, gdy ujrzał, jak wzgórze zbiera się w sobie niczym kot przed skokiem, po czym spada na dół do rzeki w lawinie błota. Błoto zalało tartak i pogrzebało pilarzy, zatopiło czekające na załadunek barki. Wzburzyło wodę na rozlewiskach. Nic, co znalazło się na drodze błota, nie przetrwało. Po wzgórzu została tylko monstrualna hałda błota i pieńków.

– Nie miałam pojęcia, że takie rzeczy mogą się wydarzyć – oznajmiła Lavinia. – Podziwiam twoją znajomość tych ponurych nieszczęśliwych wypadków. Roześlę okólnik do pilarzy, żeby nie stawiali tartaków pod wyrębami na stokach.

– Koniecznie, choć znacznie lepiej byłoby zostawić drzewa na stokach. Korzenie wzmacniają glebę. Gałęzie ją ocieniają i chronią przed ulewami i spłukiwaniem.

– Panno Lavinio – odezwała się z progu pokojówka. – Kucharka mówi, że obiad jest już gotów.

– Dziękuję, Libby. Przejdźmy zatem do jadalni.

Jakoś nie mogli przestać rozmawiać o katastrofach i przy pieczonej jagnięcinie i ziemniakach przeszli od błotnych lawin i pożarów do rozbitych statków, obłąkanych kucharzy, samobójczych drwali, nieszczęśliwych wypadków w lesie, a nawet do napadów na kasjerów z wypłatą. Czy nadeszła już pora, żeby zapytać o Armeniusa? Lub zadać drugie, znacznie ważniejsze pytanie? Jeszcze nie.

– Słyszałam, Dieter, że skupujesz duże połacie ziemi oczyszczonej z drzew. Czy to prawda?

– Owszem. Można je dostać niemal za bezcen, a ja czerpię dużą przyjemność z zalesiania takich terenów i zamieniania ich na powrót w las.

– Ale minie wiele lat, zanim da się ściąć rosnące tam drzewa, zanim las zyska na wartości.

– Ma się rozumieć. Ale Europejczycy traktują przeszłość i przyszłość z większą powagą. Gospodarujemy lasami od stuleci i mamy w zwyczaju dbać o ich przyszłość. Amerykanie nie mają poczucia czasu, żyją trzema latami: zeszłym rokiem, tym i przyszłym. Zostanę przy swoich przyzwyczajeniach. Chcę mieć pewność, że las będzie rósł dalej, gdy umrę.

– To bardzo chwalebne, bez dwóch zdań – powiedziała. – Ale skąd bierzesz młode sadzonki drzew?

– Uprawiam je. Breitsprecherowie przed kilkoma laty otworzyli sosnową szkółkę. Wiosną i latem zatrudniamy Indian do sadzenia drzew i do doglądania młodniaków. Biali, którzy ścinają drzewa, brzydzą się takiej pracy. A Indianie lepiej od nas rozumieją przyrodę i upływ czasu, więc dajemy im pracę, gdzie tylko można.

Lavinia pomyślała, że Indianie prawdopodobnie cieszą się z każdej płatnej pracy i niespecjalnie dbają o lasy i ich przyszłość.

– Twoja troska o lasy jest powszechnie znana. Słyszałam również, że w twoich leśnych obozowiskach stawia się liczne

drewniane domki dla czterech drwali, zamiast jednego długiego baraku, mogącego pomieścić stu ludzi.

– To prawda. Moim zdaniem więcej prywatności sprzyja lepszej regeneracji sił. Ci ludzie ciężko pracują i należą się im godne warunki do wypoczynku.

Lavinia ugryzła się w język, żeby nie zdradzić Breitsprecherowi, ilu z jego ludzi przechodzi z wygodnych kwater w lasach do zatłoczonych baraków Duke Cięcie, bo wolą twarde męskie życie. Gardzą wygodą i lekkim życiem. Ale tego powiedzieć nie mogła.

Wierciła się na krześle. Wkrótce musi mu przedstawić propozycję rady. A jeśli się zgodzi, zapyta go otwarcie o Armeniusa. Straciła szansę, gdy rozmawiali o katastrofach. Gdy podano deser – eklery z kremem polane czekoladą i podane z truskawkami w cukrze – czuli się już pewniej ze sobą, a Lavinii niemal przypadło do gustu jego towarzystwo.

– Czy miałbyś ochotę przejść się po parku przed podaniem kawy i likieru? – zapytała. Wtedy mu powie.

– A cóż to za park?

– Niewielki las, który dzielę z dwoma sąsiadami – odpowiedziała. – Jest tam bardzo przyjemnie w letnie wieczory, jest jeszcze widno, zdążymy przed zmrokiem.

Wyszli do lasu, mijając wspaniały klon srebrzysty, którego liście na długich łodyżkach ukazywały srebrne spody. Dieter był zachwycony.

– Cóż, Lavinio, ocaliłaś przepiękny fragment lasu. Chwała ci za to! – I zacytował poetę Uhlanda: – *Największych ziemskich rozkoszy źródło/Bije głęboko w lesie zielonym…* – Doszedł do wniosku, że Lavinia jest nie do końca stracona i że jest w niej coś jeszcze, oprócz chciwości.

Park obejmował obszar dziesięciu akrów, na których rosły różne drzewa liściaste, a do tego dwadzieścia akrów starych jak świat wejmutek po wschodniej stronie, które były pozostałością po dziewiczej puszczy porastającej brzeg jeziora i ściętej przez Duke Cięcie wiele lat wcześniej. Wolna od poszycia ścieżka biegła i wiła się między drzewami, a gdy przeszli po drewnianym mostku, Dieter dostrzegł strumyczek spływający po stoku i wpadający do rozświetlonego słońcem stawu, nad którym wirowały wieczorne owady. Doszli do sosen w samą porę, by podziwiać ginącą w cieniu pomarańczową koronę.

Za ich plecami rozległy się wieczorne nawoływania rudzika. Wiatr zaszumiał w koronach sosen, ale słyszeli tylko radosny śpiew *ciiriap siirili, ciiriap siirili*.

– Każą nam się cieszyć, życzą nam szczęścia – powiedziała Lavinia, przypominając sobie pachnącą perfumami jedwabną poduszkę Posey, na której słuchała schrypniętego głosu mamy, czytającej o „pobożnym rudziku o szkarłatnej piersi”.

– Jestem ciekaw, czy wiesz, jaką krzywdę wyrządzamy rudzikom, ścinając im drzewa? – zapytał szeptem Dieter. –

Odbieramy im drzewa, przez co muszą budować gniazda nad obracającymi się tarczami pił.

– Wielkie nieba… – szepnęła Lavinia. – Nigdy tak o tym nie myślałam… Dlaczego nie odlecą na inne drzewa?

– Odlatują, jeśli zdołają, ale gniazd nie da się przenieść, nie da się przenieść jeszcze nieopierzonych piskląt, które spadają na ziemię wraz ze ściętym przez drwali drzewem. – Przerwał, widząc, że sprawia jej przykrość. – Droga Lavinio – dodał ciepło – widzę, że masz wiele czułości dla rudzików. – Odkrył coś.

– To prawda… – odpowiedziała przez nos, żeby się nie rozszlochać. – Bardzo je kocham. Czy wiesz, że jeśli ktoś umrze w lesie, nadlatują rudziki i przykrywają go zebranymi liśćmi… – Rozpłakała się jednak. Cóż miał począć? Położył ostrożnie dłonie na jej ramionach, a Lavinia wcisnęła zapłakaną twarz w jego koszulę i trwali tak w bursztynowej poświacie, pośród nawoływań rudzików, namawiających ich do radości, ba!, do szczęścia!

Nie chciała jego ciepła, chociaż tego ciepła pragnęła, nie chciała zapachu jego koszuli, swojej słabości, więc cofnęła się o krok. Spojrzał na nią i nic nie powiedział. Poszli dalej, rozdzieleni, wrócili do domu, do koniaku i kawy w cienkich jak papier porcelanowych filiżankach, do płynnej czerni, którą łyżeczka śmietanki zamienia w miniaturowy wir.

Dla Dietera Breitsprechera Lavinia była wielką zagadką. Przypominała mu znaną z baśni, zamkniętą na cztery spusty komnatę z zamku, pełną nieznanych przedmiotów i mebli.

Odstawił kieliszek z koniakiem i otworzył usta, żeby powiedzieć coś o leśnym parku, ale przerwała mu, rzucając pośpiesznie:

– Dieterze, chciałabym o coś cię zapytać. Rada i ja pragniemy zaproponować ci spółkę z Duke Cięcie, gdyż cenimy twoją wiedzę i życzylibyśmy sobie, abyś do nas przystąpił na uzgodnionych przez obie strony zasadach. Rada… rada i ja… omawialiśmy tę kwestię i chcemy cię, a ja… a ja… Libby! – zawołała nagle, nie czekając na jego odpowiedź. – Odprowadź pana Breitsprechera do drzwi. – Zachwiała się i paplała dalej: – Porozmawiamy tutaj jutro, po wystawie. Wówczas przedstawisz mi swoją odpowiedź, Dieter, swoje odczucia… Dziękuję ci za ten wspaniały wieczór. A jutro porozmawiamy o wynalazcach, omówimy wszystko, gdyż rada i ja cenimy twoje zdanie. – Wybiegła z pokoju. Trudno byłoby to inaczej nazwać: uciekła od niego.

Stał skonsternowany. A choć zachował tyle trzeźwości umysłu, żeby podziękować jej za wieczór, który i dla niego był wspaniały, czuł się tak, jakby zaglądał przez dziurkę od klucza do zamkniętej na cztery spusty komnaty.

– Mało prawdopodobne, żebym dziś zasnął – mruknął pod nosem. – *Verdammt noch mal*!

Do rana odzyskała zimną krew. Choć żałowała swej słabości i biadolenia, powiedziała w końcu to, co miała powiedzieć. Teraz poczeka na odpowiedź. Była przygotowana na odmowę.

///

Dieter Breitsprecher pojawił się na wystawie godzinę po otwarciu drzwi, czego nie omieszkała odnotować. Annag Duncan chodziła wśród zgromadzonych, rozmawiających cicho gości w tacą filiżanek, panna Heinrich szła za nią krok w krok z dzbankiem kawy.

David Neale robił notatki do gazety lub – jak przypuszczała Lavinia – szpiegował dla agencji Tappan, oceniając zachowanie biznesmenów. Noah Ludlum i Glafford Jones nie odstępowali tęgiego jegomościa ze słoikiem jakiejś gęstej smolistej cieczy. Theodore Jinks i Axel Cowes poprosili pana Drimmela o użyczenie szatni, w której urządzili sobie tymczasowe biuro z krzesłami i stołem, za którym prezydowali z ważnymi minami, przywołując do siebie po kolei wynalazców i zadając im pytania. Zauważyła, że Dieter Breitsprecher podchodzi do Flense'a i Pye'a. Przywitali się i wyszli na zewnątrz, nie przerywając rozmowy. Flense spojrzał na Lavinię i uniósł brwi. Nie miała pojęcia, co to oznacza. Czy powinna pójść za nimi? Czekać? Postanowiła jednak podejść do mężczyzny o przerzedzających się włosach, w pogniecionym lnianym garniturze, który stał pod drzwiami w towarzystwie dwóch innych panów.

– Nazywam się Lavinia Duke – przedstawiła się. – Co wystawiacie, panowie?

Gdy tylko usłyszała nazwisko Weeda, przypomniała sobie jego list. Architekt okazał się doskonałym rozmówcą i zaczął opowiadać Lavinii o domach na prerii. Zaprosił ją na zewnątrz i wskazał eksponat:

– Oto prefabrykowany model w skali jeden do czterech: nasz Dom Na Prerii Numer Jeden. Celowo jest mały, gdyż jutro chcemy pokazać skrzynie. Dziś pokazujemy model, a czy wczoraj widziała pani skrzynie?

– Niestety nie – odpowiedziała Lavinia.

– No cóż, ten dom był w całości zapakowany do skrzyń. Każdy jego element.

Lavinia domyśliła się, że popełniła błąd, nie oglądając przywiezionych skrzyń.

Teraz jednak miała przed oczami pomniejszony, schludny, całkiem ładny i tani, piętrowy, składany dom wraz z kurkiem na dachu i piorunochronem. Stał przed nią na trawniku.

– A oto i one – powiedział Weed, wskazując na puste skrzynie, stojące równo na trawniku. – Skrzynie, z których każda zmieści się do wagonu towarowego. Ten dom był wczoraj w skrzyniach.

Przyjrzała się uważniej modelowi. Rzeczywiście był ładny, ale zastanawiała się, jaki związek z tym wszystkim może mieć Duke Cięcie.

– Tak… – mruknął Weed. – To tylko jeden z trzech zaprojektowanych przez nas modeli domów. Projektujemy następne. – Stał wyczekująco, jakby liczył na oklaski.

– Panie Weed – zwróciła się do niego Lavinia. – Wszystko to widzę. Ale jakie są pańskie plany dotyczące sprzedaży?

Pan Weed niemal zatańczył z podniecenia i chęci, aby wszystko wyjaśnić.

– Pionierzy, którzy osiedlają się na preriach, bardzo potrzebują domów, ale nie mają drewna. A farmerzy nie są cieślami, więc stawiają sobie szałasy z patyków, które rozpadają się po pierwszej burzy. Ci, którzy chcą założyć gospodarstwo rolne, narażają się na śmierć, zanim postawią jakiś dach nad głową. Nasz dom może złożyć każdy! Nawet farmer!

Zerknął na pana Drimmela, stojącego pod pobliskim bukiem i nadzorującego rozstawianie stolików przez obsługę hotelu.

– Ten model, gdyby był pełnowymiarowym Domem Na Prerii Numer Jeden, kosztowałby czterysta pięćdziesiąt dolarów, w tym koszty transportu koleją. Dwóch mężczyzn może złożyć taki dom przez około dwa tygodnie. Moi wspólnicy i ja mamy nadzieję, że Duke Cięcie zapewni nam drewno oraz zainwestuje w przedsięwzięcie.

– Aha… – mruknęła Lavinia. – Wspomniał pan o kosztach transportu koleją. Odbiorcy na prerii muszą mieć dostęp do linii kolejowej, jeśli chcą kupić taki dom.

– Chicago jest węzłem kolejowym, a wielka kolej transkontynentalna jest bliska ukończenia, mówią, że połączy dwa oceany za niecały rok. Jej bocznice obejmą cały kraj we

wszystkie strony. Nadchodzi epoka kolei. Pani pracownicy powinni zająć się produkcją podkładów. Wkrótce będą bardzo potrzebne.

///

W południe hotel Great Lakes podał lunch na świeżym powietrzu w cieniu buków: płaty szynki, pieczone kurczaki, faszerowane jajka i ciasto. Lavinia poczęstowała się udkiem kurczaka i usiadła na ławce po drugiej stronie buków.

– Dziękuję.

Znała już ten głos. Podniosła wzrok ku Dieterowi Breitsprecherowi.

– Rozmawiałem z twoim prawnikiem i księgowym. Przyjmuję twoją propozycję pod pewnymi warunkami. Trzeba trochę czasu, żeby omówić szczegóły mojej roli w takiej spółce i najlepszy sposób jej funkcjonowania. Moim zdaniem firma Breitsprechera powinna zlikwidować bieżące wyręby, być może sprzedać je Duke Cięcie, ale chcę zachować należące do mnie tereny oczyszczone z drzew, aby kontynuować ich zalesianie.

– Och, och… Dieter… Tak się cieszę… – Wstała i ujęła go za palce tłustą od kurczaka dłonią, którą zaraz cofnęła, czerwieniąc się i upuszczając nadgryzione udko na ziemię, gdzie rzuciły się na nie mrówki. – Dziś po obiedzie – powiedziała – możemy wybrać się na spacer do parku. – Wiedziała, jak bardzo spodobał mu się ten mały las.

– O, tak. Nie wyobrażam sobie, aby mogło być inaczej.

Drugi wieczór okazał się łatwiejszy. Rozmawiali ze sobą, jakby przyjaźnili się od lat – może tak było, pomyślała Lavinia. Omówili eksponaty wynalazców. Dieterowi nie spodobał się pomysł dodawania strychniny do smaru.

– Ty dbasz o rudziki – powiedział. – A ja o niedźwiedzie.

Zgodzili się, że składane domy to najlepszy pomysł i wynalazek, który z pewnością odniesie sukces. Lavinii bardzo spodobał się mały model.

– Oddajemy go pani w prezencie – powiedział Weed, a po godzinie od zamknięcia wystawy Lavinia ustawiła go pod srebrzystym klonem w parku. Stał i czekał na małych gości – może elfy? Albo dzieci… Czytała esej Charlesa Lamba *Dream Children*, najpierw z bólem, a potem z niesmakiem wobec własnej reakcji. Odegnała od siebie głupią, będącą oznaką słabości myśl.

Kilka dni po wystawie spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Korporacja Duke Cięcie – Lavinia za radą pana Flense'a przekształciła firmę w spółkę – otworzyła filię, którą nazwano Oddział Prairie. Oddział ten miał się zajmować wszystkimi aspektami produkcji składanych domów, w tym ich transportem na prerie oraz dostawą suchego przetartego drewna, poręczy do schodów, prętów do dywanów, giętych nad parą balustrad oraz innych elementów dekoracyjnych do prefabrykowanych domów. Van Dipp, Brace i Weed będą kierowali

budową składanych domów i jako pracownicy otrzymywali wynagrodzenia od Duke'a. Spółka, której domagał się Weed, okazała się nie do zaakceptowania dla rady.

– Jesteśmy w lepszej sytuacji, jeśli chodzi o stronę biznesową tego przedsięwzięcia – mówił Flense. – Oferujemy dziesięcioletni kontrakt, wysokie wynagrodzenia i procent od dochodów z prefabrykowanych domów, co zapewni panom stabilizację i majątek. Za dziesięć lat na nowo omówimy warunki.

Przy obiedzie Lavinia poprosiła Dietera o relację o śmierci kuzyna. Dieter westchnął.

– Jeśli to tak bolesne, nie musisz mi mówić – powiedziała.

– To jest bolesne, ale płynie z tego wiele nauk. Jak zapewne wiesz, Armenius miał żywiołowy charakter. Zawsze parł przed siebie, ryzykował na granicy awanturnictwa. Nasze przedsiębiorstwo straciło cały urok w jego oczach, gdy w Kalifornii odkryto złoto. Oszalał. Żadne moje przemowy nie przyniosły najmniejszego rezultatu, spakował sakwojaż i pognał do Kalifornii. Spędził tam półtora roku, zanim odebrałem od niego list. Z San Francisco. Twierdził, że zebrał majątek w samorodkach i czeka na statek do Nowego Orleanu. Z którego chce popłynąć w górę Missisipi do Chicago i Detroit. Więc czekałem na niego. A potem po dwóch miesiącach nadeszła koperta, w której przysłano mi tylko wycinek prasowy zatytułowany: „Król Drewna Śmiertelnie Ranny". Chodziło o

Armeniusa. Nie miałem pojęcia, kto przysłał mi ten upiorny artykuł. Więc pojechałem do San Francisco i po wyczerpujących poszukiwaniach odkryłem fakty i potwierdziłem smutną wiadomość o śmierci Armeniusa. Czy mógłbym prosić jeszcze odrobinę wina, Lavinio?

– Oczywiście. – Nalała mu kieliszek. – Mów dalej, proszę. Co się stało?

– Obnosił się ze swoimi samorodkami, chwalił się nimi i pokazywał je na prawo i lewo. Aż w końcu napadło go dwóch ludzi w ciemnym zaułku za barem, uderzyli go, pozbawiając przytomności, postrzelili, obrabowali i zostawili, żeby umarł. Ale Armenius nie umarł, jacyś dobrzy samarytanie wnieśli go do baru. Położyli go na stole na tyłach i posłali po doktora. Słyszałem, że w czasach gorączki złota w San Francisco było mnóstwo lekarzy, a człowiek, z którym rozmawiałem… człowiek, który poznał Armeniusa w hotelu, gdzie razem mieszkali, i który przysłał mi wycinek prasowy… powiedział, że wokół rannego zebrało się wielu z nich, przepychali się, chcąc mieć przywilej zajęcia się Armeniusem. Nie wiem, czy liczyli na sowite wynagrodzenie, czy uważali go, zgodnie z tym, co donosiła gazeta, za „Króla Drewna", którego wyleczenie mogło przynieść im pieniądze i sławę. W każdym razie doktor, który przybył na miejsce jako pierwszy, rozciął mu koszulę. Kula trafiła Armeniusa w pierś i przeszła przez lewe płuco. Mocno krwawił. Doktor zbadał go, a potem naciął ranę, żeby przekonać się, jakie szkody

wyrządziła kula. Tamował krew gąbką, a potem zeszył nacięcie. Zaniesiono Armeniusa do hotelu, w którym mieszkał, i położono na łóżku w pokoju. Zmarł po czterech dniach z powodu ogólnego zakażenia, które, jestem pewny, wywołał ten lekarz gąbką.

– Okropne – szepnęła Lavinia. – Straszne. Biedny Armenius. Tak mi przykro.

– Tak, to była najciemniejsza godzina mojego życia. Moim zdaniem Armenius został zamordowany przez lekarza. Wcześniej dobrze nam się powodziło w naszych przedsięwzięciach, a mój nieszczęsny kuzyn zostawił wszystko, co dobre, żeby uganiać się za okruszynami złota w odległych górach i strumieniach. Przypłacił to życiem.

Siedzieli w milczeniu, póki nie nadeszła Libby, żeby sprzątnąć ze stołu. Wzdrygnęła się, nie zauważywszy ich po ciemku.

– Przepraszam, panienko. Myślałam, że państwo wyszli.

– Nie, nie, ale myślę, że możemy to zrobić. Czy masz ochotę przejść się ze mną po parku, Dieter?

– Oczywiście, Lavinio.

Dieter emanował spokojną pewnością siebie. Czuła się bezpiecznie w jego towarzystwie. Słońce zaszło, ale niebo wciąż wypełniała brzoskwiniowa i truskawkowa poświata. Minęli mały domek z wystawy i Dieter uśmiechnął się. Pod drzewami było duszno, nie wiał wiatr, a maleńkie czarne komary podrywały się leniwie z ziemi. Pod gęstymi sosnami panowały już zielone niczym oceaniczna toń ciemności. Gdzieś daleko rozległ się grzmot. Dieter

widział Lavinię w czarnej sukni, cień pochłonął barwę jej włosów, więc wszystko skupiało się w jej jasnej napiętej twarzy. Przypomniał sobie wiersz Katullusa i szepnął:

– *Montium domina, silvarumque virentium*[37]…

Ujął Lavinię za rękę i szli spacerem.

– Lavinio, dlaczego nie wyszłaś za mąż?

Pytanie to zaskoczyło ją swoją bezpośredniością. Z gardła wyrwał się jej cichy jęk, jak skrzypienie zawiasów w kredensie.

– Och, nigdy nie spotkałam nikogo, kto zwróciłby moją uwagę. Jestem, obawiam się, bardzo wybredna w doborze przyjaciół. A ty?

Błysnęło w oddali.

– Podobnie – odrzekł. – Jestem zbyt wybredny, zbyt wiele oczekuję od kobiety.

– A czegóż to oczekuje pan od kobiety, panie Breitsprecher?

– No cóż, wdzięku, urody, inteligencji, umiejętności odróżnienia białego wina od czerwonego, umiłowania rudzików i… co najważniejsze i najrzadsze… umiejętności taksowania drzew.

Roześmiała się głośno, a on zaraz po niej. Stali, chichocząc, w ciemności, aż przeleciała im cicho nad głowami spłoszona tym śmiechem sowa.

– Lavinio – odezwał się, odzyskawszy zdolność mówienia: – Czy wyjdziesz za mnie?

– To bardzo dobre pytanie – odpowiedziała. – Zajmijmy się nim.

Nad ich głowami zawisła raptem przesłaniająca resztki światła burzowa chmura. Błyskawice zagnały ich z powrotem do domu, a pierwsze ciężkie krople deszczu schwytały ich zdyszanych w progu. Czy ktoś oświadczał się kiedyś kobiecie w takich okolicznościach? – zastanawiała się Lavinia. Była przerażona i podekscytowana. Teraz, teraz znajdzie odpowiedzi na wszystkie zadawane w duchu pytania.

Rzuciła się głową naprzód w tę wszechogarniającą, gwałtowną miłość – taką, jaka przydarza się niekiedy samotnym kobietom u progu staropanieństwa. Oddała wszystko temu uczuciu. Płonęła, płonęła. Jakby dopiero teraz się urodziła – w ramionach Dietera. Od śmierci Jamesa nigdy nie zbliżyła się do nikogo, a teraz wyżarzała się w jego cieple. Dietera Breitsprechera! Akurat jego!

Zaplanowali ślub przed upływem miesiąca, ale najpierw musieli ustalić zawiłe szczegóły zobowiązań i interesów, wynajmów i zaplanowanej pracy. A Dieter dodatkowo był umówiony na spotkanie w Nowej Anglii z człowiekiem, którego bardzo podziwiał.

– Ten człowiek, George Marsh, jest farmerem z Vermontu i pierwszym Amerykaninem, który dostrzega wielkie niebezpieczeństwa wiszące nad tutejszymi lasami. Moje pragnienie spotkania i rozmowy z tym wnikliwym i inteligentnym człowiekiem ustępuje tylko mojemu pragnieniu małżeństwa z tobą, Lavinio. Jakiś czas temu umówiliśmy się na spotkanie u

niego, by razem obejrzeć szkody poczynione ziemi przez bezmyślną wycinkę szlachetnych klonów i dębów na zwykły potaż i granulowany węglan potasu. Umówiliśmy się na wyprawę po lasach Nowej Anglii, gdzie wycięto drzewa już przed stu laty. Chcemy sprawdzić, co się tam teraz dzieje. Muszę to zrobić, ukochana.

Lavinia była nieco rozbawiona tym zainteresowaniem wyciętymi lasami.

Adwokat Flense i pan Pye pojechali do Detroit, żeby spotkać się z plenipotentem Dietera, Maurice'em Mossbeanem, wraz z którym mieli opracować najsensowniejszy sposób włączenia przedsiębiorstwa Breitsprechera do Duke Cięcie i Transport Drewna.

– W samej rzeczy – powitał ich pan Mossbean. – Zacznijmy od tego, że zmienimy nazwę spółki na Duke & Breitsprecher.

Tysiące szczegółów i tak będą omawiane na wszystkie strony podczas posiedzeń rady. Dieter Breitsprecher wydawał się zdumiewająco mało zainteresowany biznesowym aspektem leśnictwa i z ulgą przekazał interesy Duke Cięcie. Dzięki temu będzie miał więcej czasu na opracowanie własnych dyrektyw gospodarki leśnej, rozwijanie szkółkarstwa i zajęcie się drzewami liściastymi, które są tak liczne i mało znane. Chciał napisać rozprawę o *Aceraceae*, gdyż bardzo interesowały go klonowate.

Kilka dni później wyczerpani panowie Pye i Flense siedzieli z zaczerwienionymi ze zmęczenia oczami w rozkołysanym dyliżansie mknącym przez wiejskie okolice. Palili cygara, a adwokat Flense wyjął srebrną piersiówkę, którą podał panu Pye'owi.

– Czy to… połączenie… nie wywołuje w panu niepokoju? – zapytał adwokat.

– Owszem – odrzekł pan Pye, odkręcając srebrną zakrętkę i pijąc spory łyk whiskey. – Kryją się za tym niechybne zmiany w kierunku, w którym podążają nasze interesy. Byłem za tym, abyśmy wzięli Breitsprechera na wspólnika, ale to małżeństwo może mieć zgubny wpływ na sposób, w jaki działamy. Kto wie, czy nie zdoła jej przekonać do swoich staromodnych zapatrywań na leśnictwo, co pociągnie za sobą spadek rentowności spółki, tak jak spadła rentowność Breitsprecherów po odejściu Armeniusa.

Adwokat Flense zaklął tak siarczyście, że pan Pye udał, że tego nie słyszał.

Narzeczeni zgodzili się, że zamieszkają w domu Lavinii.

– Ale pod warunkiem, że oddasz mi pokój na bibliotekę, w której będę rozmyślał i pisał – zastrzegł Dieter. – Do tego mała szklarnia i laboratorium… a uznam, że moje marzenia są spełnione. Mężczyzna, który tak długo żył sam, nie może od razu wyrzec się przyzwyczajeń.

– Tak sobie myślę – odrzekła Lavinia – że najlepiej byłoby dobudować skrzydło do domu. Obecny rozkład pokojów nie wydaje mi się odpowiedni dla małżeństwa. Oddam Goosey swoją obecną sypialnię. Ale będzie mi brakowało przeszklonej kopuły, pod którą wpatrywałam się w statki.

– Wybudujmy coś takiego w nowym skrzydle! Moja ukochana żona musi mieć widok na jezioro Michigan i pływające po nim statki.

– A ty możesz postawić szklarnię, gdzie tylko chcesz. Będę miała zajęcie, gdy wyjedziesz do Nowej Anglii. Zajmę się nadzorowaniem budowy nowego skrzydła i pokoi dla nas. A czy na miesiąc miodowy wyjedziemy za granicę? Jest tyle rzeczy do zrobienia!

Uśmiechnął się.

– Miesiąc miodowy! Pojedziemy, dokąd tylko zechcesz. Zostawiam decyzję w twoich rękach. Ale zastanów się, czy nie chciałabyś obejrzeć rezultatów niczym nieskrępowanej wycinki lasów na ziemiach wokół basenu Morza Śródziemnego? Właśnie to sprawiło, że w Europie zaczęto przykładać taką wagę do dbałości o lasy i gospodarki leśnej.

Podniósł jej rękę i niespodziewanie polizał wnętrze jej dłoni.

– Dieter! – krzyknęła zaskoczona, udała, że się obraża, i zabrała dłoń, choć dotyk jego ust wprawił ją w dziwne drżenie. Ale miesiąc miodowy poświęcony na oglądanie jałowych krajobrazów nie wydał się jej kuszącą propozycją.

– Lavinio, zrobię wszystko, abyś czuła się szczęśliwa! Widzę naszą przyszłość w najradośniejszych barwach. Szybko załatwię tę wizytę w Nowej Anglii. Mamy już połączenia kolejowe do samego Albany, a resztę drogi pokonam dyliżansem czy jakimiś lokalnymi liniami kolejowymi. Vermont to wciąż prowincja. I będę do ciebie pisał! Napiszę długi list w pociągu, następny, gdy przyjadę na miejsce, trzeci, gdy będę kładł się spać, a czwarty…

– Masz przeogromne poczucie humoru.

Siedziała pod szklaną kopułą domu i wpatrywała się w płynące po jeziorze statki, gdy usłyszała chrzęst kół na żwirze, a spojrzawszy w dół, ujrzała powóz zatrzymujący się przed frontowymi drzwiami. Z powozu wysiadł pan Pye w towarzystwie wysokiego, szczupłego, nieznanego jej mężczyzny. Usłyszała kołatanie do drzwi, głos Libby, ale nie miała żadnych złych przeczuć, aż zeszła do westybulu i spojrzała na nieznajomego, który zdjął cylinder, spod którego wyłoniła się ciemna wygolona niemal na łyso głowa – głowa jak kula armatnia, jakby człowiek ów wyłonił się dopiero z dróg rodnych z wydłużoną, wąską twarzą do samej spiczastej brody.

– Lavinio – odezwał się pan Pye – usiądź, proszę. Przedstawiam pana Averso z biura kolei żelaznych. Doszło do wypadku…

Słuchała, nic nie rozumiejąc. Słuchała, słuchała, słuchała. Tak było z Jamesem. To nie może się powtórzyć. Wpatrywała się w

pana Averso, którego oblicze, którego głowa wyryły się w jej pamięci do końca życia. Stanęło jej serce, a otwierające się powoli usta pana Averso były ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła przed osunięciem się na podłogę.

– Lavinio! Jeszcze nie wiemy! – krzyknął pan Pye. – Libby! Biegnij po wodę!

Skropił wodą twarz Lavinii, potrząsnął nią, poklepał po policzkach.

– Nie wiemy, Lavinio! Był w tym pociągu, ale nie wiemy, czy siedział w wagonie, który się wykoleił i… spadł.

Wiedziała jednak, że Dieter zarezerwował miejsce w pociągu do Albany. Słyszała, jak pan Averso mówił, że na wschód od Cleveland lokomotywa wjechała na wysoki most podparty konstrukcją wsporczą i właśnie na tym moście ostatni wagon się wykoleił, odczepił od składu i spadł w otchłań.

– Lavinio! – zawołał pan Pye. – Pan Averso zapewnia nas, że większość pasażerów z pozostałych wagonów przeżyła, choć niektórzy są ranni. Musimy czekać na dalsze wieści, Lavinio! Musimy czekać. Nie traćmy nadziei, bo nie wiadomo, kto zginął, a kto przeżył.

Spojrzała na niego. Przeniosła wzrok na Averso.

– To nie jest jeszcze pewne? – zapytała.

– Nie jest pewne, proszę pani – odpowiedział pan Averso. – Przyjechałem, aby zaproponować pani przejazd na miejsce

katastrofy, abyśmy mogli stwierdzić, czy pan Breitsprecher znalazł się wśród… ocalonych.

– A więc to nie jest pewne! Pojadę! Muszę się dowiedzieć! Libby, Libby, mój szal. Jadę po Dietera!

W taki sposób Lavinia dowiedziała się, że za miłość płaci się bardzo wysoką cenę. Siedziała skulona i zgarbiona na ławce specjalnego pociągu pędzącego na miejsce katastrofy. Pamiętała taką podróż, którą odbyła z Cyrusem po zamarznięte zwłoki Jamesa złożone pośród pni. Po raz drugi pędziła, by znaleźć dowód na niebezpieczeństwa współczesnego życia. Ale los nie może być aż tak okrutny, żeby odebrać jej Dietera.

Przed świtem następnego dnia dojechali do przerażającego miejsca wypadku, oświetlonego migoczącymi płomieniami ognisk i niezbyt jasnymi latarniami: wagon, który spadł z mostu, nadal tlił się na skałach pod estakadą. Spalone ciała leżały w płynącej poniżej rzeczce, a jęczących i nawołujących rannych wciąż znoszono przy tory. Gdzie pomoc? Wszystko to przypominało chaotyczną nieporadność ludzi dotkniętych tragedią. Lavinia, pan Pye i Averso weszli między ocalonych, szukając Dietera. Lavinii wydało się, że rozpoznaje jego barczystą, skuloną na ziemi postać, ale człowiek ten odwrócił od niej poranioną i zakrwawioną głowę. Miał oderwane ucho wiszące przy żuchwie. Do tego zmiażdżony nos i opuchnięte sine oblicze przypominające ugotowany świński łeb. Podeszła do następnego.

– Lavinia! – usłyszała schrypnięty krzyk za plecami. Odwróciła się. Ta postać o twarzy wieprza z otwartymi szeroko ustami, z których spływała krwawa piana, znów zachrypiała:

– …viniaaa…

Wpatrywała się w niego, drżąc na całym ciele. Podbiegł do nich pan Pye, spojrzał w twarz tej istocie.

– To Dieter! Lavinio, to Dieter Breitsprecher!

///

Goosey Breeley była w swoim żywiole. Zajęła się ranami Dietera Breitsprechera z poczuciem misji. Pokój gościnny w domu Lavinii stał się salą szpitalną, a Goosey jego osobistą Clarą Barton[38]. Była niezmordowana, opatrywała mu rany, zmieniała bandaże, wietrzyła pokój, czytała mu całymi godzinami i przyrządzała smakowite potrawy o znanych właściwościach odżywczych: owsiankę, wołowy bulion, pokrojone drobno piersi kurczaka, jajka po wiedeńsku i tym podobne.

– Śpij – zachęcała go. – Pilnuję cię, więc możesz spać.

I Dieter zasypiał.

Któregoś dnia poprosił ją o pójście do parku i przyniesienie gałązki sosny. Uważał, że zapach sosny go ożywi.

Goosey zapytała najpierw o pozwolenie Lavinię, gdyż istniała między nimi niepisana umowa, że park jest wyłącznym królestwem Lavinii, pana Jinksa i pana Cowesa.

– Ależ Goosey, możesz chodzić po tym lesie, kiedy tylko masz ochotę. I przynieś mu, proszę, sosnowe gałązki.

Goosey zniknęła na ponad godzinę i wracała do parku każdego dnia, przynosząc od czasu do czasu świeże gałązki do pokoju chorego.

W Lavinii dokonała się natomiast ważna zmiana. Spieniona katarakta miłości, która wcześniej tłoczyła krew w jej żyły, spłynęła do podziemnego kanału. Pozszywany, zabandażowany i wsparty o poduszki Dieter nie był tym samym mężczyzną, o którego pierś wspierała głowę, płacząc. Ten poraniony człowiek nie mógł jej chronić. Zamienili się rolami. Pragnienie pieniędzy i powodzenia wróciło ze zdwojoną siłą w przestrzeń, którą Dieter opuścił – to jedno przynajmniej się nie zmieniło.

Lekarze mówili, że Dieter Breitsprecher dojdzie zapewne do pełnego zdrowia, ale gdy wchodziła do pokoju rannego i przyglądała się jego spuchniętej bezbarwnej twarzy, nie mogła w to uwierzyć. Siadając przy jego łóżku, odwracała lekko głowę i mówiła do ściany albo okna. Nie potrafiła zdławić w sobie atawistycznego przeczucia, że wciąż jest sama, osaczona przez wilki – wrażenie to prześladowało ją od śmierci Jamesa w zamarzających odmętach.

Rzuciła się w wir pracy, zostawiając Dietera pod opieką Goosey, z wyjątkiem godziny wieczorem, gdy przychodziła do niego, siadała przy łóżku i patrząc w ścianę, trzymała go za rękę i relacjonowała mu pobieżnie wydarzenia dnia – niezbyt

szczegółowo, żeby go nie męczyć. Choć jej uczucia wobec niego zmieniły się, nadal zamierzała wziąć z nim ślub, gdy tylko wydobrzeje. Bardzo go lubiła i chciała mieć męża. Ale interesy nigdy bardziej jej nie absorbowały: Firma Duke wkraczała po raz pierwszy na zagraniczne rynki.

---

[36] Uchwalona przez Kongres Stanów Zjednoczonych odbudowa państwa, a zwłaszcza południowych stanów po wojnie secesyjnej w latach 1863–1877.

[37] *Byś panią była gór opoczystych/Lasów zielonych, gajów cienistych*, z Katullus XXXIV, „Hymn do Dyany", tłum. Jan Czubek.

[38] Amerykańska pielęgniarka i założycielka Amerykańskiego Czerwonego Krzyża.

59

LISTEK LIPY

Po wypadku Lavinii przestało zależeć na uczuciach Dietera, on natomiast wpadł w wir niebezpiecznej miłości. I nie mógł się wydobyć. Przeczuwał, że ich ślub będzie błędem, ale skrępowany wszechogarniającym uczuciem, nie miał siły, by odpłynąć. Trzymało go jakieś zaskakujące pragnienie Lavinii. Wiedział, że to irracjonalne, znał jej życiową drogę i domyślał się, że prędzej czy później będzie musiał wyrzec się własnych przekonań. Zmiażdży go. Ale niewypowiadalna prawda brzmiała tak, że chciał być zmiażdżony. Choć nigdy się do tego przed nią nie przyznał, Lavinia przypominała mu babkę – wyprostowaną jak trzcina kobietę o gładkiej twarzy i czarnych, przedzielonych na środku włosach, która znała odpowiedzi na wszystkie pytania i prowadziła dom, który świecił złotem niczym stojący na kominku zegar *or moulu*. Jej rygorystyczne zasady, polecenia i bolesne kary oraz rzadkie, a przez to niezapomniane pochwały położyły podwaliny pod uczucia, które żywił wobec Lavinii. Leżał więc w łóżku, czekając na krótką wieczorną godzinę jej odwiedzin,

podczas których siedziała zapatrzona w ścianę, mówiąc o bieżących sprawach i pogodzie.

– Pan Pye, nasz długoletni sprawdzony księgowy, chce przejść na emeryturę, tłumacząc to złym stanem zdrowia. Cierpi na bóle trzewi i pogarsza mu się wzrok. Annag zapewnia mnie, że będzie w stanie prowadzić księgowość nie gorzej od niego.

– Czy nie byłoby dobrze, gdybyś wydała na jego cześć małe przyjęcie i obdarowała go złotym zegarkiem z dewizką w kształcie szyszki? Nie wiem zresztą, jaka jest polityka firmy.

– Obawiam się, że nie mamy żadnej polityki w tej materii. Ojciec nie był człowiekiem sentymentalnym, więc wydaje mi się, że każdy, kto przechodził na emeryturę, dostawał złotą monetę i uścisk dłoni. Ale masz rację. Powinniśmy zaaranżować dla pana Pye'a małe przyjęcie, kolację w sali posiedzeń rady. Powiem Annag, żeby się tym zajęła.

Dla osób postronnych takie zmiany w firmie były widomą oznaką wpływu Dietera Breitsprechera. Dieter był nieco tajemniczy, ale odkąd pojawił się w firmie, postronni uznawali go za siłę sprawczą interesów Duke Cięcie. Przypisywano mu charakter i cechy Lavinii, więc rosła jego sława jako przenikliwego i szybko działającego biznesmena.

By uciec od własnych uczuć i myśli podczas rekonwalescencji, Dieter zaczął prowadzić korespondencję z tymi, którym leżał na sercu los znikających lasów Ameryki Północnej. Troska o lasy wiązała się coraz bardziej z niesprecyzowaną do końca narodową

tożsamością, choć Dieter nie był tego pewny. Wiedział natomiast, że coraz mniej ludzi traktuje lasy jako zaprzysięgłego wroga: niektórzy nawet chronią poszczególne drzewa, zwłaszcza te potężne lub uznane za punkty orientacyjne. Pastor unitarian z zachodniego Massachusetts wygłosił serię kazań o drzewach – kazania te opublikowano potem w cienkim tomie zatytułowanym *Drzewa życia*. Dieter miał egzemplarz tej książki. Najbardziej poruszające kazanie dotyczyło cedrów Libanu, *al. Arz ar Rab*, wielkich ciemnych drzew Boga, udzielających schronienia aniołom, zwalonych przez sto tysięcy drwali króla Salomona. Kazanie kończyło się apelem: „Dziś cedrom zagrażają wszystkożerne kozy, zjadające młode odrosty. Nie pozwólcie na to: sama królowa Wiktoria wyasygnowała fundusze na płoty chroniące drzewa przed kozim zniszczeniem". Wierni przeznaczyli duże sumy na ocalenie cedrów Libanu, choć nadal wypasali własne stada w publicznych lasach.

Dieter nie chciał się wdawać w rozważania transcendentalne, ale interesowała go zmiana zachodząca w mieszkańcach Ameryki – od nienawiści do niemal czci wobec lasów, co znał z czasów spędzonej w Niemczej młodości. Po śmierci rodziców babka zabrała go do wioski Heede, aby pokazać mu tamtejszą lipę, *Heede Riesenlinde*.

– To *Lindwurm*, smocze drzewo – powiedziała przyciszonym, pełnym napięcia głosem i pchnęła go upierścienioną dłonią w stronę lipy. Gdy znaleźli się bliżej wielkiego, pokrytego czyrakami

drzewa o rozłożystym pniu porośniętym szmaragdowym mchem, babka powiedziała:

– To szlachetne i stare drzewo jest drzewem sprawiedliwości i czymś znacznie więcej.

I opowiedziała mu historię Zygfryda, zaadaptowaną dla jej własnych celów. Była to opowieść o Zygfrydzie Koroskórym, który zdobył zbroję z kory, pokonawszy smoka Fafnera żyjącego pod lipą. Gdy Zygfryd polał się krwią Fafnera, jego skóra zamieniła się w twardą korę, z wyjątkiem małego miejsca na plecach, gdzie przylgnął listek lipy.

– Smok mieszkał pod tym drzewem? Tutaj? – pytał Dieter, wbijając wzrok w czarną jaskinię między korzeniami, z której w każdej chwili mógł wyłonić się Fafner.

– Owszem, ale to było dawno temu. Smoka zabił Zygfryd, a ty powinieneś myśleć o sobie jak o małym Zygfrydzie. Smutek, który czujesz po śmierci mamy i taty, jest jak smok: *Sie müssen niederzuschlagen*… Musisz powalić tego smoka smutku. Musisz się wzmocnić, pokonać żal i uzbroić wolą przeciw nadmiarowi miłości. Wówczas nic cię nie dotknie.

Ale Lavinia znalazła ten listek lipy na jego plecach i oderwała go.

Napisał wiele listów do Marsha, przyjaciela z Vermontu. Marsh był najlepszym farmerem, gdyż zwracał uwagę na wszystko, co działo się w jego świecie: na łamiące się gałęzie drzew, głębokość

kompostu w lesie, korzenie spowalniające spływającą deszczówkę, wchłanianą ostatecznie przez gąbczaste mchy i porosty oraz rozkładające się liście. Widział, co dzieje się z glebą po wyrąbaniu drzew, widział znikające ptaki po osuszeniu stawów. Gdy podróżował, porównywał okolice i wyciągał wnioski. Dieter nadal miał nadzieję, że go odwiedzi i dowie się, co myśli pan Marsh. W miarę prowadzenia korespondencji Dieter przekonał się, że pan George Perkins Marsh jest kimś znacznie ważniejszym niż tylko uważnym farmerem – jest też lingwistą, kongresmenem, dyplomatą, podróżnikiem, słowem, jednym z geniuszy tego młodego kraju, którzy rodzili się w nim – zda się – na pniu.

///

Nowe skrzydło domu Lavinii zostanie dobudowane podczas ich podróży poślubnej do Nowej Zelandii. Kiedy wrócą, wszystko będzie gotowe.

To będzie bardzo kosztowne, myślała w duchu Lavinia, ale trzeba zachować pozory, a Dieter musi mieć bibliotekę i szklarnię. Przestała nosić się na czarno i zainteresowała nową modą: obcisłymi sukniami z zuchwałymi niedużymi tiurniurami. A Goosey – ta stateczna siwowłosa matrona od lat oszczędzająca pieniądze – zaczęła nagle pojawiać się w sukniach o żywych kolorach, zdobnych w żaboty. Splatała artystycznie włosy i układała je w koronę na głowie.

Podczas śniadania Goosey polała naleśnik topionym masłem i syropem klonowym, po czym zwróciła się do Lavinii:

– Lavinio, od wielu dni noszę się z zamiarem poinformowania cię o czymś…

– O co chodzi, Goosey? – Lavinia wolała nie rozmawiać przy śniadaniu, ale milczenie nie leżało w naturze Goosey. Zerknęła na kuzynkę, na jej rumianą twarz i zmarszczone brwi. Goosey pachniała lekko kłączem kosaćca.

– Przyjęłam oświadczyny pana Axela Cowesa.

– Ale skąd ty go znasz? – Lavinia była zdumiona. Goosey oblała się rumieńcem i zgarbiła. Wszystko się wydało.

W dniu, w którym poszła do parku naciąć sosnowych gałązek dla Dietera, spotkała pana Cowesa spacerującego z psem. Rozpoczęli rozmowę, przespacerowali się razem, a przez kolejne miesiące spotykali się na przechadzce codziennie i stali się bliskimi przyjaciółmi, a w końcu narzeczonymi.

– On potrzebuje kogoś bliskiego – oznajmiła Goosey.

Ach, pomyślała Lavinia, jak każdy.

– Życzę ci wiele szczęścia, Goosey – powiedziała i od razu zanotowała w pamięci, aby usunąć Goosey z grona spadkobierców.

Lavinia pojechała wcześnie do biura i wróciła późno. Miała mnóstwo pracy, jak co dnia przyjmowała dwie albo trzy osoby w interesach, a korespondencji było tyle, że Annag Duncan i panna Heinrich ledwo nadążały czytać i odpowiadać. Annag wyglądała

teraz na zamożną i odnoszącą sukcesy kobietę interesu, natomiast panna Heinrich niewiele się zmieniła: pozostała nieśmiała, a gdy w biurze pojawiali się obcy, chowała się w kantorku, gdzie trzymano artykuły biurowe.

– Na rany Chrystusa! – pomstowała Annag. – Przecież cię nie ugryzą! To zwykli biznesmeni.

– Nie lubię tego pana Wirehouse'a. Za bardzo mi się przygląda.

– Przygląda się wszystkim. Ty też możesz mu się przyglądać, jak kot przyglądający się królowi.

Mecenas Flense podarował jej zabawną książeczkę: *Przygody Alicji w Krainie Czarów*. Uwaga Annag sprawiła, że panna Heinrich zalała się łzami.

– Nie jestem kotem!

Pewnego wietrznego, jak to w Chicago, dnia do gabinetu Lavinii weszła Annag w skromnej granatowej sukni z niepozorną falbanką. Już przed progiem układała sobie w głowie, co chce powiedzieć.

– Panno Duke, powodzenie firmy sprawiło, że w biurze jest mnóstwo pracy. Musimy zatrudnić nowe siły. Przychodzi mnóstwo listów. Proponuję awansować pannę Heinrich na zastępczynię kierowniczki i przyjąć dwie, a nawet trzy osoby do sortowania i zajmowania się korespondencją, co do tej pory robiła panna Heinrich.

– Masz moją zgodę – odpowiedziała Lavinia – na opublikowanie ogłoszenia i zatrudnienie nowych sił biurowych. Musimy je przeszkolić. Zdajesz sobie sprawę, że będę w podróży z Dieterem przez blisko dwa lata. Muszę regularnie otrzymywać sprawozdania ze wszystkiego, szczegółowe cotygodniowe telegramy, a nic złego, jak przypuszczam, się nie wydarzy. Obawiam się, że spadnie to na twoje barki. A jeśli chodzi o awans panny Heinrich, przyślij ją do mnie, porozmawiam z nią.

Zaledwie przed kilkoma dniami panna Heinrich – wzór wystrzegającej się mężczyzn starej panny – przybiegła zdenerwowana do Annang, mnąc w dłoniach jakieś dokumenty.

– Pani Duncan, zgodnie z pani poleceniem przejrzałam raz jeszcze propozycje z wystawy wynalazców z zeszłego lata i znalazłam coś wielce… interesującego. Nie zajęliśmy się tym. Nie wiem, czy panna Duke uznała tę propozycję za mało obiecującą… – Ucichła.

– A cóż to za propozycja?

– Nadesłana z Maine od niejakiego pana Stirrupa. Choroba nie pozwoliła mu przyjechać na wystawę, dlatego próbuje raz jeszcze. Pan Stirrup handlował szmatami, a obecnie prowadzi papiernię w Maine nad rzeką Mattawannscot. Kiedyś wytwarzał papier z samych szmat, ale obecnie eksperymentuje z pulpą drewnianą z domieszką szmacianych włókien. Z wielkim powodzeniem, jak pisze. Poza tym wytwarza papier z pulpy samych drzew, rozmaitych drzew. Bez szmat.

– To interesujące. Nie słyszałam o tej propozycji. Czy przysłał coś jeszcze?

– Owszem. Przysłał próbki. Papieru z pulpy drewnianej. Pisze, że przeprowadził wiele eksperymentów, żeby stwierdzić, które drewno jest najlepsze i który proces przynosi najlepsze rezultaty. Pisze o podsiarczynie i procesie wybielania włókna drzewnego. Nie wiem, co to znaczy.

– Ja również tego nie wiem. Pokaż mi te próbki.

Annag Duncan obejrzała kartki papieru, napisała atramentem kilka słów na każdej z nich, złożyła i zagniotła kanty. Oddała kartki pannie Heinrich, a potem usiadła na krześle i wyjrzała przez okno na budowę muzeum – prezentu dla miasta od jednego z tutejszych milionerów. W końcu westchnęła, odwróciła się i spojrzała na pomocnicę. Nieszczęsna panna Heinrich była tak przerażona, że drżała na całym ciele.

– Panno Heinrich, najlepiej będzie, jeśli zaniesie pani tę propozycję pannie Duke i opowie jej, co zwróciło pani uwagę. Być może panna Duke przeoczyła coś, czytając propozycje wynalazców w zeszłym roku. Zgadzam się z panią, że ta propozycja jest obiecująca.

Teraz zaprowadziła pannę Heinrich pod drzwi Lavinii i powiedziała:

– Panno Duke, oto panna Heinrich.

Panna Heinrich stała niczym śnieżnobiały posąg na orientalnym dywanie przed biurkiem pracodawczyni, a Lavinia czytała propozycję pana Stirrupa i przyglądała się próbkom.

– To bardzo interesujące, panno Heinrich. Należą się pani słowa uznania. Dostanie pani awans i podwyżkę.

Wybiegała już myślą naprzód. Stirrup pisał, że jako papierówkę służącą do produkcji ścieru, czyli pulpy na niezbyt drogi papier można wykorzystać drewniane odpady. To stworzyłoby, myślała, kolejny lukratywny rynek zbytu. A gdy dojdzie co do czego, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby Duke i Breitsprecher zbudowali własną papiernię.

– Podyktuję pani list, panno Heinrich – powiedziała. – „Drogi Panie Stirrup, zapoznałam się dzisiaj z pańską Propozycją…”

To pociągnięcie zapewni firmie byt w następnym stuleciu.

Małżeństwo przyniosło Lavinii korzyści w interesach. Dieter stał się kimś w rodzaju galionu firmy, natomiast ona nadal nią zarządzała i trzymała wszystko w garści, budując wielkie imperium Duke’ów wszystkimi możliwymi sposobami. Dieter zażądał, aby firma nie sprzedawała spekulantom oczyszczonych z drzew borów sosnowych, tylko zatrzymała je i gospodarowała na nich przez nowo powołany oddział Gospodarki Leśnej, którym będzie kierował, zajmując się zalesianiem. Nie pozwolił także na włączenie do nowej firmy poprzednio zalesianych terenów.

Pojawiły się więc pierwsze dowody na to, że Duke i Breitsprecher będą chronić lasy, co odbiło się echem w notowaniach spółki.

– Nadejdzie taki dzień – tłumaczył radzie Dieter – choć teraz trudno w to komukolwiek uwierzyć, że drzewo stanie się rzadkim i cennym surowcem: bardziej cennym, niż potrafimy to sobie wyobrazić. Uznaliście, że przyszłością firmy może być produkcja papieru, którą objaśniała nam tego ranka Lavinia wraz z panem Stirrupem. Niepozbywanie się ziemi w Maine przez lata, co uczyniła firma Duke Cięcie, było mądrym posunięciem. Jeśli będziemy zalesiać nasze ziemie, przyszłe losy i majątek firmy są zapewnione, już to w produkcji drewna, już to w produkcji papieru. Nas już może nie być na tym świecie, ale nasze wysiłki przyniosą korzyści.

Trudno było z tym dyskutować, gdyż stare tereny Breitsprecherów, które zaczął zalesiać przed dwudziestoma laty, stały się już mocnymi młodniakami, które za trzy albo cztery dekady zamienią się w cenny las. Wszystko to zmusiło radę do planowania w skali dekad, a nie miesięcy czy kilku lat. Dosyć przerażające.

Firma Duke i Breitsprecher wysłała pierwsze transporty najlepszych sosen do Sydney w Australii. Mecenas Flense pojechał do San Francisco, żeby spotkać się z kontrahentem, Anglikiem prowadzącym interesy w Australii, niejakim Harrym Blusttem, który chciał zawrzeć kontrakt na dziesięcioletnie dostawy. Blustt

chciał kupować sosny z Michigan, ale wspomniał, że handluje również araukariami – cokolwiek to jest, myślał Flense.

– Trochę tych drzew rośnie w Australii – mówił Blustt – ale większość jest z Nowej Zelandii. Interesuje nas znalezienie wspólnika z branży, żeby założyć efektywne obozowiska drwali w tym kraju. – Gdy mówił, unosiła się i opadała jego ruda kozia bródka.

– Rozumiem – odrzekł Flense. Po raz pierwszy usłyszał słowo „efektywne" w takim kontekście i od razu pojął jego znaczenie. – Duke i Breitsprecher są zainteresowani każdym zamorskim obszarem leśnym. Nieustannie troszczymy się o nowe zapasy drewna. „Efektywność" to nasze motto. A kto miałby zostać naszym wspólnikiem w Nowej Zelandii?

Blustt uśmiechnął się.

– Uzgodnimy to. Mamy tam swoich ludzi, mamy też kontakty z właściwymi ludźmi. Na obecnym etapie szukają rad i inwestycji oraz wszystkiego innego w Australii i Londynie, zatrudniają też krajowców, którzy nie są dobrymi robotnikami. Potrzebujemy amerykańskich drwali, którzy potrafią posługiwać się siekierą i piłą. Pokażę panu, jak wygląda produkt finalny… – Wyjął cztery deszczułki złocistego drewna araukarii.

– Ach… – zachwycił się Flense. Drewno lśniło tak, jakby w każdym jego atomie ukrywało się słoneczne światło.

– Najlepsze drewno do budowy domów na świecie – chełpił się Blustt.

Flense przyniósł próbki na posiedzenie rady w Chicago, a jej członkowie podawali sobie wygładzone, wolne od skaz deszczułki z rąk do rąk. Araukaria jest sosną, a gdy dowiedzieli się o jej strzelistym przyroście, o olbrzymich prostych drzewach mierzących sto stóp, z gałęziami umieszczonymi wygodnie w koronie, przegłosowali, że chcą dowiedzieć się więcej.

– Mówi się, że to najdoskonalsze drzewo na ziemi dla drwala – oznajmił Flense. – Tak przynajmniej mówi ten jegomość Blustt.

Nikt z członków rady nie wiedział za dużo o Nowej Zelandii. Lavinia chciała się spotkać z tym Blusttem i chciała obejrzeć las araukarii, zanim firma rzuci się nań na oślep. Może rosną tam takie lasy jak w Michigan i historia się powtórzy? Zaplanowano więc podróż. Lavinia popłynie do Sydney z Dieterem Breitsprecherem – który odzyskał już zdrowie, choć miał sporo blizn – w podróż poślubną, spotka się z Blusttem, a potem wszyscy wyruszą do Nowej Zelandii, żeby obejrzeć na własne oczy araukarie z półwyspu Coromandel.

Zanim wypłynęli, Lavinia spotkała się z mecenasem Flensem i – oddzielnie – z Axelem Cowesem.

– Panie Flense – zwróciła się do prawnika – traktuję pana nie tylko jako doradcę i wykonawcę moich transakcji finansowych, ale i przyjaciela. Mam do pana całkowite zaufanie. Na czas mojej i Dietera nieobecności dostanie pan ode mnie na piśmie pełne plenipotencje do zajmowania się naszymi interesami. Jeśli będzie

pan miał wątpliwości lub pytania w jakiejkolwiek sprawie, proszę konsultować się z panem Axelem Cowesem.

– Nie martw się, droga Lavinio. Wszystko będzie tak, jakbyś sama zarządziła. – Uśmiechnął się szeroko, błyskając złotym zębem. Ujął ją za prawą rękę. – Przysięgam na własne życie.

Przez pierwsze tygodnie rejsu zarówno Lavinia, jak i Dieter bardzo cierpieli z powodu choroby morskiej. Kapitan (Duke i Breitsprecher byli armatorami jego statku) odchodził od zmysłów, wymyślając kolejne kuracje, aż w końcu kazał bosmanowi wypytać o nie marynarzy. Okazało się, że zadziałało remedium chińskiego koka – herbatka z imbirem oraz spacery po pokładzie co dwie godziny.

– Nie schodźcie pod pokład – radził kok, który przyniósł chorym wielki, parujący, cuchnący imbirem imbryk. Lavinia wypiła trzy filiżanki herbaty z cukrem i przez pół godziny chodziła po pokładzie, wbijając wzrok w horyzont. Dieterowi wystarczyła jedna filiżanka i do obiadu dwoje rzygaczy odzyskało siły na tyle, by zjeść gotowaną wołowinę z brukwią. Wspólna choroba jakoś ich połączyła – co nie udało się ceremonii zawarcia małżeństwa – i na pokładzie wznoszącego się i opadającego na falach statku załadowanego sosnowymi deskami, które tarły się o siebie i skrzypiały w ładowniach, Dieter i Lavinia rozpoczęli swoją erotyczną przygodę. Dieter był rozkosznie zaskoczony tym, jak wrażliwa i pomysłowa stała się Lavinia na wąskiej koi. Załoga

często słyszała śmiech i przypadkowe głośne okrzyki dobiegające z ich kajuty. Kok twierdził, że to kolejny zbawienny efekt herbaty z imbirem.

///

Harry Blustt czekał na nich w porcie.

– Ha, długi rejs, nie?

Wytłumaczył im, że Sydney jest jeszcze w powijakach, że jest zabagnione i zapylone jednocześnie, zatłoczone i puste, surowe i łagodne.

– To bardzo interesujące – powiedziała Lavinia. – Ale jedyne, czego w tej chwili pragnę, to kwatera na stałym lądzie.

– Owszem! Owszem. Kwatera! Rozumieją państwo, że niewiele tu gospód i pensjonatów. Podczas gorączki złota były tu niezliczone noclegownie, ale te, rzecz jasna, się nie nadają. Zatem zadbałem o to, abyście zostali zakwaterowani w rezydencji gubernatora, który aż do Nowego Roku bawi w Londynie. Mam nadzieję, że będzie tam państwu wygodnie przez te kilka tygodni przed wypłynięciem do Nowej Zelandii. Pozwoliłem też sobie zaaranżować kilka niedużych przyjęć i obiadów z ludźmi z branży, jak my.

Wszystkie zaaranżowane obiady były takie same: upojeni winem angielscy biznesmeni liczyli na zawarcie kontraktów na

sprzedaż drewna, z którego większość, jak rozumiała Lavinia, pochodziła z Nowej Zelandii, gdzie drwale ścinali lasy.

– Tiak… – zaczął nijaki jegomość, wycierając wargi serwetką – …w portach Nowej Zelandii tłoczą się statki z drewnem. Biorą do ładowni araukarie, totarę i rimu. Większość z nich płynie, powiadam, tutaj do Nowej Południowej Walii, która się rozrasta jak… jak… jak sam diabeł!

– Ale my przypłynęliśmy tu po to, żeby przekonać się, jakie są szanse na rozwój przemysłu drzewnego – oznajmiła Lavinia. Mężczyźni spojrzeli na Dietera w taki sposób, jakby żądali od niego, żeby uciszył żonę – kobieta nie powinna rozmawiać o ścinaniu drzew i przemyśle drzewnym. Nie potrafili się zmusić, żeby omówić z Lavinią jakąkolwiek kwestię, i zwracali się ze wszystkim do Dietera. Rozmowy nie przynosiły rezultatów, a Lavinia i Dieter żegnali się z towarzystwem przy pierwszej sposobności: tak, aby nikogo nie urazić.

– Mam nadzieję, że w Nowej Zelandii jest lepiej – mruknęła któregoś wieczoru Lavinia. – Ci jegomoście to drobne płotki. Chodzi im tylko o sprzedanie jednej czy dwóch ładowni desek. Dostarczają materiały budowlane do Nowej Południowej Walii. To jest ich rynek. Nie znają się na dużym przemyśle drzewnym. – Zatoczyła krąg dłonią, obejmując tym gestem również nietoperze. – To wszystko stawia pod znakiem zapytania talenty pana Blustta. Chcę wierzyć, że w Auckland jest inaczej.

– Przyjrzyjmy się najpierw drzewom – powiedział Dieter.

Przed wyjazdem z Chicago Dieter – za radą pana Marsha – wynajął przez pośrednika dom w Auckland na ich miesięczny pobyt. Ich przewodnikiem po wyspie miał być niejaki Nashley Oval, angielski artysta, który na zlecenie rządu malował panoramy Nowej Zelandii.

„To dobrzy ludzie z podobnymi do naszych zainteresowaniami, pisał o Ovalu i jego bliskich pan Marsh. Ale muszę pana przestrzec, że rodzina ta trzyma niewolników, co ma wykorzenić tamtejsza nowa administracja".

Gdy Dieter przeczytał ten fragment listu Lavinii, ta wykrzywiła się i zawołała:

– Niewolnicy! O Boże!

Mały stateczek, którego załogę stanowili wytatuowani Maorysi, wpłynął o zmroku do wielkiego błękitnego portu.

– Czy nie byłoby rozsądnie przespać się i dopiero jutro spotkać z panem Ovalem? – zapytał Dieter, a Lavinia kiwnęła głową, widząc wokół statku migoczące wiosła łodzi pełnych mężczyzn i kobiet.

Ale pan Oval czekał już na nich na nabrzeżu. Był to wysoki, dosyć niedbale ubrany mężczyzna o rudych włosach i przejrzystych błękitnych oczach.

– Bardzo mi miło, jestem zachwycony… – pomrukiwał, całując spierzchniętą od morskiej soli dłoń Lavinii i ściskając rękę Dieterowi. – Pomyślałem, że odwiozę państwa do Fern House. Wcześniej jednak zapraszam państwa na bardzo skromny obiad

przy moim stole, naszkicujemy plan państwa pobytu. Jeśli nie są państwo zbyt wyczerpani po rejsie. Planowanie jest bardzo ważne, gdyż nie wystarczy miesiąca, żeby pokazać państwu wszystkie cuda Nowej Zelandii.

Pojechali więc prosto do domu pana Ovala w ogrodzie wśród drzew.

– Cóż za wspaniały widok! – ucieszyła się Lavinia, podziwiając port namalowany umbrą i fioletem ze złocistymi promieniami słońca.

Maoryska służąca – niewolnica? – zaprowadziła ich do skromnie umeblowanego pokoju, którego ściany spowijał cień. Jedynym źródłem światła były świece, co sprawiło przyjemność Dieterowi. Nie lubił ani lamp naftowych, ani lamp gazowych. Na środku stał mały okrągły stół nakryty dla trzech osób. Służąca przyniosła zielone nowozelandzkie małże i nalała do kieliszków białe schłodzone wino.

– Wino jest wyborne, panie Oval – pochwalił Dieter. – Przypomina wina reńskie. Zastanawiam się, jak zostało schłodzone? Mają tu lód albo śnieg? To niepodobna!

– Wino istotnie jest reńskie. Importowane, jak wszystkie nasze wina. Wątpię, by w tym klimacie można było uprawiać winorośl, choć są tacy, którzy uważają inaczej. Przed dekadą sprowadziłem dwadzieścia skrzynek bordeaux, które niestety nie doszło jeszcze do siebie po podróży i nie nadaje się do picia. Słyszałem, że wina czerwone potrzebują dwudziestu lat albo i więcej, żeby się

wyklarować. Ale białe wina są równie dobre i bardzo przypadły mi do gustu, jak mniemam. A zatem, za naszą wspólną wyprawę! – powiedział, wznosząc kieliszek i uśmiechając się do Lavinii.

Małże zniknęły ze stołu, a na ich miejsce pojawiła się smaczna zapiekanka z chilijskimi ostrygami.

– Jutro mogą państwo odpocząć i rozgościć się w nowym domu, a w czwartek, jak przypuszczam, dobrze będzie popłynąć na półwysep Coromandel, gdzie pojedziemy konno do lasu. Jeszcze pięćdziesiąt lat temu konie były tu zupełnie nieznane, ale przywieźli je misjonarze i Maorysi przyjęli je jak swoje. Wszyscy jeżdżą konno. Rozumiem, pani Breitsprecher, że interesują panią araukarie? A czy ma pani strój do jazdy konnej? – Zwrócił się do Lavinii.

– Niestety nie – odpowiedziała. – Nie siedziałam w siodle od dzieciństwa. Nie przyszło mi do głowy, żeby zabrać odpowiednie stroje.

– Myślę, że znajdziemy dla pani jakiś strój. Moja żona, proszę sobie wyobrazić, jeździ na oklep. W razie potrzeby może pani jeździć w męskich bryczesach: tu, na skraju cywilizacji, kobiety nie dbają o takie drobiazgi jak elegancja czy moda. A jeśli jest pani optymistką, jakoś się porozumiemy.

Lavinia była bardzo ciekawa, jak wygląda jeżdżąca na oklep Angielka, i próbowała sobie wyobrazić tę kobietę – ekstrawagancką chłopczycę, bez dwóch zdań. A czy ona sama ma chodzić w bryczesach? Czy właśnie to sugerował ich gospodarz?

Zacisnęła mocno usta, żeby ich przypadkiem nie otworzyć, gdy do pokoju weszła pani Oval. Nashley Oval wstał, Dieter również – z uśmiechem na twarzy.

Kobieta, która ku nim zmierzała, była wysoka, zgrabna i urodziwa na ciele i duszy. Miała na sobie pomarańczową bawełnianą spódnicę z falbanką z piór, a okryta była długą opończą z sutego lnu, zsuniętą z jednego ramienia. Rzeka czarnych włosów sięgała jej do pasa. Na brodzie miała tajemniczy tatuaż, a delikatnie wytatuowana linia podkreślała kształt jej warg. Wstrząśnięta Lavinia zdała sobie sprawę, że ma przed sobą Maoryskę.

– Witamy, witamy w naszym kraju – powitała ich pani Oval doskonałą angielszczyzną ludzi z wyższych sfer, a jej głos opadł na końcu zdania.

– Pozwolą państwo, że przedstawię moją żonę, Ahorangi Oval. A to, moje serce, są nasi goście, państwo Lavinia i Dieter Breitsprecherowie, z którymi w czwartek wyruszymy do twoich lasów.

– Tak się cieszę! – powiedziała pani Oval cichym płynnym głosem, który przypominał Dieterowi gruchanie gołębicy. – Jest tu tyle do pokazania i mam nadzieję, że pokochają państwo tę krainę tak bardzo, jak my. Pisał nam o was nasz wspólny przyjaciel, pan Marsh, którego poznaliśmy we Włoszech przed kilku laty.

Wielkie nieba! – pomyślała Lavinia. Znowu ten Marsh! Odgrywa jakąś zakulisową rolę w naszym życiu.

Szeroki trakt wspinał się łagodnie ku lasom. Ahorangi Oval, znów w pomarańczowej spódnicy i lnianej bluzce, siedziała na oklep na niespokojnej gniadej klaczy, która tańczyła i kręciła się wokół. Lavinia, mocno ściśnięta i nieco udręczona źle dopasowanym strojem do jazdy konnej, dosiadała łagodnej srokatej klaczy. Dieter jechał na smukłym wałachu, a pan Oval – na czystej krwi angielskiej Queenie – zamykał kawalkadę, opowiadając o panu Marshu. Z przodu jechało na oklep dwóch Maorysów, byli to bracia Ahorangi odwracający się raz po raz i nawołujący poprawną angielszczyzną. Dalej z tyłu towarzyszył im służący i juczny koń obładowany koszami *kete*.

– Dobrze posługuje się pani angielszczyzną. – Lavinia zwróciła się do Ahorangi.

– Tak, dziękuję pani. Chodziłam do szkoły w Londynie – odpowiedziała pani Oval.

W południe obaj bracia przystanęli z zadufanymi minami pod grubym drzewem

– To kordylina albo inaczej „kapuściane drzewo" – powiedziała Ahorangi. – Wszystkie jej części nadają się do jedzenia, liśćmi kryje się dachy lub szyje się z nich chroniące przed deszczem opończe. Kora ma właściwości lecznicze. Kordylina nie przypomina innych drzew, więc sadzimy ją czasem dla oznaczenia wyjątkowych miejsc. Zjedzmy tu lunch z *ti kouka*.

///

Trakt zamienił się w ścieżkę prowadzącą stromo do zagajnika totara. Eleganckie drzewa wznosiły się wysoko, ukazując ostre igły i czerwone jagody.

– To drzewo – powiedziała Ahorangi, żywo gestykulując – cenimy nad inne.

– Bardziej niż araukarie? – zapytała Lavinia.

– Tak. *Kauri* jest ważnym i szanowanym przez nas drzewem, ale to biali kochają je ponad inne. Bo dla nich to najcenniejsze drewno. Ale nasze życie i nasza religia związane są głęboko z totarą, która, jak kauri, rimu, kahikatea i rata, jest drzewem wodzem. To nasze królewskie drzewa.

– Przypomina mi nieco cyprys – wtrącił Dieter, przyglądając się totarze. – Choć oczywiście jest większa. Bardzo wysoka.

– O, tak – zgodziła się pani Oval. – Zarówno Maorysi, jak i biali wyróżniają te drzewa. Maorysi rzeźbią w nich, robią z nich wojenne łodzie, wznoszą domy i wykorzystują na wiele innych sposobów. Owoce totary są smaczne i pożywne, a napar z kory przeciwdziała gorączce. Biali z kolei cenią totarę, bo jej drewno w ogóle nie próchnieje.

Ahorangi poprowadziła Lavinię do falbaniastego drzewa rimu z opadającymi zielonymi gałęziami.

– To moje ulubione drzewo – oznajmiła. – Kocham rimu, podobnie jak drwale.

Dotknęła zielonej gałęzi.

– Botanicy mówią, że to sosna, ale to nieprawda. Rimu nie ma szyszek, ma za to smaczne jagody. Kakapo… słyszy pani tego ptaka? One lubią jagody rimu.

Poprzedniej nocy, w Fern House, Lavinia słyszała głuche dudnienie, jakby ktoś zrzucał kule armatnie z drzew. Teraz znów dobiegł do niej ten odgłos. Ahorangi wytłumaczyła jej, że to pieśń godowa kakapo – grubej puszystej papugi, która nie lata, ale spędza całe życie na rimu, żywiąc się jego owocami.

– Zazwyczaj wydają te odgłosy w nocy, ale ten samiec jest chyba bardzo ożywiony.

Ahorangi dotknęła ramienia Lavinii i uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Muszę panią o coś prosić. Boję się o rimu. Mój mąż twierdzi, że jest pani ważną osobą, do której należy wielkie przedsiębiorstwo drzewne i że przyjechała pani tutaj, żeby znaleźć drzewa nadające się do ścięcia i przeróbki. Mam nadzieję, że pokocha pani nasze drzewa i nie zechce ich ścinać. To nasze życie. Jeśli chcemy być tutaj szczęśliwi, potrzebujemy tych drzew. Boję się o nie. Proszę ich nie ścinać, błagam panią.

Lavinia milczała. Ahorangi po kilku minutach zrozumiała znaczenie tego milczenia i wróciła do męża i braci. Przez resztę dnia trzymała się z nimi i nie starała się rozmawiać z Lavinią.

Dieter podjechał do żony.

– O co chodzi? – zapytał, zdając sobie sprawę, że coś jest nie tak.

– Ona chce wymóc na nas ocalenie tych drzew – odpowiedziała Lavinia. – Błagała mnie, żebyśmy ich nie ścinali. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Rośnie tu tyle drzew, że nie da się ściąć wszystkich, jak się obawia.

– Miejmy nadzieję – mruknął Dieter. – Tak moim zdaniem byłoby najlepiej. – Umilkł.

Przejechali przez las rimu i wspinali się dalej na wzgórze krętym szlakiem. Ujrzeli przed sobą bór. Lavinia i Dieter od razu domyślili się, że to araukarie – nie mogli się mylić. Potężne, szerokie, szare pnie z koronami na szczycie, wyglądającymi jak uniesione wysoko ramiona. Wielkość tych drzew zdumiała ich niepomiernie.

– Dobry Boże – westchnął Dieter. – To jakiś zaczarowany las z baśni.

Zsiadł z konia, puścił go luzem w poszycie i zaczął obchodzić bardzo, bardzo duże drzewo. Rozradował się nagle.

– Są za duże, żeby je ścinać – zwrócił się do Lavinii. – Nie da się ich powalić.

Da się, pomyślała Lavinia, i zostaną powalone. Ale i ona była pod wrażeniem wielkich milczących drzew – tak olbrzymich i tak bezradnych.

Po obiedzie Lavinia postanowiła się poprawić.

– Droga pani Oval – zaczęła.

– Proszę mówić do mnie Ahorangi.

– Zatem ty nazywaj mnie Lavinią, Ahorangi. Chcę powiedzieć, że przybyłam tu po to, żeby sprawdzić, czy araukarie nadają się do ścinania, natomiast mój mąż uważa, że należy odbudować to, co się zabiera. Oboje zastanawiamy się, czy można sadzić araukarie: jedną sadzonkę na każde wycięte drzewo. Czy można założyć szkółki tych drzew i dbać o nie, gdy rosną i dojrzewają.

Ahorangi zaśmiała się cicho.

– Wielkie kauri są bardzo stare, liczą tysiące lat. Pokażemy wam Kairaru z Tutamoe. To największe drzewo. Żeby jedna sadzonka zastąpiła jedną ściętą dojrzałą araukarię trzeba by stu ludzkich pokoleń.

– Trzeba wierzyć w potęgę nasion – wtrącił Dieter. – Sadzimy młode drzewa, wiedząc, że nie doczekamy ich dorosłości. Sadzimy je raczej dla zdrowia świata niż dla tych, którzy się jeszcze nie urodzili.

Nashley Oval pochylił się na krześle z napiętą, zafrapowaną miną.

– Ten… ten pomysł sadzenia araukarii… bardzo mi się podoba. Chciałbym założyć szkółkę… przypuszczam, że to będzie szkółka… dla młodych drzew. Ale nie jestem pewny, jak one się rozmnażają. – Spojrzał bezradnie na żonę.

– Mają szyszki, a w szyszkach są nasiona. Wiele razy widziałeś te skrzydlate nasiona spadające spiralnie na ziemię albo niesione wiatrem, prawda?

– Owszem. Więc wystarczy zebrać te nasiona i zasadzić je na grządce?

Tym razem odpowiedział mu Dieter.

– Lepsze rezultaty można osiągnąć, zbierając niedojrzałe jeszcze szyszki, które nie rozrzuciły nasion. Powinny one pochodzić z młodszych drzew, żywotniejszych i zdrowszych. Nie znam współczynnika kiełkowania nasion araukarii, ale z pewnością różni się on w zależności od drzewa. Kiedy araukarie rozrzucają oskrzydlone nasiona?

– Od lutego do marca – odpowiedziała Ahorangi. – To znaczy jesienią i później.

– Nigdy się nie przyzwyczaję do odwrotnych pór roku – mruknęła Lavinia.

– Och, to nietrudne – odrzekł Nashley Oval. – Wszystko dzieje się samo w naturalnym porządku.

Milczał, gdy goście zachwycali się pieczoną rybą *hoki* w cebulowym sosie.

– Mam zamiar opróżnić szklarnię z sadzonek sałaty i zielonego groszku, a w lutym zbiorę nasiona kauri. Spróbuję wyhodować z nich sadzonki.

– Będziesz pierwszym na świecie, drogi Nashleyu – powiedziała jego żona, dotykając dłoni męża.

– Panie Oval – odezwał się z zapałem Dieter. – Jeśli się panu uda, jako pierwszy złożę panu gratulacje z tak wartościowego hobby. Przekona się pan, jaką czułością i miłością obdarzy pan

sadzonki, jak bardzo będzie pan dbać o ich dobrostan. Ale w żadnym razie proszę nie rezygnować z warzyw. Myślę, że najlepiej będzie zbudować nową szklarnię specjalnie dla araukarii. Będę szczęśliwy, mogąc przyczynić się do takiego przedsięwzięcia dla dobra lepszej przyszłości.

Ahorangi zwróciła się do Lavinii:

– Nie widziałaś jeszcze młodych araukarii, Lavinio. Nazywają je „witkami", bo wyglądają zupełnie inaczej niż duże drzewa. Są wysokie i wiotkie, niczym młode dziewczyny zanim… dojrzeją. To zabawne. Ale obejrzycie araukarie w każdym wieku.

Przez dwa tygodnie wyprawiali się do borów araukarii. Lavinia kupiła las nad brzegiem morza, rosły tam araukarie i rimu. Poinformowała Ahorangi i Nashleya Ovalów, że firma Duke i Breitsprecher wkrótce przyśle ludzi do cięcia i przecierania drzew. Znalezienie odpowiednich drwali, zgromadzenie maszynerii tartacznej i przerzucenie wszystkiego do Auckland potrwa trochę czasu. Więc żadne kauri w tym lesie nie ucierpi przez kilka najbliższych lat. Kobieta westchnęła ciężko, ale ucieszyła się, gdy Lavinia zapewniła ją, że Duke i Breitsprecher zapłacą panu Ovalowi za założenie szkółki araukarii i prowadzenie jej oraz zalesianie wycinek.

Choć Axel Cowes znał Lavinię i pracował z nią od lat, postanowił wysłać depeszę z wiadomością o wielkim pożarze Chicago[39] do Dietera, który wszedł z nią do sypialni, gdzie Lavinia siedziała nad rachunkami.

– Moja droga, właśnie odebrałem telegram od Axela Cowesa. Pan Cowes pisze, że w Chicago wybuchł pożar, który strawił połowę miasta, nawet dzielnicę biznesową. Mieszkańcy miasta są zrujnowani i bezdomni. Wszyscy cierpią.

Lavinia przeczytała depeszę.

– Straciliśmy magazyny. Ale Axel pisze, że spływają zamówienia na drewno. Popioły jeszcze nie wystygły, a już zaczyna się odbudowa. Oto duch Chicago! – zawołała. – Szkoda tylko, że nie opisał szczegółowo naszych strat.

– Przypuszczam, że upłynie kilka tygodni, zanim da się cokolwiek oszacować.

– Pisze, że pan Flense wyjechał w interesach, nie wiadomo, gdzie. Więc nie można oczekiwać wieści od mecenasa. Wolałabym, żeby został na miejscu. Pan Flense podałby jakieś cyfry. Ale jedno jest pewne, Dieter: musimy wrócić tam jak najszybciej – oznajmiła. – Jesteśmy potrzebni w Chicago, choć boję się tego powrotnego rejsu.

Wyjechali, nim dojrzały szyszki araukarii, ale Nashley Oval obiecał wysłać Dieterowi cały ich buszel, gdyż Breitsprecher chciał poznać osobliwości tej rośliny.

– Będziemy pisać – obiecał.

Ale Lavinia była już myślami w Chicago, gdzie firma starała się zaopatrzyć miasto w drewno.

Jeśli rejs z San Francisco do Sydney był niespokojny, droga powrotna okazała się katastrofalna: imbirowa herbata nie pomagała Lavinii, która przez większość czasu leżała zmożona niemocą na koi. Dieter namawiał ją, żeby wyszła na pokład zaczerpnąć świeżego powietrza, zgadzała się, szła na górę, po czym wymiotowała i mdlała. Najgorsze minęło w połowie Pacyfiku, choć Lavinia nadal nie mogła niczego przełknąć, oprócz chleba i herbaty.

– Polepszy mi się, gdy stanę na twardym lądzie – obiecywała słabym głosem. – Och, niech już nadejdzie ten dzień!

Gdy wrócili do przebudowanego domu, w powietrzu unosił się jeszcze smród spalenizny, gdy wiatr wiał znad miasta. Lavinii wcale się nie polepszało. Miała mdłości, kręciło się jej w głowie i nie potrafiła cieszyć się nowym skrzydłem domu ze wspaniałym apartamentem i dużym balkonem – zamiast kopuły – z którego roztaczał się zapierający dech w piersi widok na jezioro Michigan. Dieter rozpływał się z zachwytu nad nową szklarnią i szopą na doniczki, z przyjemnością wkładał zabłocone buty i długi płócienny fartuch, by chodzić w takim stroju całymi dniami i przebierać się tylko do obiadu. Lavinia nie jadała już śniadań.

– Doprawdy, moja droga, tak nie może być! – mówił zatroskany mąż. – Zaczynam poważnie się o ciebie martwić. Wezwałem

doktora Honeya, żeby zbadał cię po południu. Chcę poznać jego opinię na temat twojego stanu zdrowia. Wszystko w naszym domu wygląda tak pięknie, że chcę się tym z tobą nacieszyć. Chcę znów spacerować po parku, podziwiać księżyc odbijający się w wodzie. Chcę, żebyś znów była zdrowa!

Lavinia wiedziała, co powie doktor Honey. Nie spodziewała się tego, ale miała pewność. Odczekała, aż doktor postawi diagnozę, a potem przy obiedzie, jedząc białe mięso z piersi kurczaka, poinformowała Dietera.

– Będziemy mieli dziecko. Te nudności miną. Niedługo znów będę zdrowa. Ale zostanę matką, a ty ojcem.

Dieter odłożył widelec i popatrzył na żonę. Pokiwał głową, ale nie odezwał się. Po dłuższej chwili podniósł głowę, uśmiechnął się i zawołał głośno:

– Hurra!

Z kuchni przybiegła pokojówka i spojrzała na nich. Siedzieli uśmiechnięci. Gdy wróciła do kuchni, powiedziała kucharce:

– Pan Dieter cieszy się z powrotu do domu.

– Muszę znaleźć pierwszorzędną nianię – powiedziała Lavinia.

Następnego dnia pojechała do firmy, czując się całkiem dobrze – była nawet zadowolona. Pozna tajemnicę macierzyństwa. Zostaną rodzicami. Czuła, że jest wreszcie w pełni dojrzałą kobietą.

– Dzień dobry, Annag – przywitała się. – Przez godzinę zajmę się pocztą. Wejdź do mnie o dziewiątej, podyktuję listy.

Dyktowanie listów zajęło im całe przedpołudnie. Odpowiedzi na pretensje były szczególnie irytujące, jak w przypadku obcesowego żądania map geodezyjnych obozów drwali nad rzeką Sticker – żądania wysuniętego przez jednego z podwykonawców.

– Ten pan wysuwa żądania, jakby był właścicielem tej ziemi – skwitowała to Lavinia.

– Och, zajmę się tym, proszę pani – odpowiedziała Annag. – Ten list nie powinien zaprzątać pani głowy. Pan Flense wie wszystko o tej sprawie.

///

Lavinia spodziewała się, że połóg okaże się przerażającym doświadczeniem, gdyż nie była już młoda jak na pierworódkę, ale okazało się, że poród przebiegł tak, jakby wydała na świat już pół tuzina dzieci. Wszystko odbyło się szybko i bez kłopotów. Chłopiec był zdrów i w doskonałej formie. Lavinia i Dieter dyskutowali zawzięcie nad imieniem dla syna. Lavinia zaproponowała najpierw Jamesa Duke'a Breitsprechera, ale Dieter się skrzywił. Jej drugą propozycją był Charles Duke Breitsprecher, bo tak nazywał się jej przodek. Dieter zapytał wówczas, dlaczego nie mieliby dać synowi imienia po jego, Dietera, ojcu: Bardawulf.

– Bardawulf! – powtórzyła Lavinia. – Bardawulf Duke Breitsprecher? Cóż to za imię dla tej nieszczęsnej kruszyny!

Więc ostatecznie zwyciężył Charles Duke. A Dieter pytał sam siebie, dlaczego ludzie sięgają po imiona przodków, nazywając dzieci, ale nie znalazł satysfakcjonującej odpowiedzi.

Lavinia szybko wróciła do pełnej formy, a co za tym idzie, do pracy. Charles miał wówczas zaledwie dziesięć dni! Wcześniej jednak wezwała do siebie starszego rejenta, z którego usług notarialnych korzystali wraz z Dieterem, i sporządziła testament, w którym Charles Duke Breitsprecher zostawał jedynym spadkobiercą jej majątku, posiadłości i interesów. Teraz wszystko ułożyło się dobrze. Przyszłość syna i firmy była zapewniona.

Mówiąc szczerze, Lavinię bardziej od syna interesowały nowe łuszczarki. Firma Duke i Breitsprecher wchodziła na rynek forniru i sklejki. Do produkcji sklejki idealnie nadawała się brzoza, traktowana od dawna niczym chwast. Inżynierowie Lavinii eksperymentowali z różnymi warstwami drewna na sklejkę. I omawiali ciekawy gatunek drewna: balsę z Ekwadoru – bardzo lekką i bardzo wytrzymałą. Słuchała ich doniesień o zadziwiającym współczynniku wagi do wytrzymałości drewna balsa. Problem polegał na tym, że drzewa balsy nie wyrastały lasami, ale pojawiały się pojedynczo w mokrej podzwrotnikowej dżungli. Ich znalezienie i sprowadzenie w kłodach nastręczało sporo trudności. Uznała, że gra jest niewarta świeczki, i odłożyła kwestię ścinania balsy na półkę.

W dniu, w którym Lavinia wróciła do pracy, Dieter odebrał synka niani i zaniósł go do parku, położył go pod srebrzącym się

nowymi listkami klonem i oparł się na łokciu obok dziecka. Charles wpatrywał się w rozedrganą, nakrapianą słońcem zieleń. Ale – zastanawiał się Dieter – czy widzi już to wszystko? Czy odróżnia ostre kształty liści, czy ma nad sobą tylko zielone niebo? Podniósł synka i spojrzał na jego małą buzię, widząc na niej skupienie, gdy Charles dostrzegł wąsy ojca. Mały wyciągnął nerwowo ręce.

– Nie bój się, Charles. To drzewo. Twoje życie i twój los będą związane z drzewami. Zostaniesz leśnikiem i staniesz u mego boku.

Pewnego poranka Axel Cowes przeszedł przez park i stanął w kuchni Breitsprecherów już o szóstej.

– Dzień dobry, pani Balclop. Czy Lavinia wstała?

– Obudziła się, jestem pewna, ale chyba się jeszcze nie ubrała. Poleciła mi przysłać kawę na górę punktualnie o szóstej trzydzieści.

Lavinia zrezygnowała z herbaty na rzecz mocnej czarnej kawy słodzonej miodem.

– Jeśli doda pani jeszcze jedną filiżankę, z przyjemnością zaniosę kawę na górę. Mam do niej pilną sprawę, kryzysową, wymagającą natychmiastowego omówienia.

W tej samej chwili do kuchni na poranny kubek kawy przyszedł Dieter. Zabierał kawę do szopy, gdzie rozpoczynał rano pracę.

– Axel! Co cię sprowadza o tak wczesnej porze? Jakieś drzewo przewróciło się w parku?

– W pewnym sensie. Przyszedłem podzielić się z Lavinią i z tobą wiadomością, że pan Flense wziął nogi za pas.

Pani Balclop nadstawiła ucha.

– Co to znaczy wziął nogi za pas?

– To znaczy, że wyjechał z miasta i kraju w nieznane okolice, być może do Teksasu, jak wszyscy zbiedzy, zabrawszy ze sobą sporą część funduszy firmy Duke i Breitsprecher. – Zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Cowes wziął głęboki oddech i dokończył: – Towarzyszy mu Annag Duncan. Uciekła razem z nim.

– Och, jak to? – pytał zdumiony Dieter. – Ale chodźmy do Lavinii. Boję się, jak to zniesie…

---

[39] Pożar, który spustoszył znaczną część miasta w dniach od 8 do 10 października 1871 roku.

IX

DŁUGI CIEŃ

1844–1960

60

MARNOTRAWNI SYNOWIE

Czas nie był litościwy dla Aarona Sela, jedynego żyjącego syna Jinota. Gdy Jinot popłynął z panem Bone'em do Nowej Zelandii, Aaron powędrował do Mikmaków i rodzinnego klanu Kuntawa, dziadka ojca, który po śmierci swojej żony Beatrix odszedł z domu nad zatoką Penobscot i wrócił do Nowej Szkocji, chcąc żyć zgodnie z tradycją plemienia. Aaron spotkał Etienne'a, dorosłego, liczącego dwadzieścia sześć zim syna Kuntawa. Wydał się Etienne'owi aroganckim młodzieńcem, któremu brakowało ojcowskiej ręki. Aaron z kolei miał nadzieję na ciepłe ceremonialne powitanie, przyjęcie do rodziny, dzięki której chciał poznać tajemnicę własnych korzeni. Liczył, że pozna wśród Mikmaków jakieś młode kobiety. Ale znalazłszy się wśród krewnych, nie wiedział, jak się zachować. Nie miał pojęcia o budowaniu jazów na węgorze, nie potrafił rozróżniać jagód. Nie umiał polować na karibu ani bobry. Choć i tak nigdzie już nie było tych zwierząt.

– Nie mam tu przyjaciół, wszyscy są przeciw mnie – poskarżył się żałośnie Etienne'owi.

– Musisz się uczyć. Chodź ze mną nad rzekę, pokażę ci, jak się naprawia jazy.

Ale Aaron nie umiał układać kamieni ani wbijać właściwie tyczek w dno.

– Potrzebuję broni – powiedział. Ale bez pieniędzy nie można było kupić broni.

– Za dużo wymagasz – powiedział mu stary Kuntaw, naczelnik i *sagnaw* klanu Selów. – Musisz nauczyć się dawać, a nie brać.

Po dwóch niespokojnych latach wśród Mikmaków Aaron wrócił do Bostonu, chcąc odszukać ojca. Ale Jinot wciąż był w Nowej Zelandii, więc Aaron kręcił się bezproduktywnie po nabrzeżu. I właśnie tam wdał się w rozmowę z dwoma wesołymi panami, którzy zaprosili go do piwiarni. Pamiętał jeszcze, że później szedł między tymi dwoma panami ku zacumowanym w porcie statkom, ale nie umiał sobie przypomnieć, w jaki sposób znalazł się na pokładzie „Elsie Jones". Następnego ranka obudziło go bolesne uderzenie sznurem przez bosmana.

– Wstawaj, śmierdzący indiański żebraku.

W ten sposób został majtkiem na „Elsie Jones" – żaglowcu płynącym do Londynu z ładunkiem rei i masztów.

– Nie możecie tego zrobić! Znam swoje prawa! Nie możecie mnie porywać wbrew woli!

– Co? Chcesz zostać adwokatem na statku? Jednym z tych, co skrzeczą bez przerwy o „prawach", „swobodzie wypowiedzi" i

takich tam? Nauczę cię twoich „praw”! Będziesz robił to, co do ciebie należy, albo pożałujesz.

Bosman James Crumble od razu poczuł niechęć do tego młodego metysa, który gadał o swoich „prawach”, i oddał go w ręce załogi na całodzienną naukę żółtodzioba, obejmującą nazwy i funkcje olinowania, takielunku, wacht, nazwy i funkcje rozmaitych żagli, działanie ściągacza talrepowego i przyuczenie do codziennych obowiązków, począwszy od szorowania pokładu przed świtem. Wyznaczali mu zajęcia, których wykonywanie groziło śmiertelnymi niebezpieczeństwami, posyłali go na podwantki marsa przy największych szkwałach i lodowatym deszczu, wyszczekiwali do niego sprzeczne rozkazy doprawione takimi epitetami, jak „koci wypierdek” czy „parszywy szczur lądowy” i zawsze z lubością pokazywali mu palcem, co robi nie tak. Crumble nie szczędził mu sznura, strzelając z niego za każdym razem, gdy Aaron otwierał usta.

– Zamknij jadaczkę, beznadziejnie popierdolony kurzy wypierdku i głupcze, albo rozmażę twoje flaki po pokładzie! – Trach!

Rejs był mordęgą, sztorm po sztormie, a w przerwach wzburzone morze. Wielkie fale zmyły z pokładu przechowywane na nim reje, a w grotmaszt trafił piorun. Stawianie nowego masztu na rozkołysanym statku kosztowało życie dwóch marynarzy, Aaron zaś spodziewał się, że będzie trzecim, bo do trzech razy sztuka. Leżąc w hamaku pod pokładem, zastanawiał

się, jakby to było, gdyby wpadł do spienionych odmętów, i ile upłynęłoby czasu, zanim by się utopił. Pytał o to doświadczonych marynarzy, którzy zgodzili się z nim, że wydarzy się trzecia śmierć, zanim statek zwinie do portu, i pocieszyli go, że utopi się bardzo szybko, wystarczy, że raz albo dwa zachłyśnie się lodowatą wodą, a potem „już nic nie będzie czuł". Podczas tego rejsu Aaron zmężniał, dowiedział się wielu rzeczy i serdecznie znienawidził Crumble'a. Przysięgał sobie, że jeśli przeżyje, zabije bosmana, gdy tylko staną na brzegu, ale Crumble rozpłynął się w londyńskiej mgle, gdy zacumowali.

Potrzebował wielu tygodni chodzenia i proszenia w wielkich londyńskich dokach, w śmierdzącej londyńskiej mgle, zanim znalazł dla siebie płynący do Kanady albo Bostonu – nie dbał już o to – statek. Kwaśna londyńska mgła była tak gęsta, że ludzie oddaleni o pięć stóp wyglądali jak zjawy. Podczas tych tygodni na obcej ziemi poczuł w sobie zmianę – wcale niemałą. Fizycznie czuł się dobrze, był silny i czujny. Miał dziewiętnaście lat, stał się uważny, przywiązywał większe znaczenie do ruchów i mimiki innych ludzi. Chciał wrócić do klanu Kuntawa.

– Ale pewnie stary Kuntaw już nie żyje – powiedział do siebie na głos.

Może Etienne zajął jego miejsce albo jeden z pozostałych krewnych. Spróbuje żyć między nimi z większym oddaniem. Błędne mniemanie o własnej ważności na tym świecie skutecznie wybił mu batem z głowy bosman James Crumble.

Siedząc pewnego popołudnia w szynku, usłyszał rozmowę dwóch marynarzy przechwalających się głośno, co będą robić w Halifaksie. Przysunął się bliżej i nadstawił ucha.

– Płyniecie do Halifaksu? Nie brakuje wam załogi?

Spojrzeli na niego podejrzliwie: na stwardniałe dłonie, brudne od smoły płócienne portki.

– „Zdobywca" wypływa jutro z rana. Idź pogadaj z bosmanem. Ma nocną wachtę. Nazywa się Conny Binney.

Binney okazał się rudobrodym dobrodusznym jegomościem z Maine. Marynarze z Maine byli teraz tak powszechni we wszystkich portach świata jak konopne sznury.

– No, ta, płyniemy do Halifaksu z chińskimi towarami, nasampierw do Halifaksu, mnóstwo porcelany, porcelanowe psy… mówią na nie psy, choć według mnie to kijanki. A do tego brukowy balast. Nie jesteś zielony, co? Nie jesteś szczurem lądowym? Płynąłeś już pod grotmasztem, co?

Aaron odpowiedział mu, że nie jest żółtodziobem i pływał już na „Elsie Jones". Binney uniósł brwi.

– A więc chodziłeś na pensję panny Crumble dla ubogich majtków?

– Owszem, proszę pana, i odebrałem najsurowszą edukację. I przetrwałem.

Binney roześmiał się. Aaron zaciągnął się jako marynarz. Po Crumble'u Conney Binney był jak łagodny zefirek i wydawał komendy w przemiły sposób. Tak przemiły, że było to aż

nienaturalne. Statek płynął pod rześkimi porywami antypasatów, uderzającymi w nawietrzną przez cały rejs, a Aaron radował się w głębi duszy z powrotu do domu bez względu na to, co go tam czekało.

Rejs do Halifaksu oszczędzi mu męczącej podróży z Bostonu. Pójdzie pieszo do Pitu'pok, osady Mikmaków na brzegu słonego śródlądowego jeziora, dojdzie tam przez dwa albo trzy dni. Znajdzie Mikmaków, którzy zaprowadzą go do K'taqmkuk. Ale raz po raz przychodziło mu na myśl dręczące pytanie, które od siebie odsuwał: Po co chce wracać do Mikmaków? Zdobył powołanie, zarobi na życie jako żeglarz. Jeśli będzie musiał, wróci na morze, choć nigdy w życiu na statek wielorybniczy.

Poczuli ląd długo przed tym, zanim go zobaczyli: mieszaninę dymu drewna i suszonego dorsza, która łączyła się z solą Północnego Atlantyku. Przypływ radości sprawił, że Aaron uśmiechał się głupkowato sam do siebie. Otrzymał zapłatę i uścisnął rękę Binneya, który powiedział:

– Jeśli będziesz chciał koję na „Zdobywcy", przypłyniemy tu w kwietniu albo maju. W drodze do Chin.

Aaron szedł pośpiesznie po splątanych ulicach Halifaksu, w głowie kłębiły mu się wyobrażone rozmowy, podczas których usprawiedliwiał swój powrót. Etienne był na niego zły, gdy odszedł. Teraz Aaron odnalazł siebie i cieszył się, że wracał. Był gotów budować jazy i zastawiać pułapki na ryby. Nie oczekiwał

już, że krewni będą go szanować tylko dlatego, że do nich wrócił i był synem Jinota. Umiejętności, które zdobył na morzu, mogą mu się przydać. Przekona się, jak będzie.

Zapamiętany przez niego szlak przez las biegł teraz przez oczyszczoną z drzew ziemię z osadami i farmami. Osadnicy wypalali lasy – znał dobrze ten widok. Spotkał dwóch białych chłopców pędzących bydło wzdłuż brzegu. Gdy ich minął, zaczęli wyzywać go od „brudnych indiańskich ścierw" i rzucali w niego małżami. Wokół nierównego szlaku znów pokazały się drzewa – młode pędy wyrastające z pieńków. Szedł tą drogą przed pięcioma laty, gdy ojciec popłynął z panem Bone'em. Rodzina Mikmaków nakarmiła go, dała mu miejsce do spania i powiedziała, że Selowie poszli do K'taqmkuk, a jeśli chce się z nimi spotkać, musi iść do Sydney, portu na wschodzie, i posłać wiadomość przez wodę. Ktoś po niego przypłynie. Pamiętał, że mężczyzna nazywał się Joe Funall. Jeszcze mila i ujrzy jego *wikuom* przy drodze. Przeszedł więcej niż milę i domyślił się, że musiał przeoczyć indiańską siedzibę, więc odwrócił się i wbił wzrok w odrastający las. W pewnej odległości dostrzegł kilka tyczek. Tak, to było tamto miejsce. Podszedł bliżej. Tak, stał tu kiedyś *wikuom*, ale teraz zostały po nim tylko przegniłe tyczki oraz kawałki skóry i kory u podstawy. Musieli przenieść się do wioski Mikmaków kilka mil dalej. Przyśpieszył kroku.

Widok wioski przeraził go. Chylące się ku ruinie *wikuomy* stały na nierównej spieczonej ziemi pośród połamanych gałęzi, kory i

drzewnych odpadów. Nad jednym *wikuomem* unosiła się smużka dymu. Nigdzie nie było ani psów, ani ludzi. Szedł powoli do siedziby, nad którą dostrzegł dym, a gdy mijał zrujnowane kłębowisko tyczek, pokryte gałęziami zamiast kory, usłyszał pokasływanie, a potem atak kaszlu, rozrywający komuś płuca. Pochylił się przed wejściem:

– Jest tu kto?

Głupie pytanie. Oczywiście ktoś tam był, ktoś umierający od gwałtownego kaszlu. Zajrzał w półmrok, wypatrzył kłębowisko szmat unoszące się nad dyszącym i kaszlącym ludzkim kształtem. Było ich więcej – teraz widział dokładnie – w jego stronę wzniosło się wychudzone kościste ramię, jakby chcąc go odgonić, świdrowały go wielkie rozgorączkowane oczy. Na ziemi leżało nagie i przerażająco nieruchome niemowlę. Poszedł do następnego *wikuomu*, gdzie znalazł na ziemi pogrążonego w śpiączce mężczyznę. Oddychał słabo, unosząca się i opadająca chuda pierś wskazywała, że jeszcze żyje. Nie odezwał się. W głębi *wikuomu*, nad tlącym się ogniem siedział jakiś człowiek, dwoje, mężczyzna i kobieta. Oboje byli chudzi, ale poruszali się i mogli mówić. Mężczyzna przedstawił się. Miał na imię Louis, a kobieta Sarah Paul.

– Co tu się stało? – zapytał Aaron, zadając sam sobie pytanie, co z nim jest nie tak. Dusił się, nie mógł wykrztusić słowa. Wycharczał, że chce znaleźć drogę do K'taqmkuk, dokąd przeniosła się jego rodzina. Ale co tu się stało w tej zrujnowanej

wiosce, co spotkało tych ludzi, gdzie jest Joe Funall i jego żona – rodzina, która przyjęła go tak ciepło przed zaledwie kilku laty? To, co wydarzyło się tutaj, mogło równie dobrze dotknąć klan Selów w K'taqmkuk.

– Umierają. Wszyscy chorzy. Nie ma co jeść, ludzie umierają. Wszystkie dzieci umierają. Ci, co mogą, chodzą, szukając jedzenia, jedzą ziemię, nie ma drewna, biali strzelają, mówią, że to ich drewno. Zasadziliśmy ziemniaki, ale zgniły, za dużo deszczu. Wszystko zgniło. Już nigdzie nie można rozstawić *wikoumu*, biali przychodzą i podpalają, przychodzą z pałkami i kijami. Przepędzają nas. Nie ma dokąd iść. Czasem dobry biały przyniesie jedzenie, okrycia. Szukaj dobrych białych. Mikmakowie chodzą i szukają, bez przerwy chodzą, póki mogą. Teraz umierają.

Od śmierci Amboise'a, swojego brata, Aaron miał twarde serce, ale teraz ze zdumieniem odkrył, że płonie. Nie miał jedzenia, ale miał wypłatę. Sięgnął po pieniądze, kierowany impulsem chciał wepchnąć im je w dłonie, ale puknął się w głowę. Są za słabi, żeby pójść kupić jedzenie. Gdzie można je kupić najbliżej? Powrót do Halifaksu zajmie mu dwa dni. Do Sydney jest pewnie bliżej, może spotka po drodze jakiegoś białego farmera, który mu sprzeda jedzenie?

– Wrócę z jedzeniem – powiedział i popędził na szlak.

Dwie mile dalej ujrzał dom osadnika z dużym ogrodem, krową i kurami. Ale zanim doszedł do bramy, zza węgła domu wypadł

wysoki biały mężczyzna o szklanych oczach i z kępkami czarnych włosów porastających skronie.

– Won z mojej ziemi! – wrzasnął. – Won! Przeklęty Indian!

Aaron poszedł dalej do Sydney, mijając domy i ogrody osadników. Próbował raz jeszcze kupić jedzenie, ale rozzłoszczony farmer strzelił w jego stronę. Nie dał za wygraną. Spróbował po raz trzeci. Obszedł mały kościół i podszedł do plebanii, przy której gospodyni odchwaszczała na kolanach cebulę.

Gotowy do ucieczki, odezwał się grzecznie:

– Proszę pani, chciałbym kupić trochę warzyw dla biednych głodujących Indian mieszkających przy tym szlaku.

– Dla tych nieszczęśników? – zapytała. – Zapytam pastora.

Weszła na plebanię. Wyszła razem z pastorem, starszym człowiekiem o żółtawej surowej twarzy.

– Kto głoduje? Indianie, hę? Nie zdajesz sobie sprawy, chłopcze, jak często słyszę tę skargę, ale wiedz, że żyjemy w czasach, kiedy czerwonoskóry schodzi ze sceny, na której go zastępuje pełen wigoru europejski osadnik. Indianie muszą się nauczyć pracować i zarabiać na życie, uprawiać rośliny i odkładać plony na zimę. Jałmużna tylko odwleka to, co nieuniknione.

Widząc minę i postawę Aarona, który nagle przestał przypominać łagodnego białego, a stał się łaknącym krwi Indianinem, ledwo hamującym swoje mordercze instynkty, pastor cofnął się o krok i dodał:

– Oczywiście, że pomożemy, zawsze pomagamy, choć na próżno. Tak, sprzedamy ci trochę warzyw. Co chcesz? Ziemniaki? Maggie, wykop trochę ziemniaków i marchwi dla nieszczęsnych Indian.

Pastor pomógł gospodyni przy kopaniu. Wyrywali pośpiesznie z ziemi warzywa, młodą rzepę, wykopywali ziemniaki i rzucali wszystko na jedną stertę, żeby zabrał tyle, ile zdoła. Wkładał warzywa za pazuchę, ciepła rzepa drapała go w skórę. Wyprostował się z ostatnim ziemniakiem w dłoni.

– Ten ziemniak to życie dla tych ludzi.

Podał pastorowi pieniądze. Ten wyrwał mu je z ręki i doszedł do siebie, już się nie bał.

– Powiedziałbym, że to wola Boga, a nie ziemniaka, o tym decyduje – mruknął.

Aaron nie czekał na dalszy ciąg wypowiedzi, odwrócił się na pięcie i ruszył w drogę powrotną do zrujnowanych *wikuomów*. Gdy szedł, zauważył nagle jakiś ruch pod dzikim bzem przy szlaku. Podniósł z ziemi ciężki klonowy kij i zbliżył się. Ujrzał ulubione zwierzę białego: domowego kota. Kot coś upolował: ptaka. Widział unoszące się i opadające skrzydło, które mały drapieżnik miażdżył w zębach. Aaron podszedł jeszcze bliżej, ściskając mocno kij. Kot nie miał zamiaru wypuścić zdobyczy, młodej kuropatwy – na tyle dużej i żywej, że mogłaby jeszcze uciec – więc nie dał drapaka, a Aaron zmiażdżył mu czaszkę pierwszym uderzeniem kija. Potem ukręcił głowę kuropatwie.

– Taka była wola waszego białego boga – mruknął do kota, którego podniósł za tylne łapy i wraz z martwą kuropatwą wsadził na pazuchę.

Dotarł do *wikuomu* Louisa i Sary Paul. Louis rozpalił ognisko, a Sara oskórowała kota.

Następnego dnia spotkał w Sydney kobiety Mikmaków, siedzące razem na nabrzeżu. Były spokojne i wesołe, wymieniały się żartami. Wyglądały zdrowo. Jedną z tych kobiet była niemal na pewno Losa, żona Petera Sela, syna Kuntawa, starszego brata Etienne'a. Miała okrągłą twarz i czerwone usta, trzymała w ręku kosz, a inne kobiety, które sprzedały już swoje wyroby, drwiły z niej, że zrobiła coś tak paskudnego, że nikt nie chciał tego kupić. Powiedziała coś, czego nie usłyszał. Kobiety roześmiały się, a on poczuł ulgę słysząc ich śmiech.

Na końcu nabrzeża cumował rybacki kuter Petera Sela. Kobiety zaczęły do niego wsiadać, paplając i śmiejąc się, pokazując sobie nawzajem stroje i jedzenie, które kupiły w składach. Zamyślony Aaron – który powtarzał sobie w myślach zaklęcia, żeby skłonić Kuntawa i Etienne'a do ruszenia na zachód i przyjścia z pomocą głodującym Mikmakom, a najlepiej do zabrania ich na K'taqmkuk – poszedł w ich ślady. Wypłynęli z portu Sydney i znaleźli się na zielonym oceanie, Aaron stanął na dziobie i spojrzał na wschód, czując rozpryski wody na twarzy. Wpatrywał się w mglistą dal. Po co wrócił? Co go zmieniło?

Przecież zawsze dbał tylko o siebie i kierował się przelotnymi impulsami.

///

Peter Sel, właściciel kutra, krzyknął do syna:

– Alik, chwyć za ster. Idę porozmawiać z tym Aaronem Selem, który wrócił.

Podszedł do Aarona i stanął przy nim, patrząc jak on na wschód. Odezwał się pytająco:

– A więc wróciłeś? Jesteś starszy.

– Tak, jestem starszy. Tak jak ty.

– Doszła do mnie smutna wieść o Jinocie. Bardzo smutna.

– Jaka wieść? – Spojrzał na Petera.

– Etienne cię nie znalazł? Ten Joe Dogg cię nie szukał?

– Nikt mnie nie szukał i nie znalazł. Pływałem na żaglowcach po morzu. Latami. Dopiero wróciłem. Joe Dogg z wytwórni siekier? Co on tu robił?

– Szukał cię. Ten pan Bone nie wrócił do domu, więc Joe Dogg chciał się przekonać, co się z nim stało. Chciał, żebyś z nim popłynął, szukał cię w Bostonie, ale nie znalazł. Więc przyszedł tu. Etienne powiedział: „Popłynę z tobą. Znajdę Jinota". Popłynęli do Nowej Zelandii. Cholernie daleko. Jak wrócili, znów szukali cię w Bostonie. Etienne potem wrócił. Mówił, że Joe Dogg cię znajdzie.

– Nie znalazł mnie. Co się stało? – Aaron domyślił się już, że te poszukiwania i podróże oznaczały, że Jinot nie żyje.

– Wiem tylko tyle, co usłyszałem od Etienne'a. Jinot umarł, bo zranił się w tę chorą nogę. Pan Bone zginął. Zabili go ludzie w ubraniach z trawy.

Zapadła długa cisza. Aaron wpatrywał się w horyzont. Czuł, że coś go szarpie w środku, jakby wyrywano mu płuca. Zmusił się do głębszego oddechu, spojrzał na Petera Sela.

– Śmierć ojca nie może być zaskoczeniem – oznajmił. – Popłynął w świat przed wieloma laty. Żal mi go. Żałuję, że mu nie towarzyszyłem. Byłem wcześniej zły i głupi, może wciąż taki jestem, choć uważam, że się zmieniłem.

– Ludzie stają się lepsi – stwierdził Peter Sel. Stali w milczeniu, wiatr wydał żagle, kuter popłynął na wschód.

– To mój syn Alik.

– Dobry żeglarz – pochwalił do Aaron.

– To prawda. Ma dopiero jedenaście zim, ale zna się na żegludze. I na wodach. – Znów zapadła cisza, którą przerwał Peter: – Czasem dobrzy ludzie zaczynają bardzo źle. Ja tak zaczynałem. Zaczekaj na mnie, jak zacumujemy. Porozmawiamy trochę.

///

Zmierzchało już, gdy kuter Petera stanął burtą do przystani, a kobiety wspięły się na pomost z towarami i pieniędzmi, by wrócić do domów. Aaron nie poszedł za nimi, czekał. Po kilku minutach na pomoście stanął Peter, zapalił fajkę, oparł się o reling. Jego syn Alik zwijał linę kilka stóp dalej.

– Mówisz, że się zmieniłeś – zaczął Peter. – Ja też się zmieniłem. Piłem rum i wino, whiskey, wszystkie te trucizny. Piłem i biłem się. Biłem się każdego wieczoru i każdego dnia. Nie miałem wtedy kutra. Zabiłem człowieka. Biłem się z nim na śmierć, pijany, zdzieliłem go w głowę. Potem chciałem rozwalić swoją. Ale tylko mnie rozbolała. Jeśli wciąż żyję, musiałem się zmienić.

Alik podszedł bliżej, nadstawił ucha i spojrzał na ojca. Aaron zastanawiał się, czy słyszał wcześniej tę ojcowską opowieść. Chyba nie. Po kilku minutach zapytał:

– Czy Kuntaw żyje?

– Tak. Przeżył już tyle zim, że trudno zliczyć. Brakuje cyfr dla zim, które przeżył. To mój ojciec, jest bardzo mądry i wciąż nam przewodzi. Już nie poluje, ale opowiada o polowaniach.

– Chodźmy do niego. Do Etienne'a i pozostałych. Chcę, żeby Etienne opowiedział mi wszystko, co wie o śmierci ojca. Ja też mam mu wiele do opowiedzenia.

– Idź. My przyjdziemy później – powiedział Peter. Położył dłonie na ramionach syna. – Musimy z Alikiem wyczyścić łódź. Trzeba zajmować się łodzią, wtedy łódź się odwdzięczy. Jutro rano

wypływamy z Etienne'em i Alikiem, żeby nałapać ryb na święto. Chcesz popłynąć z nami?

– Chcę. Chcę tej pracy. I pomogę ci też przy kutrze.

Stary Kuntaw przysypiał w bladych ciemnościach przed świtem. Gdy Aaron wszedł do jego *wikuomu*, obudził się i spojrzał na przybysza, nadstawił ucha, otwierając usta, które zasłonił dłonią, wydając z siebie ryk rannego łosia.

– Chodź do mnie – powiedział w końcu, wyciągając chude ramiona. – Chodź do mnie, niech cię uściskam. Krew pulsuje mi żywiej ze szczęścia. Zwołaj wszystkich – rzucił do żony, Maudi, która poprawiała skórę w wejściu. – Zwołaj wszystkich. Syn Mikmaków wrócił do domu. Przygotuj jedzenie. Jutro będziemy świętować. Będziemy szczęśliwi!

Następnego dnia Maudi rozpaliła ognisko nad brzegiem rzeki i przyciągnęła tam wielkie kotły do gotowania. Po południu Alik przyniósł trzy spore makrele, za nim przyszli Etienne i Peter z dużymi i tłustymi rybami. Etienne uściskał Aarona. Z *wikuomów* wyszły kobiety, które Aaron spotkał na kutrze, zabrały się do wspólnego przygotowania do święta.

Aaron usiadł obok Kuntawa i chciał wyjaśnić zmianę, jaka się w nim dokonała, ale starzec machnął tylko ręką, jakby odganiał się od much.

– Wiem, jak to jest – powiedział. – Sam przez to przeszedłem.

Podniósł z ziemi pustą drewnianą miseczkę i nalał do niej wody z dzbanka. Krzyknął do Maudi, żeby przyniosła mu czerpakiem oliwę z makreli z kotła. Nalał oliwy do wody i zmieszał wszystko razem rozwidloną gałązką. Powstała spieniona mieszanina.

– Woda to biały. Oliwa to Mikmak. W tej miseczce jest mieszaniec, *métis* – powiedział. – Biały i Mikmak. A teraz patrz.

Wszyscy wbili wzrok w miseczkę. Tłusta oliwa z makreli wypłynęła do góry i przykryła wodę.

– Tak właśnie stało się ze mną, dawno temu. Chciałem być białym, ale oliwa Mikmaków wzięła we mnie górę. Ta sama oliwa wypłynęła i w tobie. Czasem modlę się, żeby tu, w tej Kanadzie, oliwa Mikmaków zmieszała się z wodą i wypłynęła na wierzch. Kiedyś odzyskamy nasz kraj – dodał. – Ale będziemy już inni, bardziej wodniści. A biali nabiorą oleju do głowy.

Aaron i Etienne odeszli od reszty i usiedli na ziemi, czerpiąc z niej siłę.

Etienne zaczął:

– Szukaliśmy cię w Bostonie. Nie znaleźliśmy cię.

Aaron odpowiedział po zastanowieniu:

– Gdy byłem tu poprzednio, przekonałem się, że stary Kuntaw i Selowie odbudowują miejsce Mikmaków, ale nie rozumiałem. Nie byłem niczego pewny. Czułem się tak, jakbym pił herbatę, której nie ma w kubku, jakby został po niej tylko długi cień.

– Teraz też się tak czujesz? – spytał Etienne.

– Nie. Teraz piję ten cień. I cień mi smakuje.

Przez cały dzień i przez całą noc podawali sobie z rąk do rąk tradycyjny mówiący kij, aż wszyscy się wypowiedzieli i wymienili trapiące ich problemy: żywność, utratę ziemi, okrutne prawa białych, brak dobrych łodzi. Nagle młoda żona Kuntawa, słuchająca mówiących mężczyzn ciężarna Maudi, powiedziała:

– Jesteście głupi. Nie dostrzegacie największego problemu. Potrzebujemy kobiet.

Zapadła cisza. Po której głos zabrał Etienne:

– Ta kobieta ma rację. Potrzebujemy więcej kobiet. Wydawało mi się, że kobiety do nas dołączą, gdy odbudujemy to miejsce, ale tak się nie stało. Dlaczego?

– Nie usłyszały, że na nie czekamy – odpowiedział Kuntaw. – W dawnych czasach kobiety były ważne, decydowały o wszystkim. Robiły wszystko, nawet polowały z mężczyznami. Ale z czasem Mikmakowie zaczęli zachowywać się jak biali, którzy nie szanują swoich kobiet. W tradycji Mikmaków kobiety są tak samo ważne jak mężczyźni.

Potem odezwał się Aaron. Mówił o parze, którą spotkał w zrujnowanej wiosce *wikuomów*, o głodujących ludziach, opowiedział, co zastał w *wikuomach*.

– Ci, którzy tam mieszkają, nazywają się Louis i Sara Paul.

– Ile mają lat? – zapytał Etienne.

– Są starzy, tak mi się wydaje – odpowiedział Aaron.

Peter zerwał się niemal z miejsca.

– Starzy? Nie są starzy. Louis jest młodszy ode mnie. Niewiele, ale młodszy. Znam go. Dobrze stawia jazy, nikt nie robi tego wprawniej. Nazywaliśmy go Węgorzem. To dobry rybak. Wezmę go na kuter, jeśli tu przypłynie. Jest silny, zna się na mieliznach i prądach. Nie ma więcej niż trzydzieści zim. Musimy tam pójść, musimy ich znaleźć i sprowadzić. Jutro.

Skerry Hallagher, syn Elise Sel, przez pół roku uczęszczał do Dartmouth College i dołączył do klanu Kuntawa tak jak Aaron. Byli mniej więcej w tym samym wieku, ale Aron był muskularny i silny, a Skerry chudy i spięty. Rzadko się odzywał, gdyż czuł się jak obcy i bał się starego Kuntawa, który powiedział mu, że nigdy nie zostanie Mikmakiem, dopóki nie zabije łosia. Skerry uważał, że nie ma w sobie zbyt dużo oleju z makreli. Teraz wyciągnął przed siebie brudną, pomiętą kopertę.

– Nie mówiłem o tym wcześniej, ale moja matka, Elise Hallagher, chce przyjechać latem z wizytą. Od śmierci ojca jest sama. Przywiezie ze sobą młodą Catherine Flute, dziewczynę Mikmak po obojgu rodzicach, którzy przywieźli ją do Bostonu, gdy była mała. Rodzice zapili się na śmierć, a dziewczyna jest bardzo nieszczęśliwa. Moja matka pyta, czy ją przyjmiemy. Ma mniej więcej czternaście lat. Twierdzi, że w Bostonie są inne zagubione dziewczyny Mikmaków. Moglibyśmy je tu sprowadzić?

– Tak – powiedział Etienne głosem gorącokrwistego łosia. – Napisz do matki, żeby przywiozła wszystkie dziewczyny

Mikmaków, jakie tylko spotka. Poślubię je wszystkie.

Dwa dni później Aaron, Etienne, Peter i Alik wrócili na szlak na zachód od Sydney, żeby odszukać głodujących Mikmaków, których spotkał Aaron, i zabrać ich do K'taqmkuk.

– Jestem pewny, że w tym miejscu stał *wikuom* Louisa i Sary Paul – powiedział Aaron, gdy wpatrywali się ze szlaku w pięciu białych, którzy za pomocą wołów wyciągali z ziemi pnie. Tuzin innych zbierał gałęzie i korę. Rzucali wszystko na płonący stos. Po *wikuomach* nie został żaden ślad, ale Etienne dojrzał na końcu wyrąbiska cienką smużkę dymu.

– Tam? – zapytał.

Podeszli do szarych kół popiołu. *Wikuomy* spalono. Nigdzie nie było Louisa i Sary Paul.

– Hej, wy! – wrzasnął jeden z białych. – Wynosić mi się stąd! Idźcie precz! Dalej w drogę! – Podniósł opartą o pień dwururkę. Wycelował gdzieś i pociągnął za spust. Obok ucha Alika przeleciał z szumem śrut.

– Idziemy – zawołał Etienne. – Idziemy! – Krzyknął z gniewem, co nie spodobało się białemu, który strzelił po raz drugi.

– Eh… – stęknął Etienne trafiony kawałkiem śrutu w plecy.

– Ci ludzie – mówił później, gdy Aaron wyjmował mu śrut z barku. – Już ich widziałem. To nie są osadnicy. Przyjeżdżają i zagarniają tyle ziemi, ile tylko wpadnie im w ręce. Oczyszczają ją, wypalają. Pozbywają się drzew i wszystkiego. A potem sprzedają.

Osadnicy, którzy nie chcą marnować życia na rąbanie drzew, kupują taką ziemię. A biali na tym zarabiają. Trzeba wiele oleju Kuntawa, żeby ich zmienić.

Wrócili do Sydney.

– A Mikmakom nie są potrzebne pieniądze? – zapytał Aaron. – Jak zarabiacie?

– Jako bednarze – odpowiedział Etienne. – Nie zdążyłem ci wszystkiego pokazać, ale robimy beczki. Biali je od nas kupują. Mamy warsztat, kuźnię, dębowe klepki, parowar, obręcze… wszystko, co trzeba do zrobienia beczek: dużych, antałków, baryłek, dzieży i kuf. Robimy najlepsze beczki w Kanadzie. Julian Cooko pracował u bednarza w Halifaksie i pokazał nam, jak się robi beczki, koryta, dzieże i wszystko inne. Zamieszkał z nami.

Owdowiała i mocno zaawansowana wiekiem Elise Hallagher o rozwianych siwych włosach przybyła do K'taqmkuk z dwoma dziewczynami: Catherine Flute i Marie Antoinette Nevin. Skerry objął i przytulił matkę, a Aaronowi wydało się, że kuzyn trzyma się jej jak dziecko. Skerry nie wytrzymałby szkoły bosmana Crumble'a. Uśmiechnął się do Elise, a gdy ona odpowiedziała mu uśmiechem, przekonał się, że jest podobna do Jinota. Przyjrzał się obu dziewczynom. Marie Antoinette kaszlała i czasem zachowywała się dosyć wyniośle, ale częściej śmiała się radośnie. Gdy Elise strofowała ją za ospałość, bagatelizowała wszystko i pokrywała śmiechem. Wyznała Catherine Flute, że wolałaby

wrócić do Bostonu. Nie zna żadnych roślin, nie może nauczyć się wyplatać koszy, nie umie szyć i przypala każdą gotowaną potrawę. Była miła w obejściu i to wszystko. Podobała się młodszym, a Alik Sel, syn Petera, chodził za nią krok w krok. Jej zachowanie przywodziło Aaronowi na myśl jego własne – gdy był tu po raz pierwszy.

Pod koniec lata i przed nadejściem jesiennych sztormów Peter, Alik, Aaron, Etienne i trzej jego synowie: Molti, James i Joe-Paul, załadowali na kuter Petera wszystkie beczki i popłynęli do Bostonu, gdzie za beczki są lepsze ceny. Wypłynęli o świcie. Catherine Flute, która dzieliła *wikuom* z Elise i Marie Antoinette, powiedziała, że Marie wstała bardzo wcześnie. Elise od razu się domyśliła, że dziewczyna wsiadła na kuter i popłynęła do Bostonu, gdzie na pewno się rozpije i gdzie spotka ją zły koniec.

Mężczyźni wrócili obładowani skrzyniami i tobołkami, przywieźli zapasy na zimę, worki ziemniaków, świece i zapałki, kawę dla Elise i Aarona, wielkie puszki herbaty dla pozostałych, a do tego igły i bele wełny i bawełny. Marie Antoinette wróciła z nimi – rumiana i roześmiana. I rozkasłana.

– Powiedziała, że wraca, bo ja tu jestem.

Spojrzała na Alika.

Catherine Flute, nieśmiała i niezbyt urodziwa, cicha, głodzona i bita przez rodziców, usiadła obok Joe-Paula. Wzięli ślub przed pierwszymi śniegami. Nawet Elise znalazła narzeczonego i

zgodziła się wyjść za Juliana Cooko, który przed wieloma laty nauczył mężczyzn bednarstwa i pracował, póki nie ucierpiał w wypadku w lesie. Teraz skarżył się na dezorientację, nie nadawał się do pracy w warsztacie, ale siedział przy ognisku i majstrował pułapki na węgorze.

Kuntaw zmarł najpogodniejszego dnia w całym tysiącleciu. Październikowe powietrze pachniało słodko, a każdy oddech sprawiał wielką przyjemność. Zerwał się lekki wiaterek, a Kuntaw rzekł:

– Nasz wiatr dosięgnął mnie już.

Na zachodzie pojawił się mały obłoczek.

– Nasz obłoczek przybywa po mnie.

Mijały godziny, obłoczek zamienił się w ciemną ciężką chmurę, która nadciągnęła nad K'taqmkuk. Spadła z niej pierwsza kropla, potem druga i wiele innych, a Kuntaw rzekł:

– Nasz deszcz zwilża mi twarz.

Nadeszli jego bliscy, zapamiętując obraz Kuntawa, a on zapytał:

– Teraz… co?

Wyszło słońce, roziskrzył się świat, zaszeleścił, spłynęła woda, pasiaste źdźbła trawy powtarzały: „teraz co, teraz co", zaszumiała giętka gałąź. Teraz, co, co. Kuntaw otworzył usta, ale nic nie rzekł, pozwolił tylko, żeby przeszyło go słońce.

61

MÓWIĄCY KIJ

Przez następne pokolenie, przez lata odosobnienia, chorób i czujności, bliscy Kuntawa wzmocnili się jako klan i przyjęli sześcioro czy siedmioro ludzi z zewnątrz. Wszyscy mieli teraz angielskie nazwiska, bo tradycyjne imiona Mikmaków odeszły w zapomnienie. Aaron ożenił się z Lisal Jacko, jedyną młodą kobietą spośród nowo przybyłych. Jako grupa unikali białych, ale i tak trafiali do nich biali rybacy, myśliwi i misjonarze. Niektórzy z tych białych tylko udawali myśliwych, bo w rzeczywistości okazywali się skautami, szukającymi drewna i rud – czegokolwiek, co miało jakąś wartość. Pytali od niechcenia, gdzie w okolicy rosną duże drzewa.

– Myślą, że nie wiemy, że chcą ściąć wszystkie drzewa.

Ciągłym problemem był brak kobiet. Kobiety Mikmak rzadko do nich trafiały. Żeby znaleźć żony, Selowie musieli wyprawiać się do pozostałości swego ludu w Shubenacadie, gdzie mieszkali wychudzeni, niespokojni Mikmakowie nieustannie wbijający wzrok w ziemię.

– Widzisz – mówili o nich osadnicy. – Są leniwi. Głodują, bo nie chce im się pracować. Nie ma co się nad nimi litować. Nie ma co dawać im pożywienia, bo to tylko odwleka nieuniknione.

Gdy Etienne usłyszał taką rozmowę, powiedział białym:

– Ci ludzie nie są leniwi, ale osłabieni z głodu.

Nadszedł taki rok, gdy Selowie przestali wytwarzać beczki, bo biali wypchnęli ich z rynku, produkując tańsze – nie tak mocne i wytrzymałe, ale sprzedawane po niższej cenie i ze śnieżnobiałym, rozpoznawalnym, kaligraficznym napisem na boku: BEDNARTSWO BIAŁA WSTĄŻKA. Część z tych, którzy robili beczki, zajęła się wytwarzaniem kijów hokejowych z mocnego drewna grabów, których rowkowane gałęzie przypominały prężące się muskularne ramiona, ale po kilku latach i ten interes przejęła fabryka białych.

Kilka miesięcy po śmierci Kuntawa przybył do nich następny nieżonaty Sel: Édouard-Outger, najstarszy syn Francisa-Outgera, który był jednym z dwóch synów Beatrix Duquet i Kuntawa, a zatem wnukiem ich holenderskiego przodka Outgera Duqueta.

Édouard-Outger odebrał właściwe dla Duquetów wykształcenie i opuścił zatokę Penobscot po pogrzebie ojca; pracował kilka lat w Bostonie, po czym wędrował przez dekady. Zanim dotarł do krewnych Mikmaków, stał się mężczyzną w średnim wieku, w dodatku dosyć osobliwym. Posługiwał się zniekształconym, łamanym, staromodnym językiem Mikmaków przemieszanym z nieznanym żargonem i francuskimi słowami. Początkowo nikt nie

wiedział, gdzie poznał tę zapomnianą wersję języka, a on sam z nikim się nie dzielił tą informacją. Co kilka miesięcy gdzieś się wyprawiał i wracał posiwiały i poturbowany, czasem w bandażach, niosąc pod pachą worek mąki albo kukurydzy.

Ale powoli wszystko się wyjaśniło. Powiedział, że po śmierci ojca został skrybą, kopiował dokumenty w bostońskiej kancelarii prawnej. Zatrudniono go, gdyż dobrze kaligrafował, ale potem zwolniono za opieszałość i z jakichś innych powodów, których nie chciał podać.

– Teraz wam coś powiem – oznajmił. – Świat jest wielki. Podróżowałem po nim wszerz i wzdłuż, aż do oceanu na zachodzie.

Powoli zaczął mówić. Mówił o tym, jak dzielni jeźdźcy z plemion na Równinie padali, zabijani przez białych dla sportu z okien pędzących pociągów; biali strzelali też do wszystkich zwierząt – czarnych stad bizonów czy przelatujących wędrownych ptaków. Wielkie Równiny były tak zasobne w zwierzynę, że zjeżdżały na nie zdumiewające karawany największych panów i myśliwych z Europy i Anglii, razem z psami i bronią, kucharzami, łożami i namiotami. W te smutne opowieści Édouard-Outger wplatał niekiedy opisy własnych ciekawych przygód, a Selowie lubili o nich słuchać.

Nie był aż tak dziwny, jak im się początkowo wydawało. Choć miał jaśniejszą skórę, rysami przypominał Kuntawa. Mówił, że to dlatego, że jego matka była córką człowieka, który miał za żonę kobietę Mikmaków.

– Jestem więc Mikmakiem z obu stron – przechwalał się ze śmiechem. – Z przodu i z tyłu – dodał, uderzając się w krocze i pośladki. To babka ze strony matki nauczyła go języka, który brzmiał poprawnie, ale najczęściej okazywał się niezrozumiały.

Wkrótce też wyszło na jaw, co robił Édouard-Outger, gdy znikał co kilka miesięcy: szedł pić do nieprzytomności i wracał milczący, spokorniały z odwiecznym workiem mąki. Jedyną umiejętnością, która przyciągała do niego ludzi, było opowiadanie – snucie opowieści o tym, co widział i robił podczas wędrówek przez kontynent do Kalifornii i nad Pacyfik. Pamiętał nawet nazwy niektórych zachodnich plemion znad oceanu: Nootka, Kwakiutl, Tlingit, Makah.

Selowie lubili słuchać opowieści o swoich odpowiednikach na Zachodnim Wybrzeżu. Tamte odległe ludy żyły nad Pacyfikiem i podobnie jak żyjący nad Atlantykiem Mikmakowie przez tysiące lat nie doświadczyły groźnej obecności białego człowieka, stanowiły swoistą przeciwwagę dla Mikmaków. Selowie słuchali z przejęciem opowieści Édouarda-Outgera o życiu pośród olbrzymich cedrów i o czarnych, wydłubywanych z cedrów pirogach, w których tamte ludy polowały na ogromne wieloryby. Opowiadał im o wspólnych domach – wielkich budowlach o wysokich krokwiach udekorowanych rzeźbami zwierząt i maskami – i o potężnych, stojących przed tymi domami, krzykliwie pomalowanych totemach z głowami kruków i niedźwiedzi, którym totemy oddawały cześć.

Mężczyźni nie mogli uwierzyć, że tamte ludy potrafią odrąbać deski i płozy od żyjących drzew, że wyrabiają skrzynie, gnąc płaskie drewno nad parą, zamiast je rżnąć. Édouard-Outger miał takie jedno małe pudełeczko z giętego drewna: trzymał w nim tytoń. Podawali je sobie z rąk do rąk, przyglądając się uważnie. Po jednej stronie namalowane było przerażające oblicze, a Édouard-Outger wyjaśnił, że to orzeł. Gdy rozpoznali w tym obliczu orła, odnieśli wrażenie, że wejrzeli w głąb obcego umysłu. Etienne chciał się dowiedzieć, w jaki sposób tamci wznoszą duże domy.

– Chciałabym – powiedziała Alli, żona Etienna – żebyśmy zbudowali taki wielki dom i żyli w nim wszyscy bezpiecznie w harmonii i zgodzie.

Przerwał jej Peter:

– A tym ludziom z zachodu nie przeszkadzają najazdy białych?

Édouard-Outger zawahał się. Wiedział, co krewni chcą usłyszeć – że jest na świecie takie miejsce, w którym plemiona żyją jak niegdyś.

Westchnął ciężko.

– Tamci ludzie znad Pacyfiku znają białych tak samo długo jak Mikmakowie. Sprzedawali białym futra wydr, za które dostawali metalowe narzędzia. Potem biali zaczęli sami łowić wydry i jak zawsze i wszędzie wytępili je niemal do cna, wydry przepadły albo nie można ich było spotkać. Życie ludzi zmieniło się. Teraz cierpią, tak jak my cierpieliśmy, na choroby przywleczone przez białych. Albo przez nich samych na tych przepięknych pirogach, na

których handlują, bo są podróżnikami i kupcami, pływają w górę i w dół wybrzeża z towarami i do przyjaciół. Ci, co najlepiej dłubali pirogi, już nie żyją, tak samo jak wielu innych snycerzy i artystów. Przez kilka zaledwie lat stracili tylu ludzi, że nie da się ich zliczyć. Mówią, że ich świat przestał istnieć przez jedno pokolenie.

Jego słuchacze doskonale wiedzieli, jak to wygląda. Zmienił temat i zaczął opowiadać, jak ci ludzie znad oceanu na zachodzie powalają olbrzymie drzewa bez użycia siekier.

Klan Kuntawa, w większości Selowie, wrócił do Sipekne'katik, obecnie nazwanej Shubenacadie – starej wioski Mikmaków, która od 1820 roku była rezerwatem. Wrócili tam nie dlatego, że w Sipekne'katik ludziom wiodło się lepiej. Biali wyznaczyli Mikmakom kawałek bezwartościowej ziemi, na której panowało zatłoczenie i wokół której Mikmakowie stykali się z rasizmem. Ale wrócili tam, mimo pamięci o masakrach z przeszłości i mimo złowrogich rządowych rozporządzeń. Jak mówił Kuntaw, muszą żyć w dwóch światach, więc wrócili, bo nosili w sobie własny świat i własne miejsca ukryte przez wieki jak żuki pod opadłymi liśćmi, jak kamienie w zamkniętej garści, jak wspomnienia. Tęsknili za takimi jak oni – i za kobietami. W Sipekne'katik były kobiety. Pod wybudowanymi przez białych drogami i pudełkowatymi domami ciągnęła się ich pagórkowata ziemia, a na brzegu leżały ich łodzie. Jasny dym snuł się nad *wikuomami* udekorowanymi podwójnymi łukami i skamieniałymi liśćmi, szewronami, łukowatymi ramami

i jaskrawymi barwami. Trudno im było pogodzić się z rzeczywistością, choćby taką, że nie mogli wznosić *wikuomów*, a biali osadnicy wznieśli nad rzekami niezliczone tartaki, rujnując najlepsze łowiska węgorzy. Tartaki te karmiły się niezliczonymi, padającymi wszędzie drzewami.

Po którychś obchodach Dnia Świętej Anny[40] chcieli przepłynąć przez wodę do starego miejsca Kuntawa, ale na morzu wpadli w sztorm i przepadli. Z upływem każdego roku zostawało coraz mniej Mikmaków, a biali śmiali się z zadowoleniem, twierdząc, że za czterdzieści lat nie zostanie z nich ani jeden, że przepadną jak Beothukowie, znikną z powierzchni ziemi. Wydawało się, że te zapowiedzi się spełnią. Od początku czasu nigdy nie żyło tak niewielu Mikmaków, mniej niż tysiąc pięciuset – resztki ludu, który niegdyś liczył ponad sto tysięcy w czasach przez przybyciem białych. Mimo to ludzie trzymali się rodzinnej ziemi, choć często wędrowali, szukając pożywienia, schronienia, jakiejś szczeliny w skale, która się przed nimi otworzy w wydartym z ich rąk świecie.

Etienne przemawiał długo i poważnie:

– Musimy coś zrobić. Nasze kobiety mogą wyplatać kosze, ale my, mężczyźni, musimy znaleźć pracę za pieniądze, żeby kupić żywność. Wszyscy mówią: „Zostańcie przewodnikami białych w rybołówstwie". Ale to za mało.

– Wolałbym pokazywać im, jak się łowi ryby, niż jak się poluje – powiedział Peter. – Wędką nikogo nie skrzywdzą.

– Jedyna praca, jaka nam, Mikmakom, zostaje to las. W lesie jest dużo pracy.

Biali królowie drewna rąbali lasy Nowej Fundlandii, Nowej Szkocji, Nowego Brunszwiku. Nad każdą rzeką i nad każdym strumieniem, który dało się przegrodzić, stały setki tartaków. Selowie znów chwycili za siekiery, a choć warunki były trudne, chodzili razem i trzymali się razem – z dala od kłopotów. Etienne zbudował chatę z bali – taką, jaką wznosili biali – i dał najmłodszemu synowi na imię Joseph Howe Sel – na cześć uczciwego i sprawiedliwego komisarza do spraw Indian. Wymagało to wielu wyjaśnień, więc wieczorami Selowie zbierali się w ciepłej drewnianej chacie, żeby rozmawiać. Każdy przynosił parę gałęzi na ogień. Chata nie była przestronna, nie można jej było przenieść, ale lepiej trzymała ciepło od przewiewnych *wikuomów* wznoszonych z kory, wygarbowanych skór i prostych tyczek.

– Joseph Howe to jeden z tych dobrych białych. Przyjrzał się nam i ujrzał nasze nieszczęścia – tłumaczyła Alli, która wcześniej nieśmiało zaproponowała nadanie jego imienia dziecku. – Usiłował nam pomóc. Widział to, co nam grozi, widział zabieraną nam ziemię, widział, jak odpychają nas od rzek. Widział, że nie mamy gdzie stawiać jazów na węgorze.

– Tak. – Etienne pokiwał głową i uśmiechnął się lekko. – Widział, że jesteśmy przemarznięci i głodni. Dał nam okrycia i koce. Mówił, że musimy zrezygnować z budowania *wikuomów*, bo

kora zniknęła wraz z drzewami. Nie ma też skór na poszycie, bo nie ma karibu ani łosi.

– Jest za to mnóstwo desek i bali na domy białych, ale trzeba je kupować. Za pieniądze białych – dodał Peter. Jego ściągnięte oblicze przypominało okrutną maskę. – Howe jest biały. Jeśli jest dla nas dobry, na pewno o coś mu chodzi: chce nam coś zabrać… ziemię albo cokolwiek innego. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Alli zwróciła się do Édouarda-Outgera:

– Powiedz, czy tam w Penobscot, skąd pochodzisz, jest lepiej? Mieszkają tam twoi krewni? Jacyś Mikmakowie?

– Już nie. I nie, nie jest lepiej. Ludzie z Maine nie lubią Mikmaków. Trochę Mikmaków zostało w okręgu Aroostook. Wyplatają kosze, nie tylko kobiety, mężczyźni też. Ale w Penobscot? W Penobscot jest tak samo jak tutaj. Nie ma już lasów, a ziemia należy do białych. Mój ojciec, Francis-Outger Sel, miał tam tartak… – przerwał, czekając na pomruk podziwu – …ale kiedy umarł, ktoś podpalił tartak i dom. Zostałem sam, rodzina nie żyła, poszedłem na zachód. Gdy mnie nie było, miasto zabrało ziemię, dom i całą resztę za podatki. Ojciec nigdy nie płacił podatków. Uważał, że jak coś do kogoś należy, to należy. Ale nie należy. Trzeba płacić co roku miastu albo zabierają ziemię.

Rozległ się pomruk niedowierzania.

– Zabrali jego ziemię. Wtedy była już moja, ale nie znałem się na podatkach. Nie było mnie tam. A gdy wróciłem, wszystko,

rozumiecie, przepadło. Wszystko przepadło. Wyśmiewali się ze mnie, mówili: „Indian, ty nie masz tu żadnej ziemi”.

– A biali tutaj też płacą te podatki?

– Tak mi się wydaje. Ale nie wiem na pewno. Tak żyją biali, muszą za wszystko płacić i to nie jeden raz, ale wiele razy.

– My nigdy nie robiliśmy czegoś takiego z ziemią: nigdy nie mieliśmy jej na własność, nigdy jej nie sprzedawaliśmy, nie kupowaliśmy, nie płaciliśmy za nią, nie płaciliśmy żadnych podatków.

– Tak i dlatego Mikmakowie mają teraz niewiele ziemi. Biali zdobywają ziemię przez papiery, w których wszystko jest zapisane. Sami wiecie, że białych jest teraz sto razy więcej niż Mikmaków. Jeśli chcemy mieć jakąś ziemię, musimy zdobyć ją jak biali: przez zapisy w papierach. I pieniądze. Żeby się nauczyć angielskich praw, musimy nauczyć się czytać. Pisać. Po angielsku. Dzieci muszą się tego nauczyć, jeśli mają tu mieszkać. Inaczej przepadną.

– Nie. Nawet gdybyśmy mieli całą łódź pieniędzy, nie pozwoliliby nam kupić naszej ziemi. Po to są rezerwaty.

Znów rozległy się pomruki, a ktoś z tyłu powiedział:

– To prawda. Jest nas tak niewielu, że z łatwością nas zgniotą. Jeden dzień strzelania i wszyscy jesteśmy martwi. To marzenie, że biali wrócą kiedyś do swoich krajów. Nigdy stąd nie wyjadą. Zostaną z nami na wieki. A jeśli chcemy przeżyć, musimy być tacy jak oni.

– Wygląda na to, że życie Indian jest lepsze w tym kraju stanów.

– Nieprawda. Nigdzie nie jest lepsze. Ale tutaj, w Shubenacadie, jest najgorsze. Biali nas nienawidzą.

Mówiący kij trafił do rąk Skerry'ego Hallaghera.

– Umiem czytać i pisać. Znam się trochę na ich prawach. Jeśli będę miał książki i papier, nauczę dzieci i każdego, kto będzie chciał czytania i pisania. Ale to trwa długo. Jak nauka myślistwa.

– Ja też mogę pomóc – powiedziała Elise.

Édouard-Outger odchrząknął i dorzucił cicho:

– I ja. Ale gdzie są dzieci? Doliczyłem się tylko pięciorga.

Postanowił więc, że i on się ożeni. Choć mówienie to jedno, a działanie coś zupełnie innego.

Skerry Hallagher wstał. Miał zmęczone zaczerwienione oczy.

– Jest jeszcze coś. Nie wystarczy nauczyć dzieci czytać. Mężczyźni muszą pójść do pracy i zarabiać.

– Do pracy! Ale do jakiej?

– Do takiej, której nie chcą biali: najcięższej. W lesie przy rąbaniu drzew. Przy cięciu drewna na opał dla osadników. Przy noszeniu ciężarów mierniczym, którzy wyznaczają zabieraną nam ziemię. Przy budowie dróg dla białych na naszych myśliwskich szlakach. Przy kopaniu ziemniaków w Maine. A tutaj znów w lesie. Umiemy to robić. Umiemy robić te rzeczy. Nie zgniotą nas.

Młodzi zgodzili się z nim. Pójdą do obozowisk drwali i poproszą o pracę.

– W obozowiskach dadzą nam jeść – powiedział Alik, syn Petera.

– Ty nie pójdziesz – przerwał mu Peter. – Jesteś mi potrzebny na łodzi. Do wożenia ludzi. Łowienia ryb.

Molti, najstarszy syn Etienne'a, wziął kij i powiedział:

– Przyniesiemy wszystkim pieniądze.

Gdy wszyscy zabrali głos, ktoś wrzucił kij do ognia – to był tylko kij. Ostatni mówiący kij, jaki trzymali w rękach Selowie. Mówiące kije przeszły do tradycji.

Alik nic nie powiedział Peterowi, wymknął się nocą. Dziewięciu młodych poszło do obozowisk drwali rozrzuconych po Nowej Szkocji, Nowym Brunszwiku i Maine. Razem było im łatwiej w lesie. W lesie oceniano mężczyzn po tym, co potrafią.

Édouard-Outger zabrał się za zwiększanie liczby Mikmaków. Wziął sobie młodą żonę, Maddil, i zrobił to, co należało. Urodzony w roku 1877 Lobert Sel był najstarszym z sześciorga dzieci Édouarda-Outgera.

---

[40] Święta Anna jest patronką Mikmaków od XVII w. [przyp. tłum.].

62

KOROWACZE

Przez trzy pokolenia Selowie pracowali w lasach Nowej Szkocji, Nowego Brunszwiku, aż po Maine. Powalali drzewa i wykopywali pnie, budowali jazy i stopnie wodne na rzekach, spławiali drewno, pracowali w tartakach, budowali drogi z bali, cięli drewno na bale, cięli bale na kopalniane stemple, rozwłókniali drewno na ścier. Europa wydalała coraz więcej ludzi, szczególnie po Wielkiej Wojnie[41], a obozowiska drwali stawały się wielojęzycznymi zbiorowiskami mężczyzn: Anglików, Francuzów, Amerykanów, Niemców, Szwedów, Norwegów, Grenlandczyków, Indian Kanadyjskich, a nawet Inuitów. Śmierć i rany były chlebem codziennym w północno-wschodnich lasach, ale od samego początku najbardziej niebezpieczną pracą było spławianie drewna, więc do samego końca wyznaczano do niej Indian – tych, których uważano za zrodzonych ze wzburzonych wód.

– Coś ci powiem, kolego – odrzekł pewien szef obozowiska do księgowego firmy, który zakwestionował jego wydatki na tratwy i jedzenie. – Firma chce mieć kłody? Chce je mieć w tartaku? Woda jest wszędzie. Woda porusza kłody i napędza tartaki. Jak chcą

mieć kłody w tartaku, muszą przełknąć wydatki na spław, bo nie ma innego sposobu, żeby dostarczyć gdziekolwiek drewno.

Wskazał kciukiem za siebie w kierunku rzeki, gdzie dwóch Mikmaków i Innu tańczyło na kłodach, przeciągając je dalej niczym ospałe owce. Korowacze z klanu Selów widzieli, jak topory ustępują miejsca siekierom o dwóch ostrzach, jak siekiery o dwóch ostrzach ustępują miejsca piłom poprzecznym, jak stare piły ramowe ustępują miejsca piłom tarczowym i podwójnym piłom tarczowym, a te bardzo długim wstęgowym, które mogłyby przeciąć księżyc na pół, gdyby ktoś wrzucił go na pas transmisyjny; widzieli, jak spokojne woły ustępują miejsca silnym koniom, jak konie zastępowane są przez parowe wyciągarki, a te przez parowozy systemu Shaya. Gdy w lasy z dala od rzek wbiły się kliny dróg, dobiegły końca burzliwe spławy, a w ich miejsce pojawiały się ciągniki i ciężarówki. Drwale zaczęli się zajmować maszynami, które się obracały, dudniły, grzały i łomotały. Selowie, jak inni, padali ofiarą wypadków i gwałtownej śmierci, bo w tym zawodzie należy zachować ostrożność i mieć wiele szczęścia, żeby wytrwać dłużej niż siedem lat.

Wielkie drzewa rosnące na zachodzie były za twarde dla maleńkich drwali. Ci potrzebowali wielu lat, żeby nauczyć się, jak postępować z największymi drzewami, a tym, którzy uczyli się wolno, brakowało czasu, żeby przejść do następnej klasy. Ale postęp technologiczny przekształcał najbardziej szalone marzenia

w syczące i wyjące maszyny, które równały z ziemią ostatnie dziewicze puszcze na kontynencie.

Gdy mówiący kij wrzucono do ognia, młodzi poszli do lasów, gdzie rozpoczęli pracę. Etienne Sel i Mike Jacko próbowali pilnować synów, ale ci nie znosili rodzicielskiej kontroli i uciekali do bardziej odległych obozowisk. Syn Mike'a Jacko, piętnastoletni Blony, założył wraz z młodszym bratem Pollem brygadę drwali w firmie drzewnej w okręgu Queens. Blony miał od urodzenia talent do siekiery. Gdy nie rąbał, korował kłody razem z młodym Szwedem, Erto, a robił to korownikiem z rączką ze starej wygładzonej sprężyny z wozu. Podczas pierwszego spływu Blony odkrył, że lubi skakać po płynących kłodach, unikać nieszczęść. Szybko pojął geometrię zatorów i delektował się ich rozbijaniem. Dwa razy wpadł między skłębione pnie, ale wiedział już, że nie wolno płynąć do brzegu – lepiej zanurkować i płynąć z prądem.

Ale nienawistny, klaustrofobiczny rezerwat wciąż był za blisko, więc Blony i Pollo ruszyli na zachód, pracowali przez zimę w Idaho, gdzie spławianie kłód na burzliwych, krętych strumieniach nadal było sposobem na dostarczanie drewna do tartaków. Wiosną niektórzy drwale z obozu ruszali dalej do Kalifornii, Oregonu, Waszyngtonu, gdzie, jak mówili, rosną drzewa mierzące trzysta stóp.

Pewien drwal, którego znali tylko pod przezwiskiem Shirt, powiedział Blony'emu:

– Synku, opowiem ci o tych drzewach. Pierwszy drwal z Maine przypłynął do brzegu Pacyfiku i zobaczył nieprzerwany drewniany mur ciągnący się przez sto mil. Zielone korony sięgały chmur. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył, i padł trupem. Po prostu nie mógł w to uwierzyć. Nikt nie może w to uwierzyć. Ale to prawda. I ja tam jadę.

Blony i Pollo przerazili się, widząc po raz pierwszy parową wyciągarkę. Kołowrót przymocowano stalowym kablem do kilku mocnych drzew, po czym złożono kabel spokojnie na ziemi. Wokół maszyny stało od niechcenia pięciu mężczyzn. Gdzieś z daleka nadszedł sygnał i operator przerzucił dźwignię. Wyciągarka ożyła. Obrócił się kołowrót, nawijając kabel, który się naprężał. I naprężał. Parowy silnik wył coraz głośniej, słychać było pękające gałęzie, odległe krzyki, a po kilku minutach łomot, od którego zadrgała ziemia. Nagle z poszycia wyskoczyła wielka trzydziestostopowa kłoda, rzucała się na boki jak kura z obciętą głową, uderzając w pniaki tak mocno, że leciały z nich drzazgi, odbijając się od nich i prostując, sunąc prosto na wyciągarkę.

– Dobry Boże! – zawołał Blony ku uciesze operatora maszyny. Dwa żółtodzioby dały drapaka, a odprowadzał ich gromki śmiech obsługi wyciągarki. Odwrócili się. Wielka kłoda leżała spokojnie parę stóp od wyciągarki. Pollo nawet nie wyobrażał sobie, że po kilku miesiącach trafi do obsługi parowego kotła i że po godzinie od rozpoczęcia pracy znajdzie się zbyt blisko leżącego luźno

zagięcia stalowego kabla przywiązanego już do odległej kłody. Napinający się kabel amputował mu lewą stopę minutę po tym, gdy operator maszyny przestawił pokrytą odciskami dłonią dźwignię.

Blony i operator zanieśli go z tryskającą krwią nogą do baraku. Drugi kucharz, Andre Mallet, był w tym obozowisku felczerem. Położył nogę Pollo na pieńku do rąbania drewna, żeby znalazła się wyżej, i przewiązał krwawiący kikut ponad kostką czystą ścierką do naczyń, nasączoną stopionym smalcem, po czym dał Pollo do wypicia środek przeciwbólowy w postaci leczniczej whiskey i mruknął, że zajrzy do niego po obiedzie. Posłał Blony'ego do brata z rosołem z kuropatwy i połową nasączonego whiskey placka. Wszystkie te środki przeciwbólowe, a także tradycyjne lekarstwa Mikmaków, jak rzeżucha i obuwik, które Blony dostał od matki „na wszelki wypadek", skutecznie znieczuliły Pollo, który zgasł jak zdmuchnięta świeca. Usnął. Potem bolało go przez wiele tygodni i przez wiele tygodni pił whiskey, ale kikut zaczął powoli się zabliźniać.

– Zostaniesz tu, póki nie zaczniesz chodzić, ale później muszę mieć koję dla robotników – powiedział mu szef. Jeden z drwali wystrugał mu kule. Kuśtykał po baraku, gdy do środka wszedł Andre Mallet.

– Hej, chłopak, szef kuchni załatwił, że będziesz robił z nami.

Nie mógł się nie zgodzić. Po roku kuśtykał już na wystruganej przez drwali protezie. Został kucharzem i liczył na w miarę stałą

pracę. Ale wtedy zginął Blony, a Pollo, choć bardzo cierpiał, musiał napisać o tym do domu.

Blony chciał zostać flisem, ale praca na wodzie w stanie Waszyngton smakowała solą i obejmowała zagarnianie i ogradzanie kłód na wodach przypływów. Ze względu na młody wiek wyznaczono go do najgorszej roboty: został łańcuchowym. Ale po kilku tygodniach w obozowisku, z którego kłody ściągano rozwieszonym wysoko kablem, odkrył dla siebie pracę jeszcze bardziej wymagającą niż praca flisaków. Pewnego razu przyglądał się, jak niejaki Napoleon Tassier, mały, chudy Francuz w drzewołazach, wyposażony dodatkowo w piłę, siekierę i linę, wspina się szybko na wysokość dziesięciu czy dwunastu stóp po pniu wielkiej daglezji, wbija stopy w korę i jakby nigdy nic przerzuca linę wyżej, po czym znów się wspina na sam szczyt mierzącego dwieście stóp drzewa. Podczas wspinaczki Tassier okrzesywał gałęzie tak gładko jak się dało za pomocą długiej siekiery o dwóch ostrzach. Stanął w końcu jakieś trzydzieści stóp od czubka. Lina trzymała się teraz na gołym pniu i na jego ciężarze. Wbił głęboko kolce drzewołazów i odrąbał czubek (wielki jak odrastająca sosna z Maine). Czubek spadł z trzaskiem i szumem, a wiatr rozwiewał spadające igły. Goły pień, na którym wisiał śmiałek, kołysał się w przód i w tył. Tessier wrzasnął coś i pomachał jedną ręką, jak jeździec dosiadający dzikiego mustanga. A potem zjechał po pniu daglezji tak szybko, że prawie nie było go widać. Na ziemi napił się zimnej herbaty, zjadł garstkę cukru i

wspiął się po raz drugi na drzewo, żeby zamontować na nim bloczek, bo Tessier był monterem, a do tego drzewołazem. Gdy skończył robotę, bloczek trzymał się mocno, a linka naprężająca znalazła się na swoim miejscu – wszystko było gotowe do przesuwania gigantycznych kłód.

Blony chciał to robić, chciał wspinać się na drzewa. Ubłagał szefa, żeby mu pozwolił. Człowiek ten – wielki stuprocentowy Szwed z ustami pełnymi tytoniu – nie lubił Blony'ego ani Pollo, bo pochodzili ze Wschodniego Wybrzeża i byli metysami. Ale Blony zawracał mu głowę tak długo, aż w końcu Tessier powiedział głośno, że powinien chłopakowi pozwolić, bo nie ma za dużo drzewołazów, więc w końcu szef rzucił:

– Dobra, Pocahontas.

Blony założył drzewołazy Tessiera, spiął klamrą pas, przywiązał do pasa siekierę i opasał siebie i drzewo wspinaczkową linką, po czym wbił kolce w pień i naśladując Tessiera, przerzucał pętlę coraz wyżej, tak jak on. Wdrapywał się wyżej i wyżej, przerzucał linę i dotarł w końcu do pierwszych gałęzi.

Tessier, który mówił mu z dołu, co ma robić, zawołał głośno:

– Nie przetnij liny!

Drzewołazi popełniali często jeden błąd: nie patrzyli, gdzie tną i przecinali pętlę, na której wisieli, a błąd ten kosztował życie. Blony okrzesywał gałęzie szybkimi silnymi cięciami, nie zwracając uwagi na drapiące lekko końce gałęzi, po czym znów się wdrapywał, przerzucał linę, ciął i w górę.

– Już wystarczy – krzyknął Tessier. – Jesteś na czubku. Zetnij go.

Blony ściął czubek. W nagrodę mógł się kołysać w przód i w tył na okrzesanym pniu. Widział w oddali ocean, siedział na czubku świata.

– *Très bie*n! Nieźle się spisałeś, jak na pierwszą wspinaczkę – pochwalił go Tessier. – Wolno, ale dobrze.

Blony'emu ciągle było mało wspinania się pod drzewach wybieranych na maszty do spuszczania na kablu ściętych kłód, a im częściej się wspinał, tym szybciej to robił, starając się pobić Tessiera, który ostatnio przybierał pozy, stojąc na czubku świeżo okrzesanego masztu, który się pod nim chwiał. Więc wspinając się na swoje ostatnie drzewo, Blony myślał o sztuczce. Wspinał się zwinny jak wiewiórka, zupełnie jak Tessier – miał zamiar dać popis, który przewyższy wszystko, co pokazywał wąsaty Francuz. Miał zamiar ściąć czubek, dojść na sam koniec masztu, stanąć na nim na głowie i zagwizdać. Gdy ciężka od gałęzi korona, którą odciął, przechyliła się, pień rozczepił się na pół i zamknął, chwytając Blony'ego w szczelinę jak klamerka do prania mokry ręcznik. Wydał krótki krzyk, bo drzewo wycisnęło mu powietrze z płuc. To Tessier musiał wspiąć się po raz drugi i obciąć pień poniżej szczeliny z chłopcem, którego pełne uryny buty wisiały po obu stronach. Blony spadł na ziemię w uchwycie daglezji i tak go pochowali.

///

Syn Etienne'a, Molti Sel, jego kuzyn, Alik Sel i dwaj bracia Mius, Noel i John pracowali od Oregonu do Wysp Królowej Charlotty. Choć byli zwinni i sprawni, po śmierci Blony'ego nie chcieli wspinać się na wysokie drzewa i montować na nich krążki. Molti przez pięć czy sześć sezonów był łańcuchowym przy spuszczaniu drzew na kablach, miał dłonie twarde jak szczypce kraba od ściskania i podnoszenia ciężkich łańcuchów. Przyzwyczaił się do pracy przy łańcuchach, nie przeszkadzał mu ich ciężar. Pracował w Flannel Loging, małej wędrownej firmie należącej do Robbiego i Glena Flannelów, zaledwie kilka mil od pełnego różnej hołoty miasteczka, oferującego życiowe przyjemności.

Brygada od początku była zła. W drugim tygodniu pracy trzej inni łańcuchowi ukradli łańcuchy należące do firmy i uciekli nocą. Robbie Flannel zjechał z góry ledwo dyszącą ciężarówką do przewozu drewna, żeby zawiadomić szeryfa i kupić nowe łańcuchy. Gdy wrócił, nie miał łańcuchów, ale tańsze zwoje kabla i używanej drucianej liny oraz dwóch starych pijaków z baru, którzy mieli zastąpić łańcuchowych.

– Kabel łatwiej się używa, prościej go przełożyć pod kłodą – stwierdził Glen. – Używajcie liny do przesuwania kabla. Zapomnijcie o łańcuchach. Molti, pokaż tym dwóm sztywniakom, o co chodzi. Na niczym się nie znają, ale są żywi, a każdy umie przekładać łańcuch, nie?

Molti wiedział, że powinien rzucić tę robotę w tamtej chwili, ale nie zrobił tego. Przymocowali drucianą linę do górnego kabla, a wyciągarka podciągnęła wszystko do góry. Ktoś odwiązał linę, a jeden ze sztywniaków z dołu zwijał nadmiar. Molti przymocował linę do drugiego kabla, który należało przenieść. Dał znak operatorowi wyciągarki, żeby zaczął ciągnąć, i wtedy zobaczył, że sztywniak stoi w kablu, w samej pętli – tak samo jak kiedyś Pollo. Krzyknął do pijaka, który zaczął niezdarnie uciekać, ale splątana druciana lina napinała się, kłębiła i plątała, po czym zesztywniała i pękła. Trafiła Moltiego w przeponę ze straszliwą siłą. Przerażony sztywniak pomógł mu zejść do baraku, gdzie Molti leżał do dziesiątej wieczorem z krwią napływającą do ust. O dziesiątej umarł.

Z zachodniego wybrzeża wrócił do domu – jako jedyny nieporaniony, niepołamany i szczęśliwy – Lobert Sel, najstarszy syn Édouarda-Outgera, przyuczony do zachowywania ostrożności. Był szczęśliwy, widząc brata Jima, był szczęśliwy, mogąc znaleźć sobie żonę, zostać ojcem i żyć.

///

Mężczyźni umierali w zamorskich krainach, jak najstarszy syn Aarona, John, który zginął za oceanem w błotnistym okopie w roku 1917, wpatrując się w siekący deszcz, który stał się śmiertelną mgłą. Mężczyźni umierali też w kraju, jak wtedy w

grudniowy poranek tego samego roku, gdy w cieśninie Halifax zderzyły się dwa okręty, z których jeden przewoził amunicję i materiały wybuchowe na wojnę w Europie. Doszło wtedy do największego na świecie wybuchu, po którym fala tsunami zmiotła wioskę Mikmaków w Tufts Cove. Wśród rannych i utopionych znalazł się Jim Sel i czworo z jego dzieci.

– Pojedziemy do Shubenacadie – powiedział zrozpaczony i przerażony Lobert do ciężarnej żony, Nanty. I ruszyli w głąb lądu do rezerwatu, choć Lobert nigdy nie uważał rezerwatu za bezpieczną przystań. Ale odzyskali tam równowagę, choć byli biedni. Lobert pracował dla firmy drzewnej w zamian za bale, które wykorzystał do budowy trzyizbowego domu. Gdy urodził się jego syn, Edgar-Jim Sel – na którego mówili Egga – Lobert zaczął się martwić, tak jak jego ojciec Édouard-Outger martwił się o niego. Nie chciał, żeby syn pracował w lesie, nie chciał, żeby córki sprzątały w domach białych. Nie miał nic przeciwko szkołom z internatem, ale nie podobał mu się urzędnik, który przyszedł do domu z dokumentami i piórem, żeby oznajmić, że jeśli nie podpisze zgody na naukę, dzieci zostaną mu odebrane przez opiekę społeczną. Podpisał. Więc kiedy Egga miał dziesięć lat, on i jego przyjaciel, Johnny Stick, trafili do szkoły z internatem, w której dzieci Mikmaków – ich kultura i język – były poddawane czteroletniej implozji, tak śmiertelnie niebezpiecznej, jak wybuch statku z prochem.

– Zdobędziesz wykształcenie, Egga. Będziesz umiał czytać i pisać, a to ważne. Znajdziesz wtedy lepszą pracę niż ścinanie drzew – mówił ojciec. Lobert i Nanty odwiedzali syna co miesiąc, przywożąc mu kosze domowych smakołyków: wędzonego węgorza, chleb pieczony przez Nanty, sardynki i żółte ciasto. Księża i zakonnice uśmiechali się i przemawiali ciepłymi spokojnymi głosami. A Lobert i Nanty byli dumni, że ich syn odbiera nauki w szkole, a z powodu tej dumy oraz fałszywej uprzejmości odzianych na czarno zakonników, Egga bał się powiedzieć im, że nie był jeszcze na ani jednej lekcji, bo księża zatrudniali go przez cały dzień do wrzucania węgla do szkolnego pieca, przy którym nauczył się tylko czytać ciśnienie na manometrach. Bał się powiedzieć im, że wyzywali go od „leniwych dzikusów" i kopali. Po szczególnie bolesnym biciu przez ojca O'Hoopy'ego Egga ogłuchł na jedno ucho i miał złamaną rękę, która nie chciała się zrosnąć. Domyślił się wtedy, że jest niewolnikiem, a nie uczniem. Johnny Stick pracował razem z nim. Rodzice Johnny'ego nigdy go nie odwiedzali, bo mieszkali daleko, więc Johnny był bezkarnie bity przez księży. Często wzywali go do gabinetu ojca Blinka. Wszyscy chłopcy wiedzieli, co to oznacza, bo ojciec Blink (owłosiony, śmierdzący mężczyzna, którego sutanna wychwytywała i przechowywała każdy wyprodukowany przez niego odór) miał zboczone potrzeby, a ci, którzy ich nie spełniali, musieli liczyć się z biciem, głodówką, odosobnieniem, obelgami, ciągnięciem za włosy, przytrzaskiwaniem palców drzwiami, wykręcaniem rąk, aż

wyskakiwały ze stawów, kopniakami i publicznym poniżaniem, nocnymi pobudkami, wrzaskami prosto w ucho i przypalaniem siarkowymi zapałkami, a tortury te nie trwały przez dni, tygodnie czy miesiące, ale całe lata. Ojciec Blink szczycił się tym, że nigdy nie wybaczał chłopcu, który mu odmówił.

Egga miał plan. Chciał, żeby Johnny uciekł razem z nim, ale nie zdołał go o to zapytać, więc wymknął się sam ze szkoły.

Loberta i Nanty obudziło łomotanie do drzwi.

– Gdzie on jest? Wasz zawszony chłopak uciekł ze szkoły! Wiemy, że tu jest. Będziecie mieli kłopoty!

Przetrząsnęli całym dom w poszukiwaniu Egga i wracali o przeróżnych porach przez wiele miesięcy, zanim zrezygnowali. Lobert i Nanty wpadli w rozpacz. W końcu do ich uszu dotarły niepokojące opowieści o szkole, więc rozpaczali, że nie zdołali ochronić syna przed najgorszym. Nie tylko im odebrano dziecko. Wielu rodziców godziło się z kłamstwem, że ich dzieci umarły po „długiej i ciężkiej chorobie". Nie wiedząc, co stało się z Eggą, Nanty pogrążyła się w niekończącym się smutku, który doprowadził ją do grobu. Zostawiła zdruzgotanego, ogarniętego najczarniejszymi myślami Loberta, dla którego zło dziejące się w szkole i brak jakiegokolwiek urzędniczego nadzoru nad tą instytucją stały się potwierdzeniem, że angielscy Kanadyjczycy nie mają prawa uważać się za ludzi przyzwoitych. Wszystko kończyło się na słowach. Ale tliła się w nim iskierka nadziei i po wojnie ożenił się z Kate Googoo. Nikt nigdy nie dowiedział się, co

zrobił Lobert, ale gdy do szkoły z internatem trafili Paul, Alice i Mary May, musieli zmierzyć się z pogardą i przezwiskami, ale nigdy ich nie bito.

Uciekinier Egga, potomek w prostej linii Charlesa Duqueta i René Sela, wędrował nocami zagłodzony i obdarty, a sypiał za dnia. Chodziło mu tylko o to, żeby dojść na południe. Nie wiedział, dokąd zmierza, chciał tylko uciec jak najdalej z Kanady. Miał wrodzony pociąg do wody i zadekował się na kutrze płynącym do Rockland w Maine, po czym wymknął się po ciemku z łodzi i znów ruszył w drogę. Szedł wzdłuż brzegu przez wiele tygodni, żebrząc o jedzenie albo zatrudniając się dorywczo na mijanych farmach. Dotarł w końcu do Barnstable, a czując zapach smażonej ryby dobiegający z mesy jakiegoś kutra, wyprosił na nim miejsce. Kuter płynął do Martha's Vineyard. Rybacy poczęstowali go smażonym dorszem, więc był im dozgonnie wdzięczny.

Wokół portu rybackiego kręcili się inni bezdomni chłopcy, załatwiający sprawunki rybakom i pomagający przy rozładunku ryb. Ale żaden z nich nie był Mikmakiem. Egga dostał pierwszą prawdziwą pracę na kutrze i uczył się trałować podczas połowów morskich pstrągów i witlinków. Szyper Giff Peake, który był w połowie Wampanoagiem, nauczył Eggę czytać – od biedy – lecz zarzucił naukę pisania, bo – jak twierdził – przyglądanie się, jak Egga pisze, było jak uczenie psa gry na fortepianie. Ale Egga był oddanym rybakiem, do tego radosnym i każdego ranka miał

nadzieję na dobry dzień, co zdarza się niekiedy zbiegłym lub uwolnionym więźniom.

Egga dorósł na kutrze szypra Peake'a, a gdy szyper przeszedł na emeryturę, żeby bawić wnuki, Egga zatrudnił się na większych kutrach łowiących na pełnych dorszy wodach Georges Bank. Przestał przedstawiać się jako Mikmak i stał się zwykłym mieszańcem. Gdy skończył dwadzieścia jeden lat, zgłosił się na ochotnika do wojska, ale nie przyjęto go jako obywatela innego kraju, więc złożył prośbę o obywatelstwo, po czym poznał i poślubił Brendę, dziewczynę z plemienia Wampanoag.

Po wielu latach, gdy znów spotkał ojca, powiedział:

– W Bren od samego początku najbardziej ujęło mnie to, jak szybko potrafi liczyć: miała głowę do liczb i umiała czytać z prawej do lewej i do góry nogami. Pracowała u handlarza rybami. Ale zabrałem ją stamtąd. Tak, tak zrobiłem ku swemu wielkiemu szczęściu.

Ale ich małżeństwo nie było łatwe. Bren miała silną osobowość i potrafiła bronić swoich przekonań.

Egga, chcąc opanować umiejętność czytania, wyznaczył sobie zadanie codziennego sylabizowania gazety. Zamówił prenumeratę kilku gazet z Nowej Szkocji, w tym „Amherst Daily" oraz „Yarmouth Herald", dzięki czemu dowiadywał się o tym, co działo się w starym kraju. Rozmawiał o tym przez lata z Bren, która nigdy nie była w Nowej Szkocji, ale wiedziała, co wydarzyło się z

Wampanoagami. Czasem przypływali na kutrach rybacy z Halifaksu, a Egga zapraszał ich na kolację i wypytywał o wieści. Dowiedział się w ten sposób, że w międzywojniu mężczyźni z jego plemienia zatrudniali się w Winnipeg przy zbiorach, w Maine przy zbieraniu jabłek, słowem, wykonywali każdą pracę, która wpadła im w ręce. Pracowali również jako dokerzy i robotnicy portowi, opróżniali i wyrzucali śmierdzące balasty ze statków. Wielu wciąż mieszkało w obozowiskach drwali daleko od rezerwatu, który odwiedzali okazjonalnie, chcąc się spotkać z żonami i dziećmi.

– Wiem, co to oznacza dla tradycyjnego sposobu życia – mówiła Bren. – Gdy mężczyźni odchodzą za pracą, to kobiety muszą dbać o ocalenie języka.

Ale wyglądało na to, że większość kobiet podpisywała dokumenty, w których wyrażała zgodę na posłanie dzieci do szkół z internatem, ufając, że w szkołach nauczą się wszystkiego, co potrzeba do życia w kulturze angielskiej. Niewielu rodziców słyszało o okropieństwach, których dopuszczał się na ich synach i córkach morderczy kler. Po takiej edukacji dzieci już nigdy nie mogły być prawdziwymi Mikmakami.

Wnukowie Moltiego Sela, Blaise i Louis Selowie, byli drwalami i ścinali drzewa piłami łańcuchowy i innym ciężkim sprzętem. Ścinanie drzew przypominało pracę przy linii produkcyjnej. Co roku coraz mniej ludzi pracowało na ziemi, gdzie dochodziło do

nieszczęśliwych wypadków i śmierci: wsiadali do kabin maszyn. Selowie się rozpierzchli daleko od rezerwatu. Bracia Mius i Sel lubili obrabiać dłużycę i niektórzy z nich pracowali w Minnesocie i Wisconsin, inni w Maine, a jeszcze inni w Kolumbii Brytyjskiej, Waszyngtonie i Oregonie. Stare obozowiska drwali zniknęły. Rodziny zamieszkały w domach białych, słuchały radia, jadały w jadłodajniach, jeździły do pracy i wracały do Nowej Szkocji tylko w Dniu Świętej Anny.

Wiedzieli, jak żyli ich dziadowie. Blaise Sel, jeden z wnuków Moltiego i zdolny operator ciągnika ścinkowo-układającego, mówił:

– Te stare obozowiska drwali? Nie poszedłbym do takiej szczurzej nory za żadne pieniądze. Żeby siedzieć gdzieś w jakiejś głuszy i po pracy dłubać w nosie?

Jego brat, Louis, prowadził chwytakowy skider odbierający od Blaise'a wiązki drzew i przeciągający je do maszyny okrzesującej, pozbawiającej kłody gałęzi. Nie czekał, aż kłody trafią pod pilarkę, która cięła je na bale odpowiedniej długości, nie dbał też o ich załadunek i przewóz do ścierni, ale wracał z pośpiechem do Blaise'a po świeży bukiet kłód. To była praca, dzięki niej rodzina miała co jeść, a on spłacał raty za półciężarówkę i za dom, w którym mieszkał z żoną, Astrid. Inni Selowie mieli pracę w ścierniach i papierniach, w fabrykach sklejki, celulozowniach i coraz częstszych fabrykach plastiku.

Najmłodszy syn Noela Miusa pracował dla firmy drzewnej na rębaku. Ale jak mówił żonie, Shelly, rozdrabnianie na wyrębisku drewna na zrębki rabuje ziemię i las. Jeśli wióry i trociny nie zostają w lesie, ziemia się wyjaławia. Powinno się ją nawozić tam, gdzie ścina się drzewa. Ale czy ktoś to robi? Nie.

– Szkoda – odpowiedziała z roztargnieniem Shelly.

Jakby dla zrównoważenia tego zaniedbania, jego brat, Jackson, i jeszcze jeden człowiek prowadzili zrywkę drewna końskim zaprzęgiem, co było powolną, trudną i niebezpieczną pracą na świeżym powietrzu. Jackson ścinał drzewa, a jego wspólnik, Sonny Hull, ściągał je z lasu zaprzęgiem pociągowych koni. Mieli stałą pracę u właścicieli leśnych posiadłości, którzy nie chcieli hałasu i rozorywania ziemi. Ale po zimie bez śniegu Sonny Hull zabrał konie i przeniósł się do Montany, brakowało pracy, więc Jackson wrócił do nauki i zdobył tytuł inżyniera leśnika, a potem kształcił się dalej, żeby zostać magistrem inżynierem gospodarki leśnej. Nigdy nie wrócił do starego rezerwatu Mikmaków w Shubenacadie, choć wiedział, że mieszkają tam jego krewni. Odkładał to w nieskończoność do jakiegoś następnego Dnia Świętej Anny, bo dla krewnych Selów i Miusów dzień ten miał szczególną wartość, której nie pojmowali postronni.

– Warto było tłuc się autem przez trzy dni – mawiał Blaise Sel, siedząc wygodnie odprężony z kuzynami i starymi ciotkami, będąc znów Mikmakiem – choćby przez dzień czy dwa. Żona Blaise'a,

Astrid, wnuczka szwedzkich imigrantów, nigdy mu nie towarzyszyła.

– To trochę niemądre – tłumaczyła. – Jedziesz przez pół świata, żeby powiedzieć tym Mikmakom, że są twoimi krewnymi. To zupełnie do ciebie niepodobne.

Ale tak właśnie robił.

---

[41] I wojna światowa.

X

POGRĄŻENI W MROKU

1886–2013

63

PERFIDIA

Mizerna panna Heinrich nadal siedziała w sekretariacie, który się niemal nie zmienił od czasu niedoszłego upadku firmy przez wieloma laty. Nigdy nie zapomni, jak źle ułożyły się wtedy sprawy – kryzys, spadek liczby budowanych domów, zmniejszenie ceny drewna. Ale przemysł drzewny odbił się od dna i właśnie w takich okolicznościach ulotnił się mecenas Flense, a wraz z nim Annag Duncan i zdefraudowane fundusze. Był to najgorszy czas dla firmy. Cóż za rwetes! Pani Lavinia wezwała czterech rewidentów – ciemnookich mężczyzn z czarnymi wąsami.

– Panno Heinrich, poprosimy o księgi z roku siedemdziesiątego trzeciego. Oraz protokoły z posiedzeń rady z ostatnich trzech lat.

Wezwano z emerytury starego rozdygotanego pana Pye'a, żeby wyjaśnił pewne poczynania. Rewidenci rozmawiali ze sobą przy obiedzie, nad stekami i gotowanymi ziemniakami – podejrzewali, że stary pan Pye mógł uknuć intrygę wiele lat wcześniej i uwić sobie w tym czasie bezpieczne gniazdko.

Gdy rewidenci skończyli audyt ksiąg, spotkali się z Dieterem i Lavinią.

– Panie Breitsprecher, pani Breitsprecher, Flense od początku miał nadzwyczajne pełnomocnictwa do nabywania ziemi dla Duke Cięcie. Oraz do sprzedaży posiadłości. Nie istniała żadna umowa ograniczająca jego działania i zdolność nabywczą w imieniu firmy. Ale człowiek ten był zwykłym pracownikiem, a nie wspólnikiem czy udziałowcem. Nic nie mogło zapobiec popełnianym przez niego malwersacjom, poza jego własnym kodeksem etycznym.

– Zawsze wierzyłam w jego lojalność wobec mnie osobiście oraz wobec firmy. Nie miałam powodu, aby w niego wątpić. Zaliczałam go do grona przyjaciół i ufałam mu. Prowadziliśmy interesy w oparciu o dżentelmeńskie porozumienie. Mój ojciec działał w taki sposób i nigdy się nie zawiódł – odpowiedziała oschle Lavinia.

– Ktoś musiał być pierwszy – mruknął z przekąsem rewident. – Flense po kryjomu sprzedawał należące do firmy lasy, barki, magazyny wraz z zawartością.

Rewident zdaje się sugerował, że defraudacja była winą Lavinii, a ludzkie słowo już zupełnie się nie liczy.

Główny rewident pochylił głowę i rzekł:

– Pani Breitsprecher, czy mogę coś pani doradzić? Proszę poczytać Adama Smitha. Banałem stało się już twierdzenie, że ludzie robią tylko to, za co otrzymują nagrodę. Flense dostawał dosyć skromną pensję, zważywszy na zakres jego prawniczych obowiązków w firmie. A w przyszłości, gdy będzie pani prowadziła interesy z prawnikami z Chicago, proszę pamiętać o sentencji *homo homini lupus est*, człowiek człowiekowi wilkiem.

Po odejściu rewidentów w Duke i Breitsprecher zostało niewielu pracowników, a przed firmą malowała się czarna przyszłość.

Firma chwiała się i o mało nie upadła. Dla wszystkich przedsiębiorstw nadeszły niełatwe czasy: akcje i ceny ziemi traciły na wartości, przemysłowe miotły zmian wymiatały rynki. Robotnicy nie byli już wdzięczni za jakąkolwiek pracę, pojawiły się problemy i strajki przeszkadzające w interesach, a lasy północnego zachodu stały się punktami zapalnymi dla zbuntowanych robotników leśnych, którzy opowiadali się za lepszą płacą, a nie męskim ubóstwem. Cały kraj pogrążył się w gniewie i zgorzknieniu. Lavinia, która chciała pozbyć się z firmy i własnego życia jakichkolwiek pozostałości po Flensie, przegłosowała wraz z pozostałymi członkami rady zmianę prawnego statutu firmy.

– Gdy firma przekształcała się w wielką spółkę drzewną, potrzebowaliśmy kapitału na budowę linii kolejowych, zakup barek i parowców, budowę dróg. Teraz wszystko się zmieniło. Od tej pory, mając ograniczony budżet, wrócimy do własności jednoosobowej. Pominąwszy już wszystko inne, status spółki lepiej nadaje się dla firm kopiących kanały i budujących drogi, dla koeli i banków, a nie firm drzewnych, a przynajmniej nie dla takich, które znajdują się w takim stanie, jak nasza.

Nastrój w sali posiedzeń rady psuła świadomość, że wszyscy zostali paskudnie oszukani.

/ / /

– Lavinio – odezwał się Dieter, gdy omawiali szczegóły chwiejnej pozycji firmy Duke i Breitsprecher – przetrwamy tę burzę. To prawda, że firma straciła wiele na wartości, ale zostało nam tyle, że możemy zacząć wszystko od nowa.

Lavinia nie była w stanie opanować wściekłości.

– Dieter, mój majątek… mój stracony majątek, wziął się z żyły złota lasów Maine i Michigan, którą eksploatowaliśmy przez pokolenia. Teraz nie ma już tak bogatych lasów. Flense odebrał mi dziedzictwo przodków.

Przesadzała, rzecz jasna, gdyż Flense nie był w stanie tknąć jej osobistego majątku i nie sprzedał jej gruntów w Chicago, które obecnie warte była miliony. Zdefraudował tylko majątek firmy.

– Posłuchaj proszę, moja droga. Lasy północnego zachodu są bogatsze od lasów Maine czy Wielkich Jezior. Wszystko będzie dobrze za kilka lat, gdy firma odbuduje stan posiadania terenów leśnych. A teraz mamy jedyną w swoim rodzaju okazję, żeby skupić się na odnawianiu tych terenów, które mamy. Zdobędziemy nową sławę i szacunek dla firmy Duke i Breitsprecher.

Ale Lavinia nie dała się pocieszyć. Bolała ją i paliła żywym ogniem perfidia Annag Duncan.

– Ufałam jej – mówiła. – Dałam jej pracę, gdy nic nie miała, i w taki sposób postanowiła mi się odwdzięczyć. Nie potrafię pojąć, czym dała się skusić Flense'owi.

Zacisnęła pięści.

– Czy nie zauważyłaś nigdy, moja droga, ile uwagi poświęcał jej ten prawnik? Wychwalał jej ciasteczka pod niebiosa, kupował jej bukieciki kwiatów, zawsze się do niej uśmiechał i odwoził ją do domu po przedłużających się posiedzeniach. Przypuszczam, że pochlebiały jej te uprzejmości. Ani ty, ani ja nie chwaliliśmy jej za bardzo, traktowaliśmy jej obecność jako rzecz zrozumiałą samą przez się i właśnie w tym Flense dostrzegł swoją szansę. – Potarł podbródek. – Zresztą, kto wie? Może się w niej zakochał? Była dosyć ładną kobietą. – Gdy tylko wypowiedział te słowa, domyślił się, że popełnił błąd.

– Doprawdy? – zawołała urażona Lavinia. – Ja tak nie uważam. Szkoda, że nie da cofnąć się czasu i prowadzić tego oszusta na smyczy! Jej też. Niemniej jednak mam zamiar zatrudnić agencję Pinkertona do poszukiwań sprawców. Nie spocznę, póki nie wsadzę ich do więzienia. – Opanowała się. Musi nauczyć się z tym żyć. – Masz rację, Dieter. Lasy północnego zachodu są bardzo bogate, jeśli tylko uda nam się trafić do jak najdalszych obszarów. No i mamy jeszcze araukarie w Nowej Zelandii.

– A czy pamiętasz obietnicę, którą złożyliśmy Ovalom? Że nie wytniemy wszystkiego w pień, by uciec stamtąd, ale będziemy gospodarowali roztropnie i zalesiali to miejsce? Żałuję, że nie powiodły się moje eksperymenty z nasionami araukarii, ale tutejsza gleba im nie sprzyjała.

Lavinia nie zdołała oprzeć się swojej przekornej naturze i poleciła wyciąć wszystkie araukarie co do jednej. Ta wycinka odbuduje jej majątek. A Dieter miał rację: sporo jej jeszcze zostało. Flense zapomniał o fabrykach sklejki i papierniach, które stały się obecnie maszynkami do produkowania pieniędzy. Firma wykorzysta postęp technologiczny i nowe maszyny. Duke i Breitsprecher przetrwa.

– Nasza doroczna wystawa wynalazców musi trwać dalej – oznajmiła Lavinia. Ale stary hotel Great Lakes spłonął w pożarze. Więc Lavinia zaczęła przekonywać radę, że hala ekspozycyjna wybudowana na gruntach firmy przyciągnie wynalazców.

– Zarobiliśmy miliony na prefabrykowanych domach, a kto wie, co może wpaść nam w ręce w czasach, w których w głowach ludzi lęgną się pomysły, ulepszenia i wynalazki. Tymczasem możemy skorzystać ze starego domu pana Jinksa i jego gruntów jako centrum wystawowego. Uczestnikom na pewno się spodobają spacery po naszym parku.

Jednak na Wystawę Duke i Breitsprecher zgłosiło się znacznie mniej wynalazców. Jej czas już minął. Wynalazcy woleli opatentowywać odkrycia na swoje nazwiska, więc coroczna wystawa przeszła do historii.

Dieter miał wrażenie, że do historii przeszły również złote lata przemysłu drzewnego, gdy wydawało się, że lasy są nieskończone. Farmerzy, którzy wycięli w pień, wypalili i zrujnowali miliony

akrów terenów leśnych na wschodzie, pędzili teraz do zachodnich lasów, żeby powtórzyć swe dokonania. Ustawiali stosy z najlepszych drzew i podpalali je, po czym klęli, gdy okazywało się, że spalona ziemia jest skalista lub marna i nie wyrośnie na niej nic oprócz chwastów.

Przez ostatnie ćwierćwiecze Dieter cierpiał, gdy okazywało się, że Kongres uchwala kolejne ustawy leśnie: o kulturach leśnych, o wycince drzew, o lasach i skałach – wszystkie te ustawy miały rzekomo chronić lasy, ale było w nich tyle dziur, że chciało mu się płakać.

– Spod jakiego kamienia wypełzli ci głupcy? – wołał. – Największym schorzeniem tych ustaw jest marnotrawstwo. Tylko ułamek rosnących lasów przeznaczany jest na drewno, resztę pali się i porzuca! *Mein Gott*!

„To śmiechu warte" – mówił do siebie. „To przestępstwo. Ta niesławna klauzula o «ziemi zamiast lasu» pozwala każdemu oddać las do rezerwatu w zamian za taki sam obszar w innym miejscu. Drwale to uwielbiają, bo zamieniają wycięte lasy na akry nietkniętego boru. Robi mi się niedobrze, jak pomyślę, ilu ludzi lobbuje w Waszyngtonie za tym, żeby drwale mogli zarabiać. Na tym właśnie polega amerykańska wolność!"

Jego samotne śniadania były pełne ciężkich westchnień, gdy czytał o kolejnych skandalach, począwszy od obrotów nieruchomościami po legislaturę. Ale nie mówił o tym Lavinii.

Wiedział, że zatrudnia lobbystów. A zatem – pośrednio – robił to sam.

Wyglądało na to, że dwoje defraudantów poszło w różne strony. Agencja Pinkertona donosiła miesiąc po miesiącu, że Flense'a widziano w Peru, w Athens (Georgia), Glasgow i Buenos Aires – brakowało jednak twardych dowodów.

– Próbujcie dalej, próbujcie dalej – upierała się Lavinia, płacąc detektywom miesięczne słone honoraria. Potem nadeszła wiadomość, że Flense'a znaleziono w zaułku za Mulo Rojo, restauracją w Valparaiso. Leżał martwy, zadźgany nożem i okradziony. O Annag Duncan ani słowa. Prawdopodobnie rozpłynęła się w szkockich ostępach, do których nie zapuszczał się żaden obcy przybysz.

Pewnego deszczowego poranka pokojówka przyniosła Lavinii dzbanuszek w gorącą czekoladą i okrojony tost. Lavinia stała pod oknem, wiążąc pasek różowego jedwabnego peniuaru, wyglądając na ciemne, chłostane wiatrem jezioro.

– Dzień dobry, pani. Kolejny paskudny dzień. Pan Dieter skarży się na katar.

– Więc lepiej niech nie wychodzi z domu. Zajrzę do niego, gdy się ubiorę.

Pokojówka postawiła tacę na małym śniadaniowym stoliczku, nalała czekolady do filiżanki i wyszła. Lavinia usiadła, podniosła

filiżankę, upiła łyk, odwróciła się, żeby spojrzeć na siekący w szyby deszcz i upadła, oblewając sobie czekoladą nogi. Gdy zjawił się doktor, diagnoza brzmiała „atak serca". Nikt nie wie, skąd to się bierze. Ludzie czasem po prostu umierają. Tak jak Lavinia. Katar Dietera przerodził się w długotrwałe zapalenie płuc, które unieruchomiło go na sześć tygodni. Zdołał jednak podnieść się z łóżka i spotkać z kamieniarzem. Po krótkich deliberacjach na nagrobku Lavinii wykuto epitafium:

Przywołaj rudzika o szkarłatnej piersi
Tu leży jego przyjaciółka

Lavinia nie zmieniała testamentu po ucieczce Flense'a i Annag Duncan. Ci, którzy zostali obdarowani nieistniejącą już własnością czy majątkiem, czuli się okradzeni – powinni zostać bogaci, a musieli zadowolić się skromnym życiem. Lwia część majątku Lavinii przypadła w udziale jedenastoletniemu Charleyowi, lecz nie mógł on mieć z tego żadnego pożytku do ukończenia czterdziestego roku życia, kiedy to – zdaniem Lavinii – mężczyzna mądrzeje. Do testamentu dołączona była dziwna klauzula, która stwierdzała, że gdyby pojawiły się jakieś roszczenia do aktywów Duke-Breitsprecher ze strony osoby lub osób pochodzenia kanadyjskiego, należy się im przeciwstawić z całej mocy prawa. Nikt nie wiedział, co to oznacza, ale klauzula ta rzuciła cień na uroczystą ceremonię odczytywania ostatniej woli.

Dieter Breitsprecher, który wydawał się predestynowany do roli wdowca, zaskoczył wszystkich, żeniąc się po raz drugi po śmierci Lavinii. Jego wybranką okazała się Rallah Henge, najmłodsza córka interesującego się ochroną lasów przyjaciela z branży drzewnej Conrada Henge'a. Panna Henge, młoda dama o długich kasztanowych włosach, była o trzydzieści lat młodsza od Dietera, który traktował ją z wielką kurtuazją i uwagą niczym kryształowy kielich. Rallah śmiała się perliście i brakowało jej męskiej krzepy Lavinii. Przemysł drzewny w ogóle jej nie interesował, chciała poświęcić się macierzyństwu i osiemnaście miesięcy po ślubie powiła syna, Jamesa Bardawulfa Breitsprechera. Po dziesięciu lat urodziła jeszcze córkę, Sophię Hannę, i na tym koniec, gdyż Rallah – kobieta delikatna i krucha – zapadła nagle na cuchnącego i ropiejącego raka piersi i zmarła, zanim Sophia zaczęła chodzić, a James Bardawulf osiągnął wiek nastoletni. Charley natomiast już dawno opuścił dom.

64

PRZEGRANY

Po drugim ożenku Dieter sprzedał stary dom Lavinii i zamówił u Burnhama projekt nowego domu w niedawno przyłączonym do Chicago Edison Park. Dom ten miał neoklasyczny spokojny fronton z uporządkowanymi symetrycznie parami okien. W środku był nowoczesny ze względu na elektryczne oświetlenie i dwie linie telefoniczne.

Dieter posłał Charleya do Yale na studia leśnicze. Tam Charley pokonywał po trzy schody na raz i dyskutował zawzięcie z profesorami. Lasy stały się jego namiętnością i czuł się rozczarowany panującym w Yale brakiem entuzjazmu. Uczono go tylko „gospodarowania i zarządzania" lasem. Popłynął więc do Niemiec, żeby na własne oczy obejrzeć rezultaty dwustu lat gospodarki leśnej, ale irytowały go wykłady, więc ubłagał Dietera i radę, aby pozwolono mu podróżować i nauczyć się lasów samemu poprzez obserwację. Zgodzono się, wyznaczono mu stypendium, a Charley rozpoczął wędrówkę po Europie.

Odwiedzał bory bukowe i grabowe, odnalazł pozostałości kasztanowych kniej we Francji, pojechał oglądać skrawki nadal

istniejącej tajgi w Skandynawii, rozrzucone po Szkocji kawałki lasów sosnowych i brzezin, zakątki, w których rosły jesiony, dęby i olchy w Irlandii i Walii. Miejsca te ocalały jedynie ze względu na trudny do nich dostęp. Charley popłynął dalej do Australii i Nowej Zelandii, gdzie poczuł wielki wstyd, widząc, co Duke i Breitsprecher uczynili z wiekowymi araukariami – wandalizm ten zawstydził go tak bardzo, że nie przedstawiał się prawdziwym nazwiskiem, używając wymyślonego. Śniły mu się koszmary, w których unosi na własnych barkach powalone olbrzymy i stawia je z powrotem na skrwawionych pniach. Ale nadszedł taki dzień, w którym Dieter i rada wezwali go do domu, żeby ustalić wspólnie przyszłość firmy.

///

Wróciwszy do Chicago, chodził po mieście, oglądając nowe drapacze chmur i objadając się przysmakami od ulicznych sprzedawców. W jego myśleniu o lasach panował straszny chaos. Widział ich za wiele, ale uznał jednoznacznie, że coś, co nazywa się „gospodarką leśną", jest przestępczym zniewalaniem przyrody. Jego pogląd nie mógł wzbudzić entuzjazmu. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko czekać na obrót klepsydry.

Pewnego dnia przy śniadaniu – które dla Dietera od zawsze składało się z wędzonego łososia i dwóch jajek w koszulce – ojciec oznajmił:

– W przyszłym tygodniu odwiedzi nas twoje rodzeństwo. James Bardawulf ma bardzo ładną żonę, Caroline. Jego kancelaria prawna odnosi wiele sukcesów. Nie…

– Oni nie są moim rodzeństwem, ojcze.

Dieter zignorował tę uwagę i mówił dalej:

– Nie spotkałeś jeszcze Caroline. Gdy byłeś tu po raz ostatni, bawiła akurat za granicą z matką. Urodziła Jamesowi bliźniaki: Raphaela i Claude'a. A Sophia wyjdzie w styczniu za Andrew Harkissa. Czy nie mówiłem ci już o tym? Sophia jest jeszcze młoda, ale mam wrażenie, że przy Andrew się ustatkuje. Nawiasem mówiąc, Harkiss studiował na wydziale leśnictwa w Yale i zaczął dla nas pracować przed czterema czy pięcioma laty. Ożywił nasze wycinki i wprowadził nas do Ekwadoru, gdzie rośnie balsa. A po wielkim pożarze w kalifornijskie sekwoje. Przekonał nas do kupienia sporej części dziewiczych puszczy nad wybrzeżu Oregonu i Waszyngtonu. Wygląda na to, że firma odzyskuje stracony majątek.

– Jaki wielki pożar masz na myśli?

– No jak to? Wielki pożar San Francisco po trzęsieniu ziemi w tym mieście[42]. Kataklizm zniszczył wszystkie budynki w promieniu dwóch i pół mili od bocznicy kolejowej. Mówią, że spłonęła połowa miasta. Z pewnością czytałeś o tym w gazetach, tam, gdzie byłeś?

– Nie. Rzadko czytuję gazety.

– Jedyne budynki, które przetrwały trzęsienie ziemi i pożar, wzniesiono z sekwoi. Nic nie mogło lepiej zademonstrować odporność sekwoi na ogień. Ludzie zaczęli się domagać… i nadal się domagają… sekwojowego drewna, żeby odbudować miasto. Andrew podjął to wyzwanie. Posłał ludzi do lasów, nim ostygły popioły, pracowali aż do kompletnego zmroku. A tartaki działały przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Charley słabo pamiętał Harkissa, który w Yale studiował leśnictwo razem z nim. Przez krótki czas, jaki tam spędził.

– Andrew ma wielką ambicję przywrócić firmę Breitsprechera do dawnej świetności. Jest oddany pracy w każdym wymiarze. – Dieter bez ironii sparafrazował couéizm[43]: – Z każdym dniem, pod każdym względem, stara się coraz lepiej i lepiej.

– A ty, ojcze, jak się czujesz z tym przedsiębiorstwem drzewnym? Każdego dnia coraz lepiej i lepiej?

– Popieram działania Andrew. Rok po zakończeniu wycinek rozpoczynamy zalesianie. To zrównoważony proces.

– Trudno mi wyobrazić sobie, co twoim zdaniem jest w stanie zastąpić rosnące od dwóch tysięcy lat sekwoje… sadzonki sosny? A co z dywersyfikacją gatunków? Co z glebą? Erozją? Z tym wszystkim, co niegdyś tak bardzo cię obchodziło? Ścinasz pierwotne jodły i cedry i sadzisz sosnę? Mówiłeś zdaje się coś o Oregonie i Waszyngtonie.

– Obawiam się, że przez lata małżeństwa z twoją matką stałem się bardziej praktyczny. Zatem wycinamy wszystko, co rośnie

wzdłuż wybrzeża. Duże drzewa w trudno dostępnych rejonach pozostają nietknięte. Nie moglibyśmy ich wywieźć bez bardzo kosztownych torów i lokomotyw.

– A co z ochroną działów wód? Rozregulujecie całą hydrologię w tamtym rejonie. Byłem tam, wyobraź sobie. To obszar górzysty o stromych stokach. Wiem, że nie tylko sekwoje, ale i cedry mają tam średnicę dwudziestu stóp nad korzeniem: twoi drwale będą musieli ustawiać rusztowania, żeby ścinać drzewa na wysokości, na której średnica pnia jest przynajmniej o dziesięć stóp mniejsza. Straty drewna będą niepowetowane.

– Cóż, proponuję, żebyś porozmawiał o tym z Andrew. Teraz to on wymachuje siekierą – roześmiał się Dieter.

– Chryste… – westchnął Charley na myśl o tym dandysie, tym *homme chic* ściskającym siekierę.

///

Gdy James Bardawulf i Caroline przyjechali do domu, najmłodszy syn poszedł prosto do barku i nalał sobie szklankę whiskey, nie pytając nikogo, czy czegoś by się napili. Zrobił to Dieter i pozwolił synowi nalać sherry, whiskey i następną whiskey dla Charleya. W salonie panowała napięta atmosfera.

Sophia i Andrew Harkiss byli dumą rodziny. Symetryczne rysy rumianej twarzy Harkissa, jego mocno niebieskie oczy i szczupła, acz muskularna sylwetka dawały mu wyraźną przewagę. Ale pod

tym eleganckim frontem Dieter dostrzegał coś jeszcze: głód, który kazał mu myśleć o Andrew jak o przemokniętym psie przyglądającym się panu wędrującemu w tę i z powrotem za jasno oświetlonymi oknami. James Bardawulf obnażył zęby w zgryźliwym uśmiechu. Jego żona Caroline miała na sobie modną jedwabną suknię, a Sophia była po prostu śliczna. Charley pojawił się jak zwykle w podniszczonym tweedowym garniturze i niewyczyszczonych butach. To moje dzieci, pomyślał Dieter, ukochane straszne dzieci.

– A więc przyjechałeś z wizytą, Charles? – spytała Sophia. Należała do swoistego gatunku piękności o wyprostowanej sylwetce i jasnych włosach, a jej młodą twarz zdobiły pięknie zarysowane usta.

– Masz coś przeciwko? – Pochylił się, splatając palce.

– To nie ma znaczenia – odpowiedziała. – Robisz to, na co masz ochotę. Zawsze robiłeś. – Umilkła na moment, żeby wbić mu szpilę: – To znaczy, do tej pory.

Zajęli miejsca przy stole nakrytym elegancką angielską zastawą Spode'a z kryształowymi kieliszkami.

– Czy pokój ci odpowiada, Sophio? – zapytał Dieter.

– Jest bardzo przyjemny, papo, dopóki nie zerwie się wiatr. W narożnym pokoju dobrze słychać, jak gwiżdże.

– No właśnie – mruknął zniecierpliwiony Andrew. – Ponieważ pokój jest narożny, wiatr gwiżdże tylko wtedy, gdy zmienia kierunek. Mnie to nie przeszkadza.

Pokojówka przyniosła wazę z gorącą i pikantną zupą marchwiową.

Rozmowa przy stole wyraźnie się nie kleiła, przez kilka minut wymieniali uwagi o ataku Peary'ego na biegun północny[44], po czym ucichli, by zacząć rozmawiać o pogodzie, domu Andrew, wznoszonym przez miejscowego architekta o nowoczesnych zapatrywaniach, i wreszcie o automobilu Jamesa Bardawulfa, nowym fordzie T.

– Nie rozumiem, po co ktoś miałby poruszać się z chyżością stu mil na godzinę – stwierdził Dieter. – To absurd.

– Myślę, ojcze, że gdybyś wsiadł do automobilu, dostrzegłbyś jego zalety.

– Co? Miałbym pędzić, wciskając nogą gałkę? Uważam, że to zniewieściałe. Mężczyzna musi umieć jeździć konno, trzymać wodze!

– Z pewnością wiele można by powiedzieć o umiejętności poskramiania i ujeżdżania koni – zgodził się z nim James Bardawulf, dla którego jazda konna pozostawała zupełnie obojętna, lecz który żywo interesował się kolekcjonerstwem. – Ale większą wagę przywiązuję do broni. Niedawno nabyłem tarcze Zulusów, które ci wykorzystywali w bitwie pod Isandlwana[45].

Rozmowa kulała dalej. James Bardawulf zapytał w końcu Harkissa:

– A jak wygląda twój nowy dom?

– Automobile, domy… czy wciąż rozmawiamy o pieniądzach? – rzuciła gniewnie Sophia. – Zastanawiam się, dlaczego jeszcze nie omówiliśmy cen akcji i obligacji, nie poddaliśmy miażdżącej krytyce nowojorskich banków?

– Tak! W takim razie… – wtrącił Dieter, zadowolony z obrotu rozmowy i niedostrzegający ironii – …proponuję wznieść toast za Chicago. Codziennie dziękuję Bogu, że osiedliśmy w tym mieście, a nie w Nowym Jorku. Wystarczy porównać nasze reakcje na ostatni kryzys i panikę bankową. Nowy Jork pogrążył się w chaosie, banki i trusty upadły… weźmy tego jegomościa z Knickerbocker Trust[46]. A tu w Chicago powstała centralna izba rozrachunkowa i nadzór bankowy, pilnujący płynności. Wszystkie instytucje nowojorskie zawiodły pod wieloma względami, zwłaszcza pod względem płynności. Gdyby stary Morgan nie wtrącił swoich trzech groszy, nic nie ocaliłoby nas przed bankructwem[47].

– Niektórzy twierdzą – oznajmił James Bardawulf – że tego rodzaju kryzysy są efektem ubocznym wolnego rynku. Lecz są też tacy, którzy uważają, że wydarzenia tego rodzaju są winą nie wolnego rynku, lecz pozbawionych skrupułów indywiduów i braku jakichkolwiek reguł, oraz że jedynym sposobem na uniknięcie okresowych kryzysów i upadków rynku finansowego jest wprowadzenie kontrolowanego przez rząd banku centralnego, jak to miało miejsce w większości krajów europejskich.

– Przypuszczam, że prędzej czy później do tego dojdzie – stwierdził Dieter – choć bardzo wątpię, abym tego dożył.

///

Przy migdałowym puddingu odezwał się Dieter:

– Andrew, Charley pytał mnie o nasze przedsięwzięcia na Zachodnim Wybrzeżu… sekwoje i cedry. Zastanawia się…

– Miałam nadzieję, że zjemy rodzinny obiad bez rozmowy o drzewach i gospodarce leśnej – przerwała mu Sophia, rozczarowana przebiegiem posiłku, dyskusjami o pieniądzach i bankowej panice w odległym Nowym Jorku. Lubiła natomiast rozmawiać o zwiększającej się dzięki Andrew wartości firmy. Ponieważ to ona zdobyła serce Andrew, naturalną koleją rzeczy przyczyniła się do coraz lepszej pozycji przedsiębiorstwa.

– Ale trudno o lepszy temat od drzew – odrzekł Harkiss. – Drzewa to chleb z masłem dla tej rodziny.

James Bardawulf sięgnął po karafkę z winem, dolał sobie kieliszek i odchylił się na krześle, które zatrzeszczało groźnie.

– Niezupełnie – powiedział. – Rozmowy o drzewach stają się bardzo kłopotliwe, gdy uczestniczy w nich nasz braciszek Charley. Zna się jak nikt na przemyśle drzewnym i gospodarce leśnej, ale nie zniża się do zabrania głosu, chyba że usłyszy jakieś wołające o pomstę do nieba brednie… wówczas kładzie nas wszystkich trupem swoimi celnymi spostrzeżeniami.

Harkiss postanowił się roześmiać – co przypominało urywane szczekanie – Charley potarł nos i poruszył niespokojnie nogami.

– Jestem ci wdzięczny – powiedział – za ten wgląd. Zaczynam rozumieć, dlaczego odnosisz takie sukcesy przy barze.

James Bardawulf, który istotnie pijał ponad miarę, poczerwieniał i uniósł się ciężko, rzucając serwetkę do puddingu.

– Jamesie Bardawulfie – napomniał go ojciec. – Nie będziecie się kłócić z Charleyem przy stole. Caroline, opowiedz nam lepiej o dzieciach.

Caroline odwróciła się i uniosła brwi, jakby zaskoczona pytaniem.

– Dzieci mają się świetnie.

Charley przyjrzał się bratowej. Była atrakcyjną, nawet piękną kobietą, rumianą brunetką – może nieco zbyt pulchną – o szarych, przenikliwych i sprytnych oczach. Spojrzała na niego, uśmiechnęła się lekko i puściła do niego oko.

Poczuł nagłe ukłucie pożądania. Celowo flirtowała z nim. Musiała być flirciarą, nie mógł się mylić, więc postanowił, że sprawdzi, jak daleko jest gotowa się posunąć. W wyobraźni już prowadził ją do łóżka. Przespanie się z żoną Jamesa Bardawulfa sprawiłoby mu podwójną przyjemność. O mało nie odpowiedział jej perskim okiem.

Ale milczał o drzewach i swoich podróżach, nawet gdy zadawano mu bezpośrednie pytania. Następnego dnia miał rozmawiać z Dieterem na temat swojej przyszłości w firmie. Nie

ulegało wątpliwości, że James Bardawulf i Sophia – którzy oboje zasiadali w radzie – przekonali Dietera, żeby zmusił go do powrotu.

Wiosenny wiatr znad jeziora był niezwykle mroźny. Charley szedł szybkim krokiem ulicą z opuszczoną głową i zasłaniał uszy dużymi dłońmi Breitsprecherów. Zatrzymał się na chwilę w westybulu budynku Duke'ów, żeby się ogrzać i odwlec nieuniknioną dyskusję z ojcem.

Wspiął się po lśniących dębowych schodach. Naliczył ich czterdzieści. Czy kiedyś zainstalują tu windę? Wszedł do ojcowskiego biura, gdzie powitała go uśmiechem starsza od sekwoi panna Heinrich.

– Proszę od razu do gabinetu, panie Charley – szepnęła. – Przyniosę kawę.

Dieter siedział za biurkiem, które bardziej przypominało stół niż biurowy mebel. Wskazał Charleyowi krzesło po drugiej stronie stołu. W łysej czaszce ojca odbijało się poranne słońce. Charley zastanawiał się, czym ojciec wygładza głowę, że mu się tak świeci. Dieter przeszedł od razu do rzeczy:

– Cieszę się, że wiele z moich wcześniejszych zapatrywań na kwestię ochrony lasów i gospodarki leśnej stało się obecnie praktyką dnia codziennego. Byłem bardzo zadowolony, gdy Roosevelt powołał do życia Biuro Leśnictwa po wściekłej awanturze z senatorami z zachodu, którzy uważali, że zdobędą

więcej głosów, domagając się zniesienia rezerwatów leśnych. To doprowadziło Roosevelta do białej gorączki i obłożył sekwestrem cholernie dużo obszarów leśnych. Przy rezerwatach zawsze można było majstrować… rezerwaty w niczym nie przeszkodziły Weyerhaeuserowi[48]. A teraz jest kolosem jak Frick czy Morgan. Od lat powtarzałem, że jeśli lasy mają być chronione, potrzebna do tego jest kontrola rządu. Zmierzamy w tę stronę. – Wymienił swoich nowych bohaterów: Bernarda Fernowa, który kierował wydziałem leśnictwa na Uniwesrytecie Cornell, oraz Austina Cary'ego z Maine, który walczył o to, żeby uparci drwale i właściciele lasów pojęli podstawowe zasady leśnictwa. Do tego George'a Perkinsa Marsha, starego amerykańskiego przyjaciela.

– A co sądzisz o niemieckich lasach, które oglądałeś? – zapytał po chwili. – Sprawdziłeś nasze rodzinne koneksje z grafem von Rotsteinem?

– Istotnie szukałem jakiegoś krewnego z tego rodu, ale bez powodzenia. Powiedziano mi, że rodzina ta wymarła przed wielu laty.

Dieter parsknął. Sam był żyjącym dowodem na to, że ród ten przetrwał – nawet jeśli jego pokrewieństwo z Rotsteinami było odległe. Ale ich krew płynęła teraz w żyłach jego dzieci.

– Powiedz mi zatem, co myślisz o lasach?

– Widziałem wiele sosnowych plantacji w uporządkowanych rzędach. Ale nie sądzę, żeby można było uznać je za lasy.

– W rzeczy samej. Ale co w takim razie jest według ciebie lasem?

– Jestem głęboko przekonany, że tylko dzikie naturalne puszcze można uznać za prawdziwe lasy – odpowiedział spokojnie Charley. – Lasy to nie tylko drzewa, ale cała otaczająca je atmosfera, powietrze, splątane korzenie, niskie paprocie i jeszcze niższe porosty, owady i choroby, gleba i woda, pogoda. Wszystko to tworzy jedną ogromną i dziką orkiestrę symfoniczną: las żyjący dla siebie, a nie dla dobra ludzkości. – Urwał.

– Rozumiem… „Żyjący dla siebie…" Tak, oczywiście, ale masz na myśli dziewicze lasy, w których nie prowadzi się gospodarki leśnej, nie sadzi, nie pilnuje drzew, żeby przynosiły dochód właścicielom, dawały pracę robotnikom, a cień i ochłodę miłośnikom przyrody. W dzikich puszczach nie można gospodarować. Dlatego je ścinamy i wykorzystujemy ich drewno, a potem sadzimy na nich las. Drzewa, którymi gospodarujemy. Twój las żyjący tylko dla siebie nie mieści się w nowoczesnych kanonach. Austin Cary stara się nauczać, że drewno można uprawiać jak zboża, można na nim dobrze zarabiać i odnawiać je w nieskończoność. Z jednej strony przekonuje tych, którzy chcą ścinać tak, jak robili to zawsze i uznają jego gadaninę za niebezpieczną dla interesów, a z drugiej zmaga się z ludźmi podobnymi do ciebie, którzy wieszczą koniec lasów, katastrofę rzek, zmiany pogodowe i kataklizmy. Ich też musi przekonywać, że

gospodarka leśna zapewnia stały dopływ surowca i przeciwdziała erozji i wszystkim innym nieszczęściom.

W szyby uderzył marznący deszcz. Dieter zmrużył oczy. W Chicago zimy zawsze były długie i ciężkie, ale ta trwa już do połowy wiosny! Tak właśnie się stało. Charley nie zwracał uwagi na tę pogodową anomalię i odezwał się cichym głosem:

– Nie widzę żadnego pożytku z rzędów sosen. Takim plantacjom brakuje biodywersyfikacji, a ich wychwalana użyteczność jest iluzją. A co z ludźmi, którzy żyli na skrajach puszczy i zapuszczali się w głąb borów dla tysiąca różnych powodów? Dlaczego zakładamy, że nie mają prawa prowadzić tradycyjnej koegzystencji z lasem?

Dostrzegł grubą warstwę kurzu w gabinecie Dietera: na globusie, półkach z książkami, szczeblach krzeseł, parapetach. Kurz pokrywał również zapatrywania Dietera.

– Charley, nie rozumiesz, o co mi chodzi. Tu w Ameryce panuje przekonanie, że trzeba zabrać wszystko. Moje apele o zalesianie wciąż brzmią obco w amerykańskich uszach. Masz pewnie rację, mówiąc o zagrożeniu dla starej pierwotnej puszczy, ale to niestety sprawa polityczna. Nie masz racji, mówiąc, że niemieckie lasy są tylko sztucznymi plantacjami: w całej Europie żaden lud nie jest tak oddany dzikim kniejom, jak Niemcy. I w tobie ujawnia się ta niemiecka skaza, po trosze romantyczna, po trosze buntownicza. I chciałbym, abyś pojął, że w gospodarce leśnej kryje się wiele niuansów, o których jeszcze nic nie wiesz.

– Szkoda, że nie potraficie jeszcze zmusić ziemi do wypuszczania okorowanych desek. Ta rozmowa nie ma sensu, ojcze. Widziałem to, co widziałem, i nie potrafię zgodzić się z tym, że plantacje drzew są lepszym rozwiązaniem.

Widział, że w Dieterze wzbiera gniew, jego łysa czaszka poczerwieniała, przygryzał na przemian wargi.

– Więc powinieneś zostać botanikiem! – Dieter wyrzucił to słowo ze wzgardą. – I kontynuować przygody. – Wstał i wyszedł z gabinetu.

Charley czekał. Dieter rzadko wpadał w gniew, lecz teraz niewątpliwie był wściekły. Ale złość szybko mu przejdzie, nigdy nie trwała długo. I ojciec wróci. Po jakimś czasie usłyszał, że otwierają się drzwi do biura i Dieter rozmawia o czymś z panną Heinrich. Wszedł do gabinetu z topiącymi się drobinami lodu na barkach. Kiwnął głową do Charleya, wyciągnął butelkę, podszedł do kredensu i wyjął dwie szklanki. Nalał sobie i synowi.

– Wybacz mi, Charley. – Przełknął whiskey. Westchnął. – Kiedy byłem młody, miałem takie same zapatrywania jak ty, ale z czasem przekonałem się, że panujący w tym kraju duch przedsiębiorczości nie da się okiełznać. Nie możemy żyć jak dzikie zwierzęta w lesie. Jesteśmy ludźmi. Żyjemy na takim, a nie innym świecie i lasy muszą się przystosować do napływu wielkiej liczby ludzi z toporami, a nie na odwrót. Uwierzyłem niegdyś, że zalesianie jest dobrą formą dbania o przeżycie lasu, nie idealną, ale lepszą niż zostawianie po sobie pustych wyrębisk. Nazywamy

to, co zasadziliśmy, „lasem” i wierzymy, że to jest las. I nigdy nie przypuszczałem, że niemiecka gospodarka leśna może zostać uznana za podrzędną.

– Cuchnie osiemnastym wiekiem, ojcze. Nie pasuje do tych czasów. Prawdą jest również i to, że prowadzi się zbyt wiele wycinek. Stare lasy odchodzą, a gdy nic po nich nie zostanie, będziemy musieli czekać i tysiąc lat, żeby ujrzeć coś podobnego. Choć wątpię, by pozwolono tak długo rosnąć czemukolwiek na tej ziemi. Większość dzikich amerykańskich puszcz została już spustoszona.

Dieter powąchał whiskey i zakaszlał spazmatycznie. Gdy doszedł do siebie, łzy płynęły mu po policzkach. Zmienił temat rozmowy:

– Może zechcesz mi opowiedzieć, co widziałeś podczas podróży?

Cisza. Syk gazowej lampy. Uderzenia marznącego deszczu w szyby i okna. Jak pomarszczona i zmęczona wydaje się twarz Charleya! – myślał Dieter. A przecież ma dopiero trzydzieści pięć lat.

– Pytasz mnie o naszą wycinkę drzew w Nowej Zelandii? Tam, gdzie niegdyś rosły szlachetne araukarie, zobaczyłem zrujnowaną ziemię, całe jej akry. Wyrębiska różnią się od kopalni bursztynu – skamieniałej żywicy araukarii – tylko świeżymi pieńkami.

Dieter zadrżał. Kopalnie bursztynu, które widzieli z Lavinią były żywym obrazem spustoszenia, przerzucanego błota, na

którym nic nie rosło, wielkich dziur drążonych w mokrej ziemi, bagna bez roślinności, w którym harowały jakieś istoty, zabijające się dla kropli skamieniałej żywicy, którą dodaje się do farby.

Gdy Charley przerwał, Dieter zapytał syna:

– A co z Nową Anglią, którą przemierzał dla Jamesa Duke'a mój kuzyn Armenius? Nie byłem tam od czasu odwiedzin u pana Marsha rok czy dwa po twoim przyjściu na świat.

– No cóż, Nowa Anglia to świat ogołoconych z drzew gór poprzecinanych bliznami kolei żelaznych i erodujących. Wióry, spalone kłody, miliony pieńków i ciągnące się w nieskończoność wypłukane drogi. Nie mam pojęcia, jakim cudem w tamtejszych rzekach żyją jeszcze ryby, chyba że potrafią oddychać szlamem. Każdego lata wybuchają wielkie pożary, a rzekami wciąż spływają kłody – żałośnie małe patyki dla tartaków i producentów płyt pilśniowych.

– Czy widziałeś tylko zniszczenia? – zapytał cicho Dieter. – Czy nie spotkałeś podczas tych podróży niczego dobrego i dającego nadzieję?

– Owszem, spotkałem. W Brazylii rośnie najbardziej biologicznie zdywersyfikowany las na świecie! – Po raz pierwszy od czasu powrotu Charleya do domu w jego głosie słychać było entuzjazm. – Uderzającą cechą jest mieszanina gatunków, w dżungli brazylijskiej nie ma zbiorowisk roślin z dominującym gatunkiem drzewa. Obcokrajowcy nie mogą się temu nadziwić.

Gdy wracają do siebie, widzą, jak puste i mizerne są ich ojczyste lasy.

– Zawsze opowiadałem się za różnorodnością roślin.

– Ona występuje w tropikach, nie tylko w Brazylii, ale i w Kolumbii, Kostaryce, Wenezueli, Indiach i Malezji. W tamtejszych lasach rosną drzewa mango, gujawy, marakui, karamboli, palmy kokosowe i bananowce. Lasy tropikalne to najwspanialsze lasy, jakie widziałem. Zupełnie wyjątkowe, ale obecnie pojawiają się tam już ludzie z ołówkami i łatami, ludzie szukający owoców na eksport. A także hodowcy bydła, którzy karczują i palą dżunglę, żeby wypasać stada. Są tam obszary, na których gospodarkę napędza opresyjny system zbierania kauczuku *aviamento*. Pocieszam się myślą, że nic nie jest w stanie zaszkodzić temu potężnemu sercu świata. Lasy deszczowe są tak wielkie i bogate, że pokonają każdego, kto podniesie na nie rękę.

Dieter poczuł bliskość wobec syna.

– Bardzo chciałbym zobaczyć te lasy. Ale pozwól, że ci przypomnę, że podobne zachwyty wzbudzały lasy Maine i New Hampshire, sosnowe bory Michigan: wszyscy uważali, że są tak ogromne, iż nie stanie im się żadna nieodwracalna krzywda. A padły za mojego życia. Nie ma takiego lasu, którego nie dałoby się ściąć. Wszystkie padają jeden po drugim wraz z pojawieniem się człowieka.

– Mam nadzieję, drogi ojcze, że się mylisz. Oraz że rozumiesz, iż muszę wrócić do Brazylii. To, czego dowiedziałem się o

kwitnieniu i owocowaniu tamtejszych drzew, wprawiło mnie w zdumienie. Niektóre drzewa i inne rośliny kwitną tam zgodnie z niewidzialnymi porami roku, inne natomiast mają kwiaty od wzejścia do obumarcia. Chcę się dowiedzieć, dlaczego tak się dzieje i po co. – Spojrzał na Dietera i dodał: – Gleba w lasach tropikalnych jest dosyć uboga, a całe ich bogactwo pochodzi z żywych drzew. Czy nie wydaje ci się to interesujące?

Dieter pokręcił głową i odrzekł:

– Czy to w ogóle możliwe?

– Ależ tak! Na najniższym piętrze lasu, nad ziemią, rosną krzewy i paprocie, młode pędy drzew, a wszystkie one zależą od docierających do nich z góry snopów światła. Wszystkie te rośliny nie żyją same przez się i dla siebie, lecz są niewolnikami wielkich drzew. Jeszcze dziwniejsze są epifity, cały świat pasożytniczych roślin porastających drzewa. Ten las mnie przyzywa.

Skonsternowany Dieter słuchał syna. Zamiłowanie Charleya do dzikich puszcz budziło jego niepokój. Świadczyło o tym, że najstarszy syn chce na własną prośbę utonąć, zostać z własnej woli przegranym. Jak go z tego wyzwolić? Jak włączyć go w działalność firmy?

– Zrobię co tylko w mojej mocy, żeby ci pomóc – odrzekł Dieter. – Ale skazujesz się na życie obserwatora, może autora książek… Trudno mi wyobrazić sobie, że zajmiesz się zwykłą pracą, znajdziesz posadę czy odniesiesz sukces w interesach.

– Nie ma posady tak zaszczytnej i interesującej, jak obserwowanie życia drzew i opisywanie ich osobliwości.

– Mimo to ludzie muszą pracować, nawet ty… – zabrzmiało to tak żałośnie, że obaj się roześmiali.

– Jeśli mam się czymś zająć, ojcze, potrzebuję prawdziwej sprawy. Nie jestem biznesmenem. Może istotnie napiszę książkę. Choć wciąż wiem żałośnie mało, a jedno życie nie wystarczy, żeby przestudiować choćby jedno tropikalne drzewo. Chcę… jak by ci to powiedzieć… odkryć dynamo… siłę sprawczą napędzającą dziewiczy las… wszystkie moje badania sprowadzają się do poszukiwań tej żywotnej siły.

Dieter uznał, że „dynamo" i „siła" brzmią w tym kontekście zupełnie jak romantyczne poszukiwania „sensu życia". Przyszła mu do głowy pewna bolesna myśl… Czy nie poczuł przypadkiem gorzkiego odoru szaleństwa emanującego z syna?

– Przemyśl to sobie, proszę, spokojnie przez zimę. Zostań tutaj, odzyskaj równowagę, czytaj, spotykaj się z innymi, którzy studiują drzewa. Porozmawiamy raz jeszcze za kilka miesięcy. I oczywiście chcielibyśmy, żebyś spędził z nami święta.

Postanowił pojąć syna i pomóc pierworodnemu, choć zadanie to wydawało się prawie niewykonalne. Dieter był już na to za stary, gubił się w lesie własnych doświadczeń.

Charley został więc przez zimę i wiosnę, żeby bawić się w uwodzenie żony Jamesa Bardawulfa, Caroline, która była wobec niego zarówno przyjazna, jak i odpychająca. Był zdeterminowany,

żeby ją zdobyć – wbrew przyrodniemu bratu, którego faworyzował ojciec.

Nadal starał się o jej względy w sierpniu 1910 roku, gdy przez dwa dni wielkie pożary w Montanie, Idaho i wschodniej części stanu Waszyngton spustoszyły ponad trzy miliony akrów dziewiczych lasów i ludzkich osad. Rozwiewana wiatrem korona ognia sunęła od drzewa do drzewa przez setki mil, pokonując wszelkie przeszkody – takiego pożaru nie widział dotąd żaden człowiek. Cały kraj był wstrząśnięty gazetowymi nagłówkami, mówiącymi o zniszczeniu w ciągu dwóch dób odległego serca Ameryki, gdyż ludzie nadal wierzyli w dzikiego ducha kraju, zamkniętego gdzieś w wielkich lasach na zachodzie. Teraz lasy spłonęły.

Dieter zabiegał u bezmózgich polityków i ledwo potrafiących pisać i czytać kongresmenów o więcej pieniędzy i większą władzę dla Służby Leśnej. Piętnował gubernatora, który twierdził, że pożary lasów są dobre, gdyż otwierają kraj dla osadnictwa, i sklął kongresmena ze strawionego pożarami stanu, człowieka, który ryczał: „Ani centa na krajobraz!”. Rozpoczął pisanie listów, wysyłanie telegramów i wydzwanianie do kogo się dało. Zaproponował, że założy nowe szkółki sosen i świerków, żeby zalesić ohydnie poczerniałe górskie stoki i zapobiec osuwaniu się spalonej ziemi. Próbował zainteresować tym starszego syna.

– Charley, oto sprawa dla ciebie: pomóż odnowić i odbudować spaloną ziemię. Spotykam się wieczorem w domu z Jamesem Bardawulfem i Andrew, żeby omówić sposoby na ocalenie choćby części spalonego drewna. Mam nadzieję, że przyjdziesz. – Nie wyobrażał sobie, że Charley odmówi walki o uleczenie zrujnowanego lasu.

– To nie ma sensu, ojcze, to będzie się powtarzać – odrzekł lekceważąco Charley. – Dopóki prostacy nie spalą całego kraju. Apelujesz do ludzi, których to nic nie obchodzi. A pozyskiwanie spalonego drewna… przypomina mi przetrząsanie kieszeni trupa. – Wyszedł, nie zamykając drzwi.

Charley miał już dosyć beznadziejnych leśnych projektów Dietera i prawie dosyć wymykającej mu się Caroline. Lubiła go drażnić, a to – tłumaczył sobie – jest klucz do jej zdobycia. Spróbuje raz jeszcze, a potem wyjedzie. Zadzwonił do niej.

– Jutro wyjeżdżam – powiedział.

– Och, Charley, dokąd się wybierasz? Gasić lasy Idaho i Montany?

– Nie. Pożary już dobiegły końca. Ciągnie mnie w tropiki. Pozwól mi ujrzeć cię po raz ostatni. Czy wybierzesz się ze mną na półgodzinny spacer w ogrodzie tego wieczoru?

– Być może, jeśli będziesz grzeczny. Jeśli obiecasz, że będziesz się zachowywał. – Roześmiała się tym dobrze wyćwiczonym śmiechem, który zdaniem któregoś z jej wcześniejszych adoratorów przypominał szemranie górskiego potoku.

– Jesteś tak piękna, że niczego ci nie mogę obiecać. Robisz na mnie piorunujące wrażenie. Wyświadcz mi, błagam, przysługę i załóż tę piękną zieloną suknię.

– Och, mój Poirecie![49]

– Moja najpiękniejsza… – mruknął szarmancko. Doskonale wiedział, że zielona suknia została specjalnie zaprojektowana po to, aby nosić ją bez gorsetu.

Celowo nieco się spóźnił do pogrążonego w ciemności ogrodu, pojawił się w nim, gdy wschodził księżyc, i dostrzegł ją pod judaszowcem – na wyblakłe liście w kształcie serca i na jasnozieloną suknię padała księżycowa poświata. Przypominała poczwarkę ćmy księżycówki. Ich ciała zastygały w rozwodnionej łunie, ich cienie nabierały gęstości kamieni.

– A więc jesteś – oznajmiła i roześmiała się perliście. Natychmiast wziął ją w ramiona i ugryzł w szyję.

– Och, nie! Będzie widać!

Ugryzł ją raz jeszcze, mocniej.

– Przestań, Charley. Co cię napadło?

Chciała go odepchnąć, ale nie pozwolił na to – tego wieczoru jej gra w flirt dobiegła końca. Pociągnął ją na ogrodową ławkę. Wystarczyło tylko kilka słodkich pochlebstw, by usadowić ją w odpowiedniej pozycji i zadrzeć wysoko jej zieloną sukienkę. Nie zrobił tego gwałtownie, a podstępnie, po czym wszedł w jej rozognione, otwierające się przed nim ciało, lecz w chwili wyzwolenia usłyszał głos Jamesa Bardawulfa:

– No cóż, Charley, jak to miło, że wpadłeś.

Rozległ się potworny trzask, który jego wstrząśnięty mózg zinterpretował jako uderzenie pioruna z księżyca, choć w rzeczywistości rozbito mu czaszkę zuluską pałką *knobkeme*.

Wrzask Caroline sprowadził z domu służbę, która wyrwała pałkę z rąk Jamesa Bardawulfa, na co ów wyrwał z ziemi krzak róży i zaczął nim okładać nieprzytomnego. Młody Raphael pobiegł w piżamie po Dietera, który zjawił się na miejscu, ściskając w dłoni jakieś notatki z posiedzenia.

– James Bardawulf! – krzyknął. – *Anhalten, anhalten sofort*! Przestań! *Halt*! To obłęd! *Was ist los? Anhalten!* Zabijesz go!

– Chcę go zabić! Puść mnie!

Służący zanieśli Charleya do jego pokoju, a przed upływem godziny przy jego łóżku stanęło dwóch doktorów. Doktor Plate zbadał nieprzytomnego i stwierdził, że odniósł poważne rany. Pozostanie nieprzytomny przez dłuższy czas, być może na zawsze. Może umrzeć, nie odzyskawszy przytomności. Oczyścił ranę, zabandażował głowę i zostawił przy rannym pierwszą z trzech pielęgniarek, które miały go doglądać. Doktor Scotbull zbadał łkającą Caroline, która została wykorzystana przemocą, zgwałcona, lecz której nic poza tym się nie stało. Księżycowo-zielona suknia była podarta i zabrudzona.

– Kilka dni w łóżku przyniesie spokój. Musi pani zapomnieć o tym doświadczeniu i odwrócić od niego uwagę za pomocą książek i

robótek – poradził lekarz, rzucając wymowne spojrzenie w stronę Jamesa Bardawulfa, którego zaczerwienione oczy płonęły. Doktor zaprowadził go na dół i nalał mu szklaneczkę whiskey, przypilnował, żeby ją wypił jednym długim haustem. Po upływie pół godziny James Bardawulf wrócił na górę do Caroline i zasyczał jej do ucha, że jeśli tak bardzo lubi być gwałcona, to zgwałcona zostanie, po czym wymierzył jej policzek i dosiadł jej.

Następnego dnia schwytano go na schodach w domu Dietera z zuluską pałką w ręku. Znów rozbroiła go służba. Dieter nakazał zawieźć Charleya do szpitala i postawił u drzwi jego sali strażnika. Jeden z jego synów chce zabić drugiego i stało się jasne, że nie spocznie, póki tego nie dokona. James Bardawulf – rozbudzony teraz seksualnie – nie wypuszczał Caroline z łóżka przez tydzień.

Dieter poszedł do młodszego syna.

– Wiem, Jamesie Bardawulfie, że skrzywdził twoją żonę, splamił twój honor. Jeśli odzyska zdrowie, opuści rodzinę i będzie żył za granicą. Ale błagam cię, żebyś opanował wściekłość. Jesteś jeszcze młody, a gniew i pragnienie zabicia brata zatrują cię na resztę twych dni. Straciłem już jednego syna, nie chcę stracić i ciebie. Bardzo mi na tobie zależy, Jamesie Bardawulfie. I nie wiń za to, co zaszło, Caroline. Musisz wybaczyć. – Uściskał zesztywniałego syna, a jego łzy skropiły barki Jamesa. Ale ten

wyrwał się ojcu, chciał wrócić do Caroline, chciał dostać się tam, gdzie leży jego przyrodni brat.

Powoli wracała mu pamięć, ulotne, zniekształcone obrazy upadku, zapach ziemi. Światło księżyca. I nadszedł dzień, gdy Charley podniósł się z łóżka i podszedł do okna. Zapadał zmrok, wyjrzał na dwór. Wkrótce… pomyślał …raczej prędzej niż później. Noce były chłodne, bezlistne drzewa ukazywały swoje kościste kształty. Gdy zdjęto mu bandaże, przejrzał się w dwóch lustrach: dojrzał gęste zjeżone włoski porastające z każdej strony wściekłą ciemną bliznę.

– Ojcze – zapytał Dietera, którego zaczął rozpoznawać. – Co mi się stało?

– Coś ciężkiego spadło ci na głowę w ogrodzie Jamesa Bardawulfa.

Na nocnym stoliczku stała szklanka z osadem proszku nasennego.

– W ogrodzie Jamesa Bardawulfa? Dlaczego? – Obrócił szklankę w palcach.

– Nie ma sensu ukrywać przed tobą prawdy. Zrobiłeś coś… *schlecht*. Usiłowałeś… Zgwałciłeś Caroline w ogrodzie, a James Bardawulf przyłapał was na gorącym uczynku. Z żoną brata! Uderzył cię.

– To bardzo bolesne, co mówisz. Nie pamiętam tego. Musisz się mylić.

Dieter spojrzał na syna. Czy celowo kłamie, czy rzeczywiście nic nie pamięta? Kłamie. Co gorsza, Dieter uznał, że Charleyowi pomieszało się w głowie. Musi wyjechać.

Dieter zorganizował przez pośredników zakup małego domu dla Charleya w Lugar de Barra do Rio Negro, czyli Manáos, mieście w dżungli, gdzie będą na niego czekać tropikalne drzewa. Dom i skromne miesięczne uposażenie były wszystkim, co miał do zaoferowania temu dziecku, któremu dawno temu przepowiedział pod srebrzystym klonem w parku Lavinii, że zostanie człowiekiem drzew.

Charley odkrył w Amazonii, że jest niczym. To, co robił, było niczym. Widział bujny przyrost lian, kiełków, pędów, nasion – wszystko było mokre i ociekało wodą, puchło i pękało życiem. Doskonale i bez żalu pamiętał gwałt na Caroline. Dżungla rozbrzmiewała ciągłym stukotem i dudnieniem, gdy liście, gałązki, płatki i owoce, konary i słabe stare drzewa ulegały grawitacji. Gdy nadchodziła wichura nazywana *friagem*, wzniecana przez chłodne powietrze znad Antarktyki, hałas się nasilał, a bombardowanie ziemi kawałkami drzew i owocami mieszało się z sykiem wiatru w koronach drzew.

Rozkład wydawał się równie gwałtowny – rozpad struktury liści, pękających komórek, przechodzenie w stan ciekły litego drewna poprzez próchnicę rojącą się od żywych bakterii i żyjątek, przekształcających wszystko w energię. Owszem, przez owady i

ich larwy, robaki i gryzonie oraz rojące się wszędzie słynne mrówki, które panują w tropikach. Niemal pojmował, jak za sprawą niepojętego bogactwa Amazonii ludzie jak Menady rozszarpują się na strzępy w gorączce zniszczenia. Taki las jest afrontem dla człowieka, rośnie i śmieje się z niego wyniośle, nie dając się podporządkować jedynemu celowi, jakim jest poprawianie ludzkiego życia.

Charley bardzo powoli uczył się portugalskiego. Pierwszym zdaniem, które poznał, było: *Você fala inglês?* – „Czy mówisz po angielsku?". Najczęściej słyszał odpowiedź „Nie rozumiem" – *Não compreendo*. Więc starał się opanować pożyteczne słowa. Podczas pierwszego tygodnia w Manáos spacerował po mieście i odkrył portugalski sklep papierniczy, *livraria*, w którym sprzedawano importowane notesy z dobrego francuskiego papieru. Kupił kilka.

Jak zacząć? Może powinien sporządzić katalog gatunków drzew? Po dwóch tygodniach zdał sobie sprawę, że to praca ponad jego siły. Z tej prostej przyczyny, że w dżungli rosło zbyt wiele gatunków drzew. Nie znał ich, mógł tylko obserwować ich nawyki. Podążał ścieżkami zbieraczy kauczuku, biedaków odrabiających trwającą całe życie pańszczyznę, niewiele lepszych od niewolników. Żałował ich, ale dopiero gdy idąc za odorem rozkładu i spalenizny, dotarł na małą polanę i odkrył spalone zwłoki, uwierzył w upiorne plotki o karach, które spotykają tych, którzy chcą się uwolnić od znoju. Gdy ich schwytano, owijano ich sznurami z łatwopalnego naturalnego lateksu i podpalano. Od

tamtego dnia uznał, że dżungla jest lasem śmierci, który zachęca do okrucieństwa i podporządkowania.

Robiący meble stolarz *senhor* Davi Fagundes był jedyną osobą, która potrafiła zidentyfikować zbierane przez Charleya korę, kwiaty i gałęzie drzew. Ten mężczyzna o pustych oczach okazał się także jedyną osobą mówiącą trochę po angielsku.

Charley zapisywał wszystko w notesie. W dżungli rosło wiele gatunków mahoniowców, brazylijski palisander, teczyna, modrzejec, egzotyczny zebrowiec, ipe i cambara, anigre i bubinga, cumaru i jatoba, sykomory i makore. I setki innych drzew bez nazwy. Uważał, że ma szczęście, jeśli raz w tygodniu zdołał powiązać nazwę z jakimś drzewem, narysować jego przybliżony kształt, wymienić jego epifity i duszące je liany.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć? – pytał Fagundes.

– Żeby poznać, jakie drzewa rosną w tym lesie. Tam, skąd pochodzę, nie ma takich lasów.

Ale stolarz coraz częściej wyrzucał do góry ręce i mówił:

– *Eu não sei*!

Nie wiem.

Pod koniec pierwszego roku Charley wysłał notes Dieterowi. Robił tak co roku, aż usłyszał o Conradzie. Dieter mu nie odpowiedział, więc uznał, że wyrzekł się go ostatecznie. W istocie Dieter wyrzekł się wszystkiego i wszystkich.

[42] 18 kwietnia 1906 roku [przyp. tłum.].

[43] Émile Coué – XX-wieczny francuski farmaceuta i psycholog, twórca metody samodoskonalenia polegającej na autosugestii obejmującej m.in. powtarzanie odpowiednich mantr, z których jedna brzmiała: *Tous les jours, à tous points de vue, je vais de mieux en mieux* („Z każdym dniem, pod każdym względem, czuję się coraz lepiej i lepiej") [przyp. tłum.].

[44] Robert Edwin Peary dotarł na biegun północny 7 kwietnia 1909 roku [przyp. tłum.].

[45] Zwycięska dla Zulusów bitwa z Anglikami 22 stycznia 1879 roku [przyp. tłum.].

[46] Mowa o Charlesie T. Barneyu, prezesie banku Knickerbocker Trust Company. Barney popełnił samobójstwo po nietrafionych inwestycjach podczas paniki bankowej z roku 1907 [przyp. tłum.].

[47] John Pierpont Morgan – amerykański finansista i bankier z przełomu XIX i XX w. Podczas paniki bankowej w roku 1907 wykupił wraz z innymi inwestorami amerykańskie obligacje skarbowe, ratując tym samym kraj przed bankructwem [przyp. tłum.].

[48] Friedrich (Frederick) Weyerhäuser – pochodzący z Niemiec amerykański magnat przemysłu drzewnego z przełomu XIX i XX w. Założyciel istniejącej do dziś Weyerhaeuser Company. Ósmy najbogatszy Amerykanin wszech czasów [przyp. tłum.].

[49] Paul Poiret – francuski projektant mody z początków XX w. [przyp. tłum.].

65

DZIEDZICTWO

Niedługo po wyjeździe Charleya z Chicago Dieter, stary dąb, padł.

– Pani Garfield – powiedział w poniedziałkowe południe słabym głosem. – Pójdę wcześniej do domu. Boli mnie głowa i muszę się przespać.

Pani Garfield, która zastąpiła pannę Heinrich po jej przejściu na emeryturę, cmoknęła i powiedziała:

– Mam nadzieję, że jutro poczuje się pan lepiej.

Ale następnego ranka ból głowy nasilił się i Dieterowi zesztywniała szyja. Pod koniec tygodnia był już w połowie sparaliżowany, a doktor zdiagnozował polio.

– Myślałam, że tylko dzieci chorują na polio – powiedziała Sophia.

– Nie, nie, ta choroba może zaatakować każdego w dowolnym wieku. Ale proszę trzymać dzieci z daleka od niego. Ta choroba jest zaraźliwa.

– Nie mogę oddychać – szeptał Dieter. Pogarszało mu się. W sobotę umarł na zapalenie płuc.

– Nie obchodzi mnie to, co trzeba będzie zrobić. Musimy go znaleźć – powiedział James Bardawulf, chodząc w tę i z powrotem do brudnego okna. – Jest głównym spadkobiercą. Sytuacja jest wystarczająco nienormalna. To, że nie wiemy, gdzie przebywa, tylko ją pogarsza. Zatrudnię prywatnego detektywa.

Andrew Harkiss niemal parsknął śmiechem.

– Czytujesz za dużo książek, Jamesie Bardawulfie. Jestem pewny, że Dieter znał jego adres. Pytałeś panią Garfield? A czy nie podał przypadkiem jego adresu panu Greyowi, gdy sporządzał testament? – Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer. – Pani Garfield, czy znamy adres pana Charleya Breitsprechera?

– Tak, proszę pana. Jest w książce adresowej. Zaraz przyniosę.

– Doskonale – skomentował to James Bardawulf. – Poprosimy pana Greya, żeby tam kogoś posłał z niezbędnymi dokumentami. A ja dołączę swój prywatny list.

Układał ten list w głowie od kilku lat, a teraz miał zamiar go napisać.

Młody prawnik, podekscytowany wyprawą w tropiki (choć gdy zobaczył na rynku zdechłe małpy, chciał jak najszybciej wrócić do Chicago), nie miał żadnych problemów ze znalezieniem w błotnistym mieście nad rzeką rozchełstanego i jakby zżółkłego Charleya Breitsprechera. Powiedział mu, że Dieter „odszedł”, i oddał mu kopertę z dokumentami. Charley odesłał młodzieńca do hotelu i umówił się z nim na obiad. Gdy został sam, przeczytał list

prawnika, przeczytał odręcznie napisaną kartkę od Jamesa Bardawulfa, pokręcił głową, zapłakał i znów wszystko przeczytał.

James Bardawulf napisał:

Drogi Charleyu,

Obaj mamy czego żałować, obaj mamy co uzgadniać. Jest mi bardzo, bardzo przykro, że dopuściłem się napaści na ciebie. Od tamtego wieczoru gryzą mnie wyrzuty sumienia. Caroline obwinia siebie o wszystko. Ale jak powiadają, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dobrem jest nasz syn, Conrad. Kochamy go. Nasz ojciec, Dieter, nauczył mnie, że pielęgnowanie złości jest wielkim grzechem. Jeśli zdecydujesz się wrócić kiedyś do rodziny w Chicago, zostaniesz przyjęty z radością.

Twój brat

James Bardawulf Breitsprecher

– Nikomu nie jest bardziej przykro ode mnie, Jamesie Bardawulfie – powiedział Charley do listu.

Po kilku godzinach przeczytał dokładnie testament, wypił ćwiartkę brandy i wydarłszy kartkę z notesu, ujął pióro.

„Drogi Panie", pisał do pana Greya. Zrzekł się większej części spadku po Dieterze, tłumacząc to tak: „Chciałbym, aby dziedzictwo to przeszło w ręce mojego brata Jamesa Bardawulfa

Breitsprechera oraz jego żony Caroline Breitsprecher ze znanych nam trojgu przyczyn".

Po upływie miesiąca, gdy przeczytano testament Dietera i list Charleya, James Bardawulf wstrzymał oddech. Jakże zmienił się Charley w tej dżungli! Choć z drugiej strony, on sam też się zmienił.

Przez następne siedem czy osiem lat Charley wysyłał notesy już nie do Dietera, ale do chłopca, Conrada Breitsprechera. Często pisał do niego list i szkicował w nim co bardziej komiczne tropikalne owady. Nasiliły się ataki malarii, na którą cierpiał. Na czterdzieste urodziny otrzymał spadek po matce, ale postanowił zostać w swoim domku. Praca, której poświęcał każdą godzinę, była dlań wszystkim. Nieustępliwość miał we krwi. Ale nie zapuszczał się głęboko w dżunglę, bo gdyby malaria złożyła go podczas wyprawy, mógłby już nie wrócić do domu. Dwa razy przydarzyły mu się ataki choroby, po których leżał na poły nieżywy na podłodze.

Wszedł raz do warsztatu *senhora* Fagundesa, ściskając czarną gałązkę z siedmioma liśćmi. Trząsł się cały i był zbyt chory, aby cokolwiek powiedzieć. Podał gałązkę stolarzowi, który stał się kimś w rodzaju jego przyjaciela. Fagundes odebrał drżącą gałązkę, obejrzał listek i zajrzał do słownika.

– *Flindersia maculosa*. Nie to samo, co sykomora, ale podobna. Odrobinę.

Charley zachwiał się, wyciągnął rękę, żeby odebrać gałązkę i runął w konwulsjach na podłogę. Wstrząśnięty i przerażony *senhor* Fagundes zadzwonił do szpitala po karetkę, modląc się, żeby się nie zarazić jakąś chorobą. Charley Duke Breitsprecher, człowiek wielu przeciwności, zmarł po tygodniu w Manáos za sprawą zarodźca sierpowego, zdążywszy zapisać w notesie:

> *Nic w świecie przyrody – żaden las ani rzeka, żaden owad ani listek – nie przedstawia rzeczywistej wartości dla człowieka. Wszystko jest bezwartościowe, dosłownie zbyteczne, dopóki nie odkryjemy w tym czymś jakiejś korzyści – tak myślą nawet najzagorzalsi miłośnicy lasów. Ludzie zachowują się jak bogowie. Decydują o tym, co rozkwitnie, a co umrze. Obawiam się, że ludzkość ewoluuje w jakiś straszliwy nowy gatunek i jest mi przykro, że byłem jej częścią.*

Poniżej znalazło się jeszcze jedno zdanie, będące jego ostatnią, zapisaną drżącą ręką wolą. Życzył sobie, aby ostatni notes przesłano Conradowi, a wszystko, co posiadał, całą fortunę odziedziczoną po Lavinii i szkółki leśne Dietera zatrzymano w zarządzie powierniczym dla chłopca, aż ukończy dwudziesty pierwszy rok życia.

Pierwsze miesiące wojny w Europie nie wpłynęły za bardzo na odległe Chicago. Gdy konflikt obejmował kraj za krajem, Amerykanie zajmowali się własnym życiem i zagłosowali, aby państwo zachowało neutralność. James Bardawulf i Caroline nie myśleli o wojnie, ale o przyszłości i zastanawiali się nad wyborem szkół dla Raphaela, Laude'a i Conrada, wspaniałych chłopców, urodzonych po to, by odnieść życiowy sukces.

– Ta akademia wojskowa w Indianie – oznajmił James Bardawulf, trzymając wysoko gazetę – cieszy się dobrą sławą, jeśli chodzi o kształcenie młodych mężczyzn z charakterem. Jest bliżej niż szkoły na wschodzie. Przejedźmy się, powiadam, do Indiany, żeby się jej przyjrzeć.

James zapisał Raphaela i Claude'a do akademii i umieścił na liście przyjęć imię małego Conrada – zaledwie dziewięcioletniego. Gdy nad Ypres snuły się żółte mgły gazowego chloru, James Bardawulf i Caroline wrócili do Chicago z broszurami w ręku i wieloma wrażeniami.

– Są tam, gdzie chcieliśmy, żeby się znaleźli – powiedział Andrew Harkiss, który dochodził do siebie po hiszpance, zabijającej mieszkańców Chicago jak muchy. Wielkie fale przemian dobijały do amerykańskich brzegów: od niedawna niezależne, acz ubogie kraje, będące niegdyś posiadłościami kolonialnymi wielkich europejskich mocarstw, włączały się do globalnych potyczek.

– Te kraje mają surowce: lasy, minerały i ropę. Bylibyśmy durniami, gdybyśmy nie położyli na tym rąk… Południowa Ameryka, Azja… pełno lasów! To nasza szansa.

James Bardawulf był ciekawy, co zawierają notesy przesyłane przez Charleya do Conrada i kiedyś do nich zajrzał. Znalazł w nich mnóstwo przydatnych informacji na temat właściwości drzew tropikalnych. Pokazał je Andrew.

– Tato, oddaj mi te notesy – zawołał mały Conrad, który zamiast czytać opowieści Toma Swifta, nie mógł oderwać się od zabrudzonych kartek z plamami po rozgniecionych komarach. Kartki te ciekawiły go ze względu na swoją mętną oryginalność oraz ze względu na stryja, którego nigdy nie widział, a który podarował mu notesy oraz leśne szkółki. Nie mówiąc już o reszcie fortuny Lavinii Duke. Ale to się nie liczyło, dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat.

Rodzinne przedsiębiorstwo, noszące obecnie nazwę Breitsprecher-Duke, wraz z bankami, innymi firmami z branży drzewnej, firmami wydobywczymi oraz importerami kawy, kakao, bananów i mango, stało się elementem nowego kolonializmu. Gdy rozpoczął się atak na lasy tropikalne, byli na miejscu, biorąc wszystko, co wpadło im w ręce. Charley Breitsprecher zapewne spaliłby swoje notesy, gdyby przewidział, że posłużą do plądrowania lasów.

Mając szesnaście lat, Conrad rozchorował się po lecie spędzonym na ranczu, gdzie hodowano bydło. Praca na takim ranczu była uznawana za zdrową i budującą siłę charakteru, lecz Conrad cierpiał na bóle głowy, dreszcze, bolesność stawów i ciągłe zmęczenie. Zdiagnozowano gorączkę maltańską i spędził w łóżku całą jesień i zimę. Powoli dochodził do siebie i wiosną lekarze zalecili mu trzymiesięczny odpoczynek w sanatorium w górach New Hampshire. Tam przydarzył mu się niezapomniany dzień, który na zawsze związał go z lasami.

Zakochał się w miejscowej dziewczynie, Sally Shaw, kelnerce z jadalni. Większość rekonwalescentów jadała śniadania w pokojach, natomiast Conrad zajmował miejsce przy ulubionym, wychodzącym na wschód oknie, a Sally przynosiła mu herbatę i słynne sanatoryjne ciasto drożdżowe. Zwracała się do niego kokieteryjnie, pytając go o pogodę czy śniadaniowe przysmaki, a Conrad czuł się przedziwnie szczęśliwy, gdy podchodziła do stołu z imbrykiem. Miała drobne zwinne dłonie, polakierowane paznokcie i czarne proste włosy krótko i modnie przycięte. Karminowa szminka podkreślała różany kształt warg. Flirtowała z nim. W jadalni było cicho, jeśli nie liczyć piszczących drzwi do kuchni i delikatnego postukiwania sztućców. Szare stoki góry ukazywały jasnozieloną polewę, pąki pierwszych liści. Gdy padało na nie słońce, pąki lśniły jasnozielono. Któregoś dnia Conrad wymamrotał nieśmiało pytanie, czy nie wybrałaby się z nim na spacer w góry.

– Wydaje mi się, że znasz tu najlepsze miejsca do spacerowania – powiedział.

– Chcesz się założyć? Jutro? Mam wolne popołudnie.

Słyszała, że jest synem bogacza.

Dzień nie był ładny. Nad górami wisiała ciężka mgła. Ale popołudnie potoczyło się w taki sposób, o jakim nie śmiałby nawet marzyć. Wspinali się stromą ścieżką, a gdy skręcili w pachnące słodko paprocie, cmoknęli się niezdarnie, Sally roześmiała się głośno, chwyciła go w pasie i potoczyli się razem po ziemi, a nad wszystkim unosił się słodki zapach gniecionych przez ich ciała paproci. Zaczęło siąpić. Później, gdy spojrzał ponad jej ramieniem, zobaczył równy szereg młodych, lśniących od mżawki wejmutek, które aż się paliły, żeby dorosnąć. Zacinająca srebrzysta mżawka wzmagała zapach żywicy. Padało, dziewczyna, której mokre włosy splątały się w mysie ogonki, ciągnęła go z powrotem do hotelu, ale był szczęśliwy. I jakimś cudem zakochał się, choć nie w Sally, ale w sosenkach.

Po czarnym czwartku na nowojorskiej giełdzie w roku 1929 kraj pogrążał się w kryzysie gospodarczym i strajkach wściekłych robotników. Firma Breitsprecher-Duke zaczęła tracić grunt pod nogami. James Bardawulf poinformował Conrada, który skończył już naukę i miał naukowy stopień nienadający się do niczego, że rodzinne przedsiębiorstwo zatrudni go, jeśli chce, ale nie będzie

wypłacać mu wynagrodzenia. Odziedziczył majątek, z którego może żyć, a Breitsprecher-Duke przechodzą ciężkie czasy. Raphael liczył, że zabójczo przystojny wygląd zapewni mu miejsce w filmach, a Claude pracował dla agencji nieruchomości obracającej ranczami na zachodzie, bo od czasów Theodore'a Roosevelta hodowla bydła stała się popularna wśród tych, którzy wciąż mieli pieniądze.

– Pozwól, że się nad tym zastanowię, ojcze – odpowiedział Conrad. Lecz zastanawiał się nad starą szkółką leśną odziedziczoną w spadku po Dieterze. Czy da się coś z nią zrobić? Szkółka była rozrywką i hobby Dietera, miała niewielu klientów, ale przez lata pracował w niej jeden człowiek, Alfred McErlane, zajmujący się od wieków szklarniami. Może nadeszła pora, żeby ocenić szkółkę i porozmawiać z panem McErlanem.

Conrad po raz pierwszy odwiedził szklarnie, gdy był jeszcze dzieckiem, przyjechał do szkółki wraz z rodzicami i braćmi. Zapamiętał bardzo długą betonową posadzkę z wijącymi się w przejściu wężami i konewkami do podlewania. Zapamiętał mężczyznę w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym. Raphael i Claude pobiegli dalej przejściem i zaglądali do zbiornika na końcu. Conrad poszedł za nimi. Gdy zajrzał do ciemnej wody w zbiorniku, zobaczył wielkie, wolno poruszające się stworzenia koloru pomarańczowego, z czarnymi i białymi łatami jak krowy. James Bardawulf powiedział, że to koi, takie ryby.

– Dlaczego tak wolno pływają? – zapytał Raphael.

– Bo znają ten zbiornik na wylot i nic nowego im się nie przydarza – odpowiedział ze śmiechem James Bardawulf. Zaniepokoiło to Caroline, która zażądała, żeby złapano ryby i przeniesiono je do stawu w ogrodzie.

– Będzie im tam lepiej – uznała. Ale po dwóch dniach Conrad ujrzał dwie siwe czaple nad stawem, a kiedy podszedł bliżej, żeby sprawdzić, czy rybom podoba się nowo odzyskana wolność, ptaki odleciały, zostawiając po sobie wyplute ości pomarańczowych koi.

W szklarni nic się nie zmieniło. Al McErlane nie miał co prawda na sobie żółtego płaszcza, ale węże wciąż wiły się na wilgotnej posadzce. Conrad jako mały chłopiec nie zwracał uwagi na sadzonki, ale teraz wbił w nie wzrok: w świerki i sosny.

Potem przejrzał księgi rozrachunkowe i listę klientów, bo szkółka prowadziła nieduży, ale dobrze prosperujący interes.

– Al, wygląda na to, że klientami są głównie miejscowe parki i firmy krajobrazowe. Sprzedajemy im tylko sadzonki świerków i sosny? Nie mamy żadnych klientów z branży drzewnej. Powiedz mi, jak stoi firma i jak można poprawić jej sytuację?

Al McErlane był zaskoczony zainteresowaniem Conrada. Spodziewał się, że młody właściciel oznajmi, że sprzedaje lub zamyka interes.

– No cóż, wie pan, jakoś dajemy sobie radę. Leśnicy, którzy chcą zalesić karczowiska, zostawiają parę nasiennych drzew i pozwalają im zrobić resztę. W tych czasach nikt nie ma pieniędzy,

nawet jeśli chciałby zalesiać karczowisko sadzonkami. Ale przeważnie nie chce. Choć jakiś miesiąc czy dwa temu przyjechał do mnie taki gość od Weyerhaeusera i pytał o szkółkę, skąd bierzemy nasiona i w ogóle. Myślę, że planują założyć swoją szkółkę. Mają na to pieniądze, bo tylko ścinają drzewa i zarabiają na tym.

– Tak, jak mój dziadek Dieter, który robił to przed pięćdziesięciu laty. Zastanawiam się nad przyszłością naszej szkółki.

– Podobnie jak ja – odrzekł McErlane.

Rozmawiali, chodząc po szklarniach – było ich w sumie pięć, a wszystkie stare i w kiepskim stanie. Conrad nie potrzebował zbyt wiele czasu, żeby zorientować się, że McErlane nigdy nie słyszał o nowych badaniach nad rozmnażaniem sadzonek, klonowaniem, genetyką roślin i przygotowywaniem podłoża. Sam Conrad też się na tym nie znał. Ale zabierał się za wielce skomplikowany interes, który wymagał obszernej wiedzy zarówno ze strony szkółkarza, jak i plantatora.

– Muszę się podeprzeć – powiedział do McErlane'a. – Nie wiem mnóstwa rzeczy, które powinienem wiedzieć. Muszę wrócić na studia na wydział leśny. Zachowamy szkółkę i szklarnie dla naszych starych klientów, póki się nie nauczę czegoś więcej, żeby móc nakreślić jakiś plan na przyszłość. Jedno jest pewne: sadzonki to najlepszy sposób na zachowanie żywych lasów.

Tego samego wieczoru sporządził listę najpilniejszych pytań. Jakie będą potrzeby przyszłych, kupujących sadzonki plantatorów? McErlane hodował i sprzedawał nagokorzenne sadzonki sosen i świerków, które „wszędzie wyrosną", ale, jak dowodziło doświadczenie, większość z tych sadzonek obumierała po zasadzeniu w zbitej ziemi karczowisk. Zaoranie karczowisk z pewnością by pomogło, ale jaką firmę stać w tych czasach na opłacenie robotników i sprzętu do orania lasu? Starał się jednak myśleć przyszłościowo, gdy wzrośnie zapotrzebowanie na drewno, którego zwyczajnie zacznie brakować. Jakich gatunków drzew będą domagać się leśnicy, na jakie choroby zapadają te drzewa, jakie podłoże jest najlepsze do ich sadzenia i jak należy przygotować ziemię na sadzonki? Najbardziej dramatycznym sposobem odnawiania lasu przez przyrodę są pożary. Leśnicy mogliby powtarzać ten proces, wycinając drzewa do czysta i paląc pozostałości: korę, gałęzie, wióry. Ale jakie gatunki dobrze rosną na spalonej ziemi? Które gatunki ucierpią najbardziej podczas możliwej inwazji dzikich traw i chwastów?

Rozpoczął studia na wydziale leśnym, a podczas nauki stojące przed nim problemy zaczęły się piętrzyć. Prawdziwym węzłem gordyjskim okazał się przemysł drzewny. Będzie musiał przekonać firmy drzewne i leśników, że ich przyszłość jest związana z jego przyszłością. Jeśli chcą mieć surowiec do ścinania w przyszłości, muszą sadzić drzewa na karczowiskach. Muszą nauczyć się myśleć dekadami, a nawet stuleciami. Nie mogą polegać dłużej na

kilku ocalonych nasiennych drzewach, które teoretycznie powinny zalesiać wyrębiska – doświadczenie wskazuje, że ich regeneracja przebiega bardzo źle. Raz po raz zadawał nurtujące go pytania w uniwersyteckich stacjach nasiennych, zadawał je ludziom zajmującym się zalesianiem, i napotykał na tę samą trudność: podłoże i przygotowanie ziemi. Te dwie rzeczy miały kluczowe znaczenie. Przemysł drzewny musi się przekonać, że wykonywanie prac przygotowawczych i ponoszenie kosztów będzie się opłacać. Conrad podjął decyzję. Firma Breitsprecher będzie oferować usługi w zakresie prac przygotowawczych pod sadzenie drzew.

Na studiach dowiedział się o kimś, kto produkował cylindry z papieru typu Kraft, napełniał je ziemią i umieszczał w każdym sadzonkę. Sadzonki te rosły lepiej od sadzonek nagokorzennych hodowanych w tej samej szkółce. Ale czy hodowanie sadzonek w ten sposób okaże się praktyczne? To wymagało eksperymentów. Więc w swoim planie musi uwzględnić badania. I ich koszty. Ile sadzonek można wyprodukować na stopie kwadratowej szkółki, jakiego gatunku, jakimi nakładami pracy i pielęgnacji? Czy są jakieś ograniczenia? Owszem, zawsze są, będzie musiał je odkryć. I wreszcie, czy sadzonki można sprzedawać po takiej cenie, żeby trochę zarobić, czy raczej będzie się musiał zadowolić wyjściem na czysto? Skłaniał się już ku filantropii, w której mogło mu pomóc dziedzictwo babki Lavinii.

Do roku 1939 dowiedział się wystarczająco dużo, by opracować dalekosiężny plan. Wybudował nowe szklarnie i rozpoczął eksperymenty z sadzonkami jedenastu gatunków drzew. Al McErlane był zajęty kształceniem nowych pracowników: Pedra Vaca, młodego Meksykanina, który opowiadał zmyślone, choć zabawne historie, oraz Hanka Stone'a, wnuka niemieckich imigrantów, którzy podczas Wielkiej Wojny zmienili nazwisko z Stein na Stone. W nowym budynku znajdowało się niewielkie laboratorium i biuro, choć Conrad nie znalazł jeszcze odpowiedniego badacza-ogrodnika ani hodowcy roślin. Podobała mu się praca Elsie Guderian, jednej z niewielu kobiet studiujących leśnictwo. Elsie interesowała się dziedzicznością roślin, ale miała jeszcze jeden rok do ukończenia studiów.

– Kiedy zrobię dyplom… – wzdychała, dając mu do zrozumienia, że zależy jej na tej pracy. Była przysadzista, miała rumiane policzki i grube nogi, ale widać było po niej prawdziwą pasję badawczą. A na tym mu zależało.

W czystym powietrzu i w brudnych od farby gazetach znów wisiała wojna. Dla starszych wojna ta stanowiła kontynuację tamtej, z którą wyrastali, a sytuacja do wojny dojrzała, gdy wyrosło nowe pokolenie, gotowe do składania życia w ofierze. Wyłaniał się pewien wzorzec: co mniej więcej dwadzieścia pięć lat kolejna wojna rozrusza ludzki świat w śmiertelnym cyklu hossy i bessy. Breitsprecherowie i Duke'owie przez pokolenia unikali służby w wojsku, ale Conrad dostał wezwanie. Natomiast Raphael

i Claude znali właściwych ludzi. Conrad znał tylko Ala McErlane'a i paru profesorów leśnictwa. Hodowanie sadzonek drzew nie stanowiło kluczowej dla wysiłku wojennego dziedziny gospodarki.

Wrócił z południowego Pacyfiku w roku 1945 ze zniszczoną twarzą i zdrowiem, zmieniony, z zupełnie innymi przekonaniami. A gdy znów ściskał dłoń Ala McErlane'a i spacerował wraz z nim po szklarniach, uznał, że rzędy spiczastych, świeżych, zielonych sadzonek małych sosen są najpiękniejszą rzeczą na świecie.

66

JEJ MIEJSCE W SŁOŃCU

Sklejka i płyta pilśniowa zachowały firmę Breitsprecher-Duke przy życiu. Podczas II wojny światowej eksperymentowali z okładzinami wewnętrznymi i zewnętrznymi z twardej płyty pilśniowej, ale po dwóch latach prób odporności na wilgoć z różnymi recepturami – z których jedna, dosyć nieszczęśliwa, zawierała glony i sproszkowane łuski kukurydzy – zrezygnowali z tego produktu i skoncentrowali się na sklejce – Brite-Ply, jak ją nazywano – z drewnianych odrzutów i drewna ocalałego po pożarach lasów. W latach powojennych załapali się na końcówkę boomu budowlanego, ale większe firmy dostarczające tańsze kanadyjskie drewno doprowadzały ich do ruiny, choć wszyscy nadal żyli w iluzji prężnej, produktywnej firmy drzewnej, kierowanej przez dwóch dynamicznych mężczyzn: Jamesa Bardawulfa Breitsprechera i Andrew Harkissa. Obaj dobrze wychodzili na zdjęciach przed sągami kłód w górach albo przy lśniącej obrotowej łuszczarce do forniru, ale obrazy te, jak sklejka, były zaledwie zewnętrznym pokryciem, w którym znajdował się pośledni materiał.

Młodsze pokolenie Breitsprecherów nie chciało mieć nic wspólnego z fabryką sklejki. Ale Sophia Hannah Breitsprecher Harkiss, najmłodsza z potomstwa Dietera, miała własny pomysł na swoje miejsce w przedsiębiorstwie. Twierdziła, że brat i mąż są straszliwie zacofani.

– Andrew! Nie rozumiem, dlaczego ty i James Bardawulf odmawiacie mi prawa do zasiadania w firmie. Na Boga, mamy już lata sześćdziesiąte, a nie średniowiecze. Chcę pracować!

Dorastała, słuchając opowieści Dietera o Lavinii Duke, jego pierwszej żonie i bez wątpienia reinkarnacji królowej Elżbiety I, która od wczesnej młodości kontrolowała cały przemysł drzewny. Sophia, która miała niewielkie pojęcie o schyłku firmy, żywiła nadzieję, że i ona zostanie królową. Wychowała dzieci, dlaczego nie miałaby zająć się karierą?

– Jesteś członkiem rady nadzorczej firmy – odrzekł Andrew. – Niewiele firm pozwala kobietom zasiadać w radach nadzorczych. Masz dzięki temu spore wpływy, a twoje propozycje są brane pod uwagę. Czego jeszcze możesz żądać?

– Chcę mieć posadę. Chcę stanowisko i biuro oraz zakres odpowiedzialności.

Upierała się przy tym przez ponad rok, aż w końcu Harkiss obiecał jej, że przedyskutuje sprawę z Jamesem Bardawulfem, który jako prezes firmy i głowa rodziny miał decydujący głos. Sophia nie wiedziała jednak, jakie chce objąć stanowisko.

– Chce robić karierę – mruknął ponuro Harkiss, rozmawiając ze szwagrem. – Można by pomyśleć, że się uspokoi, odkąd została babką, ale zachowuje się jak kula armatnia tocząca się po pokładzie okrętu. Chce mieć biuro z nazwiskiem na drzwiach, telefon i prawdopodobnie rachunek na koszty reprezentacyjne. Żeby kupować sobie fatałaszki.

Jedli obiad w Wild Goose w Sherman Oaks, James Bardawulf ciął cielęcy kotlet króla Oskara, a Andrew Harkiss dłubał ostrożnie przy udku bażanta z sosem Kahlúa.

– Smakuje ci ten bażant? – spytał James Bardawulf.

Harkiss wykrzywił się.

– Ma dosyć osobliwy smak. Chyba wolę zwykły sos pieczeniowy, zamiast tego Kahlúa.

Milczeli przez kilka minut, a wokół stołu krążył kelner, napełniając kieliszki białym wytrawnym winem. Harkiss przepłukał nim usta, chcąc się pozbyć smaku Kahlúa.

– Ale co konkretnie chce robić Sophia? – James Bardawulf chciał rozstrzygnąć tę kwestię.

– Nie wiem. Jezu Chryste, ona sama nie wie. Przeżywa pewnie te kobiece sprawy czy coś w tym rodzaju… a dobrze wiesz, co się wtedy z nimi dzieje.

Tworzą sobie wtedy nadąsany, ulotny, rozgadany, walczący o byt kobiecy świat. Z drugiej strony, mąż Sophii rozumiał, że przez lata marnowała czas i że nie da za wygraną.

– Mówiłem jej, że firma nie jest już monolitem, który pamięta z dawnych czasów. Mówiłem jej, że zastanawiamy się nad sprzedażą. Wybuchła. Jak mogło przyjść nam do głowy coś tak potwornego, wszystko jest winą nieskutecznego zarządzania, próżniactwa i tak dalej, i tym podobne. Przypuszczam, że zażądam od niej, aby złożyła oficjalne podanie z zarysem obowiązków, których chce się podjąć, powiem jej, że chcemy poznać konkrety, bo jej zaklęcia na niewiele się zdadzą. Mam nadzieję, że znajdziemy coś, żeby zamknąć jej usta.

James Bardawulf zerknął na stojący pod ścianą wózek z deserem. Kelner dostrzegł to spojrzenie i pośpieszył z dwoma kartami deserów.

– Może wymyślimy jej coś, co ma cokolwiek wspólnego ze sztuką? Zawsze interesowały ją muzea i koncerty. Może robić coś kulturalnego. Albo publicznego. Kontakty z prasą?

– Sophia uznała, że należy się jej miejsce w firmie.

– Jest niegłupia, przyznaję. Może aż za sprytna.

Andrew Harkiss przypomniał sobie, jak żona przez lata dbała o jego wygląd, jak krytykowała jego sposób wysławiania się, jak zmieniała jego zapatrywania na fakty. Czasem odnosił wrażenie, że nie poślubił Sophii, ale samego Jamesa Bardawulfa. Posługiwali się tym samym językiem.

– Nie jest już młoda, ale zapewniam cię, że próba wybicia jej tego z głowy skończy się wybuchem Wezuwiusza. Zaczekajmy i sprawdźmy, co będzie miała do zaproponowania.

Harkiss zauważył, że sos Kahlúa jest podawany również z dwoma ciastami. Zamówił torcik karmelowy, lecz nawet ów torcik ozdobiono arabeską kawowego likieru spływającego po rombie. Odesłał deser, mówiąc:

– Szef kuchni ma chyba akcje likieru Kahlúa.

Andrew Harkiss powiedział żonie, że James Bardawulf prosi, aby sporządziła opis pracy, którą chce wykonywać.

– Tak, tak – odpowiedziała i poszła na górę do garderoby, żeby przejrzeć stare nudne sukienki, które zastąpi nowymi, kupionymi w Nowym Jorku, bo w Chicago nie było dobrych sklepów z odzieżą. Konkretna praca, którą chce wykonywać, nieważne jaka, objawi się jej później.

///

Lot do Nowego Jorku trafił w turbulencje nad chmurami przypominającymi upakowane na tacy kalafiory. Po południu powietrze zrobiło się przejrzystsze. Lecieli ku ciemności, zbliżając się do miast na wschodzie, a nieduże kłębki świateł poniżej zamieniały się w wielkie siatki, promienisty krajobraz rozjaśniający noc.

Sophia zatrzymała się jak zwykle – jak wszyscy Breitsprecherowie – w Waldorfie. Zadzwoniła z pokoju do kuzynki, Althei Evans, która wyszła za mąż za maklera z Wall

Street. Chciała wybrać się z nią na zakupy i zjeść elegancki lunch. Telefon odebrała pokojówka.

– Pani Evans nie ma. Jest w Boca.

– Gdzie?

– Boca. Boca Raton na Florydzie.

– Och, no cóż… Powiedz jej, że dzwoniła kuzynka Sophia. Sophia Breitsprecher. Z Chicago.

Po późnym nowojorskim śniadaniu, na które składały się tosty i kawa, poszła do Bonwit Teller, a potem do Saksa i Bergdorfa. Kupiła dwie jedwabne sukienki Norella z koszulowym stanem. Przymierzała kostiumy, nawet ze spodniami, ale efekt nie bardzo się jej spodobał. Ostatniego dnia przypomniała sobie o stanowisku, które dla siebie wymyśliła w samolocie, i popędziła do Henri Bendela, gdzie przymierzyła odważnie dwa kostiumy Coco Chanel. Oba potwornie drogie, ale jakby szyte na miarę, więc kupiła je, nie zważając na koszty. Właśnie tak – jej zdaniem – powinna wyglądać najmodniejsza kobieta interesów. A stanowisko, które dla siebie wymyśliła, obejmowało wystylizowane biznesowe rytuały i odpowiednie do tego stroje. Więc kostiumy Chanel były najodpowiedniejsze. Kupiła dwie duże walizki i zapakowała do nich wszystko przed lotem powrotnym.

Zastanawiało ją zawsze, jak bardzo podobni byli do siebie jej mąż i brat. Mogliby siebie zastępować. Sophia widziała w sobie intelektualistkę, prenumerowała książki z Klubu Książka

Miesiąca i często zdarzało się jej przeczytać pierwsze rozdziały nadsyłanych powieści. Lubiła poza tym historię i przeglądała gazetowe artykuły pisane przez „Weterana” albo „Pioniera Jacka”. Dieter zasiadał w radzie biblioteki publicznej w Chicago od czasów po wielkim pożarze, kiedy to mieszkańcy miasta byli żywo poruszeni wspaniałym gestem angielskiej inteligencji, która podarowała pogorzelcom skrzynie z książkami do nowej biblioteki. Dieter zasilał finansowo bibliotekę – najpierw po to, żeby wyprowadzić ją z wieży ciśnień, a potem z dobrej woli. To wspomnienie podsunęło jej pomysł. Gdyby Dieter żył jeszcze, z całą pewnością stworzyłby dla niej wymarzone stanowisko.

Opis pracy i zakresu obowiązków zabrał jej cały lot powrotny do Chicago. Siedząca w fotelu obok kobieta zauważyła, jak bardzo Sophia jest zajęta, i powiedziała z podziwem:

– Musi pani mieć wspaniałą karierę zawodową!

– O tak – odpowiedziała Sophia. – Właśnie wracam z podróży w interesach do Boca. Boca Raton na Florydzie.

Wysłała swój pomysł do brata, Jamesa Bardawulfa Breitsprechera, zamiast przekazać go Andrew, który na pewno – i bardzo wygodnie – by go zgubił. Albo roześmiał się złośliwie. Brat doceni jej starania. Czekała.

Andrew spotkał się z Jamesem Bardawulfem na lunchu w klubie, do którego obaj należeli. James uśmiechnął się szeroko i powiedział:

– To było łatwe. Możemy dać jej tę pracę.

– Komu?

– Sophii. Możemy dać jej wymarzone stanowisko. Dostałem dziś rano jej list. Stanowisko, które zaproponowała, jest w sam raz dla niej i pozwoli nam trzymać ją z daleka od interesów.

– Jasna cholera! Do mnie nic nie wysłała!

– Może chciała zrobić ci niespodziankę? Nie martw się. Chce zostać historykiem firmy. Chce napisać historię Breitsprecher-Duke. Chce mieć dostęp do wszystkich starych dokumentów i listów, kopii depesz i telegramów, do wszystkiego, co się nie spaliło albo czego nie wyrzucono. W jednym z magazynów stoją skrzynie i pudła z tymi szpargałami, które ona nazywa „Archiwum Breitsprecher-Duke". Z wielką radością każę przybić jej na drzwiach tabliczkę z napisem „Dział badań archiwalnych". Właśnie tego chce.

– A to ci niespodzianka! Nic mi nie mówiła. Myślisz, że będzie miała o czym pisać?

– Ależ tak! O Dieterze, rzecz jasna, i Lavinii… aż po starego Charlesa Duke'a, który założył firmę. Charles Duke… Kanada… Holandia. Od stworzenia świata. Jest mnóstwo rzeczy, o których nie wiemy. Mówiąc szczerze, sam jestem ciekaw, czy znajdzie coś pożytecznego. Może z tego wyjść niezły materiał reklamowy… wiesz… szacowna firma… przodująca w sprzedaży drewna od ponad dwustu lat.

– Chryste – westchnął Andrew.

W siedzibie firmy było kilka nieużywanych sal, z których każda po uprzątnięciu nadawała się na biuro i gabinet Sophii. Dokonała ich przeglądu. Cztery zakurzone, połączone ze sobą pomieszczenia z widokiem na jezioro, niegdyś królestwo mecenasa Flense'a, nadadzą się doskonale… sekretariat, gabinet, dwie sale posiedzeń. Wystarczy je posprzątać, wyczyścić i odmalować. Zadzwoniła do syna, Roberta, który niedawno otworzył własną firmę Wnętrza Harkissa.

– Robert, potrzebna mi twoja pomoc. Jesteś zajęty?

Robert, który do tej pory miał tylko jedno zamówienie – pokój gościnny w mieszkaniu pani Grainleyowej Wiley, która była jego kochanką – umierał z niepokoju, z czego zapłaci czynsz za wynajem biura. Potrzebował kolejnego zamówienia. Ale jak zwykle mruknął do telefonu:

– Zaraz sprawdzę… Myślę, że gdzieś cię wcisnę… – I zgodził się spotkać z matką.

– To świetne miejsce, mamo, idealnie nadaje się do pracy. Twój pomysł na renowację jest całkiem niezły, ale proponowałbym wyburzenie tej ściany… – wskazał ścianę działową między dwoma salami posiedzeń – …i stworzenie naprawdę dużego biura. A to pomieszczenie, które przeznaczyłaś na gabinet, zamienimy na salę posiedzeń. Położymy dywan. Będziesz zdziwiona, jak bardzo dywany rozładowują atmosferę.

– Nie żyję na księżycu, Robercie, od ostatnich pięćdziesięciu lat. Słyszałam o dywanach.

Spodobał się jej pomysł większego biura. Oboje wybrali się na zakupy, szukając nowoczesnych duńskich mebli biurowych z nacieranego olejem tekowego drewna, beżowego wełnianego dywanu oraz dużego skórzanego fotela Eames.

W końcu nadszedł dzień, w którym Sophia zasiadła w nowym biurze i zaczęła czytać strona po stronie stare dokumenty, sporządzone trudnym do odcyfrowania ręcznym pismem i pełne błędów ortograficznych. Próbowała rozpoznać w tych zapisach tajemnicze osoby, których związki z rodziną pozostawały niejasne. Zatrudniła sekretarkę, blondynkę o ziemniaczanej cerze, niejaką Debrę Strong (siostrzenicę pani Garfield, sekretarki firmy), która – jak twierdziła – pracowała ostatnio w czasopiśmie kobiecym. Debra posortowała z grubsza dokumenty w porządku chronologicznym i włożyła je do porządnie opisanych segregatorów. Sophia miała zamiar opisać trud pionierskiego przedsiębiorstwa, które odniosło sukces dzięki ciężkiej pracy i cieszyło się sławą i fortuną najstarszego i najlepszego w branży drzewnej w całym kraju.

Dwie rzeczy przeszkadzały jej w zrozumieniu dokumentów: ich starodawność i francuszczyzna spowijająca je niczym gruba kołdra. Czy Charles Duke był tą samą osobą, co Charles Duquet, którego nazwisko pojawiało się na czymś, co wyglądało jak promesa i było podpisane przez niejakiego Dreda-Peacocka? W miejscu podpisu Duqueta zobaczyła krzyżyk, co mogło oznaczać,

że Charles Duquet był analfabetą. A może ten Dred-Peacock nim był? Bo późniejsza korespondencja była wyraźnie podpisana imieniem i nazwiskiem Charles Duke. A więc ten Dred-Peacock, kimkolwiek był, musiał być analfabetą. Zatrudniła studenta, żeby przetłumaczył sprawiające jej trudność papiery, ale spisy starych umów i rozliczeń znudziły ją, więc odłożyła je jako nieistotne.

Po roku przedzierania się przez dokumenty, zaczęła powstawać historia. Charles Duke, ubogi francuski chłopak, wyruszył do Nowego Świata, by uciec od surowego życia na francuskiej farmie. Znalazłszy się w Ameryce Północnej, pracował ciężko, by w końcu za zarobione pieniądze kupić las i otworzyć tartak. Korespondencja z Dredem-Peacockiem urywała się gwałtownie, lecz w następnej partii archiwaliów znajdowało się blisko czterdzieści listów od Charlesa Duke'a do synów. Listy te czytało się bardzo ciężko, gdyż wypełniały je dobre rady i maksymy, a ich zawartość nie rzucała nowego światła na charakter Charlesa Duke'a, poza jego brakiem pobłażliwości dla potomstwa. Był poważnym człowiekiem, ale potrafił hołubić dzieci. Sophia pominęła osobę Jamesa Duke'a, który wydał się jej nudziarzem. Za to Lavinia zostawiła po sobie setki segregatorów z korespondencją biznesową i notatkami na temat przemysłu drzewnego. Sophia nie rozumiała większości jej opisów dokonywanych wówczas wynalazków, ówczesnych posiedzeń, spotkań, liczby stóp deskowych pozyskiwanych z różnych lasów i wysyłanych w odległe miejsca. Wystarczyło powiedzieć, że Lavinia

była powszechnie szanowaną kobietą interesów. Oraz – jak uznała Sophia – szalenie zajętą kronikarką.

Trafiła na teczkę, którą Debra Strong opisała jako „Genealogia?". Teczka ta zawierała jakieś wydarte pożółkłe kartki. To, pomyślała, może się przydać. Dopasowała do siebie podarte kartki. List od R.R. Tetrazinniego z Filadelfii stwierdzał tylko, że poszukiwania dobiegły końca, a ich rezultaty są przedstawione w raporcie i jeśli Lavinia Duke Breitsprecher życzy sobie dalszego ustalania nazwisk i adresów spadkobierców, powinna się skontaktować z nadawcą najszybciej jak to możliwe, gdyż Tetrazinni ma na oku również inną pracę. Raport skonfundował Sophię. Jacy spadkobiercy?

Zadzwoniła do Jamesa Bardawulfa.

– Znalazłam coś, czego zupełnie nie rozumiem. To raport od jakiegoś prywatnego detektywa, sporządzony dla pierwszej żony Dietera, Lavinii Duke. Chciałabym, żebyś rzucił na to okiem. W raporcie jest zdaje się napisane, że istnieją jacyś nieznani spadkobiercy. Ale nie wiem, kim oni są ani co odziedziczyli.

– To prawdopodobnie próba wyłudzenia. Często pojawiają się jacyś ludzie twierdzący, że są spadkobiercami fortun i nieznanymi krewniakami testatorów. Ale prześlij ten raport do mnie.

– Wolałabym pokazać ci go u siebie. Może odwiedzisz mnie po południu i rzucisz okiem? Potem możemy wypić drinka i porozmawiać. Gdzieś na tarasie nad jeziorem… jest tak gorąco tego lata. Nie widziałam cię od miesięcy.

67

MAŁY PROBLEM

Było to najdziwniejsze z posiedzeń w dziejach firmy Breitsprecher-Duke – tak poszatkowane tematycznie, że wyglądało jak zebranie przypadkowych przechodniów z rozgrzanych ulic; przechodniów, którym kazano prowadzić interesy. Siedzieli przy mahoniowym stole w sali posiedzeń Breitsprecher-Duke, w której na południowej ścianie wisiał portret Lavinii, a na północnej Dietera. Stara klimatyzacja ledwo dyszała, jakby sama cierpiała na słoneczny udar. Na stole stała taca z przekąskami – kanapkami z białym serem – a obok leżały serwetki z dawnych czasów z napisem DUKE CIĘCIE i siekierą. Choć w sali panował sierpniowy upał, na bocznym stole syczał dzbanek z kawą.

Sophia – mimo upału w szarym wełnianym kostiumie Chanel – wygłosiła chaotyczną mowę o dziejach firmy i rozdała egzemplarze owoców swej pracy: szesnaście oprawnych w skórę stron fantazji o firmie, zatytułowanej *Breitsprecher-Duke, opowieść leśnego giganta*. Czekała na gratulacje, ale James Bardawulf zdążył już wszystkim powiedzieć, że stary raport Tetrazinniego jest

fałszerstwem, czego dowiodły tygodnie jego własnej wytężonej pracy. Na sali znajdował się prawny konsultant firmy, mecenas Hazelton Culross. James Bardawulf przeszedł od razu do rzeczy jadowitym tonem:

– Pan Tetrazinni nie żyje od dawna. Interes po nim objął jego syn, Chandler Tetrazinni, z którym długo rozmawiałem. Jest prawnikiem.

Raphael, który dobrze znał ojca, rozpoznał sygnał alarmowy. Gdyby James żywił szacunek dla młodego Tetrazinniego, nazwałby go „adwokatem". „Prawnik" oznaczał kogoś przypominającego pytona. W sali było gorąco, sierpniowe słońce uderzające w przyciemnione okna zdołało jakoś dostać się do środka.

James Bardawulf mówił dalej surowym tonem:

– Mówiąc szczerze, żałuję, że się z nim skontaktowałem. Stoi na czele agencji Tetrazinni Search Services, specjalizującej się w poszukiwaniach nieznanych lub zaginionych spadkobierców. Był zaskoczony, gdy do niego zadzwoniłem, i powiedział, że sprawdzi w aktach. Dwa dni później oddzwonił i stwierdził, że znalazł stosowne dokumenty i że sprawa wcale nie jest zakończona. Obawiam się, że moje pytania naprowadziły go na tę niemal zapomnianą historię i wyczuł możliwość zarobku. Stwierdzam z żalem, że gdybym do niego nie zadzwonił, nigdy nie usłyszałby nazwiska Breitsprecher. Ale nie da się tego odkręcić. Dowiedziałem się od Hazeltona, że zespół Tetrazinniego pracuje

za procent od spadku, co według mnie oznacza, że obecnie człowiek ten zamierza udać się do domniemanych spadkobierców i zaoferować im kontrakt. I sfinansowanie sprawy cywilnej przez siebie jako trzecią stronę, co niegdyś było nielegalne, a obecnie jest niestety dopuszczane prawem. Lavinia Duke zainicjowała te poszukiwania przed wieloma dekadami – zerknął na portret – choć nie wiadomo do końca, dlaczego, gdyż ktoś powinien był jej doradzić, aby nie wywoływała wilka z lasu. Tetrazinni, człowiek, którego wynajęła, twierdził, że znalazł prawowitych spadkobierców majątku Duke'ów, w dodatku takich, którzy mieli większe prawa do spadku od samej Lavinii, jeśli za kryterium przyjmie się pokrewieństwo.

– Jak to możliwe? – zapytała Sophia, odsuwając od siebie zapasowe egzemplarze *Opowieści leśnego giganta*. – To z pewnością pustosłowie. To przedsiębiorstwo od pokoleń należało do Breitsprecherów i Duke'ów! Wszyscy to wiedzą, a firma jest powszechnie szanowna i znana. – Dotknęła czoła serwetką. – Ta klimatyzacja jest do niczego.

– Jeśli ci domniemani spadkobiercy zechcą się ujawnić, możemy mieć proces – oznajmił James Bardawulf.

– Ujawnić? Czy podjęli już jakieś działania? – Andrew Harkiss wstał i nalał sobie szóstą kawę od śniadania. Od kawy się trząsł i kołatało mu serce, co zmuszało go wieczorem do picia dżinu na uspokojenie. – I czy zechcesz nam powiedzieć, kim są owi „domniemani spadkobiercy"?

– Możecie wierzyć lub nie, ale to jacyś Indianie z Kanady.

– O nie, o nie… – jęknął nagle Conrad Breitsprecher. Twarz mu pobladła, a czarne brwi zetknęły się ze sobą, jakby ktoś umazał mu czoło węglem. – To może doprowadzić do rozłamu w firmie.

James Bardawulf był zaskoczony jego poruszeniem. O co on się martwi? Jego szkółki przynosiły tyle pieniędzy, jakby je drukował w piwnicy. Nikt może zgłaszać do nich roszczeń, żaden chciwy Indianin nie wyciągnie po nie rąk. A Conrad w ogóle nie cieszył się zyskami, tylko inwestował każdego centa w te cholerne sadzonki. Miał na ich punkcie obsesję.

Claude Breitsprecher również zauważył niepokój Conrada. Ma zbyt wybujałe ego, pomyślał. Conrad uważał, że sława Breitsprecher-Duke zależy wyłącznie od sadzonek i szkółek, które nawet nie należały do firmy. Dieter założył szkółki w młodości wraz ze swoim kuzynem Armeniusem Breitsprecherem, uczynił z nich swoje hobby, które uznawał naiwnie za innowacyjny interes. A Conrad, mimo swych idiosynkrazji i osobliwości, rzeczywiście przekształcił je w świetnie prosperujące przedsiębiorstwo. Jak to się stało?

– Do rozłamu? W żadnym razie. Tak czy inaczej, twoje szkółki są i zawsze były oddzielnym przedsięwzięciem.

– Oczywiście. Wiem. Ale chodzi mi o to, że pojawia się nagle taka myśl, iż przychodzi ktoś, kogo się nie zna, i zabiera wszystko, co z takim trudem się zbudowało. Jak wbiją w nas pazury, nie

popuszczą, dopóki nie dostaną wszystkiego. Dobiorą się i do szkółek! Które noszą nazwę Breitsprecher. – Conrad zacisnął pięści.

Conrad martwi się nie na żarty, pomyślała Sophia. Postanowiła, że coś zaproponuje:

– Czy nie możemy zwyczajnie podrzeć tego raportu i zapomnieć, że w ogóle go widzieliśmy? W zasadzie część była już podarta, kiedy go znalazłam.

Hazelton Culross roześmiał się.

– Już za późno. James Bardawulf skontaktował się z panem Tetrazinnim i omawiali raport, więc pan Tetrazinni o nim wie i wie, że James Bardawulf i my wszyscy także o nim wiemy. Nie możemy przysiąc, że o nim nie słyszeliśmy.

James Bardawulf pstryknął lekceważąco egzemplarz *Opowieści leśnego giganta*. Sophia zacisnęła pięści.

– Możemy wszystko sprzedać, prawda? – mruknął Harkiss. – International Paper proponuje to nam od roku. Może powinniśmy przyjąć ich ofertę, podzielić pieniądze i zreorganizować nasze życie? Większość osób działających aktywnie w firmie i tak zbliża się do emerytury. Według mnie pora jest najodpowiedniejsza, żeby sprzedać.

Jamesowi Bardawulfowi opadła szczęka.

– Sprzedaż nie powstrzyma Tetrazinniego ani tak zwanych spadkobierców. Nawet jeśli sprzedamy, spadkobiercy będą się procesować z każdym z nas.

Sophia pociągnęła nosem.

A Hazelton Culross zadał najważniejsze pytanie:

– Co wiemy o domniemanych spadkobiercach?

– Według raportu Tetrazinniego, zamówionego przez Lavinię Duke spadkobiercami byłyby wnuki niejakiego Francisa-Outgera Sela, którego matką była Beatrix Duquet, pochodząca bezpośrednio od Charlesa Duqueta. Beatrix była w połowie Indianką z plemienia Passamakwodów, a jej mąż był w połowie Mikmakiem. Kanadyjskim Indianinem. Nie znamy nazwisk ich zstępnych.

– No cóż, żaden z tych ludzi nie pojawia się w dokumentach firmy – powiedziała Sophia. – Skąd miałam o tym wiedzieć? Widziałam tylko coś o dużym stole w domu nad zatoką Penobscot. Nie mam pojęcia, o co chodzi.

– W gruncie rzeczy – wtrącił Andrew Harkiss, nie zważając na żonę – ta linia Duke'ów mogła już wymrzeć. I problem rozwiąże się sam. Ten raport jest stary.

– Być może. Ale tego nie wiemy. Oryginalny raport stwierdza, że potomkowie Duke'ów, których my znamy – dotknął egzemplarza *Opowieści leśnego giganta* – są potomkami adoptowanych synów Charlesa Duqueta. Jego jedynym prawowitym synem był Outger Duquet, ojciec Beatrix. I w tym momencie zaczynają się problemy. Sama Lavinia nie pochodziła bezpośrednio od Duqueta. – W głosie Jamesa Bardawulfa dało się wyczuć triumfalny ton.

– Zanim zaczniecie się martwić – dodał Hazelton Culross, wyczuwając wokół siebie wzbierające fale niepokoju – weźcie pod uwagę, że Tetrazinni nie wie, czy istnieją jacyś żyjący prawowici spadkobiercy. Będzie musiał sporo się nachodzić, żeby ustalić ich nazwiska i miejsce pobytu. A jeśli i kiedy ich znajdzie, będzie ich musiał przekonać, że mogą wnieść roszczenia, o które warto się procesować. Będzie ich musiał nakłonić do podpisania kontraktu i dopiero wtedy sprawy nabiorą tempa. Jeśli ci spadkobiercy są Kanadyjczykami, to Tetrazinni będzie miał do pokonania następną przeszkodę. Wszystko to wymaga czasu i pieniędzy, a Tetrazinni będzie musiał wziąć na siebie całość kosztów. Dopiero wówczas stanie naprzeciw firmy, która od wieków była zarządzana i kierowana najpierw przez Duke'ów, a następnie przez Breitsprecherów, którzy od zawsze byli uznawani za prawomocnych właścicieli dóbr i prowadzili prawomocne przedsiębiorstwo od blisko trzystu lat. Nawet jeśli Tetrazinni włoży wiele wysiłku i pieniędzy w znalezienie żywych spadkobierców, będzie miał mizerne szanse na wygranie procesu. Wyrzuciłbym tę sprawę z pamięci i żył dalej jak dotąd.

Zapadła cisza, pełna wdzięczności cisza. Andrew wziął głęboki oddech i powiedział:

– Ale mówiliśmy o sprzedaży firmy. International Paper jest tym zainteresowany. Z wyjątkiem, rzecz jasna, szkółki – dodał szybko, bo Conrad już wstawał zza stołu.

– Sprzedaż niczego nie zmieni, bo spadkobiercy nadal będą się mogli z nami procesować, prawda? – zapytał sztywny i spięty.

– Owszem, wszystko jest możliwe. Ale nie sądzę, by jakikolwiek sąd zechciał poświęcić im czas.

– Ale ja poświęcam im czas! – zawołał Conrad. – I wszystko to bardzo mnie niepokoi.

Wybiegł z sali.

Hazelton Culross spojrzał na Jamesa Bardawulfa, na Sophię i Andrew.

– On naprawdę traktuje to jak zagrożenie. Przesadza.

– Nigdy nie doszedł do siebie po wojnie – powiedział Claude. – Być może to, co powiem, jest zbyt daleko idące, ale słyszałem o opóźnionych reakcjach na doświadczenia wojenne.

Hazelton udzielił im prostej rady:

– Trzymajcie się jak najdalej od Tetrazinniego. Nie szukajcie guza.

Blisko dwa tygodnie później Sophia znalazła na biurku wiadomość od Jamesa Bardawulfa: „Zadzwoń do mnie". Na dworze wciąż panował nieznośny upał. Denerwowały ją plamy od potu pod pachami jedwabnej bluzki. Klimatyzacja dostarczała mdły powiew pachnącego grzybami powietrza. Wykręciła numer brata, usłyszała głos jego snobistycznej sekretarki mówiącej z angielskim akcentem.

– Czy mogłabym prosić o przedstawienie się?

– Powiedz mu, że to jego stara kochanka.

Usłyszała sapnięcie, a potem zapanowała długa cisza, po której odezwał się ostrożnie James Bardawulf:

– Halo?

– Dostałam od ciebie wiadomość – powiedziała. – Co się dzieje?

– Sophia! Błagam cię, oszczędź sobie takich żartów wobec panny Greenberry. Ona potraktowała to poważnie.

– Angielki nie mają poczucia humoru – przerwała narzekania brata. – Uspokój się. Dlaczego chciałeś, żebym zadzwoniła?

– Żeby przekazać ci bardzo interesującą wiadomość. Dla nas, w każdym razie. Hazelton Culross, który prenumeruje „The Philadelphia Inquirer", zadzwonił do mnie dziś rano i powiadomił mnie, że na ostatniej stronie tej szacownej gazety jest notatka o prawniku nazwiskiem Tetrazinni, który tego weekendu zginął podczas włamania. Jego biuro zostało wywrócone do góry nogami, przewrócono wszystkie szafy na akta, wyciągnięto szuflady i otwarto szeroko sejf. Tetrazinni zginął od kuli. Nie wiem, czy piszą o tym w naszych gazetach. Posłałem po „Tribune".

– Mój Boże, to nadzwyczajne! Można by pomyśleć… – wzięła głęboki oddech. – Czy powiadomiłeś innych?

– Tylko ciebie, jak do tej pory. Miałem zamiar do nich zadzwonić po rozmowie z tobą. Bo przecież to ty otworzyłaś tę całą puszkę Pandory. Jesteś główną sprawczynią.

Sophia puściła to mimo uszu. To James Bardawulf skontaktował się z Tetrazinnim.

– Powiadom o tym nieszczęsnego Conrada. Tak bardzo się tym przejął.

Zapadła długa cisza. A potem James Bardawulf znów odezwał się ostrożnie:

– Może już o tym wie.

– Jak to? James! Co ty sugerujesz? Jamesie Bardawulfie?

– Sugeruję tylko, że mógł czytać gazety. Bo cóż innego mógłbym sugerować?

– Nieważne – odrzekła. – Porozmawiamy później.

Jego ostatnia uwaga dobiegła z odkładanej na widełki słuchawki:

– Możemy rozpocząć sprzedaż.

Firma Breitsprecher-Duke wznosiła się przez wieki i opadała na fali, niczym miotany burzą okręt. Rozpoczął się odpływ. A wraz z tym pojawiło się International Paper. Ze starej firmy zostały tylko skrzynie z dokumentami i kilka portretów. I oddzielny byt noszący nazwę Szkółka Breitsprechera.

68

CÓRKI EGGI

Po II wojnie światowej nie było już drogi odwrotu: kobiety dostawały pracę zarezerwowaną niegdyś dla mężczyzn. W powietrzu unosiły się feministyczne hasła. Bren Sel uważała, że tak powinno być, i zerkała zaczepnie na męża, Edgara-Jima Sela, nazywanego Egga, nieświadomego mężczyznę. Uważała, że nowe idee uwalniają wszystkich, nie tylko kobiety, z historycznych pęt i usiłowała wyjaśnić to mężowi, ale Egga nie dostrzegał analogii między uwolnieniem się kobiet z pęt represyjnej przeszłości a swoim własnym życiem i wyrzeczeniem się tradycji Mikmaków. Przypłynął na Martha's Vineyard jako uciekający chłopiec, zbieg ze szkoły z internatem dla Indian w Shubenacadie w Nowej Szkocji, znalazł pracę jako rybak, a potem spotkał Brendę Hingham.

Gdy się jej oświadczył, powiedziała „tak", a potem dodała: „poślubię wroga".

– Wroga? – zdziwił się Egga. – Dlaczego jestem twoim wrogiem?

– Nie słyszałeś, że Mikmakowie wyprawiali się w te okolice i walczyli z moim plemieniem? Przed przyjściem białych.

– Nie wiedziałem. Doszło do bitwy?

– Bitwy? To była wojna. Wojownicy Mikmaków zajęli całe wybrzeże Nowej Anglii. Na pewien czas.

– A teraz Mikmak znowu zwycięża.

Pokusił się również o przypuszczenie, że tamtych dawnych czasach krew Mikmaków musiała się mieszać z krwią Wôpanâak.

///

Byli dziwną parą.

– Ty nic nie rozumiesz – powtarzała mu często.

– Czego nie rozumiem? – pytał.

– Jak nie wiesz, to ja ci nie powiem.

Podstawowym problemem Eggi była, według niej, jego odmowa bycia Mikmakiem.

– Bycie Mikmakiem – mówił – sprawiło, że moje życie przybrało bardzo zły obrót. Dałem sobie z tym spokój.

– Nie można dać sobie spokoju z tym, kim się jest. Ze swoimi rodzicami, braćmi i siostrami. Ze wszystkimi pokoleniami, które się za nimi ciągną, z własnym ludem. Nie możesz przepłukać własnej krwi jak brudną koszulę i powiedzieć, że jesteś… ananasem! Bo to ciągle ty, twoje dziedzictwo, to, skąd się wziąłeś,

a to nie może być niczym innym. To dziedzictwo należy teraz do naszych dzieci i muszą o nim wiedzieć.

Egga przewracał oczami – tak się kończy małżeństwo z żyjącymi w matriarchacie Wôpanâakami.

Bren chciała pokierować dwoma córkami w taki sposób, aby stały się nowym rodzajem kobiety, powstałej z przemieszania genów białych, Wôpanâak i Mikmaków, z przemieszania idei, różnych zawodów, różnego pojmowania świata. Obie dziewczynki miały silne przekonania i były mądre, obie były pyskate, co przypominało ojcu o szkole z internatem i egzekwowanej w niej przez zakonnice i księży dyscyplinie. Gdyby jego kobiety trafiły do takiej szkoły, po jednym dniu doszłoby w niej do zamieszek, a Bren, Marie i Sapatisia stanęłyby na ich czele, zmuszając zakonnice i księży do błagania o miłosierdzie. Podobał mu się ten pomysł i gdy któraś z niesfornych dziewczynek była szczególnie pyskata, czuł radość, porównując ją z żałośnie płochliwymi dziećmi Mikmaków w tamtej szkole. Chciał mieć odważne dzieci. I zaczął po trochu, powoli, wspominać dawne życie, zaskoczony nagłym zainteresowaniem żony i córek. Gdy powiedział im, jak nazywali się jego rodzice – Lobert i Nanty Sel – chciały pisać do nich listy, jechać do Shubenacadie, odwiedzić Loberta w chacie z bali. Chciały pokochać nieznanych krewnych. A może – myślał Egga – on też chce. Utyskiwania Bren sprawiły, że zaczął się zastanawiać, co może oznaczać bycie Mikmakiem, poza bólem i poniżeniem. Sama Bren z entuzjazmem wyrażała się o swoim

dziedzictwie Wôpanâak, a on znów wyobraził sobie dawnych chutliwych wojowników Mikmaków, zdobywających wsie i kobiety Wôpanâak. Roześmiał się.

– Co cię tak bawi? – zapytała Bren.

– Nie powiem ci, skoro sama nie wiesz – odrzekł.

Bren wymagała, aby dziewczynki poważnie przykładały się do nauki.

– Poślę was na uniwersytet – mówiła. – Zarobię na to pieniądze.

Bren bardzo chciała studiować, chciała poświęcić się lingwistyce z nadzieją na ocalenie rdzennego języka Wôpanâak (którym się nie posługiwała), ale jej rodzina była zbyt biedna, żeby posłać ją na studia. Gdy Sapatisia, starsza z córek, poszła do szkoły, Bren znalazła jedyną dostępną pracę: nocną zmianę w przetwórni ryb. Niemal całą comiesięczną wypłatę odkładała na konto na studia córki. Jej dzieci będą miały wartościowe życie.

– Nie będą musiały pracować w przetwórni ryb – mówiła. – Czy w motelu.

Ani Egga, ani Bren nie byli przygotowani na pasję, z jaką podchodziła do wszystkiego ich starsza córka, Sapatisia, nosząca imię babki Eggi. Dziewczynka potrafiła godzinami rozprawiać na każdy temat, godzinami wpatrywać się w ludzi – wszystko, co robiła, robiła z pasją i nic nie było dla niej letnie. Jeśli Egga

spóźniał się z powrotem z łowisk, potrafiła stać nieruchomo w oknie i wpatrywać się w żwirową ścieżkę, dopóki go na niej nie ujrzała. Wchodził do domu, a córka przywierała do jego nogi jak przylga.

– Nie da się jej zostawić – mówiła Bren. – Nie spuszcza ze mnie oka. Z ciebie też nie, jak wracasz do domu. A jak się spóźniasz, nie odrywa się od okna. Nie wiem, jak to będzie, kiedy zacznie szkołę.

– Czasem trudno powiedzieć, kiedy dobijemy do portu, czasem przeszkadza nam pogoda. Nawet przez wiele dni. Ryby nie znają się na zegarku. A na kutrach nie ma telefonów.

– Będzie na ciebie czekała – skwitowała to Bren.

Incydent z kurczakiem wstrząsnął obojgiem rodziców. Bren postanowiła, że zacznie hodować kury, żeby mieć jajka i mięso, oszczędzić trochę pieniędzy na zakupach i nie jeść w kółko smażonego dorsza. Zamówiła pocztą dwadzieścia małych kurczaków, a gdy je przywieziono, włożyła je do kartonu za piecem, żeby miały ciepło. Pokazała puszyste żółte kuleczki Sapatisii, która była oczarowana. Pozwoliła jej wziąć jednego kurczaka na ręce.

– Ale bądź ostrożna. One są delikatne.

Sapatisia tak bardzo pokochała maleńkiego, wystawiającego główkę z jej dłoni kurczaczka, że głaskała go i ściskała przez godzinę, po czym krzyknęła przeraźliwie, gdy okazało się, że zagłaskała kurczaczka na śmierć.

– Spotka cię za to kara – powiedziała Bren, a Sapatisia wyła, gdy dostała pierwsze lanie, choć nie z bólu, tylko z upokorzenia.

– Ona taka już jest – bronił córki Egga. – Nic na to nie poradzi. Niech Bóg ma w opiece mężczyznę, którego pokocha. Zje go żywcem bez soli, a kostki wyrzuci przez okno.

Obawy Bren o pierwszy dzień Sapatisii w szkole okazały się płonne. Wyglądało na to, że córka przygotowała się do tego wydarzenia. Nie płakała, gdy matka zostawiła ją na małym przedszkolnym krzesełku, ale nie chciała z niego zejść, choć zachęcała ją do tego nauczycielka. Gdy dawano jej spokój, była do zniesienia, gdy coś jej polecano, zamieniała się w potwora.

– Nie wiem, co się dzieje w tej jej małej główce – skarżyła się nauczycielka.

– Witam w klubie – odpowiedziała Bren.

Mimo to Sapatisia przechodziła z klasy do klasy, wykazując się od czasu do czasu niezwykłą błyskotliwością. Wydawała się najszczęśliwsza – myślał Egga – gdy w niedzielę wędrowali wszyscy razem brzegiem morza. Wracała do domu, niosąc w garści suchą trawę i wygładzone przez fale kamienie z cętkami miki.

Na pierwszym roku studiów Sapatisia – żyjąca między biegunami nagłej miłości i równie raptownej nienawiści – pokochała najpierw wykłady z biologii, a następnie żonatego profesora ekologii. Mężczyźnie to pochlebiało, mieli romans, a gdy profesor chciał go

zakończyć, Sapatisia stanęła w jego drzwiach z myśliwskim nożem w ręku. Rzuciła się na niego, profesor zrobił umiejętny unik, a nóż wbił się we framugę drzwi. Sapatisia była muskularna i silna, ale ekolog jeszcze silniejszy: krzyknąwszy do żony, żeby wezwała policję, obezwładnił dziewczynę do czasu przyjazdu funkcjonariuszy. Następnego dnia Egga odebrał córkę z aresztu.

– Wiesz, że wyrzucą cię ze studiów – powiedział.

– Tak.

– Nie pytam, dlaczego to zrobiłaś. Wiem, dlaczego. Jesteś taka sama jak ja, kiedy uciekłem ze szkoły.

– Nie jestem taka jak ty – odpowiedziała. – Jestem inna. I inne miałam powody.

– Aha – mruknął Egga. – Nie jesteś taka jak ja. Jesteś inna od wszystkich. Ale musisz żyć na tym świecie. Musisz zaakceptować pewne zasady i żyć w równowadze. Popraw się. Albo młodo umrzesz.

– Chcę pojechać do Shubenacadie – powiedziała. – Chcę się spotkać z tymi Selami. Chcę wiedzieć, kim jestem.

Egga i Bren nie dowiedzieli się niczego o profesorze ekologii czy botanice, usłyszeli natomiast o wielkim zainteresowaniu córki roślinami i lasami ziemi. Sapatisia czuła się osobiście winna za erozję gór i brudne rzeki. Gdy zadzierała głowę, nie widziała błękitu nieba, ale apokaliptyczne chmury poprzecinane smugami samolotów.

– Ma kobiecą potrzebę naprawienia szkód wyrządzonych przez ludzi przyrodzie – powiedziała Bren tego samego wieczoru, gdy Sapatisia poszła na górę do swojego pokoju.

– Owszem, i kobiecą potrzebę niszczenia mężczyzn. Mamy szczęście, że profesor jej nie oskarżył.

W pokoju zapadła cisza przerywana jedynie ich oddechami. Egga westchnął i dodał:

– Co myślisz o tym, żeby pozwolić jej pojechać do Nowej Szkocji?

– Och, Egga, mamy jej na coś pozwalać? Pojedzie, choćbyśmy jej zabronili. Porozmawiam z nią, ale efekt tej rozmowy już znamy.

– Będziesz musiała znaleźć sobie pracę, żebyś miała za co żyć, i musisz załatwić sobie stypendium, żebyś mogła dokończyć studia – poinformowała córkę oschłym tonem. Ta córka kosztowała ją zbyt wiele wysiłku. – My mamy jeszcze Marie na głowie.

Następnego dnia Sapatisia wyjechała autobusem na północ.

Po kilku miesiącach do Eggi nadszedł poplamiony atramentem list napisany przez jego ojca, Loberta Sela.

> *Wiele dla nas znaczy, że zechciała nas odwiedzić nasza silna wnuczka, Sapatisia. Zadaje dużo pytań o nasz lud i dzieje Selów. Obecnie studiuje w Winnipeg. Egga, minęło wiele lat, odkąd nas opuściłeś. Czy twoja druga córka, Marie, odwiedzi*

nas, gdy przyjdzie na to pora? Starzeję się. Chciałbym cię zobaczyć. Ta zła szkoła, która wyrządziła ci krzywdę już nie istnieje. Spalono ją. Przyjedź do domu.

Egga i Bren przez lata nie mieli wiadomości o córce, jeśli nie liczyć okazjonalnych pocztówek ze stemplami z różnych miast: „Studiuję leśnictwo, wszystko w porządku, kocham, S."

Jakże inna była ich młodsza córka, Marie.

– Powinna być chłopcem – powiedział Egga do Bren, przypominając sobie, jak jego brudna od smaru kruszyna rozłożyła na części silnik elektryczny i złożyła go na powrót, ozdabiając go w dodatku różowymi plastikowymi pierścieniami z pudełka zabawek. Żadne urządzenie mechaniczne w domu nie było bezpieczne przed jej dociekliwymi paluszkami i łatwo ją było zadowolić na urodziny i święta, dając jej w prezencie modele statków i samolotów. Była wygadana i nieco arogancka, co dla Eggi stanowiło dowód, że nie da sobą pomiatać. Na studiach pracowała latem jako operator kombajnu zrębowego – cudownej maszyny, która ścinała drzewa i okrzesywała je z gałęzi, poruszając się po poszyciu niczym po macie. Kombajn zrębowy stał się jej ulubioną maszyną.

Zakochała się mocno w Daveyu Jonesie, młodym, krzywonogim poławiaczu homarów, który pisywał wiersze, tańczył szkockie tańce, grywał w pokera i prowadził obserwacje pogodowe od

dziewiątego roku życia. Wyszła za niego za mąż w grudniu 1978 roku.

– Tak – powiedziała, gdy się jej oświadczył – ale chcę zachować pracę, bo ją lubię.

– Ja też lubię swoją, więc nie ma się o co kłócić.

Po nocy poślubnej powiedziała panu młodemu:

– Kombajn zrębowy zbija ziemię lepiej od końskiego zaprzęgu.

– Dlaczego myślisz, że mnie to obchodzi? – zapytał. – Chodź, opowiem ci o pułapkach na homary.

69

TAJGA

Kilka lat po śmierci żony, Nanty, ojciec Eggi, Lobert Sel, ożenił się w Shubenacadie z młodą wdową, Kate Googoo, która nosiła już jego dziecko. Rok po narodzinach Paula przyszła na świat Alice, a dwa lata później ich ostatnie dziecko Mary May. Egga Sel, który mieszkał na wyspie Martha's Vineyard, nic nie wiedział o małym rodzeństwie do czasu odwiedzin Sapatisii u dziadków; córka w jednym z niewielu listów do ojca i matki wymieniła imiona jego przyrodnich sióstr i brata.

> *Nie spotkałam jeszcze stryja Paula ani jego córki Jeanne. Ciocia Mary May Mius jest nieśmiała i bardzo się trzęsie nad swoim synem Feliksem. Najlepsza jest ciocia Alice. Lubię ją. To dosyć duża rodzina.*

Egga popłakał się, czytając ten list i zaplanował podróż do Shubenacadie. Napisał do Loberta, że przyjedzie – tak, przyjadą razem wraz z Bren – na następny Dzień Świętej Anny.

Jeanne Sel i Felix Mius wychowywali się razem, znali od dziecka swoje myśli i uczucia. Gdy dorośli, ich drogi zaczęły się rozchodzić, a oni sami różnili się od siebie jak dwie odnogi strumienia wypływającego z tego samego źródła. Felix był cichy i spokojny, lecz ukrywał pod tym inteligentny i ciekawy świata umysł. Miał brzydką cerę i tendencję do zakochiwania się w nieosiągalnych starszych kobietach, które unosiły brwi na jego widok, choć nigdy nie uniosły przed nim spódnicy. Blisko osadzone oczy Jeanne i jej cienkie usta przekonywały ją, że jest ponad angażowanie się w miłosne szaleństwa.

Jeanne zapamiętała matkę na promie: wychylała się ponad relingiem i machała jej na pożegnanie, póki prom nie rozpłynął się w gęstej mgle, by po kilku godzinach zderzyć się z barką węglową. Obie jednostki utonęły na głębokich wodach. Ojciec, Paul Sel, powiedział jej, że mama nie wróci, a jego płacz wskazywał, że stało się coś strasznego.

– Nie wiem, Mary May – mówił do siostry, której syn, Felix, był o rok młodszy od Jeanne. – Nie wiem, co mam robić. Jeanne nic nie mówi, nie chce bawić się z innymi dziećmi, chyba że w domu z Feliksem.

– To dobry znak – odpowiedziała Mary May. – Pozwól im przebywać razem. Dzieci dają sobie wspólnie radę z nieszczęściami. Albo jeszcze lepiej, niech Jeanne przyjedzie do nas. Wybierzemy się na piknik. Pomożemy jej przeżyć stratę Marty. Pomożemy tobie, Paul.

– Mnie nic nie pomoże – odpowiedział jej brat, ale nie sprzeciwiał się, gdy Mary May zabrała dzieci. Pojechał z nimi.

– Felix, Jeanne, chodźcie. Jedziemy na piknik.

Wyjechali z rezerwatu ściśnięci jak szprotki w puszce w kabinie starej szarej półciężarówki Paula. W środku pachniało stęchlizną i psem, którego kiedyś miał Paul.

– Dokąd jedziemy, dokąd jedziemy? – pytał raz za razem podekscytowany Felix.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Jeanne.

– Zobaczycie, jak dojedziemy.

Jechali do Kejimkujik Provincial Park. Mary May zwróciła się do dzieci:

– Dawno temu to miejsce należało do Mikmaków.

Jeanne i Felix wyskoczyli z radością z samochodu po wielu godzinach jazdy, podczas których zdrętwiały im nogi. Pobiegli w podskokach pod starą wielką choinę. Wokół wspaniałych szmaragdowych drzew leżały głazy.

Felix odkrył, że dolne części gałęzi lśnią srebrzysto, w cieniu rosną paprocie złotowłosy o delikatnych, wygiętych i czarnych jak heban gałązkach i drobnych, przypominających rękawiczki z jednym palcem listkach. Choiny wzdychały cicho. Dotknął *tsuga canadensis*.

– Szkoda, że mamusia tego nie widzi – szepnęła markotnie Jeanne, podziwiając lśniące gałązki paproci, wdychając piżmowy zapach.

Nad wodą rósł las idealnych geometrycznie zanokcic ciemnych i Jeanne, rozglądając się wokół, odkryła tysiące odcieni zieleni: cytrynowy, seledynowy, szmaragdowy. Był to niezapomniany dzień, piękny i satysfakcjonujący, na zawsze pozostał w pamięci dzieci.

W szkole średniej nauczyciele mówili o wyborze zawodu. Jeanne dowiedziała się, że botanicy żyją w świecie listków i łodyżek. Ale Felix Mius nie miał zamiaru pracować przy ropie czy gazie dla korporacji Encana czy zatrudnić się jako kelner w Mime'j Seafoods. Chciał studiować leśnictwo – wszyscy słyszeli o Jacksonie Miusie, który w latach sześćdziesiątych pracował w lesie z końskim zaprzęgiem, po czym rozpoczął studia na Uniwersytecie Maine, zrobił dyplom i dostał pracę w prowadzonych przez stan badaniach nad lasami. Coś osiągnął i Felix też coś osiągnie. Kuzynostwo wyznaczyło sobie cel, jakim było dostanie się na uniwersytet. Ale najpierw musieli skończyć dwuletni licencjat w lokalnym college'u. I wszystko było przeciw nim.

Po szkole średniej przenieśli się do należącego do cioci Alice domu Selów w Dartmouth. Ciocia Alice prowadziła w domu dzienną opiekę nad dziećmi, a od czasu do czasu gościła w nim młodych Mikmaków próbujących życia w mieście. Zapisali się do college'u i znaleźli sobie dorywczą pracę.

Kuchnia Alice była wiecznie pełna tłoczących się szkrabów, którzy poruszali się po jej niższym poziomie; na wyższym poziomie znajdowali się krewni i znajomi – chaos gwarantowany. Jeanne uważała, że mieszka w domu wariatów, aż którejś wrześniowej soboty zeszła na dół i stwierdziła, że w kuchni nikogo nie ma, a w domu panuje cisza. Na wysprzątanym stole, przy którym stały rozmaite krzesła, rozlewał się syrop miodowego jesiennego słońca. Kuchnia Alice była piękna.

– Ci dwoje bardzo przykładają się do nauki – powiedziała Alice podczas rozmowy z siostrą Mary May. – Dobrze, że siebie mają. Są jak rodzeństwo. – Siedziały w zatłoczonej kuchni, pijąc herbatę.

– No cóż, mam nadzieję, że… wiesz… do niczego nie dojdzie. Trochę mnie to martwi: że są tak blisko. Jako kuzynostwo. Modlę się, żeby nic złego nie przyszło im do głowy.

Alice spojrzała na siostrę z wyrzutem.

– Daj spokój. On się nią opiekuje. A Jeanne moim zdaniem w nikim się nie zakocha. A Felix umawia się z dziewczynami, jak ma pieniądze, i zaprasza je do kina. Jeanne nie. Jeanne chodzi sama na filmy.

Kuzynostwo bardzo się przykładało do nauki w college'u: bez odpowiedniej liczby punktów nie dostaliby się na uniwersytet. Żadne z nich nie posługiwało się płynnie językiem Mikmaków. Angielski był ich językiem ojczystym, ale często siadywali rano

przy komputerze, żeby uczyć się słów Mikmaków i ich wymowy zgodnej z tą, jakiej używał szczep Listuguj. Alice wszystko im psuła, krytykując ich starania.

W soboty Jeanne zawoziła pranie do pralni Bucket O'Suds. Gdy brudne rzeczy obracały się w pralce, przeglądała sterty podniszczonych czasopism i starych broszur, zawierających biografie mieszkańców prowincji. Jedna z nich zwróciła jej uwagę. Wydarła stronę.

Tego samego wieczoru, pijąc herbatę po kupionym w sklepie cieście, pokazała to, co przyniosła, pozostałym.

– To artykuł o niejakiej Sapatisii Sel. Przypuszczam, że to nasza krewna.

Felix roześmiał się.

– Bylibyśmy bogaci, gdyby każdy krewny Selów dał nam po dolarze. A co z tą Sapatisią?

– Piszą, że zbiera lecznicze rośliny i korę z drzew.

– Jeszcze jedna? – parsknął pogardliwie Felix. – Lecznicze rośliny! Przez lata tysiące białych przyjeżdżały tu, żeby studiować „medycynę" Mikmaków, wypytywali starsze kobiety z rezerwatu o tradycyjne metody leczenia.

– Znam Sapatisię – powiedziała Alice, sięgając po artykuł. Przeczytała go, przyjrzała się fotografii. – To córka Eggi. Jest naszą krewną ze Stanów. Kiedyś tu przyjechała. Piszą tu, że zna się na tradycyjnych leczniczych ziołach.

– I sadzi drzewa.

///

Felix nienawidził zajęć wyrównawczych z gramatyki angielskiej i pisania – wydawały mu się niepotrzebne dla przyszłego studenta leśnictwa. Nie chodzi o to, że nie lubił się uczyć – przeciwnie, razem z Jeanne połykali z radością wiedzę. Nieustanne studia i lektury dawały im się we znaki, więc postanowili kiedyś zrobić sobie wolny wieczór i pójść na wykład doktora Alfreda Onehube z Manitoby, który przedstawiał stan lasów na świecie.

Onehube okazał się wojowniczym obrońcą przyrody. Kilka osób związanych z produkcją i sprzedażą drewna wstało i wyszło z wykładu. Ale Felix i Jeanne zostali, siedząc na krawędzi krzeseł i słuchając z zapartym tchem wszystkich wymienianych grzechów ludzi wobec lasu.

– Weźmy taką wyłogłówkę jedlineczkę – doktor Onehube mówił z szybkością karabinu maszynowego. – Naturalny cykl opanowywania większych obszarów lasów przez te ektopasożyty wynosi z grubsza trzydzieści-czterdzieści lat. Owady znikają, wyczerpawszy zasoby pożywienia. Martwe drzewa padają w oczekiwaniu na pożar. Po pożarze z popiołów wyrastają nowe drzewa. Ale po II wojnie światowej nasz przemysł potrzebował tylu drzew, ile tylko da się ściąć na miazgę i papier. Wszyscy mieli nową broń chemiczną i samoloty z wojny. Więc gdy w latach

czterdziestych rosnące w tajdze świerki zostały zaatakowane przez wyłogłówkę jedlineczkę, Służby Leśne spryskały lasy DDT. Większość osobników wyłogłówki wyginęła, ale część okazała się odporna na DDT, więc znów zaatakowała świerki. Ten śmiertelny cykl trwał latami: opryskiwano wyłogłówki DDT, opryski wydłużały atak, opanowując coraz większe obszary leśne. Rzeka Miramichi, w której odbywa się największa na świecie wędrówka łososia atlantyckiego, zamieniła się w trujący ściek, bo DDT wybiło wszystkie małe organizmy wodne: skorupiaki planktonowe i larwy owadów, którymi w początkowym okresie życia żywią się łososie.

Przerwał i wypił pół szklanki wody, oblewając sobie przy tym marynarkę. Krople wody lśniły w świetle na wełnie, która je w końcu wchłonęła. Spojrzał w światła, wziął głęboki oddech i mówił dalej poważnym barytonem.

– Teraz znamy już skutki uboczne działania DDT. Ale co daje nam prawo do wyrażania opinii na temat skutków wielkich wycinek prowadzonych w bardzo wrażliwych ekosystemach? Hę? Mamy tu do czynienia z niezliczonymi niewiadomymi. I nie wiemy nawet, ile nie wiemy.

W końcu, gdy słuchacze zaczęli spoglądać na zegarki i wymykać się z poczuciem winy z sali, doktor Onehube zaczął kończyć wykład:

– Niekompetentna gospodarka leśna… ignorancja… włókno drzewne… zaburzenia… zniszczenia chemiczne… powolny

wzrost… nie do zatrzymania.

Przyciszył dramatycznie głos, przerwał i szepnął do mikrofonu:

– Teraz wykańczamy zimne rejony tajgi, wielkie obszary lęgowe dla milionów ptaków, miejsce, w którym oczyszcza się oddech ziemi, miejsce, z którego wiosną spływają do oceanu pożyteczne naturalne odpady, wszystko, co stanowi początek wielkiego łańcucha pokarmowego. Posłuchajcie mnie, ludzie… – zawiesił głos i spojrzał na słuchaczy. – Zabijamy… wielką… tajgę.

Słuchacze poruszyli się niespokojnie na krzesłach, potem rozległy się ciche oklaski i hałas składających się samoczynnie siedzisk. Ktoś z college'u powiedział, że w południe następnego dnia doktor Onehube wygłosi wykład o przeludnieniu, zatytułowany: „MWS: Miejsca Wyłącznie Stojące".

Gdy wychodzili z sali, Felix usłyszał za sobą czyjś szept:

– Kolejny przytulający drzewa szajbus.

Jeanne miała zaciętą twarz. Nie patrząc na Feliksa, powiedziała:

– Czuję się kompletnie wygłupiona i bezradna. Nie robimy nic innego, oprócz pakowania sobie do głowy pustych słów. Felix, co my możemy zrobić?

– Nie wiem.

Szli w milczeniu. Przestało padać, wiatr rozgonił chmury i ślizgał się po wodzie.

Po wezwaniu do podjęcia działania trudno było wrócić do zwykłego rozkładu zajęć, ale od czego należałoby zacząć? Jeanne uporządkowała sterty papierzysk i książek na swoim biurku. Znów natrafiła na artykuł o Sapatisii Sel wyrwany z broszury elektrowni i przeczytała go z nowym zainteresowaniem.

– Felix, chciałabym się dowiedzieć, dlaczego ona twierdzi, że stare lekarstwa Mikmaków nie mogą już być stosowane? Założę się, że wie, jak pomóc lasom. Piszą, że mieszka na Przylądku George. Pojedźmy tam i znajdźmy ją.

– Ale jak mamy tam pojechać? Nie mamy samochodu.

Odłożyli tę sprawę na kilka dni. Alice rozchorowała się na grypę, więc Jeanne została w domu, żeby zająć się dziećmi i gotować. Znajomi Alice z rezerwatu przynieśli chorej lekarstwa Mikmaków. Jeanne była zachwycona, widząc, że wciąż są używane i słysząc ich wdzięczne nazwy, choć nie miała pojęcia, co oznaczają: *wijok'jemusi, wisowtakjijkl, pako'si-jipisk, pko'kmin, miti, pakosi, tupsi, l'mu'ji'jmanaqsi, kjimuatkw, stoqon.* Rano, w południe i wieczorem Alice znosiła parówki, płukała gardło, piła ziołowe herbaty, wywary, esencje, wyciągi i infuzje.

– Widzisz – powiedziała Jeanne do Feliksa. – Tradycyjne leki wciąż są w użyciu. Ta Sapatisia musi nam wiele wyjaśnić.

Alice doszła do siebie po tygodniu, była zdrowa.

– Leżąc w łóżku, doszłam do wniosku, że zrezygnuję z zebrań Programu Pomocy dla Dzieci. Jestem już zbyt zmęczona – powiedziała. I rzeczywiście wyglądała na zmęczoną. Na jej

okrągłej twarzy pojawiły się plamy, była spuchnięta jak serowy suflet.

– Pojedźmy autostopem – szepnęła Jeanne do Feliksa, który zakładał starą zniszczoną kurtkę.

– Nie poddasz się, prawda?

Wyszedł na dwór przed zmrokiem.

Alice znalazła rozwiązanie.

– Ktoś was może podwieźć. Mam pomysł – powiedziała. – Johnny Stick wybiera się w tamte rejony. To miły facet. Teraz. Odkąd zaczął chodzić na te mitingi „prawdy i pojednania" przed kilku laty. Pomaga, gdy się wie, że nie jest się jedynym.

– A co mu było? – zapytał Felix, wyczuwając dziwny ton w jej głosie.

– Och, cierpiał przez wiele lat z powodu tego, co mu zrobili w dzieciństwie. W szkole z internatem.

– Nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy z nim pojechali?

– Nie. Absolutnie. Dostał pracę w tamtych stronach. Jest cieślą i będzie naprawiał poręcze przy schodach w starej latarni morskiej. Latarnia nie działa od osiemdziesięciu lat, ale jest atrakcją turystyczną. Latem na parkingu przed latarnią stoi furgonetka z frytkami i rybami. Właściciel ma duże obroty, ale od tłuszczu i soli wypacza się drewno, tak jak ta poręcz. Johnny mówi, że jedzie jutro rano. Wcześnie. I że macie zabrać koce. Bo będziecie spać na dworze przez parę nocy.

/ / /

Pan Stick zbliżał się do wieku podeszłego. Przed podróżą ogolił się starannie. Na tyle półciężarówki stała olbrzymia czerwona chłodziarka, a pod brezentem leżały fragmenty poręczy do latarni morskiej.

– Ładna klonowa poręcz – powiedział. – Polakierowana tak samo jak te patelnie, co do nich nic nie przywiera. Więc dokąd chcecie jechać na przylądku?

– Nie wiemy. To znaczy szukamy jednej kobiety, Sapatisii Sel. Ale nie wiemy, gdzie dokładnie mieszka.

– Dobra, umowa jest taka: pomożecie mi przy tej poręczy, a ja was zawiozę i przywiozę, i będziecie mieli gdzie spać. I co jeść.

Jeanne kiwnęła głową. Pan Stick przez długą chwilę wpatrywał się w horyzont, po czym wyrwał się z odrętwienia i burknął:

– Jedziemy. Wskakujcie!

Rozmawiali w drodze:

– Wiem, o kogo wam chodzi. O córkę Eggi Sela. Sapatisię. Na przylądku nie mieszka zbyt dużo ludzi: ci, co prowadzą motel i restaurację w sezonie turystycznym. A ona ma tam jakiś dom. Gdzieś.

Wszyscy wiedzieli, że cała okolica żyje z turystów, obrzydliwych turystów, którzy trzymają Nową Szkocję przy życiu.

– Ona się zna na tradycyjnej medycynie Mikmaków. Dlatego chcemy z nią porozmawiać – powiedziała Jeanne.

– Widziałem raz kobietę chodzącą z koszem wzdłuż klifu. Jak ją zobaczyłem, myślałem, że zbiera jagody, ale było po sezonie na jagody. Nie widziałem jej z bliska, nie mogłem o nic zapytać. Znam dobrze Eggę. Z dawnych czasów. Teraz myślę, że to była jego córka. Ale nie jestem pewny. Bo szła ścieżką na klifie pod latarnią morską. Widziałem ją, jak mierzyłem poręcz. Byłem tam przez trzy dni, spałem w samochodzie, a potem widziałem ją jeszcze parę razy. Musi tam rosnąć coś dobrego.

Po chwili ciągnął dalej:

– Ona jest Selówna. Znajdźcie mi jednego Mikmaka, co nie jest spokrewniony z Selami! Mam *gneg wetagutijig* kuzyna Sela. Nie za wcześnie wstaliście?

Jechał wolno w gęstniejącej mgle. Po chwili dodał, że Felix i Jeanne będą mogli szukać Selówny w przerwach w pracy.

– Sapatisia! Ona była na uniwersytecie i zjeździła kawał świata. Ale nie wiadomo, czy ją wypatrzycie, jak będzie taka mgła. Dzisiaj na pewno nie – powiedział i skręcił na żwirowy podjazd do latarni.

– Spójrzcie! – zawołała Jeanne, pokazując palcem magazyn. Ktoś tam przemknął.

– Nie, nie. Widzę ją! *Ala'tett*, tam daleko! – Pan Stick pokazał jakiś cień, który zaraz zniknął. – Poczekajcie do rana. Ona wróci.

Rozpalił ognisko na parkingu, podgrzał hot dogi na brudnej żeliwnej patelni. Potem ziewnął i położył się w kabinie półciężarówki, gdzie pociągnął jeszcze z butelki. Jeanne i Felix poszli do latarni i rozwinęli śpiwory.

Przez cały następny dzień nad latarnią morską wisiała ciężka nieruchoma mgła. Młodzi nosili poręcze i trzymali je nad schodami, gdy pan Stick przykręcał je śrubami do obejm. Czasem fragmenty poręczy nie pasowały do siebie, więc wynosił je na dwór, żeby dokonać poprawek. Pracował bez słowa. Przed zmrokiem stwierdził, że wszystko pasuje jak należy.

Następny ranek był pogodny i przejrzysty, wiał mocny wiatr, który wbijał się w rękawy kurtek. Pan Stick zjadł suchy chleb na śniadanie, nie podzielił się z nimi, napił się tylko czarnej zimnej herbaty z termosu i zapalił fajkę.

– Muszę trochę posprzątać – powiedział, mając na myśli schody latarni morskiej. Jeanne i Felix weszli tymi schodami na sam szczyt.

– Ale widok! Widzę dwa tankowce. Nie, jeden to prom.

– A ja widzę Sapatisię Sel – mruknął Felix. – Tam, na tych skałach.

Kobieta w płóciennym kombinezonie i kurtce dłubała w ziemi motyką. Na kamieniu obok leżał notes, wiatr targał kartki.

– Halo! – zawołała Jeanne. Kobieta podniosła głowę. Była niska i krępa, długie czarne włosy splotła w warkocz. Miała skośne jak Azjatka oczy. Nie odpowiedziała.

– Czy pani jest Sapatisią Sel?

Nieznajoma podniosła notes z kamienia i ruszyła szybkim krokiem w dół klifu, trzymając w ręku jakąś roślinę, z której korzeni sypała się jeszcze ziemia.

– Proszę, niech pani zaczeka! Chcemy porozmawiać!

Po minucie usłyszeli odgłos zapalanego silnika samochodu. Zanim zbiegli na dół, czerwony pick-up odjeżdżał z rykiem drogą. Zniknęła.

– Chyba nie lubi z nikim gadać – mruknął pan Stick. – Za dziesięć minut wracam do Dartmouth. Jedziecie ze mną? Czy zostajecie?

– Jedziemy – rzuciła Jeanne. Miała już tego dosyć, liczyła tylko na to, że pan Stick zatrzyma się przy jakimś sklepie po drodze. Ale się nie zatrzymał. Jechał coraz szybciej i szybciej poprzez mgły, w których zniknęła Sapatisia Sel.

Pan Stick, czując się po trosze winny za nieudane poszukiwania zielarki, poszedł do Loberta Sela – który niedomagał już trochę na głowę – zapytać o miejsce, w którym stał mały dom Sapatisii. Lobert drżącym palcem wskazał na mapie zatoczkę, która nosiła nazwę Pussle Cove.

– Kilka kilometrów na wschód od latarni. Nie ma żadnych tablic ani znaków.

Pan Stick pokazał brudną mapę Alice, która położyła ją wieczorem przy talerzu Jeanne. Więc mieli już adres. Żeby tam dojechać, Jeanne wypłaciła swoje oszczędności z East Coast Credit Union i dała je Feliksowi. Powiedziała mu, żeby wypożyczył samochód. Bo ona nie ma prawa jazdy.

Deszcz im nie przeszkadzał, bo oboje czuli się swobodnie jak na wakacjach. Wypożyczony samochód warczał radośnie, mokra droga rozwijała się przed nimi bez przeszkód, a wycieraczki wybijały powolny marszowy rytm. Jedli pączki z dżemem, które Felix kupił u Tima Hortona. Minęli latarnię w Wreck Point i Felix zwolnił.

– To tutaj. Gdzieś w okolicy. – Jeanne wskazała ledwo widoczną gruntową drogę odchodzącą od asfaltu i prowadzącą ku gęstwinie targanych wiatrem świerków. – Widzę ślady opon.

Felix skręcił ostrożnie w wypełnione wodą i smagane deszczem koleiny, wjechał powoli między niskie gałęzie. Mieli przed sobą maleńki niepomalowany domek, stojący nad samym morzem. Z komina unosiła się ledwo widoczna smużka dymu. Wszędzie rosły targane wiatrem świerki, a między nimi stała nieduża szopa. Na gałęzi drzewa przysiadł błotniak łąkowy.

Drzwi otworzyły się, zanim zapukali. W progu stanęła Sapatisia Sel w grubym szarym swetrze, jakby utkanym z mgły i

wrzośców. Przyglądała się im bez słowa. Nie była stara, ale zniszczona jak deska wyrzucona na brzeg.

– W porządku – odezwała się cicho. – Znów tu jesteście. Po co? Kim jesteście i czego chcecie? Słyszeliście kiedyś o terenie prywatnym?

– Przyjechaliśmy z Dartmouth – odpowiedziała Jeanne i przerwała, jakby to wyjaśniało wszystko.

– Tego się domyśliłam. Dlaczego mnie niepokoicie?

– Nazywam się Jeanne Sel, a to jest mój kuzyn Felix. Również Sel. Jesteśmy studentami. Przeczytałam ten artykuł… – podniosła pognieciony wycinek – …o pani. Mam kilka pytań.

– Jakich pytań? – Nawet nie spojrzała na wycinek.

– Mówi pani w tym artykule, że tradycyjne rośliny lecznicze Mikmaków nie nadają się teraz do użycia. Dlaczego nie? Jeśli wiemy, że jakaś roślina leczyła, dajmy na to, ból czy świąd, to dlaczego nie można stosować jej teraz? Nasza ciotka Alice rozchorowała się niedawno na grypę, wszyscy przynieśli jej lekarstwa Mikmaków i zaraz jej się polepszyło.

Sapatisia Sel wydała z siebie coś pośredniego między jękiem a westchnieniem.

– Dobry Boże, przejechaliście taki kawał, żeby mnie o to zapytać?

Brudne od soli okna wychodziły na Atlantyk, a sam ocean wydawał się zawieszony w przestrzeni. Jedyny stół w izbie

wyglądał tak, jakby go ukradziono z prowincjonalnego parku. Przy drzwiach stał olbrzymi, pomalowany na czerwono kredens.

– Kiedyś to była chatka rybacka – powiedziała Sapatisia. – Wyremontowałam ją. Odpowiada mi przez te kilka miesięcy, które tu spędzam.

Przy ścianie od zachodu stała ława, a na niej pełno narzędzi botanicznych: duży mikroskop, podniszczona, poczerniała ze starości prasa do roślin poprzekładana bibułami, spomiędzy których wystawały ciemne łodygi.

– Siadajcie – mruknęła Sapatisia, wskazując kciukiem stół. – A zatem chcecie się tak bardzo dowiedzieć, dlaczego nie możemy używać starych leczniczych roślin, że przejechaliście sto kilometrów w deszczu, żeby zapytać o to osobę, której nie znacie? Może uważacie, że znam odpowiedź? Otóż nie.

Niesplecione w warkocz włosy spadały jej na ramiona.

– Od czasów konkwisty powietrze wypełnia się pestycydami i nawozami chemicznymi, cząstkami spalin i dymu. Padają kwaśne deszcze. Nie ma już pierwotnej puszczy, a teraz zmienia się klimat. Czy umiecie sobie wyobrazić, że wszystkie dawne lecznicze rośliny rosną teraz w zupełnie innym świecie?

Feliksowi, który w dzieciństwie często bił się z innymi chłopakami, podobał się jej cichy niski głos, ale nie podobała mu się jej zaczepność.

– Kiedyś rośliny te rosły w otoczeniu zdrowych silnych drzew, które już nie istnieją; zastąpiły je słabe chorujące okazy. Możemy

się tylko domyślać, jakie symbiotyczne relacje istniały w dawnych czasach między tymi roślinami a drzewami i krzakami. – Wyjrzała przez okno, przytupując nogą. – Muszę przyznać, że jesteście dosyć niezwykłymi młodymi ludźmi, jeśli zdecydowaliście się tu przyjechać, szukając odpowiedzi na tego rodzaju pytania. Studiujecie botanikę?

Zaczęli jej opowiadać o sobie, o domu Alice i jak się tam znaleźli.

– Nie da się ukryć, że należycie do kategorii wciąż łudzących się idiotów – mruknęła Sapatisia Sel. – A teraz wracajcie do siebie i uczcie się dalej.

– Musimy zdać egzaminy, bo chcemy studiować na uniwersytecie.

– Po co to wam?

– Żeby coś robić, żeby kimś zostać.

– Już kimś jesteście. Chcecie być ważniejsi od biednych studentów z plemienia Mikmaków, którymi jesteście?

– Tak, chyba tak – odpowiedziała Jeanne, a Felix, który nie chciał kiwać głową, zrobił to.

– Ale nie chodzi nam tylko o nas – dodała Jeanne. – Felix interesuje się lasami i ja też. Chcemy zrobić dla nich coś pożytecznego.

Felix zauważył, że sztywne ramiona kobiety nieco się rozluźniły. Powiedział, że byli niedawno na wykładzie doktora Onehube o tajdze.

– No tak, Alfred potrafi zmuszać ludzi do działania.

– Zna go pani?

– Pracowaliśmy razem przy jakichś projektach. – Wstała, obeszła stół, podeszła do drzwi, otworzyła je i zamknęła. – Skoro mamy już za sobą lecznicze zioła, przyznaję, że oboje zaczynacie mnie interesować. Jesteście młodzi i zieloni. Nie macie pojęcia o świecie ani o tym, jaka was spotka kara za to, że macie czelność marzyć o karierze.

Felix wyjrzał przez okno i w gęstniejącym mroku dojrzał błotniaka lądującego na drzewie ze zdobyczą w szponach. Myślał o długiej drodze powrotnej.

– Mówi pani jak nauczycielka. Jest pani nauczycielką?

– Robiłam różne rzeczy na uniwersytecie, nauczałam i wykładałam. Ja też marzyłam o karierze, zrobiłam karierę, a potem ją zostawiłam. Nauczyłam się wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, że świat, który stworzyliśmy, rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Ale pomoc nie nadchodzi. Już nie nauczam. Zajmuję się własnym projektem i nad nim pracuję. Z innymi. Interesuję się nakładającymi się na siebie ekosystemami, trudnościami w zrozumieniu tkanki świata przyrodniczego. Więc jeśli przyjechaliście tu po to, żeby omówić badania nad genomami leczniczych ziół, źle trafiliście.

Feliksowi nie spodobała się ta kobieta, ale Jeanne siedziała z rozdziawionymi ustami, wpatrując się zachłannie w Sapatisię Sel, chłonąc każde jej słowo i zdanie.

– Przyglądamy się modelom, badamy przyczyny i domniemane skutki, zmagamy się z niewiadomymi, martwimy się wzrostem populacji. Liczba ludzi przerosła populację każdego ssaka, który kiedykolwiek istniał. Nie wiadomo, czy to się kiedyś zatrzyma. Śnią nam się koszmary o prądach oceanicznych i wymieraniu rozgwiazd, topniejących lodowcach, gwałtownych zamieciach. I myślimy o degradacji lasów. Lasów, które były początkiem wszystkiego i pewnie wszystkiego końcem, jak mówi Onehube. – Mówiła tak cicho, jakby szeptała do siebie. – Są też inni, którzy wskazują na straszniejsze problemy i straszniejsze końce. Straszniejsze od tych, o których śni nocami Alfred.

Zdaje się, że skończyła przemowę, bo rzuciła w ich stronę notes i powiedziała:

– Zapiszcie mi swój adres. Będziemy w kontakcie.

A potem posłała ich w drogę.

70

ŚWIATŁO KSIĘŻYCA

Z równonocy wyłoniła się niezdarnie jesień, jednego dnia gołoledź, a następnego słońce polerujące gałęzie drzew. Po okolicy pałętały się irytujące niedobitki turystów. Jeanne, która pracowała w weekendy w punkcie informacji turystycznej, kolekcjonowała (jak wszyscy) idiotyczne pytania przyjezdnych, a zwłaszcza Amerykanów, którzy uważali, że z Halifaksu do Antigonish jest bliżej, jeśli odległość podaje się w kilometrach, a nie w milach.

– Spóźnię się, spóźnię się! – biadolił Felix. Po kuchni skakał biały króliczek. Felix chwycił niedosmażony kotlet i pobiegł na górę.

– Nie jedz jeszcze tej wieprzowiny! – krzyczała za nim Alice. – Jest na pół surowa! Puknij się w głowę. I dostałeś list.

Felix robił dwie rzeczy jednocześnie: przebierał się i żuł niedosmażony wieprzowy kotlet. Zerknął na zegar. Po drodze do tylnych drzwi rzucił nadgryziony kotlet z powrotem na patelnię i chwycił ze stołu pękatą kopertę. „Breitsprecher Tree Project” – tak nazywał się nadawca. Poniżej był adres w Chicago. Zatrzymał się, obrócił kopertę w ręku.

– Jeanne też coś takiego dostała – powiedziała Alice, wskazując podbródkiem talerz kuzynki, o który opierała się koperta. – Znów się spóźnia, chyba coś jej wypadło w szkole.

Felix rozdarł kopertę i wyjął list. Kiedy go rozkładał, coś wysunęło się ze środka i wpadło pod stół. Przeczytał list, a potem przeczytał go po raz drugi, nic nie rozumiejąc. W liście napisano, że otrzymał stypendium w wysokości pięciu tysięcy dolarów od Breitsprecher Tree Project. Pismo podpisał ktoś, kto nazywał się Jason Bloodroot. Co to znaczy? Przeczytał list po raz trzeci i wyjął spod stołu czek. Wystawiony na nazwisko Feliksa Sela. Wyglądał na prawdziwy. Dopisek do listu informował go, że w ciągu dziesięciu dni powinien skontaktować się z doktor Sapatisią Sel w celu uzyskania dalszych informacji o projekcie.

– Niech mnie diabli porwą! – wrzasnął. – Doktor Sapatisia Sel!

W liście był jej adres i numer komórki. Wrzasnął raz jeszcze – z radości – tak głośno, że usłyszała go idąca ulicą do domu Jeanne. Gdy weszła do kuchni, Felix i Alice tańczyli wokół stołu. Otworzyła swój list.

– Zadzwoń do niej – poprosił Felix. – To ty nalegałaś, żebyśmy do niej pojechali. Więc zadzwoń.

Następnego dnia przy kolacji Felix studiował mapę drogową prowincji, szukając alternatywnej trasy.

– Poprzednio jechaliśmy za długo. Ale co powiesz na to… – dźgnął długopisem mapę – …skrót.

Jeanne była już na tyle dorosła, żeby wiedzieć, że żaden mężczyzna nigdy nie zrezygnuje z jazdy nieznanym mu wcześniej skrótem.

Cytrynowy wypożyczony samochód klekotał na kocich łbach. Droga wzdłuż wybrzeża była zdecydowanie lepsza. Jazda skrótem przypominała podróż wyschniętym dnem strumienia. Wypożyczony samochód był z tyłu jakby obciętą siekierą (jakby jeździł nim drwal), ale okazał się technologicznym cudem. Jeanne bawiła się ekranem dotykowym nawigacji.

Wyrwy w asfalcie sprawiały, że czuli się jak na kolejce górskiej. Samochód nie nadążał z rytmem wysadzin asfaltu od mrozu. Wzdłuż drogi nie było żadnych miasteczek, żadnych siedzib ludzkich, a trzecie pokolenie świerków i krzaków dawało pojęcie o pierwotnym borze, rosnącym tu sto lat wcześniej. Ze wzniesienia widzieli szary ocean i szarą linię deszczu. Maleńkie krople mżawki opadły na przednią szybę.

– To chyba nie jest trasa turystyczna – mruknął Felix, objeżdżając urwaną gałąź. – Nie jestem pewny, gdzie jesteśmy. A ten miejski samochodzik nie nadaje się w takie trasy.

– Ale widzimy morze, więc ta lepsza droga musi być między nami a wybrzeżem. Jak zobaczysz skręt w prawo, skręcaj.

– Która jest godzina?

– Dochodzi jedenasta. Spóźnimy się.

Samochód wpadł do kilku dziur pod rząd. Coś ciemnego i cienkiego przemknęło przez drogę.

– Co to było?

– Norka. Duża. Uciekają z ferm hodowlanych.

– Pamiętasz, co o tych fermach mówił doktor Onehube: zanieczyszczają rzeki, a norki, które uciekają, krzyżują się z dzikimi i wprowadzają trwałe zmiany genetyczne.

Droga wyglądała teraz jak błotnista, rozjechana sterta kamieni. Felix ściskał kierownicę i jechał bardzo powoli, samochodem szarpało.

– Wiesz co… – powiedział. – Trafiłem na coś interesującego o doktor Sapatisii Sel. Zgadnij co?

– Co? Wybrali ją na królową balu absolutoryjnego?

– Niezupełnie. Była zamężna. A jej mężem był ktoś, kogo znamy.

– Kto!? – Jeanne nie wierzyła w ani jedno słowo Feliksa. Jakim cudem jej bohaterka mogła mieć męża!

– Może nie tyle go znamy, ile… jak by to powiedzieć… słuchaliśmy go.

– Chyba nie chcesz mi wmówić, że to doktor Onehube?

– Owszem. Była jego studentką, a potem wzięli ślub.

Jeanne zadrżała. Wolała Sapatisię jako Samotną Bohaterkę.

– Tak czy inaczej, co to za różnica? Rozwiedli się.

Jeanne nie odpowiedziała.

– Onehube jest w porządku. Zmobilizował nas.

– Ciekawe, dlaczego się rozstali?

Zjechali ze wzgórza, mijając jakieś zabudowania z płyt pilśniowych i blachy – na jednym z nich wisiała rozpaczliwa tablica „Na sprzedaż". Nagle chmury zaczęły pękać, niczym stare płótno, ukazując jasnoniebieskie halki. Promień słońca nasycił kolorami wypraną z barw okolicę, dotknął morza. Stado wędrownych ptaków przecinało niebo jak oszalałe nożyce.

– Niedługo będziemy na miejscu – mruknął Felix. – Ale nie wiem, gdzie jesteśmy.

Jeanne zaczęła wodzić palcem po ekranie nawigacji. Na nitce drogi pojawiła się czerwona kropka.

– Patrz! To my! Na drodze!

– W porządku – mruknął Felix.

A Jeanne obiecała sobie, że kupi taki samochód, gdy tylko wystarczająco zarobi. Nagle odezwał się głośny kobiecy głos:

– Za pięćset metrów skręć w prawo.

Jeanne aż pisnęła.

– Za mało bywasz – rzucił z przekąsem Felix, skręcając na mokrą nadmorską drogę. Słońce zamieniło asfaltową jezdnię w czarny lakier, po kilku kilometrach minęli latarnię.

Obok czerwonego pick-upa Sapatisii stał napoczęty przez rdzę sedan i pokryty błotem, a przez to bezbarwny dżip. Felix zaparkował obok niego. Po zawietrznej domu stały dwa duże namioty. Na jednym wisiała tablica: PANOWIE.

– Drugi jest dla pań? – zapytała Jeanne. – To toalety?

– Pytasz jak turystka! Toaleta jest tam! – Pokazał kciukiem małą szopkę nad klifem. Błotniak siedział na swojej gałęzi i przyglądał się im uważnie. – Moim zdaniem te namioty służą do spania.

– Wejdźmy do środka.

Błotniak zaklekotał głośno *tektektektek*.

Izba wyglądała inaczej, cieplej, bardziej po domowemu. Na pochodzącym z kradzieży piknikowym stole leżało pełno papierów, do tego dwa laptopy, karton mleka migdałowego i plastikowe talerze. Przy stole siedziała Sapatisia, dwie młode kobiety – jedna ze staranną czarną fryzurą, a druga blondynka – oraz opalony mężczyzna w koszuli w kratę. Pili jakiś napar – golteria, pomyślała Jeanne, czując ożywczy aromat – i jedli pieczone udka.

– Dojechaliście – powitała ich Sapatisia. Miała na sobie brudne dżinsy i ten sam co poprzednio gruby szary sweter. – Siadajcie i częstujcie się. – Surówka z białej kapusty… gdzie ona jest… – Podniosła się od stołu.

– Mam ją – odpowiedział mężczyzna. Miał jakby podbite oczy. Był starszy od pozostałych, wysoki i szczupły, z blizną przy ustach, która zamieniała dolną wargę w skośną kreskę. Wyciągnął długą rękę i pchnął surówkę w ich stronę. Zmierzył oboje wzrokiem.

– To Tom Paulin – przedstawiła go Sapatisia, a potem przedstawiła pozostałych: – Jeanne Sel, Felix Sel, Tom Paulin,

Hugdis Sigurdsson i Charlene Lopez. Zjedzmy, a potem porozmawiamy o projekcie.

Gęste czarne włosy miała upięte z tyłu w koński ogon. W jej oczach odbijało się wpadające przez okno światło. Felix powtórzył w myślach: „Tom Paulin", Tom Paulin od surówki z białej kapusty. Było w nim coś – w jego wyprostowanych plecach i sposobie poruszania się – co wskazywało napięcie.

Wrzucili kości kurczaka do pieca. Jeanne czuła, jak się przypalają.

– A zatem – odezwała się Sapatisia – do rzeczy. Pokrótce: Breitsprecher Tree Project zajmuje się zalesianiem. Pracujemy z ponad trzydziestoma grupami zajmującymi się ochroną przyrody, najczęściej w ramach ich programów. Cała nasza szóstka stanowi grupę roboczą. Wolelibyśmy, żeby było nas dziesięcioro, ale tym razem jest nas tylko sześcioro. Później może ktoś jeszcze dołączy. Będziemy jedynym zespołem pracującym w tym sezonie w Nowej Szkocji, a jest mnóstwo do zrobienia. Będziemy sadzić drzewa i monitorować kilka kontrolnych działek, na których posadzono drzewa przed trzema laty. Prowadzimy szczegółowe obserwacje, jak sobie radzą przez dziesięć lat. W zeszłym roku na jednej z działek pojawiła się chloroza. Dziesiątki zmiennych. Mam swoją ulubioną grządkę, na której sprawdzamy wpływ mikoryzy na wzrost sadzonek. Spalona ziemia jest pozbawiona najczęściej grzybów zdolnych do mikoryzy, a sadzonki kiepsko sobie bez nich

radzą, bo obecność grzybów zwiększa pobór środków odżywczych i mineralnych.

Sapatisia spojrzała na zgromadzonych przy stole: Jeanne i Felix sporządzali notatki, Charlene wpatrywała się w nią, Tom Paulin zachowywał swój zwykły dystans. Zwróciła się do niego:

– Wracaj do nas, Tom.

Powiedziała to cicho. Znała go trochę. Przed kilku laty był bliski śmierci w Afganistanie, a kiedy wrócił do domu, uratowały go drzewa. Spojrzał na nią, uśmiechnął się krzywo, a właściwie tylko błysnął zębami, jakby ktoś puścił lusterkiem zajączka na jego usta. Mówiła dalej:

– Jak będziemy mogli, odwiedzimy ekoregiony prowincji. Zaczniemy już jutro od tutejszego płaskowyżu. Poznawanie niedużych obszarów jest bardzo przydatne, dobrze jest znać ich wyjątkowość. Kiedy nauczymy się oceniać specyficzne warunki geograficzne, glebowe i hydrologiczne, szacowanie nowych miejsc staje się drugą naturą.

– Wspomniałaś o ekoregionach – przerwał jej Felix. – Czy pojedziemy gdzieś dalej, czy będziemy badać je tylko tutaj?

Tom Paulin kiwnął głową i dolał sobie naparu do kubka z symbolem Mù – chińskim ideogramem oznaczającym drzewo.

– Sesja trwa trzy miesiące i przez ten czas zostaniemy tutaj. W następnym roku możesz wybrać się do tropikalnych lasów deszczowych.

Jeanne zauważyła, że Sapatisia ma ogorzałe dłonie o połamanych paznokciach. Spojrzała na swoje własne nieprzydatne ręce. W izbie zapanowała cisza, słychać było tylko nieustanne krzyki błotniaka.

– Jeśli lubicie jakiś szczególny rodzaj pracy, możecie się wyspecjalizować. Tom zna się na pożarach lasów i wylesieniu. Charlene jest naszą specjalistką od technik sadzenia. – Wskazała brodą ładną kobietę o nosie jastrzębia i skomplikowanym koku na potylicy. Jeanne zastanawiała się, jak Charlene radzi sobie z włosami w namiocie.

– Dobrze – mruknęła Sapatisia. – Podstawowe informacje dla nowo przybyłych. Tree Project zapewnia dach nad głową i jedzenie, opłaca koszty podróży, sprzęt i narzędzia. Czasem będziecie mieszkać w namiocie, czasem w hotelach, a czasem u zaprzyjaźnionych gospodarzy. W tym miesiącu mieszkamy w namiotach. Zespół pracuje wspólnie na jednej działce. Praca jest ciężka i brudna. W przyszłym tygodniu Charlene pokaże Jeanne, Feliksowi i Hugdis, jak sadzimy drzewa. Będziemy sadzić świerki, brzozę, jodłę, klony i choinę na kilku zdegradowanych karczowiskach i spaleniskach, położonych na tyle blisko, że możemy mieć tutaj obóz. Podzielimy się obowiązkami w kuchni, przy gotowaniu i sprzątaniu.

– Więc ten projekt nie dotyczy leczniczych ziół? – zapytał Felix. Zauważył, że Sapatisia często zerka na Charlene. O co tu chodzi?

– Może dotyczyć leczniczych roślin tam, gdzie występują. Nie myśl sobie, że lecznicze rośliny przynoszą korzyść tylko ludziom: korzystają z nich także zwierzęta i inne rośliny. Często musimy zgadywać, z czego składa się podszyt, bo na mocno zdegradowanych obszarach nie jesteśmy pewni, co tam rosło przed wycinką. Przekonasz się podczas trwania projektu.

Samiec błotniaka sfrunął z drzewa, a jego cień przemknął za oknem.

– Jutro – ciągnęła Sapatisia – pojedziemy na płaskowyż, żeby zbadać lasy mieszane.

Z czerwonego kredensu wyjęła kilka notesów z napisem BREITSPRECHER TREE PROJECT.

– Do notatek podczas pracy w terenie. Nie zapominajcie zaglądać do biblioteki projektu w sieci. Jest tam mnóstwo informacji. – Podniosła ze stołu plik papierów. – Tu znajduje się skrótowy opis geologii i gleby, jakie jutro zobaczymy. Do tych notatek możecie dodać własne obserwacje. I pamiętajcie, że tam, gdzie są wzniesienia, muszą być także niziny z bagnami i mokradłami, wszystko to jest ze sobą powiązane.

– I łosie – mruknął Felix. Brał udział w projekcie. Chciał się nauczyć wszystkiego.

– Tak. I wydry, borsuki, szczury piżmowe, ważki, komary, żuki i robaki. Wszystko, co składa się na życie w lesie. Starajcie się patrzeć na całość z punktu widzenia lasu. – Mówiąc to, spoglądała na Toma Paulina. A potem dodała szybko: – Jeśli będziecie mieli

pytania dotyczące pożarów i gleby, zgłaszajcie się do Toma. I zawsze dzielcie się wiedzą.

Na podanych przez nią kartkach Felix zauważył wiele nieznanych słów: glina morenowa, gleby bielicoziemne, intruzje proterozoiczne, gleby glejowe, gleby płowe. Kanadyjski system klasyfikacji gleby bardzo go ekscytował. To była prawdziwa wiedza.

Jeanne chciała zadać pytanie, które prześladowało ją, odkąd otworzyła kopertę i zobaczyła wypadający z niej czek.

– Ale dlaczego my? – zapytała. – Dlaczego uważasz, że powinni to robić Mikmakowie?

Tom Paulin spojrzał na Jeanne, jakby zobaczył ją po raz pierwszy, jakby była nieodkrytym lądem.

– W tym projekcie biorą udział nie tylko Mikmakowie. Owszem, są z nami, a my jesteśmy nawet, jak wiesz, spokrewnione, ale Hugdis pochodzi, na przykład, z Islandii, a Charlene z Meksyku. Tom natomiast z południa Stanów. Wielu ludzi pracujących w Brazylii, Peru, Kolumbii, Kambodży, na Sumatrze, w Wietnamie, na Zachodnim Wybrzeżu Stanów przy sadzeniu lasów i oczyszczaniu skażonych rzek to potomkowie rdzennych mieszkańców lasów. Wydziedziczonych ludów, które mieszkały w lasach przez tysiąclecia, a obecnie chcą przywrócić swoje środowisko do życia. Tacy ludzie najlepiej rozumieją, jak się leczy lasy. Żeby przywrócić światu wielkie puszcze, trzeba tysięcy lat. Żadne z nas nie zobaczy w pełni dojrzałych rezultatów naszej

pracy, ale trzeba się starać, nawet jeśli jest nas tak mało: kilkoro ludzi z wiadrami sadzonek, pracujących przy odbudowie małych fragmentów lasu. Dla nas, ludzi, rzeczą najważniejszą… brakuje mi słów, by opisać, jak ważną… jest wspomożenie ziemi w odzyskaniu najżywotniejszej okrywy z drzew. A lasy ze swej strony nam pomogą. Mają wprawę w odbudowywaniu siebie. Teraz jadę do marketu Sobeys. Umawiamy się na obiad na wpół do szóstej.

Wyszła, usłyszeli silnik czerwonego pick-upa wjeżdżającego na wzgórze.

– Kiedy wspomniała o ludach z lasów – powiedziała Jeanne do Hugdis – chciałam zapytać ją, czy nasze wyobrażenie o idyllicznym życiu plemion w dziewiczych lasach nie jest przypadkiem mitem, podobnie jak mit o samych dziewiczych puszczach sprzed przybycia białych. Moim zdaniem, wprowadzając mieszkańców lasów do nowoczesności, wyświadczamy im przysługę.

– Jeanne! – zawołał oburzony Felix. – Przecież nie traktujesz jako przysługi „wprowadzenia” Mikmaków przez Francuzów i Anglików do ich „nowoczesności”. Wiem, że tak nie myślisz.

Jeanne zaczerwieniła się ze wstydu.

– To coś innego.

Hugdis zmieniła temat, opowiadając dziwną historię o tym, jak oszalali naziści usiłowali przekształcić Puszczę Białowieską w

Polsce w olbrzymi dziewiczy las: krzyżowali bydło, by uzyskać gatunek zbliżony do wymarłego tura[50]. To z kolei skłoniło Toma to opowieści o smutnym Afganistanie, gdzie biedni ludzie rąbią na opał ostatnie żałosne resztki drzew. Rozmawiali do czasu powrotu pick-upa. Jedno ich łączy jako grupę, pomyślał Felix, wszyscy lubią rozmawiać o drzewach.

///

– Dziś spaghetti – powiedziała Sapatisia, wracając do domu z torbami jedzenia i butelkami wina. – Jak wam nie będzie smakować, macie szansę się wykazać w kolejne dni.

Tom Paulin zapełnił skrzynię drewnem na opał i rozpalił w piecu. Charlene postawiła na nim duży garnek, Jeanne i Hugdis siekali cebulę i zieloną paprykę, Felix kroił długie zmarszczone salami na niemal przezroczyste plasterki, a potem rozkładał talerze i sztućce. Sapatisia dodała sos do makaronu i postawiła garnek na stole.

Przy jedzeniu rozmawiali o życiu i rodzinach, ale wszyscy zerkali na Sapatisię. Przyciągała uwagę. Dla Jeanne, która uznała się za jej uczennicę, Sapatisia uosabiała wszystko, co dobre.

Gdy skończyli jeść, było już prawie ciemno. Tom Paulin wyszedł na dwór, a reszta sprzątała ze stołu. Sapatisia przepłukała imbryk. Jeanne zaczęła zmywać. Wrócił Tom i powiedział:

– Wschodzi księżyc.

Wszyscy widzieli jego czerwony dysk za oknem, poszarpany przez oceaniczną mgłę. Wyłaniał się majestatycznie z morza, blednąc, gdy znalazł się wyżej. Wydawał się tak blisko, że można byłoby spróbować dorzucić do niego harpunem, ale gdy się wznosił, stawał się mniejszy. Jeanne wiedziała, że pozorne oddalanie się księżyca wynika z atmosferycznych zniekształceń, ale przypuśćmy, pomyślała, że tym razem księżyc będzie malał i malał, aż stanie się nie większy od dłoni machającej na pożegnanie z pokładu promu.

Stary piecyk ogrzewał izbę, a oni usiedli z kubkami herbaty i rozmawiali dalej, wracając do wcześniejszej rozmowy o tropikach.

– Wygląda na to – powiedziała Sapatisia – że bardziej interesują was lasy tropikalne niż tajga.

– Są bardziej zagrożone, prawda? Czytam bez przerwy, że lasy na Sumatrze znikną za dwadzieścia lat – powiedziała Jeanne. – Więc trzeba coś szybko zrobić.

– Myślisz, że tajga jest mniej zagrożona? To nieporozumienie. Romantyczne tropiki robią na tobie większe wrażenie. Media poświęcają im dużo uwagi, wszyscy rzucili się na Disneya za używanie miazgi z kradzionych tropikalnych drzew na książeczki dla dzieci. Firmy produkujące podłogi z twardego drewna przysięgają nagle, że używają surowca z ekologicznych plantacji drzew.

Ciągnęła dalej:

– Charlene, spędziłaś trochę czasu w Brazylii i Kolumbii. Ile drzew i ile gatunków drzew rośnie twoim zdaniem w Amazonii?

– Mój Boże, nikt tego nie wie! Panuje tam tak olbrzymia biodywersyfikacja, a przeróżne gatunki są rozrzucone na tak wielkich…

Przerwał jej Tom.

– W zeszłym roku czytałem raport Field Museum, w którym napisano, że rośnie tam szesnaście tysięcy gatunków i nie pamiętam, ile milionów drzew.

Sapatisia kiwnęła głową.

– Jak, do cholery, można to pojąć, jeśli w Ameryce rośnie zaledwie tysiąc gatunków! Szesnaście tysięcy! – Sapatisia uśmiechnęła się kwaśno. – Tak, jak mamy pojąć te olbrzymie zróżnicowane liczby? Ale w tym samym raporcie napisano również, że połowa drzew należy do znacznie mniejszej grupy dwudziestu siedmiu dominujących gatunków, w tym kakaowca, kauczukowca, euterpy warzywnej i orzesznicy brazylijskiej.

Charlene dolała wszystkim herbaty.

– Ludzie uprawiają te drzewa od wieków. Czy przypadkiem nie jest tak, że gatunki te stały się dominujące ze względu na to, że je uprawiamy?

Sapatisia wzruszyła ramionami.

– Bardzo możliwe. Nie wiemy tego. Niektórzy są pewni, że te dominujące gatunki znalazły się w uprzywilejowanej pozycji,

ponieważ uprawiały je przed konkwistą tamtejsze rdzenne ludy. Z drugiej strony są tacy, którzy twierdzą, że drzewa te były zawsze dominujące i znajdują się w naturalnie stabilnym stanie. Ciekawa zagadka. I na tym polega atrakcyjność tego wszystkiego – ciągnęła. – Na umykającym naszemu pojmowaniu składzie ekosystemów w ogólności. Trudno żyje się w wirującym świecie niemal halucynacyjnych zmian. Ale jakże to interesujące!

Tom Paulin pochylił się. Felix doszedł do wniosku, że weteran rozluźnił się po posiłku, może za sprawą wina.

– Zastanawiam się nad drugim końcem amazońskiego kija: nie nad gatunkami dominującymi, ale rzadkimi. Wymierającymi. Zastanawiam się nad „ciemną dywersyfikacją", taką jak ciemna materia.

– Ciemna dywersyfikacja? – zapytał Felix. Spodobało mu się brzmienie tego terminu.

– Coś w rodzaju nieobecnej obecności. Jak podniesiesz z ziemi zalewany wodą kamień, na ziemi zostanie jego odcisk, choć kamienia już nie ma: nieobecna obecność. Powiedzmy, że istnieje jakaś rzadka roślina, która wywiera wpływ na rosnące wokół niej drzewa i krzewy. Powiedzmy, że zmieniają się warunki i ta rzadka roślina wymiera. Więc jej nieobecność wpływa na pozostałe rośliny: ciemna dywersyfikacja.

– Ale gdy przywróci się pierwotne warunki, ta roślina wróci? – zapytała Jeanne. – Chcesz powiedzieć, że wymieranie nie jest nieodwracalne?

– Jutro usiądź obok mnie w samochodzie, a zastanowimy się nad ciemną dywersyfikacją i ciemną materią. Teraz chce mi się spać. – W oczach Toma Jeanne nie była ładna, ale miała piękny delikatny odcień skóry. I piękne uczucia. I piękny umysł.

Nikt nie mógł spać przy takim księżycu. Wredne księżycowe światło zakłócało odpoczynek. Było jak kwas rozlewający się po ziemi, przesączający się w każdą szparę.

Felix myślał najpierw o różnych rodzajach gleby, a potem o nienarodzonych jeszcze milionach drwali. I o tym, jak ważna według Sapatisii była ta praca, która nie jest karierą, lecz powołaniem na całe życie. Słuchał Onehube – czy on, Felix, mógłby stać się taki jak on? Przemknęła mu przez głowę senna myśl, że może już to robi, pracuje w lesie. Czy zdoła obejść przeszkodę college'u, a nawet uniwersytetu? Tak, znalazł się na krawędzi lasu. Tu był początek. Nikt go nie powstrzyma.

Jeanne czuła wielką radość, jakby ujrzała promień słońca przebijający się przez ciężkie chmury. Miała poczucie, że któregoś dnia jej życie wypełni się liściastym sensem. Dzięki Sapatisii Sel.

///

Tom Paulin leżał w zniszczonym przez podróże śpiworze i wspominał Afganistan i zabitych towarzyszy broni, wszystkich żołnierzy złączonych dojmującym doświadczeniem, którego nie są w stanie pojąć postronni. Oto jego ciemna dywersyfikacja. W cywilu poczuł nieznośną samotność; kwaśny smak braku swojego miejsca i łączności tylko z tamtą rozbitą grupą żołnierzy, zeszytych ze sobą na zawsze jak części marynarki; teraz był, myślał, jak jej urwany samotny rękaw. A potem nad jeziorem Seeley spotkał ludzi sadzących modrzewie. Uciekając przed samobójczą rozpaczą, przyłączył się do tej ekipy w starym modrzewiowym lesie, nad którym błyskawice rozrywały letnie niebo. Indianie wypalali poszycie, żeby wyrosła na nim trawa dla jeleni, ale przez ostatnie sto lat gęstwiny daglezji wyparły kiełkujące modrzewie. Dotknął delikatnych igieł tego drzewa. W jego głowie pojawiła się nieproszona myśl – że jeden z zabitych przyjaciół żyje w tym młodym drzewie. Piekący ból po jego stracie zmniejszył się. Ludzie od modrzewi wypalili teren wokół starych drzew, a w następnym roku pojawiły się tysiące młodych modrzewiowych pędów. Pojechał do innych lasów i w każdym młode drzewa stawały się braćmi, których stracił. Im więcej sadził drzew, tym liczniejsza stawała się grupa ocalonych.

Sapatisia rzucała się na łóżku na strychu chaty, gdzie kiedyś rybacy składowali swój sprzęt. Na strychu czuć było słaby odór stęchłej pościeli i starej wełny, przedpotopowych rybackich kaloszy

i drewnianych rączek noży do skrobania łuski. Każde miejsce na świecie, myślała, ma swój własny niepowtarzalny zapach. Zapach dawnych Mikmaków musiał przypominać woń mokrych kamieni, morskich wodorostów, sosny i świerka, starej iglastej ściółki pod drzewami i jeszcze woń słonego wiatru i sasafrasu, słodkowodnych ryb i ludzi żyjących w lesie, których włosy i członki oczyszczają się w powiewach świeżego powietrza. Przewróciła się na bok i zajrzała przez szparę w podłodze na dół, gdzie księżyc pływał w filiżankach z resztkami herbaty. Przewróciła się na drugi bok i spojrzała na rozjarzone morze.

Jej myśli poszybowały do góry jak bąbelki we wrzącym imbryku. Nic jeszcze nie jest zrobione. Nic nie zostało powiedziane, nic nie jest gotowe. Nie powiedziała im jeszcze o niebezpieczeństwach, o tym, że ekolodzy, ludzie odbudowujący las, są atakowani i zabijani, że jakakolwiek ingerencja w zyskowne niszczenie lasów wywołuje odwet. Nie wspomniała o zalewie propagandy i kłamstw, w którym mogą się utopić. Nie zwróciła im uwagi na wybuchające w lasach pożary, szalejące na bogatych w węgiel torfowiskach kanadyjskiej tajgi, płonących w takich temperaturach, o jakich nie śniło się na torfowiskach Eurazji, nie mówiła o niekontrolowanych pożarach koron drzew, zmieniających ziemskie albedo. Rano musi im o tym wszystkim powiedzieć.

Biła się z myślami. Czy sprawdzą się jako grupa? Nie każdy nadaje się do takiego życia. Felix się nada – aż się palił do tej roboty. Tom Paulin był opoką, poniesie tę grupę, jeśli zachowa

życie. Jeanne może stać się wspaniała, gdy odnajdzie drogę. Poczekamy i zobaczymy. Hugdis wyjedzie w listopadzie. No i Charlene… Charlene dąsająca się z powodu jakiejś wyimaginowanej urazy. A Mayara… nie, nie będzie jej wspominać, nie będzie! Ale Mayara nie dawała za wygraną, wracała do niej ta ciemna metyska aktywistka – Mayara, siostra, córka, kochanka. Tak, bardzo piękna. A zdradliwa pamięć wracała do dnia, w którym Mayara zabrała zagraniczną dziennikarkę w podróż, żeby pokazać jej nielegalną wycinkę w rezerwacie: czerwone mahoniowe kłody leżące na ziemi, jeszcze mokre od soków. I wtedy wrócili drwale, ale zamiast pił łańcuchowych mieli broń. Jakby wiedzieli. Oczywiście, że wiedzieli. Po kilku sekundach było po wszystkim. Krótka salwa ognia. Na zdjęciach Mayara była zgięta wpół, jakby chciała się pocałować w kolana. W kolana! Piękne, brązowe, kształtne kolana.

Potem nastąpiło dziesięć strasznych dni, podczas których Sapatisia i Alfred Onehube przechodzili chwiejnym krokiem przez pole minowe bólu, przez wyznania o zdradzie, rozpacz tnącą jak rozgrzany do czerwoności nóż… aż nie mogli mówić, aż padli, wyczerpani ogromem tego, co stracili. Ale zmiażdżyła to świadomość kolejnej straty, tak wielkiej, że przesłoniła osobistą tragedię. Po rozwodzie Sapatisia pojechała na lodowiec.

///

Znalazła się na Grenlandii z glacjologami i przeżyła potężny wstrząs, bo rozpoznawała to, co miała przed oczami: nadchodził koniec świata uznawanego kiedyś za niezniszczalny. Od lat słyszała, że Ziemia i jej formy życia są wrażliwe na lekkie zmiany temperatury, że gatunki rozkwitają i znikają wraz ze zmianami klimatu, ale lekceważyła te ostrzeżenia jako ekologiczny determinizm. Na lodowcu jej myślenie uległo zmianie, tak jak Księżyc zmienia pozycję na niebie. Dowody historyczne i intensywne badania współczesnych zmian były sygnałami alarmowymi niczym ogniste strzały. Ziemia jest bardzo podatna na wybuchy na słońcu, na chmury wulkanicznych pyłów, burze elektromagnetyczne, podziemne ruchy magmy. Sapatisia przez całe życie przyjmowała za pewnik, że polarna pokrywa lodowa jest niezmienną właściwością Ziemi. Nic nie rozumiała.

– Chryste… jak szybko się topi… – szepnęła do siebie.

Topniejący lód rozwierał wielkie szczeliny o głębokości tysięcy stóp, woda erodowała lodową pokrywę, a potem wpadała w szczeliny niczym w wodospadzie i dosięgała skalistego podłoża pod wielką zamarzniętą płachtą, wypłukując dolne partie lodu do morza, roztapiając lodową czapę od dołu. Nad krawędzią takiej upiornej grzmiącej otchłani usłyszała czyjś głos:

– Patrzymy na coś, czego jeszcze nie widziano.

Tamtego wieczoru, w obozie, nikt nie mógł dojść do siebie po tym wstrząsającym widowisku.

– Czeka nas za chwilę wielki kryzys – stwierdził któryś z naukowców. – To, co widzieliśmy w ostatnim tygodniu… – urwał.

Sapatisia Sel miała wrażenie, że słyszy słowa o zagładzie rasy ludzkiej. Chciała krzyknąć: „Lasy, drzewa! Mogą wszystko odwrócić!”. Ale głos uwiązł jej w gardle.

Pobyt na lodowcu bardzo ją przestraszył i następnego dnia zadzwoniła do Alfreda z lotniska.

– Możemy spróbować raz jeszcze? Możemy naprawić to, co popsuliśmy? Chcę być z tobą. W życiu i w pracy. Choć zrozumiałam, że praca jest najważniejsza.

Onehube odpowiedział:

– Tego, co rozbiliśmy, nie da się już naprawić.

///

Teraz była tutaj, nie poddała się, ale musi spać, musi zasnąć. „Nie pozostaje mi nic innego, jak próbować dalej. Ale jeśli to wszystko na próżno? Jeśli wszystko było już stracone w chwili wyprostowania się pierwszego hominida, który objął wzrokiem świat? Nie!” Ona i wielu innych pracowali, więc musi się udać. Tylu ludzi próbuje naprawić szkody, tylu ludzi bezinteresownie stara się i próbuje. A lasy chcą odrastać. „Boże”, jęknęła. „Boże, zgaś ten księżyc!”

Na wschodnim kwadrancie nieba księżyc stał się bardzo mały i bardzo biały, a jego bezosobowa jasność ukazywała skaliste wybrzeże, zniszczony las, milczące kombajny zrębowe, czarną połyskującą masę torfowiska i spiczasty las jak na starym negatywie. Ukazywała pobielałe kłykcie Onehube zaciskające się na kierownicy. Morze uniosło się ku światłu. I zafalowało.

---

[50] Chodzi zapewne o zainicjowany w 1941 roku przez Marszałka Rzeszy Hermanna Göringa projekt przekształcenia Puszczy Białowieskiej w wielki rezerwat leśny, będący jednocześnie obszarem łowieckim Rzeszy [przyp. tłum.].

POLECAMY

SARAH MOSS

Nocne czuwanie

Anna, rozdarta między potrzebami swoich dzieci a obowiązkami domowymi, próbuje kontynuować pracę nad książką. Bohaterka mieszka odcięta od świata na niewielkiej szkockiej wyspie, którą jej mąż odziedziczył w spadku. Pewnego dnia odkopuje w swoim ogrodzie szkielet małego dziecka. Anna – z wykształcenia historyk – zaczyna własne dochodzenie. Być może odkrywając sekrety wyspy, nauczy się, jak radzić sobie z wyzwaniami, które na jej drodze stawia życie?

Lektury tej książki nie da się zapomnieć. Wspaniała, wielka powieść. Dzięki *Synowi* Meyer dołącza do listy tych amerykańskich pisarzy, których naprawdę trzeba znać.

Michał Nogaś, Program 3 Polskiego Radia

SYN

PHILIPP MEYER

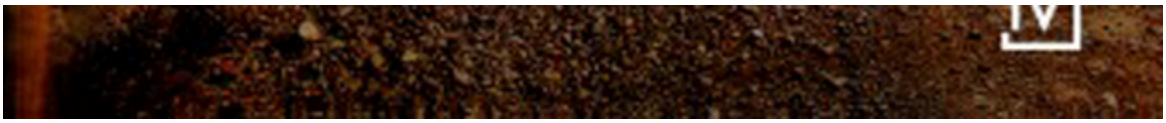

Syn Philippa Meyera to epicka, napisana z rozmachem powieść o amerykańskim Zachodzie. Wielopokoleniowa saga o losach dumnej i niezłomnej teksańskiej rodziny McCulloughów – od czasów XIX-wiecznych najazdów Komanczów do XX-wiecznego boomu naftowego – dla której najważniejszą wartością jest ziemia i honor. To także książka niepokojąca i działająca na wyobraźnię. Bez wątpienia można powiedzieć, że jest arcydziełem i kontynuacją najlepszej tradycji amerykańskiego kanonu – niezapomniana powieść łącząca pisarską sprawność Larry'ego McMurtry'ego z ostrością wyrazu Cormaca McCarthy'ego. Na podstawie powieści nagrywany jest serial, w którym główną rolę gra Pierce Brosnan.